



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV
5198
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1928

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 271.



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1908.—Tom III.



WARSZAWA.

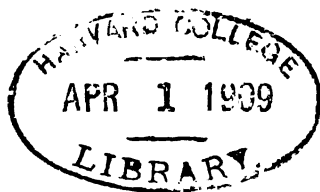
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—
1908.

~~Slav 70.2~~

(~~CXIII.~~ 14)

SLAV
5198
77



Minot fund

LUNA.

XXII.

Przyjaciele, przed którymi Paweł wspominał dzieje swego duchowego przewrotu (a czynił to chętnie i szczerze), zwykle żartowali z niego, iż potrafił zasnąć w chwili krytycznej, że na dnie „przepaści wątpienia“ znalazł wygodną poduszkę spoczynku, że nie rozwiązał, ale przespał zagadnienie — i zawierała się w tym żarcie pewna doza złośliwej słuszności. Rozmowa z Hanką i nocna wędrówka po mieście stanowiły moment przełomowy. „Dotarłem do kresu — z naiwną prawdomównością, nie przybierając pozy Manfreda, opowiadał zwykle Paweł — stanąłem na szczycie nad samą przepaścią, nie mogłem dłużej wytrwać... Życie wydało mi się niedorzeczną męczarnią, nie widziałem wyjścia... Wówczas zapadłem w sen... Był świt, gdym obudził się... poszedłem do okna i, patrząc w jasność poranku, zrozumiałem i pogodziłem się...”

Nie umiał wytłómaczyć przyczyn nagłej zmiany, pamiętał tylko, że ukazała mu się zwycięska siła życia, że, jak noc, rozwiały się groza śmierci i zmora nieszczęścia, że powiew wiary przepłynął mu przez duszę, że minęło straszliwe poczucie samotności i obcości w stosunku do reszty ludzi, że ogarnęła go krzepiąca zaduma... Spoglądając w cichą pracę brzasku, który łagodnem światłem powlekał niebiosy, myślał o życiu, o pokoleniach, które były, o nieprzerwanym trudzie, o niewidzialnej nici, wiążącej ludzi i wydarzenia, o wiekuistych prawach i mądrym ładzie, który z nich wynika... myślał, że od początku czasów mijają noce i dnie, że każdego dnia tak samo rozpalają się zorze przedwschodnie, że tylu ludzi patrzyło w świty i odeszło, że i on

kiedys odejdzie, że przeznaczenie śmierci i niedoli trapi nie jego jedynie, ale wszystkich żyjących, że tak, jak on, zastanawiali się i dumali ci, którzy pomarli, że człowiek, pomimo cierpień, kocha życie...

Te zwyczajne myśli niosły mu spokój. Z wierchołka, na którym przebywał, jak gdyby zawieszony nad światem, sam na sam ze śmiercią, z przerażeniem, z bólem, schodził ot w dół na pospolitą równinę i mieszał się z rzeszą ludzką i czerpał otuchę z przeświadczenia o koleżeństwie, o wspólności doli, o jednakowym udziale.

„Rodzili się ludzie, pracowali na ziemi i znikli... umrą ci wszyscy, którzy żyją dziś i on z niemi”—w tem prostem spostrzeżeniu zawierała się pociecha. A jednocześnie utrzymywała się w Pawle ufność i koła go wiara, że wije się pod powłoką przemijających zjawisk trwałe pasmo celowości, że istnienie ludzkie kryje w sobie myśl doniosłą, że w duszy człowieka mieszka utajone słowo nadziei—i znowu postanawiał dociekać i szukać, pokrzepiony przekonaniem, iż dotrze do jądra owej nieznaney wiedzy, że znajdzie...

Chmura zwątpienia przesunęła i w duszy uczyniła się cisza. Ze spokojem Paweł rozpoczął nowy dzień, zabrał się do zajęć. W mieszkaniu, w interesach, w życiu były bezład, zamęt i rozprężenie, spowodowane pobytem panny Malinowskiej. Uciechy i gorączkowa działalność w partyi przez kilka ostatnich miesięcy pochłaniały całkowicie czas i uwagę i było dużo roboty. Porządkował tedy z zapalem, z zamiłowaniem, z pedantyzmem: przeglądtał stosy nierozpieczętowanych listów, wśród których były i ważne od administratora Naborowa, sprawdzał rachunki magazynów, dziwiąc się dużym wydatkom, wstydząc się ilości skonsumowanych win, wódek, likierów, koniaków, obliczał kasę i długi, odpisywał, tłukł się po salonach, gdzie kurze, zaduch, zwiędłe bukiety, kapelusze damskie i rękawiczki stanowiły nieznośne przypomnienie epoki życia, poświęconej „szczęściu,” przedstawiał, kazał wynosić i czyścić, piłował służbę za zaniedbanie. Lokaj próbował przebiegle zawiazać z nim gawędę polityczną i w celu odwrócenia burzy opowiadał o tem, co się dzieje na mieście, ale Paweł nie przerwał pracy. Odezwały się w nim dawne nałogi, obudziła się dawna, pedantyczna natura. Z ogromnem zadowoleniem obejrzał mieszkanie, gdy wszystko stanęło na miejscu, gdy zabrano koszt z rzeczami panny Malinowskiej i znikły ostatnie ślady. Wydawało mu się, że spalił mosty, że odzyskał dom i wrócił do siebie, że skończył niezbędne przygotowania, że nastaje nowy okres...

Po południu wyszedł na ulicę i doznał nieokreślonego wrażenia. Widział pochody, sztandary rozmaitej barwy, słuchał namiętnych przemówień, Klemens Pius Drzazga wykladał mu rozwlekle swoje poglądy, znajomi sypali sensacyjne nowiny, ale on, niegdyś zapalony działacz, pozostał chłodnym. Myślał także, że sztucznymi są objawy radości, że w mowach wodzów brzmi nuta fałszu, że ludzie starają się oszukać samych siebie...

Walka partyj przestała go zajmować i, pożegnawszy krainę martwych abstrakcyj, patrzył z innego punktu, innemi oczami. Podczas gdy tam, z przygodnych trybun, przygodni bohaterowie dnia rozstrzygali losy kraju i na lotnym piasku słów zakładali raje przyszłości, Paweł, zmieszany z tłumem, zaglądał w twarze, badał, snuł swoje wnioski. I zdumiewał się, że ludzie tak chętnie sięgają po złudzenia, tak chciwie słuchają kłamstw. Stało się to, czego wyczekiwał, nad czem przez szereg miesięcy skutecznie pracował, a nie rozgorzało mu serce zapałem. Przypatrywał się manifestacyom, niby jakiejs komedyi, w której obu stronom, t. j. tym, którzy ją uplanowali, i tym, którzy ją robili, chodziło o to, by zadurzyć się, zasłonić prawdę, zapomnieć o tem, co było istotnie ważnem. Niby ów dziwak, który, zatknąwszy uszy, przechadzał się po sali balowej pomiędzy tańczącymi — nie brał udziału w świątecznym obchodzie, nie podzielał radości... Jak widział w teatrze, któremu uciechą gra aktorów nie rozwiewa nękającej troski o dom, gdzie zostało chore dziecko, gdzie czekają wierzycciele, nieznośna żona, gdzie jest pustka po czyjejś śmierci, Paweł uciekał wciąż myślą od otaczającej go rzeczywistości i szukał czegoś w dali. Przekonań, ugruntowanych na nowej wierze, nie było jeszcze; zmieniły się tylko uczucia, zamknęły się jak gdyby jakoweś drzwi wewnętrzne, zamilkły naraz pewne struny, i nie umiał zdać sobie sprawy z tej metamorfozy. Dlatego też jakkolwiek odznaczał się wogóle otwartością, nie mówił o tem ani Śniałowskiemu, gdy ten przypominał mu przymierze braterstwa, ani Hance Skibowskiej, która wybuchła przed nim i piekła mu czoło gorejącym wzrokiem, ani dawnym towarzyszom broni, których starał się unikać, którym kłaniał się z daleka... Wracał do domu, z pewnem zaniepokojeniem przeciskał się przez ciżbę, jak gdyby wstydził się, a także jak gdyby bał się, że mogą go niepuścić, że przeczytają mu z twarzy jego myśli, że będzie zmuszony kłamać... Chciał pierwiej rozważyć w samotności... Przebrnąwszy plac, gdzie wrzało najszumniej życie, zatrzymał się na chodniku i spojrzał w tłum, na nieprzeliczoną mnogość głów, ku gestykulującym mówcom... Łan ludzki chwiał się i szumiał,

od czasu do czasu wybuchały oklaski, niekiedy zrywał się krzyk... Tłum chwalił, potępiał, cieszył się, tłum bawił się... Wśród sykania albo oklasków mówca schodził z trybuny, zastępował go w tej chwili inny. I znowu jakiś pan w kapeluszu, z brodą albo z wąsami zrywał sobie płuca, wrzeszczał, potniał, bił się w piersi, machał rękami... Ale słowa ginęły w hałasie i Pawłowi, który nic nie słyszał, dziwnie niedorzecznym i śmiesznym wydawał się daremny wysiłek mówcy. Nad roznamiętnioną rzeszą, nad krzykliwymi wodzami powoli mijały bezbarwne i bezkształtne chmury jesienno-go nieba... Oczy Pawła przez krótką chwilę spoczęły w niebiosach i pomimowoli zestawiały lichotę i małość tego, co było na ziemi... Nasuwała się myśl zniechęcająca. A ludzie napływali wciąż ze wszystkich stron rozweselonemi gromadami i tłum wzrastał. Szły strojne panie i młode panienki, szli uczniowie ze szkół, staruszkowie... Każdy miał na ustach te same słowa... Jakiś dowcip obiegał miasto i sto razy obił się o uszy Pawła... Na niektórych twarzach malowało się uczucie najbardziej wstydlive, to, które najstaranniej kryje się przed ciekawością pospółstwa: wzruszenie szczęścia... Wszyscy cisnęli się do mównic, z których lały się obfite nauki... Jakaś wynędzniała kobieta z niemowlęciem na ręku stanęła koło Pawła, nasłuchiwała, rozglądała się... potem odwróciła się nagle do Pawła, przysunęła się blisko, zadrżała mu w oczy.

— Będzie co z tego?—spytała.

Spojrzenie Pawła padło na bladą twarzyczkę dziecka. Osłupiałe źrenice patrzyły kędys nieruchomo, nie mrużyły się powieki. Na niemych, zaciśniętych, chorych wargach zastygła prośba jakaś, zdawało się prośba o śmierć...

W tej chwili z bocznej ulicy wychylił się pochód. Maszerujące szeregi rozdzieliły ich... Huknęła nad głową strofa pieśni. Paweł szukał jeszcze owej kobiety...

— A i wy tu? Dobrze, że was widzę...—usłyszał naraz.

Zdyszana Orkiszowa złapała go za poły.

— Właśnie szukałam was. Spostrzegłam z daleka, nie mogłam dopędzić... Ludzie mają do was interes... Ryszard wybiegał się... Wracajcie zaraz do domu, bo może czekają już tam... Odprowadzę was kawałek...

I biegnąc obok niego, trzepała jak zwykle, opowiadając o wrażeniach, nastrojach, uczuciach.

— Przez wszystkie te dni—mówiła—nie kładłam się wcale spać. Włóczyłam się po mieście, patrzyłam, oczekiwałam... Czy wy odczuwaliście nastrój trwogi? To było także ciekawe i nie-

zwykłe! Trwoga zawisła nad miastem i wydawało się, że to jakiś wielkolud trzyma w ręku niezmierną skałę. Ciśnie, czy nie ciśnie? Ludzie szeptali, pytali siebie wzrokiem... Teraz jest święto! Radość, jak złocisty wodotrysk, nadzieja... Stoimy wszyscy u uchylonych drzwi... Jestem oszołomiona, upojona... Z nocy, z podziemi odrazu do słońca... Wiosna ludów... Niema takiej rzeczy, którejbym nie dokonała... Skrzydła, niby dwa płomienie, wieją mi w duszy...

Paweł potakiwał uprzejmie.

— Zabieraliście głos? Chyba nie! Nie słyszałam was... Próbowalam mówić, ale zaczęli żartować, że pieję, jak kogut... Śniałowski dokazuje... pastwi się nad przeciwnikami. Przed chwilą zmiażdżył poprostu Różyckiego, który nadymał się, wspinał się, przybierał pozy Jowiszowe. Śmieją się ze Śniałowskiego, że przemawia, jak ksiądz z ambony, że pokutuje w nim zakonnik, że bałanuci mistycyzmem, ale on porywa pomimo wszystko... Gdyby mu dali władzę! Dzieło odrodzenia, do którego wzywa, wyłania się z przyszłości, jak słońce z chmur. Mówił precudnie o wspólnocie, o własności wspólnej, którą porównał do rozłożystego drzewa, rzucającego na wszystkich cień, mówił, że tak było dawniej w piastowskiej dali, że dopiero potem ludzie ścięli drzewo rozłożyste i porabali i każdy zabrał sobie po martwym kawałku... Ale wy nie zgadzacie się ze Śniałowskim?

— Niezupełnie—lakonicznie odparł Paweł.

— Tak, tak... on wogóle niema uznania... niektórzy uważają go nawet za szkodliwego, bo jest nieobliczalny... Dziś buduje, jutro burzy... opowiadają, że urządził z rana jakiś pochód żałobny, że dopiero potem zmienił zdanie—niezrażona chłodem Pawła gadała Orkiszowa.

Koło domu spotkali Ryszarda, który dążył właśnie do Pawła. Orkiszowa zadała wodzowi kilka pytań, na które nie otrzymała odpowiedzi, potem opowiadała znowu, potem pożegnała ich i pomknęła, żeby, jak wyraziła się, wskoczyć na sam grzbiet fali czasów... Oni zaś poszli razem. U bramy certowali się chwilę o pierwszeństwo, ta sama ceremonia powtórzyła się pode drzwiami. W salonie usiedli sztywnie i sztywnie milczeli. Obaj patrzali bezbarwnie w przestrzeń...

— Zacznę od małego wyjaśnienia—odezwał się gość—i przepraszę hrabiego za przykrość, która spotkała go na posiedzeniu... My nie solidaryzujemy się bynajmniej ze Śniałowskim... To sekcjarz...

— Śniałowski miał rację—przerwał Paweł—i ja nie gniewałem się...

Zezowate oczy wodza badały go uważnie.

— Hrabia wraca z miasta—zmienił temat. Jakież wrażenia? Wygląd niezwykle, prawda? To tak, jak gdyby z pod śniegu wyrosły w godzinę zielone łąny zboża... Szumi to i faluje... a plon jeszcze wątpliwy... są puste kłosa... Świącimy tryumf, ale nie-opuszcza nas troska o przyszłość... Zwycięstwo trzeba wyzyskać i walka trwa... przeciwnicy nasi uderzyli w największy bęben — mówił szybko ze sztucznym ożywieniem. Hrabia podziela te nasze obawy?... Musimy porozumieć się...

Była chwila milczenia.

— Pan zapytywał o wrażenia... trudno to streścić... Patrzałem dziś inaczej... spojrzałem oczami...—Paweł szukał odpowiedniego wyrazu—oczami człowieka śmiertelnego—dokończył, zadowolony z określenia.

— Oczami człowieka śmiertelnego?!—powtórzył gość—wyznaję, iż niezupełnie rozumiem...

— Pan nierozumie! — ucieszył się Paweł—ale ja wyraziłem się trafnie... Właśnie na tem polega różnica. Wy patrzycie abstrakcyjnie, partye mają do czynienia z człowiekiem abstrakcyjnym, a raczej nie z człowiekiem, ale ze zbiorowością... Obchodzą was losy burżuazji, proletaryatu, włościaństwa, jednostkę i życie jej wykreślacie zupełnie z rachunku... Obracacie się w martwej krainie, w sztucznym świecie formuł, programów, doktryny, a życie jest gdzieindziej.

Ryszard przyglądał się mówiącemu, ale słuchał z roztargnieniem. Od czasu do czasu przymykał powieki, może znużony po całym szeregu niespanych nocy... Spostrzeżenia gospodarza, którego w partyi traktowano lekko, który wyrobił sobie opinię „piły,” nie zajmowały go... Nie była to pora na zasadnicze rozprawy...

— Spacerując dziś po mieście—z przejściem prawil Paweł—po raz pierwszy wyjaśniłem sobie... Dotychczas za waszym przykładem dzieliłem społeczeństwo na klasy, na obozy, a życie utożsamiałem z walką polityczną... Idea zastąpiła mi człowieka, żywą rzeczywistość... Spojrzałem inaczej, i cała gra, owe mowy, pochody, potyczki szermiercze, śpiewy, to wszystko, co tam się robi, wydało mi się niepotrzebnem... Zebrał się tłum ludzi głodnych, ciemnych, chorych, stroskanych, tłum istot, które za lat dziesiątek znikną na zawsze, po to, by obchodzić jakieś zwycięstwo, z którego nikomu nic nie przybędzie, by urządzić sobie hecę radosną, by słuchać kłamstw... Zostaną przecież na ziemi

i głód, i choroba, i śmierć i wróć ci, którzy śpiewają, do pracy nad siły, do nędzy, do niedoli, która czyha... Wodzowie kłóć się z sobą i wciągają do jałowej walki zbałamuczone tłumy... toczą się zapasy o przyszłość, której nikt nie doczeka, znękani życiem słuchają bajek o dalekiej i wątpliwej, mimo krzykliwych zapewnień, pomyślności... Wolność, gdy jej niema, wydaje się skarbem, wolność osiągnięta jest jak złamany szeląg...—wykładał zatokowany.

Gość uśmiechnął się i czekał przerwy, by wstawić jakąś uwagę.

— Mowę swoją hrabia przeplata dowcipnymi aforyzmami—rzekł.—Gdyby czas pozwalał, urządzilibyśmy dyalog polityczny... Pamiętam, toczyliśmy niegdyś spór w tem mieszkaniu... dziś, niestety... Zaznaczę wszakże, że podzielam niektóre poglądy hrabiego... Mistyczne obietnice Śniałowskiego, który, przyparty do muru, nie potrafiłby dokładnie wskazać, dokąd dąży i prowadzi, który stworzy może przemijającą sektę, ale konkretnych zdobyczy nie osiągnie, i owe łzawe deklamacye o białym orle brzmią fałszywie wśród głodnych i obdartych... Zgadzam się, że chwała ojczyzny nie nakarmi, nie ogrzeje, nie wyleczy... Przeciwnicy nasi ideałami patriotycznymi starają się zatkać usta, które wołają o chleb i sprawiedliwość... My zaś postaviliśmy cele praktyczne. Walczymy z uciskiem, z krzywdą, z nędzą... domagamy się praw do życia dla niewolników, którzy stanowią trzy czwarte narodu... A co się tyczy obchodu, to przecież każdy przyzna, że stała się duża rzecz, że trudno było przejść do porządku... Zły szeląg wolności, użyty roztropnie, przyniesie olbrzymie zyski... Nie myślimy założyć próżniaczo rąk, oddawać się wyłącznie radości... pójdziemy naprzód, o ile się uda, o ile wystarczy sił... I właśnie...

Wódz urwał, spuścił na mgnienie oczy, jak gdyby przypatrywał się deseniom dywanu, potem podniósł spojrzenie i wiódł niem ostrożnie po twarzy Pawła.

— Odbyliśmy parę posiedzeń bez udziału hrabiego — mówił uprzejmym tonem — czas nagiął, nie zdążyliśmy zawiadomić wszystkich. Należało ułożyć plan akcji... Otóż, jakkolwiek towarzysze zapewniają tam na ulicach o niezwalczonej potędze, powiem otwarcie — uśmiechnął się przełotnie — że właśnie tych sił... że strona materyalna jest najślabszą... W walce rozstrzyga zawsze ten, który stoi najmocniej, a my jesteśmy trochę wyczerpani... Postanowiliśmy tedy zwrócić się do ofiarności, i hrabia, który zawsze świecił przykładem, nie odmówi zapewne.

Paweł nie potrafił ukryć grymasu niechęci.

— Pieniądze dać najłatwiej i gotów byłbym—wycedził.

— Spodziewaliśmy się, liczyliśmy bardzo—z pośpiechem podchwycił Ryszard.—Hrabia szedł z nami wiernie i wytrwale w czasach ciężkich... dziś zmieniły się okoliczności, rozszerzyło się pole pracy, zbliżamy się do celu...

— Do jakiego celu?—niespodzianie padło pytanie.

Spojrżeli sobie w oczy.

— Dziwi mnie, że hrabia zapytuje... Nie prowadzimy przecież podwójnej gry, nie osłaniamy działalności tajemnicą... Istnieją programy... Czyżby znowu jakie wątpliwości?

Wódz patrzył w Pawła z uśmiechem pobłażliwym.

— Pamiętam rozmowę z panem... Pan wskazywał wówczas szczęście... to szczęście wydaje mi się dwuznacznem...

— Ludzie religijni mówią i myślą o niebie—z tym samym uśmiechem odparł Ryszard—a jednocześnie pędzą tu życie bardzo roztropne, bardzo ziemskie: kupują, sprzedają, zbierają pieniądze, wydają za żonę, żenią się... Ktoś powiedział złośliwie, że ideał jest strojem galowym... Snułem, panie hrabio, marzenie o szczęściu na ziemi, o wyzwolonej ludzkości, o człowieku silnym, o człowieku, który będzie... To rzeczy dalekie i mgliste... Spór nasz obracał się w dziedzinie filozofii... Dziś trzeba nam zejść na grunt rzeczywistości, dążyć do celów praktycznych... Reprezentujemy interesy skrzywdzonych, owego tłumu głodnych, obdartych i ciemnych, nad którym hrabia litował się...

Zamiast odpowiedzi Paweł bębnił palcami po marmurze stołu. Upłynęło kilka chwil... Potem gość zaczął także wystukiwać palcami jakąś melodię, a jednocześnie przyglądał się wesoło gospodarzowi... Paweł nie zwrócił nawet uwagi na żart...

— Nie odmawiałem nigdy—rzekł poważnie—pieniędzy nie żałuję i dziś, ale przypuszczam, że wybyście przyjąć nie zechcieli, gdybym powiedział, że odsunąłem się od was, że nie należę już...

— Użylibyśmy, proszę pana, taktyki kościoła, który nie odpycha od swego łona zbłąkanych owieczek, ale wątpliwym synom powtarza: wzbudź w sobie wiarę—żartobliwie, niedbałym głosem wstawił wódz, pragnąc zapewne zbagatelizować doniosłe wyznanie.

— Przez cały rok pracowałem w waszych szeregach, ale pewien niepokój nie opuszczał mnie nigdy. Wydawało mi się, że nie jestem zupełnie w porządku z sobą i z wami, że należałoby sprawę postawić otwarcie... Nie umiałem włożyć serca w robotę, trapiły mnie wątpliwości, zostały między nami niedomówienia—spokojnie, dobitnie, już bez zakłopotania opowiadał Paweł.—Czu-

łem to, że tolerujecie mnie za ledwie, rozumiałem, że potrzebną wam była moja ofiarność... Im bliżej poznawałem was, tem więcej znajdowałem różnic. Stanowiłem zawsze opozycję. W obozie waszym uważano mnie za raroga... Niektóre posiedzenia zapisały mi się głęboko w pamięci... Śmiech wybuchał wśród zebranych, gdy występowałem ze swoim programem, gdy mówiłem o porozumieniu, o harmonijnem współżyciu, o potrzebie utworzenia związku wszystkich stronnictw, gdy broniłem religii... Sojusz, który zawarliśmy, był sztucznym i musiał prysnąć... Gdybym w tej chwili zapowiedział wam, że zostanę w szeregu, ale nie dam ani grosza, wyrzucilibyście mnie sami... Wszak prawda?

Gość milczał.

— A potem—ciszej dodał Paweł—mam wam za złe, że jakkolwiek surowo sędzicie przeciwników... że patrzaliście przez palce na moje postępowanie, które było nikczemnem, na Malinowską, że nikt z was nie potępił...

— Nie wciskamy się, proszę pana, do życia prywatnego—chłodno zauważył wódz.

— Uczynił to, potępił śmiało i otwarcie Śniałowski... Żałuję, że nie stało się to wcześniej... Możeby opamiętał się... Paskudna kobieta plugawi wasz obóz... Robiłem dziś rano rachunki... obliczyłem, ile pieniędzy stopniało w jej rękach... Reprezentowaliśmy oboje, ja i ona, sprawę uciśnionych, ubogich i pochłanialiśmy dobrobyt setek rodzin... Była w tem ohydna obłuda... Nie pojmuję, że miałem odwagę stawać przed tymi, których krzywdziłem, że nikt nie zarzucił mi fałszu... Uganiałem się za szczęściem, które pan niegdyś wskazał jako cel...

Wzruszenie ożywiło martwy głos Pawła, roznieciło blask wśród nudnej jego twarzy. Jaśniały mu oczy, wygładziło się zasępione zwykle czoło. Znać było, że sięga do głębi uczucia i myśli. Odważny, nieco naiwny sąd, który czynił nad sobą, obudził może szacunek w Ryszardzie, ale on mimo to spróbował jeszcze raz nadać rozmowie obrót żartobliwy.

— My nie jesteśmy chyba winni grzechów hrabiego — rzekł niedbale—i zaręczyć mogę pana, że nie o takim szczęściu mówiłem wówczas... — zaśmiał się. — W każdej armii są markietanki i doprawdy, panie hrabio, nawet najsurowsza dyscyplina nie wzbrania żołnierzom zabawy... Lepiej byłoby dla hrabiego i dla nas, gdyby owe zabawy nie doszły do skutku... zapewne, zapewne... Ale ślub czystości wyszedł jakoś z mody... a z drugiej strony, niech każdy czuwa nad samym sobą...

Poruszywszy raz sprawę drażliwą, która nękała mu sumienie, Paweł nie chciał dać za wygraną. Szczere słowa wybiegały jak gdyby same na usta.

— Tyle z moich porachunków osobistych. O zasadniczych zarzutach wspominałem także... Podobala mi się w akcji waszej owa opieka, którą roztaczacie nad ludem pracującym, i dałem się pociągnąć w nadziei, że przekonam się i co do reszty. Dziś po roku mogę stwierdzić, iż dzielą nas różnice bardzo poważne. Marzyłem o zjednoczeniu wszystkich stronnictw, o zaprowadzeniu harmonii pomiędzy warstwami, wy siejecie nienawiść i niezgodę... Walczycie nie tylko z kościołem, ale i z religią, która potrzebna jest masom... wydaje mi się także, że hasła patryotyczne, wypisane w programie waszym, kłócą się z działalnością...

Zamyślił się na chwilę i przetrząsał w pamięci dowody, które nagromadził był dawniej, w dniach, gdy brał czynny udział, gdy mieszkał jeszcze w „hotelu“ partyi.

— Zapyta mnie pan — zaczął jakgdyby chwiejnie — dlaczego milczałem tak długo, jeśli widziałem owe różnice już dawniej... Odpowiem na to, że nie zatajałem nigdy swoich przekonań... Nie chciałem wszakże opuszczać waszych szeregów... Człowiek, pochłonięty pracą, idzie na oślep, i potrzeba wstrząśnienia... Przez kilka ostatnich dni w samotności dociekałem... Zaszyły we mnie zmiany... Wycofam się zapewne zupełnie z areny publicznej, zamknę się w domu, który zaniedbałem... Próbowałem dotychczas różnych dróg, a wszystkie dążyły do celu, który szumnie się nazywa uszczęśliwianiem ludzkości... Jak Atlas chciałem dźwigać losy świata, zapominając o tem, że każdy niesie przedewszystkiem własne życie... My, Atlasi, umieramy, a ludzkość trwa... Spojrzawszy oczami człowieka śmiertelnego, zrozumiałem, że należy się pewna częśćka i mnie, jako jednostce... Życie ucieka, zostało może nie wiele już lat...

Gość słuchał z jawnem znudzeniem. Wyjmował wciąż zegarek, bawił się nim, przekładając z ręki do ręki, otwierając i zamykając kopertę, liczył minuty, przyglądał się obrazom i sprzętom.

— To znaczy, że hrabia, zakosztowawszy chleba ideału — rzekł obojętnie — postanowił iść odtąd ścieżką egoizmu.

— Egoizmu?... — powtórzył Paweł.

— Tak. Przecież pan powiedział wyraźnie, że trzeba żyć dla siebie... Nazwano oddawna uczucie, z którego wypływają podobne przekonania, egoizmem.

Paweł sam nieraz potykał się w dumaniach o ten kamień obrazy.

— Wyraziłem się zapewne niewłaściwie... Nie znalazłem jeszcze klucza od drzwi, pod którymi stanąłem, ale ten klucz istnieje. Wy, przedstawiciele doktryny społecznej, topicie jednostkę w zbiorowości, nauczając, że jesteśmy niby krople w morzu, niby atomy, jak mrówki, sługi mrowiska, jak pszczoły, niewolnice ula... Sam głosiłem te prawdy... Dziś myślę, że krótkie życie człowieka, obdarzonego świadomością, musi mieć jakieś znaczenie, zawierać cel własny, a taki, który może być osiągniętym na przestrzeni lat... Ani zwycięstwo proletariatu, ani dobrobyt robotników w roku dwutysięcznym drugim, ani niepodległość, ani rozkwit nauki — mówił powoli i monotonicznie, posuwając się za pracą myśli — bo nie doczekam, nie zobaczę, nie będzie mnie i tych wszystkich, którzy dziś są... Liść na drzewie trwa sześć miesięcy, ale każdy ma swoją wiosnę i swoje lato, zanim zginie... Paweł Naborowski przyszedł na ziemię, odejdzie rychło... Dlaczego był?... Gdyby tu panowało powszechne szczęście?... Ludzie cierpią i umierają... i partye są bezsilne wobec niedoli i śmierci...

— Hrabia ma najzupełniejszą słuszość — złośliwie przerwał wódz i wstał znudzony rozmową, która nie doprowadziła do żadnego wyniku.

Paweł patrzył w okna, odwrócony do gościa plecami.

— Dusza nieśmiertelna, posłuszna wiekuistym prawom, nadanym przez Siłę Wyższą — odezwał się cicho, jak gdyby rozmawiał z sobą.

— Panie hrabio, chwila obecna nie nadaje się do dysput filozoficznych — niecierpliwie przerwał mu znowu gość.

Było milczenie. Paweł dumał.

— Pan twierdził tu niegdyś — odezwał się niespodzianie — że Boga niema... Jakie są dowody?

Oczy wodza zmrużyły się lekko. Z uśmiechem spojrzął.

— Hrabia wkłada mi w usta... z całą stanowczością twierdząc, że nie twierdziłem nigdy...

W zmrużonych oczach tkwił półuśmiech.

— Pożegnaj już pana...

Paweł odprowadził gościa do drzwi. Zamienili z sobą kilka obojętnych zdań. Ryszard długo wkładał i zapinał rękawiczki, potem pedantycznie strzepywał kurz z kapelusza. Zdawało się, że ma jakieś słowo na ustach, że dlatego ociąga się. Ale wyszedł nie powiedziawszy nic...

Otwarta i odważna rozmowa przyniosła Pawłowi ulgę. Pozbył się ciężaru zobowiązań, wybrnął z dwulicowości, która nuży-

ła, rozciął w sposób stanowczy i prawy splątany węzeł... Od dnia dzisiejszego nie należał już do partii. Naiwne marzenia, które piastował przed rokiem, marzenia o przodownictwie w społeczeństwie, o doniosłej roli, o buławie stopniały jak śnieg na chodniku, ale nie żałował niczego. Odczuwał zadowolenie jak niewprawny jeździec, gdy uda mu się wreszcie zsiąść z konia, nad którym nie umiał zapanować, jak żołnierz po powrocie ze służby... Pobyt w partii skojarzył się ze wspomnieniem Malinowskiej, owych miesięcy bezładu, zamętu, wrzawy, odurzenia, waśni, — tęsknił do spokoju i porządku... Po raz drugi czy trzeci zrywał z przeszłością, palił mosty, przebywał przewrót—i znowu uśmiechała mu się nadzieja, zrodzona z utajonej, instynktowej wiary w życie...

Przechadzając się po salonie, za którego oknami trzepotały się na wietrze ciemne skrzydła wieczoru, przeżuwał te same myśli, myśli wczorajszego dnia, ubiegłej nocy. Zarzut egoizmu zostawał nieodparty, więc szukał w dalszym ciągu onego nieuchwytnego słowa, któreby, godząc życie ze śmiercią, czyniło istnienie jednostki celowem i niesamolubnem... Chwilami zdawało mu się, że zbliża się do rozwiązania zagadki, że dociera do kresu, ale natychmiast sam zaczynał zbijać własne dowody, i wniosek kruszył się pod ciosem rozumowań...

„Służąc idei, celom proletaryatu, ojczyzny, nauki, człowiek zaprzepaszcza siebie i sens własnego, krótkiego życia—powtarzał do znudzenia — służąc zaś sobie wyłącznie, grzęźnie w egoizmie, marnuje się w jałowej pogoni za szczęściem... Jest coś pośredniego, istnieje ogniwo łączności...”

Od czasu do czasu bieg roztrząsań przerywała przelotna myśl o księżniczce. Pamiętał słodką godzinę, którą z nią spędził, spokój, który w nim czynił się, jasność, którą zaczynał spostrzegać... najbardziej zaś oczy pamiętały radość... I chciałby sam pójść, żeby pytać, żeby dowiedzieć się i uczyć się, oczy pragnęły radości...

Ale dziś było zapóźno...

XXIII.

Wybrał się nazajutrz w godzinie wizyt. Po pracowitym ranku, spędzonym z teściową i adwokatami wśród akt i rachunków na naradach mozolnych i długich, podczas których pani Ka-

mieniecka wykazała więcej od niego sprytu, doświadczenia i przebiegłości, należała mu się chwila wytchnienia. Zresztą pretekst był doskonały, bo wypadało złożyć sprawozdanie księżnej, która pierwsza wystąpiła z projektem akcji ratunkowej. Zbliżając się do starego pałacu Mirskich, spostrzegł z daleka księżniczkę Marylkę. Szła sama, śpiesząc kędyś. Poznał ją po ruchach, po owym wdzięku prostoty i spokoju, który był jej wrodzony, którego nie zatraciła na ulicy. Posuwała się w tłumie, nie dbając, nie widząc przechodniów, szła jak gdyby przez pokój własnego domu, niby pełną ścieżką. I Pawłowi zdawało się, że niema dokoła niej ludzi, że chodnik jest pusty... Ścigał ją spojrzeniem, potem bez namysłu, prawie bezwiednie podążył za nią... Dopędził u progu kościoła, wszedł razem, skierował się pod główny ołtarz, gdzie uklękała... Służący kościelny przyniósł natychmiast księżniczce krzesło, ale ona modliła się na klęczkach. Ani razu oczy jej nie porzuciły książki... Głowa była nisko pochylona...

W świątyni odbywało się solenne nabożeństwo. Pawła, który odwykł od kościoła, ogarnęły w pierwszej chwili onieśmienie i bojaźń. Bał się księży, którzy snuli się w komzach, szwajcara, który przechadzał się groźny, tłum; obawiał się, że popełni jakąś niedorzeczność, że zgorszy nieodpowiednim zachowaniem się wiernych, że wyprowadzą go jak intruza, że wszyscy w kościele poznali odrazu, iż on nie należy do pobożnych... Rozglądał się z zakłopotaniem, chciał wyczołgać się, obejrzał się na drzwi, żeby przekonać się, czy odwrót nie jest odcięty... Zauważył, że ludzie wchodzili i wychodzili, że wśród modlących się byli i gapie, że w bocznej nawie kilku panów spędzało czas na rozmowie—i minęła niorozsądna obawa. Postanowił we wszystkim naśladować księżniczkę. Ukląkł, potem, gdy celebrujący zaczął okadzać ołtarz, wstał za jej przykładem. Pieszcząc oczami jej włosy, pasemko, które wymykało się z pod kapelusza, uśmiechając się do nadziei, jak wówczas czekał i pragnął, żeby spojrzała na niego. Ale ona nie widziała go, może nie chciała widzieć... Modliła się ciągle z książki...

Były chwile, że myśl Pawła odwracała się od księżniczki i dążyła na daleki szlak. W wonnym obłoku majaczyły, niby twarze drogich osób o zmierzchu, jakoweś obrazy, z tchnieniem kadzidła spływały wspomnienia. Wstuchiwał się w jednostajną, ogromną pieśń organów i ogarniało go marzenie, sen pochylał się nad duszą... Oto rozpostarło się przed wzrokiem jego jezioro, siwe i chmurne u brzegów, przerzniete szerokim, złotym gościńcem... marszczy się woda, ukazują się na mieniącej się powierz-

chni nieuchwytne zarysy, znikają... spoglądał z żalem... a złoty gościniec gasł to rozpałał się na nowo... Zdjęty tęsknotą szedł ku niemu przez wodę... I śniło się mu, że zapada coraz głębiej w odmęt, że pochłania go słodka toń, że idzie na dno, gdzie zaczerpiona kraina dzieciństwa, cudowny ogród dawnych uczuć, zatopiony dzwon wiary. Ręka dziecka poruszyła serce dzwonu, rozległo się w głębinach jeziora wołanie, przez mgnienie drżały na ustach wyrazy nieświadomej prośby... Szukał oczami w kościele Boga. Przed Nim pochylała się nisko głowa księżniczki, do Niego modliły się rzesze pobożnych, o Nim nieustannie mówili księża w łacińskich zwrotach, organy śpiewały chwałę Jego—i świątynia pełna była Jego chwały... Tu, wśród tłumu wiernych myśli bluźniercza, że Boga niema, ginęła bez śladu, jak suchy liść w lesie zielonych drzew, wątpienie stawało się niedorzecznością. Straszliwy blask Majestatu oslepił, niezmierna moc Boża przejmowała serce bojaźnią... Paweł usłyszał, jak gdyby głos matki, gdy czytała w przeciągu długich godzin w onym posępnym miesiącu po śmierci ojca:

„Mówcie Bogu: jako są straszne sprawy Twoje, panie... Chodźcie a oglądajcie dzieła Boże: straszny w radach nad syny człowieczemi... dla wielkości mocy Twojej będą kłamać przed Tobą nieprzyjaciele Twoi...”

Przypomniały mu się dalekie, rzekłbyś, zaświatowe słowa, skojarzone ze smutkiem i przerażeniem, które matka kazała wyrzeć na grobowcu ojca, jako ostrzeżenie dla syna. W porywie pierwotnego strachu, w uniesieniu czci Paweł chciał paść na kolana i bić się w piersi, bić czołem przed oną niewidzialną Mocą razem z tłumem, który korzył się struchlały, który zebrał się tu, żeby błagać... W organach huczała potężna melodia „Magnificat” odwiecznego hymnu chwały. Wznosiły się dymy kadzidła i przesłaniały ołtarz, w górze od blasku świec słała się złocista luna, za luną światła był tajemniczy mrok absydy...

„Fecit potentiam in brachio suo” — uczynił moc ramieniem swoim, uczynił moc ramieniem swoim — tłómaczył Paweł strofę hymnu, który brzmiał w świątyni, a jednocześnie uwaga jego zatrzymała się na dziwnej, skrywającej się w duszy sprzeczności. Przypuszczenie, że Boga niema, i niegdyś po rozmowie z wodzem socjalistycznym i dziś i zawsze, ile razy dotykał tego obojętnego zresztą przez długie lata przedmiotu, napępniało go trwogą. Odczuwał niepokój i żal, w przesadnym strachu czekał, że z ręki, karzącej bluźnierstwo, padnie na niego i na tych, którzy przeczyli, grom druzgoczący, z pośpiechem bojaźliwymi odpychał wąt-

pienie... Przerażenie duszy mówiło mu, że Bóg jest, Bóg groźny i srogi, mściwy i wszędzie obecny... A z drugiej strony, gdy próbował twierdzić, pojęcie Boga było jak próżna czara, jak obumarłe łożysko rzeki, która dawno wyschła i myśl o istnieniu Boga gasła i czyniła się ciemność. Brakowało mu odwagi, żeby ze stanowczością odrzucić, i brakowało czegoś, czego nie potrafiłby nazwać, żeby uznać, żeby nappełnić próżną czarę, martwe pojęcie ożywić twórczą treścią... Zapominał o Bogu, bo to było najłatwiejszem, w chwilach zaś przełomowych, w których wypadało dać odpowiedź dokładną sobie samemu albo innym, wahał się, chwiejnie krążył dokoła zagadnienia i, nie docierając do głębi, muskał myślą jego powierzchnię i przechodził wreszcie nad niem do porządku. Rozumiał, że trwoga, której doznawał wobec przeżenia, że owa bojaźń kary wynikały z przesądów, zaszczipionych mu w dzieciństwie, ale nie zdołał ich stłumić; tak samo nie umiał odsunąć innego przesądu, nabytego już w latach późniejszych, przesądu, który utożsamiał religię z ciemnotą, i, hołdując teorii, że religia potrzebną jest jedynie dla mas, wykreślił ją z własnego życia. Tylko czasami, gdy z głębin świetlanego jeziora zaczynał wołać zatopiony dzwon wiary, odzywała się w nim tęsknota, i oglądał się wówczas za widomym znakiem, pragnął cudu, któryby rozstrzygnął wątpliwości, szukał... Szukał i teraz oczami w kościele Boga. Przelotne uniesienie, w którym chciał klękać i bić czołem i błagać szeptem pokornych słów, minęło, i myśl czyniła powierzchowne spostrzeżenia, spojrzenie śledziło szczegóły... Widział twarze świętych na obrazach, płomyki świec, połyski szychu na białej kapie celebrującego, tonzury, złociste promienie monstrancyi, dziwił się, że księża długo okadzali ołtarz, a potem siebie wzajemnie, nie podobały mu się pośpiech i banalność głosu, którym odczytywano modlitwy; gdy umilkły organy, zastanawiał się nad stylem tej nieładnej, a dużej świątyni, ganił fałszywe marmury i zły smak ozdób, nabożeństwo wydawało mu się długiem... Ani w kościele, ani w sobie nie znalazł już nic... Ze wszystkich krańców miasta zeszyły się tłumy pobożnych, znękanii ludzie błagają, otwarły się dusze, drżą serca, ogromną pieśnią wybuchły organy, ścielą się dymy kadzielnic, księża wzywają — i gdzież jest Bóg? gdzie? — powtarzał... Niechby oczom, wpatrzonym w blaski ołtarza, ukazała się widomie Jego potęga, niechby skruszone rzesze pokrzepiła pewność, że jest, że słucha, że rozciąga się nad nimi miłosierdzie Jego... Jak ziemia szeroka i długa, wznoszą się na niej świątynie, od wieków ludzkość wielbi w nich moc Jego i wielkość, miłosierdzie i dobroć, i od

wieków toczy się spór o to, zali istnieje Ten, któremu oddają cześć... Za czarną chmurą niewiedzy kryje się oblicze Boga — a może próżnia?... I giną w próżni błagania, hymny hołdu, ofiary, słowa miłości... I nicość sztydzi z oszukanej ciżby wiernych, którzy korzą się przed własnem marzeniem, przed snem wyobraźni, przed złudzeniem... Przerażony śmiercią człowiek przerzucił nad otchłanią most religii, most, zbudowany z pocieszających nauk o nieśmiertelnej duszy, o wiecznym żywocie, o zaświatowej szczęśliwości, o Bogu, który stwarza, wykreśla drogi i cele, rządzi, kieruje, sądzi... Religia rozstrzygnęłaby w sposób stanowczy i najprostszy zawiłe zagadnienie życia, gdyby istniała pewność, gdyby istniały dowody niezachwiane, że wiara nie jest jedynie odbiciem pragnień serca człowieczego...

W zielonym lesie żywych drzew szeleścił suchy liść wątplenia. Spojrzenie Pawła ogarnęło tłum pobożnych, gorejący ołtarz i księży, zmierzyło potęgę filarów i ogrom kościoła, zawisło przez chwilę pod sklepieniem, wróciło na ziemię i zatrzymało się na księżniczce, która modliła się, wierzyła... I znowu niedorzeczną, wątlą i bluźnierczą wydawała się Pawłowi jego wątpliwa myśl tu w niezmiernej świątyni, którą budowały wieki, która pełna była ludzi i chwały Bożej...

Nieszpory kończyły się. Paweł wyszedł za księżniczką, zbliżył się do niej mimo obawy, że to nie uchodzi. Wyraz niewidziany jeszcze, obcy, wyraz powagi i skupienia zsunął się z twarzy księżniczki, gdy spotkały się ich oczy. Zmieszała się, pokryła zmieszanie uśmiechem, przywitała go uprzejmie i przyjaźnie.

— Pani modliła się... Czy to święto dzisiaj? — zagadnął banalnie.

— Wszystkich świętych... pan zapomniał!... a dzwony biją od rana, dzwony na głuchych, na zatwardziałych, na obojętnych...

Zapanowała nad chwilowem zakłopotaniem i była już taką, jaką ją znał.

— Nie znam się dostatecznie dobrze na przepisach światowych — rzekła wesoło — i przerażałam się, gdy pan zbliżył się... Niech pan powie... czy wolno rozmawiać na ulicy?

Ostatnie ślady wzruszenia religijnego, w którym zawierało się jakgdyby coś surowego i smutnego, znikły w jej obliczu. Rozweseliły się jej oczy i mowa ich była o radości, o młodości, o wiosnie... W niskim, męskim kapeluszu wyglądała trochę na chłopca.

— Wysłałam przed końcem, bo mama się niepokoi... w tych czasach... śpieszyć trzeba.

Ruszyli szybko. Paweł przypomniał sobie obowiązek galanterii i zabrał jej modlitewnik.

— Jeśli sądzić o pobożności z rozmiarów książki, w takim razie, księżniczko... — zażartował.

— Na nieszpórach odczytuję zawsze psalmy... po angielsku.

— Jakkolwiek oni Boga nazywają Lord'em...

— To cudowny język w modlitwie... Niech pan także czyta psalmy...

— Dobrze, księżniczko...

— Znalazłam dziś werset, niezmiernie głęboki. In the greatness of Thy strength Thine enemies shall lie unto Thee.

— Dla wielkości mocy Twojej kłamać przed Tobą będą nieprzyjaciele Twoi — przetłumaczył Paweł. — Pani odczytywała dziś ten psalm?

— Tak. Czemu pan się dziwi?

— Bo to jest jedyny, który umiem na pamięć... powtarzałem go sobie podczas nieszpórów...

Spojrzała na niego, żeby przekonać się, czy nie żartuje.

— Spotkały się myśli nasze... Nie wiem, jak pan rozumie ów werset... Mnie się wydało, że nienawiść, bluźnierstwa, bezwyznaniowość... że psalmista przeczuł i wyjaśnił przyczynę... że nieprzyjaciele nie chcą uznać wielkości mocy Bożej i stąd wojna...

— Zapewne, zapewne — z roztargnieniem odparł.

Księżniczka umilkła, urażona trochę, że on tak niedbale przeszedł do porządku nad słowami, które wypowiadała z przejęciem, olśniona ich głębią. Było milczenie.

— Przyglądałem się pani w kościele — odezwał się Paweł. — Pani modliła się, pani wierzy, a istnieje dziwna sprzeczność... Świątynie budowane są z marmuru, z granitu, świątynie trwają i stoją niewzruszone, tymczasem gmach religii, jak mgła, i wiara, jak wyrazy, pisane w powietrzu, zrozumiałe tylko dla tego, który pisze...

— Panie, panie...

— Tak, księżniczko... Byli prorocy, byli święci, był na ziemi Ten, którego nazwano Synem Bożym i nie zostawili po sobie śladu... Pisali w powietrzu wyrazy płomieniste i najpiękniejsze, wyrazy, które znikły... Gdyby choć jeden znak trwały i niezawodny...

Powtarzał jej z prostotą i szczerze, jakgdyby powiernicy, jakgdyby łączyła ich poufała zażyłość, myśli wątplenia i niepokoj, wrażenia, których doznał w kościele, spostrzeżenia, które poczynił podczas nabożeństwa... Opowiadał potem o modlitwach

swego dzieciństwa, o zaprawionej przerażeniem religii matki, o psalmie, wyrzycym na grobowcu ojca, wspominając dzieje ostatnich dni, wtajemniczał w zawiłe sprawy duszy, szukającej celu i trwałej myśli życia... Księżniczka słuchała uważnie. Zwarły się przednie brwi na zadumanem czole... patrzyła w ziemię, zwolniła kroku... Zadowolenie, które sprawiała jej, pochlebiając miłości własnej, spowiedź Pawła, świadcząca o tem, że on, dojrzały i mądry, traktuje ją poważnie i ma do niej zaufanie, przelotne zadowolenie rozplynęło się w uczuciu żalu i litości. Przypomniły się jej żałosne wyznania, które czynił niedawno, przed kilku dniami, prawdziwe i smutne słowa o pustce i szarzyźnie życia, o zmarowanych latach, o śmierci — i litowało się serce...

— Nie odpowiem panu dziś — rzekła cicho, gdy skończył — bo nie jestem uzbrojona... Pan postawił trudne pytanie... Będę zastanawiała się, rozważę... i wrócimy do tego przedmiotu...

Paweł zatrzymał się i słuchał, jakgdyby wyroku. Podniosła na niego zamyślane spojrzenie i patrząc mu w twarz, dumiała. Mówiła potem:

— Katechizmu i historii świętej można się nauczyć, ale wiarę trzeba zdobyć samemu... Znaki niezawodne, których pan szuka, są w duszy każdego... „Światłość prawdziwa oświeca każdego człowieka na świat przychodzącego...” Gdyby słońce ukrywało się zawsze za chmurami, nikt nie wątpiłby, że jest, że świeci, widząc dzień... Tak samo o Bogu...

Urwała, zauważywszy, że zubożniał nagle dla tematu, który rozwijała. Myśl jego uciekła ze szlaku dociekań religijnych. Spoglądał w jej oczy, obejmował wzrokiem jej postać... Jakiś czas szli w milczeniu. Skręcili w boczną uliczkę, która biegła wzdłuż ogrodu.

— Tu jest ów ogród — odezwał się — miałem tu przyjść na wiosnę... Księżniczka pamięta obietnicę?

I szukał jej spojrzenia. Ale ona odwróciła twarz, patrzyła ku drzewom, tłumiła uśmiech, wywołany uroczystem brzmieniem głosu Pawła.

— Pamiętam... Pan swoją dysputą nastroił mnie tak abstrakcyjnie, że nie spostrzegłam, iż zbliżamy się już do domu... Okna salonu są ciemne...

— Będę czekał wiosną... wiosna daleko jeszcze... będę czekał...

— Dobrze... Ale możemy i dziś wejść przez ogród i w randę. Chce pan? Pokażę panu...

Zadzwoniła i kazała przynieść klucz od furtki. Czekali. Księżniczka przebiegała palcami po żelaznych prętach ogrodze-

nia, niby po strunach harfy i zabawiała go rozmową. On przyglądał się zabawie jej zwinnych, małych rąk.

— Wypogadza się — mówiła. — Przepowiadałam, że radość rozpędzi chmury... jest związek i wpływ tajemniczy... Czy pan zauważył, że deszcz nigdy nie pada podczas obchodów...

— Nie wiem, księżniczko...

— Gdy ktoś przyniósł nam onegdaj wieczorem dobrą nowinę — ciągnęła dalej już w ogrodzie — rzuciłam się do okna. Szukałam na niebie i na ziemi potwierdzenia... Przypuszczałam, że miasto da wyraz szczęściu, że pochodnie i blaski, że pieśń i dzwony... A była ciemna i dżdżysta noc... za to dziś... Pan kiedy dowiedział się?

— Nie pamiętam... zdaje mi się z wieczora...

— Jakto?! — zdziwiła się — pan, który pracował, przygotowywał, dążył, teraz tak obojętnie! Przecież to jest niezmierne szczęście!... Gdy mijały dnie trwogi, myślałam i powtarzałam: niech krusza, łamia, burza, byleby zaświtała wolność... I czuję, że przyszła, widzę...

Paweł milczał. Idąc za nią, patrzył to w głąb parku, to w ślady jej stóp na wilgotnym piasku ścieżki... Oto spełniało się, stawało się rzeczywistością naiwne marzenie serca o tem, żeby być z nią, żeby przechadzać się wśród drzew ogrodu... I przejdzie, zniknie, umknie ta chwila wysniona, rozwieje się jak mgła... Cóż po niej, po krótkim mgnieniu, które przemija, które nie należy do niego... Obejdą dokoła aleje ogrodu — potem wizyta w salonie, potem powrót do domu — i życie puste i nudne, blade i zimne... Przemija sen... Zamieniają między sobą słowa obojętne i niepotrzebne o wypadkach politycznych... ona zapytuje, odpowiada jej... Nie takim było marzenie, które wysnił... Zdawało mu się wówczas, gdy z okien salonu spoglądał, że ukazuje się w dali świetlista zjawia szczęścia... Niema go tu w ogrodzie... skryło się szczęście...

Za to park był niezwykle piękny. Wśród miasta, w nieznośnem państwie kamienia, cegły i asfaltu, drzewa zawładnęły tym zakątkiem i królowały w chwale i powadze, odwieczne, ogromne, dostojne. Jakgdyby gdzieś w pustkowiu wiejskiem, słały się wonie zwarzonych liści, snuły się cicho gwary i szумы, pachło jesienią, upajało powietrze. Wyrosły, wybuchały, zwały się olbrzymie drzewa, rozplotły niezmierne sklepienie, strzegły swego przybytku i trwały... Dokoła rozlewał się spokój, unosiła się śniąca cisza, zaduma rozpostarła marzące skrzydła... mieszkała tu przeszłość i spoglądała nieruchomym wzrokiem... Drzewa pamiętały

dawne czasy... Wysoko, nad spletaną siecią gałęzi, błękitniało blade, listopadowe niebo. Zapatrzone w dalekość niebios, w daleki kraniec świata, gdzie dogasały zorze, kołysały się lekko wierzchoły i żegnały złote blaski zachodu. I ważyła się na chwiejących się wierzchołkach, na obojętnym czole olbrzymów myśl, że wszystko przemija, że one tylko stać będą, że krótkiem i lichem jest życie, które toczy się u ich stóp... Widziały wiele, doświadczyły, poznały, przeżyły wiele zim i wiosen drzewa i kolebały się obojętnie, nietrwożne, spokojne w mocy swojej...

W alei, którą szli, panował mrok. Ze starych, omszonych pni lipowych uśmiechały się, zdawało się, pomarszczone i dobrotliwe twarze. Od czasu do czasu spływał po konarach, z gałęzi na gałęź, z góry w dół chłodny dreszcz szelestu. Była to wieść niedobra o zimie, która zbliżała się. Dowiadywały się liście i zaczynały dygotać, opadały przerażone, marły...

Posuwali się wolno po miękkim, suszczącym posłaniu liści. Księżniczka opowiadała.

— Z okien salonu pan widział tylko jedną część, a ogród jest dosyć duży. Mamy w nim kawałek wsi. Niegdyś były tu rozmaite banalności wiejskie: posagi, altany, strzyżone krzewy, klomby — pokasowaliśmy to wszystko. Zaraz skończy się aleja, którą nazwałam królewską, pokażę panu ulubione ustronie...

— Więc nie owa ława?... — pożałował.

— Nie panie... proszę patrzeć...

Stanęli na niewielkiej łące, otoczonej ze wszystkich stron drzewami. Znużone mrokiem „królewskiej“ alei oczy z radością witały trawnik, wolną przestrzeń, rozległy szmat niezastłoniętych niebios, światło gasnącego dnia. Łąka zasypana była liśćmi. Tu i owdzie kępa zielonej jeszcze trawy, która przetrwała przymrozki, dawała złudzenie życia i lata. Na przeciwległym skraju, tam, gdzie za kolumnadą pni białął stary mur, dwie niebotyczne jodły wykwitły wiecznie żywą i wiecznie smutną tajemnicą swojej cyprysowej zieleni, trzecia, młodsza i mniejsza, wysunęła się o parę stóp i rosła wśród trawnika, trochę pochylona naprzód w towarzystwie dęba—junaka. Powiewały nad niemi, nad młodocianą ich przyjaźnią, długie warkocze bolesnych brzoź, które umierały w złocistej chwale, kapały im na głowy złote krople liści... Szeleściła poruszona powiewem brunatna opończa dębu...

Patrzyli oboje, wsłuchani w wieczorny szept parku, pograżyli się w zadumie, która przyszła, ogarnęła duszę, mijać nie chciała. Odezwały się gdzieś dzwony. Musiała być ta sama, co przed rokiem godzina, w której Paweł pokochał swój sen... Księżnicz-

ka zapomniała tym razem o pacierzu. Przebrzmiały dzwony... I pogasły zwolna owe precudne na zachodzie łuny, w które spoglądały chwiejące się, wysokie, najwyższe wierzchołki drzew... Przychodził wieczór. W odmcie nikłego błękitu błysnęła gwiazda.

— Ten dąb jest moim rówieśnikiem — przemówiła księżniczka — paniętamy z nim już wiele wiosen... rośniemy razem — przeżyje mnie...

— Trzeba nam iść, panie — dodała — rozumiejąc, iż należy położyć kres tej chwili i milczeniu.

Podniosła na Pawła spojrzenie, zdziwiła się błądoci i wyrazowi jego twarzy. Patrzył w nią, a w oczach miał prawie strach.

— Co panu jest? — spytała mimowoli.

— Nic, pani...

— Trzeba już iść.

Poszli przez łąkę, wracali inną drogą. Co jakiś czas księżniczka szukała wzrokiem w toni chłodnego nieba gwiazdy, która, zdawało się, wędrowała za niemi. U wejścia do ciemnej alei księżniczka zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała w przedziwny zakątek, w sielskie, proste piękno ustronia. Jakies wspomnienia, jakieś przeczucia splatały się z żalem i wiały przez duszę. Pochyliła głowę i stała chwilę w zamysleniu i w żalu. Paweł obejmował ją wzrokiem, odwracał oczy, jakgdyby bał się, że zakłóci zadumę, i znowu patrzył, żegnając... Było mgnienie tam na łące, że zgłębił utajone pragnienie serca, pojął treść snu, zestawił marzenie z rzeczywistością, osądził trzeźwo możliwość. Przez rok cały, może od dnia poznania, kołysała się na fali nieuświadomionego uczucia nadzieja nieuchwytna — objawiła mu się nagle i zgasła od tchnienia rozsądku. Uczyniły się w sercu próżnia i mrok... Szczęście, nazwane po imieniu, wydobyte z głębi nieświadomości na powierzchnię, rozwiało się, jak dym. Kołysała się długo na fali marzenia nadzieja — teraz zjadliwe myśli rozsądku szeptały, że nie będzie tego szczęścia, że za późno, że nie warto rość, nie wolno spodziewać się. Pragnienie wydawało się zbyt śmiałym — nie było wiary... I, spoglądając ku księżniczce, oczy żegnały na zawsze swój najjaśniejszy sen, swoją radość... Dlatego odbiły się w nich przerażenie, trwoga rozłąki... onieśmienie i bojaźń ogarnęły Pawła. Przed godziną na ulicy opowiadał, wspominał, wyznawał, obcował z księżniczką w prostocie przyjaźni — i dziwił się sobie, bo już by nie mógł, bo marły mu na ustach słowa. Zmienił się, zmieniła się księżniczka. Była obca, daleka, zupełnie inna, tak daleka, że ręka nie odważyłaby się dotknąć rąbka sukni,

że myśl nie odważała się gonić za pragnieniem... I wyrzekął się szczęścia...

Zanurzyli się w mroczną nawę alei. Księżniczka szła pierwsza, śpieszyła. Szeleściły pod jej stopami liście.

— Wróci pan tu na wiosnę?— spytała. — W popołudniowych godzinach cienie kładą się i odpoczywają na łące... podbiał kwitnie jak na wsi.

— Nie przyjdę, księżniczko...

— Przed chwilą pan przypominał mi obietnicę, miał pan przyjść... Cóż się zmieniło?

— Zmieniło się...

— Wyjadę stąd... nie będę — dodał głucho.

— Pan wyjedzie?...

— Nie dla mnie tu wiosna...

I znowu głos jego brzmiał uroczyście i tragicznie. Przez mgnienie swawolna chęć kusiła księżniczkę: miała odpowiedzieć mu w tym samym dramatycznym tonie, zanaśladować jego głos... już uśmiechnęły się oczy, ale pożałowała go.

— Wiosna jest i dla pana i dla mnie—odparła z dobrocią — dla wszystkich... przeminał miesiąc smutku.

Nie podziękował jej za pociechę. W milczeniu doszli do werandy.

— Dokąd pan odjeżdża? — zapytała.

— Nie wiem jeszcze... zapewne na wieś... zakopię się tam... przemarnowałem tyle lat życia—zmarnuję resztę...

Księżniczka zatrzymała się na stopniu, szybko odwróciła się, uczyniła giest, jakgdyby chciała ująć jego rękę.

— Co pan mówi!—zawołała—pan działacz i pracownik... jakie tu zmarnowanie... teraz właśnie może pan radować się, że trudy jego wydały owoc... nadeszły czasy wesela dla narodu... ojczyzna zmartwychwstaje z radosnem Alleluja na ustach... potrzebni są ludzie zapału, poświęcenia i wiary... zabierze się pan do czynu... tyle nowych zadań, takie ogromne rzeczy!...

— Dobrze, księżniczko, zostanę — odpowiedział cicho — wezmę się do pracy... Robiłem dotychczas dużo, może bez skutku, ale w pragnieniu pożyteczności. Tak zwane cele ogólne leżały mi na sercu, nie byłem samolubem...

— Widzi pan—przerwała żywo—i naraz postanowił pan wyprzec się najlepszej części...

— Tak, księżniczko... Nie byłem samolubem... gotów jestem i dziś wziąć udział w dążeniach narodu... Będę dźwigał do ostatka, póki sił starczy... Zapytam tylko, co z tego, jaki odbiorę

zysk dla siebie... Człowiek nie może być narzędziem... Upłynie życie, napiszą w nekrologu kilka chwalebnych słów — mówił monotonnie.

— Nie zupełnie rozumiem...

Księżniczka patrzyła w niego uważnie.

— Pani chciałaby mnie zaprządz... pani z chłodnego punktu użyteczności... A człowiek nie jest ani zwierzęciem pociągowym, ani martwym narzędziem... Każdemu śni się jakieś szczęście... Może nie mam już prawa... może przyszła pora, w której wypada zapomnieć o sobie...

Podniósł na nią wzrok, wzrokiem dopowiadał... Spotkały się ich spojrzenia i teraz dopiero księżniczka z oczu jego wyczytała, odgadła, wydobyła wyznanie, którego nie spodziewała się, o którym nie pomyślała ani razu... Zmieszała się niezmiernie, przywarła powieki. Potem odwróciła się i w milczeniu poszła ku drzwiom... Nie znalazła w sobie odpowiedzi...

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

MICKIEWICZ I DOMEJKO

wśród emigracyi (1832—1838). ¹⁾

I.

Emigranci polscy w Dreźnie, dzięki współczuciu mieszkańców tego miasta i przychylności władz miejskich, poczęści też dzięki tradycjom dawniejszym i świeżym, które wiązały dwór saski z Polską, czuli się tu z początku, jak u siebie. Ale niedługo to trwało. Rządowi rosyjskiemu nie podobało się nagromadzenie liczного wychodźstwa polskiego w stolicy saskiej i przez swego ajenta dyplomatycznego w Dreźnie zaczął natarczywie domagać się usunięcia tych wszystkich Polaków, którzy brali udział w powstaniu, a nie chcieli teraz prosić o amnestyę i wracać do kraju.

Domejko nie myślał już o powrocie, zwłaszcza, że w maju 1832 r. otrzymał bolesną wiadomość o śmierci matki. „Był to najcięższy okres dla mnie od opuszczenia domu—powiada Domejko w świeżo wydanym pamiętniku ²⁾—Sądziłem, że go nie zniosę.“ Przyjaciele, ażeby go rozerwać, rozproszyc smutne myśli, pociągnęli go z sobą na wycieczkę do Szwajcaryi saskiej, wkrótce zaś po powrocie stamtąd zaczęła go policya — używając wyrażenia Mickiewicza—„grzecznie wypraszać“ z Drezna. Z grona czterech przyjaciół, on jeden, jako uczestnik powstania z pod rządu

¹⁾ Patrz w „Bibl. Warsz.“ 1906 r. (w zeszycie majowym) artykuł p. t. „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.“

²⁾ Źródła do dziejów Polski porozbiorowych, V. Pamiętniki Ignacego Domejki (1831 — 1838) z autografów wydał Józef Tretiak. W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1908.

rosyjskiego, nie mógł się ociągać z wyjazdem. Odynieć miał paszport, tak samo Mickiewicz; Garczyński, jakkolwiek powstaniec, nie był poddanym rosyjskim, a przytem stan zdrowia jego nakazywał mieć pewne dla niego względy.

Mickiewicz już dawniej powziął zamiar nie wracać do kraju a w Dreźnie, gdyby chciał, mógł dłużej siedzieć. Ale miał kilka rzeczy gotowych do druku, które tylko w Paryżu mogły być swobodnie drukowane, wybierał się więc tam prędzej czy później, a wolał odbyć tę podróż w towarzystwie przyjaciela, niż sam. „Mnie dotąd dają pokój — pisał do Józefa Grabowskiego około połowy czerwca — ale sam nie chcę czekać, nim na mnie kolej przyjdzie i mam osobiste powody posunięcia się ku Francji, bo moim dawnym opiekunom nie ufam, znając ich długie ręce. Mam też potrzebę Paryż odwiedzić dla interesów, których gdzieindziej ułatwić nie można.“¹⁾ A bratu mniej więcej w tym czasie donosił: „Wypędzają naszych, a między nimi Domejkę, z którym ja puszczam się w drogę, bo potem musiałbym sam wlec się. Udaję się do Paryża, ale po drodze zabawię nieco tu i owdzie w Niemczech...“²⁾

Znaleźli się i inni towarzysze podróży, będący w tem samem położeniu, co Domejko. Należeli do nich: stary kościuszkowski żołnierz, legionista, Łagowski; major 4-go pułku, Słubicki; kapitan z napoleońskiej służby, towarzysz Napoleona na Elbie, Puntner; szef 1-go pułku Mazurów i zarazem poseł mazowiecki, Trzciniński; wreszcie naczelnicy oddziałów powstańczych, a zarazem posłowie: Aleksander Jełowicki, Żarczyński i Nakwaski. Liczne więc było towarzystwo podróżne, a lądowa ta Odyssea w oryginalny odbywała się sposób. „Najeliśmy — powiada Domejko — duży powóz, długi, trzęsący, w którym wszyscy mogliśmy się pomieścić; jechaliśmy powoli, zatrzymując się na noclegi i popasy, gdzie się nam podobało i oprócz gościnnych przyjęć, których doznawaliśmy od komitetów miejscowych niemieckich, a które po wszystkich miastach i większych miasteczkach znajdowaliśmy, ustanawianych przez rady miejskie na ugoszczenie emigrantów polskich, nie szczydziliśmy sobie wygód własnymi pieniędzmi, na których nam jeszcze nie brakło. Jechaliśmy na Norymbergę, Bayreuth, Carlsruhe do Strassburga, bo taka nam droga była przepisana na paszportach i na tej drodze znajdowały się komitety...“³⁾

¹⁾ „Korespondencya Ad. Mickiewicza.“ Lwów, 1890. T. I, str. 99.

²⁾ Tamże, T. I, str. 100.

³⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 61.

W tej arce lądowej przez całą drogę było gwarno. „Przez całe dni, w drodze i gdzieśmy się zatrzymywali—przypomina sobie Domejko w pół wieku po owej Odyssei—jakie to nieustanne toczyły się rozmowy, wzajemne zwierzenia się! Mickiewicz miał momenta wesołe, górował nad nami, już to opowiadaniem rzeczy domowych, tegoczesnych, czy historycznych, już żartami i pobudzaniem do gawędki, gdy się już drudzy ustawać zdawali.“ Łagowski opowiadał „cuda“ o Maciejowicach, o legionach, o więzieniach i morzeniu głodem za rządów W-go Księcia; kapitan Słubicki „szczegółowo, po mistrzowsku, bo nie wdając się w to, czego sam nie widział, opisywał batalię pod Grochowem, ile ucierpiał ranny i w niewoli, jakim sposobem potrafił, za pomocą jednego pocziwego kozaka... dostać się do swoich.“ Wesoły Trzcński „rozweselał nas opowiadaniem pociesznych scen ze zjazdów, sejmików i hułanek szlacheckich.“ Posłowie: Jełowicki, Żarczyński i Nakwaski tworzyli sejm w miniaturze i prowadzili gorące rozmowy, które były jakby dalszym ciągiem sejmowych rozpraw. Przedmiotem tych rozmów była reforma konstytucyi, sposoby jej strzeżenia, wolność druku, handlu, stowarzyszeń i zgromadzeń publicznych i t. p. rzeczy, które już nie istniały. „Na nic nie było zgody—powiada z dobroduszną ironią Domejko—trudne porozumienie się. Co do Polski, nie zostawało wiele do mówienia, już była odbudowana...“ ¹⁾

Późno spisane wspomnienia Domejki nie mówią o jednej ważnej i ciekawej rzeczy, odnoszącej się do tej Odyssei emigranckiej, rzeczy, o której dowiadujemy się skądinąd. Oto owocem tej podróży była pewna broszura polityczna, napisana po francusku, opatrzona inicjałami Domejki, jako autora, ale niewątpliwie pochodząca z głowy Mickiewicza. Tytuł jej: *De l'émigration des Allemands en Russie. précédé de quelques lettres sur mon dernier voyage en Allemagne, au mois de juin 1832, par I. D., réfugié polonais.* Roku wydania niema. Dokładnie oznaczyć czasu ukazania się tej broszury nie mogę, ale figuruje już ona w spisie bibliograficznym rzeczy drukowanych we Francyi od listopada 1830 r., a odnoszących się do sprawy polskiej, który to spis umieszczony jest w październikowym zeszycie miesięcznika *Le Polonais* z r. 1833. Inicya-

¹⁾ Opis podróży podaję na podstawie dwu źródeł: listu Domejki do X. Siemieńskiego (Kor. IV, 1—8) i „Pamiętników Domejki“ (60—62). Tam, gdzie się te dwa źródła niezupełnie zgadzają ze sobą, daję pierwszeństwo pierwszemu, jako wcześniejszemu.

ły I. D. rozwiązane są tu w nawiasie: Ignace Domejko. Prawdopodobnie wydana została jeszcze przed ukazaniem się trzeciej części *Dziadów* i *Ksiąg pielgrzymstwa*.

Broszura, jak to już w tytule zaznaczono, składała się z kilku listów — z wrażeniami z podróży po Niemczech i z refleksyj politycznych, jakie te wrażenia wywołują w naturze. Pierwszy list jest datowany z Tarandt (24 czerwca 1832 r.), drugi z Plauen (28 czerwca), trzeci z Hof (30 czerwca), czwarty z Norymbergi (2 lipca), to jest z tych miejsc, które, jak się trzeba domyślać, były wyznaczonymi w paszporcie dla naszych podróżnych etapami podróży. Uwagi polityczne, wysnute z wrażeń podróżnych, wiążą się bezpośrednio z czwartym listem, niczem nie odgraniczone od niego.

O cóż chodzi w tej broszurze? Jaka potrzeba ją wywołała? Wiadomo, jak Mickiewicz pojmował wówczas swoje zadanie: kiedy miecze schowane, piórem walczyć za Polskę z jej wrogami, w których widział wrogów wszelkiej wolności w Europie. Już niektóre potężne, a gotowe pociski wioził z sobą: trzecią część *Dziadów* i szereg płomiennych satyr na Petersburg, objętych ogólną nazwą *Ustępu*. Na horyzoncie jego zamiarów już widniały *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa*, a może w części, w pierwszym rzucie, już były napisane. Ale to wszystko były rzeczy do ziomeków zwrócone, po polsku pisane, jeżeli już nie z treści, to z języka swego dla europejskiego ogółu niedostępne. Czy zdobędą sobie odrazu taką sławę, że zaraz przełożone zostaną na obce języki? rzecz wątpliwa, a gdyby się nawet tak stało, to czy będą dość zrozumiałe dla cudzoziemców?

A tymczasem Mickiewicz czuł potrzebę natychmiastowej walki z rządem rosyjskim, który nawet za granicami Rosyi przypominał swoją potęgę, rugując emigrantów polskich z Drezna, wbrew życzliwości rządu saskiego i sympatyom mieszkańców tej stolicy. W podróży przez Niemcy zauważył, iż rząd rosyjski, nie poprzestając na wywieraniu nacisku na słabsze państwa niemieckie, usiłuje pozyskać dla siebie usposobienie warstw ludowych, budząc wspomnienia wspólnej walki z Napoleonem i wspólnego zdobycia Paryża. Jednocześnie spostrzegał z rozmów, jakie miewał w podróży z liberalną inteligencją niemiecką, że z tej strony nie można się spodziewać skutecznego oddziaływania na masy w duchu, przeciwnym owym usiłowaniom, ponieważ ci liberali zanadto wiele metafizyki i erudycyi, a za mało uczucia wkładają w swoje wywody i stąd nie wywierają wpływu pożądanego na tłumy. Najboleśniej zaś dotknął go jeden fakt w podróży: spotkanie emigran-

tów niemieckich, ciągnących z rodzinami i dobytkiem do Rosyi dla kolonizowania jej pustych obszarów. Jakto? więc kiedy oni, emigranci polscy, uchodzą ze stron rodzinnych, nie mogąc znieść ucisku i kiedy całe Niemcy dla ich krzywd i nieszczęść wyrażają współczucie, w tej samej chwili w tychże samych Niemczech znajdują się ludzie, którzy dla materyalnych korzyści gotowi są obrać sobie Rosyę za drugą ojczyznę i dają się pociągnąć jej wezwaniu? Przeciwnieństwo było rażące i głęboko dotknęło duszę poety; widział w tem nowy i to moralnej natury tryumf nad Polską. I w tej to chwili—jak się domyślam—powziął zamiar napisania broszury, w języku dostępnym dla całego świata, broszury, która miała oświecić politykę rosyjską w Niemczech, miała być przestrogą dla całej Europy i zarazem pierwszym ciosem w walce, którą poeta zamierzał prowadzić ze zwycięzcą.

Dlaczego Mickiewicz wystąpił do tej walki ze spuszczoną przyłbicą, dlaczego ukrył się za inicjałami swojego przyjaciela Domejki? Wszak wiemy, że nie myślał już wtedy o powrocie do kraju; z tego więc względu wypieranie się autorstwa było mu niepotrzebne. Ale był inny, bardzo wyraźny powód, dla którego musiał ukryć swoje autorstwo. Broszura powinna była pochodzić od jednego z tych, co brali udział w powstaniu, a nie chcąc poddać się zwycięzcy, schronili się na ziemię niemiecką i tam z wielkiem współczuciem, niekiedy entuzjazmem byli przyjmowani. Bo w ustach takiego człowieka przeciwieństwo między emigracją polską, a immigracją niemiecką do Rosyi nabierało daleko więcej siły i znaczenia; stąd też i bezimienny autor określony był jako *réfugié polonais*. Tego tytułu Mickiewicz nie mógł sobie nadać i dla tego uprosił przyjaciela o przyjęcie na siebie autorstwa broszury.

To wszystko są przypuszczenia, bardzo prawdopodobne, ale nie oparte jeszcze na wyraźnych dowodach, że nie Domejko, któremu bibliografia przypisuje autorstwo broszury, ale Mickiewicz był jej autorem. Dowody takie znaleźć można w samej broszurze, na każdej niemal stronicy. A naprzód sam pomysł broszury odpowiada najzupełniej tej myśli Mickiewicza, wyrażonej w liście do Lelewela, o „kontynuowaniu wojny piórem, gdy miecze schowane.“ Powtórę jest tu wiele ustępów, które znajdują analogię, czasem z dosłownością wyrażenia, we współczesnych utworach lub korespondencji poety.¹⁾ Wreszcie to, co autor broszury mó-

¹⁾ Jako przykład, przytoczę parę takich ustępów. Na stronie 1-ej broszury czytamy: „C'est un simple chargé d'affaires de la Russie... qui a ordonné

wi o Rosyi, w szczególności o Petersburgu, Odessie i stepach południowych, może pochodzić tylko od człowieka, który zna te strony i stosunki dobrze, który patrzył na nie własnymi oczami, to jest od Mickiewicza, nie od Domejki, który tam nigdy nie był.¹⁾

Że nie Domejko jest jej autorem, świadczy i ta okoliczność, że nie uczynił żadnej wzmianki o tej broszurze w swoich wspomnieniach. A przecież trudno przypuścić, aby mógł zapomnieć o pracy, która, gdyby był jej autorem, byłaby pierwszą jego pracą drukowaną.

Wreszcie niemałej wagi świadectwem, przemawiającem za autorstwem Mickiewicza jest pewien ustęp ze współczesnego listu Bohdana Zaleskiego do Nabelaka, z datą 3 listopada 1832 r. Donosząc, pełen zachwytu, o *Trzeciej Części Dziadów*, która już była wydrukowana, ale jeszcze w handel księgarski niepuszczoną, Zaleski dodawał: „Oprócz tego, Mickiewicz pisze teraz *polityczne*

à la cour de Saxe de nous faire quitter le royaume, ou accepter la grâce de de l'empereur, pour aller chasser les zibelines dans les forêts de la Sibirie etc.“ A w liście do brata, pisanym na parę dni przed rozpoczęciem podróży Mickiewicz pisze: „Biada będzie, jeżeli cię wystraszą z Księstwa! Wiem, jak to przykro przywyknąć do włóczęgi, lepiej wszakże po Niemczech, jak po Sybirze wcojażować.“ (Kor. I, 100). Na str. 13 broszury: „L'échelle du pouvoir absolu n'est nulle part si bien graduée et maintenue qu'en Russie, ...on il n'y a pas même d'alkoran ni de mufti pour mettre des bornes à l'ambition et aux caprices effrénés du czar.“ A w *Księgach Narodu Polskiego*: „Bo i u Turków Sułtan musi szanować prawo Mahometa, ani może go sam wyklądać, ale są na to księża tureccy. W Rosyi zaś Imperator jest głową wiary, i w co każe wierzyć, w to wierzyć muszą.“

¹⁾ Tak np. czytamy na stronie 12-ej: „Les grands déserts de la Russie méridionale, quoique fertiles et sous un beau ciel, semblent être destinés à la vie des peuples nomades. On n'y trouve aucun vestige qui pourrait nous indiquer des établissemens d'anciennes peuplades, ou quelques débris d'une société stable et agricole. Les plaines immenses et l'herbe sauvage qui s'agite au souffle du vent, ne sauraient avoir d'appas, que pour des pâtres tatars et leurs troupeaux. Il n'y a pas de forêts; les arbres ne s'y plantent que difficilement, n'y prennent pas racine, se fanent, deviennent secs ou sont rongés par des nuées de sauterelles, qui moissonnent ordinairement les travaux des pauvres habitans de ces régions, qui bravent la puissance du czar et les armées de porcs dont il a essayé la voracité, il y a quelques années, pour combattre inutilement ce fléau devastateur.“

broszurki po polsku i po francusku."¹⁾ Ponieważ o żadnej broszurze politycznej Mickiewicza z owych czasów, pisanej po francusku, nic nie wiemy, więc ta wiadomość może odnosić się tylko do tej, o której tu mowa.

Na jedną jeszcze rzecz w tej broszurze o emigracyi Niemców chcę zwrócić uwagę: ustęp, przedstawiający pochod emigrantów przypomina z jednej strony, pod względem retorycznym, *Farysa*, mianowicie tę chwilę, kiedy allegoryczny ten bohater spotyka „starożytną karawanę, wiatrem z piasku wygrzebaną:"

„Mais que vois-je? Quelles sont ces grandes caravanes de familles, que nous rencontrons, avec leurs enfants, leurs vieillards et leurs fortunes et qui passent devant nous etc.“

Z drugiej strony, pod względem realizmu epickiego, pod względem szczegółów przedstawienia, widzimy tu, jakby naśladowanie *Hermana i Dorotei*, gdzie obraz pochodu emigrantów tak wybitnie zajmuje miejsce. „Les chariots étaient pleins de toutes sortes d'effets, de lits de plumes, d'oreillers, de coffres et de corbeilles. Sous les couvertures on apercevait des enfants à la mamelle, des paniers et des outils de labourage. Les hommes et les femmes marchaient à côté des chariots, les garçons couraient çà et là, des hommes âgés se traînaient derrière, de vieilles femmes suivaient tristes, abattues.“ Naturalnie, podobieństwo obrazów mogło wypływać z podobieństwa opisywanych sytuacji, ale nasuwa się pytanie, czy widok emigrujących Wirttembergczyków, o których w pamiętniku podróжным Domejki głucho panuje milczenie, nie przypomniał Mickiewiczowi podobnych scen z *Hermana i Dorotei* i nie pobudził go do odświeżenia sobie w pamięci tych obrazów? A jeżeli jeszcze zwrócimy na to uwagę, że w pięć miesięcy po tych wrażeniach Mickiewicz donosi Odyńcowi: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Hermann i Dorothea* (Goethego); już ukropiłem tysiąc wierszy“ i jednocześnie skarży się, że miał w tych czasach tyle „różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wie, jak czasem może kilkanaście wierszy sklecić,“²⁾ to gotowi jesteśmy wśród tych „bazgrań i rozprawek“ domyślać się i broszury o emigracyi Niemców, a epizodowi spotkania się emigrantów niemieckich z polskimi przypisać pewną rolę w genezie *Pana Tadeusza*. Rola ta ograniczyłaby się

¹⁾ „Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego,“ wydał Dyonizy Zaleski. Lwów, 1900, str. 42.

²⁾ „Kor. Ad. Mickiewicza.“ T. I, str. 105.

tylko do przypomnienia Mickiewiczowi goethowskiej sielanki, nie-
mniej jednak mogła być ważną, jeżeli za przypomnieniem poszło
ponowne odczytanie poematów i obudzenie w poecie nastroju epi-
ckiego.

*

*

Od granicy francuskiej, od Strasburga, zmienił się charakter podróży Mickiewicza i Domejki. Nie w licznym i gwarnym towa-
rzystwie polskim, jak dotychczas, ale sami, we dwóch tylko, mie-
li ją odbywać dalej i nie ułatwienia, ale przeszkody znajdowali
na drodze. Mianowicie rząd francuski nie rad był gromadzeniu
się emigrantów polskich w Paryżu i rozmieszczał ich po tak zwa-
nych *zakładach* na prowincyi, gdzie zostawali na żołdzie francu-
skim, ale zarazem i pod władzą prefektów. Ani Mickiewicz, ani
Domejko nie mieli ochoty osiadać na prowincyi i oświadczyli, że
nie potrzebują zasiłków od rządu, a jednak prefekt strasburski
nie chciał im dać paszportu na przejazd do Paryża i pozwolił tyl-
ko pojechać do Châlons, aby stamtąd starać się o pozwolenie
przyjazdu do stolicy.

Już w Strasburgu, w ciągu pięciodniowego tam pobytu, mie-
li sposobność nasi dawni Filareci zetknięcia się z emigracją pol-
ską na gruncie francuskim i tu już doznali „pierwszych przysma-
ków,” jak się wyraża Domejko, emigracyjnych kłótni, niesnasek
i innych złych narowów, wynikających z wykołajonego i próżnia-
czego życia. „Wielu żyło w Strasburgu — pisze Domejko w pa-
miętniku — nie chcąc do zakładów należeć, a nie mając środków do
utrzymania się. Widać było po ulicach nasze polskie mundury
wyszargane, krzyże wojskowe i niejeden, który je nosił, cięty,
jakby na kiermaszu, szukał, jak to mówią, okazji. Wielu też po-
kazało się oszustów, którzy, pod tytułem oficerów polskich, oszu-
kiwali mieszkańców i nadużywali ich przychylności ku nam.” Nie
brakło już i kłótni emigracyjnych, do czego powód dało przyby-
cie generała Chrzanowskiego do Francyi; znaleźli się tacy, któ-
rzy go w pismach francuskich („Courrier du Bas Rhin”) piętno-
wali, jako zdrajcę, szpiega, pułkownika rosyjskiego, a kiedy ge-
nerał Dębiński stanął w jego obronie, zjadłość zwróciła się prze-
ciw obrońcy. Jakże pilną potrzebą okazywało się wydanie *Książ*

Pielgrzymstwa, które przed duszami wygnańców odsłaniały ich wysokie powołanie i wzywały je do wewnętrznego doskonalenia się.

Mickiewicz, jadąc do Paryża, miał cel jasno wytknięty przed sobą: walkę w sferze idei i czuł, że do tej walki jest potężnie uzbrojony. Inaczej było z Domejką. On jechał, nie wiedząc dobrze, po co jedzie do Paryża, ciągniony więcej przykładem i zachętą przyjaciela, niż własnem, wyrozumowanym przekonaniem. Mickiewiczowi był potrzebny Domejko, jako kawałek Litwy, kawałek rodzinnego świata, który chciał mieć z sobą na dalekiej obczyźnie; Domejce był potrzebny Mickiewicz, jako światło przewodnie wobec zamglonej, niepewnej przyszłości.

Ten stan niepewności jego maluje się wyraźnie w jednym z ustępów pamiętnika. Kiedy był w policyi strasburskiej dla wzięcia paszportu do Châlons, przyszło tam dwóch młodych wieśniaków alzackich z młodszą od nich dziewczyną, ażeby otrzymać paszporty do Ameryki. „Byli to emigranci, co na zawsze opuszczali kraj, wioskę, rodziców i krewnych swoich, dla szukania lepszego dla siebie ojczyzny i lepszego bytu. Spokojni byli i weseli; wesoło rozmawiali ze starszymi, którzy im towarzyszyli, ani znać było, że czekał na nich statek, który za parę godzin miał ich na zawsze rozłączyć. Miły Boże! pomyślałem sobie, tym ludziom tak łatwo opuszczać na zawsze kraj swój: ufają w siły, w zdrowie i w pług, którym potrafią przyswoić dla siebie nie-
tkniętą jeszcze od stworzenia świata rolę. Jakaś tajemnicza siła, wola Boża, Opatrzność, prowadzi ich w strony, gdzie może nowy, lepszy stan i porządek rzeczy przygotowuje się dla ludzkości.“ „Mnie inne cele, widoki i nadzieje zajmują; — które gdy zawiodą, jak sobie zaradzę? Nie żołnierz, nie uczony, nie rolnik, nie rzemieślnik — nawykły do spokojnego życia.“¹⁾

Wśród wrażeń podróży tęsknota do opuszczonej na zawsze Litwy, od której coraz bardziej się oddalał, nie mogła wydobywać się na wierzch, ale kiedy zmęczenie drogą sen sprowadzało na zmysły, wtedy dusza Domejki na skrzydłach owej tęsknoty ulatywała w kierunku wręcz przeciwnym temu, w którym jego ciało unosił dyliżans pocztowy. Bardzo zajmujący obrazek tych sennych marzeń dyliżansowych zostawił nam Domejko w swoim pamiętniku. Dwie noce i prawie dwa dni jechali nasi podróżni wielkim dyliżansem do Châlons, mając za towarzyszy podróży gromadę powołanych do wojska popisowych. Gdy noc nadeszła,

¹⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 66.

hałaśliwi towarzysze posnęli; niebo było pogodne, księżyc jasno świecił, konie biegły ochotczo, chłód nocy lipcowej nie dokuczał. „Co chwilę zasypiałem i ocykałem się: zaledwo zmrużyłem powieki, stawilo mi się Zapole, gospodarka, dom, rodzina, tak żywo, tak jasno i wyraźnie, że nigdy może w rzeczywistości, na jawie, nie widziałem ich jaśniej i wyraźniej; — a gdy się budziłem, przesunalo mi się przed oczyma, jakoby w panoramie, jakie miasto, wieś, czy miasteczko, ze swojemi białemi domami, tak właśnie, jak je wyobrażałem sobie we snach młodości mojej, kiedy mi się tak chciało wojażować... Tylko że dusza moja była tak daleko odemnie, od moich zmysłów, że do niej nie dochodziły wrażenia, jakie od nich odbierałem. To, co mi było obecne, tak blade było, w słabych, bladych odcieniach; a to, co widziałem we snach tak długo żywe, porywające za serce, gorące, drażliwe, że owe sny nieporównanie rzeczywistsze dla mnie były od samej rzeczywistości: — i tak dalece mieszały mi się sny z przedmiotami na jawie, że rozróżnić nie mogłem jednych od drugich i w danym momencie nie wiedziałem, co było we śnie, co było na jawie, gdzie byłem i czy jeszcze żyję w domu, czy też na zawsze go opuściłem.“ ¹⁾

W Châlons nasi podróżni musieli przez kilka dni czekać, aż przyjdzie z Paryża pozwolenie na dalszą ich podróż do stolicy. Właściwie pozwolenie takie, jak się zdaje, potrzebne było tylko dla Domejki, ale Mickiewicz nie chciał rozłączać się z towarzyszem, więc i on czekał. Tu spotkali się z inną stroną emigracyjnego życia, z przejeżdżającymi przez Châlons powstańcami, którzy dążyli do tak zwanych zakładów emigracyjnych, aby werbować emigrantów polskich, jedni do służby belgijskiej, inni do rewolucyjnych szeregów niemieckich, w nadziei, że niebawem wybuchnie w Niemczech rewolucya. Tutaj spotkali się także z cholera i nagła śmierć pewnego „wesołego, młodego i pięknego wiarusa“ tak przeraziła i zasmuciła Mickiewicza, który miał kiedyś umrzeć podobną śmiercią, że odebrała mu sen i apetyt i że Domejko zaczął lękać się o jego zdrowie. Dla otrząśnięcia się z przykrych wrażeń podróżni zwiedzali okolice Châlons, między innemi sławne wspomnieniem pogromu Attyli pola katalaunskie, a kiedy wróciwszy do Châlons przekonali się, że nieprędko doczekają się wyraźnego zezwolenia od ministra na dalszą podróż do Paryża, postanowili za radą pewnego urzędnika francuskiego

¹⁾ Tamże, str. 68.

ruszyć niezwłocznie pocztą rządową do stolicy, licząc na to, że jadących w ten sposób nigdzie o paszporty nie zapytają.

Nareszcie 1 sierpnia bardzo rano znaleźli się w mieście, do którego Domejko, jak sam powiada, rwał się od czasów uniwersyteckich. Mickiewicz bawił tu już w ubiegłym roku czas jakiś, nie było więc ono taką nowością dla niego, jak dla Domejki; jednakże w pierwszych dniach towarzyszył Domejce w zwiedzaniu rozmaitych osobliwości Paryża; potem zostawił przyjaciela jego własnej ciekawości, ten zaś chciwie rzucił się do jej zaspokajania. Wszystko go interesowało, wszystkiemu się chciał przypatrzyć, wszystko poznać: wykłady w Sorbonie i Collège de France, obrzędy kościelne i nowatorstwa religijne, obrady parlamentu, pochody królewskie, bale republikańskie i ruchliwe życie uliczne, a wszystko, co go szczególnie uderzyło i zajęło wnosił do swoich notatek, na których podstawie w starości skreślił swoje wspomnienia z owych czasów.

Już nie ciekawość, ale potrzeba serca wiodła go do poznania życia paryskiego emigracji polskiej, w którym sam miał brać udział. Były to właśnie początki jej organizowania się. Emigracja rozrzucona na prowincyi w t. zw. zakładach, wybierała dla każdego zakładu osobny komitet; ale chodziło o powiązanie całej emigracji polskiej, która przybyła do Francyi, jednym węzłem i w tym celu obrano w Paryżu ogólny komitet centralny. Ten komitet porozumiewał się z prowincjonalnymi i na publicznych posiedzeniach zdawał sprawę ze swoich czynności. Posiedzenia odbywały się w pewnej sali, przeznaczonej dla podobnych zgromadzeń, przy małej uliczce Taranne i bywały bardzo burzliwe. Schodzili się tu ludzie bardzo różnych przekonań, usposobień, poglądów, dręczeni niepokojem o przyszłość, rozdrażnieni niepowodzeniem i szukający tylko, na kogoby zwalić winę złego.

Ani Mickiewiczowi, ani Domejce te spory i miotania się nie mogły przypaść do smaku; ale jakże nie chodzić na zgromadzenia, na których mogli się coś dowiedzieć o nadziejach, troskach emigracji, o stanie jej umysłów? Więc chodzili obaj, a raz zdarzyło się nawet, że Domejkę obrano przewodniczącym; pamiętał on też dobrze, jak trudno mu było utrzymać porządek.

Ze zgromadzeń przy ulicy Taranne i innych podobnych w hotelu Vauban (przy ul. Saint-Honoré) spory i namiętna polemika krzykaczy przenosiła się do pism i broszur emigracyjnych, nawet do francuskich wydawnictw. Rzucono się i na Mickiewicza, co on obojętnie przyjmował. We współczesnym liście do Garczyńskiego, (5 marca 1833 r.), który niecierpliwie oczekiwał ukazania

się swojego *Wacława* i głosów krytyki o nim, pisał mu: „O sądy publiczności nie troszcz się; jakżebym ci chciał udzielić połowę mojej obojętności! Na mnie gotują się tu krytyki straszne w pismach francuskich i niemieckich; słysząc, że Gurowski etc. chcąc mię zdyskredytować, mają dowodzić, żem głupi, przewidując, że Polacy uwierzą, kiedy wyczytają taki sąd w pismach zagranicznych, a zagraniczni sprawdzić nie będą mogli. Cała ta historia moich przyjaciół gniewa, mnie śmieszy.“¹⁾

W liczbie tych przyjaciół był naturalnie Domejko; ale jeszcze więcej, niż on, brał do serca szarpanie sławy Mickiewicza daleki i złożony chorobą Garczyński, który żałował, że go w Paryżu niema, boby „potrafił podobno za życia im jeszcze usta zamurować,“ dając do zrozumienia, że wyzwiałby na pojedynek tych, co się ośmielali ubliżać autorowi *Deiadow.*“²⁾

Ale jeżeli Mickiewicz był obojętny na krzyki, jakie się na niego podnosiły, jeżeli powtórnie upewniał Garczyńskiego: „co mnie się tyczy, mojej sławy lub moich pism, śmieję się, a przynajmniej jestem spokojny zupełnie,“ to jednak martwiła go ta „gra w liczmany i puste orzechy,“ w jaką bawiła się emigracya. „Nasi po większej części zapominają o polskiej sprawie i kłócą się tylko o retorykę polityki, o formy przyszłe, o szkielet jakiegoś narodu przyszłego, nie myśląc, czy się urodzi to dziecko, którego kości mają rozbierać.“³⁾ A jeszcze silniej wyraziła się ta niechęć Mickiewicza do sporów i swarów emigracyi w prologu *Pana Tadeusza*:

O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów?...

Z luźnej organizacyi ogółu emigracyjnego, który łączył w sobie ludzi rozmaitych przekonań i usposobień, zaczęły bardzo prędko wydzielać się dwa stronnictwa, oparte na pewnych zasadach. Jednem z nich było Towarzystwo demokratyczne, które wiązało się z najsłabszymi pod względem przekonań żywiołami Zachodniej Europy i ulegało wpływowi ich zasad; drugie stanowili ludzie, którzy się grupowali około Czartoryskiego, utrzymywali

¹⁾ „Kor.“ I 109 — 110.

²⁾ „Kor.“ III 177.

³⁾ „Kor.“ I 110.

stosunki z dworami i ich gabinetami, licząc na pomoc dyplomacyi w sprawie polskiej. Z tego grona wyszły Towarzystwa: Historyczno-literackie i Pomocy naukowej, a także Tow. Dobroczynności dam polskich, które niosło pomoc rodzinom ubogich emigrantów.

Domejko miał i w jednym i w drugim stronnictwie znajomych i przyjaciół, ale konserwatyzm jego przekonań pociągał go więcej ku drugiemu. Jego dobra wola prędko była zużytkowaną przez księżną Czartoryską, która stała na czele Towarzystwa Dobroczynności, mając za sekretarkę Hofmanową z Tańskich: wezwany był do pomocy, jako pośrednik w rozdawaniu miesięcznych wsparć dla dzieci biednych emigrantów. „Stąd też poszło powiada on w pamiętniku, że nazywano mnie w Towarzystwie Przyjacielem Dzieci. Starąłem się w istocie ułatwiać tym cnotliwym damom stosunki z najuboższą częścią emigracyi, uwiadamiając je o niejednej prawdziwie biednej, bez sposobu życia rodzinie. Wiele też było nieszczęśliwych w naszej emigracyi, obarczonych dziećmi matek, w ostatniej potrzebie znajdujących się, któreby bez mego pośrednictwa nie przyjęły wsparcia prosto z rąk księżnej.“ I dodaje: „Mogę zapewnić, że nigdy to Towarzystwo nie odmówiło pomocy demokratom i przeciwnikom księcia, ilekroć istotnie jej potrzebowali.“¹⁾ I w Towarzystwie pomocy naukowej odgrywał Domejko rolę podobną, pośredniczył w rozdawaniu i rozsyłaniu posiłków uczącym się po zakładach emigrantom.²⁾

Kiedy w obozie demokratycznym krzykacze w rodzaju Czyńskiego i Krempowieckiego na uroczystych obchodach powstania, wobec cudzoziemców, lżyli wszystko, co było w Polsce, „dla miłości niby chłopów“, a na ich „zuchwałe szkalowania poklaskiwali nasi, jakby na piekielnej uczcie“, tak że „krew ścinała się“ w Domejce i „zimny pot występował mu na lica“ — inni z tego obozu, szczerzy i szlachetni zapaleńcy, gotowi nieść życie w ofierze, a wierzący w cudowną siłę demokratycznych haseł, roili o natychmiastowym wywołaniu nowego powstania w Polsce i ciągnęli z sobą Domejkę, znając jego gorący patryotyzm. Ale Domejko obok szczerego patryotyzmu posiadał zdrowy rozsądek, który odrazu ocenił całe szaleństwo i szkodliwość wyprawy Zaliwskie-

¹⁾ Pamiętniki Ign. Domejki, str. 117 — 118.

²⁾ Mówiąc o tem w swoim pamiętniku, Domejko robi także uwagę, że nigdy nie dostrzegł w księciu „najmniejszej niechęci w dopomaganiu swym największym nieprzyjaciółom i przeciwnikom.“ Tamże, str. 106 — 107.

go. Nie przyłączył się więc do niej, starał się przekonać jej uczestników, że źle robią, ale to mu się nie udało. Następnie zaś, kiedy wyprawa fatalny przybrała obrót, zajmował się zbieraniem składki dla żony i dzieci Zaliwskiego, co mu dało sposobność zbliżenia się do sędziwego przyjaciela i obrońcy Polaków we Francji, Lafayette'a.

II.

Że Mickiewicz w pierwszych dwóch latach po przybyciu do Paryża mniej brał udziału, niż Domejko, w ruchliwym życiu emigracyjnem, przyczyna tego tkwiła nietylko w głębokim wstręcie jego do „potępieńczych swarów,“ ale i w tem także, że czuł w piersiach potężną, szeroką falę natchnienia, która szukała dla siebie ujęcia w samotności, w dali od emigracyjnej wrzawy. W istocie trudno zrozumieć, jak mógł poeta w tych czasach gorączkowych, wśród tylu przedmiotów i okoliczności, rozrywających jego uwagę, skupić się do wydania z siebie wielkiego arcydzieła, tchnącego majestatycznym spokojem eposu i to daje miarę wewnętrznej potrzeby tworzenia, jaką czuł wtedy, a która wszystkie przeszkody pokonać umiała.

Jaką rolę odegrał Domejko w historii *Pana Tadeusza*? Historia ta, pomimo poważnych prac Romana Pilata o autografach tego poematu, jest dotychczas w wielu punktach niejasna, albo zupełnie ciemna. Na pytanie, kiedy i gdzie się urodził pierwszy pomysł *Pana Tadeusza*, nie mamy wyraźnej odpowiedzi. Byłóż prawdą, co twierdził Józef Grabowski w przypisku do listu Mickiewicza z 26 kwietnia 1832 r.¹⁾, że już w Dreźnie pisał Mickiewicz *Pana Tadeusza*, a jeszcze przedtem w Łukowie, w Poznaniu, „powziął myśl i początek“ jego? Wprawdzie Bohdan Zaleski w swoim liście do syna Adama (Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania *Pana Tadeusza*)²⁾, zdaje się, że potwierdzał to świadectwo, pisząc: „Jak to już wiesz, mój Władysławie, *skądinąd*, ojciec twój wydumał *Pana Tadeusza* na wsi, w Poznaniu; tam obmyślił pierwszy plan poematu i zaczął go od opisu dworu szlacheckiego w Polsce.“ Ale potwierdzenie to, rozważyw-

¹⁾ Zob. „Kor.,“ T. I, 98.

²⁾ „Kor.,“ T. II.

szy je bliżej, wygląda na kombinację Zaleskiego, opartą na świadectwie Grabowskiego. Naturalnie, jeżeli Mickiewicz jeszcze w Łukowie zaczął pisać *Pana Tadeusza*, to nie mógł zaczynać od inwokacji do Najśw. Panny, aby dusze wychodźców przenosiła na ojczyzny łono, a mógł zacząć tylko od tego, co po inwokacji następowało.¹⁾ Sam Zaleski wskazuje poniekąd kombinacyjny charakter podanej przez się wiadomości słówkiem *skądinąd*. Co się tyczy Grabowskiego, przypisek jego brzmi tak ogólnikowo, że mało budzi zaufania ku sobie. Miałżeby Mickiewicz zwierzać się przed Grabowskim z tego, co zatajał przed najbliższymi przyjaciółmi, Odyńcem i Garczyńskim, którzy, jak to widać z korespondencji poety, nic jeszcze podczas pobytu Mickiewicza w Dreźnie o *Panu Tadeuszu* nie wiedzieli? Rzecz to trudna do przypuszczenia i łatwiej zgodzić się na to, że i Grabowski wykombinował sobie z pewnych słów listu Mickiewicza tę wiadomość o łukowskim początku *Pana Tadeusza*, w którą tem chętniej uwierzył, że mu schlebiała.²⁾

Nie wiemy tedy nic pewnego o tem, kiedy się w głowie Mickiewicza urodził pierwszy pomysł jego szlacheckiej sielanki, która się potem w epopeję zamieniła. Mogło to być i w Poznaniu, mogło być i przedtem jeszcze, w Rzymie, pod wpływem opowiadań Rzewuskiego, a może dopiero w drodze do Strasburga, kiedy spotkanie emigrantów niemieckich przypomniało mu obrazy z *Hermana i Dorotei*. Ale kiedykolwiek się urodził ten pomysł, do wykonania jego przystąpił poeta dopiero po przyjeździe do Paryża w r. 1832. Na początku grudnia tego roku, jak to wiemy z listu jego do Odyńca, było już tysiąc wierszy *ukropionych*.³⁾

¹⁾ W pierwotnym tekście było wprawdzie: „Ty *mnie* powrócisz cudem na Ojczyzny łono“ (a nie *nas*), ale Zaleski mógł tylko tekst drukowany wciągać do kombinacji.

²⁾ Mianowicie mogły mu podsuwać tę myśl następujące słowa listu Mickiewicza z 26 kwietnia 1832 r.: „Chcę więc teraz zakopać się w przeszłości, nim jakie przyszłości nadzieje błysną“ („Korr.“ I, 95). Że te słowa jednak nie odnoszą się do *Pana Tadeusza*, świadczy o tem inny ustęp tegoż listu: „Jeszcze nie wszystko, com zaczął, pokończono, a póki nie skończę, to nie ruszę z Drezną.“ A w parę miesięcy potem (19 czerwca 1832 r.), przed samym wyjazdem z Drezną, pisał do brata Franciszka: „Nic teraz nie robię, bo prawie wszystko, com zamierzył, pokończyłem, żyję zatem oddany lenistwu...“ Z tego widać, że przeszłość, w której się chciał zakopać, to przeszłość III cz. *Dziadów*, a nie *Pana Tadeusza*.

³⁾ „Korr.“ I, 105.

Rozpoczynając poemat, Mickiewicz miał zamiar nazwać go nie *Panem Tadeuszem*, ale *Żegotą*. To imię stoi na czele pierwszej kartki brulionu, która się dochowała dzięki temu, że Domejko „odkradł” ją, jak powiada, Mickiewiczowi, gdy została przepisana. Sam też Domejko w pewnej notatce świadczy o tym pierwotnym zamiarze poety.¹⁾ Znając stosunek, jaki wiązał Mickiewicza z Domejką, którego w koleżeńskim gronie nazywano zwykle tą formą imienia Ignacy, nie można wątpić, że w tym tytule chciał poeta złożyć hołd swemu przyjacielowi i dawnemu koledze, z którym go tyle wspomnień łączyło i dlatego to zapewne Domejko tak cenił te pierwsze karty brulionu, że nie chciał się z nimi rozstać aż do śmierci.

Któż miał być Żegotą w poemacie i nadawać tytuł utworowi? Prof. Pilat we wspomnianej rozprawie dowiódł, na podstawie autografów, że nie Tadeusza chciał tak nazwać zrazu poeta, i podał bardzo prawdopodobny domysł, że to ojciec jego, Jacek Soplica, miał nosić imię Żegoty i zgodnie ze znaczeniem swoim w powieści nadawać jej tytuł. Z tego wynika, że oprócz imienia nic nie brał Mickiewicz od przyjaciela dla swego bohatera, ponieważ jakichkolwiek rysów im wspólnych niepodobna dopatrzeć. Jeżeli chodzi o wewnętrzną charakterystykę, to w Jacka Soplicę Mickiewicz włożył własny temperament i po części historię własnych uczuć. Ale jeżeli dla bohatera, któremu nadał imię Żegoty, nic prócz imienia nie wziął od przyjaciela, to pozatem, dla całego poematu, czerpał bardzo wiele od niego. Ze ściślejszego grona przyjaciół, które go wówczas otaczało, a do którego, oprócz Domejki, należeli: Stefan Zan, Zaleski Bohdan, Witwicki i niektórzy inni, nikt lepiej od Domejki nie znał i nie pamiętał szczegółów tego życia szlachecko-litewskiego, które miało być uplastycznione w *Panu Tadeuszu*, nikt nie mógł więcej od niego podać materiału do spraw myśliwskich, które w tym poemacie tak szerokiem tłem się rozpostarły. Wiemy od Odyńca, jakie to w sąsiedztwie Zapola odbywały się polowania, jak wesoło czas spędzano w dzień na łowach, wieczorem wśród gwarów i swarów myśliwskich przy kominkach i stołach nakrytych. „Kłótnie bowiem Asesora z Rejentem o Kusego i Sokoła w *Panu Tadeuszu*—powiada Odyniec—ponawiały się co chwila, z powodu tego lub owego ogara czy charta, a mianowicie każdego szaraka czy lisa, który uszedł od

¹⁾ Porówn.: „Autografy pierwszych trzech ksiąg *Pana Tadeusza*” przez Romana Pilata. „Pamiętnik Tow. im. Ad. Mickiewicza,” Rocznik V, str. 82.

chartów i strzałów myśliwskich. Pojednawczą powagą, nakształt pana Wojskiego, bywał zwykle w takich razach Żegota.“¹⁾ I gdy po ukończeniu *Pana Tadeusza* chodziło o przemianowanie pewnych osób lub miejscowości w tym poemacie, „najpożyteczniej mu w tej rzeczy—świadczy Bohdan Zaleski—służył Domejko, który, jako Litwin i spółpowietnik *Pana Tadeusza*, doskonale znał ojczyście strony.“²⁾

Wreszcie i na to trzeba zwrócić uwagę, że w początkach pisania tego poematu Mickiewicz mieszkał przez jakiś czas razem z Domejką. Wprawdzie do tworzenia potrzebna mu była samotność i kiedy chwilowe wypadki, jak pisał do przyjaciół, „rozbiły mu duszę na części,“ musiał ją potem „w samotności sztukować i kleić.“ Ale towarzystwo dawnego kolegi, z którym tyle węzłów łączyło Mickiewicza, nie psuło mu samotności i owszem pomagało do nastrojenia się na ton odpowiedni. „Mieszka tu ze mną Żegota—pisał w kwietniu 1833 r. do Odyńca—i on mię ożywia rozmowami.“ Pisał to w tym samym liście, w którym przypominał, jak to w Dreźnie z oczu towarzyszy nabierał ognia i ochoty.³⁾ Jakby przez wdzięczność za to ożywianie i jakby dla charakterystyki materyału, który poeta czerpał od przyjaciela, wprowadzoną została do poematu anegdota o Domejce i Dowejce, uwieczniająca nazwisko tego, którego imię w pierwszym zapędzie miało stać na czele powieści szlacheckiej. Uwieczniała ona także i nazwę rodzinnej wioski Domejki, Niedźwiadki (ze zmianą na Niedźwiadek) i była jakby obmyślaną dla objaśnienia, skąd poszła ta nazwa.

*

*

*

Mickiewicz przyjeżdżał do Paryża z duszą przejętą gorącym uczuciem religijnym, przekonany, że jedyną busolą dla uczuć narodowych winna być religia. Jak religijnie, choć w inny sposób,

¹⁾ „Wspomnienia z przeszłości,“ str. 306—307.

²⁾ „Kor.,“ II, str. XX. Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania *Pana Tadeusza*—list do syna Adama przez I. B. Zaleskiego.

³⁾ „Kor.,“ I, 113.

niż u Mickiewicza, nastrojoną była dusza Domejki, widzieliśmy to w poprzednich rozdziałach.¹⁾ Ale emigracja paryska, do której przybywali, zajęta wyłącznie polityką i teoryami społecznymi, dla spraw religijnych była najzupełniej obojętną. „Z tylu dobrych i prawych Polaków, którzy składali naszą emigrację — pisze Domejko w swoim pamiętniku — mogę powiedzieć, że za przyjściem do Francji nie znałem jednego, któryby się odznaczał pobożnością i dawał z siebie przykład drugim.“ Formy religijne szanowano, ale służyły one tylko do objawiania uczuć patryotycznych. Nawet nieliczni księża, którzy wzięli udział w emigracji, a którzy zaraz przy parafialnych kościołach francuskich znaleźli służbę, nie byli ożywieni gorącym duchem religijnym (byli „zimniejszego charakteru,“ jak się wyraża Domejko) i na ogół emigracji pod względem religijnym żadnego wpływu wywierać nie mogli.

Mickiewicz zapewne zaraz po przybyciu do Paryża spostrzegł różnicę, jaka zachodziła między jego nastrojem a nastrojem ogółu emigracji i stąd uczuł potrzebę co rychlejszego wypowiedzenia tych myśli, które miały nadać nowy kierunek emigracji i całemu narodowi, a z których jeszcze w marcu 1832 r. zwierzał się przed Lelewelem w liście: „Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelię narodowości, moralności i religii.“²⁾ Zachętę do tem przedsięwzięcia tego zamiaru i to bardzo silną, mógł znaleźć w adresie, który mu wkrótce po przyjeździe do Paryża przysłali rodacy z Besançon, w tamtejszym zakładzie wojskowym zgromadzeni. Było tam bardzo wielu byłych uczniów Uniwersytetu wileńskiego, dla których poezja Mickiewicza, jako ciągnąca soki z tradycji litewskich i z Wilna rodem, miała większy urok, niż dla innej braci emigracyjnej. Otóż, dowiedziawszy się, że Mickiewicz pojechał do Paryża, aby połączyć się z wychodźstwem, czyli, mówiąc słowami jego czcicieli, „aby nawiedzić smutnych braci swoich pod obcym niebem“ i „ozłocić gwiazdą nadziei tęskniące za ojczyzną, za rodziną serca,“ postanowili oni wyrazić mu cześć i wdzięczność za pomocą pamiątkowego daru i dodanego doń adresu. Dar „ubogi, lecz dumny wewnętrzną ozdobą,“ składał się z pierścienia, ulanego z monety niezwyklej, jednej z tych, które powstały ze stopienia ofiarnych pierścieni, złożonych na ołtarzu ojczyzny—adres uwydatniał stosunek bohaterskiej poezji Mickiewicza do tylko co przebrzmiałego powstania. „Wal-

¹⁾ „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.“ Bibl. Warsz., 1906.

²⁾ „Kor.“ I, 94.

cząc za swobodę, za prawa nasze, *kilkaśmy chwil przeżyli górniej, świetniej jeszcze jak niegdyś ojcowie nasi; Tyś je nam głosem nieba umiał przepowiedzieć*, może, da Bóg, niedługo hymnem za szczęście ludów w niebo uderzysz, w nowe się ustroisz wieńce, nową zabrzmisz sławą!¹⁾

Tak więc przypominali mu jego młodzi wielbiciele poematu *Wallenroda* w szczególności *Pieśń Wajdeloty*, jako utwór poetycki, który zapalił ich do górnego porywu i który jakoby miał być zapowiedzią zbrojnego powstania. Mówiłem już dawniej²⁾, że w tym względzie zachodziło wielkie nieporozumienie między poetą a narodem. Wajdelota litewski, mówiąc o jednej chwili górniej przeżytej, miał na myśli wewnętrzne podniesienie ducha, jakie poezya bohaterska wywołuje, a jeżeli wieszczyl przy końcu poematu, że z jego pieśni „wstanie mściciel naszych kości,” to miało się to stać nie zaraz, ale w dalekiej perspektywie, „kiedyś w przyszłości.” Tymczasem naród, to jest młodzież narodowo usposobiona, wzięła to za wezwanie do natychmiastowego czynu.

Jeżeli już przedtem mógł poczuwać się Mickiewicz do pewnej odpowiedzialności za wybuch powstania listopadowego, to w adresie, który otrzymał w kilka czy kilkanaście dni po przyjeździe do Paryża,³⁾ odpowiedzialność owa zarysowała się przed nim najwyraźniej. Adres uznawał go za kierownika uczuć narodowych i w błogim optymizmie wróżył, iż poeta niebawem „uderzy w niebo hymnem dziękczynnym za szczęście ludów.” Prawda, że pod względem optymizmu Mickiewicz zbliżył się bardzo do tych, którzy mu adres posyłali; gorąca atmosfera drezdeńska, to wszystko, co słyszał tam o bohaterskich epizodach powstania, natchnęło go duchem ufności w zasoby sił narodowych, w potęgę zapału narodowego. Ale tembardziej uczuwał potrzebę nadać uczuciom patryotycznym emigracyi ten kierunek, który uważał za jedyne zbawczy dla Polski, a którego braku w niej dostrzegał—kierunek religijny, a zakreślając emigracyi apostolskie stanowisko wśród ludów Europy, wytknąć jej wiele przywar, nie licujących z tem stanowiskiem.

Nie tu miejsce na roztrząsanie, ile było złudzeń w poglądach Mickiewicza na znaczenie narodu polskiego w dziejach Europy, a emigracyi w chwili współczesnej; tu wystarczy powiedzieć, że

1) „Kor.,” III, 154.

2) „Mickiewicz i Domejko do czasów drezdeńskich.”

3) Adres nosi datę 8 sierpnia 1832 r.

głównem zadaniem *Książ pielgrzymstwa* było ostrzedz emigrację polską przed niewolniczym hołdowaniem olśniewającej kulturze Zachodu, której materialistyczny charakter tak raził poetę i wezwać ją, aby wobec tej kultury, czysto rozumowej, nie wstydziła się kultury serca, chrześcijańskiej, wyniesionej z pod strzechy rodzinnej, ale i owszem rozwijała ją, przeciwstawiała tamtej i wraz z poetą wyższość jej uznała. „Ludzie uczeni—pisał tam—rozdawali zamiast chleba truciznę i głos ich stawał się jak szum młynów pustych, w których nie było już zboża wiary, a więc młyny szumią, a nikt się z nich nie nakarmi,” i zwracając się do współbraci, wygnańców, zapytywał: „a w bitwach waszych i więzieniach, i ubóstwach, aza nie więcej was nakarmił pacierz, aniżeli nauka Voltaire’a i Hegla, które są jako trucizna i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?” I zalecał im, aby pamiętali, że „cywilizacja prawdziwie godna człowieka musi być chrześcijańska” i stąd wyprowadzał wniosek: „nie wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej.“

Księgi pielgrzymstwa wywołały wielkie wrażenie, nie tylko zapewne nowością poglądów na zadanie emigracji i na jej stosunek do cywilizacji Zachodu, ale także, i może najwięcej, swoją aktualnością, tem, że dotyczyły wielu wewnętrznych spraw i sporów emigracyjnych. Mickiewicza najwięcej obchodził ich wpływ na rozbudzenie religijności wśród współwygnańców i cieszył się on, znajdując bardzo prędko ślady tego wpływu: „Pokolenie młode bardzo dojrzało—pisał do Garczyńskiego w kwietniu 1833 r.—do zadziwienia, wiesz, że rozprawiają o teologii.“ A nieco niżej dołączał wyznanie, które było komentarzem do poprzedniej wiadomości: „Nie lubię Paryża; ale mój tu pobyt może i nie był bez jakiegoś pożytku.“ Do młodzieży, w której sercach najgłośniejsz odbiło się echo *Książ pielgrzymstwa*, należeli Kajsiewicz i Rettel; ci wzywali poetę, aby objął przewodnictwo nad ich duszami, a w tem wezwaniu znalazł Mickiewicz, według własnych słów jego, „wielką pociechę i nagrodę, i zachęcenie.“ Jego zaś list, z którego te słowa wyjęte, pisany pod koniec 1833 r.¹⁾, jest jakby uzupełnieniem *Książ pielgrzymstwa*. „Lękam się—pisał tam—abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczną, światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnętrzna. Kraj i człowiek wewnątrz bezwładny

¹⁾ „Kor.“ I, 137.

upada. Ludzie wewnętrzni, często jak sternik wśród burzy, rzucają się do rudla; patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skina, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy, biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje.“

Ten ostatni przykład ludzi, biegających po pokładzie i krzyczących, znajdował bliską analogię w ówczesnych ruchach politycznych emigracyi, rola zaś sternika wśród burzy, mało ruszającego się a patrzącego w niebo, przypadła w udziale Mickiewiczowi. Taki mniej więcej charakter miała jego *Odezwą do rodaków w Galicyi* (z datą 29 listopada 1833 r.), ostrzegająca przed niebezpieczeństwem przedwczesnych ruchów, a zarazem pokrzepiająca nadzieją niedalekiej lepszej przyszłości, w tym samym duchu przewagi życia wewnętrznego nad zewnętrznym, założone było wkrótce przez niego *Towarzystwo Braci Zjednoczonych*, którego celem było odrodzenie narodu przez głębokie przejęcie się nauką Chrystusa. „Modlić się codziennie za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać; przykładem swym rodaków do tego zachęcać i na drodze tej wspólną siłą utrzymywać się; jak najmocniej przedsięwierzemy i postanawiamy.“ Był to program zarówno etyczny, jak polityczny, zupełnie odpowiadający tej myśli, wyrażonej w *Księgach pielgrzymstwa*: „O ile powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.“

Domejko należał do tego szczupłego grona emigracyi, które kupiło się koło Mickiewicza i zupełnie podzielało jego zasady; zapisał się do Towarzystwa Braci Zjednoczonych i był podpisany na Odezwie do rodaków. Ale wśród tego religijnie nastrojonego grona był wyjątkową postacią. Jego czynna i praktyczna natura nie mogła poprzestawać na życiu wewnętrznym. Nie był poeta, jak uczestnicy tego grona, Mickiewicz, Zaleski, Witwicki, a choćby nawet Gorecki, więc jego energia duchowa nie znajdowała dla siebie ujścia w poezyi; nie miał też skłonności do życia kontemplacyjnego, jaką miał np. inny uczestnik, Bogdan Jański. Dlatego ochłonawszy, jak powiada, z „rewolucyjnej zawieruchy“ i z emigracyjnej politykomanii, oddał się całkowicie naukom, do których od młodości miał pociąg, mianowicie naukom przyrodniczym.

Z początku było to chwytnie nauki na wszystkie strony bez ładu i systemu. Chodził na wszystkie cokolwiek głośniejsze kursa przyrodnicze do Sorbony, do Collège de France, do Ogrodu Botanicznego i do Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł. Horyzont jego wiedzy, rzecz naturalna, bardzo się rozszerzał, ale rozpro-

szone te studia ani gruntowniejszego wykształcenia, ani przygotowania do jakiegoś fachu dać nie mogły. Szczęściem w osobie pana de Beaumont, profesora geologii, znalazł się doradca, który widząc w Domejce szczególne zamiłowanie w geologii, skierował go do szkoły górniczej i wyjednał mu wstęp do niej. W ten sposób, po trzech latach nauki, Domejko został ukończonym górnikiem.

Ale studia przyrodnicze, którym przez kilka lat oddawał się z wielkim zapałem, nie ostudzały w nim wcale ducha religijnego, który go wiązał z gronem Braci Zjednoczonych. Bardzo wymownym świadectwem w tym względzie jest pewien ustęp z jego Pamiętników. Wskazuje on, jak Domejko, studiując naturę, pomimo zupełnej obojętności religijnej swoich profesorów paryskich, wszędzie przeczuwał i szukał w niej Boga i jak starał się swoje pojęcia i uczucia religijne zestroić, skojarzyć z nowymi pojęciami, które mu przynosiła wiedza przyrodnicza. „Wyznać muszę — powiada on tam — że w całym tym niezliczonym szeregu kursów, o których wspominałem... nie usłyszałem wymówionego choćby przypadkiem, choćby od niechcenia słowa Bóg, Stwórca, choć we wszystkich tych kursach, wykładanych przez najślawniejszych uczonych tego wieku, cóż było przedmiotem nauki, przedmiotem badań? To, co było i jest dziełem nieśmiertelnego Boga i spraw Jego.“ ¹⁾

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Domejko czynił ważny dla swej przyszłości krok, który go miał zaprowadzić na całe półwieku na drugą półkulę, t. j. kiedy wstępował do szkoły górniczej — Mickiewicz również przedsiębrał ważną, stanowczą zmianę w swoim życiu. Po napisaniu *Pana Tadeusza*, po wyprowadzeniu z siebie całego świata poetyckiego, który żył i kształtował się w jego wyobraźni przez dwa lata, uczuł czczość i pustkę w duszy i ażeby ją zapełnić, aby się uwolnić od smutków, które go gniołły, postanowił ożenić się. Małżeństwo z dawną znajomą, Celiną Szymanowską, która na wezwanie poety przybyła z Petersburga, tak było w tajemnicy przygotowane, że nawet przyjaciele poety nic o niem nie wiedzieli. Do nielicznych wtajemniczonych w tę sprawę należał Domejko, on też był drużbą jego przy ślubie. Był to jeszcze jeden objaw tej serdecznej przyjaźni, jaka łączyła tych dwóch ludzi od czasów młodości.

¹⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki“ (1831—1838), Kraków, 1908, str. 156.

Od tej chwili dla Mickiewicza nastały ciężkie czasy zabiegów o utrzymanie rodziny. Dopóki był sam, bardzo niewiele potrzebował i nie troszczył się o jutro; teraz było inaczej. Dochody z poezji polskiej były niestałe, niepewne i niedostateczne, ale gdyby tak zyskać sobie wziętość u publiczności francuskiej, podstawa materyalna byłaby zapewniona. Mickiewicz spróbował tę myśl wcielić w życie i tak powstał dramat *Les Confédérés du Bar*, w części tylko dochowany. „Masz tedy wiedzieć—pisał do Odyńca w sierpniu 1837—żem napisał dramę, czyli po twojemu dramat. Jeżeliby jego reprezentacya dobrze poszła, byłoby to wielką finansową aferą... Wszystko to robię poprostu dla chleba; jeśliby się udało, mógłbym na długi czas spokojnie po ojczystej literaturze wędrować.“¹⁾ Dramat był o tyle pisany dla chleba, że po francusku, że dla Francuzów był przeznaczony, ale niestety, nie odpowiedział wymaganiom publiczności paryskiej i przez dyrekcję teatru Porte-Saint-Martin nie został przyjęty. Nie wiodło się poecie także i z drugą pracą wówczas podjętą, z „Historją Polski“, i w chwili, kiedy Domejko, po ukończeniu szkoły górniczej, był zajęty wyszukiwaniem rudy żelaznej w dobrach pewnych bogatych Alzaczyków, Mickiewicz pisał do niego: „Nad historją ciągle ślęczę i trafiać coraz na nowe trudności, w których mi ciężiej dokopać prawdy, niż tobie żelaza,“²⁾ a w kilka miesięcy potem przyznawał się Kajsiawiczowi, że jego historia idzie twardo i leniwo, „bo się wdałem podobno nie w swoje.“³⁾

W tych czasach, trudnych dla Mickiewicza, przed Domejką otwarła się nagle, niespodziewanie świetna, daleka, ale dalekością swoją niepokojąca perspektywa. Jeden z byłych profesorów jego, minerolog Dufrenoy, dyrektor szkoły górniczej, proszony o to, aby polecił kogoś na posadę profesora chemii i mineralogii do Coquimbo w Chili, przypomniał sobie swego niedawnego ucznia i widocznie ceniąc jego zdolności i pracowitość, zaproponował mu tę posadę. Mickiewicz był pośrednikiem w tej sprawie, on pierwszy uwiadomił Domejkę o tem, co się gotuje dla niego i zachęcał do porozumienia się z p. Dufrenoy. Spoglądał on wówczas trzeźwo na położenie emigracyi i nie miał złudzeń politycznych, któreby go nakłaniały do powstrzymywania przyjaciela od wędrówki za ocean. Właśnie około tego czasu pisał do Odyńca, który po

¹⁾ „Kor.“ I, 162.

²⁾ Tamże, I, 164.

³⁾ Tamże, I, 167.

kilku latach siedzenia w Dreźnie miał wracać do kraju: „Nasze tu położenie nic nie rokuje na przyszłość pomyślnego, zaciąga się dokoła niebo, jak na deszcz długi i chłodny. Co gorsza, nasi niewiele dotąd skorzystali z wędrówki i z doświadczenia biedy, i sama emigracya z wewnątrz siebie jeszcze nie wypuściła światła, któreby za jutrzenkę nadziei wziąć można było.“¹⁾

I sędziwy Niemcewicz zapatrywał się na wyjazd Domejki do Ameryki mniej więcej tak samo, jak Mickiewicz, i utrzymywał, że „wielu z naszych dobrzeby zrobiło, gdyby, korzystając z czasu, nim co pomyślnego zabłyśnie dla Polski, starało się być użytecznymi w dalekich krajach dla zjednania wszędzie miłości i przychylności dla naszej sprawy; lepiejby to było, jak prowadzić niepotrzebne spory i waśnić się wobec cudzoziemców.“²⁾ Tylko ks. Adam był nieuleczalnym optymistą i dziwił się, „że p. Domejko ma odwagę puszczać się na tak daleką i na tak długą podróż do Chili, kiedy my tu jesteśmy zajęci sprawą naszą żywotną dla Polski,“ a kiedy Domejko zapewniał księcia, że pierwsza wiadomość o pomyślnym obrocie sprawy narodowej, jaka go zaleci, znajdzie go gotowym do niezwłocznego powrotu, książę odpowiedział: „Och, mylisz się pan, pierwszej niż dobra wiadomość dojdzie do pana Domejki, znajdziemy się już na pół drogi do Polski.“³⁾

Ale i sam Domejko nie z lekkim sercem i nie odrazu zdecydował się na wyjazd do Ameryki. Wprawdzie tu, gdzie był, u pp. Köchlin w Alzacyi, wiele złego przeczuwał dla siebie, wiele kłopotu na swoją starość. „Nauka prędkoby wyleciała i prędkoby mnie wyssali, że potem ni sobie, ni ludziom.“⁴⁾ Tam zaś warunki były bardzo korzystne, posada zaszczytna, a przytem podróż taka odpowiadała marzeniom jego lat młodych o dalekich wojażach. Ale porzucać Francję, gdzie było tylu blizkich jego sercu, gdzie w emigracyi miał jakby kawałek ojczyzny, gdzie wreszcie ciągle jeszcze tlały jakieś nadzieje polityczne—i ruszać za ocean do zupełnie obcych i nieznanych ludzi—nie było rzeczą łatwą do postanowienia. To też posyłając na ręce Mickiewicza list do p. Dufrenoy, przyjmujący jego propozycye, tak pisał do przyjaciela: „Nie bez namysłu jednak i nie bez jakiegoś poniekąd wstrętu napisałem list, który tu załączam. Jakieś nieodgadnięte

¹⁾ „Kor.“ I, 161.

²⁾ „Pamiętniki Ignacego Domejki“ (1831—1838), str. 108.

³⁾ Tamże, str. 107.

⁴⁾ „Kor.“ I, 231.

w sobie chcenie i niechcenie miałem, mnóstwo przeważało się w myśli mojej rzeczy, które chyba ci wygadam kiedy: bo trudno wypisać. W końcu Bogu się pociłem, a kto wie, może kiedy przez antypody powrócę do Polski.“¹⁾)

Przy końcu stycznia 1838 r. odjeżdżał Domejko z Paryża w swoją daleką zaoceanową podróż i żegnał się ze wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi, których miał tylu w Paryżu. Ale zgodnie z nadziejami, które mu dodawały odwagi, z nikim nie żegnał się na zawsze, „ze wszystkimi do widzenia, do widzenia, do widzenia! Gdzie?—Bogu wiadomo.“²⁾) W dniu jego odjazdu Mickiewicz pisał do Kajsiowicza: „Jestem dziś w smutku, tracę Domejkę, starego i doznanego przyjaciela. Bóg wie, kiedy go obaczę.“³⁾)

Nie mieli się już nigdy zobaczyć. Kiedy Domejko w niespełna pół wieku potem wracał z antypodów do Francji i do Polski, Mickiewicz spoczywał już oddawna na cmentarzu w Montmorency. Ale odjazd do Ameryki nie przerwał ich stosunków, ich korespondencji, która przeciągnęła się aż do śmierci poety i odzwierciedla w sobie wzajemny stosunek tych dwóch ludzi, tylu związanych tradycjami, tak blizkich sobie szlachetnością ducha, a tak różnych usposobieniem. Ale okres ten, który obejmuje lat kilkanaście, a w którym sprawa towianizmu główną odgrywa rolę, nie wchodzi w ramy niniejszego artykułu; będzie on przedmiotem osobnego studium.

JÓZEF TRETIK.

¹⁾ Tamże 232—233.

²⁾ „Pamiętniki Ign. Domejki,“ str. 183.

³⁾ „Kor.“ I, 167.

Zarys poglądów Demokracji chrześcijańskiej WE FRANCYI.

Wynik wojny francusko-niemieckiej miał decydujący wpływ na powstanie ruchu społeczno-chrześcijańskiego w drugiej połowie XIX w. Pod wpływem nieszczęść ojczyzny dwaj oficerowie de la Tour du Pin i hr. de Mun oraz ks. Maignen zaczęli pracę umoralnienia ludu. Widząc przyczynę wszystkiego złego w rewolucyi, mniemali, że najważniejszą sprawą jest religijno-moralne wychowanie ludu. W 1872 r. założyli w Paryżu kółko robotnicze, które rozrosło się z czasem w poważną instytucję „L'Oeuvre de Cercles.“ Oprócz religijnego działania ich miała charakter arystokratyczno-monarchistyczny. Wszelako zetknięcie się z życiem ludowem dowiodło, że jedna ze spraw najpilniejszych,—to poprawienie losu biedaków. Du Pin i de Mun, nie tracąc z oczu głównego celu, zwrócili w tym kierunku swe wysiłki. Powoli stali się przywódcami ruchu społ.-chrześc. we Francyi i wraz z innymi, tworząc t. zw. „Union de Fribourg,“ pracowali nad rozwinięciem ekonomii chrześc. Encyklika Rerum Novarum (r. 1891), oparta głównie na materyałach, zebranych przez Union de Fribourg, uprawniała ostatecznie kierunek ekonomiczny. Wielu katolików, zwłaszcza młodych kapłanów, jeło się pracy nad ludem, by go wydestać z „niezasłużonej nędzy.“ Skupiali się wszyscy koło hr. de Mun. Jednakże wobec tego, że skutki nie odpowiadały wyłożonej pracy, przystąpiono do krytycznej oceny dotychczasowych poglądów. Za przyczynę niepowodzenia uznano to, że są one zbyt mało demokratyczne. (Por. wpływ pism Leona XIII o uznaniu republiki francuskiej). Od tej chwili datuje się powstanie demokracji chrześcijańskiej, czego pierwszym wyrazem był nagły, może zbyt gwał-

towny zwrot ku republice (ks. Dabry). Sprawa „du ralliement“ zdawała się usuwać na drugi plan pracę społeczną. Jednakowoż ks. Garnier, ks. Naudet i inni zwrócili cały ruch ku pierwotnym społecznym celom. Jednym z najgorliwszych działaczy pierwszej doby był L. Harmel, fabrykant z Val-des-Bois.

Pracę agitacyjną zaczynano zawsze od założenia „Cercle d'études“, którego członkami rzeczywistymi i prezesem mogli być tylko robotnicy. Obok tych kółek powstawały stopniowo instytucje, mające na celu podniesienie dobrobytu robotników, jak sekretaryaty, kasy. Ruch szerzył się wśród młodzieży (ks. Garnier, Jan Bonjean, Marek Sanguier) i wśród robotników. W r. 1893 zwołano pierwszy kongres robotników chrześc. do Reims. Po postanowieniu następnego kongresu również w Reims stowarzyszenia połączyły się w związki. Tak powstały np. „Union ouvrière de Métallurgie et de l'Industrie textile“ w Lille (700 członków, p. Leclercq), „Union dém.“ w Ardenes (p. Doubray-Schmidt), „Fédération des travailleurs chrétiens du Centre et de l'Ouest“ (ks. Du-long, pp. E. Desgrées du Loû i Flornoy).

Prawie każdy związek posiada swoje pismo. Z miesięczników należy wymienić popularną „Sociologie catholique“, zał. 1891 roku w Montpellier przez ks. Sahuta, obecnie pod red. Coulazon'a; poważniejszą „Chronique des Comités du Sud-Est“, w Lille, redagowaną przez Bernea; wychodzący przez kilka lat „XIX Siècle“ (p. J. de Saint-Ferréala i ks. Pastoret); wreszcie, najpoważniejszy z nich, „Démocratie chrétienne“, założony w 1894 r. przez ks. Sixa; o ile „Wiek XIX“ walczył z kapitalizmem i lichwą, o tyle „Démocratie“ oddaje się systematyzacji poglądów.¹⁾

¹⁾ Wymieniam ważniejsze prace: Ks. Dehon: „Catéchisme Social“, Paris, Blond. 1898, s. 308. Ks. Blanc: „Etudes Sociales“, Lyon, Vitte, 1897. Ks. Gayrand: „Democrates chrétiens. Doctrine et programme“, Paris, Lecoffre, 1899; „La République et la paix religieuse“, Paris, Perrin, 1900. Ks. Naudet: „Christianisme social: Propriété, capital et travail“, Paris, Blond, 1898; „La démocratie et les démocrates chrétiens“, Paris, Brigue, 1900. V. Maumus: „Les catholiques et la liberté politique“, Paris, Lecoffre, 1898. Fonsegrive: „Catholicisme et Démocratie“, Paris, Lecoffre. 1899; „La crise sociale“, 1901. Lorin H.: „Organisation professionnelle et le code du travail“, Paris, Blond, 1907. L. Gregoire (Goyau): „Le pape, les catholiques et la question sociale“, Paris, Perrin, 3 wyd.

Z prac historycznych: A. Steinhauser: „Christliche Demokratie in Frankreich“, Einsiedeln, Benzinger, 1899. Ks. Veggian: „Il movimento sociale cristiano nella seconda metà del 19 sec.“ Vicenza, Galla, 1902.² M. Eblé: „Les

Na pierwszy kongres narodowy demokracji r. 1896 w Reims zebrało się 600 delegatów od 20,704 członków, połączonych w 213 stowarzyszeń. Na zjeździe następnego roku, w Lyonie, wybrano Conseil National, w skład którego weszli: Dehon, Lemire, Naudet, Garnier, księża; Leclercq, Payan, Doubray-Schmidt, Chartrain, robotnicy; Harmel, prezes, Berne, Muthon, Lorin, Desgreés du Loû, Coulazon, inteligenci.

Działalność praktyczną rozwijają demokraci w dwóch kierunkach: oświatowym i podniesienia dobrobytu, bądź to przez stowarzyszenia zawodowe i kasy, bądź przez instytucje dobroczynne (ogrody robotnicze ks. Lemire'a), bądź wreszcie przez pracę parlamentarną. Tutaj warto wspomnieć o urządzeniu fabryki Harmela w Val-des-Bois, opartem na zasadzie: „le bien de l'ouvrier par l'ouvrier et avec lui, jamais sans lui, à plus forte raison au grand jamais, malgré lui.“ Działa tam Conseil d'usine i Conseil des ouvrières, złożony z robotników i robotnic. Do jego kompetencji wraz z dyrekcją należą sprawy następujące: rozstrzyganie sporów, nieszczęśliwe wypadki, zdrowotność, terminowanie i nauka, warunki pracy, udział w dochodach, płaca i dyscyplina.

Po tych wstępnych uwagach, przedstawię ekonomiczne i polityczne poglądy demokracji.

Demokracja chrześcijańska we Francyi powstała po wydaniu encykliki Rerum Novarum w r. 1891. Garstka świeckich i księży o gorącym sercu poszła za wskazaniem Leona XIII: „Idźcie w lud.“ Opartszy się na tych społeczno-ekonomicznych poglądach, które głosił hr. de Mun i mgr. de la Tour du Pin, chciała lud, a zwłaszcza tłumy robotnicze, podnieść materyalnie i moralnie. Praca nie szła: lud był obojętny. Za przyczynę niepowodzenia uznano zbyt silne religijne zabarwienie akcji i zbyt wielki w niej brak pierwiastków demokratycznych. Wskutek tego musiano przystąpić do krytycznego przeglądu dotychczasowych zapatrywań. Wyniki badań były pod wielu względami sprzeczne z ówczesnymi poglądami

écoles catholiques d'Economie politique et sociale en France,* Paris, Giard et Brière, 1905. *Turman*: „Catholicisme social depuis Rerum Novarum,* Paris, Alcan, 1900.

Z licznych czasopism demokr. najpoważniejsze „La démocratie chrétienne“ (rok 15) pod red. ks. Sixa, w Hellemmes-Lille (Nord).

Na polskie przełożono *Naudeta*: „Główne zasady socjologii katolickiej“ i „Nasz obowiązek społeczny,“ obie u Szczepkowskiego, oraz *Goyau* „O katolicyzmie socyalnym,“ u Gebethnera i Wolffa.

mi szkoły de Muna. W ogniu powstałej wtedy polemiki demokracji urabiali swą naukę. Z tego, co pisano, możemy ułożyć pewien całokształt poglądów demokracji chrześcijańskiej.

I.

Dla działaczy społecznych zasadniczem jest pytanie, jaką rolę ma odgrywać w stosunkach gospodarczych sprawiedliwość i miłosierdzie. Katolicy spierali się o to długo i gwałtownie, jeszcze gdy działalność de Muna była w pełnym rozkwicie. Jedni, pod wpływem szkoły liberalnej, uznawali zasadę wolności i współubiegania się za zupełnie poprawną ze względów ekonomicznych i zatem uznawali istniejący stan społeczeństwa za normalny. Temu zaś, co było w niem złego, co zbyt ciążyło nad klasą pracującą, należało zaradzić przy pomocy miłosierdzia i ofiarności. Inni, atakując same zasady liberalnej ekonomii, wołali: tego, co wy dajecie w imię miłosierdzia, my żądamy w imię sprawiedliwości. Sprawiedliwość ma objąć wszystkie dziedziny, pole jałmużny ma być ściśle określone.

Spółczeństwo bowiem nie na to powstało, by jedni żyli z łaski innych, by musieli zaspokojenie swoich potrzeb opierać na łaskawości cudzych serc, ale na to, by wspólnie się wspomagając, wszyscy mogli żyć ze swej pracy. Z drugiej strony regulatorem wzajemnych stosunków między ludźmi, zwłaszcza praw i obowiązków, może być tylko sprawiedliwość. Należy dojść do tego, by dać zawsze w imię sprawiedliwości, o ile to możebne, to, co pierwotnie dawano, jako jałmużnę i dobrodziejstwo.

Zwłaszcza w stosunkach między kapitałem a pracą ma znaleźć ta zasada zastosowanie. Kto raz uzna mniejszą lub większą niezależność w ekonomicznej dziedzinie, kto przyjdzie do przekonania, że nędza nie tyle jest skutkiem przyrodzonych nierówności, ile raczej—złego użycia bogactw, że trapi ona ludzkość nie skutkiem niesprawiedliwego biegu rzeczy, ale raczej przez niesprawiedliwość ludzką lub mazgajstwo—a tak patrzą na sprawy demokracji—ten musi koniecznie żądać, by się przedewszystkiem sprawiedliwości stało zadość. „Jałmużna jest naddatkiem sprawiedliwości, a ta podstawą.“

Skoro sprawiedliwość ma rządzić światem, to słuszną, aby wszyscy pracowali. Ludzie bowiem pod wpływem naturalnego popędu tworzą społeczeństwo, nie po to, by żyć z cudzego potu,

ale po to, by się wspólnie wspomagać w samodzielnem zaspokajaniu swoich potrzeb. Pasorzyt gwałci cel społeczeństwa, jest szkodliwym wtrętem, który zdrowy organizm wyrzuca. Każdy ma pracować na swoje utrzymanie. Gdy zaś ma z czego żyć, winien pracować dla dobra innych w ten lub inny sposób. Ale może żyć tylko z oszczędności, t. j. z owoców swej pracy. Kto żyje z pracy innych, aktualnej lub odziedziczonej, kto bierze z ogólnego majątku i nic doń nie dorzuca, jako kompensatę materyalną lub duchową, ten jest pasorzyt i lichwiarz.

Powtórę sprawiedliwą jest rzeczą, by każdy swobodnie mógł żyć ze swej pracy. Społeczeństwem chrześcijańskim nie jest to, gdzie nieznaczna mniejszość utrzymuje i żywi z jałmużny odręcznej lub w instytucjach składającą się z wydziedziczonych i biednych większość! Będzie niem to, gdzie obok bogatych ogół ludzkości będzie żył ze swej pracy lub, co lepsza, z pracy i kapitału, t. j. z aktualnej zapłaty (lub dochodu) i zaoszczędzonej. Choćrem jest to społeczeństwo — a takim jest nasze — gdzie człowiek spokojny, zdrowy, odpowiednio uzdolniony, nie znajduje należytego utrzymania za swą pracę.

Prawo do życia przez pracę wynika stąd, że praca jest naturalnym środkiem do zaspokojenia materyalnych i duchowych potrzeb. Nie jest nim jałmużna. Nakładając na człowieka obowiązki życia, dał mu Bóg do rozporządzenia ziemię całą, dobra przyrodzone. Zaś jedynie praca może te dobra przerobić tak, by były zdolne zaspokoić potrzeby ludzkie. Nadto, jak już wspominałem, celem społeczeństwa jest wzajemna pomoc w wytworzeniu warunków, potrzebnych do życia i postępu. Przeto zasadniczem jego prawem musi być prawo użytecznej pracy, celem jego ustroju ekonomicznego i w miarę możliwości skutkiem — zachowanie tego prawa: mieć możliwość życia ze swej pracy. Tembardziej, że dobra ziemskie są do pewnego stopnia wspólną własnością. Natura nie przeznaczyła tego bogactwa temu lub innemu człowiekowi od początku, ale wszystko oddała na dostarczenie środków utrzymania wszystkich ludzi. Dlatego ten, co ma siłę i zdolności, by mógł pracować na siebie, ten, kto się chce wyżywić z opracowania surowców z pierwszej lub drugiej ręki, ten ma prawo żądać, by mu pozwolono żyć ze swej pracy, a nie z cudzej ofiarności. Jeśli się go skazuje na bezczynność lub szukanie jałmużny, to mu się czyni, mniejsza o to świadomie czy nie, dobrowolnie lub nie, krzywdę. Istnienie prywatnej własności, koniecznej dzisiaj dla kulturalnego rozwoju i doskonalenia się, nie zmienia istoty rzeczy. Cel i prze-

znaczenie zostaje zawsze to samo, zmienia się tylko sposób osiągnięcia go.

Podobnie, jak sprawiedliwości, demokraci szczególną uwagę poświęcili pojęciu pracy. Głównym błędem szkoły gospodarczej liberalnej było uznanie pracy za towar, który się sprzedaje, jak wszelki inny, wedle wymagań popytu i podaży; za jakiś, byt samoistny, oderwany od istoty ludzkiej. Jest tylko człowiek pracujący, pracy samej nie masz wcale. Stąd też praca jest czynem ludzkim, w którym cała osoba robotnika bierze udział: rozum i ręce, dusza i ciało. Ten zaś robotnik nie jest zwyczajnem narzędziem wytwarzania, uzupełnieniem maszyny. Przeciwnie, to człowiek rozumny i odpowiedzialny, mający potrzeby i obowiązki religijne, człowiek, którego godność ludzka równa godności innych ludzi.

Z tego wynika, że pierwszorzędnym celem pracy nie jest produkcja i powiększenie bogactw, lecz dostarczenie pracującemu środków do przyzwoitej egzystencji. Praca, to czynność, przez którą człowiek zdobywa sobie przedewszystkiem chleb codziennego życia. Sobie przedewszystkiem, ponieważ główny cel pracy nosi cechy egoistyczne — utrzymanie samego siebie; dopiero drugorzędny jest altruistyczny — dobrobyt społeczności.

Doszliśmy tak do miary zapłaty za pracę. Robotnikowi należy się słuszną płacą. Ale co jest słuszną płacą? co jest jej miarą? Nie kontrakt, bo robotnik faktycznie nie ma takiej wolności przy jego zawieraniu, jak pracodawca; bo zresztą umowa ma spisać to, co już skądinąd słuszne. Ani popyt i podaż, gdyż praca nie jest towarem. Miarą płacy jest cel pracy, polegający na tem, że praca stanowi jedyny i naturalny sposób należytego utrzymania się i zaspokojenia swoich potrzeb. Ponieważ Bóg wam zabrania samobójstwa — mówi demokrata — w imię Boga protestujcie przeciw głodowi. Ponieważ aktualna lub przeszła praca jest jedynym środkiem dla normalnego człowieka, by się mógł uwolnić od śmierci, to w imię Boga słuszną się wam praca należy. Kontrakt, ustanawiający niższą płacę, niż ta, której robotnikowi potrzeba na swe utrzymanie, jest nieważny i niesprawiedliwy, choćby nawet był zawarty ze zgodą ostatniego, o ile on skądinąd nie ma godziwych środków wyżywienia się. Wpływ popytu i podaży przekracza słuszny zakres, gdy zniża płacę poniżej minimum. Bo cel pracy ekonomicznej — utrzymanie.

Na zaspokojenie jakich potrzeb ma wystarczyć płaca i czy tylko do samego robotnika ma się odnosić? Płaca minimalna, t. j. taka, jaka wystarczy ledwie na zaspokojenie najkonieczniejszych

potrzeb życiowych, nie stworzy harmonii w stosunkach. Normalną płacą ma być wystarczająca, t. j. taka, dzięki której robotnik nie tylko będzie miał z czego żyć, ale będzie się mógł utrzymać na średniej stopie cywilizacji swego kraju, będzie miał możność założenia ogniska rodzinnego i zaoszczędzenia czegoś na czarną godzinę. O quantum spierać się można, zasada nie podlega dyskusji.

Słuszną pracę winna być rodzinna, to znaczy wystarczyć na utrzymanie rodziny. Praca-płaca bowiem ma zapewnić egzystencję pracującemu. Otóż pracujący, człowiek taki, jaki wszędzie żyje, to nie człowiek abstrakcji, czuły jedynie na egoizm, ani samotnik, odludek, lecz człowiek rodzinny, ten, którego otacza rodzina. Małżeństwo jest prawem czy faktem, celibat wyjątkiem. Więc zapłata ma wystarczyć na utrzymanie normalnego człowieka, ojca z rodziną. Zresztą, gdyby płaca miała odpowiadać jeno osobistym potrzebom robotnika, to kto z prawa przyrodzonego ma dostarczyć utrzymania tym, co pracować nie mogą, dzieciom, starcom, chorym, żonie, co domu opuścić nie może? Przecież nie dobroczynność, ani miłosierdzie prywatne czy publiczne. Wszak Pan Bóg dał człowiekowi fizyczne i umysłowe siły nie po to, aby prosił braci w imię litości o udzielenie sobie potrzebnych do życia środków, ale na to, aby pracą zarabiał na siebie. Ręka człowieka uczyniona nie na to, by ją kornie wyciągano po jałmużnę, lecz na to, by władała narzędziem.

Co więcej, płaca rodzinna należy się nawet nie żonatym, bo ci, gdy chcą wstąpić w związki małżeńskie, potrzebują pewnych zasobów na zagospodarowanie się; gdy chcą pozostać w stanie beżżennym, potrzebują większych oszczędności, gdyż na starość nie będą mogli liczyć na swą rodzinę. Wszystkie zarzuty, skierowane przeciw tym zasadom, dotyczą jedynie trudności wykonania, nie naruszają w niczem istoty rzeczy.

W dzisiejszych stosunkach między kapitałem a pracą nie zawsze ma zastosowanie słuszną płacą. Wina nie zawsze obciąża pracodawców, którzy nieraz, mimo dobrej woli, nie mogą podnieść płacy. Najczęściej winna temu zła organizacja społeczna. Zresztą nie o to chodzi, gdzie winowajca, winni czy nie, ale o to, że znaczna część społeczeństwa cierpi niezasłużoną nędzę, przeto się jej pomoc należy.

Po sprawiedliwości i pracy, idzie kolej na krytykę własności. Własność prywatna jest rzeczą konieczną. Ona odpowiada skłonności człowieka, który się przywiązuje do tego, co zrobił i wkłada w produkt coś z siebie samego. Pobudza chęć do pracy, nie-

jako zniewala do pracy wydatniejszej, gdyż ma ułatwić utrzymanie się i przyszłość pracującemu i bliskim dlań osobom. Własność jest koniecznością społeczną. Dzięki niej człowiek się może oderwać od pracy na chleb i oddać się pracy kulturalnej, wymagającej, nieraz dużych nakładów. Ona zapewnia spokojną przyszłość, zdejmując z człowieka to ciężkie jarzmo niepewności jutra, jarzmo, które może najdotkliwiej ze wszystkich dokucza robotnikowi. Własność pozwala spokojnie patrzeć w przyszłość. Ona jest warunkiem niezależności. Niezależność polega na tem, że jeden od drugiego niezależy w tem, co mu potrzebne do utrzymania, że, by żyć, nie potrzebuje cudzej, bezpośredniej pomocy. To daje własność. Wreszcie jest ona koniecznością demokratyczną. Niezależność ekonomiczna jest podstawą niezależności obywatelskiej i politycznej, jest podstawą wolności. Ci, czyja egzystencja zależy od woli innych, są w rzeczywistości ludźmi niższego stanu. Z tego, że własność jest podstawą i miarą niezależności, wynika, że każdy obywatel demokratycznego państwa powinien coś posiadać na własność. Nie to niszczy równość, że istnieją mniejsze lub większe bogactwa, ale to, że znaczna część ludzkości żadnej własności nie posiada.

Broniąc zachowania prywatnej własności, demokraci energicznie przypominają jej komunistyczną cechę, wynikającą z tego, że Bóg oddał świat na utrzymanie wszystkich ludzi. Człowiek posiada rzeczy na własność, ponieważ taki stan posiadania warunkuje osobisty i społeczny jego rozwój. Bierze z nich to, co mu potrzebne lub pożyteczne, ale swej własności niema prawa używać byle jak, w sposób bezużyteczny lub szkodliwy dla siebie lub dla innych. Skoro kto ma więcej, niż mu potrzeba dla siebie i dla swoich, powinien tę nadwyżkę obrócić na kulturalny pożytek innych lub ich utrzymanie, już utrzymując instytucje, już to dając jałmużnę lub, co lepsza, sposobność do pracy i za nią płacąc.

Jako przykład przytaczają to, o czem mówi od dawna teologia moralna katolicka, że biedny, będący w ostatecznej nędzy, tak, że jego życiu poważne grozi niebezpieczeństwo, bo śmierć, a nie mający znikąd żadnej pomocy, ma prawo byle komu wziąć to i tyle, co i ile potrzeba mu do ratowania życia. Albo znowu uznają za winnego tego, ktoby dla przyjemności np. polowania trzymał odłogiem wielkie przestrzenie, ktoby władał ziemią, którejby nie uprawiał, wtedy, gdy inni, co jej potrzebują do życia, proszą go, by im pozwolił na niej pracować. Na takich marnotrawców ogólnego dobra należałoby osobny podatek nałożyć. Niektórzy domagają się akcji prawnej przeciw dorobkiewiczom pe-

wnego rodzaju i konfiskaty ich bogactw. Niepodobna przypuścić, by jeden człowiek, nawet przy pomocy swej rodziny, mógł nagromadzić w ciągu części swego życia godziwym sposobem miliony lub miliardy, gdy się zważy, że praca i zasługa dla społeczeństwa mają być, jeśli nie jedynem, to przynajmniej głównem źródłem bogactwa. Wielkie fortuny, powstałe w krótkim czasie a liczące się na miliony, urosły na lichwie i obowiązują do restytucyi.

Natomiast troskliwą opieką należy otaczać drobną własność, gdyż ona warunkuje spokój rodziny i kraju, oraz daje zadowolenie z życia; ona jest oznaką równomierniejszego podziału dóbr i przyczyną wydatniejszego wytwarzania. Wielkie bogactwo wystawia na pokusę pychy i zmysłów, nędza skazuje na nadmierną pracę, często jest powodem włóczęgostwa i niecnoty. Mało ludzi ma dość mocy charakteru, by znosić nędzę. Pewien dobrobyt jest zwyczajnie konieczny dla cnotliwego życia.

Nie bogactwo jest złem lub praca na powiększenie swego dobrobytu, lecz brak miary w zbytku albo w nędzy.

Środkiem, który ma zapobiedz biedzie a wprowadzić sprawiedliwość do stosunków w świecie kapitału i pracy, jest ustrój korporacyjny. Kwestya społeczna powstaje wtedy, gdy ci, co cierpią niezasłużoną nędzę, stanowią wielki odłam społeczeństwa, klasy całe, i gdy cierpią nie wskutek zaniedbania obowiązków miłości albo naruszenia zasad sprawiedliwości przez jednostki, lecz skutkiem tego, że wadliwa organizacya społeczna pozwala na niezachowywanie sprawiedliwości lub wprost do tego zmusza. Dlatego też złemu ma zaradzić nie miłosierdzie i cierpliwość, ale sprawiedliwość, reorganizacya stosunków, prawodawstwo, korporacya i t. d. Specyalny wygląd kwestyi społecznej zmienia się wedle czasu i miejsca. W naszych czasach to sprawa normalnych stosunków między kapitalistą i robotnikiem. Trzy głównie przyczyny zrodziły niedomagania w świecie wytwarzania: 1) liberalizm ekonomiczny, głoszący zupełną wolność pracy, wytwarzania i zbytku, zabraniający wszelkich zrzeszeń o ekonomicznych celach oraz interwencji państwowej; wolna konkurencyja musiała rozbitych bez kapitału i narzędzi robotników oddać w niewolę nielicznych, lecz solidarnych kapitalistów, właścicieli narzędzi i surowca; z drugiej strony, niepomahowane współzawodnictwo musiało ściągnąć do fabryki pracę kobiet i dzieci, niszcząc tem rodzinne i moralne życie robotnicze, a nadto, grożąc ciągle widmem krachu, zaprzepaścić spokój o jutro; — 2) złe użycie maszyn, których niewolnikiem stał się robotnik, nie mogący nawet w niedzielę odpocząć, bo maszyna nie odpoczywa; — 3) liberalizm filozoficzny, tworzący

jakieś pojęcia człowieka ekonomicznego i absolutnej własności, oraz nie biorący wcale w rachubę czynników wyższych. Skutkiem tego wszystkiego była nędza robotników i opanowanie wytwórczości i rynków przez niesłuszny i niesprawiedliwy kapitalizm.

Gdy chodzi o naprawę tych stosunków, pierwsza rzecz do zrobienia—to szerzenie odpowiednich pojęć o pracy, własności i t. d., druga—to zaprowadzenie ustroju korporacyjnego.

Korporacja różni się od innych zrzeszeń tem, że swe powstanie zawdzięcza naturalnemu biegowi rzeczy. To, że człowiek jest panem swoich czynów, tego, co robi, ale że nie jest nim względem skutków swego działania; to, że swem działaniem z konieczności wpływa na bliźnich, oddziałuje na otoczenie i, może nawet nieświadomie, zmienia je; to wreszcie, że sam nie może podołać wszystkim potrzebom swego życia i postępu, ale w ich zaspokajaniu zależy od innych ludzi, która to zależność wzrasta w miarę postępu, w miarę stosowania podziału pracy—to wszystko stwarza pewną łączność między ludźmi. Owa łączność zamienia się na ścisłą zależność i związanie się między tymi, co podobną wykonywują pracę. Powstają bowiem między nimi specjalne stosunki, podobne potrzeby, konkurencja, słowem mniej lub więcej znaczna liczba nowych stosunków, potrzebujących uregulowania; inaczej, ze względu na wolną wolę człowieka i różne indywidualne skłonności, zapanowałoby powszechnie prawo silniejszego. A jak łączność i zależność powstają w sposób naturalny, tak samo i organizacja, która ma powstałe stosunki regulować, jest wytworem naturalnym. Ci, co się poświęcają jednej i tej samej lub podobnej pracy, na pewnym terytorjum tworzą zawód, profesję, która oczywiście nie może obejmować nie pracujących renciarzy. Organizacja, która normuje wzajemne stosunki prawne członków profesji na wewnątrz i na zewnątrz, jest organizacją korporacyjną.

Taka organizacja zniszczy panowanie klasy kapitalistów a odda pierwszeństwo zasłudze i cnocie przed pieniądzem. Robotnicy połączeni zyskają większą siłę, staną się czynnikiem wytworzenia, z którym się trzeba będzie liczyć.

Korporacja osiągnie ideał wtedy, gdy zapewni każdemu członkowi dobrobyt i wpływ na urządzenie wspólnych spraw, wpływ odpowiedni do kompetencji zasług każdego, i gdy będzie mogła skutecznie spraw swoich bronić na zewnątrz przy pomocy ingerencji władz publicznych.

Jednostką byłoby stowarzyszenie robotnicze, pracodawców lub mieszane, złożone z robotników i pracodawców, należących do jednego lub podobnych fachów. Te stowarzyszenia, zupełnie

dobrowolne, wybierają określoną, stosownie do swego znaczenia, liczbę delegatów. Ci wraz z przedstawicielami zawodowców, nie należących do żadnego stowarzyszenia, stanowiliby zarząd w danej miejscowości. Dany zawód wraz z innymi mógłby stworzyć osobną komisję do spraw wspólnych (np. oświetlenie). Nad zarządami stałyby Rady, którychby się kompetencja rozszerzała na dalsze terytorium; wreszcie—Izba, składająca się z przedstawicieli wszystkich zawodów, Izba pracy, zawodowa. Koroną tej organizacji byłaby Izba zawodowa międzynarodowa.

Prawa i obowiązki członków określa następująca formuła: „L'initiative à chacun, la délibération aux associés, la sanction à tous.” Prawo inicjatywy należałoby do wszystkich. Prawo rozstrząsania sprawy czy projektu przysługiwałoby stowarzyszonym, sankcja zaś byłaby w rękach wszystkich członków korporacji.

Referendum stanowi jeden z głównych przywilejów korporacji demokratycznej. Dlaczego? Podstawową zasadą organizacji zawodowej, zasadą całkiem zgodną ze sprawiedliwością, a bez którejby nie było ani profesji, ani trwałego pokoju, ani rzeczywistej wolności, jest to, że każdy będzie miał prawo poznania warunków pracy i brania skutecznego udziału w ich stanowieniu. Tego nie można osiągnąć przy dzisiejszym systemie powszechnego głosowania. Zaś przez referendum, przez odwoływanie się do zdania wszystkich zawodowców, będzie można poznać ich wolę i do niej się stosować.

Ponieważ korporacja ma się zajmować wszystkimi sprawami, ponieważ robotnikom przypadnie udział w ustanawianiu zawodowych ustaw, to oczywiście zakres władzy patronalnej musi się zmniejszyć. Wprawdzie pracodawca jest panem u siebie, ale panem tego, co do niego należy. Otóż w fabryce, obok bieżącego i martwego kapitału, oprócz surowca i narzędzi, co są jego własnością, jest jeszcze zdrowie, wolność, moralność, życie robotnika. Przeto absolutna władza winna ustąpić konstytucyjnej, podobnie jak zmienić trzeba pojęcie własności absolutnej i pracy-towaru.

Do zakresu władzy korporacji należy to, co dotyczy ekonomicznego życia. I tak: ustanawiać regulaminy, konstatować zwyczaje zawodowe i wciągać je do kodeksu pracy, określać czas wypoczynku, długość dnia roboczego, czuwać nad higieną, nad opieką moralną i materialną kobiet i dzieci, prześladować nieuczciwą konkurencję.

Wszelako zanim się staną obowiązującymi te postanowienia, wszystkie albo główniejsze, winny być homologowane przez sąd, inaczejby producenci mogli wyzyskiwać konsumentów.

Gdy kryzys nawiedza przedsiębiorstwo, cierpi na tem pracodawca, ale więcej tracą robotnicy. Słuszną przeto, by wtedy, gdy fabryka robi świetny interes, gdy się jej procenty zwiększają, czasami nawet bez żadnej zasługi fabrykanta, np. z powodu jakiegoś wynalazku, by wtedy robotnicy brali udział w zyskach. Konkretnym objawem tego udziału byłyby nie dodatki do pensyi, lecz utworzenie wspólnej własności korporacyjnej, jako podstawy dla fundowania szkół, zwłaszcza zawodowych, zakładania kas wzajemnej pomocy, ubezpieczenia, związków kooperacyjnych i t. d.

Fortuna ta będzie własnością związku, robotnicy będą jej właścicielami i przez pośrednictwo delegatów administratorami.

W miarę wzrostu wspólna własność korporacyjna da możliwość utworzenia kooperacji produkcji. Związki kooperacyjno-produkcyjne składałyby się z przedsiębiorców i robotników, a miałyby wspólny surowiec i narzędzia. Inni patrzą trochę inaczej w przyszłość. Jako formę przejściową uważają udział robotnika w zyskach i stopniową kopartycypację robotników w kapitale przedsiębiorstwa. Jako formę ostateczną—kooperację produkcji, instytucję złożoną najpierw z doborowych robotników, później z tych, co przez oszczędność i kredyt stali się właścicielami narzędzi, oraz z tych, co, dzięki technicznej kompetencji i zawodowemu wykształceniu, stali się zdolnymi do założenia przedsiębiorstwa i kierowania niem.

Będzie to połączenie w jednych i tych samych rękach kapitału i pracy, urzeczywistnienie chrześcijańskiej sprawiedliwości w organizacji pracy i podziale bogactwa.

Wspomnimy jeszcze o regulowaniu ilości produkcji i konkurencji. Dzisiejszy system popytu i podaży jest złym regulatorem wytwórczej pracy, nie raz jeden sprowadza podrożenie i zastój, nawet krach. Należałoby produkować to i w takiej mierze, co i w jakiej potrzebne, produkować mniej przedmiotów przepychu i zbytku, a obficie, co konieczne i pożyteczne. Zdaje się, że korporacja mogłaby uregulować ilość wytwórczości, bo, obejmując pod względem poszczególnej produkcji cały kraj, będąc jednocześnie międzynarodową, mogłaby poznać potrzeby i upodobania ludności.

System podaży i popytu idzie w parze z wolną konkurencją, która jest jedną z najgłówniejszych przyczyn złego. Korporacja winna określić granice wolnego współzawodniczenia, a właściwiej wypowiedzieć walkę nieuczciwej konkurencji. Toć głównym celem postanowień korporacji jest to, by urwać głowę konkurencji, która ma za przedmiot egzystencję ludzką, pracę robotnika; która ma za zadanie zbogacić jednych ze szkodą innych, przesunąć

bogactwo z jednych rąk do drugich, tak, że nowy „nabywca“ niczem nie powiększył narodowego bogactwa, lecz tylko zabrał to, co inny posiadał; która wreszcie jako środków używa podstęp i siły, oszustwa i przemocy. Natomiast zdrowej konkurencji należy się opieka, bo ona jest sprężyną zawodowego życia.

Dopóki zaś korporacji niema, demokraci żądają, by państwo się gorliwie zajęło losem robotników i biednych. Programów ułożono kilka, między innymi zajęła się tem i redakcja „*Démocratie chrétienne*.“ Z jej programu wyliczam kilka szczegółów: co do podatku—zniesienie opłat przy dziedziczeniu niewielkich własności w prostej linii i zaprowadzenie postępowego podatku, które-muby podlegały wszelkiego rodzaju dochody i wielkie kapitały nieprodukcyjne; co do własności—zaprowadzenie homstead'u; co do drobnej własności i wolności testamentowej, utworzenie wspólnej własności ziemskiej przy gminach i związkach, podzielenie jej na działki, nieulegające zajęciu, oraz wypożyczenie ubogim, wreszcie budowa tanich mieszkań dla robotników, również nie ulegających zajęciu, czem się winny zająć gminy i związki; co do stowarzyszeń—uznanie osobowości cywilnej wszystkich związków, nadanie im prawa posiadania i federacji; co do prawodawstwa—określenie minimum zapłaty i zapewnienie wykonalności, zaprowadzenie święcenia niedzieli, oznaczenie maximum godzin pracy, zabronienie pracy nocnej, wyjąwszy fabryki, gdzie piece ciągle iść muszą, zabronienie pracy matek w fabrykach i ograniczenie pracy dziewcząt, zaprowadzenie obowiązkowego ubezpieczenia, wreszcie dążenie do internacjonalizacji prawodawstwa; co do kooperacji—popieranie instytucyj współdzielczych spożywczych i wytwórczych, oraz udziału w zyskach; co do handlu—ograniczenie bezgranicznej wolności handlu, reforma towarzystw akcyjnych i burs, zakaz ażytażu.

To przedstawienie porządku ekonomiczno-przemysłowego możemy zamknąć słowami ks. Callippea: „Solidarność w pracy, życie przez pracę, bogactwo stosownie do nakładu pracy—to są, wedle prawa przyrodzonego i chrześcijańskiego, zasadnicze prawa wszelkiego ekonomicznego porządku.“¹⁾

Z powyższego już widać, że celem wysiłków demokratycznych jest rozwój jednostki, jej materyalne i moralne dobro. Co narusza prawa człowieka, np. zasada bezwzględnego współzawodnictwa, regulowanie zapłaty wedle popytu i podaży—to jest złem.

¹⁾ „*Démocratie chrétienne*,“ III, 1897, 742.

Gayrand streszcza ideał demokratyczny w dwóch słowach: sprawiedliwość i braterstwo. Chodzi o to, mówi, by każdemu zapewnić swobodę wykonywania swoich praw i spełniania obowiązków, oraz by każdy, przy materialnej niezależności, był wolny od wszelkiego ucisku i uciemżenia. Dlatego też demokracja, celem wprowadzenia sprawiedliwości i braterstwa do stosunków ludzkich, musi wziąć za podstawę instytucyj politycznych i cywilnych—równość obywateli wobec prawa, za podstawę organizacyj społecznych—poszanowanie praw, które mają jednostki i rodzina, wreszcie za zasadnicze prawo porządku gospodarczego—organizację korporacyjną. Ta idea doskonalenia się osobistego przebiega we wszystkich określeniach demokracji: jej celem bowiem jest: *promouvoir le développement de chacun en s'appuyant sur tous.* (Naudet).

II.

Demokracja chrześcijańska poświęca swą uwagę głównie ustrojowi przemysłowemu. Jednakowoż zagadnienia polityczne nie są jej obce.

Demokraci nie uznają istnienia klas, z których jedna miała niejako przyrodzone prawo, oparte na posiadaniu bogactwa lub klejnotu, do kierowania inną, jako politycznie niedojrzałą a zależną pod względem ekonomicznym od tamtej. Kiedyś może to było i potrzebne, dzisiaj cały naród strzeże granic swej ojczyzny, jako też cały wydaje prawa. Istotnym składnikiem demokracji jest cywilna i polityczna równość obywateli, t. j. wszystkich mieszkańców kraju. Nie w tem znaczeniu, żeby ona miała być jakimś prawem należnym z konieczności naturze ludzkiej, prawem apriorycznem. Nie, ona mu przysługuje z prawa historycznego, jako wynik wielowiekowego moralnego rozwoju dogmatu braterstwa ludów. Kto chce ujrzyć narodziny równości niech sobie przypomni tę chwilę, gdy Jezus Chrystus ogłaszał ojcówstwo Boże i braterstwo ludzi, że niemasz ani poganina, ani Żyda, ani barbarzyńcy; tę chwilę, gdy wszystkim dał równy dostęp do wiary i sakramentów, do hierarchii i godności kościelnych. Wtedy to ludzie zrozumieli, że są równi wobec Boga, swego Ojca i wobec kościoła Jezusowego. Ta duchowa równość sprawiła, że mimo nierówności przyrodzonych i społecznych, wywiązały się między ludźmi stosunki i powinowactwo duchowe, które musiały doprowadzić do zrozumienia

i praktykowania cywilnej i politycznej równości między braćmi boskiego pochodzenia i nadprzyrodzonego przeznaczenia. W ciągu wieków różne były koleje tej idei. Ci, co ogłosili prawo władztwa ludu, przyspieszyli jej wprowadzenie do wzajemnych stosunków, ale wykoszlawili jej bieg naturalny i sfałszowali ją, stawiając na miejsce pojęcia dobra ogólnego prostą i brutalną ideę klasowego władztwa.

Lecz sama idea wolnościowa jest postępową, jednym ze skarbów cywilizacji chrześcijańskiej. Równość polega na tem, by każdy miał świadomość swego człowieczeństwa, to znaczy, by miał świadomość swej działalności, swej wolności, jako człowieka i chrześcijanina, w którym Duch św. mieszka; na tem, by każdy miał świadomość narodowego życia i narodowych potrzeb, by w tem życiu brał czynny udział i wpływał na jego kierunek; na tem wreszcie, by każdy miał świadomość, że jego pracą, jakąkolwiek była, jest społeczną i narodową służbą. To możliwie najdoskonalej rozwinięte duchowe życie umysłu i serca pociąga za sobą, jako objaw i potwierdzenie, równość zewnętrzną. Ta opiera się na wewnętrznej; bez tej niema tamtej. Równość powinna objąć wszystkie dziedziny ludzkiego życia. Na polu ekonomicznem osiągnie się ją nie podzieleniem narodowego bogactwa na równe działki, ale utworzeniem wspólnej własności korporacyjnej, rozszerzeniem posiadania drobnej własności, ułatwianiem nabycia kawałka ziemi, zaprowadzeniem postępowego podatku, tworzeniem spółek współdzielczych. W dziedzinie cywilnej i politycznej każdy obywatel winien mieć prawo brania udziału, osobiście lub przez posłów, w wygotowywaniu praw i rządzeniu państwem, jak również prawo zajmowania wszelkich urzędów, stosownie do swej działalności, a nie wedle różnicy klasy, bogactwa lub wiary.

Wszelako równość nie jest prymitywnem niwelowaniem wszystkiego. Nie hierarchia klas, lecz ich różnorodność jest pożyteczna. Ilościowa i jakościowa różnica w zdolnościach i siłach fizycznych, oraz różnorodność potrzeb, są przyczyną różnorodnej konsumpcji i produkcji. Nie wszyscy są zdolni do wszystkich prac i do każdej. Stąd podział ludzi na zawody, a w dalszym ciągu rozróżnianie społecznego stanowiska i różniczkowanie się majątności wedle znaczenia, jakie ogół przypisuje danej pracy oraz jej wydatności. Potrzebie, istnieje nierówność, gdy jedna funkcja jest wyższa od drugiej w chwili, gdy się obie schodzą, np. zależność robotnika od pracodawcy, dopóki trwa kontrakt i w miarę jego rozciągłości, lub zależność tegoż pracodawcy, jako członka gminy, od tego samego robotnika, o ile ma urząd w gminie. Więc demo-

kracya przyjmuje hierarchię czynów i urzędów. Ale z jednej strony twierdzi, że bez okazanych dowodów nie można przesądzać o niczyjej zdadności do tych lub innych urzędów jedynie na mocy klasowego np. położenia danej osoby. Deklaracyę praw człowieka tak trzeba rozumieć: Na przyszłość urodzenie nie wystarczy, by wyrokować o czyichś zdolnościach; przeciwnie, wszystkich obywateli należy uważać za równych dopóty, dopóki czynami nie dowiodą swej nierówności; wszyscy mają prawo do wszystkich stanowisk, zajmą je ci, co dowiodą, że są do nich zdolni; z drugiej strony, że posłuszeństwo należy się urzędowi, nie osobie. Racyą posłuszeństwa i subordynacyi jest społeczna użyteczność. Wreszcie istnieje nierówność cnót i wad, które mają także silne odbicie w porządku politycznym i ekonomicznym.

Ze względu na to, że nie wszyscy mają odpowiednie zdolności lub czas, by mogli kierować sobą lub innymi, w każdym społeczeństwie na jego czoło wysuwa się grupa ludzi, odznaczających się wielką umysłowością lub cnotą. Powinni ją składać ci wszyscy, co mają wielkie przymioty umysłu i serca lub bogactwo, ale rzeczywiście należeć do niej będą ci, co z tych darów korzystają dla dobra współbraci. „Prawo przewodniczenia ściśle odpowiada wartości oddanych społeczeństwu usług.“

Wolność nie polega na możności czynienia wszystkiego, co się chce, lecz na ciągłym posiadaniu możności czynienia tego, co się należy. To znaczy, że wolność, podobnie jak i prawo, opiera się na obowiązku. Nie jest ona celem ludzkich wysiłków ku dobru i prawdzie, ale środkiem. By wolność była rzeczywistą, trzeba jej przeciwstawić, jako równoważnik, autorytet i dać, jako oparcie, gospodarczą niezależność. Niema wolności prawdziwej tam, gdzie prawo do życia przez pracę nie jest zachowywane, gdzie jedna klasa ekonomicznie zależy od innej.

T. zw. wolności, polegające na możności czynienia złe, na tem, że wszystko można mówić, pisać i robić, co się nie sprzeciwia kodeksowi, są dążeniem antyspołecznem, gdyż każde społeczeństwo musi posiadać pewien społeczny dogmat oparty na dekalogu i ewangelii. Gdzie atoli jedność przekonań, zwłaszcza religijnych, zerwana, władze winny błąd tolerować do pewnych granic. Bezwzględne uszanowanie należy się religii, publicznej moralności, własności i autorytetowi. Są jednak inne wolności, nie będące równoważnikiem czynienia złe. Są one następstwem demokratycznej zasady, że obywatel jest w mniejszym lub większym zakresie miarodajnym czynnikiem w zarządzie kraju. Wolności to następujące: religijna, obywatelska (osobista, mieszkania, własności

i zgody na podatek), polityczna (udział w stanowieniu praw i czuwanie nad publicznym majątkiem), wolność nauczania i trybuny, administracyjna i zrzeszania się. Ale, jak gdy chodzi o wolność czynienia zła, należy bronić do upadłego moralno-religijnego dogmatu, tak i tutaj należy uszanować dogmat narodowy i tradycję, inaczej anarchia zatamuje bieg narodowego i państwowego życia. Przedewszystkiem wychowanie ma wyrobić w obywatelach to poszanowanie dla tradycji i poczucie miary i słuszności w żądaniach, oraz w krytyce.

Władztwo nie jest z konieczności przywiązane do pewnej formy rządu. Demokraci kategorycznie wypowiadają się za demokracją, „rządzeniem wszystkich dla wszystkich.“ Cztery prawa winny przysługiwać obywatelowi, bez nich niemasz demokracji: powszechne głosowanie, proporcjonalna równość co do ciężarów i korzyści publicznych, obowiązkowe nauczanie, oraz republikańska forma rządu, t. j. wybieralność władz. Demokracja jest nieuniknionem następstwem rozwoju i jednocześnie stadyum ku formie doskonalszej.

Wola narodu ma być miarodajną, ale ona sama nie jest źródłem dobrego, ani złego. To przywilej sumienia. Jak poznać wolę narodu? Dzisiejsze powszechne głosowanie jest źle zorganizowane. Naród to nie aglomerat indywiduów, gromada osadników, ale coś w rodzaju żyjącego organizmu, gdzie jednostki żyją i własnem życiem i społecznem, głównie w stowarzyszeniach. Urządzenie powszechnego głosowania ma mieć za podstawę życie zawodowe. Wtedy parlament nie będzie zbiorem agitatorów i polityków ze wszystkich stron świata, lecz zgromadzeniem tego, co kraj w każdym zawodzie narodowej pracy ma najlepszego. Będzie on zdolny do podjęcia reform socyalnych, bo będzie się składał z tych, którzy z pracą mają ciągłą styczność. W tych warunkach życie polityczne narodu nie będzie chwilą panowania między dwoma bezkrólewiami, abdykacją woli narodowej na przeciąg czterech lat i dniem jej panowania.

Ale nawet taki parlament, to jakby ekran między wolą narodową a tem, co ją obchodzi. I dlatego naród musi, by demokracja nie była ułudą, dotknąć się tych spraw bezpośrednio, ponad ekranem, drogą referendum. Szlachetna to i wspaniała rzecz zetknąć się od czasu do czasu wprost z wartościami swego bytu i mieć świadomość swej bezpośredniej odpowiedzialności na stanowieniu praw, którym się ma podlegać.

Francja od dawna nie miała pokoju religijnego. Tak ważna sprawa wzajemnego stosunku między Kościołem i państwem mu-

siała zwrócić na siebie uwagę demokratów. Katolikom, dla obrony swych zasad, nie wypada opierać się ani na konkordacie, bo o niego właśnie chodzi, ani na tytule Boskiego pochodzenia Kościoła, jak to bywało dawniej, ponieważ większość tych, właściwie ci wszyscy, z którymi się ma układać stosunki państwowo-religijne, tego tytułu nie uznają. Państwo nowożytne ogłosiło, jako zasadę, swą niekompetencję w sprawach religijnych, stąd żadnego wyznania nie popiera, ani chce pozwolić, by jakiekolwiek z nich miało komubądź narzucać swe praktyki, czy to w publicznem, czy w prywatnem życiu. Otóż na tej zasadzie ogólnego prawa należy się oprzeć katolikom, by pozostać przy potrzebnych sobie do życia i rozwoju warunkach lub je wywalczyć. To nie będzie zaparciem się swoich przekonań, ani wycofaniem się, jeno przystosowaniem do historycznego terenu. Państwo winno wypłacać pensję duchowieństwu wszystkich wyznań, jako przedstawicielom instytucji publicznej użyteczności i jednocześnie uszanować wewnętrzną każdego wyznania autonomię w imię swej niekompetencji. Jeśli między takim państwem a Kościołem będzie zawarty konkordat, należy go zachowywać; jeśli go nie będzie, należy na mocy ogólnych praw walczyć o to, by państwo nie naruszało katolickiego sumienia.

Demokraci często powracają do tego tematu, że nie tylko istnieje ekonomia chrześcijańska, co do której się głównie powołują na szkołę de Muna, ale się z lubością rozwodzą nad łącznością katolicyzmu i demokratyzmu. Zarówno demokracja, jak i Kościół mają jeden cel, t. j. uobywatelić i uświęcić człowieka, co znaczy podnieść go na możliwie wysoki stopień samowiedzy i udoskonalenia. Różnica polega na tem, że Kościół troszczy się o duszę, ją podnosi do uczestnictwa w Bóstwie przez sakramenty, jej w moralności i religii daje pomoc, by nie zboczyła od boskiego życia; demokracja zaś troszczy się—o narodowo-polityczne życie.

Swoje hasło do poszanowania godności ludzkiej i wolności demokracja wzięła z Ewangelii. Bóg w stosunku do człowieka nigdy nacisku nie wywiera. Św. Augustyn był wyrazicielem myśli, która przenika Kościół, gdy wyrzekł: Bóg cię stworzył bez ciebie, ale bez ciebie cię nie zbawi. Ojcowie Kościoła, pisarze, koncylia miasto przyjąć prawo pogańskie rzymskie co do prawnego i społecznego porządku, opracowali nowe, przeniknięte nie tylko duchem sprawiedliwości wobec upośledzonych i opuszczonych, ale poszanowaniem dla osoby i wolności człowieka. Nowe poglądy zmieniały w swym duchu społeczno-polityczne stosunki. Niestety, królewski absolutyzm, będący objawem odnowienia się po-

gańskiego ducha, oraz rewolucye, przerwały lub wykoleiły naturalny bieg chrześcijańskiego postępu.

Demokracja wymaga bardzo światłej opinii, silnej tradycji i panowania nad sobą. Trzeba, by obywatel umiał odróżnić swój interes od sprawy ogólnej i miał w sobie dość ofiarności, by wedle sumienia służyć ojczyźnie. A czyż zaparcie się nie jest istotną cechą chrześcijańskiej religijności?

Co więcej, żadna demokracja nie może się rozwijać, jeśli w ten lub w inny sposób nie przeniknie się katolickim duchem, co do pogodzenia wolności z autorytetem. Chrystus Pan podniósł do niebywałej wysokości godność ludzką. Wedle Jego nauki Królestwo Boże mieszka w sercach ludzkich, zależne jedynie od łaski i woli człowieka; człowiek, to przybrany syn boży, odkupiony Krwią Barankową, współuczestnik boskiego życia. Władza postawiona nad człowiekiem, gdyż żyje w społeczności. Z drugiej jednak strony ta władza nie tłumi osobistej inicjatywy. Św. Piotr dzierży ster mistycznej barki, a ster kieruje łodzią, ruchu nie stwarza. Kierownictwo posiada władza, ale siła rozsiana we wszystkich członkach. Rzadko gdzie spotkać taką inicjatywę i porywanie się na wielkie dzieła, jak w Kościele. Nawet określenia dogmatyczne są stwierdzeniem i definicyą istniejącego już wierzenia. Katolik może się podjąć wszelkiej pracy, pewny poparcia hierarchii. Jej potępienia są wyrazem tego, że ta praca lub ta teoria nie wyszła z ogólnego ducha Kościoła, ale jest z nim w niezgodzie lub sprzeczności. W ten sposób autorytet kościelny nie jest czemś obcym dla dusz katolickich, wiara hierarchii nie jest czemś zewnętrznym wobec wiary wiernych, ani jej myśl wobec myśli wiernych. Otóż z chwilą, gdy obywatele przejmą się tym katolickim duchem godzenia wolności i autorytetu, wtedy demokracja będzie się rozwijała bez przechylania się na stronę anarchii lub despotyzmu. Nikt sam żyć nie może, społeczeństwa zaś nie można kierować całkiem zewnętrznymi prawami. Siły życiowe demokracji są w obywatelach; rząd ma je poznać, przyswoić sobie. Naród ma ułedz powadze rządu, który z jego ducha pochodzi.

Demokracja jest szkołą, ale jest także stronnictwem: 1) społecznym, mającym na celu poprawę społeczno-ekonomicznych stosunków; jednak popiera te grupy polityczne, których żądania są podobne do jej postulatów. Demokracja jest przede wszystkim stronnictwem społecznym—mówi kongres w Reims—ale jeśli które

koło chce się zająć polityką, musi się ogłosić, jako republikańskie; 2) chrześcijańskim ze względu na swe zasady i środki, a nie wyznaniowem. Jego celem nie jest obrona Kościoła, ani wywalczenie praw dla katolików, lecz walka o dobro robotników i wogóle poniżonych oraz niesprawiedliwie cierpiących, tudzież oświecanie tych ludzi. Inna rzecz, że z tej pracy przyjdzie pożytek dla samego Kościoła. To skutek pośredni, a nie cel.

Ks. DR. ANTONI SZYMAŃSKI.

Ruch umysłowy w Niemczech.

Zapowiedziane, poprzedzone licznymi publikacjami i długotrwałymi sporami wydanie pamiętników profesora Franciszka Overbecka, jednego z najbliższych przyjaciół Nietzschego i najbardziej bezstronniejszego z jego krytyków, o którym dotychczas względnie mało mieliśmy sposobności słyszeć, stało się nareszcie faktem dokonanym. Dzieło to, będące jednym z najważniejszych źródeł do poznania i zrozumienia należytego postaci Nietzschego, jest zarazem ważnem sprostowaniem biografii Nietzschego, napisanej przez jego siostrę Elżbietę Foerster-Nietzsche, która, jak obecnie widzimy, zbyt dowolnie zretuszowała portret brata. Narazie, niestety, wydanie tomu drugiego tego cennego dzieła, którego opracowaniem zajął się znany powieściopisarz szwajcarski, Karol Albrecht Bernoulli), zostało na żądanie Piotra Gasta, jedynego ucznia Nietzschego, przez wyrok sądu cywilnego w Weimarze zawieszono. Wydawca zaś będzie prawdopodobnie zmuszony usunąć z tego już gotowego tomu cały szereg listów Piotra Gasta, pisanych do profesora Overbecka, a będących jakoby treści zbyt kompromitującej, aby mogły za życia Gasta być opublikowanymi. Ponieważ Piotr Gast, jak wiadomo, kieruje wraz z Elżbietą Foerster-Nietzsche sprawami archiwum Nietzschego w Weimarze i solidaryzuje się z nią we wszystkich sprawach, dotyczących puścizny jej brata, więc trudno przypuścić, aby jedynym motywem protestu Gasta były owe listy. Chodzi tutaj widocznie o ostatnią rozpaczliwą próbę uratowania czci autorskiej Elżbiety Foerster-Nietz-

*) Dzieło pod tytułem „Franz Overbeck und Friedrich Nietzsche. Eine Freundschaft.“ Wyszło w nakładzie Eugeniusza Diederichsa w Jenie.

sche, która, jak to ostatnio ze sporów, dotyczących puścizny Franciszka Overbecka i Fryderyka Koegla, byłego kierownika archiwum Nietschego, widzieliśmy, nie przebiera w środkach i zdolna jest do napoleońskich coups d'état, jeżeli chodzi o sprawy, krzyżujące jej plany lub zamiary. Wymownym dowodem tego są pomiędzy innemi trzy nie dające się zaprzeczyć fałsze, popełnione z zupełną świadomością przez autorkę w biografii Nietschego, a mianowicie: niezgodne z prawdą przedstawienie stosunku Nietschego do profesora Jakóba Burckhardt'a; zatajenie prawdziwego stosunku Nietschego do panny Lou Salome i ważnego dokumentu, dotyczącego dzieła „O przeszacowaniu wszelkich wartości.“ Tem ważniejsze musi być dla nas świadectwo rzetelne, które odznacza się pozątem tak wysokimi zaletami psychologicznemi, że słusznie mu się nazwa pierwszej psychologicznej oceny życia Nietschego należy. Profesor Franciszek Overbeck był jednym z najbliższych przyjaciół Nietschego z czasów profesury bazylejskiej, a jako kolega i współlokator kilkoletni, miał niejednokrotnie sposobność do robienia spostrzeżeń wartościowych, dostępnych jedynie jemu samemu. Pomędzy przyjaciółmi Nietschego jest on tym, który brał chyba najbardziej czynny udział we wszystkich sprawach, dotyczących życia Nietschego. On to we wszystkich ważniejszych kwestiach był doradcą i pomocą niepraktycznego i, jak dziecko niemal, niezaradnego filozofa; on to w przeciągu 18-tu lat prowadził rachunki Nietschego i w chwili krytycznej, gdy owe zagadkowe listy szamocącego się już z pierwszemi objawami obłędu proroka nadczłowieka zwiastowały zbliżające się niebezpieczeństwo, pospieszył niezwłocznie do Turynu, aby ratować, co jeszcze można było uratować. Jemu to przedewszystkiem zawdzięczamy uratowanie całej niezmiernie ważnej puścizny literackiej Nietschego. Przyjaźń ta, którą Elżbieta Foerster-Nietzsche w biografii swej traktuje z pewnem lekceważeniem, miała w każdym razie głębsze motywa niż te, które jej Elżbieta Foerster-Nietzsche przypisuje. Klasycznym dowodem tego są pamiętniki, które w niedalekiej przyszłości uzupełnione zostaną przez korespondencję Nietschego z Overbekiem, dokumenty wielce podobno dla pani Foerster-Nietzsche kompromitujące, które się stały głównym powodem napaści jej na pamięć Overbecka. Siostra Nietschego rości sobie nieograniczone prawa do wszystkich dokumentów, dotyczących biografii lub puścizny brata i w tem mniemaniu pragnęła po śmierci Overbecka zagarnąć całą korespondencję Nietschego, skierowaną pod adresem Overbecka, korespondencję, która, jak się należało spodziewać, zawierała niejeden ustęp, mo-

gący stanowić jaskrawy kontrast z jej biografią. Że wdowa po Overbecku i wydawca jego puścizny, Bernoulli, na propozycje jej, na jej groźby i proźby zgodzić się nie mogli i nie chcieli, jest rzeczą tembardziej zrozumiałą, jeżeli sobie uprzytomnimy powody tego niedowierzania. Stosunki pomiędzy rodzeństwem nie były bynajmniej tak idealne, jak to Elżbieta Foerster-Nietzsche w biografii swej opisuje. Podobno Nietzsche w listach swych, pisanych do Overbecka, niejednokrotnie skarżył się na siostrę swoją; podobne ustępy znalazły się i w puściznie Fryderyka Koegla, który przez dłuższy czas zarządzał archiwum Nietzschego—Elżbieta Foerster autentyczności tych kopij, które wzięte być miały przez samego Koegla z oryginałów, znajdujących się w archiwum, na razie zaprzecza. Wmieszanie się nagle siostry i niemiłe zawikłanie stosunku Nietzschego do panny Lou Salome, co do którego nas Bernoulli po raz pierwszy nieco dokładniej informuje, jest np. jednym z dowodów braku taktu pani Foerster-Nietzsche. Najjaskrawszym jednakże dowodem, jak dalece zapatrywania rodzeństwa się różniły, jest solidarność pani Foerster-Nietzsche, ówczesnej panny Nietzsche, z wstrętnemi Nietzschemu ideami antysemity, wagneryanina i kolonizatora, doktora Bernarda Foerстера—tegoż samego d-ra Foerстера, z którym, wbrew woli brata, połączyły ją potem śluby małżeńskie.

W biografii swej usiłuje Elżbieta Foerster-Nietzsche sformułować problemat: — kto był właściwie powiernikiem Nietzschego, jako rywalizację pomiędzy „przyjaciółmi“ Nietzschego a siostrą. Według niej przewagę mieli początkowo „przyjaciele,“ wkońcu jednakże siostra jakoby odzyskała swe utracone i zapoznane prawa (patrz biografię Nietzschego, str. 834). Wywody te są już chociażby z tego względu fałszywe, że w roku 1885 nastąpił ślub Elżbiety Nietzsche z doktorem Foersterem i wyjazd obojga do Ameryki. Od tego to czasu aż do powrotu Elżbiety Foerster po śmierci męża do Europy — powrotu który nastąpił już po wybuchu obłędu Nietzschego — stosunki pomiędzy rodzeństwem były bardzo konwencyonalne. Jedynym więc okresem, podczas którego pewna zażyłość pomiędzy rodzeństwem, o ile takowa wogóle była możliwa, mogła mieć miejsce, były lata 1881, 1882 i 1883, czas pracy Nietzschego nad pierwszemi dwiema częściami Zarathustry... W Sils-Maria (w r. 1881) i w Rzymie (1883) widzimy nawet Elżbietę Nietzsche wraz z Piotrem Gastem przy boku Nietzschego. Filozof-poeta-prorok wtajemnicza ją we wszystkie ważniejsze sprawy swoje, oddaje w jej ręce trudną i uciążliwą korespondencję z ówczesnym wydawcą swoim, antysemitą Schmeitzerem ... bo co

do wydawców, to i Nietzsche nigdy nie był uprzywilejowanym wybrańcem losu—i pozwala jej nawet czytać korekty wychodzących prac. Co do okresu więc powstawania pierwszych dwóch części Zarathustry, nie ulega żadnej wątpliwości, że Elżbieta Nietzsche należała do najbardziej na pozór wtajemniczonych. Fakt ten jednakże sam przez się niczego jeszcze nie dowodzi. Świadczy on co najwyżej o dobrych intencjach Nietzschego. Czy jednakże też same dobre chęci istniały ze strony siostry Nietzschego, jest kwestyą, wymagającą jeszcze udowodnienia. Elżbieta Nietzsche już wówczas prowadziła bardzo ożywioną korespondencję z doktorem Foersterem i żarliwie występowała wobec brata i matki w obronie jego kolonizacyjnych i antysemickich planów; trudno byłoby więc w każdym razie oczekiwać od niej głębszego zrozumienia dla tak zupełnie odmiennego świata myśli brata. O ile okres ten później w biografii przedstawiony został inaczej, jest już rzeczą redakcyi, której ślepo wierzyć dziś niepodobna. Świadcstwo zaś Overbecka posiada wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Jako typ sumiennego i skromnego uczonego o bystrym umyśle krytycznym i szlachetnem sercu, robi profesor Overbeck bardzo sympatyczne wrażenie, które potęguje się jeszcze w miarę zaznajamiania się z rolą, jaką w życiu Nietzschego odegrał. Początkowo w Bazylei przyjaźn tych dwóch młodych wówczas jeszcze uczonych nosiła cechy żywej wymiany myśli, aczkolwiek o 10 lat młodszy Nietzsche wówczas już trzymał prym. Overbeck zawczasu poznał niezwykle uzdolnienie swego kolegi i bez wahania uznał jego pierwszeństwo; mimo to pozostał jednakże w swym światopoglądzie dość niezależnym. Różnica wieku była tutaj przede wszystkim na przeszkodzie, aby Overbeck mógł być stać się uczniem Nietzschego. Drugą ważną przeszkodą był fanatyzm Nietzschego.

Należałoby zwrócić specjalną uwagę na charakter tego fanatyzmu. Nietzsche posiadał wysoce przenikliwy zmysł krytyczny. Jego uzdolnienie krytyczne jest nawet do pewnego stopnia jedną z najwybitniejszych zalet jego talentu. Krytycyzm ten jednakże był raczej intuicyjny niż analityczny, dlatego też mógł iść ręką w rękę z drugą wybitną cechą jego charakteru: z jego skłonnością do przesady. Niejednokrotnie w dziełach jego natrafiamy na aforyzmy, będące znakomitem ujęciem i sformułowaniem zagadnienia, a kończące się niemal że karykaturalnem wyolbrzymieniem. Takie stanowisko zajął np. Nietzsche wobec pod wieloma względami pokrewnego sobie Szyllera. Że podobne ekscesy nie mogły przypaść do snaku ścisłemu Overbeckowi, jest rzeczą zro-

zumiała. Różnica ta zasadnicza z biegiem lat nieustannie wzrastała, im bardziej Nietzsche czuł się powołanym na proroka i prawodawcę nowej Europy. Że mimo to stosunek przyjacielski trwał dalej, przypisać głównie należy wysokiej rzetelności i taktowi Overbecka, który nigdy nie przestał cenić wielkich zalet umysłu i charakteru swego przyjaciela, zbyt dobrze jednakże znając jego osobliwości, nie brał wszystkiego, co Nietzsche o sobie pisał lub mówił, bez pewnej przymieszki krytycyzmu. O stosunku swoim do Nietzschego pisze Overbeck raz pod adresem tych, którzy starali się przyjaźń jego w innym, mniej korzystnym świetle przedstawić, następujące słowa: „Przeciw publicznej krytyce naszej przyjaźni w gruncie rzeczy nic nie miałem aż do końca. Wszak była o tyle rzeczowo uzasadniona, o ile dotyczyła mojej niewystarczającej zależności. O tem mogła, dajmy na to, publiczność wiedzieć, co zaś do reszty mego stosunku względem Nietzschego, to nic o nim dotychczas nie wiadano. Nie miałem więc powodu do bronienia się.“ Przyjaźń Overbecka nosi cechy wybitnie męskie; podziw jego dla przyjaciela łączy się z zupełną niezależnością umysłową, a miłość jego nigdy nie jest ślepa. Nawet tam, gdzie chodzi o krytykę, mamy jeszcze wrażenie, że krytykiem jest człowiek czujący doniosłość i wierzący w niepospolitą krytykowanego. Nietzsche sam skarżył się niejednokrotnie na brak zapалу ze strony Overbecka, nie przeszkadzało mu to jednak we wszystkich ważniejszych sprawach zasięgać przez dłuższy szereg lat rady swego „starego, wiernego“ Overbecka, a Ernst Homeffer ma zupełną rację, pisząc w swem ciekawem studyum krytycznem: „Nietzsches letztes Schaffen“ następująco o tym stosunku: „Overbeck oddał niejedną usługę przyjacielską Nietzschemu. Każda sama przez się może się na pozór wydać drobnostką, w swej ciągłości jednakże, powtarzając się z roku na rok, usługi te dowodzą wysokiej obowiązkowości.“ Wierność Overbecka, posunięta aż do drobnostek, przyczyniła się prawdopodobnie do ułatwienia Nietzschemu pod niejednym względem jego ciężkiego i samotnego losu, szczególnie w tym okresie, gdy go prawie wszyscy byli opuścili, a siostra, która później tak niesłusznie napadła na pamięć Overbecka, bawiła z mężem swoim w Ameryce, pracując nad urzeczywistnieniem „Nowej Germanii.“

Pamiętniki Overbecka wyszły dopiero w kilka lat po śmierci Overbecka. Opóźnienie to wywołane zostało sporami z archiwum Nietzschego. Karol Albrecht Bernoulli jest zarazem wydawcą, komentatorem i rzecznikiem Overbecka. Dzieło jego „Franciszek Overbeck i Fryderyk Nietzsche“ — niezmiernie interesująca

charakterystyka owych dziejów przyjaźni — obejmuje po za pamiętnikami Overbecka bardzo pokaźny szereg cennych dokumentów biograficznych, dających nam możność głębszego wniknięcia w życie, charakter i indywidualność Nietzschego. Główne zalety pracy Bernoulli'ego dałyby się mniej więcej następująco określić. Jest ona bardzo gruntowną korektą biografii, napisanej przez siostrę Nietzschego, pierwszą ściśle psychologiczną, bezstronną analizą umysłowości Nietzschego, opartą na obszernych i zupełnie nowych dokumentach biograficznych i krytyką jego filozofii, obejmującą szerokie perspektywy.

*

*

*

Stosunek nasz względem filozofii Nietzschego wówczas dopiero będzie owocny, gdy zajmiemy wobec niej stanowisko bardziej krytyczne, niż dotychczas. Uważam tutaj za rzecz może niezupełnie zbyteczną zaznaczyć, że przez stosunek krytyczny nie rozumiem naturalnie negacyi Nietzschego. Negacya mogłaby być równie stronną i mało kompetentną, jak bezwzględne, ślepe uwielbienie. Zasluga Nietzschego, jako herolda idealizmu, jako pierwszego, który znów obudził silną otuchę i nadzieję wyzwolenia Europy z niewoli pozytywizmu i materyalizmu, jest niezaprzeczenie wielka. Twórczość jego była, jak ów pierwszy błysk świta-jącego dnia, który tysiące barw i tonów budzi. Ale co do jednego, i to jak na teraz najważniejszego punktu, nie powinniśmy się łudzić: twórczość Nietzschego była zaledwie pobudką. Drogі, które nam filozofia jego utorowała, okazały się, mimo, że kierunek ich nie jest mylny, drogami bez wyjścia. W Zarathustrze porównywa się Nietzsche do kaleki, stojącego u mostu, który wiedzie w daleką krainę nadczłowieczeństwa. W porównanie to Nietzsche później sam przestał wierzyć, w ostatnim okresie swojej twórczości, gdy poczuł się na siłach do przeszacowania wszystkich wartości; a jednak czemuż jest ów sen o królestwie nadczłowieka, jeżeli nie najwymowniejszem świadectwem ucieczki przed rzeczywistością, pewnego rodzaju, że tak powiem, rezygnacya, połączoną z optymizmem quand même? Overbeck bardzo trafnie nazywa ten optymizm Nietzschego optymizmem „z desperacyi.“ Przypatrzmy się nieco uważniej psychologii tej przemiana-

ny. Po entuzjastycznym wystąpieniu w „Narodziinach tragedyi“ i pierwszych pismach krytyczno-kulturalnych (Unzeitmässige Betrachtungen) następuje nagły zwrot do sceptycyzmu, zwrot, który staje się powodem rozdzwisku z Wagnerem i owego listu Cosimy Wagner, pisanego do siostry Nietzschego, a będącego arcydziełem kobiecej zjadliwości. A potem tenże Nietzsche sceptyk, cynik i patolog, chętnie się tem, że z zimną krwią jest w stanie „zamrażać i analizować“ ideały, przedzierzga się naraz w zachwyconego proroka, poetę, kapłana?... Jakież to były siły, które nagle tak spotęgowały moc jego, na takie go wyżyny wyniosły, że począł mówić o myślach żyjących 6000 stóp nad powierzchnią morza i o wiele wyżej jeszcze po nad sprawami ludzkiemi? Czyż nie były to przypadkiem siły lat młodzieńczych, które wkońcu po tylu „przezwyciężonych“ świtach i zorzach zawładnęły znów z niesłychaną mocą całym jestestwem jego? — Tak mniej więcej formuluje Bernoulli problemat biograficzny Nietzschego. I rzeczywiście, twórczość Nietzschego, jeżeli się w nią zagłębimy, jest obrazem nie rozwoju, ale przemian, a metamorfozy te przypominają bardzo wahanie się pomiędzy dwoma krańcami: pomiędzy pozytywizmem a... romantyzmem. Nietzsche był pozytywistą i romantykiem, ale nigdy jednocześnie. Oba te prądy ustępowały sobie nawzajem miejsca w jego umyśle, który posiadał tak wielką skalę impresyi, że był w stanie oba ogarnąć i wyrazić, ale nie mógł ich ani sharmonizować, ani przetopić w nową całość. Pokrewieństwo Nietzschego z romantyzmem wykazał bardzo przekonująco Karol Joël, profesor uniwersytetu w Bazylei, w pięknym dziele swoim: „Nietzsche und die Romantik“ (wydanem w r. 1905 w Jenie w nakł. E. Diederichsa). Schopenhauer i Wagner, których wpływ na Nietzschego jest rzeczą dowiedzioną i przez niego samego, pomimo późniejszych protestów, wielokrotnie zadokumentowaną, byli obaj, według słów tegoż Nietzschego, największymi dziedzicami i kontynuatorami romantyzmu. Czyż więc nie jest w końcu rzeczą naturalną, że i u Nietzschego pewna część tej romantycznej puścizny się znalazła. Już młodość Nietzschego znajdowała się pod wpływem romantyzmu. Novalis i Hoerderlin są dobrymi duchami jego lat chłopięcych, a „Hyperion“ Hoerderlina może pierwszym przecuciem nadczłowieka. Koberstein, historyk Romantyzmu, jest jego nauczycielem w Schulpfortcie, a najlepszy przyjaciel jego z czasów szkolnych, Rohde, kończy swą działalność literacką, jako komentator romantyzmu. Naturalnie, że i u niejednego z romantyków możnaby znów znaleźć pewne pokrewieństwo z twórcą Zarathustry. Tak np. Tieck nie-

jednokrotnie nazywa człowieka „bufonem,” a Fryderyk Schlegel utrzymuje, „że dobrowolna śmierć jest rzeczą słuszną, gdy tymczasem pozostanie przy życiu niejednokrotnie nieprzyzwoitością.” Podobnie Nietzsche, który pragnie, aby twórczość jego rozumiana była jako „saturnalie ducha,” żąda Tieck: „niechaj bachiczne szaleństwo zapali każdego ducha; życie jest zawrotnym tańcem. Dalej w dziki płas, a niechaj wszystkie instrumenty zabrzmią wraz gromkimi akordy. Jakiż radosny szal ogarnia ducha naszego, jeżeli danem mu jest ujrzeć mnogie, tysiączne, mieniące się, barwne, kołyszące się, taneczne postacie, odradzające się w nim nieustannie, nowe i pełne wesela. Dotknięta, oblana jasnością uśmiechu tysiąckrotnej miłości, otula się dusza w płaszczyźnie różnobarwnych pieśni, a radosny okrzyk jej wzlatuje pod niebiosy. Gdzieżby powszednie, ociążałe życie przystęp do niej tak łatwo znaleźć mogło?” Novalis zaś pyta: „Czyż musimy zawsze być rozważnymi? Kto za stary jest, aby marzyć, ten niech unika schadzek młodzieży. Święcimy dziś saturnalie literackie. Im życie barwniejsze — tem lepiej!” I pod względem formalnym są romantycy, jak to słusznie profesor Joël wykazuje, do pewnego stopnia poprzednikami Nietzschego. Pod tym względem zasługują naprzykład słowa Fryderyka Schlegla o aforystycznej formie twórczości na uwagę. „Piszący jednolite dzieła — powiada Schlegel — są nierównie skromniejsi niż ci, którzy chcą myśli wypowiadać, gdyż dzieła mogą być jedynie zestawieniem dzieł, a myśli wobec tego pozostaje jedynie rola, dać rzeczy pierwszeństwo i skromnie cofnąć się w kąt. Myśli jednakże, pojedyncze myśli, są zmuszone domagać się swojej własnej formy, muszą rościć pretensję do oryginalności i bezpośredniości.”

Pokrewieństwo Nietzschego z Romantyzmem otwiera nam oczy na właściwe stanowisko jego wobec teraźniejszości. Czyż problemat jego twórczości nie dałby się w końcu sformułować w podobny mniej więcej sposób, jak problemat twórczości E. T. A. Hoffmanna naprzykład, albo problemat twórczości Jensa Piotra Jacobsena, Allana Edgara Poe’go, Cypryana Norwida? Podobieństwo tej syntezy romantyczno-realistycznej dałoby się w końcu nawet odnaleźć w twórczości Fechnera, który atoli o wiele szczęśliwiej harmonizuje oba krańce naszej teraźniejszości. W Nietzsche bądź co bądź dualizm ten najsilniej i najjaskrawiej się uwydatnia. Nietzsche stał się dla nas owym kwasem, który dopiero umożliwia dokonanie pewnej duchowej syntezy. On to pobudził dwa główne elementy, wypełniające naszą teraźniejszość: pozytywizm i romantyzm do silniejszej akcji. Ale synteza ich mu się

nie udało. Zadanie to jest jednym z głównych zadań przyszłości. Szybki rozkwit i niespodziany zanik romantyzmu w pierwszej połowie XIX wieku pozostanie jedynie epizodem w dziejach pewnej ewolucji kulturalnej, której końca dziś jeszcze przewidzieć niepodobna, a która prawdopodobnie będzie charakterystyczną cechą nie tylko całego XIX wieku, ale i naszych dni. Cały ten okres, bez względu na to, czy romantyzm lub pozytywizm, naturalizm lub symbolizm posiadają przewagę, będzie w końcu problemem nowej syntezy idealizmu i realizmu, a dokonanie tej syntezy — znamieniem nowego wielkiego stylu. Dopóki się nam to nie uda, stylu naszego mieć nie będziemy. Nietzsche zaś jest, jak ów okręt strzaskany w pobliżu przystani, do której prędzej czy później zawinąć musimy; ostrzega i wskazuje zarazem drogę.

*

*

*

Stanowisko Nietzschego względem romantyzmu nasuwa drugie ważne pytanie, dotyczące jego stosunku względem kultury klasycznej. Temuż samemu uczonemu Karolowi Joëlowi, który pierwszy wykazał pokrewieństwo Nietzschego z romantyzmem, zawdzięczamy tę doniosłą i interesującą analizę (patrz rozprawę Joëla „Nietzsche und die Antike“). Joël formułuje zagadnienie to następująco: „Problemat kultury klasycznej staje się dziś problemem Nietzschego, a problemat Nietzschego — problemem kultury klasycznej.“ W miarę swego rozwoju oddala się Nietzsche coraz bardziej od ideału greckiego, wobec którego zawsze zajmował stanowisko od dotychczasowych gorących wielbicieli Grecji starożytnej odrębne (np. w „Narodzinach Tragedyi“). Stanowisko to przypomina pod wieloma względami ilustracye Wyspiańskiego do Homera. Wyspiański bowiem również przedstawia nam Greków jako silnych, wspaniałych barbarzyńców. Swego uwielbienia dla Greków wyrzeka się Nietzsche w końcu na rzecz „antypodów Grecyi“—Rzymian. Dlaczego? Nietzsche czuł bardzo dobrze, że Grecy zawiedli go drogą szafu dyonizyjskiego w krainę romantyzmu. Stosując więc względem siebie swoją „antyromantyczną“ metodę, z której był wielce dumny, daje Grekom odprawę. W „Zmierzchu Bożyszcz“ znajdujemy aforyzm zatytułowany słowami: „To, co zawdzięczam światowi starożytnemu.“ „W stylu

moim, nie wyłączając Zarathustry — pisze tam Nietzsche z właściwą sobie w tym okresie twórczości przesadą — każdy odnajdzie bardzo poważną ambicję osiągnięcia stylu rzymskiego, stylu owego „aere perennius.“ Nie inaczej przedstawia się stosunek mój względem Horacego. Do dziś dnia żaden poeta nie wzbudził we mnie podobnego chociażby zachwytu artystycznego, jaki od początku zawdzięczam każdej odzie Horacego... wszystko to jest w gruncie natury rzymskiej, a jeżeli słowa moje zasługują na wiarę -- dostojnem par excellence. Grekom równie silnych wrażeń nie zawdzięczam; Grecy, mówiąc bez ogródek, nie są w stanie być dla nas tem, czem Rzymianie. Od Greków niczego się nauczyć niepodobna — natura ich zanadto nam już obca, a przytem i zanadto płynna, aby mogła działać nakazująco, klasycznie. Któżby mógł się od Greków nauczyć pisać! i czyż bylibyśmy bez Rzymian do tego zdolni?“

Mimo takich zapewnień widzimy jednakże, jak daleki jest Nietzsche w rzeczywistości od trzeźwości i rzeczowości Rzymian. Tutaj to właśnie, w tym kontraście należałoby szukać głównych wskazówek, dotyczących psychologicznej analizy umysłowości Nietzschego. Dlaczegoż wielbiący trzeźwość pozytywista Nietzsche staje się prorokiem z Sils-Maria — głosicielem wiecznego powrotu wszechrzeczy? Co upoważnia go do tej pozornej dwuznaczności? Bernoulli bardzo słusznie kładzie nacisk na to, że postąpilibyśmy względem Nietzschego, jako filozofa, bardzo niesłusznie, gdybyśmy ową dwuznaczność chcieli jedynie tłómaczyć, jako dowód bezsilności, brak zdolności do stworzenia systematu. Przeciwnie, zagłębiając się w świat myśli Nietzschego z tego okresu twórczości, będziemy musieli przyznać, że twórczość ta nacechowana jest znamieniem genialności. Pozytywista Nietzsche uczuwa potrzebę metafizyki. On, który raz na zawsze zerwał mosty, wiodące w światy nadzmysłowe?... Droga, którą Nietzsche obiera, świadczy wymownie o śmiałości jego, jako myśliciela, wiedzie go ona wprost do podnóża Sfinksa.

„Co było powodem fiaska kultury aleksandryjskiej? — pyta Nietzsche. — To, że nie potrafiła, mimo wszystkich swoich pożytecznych odkryć, mimo rozbudzenia żądy i radości poznania, dać temu światu, temu życiu ludzkiemu ostatecznej siły dośrodkowej. Świat nadzmysłowy przeważył! Nietzsche pragnie zachować światopogląd pozytywistyczny, jednocześnie jednakże chciałby wszelkie wartości ziemskie do tego stopnia napoić owem fluidum metafizycznym, żeby ważkość ich dorównała wadze transcendentalnych wartości. Tendencję tę wyraża myśl nadania temu życiu

ziemskiemu, doczesnemu cech wieczności. Życie, jako wieczny powrót wszechrzeczy, jako złoty pierścień powrotu! Oto, według Nietzschego, rozwiązanie tego zagadnienia, oto niesłychana śmiałość jego—próba stworzenia fizykalnej metafizyki. Mistyka Nietzschego nie jest ani dostatecznie uzasadniona, ani dostatecznie przekonująca, aby można było na niej oprzeć światopogląd przyszłości, jest ona jednakże bądź co bądź znamienym objawem naszych czasów i jako taki posiada swoją wartość specjalną. W tej paradoksalnej na pozór hipotezie, sformułowane zostało zagadnienie, nad którego rozwiązaniem pracuje cała nasza szamocąca się w sieciach relatywizmu i specjalizmów współczesność!

*

*

*

Kiedy Herder zbiorem swoich pieśni ludowych, jakby błyskiem pochodni, zapalił nagle serca poetów „burzy i wrzenia,” a pieśni Ossyana zadrgały nowem życiem w sercu Wertera—i w sercach tysięcy, kiedy całe życie północnej Europy zdawało się budzić z uśpienia, zdzierać pseudoklasyczne, zapożyczone u południa, łachmany, i święcić nowe, niesłychane saturnalie ducha—wielkie święta odrodzenia z ducha i z ziemi ojczystej, zrodzona została idea nowej kultury europejskiej, kultury, która bierze swój początek na północy. Preludium do tej kultury przebiegło dreszczem niesłychanym wszystkie literatury Europy, budząc nowe tony, młode myśli, wspaniałe konstelacje twórcze... Tak mistrz próbuje instrumentu, na którym swoją pieśń nad pieśniami wygrać zamierza. Ręka jego, jakby głaszcząc, przesuwą się po lśniących strunach, targa za trzewa basów, wyrzuca ku niebu kaskady tonów wielorakich, błogosławi hejnałom, płynącym majestatycznie, jak białe obłoki po lazurze nieba, wspina się po cudnej z tęczywych przedziw utkanej drabinie, wzwyż, wzwyż... i jakby ulecieć chciała ku dalekim niebom, zawisa nieruchomo w powietrzu. Gwar wielostrunny brzmi jeszcze dokoła, tony kłócą się i spierają o niedośpiewaną zda się pieśń,—w basach szemrzą dalekie gromy, we wiolinach ostatni poszept jedwabisty zamiera,—a ręka nieruchoma wskazuje ku niebu, i naraz... bezwładna, jak ptak trafiony w serce, opada. Hej, pieśni! kiedyż do nas zawitasz? Kiedyż i skąd? Długo jeszcze czekać będziemy na rytmy twój tryumfalny? Gdzieś,

jakieś ręce uderzają akordy dalekie... Coś się budzi, coś woła... Gdzież pieśń! A potem znów długie, długie, jak wieczność długie, milczenie. Hej! hejże! Harfo północy! Pieśń nam daj, zapowiedzianą królewską pieśń!... Cisza—jak śmierć, westchnienia tęskne, jak skargi cyprysów—ciemna, ołowiana nawała chmur i przebłyśki nagie krwawych, wypłakanych piękności... Pieśni chcecie?—ależ pieśń już idzie, zdaleka, raz głośniejsze, to znów ciszey, to prawie zamierając, to znów rosnąc, sunie ku nam. Otwórzcie uszy i wrota serc! Inaczej gra ona harfa, niż wszystkie harfy ludzkie. Gra ona dźwiękami i ciszą, zwycięstwem i porażką, zapomnieniem i przypomnieniem, śmiercią i życiem. Czyż nie czujecie, jak rytm jej powolny, nieuchwytny, niby oddech wiatrów, już się zgęszczać poczyną, jak cisza coraz krótszą się staje, jak coraz gęściej uderzają z niej gromy nowych zachwytów? Trzebaż wam koniecznie polonezowego tętna, aby uwierzyć w istnienie pieśni? Otwórzcie uszy!

Chcielibyśmy, aby sztuka była panią życia, aby jak blask tęczowego łuku przymierza „zajaśniała nad nami po potopach historii...” Chcielibyśmy... dziś chcemy więcej. *Chcemy życie podnieść do potęgi stylu!* I tutaj znów w tym naszym radykalizmie idealistycznym stykamy się z naczelną tęsknotą Nietzschego. Życie podniesione do potęgi wieczności, życie podniesione do potęgi stylu—inaczej: niesłychane spotęgowanie życia—saturnalie życia! Pomiedzy ludami Europy, które po przedwczesnem bankructwie romantyzmu najrychlej przyszły do pewnej równowagi, znajdują się przede wszystkim Anglia i narody skandynawskie. Z tych to ognisk północnych padają znów pierwsze błyski i pierwsze pioniry uderzają. Skandynawii zawdzięczamy rozbudzenie dusz, Anglii—odrodzenie zewnętrznych kształtów, t. j. pierwsze zrównoważenie i scharmonizowanie zewnętrznego i wewnętrznego życia. Do jakiego stopnia wszystkie te objawy, które dotychczasowi „realiści” zwykli byli nazywać pogardliwie „utopiami idealistów,” wywarły i wywierają wpływ na życie ekonomiczne, socyalne i polityczne ludów, wykaże historia ruchu w Europie, który należałoby nazwać dążeniem do stworzenia nowoczesnej kultury—kultury północy. Nie miejsce tutaj szkicować zarysy historyczne; fakty i objawy jednakże, o których zamierzam mówić, są przyczynkiem do nich. Chodzi o dzieje odrodzenia sztuki stosowanej w Niemczech i znaczenie tego odrodzenia dla stylu i kultury niemieckiej wogóle. Dzieje te obejmują zaledwie okres dziesięcioletni. W ciągu tego krótkiego czasu jednakże złożone zostały dowody, świadczące bardzo wymownie o pomyślnym rozwoju wspo-

mnianych tendencyj. Mam tutaj na myśli wystawę wszechświatową w St.-Louis, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, na której po raz pierwszy sztuka stosowana niemiecka zwróciła na się uwagę całego świata ucywilizowanego i wystawę Drezdeńską z r. 1906, która stała się jej pierwszym większym tryumfem w obrębie Niemiec. Dotychczas w zakresie sztuki stosowanej znał świat jedynie styl francuski lub angielski. Francya i Anglia dyktowały mody. Z Paryża lub Londynu czerpano przepisy, dotyczące życia zewnętrznego—fakt ten może z czasem wyda się oddalonej przyszłości nieskończenie śmiesznym, jeżeli porówna go z napuszoną mową naszego indywidualizmu i nacyonalizmu. Zagorzali „nacyonalisci“ i „indywidualisci“ ubierają się na modłę paryską lub londyńską, żyją w mieszkaniach, będących mniej lub więcej udanymi kopiami królewskich i szlacheckich pałaców Francyi lub mieszczańskich, zasobnych „home’ów“ Anglii, posługują się przestarzałymi formami i formułkami, nie mającemi żadnej styczności z życiem teraźniejszości, pozują na rycerskość Bergerac’ów lub na wolnomyślność wolteryanów... Gdzież i w czym uwydatnia się ta okrzyczana oryginalność, bezpośredniość, prawdziwość ich nacyonalizmu i indywidualizmu? Chyba, że w ich technicznych i naukowych zdobyczach, które są niezawodnie imponującym objawem, ale nie objawem oryginalności ducha, lecz co najwyżej świadectwem wielkiej wprawy i mechanicznej, że się tak wyrażę, zręczności—Nietzsche nazwałby je zapewne wielbłądzimi zaletami. Styl francuski, który przez stulecia całe niepodzielnie panował nad Europą i do dziś dnia jeszcze tu i tam panuje, jest ciąglem odgrzewaniem przeszłości dawno minionej: kultury dworskiej Burbonów lub Bonapartych, nie mającej najmniejszej styczności z naszym, na zupełnie innych podstawach opartem, życiem. Że dysonans ten nas nie raził dotychczas, przypisać należy przedewszystkiem naszemu kompletnemu znieczuleniu i zobojętueniu na wszelkie objawy stylu lub stylowości, albowiem zdolność formalna Francuzów, ich umiejętność tworzenia zestawień harmonijnych, akademicko-harmonijnych (t. j. harmonijnych w sobie, nie zaś w stosunku do teraźniejszości), ich zmysł plastyczny, ich wytworna kultura kolorów i odcieni—nie są w stanie ukryć ich kompletnej bezwyznaniowości i bezstylowości. Przeciw samowładztwu Francyi w sprawach dobrego smaku powstała już ku końcowi XVIII w. reakcyja w Anglii, której wyrazem stał się mieszczański, solidny, do komfortu zmierzający, styl angielski, który przedewszystkiem znalazł wcielenie w umeblowaniu i odzieży. Uzupełnienie, rozwój i udoskonalenie tych idei nastąpiło atoli w drugiej połowie XIX w., po prze-

szło 30-letniej walce i zabiegach, przy żywym współudziale i za inicjatywą takich mężów, jak: Carlyle, Morris, Ruskin, Crane, Beardsley. Styl angielski od lat dwudziestu mniej więcej zapewnił Anglii na rynku świata stanowisko wyłączne. Podczas, gdy w Anglii dokonywała się przy względnie normalnych warunkach politycznych wspomniana metamorfoza, resztę Europy szarpały wojny, rewolucye i niesnaski. Tym to pomyślnym dla siebie okolicznościom zawdzięcza Anglia przedewszystkiem swoje pierwszeństwo w sprawach, dotyczących kultury. Obok Francyi i Anglii stają w ostatnim dziesięcioleciu Niemcy w szranki współzawodnictwa. Twórczość niemiecka w dziedzinie sztuki stosowanej ograniczała się przez długie lata do tanich imitacyj stylów francuskich lub angielskich. Produkcya ta, zapewniająca na pozór wielkie zyski materialne, okazała się jednakże, jeżeli wpływ jej na dalszą metę uwzględnimy, ekonomicznie i moralnie nader szkodliwą. Pojedynczy fabrykanci co prawda z niej ciągnęli poważne zyski, ale na niekorzyść całej nacyi. Na rynku wszechświatowym bowiem nie ten naród, nie ta produkcya zyskuje palmę pierwszeństwa, która najtaniej podrabia wyroby cudze, ale ta, która dobrze i oryginalnie tworzy. Widzimy to już z cen, które każdy prawie gotów jest płacić za rzeczy oryginalne, a że takie wyroby szanującej się i dbającej o swoją renomę wszechświatową produkcji wypadają w końcu taniej, niż o wiele tańsze imitacye, wie zapewne niejednen z doświadczenia własnego. Różnica zaś cen, płaconych na rynku wszechświatowym za wyroby oryginalne i podrabiane, wpływa w końcu bezpośrednio na wysokość płacy robotniczej, utrudnia warunki bytu klasy pracującej w przemyśle, fabrykującym imitacye, i wytwarza nienaturalną nadprodukcję, która się na tymże przemyśle niekorzystnie odbić musi. Wszystkie te następstwa, na fałszywem założeniu opartej produkcji, przemysł niemiecki na sobie doświadczył. Tryumfy polityczne i stworzenie państwa niemieckiego, które się stało źródłem nagłego materialnego rozkwitu Niemiec, nie spowodowały żadnego polepszenia pod tym względem. Przeciwnie, rzucono się z jeszcze większą pożądlivością na wszelkiego rodzaju imitacye. Całe życie wielkomięskie w Niemczech ósmego dziesiątka lat wieku XIX począwszy, przybiera coraz ohydniejsze formy tandetności i śmiesznie napuszonej pretensjonalności. Podrabianie nie tylko cudzych stylów, ale materiału, marmuru, kamienia, bronzu, drzewa staje się rzeczą powszednią. Wszystko, od marmurowej klatki schodowej do objets d'art z masy papierowej, od nalepionej, imitującej stylowość, fasady gipsatur i jedwabnych obić w apartamentach, jest

kłamstwem, pozą, a co najgorsza, że nikt tego kłamstwa nie widzi. Tombakowy przepych, sięgający, dzięki swej taniości, w sfery nawet mniej zamożne, podnieca instynkta używania à tout prix, budzi i karmi upodobanie do lekkomyślnego życia nad stan i coraz bardziej podkopuje moralne i materyalne siły narodu. Przeciwnemu niezdrowemu i obrzydliwemu smakowi, zwanemu słusznie „stylem dorobkiewiczów,” walczy młoda sztuka stosowana niemiecka. Walka naturalnie jeszcze nie rozstrzygnięta, chociaż pierwsze placówki już zdobyte. Nie chodzi tutaj naturalnie o „nowy styl,” który nie może być wynaleziony, jak nowa maszyna lub nowy perkalik, dowody na to złożyły w wystarczającej mierze owe sztuczne, na papierze wykombinowane „style,” jak np. secesya, Jugendstil i t. p., które się już po kilku latach przeżyły. To, do czego sztuka stosowana w Niemczech, a za jej inicjatywą cała młoda sztuka niemiecka dąży, jest przede wszystkim rozbudzenie w narodzie poczucia prawdy, rzetelności, celowości, samodzielności i rzeczowości. Nowy styl nie jest dzieckiem przypadku lub pomysłowości jednostek. Jako wyraz usiłowań i tendencji pewnej epoki w kulturze narodowej zamyka on w sobie wszystkie cechy duchowe tego okresu—jest ich wcieleniem. O ile owe usiłowania i tendencje są szczerze i usilne, o tyle zewnętrzna ich forma, ich styl będzie oryginalnym i trwałym. Wszędzie jednakże, gdzie chodzi jedynie o zabawkę lekkomyślną, o pozowanie na coś, czem się w rzeczywistości nie jest, wszędzie, gdzie życie duchowe i zewnętrzne nie mają z sobą żadnego bliższego związku, powstaje owa maskarada stylów, w której już przeszło pół wieku żyjemy i która, wyjąwszy Anglię, jest rysem charakterystycznym naszej „kulturalnej” Europy.

Prawdziwą kulturą jest jedynie podniesienie całego życia do potęgi stylu! Ale ów styl „moderne?”... Jakież styl, jakież oznaki stylowości?... Jałowe pytania, z którymi się nieustannie na łamach gazet i czasopism spotykamy! Tak najzupełniej niesłusznie pytającym i niepokojącym się, przytoczę słowa budowniczego, Piotra Behrensa, który należy dziś w Niemczech do najwybitniejszych i najzasłużeńszych „twórców nowego stylu.” Słowa te zawarte są w jego pięknym traktacie o teatrze, jako najwyższym symbolu kultury. (Tytuł tego traktatu: „Feste des Lebens”). „Gniewają się ci prorocy fałszywi—pisze Behrens—że mądrość ich okazała się fałszem. Owa mądrość, że nowego stylu w sztuce nie otrzymamy nigdy, że styl nowy jest wynikiem sztuki starej, że go wynaleźć niepodobna. Pod tym ostatnim względem wszakże fałszywi prorocy mieli rację. Dziś mamy dowody na to, że nowy

styl będzie, nowy styl nie ze starej sztuki powstały, że ten nowy styl już istnieje, w zaczątku przynajmniej. Jużci trzeba mieć oczy, aby go dostrzedz i dobrą wolę i wiarę w piękno, a poznać, że się coś rodzi, że coś powstaje, co życiu naszemu bardziej odpowiada, niż owe wyszukane, dziwaczne kształty, które są na pozór „moderne,” w rzeczywistości jednakże słabą tandetą, stworzoną przez tych, którzy z nowości chcą zrobić interes... Gniewają się owi prorocy fałszywi, że nie mieli racyi, mówiąc: w sztuce nowego stylu mieć nie będziemy. Gniewają się, że się omylili. I mylą się znów, jeżeli utrzymują, że w sztuce dramatycznej stylu mieć nie będziemy. I będą się znów gniewali. Mylić się i gniewać—to ich los. My zaś cieszymy się i bądźmy szczęśliwi, że jesteśmy dziećmi wieku, w którym znów silna wola, w którym znów wiara w piękno żyją!“

Silna wola i wiara w piękno — oto potęgi i gwarancje nowych różkwitów, o ile wiara jest niezłomna i natchniona, a wola nie tylko silna, ale i czysta. Reszta jest wynikiem okoliczności i warunków, których ani obliczyć, ani przewidzieć niepodobna. Każdy naród, każda jednostka, każde pokolenie będzie tutaj musiało na własną rękę walczyć, szukać, zdobywać, a cechy wspólne i dążenia pokrewne, które w oczach przyszłości dopiero stają się znamieniem, stylem danej epoki, nie my, ale przyszłe pokolenia będą zaledwie w stanie rozeznaczyć. Mimo to mamy i dziś już prawo do pewnego rodzaju bilansów, które naturalnie nie mogą mieć żadnej pretensyi do określenia i ujęcia „nowego stylu.” Charakterystyczną cechą ruchu, który zrodził nową sztukę w Niemczech, jest przedewszystkiem, jak to już zaznaczyłem, obudzenie się poczucia rzetelności. Rzetelność ta, która wobec każdego objawu życia dzisiejszego stara się znaleźć odpowiedź własną, która szuka prawdy i rzeczowości, zamiast szablonów i formułek, jest zapewne dzieckiem pozytywizmu, ale pozatem nosi w sobie inne dziedzictwo: posiada łączność ze światem ducha, posiada wrażliwość na rzeczy metafizyczne i wiarę w piękno. (Synteza Nietzschego). Dowodem, jak daleko korzenie jej sięgają w głąb teraźniejszości, jest fakt, że niema dziś prawie dziedziny twórczości w Niemczech, którejby ten nowy prąd nie dotknął. Do zaznajomienia się z nim nadają się przedewszystkiem dzieła takich autorów, jak Alfred Lichtwark, Schultze-Naumburg, Herman Obrist, Lotaryusz Kunowski, Piotr Behrens, takie czasopisma jak „Kunstwart,” redagowany przez znanego poetę, Ferdynanda Avenaryusza, dwutygodnik „Der Turner“ i miesięcznik „Die Kunst,” wychodzący w Monachium w nakładzie A. Bruckmann’a, czasopismo, które

pod wieloma względami przypomina znakomity miesięcznik angielski „The Studio“ i chociażby ze względu na porównania ze sztuką angielską, które nasuwa, daje możliwość lepszej oceny odrębności niemieckiej. Obok dzieł Pawła Schultze-Naumburga, któremu, jako jednemu z pierwszych, należy się zasługa uświadomienia Niemcom potrzeby jednolitości w objawach życia zewnętrznego i wewnętrznego, wartoby przedewszystkiem zwrócić uwagę na twórczość literacką Hermana Muthezyusza. Herman Muthezyusz wydał w r. 1904 szereg studyów pod tytułem: „Kultur und Kunst“ (Kultura i Sztuka); dalszym ciągiem i do pewnego stopnia uzupełnieniem tych prac jest wydany w roku przeszłym pod tytułem: „Kunstgewerbe und Architektur“ (Sztuka stosowana i architektura) drugi szereg rozpraw. Pozatem zasługują na wzmiankę, jego obszerne dzieła, dotyczące architektury: „Das Englische Haus“ („Dom mieszkalny w Anglii,“ 3 tomy, wyd. w r. 1904), „Die Englische Baukunst der Gegenwart“ („Współczesna architektura w Anglii,“ wyd. w r. 1900), „Die neuere Kirchliche Baukunst in England“ („Nowsza architektura kościelna w Anglii,“ wyd. w r. 1901) i dwa dzieła, dotyczące specjalnie architektury niemieckiej, „Stilarchitektur und Baukunst“ („Architektura stylowa i sztuka budowlana,“ wyd. w r. 1903) i „Landhaus und Garten“ („Dom wiejski i ogród,“ wyd. w r. 1907).

Ważną zaletą Muthezyusza jest przedewszystkiem jasność jego stylu. Rozprawy jego czytać może każdy z największym zajęciem i korzyścią. Nie chodzi w nich bowiem o teoretyczne zagadnienia, traktowane przed areopagiem fachowców, ale o rzeczy, dotyczące każdego i sięgające niejednokrotnie do źródeł życia współczesnego. Świadczy to, jak bardzo już dzisiejszy ruch artystyczny w Niemczech oddalił się od owych wydeptanych ścieżek dawnych praktyk akademickich. Kto zna owe ciężkie, grube dzieła, dotyczące teorii sztuki, a pisane językiem zagmatwanym i suchym, pełne jałowych kombinacyj estetycznych i uginające się pod ciężarem balastu teoretycznego, dla tego pisarz taki, jak Muthezyusz, będzie nietylko miłą niespodzianką, ale i wymownym dowodem, że rzeczywiście nowy jakiś powiew musnął całą powierzchnię życia niemieckiego. Że można już dziś tak jasno mówić o nowych tendencyach, że dają się one już sformułować, że kontrast przeszłości i teraźniejszości już się tak dobrze zarysowuje — wszystko to jest nie tyle dziełem pojedynczych autorów, ile objawem jakichś nowych, bliskich rozkwitów. Nic to jednakże naturalnie nie zmniejsza zasług Muthezyusza. W dość licznym zastępie wybitnych rzeczników nowego ruchu artystycznego w Niem-

czech należy mu się dziś jedno z pierwszych miejsc. Jako przykład trafności i jasności jego wywodów przytaczam słowa, które rozpoczynają jego rozprawę „O lekcyach rysunku i nauce stylu“ (w dziele „Kultur und Kunst“): „Nic chyba lepiej nie charakteryzuje naszego dzisiejszego społeczeństwa—pisze Muthezyusz—jak jego pojęcie o tem, co ma być „wykształceniem.“ Jeżeli np. porównamy dzisiejszego „wykształconego“ człowieka z człowiekiem wykształconym z czasów Goethego, przekonamy się, że utraciliśmy dziś ważną część ówczesnego wykształcenia, a mianowicie: żywy współudział w sprawach poezyi, który należał wówczas bezwarunkowo do oznak prawdziwego „wykształcenia.“ Cofnijmy się jeszcze dalej wstecz—w czasy renesansu i porenansowe—a znajdziemy, że do ówczesnego wykształcenia potrzebna była bezwarunkowo znajomość gruntowna sztuk plastycznych. Kawaler ówczesny, nie interesujący się architekturą, malarstwem lub rzeźbą, był niemożliwością. Dziś ludzie „wykształceni“ nie potrzebują ani głębszej znajomości poezyi, ani znajomości sztuk plastycznych. Ze sztuk chyba jedynie muzyka i teatr są dziedzinami, z którymi do pewnego stopnia trzeba być obeznanym, ale i pod tym względem wymagania stały się bardzo umiarkowane. Rzeczywiście, wymagamy dziś od człowieka „wykształconego“ jednego tylko koniecznie: pewnej dozy filologicznej uczoności. Pojęcie naszego społeczeństwa dzisiejszego o znaczeniu wykształcenia jest najbardziej ograniczonem pojęciem o wykształceniu, jakie kiedykolwiek istniało.“

W kilku zdaniach zaledwie określa tutaj autor tak dobitnie i jasno całe ubóstwo oficjalnej „kultury“ europejskiej, że najbardziej nawet uprzedzony powinienby mu przyznać rację. Ale nie dość na tem; myśli, które wstęp ten zaledwie musnął, będą nam towarzyszyły, będą nas niepokoiły, ścigały—będziemy zmuszeni snuć je dalej i zastanawiać się nad niemi. A w tem właśnie leży owocność wszelkich roztrząsań teoretycznych Muthezyusza, że nas do powrotu do rzeczywistości zachęcają, że nie o dalekiej przyszłości mówią, o której nikt nic pewnego powiedzieć nie może, ale o naszej teraźniejszości, o objawach, które każdemu muiej więcej są znane. Od czasu napisania rozprawy „O lekcyach rysunku i nauce stylu“ (w r. 1899) upłynęło już 7 lat, w ciągu których właśnie dokonany został ów znamienny zwrot w dziejach umysłowości niemieckiej, którego pierwszym widowym objawem jest rozkwit sztuki stosowanej. Niejedna więc z rad Muthezyusza, zawarta w dziele „Kultur und Kunst,“ należy już poniekąd do przeszłości, ponieważ rzeczywistość ją skuteczniła, ale mimo to, dzieło Muthezyusza ze względu na polemiczne zalety swoje zasłu-

guje i dziś jeszcze na jaknajszersze rozpowszechnienie. Zręczność i humor, z jakim Muthezyusz ostrzem swej krytyki kieruje, działa i działać będzie ożywczo nawet wtedy, gdy zagadnienia, o które chodzi, nie będą już dotyla aktualne. O wiele aktualniejsze jest naturalnie dzieło „Kunstgewerbe und Architektur“, wyszłe w r. 1907, daje bowiem dokładny obraz ruchu artystycznego w Niemczech w ciągu ostatniego ośmiolecia. Przedewszystkiem zasługuje w niem na uwagę fakt, że nowa sztuka stosowana niemiecka po pierwszych już urzeczywistnieniach swoich poczęła wywierać wpływ znamienny na odrodzenie architektury. Tak więc objaw, który początkowo brano za pewnego rodzaju przerafinowanie, dekadentyzm, zabawkę w style i stylowość — a wielu po dziś dzień jest jeszcze tego zdania, szczególnie ci panowie, którzy zawsze uważali sztukę za rzecz drugorzędną, za... muszkę na policzku życia — zaczyna przekształcać życie nowoczesne i wsiaćkać we wszystkie pory jego. Mowa tutaj naturalnie tylko o sztuce niemieckiej. O ile inne narody, o ile Francya lub ludy słowiańskie pójdą podobnemi drogami, zależeć będzie od warunków i prądów, których tutaj roztrząsać nie będę, gdyż zaprowadziłyby mnie za daleko. Przyszłość jednakże, i to nie nazbyt może nawet daleka, wykaże na przykładzie niemieckim kulturalną, ekonomiczną i polityczną doniosłość takiego odrodzenia, podobnie jak przeszłość i teraźniejszość wykazały ją na przykładzie angielskim. Po uświadomieniach, do których doszła młoda sztuka stosowana w Niemczech—Muthezyusz pisze o nich w rozprawie swej „Droga i cele sztuki stosowanej“ (patrz dzieło: „Kunstgewerbe und Architektur“), a które możnaby określić krótko słowami: „obudzenie się sumienia artystycznego w kunszcie i produkcji rzemieślniczej w Niemczech“ samo przez się rozumie się, że ruch artystyczny nie mógł się ograniczyć do przedmiotów li tylko codziennego, że tak powiem, użytku, że nie mógł pozostać w ciasnych ramach sztuki stosowanej. To też już wystawy w Darmsztacie (w r. 1901 i 1904) i w Dreźnie (1906 r.) wykazują nie pojedyncze, według nowoczesnych pojęć artystycznych stworzone przedmioty użytku, ale ich szarmonizowanie w przestrzeni, w ramach mieszkania—domu. Sztuka stosowana ustępuje miejsca architekturze, dla której utorowała drogę.

Pierwsze próby reformy tej dotyczą architektury domów mieszkalnych, a ważną rolę odgrywają przytem znów pierwowzory angielskie. W dziele „Kunstgewerbe und Architektur“ znajduje się bardzo ciekawe obszerniejsze studjum, poświęcone architekturze domów mieszkalnych w Anglii, w którym Muthezyusz, jako

wytrawny znawca architektury angielskiej, wykazuje jej wielkie zalety i krytykuje bardzo trafnie i cięto stan obecny oficjalnej architektury niemieckiej. Myśli Muthezyusza, dotyczące przyszłości architektury niemieckiej i zagadnień, w jaki sposób należałoby wpływać na polepszenie obecnego stanu budownictwa, niemającego prawie nic wspólnego ze sztuką, zostały już po części zastosowane w praktyce, czego wymownym dowodem była wystawa drezdeńska z r. 1906. Reforma szkół fachowych, poświęconych kunsztom, architekturze i rzemiosłom, wprowadzenie do planu szkolnego nauki rysunku na bardziej szerokich, artystycznych opartej poglądach, powinnyby wydać pożądane owoce. Wobec bowiem naszego zupełnego braku poczucia linii i kształtu chodzić musi przede wszystkim o stworzenie fundamentów, na których możnaby dopiero dźwignąć kulturę sztuk plastycznych. Dopóki rysowanie z natury nie będzie rzeczą tak ogólną i obowiązkową, jak pismo, dopóty na polepszenie obecnego stanu zupełnej ślepoty liczyć nie będzie można. Dalszą konsekwencją odrodzenia budownictwa domów mieszkalnych będzie w końcu—styl monumentalny, który całej naszej epoce nada znów wyraz charakterystyczny. Zaczątki tego stylu znajdujemy w twórczości takich budowniczych-artystów, jak Piotr Behrens, Jan Olbrich. Dzieła ich są wymownym dowodem na korzyść budzącej się z wiekowego uśpienia architektury, która znów chce być wyrazem twórczym życia, a nie pstrą maskaradą stylów i służebnicą archeologiczno-historycznych reminiscencji. Architektura bowiem żyje, nie jest ona, jak to Wiktor Hugo utrzymuje, li tylko mową zamierzchłej przeszłości. I terażniejszość może mieć swój styl w architekturze, aby go jednak osiągnąć, trzeba się stać panem tej terażniejszości, potrafić scharmonizować na zewnątrz treść swego bytu i nadać jej wyraz uniwersalny. Do wysokości tego zadania dorastają jedynie czasy silnej woli i głębokiej, czystej wiary w piękno. Jeszcze jeden ważny rezultat mamy pozatem nowej architekturze do zawdzięczenia: powstanie idei miast-ogrodów, której pierwsze urzeczywistnienie jest również zasługą Anglii. (Że zwrócę tutaj przede wszystkim uwagę na pracę Howarda „Garden cities of to-morrow,” która również wyszła w tłumaczeniu niemieckim w nakładzie Eugeniusza Diederichsa pod tytułem „Gartenstädte in Sicht.“). Harmonia architektoniczna wymaga nie tylko wewnętrznego zrównoważenia, ale i zewnętrznego, a to zewnętrzne zrównoważenie jest zależne nie tylko od ogrodu otaczającego dom, od ogrodu, który jest jednym z uzupełnień architektury, ale od całego dalszego otoczenia. Ideałem architektury musi być w końcu

zawsze szarmonizowanie dzieła rąk ludzkich z otaczającą naturą. Uświadomienie to stanie się z czasem potężnem vetem przeciw brzydocie i chaosowi dzisiejszych przeludnionych miast, rozrastających się bez żadnego wyższego planu i celu, jedynie za poszeptem spekulacyi i z łaski przypadku. I w tym kierunku praca już została rozpoczęta, towarzyszy. twa, mające na celu budowę miastogródów, istnieją nietylko w Anglii, ale w Niemczech, Francyi, Holandyi i Belgii. Najlepszy dowód na to, że cele tych towarzysztw nie są utopiami, mamy w istniejącej już od lat kilku i pod względem finansowym bez zarzutu rozwijającej się kolonii Bournville pod Birminghamem, której twórcą jest fabrykant Jerzy Cadbury i w powstającym obecnie w Hitchin'ie w pobliżu Londynu mieście, którego założycielem jest stowarzyszenie „First Garden City Lim.“ Są to niezawodnie dość liczne i imponujące oznaki budzących się sił twórczych teraźniejszości, z którymi liczyć się należy. Ciekawa jest ze względu na to apostrofa Muthezyusza, skierowana pod adresem Niemiec. Ma ona i dla nas swoje znaczenie.

„Francya—pisze Muthezyusz—przez stulecia całe regulowała produkcję świata w dziedzinie sztuki stosowanej. A nawet aż do ostatnich czasów decydujący wpływ swój zachowała, pomimo że coraz bardziej poczyną tracić wewnętrzne uzasadnienie do takiego wpływu, żyje bowiem z pracy twórczej minionych stuleci, z pracy, która właściwie już przed stu laty przestała być twórczą. Pozatem i cała twórczość kulturalna ras romańskich z roku na rok coraz bardziej ustępuje na drugi plan. Za to narody germańskie coraz silniejszy wywierają wpływ przez swój pod wieloma względami odrębny światopogląd, przez swoje zupełnie inne pojęcia o potrzebach życia, przez swoje poczucie piękna. Nowożytny świat angielski jest zaokrąglonym obrazem kultury, opartej na fundamencie germańskim. A poglądy angielskie zdobywają bez przeszkody świat cały. Niepodobna aby w tym okresie poczynającej się nowej kultury germańskiej wzrastające potężnie siły niemieckie pozostały na uboczu. Pracy twórczej Niemiec w dziedzinie naukowej, oddawna już należy się miejsce pierwszorzędne. W dziedzinie techniki i przemysłu zdobyliśmy w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu jedną z najprzedniejszych placówek. W sztuce zato znaczenie Niemiec ogranicza się prawie wyłącznie do dziedziny muzyki. Rozwój bowiem malarstwa w ciągu XIX wieku jest dziełem Francyi. Sztuki plastyczne znajdują się dziś w Niemczech na bardzo jeszcze niskim stopniu rozwoju, a w architekturze można zaledwie początki oryginalnej twórczości

zaznaczyć. Cudzoziemcy nie wiedzą nic o malarstwie niemieckiem, gdy tymczasem dzieła francuskich pejzażystów i impresjonistów są zarówno cenione w Ameryce, jak w Anglii i na całym kontynencie europejskim. Żaden rzeźbiarz niemiecki nie potrafił zjednać sobie sławy wszechświatowej, ale dzieła Meunier'a lub Rodin'a są znane powszechnie dzięki temu, że twórcy ich, stosownie do potrzeb czasu, potrafili rozszerzyć granice swej sztuki. Dzieła młodej niemieckiej sztuki stosowanej są pierwszym świadectwem w dziedzinie sztuk plastycznych, które zwróciło uwagę całego świata."

Nie zawadziłoby zaznaczyć się dokładniej z tendencjami tej młodej stosowanej sztuki niemieckiej. Są one bowiem nie tylko dowodem oryginalnej twórczości niemieckiej, ale zarazem przykładem, w jaki sposób inicjatywa angielska została przez Niemców spożytkowana.

*

*

*

Czasy rozkwitów, czasy budzących się nowych sił twórczych odznaczają się zazwyczaj silnym optymizmem. Jedną z ich cech znamienych jest bezgraniczna niemal wiara we własną moc, przeświadczenie, że niema przeszkody, któraby mogła mocy tej przeciwstawić swe potężne veto. Pod tym względem podobne są dzieje ludzkości do rozkwitów wiosennych. Widocznie w tem natura ludzka podlega tymże samym prawom, co natura zwierzęca lub roślinna, a nawet dzieje ducha, jako w bezpośrednim związku z nią będące, wykazują uderzające analogie. Jednym z tych objawów jest olbrzymia rozrzutność zasiewów i elementarna niemal potrzeba tej rozrzutności. Nie każde ziarno bowiem wschodzi, tysiące, setki tysięcy giną, a czasem nawet cały zasiew przepada. Tak np. w „okresie burzy“ i wrzenia zdawało się wszystko początkowo zapowiadać bliskość uniwersalnej kultury niemieckiej. Nadzieje te jednakże nie zostały urzeczywistnione. Zaledwie pojedyncze jednostki zdołały wcielić siłę pierwotnego impetu w życie i w czyn. A czyż nawet Goethe, ten wyjątkowy zrównoważony reprezentant kultury uniwersalnej swego czasu, nie okazał się do pewnego stopnia zdrajcą ideałów i nadziei swej młodości? A gdyby nie tak było, byłbyż wpływ Szyllera równie potężny

i elementarny? Winić wszelako Goethego nie mamy prawa, że w zapale swoim dla sztuki gotyckiej, dla ballad północnych i pieśni ludowych ostygł i rzucił się z zachwytem w objęcia piękności klasycznej. Czyż odkopany przez Winkelmann'a problemat świata klasycznego, zaledwie muśnięty przez pseudoklasycyzm, nie był wart tego zapалу? Podobnie romantyzm Tiecków i Schległów nie był w stanie ostać się wobec tych prądów, które po za nim wywierały wpływ na życie ówczesne. Oto powody, dla czego częstokroć nawet obiecujące początki kończą się przedwczesnym zanikiem. Ale siły zmartwychwstają, domagają się nowych rozkwitów, nowe saturnalie życia chcą święcić. W tej nieustannej walce ich z nieudolnością ludzką wyrażają się dzieje kultury i kultur. Rzeczywistość jest i musi być niemiłosierną korektorką entuzjazmu twórczego. Czyż dlatego mamy wątpić o możliwości realizacji naszych nadziei? o mocy twórczej entuzjazmu? Jako ostry, ale do pewnego stopnia paradoksalny krytyk współczesnych dążeń kulturalnych w Niemczech zasługuje Ryszard Schaukal na uwagę, przedewszystkiem dzieło jego „Leben und Meinungen des Herrn Andreas von Balthesser“ (Życie i myśli Andrzeja von Balthesser'a), w którym autor bardzo subtelnie określa cechy i istotę kultury, starając się wykazać, że teraźniejszość niemiecka o całą nieskończoność oddalona jest od właściwego pojęcia kultury. Książka Schaukala, opowiadająca w formie bardzo wytwornej życie młodzieńca-arystokraty, pracującego trochę w ambasadzie, zajmującego się sztuką, krytykującego najprzeróżniejsze objawy współczesnego życia i ginącego w końcu ze średniowieczną rycerskością w pojedynku, spowodowanym przez śmieszoną błahostkę, nie jest ani powieścią, ani nowelą, ale szeregiem luźnych, częstokroć bardzo dowcipnych traktatów na temat kultury. W swoich poglądach na kulturę i środki do osiągnięcia jej przypomina Schaukal, jak zresztą prawie wszyscy reprezentanci kultury cieplarnianej w Niemczech (np. taki Oskar Bie, Franciszek Blei, Herman Bahr i w. in.), wzory romańskie, przedewszystkiem francuskie. Myśli podobne mogłby również mieć, dajmy na to, jakiś markiz francuski z wieku XVIII-go. Atmosfera, w której zrodzone zostały te, jak zresztą sam Schaukal je nazywa, salonowe „aperçu“ dandysa i dyletanta (dandys i dyletant są tutaj określeniami, użytymi przez autora, a definicya ich, której poświęcone są dwie rozprawy, określa wymownie stanowisko Schaukala, jako przedstawiciela i rzecznika kultury ekskluzywnej, kastowej) jest atmosferą pałacową, a zdaniem autora zdaje się jedyną, w której prawdziwa kultura powstać i utrzymać się może. Gdyby tak było,

musielibyśmy się raz na zawsze wyrzec wszelkiej myśli o kulturze nacyonalnej. Gdyby kultura zależna była przedewszystkiem od form zewnętrznych, gdyby odzież, tryb życia, zwyczaje i warunki materyalne decydowały jedynie o możliwości jej powstania, zamiast być jednym z jej późniejszych wyników — to istnienie kultury musiałoby być w ścisłym związku z istnieniem kasty, a niedostępność i skamieniałość kastowa jedną z głównych gwarancyj kultury. A jakżeż wyglądałaby wobec tego idea postępu? Odwieczne zagadnienie, na które ani historia, ani dotychczasowa filozofia historii nie dały nam odpowiedzi wystarczającej. „Przez słowo „Postęp“ rozumie większość — nie zdając sobie z tego sprawy — brak zdolności zapuszczenia korzeni“ — powiada Schaukal w jednym ze swoich aforyzmów. Kastą w swoim rodzaju jest jego „towarzystwo.“ Towarzystwo to jest dlań absolutem. Mamy tylko *jedno* towarzystwo. Przynależność do tego „towarzystwa“ stanowi o wartości kulturalnej jednostki. Pomijając już mglistość tej definicji — trudno byłoby bowiem określić, co to jest „towarzystwo“ i gdzie się zaczyna lub kończy dzisiejsze „dobre towarzystwo“ — niepodobna nie zakwestyonować kwalifikacyj kulturalnych tego właśnie dobrego towarzystwa. Że „kultura obyczajów“, jak ją Schaukal nazywa, jest rzeczą cenną i pożądaną, że ludzie kąpiący się często, noszący lśnącobiałą bieliznę i nieprzypinane mankiety, posiadający dobre formy i czyste paznokcie, robią na zewnątrz wrażenie kulturalne i przyjemne, nie ulega żadnej wątpliwości, ale czyż te formy zewnętrzne stanowią już o kulturze serca i umysłu? Schaukal ma zupełną rację, krytykując ostro wszelkie formy współczesne zaniedbania cielesnego, które musi się niekorzystnie odbijać na naszym życiu duchowym. Że owi, dziś tak liczni, głosiciele kultury, o złotej niezdrowej cerze, o zaniedbanym zaroście, czerwonych powiekach, mętnych oczach i spotniałych, trzęsących się nerwowo rękach, że owi felietoniści-neurastenicy, przeładowani balastem literackim, którzy dziś piszą o „subtelności“ kultury są do pewnego stopnia cielesnem zaprzeczeniem wszelkiej kultury, a w najlepszym razie opłakanemi ofiarami naszej niekulturalnej jednostronności, nie ulega żadnej wątpliwości; ale czyż dlatego już wychwalani przez Schaukala młodzieńcy, którzy służą w gwardyi, lub „pracują“ w ambasadach, klasyków znają jedynie z ławy szkolnej, uczęszczają punktualnie na jour-fix'y wielkoświatowe i chętniej czytają „das kleine Witzblatt,“ lub wiadomości sportowe, niż tekst do „Tristana“ lub „Niebelungów,“ są czemś więcej, niż w najlepszym razie dobrze utrzymanymi rasowymi okazami wiekowej lub wieloletniej

tresury? — „Właściwie należałoby — pisze Schaukal — wypawszy się dobrze, wzięwszy letnią kąpiel w wannie lśniaco-białej i skończywszy z pełną wdzięku starannością swą toaletę, która należy do jednego z dziesięciu przykazań szacunku względem siebie samego, przyglądać się dobrze pielęgnowanym dzieciom, skaczącym przez linę, podziwiać rozkwitające drzewa w ogrodzie, lub też leżeć w pobliżu przepływającego ruczaju na miękkiej kołdrze angielskiej i szukać wzrokiem, jak niegdyś Adonis, własnego odbicia w falach. Trzeba na to jednakże być bez zarzutu ogolonym.“ Ileż więcej prawdziwej piękności zawiera taki np. obraz: Na rusztowaniach żelaznych hali dworca kolejowego pracują robotnicy. Wkoło każdego z wielkich filarów uwija się kilku. Przyjrzyjmy się jednej z tych grup, składającej się z czterech osób. Dwóch barczystych, silnych mężczyzn pracuje w pół zgiętej postawie, trzymając wielkie, ciężkie obcęgi, nieco młodszy, nawpół obnażony, wbija młotem gwoździe stalowe, spajające belki żelazne. Podczas, gdy skupione w sobie postacie dwóch pochylonych są jakby wcieleniem ciężkości, siły, mocy, postać wyprężona z młotem wyraża lekkość, sprężystość, rozmach, pęd. Tuż obok stoi młody chłopak, co najwyżej lat 17-tu w czarnej aksamitnej kamizelce z wielkimi lśnąciami guzikami z perłowej macicy, w szerokich aksamitnych szarawarach, jedną nogę opiera na pedale poruszającym miech, którym rozdmuchuje ogień, w ręku trzyma małe obcęgi, którymi poprawia leżące w rozżarzonych węglach gwoździe. Promień słońca pada skośnie na opaloną twarz jego, której zdrowa cera przypomina gładkością swą dojrzały owoc. Ręce, szyja obnażona, kark, ramiona są tegoż samego koloru, z pod czarnego kapelusza połyskują oczy i pukle kędzierzawych, ciemnych włosów. Chłopak ten zapewne nie ma pojęcia o dziesięciu przykazaniach szacunku względem siebie samego, nie ma czasu leżeć na kołdrze angielskiej i przeglądać się w zwierciadle wód, lub podziwiać dobrze pielęgnowane dzieci, a może nawet skóra na dłoniach jego jest popękana i twarda, ale o ileż piękniejszy i bardziej obiecujący jest on w całym swoim naturalnem zaniedbaniu od dandysa-estety, dla którego prawdziwe człowieczeństwo rozpoczyna się dopiero tam, gdzie się kończy potrzeba pracy. Schaukal napada na wszystkie niemal dzisiejsze tendencje reformatorskie, zarzucając im brzydotę, pospolitość. Być może, że np. ubiór kobiecy, t. zw. „Reformtracht“, która ma na celu usunięcie niezdrowego gorsetu, lub obuwie amerykańskie o szerokich nosach i niskich obcasach nie jest jeszcze piękne, ale czyż mamy dla tego wyprzeć się olbrzymich korzyści, które ulepszenie to nam fi-

zycznie przynieść może? I cóż natomiast radzi nam Schaukal? „Nie tylko nasz język — powiada pan von Balthesser — ale całe nasze życie utraciło wszelaki styl, a nikt z nas tego nie widzi. Czyż bowiem byłoby podobieństwem, aby ludzie nie pozabijali większości swoich architektów, budowniczych, literatów — literatów przedewszystkiem? Ażeby przynajmniej mieć możność rozpoczęcia czegoś wartościowego, należałoby dziś przedewszystkiem zburzyć miasta aż do fundamentów i wymordować wszystkich „wykształconych“ ich mieszkańców. W ten jedynie sposób można by przez wyborową hodowlę młodych ludzi — których należałoby, w miarę rozmnażania się, dziesiątkować — przy pomocy dobrych nauczycieli i świetnych wzorów osiągnąć coś, mającego podobieństwo z prawdziwą kulturą.“ Podobnie „radykalne“ reformy są już dowodem bezsilności.

Mimo całej swej paradoksalności, a może właśnie ze względu na swoją paradoksalność, zasługuje książka Schaukala bezwątpienia na uwagę, a entuzjazm np., z jakim ją powitał Maksymilian Harden, jest do pewnego stopnia uzasadniony, chociaż niezupełnie zrozumiały, ze względu na samego Hardena. Ostre przeciwdziałanie sceptycyzmu i krytyki dzisiejszemu entuzjazmowi kulturalnemu, który stawać się już poczyną w Niemczech modą, jest do pewnego stopnia koniecznością. Ważną jest bowiem rzeczą zachować w pamięci, że kultura — najwyższy tryumf człowieka — nie jest dziełem krótkotrwałych zapałów i upojen własną wielkością, ale długą, nieustanną i wysiloną pracą cielesną i duchową. Ci, którzy będą w stanie życie podnieść do potęgi stylu, muszą mieć w sobie nie tylko żar proroczej wiary, ale i bohater-ski hart i niezmacony jasny wzrok... i wielką miłość życia!

*

*

*

Wpływ starej kultury francuskiej na dzisiejsze życie umysłowe w Niemczech nie ogranicza się naturalnie do tego, co można by uogólnić pod nazwą kultury ekskluzywnej. Całe zewnętrzne życie niemieckie nosi jeszcze do dziś dnia bardzo wybitne cechy wpływu francuskiego. W dziedzinie mody panuje Paryż prawie że niepodzielnie, szczególnie w południowych i zachodnich dzielnicach państwa, gdy północ bardziej podlega wpływowi Anglii.

Podobnie mniej więcej przedstawia się wpływ mody francuskiej na przedmioty codziennego użytku. Młoda niemiecka sztuka stosowana zdobyła zaledwie, jak to już zaznaczyłem, pierwsze placówki. Cały prawie przemysł niemiecki, dotyczący tej dziedziny, trzyma się w dalszym ciągu wzorów zagranicznych, t. j. przeważnie francuskich, lub też zajmuje się imitacją stylów staroniemieckich, ciesząc się szczególnym powodzeniem w sferach prawowiernie—germańskich. Znamiennym objawem tego jeszcze mało dla młodej sztuki niemieckiej pocieszającego stanu jest, pomiędzy innemi, protest podpisany przez kilkuset fabrykantów i kupców niemieckich, a skierowany przeciw wystawie drezdeńskiej z r. 1906, przeciw młodoniemieckiej sztuce stosowanej i szkołom kunsztu i rzemiosł, służącym nowym ideom. — W mieszkaniach zawsze jeszcze przeważają urządzenia w stylu Louis XIV, Louis XV lub Empire. Podobnie repertuar teatrów niemieckich stoi zawsze jeszcze pod znakiem francuskiej lekkiej strawy, gdy wartościowe dzieła niemieckiej sceny dramatycznej napróżno czekają na wystawienie, albo też, o ile nie są dziećmi sensacyi, bardzo szybko znikają z desek teatralnych. Wpływ ten francuski odbija się szczególnie na beletrystyce niemieckiej. Oddawna już beletrystyka francuska jest niedościgłym ideałem większości literatów niemieckich, którzy siłą się nadaremnie, uszczknąć choć gałązkę z tego wieńca sławy europejskiej Francyi. Wszelki brak powodzenia pod tym względem przypisać należy przede wszystkim zupełnie innemu charakterowi uzdolnienia niemieckiego, które można by nazwać liryczno-dramatycznym. Wielcy prozaicy niemieccy nigdy co do tego się nie łudzili. Weźmy utwory prozaiczne Goethego: „Werthera“, „Wahlverwandtschaften“, „Wilhelma Meister’a“, utwory Novalisa, Hördelina, Kleista, Eichendorfa, a ostatnio Gotfryda Kellera (szczególniej znakomitą powieść jego „der Grüne Heinrich“) — dzieła te wszystkie posiadają jeden wspólny charakterystyczny rys: — są raczej pamiętnikami, autobiografiami, niż powieściami we właściwem tego słowa znaczeniu. Tego rodzaju pamiętniki mogą dla ludzi, nieprzywykłych do zagłębiania się w utwory artystyczne i czytających jedynie dla rozrywki — a więc dla większości czytającej publiczności — wydać się nudnemi, posiadają jednakże nie tylko wysokie zalety kulturalne, ale niejednokrotnie również duże zalety artystyczne. Zabiegi przeciętnych niemieckich powieściopisarzy są wobec smaku publiczności, do reszty zdeprawowanej przez powierzchowne romansopisarstwo, rzeczczą zrozumiałą. To jednakże, co Francuzom udaje się znakomicie, dzięki ich uzdolnieniu, w ramach twórczości niemieckiej wy-

pada mniej pomyślnie. Pisać referaty o tym odłamie piśmienictwa niemieckiego nie jest bynajmniej rzeczą pożądaną. Wobec olbrzymiej liczby powieści, zjawiających się w Niemczech rok w rok, zaledwie jedna lub dwie zasługują na uwagę. Dobrych powieściopisarzy niemieckich w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia możnaby policzyć na palcach, bo czyż powieści takich Spielhagenów lub Freytagów np., które cieszyły się niegdyś takim uznaniem, możnaby porównać z twórczością Flauberta, Goncourtów lub Balzac'a? Powieści Wilhelma Raabe'go są utworami, które po za obrębem Niemiec nigdy nie będą się cieszyły uznaniem. Pozostają więc, jeżeli pominiemy humorystę Fryderyka Reutera, który pisał w narzeczu meklemburskiem, niezrozumiałem dla cudzoziemca, Fontane i Gotfryd Keller i może jeszcze niektóre nowele Konrada Ferdynanda Meyera i Klause Groota. Żaden z współczesnych powieściopisarzy niemieckich nie dorasta nawet do tej miary. Cóż można np. powiedzieć o takich producentach powieściowych en gros jak bracia Zobeltitz, Baron von Schlicht, von Perfall jeden i drugi, Heer, Herzog, Hegeler, Wassner, von Schimelpfennig i o większej części piszących kobiet, takiej np. hrabiny Bethusy-Huc, Eufemii von Adelsfeld, hrabiny Rantzau, Osipa Schubina (pseudonim) i t. p. Treść tych elukubratów zawsze ta sama: — zdrada małżeńska, miłość z przeszkodami, miłość zawiedziona, miłość oszukana, ... zawsze też same typy towarzyskie — zapracowany dygnitarz, nie mający czasu być człowiekiem, dobroduszny, ale śmiesznie niepraktyczny uczonec, posiadający żonę-gęś albo żonę-kokietkę, oficer, którego honor zależny jest od ... umundurowania, dwa typy artystów: artysta pomalowany na białą — ideał-geniusz i artysta pomalowany na czarno — postać demoniczna, podróżnik-sceptyk, albowiem wszystkie kraje świata tego zwiedził i wszystkiego użył, przemysłowiec — człowiek „kolosalnie“ energiczny, podupadły arystokrata, sprzedający jedyną córkę, syn utracysz, rujnujący ojca i t. d. i t. d. Przytem wszystkie te typy posiadają zawsze tę samą szablonową jednostajność, są jakby wytworami tegoż samego fabrykanta marionetek. Do tej kategorii należy zaliczyć twórczość barona von Omptedy, który jako tłumacz Maupassant'a na niemiecki (o wiele lepszego tłumaczenia Maupassant'a dokonał Artur Moeller van den Bruck) uchodzi w oczach krytyki za jednego z najwybitniejszych naśladowców tego autora w Niemczech. W istocie podobieństwo prawie żadne nie istnieje. „Minne“ ostatnia powieść Omptedy nie jest ani o włos lepszą od jego dawniejszych utworów powieściowych. Minne — wyraz staro-niemiecki, oznaczający miłość — jest tutaj zarazem

imieniem bohaterki romansu. Minne, jako żona jednego z owych dobroduszných uczonych, którego znamioną cechą jest w danej powieści... długość niepomierna wzrostu, należy do kategorii żonkokietek. Ojciec jej jest jednym z owych zapracowanych „Geheimratów,” nie mających czasu być ludźmi, matka-gęś, kochanek-oficer, którego honor zależny jest od munduru. Jako reprezentantów „lepszego” towarzystwa, mamy cały zastęp owych zjadaczy dobrych kolacyj, których szablonowość, jako statystów powieściowych, jest obowiązkowa. W „gorszem” towarzystwie, którego członkiem staje się Minne po wykryciu przez „długiego” uczonego jej stosunku miłosnego, spotykamy znów zwykłe szablonowe postacie światka zwanego „światem bohême,” a więc podstarzałe, obowiązkowo podstarzałe śpiewaczki, brutalnego, obowiązkowo brutalnego tenora, posiadającego miliony w krtani i płucach, poetę-dekadenta, autora „Pieśni zamierania,” typ dziś równie popularny, jak kabarety i t. d. Resztę każdy z łaskawych czytelników będzie sobie w stanie sam dopełnić, opierając się na doświadczeniu zaczerpniętem z licznych, w różnych okresach swego żywota dla „zabicia czasu” czytanych powieści, których mnogość bardziej jeszcze może jest zadziwiająca, niż cierpliwość i dobroduszość publiczności, łapiącej się na tenże odwieczny lep.

Pośród powieściopisarzy niemieckich o cechach wybitnie francuskich zajmuje hrabia Keyserlink stanowisko odrębne. Keyserlink jest jednym z tych niewielu powieściopisarzy, którzy posiadają pewną kulturę. Nawskroś francuskim jest też jego styl o dyskretnych, prawie możnaby powiedzieć bladych, ale bardzo udatnie zharmonizowanych kolorach, jego lekko sarkastyczny sceptycyzm, posiadający wszystkie cechy prawdziwej wielkopańskiej nonszalaney, jego umiarkowanie i zwartość. Powieści Keyserlinka, jak np. ostatnia „Dumala,” wyszła niedawno w nakładzie S. Fischera w Berlinie, rzadko przekraczają rozmiary większej noweli, zamykają jednakże w tych formalnie ciasnych ramach treść zaokrągloną i dojrzałą. Treść ta różni się zazwyczaj bardzo mało od utartej treści zwykłych powieści współczesnych, ale podana jest w formie bardzo wytwornej. Jeżeli już koniecznie czytać musimy rzeczy „lekkie,” to Keyserlink chyba najbardziej się dziś w Niemczech do tego nadaje.

Jeszcze liczniejszy jest zastęp powieści obyczajowych, będących również pod wyłącznym prawie wpływem Francyi. Powieści te, których główną zasługą ma być ich ścisłość—tak przynajmniej sami autorzy utrzymują, nazywając je zazwyczaj „dokumentami”—należą do najbardziej natrętnych much sezonu. Mamy do-

kumenty wielkomięjskie — powieści Kretzera, Ostwalda, Lindaua, Stilgebauera np., a ostatnio Turschinsky'ego i Saudeka (Dämon Berlin), mamy dokumenty dotyczące ruchu kobiecego — Meysel-Hess, Klara Blüthgen, Olga Wohlbrück, Marya Janitschek, Ella Mensch—dokumenty dotyczące prostytutki, zbrodni, armii, handlu, socjalizmu, magazynów mód, szpitali, teatrów, etc. etc. I w tej dziedzinie nie podobna wyszczególnić ani jednego utworu, mogącego wytrzymać porównanie z pierwowzorami francuskimi. Jedynie pod względem ruchu kobiecego powieści francuskie są może jeszcze gorsze od niemieckich. Tutaj to wzorują się Niemcy przeważnie na beletrystyce skandynawskiej i duńskiej, które posiadają cały szereg wybitnych powieściopisarek i powieściopisarzy, traktujących z pewnem wirtuozowstwem tę specjalność, np. Amalia Scram, Per Hallström, Larsson i w. in.

*

*

*

Pomimo więc wielorakich dowodów zastraszającej wprost produkcyi beletrystycznej, pomimo wielkiej liczby olbrzymich powieści, których objętość od czasu sukcesu powieści Tomasza Man-
na: „Die Buddenbrocks“ (obejmującej przeszło 1000 stronic) znów poczyną rosnąć, należałoby oryginalną dzisiejszą twórczość niemiecką w dziedzinie beletrystyki wogóle nazwać nader ubogą. Allan Edgar Poe pisze w przedmowie do jednego z wydań swoich poezyj o jakoby nieodzownej potrzebie skracania objętości utworów poetycznych. Wiek nasz, tak utrzymuje Poe, coraz mniej jest zdolny do koncentrowania uwagi na dzieła kolosalne. Sądzę ten trafnie charakteryzujący stan umysłowości europejskiej w drugiej połowie XIX-go wieku, a mianowicie jej coraz bardziej zanikającą zdolność do skupiania się na dłuższą metę, jej odruchowość — impresyonizm, dałby się równie dobrze i do naszych czasów jeszcze zastosować. Boć i większa część współczesnych tasiemcowych nawet powieści, które od czasów Zoli piszemy przeważnie w niespokojnym, skaczącym stylu reporterskich impresyj, jest niczem innem, jak do potwornych rozmiarów wydętymi karłowatościami. W dziedzinie twórczości lirycznej stan ten wywołał stosunki wprost nie do zniesienia. Nadprodukcya liryczna, która już od lat dwudziestu, jakby jaka epidemia grasuje w Niem-

czek, tak zdyskredytowała subtelna tę sztukę, w której Niemcy niegdyś celowali, że trudno byłoby dziś „naród myślicieli“ nazywać nadal „narodem poetów.“ Szczególniej od czasu, gdy liryka niemiecka pod wpływem impresjonistów, zapominając o zadaniach i granicach poezji, poczęła silić się o współzawodnictwo z malarstwem (mam tutaj przedewszystkiem na myśli szkołę Arno Holza), liczba niepowołanych, dla których, dzięki podniesieniu fotografii do rzędu utworów „artystycznych,“ otworzyło się obszerne pole łatwej produkcji, wzrosła niepomniernie. Jeżeli do napisania wiersza wystarcza zasiąść przy oknie i skopiować, posługując się rymowanym lub białym wierszem, „nastrój“ danej chwili, jeżeli mniej lub więcej udatne ustawienie takich spostrzeżeń, jak:

Miesiąc wschodzi. Żaby zarechotały. Szary, jak skrzydła olbrzymiego nietoperza, zmrok zapada (poeta „liryczny“ powiedziałby: Zmrok skrzydła nietoperzowe rozpościera). Po za ciemnym wałem drzew, na białym tle nieba, zabłysła daleka latarnia...

jest już poezją, to jużci każdy jest w stanie pisać wiersze, a sztuka rymotwórcza staje się rzeczą bardzo pospolitą, o której nie warto nawet mówić, gdyż jest próżną igraszką, a poeci — zarożumiałymi gadułami. Takie też jest dziś mniej więcej zdanie oficjalne lub nieoficjalne o poetach i poezji. Dość przyjrzeć się pogardliwie, złośliwie lub zuchwale uśmiechniętym twarzom, gdy mowa jest o poezji, albo gdy kto pod „naciskiem“ muzy wypali odę na cześć jubilata, powitalny lub pożegnalny sonet, poświęcony prowincjonalnej piwonii lub wielkomiejskiej tuberozie. A jednak... czyż winić należy głównie publiczność? Skądżeż ten brak smaku, to zdeprawowanie gustu, to lekceważenie? Za czasów Goethego cała inteligencja brała żywy udział w sprawach, dotyczących poezji. Mamyż dziś, w naszym zadyszczanym, gorączkowym wieku winić wyłącznie „poczciwego“ Müllera lub „zaczynego“ Meiera, że nie ma ani czasu, ani ochoty z tysiąca zjawiających się rok w rok zbiorów poezji lirycznych, z owego olbrzymiego śmietnika mierności i znieprawienia wyszukiwać owe rzadkie perły prawdziwego natchnienia? Sami krytycy podołać temu nie są w stanie. Jeżeli reprezentanci liryki sami nie mogą zdać sobie sprawy z tego, co sztuka ich wyrazić potrafi, a czego się imać nie powinna, jeżeli w swem zaślepieniu pozuja na portrecistów, pejzażystów, filozofów, lub linoskoków, a krytyka bije im brawo, to dla czegoż publiczność miałaby być rozsądniejszą? Dziś, w czasach, w których każdy Niemiec, jeżeli nie stale, to napewno od czasu do czasu „tworzy“ lirycznie, w czasach, w których gazety

i pisma urządzają ciągle konkursy obrazkowe i łamigłówkowe, zachęcając publiczność do przesyłania odpowiedzi i rozwiązań w formie wierszowanej, w czasach, w których przynierający z głodu poeci liryczni wykładają damom wielkiego świata w specjalnych prelekcyach sztukę pisania wierszy, a akademie wierszokletoń „wisi“ w powietrzu, jedynym wyjściem z tego filigranowo-porcelanowego lirycznego chaosu byłby zwrot ku sztuce monumentalnej. Zwrot ten poniekąd wyraża twórczość dwóch najwybitniejszych poetów lirycznych Niemiec: barona Liliencron'a i Ryszarda Dehmela, a mianowicie wielki poemat autobiograficzno-satyryczny Liliencrona: „Poggfred“ i epea Dehmela: „Dwoje Ludzi.“ W dziedzinie beletrystycznej należy się pod tym względem gorące uznanie twórczości Ricarda Hucha. Ricarda Huch jest dziś, obok Klary Viebig i staruszki baronowej Ebner von Eschenbach, jedną z tych nielicznych piszących Niemek, których twórczość przynosi chlubę sztuce niemieckiej. Do zaznajomienia się z twórczością tej poetki nadają się przede wszystkim jej trzy główne dzieła, stawiające ją obok jednej z najgłębszych współczesnych poetek europejskich, Selmy Lagerlöff. Są to trzy powieści: „Erinnerungen von Ludolf Ursleu dem Jüngeren,“ „Aus der Triumphgasse“ i „Vita somnium breve.“ Poza tem wyszło jeszcze z pod jej pióra kilka innych bardzo dobrych powieści, kilka nowel, kilka utworów dramatycznych, dwa zbiory liryczne i dwa cenne dzieła, traktujące o romantyzmie niemieckim. Ricarda Huch jest bowiem prawą córką romantyzmu i, że tak powiem, kontynuatorką tradycji Gotfryda Kellera i jednym z najpiękniejszych urzeczywistnień neoromantyzmu. Z rzadką wielostronnością łączy utalentowana autorka zadziwiający artyzm, przepyszną, znakomicie zharmonizowaną konstrukcję i język, którego piękność nie pozostawia nic do życzenia. Spokój i naturalność, z jaką Ricarda Huch opisuje życie, bez względu na to, czy chodzi o los bohatera, czy o zbrodnię zwyrodniałego, ma w sobie coś z majestatu natury. Najbarwniejszym i najdoskonalszym wyrazem jej stylu jest powieść „Vita somnium breve.“ Obrazy i opisy w tem niepospolitem dziele olśniewają wprost swemi wdziękami. Czasem staje się poetka patetyczną, przerywa spokojny, jasny tok opowiadania i uderza kilka akordów potężnych, jak głosy morza. Przykładem jest np. apostrofa do Zurychu w powieści: „Vita somnium breve“ (O miasto młodości i nadziei!), albo ów piękny wstęp, którym rozpoczyna wspaniałą trylogię, opiewającą losy wyzwolonych i zjednoczonych Włoch i bohatera ich, Garibaldiego: „Der Kampf um Rom.“

„Pieśni nucić będziemy, zaklinając wielkiego umarłego wyspy. Pomiędzy skałami wybrzeża rozciągniemy harfę eolską i zabrzmi z każdym powiewem wiatru świętymi wspomnieniami: o rozpostartych w wietrze chorągwiach i mieczach pijanych szałem, o ofiarach i tryumfach. Śpiew nasz o śmierci i zmartwychwstaniu Włoch—usłyszysz Garibaldi: powstanie z falującego łona bogaświatów i śnić będzie w szerokich akordach harfy, którą morze swym dźwiękiem przenika. Patrzcie, ponad skałami postać jego góruje, głowę jego okalają obłoki, pierścień szafirowy oceanu wije się wkoło stóp jego. Śpiewajmyż stare pieśni, zaklinając lwa wyspy!“ Te wibrujące tryumfem fanfary zwyciężkie nie szkodzą, jednakże nigdzie spokojnemu tokowi opowiadania, które odznacza się cechami wybitnie męzkimi. Dwie z najpiękniejszych powieści Ricardy Huch: „Ludolf Ursleu“ i „Aus der Triumphgasse“ pisane są nawet w formie pamiętników, skreślonych przez mężczyzn. Zato liryka Ricardy Huch jest pełna kobiecego wdzięku i kobiecej miękkości.

Romantyzm Ricardy Huch udowadnia nie tylko styl jej powieści, ale i treść ich. Niejednokrotnie w toku najbardziej naturalnej akcji, w toku opowiadania, które ze względu na ścisłość i spokój, z jakimi poetka maluje swe obrazy, miałyby się ochotę nazwać klasycznym, zatrzymujemy się zdziwieni. Toć to księżycowo-błade promienie bajki, tajemnicza przedza marzeń, która nas niespodzianie zewsząd otacza. Z niesłychaną mocą wykwitu z tych na pozór chłodnych, rzeczowych opowieści—wizya lśniąca jak morze podczas zorzy wieczornej, upajająca jak wino południa. Charakterystyczną jest pod tym względem nowela „der Mondreigen von Schlaraffis;“ czytając ją, czujemy się nieustannie jakby zawieszeni pomiędzy niebem i ziemią. W noweli tej poznajemy też wytworny humor poetki, którego połyski tłumią częstokroć lekkie mgły melancholii. Podobnemi zaletami odznaczają się również nowele „Teufeleien“ i „Haduwig im Kreuzgang;“ aczkolwiek akcja w nich niekiedy za mało posiada zwartości. Najbardziej puszcza poetka cugle swoim skłonnościom romantycznym w powieści „Von der Königin und der Krone;“ a i powieść „Vita somnium breve“ nie jest wolna od ustępów, w których Ricarda Huch zbyt może silnie podkreśla swoje subiektywne nastroje. Można by tę właściwość jej nazwać poniekąd wadą, o ile można nazwać wadą piękną i szlachetną patetyczność, uwydlatniającą charakterystyczne piękności jej jedynego w swoim rodzaju stylu. Każda z jej książek posiada swoje głębie i piękności subtelne, każda jest interesująca i piękna, każda—pełna dobroci i pewnej wielkości ducha. Chara-

kterystyczną nutą twórczości Ricardy Huch jest smutek i cierpkość. W powieściach jej natrafiamy często na tego rodzaju tematy. Tak np. w „Ludolfie Ursleu“ grzeszna miłość Galeidy i Czarda, w „Vita somnium breve“ miłość Michała i Róży, w „Triumphgasse“ losy Farfalli, kulawego Ricarda i księdza Turewicza splatają się w jeden akord minorowy niepokojący, a czasami nawet ponury. Wszędzie jednakże zachowane są granice. Nigdy dyssonans nagłego wybuchu nie przerywa harmonii, opromieniającej całość. Ricarda Huch jest poetką o wytwornej powściągliwości i subtelnym smaku.

Wspaniałemi dowodami tego dojrzałego artyzmu są jej ostatnio w nakładzie lipskim: „Inselverlag“ wydane utwory liryczne.

„Wenn je ein Schönes mir zu bilden glückte

pisze tam poetka —

„War's, weil ich hingegeben deinem Wesen,
Mit meiner Seele mich in dich verzückte,

Und wie der Winzer nach dem Traubenlesen,
Erglüht und schwankt in Purpurgest gebadet,
Wie kranke, die nach tiefem Schlaf genesen,

Wie ein Geliebter, den ein Gott sich ladet,
Ihm teilt am goldnen Tisch des Nektars Blüte,
Zurück mir kam mit Harmonie begnadet,
Unsterblich Feuer wogend im Gemüte.“

(Jeżeli udało mi się kiedykolwiek stworzyć coś pięknego, to dziękuję to temu, że cała oddana twojej istocie, o życie, zachwyciłam tobą duszą moją. I jak winiarz po winobranii płonie i chwieje się cały skąpany w purpurowych oparach, jak chory, który po śnie głębokim czuje odzyskane zdrowie, jak ulubieniec, którego Bóg przy złotym stole obdarza kwiatem nektaru, tak powrócił mi opromieniony łaską harmonii falującej ogień nieśmiertelny mej duszy).

Bardzo pięknem dziełem jest również kolosalna trylogia Ricardy Huch „Der Kampf um Rom“, której drugi tom wyszedł niedawno (pierwszy wydany został przed dwoma laty). Z właściwym sobie spokojem przedstawia poetka w poemacie tym w potężnych rytmach epickich historię walki Włoch o wolność. Wydarzenia przesuwają się przed wzrokiem naszym z historyczną niemal ścisłością, a jednak jakaś moc szczególna z nich wieje, wabi, interesuje, porywa. Mocą tą jest piękność życia, którą udało się poetce tak po brzegi wypełnić dzieło swoje, że upajamy

się niem, jak wydarzeniami własnego życia. Jedynie głęboka znajomość życia była w stanie tak świetnie wywiązać się z tak trudnego zadania, a jakżeż czystem zwierciadłem być trzeba, aby mózdz tak olbrzymie perspektywy wiernie odtworzyć. Być może, iż pod względem formalnym możnaby autorce zarzucić, że przestąpiła w powieści swej granice dozwolone, że powieść jej nieposiada bohaterów w utartem tego słowa znaczeniu, że nie jest w gruncie rzeczy powieścią, ale olbrzymim freskiem epickim, ułożonym z mozaiki drobnej anegdot, opisów i epizodów. Zarzut taki jest atoli małostkowością wobec zalet poematu. Oddać w kilku słowach treść jego, wskrzesić symfonię dziejów, przeznaczeń, losów, zbrodni, piękności, zaślepień, czystości, bohaterstwa, symfonię, w której Włochy są kochanką, a kochankiem Garibaldi, niepodobna. Niechaj natomiast kilka prób stylu wykaże niektóre zalety dzieła. Weźmy np. kilka opisów natury. Opisy te są dwojakiego rodzaju: jedne posiadają wielką patetyczną moc, są jakby akompaniamentem do jakiejś daleko ważniejszej treści, służą poetce jako przenośnie i barwne arabeski, drugie—ciche, same sobie celem są, chwilami odpoczynku w barwnym toku akcji.

Oto przykład pierwszych, mających w sobie coś z wyrazistości homerowych pieśni:

„Jak okręty przy zapadającej nocy dążą ku gwiazdzie latarni morskiej, stojącej nieruchomo w zamęcie i zwiastującej przystań, podczas gdy wiatr dmie w róg, a fale, niby psy niecierpliwę, gonią po gładkiej równinie, tak patryoci śpieszyli do Rzymu, gdy rozeszła się wieść, że Mazzini objął ster rządów Rzeczypospolitej.“

Albo owo porównanie lwicy-wojny z czerwcowem upalnym słońcem:

„Maj skończył się. Na pole bitwy występuje słońce, mordując zastępy wiosny. Miedziane podeszwy jego depcą po zawilcach, narcyzach i liliach łąk, parujący czerwony dech jego ścina kiście akacy i kwiaty pomarańczowe z drzew, metalowe wargi wysysają soki z żył ziemi, trawa na pagórkach, na których powstała stopa jego, wysycha, kędziory drzew siwieją. Tak lwica, wietrząca zdobycz, przeży się do skoku i wpija kły w piersi mężczyzn. Pąsowe kielichy ran rozkwitają, a czarny nektar się z nich sączy. Krew wiosny i wolności oszałamia ją, ścieka z grzmiącej rykiem paszczy i z płonących szponów. Pić chce! Któż powstrzyma gwiazdę szalejącą!“

Albo jeden z owych czystych nastrojów wieczornych, gdy Garibaldi, po ucieczce ze zdobytego przez Francuzów Rzymu (tom

pierwszy), po utracie nadziei, towarzyszków, żony, sam jeden, wygnaniec, biedak bez dachu nad głową, opuszczony, ścigany przez wrogów, czerpie nowe siły u łona natury, wiecznej karmicielki:

„Powoli szedł Garibaldi pomiędzy drzewami, które stały jedno obok drugiego prostopadle, jak światło niezachwiane, ukazując boską równowagę swych gałęzi i koron, których piękność jest odwieczna; czuł się pokrzepiony myślą, że drzewa te i po śmierci jego jeszcze przez stulecia tak, jak teraz, stać będą, niby złote filary nieba włoskiego. Pnie powoli coraz bardziej się przed nim rozstępowały — kilka tylko jeszcze wznosiło się potężnie ponad krzakami i gęstwiną zarosli — i ujrzał morze przed sobą, mglistą, drgającą nieskończoność, ponad którą stała zamglona tarcza księżycy, podobna do dalekiej pożogi jakiegoś zbłąkanego okrętu. Z sercem, wypełnionem ciszą wieczoru, zakopał się w miękki piasek wybrzeża, ale stało się inaczej niż myślał. On, który śmierci szukał, który już w jej objęciach leżał, znalazł w tym uścisku odwagę nową do czekającego nań życia, pełnego pospolitych dni i walk bez chluby.“

*

*

*

Po dniu spędzonym wśród dzikiego, szarpiącego nerwy i wysysającego moc zamętu wielkomiejskiego, o godzinie, w której otwierają się podwoje jarzących się tysiącem światel sal teatralnych, koncertowych i balowych, warto skrócić w jedną z biedniejszych dzielnic owych wielkich miast-potworów i odszukać jedną z sal nabożeństwa „Armii Zbawienia,“ znanych dobrze każdemu w tych dzielnicach. Są to zazwyczaj dość duże, niezbyt jasno oświetlone sale restauracyjne 3-go lub 4-go rzędu, w których w niedzielę, przy dźwiękach orkiestry i przy bardziej rześkiem oświetleniu, kręcą się w zapamiętany walcu lub rheinländerze spocone kucharki w objęciach subjektów, żołnierzy i robotników. W głębi każdej z tych sal znajduje się zazwyczaj mała scenka dla przedstawień amatorskich, której jaskrawe kulisy obrażają wzrok swą zuchwałą kolorowością. Ściany zdobią wielkie lustra i tanie, zrudziałe złocenia, a pomiędzy olbrzymiemi kandelabrami z imitowanego bronzu i pobielonemi, udającemi marmur, filarami zwisają różnobarwne festony papierowe. W tych to salach, zasta-

wionych krzesłami, odbywa „Armia Zbawienia“ swoje wieczorne nabożeństwa. Kobiety w kapeluszech, mężczyźni z paletotami na ramieniu, podlotki, dzieci... wszystko przeważnie osoby, należące do biedniejszej ludności wielkomiejskiej, stanowią audytoryum. Pomiedzy publicznością uwijają się, sprzedając broszury i gazety „Armii Zbawienia,“ umundurowani mężczyźni i kobiety w krótkich, ciemnoniebieskich bluzach z czerwonymi, stojącemi kołnierzami, od których odbijają się blade, charakterystyczne, niekiedy nawet sympatyczne twarze. Jeden z tak umundurowanych mężczyzn intonuje na chrapliwym pianinie jakiegoś marsza i przy dźwiękach tej muzyki, której towarzyszy nieznośne, głucho dudnienie bębna, wstępuje „pułkownik“ z „kapitanami,“ „kapitankami“ i „oficerami“ Armii na podium małej scenki. Nabożeństwo się rozpoczyna. Pieśni nabożne, śpiewane na melodyę walców lub ohydnych polek i powtarzane przy łoskocie bębna i rechotaniu pianina z hypnotyzującą wprost jednostajnością, mowy, których treścią są obrazy ze świata nędzy wielkomiejskiej, sprawozdania z działalności Armii, ujęte zazwyczaj w formę osobistych doświadczeń i zabiegów, napomnienia, a w końcu częstokroć fantastyczne wycieczki przeciw grzeszności świata i natury ludzkiej, stanowią główną treść. A potem—prezydujący, kapitan lub pułkownik Armii, wzywa dusze do nawrócenia się i przy dźwiękach wyżej opisaney muzyki, przy nawoływaniu kapitana i historycznych okrzykach umundurowanych kobiet Armii, zbliżają się do rampy pochylone, nieśmiałe postacie szukających zbawienia — kobiety, dziewczęta, chłopcy, niejednokrotnie nawet mężczyźni i dzieci. Obok każdego z klękających u podnóża sceny klęka natychmiast brat lub siostra, kładąc rękę na jego ramieniu i po krótkiej, cichej modlitwie prowadzi go do obok sceny znajdującego się pokoju, w którym nawiązany zostaje stosunek każdego z nowicjuszków do „Armii Zbawienia.“

Tak zadawalnia pewna część mieszkańców wielkomiejskich swoją potrzebę religii. Podobne tendencje nie są objawem sporadycznym w życiu współczesnem niemieckiem, odpowiada im w sferach inteligencji działalność towarzystw teozoficznych i towarzystw monistów, których popularność rośnie z dnia na dzień. Pozatem literatura, dotycząca tych zagadnień bądź to treści filozoficznej, kulturalnej, artystycznej, bądź teologiczno-praktycznej, stanowi dziś poważny i interesujący odłam współczesnego piśmiennictwa niemieckiego. Pisać o niej, znaczyłoby rozpoczynać specjalne studjum, na co naturalnie brak miejsca w niniejszem sprawozdaniu. Dziś tylko w związku z temi tendencjami wspomnę

o twórczości niedawno zmarłego poety niemieckiego, którego do pewnego stopnia możnaby nazwać jednym z pierwszych i najgorętszych wyrazicieli uczuć religijnych w Niemczech współczesnych — o księciu Emilu Schoenaich-Carolath, którego twórczość dotychczas nie została jeszcze należycie oceniona przez współrodaków. Księcia Schoenaich-Carolath, którego filantropijna działalność na wielką skalę przypomina pod niejednym względem pracę „Armii Zbawienia,” możnaby nazwać poetą o cechach wybitnie teozoficznych, pomimo, że jak każdy głębszy i szerszy artysta, był twórcą oryginalnym. Drogi atoli, któremi Carolath dąży do swoich celów, nie są utartymi gościńcami frakcyi, stowarzyszenia, ale stromemi, kamienistemi ścieżkami indywidualnych walk i objawień. We współczesnej literaturze zajmuje twórczość Carolath'a, którego zaliczyć należy do starszego pokolenia młodych Niemiec, stanowisko znamienne. W swoim światopoglądzie należy Schoenaich-Carolath do czasów przed-nietzscheańskich, do czasów najsilniejszego pesymizmu, którego wyrazicielem klasycznym jest Schopenhauer. Stąd też pokrewieństwo jego z takimi twórcami, jak Griesebach, Hammerling, Heine. Szczególniej z Heinem, tym pod względem ideowym antypodą, łączy go wiele wspólnych cech formalnych. Z pod tego formalnego wpływu wyzwolił się Carolath dopiero w późniejszych latach, a liryka jego z tego okresu wykazuje już niejeden rys pokrewny z liryką Liliencrona i Dehmela, których poprzednikiem możnaby go było pod względem formalnym nazwać. Mimo to, przeważają w jego większych poematach tony bajronowskie. Bajronizm Carolatha w połączeniu z jego typowo-niemiecką skłonnością do olbrzymich syntez poetycko-filozoficznych, jak np. zestawienie w poemacie „Śmierć Don Żuana” Fausta i Don Żuana, jako dzieci Wenery i Żyda wiecznego tułacza, nadaje jego poezyi epickiej ton specjalny. Utwory jego epickie mają pozatem pewne podobieństwo do poematów Lermontowa, szczególnie ów wyżej wspomniany poemat „Śmierć Don Żuana,” którego scenerya gruzińsko-kaukaska wzięta jest z krainy romantyzmu rosyjskiego. Zamiłowanie do makartowsko-barwnych tematów cechuje wogóle większą część utworów Carolatha, szczególnie zaś jego większe poematy, jak „Angelina,” „Sfinks,” „Fathume.” Wschodnie bogactwo swoich tematów lubi atoli poeta tłumić przez niepokojąco-tajemnicze oświetlenie, nadające barwności jego stylu sytość i połysk dyskretny aksamitów perskich. Charakterystycznym przykładem tego rodzaju utworów są naprzykład pierwsze strofy pięknego wiersza „Requiem,” które też pod

względem rytmicznym, w swem przerywanem, niespokojnem tempie namiętności nurtującej, zasługują na uwagę.

Die Nacht ist weich. Es duften stark
Im Glas die Rosen. Verschwelend knistern
Die Kerzen. Es murr't der Wind im Park,
Gleich Orgelton aus tiefen Registern.

Wir sitzen allein. Es rinnt dahin
Der Atem der Nacht. Wie Gespenstersprache
Verklang das Vorspiel zu Lohengrin,
Ein Heimruf, im schwülen Prunkgemache.

.

Należą one wogóle, jak niejeden z utworów lirycznych Carolatha, do najpiękniejszych kwiatów współczesnej literatury niemieckiej. Pośród utworów nowelistycznych Carolatha znajdujemy też cały szereg rzeczy głębokich i wartościowych. Wspaniałe są w duchu teozoficznym pisane nowelle jego „Der Heiland der Tiere“ (Zbawiciel zwierząt) i „Die Kiesgrube“, przypominające w swej wielkiej miłości dla całego stworzenia „Ostatnią z Bajek“ Norwida. Miłość i współczucie z pogwałconą przez człowieka naturą zaostreza się w allegorycznym poemacie prozą „Wildgänse“ (Gęsi dzikie) do oskarżeń teraźniejszości:

„Czyż można zobaczyć na ziemi tej coś innego, jak wojnę, gwałt i niesprawiedliwość? Z państwem tem graniczą inne państwa, a żadne nie wie, co to spokój. Jeden Cezar boi się drugiego. Każdy z nich ukradł sąsiadowi szmat ziemi—i żyją teraz pełni niedowierzania, na czatach, gotowi do wojny. Złe sumienie ich dreczy. Oto przekleństwo ich i ich niepokój! Strach i troska o zachowanie potęgi są towarzyszami potężnych, a u ogniska biednych przykucnęły niewolniczość i pożądlivość. Ubóstwo ciąży nad krajem tym i obojętność względem wszystkiego, obojętność na dobro i zło.“

We wstrząsającej, świetnie napisanej nowelli „Der bürgerliche Tod“ (Śmierć obywatelska) oskarżenia te skierowane są wprost pod adresem Niemiec.

„Żyjemy wśród pokolenia, które grzech za żart ma, a wieczną sprawiedliwość za bajkę. Gdy wielka nadzieja odrodzenia i zjednoczenia stała się rzeczywistością, gdy wielki, utęskniony związek wszystkich państw niemieckich został dokonany, rzucił się naród nasz z okrzykiem zwycięskim naprzód, pełen ufności w swe siły i w swe zdobyte przywileje, bez wniknięcia atoli w siebie—nie odnowiwszy swego związku z Bogiem. Myśleliśmy, że po

świetnem zwycięstwie, wszelka walka będzie zbyteczna, że wszelka wewnętrzna praca jest już niepotrzebna. Nie święciliśmy żadnego *ver sacrum*, zaniechaliśmy cichych, wielkich ofiar dziękczynnych. Pracowaliśmy tylko bez wytchnienia dalej — powoli poczęło nas jednak opuszczać uczucie szczęśliwego bytu i zadowolenia. Narodowi niemieckiemu brak błogosławieństwa bożego. Strzeżcie się, aby wojna ta olbrzymia, do której, pomimo wszystkich naszych chęci zachowania pokoju, zmierzamy nieodzownie, z fatalną koniecznością, nie nauczyła nas w straszny dla nas sposób, że źle się dzieje zastępom bojowników, od których Bóg odwrócił oblicze swoje.“

Nic dziwnego, że podobna prawdomówność nie mogła wpłynąć korzystnie na popularność księcia-poety w Niemczech, że więcej interesowano się jego stanowiskiem względem kobiety, które nacechowane jest silnym pesymizmem, jego formalnemi zaletami, niż stroną etyczną jego twórczości. A pod tym ostatnim względem właśnie wpływ i znaczenie Carolatha należy do przyszłości. Wobec coraz silniej budzącej się w Niemczech dzisiejszych potrzeby religijnego pogłębienia światopoglądu, Carolath będzie jednym z tych, którzy przeszłość łączą z przyszłością. Prawdziwie nacyonalny światopogląd może wtedy tylko być trwały, jeżeli ogarnie nietylko racjonalne i uczuciowe, ale przede wszystkim metafizyczne skłonności nowoczesnego człowieka. Co do jednej bowiem ważnej kwestyi nie powinniśmy się dłużej łudzić: prawdziwa kultura nie może być stworzona bez współudziału sił religijnych, które nie są, jak to zastępy różnego rodzaju współczesnych bezwyznaniowców utrzymują, zbytecznym dodatkiem, mającym jedynie znaczenie dla ciemnych, niekulturalnych mas — ale *źródłem wszelkiej kultury*. Może w jednej z późniejszych prac będzie miał sposobność poświęcić tej kwestyi, którą uważam za jedną z najbardziej palących, tę uwagę, na jaką niewątpliwie zasługuje. Dziś, rozpatrując warunki ewentualnej kultury niemieckiej, nie mogłem nienapomknąć o tych tendencjach, które zaokrągłają w sposób godny uwagi całokształt pracy kulturalnej Niemiec współczesnych. Tendencje te są jeszcze bardzo młode, ale jako objaw pracy kulturalnej, są one dotarciem do źródeł życia. Wreszcie dałyby się nawet w mało wybrednej filozofii życia i w prymitywnych praktykach Armii Zbawienia, w głębokiej wiedzy porównawczej teozofów, czerpanej z ksiąg świętych całego świata, a przede wszystkim z literatury i tradycji indyjskich i w próbach monistów stworzenia na podstawie nauk przyrodzonych religii natury, a nawet w tendencjach reformatorskich pewnego od-

łamu teologii niemieckiej—odnaleźć też same budzące się moce, których skoncentrowanie i uświadomienie powinny być zadaniem naczelnem wszystkich bojowników kultury.

Podobne moce pulsują w odradzającym się romantyzmie i nadają mu ową niebywałą ważkość i żywotność, która jest jego znamieniem współczesnem. Nie zewnętrzne bowiem formy i praktyki stanowią o możliwości nowych urzeczywistnień, ale wewnętrzna siła i odrodzenie z ducha. Odrodzenie to nie pyta bojaźliwie o możliwość nowych środków, wcieleń, form — ale stwarza je! Wesole zwiastowanie, jakie przynosi z sobą, przeznaczone jest nie dla uprzywilejowanej kasty, ale dla wszystkich, posiadających siłę i zapał do nowych uświadomień — do postępu, który wbrew wszelkim zapewnieniom bojaźliwych, wątpiących i zgorzkniałych jest *przeznaczeniem* tego świata.

Nowa wiosna idzie—przez zamęt i głuchy gwar wielkomiejski, przez brud i błoto dnia, przez pożogę, zawiści i nienawiści. Idzie i śpiewając pieśni pełne nadziei, rozwija sztandar szkarłatny życia!

JAN KACZKOWSKI.

Koniec „wielkiego sezonu.“

I.

Tak się wszędzie nazywa okres życia teatralnego, poprzedzający kilkomiesięczne wszechwładztwo największego wroga teatru—lata. Tak żadną miarą określić nie można wegetacji naszych teatrów w minionym kwartale. Nietylko bowiem „wielkiego,“ ale właściwie żadnego nie było sezonu, a ta nicość bez nazwy może nieprędko się skończyć, może nawet na długo się utrwalić przyczepiona do hasła swego kierownika *j'y suis—j'y reste*. Gdziein-dziej, wiosna jest porą, kiedy zwycięska twórczość inicjatywy kierowniczej stara się godnie uwieńczyć całoroczną kampanię i jednocześnie wykwiła pomysłami, z których literatura i sztuka, z końcem lata, zaczną już zbierać owoce Piękna. U nas wiosna zapowiedziała się dotąd tylko w urzędowym stylu, zawitawszy w postaci depeszy z Petersburga: „Uzyskano pozwolenie na spłatę długów teatrów rządowych warszawskich w drodze pożyczki z wolnej gotówki 250,000 rubli, asygnowanej na budowę Domu Ludowego w Warszawie, wraz z narostem od kapitału procentami, pod warunkiem, aby wypożyczona suma była zapisana jako dług teatrów i aby porządek amortyzacji ustanowiło ministerium Spraw Wewnętrznych w porozumieniu się z Generał-Gubernatorem warszawskim.“

Oczywiście, że i taka jaskółka o wiosnie nie stanowi, choćby sobie nawet uwiła tymczasowe gniazdko w dyrekcyi teatrów, gdzie, z rozporządzenia władz delegowany *ad hoc* urzędnik do szczególnych zleceń bada „źródła długów“ w teatrach warszawskich. Bo w rezultacie dług, według oficjalnego orzeczenia, ma pozostać długiem, ciążącym na finansach instytucyi; a najdogodniej obmyślana amortyzacya na nic się nie zda, jeżeli po wyświe-tleniu przyczyn obdłużenia — które zresztą dla nikogo nie są dziś

tajemnicą—nie nastąpią radykalne w administracji zmiany, odbierające jej możność gromadzenia nowych długów, żadnymi korzyściami dla sztuki nieusprawiedliwionych.¹⁾

Ale gdyby nawet wszystko jaknajskładniej się ułożyło; gdyby z mora bankructwa przestała dławić finanse teatrów rządowych; gdyby spełniło się wreszcie niedościgłe dotąd marzenie: odzyskania cofniętej z niewiadomych powodów subwencji, — to i tak do owej wiosny, budzącej życie artystyczno-literackie z poprzednich zasiewów i przygotowującej ziarno do nowych plonów, — bardzo jeszcze daleko. Teatr bez długów może imponować... buchalterowi; teatr bez sztuki może wystarczać urzędnikom; społeczeństwo kulturalne chce w nim widzieć jeden z objawów, jedną z form swej rodzimej kultury; a takiej wiosny dotąd żadna nie zwiastowała nam jaskółka.

I to jest fakt, nasuwający poważne, ogólniejszej natury refleksye.

Oto dwie placówki, nikłe niewątpliwie w stosunku do całokształtu samorządnych dla kraju postulatów: dramat i opera. Ale na jednym i na drugim posterunku znaleźli się, bądź co bądź, reprezentanci tych czynników, które, w przeciwstawieniu do tak zwanej ogólnikowo „biurokracyi“, przywykliśmy równie zbiorowo zamykać w określeniu „siły społeczne.“ Nie mam w tej chwili zamiaru zastanawiać się nad tem, co skłoniło sfery administracyjne do ustąpienia na rzecz tych przedstawicieli drobnej części swej urzędniczej wszechmocy. Mniejsza o to, czy to był przypadkowy powiew liberalizmu, czy też wystąpiła cnota z potrzeby. Dość, że powołani „z zewnątrz“ kierownicy najważniejszych dziedzin twórczości w teatrze, zdobyli możność, nawet w tych szczytowych granicach niezależnej działalności, jakie im wydzielono, stanąć na gruncie poniekąd autonomicznym i zapoczątkować na scenie polskiej zwrot ku ideałom prawdziwej sztuki.

Jakże skorzystano z tej sposobności do czynów jako tako samodzielnych; w jakiej mierze wyzyskano względnie pomyślną sytuację? Fakty, na które patrzymy od roku, dają niepokojące na te pytania odpowiedzi.

Na obu stanowiskach widzimy chorobliwy rozrost ambicji, uganiającej się za władzą dla władzy i w samej gonitwie znajdującej egoistyczne zadowolenie, które jej w zupełności wystarcza. Fizyognomia zaś tej władzy rozmaicie wygląda. Rozśmiana szy-

¹⁾ Po napisaniu już tych słów dowiedzieliśmy się, że pełniącym obowiązki prezesa Dyrekcji teatrów rządowych mianowany został p. Małyszew.

derczo za jednemi kulisami, igra z naiwnym, któremu zdaje się, że ją zręcznie uchwycił; zabawia go, jak stare dziecko, pozorami, na których poznali się wszyscy naokoło, oprócz „dyrektora z urojenia,” i powagę jego wykrzywia grymasem karykatury. Wśród innych znów kulis, władza, pochłaniająca wszystko i wszystkich, snuje się z obliczem, zastygłym w wyrazie chłodnej bezwzględności i próbując siać wszędzie postrach, stara się osłonić Jowiszową chmurą obcość swoją w krainie sztuki, nie uznającej u siebie „dyrektora za uzurpacyi.” Tu i tam pyszni się próżność i harczą przedewszystkiem prywatne zachcianki; tu i tam żądza władzy ujawnia się jako jedyna kwalifikacya tych, w czyje ręce się dostała; tu i tam nie zmieniło się nic ani na jotę, nie posunęło się ani na jeden krok ku wyższym celom i zadaniom, do których osiągnięcia i zrealizowania władza za środek jedynie służyć miała; tu i tam dostarczyło się tylko wdzięcznego materiału do odwetowej, urzędniczej krytyki, kopiując niewolniczo, często gorzej, to wszystko, przeciw czemu protestowało się niedawno w odnowicielskim rozpędzie; tu i tam wreszcie myśli się więcej o podsadzeniu własnej osoby na byle jaki piedestałik, aniżeli o podźwignięciu sceny polskiej ku artystycznym wyżynom.

Tak wygląda egzamin z samorządnej dojrzałości, złożony przez dwóch kandydatów do autonomicznych stanowisk. Pomijam już oficjalną cenzurę, wypisaną im podobno przez urzędnika, badającego „źródła” długów w teatrach warszawskich; pomijam upokarzającą pozycję tych „obciętych” maturzystów wobec tryumfującej administracyjnej pedagogii; ale egzamin odbywał się przecież jednocześnie i przed społeczeństwem, dla którego żadną nie może być pociechą, że *fiasco* zdarzyło się na szczupłutkich polach działania; które owszem doznać musi trwogi na myśl o tem, co dziać się będzie na szerszej arenie, w decydującym momencie, gdy wszędzie siły społeczne zostaną powołane do kierowania donioślejszemi od teatralnych sprawami. Czy i wtedy rzeczy prywatne wystąpią na pierwszy plan, a rzecz publiczna zejdzie na ostatni? Czy i wtedy zdobywcami stokroć ważniejszych posterunków społecznych będą nie najgruntowniej do pełnienia odpowiedzialnych obowiązków przygotowani, nie najzasobniejsi w wiedzę i powagę, ale najsprawniejsi w błagierskich o władzę wyścigach?

O ile jest bliska lub daleka przyszłość, która te obawy potwierdzi albo rozwieje, trudno w dzisiejszej naszej sytuacji przesądzać; ale może trudniej jeszcze odtrącić od siebie cisnące się do głowy zestawienia. Przy badaniu stosunków teatralnych obserwowaliśmy dotychczas takie przedewszystkiem objawy, które,

odbijając w kancelaryjnych rządach polityczne prądy, polityką też zabarwiały całokształt tych stosunków i nawet na sztuce wyciskały swoje niewolnicze piętno. Dziś, gdy polityka w teatrze na chwilę w dyskretne skryła się cienie, kierownictwo sceny, wyzwolone do pewnego stopnia z pod jej wpływów, z innej strony przypomniało jednak, że teatr jest zawsze zdrobnioną reprodukcją życia, wprowadziwszy nas w świat odmiennych niby czynników społecznych, gdzie praca wrzec powinna pod hasłem „sami sobie,” a gdzie spotyka się przy bezdusznej robocie tylko epigonów „dawnego porządku.” I tu dopiero występuje na jaw symptomat, przed którym oczów zamykać nie należy. To, co dzieje się w teatrze i co hodaż i gdzieindziej na większą skalę napotkać można, ma chorobliwe cechy infekcyjnego biurokratyzmu, którego zarazek noszą w sobie ci nawet, co niby z biurokratyzmem walkę podjąć chcieli. Atmosfera, w której oddychaliśmy przez dziesiątki lat, przenikniona jest jeszcze trującymi pierwiastkami. Pod jej technieniem ważna placówka niejednemu wydaje się dotąd „intratną posadą,” odpowiedzialna władza — korzystnym monopolem; praca twórcza — biurowym referatem; pomysłowa inicjatywa — rewolucyjną zachcianką. Przy tem wszystkim — i to jest najosobliwsze — urzędnicze odruchy układają się w pozy reformatorskiego temperamentu. Na takie właśnie pozy patrzymy w dramacie i w operze, a rzut oka, jakim w dłuższym szeregu uwag zdążyliśmy ogarnąć roczną mniej więcej działalność kierowników tych gałęzi, dostatecznie, jak sądzę, wyświecił, co trzymać wypadnie o ich gestach samorządnych, co o czynach biurokratycznych. Do tej wymownej ilustracji „prawa mimikry” niewiele już rysów dodadzą ubiegłe trzy miesiące. Repertuar dramatyczny, klecony *vom Fall zu Fall* z tłumaczeń, łąta banalność swej „literatury” debiutami i gościnnymi występami aktorów; opera „operuje” w ciągu tego czasu koncertowymi popisami solistów śpiewających, wśród których nie brak nawet pani Cavalieri, produkującej za śmiesznie wyśrubowane ceny cały magazyn klejnotów, zgoła niewokalnych, jak gdyby dla zaakcentowania, że opera, zostająca pod jednym kierunkiem z Filharmonią, powinna przecież pokazać na scenie coś w rodzaju brylantowego motyla panny Kaweckiej, który z takim efektem unosił się nad estradą. A tymczasem reklama sypie na wszystkie strony, jak z rogu obfitości, zapowiedzi na... przyszły „wielki sezon,” zapominając prawdopodobnie, że rok temu czytaliśmy te same zapowiedzi, wiadomo już jak urzeczywistnione. Pozostaje nam więc w tej chwili dokończyć rachunku z tych obietnic. Może wynik zamkniętego bilansu uczyni nas powściągliwszy-

mi w udzielaniu moralnych kredytów tam, gdzie już żadne kredyty na nic się nie zdadzą.

II.

Zwracałem już uwagę w poprzednim przeglądzie na niekrytyczność, ujawniającą się stale w kierownictwie naszego dramatu przy układaniu repertuaru w jakąś pstrą mozaikę bez rysunku i barwy, bez artystycznej fizygnomii. Nazwisk w tej grubej malowance nie brak; tylko najlepsze wartości z tych nazwisk wyciśnięto na innej scenie; dla tej, która się sama dotąd „pierwszą“ zwykła nazywać, pozostały porzucone, zmięte łupiny. Tak było z Heijermansem; tak było, niestety, z Przybyszewskim.

Wspominając na tem miejscu przed trzema miesiącami o wystawieniu w Rozmaitościach „Siódmego przykazania“ Heijerman-
sa, zamierzałem powrócić do tego melodramatu i rozwinąć szerzej nieco wzmiankę, ujętą wówczas w pośpiesznem *post-scriptum*. Znalazłszy się jednak powtórnie wobec przywołanych pamięcią wrażeń, spostrzegłem, że mógłbym tylko powtórzyć syntetycznie rzucane uwagi o istocie, znaczeniu i dążności utworu, nad którym naprawdę niema potrzeby zbytecznie się rozwodzić. Opacznie do dziś dnia komentowany Proudhonowski paradoks, że „własność jest kradzieżą“ w zastosowaniu do „burżujskiej“ instytucji małżeństwa, uznającej jakoby kobietę poślubioną przed ołtarzem za „własność“ mężczyzny (stąd tytuł „Siódmne przykazanie“); protest przeciw tym „mieszczańskim“ formom współżycia obu płci, ukształtowany w związku „wolnej miłości“, który, znosząc z socyalistyczną konsekwencją ową rzekomą własność, nie dba zgoła o przeszłość kobiety ani o różne momenty jej zmiennej do innych mężczyzn przynależności; walka między „porządkiem ustalonym“, który nie chce abdykować, a rewolucją, która nie chce czekać na ewolucję; katastrofa, miażdżąca serca, które przyspieszonym tętnem pragnęły wyprzedzić przyszłość,—oto zewnętrzna i myślowa treść „Siódmego przykazania.“ W literaturze występuje ona coraz częściej, podejmowana przez talenty lub nieudolności różnej miary; Heijermans chwycił ją z całym impetem młodego pióra (dramat ten jest produktem wczesnej twórczości holenderskiego pisarza) i impet właśnie ułatwił mu wielce zadanie, nakładając na paletę najjaskrawsze kolory. Mowa tu oczywiście o ułatwieniu, opartem na niewybrednie zestawionych efektach teatralnych; bo wywołane tą drogą „dreszcze“ uwalniają dramaturga od troski o ar-

tystyczne wrażenia. Tylko dojrzała w obcowaniu z wielką sztuką twórczość umie wznieść się na te wyżyny, gdzie charaktery, dźwignięte siłą ideową, stoją naprzeciw siebie w całej czystości swego wcielenia i, tocząc bój „za błękitami,” zwycięstwa swoje i upadki ideowem znaczą piętnem; tylko poeta zdolny jest kierować się niezachwianem uczuciem sprawiedliwości przy wyborze i odmierzaniu dla walczących broni z arsenału duszy ludzkiej; tylko artysta cofnie się przed pokusą karykatury w charakterystyce przedstawicieli tej idei, którą pokonać zamierzył. Takich szczytów był bliskim Heijermans pisząc „Dzień zaduszny;” nie dosięga do nich w „Siódmym przykazaniu.”

Oto z jednej strony gniazdo holenderskich filistrów, gdzie ojciec despotyczny, uparty a tępy, matka ograniczona, pochłonięta drobiazgami gospodarskimi, syn starszy w duchowną przyodziany suknią reprezentują różne odcienia skostniałego w samolubstwie rodzinnem konserwatyzmu; z drugiej młodszy syn, student, zaprzyjaźniony z socyalistami, rozpędzony w kierunku „wyzwoleńczym,” którego najpierwszym etapem jest, jak zwykle, wolna miłość w formie najradykałniejszej, bo w pożyciu pod jednym dachem z dziewczyną, z ulicy wziętą. Pozornie autor usiłuje być bezstronnym, rozdzielając na obie strony światła i cienie. Rodzicom dziewczyny, sprawcom moralnym jej upadku, nie żałuje rysów, żrącym wytrawionych jadem i obie te figury, ze swym rozbajającym chwilami cynizmem, w zestawieniu z życiodawcami studenta, są jakby jakąś z góry zamierzoną kompensatą za bezwzględną charakterystykę „porządnych” filistrów.

Ale zestawieniom i kompensatom Heijermansa nie zawsze można dowierzać—kryje się w nich czasem bardzo sprytny fortel. Spójrzmy na jedną jeszcze osobę z rodziny studenta: na jego siostrę, separatkę. Kocha ona brata i wobec grożącej mu burzy, radaby zasłonić go przed piorunami gniewu ojcowskiego, które spaść mają na jego głowę. Zdawałoby się więc, że Heijermans wyczuł jednak uderzenia jakiegoś serca w tym zeszytniałym organizmie „burzującej” familii. Nie łudźmy się. Figura nie-szczęśliwej kobiety do czego innego była mu potrzebna. Jest w jej życiu straszna tragedia, która dla wszystkich pozostała tajemnicą. Jako żona, padła ofiarą rozpusty męża, dotkniętego ohydłą chorobą; jako matka, patrzeć musiała na śmierć swoich dzieci, obciążonych od urodzenia okropnem po ojcu dziedzictwem. „Porównajcie teraz — zdaje się wyzywać widza autor. Kobiecie każecie dźwigać brzemień może niezawinionej, może przemocą rzuconej na jej wątłe barki przeszłości; a mężczyźnie pozwalacie jad

jego przeszłości, świadomie zatrutej, bezkarnie saczyć do własnego gniazda. Nieusankcjonowany związek z taką kobietą jest w waszych oczach hańbą; związek uprawniony z takim mężczyzną uważacie za świętość nietykalną.“

I widz porównywa—ale nie daje się pociągnąć w tę stronę, gdzieby go zapewne autor znaleźć pragnął. I nie jest to wadą utworu; widziałbym w tem raczej zaletę dramatu, zwycięstwo psychologa, wyprzedzającego w dojrzewaniu społecznika. Heijermans lubi tezy, lecz ważniejszą od tezy była dlań dusza ludzka, której w żadnym kierunku nie próbował naginać ku wykreślonym z góry założeniom. Do krzyczących kontrastów miał jeszcze widocznie słabość; ale na najdalej wysuniętych biegunach nie zaniedbywał psychiki przeciwstawionych czynników. Sprawił zatem, że w ostatnich scenach „Siódmego przykazania“ można z żalem, z serdecznem współczuciem patrzeć na dziewczynę, wypędzoną na ulicę „skąd przyszła“ przez nieubłaganego ojca jej kochanka; i trzeba jednocześnie z pewną oględnością oceniać bezwzględny postępek tego ojca, który w zmysłowym szale syna nie mógł widzieć wielkiej, rozstrzygającej o życiu miłości, i który śmierć swego dziecka musiał do pewnego stopnia temu właśnie szalowi przypisywać. Pod jednym i pod drugim dachem niema już obrońców małżeństwa ani „wolnej miłości;“ są ludzie nieszczęśliwi; a nieszczęście zrozumialszym, bardziej przekonywającym przemawia językiem, aniżeli wszelka teza. Taką mową potrafił za młodu odezwać się Heijermans i to było właśnie zapowiedzią, że później będzie z żywszem zajęciem słuchany; a winą jest kierownictwa naszego dramatu, że był słuchany gdzieindziej.

Poprzednicy dzisiejszego dyrektora zapoznali publiczność warszawską z Przybyszewskim w najszcześniejszych momentach jego twórczości—i to obowiązywało p. Zalewskiego. Trzeba było liczyć się z silnemi i głębokimi wrażeniami, jakie zostawiły po sobie dramaty tej miary co „Złote runo,“ „Dla szczęścia,“ „Śnieg“ i unikać porównań, zabójczych dla „Ślubów,“ zwłaszcza, gdy się miało pod ręką poemat dramatyczny „Odwieczna baśń,“ który, odbywszy długą kwarantannę w cenzurze, wydostał się nareszcie na wolność. Jedynym motywem, tłómaczącym kierownika, może być chyba to, że on nie kieruje, lecz jest kierowanym; kierunku zaś, jak zwykle, podjął się zapewne traf, a traf znowu przybrał prawdopodobnie postać... aktorki. Bądź jak bądź najgorzej na tem wyszedł Przybyszewski, wychyliwszy z poza swego ostatniego dzieła znużone oblicze poety, usiłującego tragicznem targnięciem powstrzymać twórczość w odlocie.

Czy ten wyraz jest wiernem odbiciem procesu, odbywającego się w duchowych głębiach poety; czy to chwilowe tylko omdlenie, czy początek obezwładniającej niemocy? Przesądzać nikt tu nie zechce i nikt nawet nie ma do tego prawa. To pewna, że twórczość Przybyszewskiego miała znamienne cechy rozpędów dzisiejszej doby: duże skrzydła i krótki lot.

Dwa typy twórców mieszczą się w tej charakterystyce. Jeden, zamknawszy świat cały w jakiejś kawiarence, przeszacowuje tam wartości moralne, umysłowe, społeczne i „układa dramaty,” pełne napięcia, z rozdaniami we własnem otoczeniu rolami; ale wydostawszy się z kłębow dymu tytuniowego, które mu się górnymi wydawały obłokami; ujrawszy przed sobą rozległe widnokręgi życia; znalazłszy się w atmosferze, wypełnionej atomami rozpylonej duszy ludzkiej, których nieskończoną wielość i rozmaitość twórczem okiem śledzić i wyławiać trzeba, staje bezradny, nie wie dokąd wzrok skierować, za co spojrzenie zaczepić, z jakiej drobiny psychologicznej wywołać całego, żywego człowieka i onieśmielony wobec ogromu zjawisk, zalekniiony poczuciem swej bezsilności, z gestem rozpaczyny powraca do swojej kawiarni, do swoich bohaterów „przewartościowanej” młodości, a każdy taki powrót—to szczebel na dół, ku wyczerpaniu siły twórczej. Drugi typ zstępuje na samo dno własnego *ja* i tam, w przedśionkach podświadomości, wpatrzony w grę głuchych i ślepych instynktów, wsłuchany w tajemnicze szepty „nagiej duszy,” celebry mistry Absolutu. Że zaś jedyna ewangelia tego nabożeństwa głosi *Am Anfang und am Ende war das Geschlecht*, a Absolut jest płci żeńskiej, więc dźwignięte do kapłańskiej godności instynkty, pijane wyziewami z erotycznych kadzielnic, opasując ołtarz bóstwa rozszalałem koliskiem, płasają w tragicznych szamotaniach „Taniec miłości i śmierci.” Ale *ja*, które z siebie na zewnątrz nie wychodzi, jest zawsze tem samem *ja*; „naga dusza,” gardząca wszystkiem w co by ją rozumowa i uczuciowa świadomość przyodzierać mogła, jest zawsze tą samą „nagą duszą;” Absolut, który będąc „na początku i na końcu płcią,” nigdy swej płci nie zmieniał, jest zawsze tym samym Absolutem; to też powtarza się zawsze ten sam „Taniec miłości i śmierci,” a każde takie powtórzenie budzi obawę, czy nie wyraża się w niem odpływ siły twórczej?

Do tego drugiego typu należał Przybyszewski i zdawał się usprawiedliwiać do pewnego stopnia tę obawę dość długiem milczeniem po trzech swoich kapitalnych utworach. A tymczasem potężny wpływ Słowackiego gromadził inną jeszcze grupę twór-

ców, którym ciasno było nietylko w czterech ścianach knajpki, ale nawet w głębinie własnego *ja*; wyswobodziwszy się więc z egotyzmu literackiego, artystycznego i społecznego, jęli bujać po wielkich przestworach prabytu, przedzierać się przez gąszcz historii i z duszy dziejów snuć tragedye narodów. Kto wie, czy „Odwieczna baśń“ nie jest jedną z fal owego przyływu historyzmu do dramatu polskiego; kto wie, czy Przybyszewski nie szukał w nim szerszego oddechu po męce kontemplacyi w otchłaniach? I tu wprawdzie czciciel Miłości odzywa się do Niej, jako do Tej, „która jest wszystkim, w której jest wszystko;“ i czując się sam wchłoniętym przez tę wszystkość, woła: „ja i Ty i świat cały.“ Ale w takim wszechogarnięciu zginęło jego *ja*, Ona utraciła swoje typowe cechy, a baśń, cofnąwszy się w zaranie dziejów, wprowadza nas do legendowej krainy, gdzie Król, wychowany przez Mędrca i ubóstwiający w pięknej jego córce Miłość, pragnie ją dźwignąć na tron i głowę ukochanej królewską przyozdobiwszy koroną, za sprawą Miłości lud swój uszczęśliwić. Niedopusći oczywiście do tego „odwieczny Kanclerz.“ Jego rozum stanu w Miłości przeczuwa najzaciętszego wroga; chwyta się więc również „odwiecznego“ sposobu; najprzód podburzy lud przeciw monarsze, potem podburzy monarchę przeciw ludowi. Popłynie krew, a Miłość z przerażeniem zasłoniwszy oczy, z których łzy się poleją, powie królowi: „wolę wraz z ojcem mym opuścić pałac ten i ciebie, ranić moje nogi po krzemiennej drodze, wśród deszczu, wichru i burzy, wśród tysiąca zasadzek na nasze głowy; stokroć razy miłsza śmierć w prawdzie i jasności, aniżeli ten ohydny majak życia w krwawych strzępach purpury, wśród obłudy świecącego próchna.“ Wtedy otwierają się oczy Królowi i zagładają w głąb duszy Demosa; wtedy Król zaczyna rozumieć, że władcą tych dusz bez tęsknoty może być tylko... Kanclerz — i objawieniem są dlań słowa Mędrca: „Zaprawdę mówię ci, że ten jest największym mocarzem, któremu obce jest panowanie.“ Z dumą więc powie pokonanemu ludowi: „Niech wam panuje ten, co w waszych duszach rozpostarł panowanie. Ja brzydzę się zwycięstwem, które nad wami bronią kanclerza—krwi przelewem odniosłem. To było — jego zwycięstwo. A oto moje zwycięstwo!“ I przy tych słowach chwyta za opasującą czoło jego obrączkę złotą, ciska ją pod nogi tłumowi i oddala się wraz z ubóstwianą.

Takie tryumfy święciła Miłość... w zaraniu dziejów. Daleko stamtąd do tryumfów Olgi i Ewy, a tęskno snąć do nich było Przybyszewskiemu, skoro niedługo zabawił we mgłach prabytu. Wszak już zauważyliśmy: duże skrzydła—krótki lot. Bo skrzydła

i w „Baśni“ sięgnęły „od Nadyru do Zenitu,“ szerokiem rozpięciem obejmując tragedję ludzkości. Ale Przybyszewski wtedy dopiero czuje się w swoim żywiole, kiedy przed oczami jego duszy staje nie człowiek-charakter lub człowiek-typ, albo człowiek-naród czy też człowiek-ludzkość — tylko człowiek-płeć; kiedy w takim człowieku instynkty tworzenia i niszczenia odgrywają nie „baśń odwieczną“ człowieczeństwa, lecz odwieczną tragedję Wszechświata. Więc wrócił do swoich psycho-fizyologicznych czy fizyo-psychologicznych eksperymentów z „siłami kosmicznymi,“ wrócił do swego w podziemiach duszy laboratorium. Wrócił jednak w „Ślubach“ nie tym samym poetą, który puszczał się na wyprawę po „Złote runo“ szczęścia, który „Dla szczęścia“ miażdżył z bezwzględnością „nadczołowieka“ kochające serca, lub z pod „Śniegu“ wyprowadzał i deptał egzotyczny kwiat „tęsknoty do tęsknoty.“ Wrócił jakimś połowicznym i połowiczną fizyognomię ma też ostatni jego poemat dramatyczny. Miłość inaczej w „Ślubach“ wygląda i nie powiedziała by o niej druż Przybyszewskiego, Kasprowicz, jak w swoim „Faunie,“ dopadającym nimfy,

„Czcigodna tajemnica w wszechświecie się czyni.“

Czysta jest owa Miłość—ale ta czystość ma szpony, w których ginie człowiek. To samo z Tęsknotą, unoszącą się w anielskie szlaki na skrzydłach demona; to samo z symbolami o niepewnem, niezdecydowanym obliczu niewieściem, które miewa promienne spojrzenie królowej z „Baśni“ i zagadkową zadumę kusicielki z „Śniegu.“

Miłość i Tęsknota wcielone są w „Ślubach“ w dwie postacie kobiece, nie tak jednak, żeby to wcielenie dało każdej odrębne rysy uosobionego indywidualnie uczucia. Jedna kocha i tęskni i druga kocha i tęskni, nie zawsze tylko wiemy, patrząc na nie, słuchając ich, kogo i co która kocha, za kim i za czem tęskni i zdaje się, że obie jasno sobie z tego sprawy nie zdają; że raz jedna jest sama Miłością, druga sama Tęsknotą, to znów zamienią się między sobą dusze, nie mogą rozpoznać, która do której należy i w bezprzedmiotowej trwodze szukają, czego nie zgubiły. Dodajmy nadto, że Miłość i Tęsknota, występujące w dawniejszych dramatach Przybyszewskiego, bądź samodzielnie, bądź przeniknione sobą wzajemnie jako jedna fatalna, nieprzeparta moc rozrodczo-destrukcyjna, porywająca bohaterów w jakąś nieznana dal, do nieokreślonych celów — miała siedlisko w ich duszach i stamtąd do czynów ich popychała. W poemacie dramatycznym inaczej. Tam Pola i Klara, niezależnie od miłości i tęsknoty wła-

snej, są ofiarami miłości i tęsknoty cudzej, poza niemi z zewnątrz działającej, nie odczuwanej przez nie, a jednak oplątującej obie kobiety w nierozzerwalną sieć mistycznych „ślubów.“ W tajemniczej grozie tych „ślubów“ tkwi cały Przybyszewski. Wzajemna miłość Klary i Zygmunta, w pospolity sposób poślubionych, wyglądałaby dlań po filistersku, dając żonie i mężowi godne „nadludzkiej“ pogardy szczęście, gdyby nie „sataniczna“ przyprawa, która wywyższa ich uczucie do wyzwalającej potęgi. Taką przyprawą jest miłość i tęsknota niegdyś odrzuconego, nigdy zresztą niekochanego człowieka, prześladowająca upiornemi widmami scho-rzałą wyobraźnię Klary, doprowadzoną do histeryi, gdy brat od-trąconego zjawił się w górskim ustroniu małżonków z wiadomo-ścią o jego śmierci. Dlaczego ta śmierć nie przecięła odrazu nie-widzialnych więzów, w których szamotała się Klara? Nie trzeba o to pytać — to są arkana demonizmu, utajonego w Miłości bądź odczuwanej, bądź wzbudzanej. Klara żyje pod działaniem nieu-stannej trwogi; na dnie jednak tej trwogi czai się widocznie ja-kaś nieokreślona tęsknota, a trwoga i tęsknota, skojarzone z sobą sprawiają jej prawdopodobnie rozkosz, której się boi zapewne, której się wstydzi może, bo uściskiem namiętnym dziękuje Zygmun-towi za nietzscheański sposób pozbycia się tego, kto swoją za-łobną wieścią z większą jeszcze siłą wskrzesił upiora. Krzycki, ów brat zmarłego, ginie, spadłszy z „orlej perci,“ dokąd wysłał go był Zygmunt dla obejrzenia najpiękniejszego miejsca na za-mierzone dla nieboszczyka mauzoleum. I wszystko w porządku; nie słyhać nawet przebrzmiałego w „Złotem runie“ ostrzeżenia Ruszczyca „grzech się mści.“

A Pola?

Z Polą dzieje się odwrotnie. Od męża odeszła, zawarłszy „śluby“ z muzyką, w której zawsze przeczuwała „jakieś niezgłę-bione tajemnice, jakieś czarne przepaści;“ i tu mąż znowu jest prześladowcą, gnębiącym żonę z odległości swoją tęsknotą, która ma „straszne, przerażone ręce człowieka, strąconego w przepaść, ściągające za sobą swoją ofiarę z piekielną siłą.“ Od tych widzia-deł Tęsknoty chciała Pola ratować się Miłością spotkanego na drodze życia malarza Krzyckiego; ale Krzycki kochać jej nie mógł, znajdując się pod szatańskim wpływem „Czerwonej Krysty-ny,“ istoty zagadkowej, przez nikogo nieodgadnionej, która je-dnocześnie razi artystę „Niemocą“ i z duszy jego arcytwory wy-wołuje. Więc szarpie nieszczęśliwą w przeciwne strony Tęsknota czynna i Tęsknota bierna, ta, która w niej samej ręce ku przyszło-ści wyciąga i ta, która po nią „rękami przeszłości“ sięga; gdy zaś

Krzycki nie wrócił z „orlej perci,” walka dwóch Tęsknot o obłąd ją przyprawia.

Nie ludzę się bynajmniej, żeby mi się udało „streścić” ostatni poemat Przybyszewskiego. W jakim są do siebie psychologicznym stosunku te wszystkie kochania i niekochania, te miłości tęskniące i tęsknoty miłujące; po co szukają się lub odtrącają się wzajemnie te różne widzialne i niewidzialne ręce; dlaczego takie a nie inne szarpia w duszy struny, tak a nie inaczej dźwięczącymi akordami te właśnie wywołują nastroje? Na to poeta zdaje się odpowiadać: „Tak w przestworach Kosmosu gonia za sobą lub odpychają się atomy; w takim wirze kłębią się odwieczne moce między Życiem i Śmiercią.” I trzeba na tem poprzestać; a streszczając własne wrażenia zdefiniować „Śluby,” jako „dramat telepatyi,” z cichem w sekrecie zastrzeżeniem, że to może tragedia psychopatyi. Dramat czy też tragedia—z muzyką. I ta muzyka słowa, z uroczą często melodyą frazesu, z rozkołysaną rozkosznie harmonią okresów, wydobyta z niespodziewanych rozdźwięków, pozwala niekiedy zapominać o tem, co się na scenie... nie dzieje i wsłuchiwać się w echa tego, co się może dzieje gdzieś... między planetami.

Artyści jednak muszą grać na ziemi i to im cokolwiek utrudnia zadanie. Pani Pytlińska w roli Klary chwilami tylko pokonywała je zwycięsko, o ile zdobyta dotąd technika aktorska zdołała przyjść w pomoc jej inteligencji. Dla panny Palińskiej postać Poli okazała się stanowczo zbyt skomplikowaną. Z subtelnym artyzmem i poetycznym polotem grał Krzyckiego p. Brydziński. P. Maryański nie budził wiary w swoje nadczłowieczeństwo.

III.

Z zagranicznej produkcji przedstawiono nam przedewszystkiem *articles de Paris*, ze szczególnem upodobaniem do wachlarzy. Sztuka francuska — oczywiście Caillavet’a i Flersa — grana u nas pod nazwą „Nowa Circe” ma prawdziwy tytuł „Wachlarz;” sztuka angielska Oskara Wilde’a, na której właściwie trzeba wycisnąć stempel *made in France*, nazywa się „Wachlarz lady Windermere.” W obu utworach to kosztowne cacko nieopatrznie porzucone i przez niewłaściwą rękę znalezione, utrzymuje chwilowo akcyę na krawędzi dramatu, budzącego w publiczności coś naksztalt za-interesowania; w obu, pod osłoną tego wachlarza, uśmiechają się

autorowie mniej więcej dyskretnie z tej ciekawości widza. Mamże wobec tego zasłużonego, mojem zdaniem, uśmiechu opowiadać szczegółowo, w jaki sposób ratuje wachlarzową sytuację w komedyi Caillaveta i Flersa pani Gizella Vaudreuil, przezwana „nową Circe,” dlatego, że wielbicieli swoich przeistaczała, może niezupełnie w homerowskim stylu, w pożądlivą, salonową trzódkę? Mamże prowadzić czytelnika tą utartą ścieżką felietonowej akcji, wysnuwanej z felietonowych motywów, przy pomocy felietonowej charakterystyki figur, które felietonową elegancję dyalogu zaosttrzają felietonowym dowcipem? Wszakże widzieliśmy już, jeżeli nie to samo, to coś w podobnym stylu w komedyi „Miłość czuwa;” więc niech tym razem wystarczy ciekawym zapewnienie, że pani Gizella Vaudreuil jest o wiele lepszą od swej reputacyi; że jakkolwiek różniła się od klasycznej Oceanidy w sposobach rzucania urokówi wywoływania w ofiarach zoologicznych przemian, to jednak, podobnie do tamtej, znalazła swego Odysseusza, który właśnie opornością wobec czarów i mądrym nad własnem uczuciem panowaniem, zdobył miłość normandzkiej Cyrce. Powiedzmy odrazu „wolną miłość;” piękna Gizella bowiem odsuwa niedwuznacznie do późniejszych czasów małżeństwo, proponowane jej przez Odysseusza w postaci p. Franciszka Trévoux; natomiast występując jako wybawicielka w awanturze, wywołanej zgubionym wachlarzem i rzucającej cień na kogo innego, mianuje p. Trévoux wobec całego wytwornie próżnującego towarzystwa „swoim kochankiem,” bez żadnych zastrzeżeń ani co do wczorajszej nocy, o którą właśnie wszystkim chodzi, ani co do dni jutrzejszych, w których przewidywaniu o mężu nic nie słyhać. Oświadczenie to wywołuje oklaski. Może publiczność wierzy, że to „nominacya aż do dalszego rozporządzenia;” może ją wzruszyła gotowość pani Vaudreuil wzięcia na siebie w cudzej sprawie pozorów, budzących plotkarskie podejrzenia; może składa w ten sposób życzenia szczęścia panu Trévoux, który na nie tak długo czekał; dość, że oklaskami przyjmuje to, co odrzuciła w „Siódmem przykazaniu.” Nie dziwny się. To tak „elegantcko” podane! Nie dziwny się, zwłaszcza, że stało się to w znacznej mierze dzięki pani Federowiczowej, z wrodzonym wdziękiem przedstawiającej postać tytułową i p. Frenklowi, który, nie uląkłszy się mnóstwa szkopułów w roli charakterystycznego kochanka, stworzył postać pełną humoru, artystycznie z sentymentem skojarzonego.

Lady Windermere widzieliśmy także — bez wachlarza wprowadzie — w repertuarze francuskim. Dlaczego zobaczyliśmy ją znów z wachlarzem? Bo tak chciała tradycya benefisowa, która scenę

naszą utrzymuje dotąd na poziomie prowincjonalnym, a starczy jednocześnie za charakterystykę pewnej kategorii utworów. „Miłość czuwa“ wybrana przez p. Wolskiego, zarówno jak „Wachlarz lady Windermere“ wyróżniony przez panią Lłodową — to sztuki aktorskie. Są w nich „dobre role“ — a o to przecież chodzi przede wszystkim beneficantom, jak wogóle aktorom, umiejącym patrzeć na repertuar tylko pod tym specjalnym kątem. Tu właśnie szukać trzeba źródła odwiecznego antagonizmu między krytykiem a aktorem, nie rozumiejącym jak można nie pochwalić sztuki, w której on ma „dobrą rolę;“ tu również tkwi przyczyna powtarzających się nieporozumień między krytyką a publicznością, której krytycyzm wobec słabego lub zgoła lichego utworu kapituluje pod wrażeniem gry artystycznej. Stąd częstsze upadki sztuki dobrej, ale granej bez popisów wirtuozowskich, niż sztuki zupełnie złej, a granej „koncertowo;“ stąd naturalne westchnienia za jakimś Stanisławskim, któryby nie na „gwiazdach“ (zresztą już coraz rzadszych), ale na artystycznej syntezie oparł literacką dyrektywę dramatu i komedyi. Ale Stanisławskiego niema; a tymczasem gramy „Wachlarz lady Windermere.“ Cóż z tego, że to sztuka Wilde'a; coś z tego, że pani Lłodowa wywiera tam same tylko estetyczne wrażenia swym wyjątkowym talentem konwersacyjnym i wytwornością arystokratycznego gestu; coś z tego, że jej dzielnie wtórują p.p.: Frenkiel, Nowicki, Wolski i pani Tekla Trapszo, kiedy ten „dramat dobrej kobiety“ — jak go nazwał autor — nosi na sobie cechy fabrykatu, którego nie ożywiają nawet błyskotliwe Wildowskie paradoksy! Mistres Erlynne uciekła niegdyś od męża z kochankiem, porzuciwszy kilkoletnią córeczkę. Po latach burzliwego życia, spędzanych w całej Europie, jakiś macierzyński odruch sprowadza ją do Londynu, gdzie córka jest już szczęśliwą małżonką lorda Artura Windermere, a matka, zbrojna swoją tajemnicą, próbuje pogodzić interes z sentymentem, wyłudzać jednocześnie szantażem pieniądze od zięcia i usiłując wedrzeć się do domu jego żony. Jedno i drugie udaje się jej istotnie, ale kosztem spokoju córki; bo czyhający dawno na dobrą sposobność lord Darlington wyzyskuje częste wizyty Windermere u Mrs. Erlynne, aby przekonać lady Windermere o zdradzie małżonka, a wprowadzenie pod jej dach Mrs. Erlynne przedstawia jako brutalne narzucenie żonie towarzystwa mężowskiej kochanki. Zraniona w swych uczuciach lady Windermere zdobywa się na krok rozpaczny i wprost z balu, gdzie zmuszona była znieść u siebie mniemaną zniewagę, ucieka do mieszkania lorda Darlingtona bez jego wiedzy i w jego nieobecności. Tam jednak spotkała się z Mrs. Erlynne, która do-

wiedziawszy się o szaleństwie córki z listu, pisanego zapewne przez Wiktoryna Sardou i widząc w niem z przerażeniem powtórzony pierwszy rozdział przygód własnego życia, używa całej swojej wymowy, wspartej obudzoną na seryo miłością macierzyńską, ażeby skłonić kochającą zawsze żonę do powrotu do niesłusznie posądzonego męża. A kiedy lady Windermere, opuszczając kawalerskie gniazdo niedoszłego kochanka, zostawia tam w popłochu swój wachlarz, który, znów dzięki Wiktorynowi Sardou, dostaje się do rąk lorda Windermere, wciągniętego przez gospodarza na nocną, męską, gawędę, Mrs. Erlynne ostentacyjnem wejściem swoim z przyległego gabinetu i oświadczeniem, że ona to przez omyłkę zabrała z balu wachlarz lady Windermere, zażegnawa zaczajoną już w trójkącie małżeńskim katastrofę. Wachlarz daje wprowadzić pani Erlynne nazajutrz przyzwoity pozór do spotkania się z córką raz jeszcze, ale wybawczyni nie nadużyje tego pretekstu i choć obie kobiety rozstaną się w najlepszej zgodzie, lady Windermere nie dowie się nigdy, że odzyskane szczęście zawdzięcza matce, w której śmierć nauczono ją wierzyć. Tylko twórca „Salome“ będzie miał sposobność pod ostatnią sceną, świetnie poprowadzoną, wyryć lwim pazurem napis *Wilde fecit*. Jedna scena na cztery akty — to nie wiele dla publiczności, to nic dla literatury; to dosyć dla kierownictwa, ułatwiającego sobie znakomicie zadanie przemycaniem pod głośną marką towarów wątpliwej wartości. „Chcecie Wilde’a — zdaje się mówić dyrektor dramatu i komedyi — macie Wilde’a, póki go wystarczy; smakuje wam Shaw, mogę wam dać wszystko, co tylko napisał i co jeszcze napisze. A kiedy zabraknie jednego i drugiego, gdy już wyczerpiemy do dna Caillaveta i Flersa, to poprosimy ładnie Maryana Gawalewicza o zasilek; on nam zawsze coś odstąpi.“

I Maryan Gawalewicz odstępuje istotnie scenom rządowym nie tylko swoich aktorów, ale dzieli się po gentlemenśku repertuarem, który on zna, a o którym na Placu Teatralnym nikt nie słyszał. Tą drogą ma podobno wejść na scenę „Rozmaitości“ Molnarego „Dyabeł;“ tą drogą weszła już z pewnem powodzeniem satyra w 4 aktach Gustawa Wieda „ $2 \times 2 = 5$.“

Kto jest Gustaw Wied?

Był czas, kiedy odpowiedź: „Duńczyk“ wystarczała snobizmowi sporego zastępu krytyków i szczupłej garstki publiczności. Dziś nie wystarcza: minęły piękne dni Skandynawii. Trzeba więc rzucić okiem na wizerunek pisarza, którego w pięćdziesiąt rocznicę urodzin nazwano w ojczyźnie „Figlarzem z Lollandu.“

Naprzód jedna osobliwość: syn Skandynawii, który się śmieje i to śmieje się, patrząc jak „w państwie Duńskim“ nie tylko „coś,“ ale mnóstwo rzeczy „się psuje.“ Śmieje się na jednym z portretów oczami, ciskającymi iskry dowcipu, ironii; ustami, ułożonemi w wyraz drwiącej ciętości; śmieje się na drugiej podobiznie, stojąc silnie rozstawionemi nogami na ziemi, którą zdaje się obejmować w posiadanie podbojem satyryka; śmieje się, zanurzając swobodnym ruchem ręce w kieszeniach i podnosząc głowę dużą, nakrytą podanym w tył kapeluszem, pod którym oblicze okrągłe, szerokie, chłopskiego nieco typu, zdaje się rozlewać całe w jednej ekspresyi, drgającej niczem niepowstrzymaną wesołością.

Śmieje się z czego?

„Na tym świecie, widzicie moi drodzy, trzeba się śmiać z siebie i z innych. Ze wszystkiego—bo to jest jedyny pogląd na całą maskaradę życia, który konsekwentnie da się przeprowadzić. Nikt przecie nie może zawsze i wszędzie w karawaniarskim występować stroju. A śmiać się można ze wszystkiego; bo niema na kuli ziemskiej nic takiego, w czemby się nie znalazła strona zabawna.“ Tak przemawia Wied do czytelnika. Więc humorysta? Nie. Za głośno na to brząkają dzwonki na czapce Gustawa Wieda. Głębszy w nim tkwi ironista i bystrzejszem okiem obrzuca kłamców życiowych, których jest osobistym niemal wrogiem. Tylko nie trzeba zestawiać go z uroczystym Norwegczykiem. W stosunku do Ibsena stoi Wied na przeciwnym biegunie, obserwując zgniliznę społeczną nie przez ostre okulary sędziego, lecz pod słonecznym działaniem śmiechu. Ten śmiech sprawia też, że psychika owych „kłamców życiowych“ inaczej nam się przedstawia, niż dusze Ibsenowskich bohaterów. To nie obłudnicy „z jednej sztuki,“ konsekwentnie przeprowadzający w życiu swój faryzeizm; to pęcherze, które wiatry, przygodnie wiejące z różnych stron, wydymają. Dlaczego dziś są pełne, jutro puste; dlaczego raz pod jakimś sztucznym tchnieniem unoszą się wysoko, to znów zmięte i bezduszne w błoto upadają — to może wyrazić jedyna ich życia formuła: $2 \times 2 = 5$. Więc też komedia pod tym tytułem, przerbiona z najlepszego romansu Wieda „Z dni młodości,“ najcharakterystyczniej może przedstawia i jego. materiał obserwacyjny i metodę spostrzegawczą.

Satyryk nie dba ani o zręcznie stopniowaną akcję, ani o kunsztowną sztuki budowę, ani o pulsujące natężonym komizmem sytuacje. O charakterystykę postaci chodzi mu przede wszystkim i wydobyć z niej cech znamiennych, które dusze ich ukształtowały według logiki $2 \times 2 = 5$. Na tę charakterystykę rzucają

światło Paweł Abel, literat i nauczyciel, sceniczne wcielenie samego Gustawa Wieda i Gerhard Konik, karykaturzysta. Oni to obydwa kombinują w tym „gabiniecie śmiechu“ wkleśłe i wypukłe zwierciadła, w których różne figury rozmaite odbywają metamorfozy. Więc w pierwszym akcie żona Abła, Estera, apatyczne stworzenie, zajęte tylko „wielkiem praniem“ i strofowaniem męża za jego niemoralne książki, odchodzi od niego, gdy go za to usunięto ze szkoły i gdy mu zagrożono więzieniem i zamieszkuje w domu rodzicielskim, gdzie ojciec jej, radca rachunkowy, Haman, celebryta kult konserwatyzmu i lojalności, a syn młodszy, Frydzio, niepoczytalne zda się chłopię w swym naiwnym sentymentalizmie, wzdycha do jakiejś niedoścignionej oblubienicy. Powrót Abła do kawalerskiego życia nastęrcza nam sposobność poznania kokoty Otelli, która na oswobodzonego literata zarzuca po dawnemu jedwabno-złote sieci i przy pomocy pieśni z „Tannhäusera“, granej w takich razach z niezawodnym skutkiem, wywołuje konieczność zakończenia aktu spuszczeniem zasłony. W więzieniu, gdzie go zamknięto za książkowe przestępstwo przeciw moralności, Abel, z racji niespodzianej wizyty swego teścia, który wraz ze zmianą ministeryum, z konserwatysty przedzierzgnął się na daleko zaawansowanego liberała, ma sposobność przekonać się, jak dalece w życiu $2 \times 2 = 5$,—o czym zresztą zapewnia sam radcę rachunkowego, oświadczając mu, że on, Abel, stał się na odwrót zawołanym konserwatystą. Odzyskana wolność zgotowała mu niespodziankę, jedną z tych, których zawsze spodziewać się trzeba. W zajmowanym poprzednio mieszkaniu, w pokojach ineblowanych, znajduje Otellę, gospodarującą z jakimś cyklistą, któremu kokota gra... pieśń z „Tannhäusera.“ Tym razem jednak Wagner nie będzie dla niej „muzyką przyszłości;“ Abel bowiem nie chce dalej odgrywać roli Tannhäusera w grocie Wenery, ani stawać z rycerzem rowerowym do miłosnego turnieju. Wskazując drzwi czulej parze, proponuje jej rekord gdzieindziej, nie przypuszczając, że przez te same drzwi wtargnie do niego za chwilę nowa, jeszcze osobliwsza siurpriza w postaci Estery, przeistoczonej do niepoznania. Na szyję rzuca mu się śliczna, wytwornie ubrana i uczesana osóbką, którą widocznie jakieś „wielkie pranie“ obmyło ze wszystkich dawnych, nieprzyjemnych naleciałości. I nie wie Abel, czemu się więcej dziwić, czy tej metamorfozie, czy też widokowi Frydzia, w krochmalnej postawie usiłującego zaimponować mu swem ożenieniem... z matką ubóstwianej niedawno oblubienicy. Zamiast więc ekspensować podziw, woli Abel śmiać się śmiechem, który jest pieszczotą dla Estery, a zdrowem szy-

derstwem dla jej brata. Gdy tak rozśmiał się ze wszystkich, pozostaje jeszcze ktoś, śmiechem dotąd nie dotknięty — on sam. Nie szczędzi zatem i siebie, przyjmując ofiarowane mu już dawniej przez pewną stateczną szambelanową stanowisko redaktora dziennika zachowawczego. Przecież i on nie może wyłamać się z pod rządzącej światem logiki $2 \times 2 = 5$ i wyłamywać się nie chce, przekonany, że w takiej formule objawia się niekiedy... poezya, którą odczuwa ta dusza chłopca, rozkochanego namiętnie w niepoczytalności natury.

Artystom, grającym w sztuce Wieda niełatwo przyszło oryentować się w psychologii jego bohaterów. Przyzwyczajeni do „konsekwencyi“ figur teatralnych, znaleźli się w jakimś egzotycznym świecie. Najpomysłniej brnęli przez niezwykle trudności panie Lüdowa, Bogusławska, Pawińska i Pichor, pp. Nowicki, Wilczyński i Lenczewski.

IV.

Kiedy w tę rozpaczliwą szarzyznę życia powzedniego, zasłaniającą stale na naszej scenie wszelkie daleko- i wysokosiężne horyzonty i szeregującą w przednim rzędzie wszelaki drobiazg ludzki, uderzył złoty promień geniuszu, pierzchno w jednej chwili wszystko. Rozdarła się od góry do dołu brudna płachta pospolicności; umknęły gromady karzełków, potykających się wzajemnie o szczudła bohaterstwa własnego wyrobu; niewiadomo gdzie się podzieli Oni, domagający się od nas podziwu dla swego pod- lub nadczłowieczeństwa; niewiadomo dokąd skryły się One, wzywające nas tajemniczym gestem do alkowy, która ma być świątynią, lub do świątyni, która jest alkową. Na scenie jest tylko dwoje dojrzewających dzieci; i mówią do siebie o miłości. O jakiej? Nikomu z was nie przyjdzie do głowy zapytać, czy to miłość „wolna,“ czy „ślubna.“ Ale czujecie, że to miłość „silniejsza od śmierci;“ słyszycie nie rozmowę, lecz dwuśpiew, w którym zlewają się cudnie dwie melodie w jedną, jak w jeden rytm uderzyły serca, jak przeniknęły się wzajem dwie dusze w jednym drgnieniu nieskończoności, jak wkrótce dwa ciała splecie z sobą jeden dreszcz rozkoszy. Miasto szamocze się naokoło nich w konwulsjach rozterek domowych; sieć poplątanych z sobą nienawiści dławii kogoś na każdym kroku; ulice wyglądają jak wąwozy; każdy dom jest fortecą, krew płynie na placach, jak z wodotrysków,

a oni się kochają. I dramat tkwi nie w waśni krwawej dwóch rodzin, rozstrzygającej o doli kochanków, tylko w samej naturze ich miłości „nieskończonej jak morze,“ podobnej „kwiatkowi, wykwitłemu w dolinie tego świata, rozwiniętemu rankiem, a zmiecionemu nawałnicą w południe.“ Ta miłość, którą jasność księżycowa troskliwie otula, o którą spierają się noc z jutrenką i słowik ze skowronkiem, zazdroszcząc sobie wzajemnie jej pieszczot; ta miłość, która nie zna nic pośredniego między łóżem weselnem a grobem, musi z zawrotną szybkością zdążać do katastrofy. Śmierć w ostatnim uścisku łaskawie łączy konającą dziewczynę z martwym już młodzieńcem. Skończyła się tragedia Romea i Julii. Przemówił do nas Szekspir.

Skąd się tu wziął Szekspir?

To pytanie zupełnie jest uprawnione na współczesnej naszej scenie; ale też i odpowiedź może być tylko jedna. Wprowadziły Szekspira, a raczej powróciły go nam kombinacje aktorskie, jak zwykle z przypadku wynikłe, a oparte tym razem na godnem wszelkiego uznania współzawodnictwie.

Przebywamy letni, wakacyjny paroksyzm debiutów i gościnnych popisów, występujący stale w ciągu kanikularnych miesięcy wskutek anemii repertuarowej i ubytku sił wykonawczych. Publiczność witała oczywiście z przyjemnością marnotrawne dzieci, które przybyły w odwiedzinę pod dach, gdzie je pieszczono i rozpieszczono; szczerze okłaskiwała panią Irenę Trapszo, panią Przybyłko-Potocką i zainteresowała się panną Izabellą Kalitowiczówną, która jako Ewa w „Śniegu“ Przybyszewskiego zwróciła uwagę inteligencją w symbolizowaniu tej zagadkowej postaci. Ale najsilniejsze zajęcie obudził p. Karol Adwentowicz, poprzedzony reputacją artysty myślącego i władającego niepospolitą techniką aktorską.

Pierwszy występ artysty lwowskiego usprawiedliwił w znacznym stopniu owe zapowiedzi i dał jednocześnie pojęcie zarówno o psychologicznej treści jego talentu, jak o rodzaju środków, któremi się ten talent posługuje.

Pan Adwentowicz jest realistą, sięgającym po efekty niekiedy aż do naturalizmu; że zaś sięga ręką pewną, której sprawność nie zawodzi go nigdy, więc potrafi wywołać wrażenia wstrząsające. Typowym okazem takiego kierunku jest Oswald w „Upiorach“ Ibsena. Przedstawiając tę postać, artysta uczynił ją bez wahania osią dramatu i wysunąwszy znakomite studium patologiczne na pierwszy plan, przeraziwszy widzów grozą szpitalnych obserwacji, zepchnął w tej klinice na ostatni plan tragedję

„kłamstw życiowych,” odgrywającą się w duszach pani Alwing i pastora Andersa. Czy w ten sposób p. Adventowicz sprzeniewierzył się idei Ibsena; czy raczej nie poparł jej przerażającym uplastycznieniem owoców takich kłamstw—to sprawa sporna, jak sporną wydaje mi się dotąd kwestya, gdzie właściwie szukać należy środka ciężkości „tego dramatu rodzinnego.” To pewna, że artysta zainteresował wszystkich i że z tem żywszem zacięciem wyczekiwano „Hamleta.”

Bo nie łudźmy się. Nie inicjatywa kierownicza, lecz szlachetna ambicya aktora była pierwszym bodźcem do zmartwychwskrzeszenia Szekspira i ta ambicya zaszczyt przynosi artyście, choćby urzeczywistnienie jej nie dosięgło tych wyżyn, gdzie się poczęła. Indywidualność p. Adventowicza zarysowała się przy realizacji tego wielkiego zadania z pewną jednostronnością; i jakkolwiek wszystkie warunki zewnętrzne artysty: postać rosła i szykowna, oblicze ruchliwe, oczy pełne wyrazu, głos pięknie brzmiący, dykcya czysta (o ile tej czystości nie mącą odruchowe przyspieszania rytmów)—słowem cały plastyczny materiał zdawał się oczekiwać tylko na rzeźbiarza, któryby wydobył z niego idealną postać królewicza duńskiego,— takim rzeźbiarzem nie był pan Adventowicz. W modelacyi jego zniknął królewicz, przedstawił się tylko dzisiejszy nerwowy nastrojowiec z włoskiej szkoły Maggiego. Wiem, że taka kreacya ma za sobą z góry przygotowane uzasadnienie: swobodę modernizowania typów wszechludzkich, snujących się poprzez literaturę i sztukę z duszą człowieka wszystkich miejsc i czasów. Wiem, że roi się doba obecna od hamleciaków, wywodzących ród swój w prostej linii od wielkiego antenata z Elsinöru; ale to doprawdy nie racya, żeby najwspanialszego z bohaterów szekspirowskich przykrawać według miary krawca. Krawieckim bowiem strojem będzie zawsze ów modernizm, w który przyodziejemy Hamleta, rozebranego z szat królewskich; o duszę zaś wszechludzką nie łatwo. Nie wydziela jej się w retorcie laboratoryjnymi jakimiś zabiegami z mieszaniny czasów i miejsc; potrzeba na to potężnego odczynnika — poezyi; a poezyi właśnie w grze p. Adventowicza brakowało. Mógł więc być Hamlet w interpretacyi artysty zajmującą próbą i był nią istotnie; ale próba wykazała raz jeszcze, że trudniej grać Szekspira, aniżeli Ibsena i Strindberga.

Na tej to prawdopodobnie trudności oparła się rywalizacya której zawdzięczamy przedstawienie „Romea i Julii.” Logika rozumowania strony współzawodniczącej może była cokolwiek wątplą; może ryzykownem było powiedzieć: „my, co słabo gramy

Ibsena, będziemy właśnie dobrze grali Szekspira.“ Bądź co bądź przeważyła zapewne racya: „pokażmy, że można u nas grać Szekspira bez obcej pomocy.“ I ci co tak mówili postawili na swoim.

Szczery poklask im się za to należy. Było to przedstawienie nie porywające zapewne, ale spokojnie przyjemne, coś nakształt wrażenia, jakiegoby się doznawało, czytając tekst Szekspira, ozdobiony udatnemi ilustracyami. Trzeba o tem pamiętać, że takie talenty, jak p. Józefa Śliwickiego i pani Tekli Trapszo, wegetują już od szeregu lat w dusznej atmosferze literatury „rozrywkowej“, w której nietylko skrzydła nikomu nie rosną, ale wyrosnięte przypadkiem, jaknajskwapliwiej są obcinane. Przy tych warunkach, do form, w jakich wypowiadała się miłość kochanków werońskich, mogły się od czasu do czasu zabłąkać jakieś akcenty mieszczańskiej alkwoty; pozy, ruchy mogły się chwilami odchyłać nieco od renesansowych linii; ale niewątpliwa szczerłość uczucia w obojgu artystach; widoczny kult dla arcydzieła i świadomość dźwiganej na swych barkach odpowiedzialności za podjęte zadanie, wytworzyły ogólny nastrój, z jakim oddawna nie zdarzyło nam się spotkać na warszawskiej scenie. Grono artystów, uczestniczących w przedstawieniu: pp. Kotarbiński, Bednarczyk i Maryański, panie Bogusławska i Micińska, zbliżyli się do postulatu, w którego urzeczywistnieniu leży przyszłość naszego dramatu, a może i dramatu wogóle: do dobrego zespołu. Gdybyż znalazła się nareszcie na czele tej rzeszy kierownicza dusza, któraby taki zespół twórczem tchnieniem ożywić potrafiła!

V.

Do teatru Maryana Gawalewicza dążą również artyści zakononowi, dążą nawet chętniej niż do „Rozmaitości.“ Przyczyna tej atrakcyi bardzo prosta: Teatr Mały ma repertuar, którego nie znajdują przybysze na scenach rządowych; goście mają w czem wybierać, a w razie potrzeby kierownik tej żywotnej sceny nie zawaha się wystawić umyślnie sztuki dla artysty, którego pozyskać pragnie. W ten sposób publiczność poznała jeden z najsubtelniejszych utworów współczesnej literatury rosyjskiej „Wujaszka Jasia“ Czechowa i głośnego ze swej jaskrawości „Ojca“ Strindberga. Gra p. Adwentowicza w obu tych utworach dopełniła tylko charakterystyki, do której materiału dostarczyły widzom odrazu sposoby interpretowania „Upiorów“ i „Hamleta.“ Neurastenia

w tej grze panuje w różnych formach i stopniach, jako wytwór schorzałego jakiegoś intelektualizmu; uczucie milczy zupełnie lub odzywa się słabo. Już w „Rosmersholmie,” przedstawionym w „Rozmaitościach” w ślad za różnemi innemi teatrami, można było zauważyć nikłe dźwięki tej struny, potrącaney przez artystę prawie niechętnie; brak jej silniej jeszcze zastanawiał w „Wujaszku Jasiu.” Rzecz dziwna! Zdawałoby się, że artysta, „modernizujący” Hamleta, powinien był przeniknąć odrazu „hamletyzującą” duszę rosyjską; tymczasem p. Adwentowicz pominął w psychologii lekarza Astrowa zasadniczy obu dusz pierwiastek: tęsknotę, która w piersi królewicza jest pragnieniem moralnej w świecie harmonii, u cichego nihilisty tajemniczym dreszczem anarchii; a tu i tam ma wspólną cechę: poezję Nieuchwytnego. Podkreślił więc artysta bardzo umiejętnie zewnętrzny egzotyzm postaci, dziłość jej natury, przebłyскуюjącą przez szczeliny w kulturze umysłowej, ale uczuciową jej stronę zaniedbał, co zubożyło niewątpliwie typ, w intencji autora bogaty i skomplikowany. Wdzięczniejszem niewątpliwie dla artysty było zadaniem odtworzenie postaci Rotmistrza w „Ojcu” Strindberga. Stopniowana przez trzy akty psychoza nerwowca, zakończona obłędem, czyż to nie nęcące *pendant* do „tabesu” Oswalda w „Upiorach?” Grał też p. Adwentowicz na tej klawiaturze patologicznej ze sprawnością wirtuoza, wydobywając z niej tony przeraźliwe, od okrzyków bezsilnego gniewu, aż do płaczliwego bełkotu świadomej siebie niemocy. Było to wcielenie jednego argumentu tezy Strindberga „o słabości szlachetnego z przyrodzenia mężczyzny wobec chytrej, przewrotnej, niszczącej siły jego naturalnego wroga—kobiety.” Drugi argument wystąpił w postaci pani Stanisławy Wysockiej, artystki teatru krakowskiego, a wystąpił z taką spokojną mocą, z takim wczuciem się i wmyśleniem w symbolizm złowrogiego zjawiska, że dusza straszego dramatu: walka nie Rotmistrza z Laurą, nie męża z żoną, lecz Mężczyzny z Kobieta, walka śmiertelna dwóch płci—porwała odrazu całe audytoryum. Powiedzmy zatem, że zwycięstwo odniosła nietylko bohaterka dramatu na scenie, ale znakomita artystka w sali teatralnej. Było coś imponującego dziwnym demonizmem w tej postaci wiotkiej, snującej się cicho po scenie w liniach wyniosłych, chwilami tylko wyginających się węzowo; w tem obliczu o zarysie tragicznym, zaostrażającym się w pewnych momentach ekspresją chłodnego okrucieństwa; było coś przerażającego w tej dykcji, z intencją powściągliwej, rozmyślnie zrównoważonej, jak gdyby szlifującej z każdego wyrazu zatrutą strzałę; było coś grozą przejmującego w tym

tryumfie wyrafinowanej dręczycielki, która z przygodnie rzuconego przez męża aforyzmu, „że właściwie nie można nigdy wiedzieć kto jest ojcem dziecka,“ ukuła narzędzie tortury, doprowadzającej do szaleństwa znienawidzonego człowieka. I ten straszny pojedynek tak całkowicie pochłoniął natężoną uwagę widza, że mu znikła z przed oczów cała jednostronność tezy, cała paradoksalność zwyrodniałych typów, cała jaskrawość symboliki owego waryackiego kaftana, który oddaje obezwładnionego Mężczyznę na łaskę i niełaskę Kobiety: pozostało wrażenie wielkiego talentu pisarza i skończonej kreacji aktorki, którą cała bogata i wszechstronna twórczość stawia dziś wśród pierwszorzędných artystów sceny polskiej.

Zatrzymawszy się dłużej na występach gościnnych w Teatrze Małym, uważam za słusne powtórzyć jeszcze z naciskiem, że tego rodzaju popisy nie są u Maryana Gawalewicza cnotą z potrzeby, jak na scenach rządowych. Dość przejrzeć afisze z ubiegłych trzech miesięcy, ażeby powziąć pojęcie o zapobiegliwości dyrektora tej sceny, na żywsze zasługującej poparcie. Dziesięć sztuk w ciągu dwunastu tygodni—to chyba świadczy o pracy zarówno kierownika, jak i zostających pod jego sterem artystów. Można z różnych stanowisk oceniać wartość wytwarzanego w gorączce repertuaru; można sprzeczać się o to, czy lepiej wystawić w Warszawie sztukę nieznaną jeszcze w Paryżu, czy też czekać aż tam przetrwa próbę ogniową; można wreszcie rozmaicie patrzeć na sztuki, które już zagranicą przetrwały tę próbę, a u nas, nie wiadomo dla czego, wytrzymać jej nie mogą; ale trzeba chyba przyznać, że teatr, który wedle ram swoich odtwarza ruch literatury dramatycznej w rozmaitych kierunkach; teatr, w którym spotyka się takie nastrojowe przedstawienie „Wujaszka Jasia;“ gdzie się widzi tak artystycznie i z życiem grane jednoaktówki z tryptyku Saltena „Siła moralna“ i „Zmartwychwstanie;“ gdzie publiczność ma sposobność zobaczyć ciekawą bądź co bądź komedię Bernsteina „Samson;“ gdzie Strindberg podnieca myśl swemi paradoksami, a Maurycy Soulié ze swoim „Dzikiem“ daje się poznać *avant la lettre* w żywej grze pp. Adwentowicza i Weycherta, panny Duninówny i Stasi Kozłowskiej—taki teatr wart jest baczniejszej uwagi i skuteczniejszej zachęty.

*

*

*

Gdy na estradzie Filharmonii, zamienionej na teatr, rozbrzmiewają tryumfy kobiety, ujarzmiającej mężczyznę, w teatrze Wielkim, przekształconym na estradę, na której koncertowali włoscy śpiewacy w strojach operowych, odgrywał się dramat mężczyzny, wyzwolonego przez kobietę. Na koniec „wielkiego sezonu“ wystawiono „Okręt-Widmo“ Wagnera—i to była jedyna, rzeczywista cecha wielkości owego sezonu. „Okręt-Widmo“ stoi pod wielu względami na punkcie zwrotnym twórczości genialnego reformatora. Jako poeta słowa, wystąpił w nim Wagner poraz pierwszy; jako muzyk, znalazł się w stadyum przejściowem między dawną tradycją opery, a nowymi ideałami „dramatu muzycznego.“ To rozglądanie się po rozdrożu znać zarówno w rysunku literackim figur, niewyswobodzonym jeszcze z romantyczno-balladowych nałogów, jak i w chwiejności melodyjnych motywów, które przy charakterystyce bohaterów wahają się między wczorajszymi, zamkniętymi formami, a jutrzejszą ich rozlewnością. Duch jednak wieje już tam potężny, i w tym krzyku rozpaczliwym Ahaswerusa oceanowego odzywa się indywidualność twórcy, miotana tęsknotami tułacza za ziemią, gdzie wylądowawszy, znalazłby ocalenie w objęciach ukochanej, a kochającej go i wiernej mu Sztuki.

„Okręt-Widmo,“ wykonany artystycznie z udziałem takich talentów, jak pani Korolewicz-Waydowa i p. Zawilowski, spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności, która potrafiła stanąć na ówczesnem stanowisku twórcy, bo sama szuka dziś dróg od opery do dramatu, — a tych oczywiście nie wskazała jej pani Lina Cavalieri nawet w „wielkim sezonie.“

W. BOGUSŁAWSKI.

Post-Scriptum. W ostatniej chwili zaszły w kierownictwie dramatu i komedyi ważne zmiany. Dyrekcya teatrów rządowych rozwiązała kontrakt z p. Kazimierzem Zalewskim. W momencie, kiedy to piszemy, opróżnione stanowisko Dyrektora artystycznego nie zostało jeszcze zajęte. Od powtarzania zakulisowych pogłosek w tej sprawie wstrzymujemy się z zasady. Reżyserem Głównym mianowano artystę p. Kazimierza Kamińskiego, z którym pracę reżyserską dzielić ma artysta p. Józef Śliwicki.

„BARD POLSKI“

(1795)

Adama Czartoryskiego.

Ustalił się już w naszej historii literatury przy omawianiu czasów, poprzedzających romantyzm, taki tok rzeczy: Karpiński i Książnin, a następnie Brodziński—uważani są za poprzedników początkującego romantyzmu (który nazwałbym wileńskim); Woronicz—za poprzednika zenitowego wybijania poezyi wieszczej.

Nie samemu jednak i nie pierwszemu ¹⁾ Woroniczowi należą się zaszczyty praecursora. Musi się nimi podzielić, jeżeli nie w zupełności ustąpić, młodszemu od siebie wiekiem, starszemu wystąpieniem, Adamowi Czartoryskiemu.

Jak Morsztyn stanął na widocznem miejscu, na punkcie zwrotnym literatury, wprowadzając do niej nowy kierunek, rozwinięty dopiero po dłuższej pauzie zastoju, tak samo potomek jego po kądzieli zajmuje podobne stanowisko wobec polskiego romantyzmu.

„Barda polskiego“ napisał ks. Adam w r. 1795, mając 25 lat. Nie pierwsza to była próba poetycka, gdyż za lat młodszych, pod okiem nauczyciela, Książnina, przewierszował wiele i nabrał wprawy rymotwórczej; ciągle zaś obcowanie z poetami, stałymi gośćmi Puław, dopełniło reszty... „Barda“ nie chęć sławy mu dyktowała, nawet do druku go nie przeznaczał; najnowsze dopiero cza-

¹⁾ Nie biorę w rachubę zapomnianej już przez współczesnych „Psalmodyi“ (1695) Kochowskiego, a to ze względu na całowiekową odległość; analogicznie bowiem należałoby przed Brodzińskim postawić Kochanowskiego, autora „Sobótki.“

sy wydobyły poemat z pyłu niepamięci i przyznały mu w historii literatury godnie zasłużone miejsce.

Zamierzam naszym dać szczegółowe opracowanie poematu, które już oddawna mu się należy.

Najpierw zaznajomimy się pokrótce z treścią.

Utwór składa się z sześciu pieśni, nierównej objętości, które później dopiero opatrzone zostały nadpisami (tytułami).

Pieśń I, zatytułowana „Obraz,” składa się z trzech ustępów; środkowy odpowiada nazwaniu: w usta Młodzieńca, pod którym kryje się sam autor, włożony wyrazisty opis zniszczenia Polski, do niedawna kwitnącej. Wstęp podaje genezę utworu:

„Za cóż to? Za jakież ojców ciężkie zbrodnie
Gniew Jehowy dosięga nas, nieszczęsne syny?”

poucza o wzajemnym stosunku dwu występujących postaci: Młodzieńca-ucznia do Barda-mistrza; tu mamy zapowiedź dalszej budowy poematu:

„Pójdźmy jeszcze zobaczyć, pożegnać tę ziemię,
Ostatnich Polaków wywołajmy cienie!”

Ustęp końcowy, to płynąca skarga do Boga, przeciw Bogu, za niezasłużoną karę.

Pieśń II. „Powstanie:” Stają u mogiły dawno poległych bohaterów. Bard wstępuje na nią, przyzywa Młodzieńca i, wskazując w stronę Krakowa, opiewa powstanie kościuszkowskie, szerząc się po kraju wieść o niem, ogólny zapał, powstanie Warszawy, waleczną obronę podczas oblężenia, wreszcie Maciejowice — upadek; rozwodzi skargi, dokończone przez Młodzieńca.

Pieśń III. „Dziewica.” Scenerya się zmienia: tam mogiła i Kraków — tu skaliste, leśne bezdroże; dziewica w siedzącej pozie, zamyślona, z wyrazem obłędu — po usniechniętych i łzawych Justynach pierwsza Niobe naszej poezyi; po wygłoszeniu żalów nad swoim i Ojczyzny losem i po wywnętrzeniu zwidywań — umiera (najwybitniejszy ustęp z jej słów przytoczymy na innem miejscu).

Pieśń IV. „Młodzieniec.” Spotykają młodzieńca, opartego o pień dębowy, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, przedstawiciela zagranicznej tułaczki polskiej — legionów; straszna rzeczywistość zniszczyła marzenia jego młodości; potomni nie usłyszą o jego zasługach ani w sejmie, ani na polu bitwy; nieznany mu-

si umrzeć! Dalsze słowa legionisty powinnyby wychodzić z ust Młodzieńca—autora, gdyż do jego wyłącznie położenia się odnoszą:

„Mamże przysięgi na przysięgi wkładać?
Sumienie moje obciążać w kajdany,
By kawał roli nie był mi zabrany?
Za kawał kruszcu duch mój zaprzędany
Na przyszłość więzić!?”—

brak więc wyraźniejszego rozgraniczenia, względnie ściślejszego zespolenia obydwu w jednym. Bard zestawia ich położenie: jednego, który

„Zawiedzion dostatkami i w nich bóstwo swoje
Mieszcząc, przezienne męki i haniebne znoje
Ledwo się nieszczęśliwy na końcu dokupi,
Że mu gwałt lichie mienie nie zupełnie złupi“

i drugiego, któremu głos sumienia nic zarzucić nie może, którego zemsta bez cienia zdrady wrogom się dochowa. Autor, oceniwszy obustronne położenie, przyznał wyższość legionście. Spotkany młodzian idzie na tułaczkę, żegnając się z Bardem.

Pieśń V. „Starzec.“ Urwano dla niej 8 wierszy z poprzednie pieśni i dotąd stale błąd powtarzano. Scena znów inna: w mroku ustępującego dnia, wychodzą ze skraju gęstwy przez otwarte pole, nad urwisty brzeg spienionej Wisły, widząc w dali wieże Warszawy, rysujące się w białych promieniach zachodu. Bard zestawia obraz stolicy—niegdyś, a dziś. Opodał na wyrwie nadbrzeżnej, jakiś starzec zgrzybiały rozpacza nad śmiercią syna i córki, zamordowanych podczas rzezi Pragi; ustęp ten należy do najświetniejszych; plastyczność przedstawienia, siła wyrażen, głębokie wczucie się w sytuację, ból patryotyczny — złożyły się na tragiczne piękno. Równie silnem jest zakończenie—potok złorzeczeń na przemoc, groźnych i poważnych, jak anatema Woroniczowe w „Sybilli“ na zdrajców Ojczyzny. Starzec rzuca się w głębokie nurty rzeki ze słowami:

„Gasnąca zgrzybiałość
Nie doczeka już zemstą nasycić mą żalność,“

słowa wielce znaczące, gdyż uczą o późniejszym pochodzeniu ostatniej pieśni,

IV, „Powołanie,“ owianej duchem rezygnacyi chrześcijańskiej, na co silnie wpłynęło upokarzające położenie autora, jako zakładnika w petersburskim dworze i późniejsza depresja z okre-

su ministeryalnej dymisji, kiedy miał swobodniejszy czas na dumania o znikomości i na pracę literacką. Nie poddając się indywidualności, szuka wtedy oparcia w Nadziei i chwytą się myśli, że „Bóg skróci karę,” że dozwoli „Swemu błogosławić słowu;” Nadzieja ma go nauczyć „głowę schylać pod Jego wyroki.” Młodzieniec żegna pocałowaniem ziemię rodzinną, zostawiając Mistra, który gotuje się umrzeć między swoimi i składa lutnię na Ojczyzny grobie.

Następuje epilog. Poeta w oczekiwaniu zmian, dnia sądu, przedstawia sobie chwilę, kiedy

„Gwiazdy wstecz ruszą i blade rozbiegną się słońca,
Rozuzdane żywiły w przestrzeni bez końca
Bujać będą, ład niszcząc wszechrzeczy do szczytu,
I nowy świat wystąpi z straszego odmętu!
Co mówię?—Noc jest cicha; gwiazdy błyszczą mnogie,
Niebawem słońce wejdzie promienne i błogie;
Czuję woń kwiatów; — owoc dojrzeje w swej porze;
Dla złych, dla dobrych równie świecić będą zorze;“

ustęp, przypominający wyrażeniami i myślami zakończenie Mickiewiczowskiej „Ody do młodości“ — niedomalowany; jakieś optymistyczne zakończenie raptownie zatarte; ułuda przedświtów nowych dni stawiona twarzą w twarz szarej rzeczywistości:

„Lata biegną... my nikniem... a Polska nie wraca;“

momentalne wspomnienie o minionych, kochanych snach znów stłumione — ukorzeniem się Bogu:

„Wszak Ty cierpiełaś Boże! cierpieć wolim z Tobą,
Cierpieć to wyższe życie, co górniej spoziera
Na świat; do nieba tęskni, na niebie się wspiera.
Boże! nie daj w materji duszy spełznąć marnie,
Wybaw nas od nieczucia, o zostaw męczarnie!“

Według prof. Kallenbacha istnieje (w archiwum rodzinnem, w Krakowie) kopia oryginału ¹⁾ z r. 1808, pióra ks. Maryi Wirtemberskiej, z innem, krótszem zakończeniem: apelem do bohaterów, poległych za wolność, zaczynającym się od słów: „Żegnamy ciebie ziemio ulubiona“—zakończenie zaś nasze jest dłuższe—i co

¹⁾ Rękopis ma zawierać drobne odmiany tekstu, których dla niedostępności źródła nie mogłem zestawić.

musimy dodać: biegowi myśli brak przejrzystości. Treść zaś wcale nie przewidywana, wywiera smutne i przygnębiające wrażenie, tem bardziej, że po przejmującym opisie barbarzyńskiej rzezi Pra-gi, należało się spodziewać raczej szczęku oręża, niż kornej prośby o heroizm niewolnika! Na epilog, aby utrzymać jednolitość tonu, nadawały się — w naszym rozumieniu — legiony, w których vox populi, vox Dei, upatrywał gwiazdę nadziei polskich. Ale poeta młodo zabrany z kraju, nie mógł go słyszeć; obce otoczenie nań oddziaływało i oddziało: marzenie zemsty zostało wspomnieniem poetyckiem!

Poemat napisany był w r. 1795; lecz bliższe określenia, kiedy? i jak?, choć łatwo dostępne z „Pamiętników“ i samego tekstu, zostawały dotąd niewyjaśnione. Rząd rosyjski, pokonawszy powstanie Kościuszki, obłożył sekwestrem olbrzymi majątek Czartoryskich, a stary książę widział się zmuszonym wysłać na dwór petersburski obu synów (Adama i Konstantego), jako zakładników, których pokazywano Europie, jako dowód zaufania do siebie ze strony nowych, dobrowolnych poddanych. W styczniu r. 1795 stanęli bracia, pod strażą Repnina, w Grodnie, gdzie trzymani byli na rozkaz cesarzowej aż do wiosny. Tam właśnie powstała żałobna elegia, rozpoczynająca poezję porozbiorową. Autor sam zapisuje wyraźnie (w „Pamiętnikach“ str. 34): „Pod tytułem „Pieśń Barda“ opisałem wierszem ówczesny stan mojej duszy podczas pobytu naszego w Grodnie. Przesłałem tę poezję Książninowi i często ją potem z rozrzewnieniem odczytywano w gronie rodzinnem. Przeżyła ona już czas swój, straciła na wartości.“ Zbyt pośpiesznie wydał autor tak niekorzystny sąd o płodzie własnego ducha, o nastroju szlachetnych uczuć polskich z r. 1795, których jedynym był wyrazem.

Poemat nie powstał od jednego rozmachu: zaczęty w Grodnie, dokończony w Petersburgu, dokąd obaj bracia przybyli dopiero w maju (1795). Wskazują na to liczne wzmianki tekstu: w pieśni I-ej niepewność jeszcze dalszego losu (jakhy obawa Syberyi):

„Wkrótce przyjdzie uchodzić. Tyran podejrzliwy
Nie da się kryć w zaciszu, siac spokojne niwy.
Z rodzin drogich, z najmilszej wyrwie nas ustroni,
Popędzi w swoje lody, za morza przegoni...“

w porównaniu z pobytem w Petersburgu, gdy już jakieś lepsze wieści dochodziły z Ojczyzny, lub od legionów:

Nadziejo! „Powiedz mu (Kościuszcze), że w Polakach męstwo nie wygasło,
I że jeszcze na jego walczyliby hasło!“

Wyraźnej jednak granicy między tem, co napisane w Grodnie, a co na dworze petersburskim, nie można znaleźć dla braku pewnych danych. Jednym też z dalszych dowodów powolnego tworzenia może być niejednorodność ożywienia poetyckiego, wzrastającego ku końcowi, równoległe z wewnętrzną zmianą metryczną. Przeważający 13-o zgłoskowiec, nieprzekładany, żeński, posiada zwykłą średniówkę, w której zbyt stale umieszczana interpunkcja powoduje monotoność rytmu początkowych pieśni; i tak, na 68 wierszy I-ej pieśni 30 ma interpunkcję w średniówce; — w dalszych widać ciągłą zmianę na lepsze: np. pieśń V-ta liczy w 85-ciu wierszach 84 takich średniówek.

Nim przystąpimy do szczegółowej analizy utworu, musimy wpierv zapytać, co za postacie przewijają się przez poemat?—Dwie główne: Bard i Młodzieniec, widnieją we wszystkich pieśniach, podobnie, jak w grottgerowskiej „Wojnie,” lub — jak się zwykle mniej szczęśliwie porównuje — w dantejskim eposie ¹⁾.

Wiemy, kim jest młodzieniec, gdyż najmniejszej nie ulega wątpliwości, że młody autor siebie samego w nim przedstawił.

Kogo wyobraża Bard, występujący w charakterze duchowego przewodnika Młodzieńca? Upatruje się w nim Vergilla, oprowadzającego puławskiego Danta po polskiej Gehennie z r. 1795, lecz z jednej strony zapomina się, że pomysł mógł być przypadkowy, lub równie dobrze wzięty np. od Woronicza; z drugiej — że młody książę wcale nie pozował na Dantego; tak więc prócz motywu wędrówki dwu wieszczów — o ile o dwu można mówić — brak wyraźniejszego podobieństwa. Inni znów widzą w nim personifikację dawnej Polski, podobnie jak w osobach z poszczególnych Pieśni — uosobienie uczuć dwu generacji (młodszej i starszej), współczesnych trzeciemu rozbiorowi. Bard nie jest jednak ogólną postacią, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Kryje się w nim konkretna osobistość — natchnionego wieszczą Woronicza. Za naszym twierdzeniem przemawia sam Czartoryski w kilku ustępach „Pochwały Woronicza,” które nadto przyłożone do poematu, objaśniają go najbardziej szczegółowo i wyraziście: „W jego młodości czasach życie Narodu, cała jego historia była w uczuciach, w żalu, w zwierzeniach wzajemnych, wspomnieniach, w zawartej rozpacz. Czynów nie było. On te uczucia malował, to życie wewnętrzne wynurzał; i dając je poznać w całej jego boleści, tem samem jedynie podobną cierpiącym przyniósł ulgę” (str. 15).

¹⁾ Dębicki, „Puławy,” t. IV, str. 213.

„Woronicz był właśnie Bardem, pod klęskami upadającej, z liczby żyjących Narodów, wytrąconej Polski. ...Rozpaczająca miłość Ojczyzny stała się jego geniuszu Muzą. Wiadomo, że w owych czasach kraj był nawiedzany wszelkimi klęskami, jakie wynikają z srogiej i zawziętej wojny. Jej przerażające obrazy chwyciły rozognioną wyobraźnię Woronicza i już się więcej jej nie puściły. Zdawało mu się wtedy, że głos jego rozlega się na spustoszonej ziemi, wśród żałobnych jęków, tlejących popiołów, zburzonych siedzib; że z lutnią w ręku błąka się po mogiłach bratnich kości, że go obstepują duchy poległych i że między niemi spostrzega smutny cień matki, świeżo otrzymane pokazujący rany.“ (Str. 8, wydanie z r. 1830).

Jaką drogą przyszło do tak blizkich stosunków, łączności duchowej, między uznanym poprzednikiem wieszczej poezji, a młodym wierszopisem? Woronicz, obok Książnina, drugi poeta Puław, zostający z nimi w ścisłym, bezpośrednim stosunku (już od r. 1784), dostaje od Czartoryskich przed r. 1795 probostwo w sławnym niegdyś, a blizkim Puław, Kazimierzu—stałe jednak gości w książęcej rezydencji. Nic więc łatwiejszego, jak zbliżenie się Młodzieńca do natchnionego autora „Sybilli“ — i zrozumiałą rzeczą, że prócz ogólnego wpływu, któryśmy powyżej wskazali, nie mogło się obejść bez drobniejszych zależności. Przypatrzmy się tylko budowie Woroniczowych poematów: Stale szereg przydługich dyalogów, wpadających w monolog. Taką jest „Sybilla,“ zawierająca długą przemowę Kazimierza Wielkiego (z mogilnego kopca) i krótsze Sybilli, Jędzy i in.; wreszcie przemawia sam autor do królów i bohaterów. Analogicznie w „Lechu“ i „Assarmoncie.“ Poszczególne tyrady kończą się, lub, częściej, przerywają strasznymi widzeniami, omdleniem. Ta sama technika w „Bardzie,“ przemowy idą naprzemian, kończą się podobnie. Z wczytania się w oba utwory, doznaje się wrażenia, że Czartoryski musiał znać ogólny plan i gotowe już części „Sybilli.“ Przedewszystkiem uderzająco podobnym jest motyw wstępowania na mogiłę Ojczyzny i wieszczego przemawiania z jej szczytu Jana Kazimierza (początek pieśni III-ciej) i Barda (str. 26); obaj kończą omdleniem. Wspólnem jest założenie obu poematów, wyrażone temi samemi słowy:

(„Bard“ str. 10) „Pójdźmy jeszcze zobaczyć, pożegnać tę ziemię,
Zapłakać na nieszczęsne pozostałych plemię!
Niech raz jeszcze wolności wzruszy nas wspomnienie,
I ostatnich Polaków wywołajmy cienie!“

w początkach zaś II-ej księgi „Sybilli“ pisze Woronicz o Kazimierzu Wielkim:

„A ty się nam odzywasz *łzaurem* patrząc okiem!
Dzieci! jakimże dla mnie jesteście *widokiem*!
Lecz nie pytaj nas, ojcze, co się stało z nami...
Ty raczej *raz ostatni* mów nam z tej ustroni,
Czem byliśmy!“

„W przedostatniej pieśni „Barda“ („Starzec“), opis rzezi Pra-
gi przypomina podobny u Woronicza, pod koniec ks. III; w „Bar-
dzie“ tuż wstępuje niezwykle silny potok przekleństw na wroga;
takież streszczenia skierowane są w podobnym wybuchu poetyc-
kim z IV-ej części „Sybilli“, pod adresem sprzedawców Ojczyzny.
Jędze, które w „Sybilli“ powodują zniszczenie i rozbiór Polski za
Jana Kazimierza, są tutaj wyraźnie wspomniane („Bard“, str. 58):

„Na gruzach, gdzie się Jędze z okrucieństw szczyciły,
Widzę straszne potomkom wznoszone mogiły.“

Tyle z Woronicza.

Zapytujemy teraz, jaki stosunek łączył Czartoryskiego z na-
uczycielem i jednocześnie głównym poetą puławskim, Książni-
nem? Opierając się na znajomości dzieł Książnina i na znakiem
wspomnieniu pośmiertnem o nim ks. Adama ¹⁾, musimy zau-
ważyć, że struny duchowe ucznia i mentora nie wiele liczyły
wspólnych tonów, że nie wiązało ich takie pokrewieństwo ducha,
jak łączące Woronicza z Młodzieńcem. Autor „Sybilli“ wszedł
do poematu mocą posiadania analogicznej psychy, podobnego spo-
sobu odczuwania i rozumienia losu patryotycznego, wspólnością
myśli poetyckich, których nie wcześniejszym, ²⁾ lecz wymowniejszym
był głosicielem i które mu zgotowały miano poprzednika poezyi
wieszczej. Książnin był nauczycielem, w którym uczeń cenił tak-
że poetę, lecz zasadnicza różnica ich ducha i usposobień, dodaj-
my—znajomość słabych stron charakteru domownika Puław, sta-
wiały go niżej w porównaniu z Woroniczem. Dlatego też i brak
wyraźniejszego poetyckiego wpływu na utwór. Co najwyżej mo-
żnaby mówić o zależności formalnej, lecz niestety! ta strona poe-
zyi Czartoryskiego najwięcej szwankuje. Książnin, stracony dla

¹⁾ „Życie Książnina“ Przegl. pozn. 1853.

²⁾ Zarysy „Sybilli“ powstały równocześnie z rozbiorami kraju; Wor-
onicz opracowywał je przez lat kilkanaście; drukiem wyszła „Sybilla“ w r. 1818.

literatury dopiero w r. 1796, miał jeszcze na rok przedtem w swem ręku manuskrypt „Barda,“ przysłany z niemem, czy pisemnem życzeniem, dokładnego przejrzania i poprawienia. Dla porównania nie waham się przytoczyć losu „Dziejów Wacława“ Garczyńskiego, które, nic ze swej istoty nie tracąc, wyszły z pod ręki Mickiewicza świetniejsze zewnętrzną szatą. Około r. 1807 poświęcił Czartoryski w nowo dorobionem zakończeniu jednowierszowe wspomnienie zmarłemu opiekunowi rękopisu:

„On usnął na swej ziemi.“ (A dalej:
„Lata biegną... my nikniem... a Polska nie wraca“).

Na powyższe przypuszczenie pozwalają następujące okoliczności: Jeszcze w r. 1803 nie było nowego zakończenia; nikt z bliskich Czartoryskiemu nie umiera w okresie lat 1803 — 1807 (ani też w kilku następnych), prócz Książnina († 1807); właśnie w r. 1807/8 wolny od obowiązków ministra osiada książę w Puławach i oddaje się spokojnej pracy; wtedy prawdopodobnie wydobyl rękopis z pomiędzy papierów zmarłego nauczyciela, gdyż — jak informuje Dębicki ¹⁾ — „poemat o powstaniu pozostał tajemnicą nawet przed rodziną w Puławach;“ wreszcie treść i ton zakończenia, zaczynającego się powyższym wierszem, zaczerpnięte są ze współczesnej (1807 —) lektury „Nocy“ Younga (o czem niżej).

Teraz o innem jeszcze wyraźnem zapożyczeniu, od trzeciego z puławskich poetów: Sławne i znane powszechnie żegnania lutni Karpińskiego w „Żalach Sarmaty“ znajduje odbicie w słowach Barda:

(str. 65) „Ty zaś, ach próżne teraz w mem ręku narzędzie,
Lutni! już twój głos więcej słyszany nie będzie...
Tu kędy bór zapadły, miejsce znajdę tobie;
Tam złożę cię, jak gdyby na Ojczyzny grobie...“

zakończenie jednak mniej rozpaczliwe, bo gdy Karpińskiemu zostały łyzy same jedne, Czartoryski przewiduje, że godniejsze ręce wskrzeszą jej głosy.

Prof. Tarnowski, którego zasługą jest wprowadzenie naszego poematu do historii literatury (III, 524—531), rzucił pobieżnie kilka uwag o zależności „Barda“ od poezji angielskiej, którą — dodajmy nawiasem — Czartoryski miał sposobność poznać w oryginale, podczas dwukrotnego pobytu w Anglii.

¹⁾ „Puławy,“ IV, 215.

Szeroko rozwiódł się prof. Tarnowski nad wpływem „Pieśni Ossyana“ i w rezultacie tak go określił: „w tem, że jest Bard z lutnią i że on pokazuje Młodzieńcowi obraz Polski po utracie niepodległości, widać pewien, choćby daleki i pośredni wpływ Ossyana.“ Poznanie makfersonowskiego falsyfikatu zawdzięczał książę przedewszystkiem Książninowi, który tworzył przekład częściami, aż do r. 1795; poznanie następowało — jak to było zwyczajem w Puławach — w miarę kolejnego powstawania pojedynczych pieśni. Co mógł wziąć poeta z „Ossyana?“ — Istotnie nie wiele! Nie treść bohatera, bo ta, nie będąc na czasie, obcą pozostać musiała. Poemat wyrósł z cierpienia osobistego i nad dolą Narodu, jako elegia pogrzebna nad dymiącymi jeszcze gruzami Ojczyzny i młodocianych marzeń. Niewprawne pióro nie potrafiło odrazu potężnie uderzyć w lament; więc powoli, od nawpół epickiego zdania sobie sprawy z ogromu nieszczęścia, rośnie poetyckie uczucie, by w końcu osiągnąć wyżyny prawdziwego artyzmu. Lecz nim to nastąpiło, sięgnął autor do skarbnicy swej technicznej wiedzy. Tuż przed katastrofą bawiło artystyczną duszę wczytywanie się w dzwięczny 11-o zgłoskowiec Książninowych „Pieśni Ossyana,“ przenosiło z utęsknieniem w starą skandynawską krainę, między bohaterów, dla których walki, śpiewanie dum i sława pozgonna, były życiem. Zimna rzeczywistość zmusiła widzieć nie własną osobę w tamtych czasach, lecz ujrzeć wypadki dnia bieżącego i tak znalazły się one mimowoli w nieobcej ossyanowskiej sceneryi. Tło poematu bardzo mało, albo nic swojskiego nie przedstawia, co łatwo zrozumiałe, gdyż dopiero nieco później, zlewający się z okresem stanisławowskich sie-lankopisarzy, romantyzm, pierwszy zajął się seryo krajobrazem i począł go powoli unarodawiać. Czartoryski, bezpośredni poprzednik tego okresu, stoi na kosmopolitycznym gruncie krajobrazu ossyanowskiego: Skalisty, nieuprawny, z omszonymi świerkami i potężnym dębem na przedzie, porosły leśną gęstwą, w której tu i owdzie przemykają bardy i bohaterzy, gdzie niegdzie zaś tylko nad doliną ze spienionym potokiem przeglądają z za mgły wieże zamczyska. Ten krajobraz zawisł nad poematem, harmonizując mrocznym cieniem z posępną treścią. Powie ktoś może, iż poeta nie potrzebował sięgać aż do „Ossyana,“ gdyż tło „Barda“ ma w sobie wiele z samych Puław: otoczonych drzewami, ruinami sztucznemi, położonych nad Wisłą. Owszem! lecz należy wiedzieć, że był to ossyanizm w praktyce; niektóre zaś rysy osób i wiele szczegółów krajobrazowych, związanych z niemi, przemawiają za wpływem literackim. Towarzysząc wędrowce obu po-

staci, nie spotykamy rozłożystych wsi, ni dworu, ni kapliczki przydrożnej; żyjąca przyroda (ptaki), która u nas zawsze jakby na przekór zniszczeniu pulsuje życiem, znikła bez śladu, jak pod zimnem niebem fiordów. Raz tylko ujrzymy z dala wieże Warszawy:

(str. 50) „Wieczór schodzi na ziemię oziębły i siny,
Z lasu wyszliśmy w pole; tu koniec gęstwiny.
Cóż to się błyszczy, rzekłem, i przez mgłę przeziera,
Resztę bladych promieni zachodu odbiera?
Czyż nie poznajesz? odparł, wieże to Warszawy.“

i następuje opis byłej świetności stolicy; na str. 18 znów wzmianka o wieżach Krakowa łączy się ze wspomnieniem przeszłości, powstania Kościuszki, podobnie jak w „Ossyanie“ (np. w cz. II „Oskar“ str. 84):

„Żądza śpiewania obudza się w duszy,
I wre mi serce na widok przeszłości,
Widzę, o Selmo! widzę twoje wieże...
Stoją rycerze, Fingal między nimi...
Słucha bohater głosu swoich Bardów,
Śpiewają oni moc jego ramienia,
I co za swojej udzielał młodości.“

Posagowe postaci naszego poematu spotykamy: na polanach lesistych, u stóp dębów (Młodzieniec),—na skale, w ostępie leśnym (Dziewica),—w pustkowiu dzikiem, nad urwiskiem spienionej rzeki (Starzec); lecz ich duch, słowa, nie są z ossyanowych bohaterów.

Wyjątkowo jeden rys wyraźniej zapożyczony: Troska o sławę pośmiertną, żale młodych rycerzy przed skonem, przeczuwających, że wieść o ich czynach razem z nimi zaginie, udzieliła się młodzieńcowi legionście:

(„Bard“ str. 39) „Ujrzym młodzieńca. O pień dębowy oparty...
Oczy, uczuciom najwyższym zrodzone,
Tęskna posępność i smutek przyciły...“

rozwódzi żale nad swym losem:

Bez celu zmierzchłe życie wlec skazany,
Pożyję próżno i zginę nieznany!...
Żaden sędziwy starzec w ojcowskiej swej mowie
O moich kiedyś czynach synom swym nie powie...“

„Fingal“ str. 31. „Stanie Kuchulin oparły na dębie,
Toczył w milczeniu spłomienione oczy
I ucho wiatrom zdawał się podawać...

rozwódzi żale nad poległymi towarzyszami; sam puszcza się na
tułaczkę w lasy:

Tam oddalony od ludzi zostanę,
Tam ja, tam będę nikomu nieznany!
Żaden Bard mowy nie usłyszy o mnie,
Żaden głaz mojej nie wyda pamiątki.“

Motyw dekoracyjny: bohater oparty o dąb, wyłączna własność Makfersona, daje się spotykać u niego co kartka.

Szczegółowe zestawienie mniej wyraźnych podobieństw opuszczam.

Prof. Tarnowski wspomina następnie o innym europejskim poecie, dziś zapomnianym Youngu, który także wywarł silniejsze wrażenie na wyobraźni ks. Adama. Young, protestancki pastor angielski, z I połowy XVIII w., pisze po stracie całej rodziny poemat w 24 pieśniach, „Nocy“ — elegijne rozmyślanie na temat vanitas vanitatum, na tle dekoracji nocy, skąd poszedł i tytuł. Jeżeli mowa o ewentualnym wpływie, to należy najpierw przytoczyć Noc czwartą (p. t. Narcyza), gdzie autor (Young tworzył w b. podeszłym wieku) płacze i rozmyśla nad utratą córki; wyraźniejszych podobieństw brak, gdyż pieśń zbliża się raczej do „Trenów“ Kochanowskiego, niż do tej części V pieśni „Barda“, w której Starzec rozpacza nad utratą (syna i) córki. Ugruntowanie powyższego przypuszczenia dałoby się wykazać w analogicznym snuciu dalszych myśli: potępieniu bojaźni śmierci (Noc V i następne, a zakończenie V pieśni „Barda“), — z zasadniczą jednak różnicą w efekcie, bo gdy Young znajduje pociechę w osamotnieniu i rozmyślaniach, Starzec topi się z rozpaczą w Wiśle. Natomiast widoczna analogia zachodzi między (później dorobionem) zakończeniem „Barda“, a ostatnią, (t. j. 24) Nocą p. t. Pociecha — i to nie całą, tylko jej początkiem, który jako objaśniający treść zakończenia, niezgodną — jak wiadomo — z duchem całego poematu, objaśniający przede wszystkim inne, współcześnie prozą pisane dziełko Czartoryskiego, o zapożyczonym nawet tytule („O pocieszeniu“) — zasługiwałby na szersze uwzględnienie. Dzieło Younga czytał młody książę po raz pierwszy prawdopodobnie w Anglii; powtórnie mógł zabrać się do lektury i jej przetwarzania około r. 1807/8.

Bez charakterystycznych właściwości współczesnej epoki poetyckiej obejść się także nie mogło. Takie np. typowe wyrażenie wskazuje czasy sielankopisarzy Stanisławowskich:

(str. 10)

„Tyran podejrzliwy

Nie da się kryć w zaciszu, siac spokojne niwy.“

Znajdujemy wiele objawów klasycznego stylu, które dziś rażą, choć w swoim czasie były zupełnie na miejscu, jako wyraz wykształcenia literackiego, np. sążniste porównanie (jedno z wielu):

„Jak gdy matce syn drogi pada przed oczyma,
Już martwego ostatnim uściskiem się trzyma,
Rwie szaty, piersi tłucze, głos i zmysły traci,
Tak Polska nieszczęśliwa, w okropnej postaci
Płacze konając, płacze swego bohatera.“

trafia się przepolszczenie łacińskiego *qui* (str. 45); częste uosobienia abstrakcyi:

np. (str. 24) „Tu Polskę raz ostatni wódza broni Cnota“,

lub (str. 21) „Wiarołomnego króla Duma się dziwuje.“

i na tej samej stronicy aż trzy podobne figury...

Utwór w licznych ustępach trudny do szybkiego oryentowania się, już to dla eliptycznych zdań, już to z powodu dłuższych okresów, z poprzestawianemi wyrazami i mnóstwem interpunkcyi.

Wpływ otoczenia rosyjskiego, zmuszający tać uczucia i kłamać twarzą myślom, wyrzył się już w pieśni II, skreślonej wprawdzie ze szczerem patryotyzmem, w której jednak trwożnie przemilczane są nazwiska, między innemi nazwisko Kościuszki, choć szeroko czytamy o sławie jego oręża. Sam autor tak zwierza się w „Pamiętnikach“ (str. 34): „Nie zmieniły się w owych czasach nasze uczucia, objawy ich tylko na zewnątrz musiały się stosować do okoliczności.“ Pierwszy to u nas przykład deprymującego wpływu duchowej cenzury w naszej literaturze porozbiorowej. Odtąd autorzy będą zostawiali drugą, serdeczniejszą połowę swych myśli domysłowi czytelnika, zaczęli pisać między wierszami. Sam Czartoryski zauważył później ten przygnębiający objaw na poematach Woronicza. ¹⁾

¹⁾ Na str. 11 „Pochwały Woronicza“, pisze Czartoryski o deprawowaniu myśli twórczej w samym jej zarodzie przez cenzurę, w okresie poetyckiej twórczości Woronicza, co stało się powodem niejasności jego utworów: Ukry-

Tak obliczyliśmy „debet“ poematu. .

Co dał jednak nowego, stojąc w przełomowym okresie, jako bezpośredni poprzednik nowego kierunku?

„Sam fakt, że jest poemat, napisany w chwili rozbioru, pod jego wrażeniem i o nim, jest znaczącym i zmywa z poezyi ten zarzut, jakoby pozostała nieczułą na nieszczęścia krajowe.“¹⁾ To ogólna wartość—fakt napisania. Szczegółowa tkwi w treści, a treścią: „sprawa między ludzkością a Bogiem.“ Zasadnicze myśli poezyi wieszczey wyklada tak jasno i dobitnie, że należało na nie szukać tylko odpowiedzi i dalej rozwijać. Zestawimy je (według wyczerpującego przedstawienia prof. Kallenbacha) pokrótce, w punktach:

1) cicho szerząca się wieść o powstaniu (podobna w „Panu Tadeuszu“),

2) podniesienie znaczenia ludu dla Polski,

3) ostrzeżenie dla Europy: Przez zamordowanie kraju popełniono zbrodnię na ludzkości (co wnet podniesie Brodziński i in.),

4) upadek niezastuszony i żal wobec Boga (jakby pierwszy rzut myśli, rozwiniętych w Improwizacji Konrada),

5) popełniona niesprawiedliwość wypaczyła moralny hart wielu w narodzie,

6) jawna krzywda zmusza do emigracyi—legionów, których celem wszędzie bronić sprawę Polski i wolności,

7) nienawiść do wrogów i pragnienie zemsty („Wallenrod“),

8) nadzieja na przyszłość: Bóg skróci karę i pozwoli Szwemu błogosławić słowu,

9) rezygnacya chrześcijańska i wartość cierpienia — zaród messyanizmu: łączenie swych cierpień z cierpieniem Boga, a stąd tylko jeden krok do ubóstwienia ojczyzny.

Wbrew chronologii literackiej postawimy poemat tuż przed romantyzmem wileńskim—bo rzecz znamienna: Przyszły kurator wileński przeczuwając prawie powstanie teoryi promionkowej, sam się nią jakby przejmował i tak pierwszy opiewał:

wał bowiem wspomnienia bolesnych wypadków „pod zasłoną straszliwych zjawisk;“ przygnębiające położenie „zmuszało do trwogi i tajemienia się. Mowa też często jego (Woronicza) jest zawila i ponura; widziadła okropne otaczają go, których wytłómaczyć, my teraz żyjący, nie zawsze potrafimy, a których prawdziwe znaczenie przyszłe pokolenia może utracą.“ Przytoczyłem tę luźną uwagę ze względu na zapowiedzianą (Tyg. ilustr.) w tym kierunku pracę p. Matuszewskiego.

¹⁾ Tarnowski III, 528.

(str. 45) „A teraz póki razem, na ziemi ojczystej,
 Złożmy ręce pospołem; duch prawy zasili;
 Niebo zejrzy; urokiem bratniego ściśnienia
 Dusza się duszy zwierzy; bez słów w jednej chwili,
 Stokroć silniej, jak mową, połączym wzruszenia,
 Powiemy myśli, czucia i przysięgi skryte,
 Które w serc głębokościach Bóg czyta wyrte.“

Jest to żegnanie się Barda z legionistą.

W niżej zaś przytoczonym ustępie upatruję, na długo przed rokiem 1822, pierwszą polską romancę, godną poprzedniczkę „Romantyczności“ tak w formie jak i w treści, różną od niej tylko brakiem drugiej części, programowej romantyzmu.

W pieśni III, Dziewica żali się na swój los, opłakuje stratę rodziców i w stanie obłędu zwierza się ze swych widywań:

(str. 34) „Nieraz kiedy się zmierzcha, pierwsze nocy wienie
 Przynosi ich żalosne nademną jęczenie!..
 A mój kochanek, zawsze mną zajęty,
 Choć nieodwrotną wiecznością przecięty,
 Lekkiem mżeniem powieki byle się skleił,
 Natychmiast mię odwiedza i wszędy znachodzi;
 Wzrok jego razem i smutny i miły
 Tęskność moją niby słodzi.
 Lecz czasem ran tysiącem rażą go morderce,
 Każdą ja czuję, każda rani moje serce.
 O pomoc do mnie, zda mi się, że woła;
 Lecę—wstrzymują, dobiegam—upada,
 Gdy dla ojczyzny nic więcej nie zdoła,
 Gdy dla niej siły ostatnie postrada,
 Wtedy mnie szuka śmiertelnem wejrzeniem
 I mnie ostatniem pożegna westchnieniem.
 Swego się kwiatu trzyma listek mały,
 Mech się czepia koło skały.
 Lube me związki już wszystkie zerwane
 I samotna na pustej ziemi pozostanę.
 To mówiąc, listki i mech co skubała,
 Składa znowu, żalując, że je rozłączała...“

Umiera. Cytat powyższy może być wycięty — jak widzimy w zaokrągloną całość. Nienaturalny stan umysłowy Dziewicy, widzenie się ze zmarłym kochankiem — przywodzą na myśl „Romantyczność;“ naprowadza na nią jeszcze formalna strona, gdyż dla odtworzenia niekrepowanego toku myśli, wprowadza autor świadomie pomieszczenie rytmu (13-o, 11-o i 8-o zgłoskowiec), tem

widoczniejsze, że nigdzie więcej, tylko w tem miejscu, zjawia się 8-o zgłoskowiec.

O podobieństwie zakończenia „Ody do młodości“ do jednego z końcowych ustępów „Barda“ wspomnieliśmy wyżej. Wiele też innych zwrotów i wyrażen znachodzimy potem u Mickiewicza; przytaczam jedno z takich najbardziej zbliżonych miejsc:

(„Bard“ str. 26) „Chciałbym *ująć, uściśnąć*, przyczynić ulżenia“ (nieszczęśliwemu Narodowi), odpowiadające Mickiewiczowskiemu:

Objąłem w ramiona

(Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia)

Przycisnąłem tu do łona,

Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić...”

Przypuszczam też z całą pewnością, że literackie kółko akademików wileńskich musiało znć utwór kuratora uniwersytetu.

„Bard“ krążył w odpisach. Nie potrafię jednak objaśnić, jak szerokie zatoczył kręgi. Pierwsze wydanie, poprzedzone przedmową pióra Niemcewicza, niejasną, bo nie wymieniającą nazwiska autora, przemilczanego i w tytule, wyszło w Paryżu w I tomie „Skarbca historycznego“ (1840 r.) Karola Sienkiewicza; osobno wyszła odbitka: (ostatni przedruk w r. 1860 w wydaniu Bibl. Polsk.“).

Publikacya przeszła bez odgłosu—i nic dziwnego! zważy tylko na datę (1840) i wiążąca się z nią wybujałość literatury naszej. Głucho o poemacie na emigracyi, zupełny brak jakiejś wzmianki krytycznej o nim. Jedynie więc niezwykle szczerą autokrytyką, którą znachodzimy w „Pamiętnikach“ (str. 126), domaga się pod koniec zanotowania: „W Pawłowsku ¹⁾ mieszkalem w osobnym domku pod lasem, pod każdym względem bardzo mi wygodnym. Mogłem po kilku godzinach codziennej służby oosobnić się, nie będąc narażonym na nieproszonych towarzyszków i mogąc według upodobania oddać się pracy umysłowej i próbom twórczym. Słodkie chwile złudzeń! Myśli się tłoczą do głowy, a zarazem przychodzi przeświadczenie, nie zbyt dla siebie pochlebne, że trzeba wiele wiedzy i długiej pracy, by myśl stała się słowem i że się nie posiada odpowiedniego talentu.“

¹⁾ Jedną z rezydencyj cesarskich blisko Petersburga, w której młody zakładnik początkowo przez dłuższy czas przebywał.

„Bard polski“ nie był ostatnią pracą poetycką Czartoryskiego, lecz sam jeden tylko godny wspomnienia; późniejsze oznaczają krok wstecz. Takim jest wiersz petersburski „Na obcej ziemi i z pod obcej strzechy,“ jakby wariant lub dalszy ciąg „Barda,“ opiewający uwięzienie Kościuszki.

Sam tylko tytuł poematu powtórzy się w r. 1880,1 w ulotnym wydawnictwie patryotycznych wierszy, p. t. „Bard Polski oswobodzonej.“

KAROL KWIECIŃSKI.

EOLITY.

Kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym nie jest bynajmniej zagadnieniem dni ostatnich dopiero, z chwilą bowiem, gdy, dzięki odkryciom Boucher-de-Perthe'a (1828—1868), została stwierdzona egzystencya człowieka w epoce dyluwialnej czwartorzędu, zrodziło się również pytanie, czy początków jego istnienia nie należy odnieść do okresu jeszcze wcześniejszego, mianowicie do trzeciorzędu, i czy ślady jego egzystencji w tych odległych czasach nie dadzą się odkryć gdziekolwiek.¹⁾

Z punktu teoretycznego nic nawet nie stało na przeszkodzie takiemu przypuszczeniu. Według badań wybitnych geologów i paleontologów ostatniego 50-ioletcia, stosunki środowiska w okresie trzeciorzędowym w Europie nie różniły się zasadniczo od warunków obecnych, tak, że istnienie na tym obszarze człowieka nie było bynajmniej rzeczą niemożliwą. Znamieniem zasadniczem trzeciorzędu było stopniowe, coraz silniejsze różnicowanie się warunków fizycznych i biologicznych i wskutek tego wytwarzanie się środowisk specjalnych, odrębnych. W okresie tym następuje powolne ochładzanie się temperatury Europy. W *Eocenie* klimat jej jest podzwrotnikowy i zmiana pór roku wyraża się jedynie tylko w następności okresów suszy i deszczu. Średnia roczna temperatura na szerokości geograficznej Prowancyi musiała wy-

¹⁾ Okres czwartorzędowy { alluvium.
 { diluvium.

Okres trzeciorzędowy { pliocen.
 { miocen.
 { oligocen.
 { eocen.

nosić, sądząc z flory, około $+ 25^{\circ}$. Nic dziwnego, iż w podobnych warunkach roślinność Europy była niezmiernie bujna i składała się przeważnie z roślin zwrotnikowych; palmy rosły tu w północnej Francji i Belgii, drzewa kokosowe — w Anglii. Jednak pod koniec Eocenu znać tu już pewną domieszkę drzew o liściach opadających, właściwych strefie umiarkowanej. W *Oligocenie* temperatura ulega ochłodzeniu i klimat tego okresu — zdaje się, iż dość równomierny w całej Europie — musiał odpowiadać mniej więcej klimatowi północnej Afryki, przy większej nieco wilgotności. W *Oligocenie* roślinność afrykańska i indyjska występuje wprawdzie jeszcze w Europie, lecz zaczyna powoli ustępować ku południowi, a natomiast znać tu coraz większy rozwój flory umiarkowanej. W górnym *Oligocenie* np. spotykamy zarówno paprocie podzwrotnikowe, laury, mirty, palmy i mimozy, jak brzozy, dęby, buki, olchy, wierzby i klony. W *Miocenie* ochładzanie się klimatu wciąż postępuje, a jednocześnie z tem przewaga drzew, właściwych strefie umiarkowanej, staje się coraz wybitniejsza. Wreszcie od połowy *Pliocenu* mniej więcej klimat Europy zaczyna się szybko ochładzać i roślinność staje się zupełnie podobna do flory doby obecnej.

Co się tyczy fauny trzeciorzędu, to znamionuje ją szczególnie rozwój kręgowców wyższych, czyli ssaków. Powoli zjawiają się tu przedstawiciele nie tylko tych rzędów, rodzajów i gatunków, które obecnie żyją na kontynencie Europy, lecz i wielu takich, które dziś właściwe są tylko strefom gorącym. Jednak szczególnie ciekawa dla nas jest obecność w trzeciorzędzie małp, jako istot najbliższych z pośród wszystkich ssawców spokrewnionych z człowiekiem i stanowiących z nim razem jeden rząd „naczelných.“ Pierwsze znane nam małpy kopalne pochodzą z dolnego *Miocenu*, choć budowa ich silnie zróżnicowana świadczy, że musiały one istnieć już i znacznie wcześniej. Lemury natomiast występują, poczynając od *Eocenu*.

Widzimy przeto, że zarówno pomyślne warunki klimatyczne, w jakich znajdowała się Europa w trzeciorzędzie, jak silny rozwój gromady ssawców, przypadający na ten właśnie okres — wszystko to stanowiło środowisko zupełnie odpowiednie dla człowieka i czyniło istnienie jego w tym okresie na gruncie Europy rzeczą możliwą.

A egzystencja ta stawiała się tembardziej prawdopodobna, że najdawniejsze wyroby kamienne, znajdowane w czwartorzędzie, były zbyt wykończone i doskonałe, by mogły uchodzić za zaczątek pewnej techniki i nie budziły domysłu długiego rozwoju poprzedniego. Dlatego też, gdy Boucher-de-Perthes przekonał się,

że siekierki krzemienne, znajdujące przezeń w pokładach dyluwialnych, wykazują niezaprzeczoną planowość roboty, t. j. dążenie do nadania narzędziu pewnego, z góry określonego kształtu—powziął on myśl, że przed pojawieniem się tych narzędzi istnieć musiały narzędzia bardziej pierwotne, czyli poprostu kamienie, których kształt naturalny i naturalne spękania zużytkowywał człowiek do rozmaitych czynności. I rzeczywiście byłoby niedorzeczne przypuszczać, że człowiek, lub jego poprzednik, *odrazu posiadał umiejętność ciosania kamieni*, t. j. nadawania bryłom takiego kształtu, któryby właściwościami swych ścian i krawędzi najlepiej odpowiadał zamierzonej czynności. Rzecz oczywista, że ten stosunkowo już wysoki stopień kultury musiał być poprzedzony całym szeregiem mozolnych obserwacji i kolejnych zdobyczy w zakresie techniki kamienia. Przypuszczać należy, że na razie człowiek pierwotny *zgoła nie obrabiał materiału*, lecz poprostu podnosił pierwszy-lepszy kamień z ziemi i posługiwał się nim, jak się dało: do rozbijania kości zwierząt upolowanych, do tłuczenia orzechów, rozłupywania muszel, mięczaków i t. p. Z biegiem czasu nabrał on wprawy w wykonywaniu tych czynności a jednocześnie nauczył się wybierać te z pośród kamieni, które najlepiej nadawały się do rodzaju wykonywanej pracy. W umiejętności takiego wyboru mieścił się już postęp nielada. Następnie zauważył człowiek, że niektóre ostre odłamy kamienia doskonale się nadają do krajania i skrobienia i począł stosować je do takich właśnie czynności. Wzbogaciwszy się w te spostrzeżenia, mógł już człowiek wstąpić na drugi, wyższy stopień techniki i *począł sam łupać bryły krzemienne* w celu otrzymywania ostrych odłamów, oraz *nauczył się* kilku uderzeniami *podwyższać przydatność kamienia*, zaosttrzając jego krawędź lub obijając wydatności kaleczące rękę. Wówczas dopiero, po nabyciu wielowiekowego doświadczenia, mógł człowiek pierwotny wytworzyć sobie pojęcie „typu“ narzędzia, najlepiej odpowiadającego tej lub owej czynności i mógł zacząć *ciosać krzemienie według pewnego planu*, nadając im kształt z góry powzięty. Był to więc jeszcze wyższy stopień techniki kamienia—okres planowego ciosania; zjawiał się on jako rezultat doświadczenia niezliczonych pokoleń, jako synteza długiego szeregu obserwacji.

Nazwa „*paleolitu*“ określa właśnie tę fazę rozwoju ludzkości, podczas której człowiek nie zadawałał się już prostem „użytkowaniem“ kamienia i prymitywnem „przystosowaniem“ go do swych potrzeb, lecz *ciosał go według z góry powziętego planu*, dążąc do osiągnięcia *kształtu typowego*. Wszelkie wcześniejsze stadia roz-

woju techniki kamienia są oznaczane nazwą „eolitu,” zaczerpniętą przez słynnego geologa i archeologa belgijskiego, A. Rutot, od wyrazu greckiego „eos” — jutrzeńka.¹⁾

Rzecz prosta, iż nie może być mowy o istnieniu jakiejś wyraźnej granicy oddzielającej eolit od paleolitu; umiejętność ciosania narzędzi kamiennych rozwijała się powoli i w paleolicie a nawet i w neolicie obok narzędzi takich posługiwano się również i krzemieniami surowymi, lub tylko przystosowanymi do użytku. Stąd oba te okresy wkraczają w siebie nawzajem i w ten sposób łączą się i zlewają ze sobą.

Lecz gdzież się znajdują i w jaki sposób dają się rozpoznawać owe najpierwotniejsze eolityczne narzędzia przodków naszych?

Czy to, co poczytujemy na krzemieniu za ślad używalności, pozostawiony przez rękę ludzką, nie jest poprostu wynikiem działania sił przyrody?

Odpowiedź na te pytania stanowi właśnie t. zw. „*kwestye eolitów*,” a jej rozwiązanie łączy się ściśle z kwestyą *stwierdzenia egzystencji człowieka w trzeciorzędzie Europy*, gdyż dotąd nie znaleziono w tym okresie innych śladów jego istnienia.

¹⁾ Dla łatwiejszego zorientowania się Sz. czytelników w rozwoju techniki kamienia podaję tu tablicę ilustrującą ten rozwój, poczynając od najdawniejszych znalezisk z okresu trzeciorzędowego.

WIEK KAMIEŃIA	Czwart. młodszy	Okres neolityczny	Technika Robenhauzeńska
			„ Tardenoazyjska
	Czwartorząd starszy	Okres paleolityczny	Technika Tarandyjska
			„ Eburneńska „ Musteryjska „ Aszelska „ Szelleńska „ Strepyjska
Trzeciorząd		Okres eolityczny	Stacye w Mesvin
			„ „ Maffle „ „ Reutel „ „ St. Prest (górny pliocen.) „ „ Kent (środkowy pliocen.) „ „ Puy-Courny (górny miocen.) „ „ Thenay ? (górny oligocen.) „ „ Boncelles (środkowy oligocen.)

Wprawdzie kilkakrotnie wykopywano z pokładów trzeciorzędowych *szczątki ludzkie*, lecz nigdy co do wykopalisk tych nie można było mieć pewności, że są one rzeczywiście pochodzenia trzeciorzędowego, t. j. że spoczywały w danej warstwie od czasów trzeciorzędowych i nie dostały się do niej dopiero następnie, w okresach późniejszych. Do znalezisk tej kategorii należą szczątki z Sawony (Ligurya), z Castenodolo (Włochy), z Calaveras (Kalifornia). Również bez wartości okazały się *kości zwierzęce* z nacięciami i rysami, licznie znajdowane w pokładach trzeciorzędowych. Na razie uważano owe rysy i nacięcia za dowód działalności człowieka, wkrótce jednak przekonano się, że ślady te powstać mogły w sposób zupełnie inny. Pierwsze znalezisko tego rodzaju odkrył Desnoyers (1863 r.) w piaskach pliocenicznych pod Chartres. Badania następne dowiodły jednak, że brózdki, rysy i nacięcia, widoczne na nich, zostały wywołane prosto przez tarcie krzemieni przy obsuwaniu się i skupianiu warstw. Również ślady widoczne na kościach z Arezzo, z Neuville, z Billy i Ganant są wywołane przez ucisk lub tarcie kamieni. Lecz brózdki i nacięcia na kościach powstawać mogły w inny jeszcze sposób. Mianowicie w r. 1866 ksiądz Delonay znalazł w morskich osadach miocenicznych w Ponancé (Maine et Loire) kości *Halitherium* — zwierzęcia wymarłego z rzędu waleniowatych — noszące na sobie głębokie rysy i brózdki, które na razie uznano za ślady działalności człowieka. Wkrótce jednak okazało się, że istotnymi sprawcami nacięć owych były rekiny, których potężne zęby znaleziono w tych samych pokładach. Podobne wyjaśnienie stosuje się do śladów, widocznych na szczątkach *Balœnotusa* (waleniowate), które Capellini znalazł w warstwach pliocenicznych we Włoszech.

Widzimy przeto, że żadne z wyliczonych powyżej znalezisk nie dostarczyło najlżejszego bodaj dowodu egzystencji człowieka lub jego poprzednika w okresie trzeciorzędowym Europy.

Nieco inaczej rzecz się ma z *krzemieniami trzeciorzędowymi*. Już w 1867 r., na kongresie międzynarodowym antropologów i archeologów w Paryżu, ksiądz Bourgeois przedstawił zgromadzonemu kilkanaście krzemieni, znalezionych przezeń w warstwach górnego oligocenu w *Thenay* (depart. Cher et Loire), a które, zdaniem jego, nosiły na sobie ślady działalności ludzkiej. Zważywszy, że w czasach tych pojęcie o istnieniu człowieka w diluvium dopiero mozolnie torowało sobie drogę, pojmiemy łatwo, jak wielkie wrażenie w świecie naukowym wywołał referat ks. Bourgeois, cofający egzystencję człowieka do połowy okresu trzecio-

rzędowego. Oprócz tych śladów, które na krzemieniach z Thenay miały być pozostawione przez rękę ludzką, dostrzedz było można na ich powierzchni inne jeszcze zagadkowe ślady, w postaci spękań, które Bourgeois przypisywał działaniu ognia. Opierając się na nich wnosił on, że człowiek trzeciorzędowy umiał już obchodzić się z ogniem i że, między innymi, używał go do łupania brył krzemiennych. Jednakże ani wygląd krzemieni z Thenay, ani dowodzenia ks. Bourgeois nie zdołały przekonać członków kongresu. Nie zniechęcony tem niepowodzeniem przedstawił on je powtórnie na kongresie Brukselskim w 1872 r. i przeprowadził wyznaczenie komisji, która ocenić miała wartość jego znaleziska. Jakkolwiek ośmiu jej uczestników oświadczyło się za tem, że krzemienie z Thenay są obrobione ręką ludzką, jednak nie rozwiązało to bynajmniej kwestyi i opinia ta nie zyskała powszechnego uznania.

Przyjrzyjmy się teraz zarzutom, jakie czyniono krzemieniom ks. Bourgeois i jakie przeciwstawiano jego dowodzeniom. Przede wszystkim, co się tyczy owych spękań, przypisywanych działaniu ognia, to tłumaczono je działaniem czynników atmosferycznych, mianowicie kolejnością szybkich zmian od temperatury wysokiej do niskiej. Rzeczywiście, klimat Thenay w początkach środkowego trzeciorzędu był niewątpliwie gorący; słońce silnie grzało i różnica między temperaturą dnia i nocy musiała być znaczna. Stąd przypuszczać można, że gdy na krzemienie wystudzone przez noc padały raptem piekące promienie słońca, powierzchnia ich ulegała licznym spękanom i odłupaniom. I dziś jeszcze nie trudno o przykłady podobnego zjawiska w okolicach zwrotnikowych, np. w Egipcie lub w Saharze. Lecz spękania widoczne na krzemieniach z Thenay różnią się znacznie od spękań, powstałych wskutek wpływów atmosferycznych i stąd nie mogą im być na pewno przypisane. Stawiano również zarzut teorii ks. Bourgeois, że istota, która była o tyle inteligentna, iż umiała posługiwać się ogniem dla łupania krzemieni, mogła również dobrze posiadać umiejętność ich łupania zapomocą uderzeń, gdy tymczasem krzemienie z Thenay bynajmniej nie ujawniają śladów tego rodzaju czynności. Zarzut ten jednak został odparty przez prof. Quatrefages'a i to nawet na podstawie faktu, zaczerpniętego z teraźniejszości. Wykazał on mianowicie, że pierwotne plemię „Minkopi“ z wysp Andamańskich, zanim poznało użytek żelaza, posługiwało się wyłącznie narzędziami z muszel, ości, bambusu, kamienia i również nie posiadało umiejętności łupania kamieni za pomocą uderzeń. Chcąc rozbić większą bryłę na drobniejsze odłamki, kładzono ją poprostu

na ogniu i zbierano następnie kawałki, które się od niej odłupywały. Kawałki te dopiero były obrabiane zapomocą młotków kamiennych. Przypuszczają, że w podobny sposób postępował w niektórych przypadkach i człowiek trzeciorzędowy, zanim nauczył się łupać bryły kamienne uderzeniami innego kamienia i o ile umiał już wtedy obchodzić się z ogniem.

Druga kategoria śladów na krzemieniach z Thenay, śladów przypisywanych przez ks. Bourgeois działalności ręki ludzkiej, ma postać drobnych wcięć i płaskich wyźłobień, które jednak są zbyt mało charakterystyczne, by mogły uchodzić za niewątpliwe ślady używalności lub obrobienia. Nawet najgorliwsi zwolennicy eolitów nie wyrażają się stanowczo w sprawie uznania ich za ślady ręki człowieka. Wyźłobienia i wcięcia widoczne na ich powierzchni nie są o tyle znamienne, by usuwały wszelką możliwość powstania pod wpływem czynników naturalnych. Stąd też wielu uczonych uważa je za wynik działania wód, obijania się wzajemnego kamieni, ciśnienia i t. p. Wogóle stanowisko krzemieni z Thenay jest niejasne i nie mamy dostatecznych podstaw, by je uważać za niewątpliwe narzędzia człowieka pierwotnego.

Również i krzemienie znalezione wkrótce potem przez geologa Ribeirę w Portugalii w *dolinie Tagu* zaliczyć należy do kategorii eolitów wątpliwych. W tym jednak przypadku nie chodzi bynajmniej o brak znamion obrobienia na tych kamieniach, lecz o nienaruszoność warstwy (miocen górny), z której pochodzą, a która według badań, ostatnio przeprowadzonych przez Maxa Verworna, nie odpowiada właśnie temu warunkowi. Wobec tego Rutot, znakomity geolog i archeolog belgijski, a zarazem jeden z najgorętszych szermierzy, walczących o uznanie eolitów, wykreśla zupełnie to znalezisko z szeregu stacyj trzeciorzędowych.

Inaczej rzecz się ma z krzemieniami, znalezionymi przez geologa Rames'a w okolicy Aurillac, w Owernii. W 1877 r. Rames odkrył w miejscowości *Puy-Courny* w warstwach górnego mioce-
nu krzemienie, które, zdaniem jego, nosiły na sobie ślady obrobienia ręką ludzką. A ślady te były tak wyraźne, że według Quatrefages'a, gdyby krzemienie z Puy-Courny zostały znalezione w pokładach nie trzeciorzędowych, lecz czwartorzędowych, nikt nie zawahałby się z uznaniem ich za narzędzia ociosane przez człowieka. W latach ostatnich grono wybitnych badaczy, jak Capitan, Krause, Verworn, Klaatsch, Schweinfurth, Bonnet i Rutot, zwiedzili stacye eolityczne z okolic Aurillac: Puy-Courny i Puy-Boudieu i stwierdzili, że warstwa, skąd pochodzą krzemienie, jest nienaruszona, a same one ujawniają niezawodne ślady obrobienia

i używalności. Są to więc, zdaniem tych uczonych, rzeczywiste eolity, pierwsze, co do których nie istnieją żadne wątpliwości, że były one narzędziami człowieka.

Odkładając tymczasem na bok dalszy historyczny rozwój „kwestyi eolitów,” chciałbym w tem miejscu obznajmić czytelników z metodą ich rozpoznawania, t. j. z cechami znamionami, stanowiącymi ich kryterium. Trzymać się tu ściśle będę poglądu prof. Rutot, gdyż uczony ten jest w chwili obecnej niewątpliwie najlepszym znawcą eolitów.

Nazwą „eolitów,” jak zresztą mówiliśmy już wyżej, oznaczane są krzemienie, któremi posługiwał się człowiek lub jego poprzednik, *zanim zyskał umiejętność ciosania kamienia, a także i później nawet, równocześnie z narzędziami ciosanymi*. Całokształt tych pierwotnych narzędzi stanowi t. zw. „*technikę eolityczną*” w przeciwieństwie do techniki „*paleolitycznej*” i „*neolitycznej*,” składających się już z narzędzi ciosanych i gładzonych. O ile technika paleolityczna i neolityczna wykazują znaczne zróżnicowanie i mieszczą w sobie cały szereg poszczególnych „typów,” o tyle technika eolityczna odznacza się niemal zupełną jednorodnością i przez długie wieki nie wykazuje żadnej zmiany; dopiero pod koniec starszego czwartorzędu ujawnia się w niej niejaki rozwój. Cechą znamioną techniki eolitycznej jest *proste użytkowanie* brył i odłamków kamiennych i *brak zupełny narzędzi ciosanych*. Stąd też eolity mają postać brył i odłamków różnokształtnych, a odróżnić je można od zwykłych kamieni dzięki śladom, jakie zostawiła na ich powierzchni używalność. Ślady te są następujące: 1-o, *wyżębienie i stępienie krawędzi ostrej*, która służyła do krajania lub skrobienia; 2-o, *ślady w postaci zmiażdżeń* gwiazdkowatych lub wyłobień i odłupań, tworzące na powierzchni brył skupienia, a powstałe wskutek licznych, powtarzających się uderzeń; 3-o, *szereg drobnych wcięć*, biegnących wzdłuż krawędzi i mających na celu zaostrenie tępego lub stępionego ostrza (*retouche d'avivage, d'utilisation*); 4-o, *poobijanie ostrych kantów i wydatności* na powierzchni, na której spoczywała ręka, a niekiedy i obecność wcięć mniej lub więcej głębokich, ułatwiających wygodne ujęcie narzędzia (*retouche d'accomodation*). Dwie pierwsze kategorie znamion są tedy wynikiem zużycia narzędzia, dwie zaś drugie stanowią oznakę przystosowania go do użytku. Rozumie się, iż wszystkie powyższe znamiona nie mogą występować jednocześnie na każdej kategorii narzędzi, lecz pozostają w związku z rodzajem czynności, do jakiej kamień był używany. Wogóle, zdaniem Rutota, całokształt zewnętrznego wyglądu krzemienia stanowi o tem, czy

można go uważać za narzędzie eolityczne, czy też nie. Kamienie z Puy-Courny i Puy-Boudieu odpowiadają właśnie wszelkim żądanym warunkom i większość badaczy nie waha się w uznaniu ich za trzeciorzędowe narzędzia człowieka.

Chcąc śledzić dalsze znaleziska eolityczne musimy z Owernii przejść do południowej Anglii, gdzie słynny geolog, J. Prestwich, znalazł około r. 1890 krzemienie, noszące na sobie, jego zdaniem, ślady używalności i obrobienia ręką ludzką. Pochodziły one z pliocenu środkowego, z *Chalk-Plateau w hrabstwie Kent*; są to już więc narzędzia późniejsze, niż mioceniczne eolity znalezione przez Rames'a.

Do warstw jeszcze młodszych, gdyż do pliocenu górnego należą znaleziska z *Saint-Prest*, koło Chartres we Francyi, oraz z hrabstwa *Norfolk* w Anglii; poszukiwania prowadzone w Norfolkku przez geologów i archeologów angielskich, w t. zw. warstwach „Forest Cromer-bed“ dostarczają wciąż nowych narzędzi eolitycznych.

W trakcie pisania artykułu niniejszego otrzymałem od dr. Rutota ciekawą pracę, dotyczącą nowego, niezmiernie doniosłego znaleziska trzeciorzędowego. Dlatego też sprawozdanie o niem zamieszczam w tem miejscu dopiero, pomimo że wiekiem swoim sięga ono aż środkowego oligocenu!, czyli że stanowi najstarszytniejsze ze wszystkich znalezisk eolitycznych, znanych nam po dzień dzisiejszy. Rzeczywiście, jak dotąd, pierwsze miejsce pod względem starożytności przysługiwało krzemieniom ks. Bourgeois, z Thenay, krzemieniom których stanowisko jako eolitów jest niepewne. Obecnie znaleziska p. Emila de Munck'a cofają ślady istnienia człowieka w Europie jeszcze bardziej w głąb trzeciorzędu, świadcząc o jego egzystencji już w oligocenie środkowym. Eolity, o których mowa, zostały znalezione na lewym brzegu rzeki Ourthy, dopływu Mozy, w *pobliżu Boncelles*. Zdaniem Rutota posiadają one wszelkie cechy właściwe narzędziom eolitycznym. Poszukiwania prowadzone przez de Munck'a na płaskowzgórzu Hautes-Fagnes, oprócz znaleziska z Boncelles, wykazały nadto i w paru innych miejscowościach eolity, należące również do środkowego oligocenu. Natomiast krzemienie znalezione przez de Munck'a nieco wcześniej na lewym brzegu rzeki Mozy, w *provincyi Liège*, należą, według Rutota, do okresu późniejszego, mianowicie do pliocenu środkowego, a przeto wiekiem swoim odpowiadają eolitom z hrabstwa Kent.

Jak wspominałem wyżej, narzędzia eolityczne nie są wyłączną tylko właściwością okresu trzeciorzędowego, lecz *przecho-*

dzę również i do czwartorzędu. Przytem w dolnych jego warstwach w dalszym ciągu występują one jedne tylko, poczynając zaś od czwartorzędu środkowego obok nich zjawiają się również narzędzia paleolityczne, a następnie neolityczne. Eolity czwartorzędowe na razie nie ujawniają postępu w zakresie techniki i dopiero w miarę zbliżania się do czwartorzędu środkowego technika ta ulega pewnemu rozwojowi i wreszcie wydaje z siebie pierwsze narzędzia, na których znać już ciosanie według pewnego planu i dążenie do osiągnięcia kształtu z góry określonego.

Już przed 40-tu laty belgijczyk, inżynier Neyrinck, wydobyl z warstw dolnego czwartorzędu, w okolicach Mons, w Belgii, krzemienie ze śladami używalności i obrobienia ręką ludzką. Jednak na kongresie w Brukselli w 1872 r. znalezisko to nie zyskało uznania. Dopiero w 15 lat później Delvaux i Cels podjęli ponownie zaniechane poszukiwania Neyrincka i zbadali kilka przekrojów warstw w okolicach Mons. Znalezione tu eolity oznaczył Delvaux nazwą „*techniki Meswińskiej*,” od wioski Mesvin pod Mons.

Dopiero jednak poszukiwania i badania, przeprowadzone w dobie obecnej przez dr. Rutota, wpłynęły na rzeczywisty i znaczny rozwój „kwestyi eolitów,” budząc zainteresowanie w szerokich sferach uczonych i dając impuls do licznych prac w tym zakresie. Na razie Rutot zajął się badaniem przekrojów dyluwialnych Belgii jedynie jako geolog, bynajmniej nie w zamiarze poszukiwania w nich śladów człowieka. Na razie nawet był on przeciwnikiem eolitów i dopiero krzemienie obrobione, które napotykał w trakcie swych badań w warstwach dolnego czwartorzędu rozmaitych okolic Belgii, wpłynęły na zmianę jego przekonań i zrobiły zeń z czasem zapalonego szermierza tej sprawy. Przy zdejmowaniu mapy geologicznej na znacznym obszarze Belgii Rutot miał możność dokładnego zbadania warstw czwartorzędowych tego kraju oraz okolic sąsiednich, co pozwoliło mu stwierdzić w pokładach starszego czwartorzędu istnienie aż kilku warstw techniki eolitycznej. Najstarsza z nich jest to t. zw. *technika Reutelska*, od miejscowości Reutel, we Flandryi; nieco młodsza jest *technika Mafflijska*, od Maffle, w Brabancie; najpóźniejsza wreszcie jest *technika Meswińska*, odpowiadająca górnym warstwom czwartorzędu starszego. Dzięki niezmordowanej pracy Rutota i całego szeregu badaczy belgijskich, jak dotąd największa ilość eolitów czwartorzędowych została znaleziona w Belgii. Rzeczywiście, wszędzie niemal, gdzie tylko warunki geologiczne pozwalały spodziewać się obecności eolitów, poczyniono odpowiednie badania. Wskutek tego stacye eolityczne rozsiane są po całym

kraju, a Brukselskie zbiory eolitów zaliczają się do najbogatszych. Przypuszczać należy, że gdy w innych krajach zbadanie dolnego czwartorzędu będzie tak dokładne jak obecnie w Belgii i tam również ilość stacyj eolitycznych znacznie się powiększy. W każdym bądź razie eolity czwartorzędowe są obecnie znajdowane w Anglii południowej, we Francyi północnej, w Danii i w niektórych okolicach Niemiec.

Cechą znamionną kultury eolitycznej jest, jak mówiłem już, jednorodność techniki i stagnacya rozwoju. Stąd zarówno najstarsze trzeciorzędowe eolity, jak te, które należą do czwartorzędu, niewiele różnią się swym wyglądem. Badania nad kulturą okresu kamienia dowodzą, zdaniem Rutota, że wszelkie objawy pracy ludzkiej, dokonywanej zapomocą narzędzi z kamienia, zarówno ciosanych jak nie ciosanych, sprowadzają się do pięciu czynności, mianowicie: *tluczenia*, *krajanina*, *skrobania*, *strugania* i *wiercenia*.

Wśród najstarszych nawet krzemieni eolitycznych rozróżnić można pięć kategorii narzędzi, odpowiadających rzeczonym czynnościom. Widzimy tu więc narzędzia do uderzania i tluczenia, czyli *tluki* (*percuteurs*), narzędzia do skrobania i strugania, czyli *skrobacze* i *strugacze*, narzędzia do krajanina,—*noże*, wreszcie narzędzia do wiercenia w postaci ostrych szpiców, czyli *przekatłacze* (*perçoirs*, *poinçons*). Przyjrzyjmy się teraz kolejno narzędziom każdej z tych grup poszczególnych, korzystając z objaśnień dr. Rutot. Uczony ten nie zadawałając się jaknajdokładniejszem zbadaniem śladów, jakie użytek i obrobienie pozostawiło na eolitach, nadto własnoręcznie powtarzał na bryłach i odłamkach surowych czynność przystosowania krzemieni do użytku. Doświadczenia te dały możność dr. Rutot obznajmić się gruntownie z techniką eolityczną, poznać cechy znamienne oraz użytek poszczególnych narzędzi i wreszcie zgrupować je w pewne kategorie.

Zaczynam od grupy I-ej, czyli *tluków*. Dziela się one na dwie kategorie: czynnych i biernych. Do pierwszej należą bryły kształtu rozmaitego: wieloboczne, owalne, spłaszczone, walcowate i t. p., mogące służyć do całego szeregu czynności, jak: tluczenie, łamanie, miażdżenie, łupanie, wreszcie rozbijanie innych brył kamiennych. Tłuki o powierzchni uderzającej wypukłej lub płaskiej ujawniają na powierzchni tej ślady licznych uderzeń i postaci zmiadzeń gwiazdkowatych, lub wgłębien stożkowatych, co jej nadaje wygląd nierówny, chropawy. Nadto widoczne tu są częstokroć koncentrycznie ułożone ślady większych trzasek, odbitych od bryły wskutek silniejszych uderzeń. Tłuki o powierzchni uderzającej ostrej oprócz śladów używalności ujawniają nadto

ślady zaostarzania. Występują one w postaci szeregu drobnych wcięć, czyli wyżłobień, biegnących wzdłuż krawędzi i wytwarzających nowe ostrze. Czynność zaostarzania stępionego narzędzia dokonywana była zapomocą innego tłuczka, formy wydłużonej, pałeczkowatej t. zw. „retouchoir'u,” którym uderzano wzdłuż krawędzi stępionej, odłupując z obu jej stron szereg przylegających trzasek. Retouchoiry również ujawniają na sobie ślady użytkowania w postaci odłupań, biegnących wzdłuż krawędzi, któremi uderzano. Oprócz tych oznak, jakie pozostawiła na tłukach wykonywana nimi praca, oraz zaostarzanie stępionego narzędzia, częstokroć widać na nich inne jeszcze ślady obrobienia; polegają one mianowicie na usunięciu kaleczących ostrzy z tej powierzchni, na której spoczywała ręka pracującego.

Co się tyczy kategorii tłuków biernych, to stanowią ją tak zwane „kowadła,” czyli bryły płaskie, których używano jako podstaw do tłuczenia, miażdżenia lub łupania rozmaitych przedmiotów. Rzeczywiście, gdyby przedmioty te chciał tłuc bezpośrednio na ziemi, to zamiast żadanego rezultatu osiągnęłoby się jedynie wgniecenie ich lub wbicie w ziemię; natomiast przy użyciu płyt kamiennych, mniej-więcej płaskich, zyskiwało się twardą podstawę, znakomicie ułatwiającą pracę. Ślady pracy tej ujawniają się w postaci odłupań, widocznych na brzegu powierzchni górnej kowadła. Jak wykazały liczne doświadczenia, czynione przez Ruto-ta, przy silnem uderzaniu na kowadle przedmiotów grubych i zaokrąglonych, np. świeżych kości, owoców o twardej skorupie, tłuk często odskakuje lub ześlizguje się i uderza w brzeg płyty, odbijając od niej większe lub mniejsze drzazgi. Stąd rozmieszczenie śladów tych wzdłuż brzegów jest bardzo nieregularne, natomiast wszystkie te odbicia skierowane są jednakowo, t. j. z góry na dół. Jeśli kowadło posiada obie przeciwległe powierzchnie płaskie, to na brzegach ich obu widoczne są odłupania skierowane wręcz przeciwnie na każdej powierzchni. Świadczy to, iż kowadło było używane na obie strony.

Przejdźmy teraz do drugiej grupy narzędzi eolitycznych, mianowicie *noży*. Są to odłamki blaszkowate, wydłużone, płaskie, odłupane drogą naturalną lub sztuczną od bryły krzemiennej. Jeden ich brzeg tworzy krawędź ostrą, tnącą, przeciwległy zaś bywa zazwyczaj gruby i tępy, podobnie, jak u dzisiejszych noży, brzytw, scyzoryków i t. p. Niekiedy na nożach eolitycznych, podobnie jak na tłuczках, widać ślady obrobienia, mającego na celu wygodniejsze ujęcie narzędzia. Polegało ono na obtłuczeniu ostrych wydatności na krawędzi górnej, na której opierał się pa-

lec wskazujący pracującego. Ślady zużycia widoczne są na krawędzi tnącej, w postaci wyszczerbień których całokształt nadaje ostrzu wygląd tępej piły. Stępionych noży nie zaostrzano nigdy ponownie, ponieważ w narzędziu tem chodziło nie tylko o ostrość krawędzi, lecz i o to, by kąt jej był mało rozwarty, a użycie retouchoiru zaostrzało wprawdzie krawędź, lecz jednocześnie rozwinęło jej kąt.

Trzecią i czwartą grupę narzędzi eolitycznych stanowią *skrobacze i strugacze*. Służyły one do wykonywania czynności pokrewnych, choć kształt ich i metoda ich użycia były różne.

Skrobacze (racloirs), są to odłamki wydłużone lub owalne, podobnie jak noże, posiadające przeważnie jeden brzeg ostry, a drugi przeciwny mu, mniej lub więcej gruby i tępy. Trzymano je prawdopodobnie w ten sposób, że wielki palec opierał się na jednej powierzchni, wskazujący przyciskał z góry ostrze, a pozostałe palce mieściły się na drugiej powierzchni narzędzia; bądź też poprostu ujmowano skrobacz między palce, tak iż pierwszy znajdował się z jednej strony, a pozostałe, zgięte, ze strony przeciwnej. W każdym bądź razie ostrze narzędzia przy pracy zajmowało pozycję *podłużną* względem osi długości ręki. Sama zaś czynność skrobienia, według badań porównawczych Rutota, polegała na posuwaniu ostrzem, trzymanym prostopadle do przedmiotu skrobanego, przyczem ruch wykonywany był zawsze w jednym tylko kierunku, odśrodkowym względem pracującego. Przy czynności tej, wskutek oporu przedmiotu skrobanego, wzdłuż ostrza wytwarzał się szereg odłupań i po upływie pewnego czasu krawędź ulegała stępieniu. Przyczem cechą znamionną dla skrobaczy jest, że wszystkie owe odłupania występują *na jednej tylko powierzchni ostrza*, mianowicie na wewnętrznej w stosunku do pracującego. Stąd stępione ostrze noża *o odłupaniach obustronnych* ma wygląd zupełnie inny, niż ostrze stępięnego skrobacza. Nadto o ile nóż nie podlegał nigdy ponownemu zaostrzaniu, o tyle przeciwnie skrobacze poddawane były zazwyczaj tej czynności. Dokonywano jej za pomocą retouchoiru, odłupując od powierzchni zużytej, wzdłuż krawędzi, szereg drobnych, przylegających drzazg. W ten sposób wytwarzało się nowe ostrze. Podobne zaostrzanie skrobacza powtarzane było dwa lub trzy razy z rzędu, aż wreszcie kąt krawędzi stawał się zbyt rozwarty i dalsze używanie narzędzia nie było już możliwe. Krawędź tnąca skrobaczy eolitycznych nie zawsze biegnie prosto lub owalnie; częstokroć widać, iż została ona wcięta zatokowato, co prawdopodobnie miało na celu ułatwienie skrobienia przedmiotów walcowatych. Częstokroć

również na jednym narzędziu występują aż dwa ostrza tnące, nawzajem przeciwległe.

Jak już mówiłem wyżej, skrobacze i *strugacze* (grattoirs) różnią się nawzajem metodą użycia i kształtem. O ile u skrobaczy krawędź tnącą stanowi jeden z *boków podłużnych* krzemienia, o tyle u strugaczy krawędź tę tworzy zazwyczaj *bok poprzeczny*, krótszy. Stąd skrobacze, trzymane ostrzem w dół, mają kształt *wyddłużony poziomo*, przeciwnie zaś strugacze, trzymane w tej samej pozycji, są przeważnie *wyddłużone pionowo*. Nadto boki przylegające z obu stron do krawędzi tnącej strugacza są bądź naturalnie *tępe i grube*, bądź też sztucznie spłaszczone i pozbijane, tak, by palec, spoczywając na nich, miał lepszy punkt oparcia i nie ulegał zranieniu. Strugacze bowiem trzymane były w ten sposób, że palec pierwszy opierał się na powierzchni jednego boku narzędzia, palec zaś drugi, zgięty, przywierał do boku przeciwległego. W ten sposób trzymalibyśmy np. klin płaski żelazny lub drewniany, chcąc nim wykonać czynność heblowania. Przy takim ujęciu narzędzia ostrze miało położenie *poprzeczne* względem osi długości ręki, nie zaś podłużne jak u skrobaczy, i narzędzie posuwane było naprzód w pozycji pochylonej, podobnie jak ostrze hebla. Niekiedy nie zadawano się prostem przystosowaniem powierzchni bocznych do ujęcia palcami, przez pozbijanie ostrych wydatności i spłaszczenie krawędzi, lecz nadto wcinano boki mniej lub więcej głęboko, tworząc w ten sposób rodzaj wgłębień lub zatok, w których umieszczano palce dla tem mocniejszego ujęcia strugacza. Po za różnicami w zakresie kształtu i metody użycia skrobacze i strugacze posiadają jednak ważną cechę wspólną, a mianowicie podobieństwo śladów zużycia i jednakowy sposób zaostrzenia stępionego narzędzia.

Ostatnią grupę narzędzi eolitycznych stanowią *przełatacze* (perçoirs, poinçons). Są to odłamki wybiegające w szpic wydłużony, ostry, rodzaj kolca i odgrywające rolę naszych świrdrów. Ślady wiercenia widoczne tu są w postaci odłupań na krawędziach kolca. O ile szpic naturalny był zbyt gruby lub mało wydatny, zaostrzano go zapomocą retouchoiru. Wogóle jednak ta kategoria narzędzi eolitycznych odznaczała się szczególną nietrwałością i kruchością, a stąd znaczna ilość świrdrów eolitycznych ma koniec złamany.

Zdaniem Rutota narzędzia opisane wyżej są właściwe wszystkim okresom kultury eolitycznej i występują zarówno w znaleziskach trzecio—jak czwartorzędowych. Przytem eolity pochodzące z warstw rozmaitych co do wieku nie różnią się swym wyglądem

i niemal nie wykazują rozwoju i doskonalenia się umiejętności obrabiania kamieni. Dopiero pod koniec czwartorzędu starszego ujawnia się pewien postęp w tym zakresie; mianowicie w technice Meswińskiej spotykamy się już ze *sztucznem umyślnem łupaniem* brył krzemiennych, w celu otrzymywania ostrych blaszek na noże, skrobacze i strugacze.

Wielu przedhistoryków uznaje wówczas dopiero krzemień za narzędzie, które służyło człowiekowi, gdy na jednej jego powierzchni widoczne jest t. zw. „*znamię uderzenia*.” Jest to płasko-kulista wyniosłość, odpowiadająca miejscu, gdzie nastąpiło uderzenie odłupującego blaszkowaty kawałek krzemienia od pozostałej bryły. Stąd po odłupaniu od bryły wielu podobnych blaszek, na jej części środkowej, czyli „*jądrze*,” widać liczne dołkowate wgłębienia. Rutot jednak odrzuca tę cechę w znaczeniu kryterium używalności krzemienia i wyjaśnia, że ponieważ większość narzędzi eolitycznych składa się z naturalnych brył i naturalnych odłamków i blaszek, przeto próżno byłoby szukać na nich „*znamię uderzenia*.” Wprawdzie nieraz, wskutek odskoczeń tłuka na kowadle, mogły odłupywać się od niego kawałki, noszące na sobie „*znamię*,” a które, ze względu na ostrość krawędzi, były użyte następnie, jako noże, skrobacze, lub strugacze — lecz narzędzia takie są stosunkowo nieliczne i dopiero pod koniec czwartorzędu starszego w niektórych stacyach meswińskich spotykamy tak wiele narzędzi, noszących „*znamię*” i tak liczne „*jądra*,” że niewątpliwie mamy tu już do czynienia z umyślnem łupaniem brył krzemiennych.

Pomimo jednak owych badań prof. Rutot, nie wszyscy uczeni, zajmujący się kwestyą eolitów, podzielają pogląd jego i jego zwolenników w tej sprawie. Istnieje mianowicie pewna grupa badaczy, którzy, nie odrzucając teoretycznie możliwości istnienia człowieka w trzeciorzędzie, i uznając, że kultura paleolityczna nie może stanowić zarania kultury ludzkiej — zachowują się jednak sceptycznie względem znalezisk eolitycznych, o których była mowa. Na czele tej grupy stoi obecnie profesor paleontologii w Paryżu, M. Boule. Oba obozy usiłują się przekonać wzajemnie, wykazując błędność poglądów strony przeciwnej, przyczem rozprawy przybierają niekiedy charakter ostry, nie licujący z powagą dysputy naukowej.

Zarzuty prof. Boula stawiane poglądom dr. Rutota, oraz jego własne zapatrywanie na eolity, dają się streścić w wyrazach: „Ślady, które przypisujecie czynności rąk ludzkich, są poprostu rezultatem działania sił przyrody.” Twierdzenie to opiera w znacz-

nej mierze Boule na badaniach, jakie przeprowadził z p.p. Obermaierem i Carthailac'em nad powstawaniem „*sztucznych eolitów*“ *przy wyrobie cementu* w Mantes. (Seine-et-Oise). O spostrzeżeniach tych komunikuje on w sposób następujący: W kredzie, używanej jako składnik cementu, a kopanej na miejscu, znajdują się jak zwykle krzemienie, których część, pomimo usuwania przy kopaniu, dostaje się jednak wraz z kredą do kadzi. Tu mieszanina kredy z gliną wprawiona jest w ruch wirowy zapomocą koła poziomego, umieszczonego nad kadzią, a od którego spuszczają się w dół i zanurzają w kadzi brony żelazne, sięgające niemal dna naczynia. Szybkość ruchu koła na jego obwodzie wynosi mniej więcej 4 metry na sekundę, co odpowiada szybkości biegu Rodanu w epoce przyboru wody. Krzemienie, które dostały się do kadzi, wirują przeto wraz z gliną i kredą, obijając się nawzajem i o żelazne pręty bron, przyczem uderzenia te składają się na wyraźny szmer, podobny do szmeru potoku, toczącego kamienie. Po upływie 29-iu godzin koło zostaje zatrzymane, a kadź wypróżniona. Otóż niezmiernie ciekawy, zdaniem Boula, jest wygląd krzemieni, wydobytych z takiej kadzi, a to ze względu że przypominają one najzupełniej kamienie czwartorzędowe i przedczwartorzędowe, uważane za eolity. Większość wprawdzie jest poprostu obtoczona, podobnie jak to bywa wśród głazów rzecznych, lecz znaczna ilość okazów nosi na sobie odbicia i odłupania, odpowiadające w zupełności tym śladom, jakie zwolennicy eolitów poczytują za ślady obrobienia ręką ludzką i użycia przez człowieka. Boule zastrzega, iż nie mówi tu bynajmniej o krzemieniach, noszących na sobie beładne odłupania rozsiane na całej powierzchni, lecz o kamieniach, na których odbicia skupione są w pewnych określonych punktach. Wśród okazów tych, jak twierdzi Boule, znalazł on typy odpowiadające zupełnie krzemieniom, opisywanym przez Rutota, jako narzędzia eolityczne. Taki wynik badań w Mantes utwierdził prof. Boule i jego zwolenników w przekonaniu, że *tak zwane eolity powstawać mogą pod wpływem czynników naturalnych*, mianowicie drogą gwałtownego toczenia kamieni przez potoki lub rzeki. Eolity podobne znajdował Boule podczas badań geologicznych w Owernii, w Velay, w Gévaudan, we wszystkich osadach napływowych o charakterze rwącym; występowały one zarówno w pokładach oligocenicznych, jak miocenicznych, niekiedy na bardzo znacznej przestrzeni.

Otóż na podstawie tych obserwacji oraz rezultatu badań w Mantes, prof. Boule występuje *przeciw przypisywaniu t. zw. eolitom znaczenia pierwotnych narzędzi człowieka*. Przytem zaznacza

on jednak wyraźnie, iż nie twierdzi bynajmniej, by wszystkie eolity bez wyjątku zawdzięczać miały swe powstanie działaniu wód; przyjmując istnienie człowieka w trzeciorzędzie przyjmuje on również istnienie pierwotnych narzędzi kamiennych, lecz uważa zarazem, że nie posiadamy do dziś dnia odpowiedniego kryterium, któreby nam dawało możność odróżnienia narzędzi tych od krzemieni, których wygląd jest poprostu wynikiem działania sił przyrody. Wobec tego, że żadne znaleziska osteologiczne nie stwierdziły dotąd istnienia człowieka trzeciorzędowego w Europie, Boule jest zdania, że opierając się na eolitach można conajwyżej *przypuszczać* to istnienie, lecz bynajmniej nie ma się prawa uważać go za pewnik. Rozpatrując tę kwestyę należy, zdaniem jego, liczyć się w znacznej mierze ze zjawiskami, które odegrały tak doniosłą rolę w dziejach rozwoju świata zwierzęcego, mianowicie z *migracyami*. Jak dotąd nie wiemy przecie, gdzie dokonał się rozwój ludzkości i czy dokonał się na jednym miejscu, a stąd jest bardzo możliwe, że człowiek zjawił się w Europie dopiero w okresie czwartorzędowym, przynosząc tu ze sobą już stosunkowo rozwiniętą kulturę.

Zarzuty stawiane przez Boula autentyczności eolitów spotkały się z ostrą krytyką obozu przeciwnego, który dowodzi, że *wygląd pseudo-eolitów z Mantes różni się najzupełniej od wyglądu eolitów rzeczywistych*, oraz że powstania tych ostatnich nie można żadną miarą przypisać czynności wartkiego prądu wody i obijaniu się wzajemnemu kamieni. Dr. Rutot wraz z dr. Hahnem przeprowadzili szczegółowe badania nad krzemieniami z kilku cementarni i badania te pozwoliły im stwierdzić, że tylko niewprawne oko, lub osoba która nigdy nie widziała rzeczywistych eolitów, może utożsamiać kamienie te z autentycznymi narzędziami eolitycznymi. Różnice zachodzące tu streszcza Rutot jak następuje: 1-o. Znaczna ilość pseudo-eolitów, szczególnie kawałki blaszkowate, odłupane od brył, wykazują na swej powierzchni „znamię uderzenia“, gdy tymczasem na rzeczywistych eolitach z pokładów starszych znamię to spotyka się bardzo rzadko i charakteryzuje dopiero celowe łupanie krzemieni w warstwie Meswińskiej. 2-o. Na eolitach rzeczywistych znać wyraźną różnicę pomiędzy śladami obrobienia, mającemi na celu zaostrenie narzędzia, a temi śladami, których zadaniem było udogodnienie ujęcia; przeciwnie, różnica ta zacierą się u pseudo-eolitów. Z narzędzia bowiem obijano to tylko, co rzeczywiście przeszkadzało jego trzymaniu, a stąd ślady tych odłupów są zlokalizowane w pewnych określonych punktach i niekiedy nawet nie ma ich wcale. Pseudo-eolity zaś są na całej po-

wierzchni poobtłukiwane, a obtłuczenia te łączą się i zlewają częstokroć ze śladami niby jakiegoś zaostrenia krawędzi lub końca. 3-o. Nawet te odłupania które na pierwszy rzut oka przypominają zaostrenie narzędzi eolitycznych zapomocą retouchoiru, okazują się przy bliższem zbadaniu zupełnie różne; mianowicie kierunek ich bywa *rozmaity względem linii ostrza*, a przytem są one bezładnie rozrzucone po całym krzemieniu, nadając mu wygląd bezcelowo ciosanej bryły lub blaszki, nie zaś narzędzia mającego pewien określony użytek. Przeciwnie w stacyach eolitycznych wogóle z łatwością odróżnić można te krzemienie, które służyły do użytku, od brył i odłamków nieużywanych; pomimo bowiem niskiego stopnia kultury, człowiek eolityczny nie wyrabiał narzędzi bezsensownych i na każdym krzemieniu używanym rozpoznać można wszelkie cechy racjonalnego użytku, lub racjonalnego obrobienia.

Na podstawie tych szczegółowych porównań dr. Rutot i Hahne przeczą stanowczo utożsamianiu eolitów z krzemieniami z Mantès, lub innych cementarni, przyznając im tylko ogólne, bardzo powierzchowne podobieństwo, które jednak zaciera się przy ściślejszem badaniu.

Podobnież i przypisywanie działaniu wód powstawania eolitów jest, zdaniem Rutota, koncepcją najzupełniej błędną. Świadczą o tem między innymi ciekawe badania, przeprowadzone w czasach ostatnich przez pp. de Muncka i Ghilain'a. Jak wspominałem wyżej, pan de Munck odkrył niedawno na płaskowzgórzu Hautes Fagnes, na lewym brzegu Mozy, pokłady plioceniczne krzemieni, zawierające w sobie znaczną ilość eolitów. Potoki spływające z wyżyny porywają w wartkim swym biegu krzemienie i unoszą je ze sobą. Otóż de Munck i Ghilain prowadzili obserwacye oddzielnie i zupełnie niezależnie nad działaniem tych rwących wód na zmianę postaci krzemieni. W tym celu, posuwając się z biegiem potoków, badali oni co pewną odległość wygląd porwanych brył i doszli do przekonania, że działanie polega tu właśnie bynajmniej nie na łupaniu kamieni i odbijaniu od ich powierzchni mniejszych lub większych kawałków, lecz na ogładzaniu brył i nadawaniu im, wskutek starcia krawędzi, wyglądu niby obtoczonego. Bardzo nauczające w tym względzie są kolekcye krzemieni, wydobyte kolejno z potoków, w rozmaitych ich punktach, wzdłuż biegu. Widać z nich, że rwący prąd wody żadną miarą nie może być uważany za twórcę eolitów, ponieważ już na odległości jakich 2—3 kilometrów od źródła potoku krzemienie są wygładzone i nie wykazują krawędzi, ostrzy i odłupań,

tak znamienne dla krzemieni, spoczywających w warstwach niezakłóconych przez działanie wód. Tak więc potoki, zdaniem Rutota, mogą li tylko niszczyć eolity, zacierając ich cechy charakterystyczne i zamieniając je w zwykłe głązy rzeczne. Przeciwnie eolity, pochodzące z pokładów nietkniętych, w których spoczywały od chwili porzucenia ich przez człowieka, wykazują na swej powierzchni ślady rozłupań naturalnych lub sztucznych, oraz ślady użycia i obrobienia. Stąd też Rutot dochodzi do wniosku, że rzeczywiste znaczenie przekonywujące mogą mieć te tylko kolekcje eolitów, które zostały znalezione *w pokładach nienaruszonych przez żadne wpływy naturalne*.

Nie znaczy to bynajmniej, by wszelkie eolity znajdujące gdzieindziej, w odmiennych warunkach, miały nie być eolitami, lecz rozpoznanie ich jest rzeczą trudniejszą i wymagającą wielkiej znajomości rzeczy i ostrożności. Rutot przypuszcza nawet, że jedną z głównych przyczyn owego niedowierzania i niechęci, jakie wielu badaczy okazuje kwestyi eolitów, jest to, iż mieli oni do czynienia bądź z pseudo-eolitami, bądź z rzeczywistymi narzędziami eolitycznymi, które jednak uległy w następstwie działaniu wód, lub innych czynników naturalnych, zatraciły w stopniu rozmaitym swe cechy znamienne. W przypadkach tych prawdopodobnie kładziono na karb *sił twórczych* to, co było dziełem *sił destrukcyjnych*. Gdyby uczeni ci—mówi Rutot—zechcieli zbadać np. kolekcję eolitów belgijskich, zgromadzoną w Brukselli, prawdopodobnie pogląd ich uległby zmianie, a w każdym razie wówczas dopiero byłiby uprawnieni do rozstrzygania tej kwestyi.

Dotąd mówiliśmy wyłącznie tylko o eolitach z trzeciorzędu, oraz ze starszych pokładów czwartorzędowych; zaznaczyłem już jednak, że *poczynając od czwartorzędu środkowego*, obok narzędzi eolitycznych poczynają zjawiać się *narzędzia ciosane*, i to ciosane według pewnego, z góry powziętego planu, czyli t. zw. *„narzędzia paleolityczne”*.

Tak więc w paleolicie człowiek nie zadawał się już prostem użytkowaniem brył i odłamków kamiennych, lecz nadawał im kształt określony, najstosowniejszy dla zamierzonej czynności. Rzecz prosta, iż pomiędzy okresem kultury czysto-eolitycznej, a okresem paleolitycznym nie mogło być gwałtownego przeskoku, któryby pozwalał na przeprowadzenie między nimi jakiejś wyraźnej granicy. Umiejętność ciosania kamieni rozwijała się powoli, doskonaląc się stopniowo, tak, iż t. zw. *„technika Strepyska”*, należąca już do paleolitu, stanowi właściwie stadium przejścia między obydwojema okresami.

Jednak i następnie, pomimo rozkwitu kultury paleolitycznej i neolitycznej (kamienia gładzonego), technika eolityczna, zdaniem Rutota, nie ulega bynajmniej zanikowi i eolity, t. j. bryły lub odłamki nie ciosane lecz poprostu przystosowane do użytku, spotykają się w dalszym ciągu obok kunsztownie ciosanych lub gładzonych siekier, tłuków, sztyletów i strzałek.

Jak stwierdziły badania Neyrincka (1868 r.), a następnie Rutota, technika *niemal czysto eolityczna* występuje w niektórych okolicach Francyi i Belgii nawet jeszcze w początkach okresu neolitycznego. Jest to t. zw. „*technika Flenuzyjska*“ (od Flenu w Belgii). Większość jej narzędzi nie różni się niczem od eolitów okresów dawniejszych, do tego stopnia, iż sam Rutot na razie poczytywał te znaleziska za należące do okresu eolitycznego i dopiero ściśle i kilkakrotne badania warstwy, w której spoczywały, udowodniły, że mamy tu do czynienia z *kulturą eolityczną wtrąconą niejako w neolit*. Rutot objaśnia powyższy fakt w ten sposób, że w niektórych okolicach Francyi i Belgii ludność o kulturze neolitycznej została wyparta w początkach czwartorzędu młodszego przez plemiona zdobywcze, pozostające jeszcze na stopniu kultury eolitycznej. Narzędzia flenuzyjskie, podobnie jak narzędzia techniki meswińskiej, składają się przeważnie z odłamków łupanych umyślnie; znamionuje je wspólna wszystkim eolitom prymitywność wyglądu, oraz zupełna obojętność dla formy, t. j. brak wszelkiej dążności do osiągnięcia pewnego, z góry określonego kształtu.

Jeśli jednak znaleziska Europejskie wykazują istnienie narzędzi eolitycznych przez ciąg okresów paleolitycznego i neolitycznego—to badania dokonane w ostatnich latach przez H. Klaatscha i F. Noetlinga w *Tasmanii* dowodzą, że w niektórych okolicach globu *kultura eolityczna zdołała przetrwać aż do czasów te-
raźniejszych*. Ludność autochtoniczna Tasmanii, która przy zetknięciu się z kulturą Europejską, wyginęła doszczętnie w połowie zeszłego stulecia, uznana jest przez antropologów za jedną z najprymitywniejszych ras ludzkich. Stąd powstało, niestety zbyt późno, słuszne zainteresowanie się tem ciekawem plemieniem i zechciano przynajmniej poznać o ile możliwości najdokładniej ślady pozostałe po niem. W tym celu zostały zorganizowane ekspedycje naukowe z Anglii i Niemiec; z ekspedycji niemieckich jedną, mającą za zadanie zbadać cały kontynent Australii, prowadził prof. Klaatsch, antropolog,—drugą zaś, udającą się wyłącznie do Tasmanii, dr. Noetling, znany geolog i paleontolog. Wkrótce też udało się Noetlingowi dokonać ciekawych znalezisk. Mianowicie

odkrył on na wybrzeżu morskiem i wzdłuż biegu niektórych rzek szereg śladów po siedzibach tasmańskich, oraz t. zw. „native quarries,” to jest miejsca, z których ludność czerpała krzemienie do użytku. Kamienie zebrane w tych miejscowościach od razu uderzyły Noetlinga podobieństwem swem do eolitów europejskich. Nie dowierzając jednak własnej znajomości rzeczy zwrócił się on do dr. Rutot, prosząc go o przysłanie kolekcji eolitów belgijskich, dla dokonania szczegółowego porównania; jednocześnie wysłał on do Brukselli liczną kolekcję krzemieni z siedzib tasmańskich. Wynik porównań i opinia Rutota okazały się kompletnie zgodne z pierwotną oceną Noetlinga, czyli że narzędzia Tasmańczyków ujawniły najzupełniejsze podobieństwo do eolitów z trzecio — i czwartorzędu Europy. I tu również narzędzia składają się z brył, odłamków i blaszek bynajmniej *nie ciosanych* według pewnego planu, *lecz poprostu użytych po jako-takiem niezbędnem przystosowaniu*; i tu również wśród całokształtu krzemieni rozróżnić można *te same typy pierwotnych narzędzi, które występują w stacyach eolitycznych Europy*. Są tu więc tłuki, kowadła, retouchoiry, skrobacze i strugacze, noże i przekalacze. Obecność licznych „jader” oraz „znamiona uderzenia” częstokroć widoczne na narzędziach świadczą, że Tasmańczycy posługiwali się nietylko bryłami i odławkami naturalnymi, lecz umieli już łupać większe bryły w celu otrzymywania ostrych blaszek. Technika ich przeto odpowiadała przypuszczalnie najbardziej technice Meswińskiej, którą, jak wiadomo, znamionuje również umiejętność łupania krzemieni.

Pogląd Rutota i Noetlinga na eolity tasmańskie dzielają również i inni badacze. Klaatsch np. w swej relacji z podróży do Australii poświęca szereg ciekawych uwag narzędziom kamiennym Tasmańczyków. Streścić je można, jak następuje: Technika kamienia, właściwa Tasmańczykom jest czysto eolityczna, narzędzia ich bowiem składają się z krzemieni nie ciosanych, lecz z brył i odłamków naturalnych, lub łupanych umyślnie. Po zaostrzeniu zapomocą retouchoiru i ponownem stępieniu, kamień bywał porzucany i pracowano dalej innym, nowym kawałkiem. Ta właśnie częsta zmiana narzędzi tłómaczy, zdaniem Klaatscha, występowanie znacznych nagromadzeń eolitów na miejscach dawnych obozowisk. W braku dostatecznej ilości blaszek i brył krzemiennych leżących na powierzchni, Tasmańczycy eksploatowali występowania skalne powierzchniowe, odłupując wprzód znaczną ilość brył i trzasek, a następnie dopiero wybierając z nich te kawałki, które nadawały się do użytku. Takie „pracownie” kamienia niezawsze odpowiadają miejscom, gdzie rozkładano siedzi-

by i częstokroć znajdują się opodal nich. Np. jedna z główniejszych, które zwiedził Klaatsch, mieści się na szczycie wzgórza, w miejscu gdzie występują na powierzchnię skały krzemienne. Odlamki i „jądra“ tworzą tu warstwę grubości około 50 cm., natomiast narzędzia właściwe, t. j. kawałki, noszące na sobie ślady zużycia i zaostrenia, są tu bardzo rzadkie. Znać, iż w miejscu tem litylko trudniono się wydobywaniem materiału surowego. Chcąc zaś odnaleźć dawne koczowiska, potrzeba zejść w dół, ku rzece, wzdłuż której dopiero ciągną się szeregiem ślady siedzib, zasiane mnóstwem eolitycznych narzędzi.

Według badań Klaatscha, *istnienie człowieka na Tasmanii sięga czasów bardzo odległych*; świadczą o tem mianowicie całe zwały muszel mięczaków, stanowiące odpadki kuchenne (kjoeken-mödingen) licznych pokoleń, a opasujące wyspę dokoła, niby tamą. Głębokiej starożytności tych wałów dowodzą dwa fakty: 1-o) dolne, czyli podstawowe ich warstwy nie ciągną się po linii dzisiejszego wybrzeża, co świadczy, że wówczas, gdy nagromadzenia muszel zaczęły się wytwarzać, rysunek brzegów był różny od tego, jaki widzimy obecnie; 2-o) zwały skorup przedłużają się nawet i po za obręb Tasmanii, przechodząc na niektóre sąsiednie wysepki, skąd wnosić można, że wyspy te oddzielone zostały od Tasmanii już wówczas, gdy człowiek je zamieszkiwał, a co za tem idzie, to istnienie człowieka na nich odnieść należy do czasów bardzo odległych.

Na podstawie tych wszystkich danych Klaatsch ostatecznie dochodzi do wniosku, że ludność, która zamieszkiwała Tasmanię aż do dni dzisiejszych, była *bardzo starożytna, a zarazem niezmierzenie pierwotna*, gdyż stanowiący na poziomie kultury eolitycznej nie zdołała rozwinąć się dalej i pozostała w tem stadyum aż do czasów ostatnich.

Oprócz Klaatscha, Noetlinga i Rutota również i prof. Taylor z Oxfordu, otrzymawszy od ekspedycji angielskiej kolekcję narzędzi tasmańskich, uznał je za najzupełniej podobne do eolitów europejskich.

Tak więc, dzięki znaleziskom Tasmańskim, teoria uznająca eolity nie za kształty wytworzone drogą naturalną, lecz za pierwotne narzędzia człowieka, zyskała faktyczne poparcie. Zwolennicy eolitów uważają też obecnie kwestyę tę za zupełnie załatwioną, a Rutot streszcza jak następuje dorobek dotychczasowych badań nad znaleziskami eolitycznymi:

Technika eolityczna kamienia istniała nietylko w okresie trzeciorzędowym i w początkach czwartorzędu, kiedy była wyła-

cznie znana człowiekowi, lecz przetrwała i nadal obok techniki paleolitycznej i neolitycznej. Nie dość na tem, choć w Europie, Azji i Afryce technika eolityczna uległa zanikowi w miarę rozwoju neolitu, to jednak u szczepów pierwotnych, zamieszkujących Tasmanię, zachowała się ona aż do dni ostatnich. Być może, że badania prowadzone w innych okolicach, posiadających ludność pierwotną, wykażą istnienie większej ilości plemion, u których kultura eolityczna zachowała się daleko po za okres jej istnienia w Europie, t. j. do czasów niezbyt od nas odległych.

Tak przedstawia się w streszczeniu rozwój kwestyi eolitów, oraz dzieje walki za i przeciw nim.

K. STOŁYHWO.

PIŚMIENNICTWO.

STEFAN ŻEROMSKI: *Dzieje grzechu*. Warszawa, 1908.

Nie bardzo dawno, ale stanowczo zniesiono przepisy cenzury, że tak powiem, pedagogicznej, która zakazywała pisarzom dotykania pewnych stron życia ciemnych lub wstydliwych, a przynajmniej jedne objawy życia uznawała za wyższe i godniejsze poety, inne za marniejsze lub zgoła poecie zabronione. Ustalono pewnik, że linia wznosząca się, lub spadająca w ewolucji psychologicznej, jeżeli przeprowadzona z twórczą konsekwencją, różnej może być ceny dla sztuki, jak i dla etyki. Artysta tworzy sztukę z mułu ziemi, który, choć grzechem nasycony, bywa zdatny do lepienia. Moralista wyciągnie z głęboko realnej psychologii literackiej wnioski zawsze pożyteczne, bez względu na to, czy powieść jest o świętym, czy o zbrodniarzu. Aby zgłębić myślą dobro, trzeba może zgłębić i jego przeciwieństwo.

Ale obok tych nabytków rozszerzających pole autorskie, rozwiązujących skrzydła, pozostała w cenie odwieczna prawda, że książka, jeżeli jest dziełem sztuki, powinna zmierzać konsekwentnie do jednego artystycznego celu. Cel ten pisarz musi nie tylko gorąco ukochać, ale i mocno przemyśleć; wysilić swe zdolności spostrzegawcze, syntetyczne i stylowe, aby to, co mu przyszło do serca nocą majową przy śpiewie słowika, albo to, co mu zadrgało wewnątrz od blizkiego zapachu krwi ludzkiej rozlanej, albo to, co mądrego złożył z nieczytelnych dla gminu znaków mijającej przed oczyma epoki, aby to wszystko uchwycił, celowo przerobił na życie sztuczne, do rzeczywistego równoległe, i sensem tego życia przejął czytelnika. Tryumfem artysty jest ten wynik, że dzieło jego wywiera wrażenie silne i wyraźne, niemal jedno ze wzruszeniem oryginalnem autora. Siłą talentu każe pi-

sarz czytelnikowi współtworzyć z sobą, współżyć wytkniętym szeregiem zdarzeń i wzruszeń, a nie pozwala mu jednak oddalić się od twórczego planu, prowadzi go podstępnie do swoich wniosków.

Aby jednak ten cud pisarzów mógł się dokonać, potrzeba, oprócz mocy cudotwórcy, także jego gruntownego przygotowania. Mocą cudotwórczą nazywam talent, przygotowaniem—zasób dobrze uporządkowanych spostrzeżeń, a przede wszystkim skupioną, dyktatorską wolę stworzenia tego, a nie innego obrazu, wywołania tego, a nie innego artystycznego wniosku. Dyktatura biegłego pisarza jest lekka i skuteczna, jak panowanie dobrego władcy; góruje nad myślą czytelnika, nad jego nerwami, nad jego zabawą. „On to widział, on to wie lepiej, on mi to odsłonił i dał poznać.“ Takie przekonanie o nieomyślności autora, o jego władzy z Bożej łaski rodzi w czytelniku podniosły namysł i wdzięczność.

Prawdziwa wdzięczność należy się Stefanowi Żeromskiemu za godny isticie poety zamiar ujęcia „Dziejów grzechu“ w dzieło sztuki. Niema chyba na dzisiaj godniejszego zadania, niż obraz nędzy moralnej, grasującej we wszystkich warstwach społeczeństwa, zagnanego przez klęski historyczne w ponury kąt Europy. Przedmiot dla filozofa i artysty zarówno bogaty, w swej wielkiej aktualności zawiera też znaczne dla pisarza niebezpieczeństwa. Czy dzieje cnoty czy grzechu — to poniekąd dla sztuki obojętne, ale w każdym razie obrał sobie Żeromski przedmiot odwieczny, ciągle nowy i kapitalny: dzieje duszy ludzkiej współczesnej. Na tym gruncie spotkał się ze wszystkim, co nas teraz przejmuję, szarpie, niepokoi, a więc z konieczności poprowadził nas do wniosków tak ważnych, że mylić się w nich, a nawet chybiać lub chwiać się prawie że autorowi nie wolno. Jego przygotowanie do przedmiotu powinno tu być mistrzowskie, jego dyktatorska wola—absolutna.

Ostatnie dzieło Żeromskiego jest już tak znane i popularne, że oszczędzić sobie mogą streszczenia powieści, a sięgnę odrazu po linie i szczegóły potrzebne do uzasadnienia mych uwag. „Grzech,“ swój przedmiot główny, przeprowadził autor w szeregu postaci drugorzędnych, przeważnie wybornych, ale właściwie wcielił w jedną postać, niemal posagową—Ewy Pobratyńskiej. Dzieje tej duszy są rozstrzygające dla znaczenia „Dziejów grzechu“ ze względu na miejsce, które jej autor w powieści wyznaczył, ze względu też na to, że na odlanie tego śpiżu użył wszystkich swych zasobów wrodzonych i nabytych, rzucił do waru, jak Ben-

venuto Cellini, dla dopełnienia formy, swe srebra stołowe. Kruszec dźwięczy szlachetnie, powierzchnia gładka, szczegóły misterne, ale w linii ogólnej widzimy pewną dwuistość, jakby glina lepiąca była z dwóch wzorów o zarysach sprzecznych.

Powiem ściślej: Ewa Pobratyńska wydaje mi się złożoną z dwóch dusz kobiecych nierównomiernych, z dwóch pomysłów nie przerobionych w jeden, które nazwałbym Ewą I-ą i Ewą II-ą.

Czy są ludzie z dwiema duszami? Czy w jednej osobie odzywać się może dusza pierwotna, instynktowa, naprzemian z inną, nabytą przez wychowanie lub przypadek? Te subtelne zagadnienia policzyłbym — przynajmniej w literaturze — do rzędu zbytecznych. Dusza — to treść moralna człowieka, ulegająca ewolucyi, ale jednolita, osobista; może w ciągu życia, a nawet przez krótki przeciąg czasu zmienić się do niepoznania na lepsze lub na gorsze, lecz pozostaje sobą, jednością, monadą wszechświata. Można spostrzeżenia, ze stu osób realnych zebrane, złożyć tak dobrze w osobę literacką, aby dusza jej wydawała się jedną i żywą — ale dwa stworzenia literackie już w głowie autora ukształcone, dwie dusze już konsekwentnie ustalone łączyć w jedno — jest co najmniej niebezpieczne.

I Żeromski w to konwencyjonalne rozwiązanie wielu zagadnień psychologicznych zapewne nie wierzy. Innych wypada szukać przyczyn dla objaśnienia widocznego rozłamu w postaci Ewy.

Nie zdaje mi się ubliżającym Żeromskiemu przypuszczenie, że ten znakomity znawca duszy kobiecej aż do pewnych szczebli degradacyi, gdy powziął zamiar zstąpić jeszcze niżej, aż do piekieł prostytucyi i nożownictwa, nie miał już z tych otchłani osobistych spostrzeżeń. Więc gdy zabrakło na kolosalny posąg Ewy zapasów dobrego spiżu i Benwenutowych sreber, dodał, aby formę wypełnić, nieco podlejszego kruszcu, zaczerpniętego z cudzych kronik skandalicznych.

Żeromski wzoruje pewną ręką swą Ewę w życiu domowem, w stosunku do rodziców, do towarzyszków młodości, do pierwszego kochanka. Jest to kobieta zmysłowa, ale bynajmniej nie przewrotna; owszem pracowita, czułego sumienia, zdolna do poświęceń bohaterskich, stworzona na kochankę człowieka wyższego polotu, jakim jest, lub wydaje się być Niepołomski. Mądra przytem aż nadto (wogóle osoby Żeromskiego zbyt mądrze rozprawiają barwnym językiem autora). Więc jakkolwiek życie poszarpałoby jej wierzenia, cnotę i dumę, ta Ewa I, pomimo niebezpieczeństw w naturze jej leżących, postać wyniosła, piękna nietylko cieleśnie, postać dobrze stworzona i konsekwentnie aż do połowy

dzieła rozwinięta—nie może w żaden żywy sposób stać się Ewą II, czyli zwierzęciem, pozbawionem sumienia, godności osobistej i estetyki. Gdyby przynajmniej autor zepchnął ją w błoto i tam pozostawił, może uwierzylibyśmy, że tak się stać może, choć nie widzieliśmy stadyów przechodnich, nie byliśmy świadkami mąk lub choćby przemian tej duszy tonącej. Ale dusza Ewy do ostatniego rozdziału powieści bywa naprzemian to biała, to czarna, co stanowi szereg niespodzianek w fabule, ale i szereg nierozstrzygniętych wątpliwości, gorzej—powątpiewań o psychice Ewy. Uważny czytelnik powie sobie po zamknięciu książki, że mogą się zdarzyć takie dzieje Ewy, ale takich dziejów grzechu, tak niekonsekwentnej wędrówki duszy przez życie—niema na ziemi.

Jednak autor nie tworzył tego dzieła na chybi trafi. Pozbył się nawet prawie zupełnie skłonności do epizodów, które przedłużają bez artystycznej potrzeby „Popioły“ i „Ludzi bezdomnych.“ Żeromski wie zawczasu, dokąd zaprowadzi swą Ewę. Więc już w pierwszych obrazach centkuje — i to nader subtelnie a celowo—charakterystykę dziewczęcia drobnymi plamkami zalotnej zmysłowości, pragnienia zbytków: kochane buciki—lady Vaughan — sympatyczne porozumienie z birbantem ojcem — wybornie. Cechy te rozwijają się w dobrze ułożonej seryi wypadków; wschodzi tragiczna miłość z postacią Niepołomskiego, rośnie, wikła się z powodu sumiennosci kochanków, zakwita na wyżynach ducha i w rozpacz się obraca z powodu grzechu zdrajcy mężczyzny. Na co potrzebna autorowi kradzież dokumentów z archiwów rzymskich? — nie wiem.

Banalne to streszczenie bynajmniej nie dowodzi, aby powieść była banalna w tej części. Jest owszem niepospolicie zajmująca i pewna w rysunku. Grzech zakrada się niepostrzeżenie, jak złodziej, zaraz w pierwszych scenach po spowiedzi kościelnej, kusi widziadłami rozkoszy, przybiera na się postać miłości, a raczej zatrzuwa jadem i zdradą święty ogień miłosny. Ciągłe podziwiasz i wierzysz autorowi; widzisz, zgłębiasz życie mądrzejsze od rzeczywistego, bo przeświecone jasną pochodnią talentu. Ale trafiasz na pierwszy poroż tej pięknej rzeki, płynącej do morza sztuki: na scenę dzieciobójstwa.

Jakto?! — dziecko mężczyzny, którego Ewa nie przestała i do śmierci nie przestanie kochać? I ta Ewa, dotąd właściwie bohaterska, zamiast podrzucić gdzieś dziecko, jeżeli na dalsze bohaterstwo sił nie starczy, wybiera ten ohydny sposób zabójstwa?? Wierzyć już trudno, ale pobłaża się jeszcze autorowi dla wielkich jego zasług poprzednich. No, może — w gorączce? — w przystę-

pie rozpaczy? Może się wreszcie i zdarzyć?... I zapewne autorowi ten ohydny grzech bardzo potrzebny do dalszego wątku?

Znowu przez kilka stają książki (rozdziałów w niej niema) żaden zgrzyt się nie spotyka. Rozwija się romans Ewy ze Szczerbicem, subtelnie wycieniowany. Szczerbic jest typowym próżniakiem ze „sfer wyższych“, przy pieniądzach i tradycji, ze znaczną kulturą nerwów — postać zupełnie dorysowana, ani razu nie chybiona. W stosunku zaś ze Szczerbicem Ewa pozostaje sobą, choć losy jej przenoszą się w okoliczności nowe. Na barwnych i zmieniających się tłach postać wzoruje się coraz inaczej, jednak logicznie; poznajemy ją lepiej. Serce jej wierne Łukaszowi Niepołomskiemu wychodzi nieomal zwycięsko z oblężenia pokus zawrotowo pachnących. Że tylko „nieomal“ zwycięsko — w tem tkwi prawda życiowa i celowość autorska. Ewa pozostaje, mimo wszystko, przy swych uczuciach delikatnych, przy pragnieniach gorących, lecz hamowanych. Ścigana przez Erynie sumienia, rzuca się w wir zabaw, lecz nie z zamkniętymi oczyma, nie bez pamięci. Wyborny epizod uczciwy z Jaśniachem, zrozumiały i chwilowy grzech na Korsyce. Drożenie się ze Szczerbicem jest motywem psychologicznie nowym, znakomicie opanowanym i przedstawionym. Całe upusty estetycznych rozkoszy dla czytelnika, aż do chwili, gdy zdarza się ten wypadek gwałtu w jakimś hoteliku austriackim.

Może to moja osobista idyosynkrazia? Sceny gwałcenia kobiet oburzają mnie bardziej, niż zajmują. Z zabójstw wydobył naprzykład Szekspir ogromne bogactwa estetycznej grozy; z gwałcenia i złodziejstwa, które są same przez się zabijaniem wszelkiej estetyki, nie rozumiem, jak można zebrać co dla sztuki pożytecznego. Może jednak mylę się. W założeniu „Dziejów grzechu“ leży kryminologia, znoszę więc tę scenę, sprawiającą zresztą wrażenie aż nadto realne, czekając, jak ją zużytkuje do dalszego opowiadania pisarz wielkiej miary.

Lecz nagle rozsypuje mi się powieść, a przede wszystkim postać Ewy, a to w miejscu następującem tekstu, bezpośrednio po przebudzeniu z haniebnych uścisków:

„Schyliła się niepostrzeżenie i tajemny, powietrzny pocałunek złożyła na zmysłowych ustach śpiącego.“

Tutaj umiera Ewa I, a rodzi się Ewa II. Odrazu ta po swemu wierna żona Łukasza, ta aspirantka do poezyi miłosnej, ta litościwa osoba, ta sui generis bohaterka staje się zbójceją suką — i to bez własnej woli, przypadkiem. Dlatego, że spotkała silnego i śmiałego samca?... A czyż Niepołomski nim nie był? Czy kobieta jest tylko taką, jaką ją urobi mężczyzna nad nią panujący?

Nawet na te domysły i konsyderacye niema czasu, ani miejsca odpowiedniego w powieści. Poprostu czytelnik dostaje pałką w łeb.

Od tej chwili nie można już na seryo mówić o psychologii Ewy. Współnictwo jej z Pochroniem i z jego szajką da się chyba wytłómaczyć przez hypnozę. Ale hypnozę, jak pomieszanie zmysłów, miałem zawsze za niedozwolone dziedziny w literaturze. Człowiek w tych stanach jest nieodpowiedzialny, a przeto i nie zajmujący. Nie będę więc mnożył cytat na dowody, że nasza sympatyczna znajoma z pierwszego tomu nie mogła zamordować w uścisku Szczerbica, ani wykonać, bez wyrzutów sumienia, całego szeregu zbrodni, urozmaiconego jeszcze na domiar wycieczką do owego raiku Bodzanty, do owego „Paradou“ socjalistycznego, któremu sam autor wyznacza tylko parę lat istnienia na ziemi, a za to w książce aż 100 stron miejsca!

Zbyt łatwo zauważyć, że Ewa (czy to pierwsza, czy druga), zamiast służyć bandzie zbójców, mogła uciec od niej do tego samego Szczerbica; że miała setne okazyje w Wiedniu i gdzieindziej wydać Pochronia w ręce policyi, albo strzelić mu w łeb z jednego z tych browningów, które dawano jej do czyszczenia. Ponieważ wreszcie opuścili ją Pochronie i Spławscy, ponieważ z rozkoszą odetchnęła cnotą i zapomnieniem w ogrodach Bodzanty, jakie лихо każe jej znowu uleść nieprawdopodobnym afektom starego społecznika, znowu od nich uciekać za nakazem demonicznego Płazy-Spławskiego, dać znowu nurka w raz już znienawidzoną kałużę, aby nareszcie umrzeć po bohatersku, ratując od śmierci jedyne, przez życie całe umiłowanego Łukasza? Mnożą się niekonsekwencye krzyczące, łamie się dzieło, rzuca się autor, targa i czytelnikiem, aż doprowadza obojętnych do wzruszenia ramionami, a wielbicieli jego talentu do szczerzego żalu. Jaka szkoda, że tak bogaty, żywy, tętniący życiem naszym pomysł Żeromskiego został, jak dziecko Ewy, rzucony do kloaki!

Jeżeli zaś Żeromski miał zamiar stworzyć postać zupełnie „rozamaną“ moralnie, to, gdy nam ją pierwszy raz pokazał, już w wieku dojrzałym, mógłby doprawdy bardziej ją obnażyć, abyśmy później nie „spadali z chmur,“ a raczej z nich nie złazili z żalem i zawodem. Buciki, halka, plamki zmysłowości w stosunku z Niepołomskim—to byłoby wyborne w innym toku powieści, ale przepada bez użytku dla zadziwiającej fabuły drugiego tomu. Nie mogąc przypuścić, aby Żeromski chciał nas zadziwić w drugiej części dzieła samą bajecznością bajki, muszę dojść do smutnego wniosku, że postać Ewy zepsuł z powodu rozdwojenia zamiaru, że wahał się w ciągu tworzenia pomiędzy Psychą, a Naną.

I dlaczego chybił właśnie postać główną?! Któż tedy, jeżeli nie on, porobił tak świetnie owych Pobratyńskich, Horstów, Szczerbiców, Pochroniów — aż do wybornych sylwet Barnawskiej, Nycza...? Na każdej z tych postaci możnaby niemal demonstrować anatomię literacką. Tak się robi. I każda posłużyłaby mogła zarazem za lekcję, jak poprawić Ewę, za dowód, że mógł ją sam Żeromski stworzyć staranniej lub szczęśliwiej.

Umie on bowiem wywołać i utrwalić osoby najróżniejsze. W tej samej powieści, obok Szczerbica, tak lekkimi a pewnymi rysami kreślonego, figura dyametralnie przeciwna—Pochroń. Takiego draba jeżeli widział kiedy Żeromski, to z pewnością nie wszedł z nim w zażyłe stosunki, podobnie jak nie miał wzoru na Ewę zbójcką. A jednak temi władzami duszy, które po staremu zwa się natchnieniem i talentem, zebrał rozpieczętnione doświadczenia krwawych lat ostatnich, cisnął w jedną bryłę, i bryłę ożywił. Niema tu żadnych sprzeczności, ani wątpliwości: ten potwór żyje, ten łajdak jest skończenie piękny. Znamy go: właśnie takich spotyka się wczesnym rankiem przy bilardzie w Kielcach. Namiętne zwierzę, dumny zbój. Jeżeli co w nim góruje nad żądzą rozkoszy, to żądza pieniędzy; jeżeli kto go na uwięzi trzyma, to starszy zbójckiego stanu. Jest to śpiżowy złodziej, i dla tego tylko zajmujący, że z jednolitego śpiżu. Gada, działa, ma się do innych, jak być powinno. A że tak być powinno, nie wiedzieliśmy do wczoraj. Dzisiaj wiemy. Ani trochę nie dziwi nas, że Pochroń frymarczy kobietą, którą kocha, bowiem bardziej kocha pieniądze; albo że ulega Spławskiemu, bo to mistrz jego sztuki. Czarna dusza pra-złodzieja tkwi konsekwentnie w Pochroniu. Nie rozczuli się on, nie wstąpi w niego inna dusza sentymentalna, gdy, powalony już, celuje pilnie z browninga w swoją ulubioną, zasłużoną Ewę. Zdradziła solidarność cechową—musi umrzeć.

Za przykład doskonałej figury z trzeciego planu biorę Nycza. Żartobliwa technika tej sylwety bawi, ale zaraz i osadza uwagę czytelnika. Tak—bywają tacy „we Widniu“ i gdzieindziej. Syn „d'un malheureux émigré polonais“—nie może być inaczej. Pogodna, szanowna postać, tylko zabłąkana między bandytów, zapewne nieświadomie. Powoli jednak ten piękny, pracowity bywalec wydaje się nam podejrzanym—nie wiemy jeszcze dlaczego. Aż kiedy Ewa w pełnym wdzięku dyalogu nazwała Nycza „kochanym szpicelkiem“—postać otrzymuje swe dokończenie artystyczne.

— I to ty, ty mówisz mi takie rzeczy! Boleśnie mnie zraniłaś.

Tak przemawia Nycz, pełen godności, i odchodzi z powieści. A my już o nim wiemy, ile potrzeba i na zawsze.

Żeromski tworzy gorąco, żywiołowo, szczęśliwie. Jak mu się od razu udają (a wyjątkowo i nieudają) osoby jego powieści—można stwierdzić i na odcieniach dyalektu, który autor kładzie w usta tego lub owej. Szcherbic mówi zawsze, jak polski, kulturalny hrabia, Horst ma świetną wymowę kawiarnianego filozofa, Pochroń przemawia, jak nożownik z krwawej Woli. Bo te postacie wyłoniły się żywe i zdrowe z twórczej fantazyi autora. Skoro tylko postać jest trudniej lepiona, kombinowana—uderza nas od razu i niekonsekwencya w używanym przez nią doborze wyrazów. Ewa rozmawia z Niepołomskim, jak doktor filozofii, z Pochroniem zaś od razu, jak jego urodzona koleżanka; niepodobna uwierzyć, aby miała tak wybitne zdolności filologiczne. Że stylowe szmermele Horsta, bardzo stosowne w jego ustach, podobne są do wywodów Jaśniacha—rzecz naturalna: typy są odmienne, lecz pokrewne. Ale zadziwia pokrewieństwo tej mowy oryginalnie wysiłonej z dyalektem np. Bodzantów, ojca i córki. Bo też cała ta rodzina razem z ogrodami, Majdanem, niedokończonym kościołem, rozprawą polityczno-społeczną—jest fikcją nieożywioną, wstawką dołataną do powieści, szmatem innego zgoła pomysłu, innej, znacznie gorszej techniki. Zdawałoby się, że autor przypomniat, pod koniec pisania, o potrzebie tła historycznego i ześrodkował je w osobnym kącie obrazu. I zaraz, jakby go odstąpiła moc Boża tworzenia, autor usypia, wyrazy kładzie powszednie lub niewłaściwe.

Usypiał i Homer, i Słowackiemu to i owo się nie udało, i Tołstoj, jakby na przekorę, psuje niejedno swe dzieło sztuki inkrustacją szkolno-dziennikarską. Podpatrywanie takie dobrego i szczerzego autora, wytykanie mu mniej udatnych rozdziałów, rysów, aż do zwrotów mowy—jest rzemiosłem łatwym, do którego nie mam chęci. Co innego było mi pobudką ogłoszenia tych uwag.

Zamiar literacki duży, silnie z życiem współczesnem związany, doskonale rozpoczęty, zbudził grzmiące echo wśród naszej publiczności. Żeromski położył palce na lirze z czułych, serdecznych strun ogółu złożonej—i cała lira zagrała. Tylko, zamiast wybuchnąć pieśnią choć mniej więcej zgodną i harmonijną, jedne serca zapalały namiętnością, drugie skurczyły się od targających je zgrzytów. Ogromne powodzenie tej książki jest bezpośrednim wpływem siły talentu autora, namiętne o nią kłótnie mają swe źródło w nieporozumieniu, stworzonym nie przez obozy polityczne, etyczne albo literackie, lecz przez samego autora.

Pisarz tej miary, co Żeromski, wchodzi już w poczet nauczycieli narodu; talent go na to stanowisko wyniósł, audytoryum swą liczną frekwencyą potwierdziło go w godności. Gdy jednak tak jest, i słusznie, wykład o najbardziej palących zagadnieniach życia współczesnego może nie dość gruntownie być przygotowany. „Ciężkie są nauczyciela narodu grzechy”—mówił jeden z Promienistych.

Skrzywienie bowiem, czy rozdwojenie planu „Dziejów grzechu“ w postaci głównej sprowadza, mojem zdaniem, niepożądane skutki nie tylko w samej artystycznej celowości dzieła. Obierając sobie za przedmiot „grzech“, stwarza się oczywiście szereg wniosków natury etycznej, gdyż bez etyki grzechby nie istniał. A wnioski te byłyby równie dla sztuki, jak i dla moralności pożyteczniejsze, gdyby nie zasadniczy, choć mimowolny grzech autorski.

Powtarzam z naciskiem, że nie mówię o wyborze przedmiotu. Każde, istotne dzieło sztuki, jest zdrowe dlatego, że dyszy prawdą życiową i przejmuje nią czytelnika. Jeżeli nawet książka, pełna scen t. zw. „gorszących“, lecz celowo dla racji sztuki potrzebnych, wpadnie w ręce „panny mądrej“, chodzi tylko o to, aby ktoś jednocześnie albo później lampę jej rozniecił, skoro sama odrazu tego uczynić nie zdoła. Panna głupia, albo zła potrafi i z Biblii wyciągnąć wnioski przewrotne. Deprawacya, zrodzona z przedwczesnego czytania, jest momentem przepadającym w ogólnem działaniu literatury na rozwój myśli i obyczajów współczesnych. Do znacznie zaś gorszych pod względem działania na moralność czytelnika zaliczam książki, w swej artystycznej celowości chybione lub chwiejne, duże dzieła sztuki zepsute i złamane. Te, im silniej pociągają wyobraźnię duszy młodej i wrażliwej, im ją bardziej ponętami artyzmu rozgrzeją, tem łacniej zaprowadzą ją do wniosków niebezpiecznych, a nawet szkodliwych.

Ale to, co nazywam „grzechem“ Żeromskiego, nie jest na szczęście wadą czucia, ani umysłu; jest raczej częściowem zabłąkaniem twórczego rozpędu w przedmiocie, stanowiącym istotę etyki. Grzech, odwieczny ogień palący w motorze indywidualnym człowieka, pragnienie rozkoszy osobistej z uszczerbkiem porządku i dobra ogólnego, porwanie się bestyi ludzkiej przeciw kratom i okowom—ma w sobie wielkość, rodzajową piękność, która pociągala zawsze pisarzy gorących i twórczych, pociągnęła dzisiaj i Żeromskiego. Przejęty straszną prawdą współczesnego życia, zaczął tworzyć prawdę artystyczną, a zatem piękno. Ale trzeba było bogactwo swych spostrzeżeń ułożyć w inny, celowo wyrazistszy szereg, i nie przeistoczyć swego wielkiego tematu,

grzechu współczesnego, w ból ślepy, w zło panujące nieuchronnie, jak niszczący żywioł.

Grzech ma swe konsekwencje wewnętrzne, dużo godniejsze myśliciela i artysty, niż technika zbrodni. Mniej więcej od epoki rewolucji francuskiej zaostrza się z każdym rokiem rozłam między etyką ludzi nowych, coraz nowszych, a etyką panującą starą, coraz starszą. Świat trzymany jest dotąd w korbach systemów moralnych, opierających się rzekomo jeszcze na wielkich prawdach Chrystusowych, ale przeistoczonych obłudnie przez ludzi zasadniczo kochających siebie, a nie bliźniego. Każda dusza wolna i lotna przeklina istniejący porządek świata, a przekleństwa zbiorowe biją groźną nawałą w twierdze powag społecznych. Ale rządy i powagi mają na sobie znak Krzyża, który niegdyś coś najwyższego przedstawiał, a może i w przyszłości przedstawiać będzie. Ten znak, choćby obłudnie wystawiony, przeraża jeszcze buntowników. I dlatego w grzechu tkwi walka nie tylko z więzami powag panujących, ale i z samym sobą, bo w sumieniu najśmielszego grzesznika majaczy jeszcze ten sam, co na wieżach, znak Chrystusowy; cięży nad ręką, imającą się noża, goni za głową unoszoną w mroki zapomnienia.

Jest w naszej epoce zmierzchu i pożarów inny jeszcze grzech wielkiej miary, z którego dzielny pisarz dobędzie skarby dramatyczności. Wolna dusza, pragnąc dla społeczeństwa rzeczy najszczytniejszych, zdrowia i wyzwolenia, może zabłąkać się, popaść w grzech względny, w grzech niemocy jednostki przeciw tłumom i ich historycznemu rozwojowi. Apostoł idei zwyrodniał w zbójcę, wielka miłość, która, zapomniawszy Chrystusa, zmienia się w nienawiść—to także tematy współczesne i ogromne.

Co innego zaś jest pisać dzieje grzechu, a dzieje brudu, czyli najniższych zbroczeń zwierzęcia zwyrodniałego. Takie motywy mogą najwyżej służyć artyście pomocniczo do wywołania, gdzie wyjątkowo potrzeba, wstrętu. Nie jestem pewien, czy niektóre obrazy w ostatniej powieści Żeromskiego są dostatecznie przez istotne wymagania sztuki uzasadnione.

Wielkie dzieje grzechu, dzieje duszy ludzkiej, zbłąkanej w odstępstwie od dróg utartych, spalonej przez ogień wewnętrzny, który mógł być świętym, a stał się pożerającym—takie dzieje są jeszcze do napisania.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

Kronika miesięczna.

Kwestya jubileuszu Słowackiego. — Organizacya opieki nad dziećmi opuszczonymi. — Drewnica i Karolin.

Komitet, zawiązany z inicjatywy grona literatów warszawskich dla obmyślenia sposobów uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, nie uzyskał zatwierdzenia władz, a wskutek tego został rozwiązany.

W odpowiedzi, jakiej udzielono na złożone podanie o legalizacyę Komitetu, nie zostały wskazane motywy, uzasadniające odmowę, nie możemy więc zastanawiać się nad tą sprawą bliżej. Pozostaje nam liczyć się z faktem dokonanym, który jednakże nie powinien osłabić zainteresowania się społeczeństwa w Królestwie Polskiem tem, co dla uczczenia Słowackiego uczynić postanowią Komitety galicyjskie.

Jeden z tych Komitetów, mianowicie Komitet akademicki, zawiązany w Krakowie dla sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, wystąpił niedawno z odezwą, która w sposób apodyktyczny i stanowczy rozstrzyga kwestyę umieszczenia wielkich prochów w miejscu najgodniejszym i najwłaściwszem.

Odezwę kończą takie znamienne słowa:

„Postanawiamy *walczyć* wszelkimi sposobami, by ogół narodu przekonać o słuszności naszych poglądów (poglądy te starają się uzasadnić, że z Wawelem nie może współzawodniczyć żadne miasto, żadna miejscowość na całym obszarze Polski—*przyp. red.*) i zapobiedz *niechybnej, a niepowetowanej profanacyi prochów Wieszcza*. W razie zaś, gdyby projekt nasz nie został dla jakichkolwiek przyczyn uwieńczony skutkiem, będziemy *dokładali wszel-*

kich starań, aby prochy Słowackiego pozostały w Paryżu tak długo, dopóki ogólna Wola Narodu nie zechce Ich sprowadzić na Wawel.“

Po za tą odezwą ani Komitet akademicki, ani inne Komitety galicyjskie nie wypowiedziały się jeszcze w sprawie obchodu jubileuszowego i nie nakreśliły swoich planów.

Natomiast w prasie warszawskiej zjawiły się dwa głosy, które zanotować na tem miejscu należy, jako wyraz żądań, skierowanych do komitetu warszawskiego, a po jego rozwiązaniu, przechodzących z natury rzeczy pod rozwagę i decyzję całego społeczeństwa.

Jedno z tych żądań sformułował i umotywował p. D. S. Zaborski w № 129 *Kuryera Warszawskiego*, oświadczając się za jednoczesnem przeniesieniem z Opinogóry na Wawel zwłok Zygmunta Krasińskiego, którego setna rocznica urodzin przypada w roku 1912.

„Jestem najbardziej zdecydowanym zwolennikiem projektu umieszczenia szczątków Słowackiego na Wawelu—pisze autor cytowanego artykułu—*z tym jednakże warunkiem, że spoczną tam jednocześnie prochy Krasińskiego*. Bez tego nie wyobrażam sobie możliwości uskutecznienia projektu wnioskodawców Wawelu. Zwracam też uwagę, że jeśli by to udało się im przeprowadzić z pominięciem Krasińskiego, to wyrządziliby wielką krzywdę pamięci Juliusza, gdyż również fanatyczni wielbiciele Zygmunta daliby niewątpliwie, biorąc rzecz po ludzku, upust swej goryczy.“

Rozwijając myśl swoją dalej, p. Zaborski mniema, że gdyby Komitet lwowski rzucił hasło podjęcia jednoczesnej akcji w sprowadzeniu na Wawel prochów obydwu poetów i złożenia ich obok trumny trzeciego w tej wielkiej trójcy, spoczywającego już w grobach królewskich, Mickiewicza, to hasło takie otrzymałoby prawie jednomyślną sankcję opinii narodowej.

Postawienie dwóch sarkofagów, nigdy zaś jednego — oto wniosek ostateczny projektodawcy.

Drugi projekt, odmiennej natury, przedstawił w № 143 tegoż *Kuryera Warszawskiego* prof. Kazimierz Król.

Zastanawiając się nad bogactwem i przepychem języka Słowackiego, tudzież nad wpływem, jaki ten język wywarł na wszystkich poetów i pisarzy doby późniejszej, dochodzi prof. Król do przekonania, że za tę doniosłą zasługę poety należy uczcić pamięć jego w sposób specjalny i to niezależnie od wszelkich innych sposobów, które bądź już są, bądź będą zaprojektowane.

Oto należy utworzyć fundację im. Juliusza Słowackiego, któraby przeznaczała *nagrody* mistrzom słowa polskiego, piszącym czy to prozą, czy wierszem.

We Francyi instytucją taką jest słynna Akademia Francuska; różne „akademie nauk“ zaszczycają także godnością swych członków nie tylko uczonych, ale i belletrystów, uwzględniając nie tylko wartość wewnętrzną utworów, lecz i zalety formy. U nas Akademii Umiejętności w Krakowie nie przeszkadza również jej ustawa udzielać takiej nagrody za zasługi literackie; mamy nadto kilka fundacyj (zapis Kochmana we Lwowie, zapis J. N. Jaśkowskiego w zawiadywaniu kasy Mianowskiego, zapis Kuryerowa), których statuty nie wyłączają i tej kategorii zasług. Należy jednak utworzyć — zdaniem p. Króla — coś takiego, co wiązałoby się wyraźnie i wyłącznie z imieniem Słowackiego i miało już jedynie cel powyżej wskazany.

„Mowa polska — pisze wnioskodawca — żyć i rozwijać się będzie. Świetna już przeszłość tego oręża duchowego, co to „myśl każdą wydać jest zdolny, gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika, jasny, śmiały,“ i dalszy jego rozwój w najnowszej dobie — dobrze pozwalają wróżyć o jego przyszłości; nie brak nam teraz i nie zabraknie zapewne później piszących, co niezależnie od takich lub innych ewolucyj życia narodowego, będą umieli pielęgnować godność pięknego słowa. Nie wyginą godni uznania; dlaczegożby nie pomnożyć sposobów do wyrażenia im wdzięczności narodu?...

„Szłoby o urzeczywistnienie pomysłu, a więc, mówiąc prozaicznie, o zebranie funduszu. Skąd go zdobyć? Odpowiem nieco zmienionemi słowy Jana Kochanowskiego: „inśzy to darmo po drogach miotali, a my nie damy, bychmy w pięknie trwali?“

„Jeżeliby kwota zebrała się stosunkowo nie duża, niech nagrody będą skromne, niech je wyznaczają co pewien dłuższy okres czasu. Można by je przyznawać i za piękne dopiero początki w zawodzie pisarskim; byłyby one, jeżeli nie uwieńczeniem zasług, to choćby zachętą do ich pomnażania ku pożytkowi ogólnemu, ale już przez to stałyby się musiały czynnikiem postępu w dziedzinie piękna.

„Obmyślenie form, według których działałaby przysła fundacya, nie nastrecałoby zapewne poważniejszych trudności. Można by ją związać czy to z Akademią Umiejętności w Krakowie, czy z kasą Mianowskiego, czy wreszcie wynaleźć inny sposób spełnienia wskazanych zadań.“

Taka jest myśl prof. Króla.

Zdobycie nagrody im. Słowackiego, będąc zaszczytem dla tych, którzyby ją już zdobyli, byłoby jednocześnie ostrogą dla późniejszych laureatów. Język nasz się rozwija, jest piękny, mocny i zdrowy, nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo poważniejsze — to prawda. Ale prawdą jest również, że nawet wśród literatów polskich, nawet wśród tych, którzy miłują się w ornamentyce językowej i najwyszukańszych dobierają wyrazów dla oddania swych myśli, coraz częściej trafiają się pisarze, nie dbający dostatecznie o czystość języka i nie zawsze pozostający w zgodzie z duchem mowy ojczystej. Dla obudzenia ich czujności, dla zachęcenia ich do studyów językowych, ustanowienie fundacyi nagrodowej im. Słowackiego nie byłoby bez znaczenia, bo zmusiłoby ich do liczenia się z niebezpiecznem współzawodnictwem innych, o ile nie zaniechaliby zgóry ubiegania się o nagrodę.

I nagrody takie istotnie mogłyby być skromne, nikomu bowiem nie szłoby o zysk materyalny, ale o zdobycie godności laureata książęcego zaiste konkursu na piękno.

*

*

*

Zorganizowanie dobrej opieki nad dziećmi wielkich miast należy do najpoważniejszych zadań filantropii społecznej. We wszystkich państwach, we wszystkich krajach, we wszystkich społeczeństwach zajmują się tą kwestyą, rozumiejąc pierwszorzędne jej znaczenie dla przyszłości, która oprze się na obywatelach, jacy wyrosną jutro z dziatwy. Obywatele ci będą tem lepsi, tem rozumniejsi i więcej pożyteczni dla ogółu, im lepsze otrzymają wychowanie. Z gromad dzieci bezdomnych, pozbawionych nauki i kierownictwa moralnego, wyjdą tymczasem, jeżeli nie przestępcy zdecydowani, to w każdym razie ludzie leniwi, nie zdający sobie sprawy ze swoich obowiązków, niezdolni do samodzielnej pracy, tamujący rozwój społeczny i wlokący się za społeczeństwem, jak obóz ciurów za główną armią, której w marszu nadażyć nie inogą.

U nas — niestety — podobnie jak w wielu innych kierunkach, i w tym zrobiono dotychczas znacznie mniej, niż gdzieindziej.

Dość powiedzieć, że pierwsze i *jedyne* w naszym kraju *Towarzystwo opieki nad dziećmi* istnieje w Warszawie dopiero od roku.

Wyłoniło się ono z t. zw. *Komitetu dla dzieci*, o którego działalności pisaliśmy w roku zeszłym na tem miejscu. W puściźnie po tym Komitecie, działającym w latach najcięższych, bo w okresie strejków, głodu i zamieszek rewolucyjnych, Towarzystwo otrzymało: Dom opieki, 7 ochron, 2 internaty, kolonie wiejskie, organizację dochodów stałych i t. p.

Obecnie zakres działalności Towarzystwa, które wchodzi powoli na drogę utrwalenia swego bytu, przedstawia się, jak następuje:

a) Przez Dom opieki przeszło w roku sprawozdawczym (1907) 300 dzieci, na ogólną liczbę 775 dzieci, zanotowanych przez księgi T-wa od początku istnienia Domu. Z powodu jednak braku funduszków nie można było działać w myśl założeń pierwotnych, t. j. tak, aby wszystkie dzieci z Domu, jako instytucji segregującej, przesyłać następnie na stały pobyt do internatów. Niektóre internaty wypadło zwinąć, a działalność Domu opieki ograniczyć aż do czasu zdobycia na to odpowiednich środków.

b) Co się tyczy działalności *Gniazd*, których Warszawa liczy 11, to mówią o tem najwymowniej osiągnięte rezultaty: 5 ochron dawnych, 8 nowozałożonych, 1 żłobek, 2 ochrony wiejskie, przytułek stały dla dziatwy wraz z dwuoddziałową ochroną dla dzieci przychodnich w Łodzi i 2 ochronki domowe—razem 20 instytucyj o 32 oddziałach, w których wychowywano dzieci, dotychczas dziko i samopas blakające się po ulicach i wystawione na zabójczy wpływ miazmatów rozpusty wielkomiejskiej. Dzieci przytulonych i wychowywanych przez te instytucje jest już obecnie 1,116.

Instytucją gniazdową, t. zw. eksterytoryalną, jest też zapoczątkowane w r. z. „Gniazdo ratowania dzieci od prostytucji.“ Smutna nazwa, a jednak instytucja taka była bardzo potrzebna.

Gniazdo, w którym rozwinęła czynną działalność znana ze swojej w tym kierunku energii hr. Ludwika Moriconiówna, nie mogło na razie powołać do życia samodzielnego posterunku miejskiego, zdołało jednak wydobyć z grzęzawicy 10 dzieci i umieściło je tymczasowo w przytulku św. Małgorzaty w Piasecznie.

c) Kolonie, jako dalszy ciąg zimowisk, prowadzone są w Towarzystwie z widokiem na stopniowe zmniejszanie dzieci, umieszczanych przy rodzinach na wsi, z dążeniem natomiast do tworzenia drobnych internatów wiejskich, oraz wchodzenia w stosunki z pokrewnymi instytucjami, posiadającymi racjonalnie prowadzone ogniska wychowawcze zamiejskie.

Z zestawienia cyfrowego, jakie podaje sprawozdanie Towarzystwa, dowiadujemy się, że z kolonij wiejskich, licząc i dawniej-

sze zimowiska, od 1 grudnia 1906 r. do 1 stycznia 1908 r. korzystało ogółem dzieci 1,277. Pozostało na koloniach 235 dzieci. Osobna tablica podaje przybytek na wadze i wzroście dzieci, powracających z kolonij. Odpowiednie liczby średnie wynoszą 1.86 kilogr. i 2.8 cmt.

Dział ten uzupełniają jeszcze kolonie wakacyjne, poparte odezwą Elizy Orzeszkowej w okresie jej jubileuszu, oraz kolonie w Ciechocinku. Z kolonij wakacyjnych korzystało w okresie sprawozdawczym 20 chłopców i 24 dziewcząt (średnio przez 2 miesiące). Z kuracyi ciechocińskiej korzystało 24 dzieci w ciągu sezonu kuracyjnego.

Zestawiając poszczególne cyfry na cały czas działalności instytucji, dowiadujemy się, że z usług Towarzystwa korzystało dotąd 3,286 dzieci. Pozwala to na zaliczenie nowej instytucji do rzędu rozwijających się pomyślnie. I rzeczywiście, obok T-wa kolonij letnich, oraz fundacyi Rau'a i bar. Lenwała uczyniło ono najwięcej w kierunku otoczenia dzieci bezdomnych i ubogich należyłą opieką.

Działalność Towarzystwa wzrasta niemal z dniem każdym, już bowiem po wydrukowaniu sprawozdania, na którym się opieramy, przyłączyło się do niego kilka nowych *gniazd*, jak Gniazdo imienia Baudouin'a, liczące 300 członków czynnych, przeważnie z grona lekarzy, oraz gniazda prowincjonalne w Grodzisku, Bolesławiu, Ząbkowicach, Piotrkowie kujawskim i t. d.

Wszystko to jest niewątpliwie początkiem wielkiej akcji opiekuńczej, która w przyszłości rozciągnie się na kraj cały i otworzy perspektywę lepszej doli przed biednymi dziećmi Polski, która nie może im zapewnić ani światła, ani chleba w dostatecznej ilości.

Taki stan rzeczy panuje nietylko w naszej dzielnicy, pozbawionej możności prawodawczego normowania swoich dążeń w kierunku walki z ciemnotą i nędzą.

Podobnie jest i w sąsiedniej Galicyi.

Z tego względu pozwolimy sobie wspomnieć tu przy sposobności o projekcie p. Kazimierza Jeżewskiego, znanego u nas działacza na polu opieki nad dziećmi, a obecnie promotora zorganizowania w Galicyi krajowej nad dziećmi opieki.

Sprawa ta weszła tam na porządek dzienny z powodu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa, który wyraził zdanie, że najmiłszem będzie mu wszystko, cokolwiek dzieci w jego imieniu otrzymają.

P. Jeżewski wystąpił tedy z projektem bardzo szerokim. Odrzucając zasadę masowych zakładów wychowawczych i przytułisk dziecięcych, projektodawca sądzi (najzupełniej zresztą słusznie), że nic nie zastąpi wychowania pod okiem rozsądnych i odpowiednio przygotowanych rodziców i żąda, aby kraj wszystkim bezdomnym i pozbawionym opieki dzieciom wychowanie takie zapewnił.

W jaki sposób? Oto przez tworzenie krajowych gniazd rodzinnych, na wzór sztucznych rodzin belgijskich.

Rodziny takie powstają przez powiększanie gromadki dzieci na wychowanie wybranej rodziny, najczęściej rodzinie nauczyciela ludowego, za pewną określoną opłatą roczną. „Gniazdem rodzinnym“ nazywa p. Jeżewski wzorową kolonię na wsi, zagospodarowaną w ten sposób, aby gospodarze gniazda, t. j. przybrani rodzice dobranej odpowiednio gromadki dziesięciorga dzieci bezdomnych, pracowali przy pomocy starszych swoich wychowanców na utrzymanie i wychowanie wszystkich.

Kolonia jest własnością kraju. Gospodarz gniazda i jego żona mają zapewnioną emeryturę krajową. Czysty dochód z kolonii, po opłaceniu wszelkich powinności i wydatków gospodarczych, kosztów utrzymania i wychowania całej rodziny, ma być rozdzielony równo pomiędzy rodzone i przybrane dzieci.

Każdy z wychowanców gniazda do lat 18 utrzymywany jest kosztem gniazda, poczem rachunek jego zostaje zamknięty, na miejsce zaś jego wchodzi nowy bezdomny.

Tak zorganizowane kolonie mogą służyć za podstawę pracy Tow. kółek rolniczych.

Czy jednak będą fundusze na założenie takich kolonij?

P. Jeżewski proponuje je zaczerpnąć ze źródła następującego. Oto w t. zw. kasach sierocych w Austrii właściwej, w Czechach, na Morawach, na Śląsku austr. i w Galicyi jest 48 milionów koron nadwyżek z obrotów, które dotychczas nie mają żadnego przeznaczenia ustawodawczego.

Ten kapitał pozwoliłby na urządzenie w krajach korony austriackiej 2,400 gniazd, gdzie wychowanie znalazłoby po wieczne czasy $2,400 \times 10 = 24,000$ dzieci bezdomnych i opuszczonych. Galicya z tego źródła mogłaby mieć 100 gniazd na 1000 dzieci. Prócz tego na cel ten powinny być obrócone wszystkie dary jubileuszowe.

Niezależnie od tworzenia gniazd p. Jeżewski proponuje, aby przy Wydziale Krajowym, jako organie wykonawczym Sejmu,

utworzone zostało specjalne biuro krajowe opieki nad dziećmi, które skupi w sobie całość akcji krajowej i prywatnej w tym kierunku. Akcja ta obejmie poza zakładaniem gniazd jeszcze: zakładanie i utrzymywanie specjalnych zakładów wychowawczych dla dzieci anormalnych i moralnie zwyrodniałych; zakładanie i utrzymywanie szpitali dla dzieci; popieranie inicjatywy prywatnej przez subwencyonowanie Towarzystw wychowawczych lub instytucyj, poświęconych niedoli dziecięcej; zaprowadzenie ochrony prawnej dla dzieci, a przede wszystkim zaprowadzenie (na wzór angielski) specjalnych sądów dla dzieci, wreszcie prowadzenie statystyki dziecięcej.

Praca ta ma uleść decentralizacji i w takim razie zostanie rozłożona na powiatowe opieki.

Poszczególne instytucje prywatne i stowarzyszenia, poświęcone sprawom dzieci, mają mieć w zarządach swoich delegata od właściwej opieki powiatowej i w projekcie wiążą się w pracy krajowej przez delegowanie swego przedstawiciela do rady przy zarządzie biura krajowego. Rada taka będzie miała prawo inicjatywy. Stałe zaś zjazdy jej członków dadzą możność porozumiewania się wszystkim uczestnikom tej pracy, w celu obrania wspólnych dróg dla osiągnięcia jaknajpomyślniejszych wyników.

Tak wygląda w zarysie projekt p. Jeżewskiego. Zbyt długo może zajęliśmy nim uwagę czytelników, ale wszak chodzi tu o *dzieci polskie*.

Nie oceniamy projektu krytycznie, gdyż nie dotyczy on nas bliżej. Jeżeli jednak posiada on jakiekolwiek wady, to przecież trudno mu odmówić wielkiej doniosłości. Trąca on z miejsca sprawę, dotąd w Galicyi prawie nie ruszoną i wprowadza ją odrazu na szeroki gościniec.

Czy i w jakim stopniu projekt ten zostanie urzeczywistniony, dotychczas niewiadomo. Wystarcza jednak, że zwrócił on na siebie uwagę czynników, które temu urzeczywistnieniu mogą współdziałać. Kwestye zasadnicze postawione zostały w projekcie jasno, zwięźle i prosto. Rzecz pomyślana jest dobrze, oparta zaś została nie na fikcyach i nie na jałmużnie, ale — z jednej strony na kapitałach sierocych, z drugiej — na pracy, jako czynniku najszlachetniejszym i zarazem najbardziej wychowawczym.

Z tego względu z ciekawością będziemy śledzili obrót, jaki ta sprawa weźmie, kto wie bowiem, czy organizacja galicyjska, jeżeli dojdzie do skutku, nie stanie się w przyszłości wzorem dla

podobnej organizacyi u nas, gdzie *ukrajowienie* opieki nad dziećmi z chwilą, gdy tylko okaże się to możliwe, byłoby również najlepszem rozwiązaniem kwestyi.

*

*

*

Obok opieki nad dziećmi jedną z najbardziej u nas zaniedbanych spraw jest opieka nad umysłowo chorymi. Dwa szpitale specjalne, św. Jana Bożego i szpital w Tworkach oddawna już nie mogą zaspokoić istniejących potrzeb, a władze odnośnie zupełnie nie spieszą się z wyrównaniem krzywdy, jaką brak odpowiednich zakładów leczniczych wyrządza społeczeństwu.

Zostawione samemu sobie, społeczeństwo polskie musiało więc na własną rękę rozpocząć akcyę w kierunku otamowania szerzącego się zła. Powstały więc, dźwignięte ofiarnością i dobrą wolą jednostek zakłady: w Kochanówce pod Łodzią i w Drewnicy pod Warszawą.

Drewnica należy do Towarzystwa opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi. Towarzystwo to, zatwierdzone w r. 1902, ma już za sobą 5 lat istnienia.

Zobaczmyż, jaki jest stan obecny zakładu Drewnickiego, obleganego nieustannie przez chorych i zmuszonego do odmawiania im przyjęcia z powodu „braku miejsca.“

Z ostatniego (za r. 1907) sprawozdania z działalności Towarzystwa dowiadujemy się, że posiada ono w budynkach, placach i kapitałach majątek, oszacowany na 94,000 rb., że w roku sprawozdawczym w zakładzie Drewnickim było 170 chorych, którzy przebyli 36,520 dni zakładowych, wreszcie, że Towarzystwo przystąpiło do budowy nowego pawilonu, obliczonego na 50 chorych.

Pierwotnie zakład przeznaczony był dla 15 chorych. Cudem prawie zdołano go rozszerzyć, więcej jednakże chorych Drewnica pod żadnym pozorem przyjmować już nie może.

Wybudowanie nowego pawilonu jest więc nietylko potrzebne, ale wprost niezbędne z uwagi na przepełnienie, które może być zjawiskiem chwilowem, ale nigdy stałem.

Na wzniesienie tego pawilonu potrzeba najmniej 45,000 rb., tymczasem T-wo do tej pory posiada na ten cel zaledwie 12,000 rb.,

wliczając w to już sumę 5,000 rb., którą dopiero ma otrzymać, ale której nie posiada jeszcze.

W roku sprawozdawczym Zarząd musiał odmówić przeszło 100 kandydatom, którzy posiadali wszystkie kwalifikacje do zakładu, dla których jednak nie starczyło miejsca.

Utrzymanie Drewnicy kosztowało w r. 1907 — 23,000 rubli, koszt przeto jednego dnia zakładowego wynosił 59.4 kop., t. j. prawie o $\frac{1}{3}$ część mniej, niż kosztuje dzień zakładowy w odnośnych szpitalach miejskich.

Sprawozdanie daje nam pouczający obraz gospodarki, zaprowadzonej w Drewnicy przez D-ra Karola Rychlińskiego, oddanego całkowicie chorym i zakładowi. Oto z zadowoleniem dowiadujemy się, że obok terenu, przeznaczonego pod parki dla chorych, zakład eksploatuje wzorowy ogród warzywny, posiada własną oborę i czerpie dosyć pokaźny dochód z hodowli nierogacizny.

Towarzystwo oparło byt Drewnicy na samopomocy społecznej i jest przekonane, że przy małej stosunkowo ofiarności publicznej, takich, jak w Drewnicy zakładów dałoby się utrzymać w kraju przynajmniej kilka, na co, zresztą, jest już wielki czas z powodu zastraszającej wprost liczby chorych, pozbawionych opieki, a należących do sfer niezamożnych, nie mogących korzystać z kosztownych szpitali.

Z pośród chorych w Drewnicy przeważna liczba, bo aż 75% należy do ludzi ubogich, a więc do pracowników warsztatowych, wyrobników lub ich rodzin. Jeżeli zaś zważy się teraz, że umysłowo chory doprowadzić może nawet rodzinę zamożną do ruiny, to dość pomyśleć o tem, co się dzieć musi w rodzinie rzemieślniczej, którą nawiedzi choroba umysłowa, aby nabrać przekonania, że nieszczęście, z jakim mamy do czynienia, domaga się jaknajgorliwszej ze strony całego społeczeństwa opieki. W kraju, który, jak nasz, posiada $\frac{3}{4}$ chorych umysłowo *pozbawionych zupełnie opieki*, nędza musi rozrastać się w sposób, budzący bardzo poważne obawy, a wskutek tego musi pogłębiać się w życiu nieład, wywołany wprawdzie przez inne powody, ale podtrzymywany przez ogólną niedolę.

Zważywszy też na ogrom potrzeby społecznej w dziedzinie, uprawianej przez Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, trudno nie wyrazić zdziwienia, wobec faktu, że na liście członków Towarzystwa widzimy zaledwie 278 nazwisk, gdy — co byłoby rzeczą zupełnie słuszną — dziesiątki tysięcy obywateli powinny na ten cel przeznaczać po kilka rubli rocznie. Gdybyż przynajmniej część tych pieniędzy, jakie np. sama tylko Warsza-

wa traci rocznie w najbardziej nieprodukcyjny sposób na rozmaite gry hazardowe w klubach lub na stawki w totalizatorze, poszła na cele Towarzystwa, mogłoby ono stworzyć i utrzymać przynajmniej 20 takich zakładów, jak Drewnica i wówczas dopiero sprawa tak ważna i niezbędna jako tako byłaby uregulowana.

Towarzystwo, które przed 5-iu laty otworzyło zakład na 15 chorych, a dzisiaj daje opiekę około 200 osobom rocznie, które wykazuje nadto, że dzięki zabiegliwości może utrzymać swój zakład przynajmniej o 80% taniej, niż miasto i rząd—powinno przecież z łatwością zdobyć sobie trwały grunt do dalszego rozwoju. Społeczeństwo w dobrze zrozumianym interesie własnym, kierując się zasadą „sami dla siebie“ powinno poprzeć działalność i wysiłek tej garstki ludzi dobrej woli, którzy z własnej inicjatywy stanęli do pracy i prowadzą ją z prawdziwym poświęceniem dla sprawy miłosierdzia.

Poparcie to jest tem niezbędniejsze, że zakres działania Towarzystwa rozszerza się przez budowę nowego sanatorium dla nerwowo-chorych w Karolinie pod Brwinowem.

Wiadomo, że nerwowość, wczesnie leczona, w niejednym wypadku może zapobiedz wybuchowi choroby umysłowej. W Karolinie zaś znajdują stosowne leczenie biedni pracownicy, którym kilkotygodniowy odpoczynek, przy odpowiedniej opiece i zabiegach lekarskich, może przywrócić zdrowie i zdolność do pracy. Dla społeczeństwa podtrzymanie takiego sanatorium stanowi czysty i nie zaprzeczony zysk.

Kolonia w Karolinie, ofiarowana T-stwu przez ś. p. Feliksa Bobrowskiego, w zupełności nadaje się na cel powyższy i wkrótce Towarzystwo rozpocznie tam budowę lecznicy według planów, już przygotowanych.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

ś. p. Konrad Prószyński.

(Kazimierz Promyk).

Odszedł nas pracownik wielki a cichy, pożyteczny i zasłużony a skromny, jeden z tych, którzy za godło życia swojego wzięli sobie wezwanie Juliusza z jego Testamentu: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei, a przed ludem oświaty niech niosą kaganiec!”

W nocy z dnia 8-go na 9-ty lipca r. b. umarł po długiej, dwuletniej prawie chorobie ś. p. Konrad Prószyński, zaszczytnie znany pod pseudonimem Kazimierza Promyka, pisarz i wydawca wielu doskonałych rozpraw, artykułów i pouczających książek dla ludu, założyciel i od lat blisko trzydziestu redaktor najpoczytniejszej pod wiejskimi strzechami „Gazety Świątecznej.”

Pomnikową jego pracą był „Elementarz,” według własnego pomysłu oparty na metodzie nauki pogładowej, który powagi pedagogiczne u nas i za granicą, jak np. w Londynie, uznały za najlepszy dotychczas na świecie.

Elementarza tego rozeszły się w ciągu lat kilkunastu krocie egzemplarzy—podobno przeszło milion...

Jeżeli z każdej takiej książeczyny w kraju analfabetów choć jeden prostaczek nauczył się poznawać głoski i czytać, to zasługa Promyka, jako krzewiciela oświaty, musi pozostać w dziejach naszego rozwoju wiekopomną.

Ale nie dosyć na tem, że tysiączne tłumy tych ciemnych braci na jego Elementarzach nauczyły się abecadła—on je „z kagańcem w rękę” prowadził ku coraz jaśniejszym dziedzinom duchowej

i fizycznej pracy, rozwidniał umysły, rozgrzewał serca, otwierał oczy na świat najbliższy i dalszy, kształcił i budził ciekawość do nauki, szerzył kulturę w tych warstwach społecznych, względem których przeszłość najciężej zgrzeszyła, pozostawiając je wieki całe w ciemnocie, zacofaniu i zaniedbaniu.

Stał się też dobrowolnie jednym z tych odkupicieli przeszłości u nas, którzy z ideą w sercu, a z sercem na dłoni, zstąpili do ludu, aby wedle środków i możliwości spłacać długi narodowego sumienia i zaległych obowiązków.

Umikowanym celem jego życia, a całych dziesiątków lat pracy literackiej i społecznej było: świecić choćby „promykiem“ na nizinach i szerzyć oświatę wśród ludu polskiego; celowi temu poświęcił się bardzo wcześnie, bo w samym zaraniu swojej młodości, kiedy jeszcze jako szesnastoletni uczeń gimnazjalny brał się do pióra.

Zaledwie w r. 1876-ym ukończył Wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego ze stopniem kandydata praw, już w r. 1880 zakłada organ własny, tygodnik popularny p. t. „Gazeta Świąteczna“ i zaczyna wydawać kalendarz, nazwany „Gościem“, a przeznaczony dla najszerszych warstw społecznych, pracujących na roli.

W tych dwóch wydawnictwach rozpoczyna się jego działalność pisarska, obywatelska i nauczycielska dla ludu z coraz rozleglejszym i głębszym wpływem; „Gazeta“ wyrabia sobie poczytność i zaufanie, zdobywa dziesiątki tysięcy prenumeratorów, a założyciel, kierownik i główny współpracownik jej—Prószyński, jako „pisarz Gazety Świątecznej“, staje się ulubieńcem, doradcą, przyjacielem tych siermiężnych tłumów, do których co tydzień przez dwadzieścia kilka lat odzywa się głosem starszego, dobrego brata i serdecznego druha.

Pisać przystępnie, zajmująco i zrozumiale dla ludu i dzieci, to zadanie o ile wdzięczne, o tyle bardzo trudne, wymagające specjalnego uzdolnienia, talentu, wprawy i znajomości natury tych prymitywnych czytelników, do których poziomu umysłowego potrzeba się dostosować umiejętnie, a nawet sprytnie, jeżeli się ma odnieść pożądaný skutek: zająć, nauczyć i wykształcić.

Kazimierz Promyk, jako pisarz dla ludu, był pisarzem z Bożej łaski; czytano go chętnie, z zajęciem i zrozumieniem, a co najważniejsza, z wiarą i zaufaniem, z wdzięcznością i uznaniem za każde rozumne, ciepłe i pełne myślowej treści słowo drukowane.

Umiał on do tego ludu przemawiać językiem prostym, jędrnym, przystępnym, czy to, gdy mu opowiadał o „Ciekawych zjawiskach w świecie“, „O Janie Kochanowskim, jego pismach i pa-

miątkach po nim,“ „O Stanisławie Staszycu,“ „O dziejach odkrycia Ameryki,“ „O wyprawach do bieguna północnego,“ czy „O tem, co każdego obchodzić powinno,“ „O gminie, wyborach i głosowaniu,“ lub „O dozorach kościelnych,“ „O pożyczkach i kasach pożyczkowych“ i t. p. rzeczach potrzebnych i pożytecznych.

„Księgarnia krajowa,“ założona przy *Gazecie*, wypuszczała cały szereg takich popularnych wydawnictw książkowych po cenie jak najtańszej, które znajdowały tysiące chętnych czytelników, ciekawych i żądnych nauki lub pouczającej rozrywki umysłowej.

Zadanie, które w innych społeczeństwach, w warunkach pomysłniejszych, spełniają całe stowarzyszenia, instytucje, zakłady, istniejące w celu szerzenia oświaty i wiedzy, spełniał ten jeden człowiek wyjątkowej pracy, wytrwałości i wiary w posiew dobrego ziarna na niwie tak mało uprawianej, tak długo leżącej odłogiem.

Zaorywał i zasiewał własną ręką ugory, plony przekazując przyszłym pokoleniom.

Z natury rzeczy pisarska twórczość Promyka zamykać się musiała w drobnych, ograniczonych rozmiarach, w artykułach różnolitych, ale krótkich, w rozprawkach i książeczkach o objętości broszurowej, ze względu na czytelników, nie przyzwyczajonych do wertowania dużych ksiąg, nie mających jeszcze ani dość czasu, ani dość cierpliwości do lektury dłuższej i systematycznej; nie pozostawił też po sobie ten pisarz wyjątkowy, pomimo olbrzymiej pracy i dużego talentu, okazałych na oko dzieł, ale nie mniej zdobył prawo do gorętszego może uznania, aniżeli niejeden z najpłodniejszych autorów w naszym piśmiennictwie, bo dostarczał po kęsku przez lat trzydzieści całym rzeszom głodnych duchowego chleba i pożywienia zdrowego.

Kiedy w ubiegłym roku uczczono jubileusz jego czterdziestoletniej działalności pisarskiej (zanadto skromnie w stosunku do zasługi społecznej), jednym z najmiłszych i najbardziej pocieszających objawów uznania dla siebie znalazł w listach, grubą, niewprawną, spracowaną ręką kmiecią pisanych przez czytelników *Gazety świętecznej*; pośród tych cegiełek na pomnikową kolumnę za życia dla kochanego i wielbionego przewodnika ludu, była jedna szczerozłota, z której mógł być dumny, bo ona sama starczyć mogła za wiele zaszczytów, które go ominęły. Jakób Grabowski, włościanin z Przytuł, od dwudziestu lat czytelnik *Gazety świętecznej*, w liście własnoręcznym spowiadał się prosto a szczerze z korzyści, jakie odniósł z czytania tego pisma; przyznawał się do ciemnoty i zacofania poprzednio, ale potem w miarę oświe-

cania umysłu swego: „pokochał ludzkość, poczuł się jej członkiem, zapragnął jedności bratniej i zaczął starać się o nią, pokochał ludzi sprawiedliwych i zaczął uwielbiać bohaterów a krzewieli oświaty prawdziwej uważać za twórców narodu.“

Wykazując dalej zmiany, jakie dzięki naukom, radom i wskazówkom, znajduvanym w *Gazecie*, zaprowadził z dużym pożytkiem we własnem gospodarstwie, zakończył list swój temi słowy:

„Przez czytanie *Gazety* nauczyłem się poznawać i odróżniać dobre książki od złych; zrozumiałem, co to jest być prawym, nieobłudnym na wzór swego mistrza, kochanego Pisarza *Gazety*; zachęcam sąsiadów do dobrego, a gdy widzą przykład, to i naśladowają, a ja się z tego cieszę. Takie to z czytania *Gazety świętecznej* odniosłem korzyści i wiele innych, za co składam Bogu Najwyższemu dzięki. Proszę Wszechmocnego o udzielenie kochanemu Panu Pisarzowi *Gazety* najdłuższych lat zdrowia. Nie mam słów do podziękowania, życzeń, uwielbiania, do wypowiedzenia tego, co w sercu swojem czuję.“

Takich świadectw zasługi i pożytku przez długie lata od wdzięcznych swoich czytelników, Promyk odbierał tysiące i one zapewne podtrzymywały jego ducha, one wyczerpane i zużyte nadmierną pracą siły wzmacniały na nowo, one go upewniały, że życia na marne nie obrócił i że „nie cały umrze,“ gdy do grobu prawdziwie zasłużonych złożą kiedyś jego śmiertelne szczątki.

Promykiem chciał być tylko dla ukochanego ludu swego, ale gwiazdą świecić będzie w jego pamięci i sercu!

M. G.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE ogłasza trzy zadania konkursowe, a mianowicie: w wydziale języka i literatury na temat: „Życie duchowe i twórczość Juliusza Słowackiego.“ Żądaną jest bądź całkowita synteza krytyczna, bądź częściowe opracowanie jednego z dwu głównych okresów działalności poety (lata 1836—1842 i 1842—1849), bądź wreszcie studium nad genezą i ewolucją samego artyzmu przy uwzględnieniu pokrewnych zjawisk w dziejach poezji i sztuki innych ludów Europy.

W wydziale nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii na temat: „Znaczenie żywiołu etnicznego litewskiego w ewolucji polityczno-społecznej W. Ks. Litewskiego przed Unią lubelską.“ Praca ta ma stanowić studium, oparte zarówno na wynikach badań etnograficznych, jako też na danych faktycznych, dotyczących polityczno-społecznego i kulturalnego rozwoju żywiołu rdzennie litewskiego ze szczególnem uwzględnieniem przejawów tego żywiołu w ustawodawstwie, a mianowicie w Statucie litewskim.

Wreszcie w wydziale nauk matematycznych i przyrodniczych na temat: „Zbadanie pod względem mineralogicznym któregośkolwiek z terytoriów Królestwa Polskiego.“ Przez terytorium rozumieć należy pewną całość geograficzną lub pewien kompleks geologiczno-petrograficzny. Praca winna wyczerpywać odnośną literaturę i opierać się nadewszystko na badaniach oryginalnych autora, oraz na laboratoryjnym opracowaniu materiałów zebranych. Autor winien przedstawić duplikaty zbadanych przez się materiałów, jako też i ewentualnych preparatów mikroskopowych.

Nagroda za pracę konkursową na każdy z trzech powyższych tematów wynosi tysiąc rubli. Towarzystwo naukowe zastrzega sobie możliwość podzielenia tej sumy na dwie nierówne części, w razie gdyby z pomiędzy prac, nadesłanych na dane zadanie, dwie okazały się godnymi nagrody. W razie gdyby, prócz nagrodzonych, znalazły się jeszcze inne prace wyróżniające się, Towarzystwo Naukowe może je oznaczyć wzmianką zaszczytną. Termin osta-

teczny do nadesłania rękopisów oznacza się na 31 grudnia 1909 r. Po upływie tego terminu żadne rękopisy przyjmowane nie będą.

W d. 21 czerwca r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym sekretarz Wydziału, Ignacy Chrzanowski, zdawał sprawę ze swych poszukiwań w Cesarskiej Bibliotece Petersburskiej w dziale rękopisów polskich z w. XVII i XVIII, mieszczących zbiory okolicznościowych, przeważnie politycznych, wierszy i pieśni. Rezultatem tych poszukiwań było znalezienie nieznanych dotąd, ciekawych utworów, a pomiędzy nimi wiersza z okoliczności porwania Stanisława Augusta.

— ARCHIWUM FILOMATÓW W KRAKOWIE. Już od dwóch lat krążyły niepewne wieści o odkryciu archiwum filomatów, które jakoby miało być spalone w r. 1824 w obawie przed śledztwem Nowosilcowa w Wilnie.

Tymczasem archiwum przechowało się dzięki Onufremu Pietraszkiewiczowi, jednemu z najgorliwszych filomatów, który papiery wszystkie ukrył, a po powrocie z Syberyi, dokąd go w r. 1831 ponownie zesłano, wydobył z pod ziemi, uporządkował i przed śmiercią († 1863 r.) powierzył synowcom. Jeden z nich zmarł w r. 1901, drugi — ś. p. Dr. Jan Pietraszkiewicz, umarł w styczniu r. b.

Jeszcze w r. 1906 wezwał on do Wilna Prof. Kallenbacha, z którym porozumiewał się odtąd wyłącznie i stale w sprawie wysłania całego archiwum filomatów do Krakowa w celu wydania go przez Akademię umiejętności. Jako jej delegat, udał się w połowie czerwca b. r. do Wilna Prof. Kallenbach, zawarł umowę z wdową po ś. p. Pietraszkiewiczzu i przewiózł całe archiwum do Krakowa.

Znaczenie jego zrozumie każdy, kto wie o wpływie młodzieży filareckiej na odrodzenie duchowe Litwy w trzecim dziesiątku ubiegłego stulecia. Dopiero teraz odsłoni się cała kulturalna i dziejowa doniosłość pracy filomatycznej.

Dochowały się protokoły oryginalne posiedzeń zarządu filomatów, ich oddziałów naukowych, prac literackich Mickiewicza, Zana, Czeczota i innych. Nieocenionej wprost wartości jest olbrzymia korespondencja filomatów z lat 1817—1830 r. Obejmuje ona przeszło tysiąc listów, które rzucają nowe i autentyczne światło na prace obywatelskie młodzieży litewskiej. Sama korespondencja Mickiewicza, całkiem nieznaną, obejmuje przeszło sto listów, ogółem zaś korespondencja Zana, Czeczota, Jeżowskiego, Malewskiego i Onufrego Pietraszkiewicza zawiera przeszło 570 listów.

Ponieważ Czeczot był korektorem pierwszych dwóch tomików poezyj Mickiewicza, nadesłanych z Kowna, więc dochował się w Archiwum zbiór licznych autografów takich wierszy, jak: „Oda do młodości,“ „To lubię,“ „Romantyczność,“ „Upiór,“ ustępy II-jej części „Dziadów“ i t. d. Nadto mamy tu liczne przemówienia Mickiewicza na posiedzeniach Tow. filomatów, jego projekty, pomysły, nawet nieznanne wiersze humorystyczne i poważne.

(„Czas.“)

— TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH W WARSZAWIE. Sekcja humanistyczna T. K. N. podaje następujący program wykładów na rok akademicki 1908/9:

Grupa I. Językoznawstwo i filologia: 1) Językoznawstwo stosowane (w życiu, nauce i szkole) i 2) wykład naukowy języka francuskiego; K. Appel—2 godz. 3) Gramatyka porównawcza języków słowiańskich, II morfologia; St. Słowski—2 godz. 4) Kurs praktyczny języka łacińskiego: a) kurs początkowy, b) kurs uzupełniający. 5) Starożytne pomniki piśmiennictwa hebrajskiego (Pięcioksiąg, Prorocy i t. d.); Ignacy Radliński—2 godz. 6) Źródła do poznania chrystyanizmu; Ign. Radliński—2 godz. 7) Literatura powszechnia XVIII i XIX w.; Ignacy Matuszewski—2 godz. 8) Literatura polska w wieku oświaty; Ign. Chrzanowski. 9) Literatura polska w XIX w. (romantyzm); H. Galle.

Grupa II. Nauki historyczne: 1) Dzieje Polski w XIV i XV w.; S. Kętrzyński. 2) Litwa i Ruś w XVI w.; Jakubowski. 3) Parlamentaryzm w Polsce; Siemieński. 4) Historia Polski w XVIII w.; Wł. Konopczyński. 5) Księstwo Warszawskie; J. Iwaszkiewicz. 6) Królestwo Polskie; Bojasiński. 7) Historia powszechna: wieki średnie; Wachowski. 8) Historia sztuk plastycznych i archeologii; W. Trojanowski. 9) Historia kultury (filozofia pierwotna); L. Krzywicki.

Grupa III. Geografia i etnografia: 1) Geografia ogólna (fizyczna); W. Nałkowski. 2) Geografia historyczna ziem polskich; Z. Glogier.

Grupa IV. Nauki społeczne i prawne: 1) O podziale dóbr; St. Bukowiecki—1 godz., 1 semestr. 2) Historia doktryn ekonomicznych; St. Bukowiecki—1 godz. 3) Polityka socyalna; N. Pinkus—2 godz. 4) Nowoczesna polityka kryminalna; E. Rapaport — 1 godz. 5) Prawo handlowe; K. Dunin — 2 godz. 6) Czynniki rozwoju dziejowego; L. Krzywicki—2 godz. 7) Nowoczesne teorie socyalne i polityczne; J. Kucharzewski — 1 godz. 8) Prawo cywilne; Marceli Lewy—1 godz.

Grupa V. Filozofia i psychologia: 1) Psychologia ogólna — 2 godz., 2) Ćwiczenia praktyczne z psychologii—1 godz. i 3) Psychologia stosowana—1 godz.; J. Wł. Dawid. 4) Estetyka; A. Jabłoński — 2 godz. 5) Historia estetyki—2 godz., 1 semestr, oraz 6) Historia etyki—2 godz., 2 semestry; M. Massonius. 7) Historia filozofii od Thalesa do śmierci Hegla—2 godz., 8) Filozofia współczesna — 2 godz. i 9) Historia wiedzy — 1 godz.; Wł. M. Kozłowski. 10) Historia filozofii od śmierci Hegla do czasów najnowszych; J. Lewkowicz—2 godz. 11) Pedagogika obiektywna (społeczna); J. Wł. Dawid—2 godz. 12) Zasady wychowania—2 godz. i 13) Dydaktyka i metodyka nauczania — 2 godz.; A. Szycówna.

Jak w roku ubiegłym, sekcja humanistyczna pozostawia zupełną swobodę zapisywania się na oddzielne wykłady i nie żąda żadnych formalnych dowodów z przebytego już kursu wykształcenia średniego (którego znajomość przypuszcza się jednak w każdym słuchaczu).

Wykłady sekcji grupują się według następujących specjalności: 1) językoznawstwo i filologia, 2) historia powszechna i polska, 3) geografia i etnografia, 4) nauki społeczno-prawne, 5) filozofia i psychologia. Ktokolwiekby pragnął uzyskać dowód odpowiedniego przygotowania w którejkolwiek z tych

specjalności, będzie mógł przystąpić do egzaminów po studiach, trwających nie mniej od dwóch lat (4-ch semestrów). Część egzaminów może być złożona już po roku.

Niezależnie od tego słuchacze, zapisujący się na poszczególne przedmioty z wymienionych grup, lub przez te grupy nie objęte, mogą według życzenia składać egzaminy z wysłuchanych przedmiotów i otrzymywać odpowiednie świadectwa.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **ATENEUM POLSKIE**, miesięcznik, poświęcony sprawom kultury pod redakcją *Stanisława Zakrzewskiego*. Tom II, zeszyt 2 za maj. Zawiera gorąco napisane wspomnienie pośmiertne o *Andrzeju hr. Potockim* na pierwszym miejscu. Następuje potem rozprawa niezwykle interesująca i z wielkim talentem napisana przez *dr. Wacława Sobieskiego*, zaszczytnie znanego w naszej literaturze historycznej z całego szeregu sumiennych prac naukowych, pod tytułem: „Pesymizm i optymizm w historyzofii polskiej.“ Autor zastanawia się nad sprzecznymi sobie kierunkami historycznymi i daje obraz ciekawy i charakterystyczny tych wahań, jakim historyzofia nasza uległa pod wpływem przeżywanych kataklizmów narodowych. W dalszym ciągu *Antoni Lange* rozpoczyna w tym zeszycie streszczenie „Mahâbâraty,“ właściwie wstępu do tego wspaniałego eposu indyjskiego, tak mało na ogół znanego. *Franciszek Krętek* podaje rozprawkę krytyczną o poecie czeskim *Światopełku Czechu*. W dziale zatytułowanym: *Rozglądy i Sprawozdania* zwraca na siebie uwagę krytyka dzieła *dr. Clemensa Brandenburgera*, p. t. „*Polnische Geschichte*,“ Lipsk 1907, napisana przez *Jana Friedberga*, a zatytułowana: „*Pruska prawda historyczna*.“ Autor wykazał cały stok kłamstw i niewiomości, jakich się dopuścił w tym dziele niemiecki uczony wiednie i bezwiednie.

— **NASZ KRAJ** w numerze IX zawiera treść następującą: *Stanisława Przybyszewskiego*: „Przyczynek do etyki płci;—*Juliusza Germana*: „Z dyalogów o szczęściu,“ „Syn marnotrawny;—*E. Gordona Craig'a*: z angielskiego manuskryptu, przeznaczonego dla redakcyi *Naszego kraju*, przetłumaczony artykuł o „Niektórych złych dążnościach współczesnego teatru;—dalszy ciąg powieści *W. Sieroszewskiego*: *Być albo nie być*;—*Selmy Lagerlöf*: *Królowe z wyspy Ragnhild*. O „literaturze młodej Anglii“ (piśmiennictwie kanadyjskiem) zamieszcza studjum p. *M. Rakowaka*. Winiety i inicjały numeru wykonał *H. Kunzek*.

— **NASZ KRAJ**. Zeszyt X. Na wstępie dyalog wierszowany *Juliusza Germana*: *Na drodze* (Z dyalogów o szczęściu). „Ludzie i idee w literaturze i sztuce francuskiej. I. Klasyczni“ *H. Retingera*;—*St. Rossowskiego*: kompozycja wierszowa *Krew* „Kilka myśli o nowoczesnej sztuce aktorskiej“ z powodu występu trupy japońskiej p. *Hanako*;—*Juliusza Teunera*: przekład z *Marcelego Schwoba* *Mikołaj Loyseleur*;—„Z szkiców parańskich“ *Jerzego Hempla*;—„Alle-gorye“ *Jana Lemańskiego*.

— **NASZA PRZYSZŁOŚĆ**. Pod tym tytułem wychodzić poczęło w Kijowie nowe czasopismo naukowo-literackie, społeczne i polityczne. W numerze

za maj, w słowie wstępnem zaznacza redakcja, że pismo przeznaczone jest przede wszystkim dla czytelników Ukrainy, Podola i Wołynia. Z szeregu pomieszczonych artykułów wyróżniają się: studjum o ekonomicznem odrodzeniu Litwy i Rusi Kazimierza Tokarzewicza;—przegląd publicystyki wschodniokresowej ostatniej doby, „prologi agrarne“ Al. K. Mańkowskiego;—wreszcie starannie prowadzony dział krytyki literackiej oraz korespondencyj.

— OGRODNICTWO, organ Towarzystwa ogrodniczego w Krakowie, zeszyt VI za czerwiec zawiera następujące artykuły: Zajac M.: „Helianthi“ nowa bulwiasta roślina warzywna;—Brzeziński J.: Specjalizacya w ogrodnictwie (dok.);—Benoit K.: Hodowle drzew owocowych w Riond Bosson (c. d. z rycin.);—Sidorowicz A.: Jak to nazwać?;—Préval Wł.: Stożki różne;—Skórczewski Dr. B.: Z polskiej flory;—Lila i jej rodzina (z 6 rycin.);—Pol G.: Hodowla roślin w mieszkaniach (c. d. z 4 rycin.);—Gniewosz Wł.: Korespondencya;—Ze spraw ogrodniczych;—Kronika.

— PAMIĘTNIK LITERACKI, podwójny zeszyt czasopisma kwartalnego, poświęconego historii i krytyce literatury polskiej, wydawanego przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją D-ra Ludwika Bernackiego, i zawiera następujące artykuły: Stanisław Wyspiański: Święty Stanisław (wydał A. Chmiel). Rozprawy: Fijałek Jan X. Dr.: Moderniści Katolicy Kościoła Lwowskiego w wieku XVI;—Jarecki Kazimierz: Pierwsze polskie tłumaczenie Anakreonta;—Kallenbach Józef: O nieznanym utworach młodzieńszych Adama Mickiewicza;—Pawlikowski Jan Gwalbert: Źródła i pokrewieństwa towarzyszenia i mistyki Słowackiego;—Lack Stanisław: Stanisław Wyspiański. Notatki: Miaskowski Kazimierz X.: Z teki bibliograficznej VII;—Krćek Franciszek Dr.: Nieznana kolenda (Okruchy hymnologiczne III);—Simónówna Alicya: Pieśń Kochanowskiego „Nadziei nie trzeba tracić“ w tłumaczeniu niemieckiem z XVII wieku;—Pszon Stanisław: „Reminiscencye w Monachomachii“ i „Wojnie chocimskiej“ Krasickiego;—Wojciechowski Konstanty: „Polak w Paryżu“ a „Nowa Heloiza“;—Wasylewski Stanisław: „Klub piśmienniczy“ Tymona Zaborowskiego. Materiały: Bernacki Ludwik: Dyalog na Wielki Piątek;—Mączewski Przemysław Dr.: Z pamiętnika Feliksa Niemojewskiego;—Mączewski Przemysław Dr.: C. Norwid o genezie swej broszury p. t. „O sztuce“;—Pawlikowski Michał: Nieznany list Kornela Ujejskiego. Recenzje i sprawozdania: Dzieje literatury polskiej. Przegląd krytyczny za rok 1907 (*.*);—Łoziński Władysław: Życie polskie w dawnych wiekach (A. Prochaska);—Benzelstjerna-Engeström Wawrzyniec: Alfred Jensen: Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej (W. Hahn);—Wiersze polityczne i przepowiednie, satyry i paszkwile z XVI wieku. Wydał T. Wierzbowski (A. Brückner);—Turowski Stanisław Dr.: Wespazyan Kochowski na tle współczesnem, jako poeta;—Niemcewicz Julian Ursyn: Puławy. Opracował J. Kallenbach (K. Wojciechowski);—Mickiewicz Adam: Trybuna ludów. Wydał Wł. Mickiewicz, przełożył A. Krasnowolski (K. Jarecki);—Śliwiński Artur: Mickiewicz, jako polityk (K. Jarecki);—Mazanowski Antoni: Seweryn Goszczyński (Z. Wasilewski);—Sprostowanie;—Bibliografia czasopism polskich za r. 1906 ułożył Stefan Vrtel.

— PORADNIKA JĘZYKOWEGO numer za czerwiec zawiera: O języku międzynarodowym Esperanto przez Romana Zawilińskiego;—Mowa ojczysta przez Lucyana Rydla;—Zapytania i odpowiedzi;—Pokłosie (Germanizmy i dwa listy z Litwy);—Roztrząsania przez D-ra H. Ułaszyna i Królińskiego.

— PRZEGLĄD BIBLIOTECZNY, zeszyt II. A. Gawiński: O książce Wyspiańskiego;—W. Mickiewicz: Biblioteka Polska w Paryżu;—St. Demby: Z teki autografów;—E. Trojanowski: Słów kilka o drukarstwie z powodu wystawy Krakow. Tow. Polska Sztuka Stosowana;—Fr. Pułaski: Wiadomości o najdawniejszych i nieznanym drukach brzeskich (1553—1554);—D. Nowe ex-librisy polskie;—Pamięci zmarłych;—Zbieracze polscy;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY, zeszyt III. Halpern J.: Filozofia absolutnego idealizmu Hegla w psychologicznym zrozumieniu;—Zengteller Louis: Poglądy J. St. Milla na Przyczynowość;—Bad H.: „Grundlegung“ Kanta w tłumaczeniu polskim;—Święcicki H.: Książce S. M. Trubeckoj i jego pogląd na świat;—Silberstein Ada: Współczesna estetyka eksperymentalna;—Autoreferaty;—Sprawozdania;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Czerwiec 1908. Zygmunt Balicki: Wobec Nowego Położenia;—Antoni Marylski: Ziemia i Ludność Polska;—Jan Purwin: Ostatnia fala ruchu gospodarczego w Niemczech;—Jerzy Gościcki: Powinności Naturalne w Samorządzie;—Stanisław Warcholik: Sześćdziesięciolecie ruchu narodowego na Śląsku Austriackim;—Antoni Sadzewicz: Przegląd Spraw polskich;—Bohdan Wasiutyński: Przegląd polityki Zagranicznej;—Z prasy: Pesymizm i optymizm w historyografii polskiej;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI w numerze czerwcowym zamieszcza na wstępie wielce zajmujący artykuł D-ra Romana Dybrowskiego: „Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej z r. 1803.“ O czterotomowej tej powieści, zatytułowanej *Thaddeus of Warsaw*, a której autorką była Joanna Porter, podaje D-r Dybowski szczegółowe, zajmujące informacje. Do artykułu dodana rycina Cardona „Kościuszkę w Anglii w r. 1797.“ według rysunku Ryszarda Coswaya. — Studium o „najnowszym dramacie niemieckim“ D-ra Józefa Flacha;—ciąg dalszy pracy Stanisława Tarnowskiego o Julianie Klacze;—dokończenie szkicu historycznego D-ra Ludwika Bernatyńskiego „Don Livio Odescalchi kandydatem do korony polskiej.“ Dopelniają treści numeru: kronika literacka;—sprawozdania z literatury powieściowej;—teatr krakowski A. E. Balickiego;—Muzyka w Krakowie D-ra Zdzisława Jachimeckiego;—przegląd polityczny;—wspomnienia pośmiertne księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego i Ludwika Górskiego, pióra Stanisława Tarnowskiego.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Numer czerwcowy rozpoczyna artykuł prof. Stanisława Smolki „Z powodu broszury prof. Wahrunda;“—Henryka Sienkiewicza nowela *We mgle*;—Dokończenie studium K. Krotoskiego „Nowe idee w naszym szkolnictwie;“—Z dzisiejszej akcji społecznej „społeczeństwo wobec tych, co zesli z drogi,“ przez Maryę Straszewską;—Z podróży po Grecyi;—„W pomroce wieków,“ Lucyana Rydla;—„W bibliotece Symajskiej,“ ks. Władysława Szczepańskiego T. J.;—dalszy ciąg studium „Prorocy i ideał mesyański

ski w Izraelu," ks. Leonarda Lipkego T. J. Dopełnia treści numeru przegląd piśmiennictwa, sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI w zeszycie czerwcowym zamieszcza na wstępie wspomnienie pośmiertne hr. Andrzeja Potockiego. Następuje referat o „rezerwach państwa w dziedzinie kopalnictwa węgla," przez Jerzego Michalskiego;—ocena dwóch nowych opracowań rzymskiego prawa prywatnego, przez prof. D-ra Łyskowskiego; — dalszy ciąg rozprawy o procesie kryminalnym Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zbrodni zdrady stanu prof. D-ra Stebelskiego; — oraz „o podstępie w procesie," D-ra M. Allerhanda. Dopełniają treści numeru: zapiski literackie;—w części praktycznej: praktyka cywilno-sądowa; — w dodatku: zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych.

— PRZEWODNIK OŚWIATY, organ Towarzystwa Szkoły ludowej, w numerze 5 za maj przynosi treść następującą: „Konieczna potrzeba organizacyi szkół ludowych przez T. S. L.," przez Wincentego Sikorę; — „O wypożyczaniu przezroczy prelegentom," przez D-ra M. Stępowskiego;—„Powiat Nowotarski pod względem ekonomicznym i oświatowym," przez Jana T. Dziedzica;—„Biblioteki szpitalne," przez M-ski; — Ś. p. Marya Dzierżanowska," przez D-ra M. Stępowskiego;—„Przechadzki z dziatwą szkolną po Krakowie," przez K. Stępowską;—Kronika;—Dział sprawozdawczy T. S. L.;—Przegląd krytyczny literatury.

— SPINKS. Warszawa. Czerwiec, 1908. Wł. B.: Tytan;—Aleksander Świętochowski: Duchy (VI Burza);—Józef Kotarbiński: Poemat dramatyczny („Duchy" Aleksandra Świętochowskiego);—Marya Konopnicka: Do Aleksandra Świętochowskiego;—Zofia Rygier Nałkowska: Równieśnice (powieść, c. d.);—Wilhelm Feldman: Dyalogi o formie i treści;—Henryk Heine: Pieśni współczesne (z nielōmaczonych poezyj przełożył z niemieckiego i zaopatrzył przedmową Władysław Nawrocki;—Odezwa sekcji imienia Chopina;—Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr (c. d.); — Jan Topass: Aubrey Beardsley (1871—1898);—Oceny i sprawozdania;—Dodatki artystyczne.

— SKARB ARCHITEKTURY W POLSCE, wydawnictwa D-ra Jana Zubrzyckiego, opuściły prasę w dalszym ciągu zeszyty XII, XIII i XIV i zawierają między innymi 4 tablice, przedstawiające fragmenty z *Collegium Jagellonicum* w Krakowie, dzwonnice przy kościele w Brzezinach koło Dębicy, kratę w stylu odrodzenia z kaplicy grobu P. Jezusa na górze Żarek w Kalwarii, zamek w Mirze koło Nieświeża, zaczęty z końcem XV w., ukończony przez Mikołaja Radziwiłła Sierotkę z początkiem XVII w., wnętrze sali gotyckiej jednosłupowej w klasztorze podominikańskim w Lublinie z r. 1342.

— STRAŻ POLSKA, miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcją p. Kazimierza Bartoszewicza, rozpoczyna numer czerwcowy „deklaracya, pióra M. Konopnickiej, wzywająca do solidarności w obronnej „wojnie narodowej przeciw pruskiemu bezprawiu." Redaktor pisma w dalszym ciągu zajmuje się przyczynkami do „kwestyi ruskiej." Sprawy emigracyjne zajmująco omawia korespondencya D-ra Leopolda Caro „Wrażenia z Tryestu." Doskonale prowadzona rubryka „z sekcji ekonomicznej" podaje systematycznie ze-

brane wiadomości z działalności sekcji i bojkotu towarów pruskich. Żywa i barwna kronika rozmaitości, oraz pełen dowcipu „kącik językowy“ pióra St. Tarnowskiego dopełniają treści wielce zajmującego i prawdziwie pożytecznego miesięcznika.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI, zeszyt za czerwiec opuścił prasę i zawiera na wstępie interesującą pracę Ks. K. J. Kantaka: „Słowacki i Słowiańszczyzna,“ dalej помещa dokończenie artykułu p. Stefana Gorskiego: „Organizacje niemieckie w Królestwie Polskiem;“—„W razie upadku Rosyi,“ przez K. J. K. Aktualnym jest artykuł D-ra Feliksa Konecznego: „Co robić wobec Rusinów?“ Następują rubryki stałe: wyczerpujący przegląd prasy wszystkich narodów słowiańskich, oraz kronika, помещająca, między innemi: List ks. Grzegorza Wołkońskiego do H. Sienkiewicza w sprawie pruskiej ustawy o wywłaszczeniu, oraz ostrzeżenie z powodu zjazdu słowiańskiego.

— SZTUKA STOSOWANA, zeszyt 10, r. 1908, wydany nakładem Towarzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej, ułożyli: Jan Bukowski, Józef Czajkowski i Jerzy Warchałowski. Jest to dalszy ciąg wychodzącego od r. 1902 wydawnictwa. Zawiera 14 plansz z reprodukcjami mebli, kilimów i okazów drukarskich, między innemi: Józefa Czajkowskiego, przedpokój w mieszkaniu prezydenta m. Krakowa;—Józefa Mehoffera, salę posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie;—Stanisława Wyspiańskiego, salon i pokój jadalny w mieszkaniu prywatnem w Krakowie;—dalej kilimy Kazimierza Brzozowskiego i Edwarda Trojanowskiego i prace drukarskie Jana Bukowskiego, Eugeniusza Dąbrowy i Stanisława Wyspiańskiego. Zeszyt odbito w drukarni W. L. Anczyca, klisze wykonane u T. Jabłońskiego w Krakowie, K. Zadrazila na Zwierzyńcu pod Krakowem i B. Wierzbickiego w Warszawie. Wykwintny ten zeszyt, znajdujący się w handlu księgarskim, przeznaczyło Towarzystwo na premjum dla swoich członków za rok 1907.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

ANTONI PROHASKA: Król Władysław Jagiełło. Kraków, 1908. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Tom I str. 407, tom II str. 402.

AKTA HISTORYCZNE do objaśnienia rzeczy polskich służące od roku 1508 do roku 1795. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, 1908. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Str. 360.

J. BAUDOUIN DE COURTENAY: W sprawie porozumienia się ludów słowiańskich. Odczyt publiczny urządony przez „Polskie stowarzyszenie przyjaciół pokoju,” a wygłoszony w Warszawie w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa 30 Kwietnia 1908 r. Str. 36.

POMNIKI DZIEJOWE WIEKÓW ŚREDNICH do objaśnienia rzeczy polskich służące Nakładem Akademii Umiejętności, 1908. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie. Str. 388.

FILOZOFIA.—PSYCHOLOGIA.—ESTETYKA.—ETYKA.—KRYTYKA.

BRZOWSKI STANISŁAW: Co jest filozofia i co o niej wiedzieć należy. Napisał ... Część I, do Kanta. Wydanie drugie. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 71. Nakładem M. Arcta. 16-o, str. 105.

— Część II, od Kanta. Wydanie drugie. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 78. Nakładem M. Arcta. 16-o, str. 79.

FOUILLÉE ALFRED: Szkic psychologiczny narodów europejskich. Tłómaczyła Władysława Zarembina. Warszawa, 1908. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. IV + 565.

HEJN HILARY: Byt i co z nim połączone. I. Wstęp. O rozumowaniu, jego granicach i od czego ono zależne. II. Dobro i zło i cel świata. III. Dusza. IV. Pierwiastki, potrzebne dla budowy świata. V. O Bogu. VI. Parę uwag o religii. Warszawa, 1908. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 85.

SCHOPENHAUER ARTUR: O wolności ludzkiej woli. Przełożył z oryginału oraz wstępem, objaśnieniami i słowniczkiem filozoficznym zaopatrzył Dr. Adam Stögbauer, pod redakcją Henryka Goldberga. Warszawa, 1908. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego. 8-o, str. 296.

POEZJA.—POWIEŚĆ.—DRAMAT.

ASNYK ADAM (EL...Y): Wybór poezyi. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. „Biblioteczka Uniwersytetów ludowych“ 96. 8-o, str. 49.

BELMONT LEO: Jedna scena z tragedji polskich (Polska nad przepaścią). Napisał ... Dodatek tygodnika „Wolne słowo.“ Warszawa, 1908. Skł. gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 47.

BLIŹIŃSKI JÓZEF: Opiekun w zalotach. Komedya w dwóch aktach. Lwów, 1908. Nakł. księg. H. Altenberga. „Biblioteka teatrów amatorskich“ № 40. 8-o, str. 20.

CHYLEWSKA-WÓJCICKA ZOFIA: Listy do Pana Boga. Spowiedź grzecznej dziewczynki. Lwów, 1908. Nakład. księg. Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Turkuł i A. Hiż). 8-o, str. 176.

CIRŚLICKI WINCENTY: Nadczłowiek i Tsatsa-Naga. Warszawa, 1908. Skł gł. w księg. S. Sadowskiego. 8-o, str. 87.

CZERNEDA MIECZYŚLAW (M. BIERZYŃSKI): Kancelista. Opowiadanie. Warszawa, 1908. „Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych“ Nr. 80. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 24.

DEJSKI M. A.: Miodowe miesiące. Komedya w dwóch aktach. Lwów, 1908. Nakład. księg. H. Altenberga. „Biblioteka teatrów amatorskich“ Nr. 18. 8-o, str. 28.

DOSTOJEWSKI TEODOR: Biesy. Tłómaczył T. K. Część V. Warszawa, 1908. „Bibl. Dz. Wybor.“ Nr. 539. 8-o, str. 160.

— Część VI. Warszawa, 1908. 8-o, str. 151.

DZETEO: Ludzie Smutni (W jesienne Zmierzchy). Studium do powieści. Lwów, 1908. Nakład. H. Altenberga. Warszawa E. Wende i S-ka. 8-o, str. 110.

GAWALEWICZ MARYAN: Wir. Powieść z niedawnych czasów. Warszawa, 1908. J. Fiszer. 8-o, str. 239.

MALEWSKI KAROL JACEK: Bez tytułu. Warszawa, 1908. E. Wende i S-ka. 8-o, str. 145.

SIENKIEWICZ H.: Zdobyć Kamieńca. Z powieści „Pan Wołodyjowski.“ Warszawa, 1908. „Biblioteczka Młodzieży Szkolnej“ Nr. 69. Nakład G. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 29.

SIEROSZĘWSKI WACŁAW: W ofierze bogom. Warszawa, 1908. „Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych“ Nr. 66. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 34.



NIEMCY W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Kiedy najazdy tatarskie pustoszyły Europę, a kraj nasz niszczyły ogniem i rabunkiem; kiedy miasta i wsie zniszczone, opustoszały; kiedy niwy leżały odłogiem, a miasta nie dostarczały rzemieślnika, któryby rolnikowi dał narzędzia do pracy na roli, a obrońcom kraju wykuł zbroję i oręż; królowie polscy otwierali na ścieżaj wrota ludności cudzoziemskiej, zachęcając ją licznymi przywilejami do osiadania u nas. Osiadali więc tu—naprzód najruchliwsi w wiekach średnich Holendrzy, „Olendrami“ zwani, których ślady po dziś dzień widzimy w nazwach licznych wsi w nizinach Wisły, oraz w języku, nazywającym wyrazem „*gbur*“ człowieka ciężkiego, nieokrziesanego, wyróżniającego się od ludności miejscowej prostactwem w stosunkach z ludźmi (holenderski „bur“), a w niektórych okolicach oznaczającym wieśniaka-gospodarza; osiadali tu licznie Czesi, Żydzi i Niemcy.

Osadnictwo to miało niemal wyłącznie ekonomiczne wyzyskanie kraju na względzie. Zaludniały się przybyszami zarówno wsie, jak i miasta, te ostatnie może najwybitniej, wogóle w punktach, gdzie warunki miejscowe największe otwierały tym przybyszom widoki, lub gdzie dostęp do osiedlenia się najbardziej znajdowali ułatwiony. Z wyjątkiem Żydów, zlewali się oni zwolna z ludnością miejscową, przejmowali jej obyczaje i zamiłowanie do nowej swej ojczyzny; łącząc się zaś z nią związkami krwi, wnosili do wielu rodzin polskich zalety i wady, właściwe ich rasie, wyróżniające następnie te rodziny wśród szarego tłumu, co niejednokrotnie pozwalało im dobijać się znaczenia i wpływów. Pomimo chwilowych zakusów separatystycznych, obce żywioły były przez długie czasy pożądanym dla krajów polskich nabytkiem, wzmacniały jego siły ekonomiczne, bogaciły kraj w ludność, w zasoby, w siły produkcyjne i intelektualne.

I dziś jeszcze w krajach, gdzie ludność jest nieliczna, gdzie brak rąk do pracy, a naturalne bogactwa kraju oczekują ręki człowieka, któraby je wydobyła i spożytkowała, tam osadnictwo obcych przybyszów może być pożądanem i płodnem w skutkach.

Inaczej przecież rzecz się ma w kraju, już przeludnionym. Nie może być pożądanym napływ obcych tam, gdzie ludność miejscowa sama niema już dostatecznego pola do pracy dla siebie; tam, gdzie ludność rdzenna sama skazana jest na wychodźstwo, czy to stałe, czy czasowe tylko—za zarobkiem. Tam wszelka imigracya żywiółów obcych nie tylko nie jest pożądaną, ale, przeciwnie, interes ludności miejscowej wymaga, ażeby tej imigracyi stawiać zapory, wprost dlatego, ażeby nie odbierać ludności owej zarobków, nie zmuszać jej samej do szukania zarobków poza krajem ojczystym, do szukania gdzieś daleko kawałka chleba, jakiego nie znalazła u siebie, w domu własnym.

Omawiając współczesne osadnictwo niemieckie u nas, to przedewszystkiem musimy mieć na względzie.

Rozejrzyjmy się więc wśród warunków zaludnienia naszego kraju.

Królestwo Polskie obejmuje przestrzeni około 2,300 mil kwadratowych; na ogół ludności około 11,600,000 głów, posiada blisko 600,000 osadników niemieckich. Odliczając tych ostatnich, na ludność rdzenną (wliczając w nią przecież od wieków osiadłych wśród nas Żydów) przypada około 11,000,000 głów, czyli około 4,300 głów na milę kwadratową, a wraz z osadnikami niemieckimi około 5,040 głów na taką milę. W porównaniu z innemi krajami Europy środkowej, jesteśmy jednym z najgęściej zaludnionych jej krajów, dorównywając niemal Niemcom. Ale gdy Niemcy posiadają w obrębie swoim bogato rozwinięty przemysł, a poszczególne części państwa niemieckiego, zasobne w bogactwa mineralne, rozwinęły górnictwo (Saksonia, Szląsk), podobnie jak sąsiednie Czechy, to wiele krajów rolniczych Europy, pomimo ich potężnego uprzemysłowienia, ma ludność o wiele mniej zgęszczoną. Tak np. kiedy w Królestwie Polskiem przypada już 90 z górą głów na kilometr kwadratowy, Francya ma ich tylko 75, Prusy 88, Bawaryja 78, Austro-Węgry 74. Wychodząca od nas ludność *na stałe*, w górnictwie przeważnie znajduje tam (również stałe) zajęcie; robotnicy zaś rolni jedynie podczas robót polnych mają te zarobki i to nie dla braku miejscowej ludności, lecz głównie dlatego, że tamta przekłada pracę w przemyśle i tych dziedzinach zarobkowych, które są lepiej wynagradzane, niż praca w rolnictwie. Potrzeby zaś naszego rolnictwa, jak to zobaczymy niżej, nie są

w stanie zużytkować tych rąk nawet, jakie posiadamy na miejscu, co sprawia, że ludność rolnicza kraju naszego szukać musi zarobków poza jego granicami.

Czy wobec tych warunków możemy obojętnie patrzeć na immigrację rolniczą w naszym kraju? Czy raczej nie powinniśmy przeciwdziałać jej wszelkimi środkami?

A przecież, pomimo tego wszystkiego, pomimo gęstej ludności rdzennej, pomimo braku pola do pracy dla niej samej, osadnictwo niemieckie w naszym kraju, wzrastając nieustannie, coraz wyraźniej przybiera rolniczy charakter. Zestawivszy dane, zebrane przez Komitet Statystyczny Warszawski na 1 stycznia 1907 roku, przekonywamy się, że, z wyjątkiem gubernii Piotrkowskiej, osadnicy niemieccy we wszystkich pozostałych guberniach Królestwa Polskiego stanowią przeważnie element wiejski; a jakkolwiek wykazy urzędowe, na jakie się powołujemy, segregują ludność nie według narodowości, lecz według wyznań; to jednak ze względu, że około 95% Niemców należy do wyznań protestanckich, liczby protestantów odpowiadają niemal liczbie Niemców; że zaś ludność polska wyznań protestanckich koncentruje się przeważnie w miastach¹⁾, stosunek ten, jaki tu podajemy, nie wykaże jeszcze w zupełności przewagi osadnictwa wiejskiego nad miejskim. Pomimo to, w braku innych, ściślejszych danych, posługiwać się nim musimy.

Według tedy danych, na jakie się powołujemy, ludność protestancka (ewangelicy, reformowani i baptyści) Królestwa Polskiego zamieszkiwała:

	W miastach i miasteczkach	Po wsiach	Razem
W gubernii Warszawskiej	30,462	94,724	125,186 głów;
„ Kaliskiej	18,548	83,357	101,895 „
„ Kieleckiej	578	2,322	2,900 „
„ Lubelskiej	1,829	38,562	40,391 „
„ Łomżyńskiej	1,418	5,256	6,674 „
„ Piotrkowskiej	122,277	96,046	218,323 „
„ Płockiej	3,251	45,071	48,322 „
„ Radomskiej	881	11,105	11,986 „
„ Siedleckiej	540	16,073	16,613 „
„ Suwalskiej	6,736	80,869	87,605 „
Razem w Król. Polskiem	186,510	423,385	609,895 głów.

¹⁾ Ludność protestancka w miastach, należy w 1/2 do narodowości polskiej, pomimo niemieckiego brzmienia nazwisk. Po wsiach, z wyjątkiem kilku tysięcy Czechów i Litwinów, protestanci-Polacy stanowią bardzo nieliczną garstkę.

Stosunek ten wszakże (osiadłości miejskiej do wiejskiej) w poszczególnych guberniach, uwydatni wyraźniej wykazanie go w odsetkach, mianowicie:

	W miastach i w miasteczkach	Po wsiach		
W gub. Warszawskiej	24,3%	75,6%	ludności	protestanckiej
" Kaliskiej	18,2%	81,8%	"	"
" Kieleckiej	20,0%	80,0%	"	"
" Lubelskiej	4,5%	95,5%	"	"
" Łomżyńskiej	21,2%	78,8%	"	"
" Piotrkowskiej	56,0%	44,0%	"	"
" Płockiej	6,7%	93,3%	"	"
" Radomskiej	7,3%	92,6%	"	"
" Siedleckiej	3,4%	96,6%	"	"
" Suwalskiej	17,9%	82,1%	"	"
Wogóle	30,5%	69,5%	ludności	protestanckiej,

czyli, że z wyjątkiem gub. Piotrkowskiej, stosunek ludności protestanckiej wiejskiej w poszczególnych guberniach jest wyższym, niż przeciętny także stosunek wśród ogółu ludności krajowej, który wynosi 77—78%.

Widzimy tu jeszcze, że w guberniach najdawniejszej kolonizacji niemieckiej, mianowicie w guberniach: Kaliskiej, Piotrkowskiej, Suwalskiej i Warszawskiej, przewaga ludności wiejskiej nie jest tak wielką, jak w miejscowościach, gdzie osadnictwo niemieckie jest dziełem ostatnich dopiero dziesięcioleci, mianowicie w guberniach: Lubelskiej, Radomskiej i Siedleckiej, w których Niemcy osiadają niemal wyłącznie po wsiach, lub zakładają wsie nowe i nowe folwarki, co jest zjawiskiem znamienne.

Zestawiając liczbę ludności rolniczej krajów niemieckich, z rozległością przestrzeni rolnej tamże, widzimy, że w Niemczech przypada około 2 hektarów na głowę ludności rolniczej. Takież samo zestawienie liczb w kraju naszym dowodzi, że na głowę ludności rolniczej przypada u nas niespełna 1 hektar przestrzeni rolnej. Te już jedynie cyfry przemawiają za tem, że nie głód ziemi pcha Niemców do krajów polskich, gdzie ludność miejscowa więcej jeszcze brak ziemi odczuwa. I może byłby ruch ten zagadką ekonomiczną, gdybyśmy nie znaleźli na nią wyjaśnienia w uwagach, zamieszczonych w czasopiśmie niemieckiem (dwumiesięczniku wydawanym w Gotha) p. t. „Deutsche Erde“¹⁾. Wska-

¹⁾ „Wo die Deutschen als Bauern in geschlossenen Dörfern, oder doch auf einem Komplex von Höfen nahe beieinander wohnen, da bewahren sie ihr

ziano tam na fakt, że Niemcy, osiadający w miastach, wśród polskiej ludności, szybko się polonizują; przeciwnie, osiadający we wsiach oddzielnych, lub w kompleksach sąsiadujących ze sobą dworców wiejskich, zachowują narodowość swoją najczystiej i najwierniej. Więc chociaż dziedzina przemysłu stoi u nas otworem dla przybyszów, chociaż placówki w tej dziedzinie nie są jeszcze zajęte, osadnictwo niemieckie pomija je często w obawie wynarodowienia.

A może rolnik niemiecki przewyższa miejscowego pracownością, umiejętnością pracy na roli? I to nie. Przejeżdżając przez kolonie niemieckie, nie widzimy wybitnej różnicy na ich polach, w porównaniu z polami ich sąsiadów, miejscowych, rdzennych mieszkańców kraju; niekiedy nawet widzieć się daje, że niedbalej pielęgnują zasiewy, niż sąsiadujący z nimi chłopci polscy.¹⁾ Postępowe gospodarstwa, ulepszone narzędzia, nie wyróżniają tu również dodatnio dziedzin niemieckich²⁾. Konkurencja ekonomiczna z żywiołem miejscowym byłaby w tych warunkach niemożliwą, bez poważnego poparcia tego ruchu osiedleńczego, poparcia zarówno ideowego, jak i finansowego. To naprowadza na wniosek, że kolonizacja ta ma kierownictwo, że odbywa się z pewnym, z góry powziętym już planem.

Celowość i planowość kolonizacji niemieckiej potwierdza i geograficzne jej usadowienie, jak to poniżej zobaczymy.

Ogólna liczba Niemców w Królestwie Polskim stanowi około 5,3% ludności ogólnej kraju naszego. Podobny stosunek zachodzi i co do ludności rolniczej (5,2%). Gdyby ci osadnicy byli rozrzućeni po całym kraju mniej więcej równomiernie, musieliby uleżeć z biegiem czasu powolnej asymilacji, podobnie jak ich poprzednicy, czy to holenderskie bury, czy niemieccy mieszczanie krakowscy. Ale czujne oko czyjeś ma i na to baczenie. Osadnictwo postępuje wprawdzie naprzód, ale celowo i ostrożnie zarazem. Idą naprzód szeregi wywiadowcze, wysunięte nieco dalej od większych grup niemieckich; ale pozostają w ścisłym z tamtymi związku.

Deutschthum am reinsten und treuesten“ („Deutsche Erde.“ 1907. Drittes Heft: „Die Deutschen in Russisch-Polen,“ S. 83).

¹⁾ Tak np. przejeżdżając w r. b. obok kolonij niemieckich w okolicy Lublina, widziałem pola buraków zarośnięte chwastem i nieopielone, wówczas, kiedy w gospodarstwach polskich, zarówno dworskich, jak i włościańskich, były już nie tylko opielone, ale i przeorane.

²⁾ W powiecie chełmskim, w pewnej okolicy, sprowadzano gryfy, naprzód do gospodarstw dworskich, później sprowadzali je miejscowi włościanie, ostatni sprowadzili je koloniści niemieccy.

Jak w pochodzie armii, widzimy tu rozrzucone placówki w różnych okolicach kraju; to jakby rekonesans. Przybywają Niemcy, zakupuja jakiś folwark lub część folwarku, zabudowują się; nieraz po kilku latach wyprzedają swe kolonie chłopom miejscowym, i przenoszą się na inne miejsca. Jak niespodzianie przyszli, tak i niespodziewanie zniknęli. Dlaczego? Zbadawszy dobrze miejscowość w ciągu lat kilku, poznawszy każdy wzgórek, każdy wawóz, każdy bród, lub przeszkodę gruntową, przekonali się, że punkt dany nie jest im potrzebnym, i szkoda sił na jego stróżowanie. Studya swoje uwiecznili na papierze i złożyli, gdzie potrzeba; idą więc dalej studyować dalsze miejscowości. *Te punkta zaś, które zasługują na większą bacność z ich strony, obsadzają na stałe już i coraz gęściej je obsiadają.*

Postępując tak krok za krokiem, zdążyli już dotąd obsadzić silnemi posterunkami oba brzegi Wisły, poczynając od Nieszawy, aż pod Kazimierz Dolny. Z 27 gmin, leżących na tej przestrzeni na lewym brzegu rzeki, *niema ani jednej*, któraby nie miała Niemców. Idąc kolejno brzegiem Wisły, od granicy pruskiej w górę jej biegu, mamy w gminach: Raciażku 982 Niemców, Lubani 1,791, Łęgu 1,313, Dobiegniewie 2,115, Duninowie 1,936, Łącku 692, Dobrzykowie 1,575, Czermnie 1,937, Słubicach 850, Iłowie 3,874, Tułowicach 2,780, Głusku (wprost fortecy Modlina) 559, Częstkwie (obok tamtej) 499, Młocinach 416, w samej Warszawie około 10,000; powyżej Warszawy: w Mokotowie (w obrębie fortiecznym) 1,287, Wilanowie 715, Jeziornej 229, Kątach 843, Górze Kalwaryi 1,016, Konarach 340, Rozniszewie 321, Trzebini 311, Świerżach 742, Brzeźnicy 285, Sarnowie (pod fortecą Dęblinem) 169, Górze Puławskiej 1,577 i Oblasach (wprost Kazimierza Dolnego) 148 Niemców. Na prawym brzegu Wisły, poczynając od granicy, osiedli w gminach: Obrowie 1,541 Niemców, Osówce 2,119, Bobrownikach 2,061, Szepiału 1,734, Olesznie 600, Chalinie 1,198, Brudzeniu 48, Brwilnie (pod Płockiem) 2,689, w samym Płocku kilka setek; dalej, powyżej Płocka: w Ramuławie 726, Rębowie 1,047, Pomiechowie (pod fortecą Modlinem) 631, w Górze (w rozwidleniu Wisły i Narwi) 1,198, w sąsiedniej Jabłonninie 2,685; w rejonie fortiecznym warszawskim na prawym brzegu Wisły, w gminach: Brudnie 3,953, Wawrze 950, dalej w Zagoździu 140, Sobieniach 394, Wildze 1,196 i Pawłowicach (pod fortecą Dęblinem) 302.

Jest to spis gmin nadbrzeżnych jedynie. Na ich tyłach, w głębi kraju, obsadzone są niemiecką ludnością nie mniej gęsto gminy sąsiednie. W powiecie lipnowskim (gub. Płockiej) Niemcy tworzą już 20,1^o ludności ogólnej powiatu, gdzie w gminach:

Kłokocku, Bobrownikach i Osówce, stanowią blisko połowę ludności tych gmin; w powiecie rypińskim (gub. Płockiej), stanowią jeszcze 12,9% ludności powiatu. Wogóle jednak prawy brzeg Wisły, z wyjątkiem dwóch nadgranicznych powiatów gub. Płockiej, mniej jest tą kolonizacją nawiedzony. Natomiast na lewym brzegu Wisły widzimy całe kompleksa gmin w powiatach: nieszawskim, włocławskim, gostyńskim i sochaczewskim gub. Warszawskiej; konińskim, słupeckim, kolskim i kaliskim gub. Kaliskiej; oraz łaskim, łódzkim, brzezińskim i piotrkowskim gub. Piotrkowskiej, gdzie ludność niemiecka dochodzi połowy ludności ogólnej tych gmin, a niekiedy przenosi nawet tę połowę; tak gminy: Nowosolna (powiat łódzki) ma 67,4% Niemców, Zielew (pow. łaski) 66%, Bełdów (pow. łódzki) 52,4%, Rąbień (pow. tenże) 51,5%, Grodziec (pow. słupecki) 49,8%, Kościelín (pow. kaliski) 40,4% Niemców; co sprawia, że w powiatach tych ludność niemiecka dochodzi 13—16% ludności ogólnej powiatów, a w powiecie łódzkim nawet do 26,6% całej jego ludności.

Powiaty nadbrzeżne, leżące nad Wisłą, oraz sąsiadujące z niemi, tworzą jakby kość pacierzową osadnictwa niemieckiego w Królestwie i środkową kolumnę, której wierzchołek, przekroczywszy rzekę Wieprz, dosięga Bugu. Siły liczebne tej kolumny dochodzą 220—230 tysięcy głów. Liczniejsze i silniejsze jeszcze jest prawe jej skrzydło, posuwające się od granicy pruskiej przez północne powiaty gubernii Kaliskiej i Piotrkowskiej ku Pilicy, a przez gubernię Radomską dochodzące Wisły. Kolumnę tę obliczać można na 320—330 tysięcy głów. Lewe wreszcie skrzydło tej armii osiedleńczej niemieckiej usadowiło się w północnej części gubernii Suwalskiej, w sile około 32 tysięcy głów, tworząc łącznik pomiędzy Prusami i osadnictwem niemieckiem gubernij litewskich, liczącem około 200,000 ludności. Usadowiło się ono, jakby w obozie oszańcowanym, opartym od zachodu o granicę pruską, osłoniętym od północy i wschodu korytem Niemna, a od południa szeregiem jezior, ciągnących się od Olity, przez powiaty suwalski i augustowski ku granicy pruskiej. I kiedy to lewe skrzydło, ten broniony naturalnemi szanćami obóz osiedleńczy, zdaje się stać na straży kolonizacyi niemieckiej na Litwie, kolumny: prawa i środkowa, przecinając ziemie Królestwa Polskiego na dwie połowy, jakby zdają się usiłować odosobnić te połowy; stanowią one razem łącznik między państwem niemieckiem, a osadnictwem niemieckiem na Wołyniu, przenoszącem obecnie już $\frac{1}{4}$ miliona.

Czy to przypadkowy zbieg punktów osiedleńczych, czy planowa kolonizacja ziem naszych?

Oznaczywszy grupy osiedleńcze niemieckie na mapie Królestwa Polskiego bardziej szczegółowo, gminami, dostrzedz nie trudno systematyczności tej kolonizacji. Oto, od głównych kolumn rozchodzą się naprzód, jakby gałęzie poboczne; pomiędzy wierzchołkami tych rozgałęzień, powstają nowe placówki; placówki te się zagęszczają, następnie łączą się w nieprzerwany łańcuch, opasujący jakąś część krainy, powiat lub kilka powiatów razem, a jeszcze później wypełnia się i wewnątrz zakreślonego w ten sposób koła. Tym sposobem wypełniły się całe kompleksy powiatów, bliżej granicy pruskiej położonych. Rozgałęzienia pni głównych spotykamy w powiecie nowo-radomskim; dalej inne, skierowane ku Narwi i Bugowi. Obraz zaś stopniowego opasywania upatrzonych dzielnic, przedstawia szereg gmin na północnem pograniczu powiatu wieluńskiego, w południowej części powiatu piotrkowskiego i na wschodniem pograniczu powiatów: płońskiego i sierpeckiego.

Nie koniec na tem. Dbano tu jeszcze, ażeby osadnicy niemieccy w Królestwie Polskiem zachowywali między sobą czucie i ułatwioną pomiędzy sobą mieli zawsze komunikację. Pomiedzy oddalonymi nieco więcej od siebie grupami osadnictwa, umieszczono placówki, na odległość mniej więcej stacyj pocztowych (2—4 mil) rozrzucone niby, ale rzeczywiście tworzące pewien szereg, wiążący odleglejsze posterunki. Taki łańcuch komunikacyjny daje się widzieć na mapie pomiędzy osadnictwem nadwiślańskiem a gubernią Suwalską przez gminy: Górę, leżącą w rozwidleniu Wisły i Narwi (1,198 Niemców), Radzymin (1,169), Zabrodź (191) lub przez Pomiechowo (pod Modlinem, 631 Niemców), Zegrze (131), ku gminie Długosiodło (1,328 Niemców), stąd już przez Kupiszki (146), sąsiednie z nią Drozdowo (139), Jedwabno (136), oraz Bogusze (166 Niemców), dochodzi do Augustowa i okalającej to miasto gminy Szczerbo-Olszanki (316 Niemców), leżących już w obrębie nadniemeńskiej grupy osadnictwa niemieckiego. Wysuniętą znów naprzód grupę radzyńsko-chełmską osadnictwa tego, łączy z tamtą linią komunikacyjną szereg kolonij przez gminy: Szumowo (422 Niemców), Jasienicę (2,097), Sadowne (2,092), Starą Wieś (429), Grochów (686), Żeliszew (995), Gołębki (875), Lisią Wólkę (423) i Milanów (177 Niemców). Też samą grupę łączy linia komunikacyjna z prawem skrzydłem armii osiedleńczej (poczynając od Tomaszowa Rawskiego) przez gminy: Unewel (496 Niemców), Kupiczki (629), Stuzno (103), Oronsk (95), Wierzchowiska (258), Sienno (239) i Ciszycę (112) do Wisły, skąd przez gminy prawego jej brzegu: Bełżyce i Niedrwicę (1,061 Niemców), Piotrowice (467),

Bychawę (142) lub: Zemborzyce (286) i Mełgiew (53) stykają się z grupą Chełmską. Druga taka linia komunikacyjna, jakby zapasowa, przechodzi przez gminy: Rzeczyce (438 Niemców) i Potworów nad Pilicą (118), Wolanów, Kowalę i Gębarzew (razem 1,297 Niemców), Tczew (142), Oblassy (148) lub Górę Puławską (1,577) do Wisły, skąd przez Końskowolę (202 Niemców), Wielkie (171) i Samokłęski (580) prowadzi do grupy, osiadłej nad Wieprzem w powiecie lubartowskim. Wreszcie przez gminy: Białopole (707 Niemców), Turkę (5,731), Swierże (439) i Międzyłes (315) postęruki niemieckie Królestwa Polskiego podają rękę koloniom niemieckim na Wołyniu, przez gminy zaś: Poświętne i Jedwabno (w gub. Łomżyńskiej), oraz nadniemeńskie, koloniom gubernij litewskich.¹⁾

Z tego pobieżnego przeglądu przekonać się można, jak osadnictwo niemieckie stara się o zachowanie łączności, jak umiejętnie zakłada swoje posterunki, ażeby tę łączność sobie zapewnić, obywając się (w razie potrzeby) bez pomocy poczt i telegrafów rządowych, w przewidywaniu, że zająć mogą okoliczności, przy których komunikacja za ich pośrednictwem byłaby niedogodną, a w pewnych wypadkach może i ryzykowną. Na wszelki wypadek przezorność nakazuje zapewnić sobie własne drogi komunikacyjne, co też umiejętnie i zreźnie osiągnięto.

Ale nadto taka systematyczna kolonizacja zabezpiecza element niemiecki od wynarodowienia. Zwiedzając wsie niemieckie w kraju naszym, przekonać się można o słuszności twierdzenia, wypowiedzianego w przytoczonym wyżej czasopiśmie niemieckim „Deutsche Erde,” że chłop niemiecki w tych warunkach, jakie tu istnieją obecnie, zachowuje narodowość niemiecką „najczyściej i najwierniej.” Dzieci kolonistów niemieckich do lat 7—10, nie znają innego języka, prócz niemieckiego. Rozrzucone gęsto własne ich szkoły, t. zw. *kantoraty*, z wykładowym językiem niemiec-

¹⁾ Osadnictwo niemieckie w guberniach zachodnich Cesarstwa obliczano w r. 1897 (spis jednodniowy) na 330,000 głów, wobec 418,978 Niemców w Królestwie Polskiem. Z gubernij owych nie mamy spisów nowszych; ale, jeżeli wzrastało ono w ciągu ostatniego dziesięciolecia w tym samym stosunku, co w Królestwie Polskiem, to winno liczyć obecnie około 500,000 głów. W ten sposób osiadłość niemiecka na zachodniej granicy państwa Rosyjskiego, dochodzi już 1,100,000 głów, stanowiąc nietylko poważne forpoczty zdobywcze, zarówno w dziedzinie ekonomicznej, jak i politycznej, ale nadto, jako cenne kadry przewodników lub pomocników armii niemieckiej, w razie wojny na tej granicy.

kim, pielęgnują nie tylko język ich ojczysty, ale i uczucia, dążności i ideały niemieckie. Starszych utrzymuje w łączności z ojczyzną niemiecką — literatura i pisma peryodyczne, których każda wieś niemal, po kilka otrzymuje. Analfabetów prawie niema między nimi, i nic dziwnego, jeżeli wiemy, że gdy dla rdzennych mieszkańców kraju istnieje 1 szkoła na 5 — 6 tysięcy mieszkańców,¹⁾ kantoraty niemieckie obliczać można 1 na 900 ludności, niekiedy nawet niespełna 600 ludności niemieckiej.²⁾

Starsze pokolenie, mężczyźni zwłaszcza, stykając się częściej z ludnością miejscową, mówią niezłe po polsku (z wyjątkiem nowszego kontyngensu kolonistów); około 24% czyta nawet po polsku, a około 12% nie tylko czyta, ale i pisze w tym języku — w tych gminach przynajmniej, które bliżej poznałem. Z drugiej jednak strony zaznaczyć należy, że w tych gminach, gdzie Niemcy stanowią element dominujący, dzieci polskie muszą się uczyć w szkołach niemieckich, albowiem na inne większość niemiecka odmawia środków,³⁾ przez co przygotowuje się grunt do wynaradawiania ludności miejscowej, jeżeli nie zaraz, to przynajmniej w przyszłości. Nazwiska wielu kolonistów niemieckich w naszym kraju, gorliwych dotąd Niemców, pomimo osiedlenia się tu u nas od kilku pokoleń, jak Cepik (z pisownią Zepik), Kijok, Macanka, Szywek (Siwek) są tego dowodem. Są to widocznie potomkowie zniemczonych niegdyś Ślązaków czy Kaszubów, którzy obecnie czują się najrzetelniejszymi Niemcami i niedopuszczają nawet myśli, aby mogło być kiedykolwiek inaczej. Ziemie polskie, przektane gęsto Niemcami, wydają nie tylko „von Podbielskich“ i „von Posadowskich“, ale i szary tłum, który nie tylko wyrzeka się swej polskości, ale jeszcze wśród dawnych swych współrodaków szerzy niemczyznę. *I to jest może największem niebezpieczeństwem dla ziem naszych, które Niemcy-koloniści na siedlisko dla siebie obrali.* Zwiedzając kolonie niemieckie, miałem możność przekonania się, jak głęboko tkwi w osadnikach tutejszych poczucie niemieckości, jak gorliwie pielęgnują odrębność swoją narodową, jak unikają ściślejszych węzłów z ludnością miejscową, z którą się bynajmniej

¹⁾ Jak np. w powiecie puławskim (nowo-aleksandryjskim) gub. lubelskiej 1 szkoła na 6,588 mieszkańców, w pow. lubelskim na 6,988 mieszkańców.

²⁾ Jak np. w gminie Góra Puławska, w powiecie kozienickim, gub. Radomskiej, gdzie na 1,697 Niemców, jest 3 kantoraty.

³⁾ Taki wypadek zdarzył się przed kilkoma laty w pow. sochaczewskim, gub. warszawskiej.

nie łączą. Opowiadali mi ci koloniści, że przodkowie ich — pradiadowie, lub może jeszcze ojcowie pradiadów, przybyli do Polski—co nastąpiło mniej więcej przed stu laty—zatracili już pamięć, z jakich krain niemieckich wywędrowali; kilka ich pokoleń tu się urodziło i tu wychowało, a przecież zachowało wiernie narodowość niemiecką. Różne od otoczenia wyznanie religijne, odrębne szkoły wyznaniowe (kantoraty) z wykładowym językiem niemieckim, pisma niemieckie, broszury—cała wreszcie bogata literatura niemiecka i doznawana zawsze w potrzebie opieka zagraniczna, odrębność tę podtrzymują i umacniają. W warunkach też tych, jakie się wytworzyły, o zmianie obecnych stosunków marzyć nawet niepodobna.

Mamy więc wśród siebie żywioł obcy, który w organizm narodowy nie wsiąka i tkwi w nim, jako ciało obce, o tyle niebezpieczniejsze, że zasilane z zewnątrz, urasta nietylko siłą naturalnego przyrostu, ale i ciągłym, potęgującym się napływem z zewnątrz; mając zaś poparcie silnego a *zaprzyjawnionego* sąsiedniego państwa, wzrasta w siły i przywileje, jakich żywioł miejscowy jest pozbawiony—co wszystko razem wzięte, rozwój jego jeszcze bardziej potęguje. Część niewielka tylko inteligencji niemieckiej, przeważnie w miastach większych skoncentrowana, pozostając w koniecznej styczności z ludnością miejscową, łącząc się z nią nierzadko związkami krwi, stanowi tu wyjątek. Ta kategoria osadników niemieckich, a raczej jej potomstwo, daje nam niemało zasłużonych ludzi na wszelkich polach działalności obywatelskiej, a wielu z nich zajęło bardzo wybitne w rocznikach zasług obywatelskich miejsca i uwieczniło imiona swe we wdzięcznej pamięci społeczeństwa polskiego.

Pomimo separatyzmu, cechującego tutaj kolonistów niemieckich, sąsiedzi ich utrzymują, że są oni pracowici, spokojni, do zatargów sąsiedzkich bynajmniej niepochoptni; sprawy karne bywają między nimi niesłychanie rzadko, a z ludnością miejscową utrzymują stosunki zgodne, chociaż odnoszą się do niej z pewną nieufnością i złośliwym niekiedy krytycyzmem.

Naogół są zamożniejsi od okolicznych włościan. Wpływa na to w części to, że posiadają większe zasoby pieniężne, a o ile ich nie posiadają, korzystają z tańszych, niż nasze, pożyczek w instytucjach niemieckich (podobno na 2%), oraz, że przeciętne ich gospodarstwa są większe, niż zwykłe nasze włościańskie; jakkolwiek bowiem granice poszczególnych gospodarstw niemieckich są bardzo niejednostajne i wahają się od 6—120 mórg, najpospolitszym przecież typem są gospodarstwa 1-o włókowe, t. j. 2 do 3

razy większe od zwykłego gospodarstwa włościan miejscowych. Zabudowania gospodarcze nietyle wyróżniają osady niemieckie od miejscowych, ile domy mieszkalne, o 2—4 izbach, z podłogą wszędzie, okiennicami, piwnicą i t. p. Utrzymują też nieco więcej inwentarza i lepszego, niż włościanin tutejszy. W gminach, w których prowadziłem badanie tego stosunku, okazało się, że gdy przeciętna rozległość jednostki gospodarczej włościanina polskiego wynosi 6—7 morgów (300 prętowych), takąż przeciętna dla gospodarstw niemieckich wynosi 15—18 morgów; szacunek budowli na osadzie włościanina miejscowego 300 rubli, kolonisty zaś niemieckiego 400 rubli; przeciętna ilość sztuk inwentarza u pierwszych 7 sztuk, u drugich 9 sztuk.

Wyższe dochody, jakie niekiedy osiągają Niemcy z gospodarstw swoich, zawdzięczają w części tylko niższemu oprocentowaniu obciążeń; w części zaś temu, że wyprzedzili włościan naszych w umiejętnem spieniężaniu produktów gospodarstwa, głównie zaś nabiału. W niektórych gminach Niemcy posiadają spółkowe mleczarnie, czasem po kilka w jednej gminie, będąc w wielu okolicach podmiejskich jedynymi niemal dostawcami nabiału dla miast swego okręgu.

Ciekawem jest pytanie, ile też ziemi kraju naszego znajduje się obecnie w rękę niemieckiem? Ponieważ prawo nabywania ziemi przysługuje u nas wyłącznie poddanym rosyjskim, a stąd Niemcy koloniści, zanim nabędą ziemię, muszą wyjednać sobie to poddaństwo, rubryki zaś odnośne nie zaznaczają ani wyznania, ani narodowości właścicieli, przeto nie posiadamy dotąd pewniejszych danych co do stanu posiadania Niemców tutejszych. Sposobem próby dokonaliśmy obliczeń żądanych w bliżej znanych nam gminach, z których to obliczeń okazało się, że na głowę kolonisty niemieckiego przypada przeciętnie 1,7 morga polskiego — że na tej podstawie zatem dla ludności niemieckiej wiejskiej Królestwa, obliczonej na 423,385 głów, przyjąłoby należało 719,754 morgów, czyli niemal $\frac{1}{13}$ użytków rolnych (z wyłączeniem lasów) Królestwa Polskiego.¹⁾

W miarę rozrostu kolonizacji niemieckiej możliwym jest jednoczesny rozrost obszarów ich posiadłości, wzrost stanu posia-

¹⁾ Użytki rolne w Królestwie Polskiem wynoszą, z wyłączeniem lasów, około 16,707,602 morgów, stanowiąc około 75% przestrzeni ogólnej Królestwa, obliczonej na 22,259,502 morgi. W gospodarstwach kolonistów lasy stanowią tak małe przestrzenie, że je, bez obawy znaczniejszego błędu, pominąć można w obliczaniu.

dania niemieckiego w naszym kraju. Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, ze względu na ludność rolniczą krajową, której uszczuplenie posiadłości na korzyść niemiecką grozi coraz większem niebezpieczeństwem bądź utraty możności nabycia kiedyś ziemi, bądź utraty zarobku zaraz, należałoby rozrostowi kolonizacji niemieckiej postawić zaporę. Jak na dziś, jedyną, jaką temu najazdowi ekonomicznemu przeciwstawić możemy, jest opinia publiczna. Współdziałania władz krajowych trudno oczekiwać...

Jak jedyną tarczą przeciw zalewowi niemieckiemu jest opinia publiczna, tak jedynym orężem do jej zwalczenia jest *kolonizacja wewnętrzna*. Bardziej ożywiona działalność Banku włościańskiego, a gdzie przeszkody prawne działalność jego tamują, Towarzystwa parcelacyjne, winny dalszemu przechodzeniu ziemi naszej w ręce niemieckie, kres położyć. O ileby zaś władze miejscowe pozostawać miały pod wpływem insynuacji niemieckich, najlepsze nawet zamierzenia rządu nie odniosłyby skutku, czego dowodem chociażby instrukcja generał-gubernatora warszawskiego Czertkowa z r. 1894, przeinaczająca i krępująca wolę prawodawcy, wyrażoną w ustawie Banku włościańskiego — instrukcja, dzięki której kolonizacja niemiecka zrobiła takie postępy w latach ostatnich w Chełmszczyźnie, gdzie są gminy, w których na 33 wsi — już 19 jest zupełnie niemieckich (Cyców).

Wprawdzie widzimy obecnie jakby cofanie się tego ruchu kolonizacyjnego; nierzadko koloniści niemieccy wyprzedają kolonie swoje i kraj nasz opuszczają. Zjawisko to przecież jest chwilowem. Usiłowania, skierowane przez rząd niemiecki do osadnictwa żywiołem niemieckim W. Ks. Poznańskiego, a przez szlachtę kurlandzką do powiększenia ludności niemieckiej w guberniach nadbałtyckich, obietnice korzyści, jakie nowych osadników tam czekać mają; wszystko to poruszyło w tej chwili jednostki ruchliwsze i żądniejsze poprawy bytu. Gdy jednakże tamten ruch uspokoi się nieco, nowe fale ekonomicznego na kraj nasz najazdu uderzą nową siłą. To trzeba mieć w pamięci. Takie pisma, jak *Hausfreund* (w Rydze), *Ewangelische Sonntagsblatt* (Petersburg), *Unsere Kirche* (Łódź), *Der Weg* i t. p., czytane przez kolonistów niemieckich, dadzą w swoim czasie odpowiednią ku temu zapewne wskazówkę, zgodną z interesami ludności niemieckiej, bez względu, czy to wyjdzie nam na szkodę, czy pożytek.

Powinniśmy to przewidzieć.

Tymczasem konstatujemy fakta.

Dla uzupełnienia ich dodamy, że na 1369 gmin Królestwa, posiadamy 561 takich, w których wyraźniej usadowili się Niemcy.

Z tej liczby ludność niemiecka, nie przechodząc 1—5% mieszkańców osiadła w 206 gminach; powyżej 5% do 15%—w 202 gminach; od 15 do 25%—w 86 gminach; od 25 do 50%—w 58 gminach, a powyżej 50%—w 5 gminach. W pozostałych 475 gminach ludność niemiecka jest bardzo nieznaczna (poniżej 1%), a w 362 gminach niema jej wcale.

Ludność niemiecka w Królestwie Polskiem wynosiła w dniu 1 stycznia 1907 r. ogółem 578,895 głów. Doliczając do tego przyrost roczny, który w ostatnim dziesięcioleciu wynosił około 5% rocznie, mieliśmy w początku roku bieżącego w kraju naszym 607,839 Niemców (w tej liczbie około 30,000 katolików) = 5,3% ludności ogólnej kraju.

H. WIERCIEŃSKI.

Pan Balcer w Brazylii.

VIII.

Twardo stanęlim w dokach do roboty.
A co? Człek by się gryźć kamienia imał,
Byleby jeno świetliczek ów złoty
Nadziei migał mu, i moc w nim trzymał.
Lud, choć zbiedzony nadmiar, znał te poty,
Bo z nich już nieraz płótniankę wyżywał.
Ba! Radbym widział te lny, te konopie,
Co nie butwiały od znoju na chłopie!

Naród nasz silny jest; dużo poradzi,
Jak zęby ściśnie, a bary podłoży.
Niechaj go tylko moc jasna prowadzi,
Porywa, niech się przed nim świat otworzy,
Niech się rozwidni cel; a z tej czeladzi,
Co jest zarosła w siermiężnej swej koży,
Wyjdzie duch, jakby w żelazie kowany,
I łeb się twardszy pokaże od ściany.

A tu, o powrót szło. Na dokach tedy
Trwalimy w pracy twardej, od dnia do dnia,
Tając z pożaru słońca, z głodu, z biedy,
Jako najmitów gromada przechodnia.
Z góry my rzekli: Czy w dzień, czy w noc, kiedy
Błyśnie nam z masztu powrotna pochodnia,
W pół taczki rzucim i w pół drogi brzemię,
I w okręt! Bo nam pilno w swoją ziemię.

A to słyszeliśmy, jako dawać będą
Daremny przewóz przez ocean ony,
Że emigranty, co w statek usiądą,
Pisani będą do morskiej obrony,
I na pokładzie staną pod komendą
Wojskową, jako morskie bataliony.
Pod pokład baby z dziećmi pójdą zasie,
Iż wojnę jakoś pachniało w tym czasie,

A mór załogi pobił. Tak czekamy
Skutku. Alić się czekanie przewlekło.
Więc w tych okrutnych żarach, z Wielkiej tamy
Do doków — potu nie mało nam ściekło.
W galarach, prawda, był ciężar ten samy,
Chociaż nie takie żywych ogniów piekło.
Jeno, że nas tam nie dali, bo cości
Knuło się, kłuło, w posępnej cichości.

Miasto przeznalim wpředce. Dwojgo było,
Choć jednym mianem nakryte, by dachem:
Górne zdaleka białością aż ćmiło,
Poprzetykane tu wieżą, tu gmachem;
Drugie się nizko u morza mrowiło
W nędzy, w pijaństwie, w brudzie, czarnym łachem.
Zaś między niemi więź mocna i twarda:
Z dołu — gniew głuchy, a z góry szła wzgarda.

Tu by mi wpisać te ganki wywarte,
Nakryte kwieciami przeróżnych kolorów,
I te niewiasty leżące, rozparte,
W zwitkach na włosach do samych nieszpórów.
Te wrzaski papug, co gardła niezdarte
Miawszy, wśród kwietnych wiszące bisiorów,
Językiem ludzkim krzyczą, wbrew naturze,
Gdy małpki, z płaskich dachów drą się w górze.

Dopieroż kiedy przyniży się słońce,
Rojno tam bywa i szumno w ulicy,
Strojnego tłumu wylega tysiące,
Biegną z nosidłem szklanem piechotnicy,

W nosidłach łątki zdaleka pachnące
Leżą, gruchając, jak synogarlice,
Przymknięte rzęsy, zemdlałe wejrzenie,
A włos z papierków rozwity w pierścienie.

Wypuścisz ucho, gdzie stoją panowie,
Nic — tylko funty, procenty, dolary,
Że mało który inszego co powie.
Giełda, okręty, handel. Młody, stary,
Jednako. A tam, na dole, jak mrowie,
Czernią się ludem roboczym galary.
Idzie ładuga. W szlej wprzęgli węglarze,
Ciagną węglarki po parze, po parze.

Hurkot—het leci, het, aż tam, na górę,
Jak grzmot daleki, wpadając w rozmowy.
Ale wtem ptaki wrzasną krasopióre,
I nikt w tę stronę nie odwróci głowy.
A szle się prężą, wrzynają się w skórę,
Ozasem się zarwie krok jakiś miarowy,
Zesuną ciśniej szeregi węglarze.
Idzie ładuga — po parze, po parze.

.

Inaksza znowu moda jest w niedziele.
Place zalega murzyństwo pstrym tłumem,
A kiedy dzwony uderzą w kościele,
Pcha się to ławą z hałasem i z szumem,
Jak stado czarnych baranów w kierdele,
Zdaleka cuchnąć kozim potem, rumem,
Co drugi, trzeci — z psem, a w rękach laski.
I tak zawalą nawę po balaski.

Dopieroż taki elegant se siedzie
Na kiju, fontaż czerwony, sam bosy,
I tak na strony wykręca się wszędzie,
Za uchem zaś mu sterczą papierosy.
Już ci lustenko z kieszeni dobędzie,
Plunie w garść, już ci przymusknie se włosy,
Zagwiżdże na psa i patrzy po gólkach,
A pies tymczasem węszy po ampułkach.

Wtem ksiądz z ambony huknie: — „A hultaje!
 A drapichrusty jedne!“ — Tu zamachą
 Pięścią — „To takie wasze obyczaje?
 To msza i kościół, i Bóg u was fracha?
 Na Polskę patrzcie, co wam przykład daje!
 Polska! Polacy! Wywodzą się z Lacha,
 Czyli tam z Lecha. To, panie, nie drwinki!
 A słyszcie, jak to śpiewają godzinki.

Polska! Polacy! A wiecie, barany,
 Co to jest?... Dalej, złazić mi z tych lasek!...
 To jest najmiłszy kraj Bogu wybrany.
 Niż tutaj srebro, tam więcej wart piasek.
 — Złazicie, czy nie? Łby ośle! Bałwany!
 Czekacie, aż ~~was~~ przemierzy ten pasek? —
 — Polska!... By nie śnieg, co drogi zagrodził,
 Chrystus Pan byłby w Polsce się narodził!



Ale to nic jest! Wszak stoi w kolendzie,
 Że Polska w światłach betleemskich stanie
 Nad narodami. Że z niej to się wszędzie
 Rozniesie, ono wiosenne śpiewanie
 Wolności świata. Że wyjdzie orędzie
 I nowy zakon narodom się stanie,
 Przez moc, co nie jest francuska, ni włoska,
 Ani angielska, ale jest moc boska!

Na klęczki, durnie! Bo o czem tu mowa,
 Tego na klęczkach słuchać wam, hołota!
 Polska... Polnego narodu królowa,
 Cała przetkana w kwiatuszki ze złota,
 Cała w łez srebrze, cała rubinowa
 Od krwi ofiarnej, co tam jest za wota...
 Boże! Po co ja gadam? Po co płaczę?
 O Polsko, Polsko, kiedyż cię obaczę!...”

Buchnął z ambony szloch, opadła głowa
 Na pierś, ksiądz klęknął, jak przed sakramentem.
 Co obaczywszy, gromada też owa
 Runęła o ziem, z okrutnym lamentem.

Tak co niedziela grzmiała polska mowa,
Której nikt nie znał tu, w tem miejscu świętem,
Krom nas, a one pocziwe kudłacze
Aże ryczały płacząc, że ksiądz płacze.

Wnet zaślęły niedzielne kazania
Księdza Błachoty szeroko po mieście.
Kościół zapchany od grania, do grania,
Cały w jedwabiach, wstęgach, w piór szeleście,
Ledwo ksiądz usta otwarł, już wzdychania,
Już ci łez pełne źrenice niewieście,
A choć tej mowy nikt w ząb nie rozumie,
Coś, jakby boży duch latało w tłumie.

On zaś, serdeczne kojący tęsknoście
O królu Sobku prawił, o Kościuszcze,
I własnej duszy wylewał wonnoście,
Na te mazurskie pola, Litwy kuszce,
Po głosu swego leciał złotym moście,
Zatokowany w Polsce, jak te głuszce,
Że choćby biskup dzwonił od ołtarza,
Jako mszę dalej trzeba, — nic nie zważa.

A taka rzewność, takie miłowanie
W tym głosie jego, i taka otucha,
Jakbyś na Pańskie czekał Zmartwychwstanie,
Lub na Zielony dzień świętego Ducha.
Na złotych strunach, zda się, słyhać granie,
A kiedy człek się zapatrzy, zaślucha,
Nagle głos w trąby i w kotły uderza,
Z wielkanocnego jakoby móździerza.

Bój, bitwa. Niby stutysięczne działa,
Tak wałą słowa, tak grzmiaą działobitnie.
Powietrze warczy, ambona drży cała,
Namykaj głowy, bo kulka cię wytnie.
Aż z wrzątku ognia, dymów, wstaje chwała,
Jasna chorągiew nad hucem wykwitnie,
Stają w jej blasku rycerze pancerni,
Aż do zabitej śmierci Polsce wierni.

Dopieroż radość, dopieroż gloryja,
Dopieroż drżące na powietrzu ręce,
I to spojrzanie, co niebo przebija,
Wzniesione nad świat, wskrzeszony po męce.
Naraz do chóru wyciąga się szyja:
— Muzyka! Tryumf! Więc dalej w podzięce
(A był Chwalibóg, Polak, organista),
Hukną organy: — Zawitaj Przeczysta...

To po kazaniu tem ksiądz, — sam widziałem —
Szedł rozgorzały do bocznej kaplicy,
I tam, przed krzyżem upadał powałem
Twarzą w proch. Takiej zasie nawałnicy
Łzów, błagań, jęków, łkania, w życiu całym,
Takiego gwałtu do Bogarodzicy
Jeszcze nie słyszał. Choć przecie w Krakowie
Mam brata księdzem. Balcerski się zowie.

Ale nad morze, pomiędzy węglarzy,
Co pili w szynkach od rana, że święto,
Schodził kapucyn młody, bladej twarzy,
Z kapuzą nisko na czoło ściągniętą,
Że tylko z pod niej ta bladość się żarzy.
Idąc, z nad trepków łyskał gołą piętą,
Ręce w rękawach, u piersi krzyż mały,
Szedł milcząc, tylko oczy mu gorzały.

Dopieroż w porcie, na galary czarne
Wstępował, albo w zakotwione łodzie,
A kiedy dzwony uderzyły farne,
I gruch się zrobił w przybrzeżnym narodzie,
Zaczynał głośno pacierz. To te marne
Dziewki, co ich tam zapaść przy gospodzie,
Kłękały, chusty jaskrawe, czerwone,
Narzucające na głowy shańbione.

Zaczem się ciśli kalecy, żebracy,
Nędzna czarniawa, co obsiada morze,
A ów, choć pacierz głuzyli mu ptacy,
Z krzykiem się niosąc w powietrzne bezdroże

Cały pogrążon w dusznej swojej pracy,
Zrzuciwszy kaptur, to królestwo boże
Wielkim przyzywał głosem, i o chlebie
Proroczył głodnym, i o Ojcu w niebie

Sierotom. A ci rozbitowie świata,
Co się tak w nędzy i w brudzie zdziczyli,
Że brat tam nie jest bezpieczny od brata,
A puść ich w bory, jak wilcy-by wyli,
W zczerniałych twarzach dostawali kwiata
Tej rumianności pierwszej, co ich w chwili
Przyodmieniała, na dzieci, na syny
Powracające w ojcowskie dziedziny.

Niejeden wszakże, co wódką się bawił,
Pięścią wygrażał z gospody od proga:
— Ty tu co? Kto cię tutaj do nas wprawił?
Dasz mi to chleba, a dzieciom pieroga? —
Lecz mnich zarówno wszystkim błogosławił,
Wychudłe ręce wznoszący do Boga,
A głos się z wiatrem ponosił na morze:
— Czyńcie gwałt!... Gwałtu chce Królestwo boże.

.
Darmo ochylać. Na ładudze wrzało.
Że tylko patrzeć, jak lunie ukropem.
Nas tam nie gwałtem bractwo dopuszczało,
Alic się równo przewącha chłop z chłopem.
Dziś, jutro cośi poczynać się miało,
Dziś, jutro miano ruszyć owym czopem,
Co go odkręcić łatwo, a niewiada,
Czyli i kiedy zakręcić się nada.

Ja sam nie jestem za rewolucyją
Choć powiadają o nas, słyszę nieraz,
Że my po świecie robim rebeliją,
Sam wagabundas-revolucioneras ¹⁾,

¹⁾ „Vagabundos-revolutioneros.“

Ale niech mi kto pcha jarzmo na szyję,
Jak tu w galarach, abo w Minas-Geras,
— Siarczyste! — uszów po sobie nie stule,
Jeno w garść plunę, i — choćby na kule!

Praca, to praca. Jakaś nie kaleka,
Bierz się, a ostro. Takie boskie prawo.
Ale jak człek się wypina nad człeka,
Jeden u stoła, a drugi pod ławą,
Na kość, na ochłap jaki, jak pies czeka,
Nim głodne dzieci obdzielą tą strawą,
— Hola od pola! To prawo jest — pieskie,
Nie Adamowi dane! Nie niebieskie!

A węgiel właśnie trzymały tam szwaby,
I szwabskie statki wpływały do doku.
Powypasało się to, jak te schaby,
Przed każdym sadło, by torba obroku,
A do galarów, gdzie w pocie klną raby,
Żaden nie zejdzie sam, ani pół kroku,
Wierniki jeno, faktory, agenty.
— Bogdajżeś sparciał raz, pludrze przeklęty!

Więc choć węglarki szły, lud czekał chwili,
Coby mu karki wyprzegła przetarte.
Tak poruszeństwo tajemne robili,
Stawiając wszystko na czarną tę kartę.
Spuści ów głowy i czoła przechyli,
Alić ponure oko trzyma wartę...
A krzywdą swoją tak na moc złączeni,
Że choćby papież stanął, — nie odmieni.

A morze jęło wichrować tej pory,
Że chodził po niem jakby tuman siny,
I rwał pian morskich strzępiaste paździoły,
Co się rzucały przez mroczne głębiny.
Ugały blaski, ugały kolory,
Pospół zmieszane, jak pierwszej godziny
Stworzenia, kiedy jasność wiekuista
Jeszcze nie była od nocy do czysta

Separowana. Tak raz, wszystkie oczy
Obróciły się na statek nieznany,
Co się kołyszał na morskiej roztoczy,
Za wichrem, a był prosto na port gnany.
Patrzym, a ten się gwałtownie zatoczy
Jak chłop, co idzie od karczmy pijany,
To się zawściągł, gdy skrzydła wiatr zwinie,
I jako wielki łabędź ku nam płynie.

Mnie się te chody nie dziwne wydały.
Ale ów morski naród, marynarze,
Powyrzeszczali te oczy, jak gały,
Czekają, rychło flaga się ukaże,
Rychło-li gruchną jakowe sygnały.
Lecz statek, w onych mocnych wichrów warze,
Jak ślepy pędzi, wali się, potyka,
Jakoby nie miał na sobie sternika.

Już blisko. Już nam w oczach rosną reje.
Powiało ku nam jakąś mętną trwogą...
Wtem widzimy, flaga spuszczone czernieje
W pół masztu. Zresztą, nie widać nikogo.
Tak w krzyk: Na łodzie! Tam się coś złe dzieje!
Tam się coś stało strasznego z załogą!
Puści się czółno. Wtem powrzask dolata:
— To okręt moru! To Imakulata!

Za drągi kto żyw! Odpychać od brzegu!
W łodzie! Za wiosła, komu życie miłe! —
A już się z wiatrem woń trupia rozlega,
I już powietrze na brzeg leci zgniłe.
Lecz łódź za łodzią gwałtownie wybiega,
Nastawia drąga, kto w ręku ma siłę,
Płyną. Wszystkie się oczy z grozą wżarły
W statek, co niesie śmierć, a sam umarły.

Wiedziane było i w portach głoszone,
Że zarażony okręt morzem pływa.
Więc w którąkolwiek wiatr pomiósł go stronę,
(Iż nie została na nim dusza żywa)

Bronił się każdy brzeg, i widmo one,
Co się tułało, jak mara straszliwa
Odpychał, żerdzie chwyciwszy i haki.
Lecz tutaj gorzej padło. Tu wiatr taki

Dął ku nam w żagle tej okropnej nawy,
Że ludzka siła nic przeciw. W godzinę
Wróciły łodzie z nieszczęsnej wyprawy.
Oblicza w ogniach całe, karki sine
Od żył napiętych, a w oczach żar krwawy,
Rozbici, choć się powiązali w linę,
Nie dosięgnęli korabia dragami,
Od strasznej woni w półmartwi już sami.

Wtem się pojawił Zabuda. Był blady.
— Po proch! Wysadzić!—zakrzyknął gwałtownie,
— Do mnie tu zuchy młode! Na bok, dziady!
— Łódź tęgą wybrać mi!—skoczą w prochownię,
Dźwigają skrzynię, lud słucha bez zwady.
Aż ów, smolistą narządziwszy głównię
Przykląkł. No, księżo! Daj absolucyją,
Niech mi się dyabli o duszę nie biją.

Lecz mnich na szyję padł mu, i ramiony
Obnjął. Chwilę słycać tylko łkanie.
— Bracie! Mój bracie! Tyś już rozgrzeszony...
Ty święty, bracie... Tyś jest...—Nie był w stanie
Więcej z tej strasznej powiedzieć ambony.
Wtem się Zabuda porwie, w łodzi stanie,
Chwycił za wiosło, spał nogę o skrzynię
I łódź potężnie pchnąwszy, w śmierć swą płynie.

Wiatr przycichł. Ustał prawie dech w narodzie,
Pokłękli ludzie i odkryli głowy.
Rwało się kilku co młodszych na łodzie,
Lecz nie dopuścił mnich o tem ni mowy.
Ów zaś, u dzioba stojący na przodzie,
Wyprostowany i cały gromowy
— Niech żyje Polska!—krzyknie. To wołanie
Do dnia sądnego w uszach mi zostanie.

— Niech żyje!—Dajem odzew mu, co garła.
Po wynędziałyich twarzach łzy nam cieką,
Że dusza z żalu prawie w nas zamarała.
Już dalej, już go widać het, daleko...
Łódź się wysoko na fale wywarła,
I jak trumienne zaczerniała wieko.
Zaś pada, chlusta morzem przez okraje
I z pian, u wręgów dwu skrzydeł dostaje.

Znikła. Na pacierz może, albo mało
Co więcej. Młotem serce w żebra dźwięka...
Wtem błysk, huk, piorun. A słowo się stało!
A przenajkrwawsza Chrystusowa męka!
W ogniach się morze do nieba porwało,
Szczękła przepaści straszliwa paszczęka,
I nic. I cicho. A ów Bezimienny
Wleciał wstrzelony wprost w raj,—ptak płomienny.

Lud zmartwiał, jakąś zimną zgrozą zdjęty.
Zaslepty prawie źrenice zżarzone,
Aż pierwsze baby buchnęły w lamenty,
Jakby im dziecko ginęło rodzone,
Lecz mnich, zbożały całkiem, całkiem święty,
Krzyżem złe dymy przeganiał na stronę,
Co się różwlokły ciężko, by całuny,
Dokoła onej piorunowej truny.

Dopiero kiedy opadły do czysta,
Ludzie co nieco pojrzeli po sobie.
I zaraz wielka modrość i srebrzysta
Jęła promienieć po onej żałobie.
— Niechże wam będzie światłość wiekuista,
Coście zginęli tu, w ognistym grobie,
Póki was hejnał anielski nie zbudzi!
A nam do życia trza wracać, do ludzi.

.

Tak my w cichości szli, jakby z Golgoty,
A coś wielkiego nosiło się drogą.
Cień, nie cień, jakby grot tam błyskał złoty,
Jakby zbroica dźwiękała z ostrogą,

Jakby gdzieś w pyłach szły tętniące rotę,
Żem raz i drugi pojrzał—a nikogo!
Wiera, musiały wstać rycerskie mary
Z czynu Zabudy i z jego ofiary.

Musiał tam sąd być na tego szlachcica,
Co po szynkowniach walał swe szlachectwo,
Aż nagle rozbłysł, jak roratna świca,
I klejnotowi dał ognia świadectwo.
Więc mu rycerska oddana przyłbica,
Gdy krwawa pieczęć zamknęła już śledstwo,
I w tarczę jego żelazna znów ręka
Mieczem uderza, a tarcza nie pęka.

Takem se dumał, gdy wtem Filip Bania,
Trąci mnie łokciem w biodro i tak powie:
— A ten odmieniec znów nocą się śłania
Koło bud naszych. To przyległ dziś w rowie,
Jak wąż, i czyhał prawie do świtania,
Ale że w budzie świecili Stachowie,
Bo dziecko cości chorzało.—Tak rzekę:
— A pluder! Już ja go wezmę w opiekę

Sękaczem moim! Tego jeszcze trzeba,
Żeby do naszej zarobnej krwawicy,
Do czynionego potem naszym chleba,
Niewiasty nasze im szły do łóżnicy!
Jużby nad nami nie było też nieba,
Ani tej bożej nad ziemią prawicy,
Żeby my... tutaj... po szwabach... bękarty...
Słysz, bracie. Dzisiaj my oba na warty,

A Roch Zatrata trzeci. Zgoda?—Zgoda.
Ścisnąłem w garści kij, gdy wtem, zdaleka,
Właśnie jak kiedy rozszumi się woda,
I z bulgotaniem przez śluzy ucieka,
Gdy świętojanka popędu jej doda,
Taki się bliżył gwar. Alić nie rzeka
To była, jeno podniosły stawidła
Dwie gębie, młyńskie obracając skrzydła:

O tobie mówię i do ciebie piję,
Magier, co byłeś szlachcicem od rodu,
A teraz nosisz starganą deliję,
Iż cię nie kryje ni z tyłu, ni z przodu.
Za ladą siedzisz, masz kancelaryję,
W progu się przygarść zebrała narodu,
Ty piszesz listy, skargi. Furczą słowa,
A pióro skrzypi, by dusza czyścowa.

Tys jest ten rajca, który tu zażywa
Dufności ludzkiej i tabaki z roga,
Czyli więc wdowa przyjdzie nieszczęśliwa,
Czyli sierota stanie wedle proga,
Czy chłop się Wojtek, czy Bartek nazywa,
Czyli sam dyabeł przez drzwi wsadzi roga,
Każdy grosz płaci z twojego uczynku,
Ty grosze zbierasz i niesiesz do szynku.

Naprzeciw Żdżara. Ten pustki ma w budzie,
Ale krogulczy nos wysoko nosi.
W pychę szlachecką dmie, to stronią ludzie,
I mało który ku niemu się głosi.
Temu rzemiosło idzie, jak wóz w grudzie,
A płaszcz, (ze trzema peleryny cosi),
Skórę mu tylko nakrywa i kości.
Tak siedząc, dziw się nie rozpuknie z złości.

Aż-ci nie może dłużej. Pióro ciska,
Wstaje, odwala stołką, drzwiami trzaska,
W wielki nos dmucha, odsadza wąsiska,
Na granatowym płaszczu ściąga paską,
(Iż mu zakłęsa pierś golizną łyską),
I huknie z proga: -- A co waść, u dyaska,
Będiesz tu chłopstwu ferował procesy?
Mnie waść pisz skargę! Ja też sięgnę kiesy!

Pisz waść! Dyktuję: — Jak słońce na niebie,
Tak poprzysięgam przed Bogiem i Sądem,
Żem w narodowej zastawił potrzebie
Część mą szlachecką, ze strugą i ładem,

A niech mnie ziemia żywego zagrzebie,
Niechaj zaraza obiele mnie trądem,
Jeśli nieprawda jest! — Tu huknie pięścią,
— A Magier ze mną graniczył swą częścią.

Lecz ów już porwał się, i stał za stołem,
Jak ćwik czerwony i oburącz wsparty,
— To co?—zawrzaśnie—To ja część połknąłem?
Wody ze strugi upiłem dwie kwarty?
To ja w ład waścin worałem się wołem?
Tu zsiniał, iż był choleryk zażarty —
— Staw świadków! Świadców, krętaczu przekłety!
I na stół mi tu doku... dokumenty!

Zatchnął się z pasyi, a na kark mu żyły
Wyszły drgające i grube na palec.
Wtem wpadnie Żdżara:—A, wężu zawily,
Ja ci dokument... Jak chwyć kawalec
Draga! To twoje te trzy grusze były?
Twój kamień w miedzy? A chytry padalec!
Dawnoś mi zadrę w wątrobie zahaczył...
Zagrześć mnie chciałeś, jeno Bóg nie raczył!

Świadców chcesz? Ja ci tutaj całą ławą
Postawię świadków, którzy wtedy żyli!
Mam ja na ciebie zatajone prawo
Pod mogiłami! To będą psi wyli —
Jak moje świadki procesyją krwawą
Wyjdą mi świadczyć, jako ze mną byli
Razem, pod Glinką, w kurpiowskiej partyi,
A waść w pierzynieś siedział, aż do szyi!

Tfu! Tchórz! Niegodzien klejnotu szlachcica!
Z przechrztów waść musisz być!—Lecz ów się zbiesił.
Ognie mu żywe bić jęły przez lica,
Rogatą czapę na łysy łeb wmiesił,
I huknął, mało mu nie trzaśa grdyca:
— A żebyś mi tu Piotrowina wskrzesił,
Łziesz! A ja lepszy katolik od ciebie!
Ty w piekle będziesz siedział, a ja w niebie!

— Co? — wrzaśnie Żdżara — a nie wisi u mnie
Nad szafą pismo Ojców Bernadynów,
Oprawne za szkłem, co je sobie w trumnie
Dam zamknąć, (jużem tak poprzysiągł synów,
A zaś dębowa trumna stoi w gumnie),
Jako rozgrzeszon jestem z wszelkich czynów,
Coby mi drogę grodziły do nieba?
A w czyściu — tylko pół dnia mi być trzeba!

Za to — co będę skrywał? — żem z tych gruszy,
Łońskiego roku nie dał dziesięciny,
A konwent rado ulegałki suszy
W barszcz, na suchedni. Więc mnie Bernadyny,
A raczej Gwardyan — obciążył na duszy,
Iż muszę w czyściu pół dnia z tej przyczyny
Być. Ale mogę umierać z otuchą,
Bo mszę odprawi sam. Przyrzekł na ucho.

Tu parsknie Magier: — To co? Tu jest morze,
A waścin papier w łomżyńskim zaścianku!
Więc cóż tu waści świadectwo pomoże,
Przy tym gromnicznym, śmiertelnym kaganku?
Waść w niebo, a tu święty Piotr: — Otworzę,
Jak mi świadectwo przyniesiesz kochanku! —
Tak waść z powrotem, iż to tam nie żarty,
Na okręt, a tu — hola, bez szyfkarty!

Ha! Ha! Ha! — śmiał się. Lecz Żdżara doskoczył,
Za gardziel chwycił go i trząsł jak gruszę,
Że czapa spadła i łeb się zatoczył.
Sam zasie Magier prawie żygnął duszą.
Rzęży... Lecz Żdżara żółcią tak się zmroczył,
Że byłby zdusił. Więc ludzie się ruszą,
Rozerwą garście, aż z tej batalii,
W jednej szmat płaszczu, a w drugiej — delii.

MARYA KONOPNICKA.

Z dziejów agrarnych Polski.

I.

Alle Kulturgeschichte findet ihre Anfänge und Grundlagen in den Agrarverhältnissen und nur von ihnen aus erkennen wir den allgemeinen Zusammenhang der allmählichen Fortschritte der Menschheit.

Meitzen Siedl. und Agrar., tom 1, str. 1.

Żywszy rozwój literatury agronomicznej bywał zawsze rezultatem ożywienia się produkcji rolnej, zainteresowania się nią szerszych warstw społecznych. Literatura rolnicza grecka, a zwłaszcza rzymska z ostatnich stuleci przed upadkiem Rzeczypospolitej i pierwszych wieków Cesarstwa doszła i ilościowo i jakościowo do bardzo wysokiego stopnia rozwoju, będąc wymownym dowodem, jak wysoko w epoce klasycznej stało rolnictwo u ludów Grecyi i Włoch. W miarę chylenia się do upadku świata starożytnego, w miarę cofania się południowej i zachodniej Europy w kulturalnym i ekonomicznym rozwoju, zaczęło się i rolnictwo, a z niem i agronomiczna literatura chylić do upadku. Nowi zdobywcy dawnych rzymskich prowincyj, Germanie, nie mieli zamiłowania do rolnictwa, czuli raczej do niego pogardę, pozostawiając je początkowo kobietom, starcom i niewolnikom. Zresztą i burzliwa epoka ciągłych wojen, najazdów i wędrówek ludów nie mogła dodatnio wpływać na rozwój rolnictwa. Dopiero genialna, wszechstronna działalność Karola Wielkiego, na krótko wskrzesiwszy nawpół już zamarłą klasyczną kulturę, odbiła się ożywczo na rolnictwie. Sam cesarz, jak wiadomo, był znakomitym administratorem swych domenów, a jego sławny „Capitulare de villis,”

pozostanie nazawsze dla historii rolnictwa jednym z najcenniejszych zabytków. Ponieważ przez całe prawie średniowiecze rolnictwo europejskie, nie ciesząc się uznaniem rycerstwa, spoczywające na barkach chłopów i drobnych dzierżawców, znajdowało się w upadku, więc i literatura agronomiczna z tej epoki odznacza się nadzwyczajnem ubóstwem. Nawet Francya aż do wieku XVI-go nie mogła się pochwalić oryginalnem dziełem rolniczem. Tylko Włochy i Anglia, które tak znacznie wyprzedziły resztę Europy w ekonomicznym rozwoju, posiadały podręczniki rolnicze już w wieku XIII. Za czasów króla Edwarda I powstaje w Anglii „Fleta,” dzieło, które zawdzięcza swą nazwę imieniu londyńskiego więźnia, w którym prawdopodobnie ułożył je anonimowy autor. „Fleta” w układzie swym wzorowana na dziełach rzymskich agronomów, miała służyć dla rolników angielskich jakby za „Vade mecum” wiedzy rolniczej i dać im wskazówki potrzebne do zarządzania majątkiem ziemskim. Czytelnik więc znajdował w niej wskazówki i co do tego, jak należy opisać granice majątku i co do tego, jak zrobić opis żywego i martwego inwentarza, dowiadywał się, co wchodzi w zakres obowiązków oficyalistów wiejskich, a więc senenalów, zarządzających całemi kluczami, praepositów, prowadzących gospodarstwo w poszczególnych folwarkach, nakoniec włodarzy (villein lenant). Fleta daje dalej dokładny obraz pracy, jaka kipiała na folwarku w dniu przeznaczone na robocizny, jest też nadzwyczaj cennem źródłem do poznania stosunków agrarnych, panujących w Anglii w wieku XVI. Do czasów Edwarda II odnosi się najstarsza kopia innego angielskiego podręcznika agronomicznego, napisanego w narzeczu normkańsko-francuskiem i później przełożonego na łacinę, mianowicie „La Dite de Hosbanderye” Waltera de Henley. Liczne kopie dzieła Henley, jakie dochowały się do naszych czasów, dowodzą, że aż do wieku XVI, to jest do ukazania się pracy Fitzherbert’a, było ono powszechnie w Anglii używanym podręcznikiem rolniczym. Rogers uważa Hosbanderye za najstarsze angielskie dzieło rolnicze i powstanie jego odnosi do pierwszej połowy wieku XIII.

Włochy również już w wieku XIII poszczycić się mogły dobrym podręcznikiem rolniczym. Zawdzięczały go senatorowi i obywatelowi bolońskiemu Piotrowi de Crescens (de Crescentis), który pod tytułem „Liber ruralium commodorum” poświęcił go królowi sycylijskiemu Karolowi II. Do napisania dzieła Crescencyusz, jak to z dumą zaznacza, przygotowywał się trzydziestoletniemi podróżami, studyowaniem logiki, historii naturalnej, medycyny, prawa, nakoniec czytaniem autorów współczesnych i starożytnych.

Podobnie, jak autor angielskiej Flety, trzymał się i Crescencyusz w planie swego dzieła wzorów starożytnych; a więc początek 12-stoksiążkowego podręcznika zaczynał się, jak u Columelli, od wskazówek, gdzie należy wybrać miejsce na dom i folwark, jak dwór należy zbudować; dalej szły rozdziały o „naturze roślin,” o uprawie pól, o winnicach, ogrodach, łąkach, lasach, hodowli bydła; w księdze 12-ej znajdował się „commemoratio de hiis omnibus, quae singulis mensibus sunt in rure agenda,” słowem tak ulubiony niegdyś kalendarz rolniczy. Dzieło Crescencyusza zyskało sobie wszech europejską sławę; w roku 1471 ogłoszono je drukiem w oryginale poraz pierwszy. Tłómaczono je na język francuski, niemiecki, na koniec polski przekład pióra Trzecieckiego ukazał się w druku 1542 roku, później poraz drugi w roku 1571.

Ożywiony ruch na polu literatury agronomicznej rozpoczął się jednak w Europie dopiero w wieku XV i do większego rozwoju doszedł w XVI stuleciu. Zarówno we Francyi, Hiszpanii, Anglii, jak i w Niemczech i Polsce, zaczynają się ukazywać najpierw liczne tłumaczenia rzymskich autorów, później zjawiają się kompilacye, na koniec oryginalne rolnicze podręczniki. Na to ożywienie ruchu na polu literatury rolniczej wpłynął z jednej strony wynalazek druku, który tak kolosalny wpływ wywarł na całe piśmiennictwo, z drugiej—nie pozostała bez znaczenia i ta okoliczność, iż był to właśnie okres, w którym szlachta stałego kontynentu, dotąd z pewną pogardą patrząca na uprawę roli, zaczęła się brać do intensywniej, samodzielnej gospodarki, skwapliwie wyzyskując podniesienie cen zboża na rynkach europejskich. Ale szlachta oczywiście odczuwała silny brak rolniczej wiedzy, bez której trudno było gospodarować nawet w szesnastym stuleciu. Zaczęto na wszystkie strony oglądać się, skądby można zaczerpnąć niezbędnych wiadomości; podpatrywano, jak gospodarują, jedyni naówczas doświadczeni rolnicy, chłopci,¹⁾ zwrócono się oczywiście i do literatury klasycznej, w której wówczas, w czasie odrodzenia, starano się znaleźć środki do zaradzenia wszystkim cierpieniom zarówno ciała, jak i duszy. Wertowano wielkich staro-

¹⁾ Nasz Gostomski, jak zobaczymy, radził swym czytelnikom uczyć się gospodarstwa od doświadczonych kmieci; Ślązak, książd Grossern, współczesny mu prawie, napisał ku pożytkowi „junkrów” swe dziełko, a oparł się przy jego pisaniu na obserwowaniu gospodarki śląskich chłopów, wśród których przeżył długie lata, jako proboszcz.

żytnych agronomów Catona, Varrona, Paladiusa i przede wszystkim Collumellę i znajdowano w nich nie tylko ogromny materiał fachowy, będący rezultatem wiekowych doświadczeń, wiekowej pracy, ale jednocześnie i idealizację rolnictwa, która im miała osłodzić zmianę dawnej beczynności, rozboju i wojny na mozolniejszą bądź co bądź pracę na folwarku. Ale pisarze rzymscy, pomimo całej swej wartości, nie mogli uczynić zadość wzrastającej potrzebie wiedzy agronomicznej. Wszakże największy ze starożytnych agronomów, Collumella, usprawiedliwiając się przed czytelnikami, iż wziął się do napisania nowego dzieła, pomimo iż istnieje tyle świetnych traktatów, w których znajdzie się więcej „*quae nobis probanda est, quam quae repudianda*,” przypomina jednak, iż z biegiem czasu w każdym kraju zmienia się klimat, a ze zmianą klimatu „*mutatum coeli*” musi uprawa roli ulegać zmianom. Tenże sam Collumella zwraca uwagę, że tylko z największą ostrożnością można iść za wskazówkami obcych pisarzy, gdyż „*solum, coelumque diversae naturae nequent eodem proventus habere*.” To też samo przestudyowanie autorów starożytnych musiało żądnych wiedzy rolników epoki renesansu doprowadzić do przekonania, iż nie zawsze można iść za wskazówkami rzymskich agronomów i skłonić do poszukiwania oryginalnych do miejscowych warunków zastosowanych podręczników. Autor najstarszego oryginalnego niemieckiego podręcznika rolniczego ksiądz Marcin Grossern z Szewicz pod Wrocławiem, idąc śladami Collumelli, tłumaczył swym czytelnikom — „*junkrom*,” iż „*ob schon viel Buecher dieser Arth in allerley Sprachen aussgangen, so sind doch die meisten oder das meiste darinnen, wie man saget... Neque coeli nostri neque soli nostri*.” Nic dziwnego, że wydawcy i w szesnastym stuleciu odczuwający dobrze gust i potrzeby czytającej publiczności, nie ograniczając się do tłumaczeń, zaczęli zabiegać o dzieła rolnicze oryginalne, lub przynajmniej o dobrze do warunków miejscowych zastosowane kompilacje.

Więc we Francji w środku wieku szesnastego lekarz Charles Etienne pisze swój własny podręcznik „*Maison rustique*,” drukowany poraz pierwszy w roku 1554, wkrótce przełożony na język niemiecki, przedrukowywany wielokrotnie w ciągu wieku szesnastego i siedemnastego zarówno po łacinie, jak i po francusku; w końcu szesnastego stulecia zjawiają się we Francji wybitne prace rolnicze Pybrac’a i Olivier de Serres. Szesnaste stulecie przyniosło i Anglii wielkiego agronoma Sir Anthony Fihherberta, autora „*The Book of Husbandy*,” który z wielką przenikliwością wykazał pierwszy niebezpieczeństwo, jakie grozi rolnictwu an-

gielskiemu z powodu niepewności dzierżaw. W tym też czasie w Hiszpanii arcybiskup Toledo Alfons de Herrera pisze kompilacyą rolniczą, która zyskuje sobie prawa obywatelskie nawet we Włoszech. Ruch na polu literatury agronomicznej rozwinął się w Niemczech nieco później, niż we Francyi i Anglii. Wprawdzie z tłoczni niemieckich wychodzą już w środku wieku szesnastego książki rolnicze, lub stojące z rolnictwem w bliskim związku, nie raz nawet wspaniale wydane,¹⁾ ale są to jedynie tłumaczenia, lub co najwyżej kompilacye. Dopiero 1571 roku ukazuje się dzieło westfalczyka, adwokata Heresbacha, pod tytułem: „De re rustica.“ Traktuje ono wyłącznie stosunki, które panowały nad Renem, a zawiera tyle cennych informacji, iż jeden z historyków niemieckiego rolnictwa, Langethal, przedstawił na jego zasadzie stan nadreńskiego rolnictwa w końcu szesnastego stulecia. Dzieło Heresbacha napisane jest po łacinie, a pod względem planu wzoruje się, podobnie zresztą jak Crescencyusz i Etienne, na traktatach rzymskich. Pierwsze ściśle oryginalne i po niemiecku napisane książki rolnicze zawdzięczają Niemcy dwom duchownym śląskim, Grosseinowi i Collerowi. Obaj mieszkali na wsi, obaj zajmowali się rolnictwem, to też doskonale byli poinformowani o stanie rolnictwa w swej ojczyźnie i obaj pozostaną na zawsze ważnem źródłem historycznem.²⁾ Dla nas w danej chwili szczególne znaczenie ma dziełko księdza Grosserna. Będąc przez lat 25 proboszczem w Szewiczach, w wiosce, która jakkolwiek była naówczas zgermanizowaną, leżała jednak w niezupełnie zniemczonej okolicy; poznał on dokładnie gospodarke chłopów z pod Wrocławia; był też obznajmiony ze zwyczajami panującymi w Niskiem i Strzeleńskiem. Sposób uprawy ziemi, nawet przesady gospodarskie ludności wiejskiej, zgłębił dokładnie, opisał również szczegółowo narzędzia rolnicze, jakich chłopci naówczas używali, to też jest on niezrównanem źródłem, do poznania stanu rolnictwa na Śląsku w wieku szesnastym, a ponieważ, pomimo wszystkiego, gospodarka prowadzona podówczas na Śląsku nie wiele różniła się od polskiej, więc Grossern może niejednokrotnie przyczynić się do roz-

¹⁾ Za przykład tego rodzaju może służyć znajdujący się w Lipskiej Uniwersyteckiej bibliotece „Lustgarten der Gesundheit,“ wydany w roku 1547 we Frankfurcie.

²⁾ Coller był autorem pierwszego niemieckiego kalendarza rolniczego, który ukazał się poraz pierwszy w roku 1591. W dwa lata później wyszła z druku jego „Oeconomia oder Hausbuch.“ zob. Goltz., tom I, str. 296.

wiązania wątpliwości, w jakie stawiają historyka polskiego nasze niezawsze jasne źródła. Od współczesnych podręczników francuskich i niemieckich różni się znacznie dziełko Grosserna; napisane bez erudycji, nie przeładowane cytatai z autorów rzymskich, jest ono oryginalne zarówno w swej formie i treści i najbardziej pokrewne „Notatom Gospodarskim“ Gostomskiego, mającym być przedmiotem naszego studium.¹⁾

Literatura rolnicza polska w wieku XVI-tym nie pozostała bynajmniej w tyle za niemiecką. I u nas wówczas rozwinął się na tem polu duży ruch wydawniczy.²⁾ Jak wiemy, już w r. 1542 ukazało się w tłumaczeniu Jędrzeja Trzycieskiego dzieło Piotra de Crescentis pod tytułem „Piotra Crescentyna księgi o gospodarstwie.“ Tłumaczenie to jednak dużo pozostawiało do życzenia. Wkrótce znaleźli się w Polsce ludzie, którzy w mniej lub więcej oryginalnych dziełach zaczęli zaznajamiać swych rodaków z poszczególnymi gałęziami gospodarstwa rolnego. Erazm Glicznier 1558 r. wydał „Naukę y Praktykę,“ w której zebrał znamiona, umożliwiające odróżnienie roku złego od dobrego. W roku 1558 ukazała się książeczka Micińskiego o przyswajaniu dzikich koni.³⁾ Większe znaczenie dla współczesnych rolników mogła mieć niewątpliwie praca Strumieńskiego, pouczająca o urządzaniu gospodarstwa rybnego, tudzież o osuszaniu gruntów i sprowadzaniu wody.⁴⁾ Pomimo tych dziełek specjalnych, pomimo tłumaczeń „Crescentyna,“ odczuwała szlachta polska brak podręcznika, któryby zawierał rady, odnoszące się do wszystkich gałęzi gospodarstwa, zastosowane do warunków miejscowych. O wydaniu takiego dziełka przemysliwał krakowski wydawca Jakób Siebeneiher. Rozumiał on dobrze, czego czytelnikom polskim potrzeba, a znając prawdopodobnie zagraniczne podręczniki, szukał książki,

¹⁾ Dziełko Grosserna należy obecnie do wielkich rzadkości bibliograficznych; egzemplarz, z którego korzystaliśmy, należy do biblioteki uniwersyteckiej w Getyndze.

²⁾ Dosyć dokładny wykaz książek polskich treści agronomicznej, jakie się ukazały w wieku szesnastym, znaleźć można u J. A. Kamińskiego „Piśmiennictwo polskie rolnicze i technologiczne od roku 1549 do 1835.“ Lwów 1836. Egzemplarz tej rzadkiej książeczki posiada biblioteka Jagiellońska. Literatura rolnicza polska zebrana jest także w 10-tym tomie „Literatury Polskiej“ Wiszniewskiego str. 575 i następne.

³⁾ Książeczka ta nosi tytuł: „O Swierzopach i ograch.“

⁴⁾ „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów, także o przepach i o sprowadzaniu wody,“ Kraków, 1573.

w którejby było i o uprawie roli, i „o stad i bydła rozmnażaniu,” i „o stawów kopaniu,” i „miodów syceniu,” i „sadów wymierzaniu, i szczepieniu, i mnożeniu,” i o „prowadzeniu wód zdala,” i „budowaniu domów“¹⁾ jednym słowem o takiej praktycznej encyklopedyi w swoim rodzaju, jaką było i dzieło Piotra de Crescentis, i „Maison rustique“ Charles Etienne, i tak liczne w szesnastym stuleciu kompilacye. Ale podobnego dzieła nie znalazł w Polsce Siebeneiher, dopiero w siedemnastym wieku ukazały się u nas tego rodzaju „Gospodarstwa“ i „Oekonomie generalne,”²⁾ nasz księgarz krakowski musiał się ograniczyć do wydania „Inwentarza domowego“ czyli „Gospodarstwa“ z rękopisu Anzelma Gostomskiego, wojewody rawskiego, dostarczonego mu przez sławnego d-ra Oczko.

II.

Pan Anzelm Gostomski nie był człowiekiem pióra. Życie dzielił pomiędzy lemiesz i oręż. „W młodości swej rotę długo na pograniczu wodził, królom, panom swym, do ostatniego żywota swego punktu żadnej posługi nie omieszkując, którym sposobem majątność pomnożył.“³⁾ Rolnictwo uprawiał wojewoda z zamiłowaniem, był bowiem podobno zdania, „iż dobre żołnierstwo i dobry dwór, ale pług w domu jeśli go nie wspiera, słabo bardzo iść musi, chyba żeby mu fortuna łaską jaką osobiłą z nieba poświęciła.“ W kraju miał Gostomski opinię człowieka, który umie gospodarować wzorowo; każdego, kto wszedł do jego domu miało uderzać, że wszystko tam na urząd, wszystko do oszczędności, a do pożytku.“⁴⁾ Nie każdemu oczywiście danem było oglądać dom pana wojewody i na miejscu podziwiać jego rządność. Ale bliżsi i dalsi sąsiedzi mieli sposobność słyszenia nieraz o bogactwach, jakie miał zdobyć wojewoda w ciągu pracowitego ży-

¹⁾ „Gospodarstwo,” wstęp do wydania I w edycji Radwańskiego, zatytułowanej „Notaty gospodarskie,” str. 42 tekstu.

²⁾ Wielką sławą cieszyła się w siedemnastym stuleciu parokrotnie drukowana „Oekonomia Generalna“ J. K. Haura.

³⁾ Notaty Gospodarskie: Przedmowa J. Siebeneihera, str. 41.

⁴⁾ Not. Gos., str. 41. Grochowski w wierszu, umieszczonym na czele pierwszego wydania „Gospodarstwa“ Gostomskiego, nazywa naszego wojewodę „tęgim gospodarzem.“

wota. Szeroko niezawodnie rozpowiadała w Polsce szlachecka brać o tem, jak wojewoda przez swe życie „pomnożon był“ nie tylko „w trzodach, stadach, ale w wszelkich gromadach ludzi sobie poddanych,“ jak „przykupił synom imienia“ i córkom posagi dał wielkie, a pomimo to zostały mu się jeszcze ogromne kapitały.¹⁾ W owej epoce w Polsce, a nawet i na Zachodzie dobrzy, rządni rolnicy nie byli często spotykanem zjawiskiem. Tak jak księdza Marcina Grosserna prosili okoliczni „junkrzy“ ślacy, by podzielił się z nimi swem doświadczeniem i napisał im podręcznik rolniczy „Elemental oder A. b. c. Büchlein der Landtwirtschaft,“ tak i „przyjaciele i słudzy pana Anzelma uprosili go, aby za łatwiejszemi godzinami listów albo kart kilkanaście Dozoru domowego napisać kazał.“

Wojewoda przychylił się do życzenia przyjaciół, którego spełnienie mogło być pożyteczne i dla jego własnych oficyalistów v. „urzędników“ i przystąpił do przygotowania materiału, z którego mogłaby powstać polska „Oekonomia,“ godna stanąć obok dzieł „Krescentyna“ i Etienne. Gostomski, chociaż był przede wszystkim rolnikiem-praktykiem, chociaż uważał, że rolnikowi potrzebne jest doświadczenie więcej niż teoretyczna wiedza, nie był obcy literaturze agronomicznej. Można być pewnym, że znał Columellę, niewątpliwie nie obcą mu była i księga Krescentyna już od lat kilkunastu przyswojona polskiej literaturze, wiedział więc dobrze podług jakiego planu układają się podręczniki rolnicze i co się w nich zawierać powinno. Większość starożytnych i średniowiecznych książek rolniczych zaczynała się od opisu idealnego folwarku i domu, następnie uczyła o obowiązkach i zakresie władzy dworskich oficyalistów, dalej podawała tak zwany kalendarz rolniczy i specjalnie zatrzymywała się nad poszczególnemi działami wiejskiej gospodarki. Tego planu zamierzał się widoocznie trzymać Gostomski i dyktując swym dworzanom gospodarskie notaty, starał się je układać według zwykłego szematu. Bójąc się czegokolwiek zapomnieć, wojewoda dyktował jednak wszystko, co mu na myśl przyszło, często zapominając o powziętym planie. Bardzo wiele notat zapisanych zostało, jeśli się tak można wyrazić, na gorąco, pod wrażeniem zwiedzenia jakiejś części gospodarstwa lub przeczytania raportu wiejskiego.²⁾ Wiele notat

¹⁾ Po śmierci wojewody miało pozostać 400,000 zł. Not. Gos., str. 41.

²⁾ Tak np. w liście 6-ym znajdujemy taką notatę: „Experyencya. Pan przyjechał do folwarków, młynarskie świnie zastał u kapłunów, a młynarz

urywa się prawie w połowie zdania. Ale też prawie wszystkie notaty stanowiły dopiero surowy materiał, z którego miał powstać starannie obrobiony podręcznik.

Jakby wyglądało dzieło Gostomskiego, gdyby mu się udało doprowadzić swój plan do końca, możemy wnosić z jedyne go kompletnie wykończonego ustępu, zatytułowanego „Ziemia nin,” który jakkolwiek pełen reminiscencyj z Columelli, jest najzupełniej zastosowany do ojczy stych warunków i odznacza się przedziwnym stylem. ¹⁾ Wojewoda przywiązać się musiał powoli do swego przygotowywanego dzieła, to też przed śmiercią, widząc, że już nie zdąży wykończyć go i obrobić, wręczył nieuporządkowany rękopis Oczce w nadziei zapewne, że uczony doktor zrobi to, czego jemu nie było już danem wykonać. Ale Oczce nie musiało zależyć na losie pozostawionego manuskryptu; na życzenie Jakóba Gostomskiego, syna zmarłego wojewody, oddał rękopis Siebeneiherowi, ale nie uporządkował go, ani nie przerobił. Nie wiemy, niestety, kiedy zaczął wojewoda Gostomski zbierać materiały do swego dziełka, nie wiemy daty śmierci naszego agronoma, ale ponieważ pierwsze wydanie „Gospodarstwa” ukazało się w r. 1588, pan Anzelm zaś według Niesieckiego dopiero w roku 1588 otrzymał krzesło wojewódzkie, ponieważ jak się zdaje, zajmował się swem dziełem do samej śmierci, mamy prawo przypuszczać, że materiały swe zbierał nasz senator jeszcze pomiędzy latami 1583—1588, a więc prawie w tych samych latach, w których na sąsiednim Śląsku ks. Coller i ks. Grossern przygotowywali swe agromomiczne prace. ²⁾

„Gospodarstwo” Gostomskiego w tej formie, w jakiej je przechowało wydanie Sibeneihera, podzielone zostało na 16 listów.

dziury nie zaprawił” Not. Gos. str. 40. Naogół historia powstania „Notat” Gostomskiego przypomina bardzo dzieje Katonowego „De re rustica,” zobacz „Gummens Der römische Gutsbetrieb” i t. d., str. 16.

¹⁾ Tak np. Columella w rozdziale IV księgi I-szej mówi, że „pater familias quam optime debet habitare,” że dom ma być zbudowany „elegantier” i „in saluberrima parte regionis,” w miejscu, w którym „aercalore et frigore temperatus.” U Gostomskiego: „niech ma dom swój, a gotowy rządnie rozmierzony, na moc zbudowany, a ochędożny w zdrowym placu... kształtnie postawiony... w nim gmachy... zimie ciche lecie chłodne.” Columella żąda przy „villi” „fons perennis,” Gostomski mówi: „w środku podwórza woda rządzna” (N. G. 106).

²⁾ Jan Radwański w swem wydaniu „Notat Gospodarskich” przypuszcza, że napisane były pomiędzy latami 1560—1570, przypuszczenia tego jednak nie uzasadnia, str. 1.

Trudno wysledzić obecnie komu zawdzięczamy ten podział, który niezupełnie odpowiada treści samego dzieła. Gdybyśmy chcieli wydzielić w „Gospodarstwie“ jego składowe części, musielibyśmy cały zawarty w niem materiał rozdzielić na 4 grupy. A mianowicie: 1) autentyczne niezawodnie wskazówki t.j. „nauki“, jakie posyłał wojewoda swym oficyalistom poszczególnych folwarków, a więc przedewszystkiem „urzędnikom,“¹⁾ dalej klucznikom, gospodyniom wiejskim, młynarzom i piwowarom; 2) luźne notatki, jako to: „Rząd w miasteczkach ziemiańskich na krótkce zebrany,“ dalej „Porządek około gaszenia,“ „Porządek około powietrza,“ „Pamięć do szkut porządnego ładunku;“ 3) do trzeciej grupy można zaliczyć notaty robione już z myślą o „Gospodarstwie,“ przeznaczonem dla szerszego koła czytelników i grupowane według zwykłego szematu współczesnych książek rolniczych, a więc listy zatytułowane „jesień,“ „zima,“ „wiosna,“ „lato,“ dalej tak zwane „Zapowiedzi,“ t. j. jakby szemat ustawy wiejskiej, wyliczenie wszystkich czynszów i danin, jakie pobierane bywają od chłopów, wyszczególnienie wszystkich pozycyj, jakie znaleźć się powinny w „liczbie dorocznej;“ 4) ostatnią nakoniec grupę stanowi już zupełnie wykończony ustęp, zatytułowany „Ziemianin,“ o którym wspominaliśmy. Pomimo, że jak widzimy, dziełko Gostomskiego było raczej brulionem, niż wykończonym podręcznikiem, pomimo całej swej chaotyczności, niejasności i niedomówień, było tak na czasie, iż cały nakład rozszedł się szybko.

W roku 1606 sukcesorowie Jakóba Siebeneihera przystąpili już do drugiego wydania, ponieważ „egzemplarzów wydania pierwszego już dawniej nie stało.“ Pierwsze dwa wydania dziełka Gostomskiego²⁾ nosiły tytuł „Gospodarstwo,“ trzecie wydanie

¹⁾ W dziełku Gostomskiego znalazły się aż dwie nauki dla „urzędników.“ Pierwsza z nich (w wydaniu Radwańskiego str. 5) nosi następujący tytuł: „Nauka Urzędnikowi i pamięć, którą ma często czytać i tak długo, ażby to wszystko pamiętał i czynił. A ma to czytać Włodarzom i Klucznikowi zawsze przy święcie a nie w Niedzielę.“

²⁾ Pierwsze „Gospodarstwo“ w Krakowie w drukarni Jakóba Siebeneihera r. 1588; drugie „Gospodarstwo“ w Krakowie u wdowy Jakóba Siebeneihera. W pierwszym na karcie tytułowej umieszczony jest wiersz St. Gro. (Stanisława Grochowskiego), zachwalający dziełko czytelnikom. Obok tekstu znajdowały się i próżne karty, na których czytelnicy mieli zapisywać swe własne spostrzeżenia gospodarskie, albowiem „stąd wszystkie nauki pomnożenie brały, gdy ich przemysły ludzkie z lekka przyczyniały.“ Oba pierwsze wydania dedykowane były przez wydawców synom wojewody; przy drugim

z roku 1644 otrzymało od nowego wydawcy modny tytuł „Oekonomii.“ Potrzeba aż trzech wydań dziełka Gostomskiego wymownie świadczy, jak ono było popularne i poszukiwane. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że późniejsi polscy agronomowie, jak Theodor z Zawad Zawadzki, czy nawet tak wzięty później Hauet hojną ręką czerpali z doświadczeń, zawartych w książce wojewody Gostomskiego, to przyznamy, że jego niewykończona praca musiała wywrzeć duży wpływ na gospodarkę w Polsce, a w części nawet na ukształtowanie się stosunku dworu do wsi. Ta okoliczność podnosi jeszcze znaczenie naszego „Gospodarstwa“, jako źródła historycznego. Znaczenie Gostomskiego ocenili polscy badacze już w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, co niewątpliwie przynosi zaszczyt intuicji naszych uczonych. Kiedy angielska nawet „Fleta“ nie doczekała się współczesnego wydania, kiedy napróżno szuka się po bibliotekach podręczników Cole-
ra czy Etienne, dzieło Gostomskiego już w wieku zeszłym doczekało się dwóch wydań, umożliwiających korzystanie z tego cennego źródła dla wszystkich. Już w roku 1844 J. K. Wójcicki przedrukował „Gospodarstwo“ z trzeciego wydania z roku 1644 w swej Bibliotece Star. (tom III). W roku 1856 Jan Radwański puścił w świat nowe wydanie Gostomskiego, oparte „na porównaniu trzech poprzednich, pod zmienionym, a dobrze do formy dzieła zastosowanym tytułem „Notat Gospodarskich.“ Radwańskiemu przypada też zasługa, iż pierwszy dowiódł, co zresztą nie przedstawiało wielkich trudności,¹⁾ iż nasze „Gospodarstwo“ napisał wojewoda Anzelm, a nie Sibeneiher, jak sądził Chromiński, ani Jakób Gostomski, jak przypuszczał Maciejowski. Wielki nacisk

wydaniu na karcie tytułowej znajduje się wiersz, wysławiający rodzinę Gostomskich i jej herb Nałęcz.

¹⁾ W przedmowie do wydania I-go Siebeneiher, dedykując dziełko Jakóbowi Gostomskiemu, wyraźnie zaznacza, że napisane było przez jego ojca, wojewodę Rawskiego. Na zasadzie herbarzy Paprockiego i Niesieckiego łatwo skonstatować, że wojewodzie Rawskiemu, ojcu Jakóba, Gostomskiemu było na imię Anzelm, zwłaszcza, że Niesiecki Anzelma Gostomskiego, mianowanego wojewodą Rawskim w roku 1583, nazywa mężem „bystrego rozumu i w ekonomicznych rzeczach nad inne biegłym.“ Radwański zrobił próbę napisania życiorysu Anzelma Gostomskiego, opierając się na herbarzach i na licznych danych, znajdujących się w przedmowach drukarzy do obu pierwszych wydań. Pewną wartość posiadają uwagi przeważnie dotyczące się języka, przy pomocy których starał się Radwański ułatwić zrozumienie nieraz bardzo zawilego tekstu.

położył w swej przedmowie Radwański na znaczenie naszego „Gospodarstwa,” jako źródła do historii prawa ziemiańskiego, prawa pańszczyźnianego i miał najzupełniejszą słuszość co do tego: w niewykończonem, nieuporządkowanym dziełku wojewody, wolnem od współczesnej mu pseudo-naukowości, znajdziemy żywy obraz tego, jak się rządził, jak siał i orał, jak się obchodził z chłopami bogaty szlachcic rawski w końcu wieku szesnastego. Znajdziemy w niem nietylko autentyczny inwentarz i instruktarz Gostomii Wielkiej i Małej, nietylko ważny rozdział z agrarnej historii rawskich wiosek wojewody, ale obraz tych stosunków, które, panując w jednym zakątku polskiej ziemi, zostały przedstawione całemu krajowi, które były rozpatrywane po dworach wielkich panów i pod strzechą kilkowłótkowych ziemian, wszędzie służąc za wzór pożądaný, w niejednej wiosce stając się normą, do której się miała dostrajać cała gospodarka. Jako źródło do historii agrarnej, „Gospodarstwo” Gostomskiego można śmiało postawić obok pierwszej księgi Columelli, obok Flety czy Hersebacha.

III.

Jak świadczy rozdział, zatytułowany „Ziemianin,” który, jak już wiemy, w dość luźnym stoi związku z resztą „Gospodarstwa,” Gostomski zamierzał widocznie zastosować swój podręcznik do potrzeb przeciętnego polskiego szlachcica. Ale, jak zaznaczyliśmy, przedsięwzięcie wojewody nie zostało urzeczywistnione i z tłoczni drukarskiej wyszły właściwie tylko materyały zebrane z praktyki gospodarskiej wojewody. Wojewoda był, jak na stosunki panujące w Rawskim województwie, gdzie, podobnie jak na Mazowszu, przeważały drobne folwarki, człowiekiem bardzo zamożnym, w porównaniu do okolicznej szlachty był panem prawdziwym, to też „Notaty Gospodarskie” mogą się przedewszystkiem przyczynić do wyświeetlenia podstaw, na których opierała się wielkopańska gospodarka w tych częściach Polski, gdzie nie było wielkich latyfundijs.¹⁾ Dobra, z których zarządu wyniósł swe do-

¹⁾ Kwestya ta, mojem zdaniem, ma szersze znaczenie. Wiadomo jest, że znaczenie naszych możnowładczych rodów opierało się nie na pochodzeniu, lecz przedewszystkiem na środkach, jakimi rozrządzali. Ród, który, jak to

świadczenie Gostomski, składają się, jak widzimy z naszego źródła, z paru wsi i miasteczka, będącego ich centrum ekonomicznem. Całe dobra, czy też część ich leżą nad Wisłą. „Gospodarstwo“ niema charakteru wyłącznie rolniczego, ale raczej rolniczo-przemysłowo-handlowy. „Pan“ taki, jakim go widzimy w „Gospodarstwie“, jest wielkim kupcem hurtowym, który całkiem opanowuje miejscowy rynek, przynajmniej wywozowy. Oczywiście w zakres obrotów handlowych naszego pana wchodzi przedewszystkiem zboże. Przy ówczesnych opłakanych stosunkach komunikacyjnych ceny zboża w danym zakątku kraju zależały w znacznej części od miejscowych producentów, względnie miejscowych kupców. W ten sposób wielki właściciel ziemski, trudniący się jednocześnie handlem zbożowym, mógł dowolnie prawie regulować ceny zboża, a w ten sposób trzymać w szachu nie tylko swych własnych poddanych, ale i szlachtę okoliczną, nie będącą w stanie wysłać zboża wyprodukowanego przez siebie bezpośrednio do Gdańska. Metody handlowe, których trzyma się nasz wojewoda, nie są skomplikowane. Należy się stale informować o cenach zboża na miejscowym rynku, gdy zboże jest tanie, należy je kupować od okolicznych producentów. Zaleca się i sprzedawać na miejscu zboże, ale, powiada Gostomski, „kto chce pieniądze zebrać poważne“ nie powinien się śpieszyć z opróżnieniem swych śpichrzy, lecz zachować je pełnymi „na drogocność.“ Do Gdańska należy szkuty ze zbożem wysłać jaknajprędzej po żniwach, bo wtedy ceny są wysokie; by sobie ułatwić tę operację, zaleca Gostomski rządcom swych dóbr zmuszać chłopów wczesną jesienią do przymusowego pożyczania dworowi wymłóconego ziarna.

Głównym terenem operacji miejscowych jest dla pana oczywiście jego własne miasteczko, o ile je posiada w swych dobrach. Nasz wojewoda żąda, by na targ miasteczka nie dopuszczano mąki z majątków innych właścicieli, mile widziani są natomiast producenci przywożący ziarno. Handel zbożowy, prowadzony w sposób, jaki wskazują zebrane wskazówki z „Gospodarstwa“, wymagał znacznego, jak na owe czasy, kapitału obrotowego, który rósł

się stało np. w wieku XVI-tym z Tarnowskimi, nie utrzymał swego majątku, tracił znaczenie. Podstawy finansowe rodzin małopolskich, mających ogromne latyfundia, są jasne. Co do rodzin magnackich z innych części Polski ważne jest zbadać, czy nie mając wielkich majątków ziemskich nie były czasem posiadaczami większych kapitałów obrotowych, przy pomocy których utrzymywali w zależności od siebie biedniejszą brać szlachecką.

szybko, to też nie wydaje się nieprawdopodobnem, że nasz wojewoda, jak to już wspominaliśmy, posiadał przed śmiercią już po zapłaceniu posagu córkom i dokupieniu synom mienia—400,000 złp. Handel zbożem, prowadzony przez naszego wojewodę, nie jest jedynym dowodem, stwierdzającym, że jego gospodarstwo opierało się na obrotowym kapitale. Więc Gostomski przedewszystkiem wszystko kupuje hurtownie i to nietylko na własny użytek, ale także, przynajmniej niektóre produkty, i na potrzeby poddanych. Mają urzędnicy wojewody sprowadzać przy okazji z Torunia różne towary np. węgorki, śledzie, sól i żelazo, a potem odprzedawać je poddanym po cenach targowych. Kupowanie produktów trzymanych na składzie dworskim pociąga na poddanych karę 16 grzywien. Mamy tu więc do czynienia z dobrze znanym i poza granicami Polski handlowym monopolem dworu, z którego korzystanie wymagało posiadania kapitału. Dziwnym naprawdę i czczym frazesem musi się wydać, po przytoczonych przez nas faktach, sentencja Gostomskiego, że „sromota temu kupczyć, komu Pan dał ziemię.“ Być może, iż wojewoda rozumiał słowo „kupczenie“ w jakimś specjalnem tylko znaczeniu, być może, że nie pojmował przez nie „kramarstwa;“ nie przeszkadzało mu to jednak dawać rady, by pan włości wkładał część swego kapitału właśnie w drobny kramarski handel miasteczkowy. Ponieważ jednak prowadzenie tego rodzaju handlu pod własną firmą stanowczo już nie godziło się z ówczesnemi pojęciami o honorze szlacheckim, więc wojewoda radził wypożyczać pieniądze „ubóstwu handlującemu.“ Oczywiście należy dawać kapitalik tym mieszczanom, którzyby się tem „wspomogli, a nie utracili;“ dochód miały obie strony, to jest pan i sklepikarze, dzieląc na równe części „za równym pożytkiem.“ Udzielanie mieszczanom kapitału potrzebnego do rozpoczęcia handlu, powinno mieć jednak według rad Gostomskiego i inny dalszy cel. Chodziło mianowicie o rozbudzenie ruchu handlowego w miasteczku, gdyż w ten sposób ściagało się kupujących, a co zatem idzie, zwiększało się dochody dworskie z targowego, mostowego i t. d. To też wojewoda w razie potrzeby zaleca udzielać mieszczanom nawet bezprocentowych pożyczek. Posiadanie kapitału pozwalało panu takiemu, jakiego poznajemy z naszego źródła, prowadzić i przedsiębiorstwa przemysłowe. Przemysł, o którym wspomina Gostomski, wchodził głównie w zakres gorzelnictwa i piwowarstwa, młynarstwa, nakoniec przemysłu leśnego. Mąkę zaleca nasze źródło produkować nietylko na własny użytek, ale i na eksport do Gdańska, tudzież na potrzeby targu w miasteczku, na który nie powinno

się dopuszczać obcej maki, ani też gotowego pieczywa. Nie małą rolę przypisuje wojewoda gorzelnictwu, a zwłaszcza piwowarstwu. Gorzałkę zalecał wyrabiać z jarki, piwo z jęczmienia. Oba te produkty nieobliczone jednak były na wywóz dalszy, lecz jedynie na konsumpcję miejscową. Część piwa szła na potrzeby dworu, „cienkusz“ czyli inaczej „taźbor“ dawano czeladzi, resztę piwa, tudzież nie zużytą przez dwór gorzałkę, rozdzielał „urzędnik“ pomiędzy karczmy, pilnie „przyglądając, aby karczmy bez piwa nie bywały.“ Monopol propinacyjny uznawał Gostomski, jako fakt zwyczajny, to też zalecał pilnować, by po wsiach nie wyrabiano poza dworem i nie sprzedawano trunków z cudzych dóbr pochodzących.

Gostomski nie był bynajmniej zwolennikiem rozpajania chłopów; godnem jest jednak uwagi, że już on w wieku szesnastym ważną rolę przypisuje propinacyi. W czasach nieco późniejszych w wieku XVII i XVIII stała się ona osią, około której obracała się cała gospodarka w Polsce i w niektórych krajach habsburskich. Obok młynarstwa i propinacyi, większą rolę, jak zaznaczyliśmy, odgrywa u Gostomskiego przemysł drzewny. Nasze źródło wspomina o produkowaniu przy pomocy dworskich rzemieślników smoły, a dalej gontów, desek, beczek i obręczy. Z wyrobów tych w dobrach wojewody były obliczone na sprzedaż beczki, gonty, a niezawodnie i deski, które tarto w tartakach wodnych tak zwanych „tartych młynach.“ Pozatem wojewoda wspomina jeszcze o produkowaniu na sprzedaż cegły, gwoździ, a dalej oleju lnianego, konopnianego i rzepakowego, który miał głównie zasilać rynek miejscowy. Oprócz tego czytamy w naszych notatach o produkowaniu na wsi własnymi siłami, z własnych lub hurtownie nabytych materiałów wszystkiego, co potrzebował dwór i gospodarstwo, zaczawszy od mat, skończywszy na obrusach. Widzimy więc, że w takich dobrach, jak wojewody Gostomskiego, działalność przemysłowa była różnorodna i ożywiona. I ona, podobnie jak wielki i drobny handel prowadzony przez dwór, wymagała obrotowego kapitału, to też wojewoda przy końcu swego dziełka otwarcie wyznaje, że zarządzający gospodarstwem urzędnik, „zgromadziwszy pieniądze, ma robić niemi.“¹⁾

¹⁾ Tak różnorodna działalność przemysłowa wymagała oczywiście dużej ilości specjalistów rzemieślników, którzy nadto, jak zobaczymy, pomagali niekiedy w dworskich polnych robotach; mieli oni prawo przyjmować obstalunki i od poddanych dziedzica, a nawet i od obcych, w wieku siedemnastym dbali

Musimy podnieść jeszcze jeden charakterystyczny rys, który cechuje gospodarkę Gostomskiego: jest ona ściśle merkantylistyczna. We wsi środkowej Europy szesnastego wieku merkantylizm panował już w najlepsze.¹⁾ Można go wówczas było obserwować zarówno we wsi polskiej, jak czeskiej, jak i brandeburskiej. Grossman, charakteryzując w swej cennej, obiektywnie napisanej monografii położenie wsi brandeburskiej w wieku szesnastym, zwrócił głównie uwagę na polityczną stronę wiejskiego merkantylizmu, który według niego był rezultatem tej okoliczności, że dobra rycerskie były naówczas jakby „państwem w państwie.“ Państwem w państwie była za czasów Gostomskiego i wieś polska i to stało się powodem, jak zobaczymy, iż rozwinęły się w niej już wówczas i ekonomiczne cechy merkantylizmu, które uderzają chociażby przy powierzchownem zaznajomieniu się z notatami naszego wojewody. Rys zasadniczy jego gospodarki, to jest dążenie do tego, by jak najwięcej pieniędzy ściągnąć do kasy dworskiej, jak najmniej gotówki wydać za granice swej własności, harmonizuje w zupełności z zasadami merkantylizmu; również i środki, przy których pomocy Gostomski zdążył do tego celu, są zupełnie zgodne z merkantylizmem.²⁾ Więc naprzód stara się jak najwięcej ludzi ściągnąć do swych posiadłości, bo „ubi populus ibi obulus,“ „kiedy ludzi więcej, więcej też pieniędzy.“ Następnie stara się wojewoda wysyłać swe produkty zagranicę, o ile możliwości nie w surowym, ale przerobionym stanie, więc zboże w postaci mąki, proso „potłuczone“ na kaszę jagłąną, wszystko zaś, co potrzebuje dwór i folwark, a nawet wieś, sprowadzać w surowym stanie, o ile to już konieczne, i przerabiać na miejscu.³⁾ W tym

o powodzenie swych browarów i gorzelnii dziedzice, starali się nawet specjalnie o takich rzemieślników, „do których postronni zjeżdżają ludzie,“ i w ten sposób „karczmiem do wyszynku pomagają.“ J. K. Hauer: „Ziemiańska generalna Oekonomia,“ Cracovia r. 1679, str. 175.

¹⁾ Porów. Friedrich Grossmann: „Über die gutsherlich bauerlichen verhältnisse in der Mark Brandenburg.“

²⁾ Not. Gos. str. 91: „Pan, który chce pieniądze zebrać pobożnie... z tem, co się doma rodzi, tak się miarkuje, aby wszystkiego uprzedać, a nie przyku-pować;“ na str. 33: „Urzędnik ma strzedz, aby w folwarczech (z pieniędzy) za żyto i za inne zboże wydatek drobny nie był—bo się najdzie za co innego pieniędzy na folwarkowe wydatki zebrać.“

³⁾ Nawet wino chciał zastąpić wojewoda wyrabianym na miejscu jabłecz-nikiem i „gruszczeniakiem“ i wiśniaki. Podobnie „konfektu i przysmaki“ na-

celu wymaga wojewoda, by w każdej włości byli dworscy rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, a więc kowale, smolarze, bednarze, tkacze, kołodzieje i t. d. W swej włości-państwie wojewoda stosuje nawet metody, przypominające protekcyjnizm, a więc, jak widzieliśmy, udziela nawet bezinteresownych zapomóg mieszcza-
nom na prowadzenie handlu, z drugiej strony, chcąc obronić od konkurencyi młyny swoje i swych poddanych, tudzież mieszczańskie piekarnie, niedopuszcza na rynek miejscowy obcej mąki i pieczywa. Podobnie miała się sprawa z dworską propinacją. Z systemem merkantylnym nakonec harmonizował kompletnie i monopol solny, który, jak wiemy, istniał w dobrach wojewody i niezawodnie przynosił niemałe zyski. Dziwnem napozór się zdaje, że w Polsce już w XVI-tym wieku opierano wiejską gospodarkę na systemie, który dopiero w następnem stuleciu doszedł do rozkwitu i zapanował nad gospodarką państwową wielu krajów europejskich. Nie należy jednak zapominać, że merkantyizm, jakkolwiek otrzymał swą nazwę i teoretyczne ujęcie dopiero w wieku osiemnastym, rozwijać się zaczął na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii, już w końcu wieków średnich, z drugiej strony zasady w części zbliżone do późniejszego merkantyizmu odnośnie wiejskiej gospodarki, głosili rzymscy agronomowie od czasu Catona. Villa taka, jaką znamy z dzieł Catona, a zwłaszcza Columelli, jest osobną jednostką, wytwarzając wszystko o ile możliwości na miejscu, miejscowymi siłami, starannie broniącą swej ekonomicznej odrębności. Zasada Catona, że „patrem familias non emacem, sed vendacem esse oportet,” pewnie brzmiała w uszach Gostomskiego, kiedy zapisywał w swych notatach napomnienie, by pan z tym, „co się doma rodzi, tak się miarkował, aby wszystkiego uprzedać, a nie przykupować.” Wojewoda jednak nie był człowiekiem, któryby na ślepo przyjmował cudze myśli, chociażby nawet takiego mistrza, jakim był dla owoczesnych rolników Columella. Gostomski kazał swym rządcom i przyjaciółom gospodarować według zasad, przypominających teorye merkantylistów i rady rzymskich agronomów, bo one naówczas odpowiadały interesom szlachty, zasklepionej w swym egoizmie, bo wieś polska, będąca już od lat dziesiątków rzeczywistym państwem w państwie, zmierzała już za jego czasów w kierunku skrajnego separatyzmu ekonomicznego i politycznego, któremu klasyczny wyraz da w dwa wieki później

leży robić w domu, a nie sprowadzać z Gdańska, bo „tylko to Polszcze przystoi, co się w Polszcze rodzi“ str. 79.

księżna Anna Jabłonowska w swej sławnej „Ustawie dla dóbr moich rządców.“¹⁾

IV.

Gospodarstwo rolniczo-handlowo-przemysłowe, jakie prowadził Gostomski i jakie prowadzić zalecał swym czytelnikom, wymagało dobrze wyszkolonych oficjalistów. Sam pan nie mieszkał w dobrach stale, przyjeżdżając do nich od czasu do czasu; jednakże zachował w swych rękach zwierzchni nadzór nad majątkami, utrzymując z nimi wciąż styczność, bądź to przy pomocy raportów, przesyłanych mu peryodycznie przez zarządy poszczególnych folwarków, bądź to przy pośrednictwie rewizorów, którzy wysyłani byli przez dwór do pojedynczych wsi, by sprawdzić, azali nie dzieje się szkoda jaka, dotycząca dziedzica, tudzież ażeby zabezpieczyć go od możliwego wyzysku ze strony miejscowych oficjalistów. Obok rewizora, po wsiach ma jeździć także główny ekonom, który, jak wiadomo, za czasów Rzeczypospolitej miał daleko większe znaczenie, niż obecnie i odpowiadał naszym współczesnym administratorom i rządcom dóbr. Ekonom za przybyciem do wsi sprawdzał i weryfikował rachunki, przedstawione przez tak zwanych „urzędników;“ ekonomowie też obmyślali z panem cały plan gospodarki. Rzecz charakterystyczna, że w „Notatach“ Gostomskiego nie znalazło się specjalnej „nauki“ dla „ekonomoma.“ Było to zapewne rezultatem tej okoliczności, że ekonom, przebywający stale w głównym folwarku, gdzie znajdowała się czasowa przynajmniej rezydencja dziedzica, częściej się z nim komunikował i odbierał od niego za każdym razem ustną instrukcję, oprócz tego ekonom, zarządzający całym kluczem, mający zwierz-

¹⁾ Księżna Jabłonowska: „Ustawa Powszechna dla dóbr moich rządców,“ Siemiatycze, 1784. Porównaj rozbiór tego dziełka u Bocheńskiego: „Beitrag zur Geschichte der Gutsherlichbauerlichen Verhältnisse in Polen auf Archivalischer Quellen der Herrschaft Rock.“ Równie skrajny separatyzm ekonomiczny cechuje opracowany przez d-ra Stefana Pawlika Instruktarz ekonomiczny z roku 1784; zobacz, Pawlik: „Zasady gospodarskie w Polsce w połowie XVIII wieku według J. z roku 1784.“ Jako klasyczny przykład separatyzmu ekonomicznego w Polsce mogą służyć i dobra Końskowolskie (Puławskie), które jeszcze w końcu wieku XVIII-ego starają się ograniczyć do minimum nietylko import, ale nawet eksport. Porów. moje: „Z dziejów gospodarki rolniczej w Polsce.“

chni nadzór nad zarządami pojedynczych wsi, miał zbyt rozległe zadania do spełnienia, by się je udało wojewodzie ująć w szczególową „naukę.“ Za to posiadamy w naszych notatach, aż dwie nauki dla „urzędnika,“ który zarządzał jednym folwarkiem i wszystkimi należącymi do niego wsiami. „Urzędnik,“ jak widzimy z naszego źródła, kierował gospodarstwem rolnem, miał nadzór nad wszystkimi przemysłowemi i handlowemi przedsiębiorstwami dworu, załatwiał wszelkie kancelaryjne czynności, jakie się nadarzyły; z drugiej strony zastępował pana w wykonywaniu władzy nad poddanymi. Od urzędnika wymaga się nie tylko uczciwości, pracowitości, ale i pewnego zasobu wiadomości rolniczych, gdyż obdarzony on jest szerokimi pełnomocnictwami. Wojewoda poleca nawet swym urzędnikom wyszukiwać nowe źródła dochodu, obiecując im w razie pomyślnych rezultatów połowę czystego zysku. Rzecz charakterystyczna, że Gostomski w razie potrzeby pozwala urzędnikom zwracać się do pana listownie, czy ustnie, chociaż, jak wiemy, między nim a dziedzicem było w zarządzie dóbr ogniwo pośrednie w postaci ekonoma. Zaznaczyliśmy już parokrotnie, że wojewoda, jakkolwiek znał starożytnych agronomów, nie trzymał się ich ślepo. Widzimy to i przy sposobności traktowania przez niego urzędników, którzy odpowiadali prawie zupełnie rzymskim villicus,¹⁾ pomimo to mają większy zakres działania i większe pełnomocnictwo, niż ci ostatni. Zdaje się jednak, że urzędnicy często nadużywali swej władzy i, jak ongi merowie we francuskich dobrach średniowiecznych, mieli tendencję do przywłaszczania sobie w pewnym przynajmniej stopniu

¹⁾ Zarówno Cato, jak Columella, chcą mieć w urzędniku ślepego wykonawcę woli Pater familias i pozbawiają go wszelkiej inicjatywy, niewolno mu nawet nic sprzedać „insciente domino“ (Cato I, V, 4). Nic dziwnego też, że od urzędnika wymaga Gostomski większej wiedzy, niż rzymianie od villicus'a. Urzędnik ma lepiej umieć gospodarować, „niż pan z doktorem,“ (Not. Gos. str. 7), natomiast Cato przestrzega co do villicus'a „ne plus censeat sapere se, quam dominum“ (Cato I, V, 2). Urzędnik, który odczytywał instrukcje, robił rachunki i rejestra, korespondował z panem, musiał mieć przynajmniej elementarne wykształcenie, tymczasem villicus Columelli ma być „illiteratus,“ albowiem „nescius litterarum, vel ipse minus possit rationes confingere, vel per alium propter conscientiam fraudis timeat,“ I, VIII, 4. Charakterystyczne jest, iż Gostomski, wymagając pewnego doświadczenia od urzędników, radzi się im jednak uczyć w razie potrzeby od chłopów, jak gospodarować, podczas gdy Columella uważa, że nie wypada, aby villicus uczył się czegokolwiek „ab subiecto,“ I, VIII, 3.

prawa własności na zarządzanych przez siebie ziemiach pańskich. Nasz wojewoda wspomina, iż urzędnicy umieją odrywać grunta folwarczne i wydzierżawiać je na swą korzyść nawet chłopom z obcych wsi, że posługują się samowolnie na swój własny użytek pańskim robotnikiem pańszczyźnianym.¹⁾ Chcąc zapobiedz nadużyciom podobnego rodzaju, Gostomski nie ograniczał się do wysyłania po folwarkach rewizorów, ale wymagał od poddanych, by pilnie szpiegowali urzędników i donosili mu o każdym ich występku. Wojewoda pozostawił wskazówki i co do tego, w jakiej sferze szukać urzędników. Nie pochwalał on istniejącego naówczas zwyczaju powierzania zarządu majątku drobnym szlachetkom, „którzy przegorzałowali a przekarczмили“ swe majątności i radził wziąć na urzędnika „dobrego gospodarza w sobie“ — sługę wychowanego we dworze. Godność urzędnika nie była oczywiście dziedziczną, ale roztropny wojewoda radził, by po urzędniku następował jego dotychczasowy pomocnik, zwany przez wojewodę bądź to „przystawem,“ bądź to „namiestnikiem,“ który był bądź to własnym sługą urzędnika, bądź to danym mu przez oficjalistę. Nie podaje Gostomski, jakie wynagrodzenie powinien pobierać urzędnik, dowiadujemy się od niego jedynie, że powinno się ono składać z ordynaryi, t. j. z tak zwanego „wychowania,“ z pieniężnej pensyi i pola. Skądinąd jednak wiemy, że wynagrodzenie, przynajmniej pieniężne, urzędników nie było naówczas zbyt wysokie. Rewizya dóbr królewskich na Mazowszu, dokonana właśnie w czasie, gdy wojewoda zbierał swe materyały, wykazuje, jako wynagrodzenie urzędników po folwarkach do starostw należących 8 florenów. Chcąc plastycznie przedstawić znaczenie głównych wiejskich oficjalistów, wojewoda porównuje urzędnika do sędziego, klucznika do podsędka, włodarza do pisarza. Pomimo jednak tego porównania, stawiającego włodarza obok urzędnika i klucznika, sprawuje on swoje obowiązki na zupełnie innych zasadach, pozostaje w innych stosunkach do pana niż tamci. Gdy klucznik i, jak wiemy, urzędnik wyznaczani byli z pomiędzy służby dworskiej, a nawet spotykało się wśród nich podupadłych szlachetków, włodarzy mianuje pan z pośród poddanych kmieci i zachowuje sobie nad nim władzę życia i śmierci.²⁾ Włodarz za

¹⁾ Wojewoda naznaczał na występnych urzędników wysokie kary, np. jeśli urzędnik rozmyślnie „uczynił sobie pożytku 10 złotych“ dawał panu za karę 100 zł. Not. Gos. str. 11.

²⁾ Not. Gos. str. 96: Włodarz, który zełże, tego karać, a którego trzykroć skarawszy o leż—czwarty raz na szubiennicę.

swe usługi otrzymywał wynagrodzenie w postaci pola dworskiego, które miał sobie dobrze zaorać i pożąć. Należy też przypuszczać, że wóldarza już za czasów Gostomskiego, podobnie jak się to działo później, „liberowano“ od danin i robocizn. O pieniężnem wynagradzaniu wóldarzy nie wspomina nigdzie wojewoda, nie znajdziemy o niem wzmianki i w rewizyi dóbr królewskich na Mazowszu, na którąśmy się już powoływali, nie mówią o niej i znane nam źródła późniejsze, przypuszczamy więc, że musieli się oni zawsze kontentować „opatrzeniem w naturze.“ Wóldarz, według naszego źródła, był wykonawcą poleceń urzędnika, doglądał pańszczyźnianego robotnika z jednej wsi, której „rozkazywał,¹⁾ w tej czynności pomagają mu dziesiętnicy, wyznaczani pośród zamożnych kmieci. Oprócz tego do pomocników wóldarza należeli karbowi—„karbarze,“ jak ich nazywa nasze źródło, którzy zgodnie ze swą nazwą oznaczali karbami ilość wymłóconego na gumnie zboża, a następnie oddawali swe karby wóldarzowi. Wóldarze i dziesiętnicy rozrzućeni byli po wsiach, należących do folwarku, ale i na samym folwarku miał urzędnik Gostomskiego podwładnych oficjalistów zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej. Więc klucznik, którego wojewoda gdzieś indziej identyfikuje z szafarzem, ma nadzór nad dworem, zwłaszcza w nieobecności dziedzica, a nadto jest piwniczym, magazynierem, dozoruje młynarza, ma nadzór nad stróżą.²⁾ Obok klucznika na folwarku rezyduje tak zwana „dworka,“ to jest gospodyni, która ma ponad sobą w większych dobrach, należących do „młodzieńców lub wdowców,³⁾ zwierzchniczkę w postaci „starej Pani,“ zastępującej samą dziedziczkę i mającej ogólny nadzór nad całym żeńskim go-

¹⁾ Not. Gos. str. 8. Wojewoda nie wspomina, czy wóldarz miał jaką władzę nad poddanymi poza robotami pańszczyźnianymi, wspomina natomiast o dozorowaniu przez dziesiętników „dziesiątek,“ na które wieś była podzielona. Być może, że wóldarz miał podobną władzę nad całą wsią, odpowiadając w ten sposób ściśle wójtom z innych okolic, z jakimi nas zapoznaje np. ks. Jabłonowska w swem dziełku.

²⁾ Not. Gos. str. 35, 36. O wynagrodzeniu klucznika nie informuje nas wojewoda, w dobrach królewskich na Mazowszu pobierali naówczas klucznicy po 2 floreny; Arch. ks. Czartoryskich Rkps 3067.

³⁾ Sam Gostomski często jednak miesza „dworki“ ze „staremi paniami.“ Rękopis ks. Czartoryskich № 3067 niema „dworek,“ a tylko „stare panie,“ które znajdują się po wszystkich folwarkach i pobierają 2 floreny wynagrodzenia. Gostomski wspomina, że dworkom wolno jest chować na dworskiem swoje świnie. Not. Gos. str. 73.

spodarstwem. „Dworkom“ i „starym paniom“ poświęcił Gostomski aż dwa obszernie rozdziały, w których mamy dużo materiału zarówno do poznania zakresu władzy tych oficjalistek, jak i do zaznajomienia się ze współczesnem kobiecym gospodarstwem, które naówczas było dość wszechstronne. „Dworka“ więc, względnie „stara pani“ prowadzi gospodarstwo mleczne, chów drobiu, dozoruje ogród warzywny, pilnuje przedzenia, przygotowuje wszelkiego rodzaju zapasy spiżarniane, zaczynając od suszonych ryb i kasz, a kończąc na winach owocowych, małdzykach, plackach, „konfektach“ i innych przysmakach. Do oficjalistów wiejskich, wymienionych przez Gostomskiego, należeli jeszcze piwowar i w części młynarz, który zajmował stanowisko pośrednie pomiędzy oficjalistą a dzierżawcą. Młynarz brał młyn w antreprzyżę, a za to obowiązany był dozorować grobli, stawu i wszelkich urządzeń we młynie, a także wykarmiać dworskie świny „chudziki.“ Ponadto młynarz u Gostomskiego jest jeszcze dworskim cieślą,¹⁾ ma „opatrywać w przyległym dworze podwaliny, rynny, węgły... i około dachów, aby nigdzie nie ciekły; tak też każdej rzeczy poprawić, co na cieśle należy.“ Jeśli młynarz nie spełniał obowiązków tego rodzaju, pan zajmował jego rzeczy.²⁾ Najgłówniejszym jednak obowiązkiem młynarza było dawanie do dworu „pańskiej miary,“ jak mówi Gostomski, to jest opłaty w naturze proporcjonalnej do ilości zmiętego zboża. Wielkości „miary pańskiej“ nie podaje nasz wojewoda, wiemy jednak, że była ona wysoka, dochodząc w niektórych majątkach do $\frac{2}{3}$ dochodu samego młynarza. To też dochód z młyna stanowił wcale poważną pozycję w budżecie właściciela dóbr ziemskich, o ile mu się udało, jak to radził Gostomski, otoczyć młynarza tak czujnym nadzorem, by nie mógł ukrywać ilości mielonego zboża.³⁾

¹⁾ Podobnie i w innych częściach Polski młynarze byli jednocześnie cieślami; działo się tak i na pół już polskiem naówczas Podlasiu, np. na początku wieku XVI-go magnat podlaski Niemira Hrymalicz nadaje młynarzowi Janowi swój Drażniewski, zobowiązując go, oprócz innych świadczeń, do pomagania dworskim cieślom i naprawiania we dworze, jeśli się co „zkaży“ albo stół, albo drzwi, albo ława. Rękopis Metryki Litewskiej w Moskwie, Księga zapisów № 25, f. 212.

²⁾ „Który omieszka karać, albo dom odrzeć,“ Not. Gos. 39.

³⁾ Gostomski więc radzi nie tylko oddać młynarza pod nadzór klucznika, ale nawet osadzić we dworze specjalnego dworskiego „miernika.“ Not. Gos. str. 39.

Wielokrotnie wspominają „Notaty gospodarskie“ o dworskiej czeladzi, nie dając jednak dokładniejszych informacji co do tego, z ilu osób składała się ona i jakie były jej obowiązki; sama ta jednak niedokładność w traktowaniu czeladzi jest dowodem znanego zresztą faktu, że w końcu szesnastego stulecia wobec rozwoju pańszczyzny, wobec rozpowszechnienia zwyczaju, znanego nam już z rozbioru naszego źródła, osadzania na wsi rzemieślników, pomagających przy żniwach, a nawet przy pielieniu dworowi, nie odgrywała czeladź prawie żadnej roli. Z nielicznych napomknien wojewody dowiadujemy się zresztą, że czeladź zatrudniona była głównie przy oborze, pasła bydło i przygotowywała dla niego karmę. Podobnie działo się naówczas i w królewskich mazowieckich, w których, jak wykazała ówczesna rewizya, znajdowało się zwykle na każdym folwarku po 2 dziewczki, po jednym parobku, po jednym lub dwóch pastuchów, którzy łącznie otrzymywali 4 do 5 florenów rocznie.

V.

Niełatwo jest na zasadzie notat Gostomskiego rekonstruować metody, których trzymał się wojewoda przy uprawie roli. Rad swych i wskazówek z tej dziedziny nie zebrał on razem, nie ułożył systematycznie, tak jak to uczynili wzorem starożytnych agronomów współcześni francuscy i nadreńscy pisarze, a nawet księża Coler, Grossern z bliskiego pokrewnego Ślązka. Z pojedynczych zdań, rozrzuconych po całym dziele, z niedokończonych często wskazówek, trzeba zbierać rysy metody, której się trzymał wojewoda. Naogół mówiąc, gospodarka wojewody nie stała nisko, jeśli ją prowadzono rzeczywiście tak, jak to czynić zalecał swym rządcom i czytelnikom. Ustępowała w swej intensywności gospodarce francuskiej, takiej, jaką poznajemy z dziełka Etienne i idącej jej śladami nadreńskiej, które w wieku szesnastym znały już obsiewanie łąk lucerną i innemi roślinami, dającemi paszę dla bydła, które używały do użyźniania gruntów wapna i marglu, ale nie stała niżej od gospodarki, jaką naówczas prowadzono we wschodnich prowincjach Niemiec i w Czechach. Gostomski sam praktyk w gospodarstwie, który utrzymywał, że „rozum nie tak wiele leży w nauce, jako w eksperyencyi, bo wielu uczonych nie umieją nic czynić, albo wykonać,“ nietylko nie gardził radami starych rzymskich agronomów, ale nawet nie jedno od nich przejął. Im przedewszystkiem zawdzięczał on niewątpliwie swe prze-

konanie o konieczności obfitego nawożenia pól, a co za tem idzie utrzymywania dużej obory, która według niego jest „fundamentem gospodarstwa ziemianinowi albo oraczowi rządmemu.“ Rzymianom też, a ściślej mówiąc Columelli, zawdzięczał Gostomski swoją metodę nawożenia. Jak wiadomo w wiekach średnich nawozowi przypisywano raczej fizyczne, niż chemiczne działanie na rolę: przypuszczano mianowicie, że dobrze przegniły nawóz zlany deszczem, przypuszczony śniegiem ogrzewa grunt i broni go od przemarznięcia. Wobec tego zalecano w jesieni rozrzucać nawóz po polu, ale nie kazano go bynajmniej przed wiosną przyorywać. Tej metody trzyma się nawet jeszcze autor „Maison rustique“ Charles Etienne, zarówno jak i niemiecki erudyta Heresbach, o którym wspominaliśmy już wielokrotnie.

Inaczej zapatruje się na tę kwestyę wojewoda: on, idąc śladami swego wielkiego mistrza Columelli, parokrotnie zaznacza z naciskiem, że nawóz należy worać „na świeżo,“ tego samego dnia, którego został na pole wywieziony. Godnem jest uwagi, że i ślżak Grossern, wbrew swemu nadreńskiemu rodakowi, zaleca tę samą metodę, której trzymał się nasz wojewoda, być może również pod wpływem Columelli, który i jemu nie był obcy. Zato z Etiennem zgadza się Gostomski, co do tego, że gnój musi być o ile możności stary, dobrze przegniły, to też zaleca on używanie nawozu jesiennego, to jest rocznego, a nie wiosennego, półrocznego. Wojewoda nie uważa też bynajmniej za rzecz łatwą i prostą przyrządzania nawozu. „Gnój trzeba umieć dobrze działać,“ pisze on, streszczając w paru wierszach, „skutek i doskonałość gospodarstwa.“¹⁾ Na czem polegało to „działanie.“ Oto przede wszystkim w lecie, gdy wywieziono już nawóz „na rzepe,“ powinno się do obory zwieźć całą pozostałą zeszłoroczną słomę, która dotąd „butwiała“ umyślnie rozścielona w gumnie. Słomę bydło zimujące w oborze „przedepitywało“ i mięszało z nawozem, zbierającym się podczas zimy. Do tworzącego się w ten sposób kompostu dodawano wszelkie wypielone chwasty, stare zużyte strzechy i t. d.

Nawozów mineralnych, znanych już naówczas na Zachodzie, z wyjątkiem chyba popiołów, pochodzących ze spalonego drzewa, tudzież chmielin i makowin, wojewoda nie używał, natomiast zaleca jako nawóz szlam ze stawów, nie różniąc się pod tym wzglę-

¹⁾ Not. Gos. str. 95: Skutek i doskonałość gospodarstwa: rolę dobrze sprawić, bydłę nchowac, gnój dobrze umieć działać i co najwięcej go na rolę wywieźć i świeżo go worać, a brona pan roley, bo na bronie wszystko zależy.

dem od Heresbacha. Na uwagę zasługuje i znaczenie, przypisywane przez wojewodę torfowi, w sprawie użyźniania gruntów: poleca on mianowicie „kiedy błota są, považać niemi piaszczyste grunty, kosztując jako gęsto błoto sadzić wedle spławu i gruntu.“ Wojewoda uważał, że o ile to jest możliwe, nie należy się ograniczać do nawożenia pola tylko pod oziminę, to jest raz na trzy lata, ale przeciwnie wspomina także o nawożeniu na wiosnę, a nawet w lecie pod rzepę. Można wątpić, czy przy ówczesnej małej ilości inwentarza jaką trzymano po dworach, nawet Gostomskiemu udawało się tak często nawozić swoje pola, ¹⁾ bądź co bądź godne jest szczególnej uwagi, że wojewoda umiał się przejąć zrozumieniem konieczności nawożenia, jeszcze wówczas, gdy według wyrażenia Fraasa w Niemczech nawet była „alle Kenntniss von Bedeutung des Düngers sehr in Argen,“ ²⁾ a i w Polsce przy dworach trzymano tak mało bydła, że nie mogło być mowy o prawidłowem nawożeniu. Skąpy jest bardzo nasz wojewoda w szczegółach dotyczących się „sprawienia“ samej roli. Współczesny mu ślązak Grossern wspomina, że w jego okolicy orano ziemię pod oziminę trzy, a nawet cztery razy. Pierwszą orkę nazywa on „brechen,“ drugą nie zawsze konieczną „wenden,“ trzecią „Rhuren,“ czwartą przed samym siewem „aarn.“ Pierwsza, druga i czwarta orka dokonywane były przy pomocy pługu, trzecia radłem „Rhurhacke.“ Nasz wojewoda nie wspomina nigdzie o czterech orkach, możemy się u niego doliczyć z trudem trzech. Więc późną jesienią przyorywa się gnój jesienny. Druga orka odbywała się w lecie, podobnie jak u Grosserna przy pomocy radła. Bezpośrednio po niej następowało bronowanie, mające głównie na celu „umięszanie“ roli „coby z niej najmniejszy kęs perzu wymknął.“ Bronowaniu przypisuje z tego powodu wojewoda nadzwyczajne znaczenie: „brona pan rolcy,“ a „kto rolą zorze, a z niej perzu nie wywlecze po oraniu nic.“ Trzecia orka „rola na sianie“ następowała bezpośrednio przed siewem, a zatem pomiędzy świętym Bartłomiejem, a świętym Michałem. Po siewie następowało oczywiście drugie bronowanie. Pod jare zboże wojewoda orał po nawiezieniu roli i przed siewem; podczas gdy Grossern zaznaczył, że jego chłopci zarówno pod owies, jęczmień jak i żyto jare orał raz jeden. Trzykrotne oranie pod oziminę i dwukrotne pod ja-

¹⁾ Zresztą sam wojewoda mówi, w jednym z listów, że szkoda nawozu pod rzepę.

²⁾ Fraas str. 54: Grossern opowiada, że w jego stronach, to jest pod Wrocławiem. niektórzy chłopci nawet pszenicę siali na trzechletnim nawożie.

rzynę, dawałoby bardzo dobre świadectwo o gospodarce Gostomskiego, mamy jednak wszelkie dane wątpić, czy stale trzymał się swego systemu. Wspomina on w jednym miejscu o wywożeniu nawozu także i na wiosnę zarówno na oziminę, jak i na jarzynę, w takim wypadku jedna orka odpadała.

Dużą wagę przypisywał wojewoda temu, aby „wszystkie zagony jednakuczkie i jednulkie“ były. Każdy zagon mianowicie miał mieć na długość 36 sążni, a na szerokość 3 łokcie, składać się powinien z 8 skib. 45 zagonów stanowiło staję.¹⁾ Zgodnie z Etienne'm kładzie Gostomski wielki nacisk na dokładne czyszczenie ziarna przeznaczonego do siewu.²⁾ Pielenie zboża musiało się w dobrach wojewody odbywać bardzo starannie, skoro uczestniczyli w niem nietylko oracze i ogrodnicy, ale również chałupnicy, karczmarze i rzenieślnicy.³⁾ Gostomski, jakkolwiek wspominał o użyźnianiu piasków „błotem“, był jednak zdania, że najlepiej „piaski odkładać“, gdyż nie opłaca się ich nawiezenie.⁴⁾ Do niskich roli nie czuł wojewoda zbytniego zaufania i radził się na nich wyłącznie „jarzynę“, podczas gdy ślżak Grossern właśnie na takich gruntach zalecał uprawiać pszenicę. Na nizinach radził wojewoda orać wysokie zagony, nadto zalecał je w razie potrzeby „naprawować rowami“, miał więc pojęcie o sztucznem odwadnianiu. Zresztą nie powinno nas to zbyt dziwić, gdyż za jego czasów istniało już nawet w języku polskim dziełko Strumińskiego, poświęcone specjalnie urządzaniu gospodarstwa rybnego, tudzież sprowadzaniu wody i *osuszaniu gruntów*. W notatach naszych nie spotkaliśmy się z żadnym śladem, wskazującym, że wojewoda w swych posiadłościach przeprowadzał osuszania gruntów, ale w każdym razie ta jego rada świadczy dodatnio o jego planach, zmierzających do rozszerzenia swej gospodarki. Zresztą i u naszych zachodnich sąsiadów, jakkolwiek już w wieku szesnastym pisano o osuszaniu gruntów, do dziewiętnastego wieku należało ono do rzadkości.⁵⁾

¹⁾ Not. Gos. str. 93.

²⁾ Gostomski kazał nawet „kmiotkom“ upominać urzędnika, aby nie siał nieczystego zboża str. 64.

³⁾ Not. Gos. str. 94.

⁴⁾ Ibidem str. 42. O łubinie nie wspomina Gost. nigdzie, jakkolwiek znają go i starożytni i nawet Heresbach porów. Fraas str. 60.

⁵⁾ Nawet w takim państwie Loboszickiem osuszenie gruntów rozpoczęto dopiero w początku wieku dziewiętnastego: Medinger Dr. Wirtschafts-geschichte der Domäne Lobositz. Wien 1903.

Podnieść należy jeszcze jeden interesujący szczegół w radach wojewody, dotyczących się uprawy roli, a mianowicie jego zapatrywania co do tego, jakie nasienie należy zasiać na danym gruncie. Otóż w średnich wiekach, a nawet jeszcze w wieku szesnastym, agronomowie europejscy trzymali się w tej kwestyi maksymy, „*že simile simili gaudet*,“ nawet uczony erudyta nadreński Heresbach utrzymywał, że na tłustej ziemi trzeba siać tłuste nasienie, racjonalniejszą formę przybrała ta zasada u Etienna, który zalecał, aby na równinie siać nasienie z równin, a nie z okolic górzystych, na roli wilgotnej nasienie zebrane z pola wilgotnego, a nie suchego. U wojewody nie spotkamy się z żadną formułką tego rodzaju; pod tym względem przynajmniej jest on wierny swym zasadom, czystym praktykiem, i pozostawia czytelnikowi, względnie swemu rządcy, poprostu siać to, co najlepiej na danej roli wschodzi, a o tem co z roli z „najlepszym pożytkiem użyć można,“ decydowało oczywiście doświadczenie. Należy przypuszczać, że Gostomski życzył sobie, by w tej sprawie postępowano tak, jak naówczas radzili sobie, według Grosserna, śląscy chłopci. Chcieli się np. przekonać, gdzie należy siać len; w tym celu zasiewali siemię w kilkunastu polach, a później uprawiali go na tych z nich tylko, na których udał się dobrze.

System gospodarczy, którego się trzymał Gostomski, był zbliżony do trójpolewego, o ile chodziło o grunta niewilgotne, nie położone zbyt nisko. Na lepszych gruntach, prowadził jednak Gostomski, czy też tylko zalecał prowadzić, ulepszoną trójpolewkę, stanowiącą już przejście do bardziej intensywnych systemów. Kiedy w ówczesnych Niemczech użytkowanie ugoru należało jeszcze do rzadkości, mamy w naszych notatach wskazówki, dowodzące, że w szesnastym wieku robiono już u nas wprowadzić nieśmiało próby intensywniejszego wykorzystania ziemi. Dowiadujemy się więc o sianiu rzepy na nawiezionym ugorze, czego zresztą wojewoda nie pochwalał, natomiast zalecał on, o ile można, nawiezione ugory, zwłaszcza bardziej odległe, a zatem niewygodne na pastwisko, zamieniać na łąki, kosić je w lecie i dopiero wtenczas orać pod oziminę. Od używania jako łąki ugoru do obsiewania go np. lucerną, czy innemi roślinami dostarczającemi paszy, jak to kilkanaście lat przed Gostomskim zalecał Etienne, był już krok jeden tylko, ale kroku tego nie zrobił wojewoda. Pewne komplikacje w prowadzeniu czystej trójpolewki wprowadzało i proso, którego siał wojewoda stosunkowo zdaje się dużo i to na nawozie, widząc w nim, a raczej w wyrabianych z niego jagłach, produkt odpowiedni do zagranicznego eksportu. Nako-

niec mamy w notatach wskazówki, że nie trójpoleowe gospodarstwo uważał wojewoda za odpowiednie na gruntach nizinnych, zalecał bowiem siał na nich tylko jare zboża. Nie mamy żadnych wskazówek co do tego, jak wojewoda prowadził gospodarstwo na nizinach, być może trzymał się na nich systemu przypominającego tak zwane „Feldgraswirtschaft,” które od niepamiętnych czasów prowadzono w Westfalii i w Holsztynie, a w wieku szesnastym zaprowadzono w Anglii. Jak łatwo się domyślić, w produkcji rolnej stawiał wojewoda na pierwszym planie żyto, a dalej pszenicę. Zalecał siał o ile możliwości pszenicę ozimą. Jarką, a również tatarką radził się „ratować” tylko, gdy oziminy zginęły wskutek „jesieni niepogodnej, a mrozu rychłego.” Jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem zboże jare przynosi gorszy plon niż ozime. Po życie i pszenicy wylicza Gostomski w rozdziale zatytułowanym „Liczba doroczna” jęczmień, dalej owies, później groch, tatarkę, proso, orkisz. W notatach Gostomskiego nie mamy żadnych śladów, któreby pozwoliły wnioskować, jaki był w jego dobrach stosunek pomiędzy ilością poszczególnych wysianych zbóż. Co gorsza nie znajdziemy nawet wskazówek co do tego, ile wysiewał poszczególnych zbóż na mórg roli i jakie urodzaje uważał za normalne. Jeśli znów zwrócimy się do tylokrotnie już zużytkowanej przez nas rewizji dóbr mazowieckich, to spostrzeżemy jednak, że porządek w jakim wymienił Gostomski poszczególne zboża w „Liczbie dorocznej,” odpowiadał ich rzeczywistemu znaczeniu w produkcji. Wszędzie w starostwach mazowieckich na pierwszym planie stoi żyto, którego wysiewa się gdzieś tam 15, a nawet 30 razy więcej niż pszenicy. Jęczmień siano widocznie naówczas na Mazowszu, tak jak na Śląsku po pszenicy, to też na wielu folwarkach wysiewano obu zbóż jednakowo. Owsa w większości dóbr królewskich siano naówczas z małymi wyjątkami znacznie więcej niż jęczmienia, gdyż uprawiano go na gruntach żytnich.¹⁾ Prawie na każdym folwarku wysiewano dalej przynajmniej po jednym korcu grochu po parę korcy prosa i tataraki.²⁾ W „Liczbie dorocznej” wymienia Gostomski

¹⁾ Podobnie w Niemczech żyto i owies miały przewagę nad pszenicą i żytem.—Inama Sternegy, tom 3, część I, str. 322.

²⁾ Przytaczamy dla przykładu dane, dotyczące się paru królewskich folwarków na Mazowszu z Rkps. ks. ks. Czartoryskich 3067. Folwark Zakroczymski, grunt piaszczysty, rozległość dwie włóki chełmińskie: wysiewają żyta ozimego 97 korcy, zbierają—264; żyta jarego—6, zbierają—15; pszenicy wysiewa-

także len i konopie, które zalecał hodować nietylko dla włókna, ale i dla siemienia, służącego za materiał do wytłaczania oleju, podobnie jak mak, o którym również wspomina. Wcale pokazuje jest lista jarzyn, o których mówią nasze notaty; zawiera ona cebulę, kapustę zwykłą i „czarną“, czosnek, pasternak, marchew, pietruszkę, ćwikłę (buraki), ogórki, rzodkiew, rzepę, rzepnicę, chrzan, gorczycę, sałatę. Jarzyny te jednak, nawet marchew i buraki, wchodziły w zakres gospodarstwa kobiecego i były uprawiane przez dworki po ogrodach, tylko rzepę uprawiał niekiedy wojewoda na polu. Naogół jednak wojewoda nie przypisywał znaczenia uprawie jarzyn, uważając, że nawóz, jakiego wymagają, można zużyć pożyteczniej. I tu wyraziła się praktyczność wojewody, produkującego głównie na eksport do Gdańska: jarzyny, jak wiadomo, nie znoszą długiej podróży, o poważnych zaś miejscowych rynkach zbytu nie mogło być mowy w owej epoce ani na Mazowszu, ani w województwie rawskim, gdyż nie posiadały miast w nowoczesnym znaczeniu tego słowa, to jest takich, w których gospodarstwo rolne nie byłoby głównym zajęciem mieszkańców. Wojewoda nie łudząc się nadzieją, by znajdowano amatorów na jarzyny, radzi dokarmiać nimi w razie obfitości bydło, lub darmo dać dobrym ludziom. Oprócz jarzyn w zakres działalności dworek wchodził i ogródek z roślinami aptekarskimi, tudzież ozdobnymi. Według wojewody taki ogródek powinien być istnieć przy każdym folwarku, ale należało uprawiać tylko wtedy, gdy nie było do roboty nic pilniejszego, a więc przedewszystkiem w święta. W notatach Gostomskiego nie brak śladów, świadczących, że w takich dobrach, jak wojewody, sado-

ją—3, zbierają—13; jęczmienia wysiewają—2, zbierają—6; owsa sieją—89, zbierają—213; grochu korzec, zbierają—3; prosa—1, zbierają—4 $\frac{1}{2}$; tatarki—3, zbierają—12. Folwark Jazdów pod Warszawą włók 3 $\frac{1}{2}$: sieją żyta ozimego 80 korcy, zbierają od 324 do 750 korcy; żyta jarego sieją 3 korce, zbierają—18; pszenicy sieją 8 korcy, zbierają—56; jęczmienia—7, zbierają—52 $\frac{1}{2}$; owsa—26, zbierają—232 $\frac{1}{2}$; grochu sieją—7 $\frac{1}{2}$, zbierają—20; prosa sieją—1 $\frac{1}{2}$, zbierają—12; konopi sieją korzec, zbierają—3 $\frac{1}{2}$; lnu sieją 1 $\frac{1}{2}$ korca, zbierają—7 $\frac{1}{2}$. Folwark Mogilno, rozmiar 3 włóki: sieją żyta ozimego 56 korcy, zbierają—148; żyta jarego sieją korzec, zbierają 4 korce; pszenicy sieją—5, zbierają—21; owsa—48, zbierają—63; konopi—2; lnu—1 $\frac{1}{2}$. Folwark Rudzikowski: żyta ozimego sieją 109 korcy, zbierają—236; żyta jarego sieją 4 korce, zbierają—8; jęczmienia sieją—8, zbierają—32; pszenicy sieją—8, zbierają—30; grochu sieją—3, zbierają—12; owsa sieją—107, zbierają—339; prosa sieją—1 $\frac{1}{2}$, zbierają—6; konopi sieją— $\frac{1}{2}$, zbierają—2; lnu sieją— $\frac{1}{4}$, zbierają korzec.

wnictwo było w dość dobrym stanie. Dowiadujemy się więc, że sady były ogradzane porządnymi płotami, że szczepy okopywano dokoła na wiosnę, na zimę okładano nawozem. Oprócz jabłek, gruszek, wiśni, śliwek, które się suszy i używa na powidła, w sadach Gostomskiego były i orzechy włoskie, i nawet brzoskwinie. Charakterystyczne jest znaczenie, jakie wojewoda przypisuje chmielarstwu; zaleca on z naciskiem: „na rządne się chmielniki sadzić,” bo „chmiel w wielką drogocność wchodzi.” W istocie, jak wiemy, na podniesienie się cen chmielu wpłynęło nietylko rozwinięcie się już za czasów Gostomskiego polityki propinacyjnej dziedziców, ale także łatwość zbycia tego produktu w Gdańsku. Mamy więc w chmielarstwie nowy dowód, jak Gostomski stosował swą gospodarkę do eksportu zagranicznego. Musimy jeszcze zatrzymać się na chowie bydła, które, jak już wiemy, otaczał wojewoda szczególniejszą pieczołowitością, rozumiejąc, że bez niego niemożna prowadzić porządnej gospodarki. W Polsce, podobnie jak zresztą i w Niemczech i w Czechach, do końca wieku ośmnastego racjonalnej hodowli bydła stał na przeszkodzie brak pożywienia. Na wiosnę, w lecie, w jesieni, gdy bydło znajdowało sobie karm na pastwiskach, ugorach i ścierniskach, poradzić sobie jeszcze nie było zbyt trudno. Ale szalone trudności przedstawiało wyżywienie bydła w zimie, tak że gospodarze musieli wyżywiać się w jesieni części swego inwentarza, lub wykarmiali je niedostatecznie. W Niemczech w owej epoce, a nawet w wieku ośmnastym, nie należały do rzadkości wypadki, że bydło z końcem zimy było tak słabe, że nie mogło prawie stać na nogach, i niektóre zwierzęta, t. zw. „Schwanzvieh” musiano za ogon wyciągać na pastwisko. Troska o obmyślenie dobrej paszy dla bydła przebija się w całym „Gospodarstwie” Gostomskiego. Radzi on o ile możności „siec” siano dwa razy: po „świątkach” i po Ś-tym Bartłomieju. Wszakże „późne potrawy,” których „już słońce ususzyć nie może,” zaleca wojewoda wypasać. Jak wiemy, brakowi siana zalecał wojewoda zapobiegać, kosząc odleglejsze ugory. Ale oczywiście i ten środek mógł tylko w części zapobiedz brakowi karmu zimowego. W braku lepszego pożywienia, sieczka stanowiła i w dobrach Gostomskiego podstawę zimowego pożywienia dla bydła, które po za tem dostawało „zgoniny” plewy i otręby, według zdania wojewody, szczególnież przyteczne dla cieląt i źrebiąt, nakoniec praktyczny wojewoda radził wypasać bydłem wszystkie zbywające jarzyny rzepy, kapusty, cebulę. Żeby jaknajwięcej słomy i siana zaoszczędzić w porze ciepłej, rżnięto dla bydła chwasty, nawet pokrzywy. Za dobre pożywienie uznaje wojewoda także i słodzi-

ny. Pomimo całej swej pomysłowości, nie był Gostomski w stanie wykarmić przez zimę wszystkiego bydła, to też w jesieni zalecał zabijać słabsze sztuki.¹⁾

W czasach, kiedy wojewoda dyktował swoje notaty, pańszczyzna była już w pełnym rozkwicie, i dworskie roboty wykonywano przy pomocy chłopów poddanych chłopskim inwentarzem. To też po ówczesnych dworach polskich nie trzymano prawie wołów, ani koni roboczych. Gostomski miał wprowadzić w swych folwarkach po kilka wołów i koni pociagowych, ale był to tylko zapas, z którego udzielano poddanym, niemającym inwentarza, t. zw. załogi. Wojewoda wspomina również i o wołach karmnych, które miały być po folwarkach. Niezawodnie jednak najgłówniejszą część obory stanowiło i u Gostomskiego bydło mleczne. W każdym razie pod względem ilości bydła folwarki wojewody musiały wyróżniać się korzystnie: w takich np. dobrach królewskich na Mazowszu nie było podówczas zupełnie skarbowych wołów, a obora składała się wyłącznie z byka, krów i cieląt.²⁾ Mimochodem dał wojewoda w swych notatach kilka szczegółów, dotyczących się urządzenia obór, które świadczą dobrze o jego gospodarności. Obory więc powinny być zbudowane porządnie, miały posiadać pułapy, które tworzyły strych do przechowywania paszy, posiadały podłogi z desek lub bruk, tak urządzone, że płynne nieczystości odpływały po nich do żłobów. Gospodarstwo mleczne nie stało u wojewody na ostatnim planie. Naturalnie o sprzedawaniu surowego mleka nie mogło być mowy, ale znajdowano zbyt na masło i ser. Wyrabiano je, jak się dowiadujemy z notat, głównie na wiosnę, a sprzedawano w dobrze zagospodarowanych majątkach wtedy, kiedy nabiał był najdroższy, t. j. pomiędzy Ś-tym Marcinem, a zapustami, a to, „co-

¹⁾ Oczywiście w jesieni cena bydła spadała ogromnie, to też taki praktyczny gospodarz, jakim był nasz wojewoda, zalecał w jesieni właśnie dokupywać bydła, zabijać je i solić, by mieć zapas mięsiwa na zimę. Not. Gospod. str. 45. Warto zwrócić jeszcze uwagę, że wojewoda dbały o swą oborę, za jeden z pierwszych warunków zapewniających jej stan pomyślny uważał wyznalezienie dobrego pasterza. Pasterz, który „ma mieć karb wszelakiego bydła,“ ma być mędrszy niż oracz, bo lada kto rolę zorze, a bydłociu nie lada kto ugodzi, aby je uchował. Not. Gos. 70, 71.

²⁾ Tak np. folwark Radzikowski w starostwie Zakroczymskim posiadał: 1 byka, 5 krów. 2 jałowice, 8 nieuków, 5 cieląt. Folwark Jazdów pod Warszawą: krów 12, byka 1, cieląt „łońskich“ 3, jałowice 3 i t. d. Rkps. ks. ks. Czaratorys. 3067.

by się do zapust nie wyprzedzało,“ miało iść na targ „przed Wielkanocą aż ku świątkom.“ Notaty Gostomskiego, tak skąpe w szczególności, dotyczące się uprawy roli, są o wiele dokładniejsze, gdy chodzi o chów bydła, znajdziemy więc w nich nawet wyliczenie, ile dziedzicowi powinna przynosić dochodu jedna krowa. Wysokość tego dochodu jest, według wojewody, zależną od wieku sztuki. Młode krowy, które się po raz pierwszy ocieliły ¹⁾, powinny dawać po dwa złote rocznie, tyleż powinny przynosić krowy, które w danym roku cieląt nie miały, krowy starsze po ocieleniu się powinny dawać po 4 złote, które otrzymywano za wyrobiony z ich mleka garniec masła, tudzież 60 groszowych serów. Bądź co bądź, jak na owe czasy, był to dochód dość znaczny, współczesna Gostomskiemu rewizya starostw Mazowieckich wykazała jako dochód od wszelkich krów po złotemu. Być może, że Gostomski, piszący instrukcye dla swych oficjalistów, podawał rozmyślnie zbyt wysokie dochody z obory, przeciwnie zaś dzierżawcy z łatwo zrozumiałych powodów mogli mieć tendencję do wykazywania wydatności swych krów niższą, niż była w istocie. W dobrach wojewody, jak łatwo się domyśleć, nie brakło i owiec, które hodowano tam nie tylko dla wełny, ale i dla mleka, z którego wyrabiano ser i masło. 10 owiec powinno było dawać tyle dochodu, co jedna krowa. Godne jest uwagi, że Gostomski zaleca, aby hodowano w jego dobrach polską rasę owiec, gdy był zwolewnikiem mieszanej rasy świń i zalecał krzyżować polskie z żuławskimi, pomorskimi i westfalskimi. Praktyczny wojewoda przypisywał niemałe znaczenie hodowli drobiu, przestrzegając, aby po jego folwarkach hodowały dworki nie tylko kury miejscowej i włoskiej rasy, oraz gęsi, ale i kaczki, które w wieku szesnastym nie były bynajmniej po naszych dworach tak rozpowszechnione, jak dzisiaj ²⁾, a dalej indyki i pawie, наконец gołębie, które miały stanowić ważną część pożywienia wiejskich oficjalistów. Hodowla koni nie była bynajmniej za czasów Gostomskiego rozwinięta. W folwarkach, należących do starostw mazowieckich, konie należały wprost do rzadkości, wojewoda jednak w paru miejscach robi wzmianki o tych zwierzętach, dowodzące, że po folwarkach jego znajdowały się nie tylko stada koni cugowych

¹⁾ Cieląt takich młodych krów „mądrzy gospodarze“ nie mieli chować. Not. Gos. str. 71.

²⁾ W starostwach mazowieckich na paru tylko folwarkach znajdowały się kaczki. Rkps. ks. ks. Czartoryskich № 3067.

i wierzchowych, ale i konie robocze, które rozdawano chłopom na załogę. Hodowlę koni prowadził wojewoda w sposób bardzo racjonalny, przestrzegał np., żeby zbyt młodych żrebaków nie dopuszczano do klaczy, co mogłoby pociągnąć za sobą „zeszkapienie stada.“

Nie wiele szczegółów można znaleźć w naszych notatach o bartnictwie: jakkolwiek wspomina Gostomski, że „pszczoły ulewnicze w każdym folwarku rządnyim mają być,“ nie umieścił ani miodu, ani wosku w swej „Liczbie dorocznej,“ to jest spisie tego wszystkiego, z czego relacje powinni byli zdawać dziedzicowi „urzędnicy;“ widocznie więc w dobrach wojewody, podobnie jak po królewskich folwarkach na Mazowszu, nie zajmowano się pszczelnictwem na większą skalę. Nie wiele więcej poświęca wojewoda miejsca i rybołówstwu, jakkolwiek wspomina nawet o produkowaniu suszonych ryb na sprzedaż ¹⁾. Musimy jeszcze zatrzymać się chwilę na leśnictwie, o którym tu i owdzie wzmiankuje Gostomski. Za jego czasów, wobec łatwości korzystnego sprzedawania drzewa w Gdańsku, umiała już szlachta cenić lasy. Nietylko w dobrach królewskich i majątkach ziemian właściwej Polski, ale nawet we włościach takiego Podlasia, zaczęto otaczać lasy troskliwą opieką, regulować w nich prawo własności, bronić od niepożądanych „uchodów.“ Nic też dziwnego, że i praktyczny wojewoda rozumiał wartość lasów: „kto ma lasy — pisze on w swych Notatach — pewniejszy skarb zostawi potomstwu, niż w skrzyni pieniądze, gdy go nie pustoszy.“ Do lasów swych jest Gostomski prawdziwie przywiązany, żal mu każdego drzewa, które ścięto, bo „drzewo kiedy porąbisz, jako chłopą zabił.“ Główny nadzór nad lasami ma urzędnik; pod jego zwierzchnictwem pozostają gajowi. Tych głównem zadaniem jest pilnowanie, by nie kradziono drzewa i strzeżenie, by gdziekolwiek nie wybuchnął pożar. Jak dalece wojewoda cenił las, świadczy i jego niesłychana surowość wobec poddanych, którzy nie pospieszyli na pomoc płonącemu lasowi: „a gdzieby się w boru zapaliło — pisze Gostomski — każdy poddany, ile ich w domu, *pod gardłem* ma biec gasić, jako do dworu, gdyby się zapaliło, tylko dzieci w siedmi lat mają zostać doma.“ Podobnie gardłem groził wojewoda „chłopom,“ a nawet dzieciom, którzyby rozpalili ogień w lesie w czasie „kie-

¹⁾ Wojewoda nawołuje wprawdzie do przygotowywania rozmaitych sieci na ryby do wielkich i małych stawów, zaleca robienie przerebli w zimie. ale po za tem nie podaje prawie żadnych charakterystycznych szczegółów.

dy pożary gorywają.“ Pomimo jednak całej swej troskliwości o stan swych lasów, nie mógł się jeszcze zdobyć na zakaz pasienia bydła w lesie, i to nie tylko dworskiego, ale nawet chłopskiego. Nie zdobył się również na krok śmiały, a dla dobra lasów konieczny, jakim by było rozgraniczenie lasu dworskiego od chłopskiego, które można już było naówczas wyśledzić nawet w niektórych wsiach bynajmniej nie świetnie zagospodarowanych starostw mazowieckich. Chcąc jednak chociaż częściowo zabezpieczyć lasy od zniszczenia, jakim groziło im korzystanie z nich chłopów, rozkazał wojewoda wydać dla poddanych regulamin, którego mieli się trzymać w użytkowaniu lasów dworskich. Mieli więc poddani tylko w oznaczone przez urzędnika dni jeździć do lasu, dalej, dozwolone im było tylko podejmować z ziemi leżące drzewa. Gdy potrzebowali drzewa do budowania, mieli prawo wycinać tylko te sztuki, które im wskaże urzędnik. Jak wiemy, wojewoda rozumiał doskonale, że nie jest korzystnie wysyłać na sprzedaż produktu surowe, skoro je można na miejscu przerobić, to też radził on gromadzić „przy lesie drzewem robiące rzemieślniki,“ z pośród których najczęściej wspomina bednarzy, dalej mówi o wyrobie gontów, a nawet tartaku „tartym młynie,“ który miał „trzyć tarcice tak cienkie — jako i mięszsze wedle potrzeby a rozkazania.“

Zatrzymywaliśmy się już nad wszystkimi gałęziami produkcji, o których wspominają „Notaty“ Gostomskiego, a które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, reprezentowane były właśnie w jego gospodarstwie. Niestety, nie doszedł do nas inwentarz, ani księgi rachunkowe wojewody, na których podstawie moglibyśmy obliczyć, jakie dochody przynosiły jego, bądź co bądź, rządnie prowadzone folwarki. Nie wiemy nawet, w jakim stosunku odnosiły się do siebie dochody z poszczególnych gałęzi jego gospodarstwa. Na zasadzie „Notat“ nietrudno wyciągnąć wniosek, że produkcja zboża była głównym źródłem dochodu, gdy inne gałęzie, jak chów bydła i owiec, nie mówiąc już o sadownictwie, ogrodnictwie, rybołówstwie, dawały tylko dochód stosunkowo nieznaczny, w niektórych zaś folwarkach pokrywały jedynie zapotrzebowanie dworu i oficjalistów. Oczywiście dobra wojewody nie stanowiły pod tym względem wyjątku: podobnie rzeczy miały się naówczas w całej Polsce; wystarczy nam przejrzeć w tym celu chociażby rewizję starostw mazowieckich, na którą powoływaliśmy się już nieraz. W takim np. Jazdowie dochód ze sprzedaży zboża, tudzież lnu, konopi i siana wynosił 334 zł., podczas gdy sad, ogród, obora i drób razem przynosiły 29 zł. p.; do-

chód ze sprzedaży zbóż był 24 razy większy niż z obory. Podobne stosunki panowały i w innych folwarkach mazowieckich starostw. Ogromna przewaga zysku ze zboża nad dochodami z innych gałęzi gospodarstwa nabiera jeszcze specjalnego znaczenia, skoro weźmiemy pod uwagę, iż, zdaniem wojewody, dochód ze sprzedaży zbóż miał być czystym dochodem dziedzica, podczas gdy inne gałęzie gospodarstwa miały opędzać wszystkie folwarczne wydatki. Wydatki te jednak nie były zbyt wielkie. Dzięki pańszczyźnie, dziedzic nie potrzebował kupować narzędzi rolniczych, ani pociągowego inwentarza, nie potrzebował również opłacać pieniędzmi robotnika, wynagrodzenie zaś nielicznej czeladzi dworskiej i oficjalistów rzadko przewyższało 20 złotych, a niejednokrotnie spadało nawet do zł. 16. Nie darmo też napisał Gostomski, że „robota chłopków, to dochód, albo intrata nawet-sza w Polszcze.“

Dr. IGN. T. BARANOWSKI.

ŁUNA.

XXIV.

Obroński rozmawiał z księżną. Zmierzył Pawła niechętnem wejrzeniem, przywitał najchłodniej, sztywnie uklonił się księżniczce. Księżna miała niepokój w oczach, ślady wzburzenia na twarzy i pewną, niezwykłą u niej nerwowość w ruchach.

— Spieraliśmy się przed chwilą—zaczęła z pośpiechem—pan Obroński opowiadał o posiedzeniu, które zwoływał... Pan zapewne słyszał i wie...—zwróciła się do Pawła.—Dowodziłam tutaj, że wypowiedzenie wojny żywiołom skrajnym może zaszkodzić sprawie... Prysnał ostatnie, łączące ich z narodem więzy.

— Oni sami rozpoczęli wojnę i zerwali — sucho zauważył Obroński.

— Gdyby nawet tak było... Si même et quand même... Powinniśmy walczyć inną bronią i przedewszystkiem dbać o to, żeby nigdy nie wymierzono przeciw nam zarzutu, iż rozmijamy się z zasadami i przepisami moralności chrześcijańskiej... Silni będziemy siłą moralną... Obrona wysokich ideałów, to nasze *raison d'être*...

— Twierdziłem to samo...

— Tak, proszę pana... Ale jeśli wkroczymy na drogę niewiści, powiedzą ci, których pan nazywa wrogami, że podeptaliśmy dogmaty, że czyny przeczą zasadzie, że chodzi nam jedynie o ratowanie przywilejów...

Toczyła się sztuczna rozmowa, która nie zajmowała w tej chwili nikogo. Każdy miał troskę osobistą w sercu i osnuwał dokoła niej swoje myśli. Przed godziną Obroński prosił księżną o rękę panny Marylki i otrzymał odpowiedź nieokreśloną, chwiej-

na, więc niepomysłną. Wśród banalnych komplementów, banalnych zapewnień o przychylnem usposobieniu matki i całej rodziny, tkwiło źle wróżące napomnienie. Stanowcze słowo, że tylko córka będzie tu rozstrzygała, że trzeba dać sobie poznać, że należy cierpliwie czekać, zaskarbiać sobie względy, bardzo usilnie starać się o pozyskanie łaski... Była to prawie odmowa. Obroński panował nad sobą, ale stał się sztywnym, oschłym, cierpkim. Księżna żałowała doskonałej, najpierwszej w kraju partyi, wymawiała sobie zbytnią oziębłość tonu i kilka szorstkich wyrazów, któremi skarciła pewność siebie ordynata, przewidywała, że i za kilka miesięcy córka nie przyjmie, trwożyła się o przyszłość, wahała się, sumowała... Księżniczka po zachowaniu się Obrońskiego, z twarzy matki, z drogiej, dobrej, zaniepokojonej twarzy, w której umiała czytać wszystkie uczucia i odcienia uczuć, domyśliła się, iż podczas jej nieobecności ważyły się tu jej losy — i chciała przy pierwszej sposobności wyminąć się z salonu, wstała, ale matka zatrzymała ją wzrokiem. Trzeba było usiąść i, unikając oczu obu panów, odpowiadać temu, którego nie lubiła, którego bała się, który traktował ją stale jak dziecko, Obrońskiemu, na pospolite, chłodne pytania... Na ścianie, oświetlony lampą, wisiał stary, znany, związany z tysiącem wspomnień, obraz. Zazdrościła w tej chwili świętemu pustelnikowi, że był sam ze swoją księgą i krzyżem u wejścia do pieczary, że modlił się, oddalony od świata...

Paweł zwiesił głowę, nie brał udziału w rozmowie, nie słuchał. Poznał brodatego pustelnika na obrazie i zegar, którego cykanie przed kilku dniami napełniało go smutkiem, ale nie żałował tym razem uciekających godzin życia. Poszarpane, niedokładne, chwiejne myśli zarysowywały się mętnie w świadomości i znikały natychmiast, napływały inne... Przypominały się czasami szczegóły przechadzki po ogrodzie, niby obrazy z odległej, skończonej na zawsze epoki — zasłaniał je żal, przemknęło spostrzeżenie, że Obroński stara się zapewne o rękę księżniczki, zastanawiał się niechętnie i beznadziejnie nad tem, co zrobi z sobą, dokąd pojedzie, jaki uczyni użytek z tych niepotrzebnych dni, które zaczęła się za godzinę w pustem mieszkaniu, w pustym domu istnienia, i znowu wracał do ciemnej alei parku, wstępował na szare stopnie werandy, na których pojął, ujrzał z całą pewnością że nie dla niego... że nie będzie nic... że przeminał jasny sen serca... Podnosił ukradkiem spojrzenie na księżniczkę, spotykał chłodny wzrok Obrońskiego, jakgdyby stale w niego utkwiiony, spuszczał oczy i pogrążał się na chwilę w obojętności, w zupełnem zapomnieniu o wszystkim. Potem dźwięk jej głosu, ja-

kieś zwyczajne słowo, którem odpowiadała Obrońskiemu, budziły go, i, ocknąwszy się, myślał, że należałoby odejść, że milcząca jego wizyta przeciąga się zbyt długo, że skończyło się, zmieniło się wszystko... Zostawał wszakże... Widział białe, szczupłe, wykwinne ręce księżniczki, spoczywające na sukni, i, patrząc, bezwiednie tworzył przemowę do tych rąk, najdroższych i najczystszych, przemowę, złożoną z prośb i skarg, dotykał spojrzeniem oszytego taśmą rąbka sukni, oddawał hołd. Nie opuszczał go owo dziwne, wynikające z bojaźni, wzruszenia i czci, onieśmienie, które poznał po raz pierwszy tam na ścieżce w ogrodzie. Zestawiał marzenie o szczęściu, świetlistą niemożliwość z rzeczywistością—ukazywał mu się smutek. Za ścianami oświetlonego salonu, z którego trzeba będzie wyjść za chwilę — cykanie zegara przypomina, że czas biegnie, że wizyta trwa długo — za ścianami salonu jest mrok nocy, jest ciemność niepotrzebnego istnienia... Życie woła nań głosem bezdźwięcznym i posępnym, wzywa go, żeby porzucił krainę snu, przybytek cudzego szczęścia, precudny szlak nadziei... Wije się kędyś tam jego własna droga, pusta i bezcelowa... Przeminięły lata, w których człowiekowi wolno pragnąć, brać, posiadać, radować się... pora odejść stąd, pora zapomnieć i wyrzec się... Niezmierny żal chwycił Pawła, a żal ożywił, wzbogacił, użyźnił skąpe i ubogie, martwe i zeschłe jego serce... Pływały falą uczucia pierwotne, proste, bardzo prawdziwe, napływały proste, pospolite, a rzewne, myśli o tam, że Obroński będzie przychodził, że usiądą dokoła stołu, w blasku lampy, pod zamodlonym pustelnikiem, że wszyscy zostaną, a tylko on nie powróci tu nigdy, że nikt go nie pożaluje, że trwa i nie kończy się niedola człowieka samotnego... Paweł niżej pochylił głowę... I znów widział białe ręce na sukni... Drżały lekko palce księżniczki... delikatny rysunek żył... na prawej ręce jakgdyby subtelny znak zapytania... Paweł składał oczami smutny pocałunek pożegnania na tych rękach najdroższych i najczystszych, cudzych...

W pewnej chwili księżna zwróciła się do niego z zapytaniem o zdrowie teścia, o stan interesów Kamienieckich i wynik narady z adwokatami. Opowiadał apatycznie i beładnie, plątały mu się słowa, urwał, nie wyczerpawszy przedmiotu, i popadł w zadumę. Zresztą i księżna słuchała z roztargnieniem...

Atmosfera w salonie stawała się coraz bardziej ciężką, wyśiłki gospodyni nie pomagały, rozmowa gasła ciągle. Poruszano rozmaite tematy. Obroński spróbował wyszydzać erę wolnościową, zapal ulicy, manifestacye i pochody, powódź mów, płynących

„strumieniem blagi do morza banalności,” rewolucyjną trójkę równości, wolności i braterstwa — niedorzeczne bóstwo tłumu — i przebrzmiały szyderstwa, nie budząc opozycji. Skarciły go tylko przelotnie niechętne oczy księżniczki. Potem odczytano jakąś odezwę, i list od rządcy białoruskich majątków hrabiego Tobiasza, otrzymany przed strajkami, pełen złych wieści i złych wróżb, i znowu omawiano najświeższe wypadki w mieście, wyjazd i fantastyczne, zapewne zmyślane, przygody tych, którzy pośpieszyli zemknąć, wysnuwano domysły co do przyszłości. Padły obojętne, zdawkowe słowa. Paweł leniwie, lakonicznie odpowiadał Obrońskiemu, który zwracał się do niego, niby do wyroczni, traktował, jak wodza, indagował, jak winowajcę.

— Widzę, że nie wolno nawet pytać... trzeba poddać się, iść na oslepa... pan zazdrośnie chowa światło pod kocem — złośliwie zauważył Obroński.

— Wystąpiłem, wycofałem się, zerwałem, a pan wciąż atakuje mnie... Czemu pan nie skieruje swojej napaści pod adresem rzeczywistych przeciwników — niecierpliwie odparł Paweł.

Obroński przyglądał się z uśmiechem.

— Pan radzi!...

— Tak, bo szkoda czasu i talentów szermierczych pana... Napada pan na bezbronnego, walczy w próżni, toczy wojnę z nieprzyjacielem, którego tu nie ma... niech pan pójdzie i wypowie im... proszę zmierzyć się z wrogiem...

Twarz Obrońskiego zachmurzyła się. Obaj byli rozdrażnieni. Patrzeli sobie w oczy.

— Zarzut tchórzostwa...

Zaległo milczenie. Czuć było burzę w powietrzu.

— Zarzuca mi pan tchórzostwo... chciał bym, żeby pan powtórzył...

Stanowcze słowo ważyło się na ustach Pawła. Rozumiał, że Obroński nie daruje mu obelgi, że stanie się coś niezwykłego — ale burzyła się w nim złość chciał walki... W tej chwili ukazał się we drzwiach hrabia Tobiasz. Zbliżył się, przywitał gości, wyszedł...

— Brat mój jest strapiiony, niespokojny, zgnębiony... nie widziałam go takim — odezwała się księżna, pragnąc usprawiedliwić niezbyt grzeczne jego zachowanie, pragnąc zażegnać burzę — przepowiadał oddawna łuny i pożary, upadek ducha, zachwianie się idei, dziś trwoży się...

— Tymczasem on sam poniekąd przyczynił się... — wstawił Obroński.

— Mój brat?! — zdziwiła się księżna i żeby nie dotykać drażliwego przedmiotu, zmieniła rozmowę.

— Mamy tu niezwykłego gościa... Pewien starzec, podobno ostatni z wielkiej epoki ducha, przemawiał na ulicach, potępiał, próbował ostrzegać... poturbowano go, i Tobiasz, który na to patrzył, zaopiekował się nim, zabrał go z sobą...

— Grzybowski u nas! — zawołała księżniczka — czy można, mam, pójść?

— Może panowie chcieliby poznać... to człowiek niepospolity... takich już няма...

Znużona nieznosną atmosferą, która panowała w salonie, bojąc się ponownego wybuchu, księżna wstała i zaprowadziła gości do biblioteki. Grzybowski siedział tam w fotelu. Podniósł na wchodzących wzrok, przywitał skinieniem głowy. Księżna nie zaprezentowała mu panów. Usiedli wszyscy, wpatrywali się w starca. W pokoju chwiały się blaski, które stał palący się na kominku ogień... trzaskały od czasu do czasu suche szczapy drzewa... Grzybowskiemu dokuczyły natrętne i natarczywe spojrzenia przybyłych, którzy przyglądali mu się, jakgdyby jakiemu szczególnemu okazowi, uczynił nieokreślony ruch, powiedział coś, czego nikt nie dostyszał.

— Dolega wam, ojcze? — spytał hrabia Tobiasz.

— Nie, nie dolega nic — odparł — wdzięczny jestem za opiekę.

Nastało milczenie. Migotliwy płomień kładł ruchome smugi światła na srebrną głowę patryarchy, i wydawało się, że to on się porusza, że to wysuwa się naprzód, to cofa się w tył. Różowy odbłask swawolił u jego stóp na podłodze; padały czasami iskry, świeciły chwilę, gasły...

— Ciężkich doczekaliśmy się czasów — cicho odezwała się księżna.

— Przyjdą gorsze... Zbliży się zaćmienie... W mroku wyłęgna się zmije...

Grzybowski patrzył w płomień.

— Wiem, że to przyjąć musi, ostrzegałem — mówił powoli, znużonym głosem, jednostajnie — byłem na ulicach, nikt nie słuchał... Zasłaniają się tarczą i łamią się strzały słów... Świątynie obrócili na giełdy, na ołtarzach — złoty cielec, w duszach rośnie trujące ziele... Dziś burzą — gdy budować zacząć, przekonają się, że nie ostoi się ten gmach... Ukochali ziemię i kłamne moce... Żądze będą ucztować, a na końcu ucztę nie wino, ale krew się poleje...

Obroński słuchał z uśmiechniętym grymasem politowania.

— To jest ten sam, który spaceruje w ogrodzie, zaczepia każdego, samotnie siedzącego na ławie, nawraca—odezwał się szeptem, pochylając do księżniczki — rozmawiałem z nim raz i nic nie rozumiem...

— Pan nie rozumie?

— Bo cóż znaczą owe tarcze, łamiące się strzały słów, kłamne moce, trujące zielska... jakaś apokalipsa... trzeba, żeby ktoś stał za nim i tłumaczył każdy wyraz... Może pani zechce wyjaśnić, skoro rozumie wszystko...

— Panie, najłatwiej jest wyszydzać — chłodno i niechętnie odrzekła księżniczka.

— Tępię, proszę pani, najszkodliwszy chwast, który buja w Polsce i nazywa się: umiłowanie frazesu...

Księżniczka nie odpowiedziała nic. Utkwiła spojrzenie w starcu, ciekawa i przejęta, zachwycona śliczną postacią, urokiem nastrojowej chwili. Zdawało się jej, że prorok biblijny, patriarchy narodu wstąpił pod ich dach i naucza, że mądry i smutny ten człowiek wie wszystko i zadumanemi, wpatrzonemi w płomień oczami, czyta przyszłość, że z ust zawiedłych padają bezcenne słowa, które trzeba jej zapamiętać, zachować, jak skarb na resztę życia. Słuchała chciwie... Na kolanach starca i u jego stóp na podłodze, niby wesole dzieci, swawoliły blaski ognia, on zaś z przestankami, powoli, urywanemi zdaniami mówił i biadał...

— Nadciąga gorejąca burza... niezmierna luna na niebie... złe wybuchło jak pożar, ogarnia, szerzy się... Nazywają to zwycięstwem, wolnością, wyzwoleniem... Z grzechu, z nienawiści, z krwi nie urodzi się nowy dzień ducha... Rydwan złotego cielca stratował kwiat obietnic Chrystusowych... chleba, miłości zabrakło w domostwie... żądze usiadły na progach... Człowiek pokochał użycie i ciało swoje i ziemię, upojony mocą, zapomniał... Ale osiągnąwszy potęgę, poznają słabość, a zdobywszy wiedzę, przerażają się...

— Więc cóż, ojczyzna, z ojczyzną?... więc nasze nadzieje... — wyrwało się księżniczce.

Grzybowski zwrócił się w jej stronę, szukał oczami, przyglądał się chwilę, nie mogąc dobrze w mroku rozeznąć...

— Umarło to słowo: ojczyzna na ustach czasów dzisiejszych—odrzekł—i niema bodaj ojczyzny. Są partye, stronnictwa, obozy, są wodze, armie, sztandary... waśnią się z sobą i walczą, obozy z obozami, w obozach namioty z namiotami, każdy domaga się berła władzy, każdy najgodniejszy... Gdzież ci, co miłują ojczyznę?...

— Gdzież są ci, co miłują ojczyznę? — powtórzył. Jedni poświęcają się dla proletaryatu, inni pracują dla przemysłu, dla nauki, dla sztuki, inni wymyślili patryotyzm... Trwa wrzawa, podobna szumowi, z którym płytkie wody toczą się po kamieniach, jest zgiełk niesforny, szeleszczą gazety, rodzą się codzień nowe programy...

Umilkł i znowu spoglądał w płomień. Była cisza. Nikt mu nie zaprzeczał, nikt już o nic nie pytał.

— Ale przyjdzie, rozraduje was — po chwili ciągnął dalej — ukaże się wam ojczyzna... najpierw w sercach i duszach waszych, potem na ziemi w kształcie widzialnym... poza zasłoną teraźniejszości rozwija się dzieło, wzrasta sprawa i nie ustaje trud... Jako ofiara są one trwające męki i bóle, ofiara zaś potrzebna jest, żeby wypełniło się odkupienie...

Obroński kąsał sobie wargi, żeby nie roześmiać się. Niecierpliwiła go cała ta uroczysta scena, w której zdziecinniały, zdaniem jego, starzec grał rolę proroka, a wszyscy z nabożnem skupieniem chylili przed nim głowy. Nie rozumiał mglistych przenośni, szukał przewodniej myśli, ukrytej na spodzie urywanych, powleczonej tajemnicą okresów, a uchwyciwszy ją na mgnienie, gubił natychmiast. Przez wzgląd na księżną tłumił szydercze wnioski, chęć poddania trzeźwej analizie mistycznej frazeologii, która rozwiałaaby się jak dym—znieczierpliwienie. Przestał słuchać. Próbował parę razy odwrócić uwagę księżniczki od „bredni zdziecinniałego patryarchy z przedmieścia,” a gdy mu się nie udało, znudzony, nie mogąc doczekać końca „żywego obrazu,” złożył ukłon i wyszedł. Wówczas Paweł zbliżył się do księżniczki, stanął za jej krzesłem, patrzył... On także nie słuchał... Smutek tej godziny pochłaniał mu serce... Biblioteka, stół z pismami, szafy, majaczące z za szyb, równe, nudne, martwe szeregi oprawnych tomów przypomniały odległą chwilę, gdy pewna pani, może najpiękniejsza ze wszystkich, które znał, pani Anna Opolska, w takim samym pokoju, wśród zaduchu książek i nudy sztywnych szaf, doradzała mu, poznawszy dzieje jego młodości, ażeby jak najprędzej rozpalil w sobie płomień uczucia, żeby nauczył się mowy szczęścia i kochania, napełnił radością posępne „oczy życia,” bo może być zapóźno, bo straszną karą jest próżnia i czczość... I przypomniawszy się jednocześnie czyjaś gorzka, wyrzeczona dawno przepowiednia, że on nie potrafi pokochać, że nie będzie nigdy kochanym, ukazywał się obraz doli stryja Michała Naborowskiego, zdziwaczałego samotnika, który w głuszy wiejskiej utopił zdolności i szczęście, wynurzały się z przeszłości ponure twarze,

lat, które minęły, wysnuwał się wniosek, że przyszło owe „zapóźno,” że sprawdza się przepowiednia... Naborowscy rodzą się pod złą gwiazdą... Ojciec zginął śmiercią tragiczną, stryj marniał... a on, a on? Ze wszystkich jego kolegów każdy miał dom, w którym mieszkała radość, i drogę wytkniętą, tylko on znalazł się na wydmie, tylko on był bez domu, bez drogi, bez celu... Pójdzie stąd w świat, jak żebrak... Gorzki żal gromadził się w duszy Pawła. Pieszcząc pożegnalnym spojrzeniem przecudną najdroższą głowę, wyrzekał się nadziei, powtarzał, że nie zobaczy już nigdy, że nie wróci, że odejdzie, żeby nie patrzeć na cudze szczęście.

— Czy pan słuchał uważnie?—szepnęła księżniczka—w tych mądrych słowach zawiera się odpowiedź.

— Znalazłem już odpowiedź, księżniczko...

I znowu pograżył się w zadumie, pochylał się nad smutkiem swoim. Mowa starca o grozie czasów, o umiłowaniu ojczyzny, o ofierze i odkupieniu płynęła mimo uszu jego, jak szum morza nad głową śpiącego. Zamknął się w celi osobistego cierpienia, i nie mógł jej opuścić, zgłębiał księgę własnego życia i zapomniał o reszcie... Tracił chwilami poczucie rzeczywistości i zdawało mu się, że jest zupełnie sam, w pustce, zawieszony w przestrzeni między niebem a ziemią, że wyszły zeń myśl i dusza, że on jest tylko częstką mroku, atomem w próżni i że tak będzie trwał... Szelest sukni księżniczki albo jakieś głośniejsze wypowiedziane przez Grzybowskiego słowo rozniewały w nim świadomość... I zanurzał się nanowo w realnym bólu, w beznadziejnych myślach... Widział pusty dom swój, samotną drogę, niedolę, posępny obraz przyszłości, przeżywał smutek rozstania... Niezmiernie drogą i niezmiernie bolesną była ta godzina. Mijała wolno, jak zamyślony, stroskany przechodzień, jak ten, który odchodzi z żalem i wie, że nie wróci. Przeminie i zabierze z sobą wszystko, nawet oną żalność, która pożera oczy, wpatrzone w swoje umiłowanie. Rozpościera się za nią mrok, a w mroku — szereg dni, jak owe na półkach martwe nudne rzędy książek... Wzdrygała się w przerażeniu dusza Pawła, i płakało pierwszy raz po latach, po latach ubogie i skąpe, zaschłe i zimne serce. Najstraszliwszą była myśl, że rozwiązał się jedyny sen o szczęściu, że umarła ostatnia jasność na ścieżce człowieka skrzywdzonego, że taką jest dola jego, że tak już będzie na zawsze... Godził się z losem swoim, poddawał się, sam zgasił nadzieję, a mimo to spodziewał się jeszcze czegoś niewiadomego.

Lokaj zameldował jakąś wizytę i obie panie wyszły. Zostali we trzech w pokoju. Grzybowski, znudzony długim mówieniem, umilkł. Płomień huczał i gwarzył, napełniał ciszę wesołą, lekko-

myślną opowieścią, nie zastosowaną ani do chwili, ani do tych zadumanych ludzi, strzelał iskrami i były to niby wybuchy śmiechu, pełzał pieszczotliwem migotaniem po zmęczonej postaci starca, weselił się on jeden w tym pośepnym pokoju, zdawało się, i śpieszył kędyś... Spoglądali w jego zmienne, ruchliwe, jasne i radosne oblicze ci trzej zamyśleni ludzie, ścigali spojrzeniem duszy—każdy odmienne obrazy. Trwało długie milczenie.

— Widujemy się z panem rzadko — odezwał się do Pawła hrabia Tobiasz — pan pisał do mnie niegdyś... odpowiedziałem... ale rozeszły się nasze drogi...

— Rok cały—ciągnął dalej—spędził pan z tymi, którzy dziś obchodzą dzień zwycięstwa — i właśnie teraz najniespodziewaniej pan rozstał się... mówiono mi... Widzę w tem dowód, że nie uganiał się pan za popularnością, że pan szczerze szukał... Luna przeraziła pana, poznał pan głębiej cele, potępił środki, zwątpił—i zmienił kierunek...

Hrabia Tobiasz podniósł na Pawła wzrok, którym zapytywał, ale on patrzył w ogień.

— Z powodu listu owego, którym pan mnie zaszczycił, nie traciłem pana z oczu i nie traciłem nadziei... Staliśmy wówczas w epoce, w której pan zwrócił się do mnie, bardzo daleko. Wskazałem panu cel, nie wskazawszy dróg... Wiedziałem, że pan je znajdzie... Przechodziłem sam różne koleje, ulegałem prądom, błądziłem... cenną i trwałą jest tylko ta prawda, do której się dochodzi przez cierpienie ze znojem w duszy...—przyjaźnie brzmiały słowa hrabiego Tobiasza.

— Nie znalazłem, proszę pana — chłodno odpowiedział Paweł—ani nowych dróg, ani nowej prawdy... Nie obrałem żadnego kierunku i nie będę szukał... Pan, zdaje mi się, należy do kategorii ludzi, zajętych uszczęśliwianiem ludzkości—ja wyparłem się na zawsze tych zamiarów... cele ogólne zatapiają jednostkę tak, jak powódź zalewa żdźbło trawy na łące... Spojrzałem oczami człowieka śmiertelnego, człowieka, który żyje raz jeden, przychodzi na wieki, przekonałem się, że należy żyć dla siebie, korzystać z daru istnienia... Byłem długo, jak muł... ciągnąłem zażarcie abstrakcyjny wóz celów ogólnych, wóz ojczyzny, nauki, proletaryatu — i nie zyskałem nic... odejdę w mrok z próżnemi rękami...

Hrabia Tobiasz słuchał ze zdumieniem dosadnych zdań, wypowiedzianych niechętnie, a z nutą rozdrażnienia w głosie, z odcieniem zjadliwości.

— Ubolewano tu, że zabrakło takich, co by miłowali ojczyznę... Wyznaję, że i ja nie miłuję ojczyzny... Nie obchodzą mnie także ani dzieje proletaryatu, ani zdobycze nauki, ani postęp... mam własne życie, jedno jedyne, znikome... i pragnąłbym z niego wydobyć... jeśli nie jest za późno... Pamiętam radę pana... Nie zrozumiałem jej wówczas... Co to znaczy obumrzeć, jak ziarno pszeniczne? Nie chcę, panie, tej śmierci i wolę życie... Boję się tylko, że już zapóźno... — urwał, zgnębiony wyrokiem, który sam wydawał na siebie.

— W obliczu śmierci zastanawiałem się, dociekałem, szperałem w siebie i w życie. Wysnułem wniosek, że szczęście mogłoby być realną wartością, że szczęście, gdyby istniało, usprawiedliwiałoby, nadałoby sens doli człowieka... A jeśli niema szczęścia, życie wydaje się niedorzecznem... Ludzie mijają, jak cienie, pragnąc i czekając nadaremnie, lata uciekają, niedola trwa długo... I lepiej byłoby nie istnieć...

— Ile dni pan zgłębiał zagadnienie życia i śmierci?—szorstko przerwał mu hrabia Tobiasz.

— Ile dni, pan zapytuje... Nie zapisywałem w kalendarzu. Myśli te nasunęły mi się niedawno...

— I już pan zdążył zwątpić o wszystkim, zdeptać ład świata, wykreślić z życia rzeczy wieczne i święte... Jakiś zawód osobisty, jedno niepowodzenie czy rozczarowanie popchnęły pana w objęcia przeczenia...

Hrabia Tobiasz postąpił ku Pawłowi, pochylając się, patrzył z bliska, mówił twardo:

— Przekonania, stronnictwa może pan zmieniać, ale ducha zabijać w sobie niewolno... Trzymał pan w ręku, niby numery dzienników, rozmaite programy, sklecił z nich jakie takie credo, zamieszkał w splecionym naprędcie szaleńsie, a że wiatr czasu wyrócił go, bluźni pan prawom i prawdzie... Niech pan sądzi i potępia siebie samego, ale nie świat, którzy stworzony nie dla pana... Stoczył się pan w dół, szczyty istnieją wszakże... Nie było w panu wiary, zapracowanej krwawo, zdobytej na własność, utrwalonej na opoce ducha...

— Nie było—obojętnie powtórzył Paweł.

— Należy szukać... znajdzie ją pan... „światłość prawdziwa oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego.“

— Pan twierdzi, że jest światłość prawdziwa...

— Tak... i zamykać oczu, przeczyć lekkomyślnie nie wolno—surowo mówił hrabia Tobiasz.

Paweł spuścił głowę, dumał. Stał oto przed nim człowiek, mądry i stanowczy, ten sam, do którego w godzinach trwogi zamierzał udać się, którego chciał prosić, żeby zgodził się być mu nauczycielem, i przyszła właśnie chwila, doniosła, odpowiednia, w której mógł pytać... Ale cierpienie zgasiło pracę wewnętrzną, stłumiło one żądne wiedzy pragnienia, odsunęło tamten niepokój... W znękanem sercu rozlegał się szept zniechęcenia: czy warto? cóż po długich rozmowach? do czego prowadzą? nie zmieniają rozumne słowa przeznaczenia, nie odrobnią, nie przywrócą... Ogarniało Pawła znużenie, i nie chciało mu się brać na barki ciężaru zagadnień... Usiłował wskrzesić w sobie owe myśli, które wrzały w duszy przed niewielu dniami.

— Pan twierdzi, że jest światłość prawdziwa — rzekł cicho martwym głosem — proszę mi wskazać... Był czas, że miałem zwrócić się do pana, nie mogąc podołać... Zarzut egoizmu leżał w poprzek nowej drogi... Wydawało mi się, że życie jednostki ma znaczenie i wagę, zawiera ukrytą myśl, że człowiek spełnia jakieś zadanie, że śmierć nie powinna być końcem, że trzeba żyć dla siebie, i tu właśnie egoizm...—przypominał niedokładnie.

Nużyła go rozmowa, krępował badawczy wzrok hrabiego Tobiasza.

— Niech mi pan wskaże... wdzięczny będę... Odwróciłem się od spraw społecznych, a nadeszła pora, w której człowiek wyrzeka się dążeń osobistych... znalazłem się w próżni... Wspominałem o szczęściu, ale nie dlatego, żebym je posiadał... właśnie przeciwnie...—głos złamał mu się... skończył.

Nastało milczenie. Hrabia Tobiasz przyglądał się wciąż Pawłowi, i czekał może dalszego ciągu wyznań.

— Pan chce, abym wskazał, wyłożył, pożyczył—zaczął wreszcie sam—trzeba zdobyć samemu... mówiłem już... — zawahał się.

— A jeśli spadły na pana ciosy—dodał ciszej—zniechęcenie brzmi w niektórych słowach pana... to jedno powiem, że nie dla szczęścia rodzi się i żyje na ziemi człowiek.

I znowu było długie milczenie. Paweł zastygł w obojętności. Nie obchodziły go podniosłe, chłodne prawdy, nie obchodziła owa trudna i twarda wiara, którą zdobywa się w cierpieniu. Cierpienia i smutku miał dosyć... Wlepił oczy w ziemię, bezmyślnie zabawiał się migotliwym blaskiem, który drżał w tem miejscu na podłodze. Hrabia Tobiasz przeszedł się po pokoju, dorzucił dREW do kominka, zadał pocichu Grzybowskiemu jakieś pytanie, rozmawiali...

Nagle zaszeleściła gdzieś suknia... Paweł drgnął, przeczuwając, kto idzie...

— Pani Kamieniecka jest u nas i chciałaby widzieć pana—zaprosiła księżniczka.

Poszli razem. W jadalnym dzieci, które pod przewodnictwem Angielki śpieszyły na podwieczorek, zabiegły im drogę. Mały, trzyletni Jacek uczepił się sukni panny Marylki, nie chciał puszczać. Wzięła go na ręce, trzymała chwilę, pocałowała w czoło, oddała Angielce... To krótkie mgnienie zostało na zawsze w pamięci Pawła. Widział precudne zapłonienie, słodki uśmiech ust, miłujące spojrzenie oczu, macierzyńskie tulenie dziewczycych ramion, wstydlivość uczucia... była to jakoby przelotna wizya przyszłych dni, cudzego szczęścia...

— Jacek lubi mnie za bajki, które mu opowiadam... lubimy się bardzo... to Beniaminek—tłómaczyła księżniczka.

Wchodzili już do salonu, gdzie pani Henryetta prowadziła żalostną rozmowę. Wyglądała jak obraz niedoli w swoich krepach, czarna od stóp do głowy. Opowiadała o atakach męża i ostatnich chwilach Agi, o książce, podniosłej a krzepiącej, przysłanej przez hrabinę Skomoroch, i mszach, zakupionych przez służbę. Potem ubolewała nad stanem miasta i położeniem w kraju, nad podeptaniem zasad, nad socyalizmem, nad przerażającym rozzuchwaleniem...

— Rozczuliła mnie wszakże i pocieszyła pewna drobnostka—mówiła, ruchliwemi oczami przebiegając po obecnych, zwracając się w szczególności do gospodyni—podzielię się z panią, bo w czasach tak smutnych przyjemnie posłyszeć, że nie jest jeszcze zupełnie źle... Otóż przed kilku dniami robotnicy, któremi opiekowałam się trochę, spotkali naszego stangreta i polecili mu powiedzieć nam, że możemy się nie obawiać, że nic nam się nie stanie, że oni będą nas bronić... Moja panna służąca otrzymała także list ze wsi od swoich, w którym donoszą jej, iż szlachta zaściankowa, włościanie, fornale, postanowili czuwać nad naszym mieniem, postanowili nie dopuścić do rozruchów...

Pani Kamieniecka spojrzała na wszystkich po kolei.

— Prawda, że takie objawy pokrzepiają i cieszą... Nić tradycyi jeszcze nie zerwana... dobre ziarna przynoszą owoc... Rozdawałam tym biednym, ciemnym ludziom trochę książek, gawędziłam czasami.

— To jest coś zupełnie wyjątkowego...—zauważyła prawdziwa księżna—mój brat i ja pracowaliśmy dużo i na wsi i tu i właśnie blizcy jesteśmy zniechęcenia...

Pawła niecierpliwiła dziś znana mu dobrze naiwna, płytka frazeologia teściowej. Rzucił w nią niechętnem spojrzeniem, jak gdyby pragnął zaniknąć jej usta, popatrzał w oczy księżniczki... I chciałby odezwać się do niej, ale nie umiał zacząć... Spostrzegł, że ona zmieszała się, że odwróciła nieco głowę, spojrzenie jej pobiegło ku pustelnikowi, potem ku oknom, za którymi, wśród ciemnej nocy, dumały, szumiały może, drzewa ogrodu... Patrzali tam chwilę oboje... Paweł szukał w sobie owego jedyne, ostatniego słowa, którem pożegna ją...

— Byłam dziś na grobie Agi—zaczepiła go naraz pani Kamieniecka—zaniiosłam kwiaty...

Paweł poruszył się niespokojnie na krześle, milczał. Była cisza.

— Rozmawialiśmy onegdaj cały wieczór z Pawłem o naszej drogiej zmarłej, przeglądaliśmy pamiątki... — smutnie opowiadała dalej teściowa.

Paweł wstał niespodzianie i zaczął żegnać się. Nie patrząc, niezgrabnie, nieufnie podał rękę księżniczce, dotknął zaledwie jej palców, cofnął się natychmiast i nie powiedział nic... Wyszedł... Panna Marylka odprowadziła go wzrokiem do drzwi. W jej sercu żal mieszał się z uczuciem ulgi...

— To jest człowiek ogromnie zacny... poznałam i oceniłam jego dobroć w nieszczęściu... okazał nam tyle współczucia... garnie się do nas—po francusku mówiła o Pawle pani Henryetta.

Księżna potakiwała z roztargnieniem, zajęta domysłem, który nasunął się jej w tej chwili i przyglądała się badawczo córce... A potem, gdy zostały same, streściła jej swoją rozmowę z Obrońskim i znowu szukała w oczach potwierdzenia owego domysłu. Panna Marylka miała wyraźną niechęć do Obrońskiego, widziała w nim okrucieństwo i twardość, chłód i zarozumiałość, zarzucała mu brak patriotyzmu, egoizm... Nie pomogły dowodzenia księżny, która w trosce o przyszłość, w uznaniu świetnej partyi próbowała bronić, próbowała zlekka doradzać. Panna Marylka odmawiała stanowczo...

Umilkły wreszcie, obie znękanie tem pierwszym nieporozumieniem, zgębione doniosłością chwili... Księżniczka pieśczołtliwie tuliła się do matki, całowała jej stroskane czoło.

— Pan Naborowski — zaczęła nieśmiało — pan Naborowski, mamo, także...

Przywykła spowiadać się matce ze wszystkich myśli, matka przywykła zgadywać...

— Paweł?!—zdziwiła się księżna—Paweł, który przed kilku dniami pochował żonę...

— Nie wiem napewno, nie mówił mi nic... domyślam się — tak mi się wydaje...—wstydliwie wyznawała.

— I ty, Marylko, wolałabyś jego?...

Niepokój był w głosie księżny.

— Nie, mamó... i on nie...—szepnęła.

Ogarnęła ją zaduma... I marzyło serce o tym, którego wyśniła w ciszy dziewiczego pokoju, którego nie spotkała nigdy, któremu oddała duszę i zaprzysięgła wierność, którego goniła tęsknotą po świecie... Był kędyś daleko, nieznany a drogi — nie przychodził... czekała, jak w onym wierszu, który lubiła nucić, patrząc ku drodze, biegnącej przez pola puste i senne o godzinie zachodniej.

Et s'il revenait un jour

Que faut-il lui dire?

— *Dites lui qu'on l'attendit*

Jusqu'à s'en mourir.

Et i'il demande où vous êtes

Que faut-il répondre?

— *Donnez lui mon anneau d'or*

Sans rien lui répondre.

Et s'il veut savoir pourquoi

La salle est déserte?

— *Montrez lui la lampe éteinte*

Et la porte ouverte.

XXV.

Płynęły dla Pawła jednostajne dni smutku. Nieobeznany z bólem nie przypuszczał, nie wiedział, że cierpienie może trwać i nie kończyć się, że miazdząca moc jego zawiera się właśnie w owym przewlekłym trwaniu, że nie zawsze zjawia się dobroczynna wróżka dla przecięcia długiego pasma. W pamiętnej godzinie rozstania ukazywał mu się posępny i beznadziejny obraz przyszłości, a mimo to spodziewał się, że los wskaże mu drogę i wyjście, iż przyjdzie jakieś rozwiązanie, nastąpi jakiś koniec, stanie się coś, co położy kres, spodziewał się czegoś niewiomego. Zgasił nadzieję, ale czekał jeszcze... Tymczasem płynęły jednostajne dni smutku. Ciężką była nuda, którą niosły; niepokojącą—próżnia, w której zawisły; nieznośną—pustka, przez którą szły, budząc ponure echo; najgorszą zaś — obawa, że ten ich

szereg ciągnąć się będzie bez zmiany, bo wypowiedzianem zostało ostatnie słowo, bo już nie pora zaczynać... Tam, za oknami milczących pokojów wrzało miasto, budzące się codzień z innym uczuciem, pełne naprzemian radości to strachu, walczyły partye, brzmiał śpiew wolności, odbył się pochód, podobno wzruszający, podniosły i wspaniały.—Paweł stał poza życiem, beczynny, zniechęcony, obojętny i mierzył jałowe rozłogi swoich myśli zgaszonym spojrzeniem. Zerwał wszystkie wiążące go ze społeczeństwem nici—ludzie odwrócili się od niego z niechęcią, zapomnieli o nim, wykreślili imię jego ze swoich rachunków bieżących. Nikt go nie odwiedzał, nie zapraszano na posiedzenia, nie kołatano o składki, upadły naraz wszystkie sprawy i była dokoła domu jego jakgdyby bezludna pustynia. Kamieniecy, którym dopomógł w kłopotach funduszowych, udali się pierwszym kuryerem na południe, dla poratowania gasnącego zdrowia pana Hilarego; Obroński zamknął się pogardliwie w swoim pałacu, zgębiony zwycięstwem ulicy; Śniałowskiego porwał szybki prąd wypadków i niósł może ku brzegom chwały, może w odmęt zatracenia; panna Malinowska przestała dokuczać; dom księżny skrył się za czarną chmurą... Paweł trwał przy projekcie podróży. Kazał spakować kufer, przejrział rozkład pociągów, przygotował pieniądze, ale leniwie odkładał wyjazd z dnia na dzień... Dokąd miał jechać? Do Naborowa, żeby przyjrzeć się zmarnowanej doli stryja Michała? do Włoch, żeby wśród obcych ludzi, pod obcem niebem tęsknić do swoich, do bliskich, których nie było? na kraj świata? do przylądka Dobrej Nadziei, który istniał tylko na mapie? Więc zostawał i wlokły się ociężałe, niepotrzebne godziny... Wstawał, snuł się po pokojach, jakgdyby oczekiwał czegoś, kładł się spać, nie doczekawszy...

W mieszkaniu panował wzorowy ład. Skarcona służba odzyskała dawną sprawność, świeciły wyfroterowane starannie posadzki, połyskiwały wymyte lustra, znikły pajęczyny i kurz, w porę podawano wyborną kawę, dobre śniadanie, obfity obiad, za naciśnięciem dzwonka zjawiał się natychmiast dawniej zwykle nieobecny lokaj, zgadywał życzenia. Ale ten doskonały porządek, owa wygoda, pomyślność i łatwość niecierpliwiły Pawła, bo tem jaskrawiej występowały na jaw bezcelowość istnienia, próżnia i próżniactwo, tem ostrzejszem stawało się poczucie rozprzężenia, zamętu wewnętrznego. Podobnie rażą wzrok wiszące na ścianie kosztowne ramy, gdy ktoś wyjinie z nich obraz... Nie mogąc znaleźć zajęcia, przeglądał książki, stosy przewertowanych niegdyś przed napisaniem sławetnej rozprawy dzieł, odczytywał pierwszy

lepszy rozdział, zamykał książkę, brał inną. Nuda wiała z po-
żółkłych stronic suchej i martwej nauki, która tak się miała do
życia, jak kościotrup do żywego człowieka; nie potrzebował wie-
dzy o tworzeniu się społeczeństw, o walkach plemion pierwotnych,
o prawie naśladownictwa, o powstawaniu gatunków... Były to
sprawy nieskończenie odległe, obce i obojętne. Trzymał w obję-
ciach, niby matka chore dziecko, własne życie swoje i nie wie-
dział, co z niem uczynić...

Któregoś dnia, pragnąc spełnić obietnicę daną księżniczce,
kupił sobie psalmy angielskie i przejrzał uważnie od początku do
końca. Podczas czytania, jak w kościele na nieszporach, to uka-
zywała mu się moc Boga, moc niepojęta, niezmierna, straszliwa,
to odzywały się wątplenia, i przesuwające się przed oczami wy-
razy traciły sens i nie umiał znaleźć związku, pasma łączącego
między Bogiem, dalekim, wielkim, moźnym, a człowiekiem ma-
łym, znikomym i cierpiącym. Bóg stawał się abstrakcją, niwe-
czącą jednostkę tak jak naród, ojczyzna, idea... Nie odzyskał te-
dy wiary, mimo, że chwilami wydawało mu się, iż religia jest
niby świetlista dolina, że księżniczka naznaczyła mu w niej spo-
tkanie (jak w onym ogrodzie na wiosnę) i czeka na niego, mimo
że słyszał jej głos, trochę wzruszony, którym odpowiadała na
jego pytania, i widział ją zbliska, klęczącą przed ołtarzem z ni-
sko pochyloną głową... Zresztą on nie szukał wiary. Minęły
godziny, w których, przerażony śmiercią, spragniony prawdziwe-
go życia, życia, któreby nie rozpadało się w proch od tchnienia
śmierci, gorączkowo, pracowicie, niespokojnie przebiegał obszar
wiedzy ludzkiej i domagał się dokładnej, rzetelnej odpowiedzi na
zasadnicze pytanie, gdzie leży cel, jaką jest trwała myśl istnie-
nia. Obecnie po stopniach cierpienia osobistego szedł do ciasnej
celi, gdzie otoczył go mrok, i stracił z oczu wysokie szlaki i za-
chwiała się w nim instynktowa, normalna wiara, na której opie-
rał się, która pokrzepiła go w znękaniu pewnego poranku, gdy
patrzył w bielejące światem niebios, w łagodną obietnicę dnia.
Naprawdę powtarzał sobie surowe słowa hrabiego Tobiasza i wła-
sne rozsądne wnioski o szczęściu; naprawdę starał się znaleźć po-
ciechę i spokój w trzeźwym rozumowaniu — wskrzeszone serce
tęskniło, pragnęło, skarżyło się, marzenie kreśliło nieustannie
obraz życia, który mógłby zajaśnić, gdyby nie było zapóźno,
i oczy kochały swój sen, żeby potem z odrazą wrócić do rzeczy-
wistości, zestawiać, smucić się,—i podnosił się bunt...

Twardą była dola, pod złą gwiazdą rodzili się Naborowscy.
Wszyscy ci, których znał, o których słyszał, dawni koledzy szkol-

ni i uniwersyteccy, towarzysze z partyi, znajome w świecie mieli cele, stanowiska, jakieś zajęcia i radości, tylko on zmarnował lata, nie zbudował sobie trwałego domu i znalazł się w próżni, stanął na wydmie w wieku, w którym zapóźno jest zaczynać na nowo... Żenią się ludzie, hoduja dzieci, kochają żony, rządzą majątkami, zakładają fabryki, ślęczą w biurach, wydają gazety, kupują i sprzedają kamienice, rzeźbią posagi, jedni robią pieniądze, drudzy poświęcają się idei, każdy idzie własną ścieżką od początku do końca, zadowolony i spokojny, rad z siebie i z życia—tylko on nie znalazł ani drogi, ani zadowolenia... Dlaczego?

Całemi godzinami z okna salonu przyglądał się przechodniom na chodniku, i, dumając nad dolą tych mijających ludzi, widział wyraźne zarysy domów ich życia i próżnię własnego istnienia. Z trwogą odsuwał przypuszczenie, że tak już zostanie, że nie wyrośnie nowy gmach... W powieściach, które czytywał niegdyś, bohaterowie zmagali się z bólem, zwalczali rozmaite przeszkody, borykali się ze złem i zwyciężali albo zwyciężeni ginęli; słowem, był zawsze epilog, była jawna kropka nad i i kropka po końcowym wyrazie. W jego zaś życiu, złożonem z luźnych rozdziałów, brakowało rozwiązania. Po różnych próbach, przejściach, przemianach uczyniła się pustka—czyżby takim miało być dokończenie? Wertował pilnie swój dziennik. Zmartwychwstały w pamięci dzieciństwo pośepne, któremu los ukradł radość i naiwne szczęście, chłodna pracowita młodość, pozbawiona marzeń, porywów, kochania, wreszcie epoka dojrzałości, obcował z sobą, badał, starał się poznać siebie. I dojrzał przewijającą się przez szczere wyznania linię przewodnią ambicyi, zauważył, iż kamieniem węgielnym budowy były przekonanie o wyższości własnej, wiara w szczególne posłannictwo, spostrzegł, że na zimnej powierzchni jego życia nie zaświeciła nigdy gorąca smuga uczucia, widział zawody, upadki, rozczarowania, niepowodzenia. Nasuwał się wniosek, że linia wytyczna była błędną, a kamień węgielny kruchym. Z ziarna ambicyi wyrosło drzewo, które pochłonoło wszystkie żywiące soki, wysuszyło i zubożyło glebę, zagłuszyło wszelką inną roślinność... Zagłębiając się w siebie, bezstronnie wydawał sąd i potępiał. Jak przed laty w noc gwiazdzistą po pewnym nieudanym odczycie mierzył swoją postać miarą właściwą, nazywał rzeczy po imieniu, tylko że dziś korzył się, godził się z losem, pochylał się ze skrucą pod wyrokiem, który był surowy i twardy. Czynił długą spowiedź. W uniesieniu żalu wytykał sobie błędy i grzechy, winy i wady, wytykał oschłość, brak szczytnych umiowań, pychę, samolubstwo, uznawał ubóstwo, kar-

cił ambicję i próżność, mówił sobie całą prawdę. Zdarzały się chwile, że zrywał mu się w duszy płacz, płacz nad zmarnowaniem życia. Zazdrościł ludziom, którzy szli chodnikiem, chciałby być najmniejszym, najlichszym, najbardziej przeciętnym, byleby zdjęto z niego ciężar lat, straconych bezpowrotnie, brzemień odpowiedzialności, byleby znikła zmora przeświadczenia, że już za późno. Ale nie było tego, któryby go rozgrzeszył i podał w czarrze przebaczenia nadzieję i rozwiązał wątplenie... Z jednej strony stało ponure widmo przeszłości, z drugiej przed wzrokiem leżała martwa równina przyszłości, na teraźniejszość cierpienie kładło czarne cienie. Próbował odegnać cierpienie, zmódl je jakimkolwiek orężem, uczynić nieszkodliwym. Myślał o śmierci i odwracał się od niej ze zgrozą, z tem większem przerażeniem, im straszliwszą wydawały mu się próżnia i czczość własnego życia. Myślał o ojczyźnie, o stronnictwach i rewolucyi, o idei i poświęceniu, które zapełniłoby mu lata — i wbijał w ziemię zawstydzone spojrzenie: przekonywał się, że nie miłował ojczyzny, ludu, nauki, idei... Przypominał nauki hrabiego Tobiasza — były mądre, chłodne, niedostępne, w sercu odzywała się skarga. Wspominał ciche i nieśmiałe uwagi księżniczki, w których ona wskazywała mu Boga, posłuszeństwo, spokój prostoty, „niech pan bierze z prostotą i siebie i życie, jesteśmy podwładni“ i ważył je badawczo, a z wiarą ale nie pojmował... Tak tedy oręż, po który sięgał, żeby zadać cios cierpieniu, łamał się... nie było rady, pociechy, pomocy. I mijały długie, jednostajne dni smutku. Trwoga padła na Pawła. Postanowił nieodwołalnie wyjechać, uciec od niedobrych uczuć, które zaczynały budzić się, od wspomnień, z tego mieszkania, które znienawidził, z miasta, które radością uragało jego niedoli, pracą — jego beczynności, od ludzi, którym zazdrościł, skryć się kędyś, schronić się...

Przed wyjazdem w niedzielę uległ pokusie, wybrał się do kościoła. Tak samo odbywały się nieszpory, modliły się tłumy, w organach huczała wspianiała pieśń, księżniczka klęczała w tym samym miejscu, świątynia pełna była chwały Boga. Wspominał. Ogromny żal wstrząsnął sercem, wybuchnął w głębiach płacz, cisnęły się na usta proste skargi, ogarniało dziecięce wzruszenie, w którym tkwi żalosna litość nad sobą. Chciałby błagać kogoś... Spojrzenia pobiegły ku blaskom ołtarza i dalej w mrok absydy ku witrażom, zawisły w ciemni pod sklepieniem, szły dalej i wyżej w przestwór niezmierny, myśl wzięta chwiejny lot, wahała się chwilę i zanurzyła się w obszarach nieznanych, wzbijała się, dążyła. I przyszło mgnienie, w którym, jak dreszcz, przeniknęło

Pawła poczucie bliskości Boga i nikczemnej małości własnej, poczucie owego niepojętego i niedostrzegalnego pierwszej związku. Zdawało mu się, że nie jest już sam, człowiek znikomy, lichy, drobny, zły i nieszczęśliwy; sam, ze skołataną i zbłąkaną myślą, z cierpieniem, z niepokojem, z nudą w obliczu obojętnego świata, który weseli się, pracuje, trwa i szydzi z niego, ale że roztacza się nad nim jakowaś miłościwa opieka, że czyjaś wiedza czuwa nad nim, że czyjeś troskliwe oczy patrzą mu w duszę i czytają z niej, że jest nad nim wola, która kieruje... Zdawało się, iż spadły mu z ramion ciężar zmarnowanych lat, brzemień odpowiedzialności, że powraca młodość. W poczuciu małości własnej zmałyły cierpienie i gorycz życia, uciły w tej chwili skargi. Jakaś nadzieja uśmiechała się w sercu... Dobroć tuliła go do swego łona—i stał się pełen dobroci, czyjaś najśłodsza miłość przebaczyła mu—i trysły w nim zdroje miłości, pokochał klęczące tłumy, księdza, który śpiewał, kamienną płytę, na której stał, leniwe pasmo kadzidła... Widział nieskończone rozłogi, a wśród nich nikłe dźwięko, ogarnął wieczność, ujrzał ład i prawo, zaczerpnął wiedzy, zgłębił przeznaczenie, pojął niedolę i zadanie...

Działo się to kędyś w przybytku duszy, prawie za progiem świadomości,—świadomość nie zdołała uchwycić, odbić, utrwalić. Została pamięć smugi świetlistej i olśniewającej, pamięć wyrazów, które w onem mgnieniu wybiegły na wargi (wypowiedziała je niegdyś księżniczka) „dusza idzie do Boga, który jest ojcem, zostały spokój i ukojenie.“

Wyszedł z kościoła, podążył w oddaleniu za księżniczką, doprowadził ją do domu, gonił za nią wzrokiem, a gdy znikła, okrążył ogród i znalazł jakąś furtkę, którą zapomniano zamknąć. Był już wieczór i wysokie, potężne drzewa milczały w ciemności. Nie poruszyła się gałąź, nie spłynął liść.. Jak duch, kroczył aleją „królewską“, odszukał ustronie, cichą łakę, dwie jodły, smutne w swoich żałobnych szatach, dwa olbrzymie, nieruchome, posępne cienie, zadumane nad grobem jakiejś radości, dwie ogromne, tajemnicze myśli i ona mniejszą jodełkę, pochyloną naprzód i dąbek... Na wypogodzonym niebie było złociste święto gwiazd... roiły się, migotały, drżały, skrzyły się i chwiały obojętne gwiazdy, spoglądały z niezbadanych odmętów świata, z mrocznej otchłani wieczności... chłodna cisza nocy zawisła nad ziemią... Dumając, Paweł dziwił się spokojowi, który uczynił go łagodnym i mądrym, pytał, zali długo potrwa to ukojenie, trwożył się, że przemienie... patrzył w niezmierne niebiosy... Potem szukał oczami pałacu i żegnał świecące w dali po przez konary jego okna.

W sercu wychyliły się dobre, gorące słowa życzenia, ażeby ona, ona przynajmniej, gdy jego gnębi smutek, znalazła szczęście, ażeby ominęły ją niedole, ażeby nigdy nie płakały jej drogie oczy... Składając u jej stóp dobre życzenia, słowo rozłąki, cenną perłę kochania, sam poddawał się, wyrzekał się, przyjmował cierpienie.

I miały przyjść dla niego dnie bólu, tęsknoty, samotności i zwątpienia, ale boleść, jak pług, przeorała mu duszę i przygotowała ją pod posiew nowych umiłowań i nowych radości.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

K O N I E C.

Buch literacki we Francyi.

(D R A M A T).

Podobnie, jak w innych jej działach, literatura francuska w dziale dramatu odznacza się w ostatnich latach pewną rozbieżnością, w dążeniach ideowych i różnaitością w koncepcyi utworu scenicznego, jego celu i zadaniu, posiada jednym słowem tenże charakter indywidualizmu, który stanowi jedną z cech głównych doby obecnej.

Prądy ogólne, które z kolei brały górę od czasu upadku naturalizmu, nie przeszły również bez wpływu i w tej dziedzinie, ale z powodu warunków wyjątkowych, ograniczających w utworze scenicznym zbytnią swobodę autora, wpływy te objawiły się tu znacznie słabiej. Naturalizm, a raczej realizm, który dla tychże powodów nie mógł dojść w dramacie do tego stopnia zwyrodnienia, co w powieści, stanowiąc z drugiej strony jego podstawę główną, jako formy, odtwarzającej życie najwięcej bezpośrednio, przetrwał w nim dotąd, a nawet rzec można, iż się rozwinął, ulegając tylko odpowiednim duchowi chwili modyfikacyom.

Uwidocznia się to w coraz większem staraniu o ścisłość i prawdę obserwacyi, w dążeniu do pozbycia się sposobów sztucznych i konwencyonalnych, niezbędnych do niedawna dla przeprowadzenia myśli przewodniej, lub tezy założenia sztuki. Postać rezonera np., który myśl tę wypowiadał w ciągu akcji w zastępstwie autora, jedna z tych najwięcej zakorzenionych, tradycyjnych konwencyj—pozostałość starożytnego chóru, choć kołacze się jeszcze tu i owdzie, jest już nieodzownie skazaną na zniknięcie z nowożytnego dramatu. Przedmiotem tegoż jest też prawie wyłącznie odzwierciedlenie obyczajów współczesnych z właściwym im charakterem, wierne odmalowanie współczesnego społeczeństwa wraz

z nurtującymi je namiętnościami, jego przywar, jego trosk, dążeń i absorbujących je prądów i zagadnień chwili obecnej.

Cechy naturalizmu w ciaśniejszem znaczeniu dają się poznać w przeważnie pesymistycznym pojmowaniu człowieka, w predylekcyi do traktowania objawów ujemnych życia, w poszukiwaniu pierwiastku dramatycznego raczej w walce instynktów, niżeli w konfliktach ideowych, lub uczuciowych wyższego rzędu;—w współzawodnictwie, którego bodźcem jest bezwzględny egoizm, a jedynym celem — zaspokojenie nieumiarkowanych apetytów i rozkiełzanych pożądlivości. Wynikające stąd komplikacye przedstawione są, zwłaszcza u wielu młodszych autorów, cieszących się obecnie dużem powodzeniem, bez wyraźnej konkluzyi, wskazującej stanowisko samego autora, lecz w formie t. zw. „tranches de vie,” według znanego określenia naturalizmu, z pozostawieniem sądu do woli i gustu publiczności. Rodzaj ten nazwano „teatrem amoralnym.” Niejednokrotnie przytem autor stara się wywołać współczucie dla cierpień swych upadłych bohaterów, których własna nieprawość wpędziła w położenie bez wyjścia. Pojęcie obowiązku, które dotąd stanowiło probierz działalności ludzkiej, zastąpiono pojęciem nowem „prawa jednostki do szczęścia,” lub nawet „prawa jej do użycia,” powstałem z zastosowania w życiu praktycznem nieco dowolnie wyciągniętych wniosków z teoryi Nietzschego.

Pod względem budowy utworu dramatycznego, zaniechano zbyt zawiąlanej intrygi, która też do niedawna pierwszorzędną odgrywała rolę, dając przewagę akcji wewnętrznej nad zewnętrzną i to stanowi niewątpliwie główny postęp, który można zauważyć w tym zakresie twórczości.

Niema prawie takich zagadnień, kwestyj i spraw, interesujących ludzkość dzisiejszą, któreby nie znalazły odbicia w literaturze dramatycznej; niema takich grup, lub typów społecznych, któreby nie przeszły na scenie przez ogień krytyki, albo satyry.

Do spraw, najwięcej w teatrze od pół wieku roztrząsanych, a mimo to nie wyczerpanych dotąd, należy kwestya rozwodu. Z natury rzeczy, sprawa rozwodu, jako tycząca się najważniejszej podstawy społecznej — rodziny, jakimkolwiek ulegnie w przyszłości zmianom prawodawczym, nie przestanie zapewne nigdy zajmować umysłów, dopóki mężczyźni i kobiety, łącząc się w tej lub innej formie prawnej w związki matrymonialne, uczuwać będą potrzebę ich utrwalenia ze względu na interes progenitury, lub zerwania, gdy pożycie wspólne okaże się niemożliwem.

W ostatnich latach, niemniej jak w poprzedzających, rozwód wspólnie z nieuniknionem, tradycyjnem na scenie wiarołomstwem

małżeńskiem, obok innych podobnych wariantów na tle erotycznym, stanowił jeden z przedmiotów głównych, który liczni autorowie obrali sobie, jako motyw do rozwinięcia przeróżnych sytuacji dramatycznych, z mniej lub więcej wyraźnem zabarwieniem tendencyjnym.

Dawniej, przedmiotem sztuk o tego rodzaju tendencyach były nieszczęścia, wynikające z nieporozumień i zawodów, dzielących dwoje małżonków, których prawo zmuszało, wbrew woli i skłonnościom jednej, lub obu stron, do wspólnego pożycia, które w wielu razach stawało się dla nich nieznośną męczarnią, zamykając im raz na zawsze drogę do szczęścia, możliwego do osiągnięcia w innych warunkach, gdyby zerwanie istniejących więzów było dopuszczalnym. Naturalną konkluzją takiej tezy była potrzeba, a raczej konieczność rozwodu.

Z czasem, gdy prawo o rozwodach stało się faktem, kwestya ta bynajmniej na żywotności nie straciła, uległa tylko odpowiedniej zmianie — zamiast dowodzić potrzeby rozwodu, który już istnieje i jest stosunkowo łatwym do uzyskania, zaczęto badać konsekwencye tegoż w sytuacjach, mogących wyniknąć z jego zastosowania, i wyciągać z nich wnioski rozmaite. Jednym prawem w dotychczasowem brzmieniu wydało się niedostatecznem, zaczęli więc żądać, przy pomocy sceny, jego rozszerzenia. Inni, nie potępiając zasady rozwodu, wystąpili jednak w obronie praw dziecka, rodziny, przyszłych pokoleń, rasy, których interesom zagraża zbyt lekkomyślne często zerwanie związku małżeńskiego dla egoistycznych widoków zadowolenia osobistych namiętności lub fantazyi jednostki. Niektórzy kwestyę tę przedstawili w swych poszczególnych utworach z obu tych punktów widzenia, biorąc za podstawę prawo jednostki do szczęścia, lub podporządkowując takowe prawom dziecka, t. j. gatunku. Inni wreszcie traktowali ten przedmiot dla ukazania jedynie nieszczęśliwych wogóle, a niekiedy ciekawych i niespodziewanych komplikacyj, będących skutkiem małżeńskich nieporozumień; dla obnażenia pewnych stanów psychicznych, procesów moralnych lub kryzysów uczuciowych.

Z niezwykłą siłą i logiką, w sytuacjach o nastroju wysoce dramatycznym, potrafił *Pawel Hervieu* wyłożyć niewystarczające znaczenie rozwodu dla odzyskania chybnego szczęścia niedobranym małżonków; kardynalne błędy przepisów prawa, któremi rozwód jest uwarunkowany, a które, dając przewagę absolutną stronie sprzeciwiającej się rozłączeniu, mogą w pewnych razach zmusić drugą do uległości i zniewolić do prowadzenia życia przeciwnego jej pragnieniom i skłonnościom. Takie położenie przedsta-

wia sztuka tego autora p. t. „Les Tenailles,” w której kobieta, żyjąca w małżeństwie z konwenansu, spostrzegłszy się, iż serce jej należy do innego, pragnie rozwodu, lecz musi się go wyrzec wobec odmowy zgody ze strony męża, i nawzajem, zmusza tegoż do pozostania z nią w związku, gdy z kolei on, dowiedziawszy się od niej samej w chwili uniesienia, że syn ich nie jest jego dzieckiem, zażąda rozwodu, nie posiadając jednak przepisanych prawem dowodów przestępstwa żony.

W „La Loi de l'Homme” dowodzi tenże autor upośledzenia praw kobiety i uprzywilejowania mężczyzny przez ustawę rozwodową.

W „La Course du flambeau” i w „Le Dédale” za podstawę służy p. Hervieu prawo dziecka, któremu szczęście indywidualne rodziców powinno być poświęcone, tak bowiem postanowiła sama natura, czyniąc władnącą sercem człowieka miłość rodzicielską najsilniejszym z instynktownych jego uczuć. Rozwód w razie, gdy istnieje dziecko, jest tedy zbrodnią, która mści się strasznie na tych, którzy się jej dopuszczają, jak to widzimy w „Le Dédale,” gdzie żona-rozwódka, po wstąpieniu w powtórne związki, spotkawszy się przy niebezpiecznie chorem dziecku z ojcem tegoż, a swym pierwszym mężem, przekonywa się, że wspólne przywiązanie do dziecka i troska o nie, łączy ich węzłem trwalszym od wszystkich ustaw i czuje, że nie może być szczęśliwą zdala od tego jedyne go rodzinnego ogniska, do którego powrót jest jej obecnie, z powodu istnienia drugiego męża, wzbronionym.

Tragiczny koniec obu mężów, niszcząc podporę rodziny i dając jednocześnie cios straszny sprzecznym uczuciom tej kobiety, dopełnia miary jej nieszczęścia, wywołanego przez nią samą lekkomyślnem i egoistycznym poddaniem się uniesieniu obrażonej miłości własnej i kaprysowi chwili.

Teżą sztuki *Pawła* i *Wiktora Margueritte* p. t. „Le Coeur et la Loi” jest przekonanie o potrzebie reformy odnośnego prawa, która dopuściłaby przyznanie rozwodu na żądanie jednej tylko strony.

Widzimy tu kobietę, która wyszedłszy za mąż bez miłości, nabiera wstępu do swego męża, zwłaszcza od chwili, gdy przekonała się naocznie, że jest zdradzoną. Z powodu braku dostatecznych dowodów, trybunał dwukrotnie odmawia jej rozwodu, poczem zrozpaczona kobieta, nie chąc powrócić pod dach męża, ucieka do Szwajcaryi z kochankiem i kilkoletnią córeczką, którą porywa. Sztuka ta mocno przeszarżowana, w kompozycji nieco niezręczna, nie jest zbyt pociągająca—ukazuje ona raczej nieuczciwość oboj-

ga małżonków, nie usposabiając bynajmniej widza na korzyść poszkodowanej i nieszczęśliwej jakoby żony, która wartością moralną nie zdaje się przewyższać męża. To też, pomimo nadto wyraźnie i bezpośrednio wyrażonej przez autorów tendencji, przedstawiona w ten sposób sytuacja niema sama w sobie nic przekonującego. W każdym razie życzeniu pp. Margueritte stało się w ostatnich czasach zadość, gdy reforma w tym duchu ustawy rozwodowej uzyskała zatwierdzenie Senatu. Po ostatecznem zdobyciu tej placówki, dla której tyle ofiar padło na scenie, czy rozwód przestanie dostarczać tematu dla nowych utworów dramatycznych? Wątpić należy. Trzeba raczej przypuszczać, że w praktyce i ta ułatwiona forma okaże się jeszcze wadliwą, a zresztą wpływające z tej łatwości, jako jej konsekwencya, nadużycie rozwodu zmusi zamiłowanych w tym temacie autorów zwrócić się przeciw niemu.

Taki zwrot widzieliśmy już przedtem u Pawła Hervieu, gdy wystąpił w obronie praw dziecka. Toż samo w sztukach p. *Brieux* p. t. „Le Berceau“ i „Deserteuse,“ oraz w „L'Invitée“ Fr. de Curel. Stanowisko mniej lub więcej nieprzyjazne rozwodowi zajęli też z różnych względów, jeszcze przed urzeczywistnieniem rzeczowej reformy, i inni autorowie.

W liczbie tych ostatnich, jeden z wybitniejszych wśród młodszego pokolenia dramaturgów współczesnych, *Emil Fabre*, napisał bardzo ciekawą sztukę p. t. „La Maison d'Argile,“ w której skutki rozwodu i powtórnego małżeństwa sprowadzają niesnaski, rozstrój i ostatecznie rozproszenie rodziny. Za podstawę do rozwinięcia swej tezy obrał autor nieporozumienia natury majątkowej, będące wynikiem wytworzonego w tych warunkach położenia.

Córka bogatego przemysłowca wyszła za mąż za dozorcę fabryki swego ojca, człowieka dużych zalet, ale bez wychowania, którego brutalność zmusiła ją do rozwodu. Zawarłszy powtórny związek z jakimś panem Armières, inżynierem, który wziął na siebie kierunek ojcowskiej fabryki, pani Armières zachowała przy sobie jedno z dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa—córkę Walentykę, syna zaś, Jana, pozostawiła jego ojcu i straciła go zupełnie z oczu.

Autor zapoznaje nas z tą rodziną w chwili, gdy córka jedy-naczka państwa Armières, Małgorzata, jest już dorosłą i ma narzeczonego, pana de Réhy, którego zarówno panna, jak i jej rodzice bardzo sobie życzą. Małgorzata jest ulubienicą w domu, dla której niczego się nie szczędzi, co sprawia, że przyrodnia jej sio-

stra, zajmująca drugie miejsce w sercu matki, tembardziej czuje się upośledzoną.

Tymczasem interesa p. Armières są niepomysłne, fabryka musi być sprzedana. Rodzina p. de Réhy, której idzie przede-wszystkiem o 300 tysięcy franków posagu Małgorzaty, zaczyna okazywać niepokój i chęć odłożenia projektów matrymonialnych ad feliciora tempora, gdyby gwarancye owego posagu były zachwiane. Gdy wskutek tego kwestya posagu Małgorzaty, który musi jej być zapewnionym, jest na porządku dziennym, Walentyna pragnie dowiedzieć się, co też jej przeznaczają, bo dotąd o tem nie było mowy i przeczuwając, że jak we wszystkim, tak i pod tym względem zostanie poświęconą siostrze, występuje z przykrymi i ostrymi zarzutami przeciw matce, która mocno to odczuwa, tembardziej, że wobec ich słuszności, nie znajduje odpowiedzi. Ale nie dość na tem; mąż wyznaje, że jest u progu bankructwa i żąda pomocy jej kapitału, dając do zrozumienia, iż w przeciwnym razie popełni samobójstwo. Pani Armières jest w rozpacz — 300 tysięcy posagu Małgorzaty i suma, której żąda jej mąż, stanowią cały jej kapitał, dla Walentyny nie pozostaje nic. Pomimo to, obiecuje mu żadaną pomoc. Wkrótce potem zgłasza się syn jej, Jan, którego nie widziała od małego dziecka. Po krótkim wstępie objaśnia on matce, co go sprowadza. Oto dowiedział się, że fabryka jest do sprzedania, przybywa więc żądać, aby jemu, jako synowi, dano pierwszeństwo przy jej kupnie, zawiązał bowiem spółkę komandytową, która dostarcza kapitału, brak mu tylko 200 tysięcy franków i spodziewa się, iż ta suma przyjętą mu będzie przez matkę w rachunku przypadającej nań części jej majątku. Chodzi tu o jego przyszłość i stanowisko, w warunkach bowiem, które ułożył, fabryka ma wszelkie widoki powodzenia, poświęcenie zaś ze strony matki nie jest wielkie, bo przecież i on ma prawa syna, z których dotąd nie korzystał. Tu przebiera się miara kłopotów i cierpień pani Armières. Jest ona wzruszoną widokiem syna, już prawie zapomnianego, chciałaby mu dopomódz, ale musiałaby w tym celu poświęcić projektowane małżeństwo córki Małgorzaty. Nieszczęśliwa nie wie, co robić, chciałaby dogodzić wszystkim, waha się, w końcu odmawia. To wywołuje gwałtowną i przykrą scenę pomiędzy matką a jej dwójgiem dzieci z pierwszego małżeństwa, które zasypują ją literalnie najcięższymi wyrzutami, zresztą zupełnie zasłużonymi. Pani Armières jest przybita. „Nie damy się wyzuć!“ wołają wzburzeni Jan i Walentyna. „Czyż więc idzie wam tylko o pieniądze?“ „A cóż innego wiąże nas jeszcze?“

Oto punkt kulminacyjny tej sztuki—słowa te wyrażają konkluzję autora, że rozwód jest zabójstwem uczuć rodzinnych; jeśli pozostają jeszcze wspólne interesa, to te, zamiast łączyć, dzielą tylko rodzinę na przeciwne, nienawidzące się wzajemnie obozy, które w namiętnie zażartej walce godność jej tarzają w błocie.

Po wzajemnem obrzuceniu się obelgami Jana z panem Armières, rzecz kończy się na tem, że pani Armières ustępuje życzeniom męża i syna, wyzuwa się na ich korzyść i nie zadowolwszy ostatecznie nikogo, opuszczona przez wszystkich, pozostaje sama jedna, załamując ręce z rozpaczą i całując fotografie dzieci, dla których nie umiała być matką i które się jej wyrzekły. Pan Armières, którego miłość własna zbyt ucierpiała, ekspatruje się w towarzystwie swej córki, Małgorzaty, zaś Walentyna wraz z Janem powraca do swego ojca. I oto „gliniany dom“ szczęścia, któremu za podwalinę posłużył rozwód, rozpadł się w gruzy! Historia ta, przedstawiona z nadzwyczajną siłą, sprawia wrażenie wstrząsające i przygnębiające zarazem, pomimo, iż opartą jest li tylko na interesach materyalnych, z wyłączeniem prawie zupełnem wszelkiej uczuciowości, bo odczuwa się w niej prawdę życiową.

Pozatem żadna z występujących osób nie interesuje nas, wszystkie są antypatyczne. Są to natury płaskie, drewniane, na wskroś utylitarne, bez cienia szlachetności. Nawet nieszczęśliwa pani Armières, nie umiejąca opanować swych sprzecznych uczuć, zbyt niesprawiedliwą i niedbałą była matką, chociaż nie tyle ze złego serca, ile ze słabości charakteru, aby mogła wzbudzić współczucie dla swej niedoli. O to też zapewne najmniej autorowi chodziło—celem jego było dowieść szkodliwości rozwodu dla rodziny w pewnych warunkach i celu tego dopiął, przedstawiając rzecz ze strony dotąd jeszcze nie wyzyskanej.

Wprawdzie powiedzieć można, że te same zajścia mogłyby mieć miejsce, gdyby pani Armières nie była rozwódką, lecz wdową po pierwszym mężu, ale to rzeczy bynajmniej nie zmienia i wyrażonej tezy nie osłabia. Pod względem scenicznym „La Maison d'Argile“ jest sztuką wybornie przeprowadzoną, polegającą całkowicie i jedynie na żywej akcji, z wyłączeniem wszelkich, wychodzących poza jej granicę dydaktycznych pereł. Jest ona tylko zbyt suchą i przez to pozbawioną powabu.

Z innego jeszcze punktu wyłożył tę samą kwestyę *Paweł Bourget* w sztuce swej „Un Divorce“, przerobionej z powieści pod tymże tytułem, przy współpracownictwie Andrzeja Cury.

Bourget wychodzi tu z założenia tradycyjnego, przyjmuje małżeństwo w znaczeniu, jakie mu nadał kościół, t. j. jako sakra-

ment nierozzerwalny. Stanawszy na tym gruncie, Bourget, rzecz prosta, jest przez to samo bezwzględny przeciwnikiem rozvodu, ale w „Un Divorce,” prócz wykazania jego szkodliwości społecznej, autor wprowadził bardzo interesujący wykład sprzecznych idei, ścierających się wzajemnie lub łączących się, pomimo ich przeciwieństwa, w umysłach nowoczesnych w kombinacje, nie wytrzymujące probierza ścisłej, opartej na logicznej dedukcji, krytyki. Rzecz przedstawia się w formie dyskusyj, wywołanych wypadkami życiowymi, przyczem wchodzące w grę przeciwne zapatrywania poparte są bardzo silną i bezstronną argumentacją. Z tego względu „Un Divorce” nie jest jedynie sztuką tendencyjną, mającą za zadanie przeprowadzenie pewnej tezy przy pomocy mniej lub więcej dowolnie skombinowanych w tym celu sytuacji, lecz należy do t. zw. sztuk ideowych.

Treść jej rozwija się na tle następującego położenia: niejaka pani Gabryela, kobieta z wychowania i skłonności naturalnych religijna, zmuszona najgorszym prowadzeniem męża do szukania ucieczki w rozwodzie, wyszła następnie za człowieka dużej wartości, ale zaciętego przeciwnika religii, pana Darras, który wpływem swoim odciągnął ją od wiary i praktyk religijnych.

Pani Gabryela zachowała przy sobie syna z pierwszego małżeństwa, Lucyana. Wychowany w zasadach swego przybranego ojca, z łatwością dał się on przekonać pewnej studentce medycyny, Bercie Planat, że wolny związek męczyzny z kobietą niczem nie różni się od małżeństwa, zawartego kontraktem cywilnym i po żywych dyskusjach z p. Darras, którego zbija własnymi jego argumentami, pomimo oporu tegoż i zaklęć matki, opuściwszy dom rodzicielski i dotychczasowe studia prawne, udaje się wraz z Bertą do Lausanny na kursa medyczne, aby żyć w wolnym związku z tą dziewczyną, o której wie, iż do niedawna żyła w podobnych warunkach z innym i miała z nim dziecko.

Państwo Darras mają też dwunastoletnią córeczkę, która przygotowuje się do pierwszej komunii. Z tej okoliczności pragnie skorzystać jej matka, aby powrócić do zarzuconych praktyk religijnych przez przystąpienie wraz z córką do św. sakramentów, lecz dowiaduje się ku swemu umartwieniu od spowiednika teściowej, księdza Euvrard, że niema do tego prawa, ponieważ żyje w związku, przez Kościół nie uświęconym. Gdy wkrótce nadeszła wiadomość o śmierci pierwszego jej męża, pani Gabryela, zostawszy wdową i mogąc zadość uczynić wymaganiom Kościoła, życzy sobie dopełnić ceremonii ślubu religijnego i pogodzić w ten sposób sumienie chrześcijanki z obowiązkami matki i żony. Ale

p. Darras odmawia stanowczo, motywując ten opór konsekwencyą swych zasad — gdyby teraz ustąpił temu, jak nazywa, kaprysowi żony, uznałby tem samem ich dotychczasowe pożycie za nieślubne, córkę ich — jako dziecko, zrodzone z nieprawego związku. Na to nigdy on nie przystanie.

Nieporozumienie między małżonkami zaostcza się do tego stopnia, że wzburzona do ostateczności, dotknięta tyloma utrapieniami nieszczęśliwa kobieta, nie czując się w możności znoszenia dłużej takiego moralnego przymusu, zadającego gwałt najgłębszym pragnieniom, jest już zupełnie zdecydowaną opuścić męża, gdy powstrzymuje ją od tego kroku przypomnieniem obowiązków względem córki, którym poświęcić winna, jako pokutę i umartwienie, nawet własny spokój sumienia, ksiądz Euvrard, podejrzewany przez p. Durras o knowanie czarnych intryg przeciw jego domowemu szczęściu. Usłyszawszy przypadkiem tę ostatnią rozmowę żony z ks. Euvrard, zacięty sekciarz udobruchał się trochę i na znak pojednawczych uczuć obiecał być obecnym przy uroczystości pierwszej komunii swej córki, dając przytem do zrozumienia, że może później zrobi więcej ustępstw. Oto i cały dramat. Nie będziemy kładli nacisku na jego pewne wadliwości w znaczeniu scenicznem, jako to brak jedności spowodowany przez dwa wątki różne, które zawiera; stosunkowo słaby rozwój akcji, brak zakończenia. Błędy te są zresztą raczej pozorne, służą bowiem do osiągnięcia celu, do którego dążył autor. W rzeczywistości oba te niezależne od siebie wątki, t. j. romans Lucyana z Bertą z jednej strony i dramat, którego osią są skrupuły religijne pani Gabryeli z drugiej, przy świetnym wykładzie idei w dyskusjach, wywołanych przez te zajścia, wspomagając się wzajemnie, prowadzą do wyciągnięcia logicznych wniosków, które zastępują brakujące zakończenie akcji. Wnioski te są zupełnie jasne: małżeństwo, o ile jest pozbawione charakteru sakramentalnego, który, czyniąc je nierozzerwalnem, podnosi je do godności uświęconego prawem boskiem posłannictwa, traci nie tylko swoje znaczenie podniosłe i uszlachetniające, poniża rolę żony i matki do poziomu samicy, ale będąc uzależnionem od zmiennych praw ludzkich, w gruncie nie daje też rodzinie więcej gwarancji społecznej, niż wolny związek, który jest jego ścisłą i logiczną konsekwencyą. Rozwód, który rozbija rodzinę, jest czynnikiem rozkładowym, antyspołecznym.

Taką jest prawdziwa konkluzja tej sztuki.

Konflikty ideowe na tle religijnem, lecz poza obrębem kwestyi rozvodu, poruszyli już przedtem inni autorowie w utworach

różnej wartości, z których żaden nie posiada tej pociągającej siły sztuki Bourgeta. Pominawszy „Le Duel,” znane dzieło *Henryka Lavedan*, gdzie, pomimo bardzo interesującego pojedynku ideowego dwóch braci, księdza i doktora, około kobiety egzaltowanej, wahającej się w wyborze pomiędzy miłością zmysłową a aspiracyami duchowymi, motywem rzeczywistym jest nie idea, lecz uczucie, do sztuk typowo ideowych zaliczają się „L’Otage” *Gabryela Trarieux* i „Les Ames Ennemies” *Pawła-Hyacynta Loyson*. Pierwszy z tych utworów „L’Otage” jest słabszy, lecz równiejszy w przeprowadzeniu swego założenia i wyrażeniu myśli przewodniej. Drugi—„Les Ames Ennemies,” ma więcej siły dramatycznej w starciu przeciwnych dążeń duchowych i intelektualnych, ale odznacza się w niektórych scenach przesadną i nieusprawiedliwioną gwałtownością, a przytem wywody swe opiera autor na danych hipotetycznych, które arbitralnie i nieco naiwnie czyni pozytywnymi, z góry odbierając przez to samo wszelką powagę swej quasi-naukowej argumentacji. P. Trarieux stara się być bezstronnym, chociaż niemniej osobiste jego przekonania wolnomyślne, wyrażone bardzo oględnie, dają się odczuć. P. Loyson zato występuje jawnie i namiętnie, jako bojownik materialistycznej wolnej myśli przeciw wierzeniom religijnym. Zresztą założenie obu tych sztuk jest jednakowe: walka rodziców, z których oboje, chcąc pozyskać wyłącznie młodzieńczą duszę i umysł córki dla swoich przekonań, doprowadzają tem swe dziecko do nerwowego wycieńczenia i śmierci. Pomimo tej identyczności założenia, sztuki te różnią się zasadniczo ze względu na warunki, w których rozwija się akcja, jak i na charakter występujących osób.

W „L’Otage,” ojciec, zajmujący wysokie w hierarchii administracyjnej stanowisko prefekta i ubiegający się o wyższą jeszcze pozycję gubernatora Algeryi, sprzeciwia się przystąpieniu córki do pierwszej komunii nie z powodu swych przekonań, ale dla względów natury ubocznej i osobistej. Wzięcie udziału w publicznej ceremonii religijnej córki i żony wysokiego urzędnika rzeczypospolitej byłoby manifestacją, która wywarłaby złe wrażenie w sferach decydujących i mogłaby go przyprowadzić o utratę spodziewanego awansu. Ów prefekt jest przeciętnym typem urzędnika, karyerowicza, oportunisty, który wraz ze zmianą formy i kierunku następujących po sobie rządów, zmieniał i zastosowywał do nich własne zapatrywania. W rezultacie, po zaciętym sporze z żoną, na którą te zmiany wpłynęły w kierunku przeciwnym, t. j. uczyniły jej przekonania religijne odporniejszemi, następuje rozstanie. Pani prefektowa opuszcza męża i zabiera z sobą córkę.

Dopiero po interwencji spowiednika jej, kardynała, który chcąc zachować dla Kościoła wpływ zony przyszedłego prokonsula, pozwala na odroczenie na lat parę pierwszej komunii dziewczynki, następuje zgoda, więcej pozorna, niż rzeczywista, bo powody nieporozumienia między małżeństwem bynajmniej nie ustały. Tymczasem pan prefekt został gubernatorem Algeryi, ale wraz z tryumfem ambicyi, nawiedza dom jego smutek i żałoba—całkiem przejęta mistycznymi uniesieniami córka jego popada w ciężką, nieuleczalną chorobę. Jedna tylko pozostaje rada wedle zdania znakomitości lekarskich—oderwać ją od modlitw, zwrócić jej myśl ku rzeczom ziemskim, by odzyskała ochotę do życia. Tylko jej matka jest w stanie tego dokonać, ale mimo błagań męża, który gotów jest teraz poświęcić karierę na jej żądanie, ona odmawia.

„L'Otage“ daje dość wierny obraz rozdwojenia i rozstroju, który prześladowanie religii wprowadziło w społeczeństwie francuskim aż do łona rodziny; wpływ ujemny, który wywarło na charaktery przez poniżenie jednych, aż do zaprzaństwa, przez wywołanie zaciętości u drugich, aż do fanatyzmu i zakamieniałości. Takim przynajmniej jest zdanie autora.

Pozatem rzecz jest niewyraźna. Autor z obawy, aby nie być stronnym przedstawia oba przeciwne prądy ideowe zbyt błado, zbyt neutralnie, jednym słowem, obojętnie, co sprawia w rezultacie, że sztuka jest też dla widza obojętną. Zadziwiającym również jest jej wynik, z którego sądzić wypada, że wiara zabija, gdy dotąd myślano przeciwnie, że wiara uzdrowia. To ostatnie przekonanie było (a może i jest jeszcze?) udziałem nie tylko wiernych, ale i niewierzących, jak tego dowodzi tłómaczenie cudownych uzdrowień przez przedstawicieli nauki pozytywnej sugestywnem działaniem wiary.

W „Les Ames Ennemies“ przedstawiciel kierunku wolnomysłnego niczem nie przypomina prefekta z poprzedniej sztuki. Jest to przeciwnie człowiek silnych przekonań i choć nieświadomie, ale głęboko wierzący—na opak. Wierzy on w naukę pozytywną i jest fanatykiem niewiary. Na poparcie swych przekonań ma, co więcej, dowody niezbite—przy poszukiwaniach paleontologicznych, któremi się kierował, jako uczony, udało mu się odnaleźć szkielet hipotetycznego pitekanropa, gatunku przejściowego pomiędzy małpą i człowiekiem. Po powrocie do kraju z dalekiej ekspedycji dumny ze swej cennej zdobyczy uczony znajduje w domu niespodzianki. Oto, podczas jego nieobecności pod wpływem fanatycznej katolickiej teściowej i przy pomocy jej spowiednika, wychowano mu córkę w zasadach religii! Uczony nie posiada się

z oburzenia, a zobaczywszy córkę w welonie bractwa „Córek Maryi,“ wpada w wściekłość, miota się jak szalony, popełnia cały szereg czynów gwałtownych. Żona jego staje w obronie córki, której umysł i nerwy są do głębi tem wszystkim wstrząśnięte. Wreszcie przybywa sam ksiądz katecheta i wtedy następuje dyskusya namiętna, ale nie przekonująca, pomimo pitekantropa, na którego uczony co chwila się powołuje.

Ostatecznie żona go opuszcza za namową księdza. Tymczasem jednak córka, olśniona urokiem uczoności ojca, czyta nocami jego dzieła i przejmując się powoli jego ideą, ale słaby jej organizm nie może znieść tylu gwałtownych wzruszeń, którym w końcu ulega. Do ostatniej chwili wre wokoło chorej zacięta walka. Umiera ona wreszcie w rodzaju zachwycenia, wyjawiawszy wprzód rodzicom, że straciła wiarę, i połączywszy ich ostatnim gestem.

Już to o zbytnią bezstronność tę sztukę oskarżać trudno. Widzimy tu z jednej strony owego uczonego, śmiesznego wprawdzie trochę ze swym pitekantropem, którego widać atawizm działa nań, popychając go do mowy i czynów brutalnych, ale bądź co bądź przedstawia się, jako szalenie szlachetny i szczerzy, gdy stronę przeciwną stanowi grupa, złożona z nielitościwej fanatycznej teściowej, księdza intryganta i żony, kobiety słabego umysłu, ulegającej wpływom tamtych. Osia, około której obraca się akcja dramatyczna, jest córka, ofiara tych starć ideowych, do których nie jest przygotowana. Autor nadał jej charakter jakiejś jakoby męczennicy za prawdę pozytywną, uczynił z niej „une sainte laïque.“ Jakże znać w tem, pomimo dążności przeciwnych, umysłowość autora nawskroś przejętą ideałami chrześcijańskimi!

*

*

*

Utwory, których motywem głównym jest wiarołomstwo małżeńskie i inne tego rodzaju wykroczenia, z rozwodem lub bez rozwodu, stanowią wielką większość współczesnej francuskiej produkcji dramatycznej. Począwszy od autorów, którzy troszczą się o tendencje moralne, aż do zwolenników nietzscheizmu i teatru amoralnego, nie wyłączając naturalnie wodewilistów i pokrewnych im autorów komedii lekkich obyczajów—wszyscy opierają budowę swych dramatycznych kompozycji na tym przeważnie czynni-

ku. Jako jeden z nielicznych wyjątków od tej reguły zaznaczyć wypada wszakże w ostatnich czasach sztukę *Pawła Adam* „*Les Mouettes*.” Wprawdzie czynnik ten nie jest i tu zupełnie wyłączonym, ale pozostaje w sferze projektów nieurzeczywistnionych. W sztuce tej rzecz idzie o to, czy dla celów wyjątkowej doniosłości człowiek może i powinien poświęcić zależne od niego szczęście oddanych mu osób? Autor pytanie to rozstrzyga negatywnie, t. j. zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami moralności, ale zdaje się to czynić raczej pod wpływem swej uczuciowości, aniżeli z przekonania o obowiązku, przynajmniej aż do sceny rozstrzygającej można to przypuszczać. Treść sztuki „*Les Mouettes*” wyjął *Paweł Adam* ze swej powieści p. t. „*Le Serpent noir*.” Tym węzłem kusicielem, złym duchem jest niejaki *Chambalot*, typ nowożytnego arriwisty, podszytego nietzscheizmem, który w widokach osobistej korzyści, zresztą niedostatecznie przez autora uzasadnionych, namawia swego przyjaciela doktora *Kervil*, aby opuścił kochającą go żonę i pojął inną, kobietę bogatą, której majątek pozwoli mu urzeczywistnić w praktyce dokonany przez niego w teorii wielki wynalazek, mający spowodować przewrót w nauce lekarskiej i uszczęśliwić ludzkość. Dr. *Kervil*, który dotąd żył w najlepszej zgodzie z żoną, pobożną i trochę zanadto skromną, opiera się z początku insynuacyom kusiciela, ale potrochu daje się przekonać względami na wielkie cele humanitarne, co przychodzi mu tem łatwiej, że kobieta, która miałaby zastąpić jego żonę, światowa kokietka, bardzo mu się podoba.

Z drugiej strony tenże kusiciel podszeptał tę samą myśl tej pani, która ma już dla *Kervila* żywsze uczucia, a na żonę jego potrafił podziałać w ten sposób, iż ta własnowolnie postanawia poświęcić się dla szczęścia męża i pierwsza oświadcza mu swe postanowienie, ale tu właśnie upada cała szatańska machinacya *Chambalota*—*Kervil*, który już był do tego kroku zupełnie zdecydowany, zrozumiałwszy całą wielkość poświęcenia biednej kobiety i ogrom jej ukrytego bólu, wzruszony, wyrzeka się i fałszywego humanitaryzmu i widoków sławy, oraz szczęścia osobistego, okupionego złamaniem życia niewinnej i kochającej go istoty.

Moralności stało się zadość, obowiązek tryumfuje nad egoistycznym „prawem jednostki,” uczucie szlachetne nad instynktowną namiętnością, ale odnosi się wrażenie, że stało się to niemal przypadkiem i tylko dzięki duchowi nadludzkiej abnegacyi żony *Kervila*. Czy obrót rzeczy nie byłby inny, gdyby pani *Kervil* się opierała, gdyby broniła swych praw?

Rozumie się, nie bierzemy pod uwagę sztuczności kombinacji, na których oparł autor swe założenie i która z brzegu stawia tę sztukę na właściwym gruncie. Wszystkie występujące tu postacie są niewyraźne i nie rzeczywiste, jeden tylko Chambolot jest typem prawdziwym, dobrze zaobserwowanym i wystudowanym dokładniej.

Podobne w założeniu, choć w charakterze bardzo różne, są sztuki: *H. Kistemackersu* i *E. Delard* „La Rivale,” oraz ostatni utwór *Henryku Bataille* „La femme nue.”

Bohaterowie tych dwu dramatów, obaj artyści, nie cofają się, jak Kervil, na widok bólu ofiar, których dopełniają egzekucyi, nie wzruszają się ich cierpieniem; przeciwnie, czynią im jeszcze wyrzuty za to, że stoją one w poprzek ich szczęściu.

Są to nie tyle nietzscheiści w rodzaju Chambolota, postępujący z całą świadomością i wyrachowaniem, ile raczej natury impulsywne, ulegające instynktownym namiętnościom prawie bezwiednie, ślepo i mechanicznie, jak nieożywiona materya ulega prawom przyrody.

Andrzej Brizeux z „La Rivale” i Piotr Bernier z „La femme nue” są z tego względu bardzo do siebie podobni, z tą tylko różnicą, na niekorzyść charakteru ostatniego, że pierwszy daje się porwać li tylko szałowi erotycznemu, gdy u drugiego zadowolenie namiętności tego rodzaju łączy się z widokami zadowolenia ambicji i interesu materyalnego.

Pod względem wartości, te dwie sztuki są zresztą dość od siebie oddalone. „La Rivale,” pomimo swych zalet prawdziwych, jest utworem trochę bladym i rozerwanym. Przeciwnie, dzieło p. Bataille, obok ścisłej konsekwencji swej budowy, odznacza się siłą niezwykłą i posuwa się aż do tragizmu w roli modelki i kochanki, a później odtrąconej żony artysty, w której koncentruje się interes dramatu i której autor potrafił dać głębię zupełnie wyjątkową w tętniącym prawdą życiową realizmie.

Henryk Bataille należy do stojących obecnie najbardziej na widowni autorów komedii obyczajowej, a raczej komedyo-dramatu w najnowszym stylu.

Dzieła jego, poczynawszy zwłaszcza od słynnej „Maman Colibri,” „La Marche Nuptiale,” „Poliche,” który wprowadził go po raz pierwszy na scenę Komedii Francuskiej, oraz ostatnie — „La femme nue” stawiają go w rzędzie najpierwszych dramaturgów chwili bieżącej. Pod względem powodzenia nie ustępuje mu *Henryk Bernstein*.

Nazwiska obu tych młodych autorów nie schodzą od lat paru z programu teatrów, gdzie prawie wszystkie ich utwory sięgają stale stu i więcej przedstawień z rzędu. Obaj oni nie zajmują się specjalnie kwestyami społecznymi, lub moralnymi, jeżeli zaś ich dotyczą, to tylko dla rozwinięcia na ich podstawie pewnej sytuacji dramatycznej. Teatr ich jest amoralny. Natomiast starają się oni o zgłębienie psychiczne swych bohaterów, o ukazanie wewnętrznego procesu, który wpływa na ich postępowanie i stopniowe zmiany ich istoty. W malowaniu uczuć, charakterów i obyczajów są oni bezwzględni realistami.

Szczególniej Bernstein celuje w niemiłosiernem odsłanianiu części wstydliwych nagiej duszy. Jego realizm wewnętrzny jest przerażający, zwłaszcza, iż oddaje się on wyłącznie malowaniu najohydniejszych brudów, najnędzniejszych upadków natury ludzkiej, a czyni to z niezwykle brutalną siłą i, nie bacząc na nerwy widza, któremi potrafi wstrząsnąć do głębi, stawia go w jednej chwili, prawie bez przygotowania, wobec niespodziewanego, a zawsze okrutnego dramatycznego problemu. Akcja rozwija się u niego nader szybko i bez ogródki, przykuwa lub porywa widza, nie dając mu odetchnąć.

Całe wrażenie, które sprawiają dzieła Bernsteina, pochodzi stąd, że w odkrytych przez niego z jakąś okrutną przyjemnością, głęboko zwykle utajonych nędzach wewnętrznych człowieka, jest prawda.

Ale jeżeli umie on wstrząsnąć i szarpnąć nerwami widza, to za to go nie wzrusza, bo postacie jego, całkowicie pozbawione szlachetności, nie mogą wzbudzić współczucia. Straszny cynizm, czy też dziwnie pesymistyczna szczerłość tych utworów przejmują dreszczem zgrozy, działa przygnębiająco, jak zmora, ale jednocześnie i dlatego właśnie, wzbudza pewną, trochę chorobliwą ciekawość i pociąg bardzo silny.

Wszystkie dzieła tego autora — „Le Bercail,” „Le Voleur,” „La Griffe,” „La Rafale,” „Samson”—mają taki charakter, a wśród nich, zwłaszcza trzy ostatnie, odznaczają się największą siłą dramatyczności. W „La Rafale” kobieta, ogarnięta miłosnym szałem oddaje się innemu, aby zdobyć potrzebną sumę dla uratowania kochanka, przeniewiercy cudzych pieniędzy. „La Griffe” daje obraz straszego upodlenia, do którego zdolny jest dojść człowiek w pewnych warunkach, pod wpływem namietności dla kobiety-łotrzy. „Samson” wreszcie—ostatnia sztuka Bernsteina, przedstawia zemstę zubożonego nieuczciwym sposobem finansisty, który

z rozmysłem rujnuje siebie samego, aby jednocześnie zrujnować kochanka swej żony.

Oto świat, który ze szczególną predylekcyą maluje ten autor.

Do tego typu zbliżają się mniej lub więcej, ale w skali o wiele niższej pod względem siły i talentu—*Piotr Wolff* („Le Ruisseau“), *Roman Coolus* („L'Enfant chérie“, „Coeur à Coeur“), *Sacha Guitry*, *Piotr Veber* i inni, których twórczość łączy w sobie często cechy poważniejszej komedii obyczajowej z charakterem komedii lekkiej i nawet wodewilu.

Zawikłania miłosne i sentymentalne, pojęte rozmaicie, stosownie do temperamentu autora, przy staraniu o odwzorowanie pewnych rysów lub typów współczesnych, traktowali również w ostatnich latach: *Lucyan Besnard* w patetycznym dramacie „La plus Amoureuse.“ Ten sam temat — mężczyzna kochany jednocześnie przez kilka kobiet, przybrał w „Les Passagères“ *Alfreda Capus* charakter komiczny. Tegoż autora ostatnie dzieło „Les Deux Hommes“ przeciwstawia dwa różne typy mężczyzn—nowoczesnego arriwistę, któremu brak skrupułów i przesądów dopomaga w życiu do zwycięstwa, oraz człowieka o sumieniu mniej elastycznym, który nie może przystosować się do otaczających warunków. Jeżeli typy męskie, o które głównie autorowi chodziło, wyszły w tej sztuce dość blado, to za to, może niechęć, bez porównania lepiej zostały tu scharakteryzowane analogiczne typy kobiece.

Podobnie dwa różne charaktery mężczyzn i dobrze udany typ kokietki, ukazują w „Chacun sa vie,“ na tle komplikacyj sentymentalnych—*Gustaw Guiches* i *P. B. Gheusi*.

Utwory, polegające na zręcznem powikłaniu intrygi, ukazujące miłość w oświeceniu lekkiej satyry, dali jeszcze: *Franciszek de Croisset*, *Abel Hermant*, *Tristan Bernard*, *Jerzy Feydeau* („Le Bourgeois“) *Paweł Gavault* („Mademoiselle Josette, ma femme,“ „Le Bonheur de Jacqueline“), *Andrzej Picard* („Le faux pas“), *Courteline* („La Paix chez soi,“ „Les Gaités de l'escadron,“ *Victorien Sardou* („La Piste“).

Ale w rodzaju lekkiej komedii, przedstawiającej życie w przyjemnej i zabawnej karykaturze, prym trzymają obecnie *G. A. de Cuillavet* i *R. de Flers*, nierozdzielna spółka dramatyczna, jak niegdyś *Meilhac* i *Halevy*. Ostatnie ich utwory — „Miquette et sa mère,“ „L'Eventail,“ „Le Roi,“ (ze współudziałem *Emanuela Arène*), a zwłaszcza „L'Amour veille,“ który wystawiła Komedya Francuska, sztuka, odznaczająca się, pomimo swej błahości, prawdziwymi zaletami iście francuskiej finezyi, dowcipu, pełna spry-

tnych „bons mots,” i delikatnie złośliwych alluzyj—dają najwyższy wyraz „parisianizmu” chwili obecnej.

Kwestye życiowe i uczuciowe poruszyli ze stanowiska poważniejszego: Eugeniusz *Brieux* w „Les Hanneçons” i w „Simone,” sztukach, w których znać pewien zwrot u tego autora do życia i charakteru w przeciwstawieniu do manieri dawniejszej, zbyt teoretycznie tendencyjnej („Les Remplacantes,” „Les Avariés” i t. p.); Maurycy *Donnay* (autor „L’Affranchie,” „Le Torrent,” „L’Autre Danger,” „Le Retour de Jérusalem” i t. p. sztuk pierwszorzędnej wartości) dał ostatnio w swej komedyi obyczajowej p. t. „Paraître” ciekawą charakterystykę pychy parweniuszowskiej, która w kołach zbogaconej burżuazji francuskiej objawia się żądzą błyszczenia, pokazania się na zewnątrz, imponowania gawieździ, przez wyróżnienie się za pomocą środków, które dają pieniądze.

„Paraître” przedstawia obraz świata milionowego przemysłu, gdzie sami milionerzy są jakoby słońca, około których krążą satelity, pragnące korzystać z bijącego od nich blasku i używające w tym celu zarówno płaskiego pochlebstwa, jak i wszelkiego rodzaju intryg i podstępów.

Takimi są tu wszystkie występujące osoby, a szczególnie żona deputowanego (Krystyna Margès) i bratowa żony pewnego milionera, którego usidliwszy swemi wdziękami, potrafi mu podszepnąć myśl pozbycia się tych, którzy stają na zawadzie ich szczęściu, t. j. jej męża i jego żony, by samej zająć miejsce tej ostatniej. Projekt ten jednak nie dochodzi do skutku, gdyż mąż dowiedziawszy się o tem zawczasu, w nagłym wybuchu zabija kochanka swej żony.

Ale nawet prawdziwego powodu tego czynu zdradzonego męża szukać trzeba raczej we względach na opinię publiczną, gdyż skandal stał się już głośnym i wywołał żarty w przeciwnym obozie politycznym. Widać w tem absolutny brak dążności idealniejszych w tych kołach równie u jednych, pragnących używać za wszelką cenę, jak i drugich, nadmiernie przez fortunę obdarzonych, którzy, nie mając już żadnych pragnień tego rodzaju do zaspokojenia, a nie odczuwając potrzeb natury idealnej i bezinteresownej, ulegają kaprysom, zamieniającym się pod wpływem zręcznej sugestyi w namiętności.

W „Paraître” Maurycy *Donnay* potraça o politykę, ale tylko potraça. Natomiast niektórzy autorowie dają w swych utworach polityce rolę bardzo obszerną. „La Griffre” *Bernsteina* jest krytyką bardzo surową i bardzo gwałtowną obyczajów świata parla-

mentarnego, również miejsce pierwszorzędne zajmuje ten czynnik w komedyi *Alfreda Capus* i *Lucyana Descaves* p. t. „L'Attentat,” ale w tych sztukach, a zwłaszcza w pierwszej, przedmiotem głównym nie jest sama polityka, lecz zajścia natury uczuciowej. Jeden tylko *Emil Fabre* (nie mówiąc o „Le député Leveau” Juliusza Lemaître'a) w swej „La Vie publique” traktuje politykę dla polityki. „La Vie publique” jest w swoim rodzaju arcydziełem równie, jako utwór sceniczny, polegający całkowicie na żywej akcji przeprowadzonej ściśle i konsekwentnie, bez uciekania się do sztucznej retoryki, jak i ze względu na wybornie zaobserwowany charakter tej sfery życia współczesnego, którą autor obrał za przedmiot swej sztuki. Jest to zarazem łudząco żywy obraz rzeczywistości i głęboka satyra obyczajów, które fatalnie musiały się wyrobić pod wpływem nowożytnych instytucyj politycznych.

Autor wykazuje tu zgubne działanie tych wpływów na ogólny poziom moralny ludności i nieuniknioną deprawację tych jednostek, które polityce oddają się specjalnie lub jej służą. Za tło i atmosferę służą tu wybory mera w jednym ze znacznych miast Francyi. Figurą główną, której przemiana moralna odbywa się stopniowo pod okiem widza, w ciągu walki wyborczej, jest sam mer, p. Ferrier, od dłuższego już czasu darzony na tem stanowisku zaufaniem obywateli. Ferrier, człowiek prawy, republikanin umiarkowany, wywiązywał się dotąd jak najlepiej ze swych obowiązków, ale rządy swe sprawował już dość długo, aby wywołać zawiść tych, którzy radziłyby zająć jego miejsce. Przytem stosunki w mieście uległy pewnym zmianom, nowe elementy społeczno-polityczne wzmogły się liczebnie, tak, iż kontrkandydat pana Ferrier, anarchista Maréchal, ma widoki zwycięstwa, o ile pierwszy nie zdoła pozyskać sobie poparcia pewnych grup, od których wynik wyborów zależeć będzie. Grupy te to przede wszystkim monarchiści pod wodzą margrabiego de Riols i klerykałowie, na których cele partyjne łoży pewna bogata i wpływowa dewotka. Prócz tych grup, ściśle politycznych, kandydat zdobyć sobie musi życzliwość finansistów z bankierem, p. Lévy, na czele. Każda z tych grup wzamian za swe poparcie żąda pewnych korzyści dla siebie, lecz wymagane ustępstwa nie zgadzają się zupełnie z przekonaniem p. Ferrier. Ten też z nikim traktować nie chce, co trochę zadziwia ze strony człowieka, który przecież z polityką musiał być dobrze obeznany. Powoli jednak niezłomność jego mięknie pod naciskiem stronników, wykazujących mu nierozsądek jego postępowania; monarchiści i klerykałowie oddadzą swe głosy

na anarchistę, co też nie omieszkają uczynić finansisci, a wtedy on przepadł.

P. Ferrier ustępuje. Z powyższemi grupami przychodzi do zgody w świetnej scenie konferencji, odbytej pod prezydencją monsignora i bogatej dewotki, przy uczestnictwie bankiera Lévy i margrabiego, ludzi najsprzeczniejszych przekonań, które umieją odłożyć na bok i potrafią się porozumieć na gruncie neutralnym, gdy idzie o interes bezpośredni. Ale te ustępstwa p. Ferrier są niczem w porównaniu do targów, jakie następnie prowadzić musi prawie ze wszystkimi, bo każdy czegoś żąda, poczynawszy od prasy, wielkich przedsiębiorstw i grup zawodowych, a skończywszy na pojedynczych jednostkach. Wśród tych ostatnich zwłaszcza znajdują się indywidua, które, nie mogąc wiele pomódz, mogą być bardzo szkodliwe, jak dyrektor pewnego brudnego świstka, znany szantażysta, obrzucający błotem każdego, kto mu się nie okupi; jak pewien senator, który maczał ręce w nieczystych sprawach, na co dowód, w postaci listu jego, posiada p. Ferrier. Ze wszystkimi tymi ludźmi traktuje on, opiera się, szamoce, ale ustępuje ciągle kosztem własnej godności i sumienia. Dom jego w ciągu wyborów zamienia się w prawdziwe piekło. Pomimo tych targów i ustępstw, jego wybór jest zagrożony; Ferrier, którego majątek tymczasem przepadł wraz z posagiem córki wskutek nieuczciwych operacji bankiera, jest w ostatniej rozpacz, gdy wtem nadchodzi wiadomość, że wybór jego przeszedł dzięki poparciu owego senatora, otrzymanemu za cenę zwrotu kompromitującego listu. Oto, do jakich kompromisów z sumieniem doprowadziła polityka tego człowieka z natury uczciwego, której demoralizującym wpływom, nie bez oporu i ze wstrętem, ale nie mniej nieodzownie uległ musiał. Obraz, przedstawiający „La Vie publique,” jest bardzo ciemny, ale bezstronny i prawdziwy. Autor nie podsuwa tu żadnych programów lub wskazówek, niema on pretensyj reformatorskich, lecz wzniosłszy się ponad pojęcia stronnice, sądzi fakta i położenie ze stanowiska wyłącznie ludzkiego.

W „Ventres dorés” Emil Fabre daje satyryczną charakterystykę sfer finansowych, przedmiot ten traktuje również *Oktawiusz Mirbeau* w swej słynnej sztuce „Les Affaires sont les Affaires.” Sfery sądowe znalazły odbicie w „La Robe rouge” *Eugeniusza Brieux*.

„Sous l'épaulette” przez A. *Bernède'a* i „L'Alibi” przez *Gabryela Trarieux* dają obraz życia wojskowego na tle antagonizmu natury polityczno-socyalnej wśród oficerów. Sztuka *Jerzego Darien* i *Ludwika Lauras* p. t. „Biribi,” na tle stosunków, panują-

cych w wojskowych oddziałach karnych, ma tendencje wyraźnie antimilitarne i socyalistyczne.

Kwestye socyalne w szerszem znaczeniu i w różnych objawach obrali za przedmiot swych utworów dramatycznych: *M. Donnay* i *L. Descaves* („La Clairière,“ „Les Oiseaux de passage“), *Lucyan Besnard* („Le Domaine,“ „L’Affaire Grisel“), *Gabryel Trarieux* („La Guerre au village“), *Jan Jullien* („La Poigne,“ „L’Oasis,“ „Les Plumes du Geai“).

W zakresie dramatu socyalnego miejsce odrębne zajmuje *Franciszek de Curel* przez szczególnie intelektualny charakter swego dzieła; z tego względu zalicza się ono zarówno do teatru ideowego. Rzeczywiście pierwiastek dramatyczny w sztukach tego autora, z których wszelka uczuciowość i romansowa intryga są wyłączone, wynika jedynie ze starcia ideowego; akcja ich jest wewnętrzna, na zewnątrz ograniczona do minimum i objawia się przeważnie w nader subtelnej dyalektyce. Utwory te wysoce literackie w swym charakterze abstrakcyjnie filozoficznym są dlatego samego pozbawione pewnych bardzo potrzebnych dla powodzenia sztuki zalet scenicznych. Bezpośredni wyraz życia jest w nich rzeczą drugorzędną, podporządkowaną wyrazowi myśli, nadto brak im najpoważniejszego czynnika, który w teatrze zdobywa sympatyę widzów, mianowicie uczucia. Sztuki Fr. de Curel działają na umysł, ale nie wzruszają, stąd też pochodzi mała popularność tego autora. Pomimo niezaprzeczonej wartości swej, dzieła jego: „L’Envers d’une sainte,“ „Les Fossiles,“ „Le Repas du Lion,“ „La Fille sauvage,“ „La Nouvelle Idole,“ „L’Invitée“ i „Le Coup d’aile“ przeszły prawie niepostrzeżenie przez scenę teatru Antoine’a (dawnego „Théâtre Libre“), jedyne, który zdobył się na ich wystawienie. Wyjątek stanowi tu tylko „La Nouvelle Idole,“ gdyż miała 48 przedstawień z rzędu.

Dramat satyryczno-filozoficzny, mało nadający się do sceny i wogóle nie grany uprawiają: *Paweł Claudel* („Tête d’or,“ „La Ville,“ „L’Echange,“ „La jeune fille Violaine,“ „Le Repos du septième jour“); *Saint-Pol-Roux* („La Dame à la faux“); *Mari-netti* („Le Roi Bombance“); *Riccioto Canudo*, *Dujardin*, *Gide*, *Ducoté*, *Ghêon*, *H. Mazel* i inni. W zbliżonej do poprzedniego komedyi fantazyjnej i bajce dramatycznej zaznaczyli się: *Franc-Nohain*, *Alfred Jarry* („Ubu-Roi“), *Andrzej Rivoire* („Il était un Bergère“), *Roger Le Brun*, *Edmund Guiraud*, *Piotr Soullaine*, *Arnyvelde* („La Courtisane“), *Van Lerberge* („Pan“), *Emil Bergerat* („La Fontaine de Jouvence“).

Dramat romantyczny, klasyczny i historyczny, od czasu niesłychanego powodzenia utworów Rostanda: „Cyrano de Bergerac“

i „L'Aiglon“—przedstawia się nielicznie. Wyróżniają się tu najbardziej: „La Vierge d'Avila“ *Catulle Mendès*a—dramat osnuty na tle życia św. Teresy, napisany dla Sary Bernhardt; treść jego nie przedstawia zresztą nic historycznego, lecz jest wymysłem autora. Słynny tragik z Komedyi Francuskiej, *Monnet-Sully*, zapragnąwszy sławy autorskiej, napisał wspólnie z poetą, *Piotrem Barbier*, dramat w stylu klasycznym „La Vieillesse de Don Juan“, którego dość słabe zalety podniosła własna jego mistrzowska gra w roli odmienionego pod starość, jak chcą autorzy, przez czystą miłość do młodziutkiej kuzynki—Don Juana.

Niez mordowany *Victorien Sardou* w dramacie historycznym p. t. „L'Affaire des Poisons“ zaczerpnął pomysł w tajemniczej i dotąd nie wyjaśnionej dokładnie sprawie projektowanego zamachu na Ludwika XIV, do której wmieszana była pani de Montespan. *Max Mauray* obrał zawartą w powieści G. A. Thierry anegdotę z epoki drugiego cesarstwa, jako osnovę dramatu p. t. „La Savelli“—sukces aktorki Réjane w jej własnym teatrze.

Do rodzaju dramatu romantycznego zaliczyć jeszcze trzeba heroikomiczne utwory: *Jana Richepin* — „Don Quichotte“, dość słaba przeróbka z Cervantesa, oraz *Miguela Zamacaïs* — „Les Bouffons“ (Sarah Bernhardt) — oba obliczone w dużej części na teatralną paradę. Są też mało znane dzieła poetów: Magre'a, Valmy-Baysse'a, Fauchais, Arnyvelde'a, Fréjaville'a.

Jednocześnie, wznowienie teatrów antycznych, na otwartem powietrzu, w pozostałych z czasów panowania Rzymian arenach w Nîmes, w Orange, w umyślnie na ten cel urządzonym teatrze w Champigny pod Paryżem i w innych okolicach Francyi, dało popoch i skłoniło umysły wielu poetów do tragedyi.

Prócz dzieł autorów starożytnych, na scenach tych ukazały się tragedye nowożytne, mające prawdziwe zalety literackie i sceniczne.

„Le Dieu Nouveau“ *Pawła Sauchon*, utwór, zestawiający poezję greko-lacińskiego poganizmu z ascetyczno-mistycznym duchem chrześcijańskim miał szczególne i zasłużone powodzenie. Na uwagę zasługują również: „Phyllis“ tegoż autora; „La Victoire“ i „Le sans couronne“ przez Saint-Georges de Bonhélier, „Dionysos“ przez J. Gasquet, „Iphigénie“ przez J. Moréas'a, „Semiramis“ J. Péladana, „L'Hydre“ przez Karola Méré i inne, wreszcie piękny utwór zmarłego poety *Alberta Samain* „Polyphème“, grany po raz pierwszy w Orange, a ostatnio wystawiony na scenie Komedyi Francuskiej.

ORWID.

WSPOMNIENIA ULANA

pułku pierwszego legii nadwiślańskiej

o kampaniach lat 1807 — 1814.

Do literatury pamiętniczej, poświęconej wspomnieniom kampanij napoleońskich i udziału w nich wojowników polskich, przybywa nowy przyczynek, zaczerpnięty z rękopisu, pochodzącego ze zbiorów b. Towarzystwa Przyj. Nauk, skreślonego przez nieznanego z imienia i nazwiska żołnierza, który, w latach 1807 — 1814 z bronią w ręku przemaszerował przez Europę i, okryty ranami, odtworzył, gwoili uczczeniu bohaterstwa swych kolegów, obraz walk i przygód, doznanych na hiszpańskiej ziemi. Niewprawną do pióra i literackich zwrotów ręką zapisane są pożółkłe karty rękopisu, oznaczonego sygnaturą IV. 4. 24 (№ 767), w zbiorach miejscowej biblioteki uniwersyteckiej. Nie zależało widocznie autorowi na uwiecznieniu własnego nazwiska i własnych zasług, położonych dla sprawy ogólnej, której ucieleśnienie widziano w bezgranicznem poświęceniu się geniuszowi i ambicyi Napoleona. Ani jednym słówkiem nie ułatwia pamiętnikarz zadania odgadnięcia autorstwa wspomnień, poświęconych wyłącznie wykazaniu bohaterstwa rodaków.

„Dzieje wieku XIX — pisze we wstępie autor — będą źródłem niewyczerpanej nauki dla potomności, tak dla rozlicznych odmian, które państwa całej Europy doświadczały, jako też dla geniuszu wojskowego, który się jej ludom objawił... Wypadki każdego pułku, w krwawych bojach uczestnictwo mającego, mogą być interesującą dla czytelnika rozrywką. Że pisarze historyi powszechnej podadzą do potomności czyny każdego narodu, niemasz wątpliwości. Niektórzy, opisując kampanię, zamieszczają

ciekawe wypadki krwawej wojny. Czyny nieśmiertelnych wodzów przejdą do potomności i ta dopiero odważać będzie każdego zastugi. Atoli ku pomocy tak zbawiennym zamiarom historyków, niniejsze dziełko, opisujące przygody pułku pierwszego ułanów legionu nadwiślańskiego, interesujące być może. Czas, miejsce i zamiary uformowania legii naddunajskiej, następnie *nadwiślańską* nazwanej, już wiadome są zapewne każdemu. Wiadome są wypadki kampanii we Włoszech, aż do roku 1806, kiedy ten pułk zbliżył się do granicy ojczyzny swojej. Opisanie towarzyszom przygód od roku 1807 do 1814, wiernie, chociaż zbyt słabem piórem, tu potomności podane zostaje.“

„Pokój Wam, ceniom zmarłych i poległych w boju towarzyszków — tak kończy pamiętnikarz wstępne słowa swych notatek — a Wam, jeszcze żyjącym weteranom, pozdrowienie przesyła autor.“

I.

Pułk pierwszy ułanów legii nadwiślańskiej, następnie siódmym szwoleżerów nazwany, dlatego całej armii francuskiej był znany, że oddziały jego do rozmaitych armij były odkomenderowane. I tak, pod dowództwem pułkownika Klickiego był znaczny oddział przy zdobyciu prowincyj hiszpańskich: Aragonii, Katalonii i Walencji. Czyny tego walecznego i światłego dowódcy tem więcej godne są podania potomności, że na czele tego hufca częstokroć generał Chłopicki, straszny Hiszpanom w boju wódz, sprawiedliwy i łagodny spokojnych tych prowincyj mieszkańców opiekun, z szablą w rękę gromił nieprzyjaciół. Drugi znakomity oddział był pod dowództwem pułkownika Stokowskiego, który po Konopce dostał ten pułk w dowództwo. Te szwadrony długi czas oczekiwały w Segowii na pułk, który wprowadzie już wyciągnął z Andaluzji, pod dowództwem majora Ruttego, na kampanię rosyjską, lecz oblężenie fortecy Badachos przez Anglików, a następnie zapóźno temu garnizonowi dana odsiecz, były przyczyną, że pułk pozostał w armii południowej, a szwadrony pułkownika Stokowskiego, pomaszzerowały na kampanię rosyjską. Trzeci oddział był w Hamburgu, pod dowództwem szefa szwadronu Trzebuchowskiego. Czwarty — w fortecy Magdeburgu. Pomniejszych oddziałów trudno zrachować, a wszakże, każdego, użyty przeciw nieprzyjacielowi, tak odznaczał się, iż generałowie francuscy ubiegali się o ułanów polskich i dla tego, kto złapał jaki oddział, już

go nie popuścił, aby mógł się złączyć z pułkiem, którego było również przeznaczeniem, że tak powiem, aby armia armii tam do-
stawiała, gdzie zanosilo się na stanowczą batalię.

Pułk ten, jakkolwiek kompletny wkroczył do Hiszpanii, kilkakrotnie odebrał liczne posiłki z Francyi. Tyle miał odkomenderowanych oddziałów, iż oficerowie z jednego pułku nie znali się. Nadto, każdym oddziałem oddzielnie opiekujący się generałowie francuscy przedstawiali oficerów do wszystkich stopni i różnych nagród, chociaż dowódca pułku nic o tem nie wiedział. Niepodobna przeto w niniejszem pisemku wszystkich przygód tego pułku zamieścić.

Pułk 1 ułanów legionu Nadwiślańskiego, w okolicy Wrocławia konsystując, odebrał posiłki w ludziach i koniach z Polski, mianowicie szlachetnych ochotników, którzy stanęli pod sztandarami dawnych legionistów.

Stamtąd udał się pułk do Westfalii, na zimowe leże do miasta Osnabrück, gdzie nowe znakomite odebrał posiłki z pułku huzarów, naprzód Ks. Sułkowskiego, dalej Prusaka, nakoniec Kalinowskiego. Ten regiment, z samych ochotników złożony, przyszedłszy do Minden, w ten sposób podzielony został: najprzód, wybrano sto koni na gwardyę króla Westfalskiego, pod dowództwo szefa szwadronu Czaplickiego i Dąbrowskiego, który z innymi oficerami tego szwadronu stopniem niżej przyjął miejsce, a cały niemal szwadron z podoficerów na żołnierzy uformowany około miasta Kassel. W pobliżności konsystowała czas niejaki gwardya.

Do pułku ułanów, o którym mowa, wybrano 300 ludzi, a resztę wcielono do piechoty legii Nadwiślańskiej, która również w Kassel konsystowała podówczas.

Oficerowie niektórzy pułku huzarów, idąc za przykładem pułkownika Kalinowskiego, który został generałem-adjutantem króla Westfalskiego, powrócili do Polski. Drudzy, jak powiedziano, dobrowolnie odstąpiwszy wyższych stopni, pozostali w gwardyi. Inni — do pułku ułanów, a nakoniec reszta do piechoty wcieleni zostali.

Skoro ta organizacya ukończoną została, trudno pojąć, dla jakich przyczyn król Westfalski szwadron ten gwardyi rozkazał wcielić do pułku ułanów w Osnabrück stojącego. W tem miejscu niepodobna zamilczeć, jaka z tej zmiany temu szwadronowi wyrządzoną została krzywda. Oficerowie w pułku huzarów, posiadane stopnie dobrowolnie poświęciwszy, dla tego, że byli wybrani do gwardyi, ujrzeni się, po wcieleniu szwadronu do liniowego pułku, w stopniach niższych. Cóż dopiero powiedzieć o podoficerach,

którzy również szlachetnym zapalem powodowani, nie popełniwszy żadnego występku, zdegradowani zostali!

Dowódca, dostawszy do swego pułku taki wybór oficerów i żołnierzy, a jeszcze bardziej major Klicki, tym więcej starali się osładzać swoją uprzejmością los przykry współbraci swoich, że byli przekonani, iż tym Rodakom, zapędzonym burzą patryotyzmu w kraje tak odległe, wybranym na straż honorową przez królów, których nie znali i nie widzieli, niesłychana wyrządzone została krzywda.

Na początku roku 1808 pułk odebrał rozkaz wyruszenia do Hiszpanii, a przechodząc przez Francję niedoświadczył innych nadzwyczajnych przygód nad te, że dla upałów i nagłego pochodu, ciągle nocami maszerując, przykrego doznawał utrudzenia.

W Paryżu, kiedy pułk gotował się na rewię inspekcyjną, Naczelnik Kościuszko przechadzał się pomiędzy żołnierzami i końmi. Poznany przez dawnych żołnierzy, skoro szmer usłyszał, niezwłocznie oddalił się.

W Bajonnie dopiero pułk zastał Cesarza Napoleona, przez którego obejrzany, miał zręczność popisać się w obrotach wojennych, a mianowicie, kilkakrotnie powtarzał przy rozsypanych flankierach, frontem atak, z wielkiem zadowoleniem obojga Cesarstwa. Nazajutrz, pułk, za dawne zasługi, odebrał 38 krzyżów legii honorowej, a po wyprawionej uczcie przez gwardyę Krasińskiego, wyruszył pułk do Hiszpanii przez Pireneje najkrótszą drogą do forticy Pampeluny, już w ręku Francuzów będącej.

W dniach pierwszych czerwca 1808 r. zebrany korpus pod dowództwem generała Lefebra otworzył kampanię, maszerując ku miastu — Saragossie, nad rzeką Ebro. W małej wiosce wypadło pułkowi na noc rozłożyć się. Pierwszy ten kwaterunek wojenny stał się na przyszłość niezatartą nauką.

Żołnierze rozprowadzeni na kwatery jak się dało, nie mając furazu dla koni, wynaleźli skład wielki pszenicy, której każdy nabrawszy tyle, ile mu się spodobało, zasypał koniom; te zgłodniałe stworzenia dorwawszy się tak smacznego pokarmu, jadły bez końca, a żołnierz zachmielony winem, ani spostrzegł, co nastąpi. Dopiero nazajutrz, kiedy pikietę naszą zaatakowane przez stado bydła, strzelać poczęły, niemogąc bronić się skutecznie pikami, zrobiono alarm, aż tu więcej niż połowa koni schwacona z trudnością ze stajen wyprowadzona być mogła. Każdy sobie wystawić potrafi, co za smutek był powszechny w pułku! Tu nieprzyjaciół obozował po drugiej stronie rzeki Ebro, tu kampania dopiero otworzyła się, a tu prawie każdy oficer i większa część

żołnierzy bez wystrzału zdemontowaną została. Na drugi dzień pułk zebrawszy się jak było można, wyruszył naprzód, a przeprawiając się przez rzekę, przewozem dążył ku miastu Tudela, gdzie Hiszpanie pobici, utraciwszy kilka armat polowych, wraz z mieszkańcami odbiegłszy miasto, wystawili je na liczne ekscesy, które były dla żołnierza pierwszymi, lecz, niestety, nie ostatnimi.

II.

Dnia 11 tegoż miesiąca pod Moncayo była pierwsza już z uszykowanym do boju nieprzyjacielem potyczka; lecz złamani przez piechotę francuską, ścigani przez ułanów, znaczną poniósłszy stratę, Hiszpanie zrejęterowali do Alagon.

W tej aferze flankiery i 4 szwadron ułanów po pod arkady kanału przeprawiając się z boku na nieprzyjaciela uderzyli, zmusili do ucieczki i ścigali aż przez rzekę Ebro, którą z łatwością przebrnąć można było, lecz na powrót tak ciągnęło i gwałtownie woda wezbrała, iż w przeprawie utraciliśmy oficera Topolczaniego i jednego — francuskiego szassera, którzy w odmęt pieniących się bałwanów zanurzeni zostali. Pod Alagon również nie więcej okazali męstwa i odwagi Hiszpanie. Umknęli do Saragossy, gdzie rozsiewszy postrach, że takie wojsko ściga, które z długich kijów strzela i kole, tak miasto przerazili, iż wybite bramy prawie do wieczora stały otworem. Dopiero, kiedy pułk przystąpił pod bramę jeszcze otwartą, przed czasem takowa zamknięta została, a rzęsisty ogień z ręcznej broni do nieładu naszych przyprowadził.

Tam to w samym kwiecie młodości swojej waleczny oficer Snarski, przy zdobyciu bramy zabity został. Ten bowiem, z plutonem swoim, zapędziwszy się za nieprzyjacielem, który i armat i bramy odbiegł, przestrelony z murów, zaledwo uniesiony do swoich, w nocy życie zakończył.

Przytem, Piotr Rogoyski, przebiegając ulice aż do rynku, niewidział żadnej przeszkody do zdobycia tego miasta, które wszakże później stało się, że tak powiem, cmentarzem, zagrzebującym w gruzach swoich tysiące walecznych wojowników.

Dnia tego, po odparciu od miasta Saragossy, do którego już mieliśmy wchód otwarty, uchwalono przedsięwziąć formalne oblężenie. Zanim nadeszły ciężkie działa i więcej wojska, nieprzyjacieli nie ważył się wychylić z murów. Następnie, opasawszy miasto wokół, i aż w końcu września przypuściwszy szturm generalny,

zdobyto mury podwójne, któremi miasto opasane było i pryncypalne bramy. Zdawało się, iż jesteśmy zwycięzcami meźnych Aragonezów, atoli od domu do domu szturmowaliśmy przez dni dziewięć i tyleż nocy. Gdyby nie powzięta wiadomość, że generał Kastanios w znakomitej sile nadciąga Hiszpanom na odsiecz, chyba całe nasze i ich wojsko wraz z mieszkańcami miasta w gruzach jego byłoby się zagrzebało.

Dowódca, generał Palafox, acz niebezpiecznie ranny, z ulicy na ulicę kazał się przenosić. Jego rozkazy i obecność dodawały męstwa meźczyznom i kobietom, które obok swych walecznych wojowników miały odwagę stawić czoło nieprzyjacielowi. Słowem, jeżeli jednego dnia zdobyto ulicę na prawem skrzydle, to drugiego utracono inną, na lewym. Tak mordując się na przemian, za zbliżeniem się korpusu Kastaniosa, wysadziwszy w powietrze kilka klasztorów i bram pryncypalnych, zatopiwszy armaty i amunicję, opuściliśmy to miasto, przy którego powtórne zdobyciu i przy pierwszym oblężeniu tyle uślano trupa, iż można by zapewne z kości poległych wojowników i mieszkańców miasto wałem obłożyć.

W tej okropnej wyprawie samo wspomnienie losu nieszczęsnych kobiet, osadzonych w konwencie z powodu pomieszanja zmysłów, któremu przez tak długie bombardowanie miasta, uległy, każdego, kto tam wtedy był, wskroś zgrozą przejmie zapewne, skoro sobie wspomni, jak się obchodzono z temi nieszczęśliwemi ofiarami przywiązania do ojczyzny i jaki wreszcie był ich koniec.

Pokój waszym ceniom, bohaterki Saragossy, a nam, bracia, nader smutne wspomnienie!

III.

Zrejterowawszy, korpus bez uszkodzenia stanął na prawym brzegu Ebro, a pułk ułanów zajął miejsce obozem pod Gallur i Pedrola. Tam z gwardyi Krasińskiego przysłano sześciu zanominowanych oficerów, jakgdyby podoficerowie z tego pułku, już połączeni z podwójnie nieszczęśliwymi huzarami, niemieli zdatnych, zasłużonych i już dobrze ostrzelanych wojowników.

W końcu roku 1808 Napoleon przybył osobiście do Hiszpanii, wzięwszy dyrekcyę ku Madrytowi. Wtedy gwardya Krasińskiego pod Somosierra okryła się pierwszym wawrzynem chwały, a nasz korpus, wzmocniony znakomicie, znów wyruszywszy ku Sa-

ragossie pod Tudelą stoczył formalną batalię, gdzie armia zwyciężywszy, podzieliła się na dwoje. Marszałek Montey pociągnął pod Saragossę, wzięwszy z sobą Maryana Klickiego ze znacznym oddziałem, a pułk udał się z korpusem ku Madrytowi.

Już stolica poddała się zwycięzcy, kiedy pułk, stawiony cesarzowi, odebrał zasłużone pochwały i nagrody, a przyłączony do dywizyi kawaleryi, ku Portugalii pomaszzerował.

W dzień Św. Szczepana 1808 r. była sławna batalia pod Pонта Almoras, gdzie dywizya polska, złożona z 4, 7 i 9-go pułków, przyłączona do korpusu 4-go generała Sebastiani, wraz z nami walczyć zaczęła.

Zwyciężony nieprzyjaciół, przerwawszy most, przez Rzymian na rzece Tagos zbudowany, poszedł w rozsypkę, a dywizya Lapalla, za pomocą rozebranej austeryi most zreperowawszy, poszła w pogoń za Hiszpanami, aż do miasta Truchillio del Moro.

Z tej wyprawy powróciwszy, sądziliśmy że w Toledo, gdzie stanęliśmy głównym garnizonem, odpoczynek nas czeka. Tymczasem wojna z narodem, nie jest wojną z wojskiem. Dopiero zniesiony nieprzyjaciół, już ci zebrał się na nowo, gotów zmierzyć się z nami. Hiszpanie zaczęli wojnę partyzancką prowadzić, uapadać niespodziewanie, wyrzynać małe garnizony, pastwić się po barbarzyńsku, chociażby nad bezbronnym, żebrzącym miłosierdzia. — Było to ich rzemiosłem i przyjemną rozrywką.

W Toledo przez cudownej urody dumną półwyspiarkę, poróżniwszy się dzielni oficerowie: Zawadzki i Moszyński, uniesieni zbyteczną porywczością, wieczorem na kwaterze, przy świecy — smutną dla wszystkich towarzyszków, a jeszcze smutniejszą dla rodziny i kraju, odbyli na pałasze walkę. Równa zręczność i siła długo przewlekła ich nieszczęsną potyczkę. Zawadzki, cięty w głowę, już się chwiać zaczął, kiedy gniew, dodawszy ostatniej siły, już pojedynek na ślepy bój zamienił. Moszyński miał nieszczęście, że mu czapka spadła wtenczas, kiedy Zawadzki z całą mocą natarł na niego. Dwa cięcia w głowę, jedno po drugim, razem prawie z czapką obaliły na ziemię Moszyńskiego. Konający prosi o przebaczenie zwycięzcy. Zwycięzca, jeszcze nieszczęśliwszy od zwyciężonego, przytomność i zmysły utracił. O! gdyby ten cbraz mógł każdemu wojownikowi stanąć przed oczyma, czyliż znalazłby się taki, coby za jedno spojrzenie kobiety w obcym kraju, wśród licznych nieprzyjaciół podobny błąd popełnił?

Nielepszy los czekał Zawadzkiego. Znienawidzony od oficerów i żołnierzy, dręczony wyrzutem sumienia, szukał śmierci w każdym boju, lecz znalazł ją właśnie po powrocie do Polski,

w paradzie, na rewii, kiedy może już o swym występku nie pamiętał, kiedy najbliższym będąc zapewne szczęścia pośród rodaków, padł wznak z koniem i ducha wyzionął.

IV.

Generał Valence objął dowództwo dywizji polskiej, do której i my przyłączeni zostaliśmy. W marcu 1808 r. zebrał się Hiszpanie w znaczny korpus nad rzeką Gwadiana. Wyruszył więc korpus Sebastianiego na tę nową wyprawę. Piechota traktem ku Sierra Morena ciągnąc, zanocowała w Mora, a nasz pułk, zamiast w Orgaz, pozwolił sobie przejść góry, na wygodniejszy nocleg do wsi Jewenes.

Na kompanię 5-ą wypadła służba. Pod kościołem założyła ona główną wartę. Inne kompanie rozłożono po karczmach, które tam w każdej wsi na trakcie się spotyka. Noc była nader ciemna, a nadedniem wielka mgła powstała. Służbę polową miał kapitan Szulc, który, objężdżając placówki, odebrał raport, że psy szczekają po folwarkach, że jakiś hałas słyszeć się daje. Takowy raport zdał on pułkownikowi, lecz pułkownik, będąc przekonany, że nieprzyjaciel mógł raczej oczekiwać, aniżeli do ataku się przygotować, mniej uważając na raport do dnia uczyniony, odegrać kazał pobudkę, a następnie, do przekulbaczenia i chędożenia koni apel.

Wtem naraz, kiedy już konie rozkulbaczone były, przy licznych wystrzałach wszystkie placówki zaatakowane i spędzone zostały wielką siłą nieprzyjaciela, w porządnym szyku z armatami postępującego. Wyskoczyła wprawdzie za wieś na spotkanie nieprzyjaciela kompania 5-ta, lecz nieprzyjaciel liczny, przez 4-ty pułk kawalerii z armatami zaledwie był zatrzymany, aż się pułk zdołał uszykować, a bagaże oficerskie, jak które mogły, napowrót przez górę umykać poczęły.

Skoro pułkownik zobaczył nader przewyższającą siłę nieprzyjaciela, tem spieszniej rozkazał szóstkami od lewego ruszyć do rejterady, że, wbrew rozkazowi, wlaźł na nieprzyjaciela. Droga dość szeroka, wężykowato prawie wykuta w skale, prowadzi na przykrą górę, z jednej strony po pod ogromne skały, z drugiej strony, aby podróżujący nie wpadł w bezdenną przepaść, pomurowano ścianę, aż do wierzchołka góry. A tak, pomiędzy dwoma murami droga przez tę górę przechodzi.

Skoro pułk wyruszył pod górę, dziwne pokazało się nowe zjawisko, bo bagaże, które umykały pod górę, z góry napowrót ku pułkowi pędziły. Szczęściem, że na zakręcie pod górę było takie koło, w które baby, furgon pułkownika i bagaże oficerskie wpakowały się. Nie pytając się, co to znaczy, pominęliśmy tę bandę. Nieprzyjaciel z tyłu, prawie zniósłszy 5-tą kompanię, na ariergardę zostawioną, nacisnął się w górę za nami, a wtem lewe skrzydło również na zakręcie schodzi się na wystrzał z pistoletu na drogę z nieprzyjacielem, który, o ile tylko można było dojrzeć, również szóstkami, czyli ósemkami, z góry na dół maszerując, całą wszerz i wzdłuż drogę zajął.

Czy, że to nagłe spotkanie odurzyło Hiszpanów, czy też, że sądzili, iż tak zaśluzowani z tyłu i przodu wszyscy bez wystrzału poddamy się, dosyć, że oni i my razem stanęliśmy.

Pułkownik pierwszy maszerując natychmiast zwraca do pułku konia, a wyrwawszy szablę, rzecze:

— Polacy! dotąd walczyliście z honorem, dziś umrzeć, albo się przedrzeć musimy. Naprzód! hura!

To hasło, powtórzone przez wszystkich, było znakiem do boju. Tam tylko kilku torować mogło drogę dla wszystkich. Spięte przedmurze nieprzyjaciela, pikami i szablą sarmacką, trupem pod nogi nasze powaliło się. Sztab cały nieprzyjaciela, na czele znajdując się, pierwszy padł ofiarą swej zuchwałości. Niedługo byłby się uformował z trupów mur nieprzebyty i musielibyśmy wyginać, gdyby widok oczywistej śmierci nam niedodawał męstwa i odwagi, a przeciwnikowi niedoradził unosić życia.

Ci Hiszpanie, co byli z tyłu, widząc rzeź otwartą, a pomagając do boju swoim nie mogąc, odwróciwszy konie, umykać poczęli ku Orgaz, tam, gdzie nam być należało. Ci, co stali od skały—na skałę, a ci, co od przepaści—w przepaść rzucić się musieli. Tym sposobem, coraz dalej wolniejszy mieliśmy przejazd; lecz ci, co na skałę wyskoczyli, wzięwszy się do karabinków, przepuszczali każdego przez kule, jak przez różgi i najwięcej naszych uszkodziли. Atoli i ci, co z tyłu poganiali, nieociągali się z zemstą, widząc, że jak ryba z sieci wymknęliśmy się z oczywistej zguby i jeszcze zwycięstwo już opłakane unieśliśmy.

Gdyśmy przedarli się przez górę na dół, nowe niebezpieczeństwo nas czekało, bo ogrody i winnice, które musieliśmy przebywać, ani pozwalały się formować, ani miejsca, gdzieby dać odpór nieprzyjacielowi, nie dawały.

Szwadrony pomieszane, konie zmęczone, brak miejsca i czasu do sformowania się, a nieprzyjaciel w porządnym szyku prze-

bywszy górę, siedział zawsze na karku. Tu dopiero nowy jeszcze przypadek oddał im zwycięstwo.

Furgon pułkownika, o którym wspomniałem, aż dotąd przeszedł szczęśliwie i bez wątpienia byłby był uprowadzony, gdyby dla pułku nie było tajemnicą, że sztandary spakowane w mantelzak, które włożyły się wszędzie za nami, tam się znajdują. Tymczasem, niestety, nie wiadano o tem. Pułk utracił znaki swej długoletniej służby i położonych dla ojczyzny zasług. Utracił jeszcze 3-ch oficerów, i kapitanów: Szulca, Stokowskiego, Szaniawskiego, i sztabs lekarza Gzyła, niektóre bagaże, i do 200 ludzi w zabitych i do niewoli wziętych.

Waleczny szef szwadronu, Kostanecki, w każdym niebezpieczeństwie pierwszy i przytomny, zwołał do porządku szwadrony.

.

Dnia drugiego stanęliśmy nad Gwadiano przed oczyma nieprzyjaciela, a zobaczywszy nas Hiszpanie sądzili, żeśmy zmarłychwstali, gdyż ich kawalerya, dumna z swego zwycięstwa, ogłosiła, iż do nogi zmietła tych wrogów, którzy i kawaleryi i piechocie zawsze umieli się dać we znaki.

V.

Most na rzece Gwadiano słabo był przez Hiszpanów broniony. Przebiegłszy przez takowy, na płaszczyźnie znaleźliśmy piechotę, w czworoboki uformowaną i gotową nas przyjąć. Skoro tylko plutonami, kłusem maszerując, stanęliśmy na linii, wraz z regimentem huzarów gwardyi holenderskiej, generał Sebastiani, wyjąwszy szablę krzyknął: naprzód!

Z szybkością błyskawicy wpadłszy na stojące czworoboki, całą pierwszą linię przewróciliśmy. Pułkownika gwardyi holenderskiej, a od nas, podoficera Krobickiego i kilkunastu ludzi i koni zabitych i rannych w tym pierwszym ataku mieliśmy.

Druga linia nieprzyjacielska stała uszykowana na pasmie gór skrzydłem lewem do miasta Ciudad Real. Przypierających więc, piechota z artyleryą, miały honor spędzić z pozycyi, a myśmy ciągle postępując drogą przez miasto ścigali i zabierali to wszystko, co tylko opierać się chciało, bądź uchodzić nie mogło. Że z boku na lewo najwięcej snuł się nieprzyjaciel, więc wysłano

z plutonem Wojciechowskiego, wachmistrza, a ten niespodzianie napadłszy na batalion cały w komplecie z oficerami i znakami przeszło 300 ludzi liczący, zabrał do niewoli.

Smutny to był widok patrzeć się na ojca, komendanta batalionu, z kilkoletnim chłopczyną płaczącym nad swoim losem i nad dolą ojczyzny.

Po odniesionem kompletnem zwycięstwie, nazajutrz pod Santa Cruz zebrana owa zwycięska kawaleria, w porządnym szyku zaślониła w nieładzie umykającą w góry Sierra Morena piechotę i miała śmiałość na równinie stawić czoło. Nadstawiono dzidy, zawołano: „kłusem!“ aż pękły owe szwadrony, a w nieładzie ucieczki każdy uważał tylko, jakby na rośłym andaluzie, umknąć przed mierzynym polskim.

Kasa wojskowa, bagaże, wozy i to wszystko co zdążyć w góry nie zdołało dostało się w ręce nasze. Wieś Alwizilena pod samymi górami Sierra Morena, stała się teraz i była później po raz kilka punktem odpoczynków.

W tej aferze sierżant Ignacy Osiński był rannym od rapierów hiszpańskich.

Po odpoczynku cofnęliśmy się do wsi Waldepenas, sławnej z ogromnych zapasów najwyborniejszego wina czerwonego, stołowego. Oprócz tego, tę wieś możnaby u nas uważać za miasto porządne, wielce bogate, gdyż to był punkt handlu krajowego z południową Hiszpanią.

Za naszym zbliżeniem się mieszkańcy opuścili wszystko. Dla nas i huzarów było to miejsce konsystencji, a piechota polska w Mansanarez stanęła.

Armia cała do Waldenpenas, jak do magazynu, posyłała po wino, a to, co wzięto na rachunek, przechodziło jedenaście milionów butelek. Oprócz tego, każdego żołnierza i kto tylko przyjechał, nabierał tyle, ile mu się podobało. Słowem, niedość że żadnej gospodarki nie zachowano w szafowaniu żywnością, że brygada przeszła dwa miesiące konsystowała, ale jeszcze po raz trzy cała armia francuska, zapędzając się do zdobycia przejścia tych gór, znalazła pod dostatkiem żywności i wina.

Wtem zebrał się nieprzyjaciół na nowo, a nie tylko, że już z gór wyruszył na nasze spotkanie, ale zamierzył, działając zaczepnie, wykurzyć nawet króla Józefa Bonapartego z Madrytu.

Pokazały się zewsząd znaczne siły. My, ustępując nad rzekę Gwadiano, sześć pułków lekkiej kawalerii zebraliśmy.

Generał Sebastiani, chcąc przeprzeć siły nieprzyjaciela, wyruszył z tą kawalerią, a podszedłszy pod Mansanarez, na małych

utarczkach dzień cały strawił. Wieczorem tedy samym powróciliśmy do naszych stanowisk, dostatecznie utrudzeni.

Skoro tylko każdy zabierać się począł do odpoczynku, nadciągnął korpus marszałka Wiktora i rozkazano nam wyruszyć na awangardę na huzarów holenderskich, zbliżonych ubiorem do lekkiej kawaleryi hiszpańskiej. Nasz pułk postępował za awangardą, a cztery pułki szaserów francuskich za nami — dalej piechota polska z armatami, a następnie rezerwa, bagaże korpusu i t. d.

Szanowny staruszek, generał Paris, komenderował kawaleryą i maszerował na czele naszego, jako ulubionego, pułku. Już głęboko w noc było, a w największej cichości maszerując wszyscy znużeni trudami spali. Staruszek generał, któremu tylko był wiadomy cel ekspedycyi, usnął jak inni, a kiedy już generał Sebastiani, znający okolicę, zmiarkował, żeśmy zbyt daleko wleźli, a nie stajemy, wysłał adjutanta, ażeby nas zatrzymać dla sformowania się. Adjutant, nie mogąc się przepchać tak prędko do awangardy, krzyknął: „halt!“ Kto się obudził, krzyczał: „halt!“ Szpica huzarów, równie rozespana, na ten krzyk wykręciwszy się do swoich, dała ognia. Huzarzy, myśląc, że to nieprzyjaciel napada — w nogi. Obóz — na naszych. My, sądząc, że to Hiszpanie, dalej nadziewać pikami nieszczęsnych huzarów. Tak zmieszanych widząc, szaserzy poczęli uciekać. Piechota polska, sądząc, że to kawalerya nieprzyjacielska, leci ich rozbijać. Dali rżęsisto ognia. Artylerya, sądząc, że już piechota złamana, oberżnęła konie od armat, rezerwy, bagaży. Strzelanie, krzyk uniwersalny, a szczególnie noc ciemna były przyczyną, że cały korpus poszedł w rozsypkę.

Nami dowodził kapitan Sztuppit, ostry w służbie, kamrat w zabawie, mężny w boju, przezorny w przygodzie. W oka mgnieniu spostrzegł błąd wszystkich, a pōskoczywszy na prawo, zawołał: „ułany do frontu!“ Było to hasło, które nas wkrótce zgromadziło do kupy i dlatego mieliśmy szczęście nie należeć do dalszej awantury.

Wypadek był sam przez się okropny, lecz skoro się dzień zrobił, ujrzano pobojuwisko trupem uśłane. Rozpacz wszystkich ogarnęła. Tu armaty i furgony i bagaże pomieszane i poprzewracane, tu jęczą ranni, żebrzą miłosierdzia, tam ludzie poprzywalali koni, tu konie leżą na ludziach, pomieszana piechota z kawaleryą. Ułan w bermycy szasera, huzar w czapce ułańskiej, słowem — płakać i śmiać się trzeba było razem.

Sformowawszy się przecież, wyruszyliśmy z tego przekłętogo teatru. O ćwierć mili od Manzanares odprawiliśmy batalię, gdzie nieprzyjaciel w śnie smacznym odpoczywał. Bylibyśmy za-

pewnie umknęli, lecz Hiszpanie, usłyszawszy naszą batalię i podobnie, jak my, popadłszy w zamieszanie, tak przestraszeni umykali, że rozstawionych placówek nie ściągnęli i te nam dostały się do niewoli, w nagrodę za całą naszą stratę.

Ztamtąd rozłożono armię od Aranchuez aż do Toledo, gdzie niedaleko tego miasta wypadło stanowisko dla nas.

Nieprzyjaciel liczny w 70 tysięcy miał zamiar spróbować szczęścia w stanowczej batalii, więc zebrawszy się pod Okania, prawe swoje skrzydło oparł o brzeg Tagos, a lewe o wieś Okanda. Piękna równina jest tej okolicy ozdobą. Odebraliśmy rozkaz przejść na prawy brzeg Tagos i na całą noc wyruszywszy do Aranchuez, mil przeszło 10 zrobiliśmy. Już było po południu, kiedy w ozdobnych ulicach około tego miasta obstąpiła nas piechota polska, częstując, czem kto miał. Prosimi, aby się pomścić na kawalerii hiszpańskiej, bo ta na patrolach dużo dokuczyła.

Odpocząwszy z godzinę, wyruszyliśmy wpływ przez rzekę, trzymając brygadę z pułkiem szaserów francuskich zawsze pod dowództwem generała Paris.

Dywizya dragonów z marszałkiem Mortier i generałem Sebastiani ruszyła za nami, trzymając się wprost traktu ku Okania, a my ruszyliśmy się w lewo, po pod góry ścieżkami, aby również pokazać się na płaszczyźnie w punkcie środkowym, dla lepszego rozpoznania i siły i stanowiska nieprzyjaciela.

W tem generał Paris rozesał adjutantów, aby ogłosili, że dziś nieprzyjaciel niema pardonu. Więc było to hasłem dla każdego wziąć się do posiłku. Lecz konie po tak forsownym marszu ledwo drapały się po skale na górę. Gdy pokazała się płaszczyzna i skoro do frontu stanęliśmy, ujrzelśmy całą płaszczyznę zawaloną kawalerią.

Gwardya, karabinierzy, trzymali prawe skrzydło nieprzyjaciela. Dziarski kapitan Hupett, rozkazał oficerom z przed plutonów wstąpić do szeregu i oblecić front, zalecając przytomność komendy. Kiedy owej olbrzymiej gwardyi front wyruszył do ataku, nieprzyjaciel, przybiegłszy przed front, dał ognia rżęsisto do nas. Lecz to bynajmniej niewzruszyło naszego frontu, a kiedy ani krzyk komendy, ani zachęcenia i zakłęcia nie poruszyły Hiszpanów, dzielny dowódca rzucił przed front z rozpaczą oręż i odwrócił w tył konia. Było to hasłem dla nas do ataku. Pękł front złamany dzidami, a ścieląc trupem pobojuwisko wkrótce stanęliśmy pod Okania, mniej bacząc, że jeszcze cała siła nieprzyjaciela pozostała nam w tyle.

Szczęściem pierwszym naszym było, że szaserzy wstrzymywali się od atakowania nieprzyjaciela, drugim, że oficer z naszego pułku, Janiszewski, wysłany do marszałka, aby brygada rejterowała, przybiegł, raportując, że ułany złamali prawe skrzydło, biją się pod Okania, więc dywizya dragonów, odwrócona z marszu w tył, dostała rozkaz zaatakować nieprzyjaciela. To spostrzegłszy, szaserzy z boku lecieli nam na pomoc, a tak z trzech stron nieprzyjacielska kawaleria złamana, trzy tysiące licząc prawie, w pień wyciętą została. Noc zaskoczyła to sławne zwycięstwo, a my, cofnąwszy się w tył, już z piechotą polską spędziliśmy w pobliskiej wiosce wesoły nocleg, ciesząc się, że nam się udało pomścić.

VI.

Nazajutrz, wyruszywszy ze stanowisk, nasz pułk miał zaszczyt wstąpić pierwszy na plac boju wczorajszy i formować prawe skrzydło, od którego poczynając, liczna kawaleria 4-go i 5-go korpusów formować się zaczęła.

Tu dopiero pokazał się smutny obraz zwycięstwa naszego. Cała przestrzeń ułana trupem i rannymi; ten, wewnętrzności wyjęte dzidą trzymał przed sobą na rękach, ów, czołgając się jak robak po ziemi, prosił o skrócenie cierpień. Było więc zwycięstwo, lecz skutków zwycięstwa nie widziano.

Skoro cała kawaleria w dwie linie uszykowała się, odezwały się trąby, a to był znak, że dowódca naczelny, marszałek Mortier, zbliża się. Jakoż, rzuciwszy oczyma na plac pobojuwiska zwrócił konia ku nam, a stanąwszy przed frontem zdjął kapelusz i w te odezwał się słowa:

— Polacy! Wasze wczorajsze dzieło okryło was nową chwałą. Ciebie waleczny kapitanie w imię cesarza i króla podnoszę na stopień szefa szwadronu i proszę, abys mi podał nazwiska tych, co się szczególnie odznaczyli.

Hupett odpowiedział: wszyscy! a więc—żadnej nie odebraliśmy nagrody.

Poczem dywizya piechoty polskiej po za kawalerią przeszła bokiem na prawe skrzydło nieprzyjaciela oszańcowanego i zamaskowanego z armatami w wąwozie idącym od Okania ku rzece Tagos. Hiszpanie małemi utarczkami sprowadzili dywizyę na tę zasadzkę, a synnąwszy rześistym ogniem, kartaczami i z ręcznej bro-

ni, całą dywizję rozbili i do odwrotu w nieładzie zmusili. Tu widząc generał książę Sułkowski wieczną niesławę, którą miała się okryć dywizya, wyrwał uciekającemu sztandar, a krzyknąwszy: „zaniosę im go wraz z waszą sławą“ tak skutecznie zwrócił wszystkich, że obróciwszy już bez komendy i porządku skoczyli oślep na bagnety, wytkuli Hiszpanów, zabrali armaty i opanowali wąwóz, jako główne stanowisko.

Po tym manewrze, kawalerya, w ścisłe kolumny uformowana, po za piechotą przeszła na same prawe skrzydło nieprzyjaciela, gdzie niedobitki kawaleryi stały. Za zbliżeniem się naszym poszły w rozsypkę, a tym sposobem całą armię oskrzydłiliśmy, ale następnie w tyle nieprzyjaciół u głównego punktu wsi Okania stanęliśmy. Wnet piechota broń rzuciła, a tak w ciągu godzin najwięcej sześciu—cała prawie armia hiszpańska dostała się do niewoli.

Król Józef był obecny tej konkluzji, a okrzyki: „Vive Roy Pepe!“—„niech żyje król Józef!“ zapewne były mu przyjemne.

Tymczasem pułk nasz małą poniósłszy stratę w tej pamiętnej bitwie, dotąd niewiedział, gdzie się podział generał Paris i co się z nami dzieje? Aż dopiero zabrani do niewoli Hiszpanie odkryli, że on, kiedy my złamaliśmy prawe skrzydło kawaleryi nieoparł się, aż o piechotę, pod wsią Okania stojącą.

Że już zmrok padał, że staruszek nie sądził może, iż siła mniej niż męstwo i odwaga, połączone z zapalem, zwyciężają, wziął szereg stojący nieopodal od prawego skrzydła szaserów ułanów hiszpańskich za nasz pułk i sam nieprzyjacielowi wjechał w ręce.

Przyprowadzony do naczelnika Hiszpanów i zapytany: „Okrutny, kto cię upoważnił walczyć bez pardonu?“ gdy odpowiedział: „Moja w tem była wola“—wtenczas w najwyższym gniewie dumny dowódca rzuca kilka ludwików złotych ułanowi i rozkazuje przeszyć piersi tego czcigodnego wodza, już nad grobem i tak stojącego.

Znaleziono później ciało jego w piwnicy w Okania, lecz jak pogrzebane? zapewne jak inne, bo co do poległych w tej batalii, chociaż ciała były w ziemi pogrzebane, wszakże w parę tygodni tamtędy przejeżdżając, pułkowi wachmistrze starsi do zdania rachunków trimestralnych niezliczoną liczbę psów, sępów, włóczących zwłoki poległych bohaterów, widzieli. Okania, smutny świadek przegranej tak stanowczej batalii, bezludna pępna kaplica, wśród cmentarza stojąca, żalony widok oczom przedstawiała.

Już tedy zdawało się, wojna skończona, król ubezpieczony na tronie, mieszkańcy zniszczeni przechodami wojska rozmiłują

się w pokoju i prawach konstytucyjnych. Tymczasem ten nasz na tem mniemaniu oparty spoczynek, niebył nawet zawieszeniem broni. Wkrótce napadnięty 20-ty pułk dragonów przy chędożeniu koni prawie w pień wycięty został, a wojna partyzancka w całym kraju stała się powszechną.

Małe oddziały napadnięte i wymęczone, komunikacya wojsk stawała się coraz trudniejsza, kuryery do przejazdu bezpiecznego potrzebowały znacznej eskorty, słowem, nasza wygrana mniej nam pomogła, niż nieprzyjacielowi przegrana zaszkodziła.

Strata naszych pułków codzien stawała się widoczniejszą. Oficera zastąpił podoficer, podoficera — żołnierz, lecz żołnierza nikt. Zwrócono na to uwagę i wybrano z pułków kadry, aby z Francyi nowe przyprowadzili posiłki.

Wtem wojska angielskie zaczęły się pokazywać od Portugalii, ze strony Talawera de la Reina. Znów zagrożona stolica państwa, znów nowa otworzyła się kampania.

Zebrano korpusy. Król z gwardyą, korpus marszałków Wiktora, Mortiera, Junot i generała Sebastianiego ruszyły ku temu miastu, położonemu na lewym brzegu Tagos, zaś na prawo pasmo gór skalistych wciąż ciągnie się; na płaszczyźnie o pół mili od miasta mała rzeczka, na prawo las gęsty dębowy, na lewo ogrody i winnice.

Zebrana kawaleria w jeden korpus dosyć jeszcze była znakomita, a postępując z artyleryą konno, trop w trop za nieprzyjacielem, ujrzała porządne szyki wojska angielskiego, dzielnych flankierów z huzarów hanowerskich, patrzyła na szybkie i zręczne wojska obroty.

Do powyższej małej rzeczki doszedłszy—halt! a piechota na prawo do lasu i na lewo do ogrodów kroki swe zwróciła.

Od południa zaczęły się te liczne utarczki, a postępując złotym krokiem, zaledwo nad zachodem słońca korpus kawalerii mógł postąpić za rzeczkę ku miastu.

Wyparowana piechota angielska z lasu, zajęła pozycję na górach. Noc całą, chociaż dosyć ciemną, musieliśmy sprawować pracę dzienną, a gdy ze skały na skałę trzeba było na bagnety postępować, oporem szło zwycięstwo.

VII.

Nie korzystniej powodziło się i lewemu skrzydłu, z kawalerią we środku. Stojąc o głodzie pod bronią noc całą, przypatrywać się tylko mogło temu rzadkiemu widokowi. Dzień zajaśniał. Słońce weszło, a kawaleria dostała rozkaz posunięcia się na prawo pod góry na płaszczyznę. Już piechota z artylerią pozycyjną zajęła swe miejsca na wzgórzu owalnym naprzeciw góry szpiczastej, podobnej do kopca, od natury i zręcznej ręki silnie ufortyfikowanej.

Pomiędzy wzgórkami a skalistą górą była płaszczyzna, gdzie dwa pułki konnych szaserów na strój postawiono. Kawalerię z artylerią konną postawiono we środku, a nasz pułk przy baterii działającej w asekuracji stanął. Lewe skrzydło miało przeznaczenie dobywać miasta i w takim porządku rozpoczęła się batalia. Ruszyła piechota na zdobycie kopca, już się zdawała bliska armat, kiedy ukryta piechota angielska rzęsistym ogniem zmieszała szyki i do ucieczki zagnęła.

Powtórzono atak na bagnety w tem samym miejscu i ten nie udał się. Wysłano świeżą dywizję piechoty, ażeby z dwóch punktów atakowała ten kopiec; i ten manewr nie udał się. Wtem wypadł regiment 23-ci lekkich dragonów, a rozbiwszy obydwie pułki szaserów, czyli że koni, z natury twardestw, utrzymać nie mogli, czyli że zagrzani rumem, całą armię przewrócić zamierzali, dosyć, że wpadłszy już w tył armii, krzyku i nieładu narobili. Wtedy marszałek Wiktor, przyszedłszy do szefa Huppeta, zawołał: „Biegnijcie, Polacy, pohamować nieprzyjaciela!“ Wtedy nastąpiła komenda w rozsypce: „marsz! marsz!“ zaczęli napadłszy już rozsypanych Anglików, wytłukliśmy prawie do nogi.

Przeciwnie powiodło się pułkowi kawalerii angielskiej na lewem skrzydle. Ten bowiem, wypatrzwszy, że pułk piechoty liniowej 28-my w nieładzie po bezskutecznym ataku odpoczywał w Oliwach, wypadł na nieprzygotowanych i tak prawie w pień wyciął pułk cały.

Kiedy się już wieczór zbliżał, a wygrana na żadną stronę nachylać się nie mogła, pokazał się korpus angielskiej kawalerii w ścisłych kolumnach i kiedy co raz zbliżał się, a my sądziliśmy: oto pokażemy co umiemy, Anglicy stanęli jak i owi karabinierzy pod Okania, lecz ostrożniejsi, bo na dobry wystrzał z armaty.

Nasza więc artylerya konna dotąd nie czynna, gdy jej zapewne ciężyla amunicya, wyrzutowawszy wszystkie działa ku miastu, ogniem rzęsimym, ale bezskutecznym, zakończyła batalię. Sądziłiśmy, że noc ciemna posłuży nam za odpoczynek. Tymczasem, skoro się wszystko uciszyło, najprzód artylerya, dalej piechota, a w końcu kawalerya, już nadedniem ruszyła do rejterady. Lecz Anglicy również, ale w nocy, rejterować poczęli, zostawivszy w mieście kilka tysięcy rannych. A taka była tego przyczyna:

Korpus marszałka Soult'a, który obserwował Anglików w Portugalii, zmuszony był spalić armaty, amunicję i bagaże, a zboczywszy, ukrył się w góry Placencyi. Anglicy sądzą, że on pociągnął dla złączenia się ku swoim, lecz on, dawszy nam wiedzieć przez szpiega, że czekać będzie z tyłu na odwrót Anglików, stanął im na mocnej pozycyi przy Ponte Almarac.

Więc Francuzi, po tej nowinie, chcąc Anglików za sobą dalej wciągnąć, ustąpili z pozycyi, udając rejteradę, ale że i Anglicy dnia tego odebrali wiadomość, że Soult pokazał się z tyłu, więc nie czekając końca batalii, ruszyli prawie na przełaj.

Pułk nasz nie miał honoru służyć w tej ekspedycyi, ale jak powiadano, Soult postarał się wziąć Anglikom więcej i lepszych armat, amunicyi i bagaży niż spalił. Korpus bowiem nasz i Wiktor, nie tracąc momentu czasu, powracać musiał do Toledo, gdzie zostawiona dywizya polska do obrony miasta, tak zewsząd była ściśnięta przez Hiszpanów, iż zaledwie dyszała.

Za zbliżeniem się naszym Hiszpanie odstąpili od oblężenia miasta i rejterując pod Almonacid na pozycyi prawdziwie wybornej, dla spotkania się z nami, zatrzymali się.

Generał Sebastiani niesmakując w uległości marszałkom, ile że Polacy z jego korpusu pod Okania zdeterminowali zwycięstwo, ale zwykły rachować się à conto komenderującego, zamierzył z wydaniem piechoty nie ociągać się na przybycie korpusu marszałka Wiktora, który ciągnął za nami.

Wieś Almonacid leży pod pasmem góry, na której stary zamek jest położony. Pasma tej góry w płaszczyźnie położone długości około 10 staj. Skoro się kończy, poczyną się równy przedział obszerny może o staj kilkoro, oraz góra najeżona skałami szpiczasto, a po tej już w około obydwu gór przyjemna płaszczyzna.

Pierwsza i druga góra obsadzona była piechotą, a za górą okrągłą była ukryta kawalerya, która nie pokazywała się. Armaty w szanicach gdyby przez zdatnych inżynierów były osadzone, to pozycya byłaby nie do atakowania. Tymczasem generałowie spostrzegłszy błędy mylnie uplanowanej artyleryi, zmiarkowaw-

szy mianowicie, że tu szło o to, ażeby korpus Wiktora nie miał udziału w zwycięstwie, rozkazał dywizyi polskiej wziąć górę okrągłą, w której pomiędzy kamieniami ukryty był nieprzyjaciel. Zdawało się, że tam prawie nie masz nikogo. Tymczasem skoro Polacy wdrapali się dalej niż na połowę góry, kule gdyby grad obasywały ich zewsząd. Poznał błąd swój Sebastiani, bo z korpusem Wiktora bez straty można było obejść w około Hiszpanów, kiedy powaby laski marszałkowskiej najwaleczniejszych życia pozbawiły i na niepewną walkę wojsko naraziły. Po razy trzy wysyłał adjutantów, ażeby Polacy opuścili tę pozycję. Żaden adjutant żywo z rozkazem dostać się nie mógł. Tak w oczach całej armii garstka Polaków, powtarzając kilkakrotnie atak na bagnety, wyparła Hiszpanów i zwyciężyła; lecz tu zginął dzielny pułkownik Sobolewski, wszyscy prawie sztabs-oficerowie i większa część oficerów i żołnierzy poległa.

VIII.

Z pierwszej wziętej pozycyi zeszli Polacy na równinę, chcąc przejść na drugą górę. Tu kawalerya pokusiła się zmierzyć swoją odwagę z męstwem piechoty polskiej, lecz ogień, z czworoboków wysypyany, zniszczył zamachy Hiszpanów i zatrzymał w dalszym pochodzie.

Już kiedy cała linia, po zdobyciu przez Polaków pierwszej pozycyi, zbliżyła się do stanowczego punktu, kawalerya hiszpańska po za górą, za którą była ukryta, wybiegłszy, zamierzyła z tyłu uderzyć na armię, lecz Sebastiani, przezorny i ślepo ufny w nasz pułk, zostawił w rezerwie ułanów. My, to widząc, nadzialiśmy na dzidy zuchwalszych, reszta umykać poczęła, a w takim składzie rzeczy, kiedy piechota generalny atak przypuściła, my, nie czekając dalszych rozkazów, poszliśmy w pogoń za nieprzyjacielem, a ten odbiegłszy całej swojej rezerwy w Mor będącej, zostawił nam ją na zdobycz.

Złamana piechota na górze, ani wiedziała, dokąd uciekać, skoro z góry spostrzegła, że już o milę przeszło w tyle chorągiewki polskie uwijają się. Tymczasem świadomemu w swym kraju mieszkańcowi łatwiej uciekać, niż obcemu gonić. Atoli wygraliśmy kompletnie batalię. Cały korpus ruszył za nami, a mało kto zatrudnił się zabranie z pobojuwiska rannych i ich strzeżeniem, dlatego, skoro zboże, zapalone na pniu przez pękające gra-

naty, ogniem całe ogarnęło pobojowisko, bardzo dużo rannych spaliło się, resztę zniesiono do kaplicy, w tyle pobojowiska stojącej, skąd odesłano do szpitala do Toledo. Atoli około sześciuset rannych pozostało przez noc w tej nieszczęsnej kaplicy. W nocy napadli powstańcy i w pień wszystkich wyrznęli.

Po batalii Almonacid, kiedy nieprzyjaciel znów zapędzony został aż do gór, Sierra Morena zwanych, rozpołożono wojsko dla odpoczynku i przedsięwzięto środki, jak i którebydy można się przedrzeć przez te niebotyczne góry do południowej Hiszpanii, najzamożniejszej i najpowabniejszej krainy w tej miejscowości.

W grudniu r. 1810 przedsięwzięto tę wyprawę, w kilku punktach naraz atakując. Zdawało się, że kawaleria wcale czynną być nie może, gdyż od samego początku góry, gdy zsiadliśmy z koni, zdawało się nam, iż w przepaść bezdenną, to znów, że do obłoków zbliżamy się. Tak postępowaliśmy, aż nareszcie równiejsze nieco pokazało się położenie, lecz już tuż pod Boleriana zoczyliśmy nieprzyjaciela. Zawołano: „na koń!“ a pod ogniem kartaczowym i ręcznej broni uformowawszy się, poszliśmy do ataku. Jeżeli gwardya Krasińskiego przez zdobycie baterji na górze Somosierra trudny miała atak, gdy gramolenie się pod skały na baterje zdawało się niepodobnem dla kawalerji, tedy zdobycie baterji na górach Siera Morena może nie przewyższającą trudność, ale napewno równe przynosiły niebezpieczeństwo. Atoli trzeba było zwyciężyć, albo zginąć, bo już cofać się nie można było. Przerażony nieprzyjaciel zuchwałością naszą, słabo broniąc, w końcu odbiegłszy armat, rozproszył się po lesie.

IX.

Trudno pojąć, jak taką pozycję mogli opuścić Hiszpanie, gdzie jeden śmiało stu ludziom stawić mógł pole, dlatego niepodobna, ażeby zdrada nie miała nam ułatwić tych nieprzystępnych przejść. Już bowiem Hiszpanie światli zaczęli przekonywać się, że orężowi francuskiemu trudno się oprzeć, a ojcowska dobroć króla Józefa i wolność konstytucyjna wyzwalała z pod jarzma srogiej inkwizycji. Przeto sprzyjano w niektórych miejscach. Coby to za tryumf był dla tych rozumnych obywateli, gdyby za ich przykładem poszedł był cały naród, bez srogich klęsk, bez przelewu krwi i prawie zupełnego wyniszczenia!

Gdy mieli nadaną konstytucję, tej dlatego, że im dawano, niechcieli przyjąć. Dziś, że im nie dają, ciągle o to strumieniami

kwę się przelewa i kto zdoła wyrachować, kiedy zakończy się ta nieszczęsna domowa wojna!

Zdobywszy szaniec i spuściwszy się z gór, jakiż widok zachwycający mieliśmy przed oczami! W okolicy, którą opuściliśmy, śnieg i dosyć przykre panowało zinnno, a tu łagodne ciepło, rozkwitłe drzewa i kwiaty, zachwycający sprawiały widok.

Pierwsze miasto, Karolina, zabudowane i nazwane po niemiecku, odurzyło nas wyraźnie, iż musieliśmy się chyba zbliżyć do Niemiec. Chłopi przebrani po niemiecku, pług ciągną krowy, folwarczne budynki słomą pokryte, na kwaterze tak dawno nieznane: „knydle, ryndflajsz und salat“ były szczególnem naszym podziwieniem; aż tajemnica odkryta została przez opowiadanie mieszkańców Karoliny, że oni są istotnie potomkami Niemców, że kiedy żółta febra wytepiła ród Hiszpanów w tej okolicy, kilkakset familij z Niemiec, Holendrów, przybyło na osadę, że ich przodkowie założyli to miasto i że aż ku miastu Kordowie ich kolonie ciągną się.

Ruszyły korpusy pod główną komendą marszałka Soult'a, a armia otrzymała nazwisko południowej. 5-ty korpus udał się ku fortecy Badajoz i tę po rocznem oblężeniu opanował. Inne udały się ku fortecy Kadyx. Korpus Sebastianiego zajął prowincye Grenada, Chaien, a główna kwatera w stołecznem mieście Andaluzyi, w Sewilli, ustanowiła się.

Mieszkańcy tych krain różnią się wielce łagodnością i uprzejmością, tudzież kształtną postawą od innych swych współbraci. Kobiety szczególnie są zachwycającej urody, a obfitość tej ziemi wszelkich płodów tak jest wielka, iż śmiało rzec można, że natura tych ludzi wszystkiemi swojemi darami obsypała.

Pułk nasz, zapędziwszy hiszpańskie wojska na morze, odpocząwszy w Maladze, obrał stanowisko swoje w mieście Baza, na pograniczu prowincyi Murcyi leżącym. Taki to, dłużej, niż wszędzie, przeszło rok, był główny punkt naszego stanowiska; tam to poznajomieni z mieszkańcami, często zapominaliśmy, iż są sprzyśiężonymi naszymi nieprzyjaciółmi; a jeżeli godzi się sądzić z pierwsiastkowego obejścia się z nami mieszkańców tej krainy, tedy, gdyby nie poduszczania księży i duchownych angielskich; gdyby wreszcie wojsko francuskie, mówiąc w ogólności, tych niepodniecało, co nas z otwartemi rękami przyjmowali; gdyby ich zarówno nie traktowało z tymi, co z okien strzelali, możnaby było uważać kampanię za ukończoną. Lecz wszystko na wspak się działo. Księży prześladowano bez końca. Mieszkaniec, obciążany co raz świeżą kontrybucją i rekwizycyami, pozbawiony wolności i opieki pra-

wa, choć na polowaniu ujęty z bronią w rękę, zarówno z powstańcem był obwieszany. Żołnierz niepłatny, na kwaterze wymagał więcej, niż należało. Ustawiczne kolumny lotne niszczyły przechodami krainy, a byle najmniejsza dana okazyja, już gwałtowne obyczaje i w perzynę obracano miasta i wsie; słowem, obok praw najostrzejszych wojskowych, obok przykładów, że rozstrzelano niejednego za nadużycia, nigdy rozpuście zapobiedz nie można było, bo wojsko niepłatne i bez magazynów, zawsze na furazowanie wysyłane być musiało. Cóż oficer, wysłany z kilkudziesięciu ludźmi, rozsypanymi po ulicach, mógł uczynić? Oto, zatykać uszy i uciekać przed płaczem i narzekaniem uciśnionych.

Ta rozpacz podała Andaluzyi oręż do ręki. Nic już jej mieszkancy nie mieli do stracenia, oprócz życia, więc powstał partyzanci luźni, nastąpiło złe za złe, poczęli rozbijać konwoje, wyrzynać małe oddziały, łączyć się wreszcie w znaczne korpusy, słowem, dla utrzymania komunikacyi, pozakładano stacje z oddziałów, a dla bezpieczeństwa, każda komenda musiała się opalissadować. Lecz w niejednym miejscu i ta przezorność była nadaremna. Partyzanci wyrzynali w pień gdzie się tylko dostać mogli, a gdy zaniedbano uprawę gruntu, przybył nam jeszcze jeden, ale już niezwykły nieprzyjaciół—niedostatek żywności, wkrótce zaś głód w kraju, gdzie miliony wojska przy miernej administracyi z wygodą utrzymać można było.

Bo jakaż była nasza administracya? Magazynier przyszedł piechotą, wkrótce ekipażem jeździł; wszędzie frymarczono racya żołnierza, a ten, wystawiony na pół racyi, a często na głód, szukał pożywienia, a przytem wszelkiego rodzaju wyprawiał nadużycia.

X.

Skoro generał Sebastiani w Grenadzie ustalił swoją główną kwaterę, skoro wszędzie zaprowadzono garnizony i zapewniono spokojność, wyruszyliśmy na podbicie prowincyi Murcyi, a mianowicie na wzięcie miasta Kartaginy, owej sławnej stolicy w historii rzymskiej.

Oddziały niedobitków hiszpańskich stawily wprawdzie czoło, lecz rozbite, uciekły w góry, a tak w dni kilka zajmawszy całą prowincyę opanowaliśmy i miasto Kartaginę, sławne z bogactw, które tam w magazynie w sztabach złota i srebra znaleźliśmy.

Lecz nie mogąc tak odległą prowincję obsadzić wojskiem, wprowadziwszy władzę i porządek, powróciliśmy do stanowisk.

Nie wyszło trzech miesięcy od naszego powrotu, kiedy dowiedzieliśmy się, że miasto zamierzono fortyfikować, że korpus wojska powstańców zaopatruje się w broń i mundury od Anglików otrzymywane.

Wyruszyliśmy więc na powtórna wyprawę, a już w bliskości, bo w mieście Lorca, zastaliśmy nieprzyjacielską jazdę. Wysłano z pułku awangardę, która równo ze dniem zdybała się z oddziałem hiszpańskiej jazdy. Rozpoczęto utarczkę. Hiszpanie, w znacznej równinie silnie opierać się poczęli. Pułkownik Konopka, niecierpiący aby mu nieprzyjaciel hardo stawiał pole, przyskoczył do szwadronu pierwszego, a krzyknąwszy: „kto tam komenderuje, nie wart jeść chleba!“ dał hasło Wojciechowskiemu, starszemu wachmistrzowi kompanii grenadyerów, który wyrwawszy szablę, krzyknął: „za mną!“ a uderzywszy w środek frontu Hiszpanów złamał i rozproszył i ścigając bez końca tyle wziął w niewolę, iż cała prawie komenda rozsypana tu i owdzie prowadzeniem niewolników i koni zajęła się. W kilka więc koni przeszło o milę zapędziwszy się za nieprzyjacielem, aż do wsi drzewem oliwy osadzonej, spojrzawszy za siebie, poznał niebezpieczeństwo w jakie popadł, bo właśnie w tem miejscu skąd atak rozpoczął, pułk odebrał rozkaz stanąć.

Wysłano wprawdzie w asekurację pluton grenadyerów, lecz oficer nazbyt przezorny nie chciał zaawanturować się i przybyć na czas, aż grenadyerzy, słysząc ciągłe i rżęiste wystrzały, podskoczyli naprzód, a tak, z owej frontowej asekuracji, przybyła garstka tu i owdzie rozsypanych flankierów.

Już po razy kilka z największą odwagą wypadli Hiszpanie, ale znajdując nieroztropnych flankierów i sądząc, że za wzgórzem stoi front pułku, cofać się musieli; lecz wysłany od nich oficer na pobliską górę, skoro dał znak, że za nami nikogo nie ma, wyskoczyli Hiszpanie z największym zapalem, a ubiwszy konia pod Wojciechowskim już go prawie w rękach mieli, gdy szczęśliwym wypadkiem nadbiegł kapitan Wincenty Walewski, a dodawszy męstwa naszym, odparł atak nieprzyjaciela i Wojciechowskiego uwolnił od zguby.

XI.

Już do trzech tysięcy kawalerji było na froncie za tą wsią, gdy ta nagle nie chcąc narazić się na niebezpieczeństwo, cofnęła się. Zbliżywszy się do miasta Kartaginy, znaleźliśmy, że okolica inną postać rzeczy przybrała. Mieszkańcy opuścili domy. Miasto na milę oblane wodą przez rowy ogrodzone, mosty porzucone, baterje i szanice rozsypane, słowem Kartagina przedstawiała oczom widok Saragossy. Nic nie zrobiwszy, powróciliśmy tem śpieszniej, że komendant Grenady zawiadomił, iż pierwszy kanonik katedralny na niesporze miał do ludu mowę, zachęcając, ażeby w imię Boga i króla w nocy wyrżnięto cały garnizon miasta Grenady.

Jak poprzednio powiedziałem, już mieliśmy swoich stronników. Więc ci uwiadomili komendanta placu o bliskiem nieszczęściu, a ten, ująwszy kanonika, załogę z miasta do Alhambry ufortyfikowanej wyprowadził. Złożono sąd wojenny, a kanonik na szubienicę osadzony został. Nastąpiła egzekucya, na którą całe miasto wyruszyło. Wyprowadzony na rusztowanie kanonik ze wszelką przytomnością prosił o głos i zawoławszy: „Nieszczęście, że nie mam więcej życia jak jedno. Gdybym ich miał jaknajwięcej, wszystkobyem poświęcił dla religji, ojczyzny i króla Ferdynanda VII, który niech żyje!“ i skończył na szubienicy.

Przy tym wypadku przekonali się Francuzi, że duch powstańców bynajmniej nie ostygł w narodzie. Wszyscy mieszkańcy, zalani łzami, mrucząc, rozeszli się do domów, a zewsząd nadchodzące niepomyślne wieści, coraz bardziej utwierdzały, iż się nie utrzymamy w Andaluzyi. Topniały szeregi nasze wtenczas, kiedy przeciwników codziennie pomnażały się.

W tem, niektóre wsie, podburzone przez księży, podniosły oręż. Z tych, Oryzas (?) była pierwsza zniszczona i spalona. Zamiast ten przykład uśmierzyć inne, naszą ostrością przyśpieszył ich powstanie. Już korpus Kartaginy wstępnym bojem postępując coraz zbliżał się ku Baza. Upatrzonej noc ciemną i wielki wichor. Odprowadzono kawalerję do miasta. Gdyby była miała przyzwoite dla żołnierza męstwo, byłaby mogła zabrać park artylerji, a przynajmniej armaty zagwoździć, wyskakujących z kwatery żołnierzy wycinać i mogła nam ciężki raz zadać. Tymczasem skończyło się na tem, że naszą placówkę rozbiła, zabrała i nas nauczyła na przyszłość lepiej się pilnować.

Wkrótce w porządnym szyku i w znacznej sile przyszedł nas deportować z Baza. Generał Perymont miał w swej komendzie pułk piechoty liniowej 32, 5 pułk dragonów, nasz i kompanię konnej artylerji. Siła była nierówna, więc na utarczkach schodziło, aż nadbiegł generał dywizji Millaud. Skoro rozpoznał stanowisko nieprzyjaciela, skoro pułkownik Konopka oświadczył, iż pragnie atakować nieprzyjaciela, wydano rozkazy, ażeby lewe skrzydło, ciągle ucierające się z naszymi szwadronami utrzymywało nieprzyjaciela, a pułk zmieniawszy pozycję, stanął naprzeciwko armat i piechoty w samym środku frontu. Wyskoczył szwadron flankierów pod ogień ręcznej broni i kartaczowy ogień rozsypać się musiał. Zdawało się, iż bezskuteczne będą zamiary, lecz nagłe uderzenie na piechotę zachwiało Hiszpanów, a już z niebezpieczeństwem oswojonego żołnierza zawsze należy naprzód prowadzić. Dzielność dowódcy i oficerów dozwoliła złamać linię piechoty, a przerwawszy szeregi, w różne strony rozsypał się nieprzyjaciel. Nasza piechota i dragoni, widząc co się dzieje, rzucili się przez rzeczkę na lewo, a tak, gdyby nie noc była przerwała nasze zamiary, mało kto z Hiszpanów byłby umknął.

Ta wygrana walki z wojskiem, a nie z narodem, przyniosłaby nam jakieś osobiste nagrody i ogólne pożytki, lecz w takim stanie rzeczy trudy nasze i poświęcenie się były za nic poczytywane, bo nieprzyjaciel za parę tygodni, jeżeli nie silniejszy, to w tej samej stawał sile, a nam już co raz ubywało, a nadewszystko niechęć wzrastała, iż ani końca tym mozolnym trudom, ani jakiej takiej nagrody nie było.

Wkrótce dostał pułk rozkaz przejść do Sewilli przeszło o mil 60 i to dniem i nocą. Chlubnie wszakże wspomnieć, że tam, gdzie starano się zdrożności i okrutne obojętne się z mieszkańcami zwalić na rachunek Polaków, opuszczając to miasto Polacy miłą dla serca uczuli radość, że mieszkańcy zegnali swych nieprzyjaciół, i ze łzami przyciskali ich do serca.

Pułkownik Konopka znalazł sposobność zemścić się za tę kalumnię. W jednym miasteczku, gdzieśmy mieli mieć rasttag, nadbiegł adjutant marszałka Soult'a z rozkazem, ażeby bez opóźnienia pośpieszać do Sewilli. Pułkownik, a jeszcze bardziej jego żona spostrzegła, że gospodarz domu, wysokiego urodzenia, mieć musi dzieci, prosiła więc, ażeby powiedział, co za przyczyna, że przed nimi potomstwo swoje ukrył? Mocno nalegany wyznał, iż im Francuzi powiadali, że Polacy tak nieludzko zwykli postępować, a nadto tak barbarzyńskich mają żołnierzy, że dzieci żywcem pożerają.

Ta opowieść, przez zwykłą wesołość, a najwięcej dla szyderstwa zapewne, iż Hiszpanie, mało, albo żadnej nie mają wiadomości o narodach, znalazła kredyt i dla tego, dwie nadobne córki i inne drobne dzieci zostały na strych domu wyniesione. Pułkownikowa powiedziała to mężowi, a ten wymógł na gospodarzu, że jego cała familia i wielu oficerów i ten adjutant zasiędlą do stołu. Wśród obiadu maleńka córeczka gospodarza przybiegła do pułkownika, ten ucałowawszy, podniósł ją i rzekł:

„Chociaż Francuzi rozgłaszają, że my dzieci pożeramy z okrucieństwa, przecież serce Polaka ma szlachetne uczucia.“

Francuz zapomniał języka w gębie, jak to mówią, a gościnne gospodarstwo odżałować nie mogło, żeśmy ich opuścić musieli.

XII.

Poszliśmy do Sewilli w sam południowy skwar słoneczny. Nie miałem to było naszym podziwieniem, że wszędzie było pozamykane, nawet wody nie sprzedawano.

Postawiono nas na przedmieściu Trojana, za rzeką Gwadalquivir, tak jak Praga za Wisłą położonem. Pierwszego dnia sądziliśmy, że to miasto jest bezludne, tak wszystko kryło się przed okiem naszym, lecz skoro mieszkańcy przekonali się ze szlachetnego obejścia się z nimi, że ta opinia, jakoby Polacy byli okrutnymi, wyraźnie jest fałszywa, otworzono domy zabaw, starano się poznać z nami, a miłe i uprzejme obchodzenie się zjednało nam powszechny szacunek tak, że obywatele miasta Sewilli prosili marszałka Soult'a, ażeby ten pułk zakwaterował do miasta. Lecz mieszkańcy Trojana wyjednali sobie, aby nietylko teraz, ale ile razy Polacy przyjdą w te strony, byli kwaterowani u nich.

Skorośmy się rozgościli i odbyli ucztę u marszałka, i gdy następnie korpus oficerów celniejszym generałom i urzędnikom oddał wizytę, wyszło rozporządzenie, aby wszelka żywność i фураз, ułanom polskim, nawet przódzy, niż sztabowi głównemu, wydawane były, a tak, po odpoczynku na rozległych błoniach około tego miasta codziennie prawie pułk silny przeszło 700 koni wyjeżdżał na mustrę, gdzie mnóstwo zawsze bywało widzów. Kiedy tak przepędzając przeszło cztery tygodnie, zapomnieliśmy, że jesteśmy w nieprzyjacielskim kraju, zagrzmiały trąby, zwołujące

„na koń!“ i na całą noc wyruszyliśmy w pochód do prowincyi Estremadury, ku fortecy Badajos.

Ośm dni i prawie tyleż nocy po kraju opuszczonym przez mieszkańców, bez żywności i furazu, wśród najnieznośniejszych upałów i kurzawy odbywaliśmy podróż. Dziewiątego dnia pokazała się liczna kawalerya angielska, hiszpańska i portugalska, my zaś w porządnym szyku ustępując, przeszliśmy las dębowy gęsty dość, rozległy i długi, z którego gdyśmy wyszli, pokazała się za rzeczką na prawo wieś Albufera, a od wsi aż do gór niezmiernie wysokich rozległa płaszczyna, około pół mili szerokości zastawiona wojskiem angielskiem, hiszpańskiem i portugalskiem, przeszło 70 tysięcy licznem.

Nasz korpus liczył 18 tysięcy bagnetów i 60 szwadronów kawaleryi pod dowództwem generała Latour Maubourg, nie licząc naszego pułku, który ciągle przy głównej kwaterze pod rozkazami był jedynie marszałka.

Most, który prowadził przez rzekę do wsi, jako też i wieś cała, mocno były obwarowane i obsadzone nieprzyjacielem, a gdy czas zszedł na rozpoznaniu stanowisk nieprzyjaciela, noc posłużyła do odpoczynku, gdzie przy rozłożonych rzęsistych ogniach, czem kto miał, posilał się.

Przed świtem wydano nam rozkaz wystąpić w paradzie. Plutony flankierów jeszcze w Baza z każdego szwadronu z najdzielniejszych oficerów i żołnierzy uformowane, pod dowództwem walecznego szefa Kostaneckiego i kapitana Leszczyńskiego będące, każdy pluton ze swoim szwadronem miał postępować. Zawołano: „na koń!“ a wkrótce dorodny dowódca, pułkownik Koponka, poprowadził pułk po przed marszałka i pułki lekkiej kawaleryi francuskiej, które pominawszy, dał znak, ażeby flankierzy wyskoczyli naprzód, wpław przebyli rzekę około mostu na lewo i rozpoczęli batalię.

Pierwsze dwa plutony: Kajetana Wojciechowskiego i Piotra Rogójskiego poszły wpław, a drugie dwa, przeprawiwszy się później, stanęły w asekuracyi. Nasz pułk uszykował się frontem nad rzeką i cała armia, jakby przez most na wieś miała zamiar uderzyć, tak szykować się poszła. Tymczasem był to atak fałszywy. Lecz do okazania onego nieprzyjacielowi, nierozumiem dlaczego, na oczywistą zgubę narażono kawaleryę, którą marszałek miał za najlepszą.

Druga okoliczność jest godna jeszcze większego podziwienia, że strzelcy angielscy przy moście stojący dali ognia na tych, co

poszli wpław i prawie o ich bagnety otarłszy się, wypadli i najkorzystniejsze wzgórze zajęli.

Regiment londyńskich dragonów widocznie miał rozkaz mieć nasz pułk na oku, a lubo nie tu nas spodziewano się i nie przypuszczano zapewne, że się tak nagle jak błyskawica nie pokażemy, więc flankierzy zastali linię piechoty bez kawaleryi; atoli przyleciawszy zdyszane dragony, byliby niewytrzymali pierwszego ataku flankierów, gdyby był przynajmniej cały szwadron, lecz trudno głową mur przebić; a skłówszy kilkunastu anglików, cofać się trzeba było w porządku. Zbliżywszy się nasi na wzgórze, z którego spostrzegli pułk za rzeką, a dwa swoje plutony w asekuracji stojące, uderzyli powtórnie na Anglików i tych, ściałac trupem, przyparli aż do frontu całego, lecz znów przed potrojną siłą cofać się należało, a kiedy armaty nasze z za rzeki dały ognia, my, postępując, tak byliśmy pomieszani z Anglikami, iż kule arnatanie pomiędzy dowódców Rogójskiego i Wojciechowskiego przeleciały niżej ramion, gdy sobie podawali buteleczkę, posiłek prawdziwie zapracowany. Po trzeci raz zebrani flankierzy złamali i flankierów i szyki angielskie, aż z boku od lewego zaszła piechota angielska i ta dopiero zniewoliła naszych do cofnięcia się.

Lecz co za podziwienie ich było, skoro zbliżywszy się do rzeki, ani pułków, ani plutonów postawionych w asekuracji nie ujrzeni. Rogójski przeprawiwszy się przez rzekę, miał przytomność uszykować pluton w jeden szereg i dać ognia z pistoletów do Anglików, siedzących na karku Wojciechowskiego. Przeprawa byłaby się udała bez straty, gdyby, jak na nieszczęście, na samej przeprawie kapral od Rogójskiego nie był się zwałił z koniem. Dopiero Anglicy przyparliszy pluton do rzeki 14 ludzi wycięli, a Wojciechowski z pośród Anglików śmierć siejających, przetorował szablą drogę i powyżej przeprawy, acz z nader wysokich brzegów wskoczył w rzekę i szczęśliwie stanął na przeciwnym brzegu.

Dotychczas strata flankierów była nieodżałowana, bo kapitan Leszczyński, stojący w asekuracji z dwoma plutonami dla rozpoznania pozycji, wyjechawszy na wzgórze, za którym pierwsze dwa plutony biły się, od piechoty przestrzelony dokonał życia. Zginął mąż wielkiej cnoty, wzorowych obyczajów, szlacheckiej duszy i czułego serca, żołnierz pełen dzielnego męstwa i odwagi.

Po przeprawie flankierów, podczas marszu po nad rzeką ku prawemu skrzydłu nieprzyjacielskiemu, mieliśmy szczególny, go-

dny podziwienia widok. Podoficer Jagielski, szlachetnej rodziny i pełen nadziei młodzieniec, ciągle należał do szwadronu flankierów. Na tę batalię maszerując, przed dziewięciu dniami przepowiedział sobie śmierć. Tak uprzedzonego wyłączono z flankierów i odesłano do kampanii. Ale kula znalazła go stojącego pośród całego regimentu, opodał od nieprzyjaciela, i jego tylko samego ubiła.

XIII.

Już kawalerję Latour Moburg uszykował w dwie linie, pierwszą z lekkiej kawalerji na prawym, gdzie postawiono nasz pułk, drugą lewą, z ciężkiej—i na przyjęcie ustawiona artylerya rzęsiście strzelać poczęła, kiedy artylerya angielska przy asekuracyi strzelców pieszych poprzednio kawalerji szkodziła.

Prawe skrzydło nieprzyjacielskie zajmowała kawalerja, która, mniej liczna od naszej, a jeszcze bardziej bez ducha odwagi, stała jak wryta. Pierwszą i drugą linię trzymała piechota angielska, a trzecią dopiero hiszpańska i portugalska. Artylerya na wybornej, górzystej płaszczyźnie ustawiona, wszędzie śmierć rozsiewać poczęła.

Okolo godziny pierwszej z południa mały deszczyk przerosił i piechota nasza przeprawivszy się przez rzekę w tyle nas, w ściśniętych kolumnach od naszego kawalerji prawego skrzydła, aż ku lewemu nieprzyjacielskiemu uszykowała się.

Wtenczas nasz pułk oddzielił się od kawalerji Latour Moburga, którą manewrując posunął aż do skrzydła prawego nieprzyjaciela, na rozległej równinie stojącego. Dano znak na bagnety, a piechota, przy odgłosie bębna z pierwszej pozycyi, bagnetem zepchnęła całą linię piechoty angielskiej. Nasz pułk, stosując się do poruszeń piechoty, poskoczył naprzód, a za wzgórkami ujrzawszy czworobok piechoty angielskiej, z całą mocą dzielności uderzył, złamał, tysiąc przeszło zajął do niewoli, 6 sztuk armat i 6 sztandarów zabrał, resztę tak wykuł, że z trzech pułków piechoty jedna noga nie uszła.

Pierwsze chorągwie angielskie już powiewały obok proporca polskiego przy marszałku Soulcie, już pewnym się było wygranej, już rozesłano rozkazy do generałów piechoty, ażeby rozwijali kolumny, i na drugą linię nieprzyjacielską uderzyli, kiedy zdyszani dragoni londyńscy na rozsypanych naszych ułanów ude-

rzyli. Zmieszały się dzidy z rapierami obosiecznymi. To zaślepionych Anglików od zguby uratowało, gdyż piechota nasza tak pomieszanych z Polakami nie mogła wystrzelać, a poznawszy, że Polak chociaż nie w szyku umie stawić czoło w boju i nie snadno da sobie wydrzeć zwycięstwo, z szybkością błyskawicy z oczów nam zniknęli.

Marszałek, pewien dalszego zwycięstwa, rozkazał postąpić piechocie naprzód, kiedy jak na największe nieszczęście nie miał kto tych rozkazów wykonać, w pierwszym bowiem ataku na bagnety, piechota straciła niemal wszystkich generałów i oficerów, dowódców w rannych i zabitych. To odrętwienie po tak znacznem zwycięstwie spostrzegłszy przezorny anglik, dał znak swej drugiej linii piechoty, ażeby z całą natarczywością uderzyła na naszą piechotę. Kartacze i dany ogień z ręcznej broni tysiące Francuzów położyły trupem na placu, a pozostali, rzuciwszy broń, poszli w rozsypkę, jak owce, w tył umykając. Wtenczas przyskoczył marszałek Soult do szykującego się naszego pułku, a zawoławszy: „Colonel! au nom de Dieu sauvez l'honneur français!” krzyknął do ataku na mocny czworobok piechoty, maszerującej ku nam.

Nie postarano się zebrać rozsypanych żołnierzy i zagonionych aż w tył nieprzyjaciela, nie uszykowano porządnie jak należało, nie ustawiono szwadronami w podwójnym odstępie, słowem, bez żadnej przeczności i asekuracyi uderzono na czworobok piechoty, przeszło z 14 tysięcy złożony i już przygotowany nas przyjąć, lecz przy samych bagnietach, po wystrzale czworoboku, pomostem legł pułk cały prawie. Pięciu oficerów ubito, jedenastu raniono, żołnierzy przeszło 200 padło trupem, a reszta, tak oficerowie, jak i żołnierze, jeżeli nie ranni, to konie potracili, lub zbrali się w liczbie przeszło 100 koni przy grobie swych współbraci.

Zatrzymana piechota angielska w swym ataku przez tę nieszczęsną pułku katastrofę dała czas zatrzymać naszą rozsypaną piechotę i tej na nowo uzbroić się i przed swym nosem uszykować się.

Ach! kawalerya Latour Moburga, czemuż manewrowała i manewrowała, a nie przyszła nam w pomoc, kiedy po trzeci raz zawołał marszałek do pułkownika: „Atakuj piechotę!”

Poskoczył wprawdzie powstały oddział po trzeci raz na piechotę, a znów straciwszy kilkunastu ludzi, nową okrył się żałobą. Byli oficerowie, co razy dwa i trzy byli ranni, po dwa i trzy konie potracili; i tak: pułkownik Konopka od kontuzyi, szef szwa-

dronu Huppet ranny od granata w bok—część ciała utracił. Kapitan Leszczyński, Michałowski, Teofil Marchocki, Łempicki, Majewski, Remiszewski i Radłowski zabici, ostatni ranni i do niewoli wzięci: Wincenty Konopka, kapitan Trzebuchowski, porucznik Zawadzki, oficerowie: Rogoyski, Wojciechowski ranny dwa razy i trzy konie utracił, Faraon, Krobecki, Błoński, Sienicki, Bohdanowicz — ranni.

Co do Francuzów, 5-iu generałów rannych, ośmiu zabitych, osmnastu oficerów zwieziono do szpitala do Sewilli i ośm tysięcy żołnierzy rannych. Wszakże Anglicy nierównie większą ponieśli stratę, a zdobyte sztandary, armaty i 1000 niewolnika były powodem, że nam przyznano wygraną batalię tem śmielej, że tegoż dnia dobywając Anglicy fortecę Badachos, o mil ośm odległą od miejsca tej batalii, utracili przeszło 8000 ludzi i podnieść oblężenie byli zmuszeni. Wszakże do tego utrzymawszy plac boju, uprowadziwszy, co można było zabrać rannych, dopiero dnia drugiego rejterować poczęli i my i oni. Zostawiwszy pobojowisko zasłane trupami i rannymi, w mieście Lorca korpus zatrzymał się, a za przybyciem korpusu z Portugalii marszałka Marmonta, wyruszyła kawaleria naprzód.

XIV.

Trudno pojąć, dla czego korpus Marmonta nie przyszedł nam w pomoc na czas, kiedy w dni kilka po batalii mógł się z nami połączyć? To też kiedy Anglicy pobili Marmonta w Portugalii, wzięli mu 100 sztuk armat, znów nasz korpus nie przyszedł mu w pomoc nawzajem. Lecz jakaż konsekwencya, pojedynczo, raz tego, drugi raz tamtego, czubić? Przewrotny generał Wellington, który po tej batalii objął w Hiszpanii dowództwo, zmusił nas opuścić Andaluzję.

*

*

*

W przewozie rannych oficerów i żołnierzy z tej batalii, gdzie zawsze krążyły oddziały partyzanckie Hiszpanów, przy przewozie przez rzekę Gwadalkiwir zrobił się nadzwyczajny nieporządek, bo każdy chciał być pierwszy do przewozu, ile że nadbrzeżne miasteczko było zamieszkane, osadzone garnizonem francuskim, gdzie porządek, magazyny i bezpieczeństwo pierwszy raz każdy znachodził.

Żołnierze francuscy, jak mają wrodzone męstwo i szlachetną uległość dla starszych, kiedy są w porządku, tak znów w przegodzie rozprzegają się, niepoznają swych wodzów i podobniejsi są do hordy, niż do wojska tak wysoko ucywilizowanego narodu.

Przy promie przewozowym chciano generałów rannych, których nieśli chłopci hiszpańscy, a którym skwar słoneczny był nieznosnym, nasamprzód przenieść. Żołnierze ranni nie dopuścili tego, a kiedy z kolei wniesiono generałów na prom, oddaliwszy się od brzegu, jeden z generałów rozkazał przewoźnikom zatrzymać się i w te odezwał się słowa:

— Francuzi! Dopóki żołnierz w każdym miejscu zna swego przełożonego, dopóki wasi generałowie, walcząc z nieprzyjacielem o zwycięstwo, na waszym czele ranni, byli szanowani, dopóty kraj miał z nas obrońców, nieprzyjacieli groźnych przeciwników i każdemu z nas, Wam przewodząc, miło było umierać. Lecz skoro niepoznajecie generałów, waszych dowódców, skoro rozprężeni nikogo nie słuchacie i nikomu nie ulegacie, bogdajby się nie sprawdziły moje słowa: upadnie Francuz, z najwyższego szczebla sławy strącony, a Wasze zwycięstwa tej kampanii za łupy rozbójnicze poczytane będą!

Cały ten korpus sprowadzono do szpitala w Sewilli, w którym, chociaż jest gmachem nadzwyczajnej wielkości, trudno było pomieścić w izbach oficerów, a żołnierzy na korytarzach. Z jednej i drugiej strony pomieszczono łóżka we dwa rzędy.

Tu dopiero trudno jest opowiadać zdarzenia w tem miejscu, może czyśćcem, może piekłem nazwać się mogącym. Urzynano ręce i nogi od rana do nocy; jęk nieustanny, którym napełniono okopciałe murzyska, ręką królowej Izabelli wzniesione, rozlegał się po wszystkich miejscach. Nie było schronienia, gdzieby wyrzekania i rozpacz nie przerażały również cierpiącego, równie nieszczęśliwego kolegę. Tu dopiero poznaje ranny, jaką uczynił ofiarę dla ojczyzny, skoro zamiast śmierci, której szukał, znajdu-

je męczarnię, która po kolei każdego prawie tłoczy do grobu. Jakoż, mimo wszystkich starań, w czem administracyi francuskiej słuszną należy się pochwała, śmierć rozpoczęła swoje rzemiosło. W początkach wyrządzano honory zmarłym oficerom, lecz skoro po kilku na dzień zaczęło umierać, przepaść, wapnem niegaszonem zaopatrzona, pochłoneła ciała tak najwaleczniejszych oficerów, jako i żołnierzy.

Razu jednego, kiedy rozgłoszono, że nasz pułk, a raczej, prawdę mówiąc, szczątki jego, przyjść ma do Sewilli, piszący, dla boleści, które z ran odniesionych cierpiał, oraz z niecierpliwości widzenia się z kolegami, trawił noce bezsennie. Usłyszawszy maszerującą kawalerję po przed okna szpitala, jako tako się zwałókł do okna, aby zobaczyć, kto maszeruje; aliści owa kawalerja była partyą powstańców hiszpańskich, którzy napadli w bramie na wartę stojącą, zabrali oficerów i kilku żołnierzy, a nie kusząc się o większe zdobycze, powrócili tą samą drogą na powrót. Dosyć to uczyniło wrażenia na osłabionych umysłach rannych żołnierzy, którzy sobie zaraz utworzyli imaginacyę, że Hiszpanie mają napadć na szpital i w pień wyciąć wszystkich. W istocie, do charakteru i gustu hiszpańskiego taka brawura naraz przystała. Może w istocie nigdy o tem nie myśleli, ażeby napadać na szpital, tak w bliskości miasta położony, gdzie porządek i garnizon oddawna zaprowadzono. Wszelakoż ciągle temi wieściami zatrudniano się.

Aż tedy raz w nocy, kiedy już śmierć niebezpiecznie rannych wybrała, a pozostali przy niezmordowanej pracy i staraniu doktorów, znacznej ulgi w cierpieniach doznając, mogli spoczywać, zrobił się niesłychany hałas na korytarzach, dalej krzyk i jęki nadzwyczajne utwierdzały każdego, że Hiszpanie w pień wyrzynają. Gdzie kto mógł, tam się krył, albo zabierał się do obrony. Szczęściem, że ten chaos zrobił się nadedniem, a wkrótce poznaliśmy, że to był błąd i próżna obawa. Wreszcie doszliśmy jej przyczyny: żołnierz wypatrzywszy u drugiego pieniądze i zegarek, zakradł się, by takowe zabrać. Przebudzony krzyknął: „złodziej!“ Łapie go. To obudziło naraz wszystkich. Każdemu się zdało: „uciekajcie! Hiszpanie!“ Każdy się zerwał jak mógł i uciekał, z piętra to na dół, to znów na strych do góry. Kule drewniane, na których się ranni spierali po podłodze, straszny czyniły hałas, a skoro się jeden przewrócił, kilkunastu zwałało się na kupy, wydając krzyki i jęki przerażające. Słowem, był to wypadek, który tysiące wynędzniałych i schorzałych życia pozbawił i długie

czas był zdrowszym materyą do śniechu, cierpiącym — do złorzeczenia.

*

*

*

Nie może jeszcze piszący przemilczeć o nagrodzie, jaką obsypało nasz pułk. Pułkownik Konopka został generałem, a Stokowskiemu z gwardyi oddano dowództwo, jakgdyby waleczni sztabsoficierowie pułku: Rutti, Kostanecki i Huppet, nie mieli udziału w tych wszystkich przygodach! Nakoniec 11 krzyżów legii honorowej oficerom i żołnierzom rozdane, zakończyło całą nagrodę.

Skoro Anglicy odstąpili od oblężenia fortecy Badajos, po za fortem Oliwensa w Portugalii będącą, schronili się. Kawaleria nasza, rozpoznawszy te stanowiska, pozostała na obserwacji, a nasz pułk powrócił z marszałkiem do Sewilli, nie tak dla odpoczynku, jak dla uformowania się na nowo, a skoro tylko był w stanie liczyć do 300 koni, zaraz odebrał rozkaz, ażeby wyruszył do Grenady, na nową ekspedycję, gdyż korpus hiszpański od Murcy wypędził z Baza Francuzów i groził zajęciem miasta Grenady.

Skoncentrowane siły w te strony, wyparły Hiszpanów ze stanowiska, gdzie pułk nową i ostatnią okrył sławą swego dowódcę Konopkę. Za zbliżeniem się bowiem do Hiszpanów, którzy podług relacji wziętego w niewolę sztabsoficera, mieli szczerą chęć spotkać się z kawalerią francuską — zwołał generał Milaud dowódców pułku, czyli chcą uderzyć na nieprzyjaciela, już porządnie uszykowanego, lub też poczekać na piechotę. Konopka oświadczył, że podejmuje się środkiem rozerwać kawalerię, która przejścia broniła. Jakoż skoro pokazały się chorągiewki, tak dawno niewidziane i gdy tylko pułk podzielony na dwa oddziały (z pierwszym pułkownik wyruszył w galop, a Rutti z drugim) wsparł atak, pękły szeregi nieprzyjaciela i wszystko tak złamane zostało, iż piechota odbiegnięta poddać się musiała.

Po tej ekspedycji, pułk powrócił na stałe stanowisko do miasta Utrera pod Sewillą, pod dowództwem szefa szwadronu Rutti, a Konopka, zostawszy generałem, udał się do Polski.

XV.

Już lord Wellington obrał dowództwo armii w Hiszpanii, już nas doszła wiadomość, że korpus marszałka Marmonta w Portugalii, został zniszczony już i nasze korpusy żadnej nie miały komunikacji ani z Madrytem, ani z Francją, już osłabione i tak były wszystkie pułki, kiedy przyszedł rozkaz, ażeby Polacy i niektóre pułki wyruszyły z Hiszpanii na kampanię do Rosyi.

Pułk nasz z niemałym ukontentowaniem odebrał tę wieść, a nawet miał za najmilszą pociechę, gdyż ożyła w nas nadzieja oglądania jeszcze ziemi ukochanej, ojczyzny, rodziny i współbraci. Jakoż już byliśmy na marszu w mieście Kordubie, kiedy marszałek przysłał nam kontrmarsz i rozkaz, ażeby do Estrenadury, ku owej fortecy Badajos, ciągnąć na odsiecz.

Byliśmy tedy pewni spotkania się znów z Anglikami oko w oko, kiedy w nocy opuścili oni pozycję i podnieśli oblężenie fortecy, a więc rozeszliśmy się na dawne stanowiska, znów nie myśląc, ażebyśmy kiedyś wrócili do Polski.

Wtem dano powtórny rozkaz, ażeby zabrawszy się, ciągnąć ku fortecy Badajos znów na odsiecz. Jakoż zebrane wojsko, gdy było pewne batalii, Anglicy znów podnieśli oblężenia i opuścili pozycję. Wypadało więc po drugi raz rozejść się do stanowisk, lecz kiedy za każdą razą armia odprawiała kursa po mil kilkadziesiąt, w upały najnieznośniejsze, przy niedostatku co raz większym żywności, napełniły się szpitale piechotą, a kawalerya niła również bez boju.

Dano znać po raz trzeci marszałkowi, że Anglicy przyszli oblegać fortecę Badajos. Wszyscyśmy tę wiadomość tak przyjęli, jak i marszałek, że Anglicy bez wydania batalii zniszczą nas samemi pochodami. Atoli za powtórnem doniesieniem, że Anglicy naprawdę dobywają fortecy, że drabiny i faszyny przynieśli z sobą, że już nawet otwór do fortecy wybili, dopieroż rozesłano rozkazy, ażeby noc i dzień maszerować ku Badajos, a jakkolwiek szybko się korpus zebrał i garnizon, złożony przeszło z 8,000 mocno się bronił, przecież poddać się musiał przód, aniżemy zdążyli na odsiecz.

Już tedy trzeba było myśleć o opuszczeniu tej prowincyi, istnego rajy ziemskiego, nadewszystko opuścić oblężenie Kadyksu,

które kosztowało miliony i gdzie przez ciągłe dwa lata pracy, tyjące ludzi życie utraciło.

Postawiono wszelakoż korpus w Estremadurze, dla zasłony prowincyi Andaluzyi. Nasz regiment wyznaczono na awangardę i wtenczas oddano pod dowództwo Dębińskiego, majora, gdyż Rutti został pułkownikiem szaserów francuskich. Położenie nasze prawdziwie było godne politowania. Ani żywności, ani furażu nigdy nie dawano. Żołnierz każdy musiał myśleć sam o sobie i o koniu. Prowincya bezludna, ogłodzona, smutnego zniszczenia była żywym obrazem. Aż wypocząwszy, Anglicy pokusili się podejściem zniszczyć pułk cały. Upatrzone do tego sposobność wtenczas, kiedy większa część oficerów była zaproszona na ucztę do generała do odległej wioski.

Około 10 z rana, gdy zwykle rozchodziliśmy się do przekubaczenia koni, wyjechało tak jak powszechnie kilka szwadronów do kup słomy, po polach tu i owdzie rozrzuconych, z których i oni i my pobierali dla koni furaż.

To widząc, pikiety żadnego alarmu nie czyniły, aż ci naraz owe szwadrony, niby furażujące, uderzyły na placówki, tę spędziły i obces do wsi wpadły. Lecz żołnierz, w ciągłym rzemiośle boju, nie czeka ni rozkazu, ni trąby. Pierwszy wystrzał z pistoletu, był hasłem „na koń“ i zebrawszy się do szyku, prędzej aniżeli Anglicy zajmąwszy pozycję z armatami, w porządnym froncie szwadronami poczęliśmy się cofać. Wystrzał z armat zabawę rozproszył i oficerów do frontu zwabił, a tak nie straciwszy ani jednego żołnierza, pokazaliśmy Anglikom, że i podejścia Polak umie ochronić się.

Odtąd ciągle Anglicy maszerując naprzód z prawego, starali się nas oskrzydlić, a tak maszerując dzień i noc całą, wycofali nas aż do Burguillos, gdzie piechota i artylerya zajęły korzystną pozycję.

Już tu nie szło o wydanie batalii, ale o wstrzymywanie nieprzyjaciela, aby jako tako z honorem można te kraje opuścić, podniósłszy oblężenie fortecy Kadyks i zebrawszy rzedniejące, rozsypane po kraju, szukające żywności dla armii, kolumny. Z tem wszystkiem spotkanie się z nieprzyjacielem było mocne. Tam Piotr Rogoyski, już ostatni z pozostałych flankierów oficer, przestrzelony przez piersi, całą sławę tego szwadronu wybranych wojowników zakończył, bo nawet pułk cały już nie miał sposobności zbierać nowych wawrzynów chwały, tylko co raz nowe spotykały go smutki. W rejteradzie pogrzebał porucznika Pitro, oficera od wszyst-

kich kochanego, dalej utracił Szeffera od kuli armatniej, nad którym, gdy litował się generał, ów rzekł pełen żalu:

„Nie żałuj mnie panie generale, że umieram, ale tego, że nie na ziemi polskiej wiek mój młodością kończę. Przyślij mi butelkę wina i bądź zdrów!“

Trudno sobie wyobrazić, co za zamieszanie powstało, szczególnie w Sewilli, za zbliżaniem się Anglików. Tu Francuzi zagospodarowani kupowali majątności, domy, pałace, pożenili się. Myśleli tylko o tem, jakby się bawić i frymarząc racją i płacą żołnierza powiększać fortunę. Wtem anonsują, że natychmiast ustępować potrzeba. Otworzono magazyny dla wojska wtenczas, kiedy żołnierz zgłodniały, więcej do okopciałego dziada, jak do rycerza był podobny, a gdy ogromu zapasów różnych rzeczy nikt nabywać nie chciał, wpakowano w mieście Jerez do więzienia celniejszych obywateli za to, że magazynierom opłacić tych rzeczy nie chciano. Słowem, okropne wspomnienie, wieczną hańbą administracyi francuskiej przynoszące!

Opuściliśmy najpiękniejsze Hiszpanii kraje, a ciągnąc około Grenady, Baza, Lorca, połączyliśmy się z korpusem Duc de Albufera w Walencji. Dziwne to było dla nas zjawisko. Tu chłopiek nucił piosnki przy pracy, tu gospodyni przy działkach i ochędóstwie domowem, gościnną, jak rodaka przyjmuje na kwaterę żołnierza, tu obywatel błogosławi rządy marszałka, jak żeby nigdy nie bywało wojny i zamieszania. Żołnierz wesół, postawy szlachetnej, z cerą na twarzy, dobrze i przyzwoicie ubrany, nie przykrzy sobie trudów i znoju. Słowem, jak gdyby z innego narodu złożone wojsko i nie do jednego państwa należało. Czemuż, niestety, nas tylko los tak nieprzyjazny trapił i wyniszczył? Dobre chęci i zdrowie żołnierza, zła administracya żywności, a raczej frymarzenie oficyalistów cywilno-wojskowych, zrujnowały. Złe obchodzenie się z obywatelami, wykopało grób dla armii południowej. Niechęć ku sobie marszałków była widoczna, a ta zgubiła krocie najdorodniejszej młodzieży, wojnę zamieniła na zbójckie potyczki, żołnierz wyłamał się z posłuszeństwa i uległości, a straciwszy szlachetne uczucia, stać się musiał rabusiem i gwałcicielem. Obrócono w perzynę kraje najpiękniejsze, a armia, przed którą wszystko drżało, sama się w końcu zniszczyła.

Prawda, że korpus Walencji równie był czynnym i wyruszył nadmorskie odebrać fortece; lecz znów, prawdę mówiąc, szczupłe mając prowincye do zajęcia, nie był utrudzony ustawicznymi marszami, tak jak nasza armia, zajmując tak rozległe kraje. Dalej,

trzeba ten przesąd zostawić na boku, że Anglicy bitni tylko na morzu. Doświadczenie nauczyło, że kawalerya, szczególnie w obrotach, w zręcznem szykowaniu się i w posłuszeństwie koinendy zawsze odznaczała się. Artylerya strzela celnie, a uprząg armat i cały rynsztunek żołnierza jest prawdziwej doskonałości. W końcu, klimat południowy Hiszpanii jest w lecie do niezniesienia; tymczasem w Aragonii, Katalonii i Walencyi jest bardzo łagodny.

Nasi oficerowie flankierów, którzy pierwsi każdy bój rozpoczynali, a ostatni z pobojowiska schodzili, po lat 4 byli podporucznikami, a zaledwo dwom: Rogoyskiemu i Wojciechowskiemu, dostały się krzyże legii honorowej, lecz dla tego Polak nie umiał być mniej bitnym, bo służył nie dla siebie, lecz dla ojczyzny, dla szczęścia swoich braci.

Już tedy rok 1813 zbliżył się, w którym powołano pułk na nową kampanię i w czasie armistitium stanął regiment pod Dreznem, w mieście Freyberg, gdzie szwadron na kampanii rosyjskiej będący, z oficerami: Rybałtowskim, Bogusławskim i Wojciechowskim po odbytej kampanii pod Lützen, Bautzen, Reichen-dorff i t. d. przybył do pułku.

Stokowski, dowódca, jadący z Francyi do pułku pocztą, był zabrany do niewoli, a na miejsce jego oddano dowództwo pułkownikowi Tańskiemu Kazimierzowi, który w roku 1808 w Bayonie opuściwszy regiment, jako kapitan, w roku 1813 powrócił jako porucznik z niemałym ukontentowaniem wszystkich dawnych oficerów, od których zawsze był kochany, jako najlepszego serca i przymiotów duszy oficer.

Ten dopiero dowódca wydziwić się nie mógł, jak wielu pozostało oficerów dawnych, posiwiiałych w boju bez żadnej nagrody. Szef szwadronu Antoni Pruszek, Maksymilian Niezabitowski, Porycki, Rybałtowski, Piotr Doliński, Trzebuchowski, jak byli kapitanami, tak też takimi przyjął ich dowódca, chociaż każdy z tych mężów, obecny każdej przygodzie, pełnił obowiązki jako mężny i waleczny oficer. Co do niższych oficerów, jakże i ci mieli awansować, kiedy starsi niczego dosłużyć się nie mogli, a co do podoficerów i żołnierzy, ci już nie myśleli o awansie, widząc, jak z boku ciągle oficerów przysyłano.

Skończyło się armistitium, a pułk odkomenderowany do korpusu 14-go. St. Cyr zajął pozycję na granicy Czech, około Morgenberg.

Kawalerya austriacka, dragoni, rozpoczęli kampanię, a ustępując nogą za nogą przyszlismy pod Drezn.

Tu drugie widziałem przecucia zdarzenie. Kapitan Doliński ujrzawszy wykopującą się mysz, krzyknął: „to śmierć moja, ja dziś zgine.“ Obecni tej imaginacyi wpędzili mysz do ziemi i wesołą rozrywką rzecz puścić w zapomnienie starali się, aż cwa nieszczęsna mysz i po drugi i po trzeci raz wydobywała się z ziemi zawsze także czyniąc na Dolińskim wrażenie.

W parę godzin później zawołano „na koń!“ a pułk wyszedł z królem neapolitańskim na rozpoznanie stanowisk nieprzyjaciela. Skoro uformowaliśmy się do frontu, pierwszy wystrzał z armaty sprawdził przecucie Dolińskiego i ten oficer, pełen światła i dobroci, od kuli armatniej zabity został.

W batalii pod Dreznem, pułk nasz, chociaż był czynnym, mało jednakże ucierpiał i mało miał sposobności odznaczyć się. Jakoż i w innych bataliach tej kampanii oprócz małych wypadków: że porucznik Wojciechowski z jednym plutonem dwa razy złamał czworobok jęgrów rosyjskich i do niewoli zabrał; że przy wycieczkach z Drezna były liczne utarczki, które mniej godne znajdują do podania—pułk ten całą swoją sławę wraz z dalszą egzystencyą przy kapitulacyi całego garnizonu zakończył.

Oficerów oddzielono od żołnierzy i tych wysłano do Węgier w niewolę.

W maju 1814 wydano paszporta i każdemu dozwolono powrócić do własnej chaty, lub rodziny. Miasto Dukla było punktem, gdzieśmy się w różne strony porojeżdżali, a tym sposobem i korpus oficerów rozproszywszy się, nie zebrał się aż w Kuttne, do wiadomych kadrów.

ZAKOŃCZENIE.

Powtarzam raz jeszcze to, co powiedziałem do czytelnika. Te przygody, których byłem naocznym świadkiem, albo o których, będąc rannym, słyszałem od oficerów, te mówię, podałem wiernie z pamięci. Dla tego, jeżeli niektóre zdarzenia są pominięte, proszę o przebaczenie, gdyż tak dawne dzieje opowiadać z pamięci jest trudno.

Nadto, potomność osądzi, jak daleko wogóle ten pułk zasłużył się ojczyźnie. Każdy więc z tego pułku będzie uczestnikiem sławy, jeżeli przysądzona ogółowi będzie.

Bogdajby, za tym przykładem idąc, koledzy pozbiali wypadki, a mianowicie legii nadwiślańskiej, tej dzielnej dywizyi piechoty, o której z uniesieniem nieprzyjacielem nawet opowiadali. Zdarzenia podobne zawsze będą przyjemne dla rodaków.

Upadła i nadzieja, a Ten, co nas mógł nienawidzieć, przyjął pod Swą opiekę i szacownem imieniem Polaka udarował.

Dziś, pod berłem potężnego monarchy, możemy sprawdzić słowa Napoleona: „Jeżeli Rosya waleczny naród polski przywiąże do siebie, Europa uklęknie.“

Z rękopisu wydał

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Wystawy Salonów paryskich.

Wystawy doroczne sztuk pięknych, czyli t. zw. salony, organizują stale w Paryżu dwa urzędownie upoważnione towarzystwa: „Société des Artistes Français“ i „Société Nationale des Beaux Arts.“

Pierwsze, t. j. „Towarzystwo Artystów Francuskich,“ będąc najstarszą tego rodzaju instytucją we Francyi, uważa się za rzeczywistego kontynuatora dawnych wystaw, urządzanych przez Królewską Akademię Sztuk Pięknych, poczynawszy od roku 1673, z początku w odstępach niejednostajnych, a później regularnie, w kwadratowym salonie Luwru. Stąd powstała dzisiejsza nazwa „salonów,“ we Francyi tradycyjnie przyjęta. (Ale niczem nieusprawiedliwiona w innych krajach). Salon tedy tegoroczny Towarzystwa Artystów Francuskich oznaczony został poważną liczbą 126 z rzędu oficjalnej wystawy sztuki francuskiej. Natomiast „Towarzystwo Narodowe Sztuk Pięknych“ istnieje od niedawna. Założone w r. 1889 przez Puvisa de Chavannes i Meissonniere'a, jest ono secesją od pierwszego i stanowiło w swoim czasie protest przeciw zbytnej wyłączności i absolutyzmowi jego jury, które stale usuwało wszelkie produkcy sztuki, wychodzące poza ograniczony zakres jego pojęć akademickich i rutynicznych. Wiadomem jest, że wstęp do tego *sanctuarium* był długi czas wzbroniony jednostkom, uznanym dziś za największą chlubę XIX w. (Puviss de Chavannes, Rodin) i wielu artystom prawdziwego talentu Nowe Towarzystwo postanowiło ułatwić drogę tym właśnie nowym siłom i spełniwszy to zadanie z powodzeniem w pierwszym okresie swego istnienia, przybrało z czasem charakter tradycyjny nie wiele różniący się od tego, którym odznacza się zawsze, choć bądź co bądź w granicach stosunkowo rozszerzonych, sąsiednie Towarzystwo Artystów Francuskich. W rzeczywistości oba te

salony, które przyjmują produkcje artystów kształconych i pracujących w warunkach jednakowych, przedstawiają różnice czysto formalne, ujawniające się na zewnątrz, prócz nazwy i oddzielnego pomieszczenia, tem przeważnie, że Salon Towarzystwa Artystów Francuskich liczy zwykle dzieł sztuki dwakroć więcej, niż Salon Towarzystwa Narodowego i udziela nagrody i odznaczenia, których w ostatnim niema. Prócz tych dwóch dorocznych wystaw wiosennych, jest jeszcze w Paryżu „Salon Niezawisłych“ (Salon des Indépendants), nie posiadający wcale jury, a więc dostępny dla wszystkiego, co ma pretensję do obrazu, rzeźby i t. p. i przez to samo sprowadzony do znaczenia parodii sztuki lub anarchii. Przejściem od salonów oficjalnych do ostatniego jest z wielu względów „Salon Jesienny“ (Salon d'Automne), istniejący zaledwie od lat paru, który w swych salach łączy wystawy retrospektywne, zwyczajnie z okresów sztuki rewolucyjnych, z dziwacznie wybujałymi wytworami ostatniego modernizmu.

Pierwsze dwa salony oficjalne, równie jak Salon Jesienny, znajdują pomieszczenie w wielkim Pałacu Sztuki (Grand Palais des Beaux Arts), pozostałym po wystawie powszechnej z r. 1900.

Salon Towarzystwa Narodowego, który najpierw otwiera swą wystawę, ma bądź co bądź tę jeszcze wyższość nad swym potężnym sąsiadem i rywalem, iż przy mniejszej o połowę ilości wystawionych produkcji, zawiera stosunkowo znacznie większy procent dzieł wartościowych, jest przeto i łatwiejszym i przyjemniejszym do zwiedzania.

Zacznijmy tedy nasz przegląd od tego młodszego salonu, chociaż być może, iż wypadnie nam zajrzeć czasem i do obocznego, zanim jeszcze przejdziemy doń zupełnie. Zaraz na wstępie wielkie płótno nazwane „La Famille“ (wypoczynek żniwiarzy) i podpisane bardzo znanem nazwiskiem nieniełodego już mistrza p. *Lhermitte* odstręcza swym charakterem niewyraźnym, kolorytem nieprzyjemnym i mdłym, brakiem powietrza i siłą światła w scenie, odbywającej się w pełnym polu, w południe lipcowego dnia, na której harmonię składać się powinny silne kontrasty, nie zaś amalgamat tonów zneutralizowanych. Zadziwia to u p. *Lhermitte*'a, twórcy tylu obrazów na temat wiejski (zwłaszcza w pastelach), oddanych z zupełnie innem pojęciem życia i natury. Spojrzawszy na płótna sąsiednie, zauważymy, że salony paryskie nie są bynajmniej wyłącznie francuskie — w tej pierwszej sali przynajmniej dzieła cudzoziemców stanowią wielką większość. Tak więc najpierw zwracają uwagę swym niezwykłym charakterem trzy obrazy Hiszpana, p. *Zuloaga*.

P. Zuloaga nie jest nowicyuszem w Paryżu, muzeum Luksemburskie posiada kapitalny jego obraz „Mes cousines“ (wyborne w swoim rodzaju, trochę karykaturalnym, typy młodych Hiszpanek i stojącego za nimi mężczyzny); pomimo to cechy oryginalne, w których dopatrzyć się można z łatwością połączonych i dość bezpośrednich wpływów, by nie powiedzieć naśladownictwa, wielkich mistrzów szkół hiszpańskich: Ribery, El Greco, Velasqueza i Goyi, i które składają się razem na bardzo silną indywidualność artysty, sprawiają zawsze pewną niespodziankę i pociągają zarazem przez to samo, iż wśród dzieł wogóle dość równych, jeśli nie przeciętnych, w salonach oficjalnych obrazy jego wyrywają się gwałtownie.

Uderzają one przedewszystkiem swym ogólnym tonem zielonym, prócz środkowego, w którym przeważa czerwono-brunatny; przedstawia on potworną postać karła „Gregorio el Botere,“ narysowaną brutalnie grubemi czarnemi liniami; czerwona twarz jego odbija gwałtownie od niebiesko-ołowianego nieba. W drugim: „Les sorcières de San-Millan“ wszystko jest zielone, prócz ołowianego również nieba; bardzo subtelnie narysowane bez modelacyi karykaturalne głowy starych, wychudłych kobiet ze szczególnym wyrazem okrucieństwa, rysują się tu ostrym profilem.

W trzecim, który na przekór tamtym odznacza się prawdziwym wdziękiem w ruchu tańca i uśmiechu młodej kobiety (portret panny Bréval z Opery Komicznej w 2-im akcie „Carmen“), daje ciekawy efekt sceniczny, przy sztucznem zielonem świetle, w którym gra czerwono-wzorzysty szal tancerki. Pozatem obrazy te są płaskie, bez głębi, bez powietrza, ale zamaszyste, o silnych kontrastach barwnych, krzyczących, a mimo to harmonizujących się; razem wzięwszy -- znać w tem junakeryę brutalną, trochę szarlataneryi, obliczonej na zadziwienie gapiów i chętne poszukiwanie charakteru karykaturalnego.

Cechy te, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre, jak zamaszystość i skłonność do karykatury, znajdujemy też u innych młodych Hiszpanów, którzy od paru lat wyróżniają się na wystawach paryskich. W tymże salonie p. *Garrido* daje trzy płótna: przekupkę czy rybaczkę z dwojgiem dzieci, wypróżniającą ryby, doskonałe typy w swym grubijańsko-pospolitym charakterze; młoda Angielkę, typowej anglo-saskiej brzydoty, która śmieje się z takim „oczkiem,“ że mimowoli wywołuje śmiech patrzącego; i karykaturalną głowę o olbrzymiem czole i małej skurczonej twarzy, którą autor nazwał w swej dowcipnej złośliwości „Le critique d'art.“ W Salonie Artystów Francuskich znajdujemy dwóch

jeszcze Hiszpanów: p. *Vasquesa*, który w swej pełnej wyrazu dramatycznej scenie daje znowu charakterystyczne typy hiszpańskie, traktowane subtelniej w rysunku, ale zbyt suche i wycięte w sylwetach z powodu absolutnego nieuwzględnienia atmosfery; oraz p. *Tito Salus*, którego obraz—scena jarmarczna—posiadający właściwości odwrotne poprzedniemu, zwraca uwagę szalonym rozmachem w ruchu dwojga tańczących. Wróciwszy do sali, którą na chwilę opuściliśmy, widzimy tam jeszcze jednego Hiszpana, innego pokroju, modnego portrecistę, p. *Antonio de la Gandara*. Ten wystawił trzy portrety kobiece, albo, by powiedzieć ściślej, trzy portrety wyszukanych strojów kobiecych, bo strój stanowi w nich rzecz główną, gdy twarz malowana tak samo, jak materya i pozbawiona żywego wyrazu, mogłaby nie istnieć. Wszystko polega tu na wielkiem wirtuozostwie, z jakim ten artysta potrafi traktować w sposób dokładny, a mimo to szeroki, materye różnych odcieni i natury, oraz ozdoby, biżuterję i t. p. Zresztą w tym roku widzimy u niego postęp znaczny w kompozycyi figur, które nie są tak sztywne, jak zwyczajnie i nawet pod względem wyrazu twarzy—mają go więcej, niż poprzednie lalki do żurnalu mód. Wprawdzie dawniej, nim jeszcze powodzenie zdołało go zepsuć, starał się on więcej o charakter, jak tego dowodzi portret Jana Lorrain, znajdujący się obecnie na wystawie retrospektywnej portretów w rozkosznych pawilonach Bagateli.

Wogóle dział portretu wyróżnia się dość w obu tegorocznych salonach. Zaraz w pobliżu poprzednich dzieł zwracają uwagę dwa bardzo dobre okazy tego rodzaju: p. *V. Glehn*, portret kobiecy o zaletach bardzo osobistych, malowany solidnie i z charakterem, oraz pełna wdzięku w kompozycyi, wybornym rysunku, tonie jasnym, malowaniu lekkim grupa zbiorowego familijnego portretu p. *C. W. Lambert* (Anglik). Stylem angielskim, jak i poprzedni, pomimo charakteru bardzo indywidualnego, odznaczają się dzieła jednego z więcej utalentowanych obecnie portrecistów francuskich p. *J. E. Blanche*. Styl ten tembardziej się tu uwidocznia, że modele jego należą do rasy anglo-saskiej. Doskonałym jest zwłaszcza portret Sir Coleridge Kennard-Bart, oraz portret dzieci tegoż, wybornie rysowany, ale z charakterem, jak się zdaje, zaakcentowanym trochę przesadnie i nadto identycznie jednakowym w każdej główce. Dalej spotykamy, w tym roku szczególnie, portrety komponowane jako obrazy i naodwrot—obrazy, które są właściwie portretami. Do pierwszych należy obraz p. *R. X. Prinset*, pełna życia, prawdy i charakteru scena familijna: matka zdaje się łagodnie i oględnie przedstawiać córce „korzyści“ projektowanego

związku, który, sądząc z wybornie oddanego wyrazu niezdecydowania i znudzenia, nie przypada jej do smaku. Trzecia, siedząca opodal postać starego mężczyzny, z miną może zbyt obojętną, oczekuje zapewne na decyzję młodej osoby. Jestto jednym słowem doskonale malowana scena, ilustrująca życie zamożnej burżuazji francuskiej.

Inaczej przedstawia się życie w portrecie własnym p. *Bernarda Boutet de Monvel*. Tu oddycha ono szerzej i pełniej wśród otwartej przestrzeni jesiennych pól, gdzie swobodnie hula wichry, pędząc ciężkie, skłębione chmury i zrywając prawie kapelusz z głowy młodemu człowiekowi, który, przechyliwszy się lekko w charakterystycznym ruchu, przytrzymuje go ręką. Ubrany w angielski strój sportowy, stoi on na wzgórku, z harapem w rękę, mając u nogi dwa wspaniałe charty. Obraz ten, utrzymany w jednolitym tonie ciemno-brunatnym, wbrew dotychczasowej jaskrawo-modernistycznej manierze artysty, traktowany z niepospolitem zacięciem, ma w sobie coś z wielkiego zakroju portretów Van Dycka lub Velasqueza—nie w technice, zupełnie nowożytniej i osobistej, ani nawet w wyrazie i ruchu, zbyt żywym i przypadkowym,—ale w pojęciu kompozycji.

P. *Gaston La Touche* porzucił na chwilę swe lekkie liryczno-ironiczne, erotycznego wdzięku kompozycje, których zresztą bardzo ładne okazy oglądaliśmy tej wiosny na wystawie u Georges Petit, by dać, w formie również sceny żywej, portret rytownika Bracquemond i swój własny—duży obraz z figurami naturalnej wielkości, interesujący ze względu na swe zalety czysto malarzkie.

Za to obrazy p. *Raffaëlli* „Le Bûcheron“ i „L'Apprentie,“ w stylu od paru lat nieco odnowionym, tego artysty, którego sława datuje się od dość dawna, mają charakter osobisty portretów. Portret damy p. *Boldiniego*, jak zwykle, mocno przesadzony, choć o wiele prawdziwszy, niż ostatnie jego produkcje tego rodzaju, odznacza się jakąś wściekłością w ruchu i kokieteryą w wyrazie, które bądź co bądź dobrze odpowiadają sztuczności życia pięknych Paryżanek. P. *Aman Jean* daje bardzo ciekawe w swym oryginalnym charakterze portrety mężczyzny, oraz dzieci z psem, odnawiając trochę swą interesującą, ale zbyt jednostajną manierę. Dalej na uwagę szczególną zasługują tu jeszcze portrety pp.: *Brissaud*, *Shannan*, *Lavery*, *Stewart*, *Guiraud de Scevola*, *Giron* (portret rzeźbiarza Bartholomé), *Waog* (portret Anatola France), *Walton* i panny *Olgi Boznańskiej*, która, uwolniwszy się, przynaj-

mniej w dużej części, od zbytnej ekscentryczności swej manieri, pozwala lepiej ocenić przedziwne zalety swego talentu.

Portrety wielkich mistrzów patentowanych, pp. *Carolusa Duranda* (szambelan papieski) i *Dagnan-Bouveret'a* (portret damy), bardzo różne co do wartości i wykonania, wskazują u tych dwu dalekich od siebie artystów pojęcie sztuki jednakowo nie odpowiadające dzisiejszym wymaganiom.

U pierwszego, który był zawsze powierzchownym i sławę swą zawdzięcza minionej już oddawna modzie, może to nie zadziwiać, ale p. Dagnan-Bouveret dawał dzieła prawdziwe i dążył, jak się zdawało, do innych ideałów.

Do tak zwanych „*cloux*“ należą w tym salonie obrazy dwóch artystów, p.p. *Cottet* i *Simon*, których nazwiska, jako malarzy Bretonii, zawsze idą w parze. Pasują oni zresztą do siebie przez kontrast, jak koń kary z białym—porównanie, które w tym roku tembardziej znajduje usprawiedliwienie, że o ile pierwszy ściemnił ton swego obrazu, o tyle drugi go rozjaśnił. Pozatem chody ich są równe, t. j. odpowiadają sobie i talentem i pojęciem szerokiem sztuki malarskiej. Obraz p. Cottet nazywa się, jak zwykle, „*Au pays de la mer*,“ z dodatkiem „*Douleur*.“ Artysta chciał dać w swej kompozycji głębszy efekt tragiczny i udało mu się do pewnego stopnia go wydobyć w pięknej pierwszoplanowej grupie, pogrążonej w cieniach zapewne wieczoru (nie tłómaczy się to dostatecznie), przypominającej mocno swym charakterem t. zw. „*Pietę*“ obrazów mistrzów początkowego Odrodzenia lub ich bezpośrednich poprzedników—matka rozpaczająca nad wydobytym z morza półnagim trupem syna, w otoczeniu współczujących jej osób. Bretońskie stroje i zakwefione głowy kobiet, jednakowe dzisiaj, jak przed wiekami, nadają tej scenie uogólnione znaczenie tragedii ludzkiej. Spokojny nastrój bolesnej rezygnacji, którego żaden ruch gwałtowniejszy, żaden krzyk nie rozrywa, wywołuje rzeczywście silne wrażenie, do czego przyczynia się jeszcze swą żałobną monotonią tło, złożone z nieruchomego, ciemnego i jak gdyby stężalego morza, z ołowianego nieba i traktowanych z rozmyślną naiwnością, piętrzących się prawie bez perspektywy domków rybackich i łodzi ze sztywnymi, prostymi jak deski żaglami. Ale wszystkie te szczegóły dalszych planów są za ciężkie i za brutalne w stosunku do zupełnie subtelnie traktowanej sceny głównej, pogrążonej w cieniu, którą przygniatają, występując naprzód. To jednak nie przeszkadza, że obraz ten, ze względu na zasadnicze swoje zalety, jest dziełem mocno się wyróżniającem. Jakże inne wrażenie sprawia wyborny obraz p. *Simon* „*Cérémonie*

religieuse à Assise.“ Tu scena, przedstawiająca oficjantów przy ołtarzu, rozciąga się w pełni natężonego światła, płynącego z górnych okien renesansowego kościoła i sama w sobie niema żadnego znaczenia wewnętrznego. Jest ona ściśle realistyczną i stanowi właściwie pretekst do uzyskania harmonii różnych odcieni tonów, wynikających ze stosunku białych i lśniących atłasowych ze złotem haftami kap księży, na których grają tęcze refleksy, do otaczającej jasnej architektury, szkarłatnych aksamitów, starych złotych bronzów i t. p. akcesoryj. Czarna grupa chłopców, służących do Mszy, robi plamę trochę za ciemną w tej jasnej całości. Cała ta scena, pojęta jako efekt li tylko zewnętrzny, przy traktowaniu bardzo szerokim i syntetycznym, jest oddaną z wielkim charakterem.

P. *René Ménard* w stylizowanych klasycznych pejzażach, „Poestum“, „Via Appia“ i t. p., pomimo jednakowego charakteru swych obrazów, potrafi zawsze wywołać poważny i głęboki nastrój minionej wielkości, przy pomocy środków zarazem bardzo prostych i bardzo subtelnych. Jego studia różnych efektów, stosownie do pory dnia i pogody, przedstawiające szczyt Zermattu (Mont Cervin), widzieliśmy już poprzednio u Georges Petit. Są one bardzo ciekawe w pojęciu oryginalnem, ale w traktowaniu p. Ménard, a zwłaszcza w sposobie ujęcia w ramy, nie dają wrażenia olbrzymiości.

P. *Le Sidaner* powtarza również swą charakterystyczną manierę (drobne płatki mniej lub więcej czystych kolorów), z której dobył już dziwnie subtelne harmonie, zwłaszcza w pełnych czucia, zupełnie oryginalnie widzianych i pojętych widokach Wenecyi, w cudnych, jak marzenie, nastrojach ogrodów kwiatowych lub parków, o różnych porach dnia, wieczoru, o księżycu. Przy tej manierze, doprowadzonej do wysokiej doskonałości, wszelka ostrość form i barw lokalnych ginie, zachowując jednakże w zupełności zasadniczy swój charakter. Wszystko przedstawia się, jakoby przysłonięte lekką, przezroczystą mgłą świetlaną, skąpane w drgającej barwnej atmosferze. Tym razem natchnęły artystę widoki Londynu: „Saint-Paul“, „Trafalgar Square“, „Le Palais de Hampton-Court.“

Bardzo dobre w odczuciu charakteru i odpowiedniem traktowaniu są sceny bretońskie p. *Gumery* i *Boyer*. Kościoły, procesye, morze, oraz nastroje, jakie w uliczkach starych miasteczek, z ich kościołami, dzwonniami, staroświeckimi studniami, wywołują niezdecydowane pomiędzy mrokiem i jasnością chwile po zachodzie lub przed wschodem słońca w obrazkach p. *Le Gout-Gérard*,

wyrażają doskonale spokój i ciszę natury, o tych godzinach, w zapadłych kątkach prowincyi. Jedno tylko zarzucićby można p. Le Gout-Gérard, jak i większości jego kolegów, że od lat już stale powtarza ten sam rodzaj efektu i charakteru.

Od tych nastrojów spokojnych i poetycznych silnie odbijają malowane w gwałtownych kontrastach barwnych widoki prowansalskie, zwłaszcza scena rybacka na ultramarynowem morzu, p. *Montenard*, a także bardzo kolorowe, choć trochę spokojniejsze, sceny w plein-airze, oraz martwe natury—kwiaty i owoce, p. *Abel Truchet*.

Dalej na uwagę zasługują z powodu swych nader rozmaitych, doskonałych zalet pejzaże lub sceny pejzażowe pp.: *Iwill*, *Billotte*, *Cotteau*, *Clary*, *Meslé*, *Lebasque* (który daje nadto dwa bardzo oryginalnie traktowane studia dziewczynki), *Roger* (widoki Wenecyi), *Damay*, *Morisset*, *Moreau-Nélaton* i innych.

Specjalnie w malowaniu kwiatów celują: p. *Dumont*, pani *Delvolvé-Carrière*, stosująca mglistą manierę swego ojca, *Muenier*, *Raffaelli*, a szczególnie p. *Karbowskij*, który i w kompozycji swych obrazków i w lekkim sposobie malowania kwiatów, wazonów i drobnych akcesoryów daje bardzo wiele delikatnego artyzmu. P. *Lobre* doszedł do szczytu sztuki w swych wnętrzach kościołów, w mrocznych harmoniach o przeważającym tonie ciepło-zielonawym, w którym grają wzorzyste, malowane okna gotyckich katedr (La Verrière de Saint-Louis, dite „Rose de France,” Cathédrale de Chartres, Chapelles dans la Cathédrale de Chartres, Une Ogive), lub w jasnych—pełnej światła, bogatej w złoto i purpurę kaplicy Wersalskiego pałacu. P. *Zakarian* w swych martwych naturach naśladuje z wielką wirtuozyą obrazy Chardin'a, nie bez dodatku zalet osobistych.

Dwóch słynnych humorystów, sentymentalny p. Willette i trywialny p. Veber, wystawiło tu swe produkcye (pomimo specjalnego Salonu Humorystów). Pierwszy dał „Śmierć pierota” (czy coś w tym sensie), której towarzyszą, przy akompaniamencie fujarki małego satyra, szczególne harce piękności z Moulin-Rouge, mniej więcej nagich lub ubranych w części stroju, których się nie wymienia, w ruchach i pozach, stanowiących poszukiwany przez artystę zamiłowanego w skandalizowaniu publiki kontrast z powszechnem pojęciem powagi śmierci, choćby to nawet była śmierć pierota. Dziwna ta scena, traktowana dekoracyjnie, w tonie nadto kredowym, posiada wszakże właściwe panu Willette oryginalne zalety rysunku i koloru.

Utwór p. Vebera „La Guinguette,” zamówiony do bufetu ratusza, przechodzi w trywialności rozpasania i karykaturze sceny Teniersa, bez zasługi oryginalności tegoż. Rzecz tę trudno nazwać kompozycją, przedstawia bowiem na wielkiem płótnie mnóstwo nagromadzonych drobnych figurek w grupach, nie mających ze sobą żadnego związku. Ale każda taka grupa lub figurka wzięta oddzielnie ma swój ciekawy karykaturalny charakter. Nie jest to ani obraz, ani dekoracya, ale tylko szereg humorystycznych ilustracyj, zestawionych na jednym płótnie.

Do orientalistów, prócz p.p. *Dinet*, *Aublet* i *Girardat*, którzy do swych produkcji nie wprowadzili najmniejszej odmiany, przybywa w tym roku p. *Cauvy*, przynosząc nutę oryginalną w obrazie, nazwanym „Le Lendemain du Ramadan,” kompozycyi traktowanej dekoracyjnie, pozbawionej prawie perspektywy, zwłaszcza powietrznej, trochę przeładowanej ornamentacyjnymi szczegółami, których bogactwo barwne dobrze wyraża fantastyczny przepych Wschodu, widziany po przez cudowne bajki z „Tysiąca i jednej nocy!” Przy silnem natężeniu barw, całość układa się w harmonię wzorzystego dywanu. Obraz ten świadczy o doskonałem poczuciu koloru, należy do lepszych tegorocznych tworów sztuki malarskiej.

Również dekoracyjnie pojmuje kompozycję obrazu p. *Bunny* w charakterze, łączącym w sobie coś z przepychu Rubensa w układzie i akcesoryach (tylko pod tym względem) z nowożytnym stylem angielskim, tworząc całość, zarazem bardzo współczesną i posiadającą jakiś nieokreślony urok czegoś, co nas oddala od form życia obecnego. Są to zawsze piękne kobiety pół-obnażone, pół-strojne w suknie z bogatych materyj, w pozach niedbałych, oddające się wyrafinowanym szczegółom toaletowym przed lustrem o ramach stylowych, podtrzymywanem zwykle przez klęczącego Murzyna, lub bawiące się przeglądaniem i przymierzaniem świetnych klejnotów, drogich kamieni, sznurów pereł i koralu. Sceny te, rozciągające się na tle morza, które wnosi do nich nutę ożywczą zielonej przezroczystości, przy swym arystokratycznym egzotyzmie, są traktowane w sposób zupełnie nowoczesny, techniką bardzo sympatyczną, w tonach matowych, w rysunku szerokim, energicznym i jednocześnie subtelnie oddającym dystynkcyę ruchów, wdzięk kształtów i wytworną piękność rysów kobiecych. Taki też charakter przedstawiają tegoroczne obrazy p. *Bunny*, przynajmniej jeden, z różnicą tylko w ugrupowaniu figur i braku Murzyna, gdy drugi, traktowany zresztą tak samo, daje scenę w rodzaju więcej aktualnym.

Do powyższego artysty zbliża się nieco p. *Caro-Delville*, który swym kompozycjom dekoracyjnym („*Les paons blancs*“) na tle życia współczesnego umie nadać, pomimo nawet tak niemalowicznych strojów męskich, charakter niepowседневnej wytworności, przepychu i poezji, przez umiejętne ustosunkowanie tonów barwnych, nadające całej scenie odpowiedni wyraz ogólny, przez rytm harmonijny w układzie, ruchach i pozach figur, przez wykwiut strojów kobiet i ich piękności, przez bogactwo akcesoryów i otoczenia, albo ich wyszukaną rzadkość, jak to widzimy w scenie, w której, obok tego wszystkiego, obecność królewskiej majestaticzności białych pawi daje akcent szczególnie niezwykajny.

Jest to bardzo udatna próba nadania stylu dzisiejszym formom życia. P. Caro Delville wystawił prócz tego bardzo dobrą, doskonale odczutą w rysunku, w miękkiej modelacyi kształtów i równie wybornie malowaną nagość. Obraz ten nabyło muzeum w Filadelfii.

Wielkich płócien dekoracyjnych, których wartość jest rzadko proporcjonalną do rozmiarów, szczęściem znajdujemy w tym roku mniej, niż zwyczajnie, ale i tak jest ich jeszcze za wiele, zważywszy, że, prócz paru wyjątków, reszta bez straty dla sztuki mogłaby nie istnieć.

Pominąwszy takie słabe okazy, jak „*Le Paradis perdu*“ p. *Gustawa Courtois*, lub nie wiele więcej warte, ale zupełnie nie interesujące kompozycje p. *Wiktora Koos* („*La Forêt*“) i *Franciszka Auburtin* („*L'Aube des cignes*“), zatrzymamy się krótką, bardzo krótką chwilę przed obrazem p. *Alfreda Bella*, zatytułowanym „*Vers la Nature, pour l'Humanité*“, kompozycja symbolistyczna, innemi słowy—rodzaj rebusu, którego, nie będąc wtajemniczonym w myśl autora, odcyfrować niepodobna. Jest tu więc pośrodku grupa ludzi; idących wśród chmur w stronę, gdzie w głębi wznosi się rodzaj roztaczającego żółte blaski geniusza; są urwiste szczyty gór; jest w rogu trup mężczyzny, przy którym siedzi kobieta, a nade wszystko, bo tego najwięcej, dymy, dobywające się z doliny i chmury. Jest to więc kompozycja, nie tylko nie zrozumiała, ale i rozproszona; napróżno szuka się w niej głównego motywu. W tym rozwianym obrazie o tendencyach symbolistycznych z trudnością poznać można doskonałego malarza realistę, jakim jest p. Roll.

Bardzo komentowaną jest i wogóle chwaloną kompozycja p. *Maurycego Denis* p. t. „*L'Eternel Printemps*“, złożona z dwóch tryptyków i jednego dyptyku. Jest to szereg scen sielankowych, traktowanych z rozmyślną naiwnością i prostotą w rysunku i ko-

lorze, wzorowaną na prymitywach, kobiety i dzieci, pośród kwitnących drzew owocowych wiją wieńce, tańczą, kąpią się i t. d., wszystko to płaskie, bez perspektywy, malowane tonami, jakgdyby przyłożonemi, w ogólnym tonie kredowym, który, pomimo wdzięku i świeżości tej kompozycji, dość sztucznej, sprawia w końcu wrażenie trochę monotonne.

Wcale ładne też, a w wykonaniu szersze, są dwa niewielkie dekoracyjne obrazki p. *Lerolle'a* „*Douce journée*,” pejzaż, odgrywający w nich rolę główną, ma dużo wyrazu.

W Salonie Artystów Francuskich, w dziale dekoracji, zwracają uwagę przedewszystkiem prace p.p. *Henryka Martin*, *Jean-Paul Laurens'a* i *Edwarda Detaille*, oraz panny *Klementyny Dufan*. Obraz p. *Martin*, „*L'Etude*,” przeznaczony do Sorbonny, traktowany właściwą temu artyście techniką impresjonistyczną, przecinkową, odznacza się, co do kompozycji, tem najpierw, że dla wyrażenia swego tematu autor nie posługuje się alegorią lub symboliką, nie wprowadza figur nagich lub odzianych w pompacyjne togi, lecz stara się zawartą w nim myśl wyrazić w sposób najprostszy, mianowicie przez ukazanie plastyczne i bezpośrednie samej sceny w formie, w jakiej ją widzieć możemy dzisiaj własnymi oczyma. „*L'Etude*” więc, naukę, w znaczeniu uczyć się, studyować—przedstawił też p. *Martin*, w grupie głównej, jako wykład profesora, otoczonego uczniami, z tem tylko odstępstwem od rzeczywistości ścisłej, że scenę swą umieścił nie w murach uniwersytetu, lecz na otwartem powietrzu, w gaju oliwnym, w pobliżu morza, którego niebieską powierzchnię tu i owdzie dostrzedz można pomiędzy drzewami. Prócz trochę zużytego gestu profesora, pojęcie takie nauki wyraża się tu przez głębokie i poważne zastanowienie słuchających wykładu uczniów i paru figur od tej grupy odłączonych. Jedynym emblematem, na który pozwolił sobie p. *Martin* i który wydaje się tu, jakby nie na swoim miejscu, jest statuetka Ateny ustawiona na cienkiej kolumence, tak cienkiej, iż bierze obawa, by jej nie wyrzucił jeden ze słuchaczy, wsparty o nią całym ciężarem swego ciała. Chcąc wyrazić skupienie myśli, artysta przesadził trochę postawy swych figur, których spuszczone głowy dają nastrój nie tylko powagi, ale i jakiegoś smutku i zniechęcenia. Pozatem wartość tego obrazu polega przedewszystkiem na wielkiej i trudnej sztuce szarmonizowania bardzo dużej skali tonów barwnych, położonych na obszernej powierzchni grubą warstwą, lecz stosunkowo drobnymi pociągnięciami czystych kolorów. Całość musi być widziana z bardzo daleka, aby, utraciwszy wygląd pstrokaczny, dała właściwy i pożądany

efekt. I rzeczywiście, efekt tu jest bardzo silny, chociaż szerokość sali nie jest dostateczna, by go w zupełności ocenić: odczuwa się tu powietrze, które otacza i łączy bardzo syntetycznie traktowane sylwety postaci ludzkich w ich trochę zmodyfikowanych i uproszczonych, współczesnych strojach. Gorące płamy słońca, przedzierającego się po przez gęstwie szaro-zielonawych liści, dają prawdziwe złudzenie światła, nie zaś wypukłej masy farby, jak to często bywa, prócz chyba na ubraniach, którym tęczone refleksy odbierają trochę właściwy charakter materiału. Z tem wszystkim „L'Etude“ jest prawdziwem dziełem sztuki, jakich na tych wystawach znajdzie się nie wiele, ale nie stanowi najlepszej pracy p. Martin; dał on już w ostatnich latach obrazy, znacznie więcej przemawiające.

Jeżeli p. Martin ze swych kompozycji wyłącza prawie zupełnie wszelką alegorię i symbolikę, to za to czynniki te są elementem najwyraźniejszym w obrazie p. *Jean-Paul Laurens'a* — „La Musique,“ taki bowiem tytuł nosi ta kompozycja, którą właściwiej nazwaćby należało apoteozą Beethovena. Z obliczem Beethovena spotykamy się już po raz drugi, gdyż w obocznym salonie inny malarz, p. *Lévy-Dhürmer*, wystawił też coś w rodzaju fantastycznego portretu mistrza — głowę, pojętą wprawdzie dość szlachetnie w wyrazie, ale malowaną w jakimś dziwnym tonie złota-wo żółtym, z dobywającemi się z niej żółtymi także dymami, zamiast włosów. Kolor żółty odpowiada dźwiękowi fletu, instrumentu, równie niewystarczającego do oddania muzyki Beethovena, jak pomysł malarski p. Lévy-Dhürmera nie jest w stanie wyrazić, choćby w przybliżeniu, jego geniuszu. Niestety, nie udało się to lepiej, pomimo bardzo dużego nakładu pracy, umiejętności i talentu, p. J. P. Laurens'owi. Jego Beethoven przedstawia się, jako olbrzymi posąg z zielonego bronzu na wysokim piedestale, dominujący nad całością obrazu. Pominąwszy to, że taka interpretacja nie bezpośrednia, lecz wspomagająca się formami innej sztuki, traci na wyrazie, zauważyć trzeba przedewszystkiem, że postać genialnego muzyka, zwalona w fotelu, bo do takiego określenia zmusza niezmierna masywność i ciężar ruchu tej figury, jest wprawdzie olbrzymia, ale niema w sobie nic tytanicznego. Jestto poprostu ciężka, obezwładniona masa o kształtach ludzkich, narysowana w wadliwej fotograficznej perspektywie, o nogach występujących naprzód, za wielkich od kolan do stóp w stosunku do całości, pomimo nawet punktu widzenia z dołu, który tę nieestetyczną i przesadną deformację do pewnego stopnia tłómaczy, ale autora nie usprawiedliwia, bo mając przecież wolność wyboru, mógł

takich konsekwencyj uniknąć. Figura Beethovena, pojęta w ten sposób, jest jedynie podobizną jego właściwości fizycznych, i to w dodatku z przesadą w kierunku monstualnym, bez najmniejszego ukazania tego, co jedynie ma znaczenie — wyrazu jego ducha. Cyklopowy ten pomnik otaczają z jednej strony niezliczone widma, których związku z muzyką trudno się dopatrzeć, wznoszące się jakoby słupem, przybierając kształty i barwy coraz bardziej nikłe, przechodząc stopniowo w przezroczysty ton, niebieskawy, aż do bezkolorowości w górze płótna, gdzie jakieś olbrzymie ręce zdają się je przyjmować. U stóp pomnika, orkiestra, złożona z mnóstwa drobnych figurek, siedzących w równoległych szeregach, wykonywa pod batutą dyrektora symfonie, której interpretacya, sądząc po zmarszczonej i pół-uśpionej twarzy brązowego mistrza, nie musi go zadawałniać. Ten ostatni szczegół, dziwnie banalnie realistyczny, nie zupełnie zgadza się z romantyczno-dramatycznym charakterem tej kompozycji, w której artysta chciał widocznie, przy pomocy środków malarskich, wyrazić elementy dwóch innych sztuk — rzeźby i muzyki — ambicya, przechodząca siły nie tylko p. Laurens'a, ale i znacznie od niego większych. Co do koloru, to przeważa tu zielony brąz posagu na niebieskawem, niknącem, jakby zmytem, tle, gdy w dole obrazu panuje ton czerwony.

Obraz p. *Détaille* — „Chant du Départ,“ ujęty bez żadnej potrzeby w formę tryptyku, przedstawia z pewnych względów niejako analogię z powyższem dziełem p. J. P. Laurens'a. Jak tamto, przy podobnej nikłości koloru, ma on charakter szczególnie ciężki, który nadają mu najpierw toczone na pierwszym planie armaty, a następnie poprzedzające szeregi, niezmiernie ciężki, pomimo swych skrzydeł, biały wierzchowiec. Siedzący na nim geniusz z wzniesionym trójkolorowym sztandarem intonuje pieśń rewolucyjną. Wtórzy mu entuzjastyczny chór żołnierzy, którzy w zbitej masie, gnani dzikim zapałem tłumionych dotąd energij, postępują za nim żywiołową falą. Taką przynajmniej wydaje się być intencya artysty. Chciał on dać zapewne w swej kompozycji o pretensjach epickich ekwiwalent malarski słynnej grupy Rude'a z Łuku tryumfalnego, zamiast czego, zrobił w rezultacie olbrzymią ilustrację.

O ile pierwszoplanowe, wymierzone wprost na widza, naturalnej wielkości armaty, oraz kolosalny pegaz geniusza wojny, czy rewolucyi, robią wrażenie ciężkie, o tyle lekkim, stosunkowo za lekkim, jest charakter figur w ich rysunku liniyjnym i słabej modelacyi, malowanych nie kolorowo, w ogólnym tonie

przezroczystym, szaro-niebieskim, nad którym dominuje, jako nuta najwyższa, wielka, biała, masywna sylweta skrzydlatego konia. Zalet tego obrazu szukać należy głównie w wybornym, ale zbyt szczegółowym, nawet na dalszych planach, rysunku pojedynczych figur, ale są to właśnie zalety ilustracyjne, sprzeciwiające się zasadniczym warunkom wielkiej dekoracji.

Sensację sprawiły wystawione w tym salonie ostatnie produkcje panny *Klementyny Dufan*; pierwszy to raz bowiem w historii sztuki kobieta zdobywa się na dekoracyjną kompozycję tej miary i powagi. Panna Dufan stoi, obok panny Delasalle, na czele nowej kohorty malarek, współzawodniczących z mężczyznami, nie poza na ekscentryczność, lecz poważnem pojęciem i traktowaniem sztuki, pracą sumienną i rzeczywistym talentem. Obie w swej karierze artystycznej dały już dzieła wyraźnie charakteryzujące ich indywidualność i doszły do zaszczytów, dostępnych bądź co bądź, z nielicznymi wyjątkami, tylko prawdziwie zasłużonym sztuce. I jedna i druga mają swe prace w muzeum Luksemburskiem. Skłonności panny Delasalle są więcej realistyczne, formy odczuwa ona bezpośrednio i celuje w oddaniu żywego charakteru, jak tego dowodzi jej doskonały portret Benjamina-Constanta, szkoda też, że w ostatnich swych pracach dała się uwieść jakimś tendencyom modernistycznym, nie odpowiadającym rodzajowi jej zdolności. Panna Dufan ma swój styl specjalny, który daje się poznać w oryginalnym, właściwym jej i bardzo subtelnym kolorycie pochodzenia impresjonistycznego, nieco pokrewnym rodzajowi Besnarda, w poszukiwaniu wdzięku w kształtach i ruchach nagości, niewieściej, lub piękna w wyrazie siły energicznych form męskich; bogactwa barw, branych z przyrody; poezji w tematach idyllicznych i fantazyjnym interpretowaniu mitologii.

Najlepszą próbką jej talentu, przedstawiającą wszystkie wyżej wymienione cechy i przymioty, jest obraz „L'Automne,“ znajdujący się w muzeum Luksemburskiem.

Wszystkie prace tej artystki dowodzą jej niepospolitych zdolności dekoracyjnych i taki też wogóle mają charakter; ale do użytkowania takowych dotąd brakowało jej odpowiedniego pola. Sposobność ku temu dało jej dopiero zamówienie dla Sorbonny obecnych w tegorocznym Salonie Artystów Francuskich dwóch nader interesujących obrazów.

Rezultat, uzyskany w tych pracach, zarazem przechodzi oczekiwanie i sprawia zawód — jednocześnie zadziwia siłą koncepcji, na którą potrafiła się zdobyć artystka w dziedzinie czystej abstrakcji, nie odpowiadającej jej skłonnościom i temperamentowi,

i każe żałować nieobecności przymiotów, jej właściwych, t. j. wdzięku i koloru. I jedno i drugie nie jest tu wprawdzie wyłączone zupełnie, ale wyraża się mniej silnie, znajduje się jakoby na dalszych planach. Ale bo też i tematy, powierzone pannie Dufan, nie są bynajmniej łatwe do wyrażenia, zwłaszcza pierwszy—*„Radioactivité—Magnetisme,”* gdzie wypada usymbolizować już nie tylko pojęcie abstrakcyjne, jak w temacie drugiego obrazu (*„Astronomie—Mathématique“*), ale czynność, zwykle niedostrzegalną, sił przyrody, dotąd nawet niedokładnie zbadanych, ani określonych. To też trudności te są widoczne w kompozycji, wypracowanej uciążliwie, której, by ją jako tako zrozumieć, dodano komentarz o brzmieniu imponującym w swej naukowej zagadkowości: *„Toutes les forces radiantes unissent pour l'éternelle activité la matière pondérable et l'impondérable.”* Zobaczmy teraz, jak to wygląda w obrazie panny Dufan. Jest więc tu najpierw pejzaż geologiczny, z jakiejś niewiadomej planety: skały, góry, potoki, coś w rodzaju nieznanej na naszej biednej ziemi roślinności napowietrznej, nie mającej ani pni, ani gałęzi, ani liści, podobnej do wiszących warkoczowatych smug o barwach tęczy — w ten sposób zresztą p. Dufan wyraża zwykle masy drzew. W tym dziwnym gaju dwie nagie postacie, męska i niewieścia na koniach, jadące obok siebie, obejmują się i całują. Ten szczegół jest również wyjęty z dawniejszych kompozycji artystki. Ale główna akcja odbywa się w chmurach, z których wyłaniające się kolosalne postacie kobiety i mężczyzny łączą się w pocałunku. Oto i wszystko. Jak widzimy, czynność sił radialnych sprowadza się tu do wyrazu erotycznego, jakim jest pocałunek mężczyzny z kobietą; mniejsza o to, czy to odpowiada pojęciu, które ma symbolizować,—dyskusja na tym punkcie byłaby próżną,—ale niewątpliwym błędem kompozycji jest dwukrotne powtórzenie tego samego motywu. Motyw główny, wyrażający symbol, nie może się powtarzać, bez utraty swego znaczenia—powinien być rezultatem pojedynczych elementów kompozycji i pozostawać do nich w takim stosunku, jak skutek do przyczyny. Tutaj, symbol tkwi całkowicie w postaciach chmurnych, których olbrzymiość i tajemniczość odpowiada zagadkowej potędze sił przyrody, drobne więc figurki w dole, powtarzające gest tytanów, są co najmniej niepotrzebne. W rezultacie, całość tego obrazu, traktowana w wielkich liniach i szerokich planach, prócz tej roślinności o wyższem napięciu barwnem, w kolorze trzeźwa, a nawet mało kolorowa, jest, bądź co bądź, dziełem sztuki poważnem i zupełnie niezwykłym.

Druga kompozycja — „Astronomie—Mathématiques“ — „L'Échange égal des forces opposées créant l'équilibre et le rythme infinis“ — jest pojęta naiwniej i więcej bezpośrednio. Siły przeciwne wyraziła tu artystka przez dwie nagie figury, mężczyzny i kobiety, które, zbliżywszy nogi i trzymając się za wyprostowane ręce, kręcą się w kółko, czyli, w języku dziecinnym — tańczą „drobną kaszkę“, podczas, gdy stojąca w pobliżu kobieta dobywa rytm, uderzając w metalowy trójkąt — emblemat nauk matematycznych. W wodzie odbijają się gwiazdy, wyglądające, jakgdyby je kredą zrobiono na czarnej tablicy, gdy zresztą ton obrazu, bardzo jasny, bynajmniej nocy nie wyraża. Obraz ten, mniej panteistyczny od poprzedniego, jest za to więcej ożywiony wskutek zaludniających go postaci ludzkich. Figury te, uogólnione, ale niemniej narysowane z odczuciem form i ruchów bardzo subtelnem, robią jednak wrażenie ciężkie z powodu rozmiarów zawielkich w stosunku do całości i kształtów, zwłaszcza mężczyzny, zbyt masywnych. Ton żółty tej postaci, a także ton ogólny obrazu, jednostajnie jasny i kredowy, nie podnoszą jego efektu. Zresztą, w obu tych kompozycjach znać wpływy bardzo bliskie, Besnarda.

Do obrazów dekoracyjnych, pomimo swych rozmiarów stosunkowo drobnych, należy kompozycja p. *Csok* — „Nirvāna“, w swoim rodzaju bardzo ciekawa, pełna wyrazu i wdzięku w układzie i kolorze. Na spokojnych falach morskich spoczywa brązowa figura Buddy, którego aureolę stanowi złoty krąg zachodzącego słońca. Wkoło, grupują się w różnych pozach wybornie rysowane ciała nagich kobiet, leżących w bezwładnym pół-uśpieniu pośród obłoków. Całość, wyrażająca niewypowiedzianą błogość wiecznego unicestwienia, ma w sobie coś z nieziemskiego marzenia niebytu, będącego jednocześnie wszechbytem. Co szczególniejsze, wrażenie to wydobywa artysta środkami bardzo prostymi, czysto malarskimi, bez uciekania się do abstrakcyjnych symbolów, przy pomocy, owszem, form zupełnie konkretnych i świetnej gry barw czystych, pięknie szarmonizowanych w zestawieniach zgodnych lub kontrastowych. Cudny jest efekt zachodu, z jego odbiciem w wodzie, wraz z figurą Buddy, jedynym, użytym tu, symbolicznym emblematem.

O dwóch olbrzymich plafonach p. *Rafaela Collin* powiedzieć można tylko, że są najzupełniej banalne, brzydkie i pozbawione wartości artystycznej: — dwie np. niezmiernej długości, nagie figury kobiece, płaskie i obrysowane drutowym konturem, zawieszane w niepojęty sposób w jakiejś różowej przestrzeni, mają tyle podobieństwa do żywych kształtów ciała, ile ręką-

wiczka, jeszcze nie używana, przypomina formę ręki. A przecież p. Collin jest mistrzem, który, prócz wielu dzieł wartościowych, szczególnie właśnie nagości kobiecych, subtelnie odczutyh („Floreal”—muzeum Luksemburskie), stworzył dużo pięknych i poetycznych kompozycji dekoracyjnych.

O portrecie mieliśmy już sposobność mówić powyżej. Towarzystwo Artystów Francuskich wyróżniło ten dział w tym roku, przez odznaczenie medalem honorowym p. *Marcelego Baschet* za portret Henryka Rocheforta, sumiennie wystudyowany, z wyrazem i charakterem, ale bez głębszego odczucia istoty wewnętrznej. Jestto dobra podobizna, malowana w tonie trochę jednostajnym, żółtym—dzieło nieosobiste, godne szacunku, ale nie budzące entuzjazmu. Portret kobiecy p. *Ernesta Laurent* zwraca więcej uwagę piękną harmonią barw, wśród których przeważa niebieski kolor sukni, i żywą ich wibracją w powietrzu, otrzymaną przy pomocy maniery, w rodzaju Le Sidanera, malowania drobnymi płatkami kolorów, bez zatracenia przytem wysokich zalet bardzo solidnego rysunku i wyrazu osobistego portretowanej osoby. Nie można tego samego powiedzieć o p. *Henryku Martin*, który tą samą manierą, co swój wielki obraz „L'Etude,” wymalował portret kobiecy i zrobił rzecz ciężką, brutalną, pozbawioną wdzięku i wyrazu w rysach zbyt uproszczonych, w kolorze surową i nieprzyjemną. W Salonie Artystów Francuskich spotykamy dalej nazwiska wszystkich prawie mistrzów portretu, starszych i młodszych—p.p.: *Hebert*, który stara się odnowić swą technikę w dwóch portretowych główkach dziewczęcych; *L. Bonnata*, *Gabryela Ferrier*, *Ferdynanda Humbert*, *Cormona Bardes*, *Williama Laparra*, *Etcheverry*, *Bergès*, *Avy*, *Gran*, *Dupuy*—oraz cudzoziemców, z których wielu bardzo utalentowanych—*Cartera*, *Harris-Brown'a*, *Seymour-Thomasa*, *Hopkinsa*, *Wentwortha*, *Laszlo* (portret księżnej Ludwiki Battenberskiej, bardzo ciekawy w charakterze i kolorze), *Ivanovitz'a*, *Janowskiego*, *Hulewicza*, *Tadeusza Styki* i t. d.

Wśród obrazów rodzajowych, anegdotycznych i t. p. zasługują na uwagę: p. *Prat-Loÿs*—„Bucolique,” fantazya na tle mitologicznem, odznaczająca się wdziękiem układu i świeżością koloru, zresztą — powtórzenie zeszłorocznej „Idylli.” Powtarzającym się stale motywem jest także „La Plage” p. *R. du Gardier*—młoda kobieta w stroju kąpielowym na wybrzeżu, gdzie na dalszych planach widać kąpiące się w morzu figurki ludzkie. Dobrze oddaną jest tu gra słońca na twarzy kobiety. Ruch fal, świeżość morskiego powiewu i pałający ton letniego popołudnia odczuwa się bardzo silnie. P. *Jerzego Lefèvre*—„Gentilhommeière Normande”

dobrze wyraża melancholię opuszczenia w tym starym dworze, porośłym mchem, nad zatęchłą wodą kanałów, na ponurem tle jesiennego nieba. P. *Paul-Albert Laurens* wystawił ładny obrazek „Pierrot jaloux” i świeżą w wyrazie i kolorze, ale zbyt szczegółowo i delikatnie traktowaną kompozycję dekoracyjną „Le Printemps.” P. *Maxence* stylizuje zawsze w ten sam sposób fantazyjne główki, o niegłębokim symbolizmie. P. *Mac-Cameron* w ciekawym światłocieniowym efekcie daje charakterystyczne w swym dramatycznym realizmie typy pijaków. „Le Retour des permissionnaires” pana *Lartreau* przedstawia wnętrze przedziału III klasy z typami żołnierzy w efekcie sztucznego światła latarni wagonu. P. *Jamais* ukazuje widziany z dołu, ciągnący przez most kondukt pogrzebowy — impresya szczególna i niespodziewana, traktowana szeroką techniką, bardzo kolorowa. „Courtisanes d’Alexandrie,” p. *Rochigrosse’a*, są rodzajem jaskrawej ilustracji do słynnej „Aphrodite” Piotra Louÿs. Panna *Rondenay* („Atelier Humbert”) daje wnętrze szkoły malarskiej kobiecej, z szeregiem typów-portretów malarek, z profesorem i nagą modelką w akademickiej pozie — rzecz dobrze skomponowana, pojęta i malowana realistycznie. „Pologne” p. *Planzeau* dowodzi, że pomimo niskiego utylitaryzmu czasów dzisiejszych, iskierka sympatii dla słusznej sprawy uciśnionego narodu nie wygasła zupełnie. P. *G. Rivière* daje piękną harmonię wnętrza gotyckiego kościoła w tonie ciepło-zielonym. P.p. *Henryk Zo* i *Etcheverry* dają typy hiszpańskie, pierwszy młode kobiety w powozie („Arrivée à la Piazza”), drugi grupę chłopów, przybyłych na targ z drobiem i kosztami jaj. Stroje kobiet z zawiazanymi na głowie czerwonymi chustami w turecki deseń, w barwnych kaftanach i spódnicach, łudzaco przypominają nasze typy wiejskie. P.p. *Despartes* i *Eschbach* dają realistycznie malowane wnętrza i typy, pierwszy — rybaków holenderskich, drugi — Niemców przy kuflach piwa. P. *Adlera* typy ludowe, malowane z charakterem, ale z przesadną brutalnością techn., mają w sobie coś z podkładu socjalistycznego. Wyborne są typy żołnierzy i górali szkockich p. *Orange*.

Nagość, sama dla siebie, tak dawniej licznie uprawiana, wyszła z mody. W tym roku prawie jej niema — nie mówiąc o banalnych i przestarzałych produkcyach w rodzaju p.p. *Commère*, *J. Lefèvre* i ich naśladowców, da się zaledwie zauważyć, prócz wspomnianego już obrazu p. Caro-Delvaille, prace p.p. *Sala* — efekt refleksów świetlnych na nagim ciele kobiety, zbyt jednakowych na bieliźnie i jedwabiu kołdry — i *Berton*, w Salonie Towarzystwa Narodowego, oraz pp. *Bergès* („Conchita” — zanadto przerysowana,

przeładowana akcesoryami, w kolorze szara — replika „Olympii“ Maneta, o ileż zmanierowana w porównaniu do prostoty tamtej!), i *Planzeau* — w kompozycji „Pologne“, której motywem głównym jest miękko modelowana i bardzo dobra w kolorze, pomimo swego charakteru nieco akademickiego, nagość przywiązanej do słupa kobiety. Z pośród obrazów batalistycznych, lub treści historycznej i t. p., przeważnie konwencyonalnych, wyróżniają się najpierw jednakowe w charakterze heraldycznie stylizowane obrazy Anglików, p.p. *Craig* — „La Pucelle“ — szalony atak rycerstwa francuskiego po przez nastroszone ostrokoły z Dziewicą Orleańską na czele — i *Abbey* — sceny z Shakespeare'a: „Les filles du roi Lear“ i „Gloicester et Lady Anne;“ — następnie p. *Gauthiercau* „La Marche des Lansquenets“ — imponująca siła, traktowana z szerokim charakterem potężna w swym ruchu ciężkim grupa średniowiecznych żołnierzy, z dominującym nad kompozycją chorążym na karym rumaku, wysoko dzierżącym dumny symbol władzy — żółty o czarnym, dwugłowym orle sztandar cesarski. Obraz ten ma w sobie coś z odnowionego charakteru Matejki. W porównaniu z powyższym, blado wychodzi wielka, ale konwencyonalnie pojęta i wykonana, kompozycja p. *Maksyma Faivre* — „Mort de Madame de Lamballe“ — wstrętna scena z mordów rewolucyi, przedstawiająca tłum, naigrawający się nad nagim trupem kobiety. Charakteru tragicznej ohydy takiego tematu nie potrafił oddać artysta inaczej, jak za pośrednictwem pozy i gestów teatralnych.

Z kompozycji religijnych, mamy do zanotowania trzy tylko obrazy: p. *Aublet* (Salon Tow. Nar.) — „Chrystus w grobie“ — dzieło nie pozbawione pewnego sentymentu; p. *Sabatté* — olbrzymia figura Chrystusa na krzyżu — sucha i twarda, jakby wyciosana z drzewa, bez wyrazu, bez koloru, bez emocyi. Natomiast w niewielkim obrazie p. *Castaing* znajdujemy do artyzmu posuniętą sztukę naśladownictwa starych mistrzów.

Dzieło to przedstawia się w formie tryptyku, pośrodku którego Matka Boska podtrzymuje siedzącą bezwładnie, martwą figurę Chrystusa — grupa ślicznie narysowana w stylu archaicznym. Na dwóch bokach znajdują się dwie postacie aniołów, w czarnych szatach — jeden trzyma chustę Św. Weroniki z wizerunkiem Boskiego Oblicza, drugi — koronę cierniową. Obraz ten, utrzymany w tonie ciemnym, jakoby wnętrza katedry, na którego tle figury ukazują się w bladym żółto-zielonawym świetle, jest dziełem zupełnie niepospolitem, aczkolwiek powstałem z zapożyczonego naśladownictwa; subtelna bowiem umiejętność w ustylizowaniu rysunku, piękne szarmonizowanie barw i tonów, z których wydziela się

sentyment niepowszedni, są to bądź co bądź zalety osobiste artysty, które uwydatnił, obierając dla wyrażenia swej koncepcji obrazu religijnego, styl, odpowiadający ich naturze.

Za pośrednictwem nastrojów pejzażowych starają się, każdy na swój sposób, dramatyzować życie Bretanii pp. *Henryk Royer*, *Désiré-Lucas* i *E. de Palézieux*. Pierwszy wyraża w niewielkim tryptyku (forma w tym roku bardzo używana) tęsknotę kobiet, wyczekujących na wybrzeżu powrotu ojców, mężów i synów z odległych i niebezpiecznych, trwających całe miesiące wypraw rybackich; — drugi, („Le Pardon de Saint-Calo“), w tłumach pobożnie klęczących na trawie, przed kościołem, gdzie przy zjeździe na odpust, zabrakło dla nich miejsca, charakteryzuje głębokość uczuć religijnych tego ludu, wiarę, która wzmacnia i łączy i pozwala, pomimo trosk i biedy, odczuwać radość bytu, napawać się widokiem pól i pastwisk, ciągnących się poniżej w jasnym słońcu wiosennem, aż do lazurowego, lśniącego milionem srebrnych iskier morza; — trzeci wreszcie daje tragiczną grozę zguby rozbitków w rozszalałym żywiole morskim, którym, z brzegu w niemożności dania im innego ratunku, ksiądz, przy wzniesionym w górę krzyżu, posyła ostatnią absolucję, gdy obok garstka kobiet w czarnych habitach, jak spłoszone ptactwo przypadłszy twarzą do ziemi, zanosi błagalne modły.

W obrazie p. Royer, gdzie figury grają rolę główną, wyraz jest stosunkowo najsłabszy, w następnych, w których nastroj pejzażu jest wszystkiem, a ludzie, traktowani syntetycznie, w wielkich sylwetach i masach, tylko częstką natury, wyraz ten zyskuje na mocy, a w ostatnim dochodzi do prawdziwej siły tragizmu. W pejzażu, traktowanym dla niego samego lub w połączeniu z drobnymi scenami, prócz starych mistrzów, uprawiających wiecznie ten sam motyw, doprowadzony przez nich do perfekcyi, jak pp. *Pointelin*, *Harpigny*, *Didier-Ponget* i t. p., zauważyliśmy w tym salonie obrazy pp.: *Foreau*, *Saubès*, *Perrier*, *de Marliave*, *Robiquet* („Colline Poutiloff“ — pobojuwisko z wojny rosyjsko-japońskiej) *Quignon* („Messidor,“ doskonałe łany pszenicy w południe lipcowego dnia) *Bertram*, *A. Girard* (bardzo dobry efekt deszczu przy słońcu — konie na pastwisku), *księdza van Hollebecke*, *Stanton*, *A. Dubois* (nastroj letniego wieczora o wschodzie księżyca, traktowany w wielkich stosunkach — bardzo udatny efekt harmonijny), *P. Chabas* („Sur la rivière“ — silny efekt słońca, pod zachód, na twarzach i figurach wiosłujących dziewczynek — wdziek), *Cotard Dupré*, *Simmonet*, *Timmermans*—i różne efekty morskie pp. *Bellanger-Adhémar*, *Trigoulet*, *Toussaint* i innych.

W dziale ilustracyi na szczególną uwagę zasługuje zbiór 64 rysunków p. *Eugeniusza Burnand*—„*Les Paraboles*,” które zdobić będą specyalne wydawnictwo Ewangelii. Są to pięknie wykonane, drobne kompozycye ołówkowe, bardzo dobrze i z czuciem rysowane, pojęte może nadto realistycznie i dosłownie—sceny z życia, według przypowieści, w których jednak nic nas nie objaśnia, prócz cytāt z Ewangelistōw, że są to przenośnie wypowiedziane przez Boskiego Nauczyciela i stosujące się do życia duchowego. Jest to może wymagać zbyt wiele od ilustratora, by oddał, co jest nieuchwytnem, ale jeśli to przechodzi jego siły, to niech lepiej ilustruje co innego, niż Ewangelie.

Ciekawe również i dobre w rysunku i kompozycyi są ilustracye do *Mizantropa*, przez pp. *Florian* i *Jeanniot* — rysunki, drzeworyty i akwaforty.

Prócz tego dział ilustracyi w obu salonach zawiera wielkie mnóstwo prac tego rodzaju godnych uwagi — oryginałów, kopij i reprodukcij, o których już tu mówić niepodobna.

*

*

*

Jeżeli w malarstwie znajdujemy tyle konwencyj, banalności, naśladownictwa, zasklepienia się w ciasnej rutynie akademickiej lub własnej, niegdyś oryginalnej formułce, jednym słowem tyle braku pojęcia istoty sztuki, to cóż dopiero powiedzieć o rzeźbie, dla której to wszystko stało się jakoby prawem obowiązującym. Bo też choroba, która wycieńcza tę gałąź sztuki, datuje nie od dzisiaj, ale od czasów już odległych, gdy, wyzwoliwszy się od łączności z architekturą, rozpoczęła być samoistny, by przekonać się niebawem, że tem samem utraciła rację istnienia. W istocie bowiem, jakie zastosowanie pozostało dla rzeźby, gdy przestała być monumentalną? Obraz, byle nie był za wielki, może zdobić pierwszy lepszy pokój, ale co zrobić z posągami z kamienia lub bronzu, którego tak łatwo pomieścić nie można?

Po za pomnikiem, gdzie rzeźba zachowała jeszcze coś ze swego monumentalnego charakteru, nie ma ona już innego przeznaczenia, jak tylko zapełniać muzea. Z drugiej strony, odkąd przestano budować katedry, architektura, rozszerzwszy zakres swej działalności i stosując się do wymagań ekonomii, wyrzekła

się też swego charakteru artystycznego, przestała być sztuką i stała się przemysłem.

Wobec tego, dwie drogi pozostały rzeźbiarzom do wyboru— zredukować swą sztukę do statuetki i oddać ją, narówni z architekturą, na usługi przemysłu, lub dać za wygraną. Oczywiście, większość wybrała pierwszy sposób wyjścia i tu znajdujemy wytłómaczenie, dla czego przeważna część tworców tej sztuki, które widzimy w salonach, ma, prócz nieuniknionej konwencji w formach i ruchach i wynikającego stąd braku wyrazu życia, jeszcze wszelkie cechy powiększonej statuetki. Rzeźbiarz, pracujący wyłącznie w tym zakresie, zmuszony liczyć się z bardzo podrzędnym wogóle gustem nabywców, posiadający skądinąd zapas pojęć rutynicznych, wyniesionych ze szkoły, mimowolnie stosuje nabytą w takich warunkach umiejętność i urobione w kierunku specjalnym zdolności do stworzenia, jak mu się zdaje, dzieła sztuki czystej, które wykonywa umyślnie dla salonu, w celu przedewszystkiem zaznaczenia swego charakteru artysty i, jeśli praca jego nie jest z góry zamówioną— z pewną mniej lub więcej uzasadnioną, względnie do swych stosunków w świecie oficjalnym, nadzieją, iż zostanie zakupionem czy to do muzeum, czy dla ustawienia w jakimś ogrodzie lub skwerze i przyniesie swemu twórcy pożądane odznaczenie w formie medalu albo adresu.

Rzecz zrozumiała, że jak wszędzie, tak i tutaj, od tej reguły ogólnej są wyjątki, ale te są nieliczne, a wśród nich najpierwszym jest naturalnie *August Rodin*. Ten z niczyją opinią liczyć się nie potrzebuje, bo sam ją tworzy—może on śmiało powiedzieć za przykładem władcy niegdyś tego kraju: „sztuka rzeźbiarska—to ja!“ Bo tylko wychodząc z tej zasady i mając tak nieograniczoną władzę w dziedzinie tej sztuki, można sobie pozwolić bezkarnie na ukazywanie publiczności produkcji takich, jakimi są ostatnie jego prace, a zwłaszcza te, które widzimy w tegorocznym Salonie Tow. Narodowego. P. Rodin od pewnego czasu nie robi, a przynajmniej nie wystawia nic innego, prócz ułamków figur ludzkich, w dziwny sposób poobracanych. W zeszłym roku jego „L'Homme qui marche“ była to figura bez głowy i bez rąk, ale posiadająca za to tors doskonały i wybornie wyrażające ruch chodu nogi. W ostatnich pracach, zwłaszcza w nazwanej „Triton et Néréide“ posuwa on swą manię znacznie dalej, dając początek dwóch figur, naszkicowanych w wielkich formach i tak ze sobą połączonych, przy braku górnych i dolnych kończyn, że trzeba sobie zadać pracę, nim się rozróżni, co ta masa gipsu przedstawia. Wtedy jednak się zauważy, że kawałkami brakujących czę-

ści kierunki ruchów są tak wskazane, iż całość grupy można sobie wyobrazić, ale jest to bądź co bądź zagadka. Widocznym jest tu tylko wyraz namiętności w ruchach obu ciał i we wciśnięciu w plecy Nereidy warg Trytona, oraz niezwykle odczucie form w ogólnie tylko zaznaczonych kształtach. Prócz tej szczególnej grupy, wystawił p. Rodin jeszcze dwie figury—„Mużę“ bez rąk, która postawiła nogę niemożliwie wysoko, wykręciwszy ją przytem bardzo dziwnie i „Orfeusza,“ klęczącego i, w ekstatycznym ruchu, szarpiaącego struny swej liry. Obie te figury, traktowane również w wielkich liniach i masach, ale wyraźniejsze od poprzednich, mają na swem ciele, prócz naleciałości, niby przypadkowych, jakieś dodatki nadprogramowe, np. ręka przyklepiona na plecach Orfeusza i t. p. Jak tu sądzić podobne prace? Jeżeli mają to być studia częściowe, to zbytby było odlewać je w gipsie i posyłać na wystawę—w tem stadyum, w kącie pracowni byłyby na swoim miejscu, gdy tutaj, choć znać w nich rękę mistrza, robią wrażenie dziwaczne.

Po zanotowaniu ciekawej w charakterze głowy Ingres'a przez p. *Bourdelle*, przejdziemy do obok położonej wielkiej halli Salonu Artystów Francuskich, głównego zbiornika rzeźby, gdzie uderzają najpierw wielkie rozmiarami, ale nie natchnieniem, ani talentem autora, pomniki, oraz figury alegoryczne i t. p. o charakterze, który wskazywaliśmy powyżej. Wszelako, pośród tak poważnej liczby produkcji rozmaitych, znaleźć się muszą i tutaj dzieła interesujące. Do tych ostatnich zaliczyć wypada dwa pomniki p. *Jana Boucher*—Wiktora Hugo stojącego na skale, z rozwianym płaszczem—rzecz dobra w charakterze figury, ale pojęta anegdotycznie, bez wyrazu genialności, który należałoby dać poecie—oraz pomnik Ludwika Trarieux (medal honorowy), w którym figury, otaczające obelisk, zwłaszcza kobieta z dziewczynką, niosącą kwiaty, są traktowane z wielkim sentymentem.

Bardzo żywą jest grupa chłopów, otaczających pomnik Edwarda Barbey przez p. *F. Sicard*. Następnie wyróżnia się też prawdziwą siłą w traktowaniu syntetycznem, ale doskonale skończonem, olbrzymi akt męski, siedzący na wielkich płytach kamiennych, z wyrazem skoncentrowanego skupienia myśli—dzieło p. *Landowskiego*, zatytułowane „Architecture,“ jedno z najlepszych na tej wystawie w swym masywnym charakterze potęgi w spożynku.

W podobnym rodzaju traktował p. *H. Bouchard* swego „Oracza“ z brązu—praca znamionująca talent niezwyčajny i głębsze pojęcie sztuki.—Odwrotnym charakterem odznacza się grupa

z bronzu p. *Ségoffin* „Le Génie et le Temps,” w której wdzięk układu i piękna modelacya figur zastępują siłę.

Bardzo ładną i pełną młodocianego wdzięku jest kompozycya p. *H. Couthillas* „Le Baiser à la source”—nagi chłopiec leży na płaskim głazie, z pod którego wypływająca woda źródła przybiera kształt dziewczyny—oba akciki są wykonane z doskonałym odczuciem młodzieńczych form i linii.

W pomniku Juliusza Verne przez p. *Alberta Roze* ładną jest grupa z marmuru dzieci czytających.—P. *Roberta Champigny* dobry w wykonaniu, choć w pomysle nie nowy, jest wodotrysk z bronzu—nagi chłopiec, zatykając usta wielkiej masce, rozpryskuje płynącą z nich wodę. W pomniku Jacquarda przez p. *M. Roussel* zasługują na uwagę marmurowe figury kobiece, przy cokole.—P.p. *Ward* i *Fry* dają bardzo interesujące posągi, pierwszy—wodza murzyńskiego, drugi—wodza Indyan.

P. *Gardet*, wyborny rzeźbiarz zwierząt, wystawił dwie olbrzymie grupy jeleni, niepotrzebnie powiększonych, bo przecież jeleni jest już i tak dość dużym zwierzęciem, aby było trzeba przedstawiać go w wielkości więcej, niż naturalnej. Za to p. Perrault-Harry daje zupełnie prawdziwe, kapitalne w wyrazie życia i ruchu, zajadle naszczekujące psy gończe.

Wśród portretów odznaczają się: portret w całej postaci z marmuru Alberta I, księcia Monaco, przez p. *Puech*, biust marmurowy prezydenta Fallières, przez p. *Carlès*—Saint-Saëns'a, przez p. *Marqueste*, oraz w salonie obocznym, portret p. Moreau-Nélaton (ojca), przez p. Lenoir i przez p. Bartholomé—portret jego żony.

Prócz wymienionych, znajdzie się w obu salonach niejedna praca wartościowa, sądzymy jednak, że taki wybór z pośród dzieł najwybitniejszych będzie tutaj wystarczającym.

KONRAD OSTROWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Dzieje Akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej. Ze źródeł urzędowych i wspomnień jej wychowawców zebrane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego przy współudziale kolegów akademickich, mianowicie: ks. Teofila Matuszewskiego, ks. Antoniego Chmielewskiego. Warszawa, 1907. 4-o, str. 253, LV, II.

Do niedawna była niezmiernie ubogą literatura o wyższych zakładach naukowych w Polsce. Jubileusz Uniwersytetu krakowskiego przyczynił się do wzrostu opracowań jego dziejów; zasłużone wydawnictwo „*Fontes et Commentationes*” przysporzyło obszerne dzieła o akademiach: wileńskiej, zamojskiej, kijowskiej, połockiej, Szkole Głównej warszawskiej; w monografiach do dziejów nowożytnych zjawiała się historia pierwszej Politechniki w Warszawie. Czekają jeszcze na opracowanie: Liceum krzemienieckie, Akademia wileńska (1832—1842), Instytut marymoncki i kilka innych. Brakowało dotychczas obrazu i Akademii duchownej warszawskiej, która obecnie zyskuje wyżej wymienioną książkę.

Doskonałą stroną tego dzieła jest zgromadzenie licznych wspomnień wychowawców tej instytucji; zwłaszcza notatki biskupa Kulińskiego znakomicie oświetlają żywot Akademii i ludzi w niej działających. Cenne są równie wspominki o życiu akademickiem, spisane przez Fudalewskiego, Brykczyńskiego, oraz autorów tej pracy; ożywiają one wielce całość opowiadania.

Po wstępie, w którym autor stylem notatkowym rozpatruje charakter szkół duchownych na zachodzie, znajdujemy pobieżne wiadomości o seminariach polskich, a następnie warszawskich. Opisuje dalej szczegółowo założenie Akademii (1836 r.), uroczystą jej inaugurację, gmachy, w których mieściła się owa uczelnia. Zgrozą przejmują fatalne hygieniczne warunki, wśród jakich tam bytowała młodzież duchowna w ciągu 28 lat (str. 23—24), nim nie

przeniesiono zakładu do innych zabudowań, ale, niestety, tylko na dwa lata, bo w 1867 r. zamknięto tę pożyteczną instytucję. Po rozpatrzeniu kierunku duchowo-religijnego, porządku codziennego, ubiorów, ćwiczeń, nadzoru wśród alumnów, przychodzimy do najważniejszych rozdziałów, traktujących o stanie nauki. Podnieść tu należy zarzut, iż o ile charakterystyki jednych profesorów opracowane są wyczerpująco, o tyle o innych przytoczono jeno suche wzmianki. Chcielibyśmy np. wiedzieć o metodzie, sposobie, zakresie i pożyteczności wykładów Wacława Maciejowskiego, wykładającego długi czas łacinę, a nie czytać dobrze już znane tytuły prac jego, nic wspólnego z Akademią nie mających (154). Poskąpiono wiadomości o prof. Kurhanowiczu (nieprawidłowo tu figuruje jako Kurchanowicz, 152), zdolnym i zasłużonym filologu i gramatyku polskim. Nie wyczerpująco o katedrze homiletyki z kursem wyższej literatury polskiej i jej historii i niezbędnem było danie programatu i szczegółowe omówienie, jak stał wykład piśmiennictwa krajowego; ważne to i ze względu specjalnego i ogólniejszego znaczenia tej kwestyi. Nic niema o tem, że jeden z profesorów tej umiejętności, Józef Kalasanty Mętlewicz, produkował się na niwie literatury pięknej, a powieść jego „Brat i siostra“ (drukowana w „Bibliotece Warszawskiej“) na współczesnych robiła takie wrażenie, że się zapłakiwali przy jej czytaniu (ob. *Wilkońska P.* „Moje wspomnienia“, wyd. 3, t. II, 62, tamże autor mógłby znaleźć ciekawe wzmianki o ks. Leonie Topolskim, zajmującym katedrę prawa kanonicznego w Akademii). Trochę więcej należało poświęcić miejsca bibliotece, z króciutkiej notatki (26) widnieje, że posiadała cenne księgi, a nawet unikaty.

Bardzo ciekawe są życiorysy rektorów Akademii, Ossolińskiego (69—74) i Butkiewicza (74—78), mające znaczenie i dla dziejów kościoła w epoce porozbiorowej. Niesłuchanie trzeba być wdzięcznym autorowi, a raczej autorom, za obfitość szczegółów anegdotycznych, z których niejeden pysznie ilustruje postacie przeszłości. Wice-rektor Szydoczyński odznaczał się wyłącznie serwilizmem, a kapłańskie zadania traktował byle zbyć. Gdy alumni pytali starego sługę Wincentego, czy ks. Szydoczyński odprawił już mszę, starzec odpowiadał: „Tak, już dmuchnął na ołtarz“ (97). Najgorszego gatunku ludzi narzucano na zwierzchników instytucji, która miała wychowywać pasterzy dla całej archidiecezyi. Dopiero ze wstąpieniem na urząd rektora ks. Popiela 1862 r. (teraźniejszego arcybiskupa), a potem Kossowskiego, rozpoczął się odmienny kierunek, ale era ta była bardzo krótkotrwała.

Szkoda, że pominięto stosunek Akademii do nowopowstałej Szkoły Głównej; ciekawym jest programowy artykuł pod tym względem: „Projekt Szkoły Głównej i Akademia duchowna“ („Pamiętnik religijno-moralny,“ 1862, IX, 175—186); zasługiwał on na wyzyskanie. Szwankuje porównanie Akademii duchownej warszawskiej z wileńską (19—20); brak tu wskazania, że w ostatniej mogli być i byli wolni słuchacze świeccy, tymczasem w pierwszej hospiscanci nie istnieli. Różnica to dużego znaczenia, gdyż, wobec braku uniwersytetu, młodzież mogła się kształcić i Akademia wileńska pomogła niejednemu do zdobycia wiedzy (o tym jej okresie pięknie pisze *Korotyński*, „Kłosa,“ 1881, № 833).

Bardzo dodatnio wypadł dział o wychowawcach Akademii; przewijają się tu liczne postacie dostojników kościelnych, kaznodziei, historyków, pisarzy etc. Natrafiamy tu na dobrze ułożone życiorysy i autobiografie znanych w piśmiennictwie braci Chodyńskich, Antoniego Chmielowskiego (brata Piotra), Rocha Filochowskiego i w. in. Nieustannie czytamy w żywotach tych o prześladowaniu, wydalaniu i różnych udrękach, którym podlegało duchowieństwo katolickie po 1863 r. Notaty bibliograficzne o pracach są pożyteczne, ale często brak tu niezbędnej ścisłości: „Pruszkowski napisał kilka dzieł historycznych wielkiej wartości,“ ale jakie, gdzie i kiedy drukowane—nie wiemy (239 i w. in.). Opuszczeń dużo, nawet w metodycznie opracowanych życiorysach, jak Filochowskiego, gdzie pominięty ciekawy jego przyczynek do hist. kościoła: „Dwaj biskupi“ (Borowski i Wnorowski), Warszawa, 1884.

Wydana książka pięknie, zdobna mnogimi portretami, ładna okładka mieści odbicia dawnych gmachów i bereł. Całość przepełniona gorącą miłością autorów do swej alma mater, o której wiedzieliśmy dotąd bardzo mało. Wprawdzie znać niekiedy niewykończenia, atoli trzeba mieć wdzięczność dla autora i jego współpracowników, bo do historii oświaty i kościoła przybywa przydatna monografia.

LUDWIK JANOWSKI.

HENRYK MOŚCICKI. *Wilno i Warszawa, w „Dziadach“ Mickiewicza*. Tło historyczne trzeciej części „Dziadów“, z 23 rycinami. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1908. 8-o, str. 203. — SIE-ROSZEWSKI WACŁAW. *Ol-Soni-Kisań*. Powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1907. 8-o, str. 247. — RACZYŃSKA MARYA. *Tancerka z Xois*. Kraków, nakład G. Gebethnera i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1907. 8-o, str. 108.

Przed kilku laty prof. Askenazy rzucił historykom literatury w „Kwartalniku Historycznym“ wezwanie: zamiast badać rozliczne „wpływy“ literackie, drobne reminiscencye np. u Mickiewicza z Byrona lub Torkwata Tassa, u Słowackiego z Ariosta lub Chateaubrianda, zajmijcie się rzeczą nierównie ważniejszą i istotniejszą: sprawdzajcie, o ile utwory literackie, jak np. „Kordyan“ lub „Pan Tadeusz“ przedstawiają wiernie swoją epokę i postacie historyczne w nich odtworzone, słowem, *badajcie tło dziejowe utworów literatury*.

Apel ten słusznie zwrócił uwagę na zapomnianą dziedzinę studyów, tem więcej, że badacze piśmiennictwa, zwłaszcza niektórzy, nadto się zacierzowali w wyszukiwaniu hypotetycznych nieraz wpływów literackich. Ale radę prof. Askenazego nie we wszystkich wypadkach, oczywiście, stosować można. Jeżeli mamy do czynienia z realistycznymi obrazami przeszłości, jak np. „Pan Tadeusz“, „Irydion“, „Horsztyński“, w mniejszym już stopniu „Grażyna“, „Konrad Wallenrod“, w jeszcze mniejszym „Kordyan“ lub „Beniowski“, badania takie są niewątpliwie pożądane i pożyteczne. Ale cóż robić z takimi płodami czystej fantazyi, jak „Balladyna“, „Lilla Weneda“, „Król-Duch“ i wiele, wiele innych utworów, których anachronizmy gotowe „przerazić śpiących w grobie historyków i kronikarzy?“ Poezya często posiłkuje się historią, na jej fundamentach wznosi swe posępne tyny lub rozkoszne „wille nad morzem“, wille-marzenia; ale też nierzadko obchodzi się bez niej w zupełności.

Do liczby arcydzieł, w których, wyrażając się stylem Odrodzenia, Kalliope nie wzięła rozbratu z Klio, należy niewątpliwie III-a część „Dziadów.“ „Dziady“ więc przedewszystkiem powinny były uleść owej gruntownej rewizyi, do której wzywał przysłych badaczy prof. Askenazy.

Do apelu stanął młody, utalentowany i już, mimo krótkich lat pracy naukowej, zasłużony historyk, p. Henryk Mościcki. I jakież rezultaty jego badań? Nie będziemy rozwodzili się nad nimi, omawiana tu bowiem jego praca znana jest czytelnikom „Bi-

blioteki Warszawskiej.“ Zwrócimy więc tylko uwagę na rzeczy w niej najważniejsze. A przede wszystkim powtórzymy skwapliwie za p. Mościckim, iż „jedną z wybitnych cech trzeciej części „Dziadów,” nadających temu utworowi wartość dokumentu z dziejów martyrologii narodowej, jest jego nawskroś wierne tło historyczne;“ i dalej: „cały aparat dziejowy, spożytkowany w trzeciej części „Dziadów,” znajduje potwierdzenie przy skrzętnej analizie historycznej.“

A waga i doniosłość tego utworu?

„Trzecia część „Dziadów“ jest dla nas dzisiaj i po wszystkie będzie czasy wierną a niezapomnianą księgą narodowej martyrologii, bolesną skargą, z kochającego i cierpiącego wydartą serca, wreszcie wielką, natchnioną pieśnią, streszczającą w sobie wszystkie łyzy, bóle i pragnienia — narodowej sprawy męczenników.“

Tyle słów ogólnej charakterystyki.

A szczegóły?

P. Mościcki czynił bardzo skrzętne i pracowite studia zanim przystąpił do ostatecznego opracowania swego przedmiotu. Zebrał nie tylko wszelkie źródła historyczne (pamiętniki, listy, dokumenty, urzędowa korespondencja Nowosilcowa i W. Ks. Konstantego i t. p.), ale i korzystał z rękopiśmiennych, zgoła nieznanych, jak np. pamiętniki Tomasza Zana, anonimowe pamiętniki Pustelnika, a przede wszystkim zaglądał do drogiego skarbcza, jak się zdawało, na zawsze straconego, do Archiwum Towarzystwa Filaretów. Odnalazło się ono niedawno, oby zostało jaknajprędzej ogłoszone drukiem! Wedle rozpowszechnionej do niedawna tradycji, spalone przez sekretarza Filaretów, Onufrego Pietraszkiewicza, w samej rzeczy przechowywało się w jego rodzinie.

P. Mościcki, badacz sumienny, wyzyskał wszystko, co się dało wyzyskać, dał w swoim studium, o ile się zdaje, najpełniejszy obraz stosunku poczętych w imaginacji poety obrazów i postaci do rzeczywistych wypadków i figur historycznych. Może kiedyś odnajdą się jeszcze pewne nowe szczegóły, ale ogólny wizerunek pozostanie nietknięty.

Nie ta część pracy p. Mościckiego, która mówi o Filomatach i Filaretach, jest dla nas najciekawsza: musi tu bowiem autor z konieczności powtarzać znane nam już w znacznej mierze skądinąd szczegóły. Dwa inne natomiast działy sumiennej pracy p. Mościckiego są dla nas najcenniejsze, a mianowicie: charakterystyka prześladowców młodzieży wileńskiej, oraz martyrologia uczniów szkół okręgu wileńskiego.

Tutaj zwrócić musimy uwagę na to, co nie jest już obce naszym czytelnikom, mianowicie: że p. Mościcki, prócz wiedzy i ścisłości historyka, posiada też i talent pisarski niepośledni. A że przytem nie jest pedantem i rozumie potrzebę nadawania swemu wykładowi pięknej formy literackiej (dążenie to nie jest zresztą u naszych historyków nowe, od czasów Szajnochy), pracę jego czyta się nietylko z pożytkiem, ale i z prawdziwą przyjemnością.

Stąd też pochodzi, że skreślone przez niego wizerunki, to nie usypany bezładnie, bez myśli syntetycznej stos szczegółów, wydobytych ze źródeł historycznych, ale żywe, plastyczne portrety; to nie archiwum procesu Filaretów, ale ludzie, jakby zmartwychwstali z foliałów aktów, raportów, not tajnych i t. p. Co prawda sam przedmiot jest niezmiernie ponętny, podniecający wyobraźnię ponad poziom zimnej analizy dziejopisarskiej; co prawda i źródła same, owe raporty i noty, ach! jakże w swej stylizacji biurokratycznej (tradycje Tajnych kancelaryj) wymowne; ale talent odtwórcy najwięcej tu znaczy, i bez niego sylwetki Mikołaja Nowosilcowa, Aleksandra Michajłowicza Rimskawo-Korsakowa, gubernatora wojennego wileńskiego, Hieronima Botwinki, wileńskiego generalnego, Piotra Szłykowa, policmajstra, Wincetego Ławrynowicza, radcy gubernialnego, Piotra Hryhoryewicza Horna, gubernatora cywilnego i innych *minorum gentium* „zasłużonych,” a dalej występujących w „Dziadach:” „Doktora,” Augusta Ludwika Becu, profesora wileńskiego uniwersytetu, doktora Wacława Pelikana, późniejszego, z ramienia Nowosilcowa, rektora uniwersytetu, wreszcie Leona Bajkowa, sylwetki te, powtarzamy, bez talentu odtwórcy mogły być tylko bezdusznymi manekinami.

Dzieje cierpień młodzieży, a raczej dziatwy wileńskiej nawiązują się do dwóch epizodów „Dziadów:” opowiadania Sobolewskiego o wywożeniu kibitek i wstrząsającej sceny w „Salonie wileńskim” ze ślepą matką Rollisonową. Oba te obrazy znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w studium p. Mościckiego. Pierwszy — to poetyczne odtworzenie ostatecznego wyniku śledztwa i procesu stowarzyszenia „Braci Czarnych,” wśród uczniów szkoły kroskiej, pod kierunkiem Jana Witkiewicza i Cyprjana Janczewskiego założonego. Drugi — to żywy i wierny obraz prześladowań młodzieży kiejdańskiej, wśród której powstał rzekomy zamiar zamachu na W. Księcia Konstantego; na czele tego sprzyśiężenia stał syn rektora tamtejszej szkoły, Jan Molleson, którego matka, Felicjanna (w „Dziadach” Rollisonowa), napróżno błagała o litość dla swego 18-letniego jedynaka.

I znów p. Mościcki, z właściwą sobie plastyką, dał szereg portretów tych wygnańców, patryotów, których losy niezwykle, najczęściej tragiczne, nie tylko zająć, ale i wzruszyć potrafią. Dodać należy, że znane naszym czytelnikom opowiadanie illustrował p. Mościcki w książce rzadkimi portretami rysunkowymi.

W zakończeniu nie możemy nie podnieść jednej jeszcze strony studium p. Mościckiego. Oto pracę jego przenika prawdziwe, gorące umiłowanie: i nieszczęsnej młodzieży wileńskiej, i sprawy samej, dla której oni cierpieli. Zresztą, inaczej i być nie mogło: historyk polski, piszący o takich sprawach, nie może pozostać obojętnym, chłodnym widzem. Bardziej powinien mieć się na baczności, by nie zejść z drogi dostojnego obiektywizmu. P. Mościcki posiadał ową *auream mediocritatem* pomiędzy bezstronnością historyka, a serdecznem ukochaniem przedmiotu.

Nie po raz pierwszy sięga Sieroszewski po tematy do Dalekiego Wschodu: w „Powieściach chińskich“ dawał ciekawe typy i sceny z życia chińskiego, często pełne cichego tragizmu (np. „Kulisi“, „Uang-ming-tse“), w „Korei“ kreślił barwne krajobrazy tej uroczej „Krainy Cichego Poranku“, o którą i może jeszcze toczyć będą krwawe boje potęgi Wschodu i Zachodu.

Te studia przygotowawcze przydały mu się znakomicie przy tworzeniu najnowszej powieści orientalistycznej, p. t. „Ol-Soni-Kisań.“

Utwór ten posiada wszystkie cechy dodatnie poprzednich utworów autora „Na kresach lasu.“

Przedewszystkiem—krajobrazy, przesiąknięte soczystemi, połyskliwemi barwami w świetle Wschodzącego Słońca, np.: „Zwycięska, rozwichrzona wiosna, drąc i zrzucając resztę szat zimowych, leciała nad ziemią. Śniegi pozostały jedynie na szczytach gór. Doliny zieleniały, oziminy w wielu miejscach już zwijały się w dutkę, pęki kwiatów—żółtych, czerwonych, fioletowych, białych—niby języki podziemnych ogní, tryskały z przydrożnej murawy. Ciemne gaje sosnowe połyskiwały młodą śnieżną pędów smolistych. Konary ogromnych kasztanów, opływające dymem różowego kwiecia, zionęły zapach słodki, mocny... Stalowe gałązki drobno-luszczyastych ilm obrastały błękitno-zielonym puchem. Błękitny blask, bijący od nieprzejrzaných pól ryżowych, rozświetlał

niebo, ziemię, powietrze i gaje... Wielkie, czerwonolistne klony gorzały wśród blado-zielonych lasów, jak ogromne ogniska..."

Na łonie tej przepysznej, przebogatej natury i ludzie powinni być szczęśliwi, żyć pełnią życia. Ale nie! bo, choć przyroda jest człowiekowi matką, drugi człowiek będzie mu zawsze—wilkim, nie bratem. Na Wschodzie mamy to samo zjawisko, co i na Zachodzie: panoszenie się, opływanie we wszystkie rozkosze życiowe jednych, ucisk i nędza drugich. Wyborne skreślenie stosunków społecznych i obyczajów na Korei, tak od naszych oddległych, a jednak tak blizkich, to druga zaleta powieści Sieroszewskiego.

Ale „Ol-Soni-Kisań“ stoi wyżej od poprzednich utworów Sieroszewskiego: daje nie tylko statyczny, ale i dynamiczny obraz układu społecznego na Dalekim Wschodzie. Daje nam obraz rewolucji socyalnej na Korei, dramat społeczny i dramat rodzinny, o wielkiej sile tragizmu, bez afektacji wszakże, nieznaney ludom rasy żółtej, które mają we krwi niejako równowagę ducha i rezynacyę.

Na czele związku, zamyślającego o poprawie doli ludu pracującego, staje młody, dzielny, energiczny reformator, Kim-non-czi; najbliższe cele tego związku, zwącego się poetycznie towarzystwem „Kwiatu Narzeczonej“, to—zniesienie niewolnictwa i rozdanie ziemi rolnikom, a potem—przyznanie jednakich praw i sądów dla wszystkich, zniesienie kupczenia urzędami, wprowadzanie szkół i t. d.

Nie tak łatwo jednak przyjdzie Kim-non-czi'emu wprowadzić w życie piękne marzenia o równości i swobodzie. Przeciwni mu stają, jak jeden mąż, cała kasta ludzi, którym zależy na zachowaniu istniejącego porządku rzeczy: „drapieżcy... właściciele ziemscy (szlachta), janbauowie, urzędnicy“, których „łapownictwo, wymagania, pobory zapełniły świat swym rozgłosem.“ A na ich czele —rodzony ojciec Kim-non-czi'ego, wysoki dygnitarz w Seulu, Kim-ok-kium. Zagrożeni utratą przywilejów, posiadacze przywołują na pomoc ciemne siły ludowe, organizują kontr-rewolucyę: fanatyczni sekciarze „ton-hak'owie“, nieoświeceni wieśniacy, dzicy „pu-sań'owie“ (przekupnie wędrowni) stają pod bronią. Zawiazuje się krótka walka. Kim-non-czi ulega, a stary jego ojciec, nowy Brutus à rebours, sam prowadzi śledztwo i patrzy, jak na placu publicznym w Seulu rozszarpują woły ciało jego jedynaka.

Na tle tych wypadków tragicznych uwypukla się cały szereg postaci, doskonale odtworzonych. Oprócz powyżej wymienionych, wyróżniają się tu urocza tancerka, Ol-Soni-Kisań, która da-

ła tytuł powieści, o dobrem, szlachetnem, kochającym sercu i pięknej, wytwornej powierzchowności. W zawierusze politycznej ginie ona, jak wszyscy przyjaciele Kim-non-czi'ego. Niezmiernie jest też plastyczny stary Chakki, niewolnik, który, obdarowany wolnością przez swego młodego pana, wpada w rozpacz, bo myśli, że ma być wypędzony.

P. Raczyńska nie po raz pierwszy wstępuje w szranki literackie; jest ona autorką zbioru nowel i opowiadań p. t. „Listy prababki“ oraz „Dzienniczka Hanusi Tynieckiej,“ powieści moralnej dla młodzieży o podniosłej tendencji.

Niniejszy zbiór utworów nowelistycznych rozpoczyna się od obrazku wstępnego p. t. „Odwieczna bajka,“ gdzie autorka przedstawia stworzenie kobiety, wedle indyjskiej legendy, przez „wszechwładnego Warunę i wygłasza w pięknej prozie poetyckiej swe poglądy na przeznaczenie kobiety na ziemi.

Dalsze utwory, przedstawiające rozliczne typy niewieście w różnych epokach i krajach: w Indyach, Egipcie, Grecyi starożytnej, Palestynie, we Włoszech z epoki Odrodzenia, są niejako ilustracyami do „Odwiecznej bajki.“ Do piękniejszych pod względem ideowym i artystycznym należą: „Tancerka z Xois,“ kochanka króla egipskiego, Ameromhata I-go z dwunastej dynastyi, ze swemi bezwiednemi dążeniami do prawdy, do swobód, tak strasznie, niestety! ukarana za to, że zapomniała, iż... jest niewolnicą; dalej „Królowa Saby,“ owa biblijna niewiasta, co przybyła do Salomona nie po miłość, lecz—po mądrość, bo zwątpiła o wszystkim, typ kobiety mocnego ducha i wspaniałego serca; wreszcie precudna „Gentil donna,“ dziewczę nieziemskiej krasy i niewinności anielskiej, pozujące nago Benvenuto Celliniemu dó posągu Afrodyty, by uchronić go od gniewu Aleksandra Medyceusza i dać powstać wielkiemu arcydziełu.

Nie jest jeszcze talent p. Raczyńskiej skryształizowany dostatecznie, jeszcze szuka swej drogi, ale ją znajdzie, bo nie kroczy utartym szlakiem gawędziarstwa, mdłego sentymentalizmu i sensacyi, tak częstym, niestety, u kobiet piszących.

HENRYK GALLE.

TEODOR WIERZBOWSKI prof. *Vade mecum*. Podręcznik do studyów archiwalnych dla historyków i prawników polskich. Warszawa 1908. 8-o, VIII, 188 (z zapomogi Kasy im. dr. Mianowskiego). — WIKTOR WITYG. *Wypisy heraldyczne z ksiąg poborowych województwa Podolskiego z lat 1563—1565*. Kraków MCMVIII. 8 o, str. 17, 2 (odbitka z „Herolda Polskiego“). — GEORG CLEINOW. *Die Zukunft Polens*. Leipzig, 1908. — ROMAN DMOWSKI. *Niemcy, Rosya i kwestya polska*. Lwów, 1908. — ALEKSANDER JABŁONOWSKI. *Źródła dziejowe*. T. XVII. Cz. I. Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. T. VI. Cz. I. Podlasie (województwo). Warszawa, 1908. 8-o, str. 8, 222, LII.

Z okrzykiem szczerej radości i z uczuciem wielkiej wdzięczności dla autora za podjęty mozolny trud, wita książkę niniejszą każdy pracownik na polu historyi i prawa w Polsce. W literaturze naszej nie mieliśmy dotąd tyle potrzebnego, powiedzmy, wprost niezbędnego podręcznika. Uciekać się trzeba było do wydawnictw niemieckich, włoskich lub francuskich, ale i te nie zawsze odpowiadały potrzebom. Najdokładniejszy podręcznik dla rozwiązywania dat H. Grotefenda, uwzględniający w ostatniem wydaniu najdrobniejsze szczegóły prowincjonalnych niemieckich kalendarzy, nie obejmował wcale i nie wyjaśniał świąt w Polsce obchodzonych, a przez to nie zawsze był dostatecznym przy studyach w archiwach naszych. „Vade mecum“ profesora Wierzbowskiego brakowi temu skutecznie zaradza. Znajdujemy tu tablice kalendarzowe, uzupełnione na podstawie studyów nad wszystkimi dotąd ogłoszonymi kalendarzami średniowiecznymi polskimi. Na każdej z tablic dano pierwszeństwo i uwidoczniło te święta, według których najczęściej datowano akta w Polsce, pozatem dwie tablice (pierwszą i ostatnią) ułożono całkowicie w języku polskim, a to dla unaocznienia terminów polskich, trudnych nieraz do określenia. Tak np. kłopotliwem dotąd było określenie takich dat, jak: w niedzielę starozapustną, w święto M. B. Śnieżnej, w niedzielę suchą, głuchą i t. p. Żaden zagraniczny podręcznik tych nomenklatur nie uwzględniał. Tablice kalendarzowe poprzedzone są alfabetycznie ułożonym spisem świętych, świąt, niedziel i dni uroczystych—a w dalszym ciągu znajdują się wykazy dat Wielkiej Nocy według starego i nowego kalendarza, tak zwane liczby złote, inducye, konkwenty, litery niedziel i epakty (według których jeszcze w XVI w. nieraz akta są datowane), a także tablice dla kalendarza rzymskiego i rewolucyjnego francuskiego.

W tym dziale kalendarzowym, tak ważnym dla studyów archiwalnych, dopatrujemy pewnego braku i to dość poważnego.

Podręcznik nie uwzględnia wcale dat rosyjskich i mahometańskich, które jednak często się przy studyach archiwalnych naszych napotyka. Z datami rosyjskimi łatwo się jeszcze uporać, należy tylko do liczby lat od Narodzenia Chrystusa dodać wiadomą cyfrę. Ale trudniejsza sprawa z latami ery mahometańskiej. Wobec stosowania się mahometan do biegu księżyca w określaniu lat, różnica z kalendarzem naszym nie jest stałą i ciągle się zmienia. Tu bez tablicy odpowiedniej wyrachowanie jest wprost niemożliwe. Trzeba mieć nadzieję, że w następnych wydaniach „Vade mecum“ braki te uzupełnione będą.

Oprócz działu kalendarzowego, stanowiącego główną część wydawnictwa, znajdujemy także wykazy chronologiczne bardzo pożyteczne, bo wszystkich dat spamiętać nie sposób. Są więc daty panowań: papieży, królów niemieckich i cesarów zachodniorzymskich, markgrafów północnych i brandeburskich, królów pruskich, książąt i królów czeskich, królów węgierskich, wielkich książąt kijowskich, moskiewskich, suzdalsko-włodzimierskich, carów moskiewskich, cesarów rosyjskich, sułtanów tureckich, chanów krymskich, wojewodów wołoskich, książąt pomorskich, mistrzów pruskich, krzyżackich, inflanckich, książąt pruskich i kurlandzkich, wielkich książąt litewskich, książąt i królów polskich. — Co do tego bardzo pożytecznego wykazu mała uwaga. Podani są zbyt ogólnie wojewodowie wołoscy, bez rozróżnienia wołoskich od multzańskich. A często nawet u dość poważnych historyków brak rozróżnienia Multan od Wołoszczyzny czyli Mołdawii. Jużto trudnem było wyliczenie wszystkich tak często zmieniających się panujących, ale przed paru laty ogłoszona praca profesora Jorgi podaje tyle dotąd oczekiwany wykaz tych wojewodów z wyróżnieniem obu stolic.

Po wykazach chronologicznych osób panujących, następuje porządek senatorów (z r. 1569) i spis ważniejszych wydawnictw, zawierających wykazy dygnitarzy i urzędników państwowych nadwornych i ziemskich. Wobec braku sumarycznego wykazu senatorów i wyższych urzędników Rzpltej, ten bibliograficzny wykaz ma wielkie znaczenie, ale szkoda, że pominięto tu niektóre wydawnictwa bardzo poważne, takiego np. Fedorowicza. W dalszym ciągu znajdujemy wyliczenie zjazdów generalnych i sejmów oraz synodów prowincjonalnych, spis województw z wykazaniem miejscowości, w których sejniki się odbywały, oraz listę biskupstw z podaniem dekanatów.

Na zakończenie: trochę paleografii, mianowicie wykaz najczęściej używanych w aktach naszych skrótów łacińskich i rus-

kich w układzie alfabetycznym, oraz pożyteczny bardzo słownik łacińsko-polski, obejmujący słowa mniej znane, specjalnie tylko w Polsce, albo w specjalnem u nas znaczeniu używane.

Cała książka, jak zaznaczyliśmy wyżej, ma wielkie znaczenie dla pracowników naukowych, wypełnia bardzo dotkliwą lukę w naszej literaturze, a w licznym szeregu sumiennych i wprost benedyktyńskich prac niestrudzonego badacza naszej przeszłości, jakim jest prof. Wierzbowski, poczesne zajmie miejsce. Od dziś nikt z pracowników historycznych bez tej małej książeczki się nie obejdzie i każdy wdzięczność dla autora zachowa.

Był w Polsce zwyczaj, że poborca podatkowy na dowód, ile zebrał pieniędzy, otrzymywał od ziemian kwity z ich podpisami i pieczęciami. Kwity te składał w archiwum skarbowem, gdzie one dotąd w znacznej części się przechowały i stanowią dzisiaj niezwykle ważny materiał do badań heraldycznych i ekonomicznych. Na źródło to zwrócił swego czasu uwagę świata uczonego jeden z najznakomitszych naszych heraldyków ś. p. Fr. Piekosiński. Broszura, o której mowa, zawiera spis rodzin szlacheckich na Podolu osiadłych w latach 1563—1565, sporządzony na podstawie tych właśnie zapisek podatkowych. Znajdujemy tu wyliczenie około 200 nazwisk szlachty podolskiej z podaniem ich herbu. Zapewne nie cały to jeszcze poczet szlachty polskiej na rubieżach podolskich w owym czasie osiadłej, ale szereg już pokaźny i dla heraldyków ciekawy. Mamy tu bowiem kilkadziesiąt nazwisk dotąd nienotowanych i kilkanaście odmian herbowych po raz pierwszy ogłoszonych. Co do sposobu jednak wydania tego spisu, mamy kilka uwag do zaznaczenia. Naprzód szkoda, że autor, studyjąc tak dokładnie każdą z tych zapisek, uwzględnił w swojej pracy tylko stronę heraldyczną. Każdy taki kwit podatkowy oprócz nazwiska i pieczęci ziemianina, ma jeszcze wyrażoną ilość opłaconego podatku i miejscowość za jaką podatek został wniesiony. Zanotowanie tych szczegółów miałoby znaczenie dla badań ekonomicznych, a przede wszystkim dla historii rosziedlenia szlachty polskiej na Podolu i studyów genealogiczno-heraldycznych. Bez tych wiadomości ze spisu powyższego niewiadomo, o którym z ziemian podolskich mowa, bo przy licznych ich już wówczas rozrodzeniu, nieraz tego samego nazwiska, kilka już ro-

dzin na Podolu „kwitnęło,” a zdarzały się fakty, że z tej samej rodziny dwóch i trzech było szlachciców tego samego imienia. Rozróżnić ich tylko można wtedy, gdy podany jest urząd, jaki dany personat piastował, lub wieś, na której siedział. Tego jednak w wykazie stały brak. Druga niedokładność dotyczy pisoni. Autor nie dał koniecznych w tym razie wyjaśnień. Nie wiemy, jak daleko posunął modernizację i w jakich wypadkach ją stosował. W każdym razie niema tu jednostajności, tak np. jest Dyakowski i Diakowski, Jaczymirski i Miczowski, ale Piasecki i Marcinkowska. Z tego powodu niejedna znowu wątpliwość się rodzi. A sprawdzić trudno, bo nigdzie autor dokładnych cytat nie podaje. Chcielibyśmy wierzyć autorowi na słowo, ale tu znowu zecer sprawił figla, i stąd znowu wątpliwości się rodzą—co krok nie wiadomo, co uważać za dawną formę, a co za omyłkę zecera. Autor starał się na figiel powyższy poradzić i dał długie aż w dwóch kolumnach erraty, ale nie wszystko poprawił. Tak np. pozostało Talfus na str. 9, a Talafus na 15. Nie wiadomo, która forma jest dawna, a którą zawdzięczamy dowolności drukarskiej.

Jest to pierwszy tom większego, na dwa tomy obliczonego, dzieła niemieckiego uczonego (?) o „Przyszłości Polski.” Zestawienie tych dwu pojęć do książki źle usposabia i jak z przejrzenia pierwszego tomu sądzić można—słusznie. Tom pierwszy omawia sprawy ekonomiczne Królestwa Polskiego, drugi poświęcony będzie rozpatrzeniu politycznych zagadnień, jakie nasuwają się uczonemu niemieckiemu, z racji łączności między Polakami z Poznańskiego, Królestwa i Galicyi, oraz z racji stosunku partyi polskich między sobą. Tom pierwszy rozpatruje dość szczegółowo (ale i nie bez luk, i nie zawsze dokładnie) ustrój wewnętrzny Królestwa pod względem administracyjnym, oraz organizację społeczne polskie. Ciekawe są zestawienia co do wytwórczości przemysłowej i rolnej, oraz uwagi o środkach komunikacyjnych wodnych i kolejowych. Książka informacyjna, pisana tendencyjnie nie na każdym więc miejscu ściśła, ma na celu zaznajomienie społeczeństwa niemieckiego z ustrojem wewnętrznym Królestwa, z którym społeczeństwo to coraz silniejszymi węzłami ekonomicznymi jest połączone. Odkładamy do czasu ukazania się tomu drugiego dokładniejsze omówienia tej książki.

Niema książki, któraby w sezonie obecnym większą zrobiła sensację. W sześciu krótko sformułowanych, ale pełnych treści rozdziałach (I. Obecny stan i ogólny charakter kwestyi polskiej, II. Położenie międzynarodowe od czasu utworzenia cesarstwa niemieckiego, III. Osłabienie Rosyi, kwestya polska i polityka Niemiec we wschodniej Europie, IV. Przyszłość Rosyi, V. Kwestya polska od upadku ostatniego powstania, VI. Przełom dziejowy w kwestyi polskiej), zestawia autor nie bez wielkiej zręczności politycznej, a przytem z wielką umiejętnością jasnego formułowania wszystkie najważniejsze sprawy, dotyczące wewnętrznej i zewnętrznej polityki polskiej ostatnich lat czterdziestu. Rzeczy prawie wszystko dobrze znane, bo tak niedawno przez nasze społeczeństwo przeżyte i odczute, ale zestawienie tego wszystkiego w jedną całość, przy umiejętnem operowaniu materiałem, sprawia, że książkę czyta się z wielkiem i nieustającym zajęciem. Wywoła ona zapewne liczne komentarze i dyskusye w różnych obozach, czem przyczyni się do jaśniejszego skryształizowania niejednego poruszonego w niej zagadnienia. Największą jednak korzyść, jaką książka ta odnieść może, to zaznajomienie obcych ze sprawą polską w ogólności, dlaczego życzyć należy, aby w przekładach na języki inne najszybciej się ukazała.

Tom ten pomnikowego (22 jak dotąd tomów) wydawnictwa, prowadzonego usiłowaniami dawniej dwu tylko ludzi: ś. p. prof. Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego, a od lat kilku trudem tylko tego ostatniego, przynosi nowy zasób materiałów, służących do wyjaśnienia stosunków ekonomicznych i społecznych Polski na przełomie w. XVI i XVII. Zawiera on materiały do Podlasia, ściślej biorąc do województwa Podlaskiego. Są tu opublikowane: Regestra poboru 1580 r. z powiatów: Drohickiego, Mielnickiego i Bielskiego; — Sumaryusz poboru ziemi Bielskiej 1591 r.; — Regestr poborowy dóbr szlacheckich ziemi Bielskiej; — Sumaryusz poboru z powiatu Bielskiego 1579 r.; — Regestr wybierania poboru w mieście Knyszyńskim; — Lustracye starostw ziemi Bielskiej 1558—77; — Dobra szlacheckie, wielka własność 1555—95; — Popis wojenny ziemian województwa Podlaskiego 1528 r.; — Regestr ziemi Drohickiej; — Regestr ziemian Mielnickich i ziemi Bielskiej. W końcu podany jest indeks miejscowości i osób. Większość ma-

teryarów w tym tomie pochodzi z Archiwum Skarbowego i Metryki Koron. Opracowanie, dotyczące Podlasia, jak zapowiada przedmowa, ukaże się w dwu tomach, stanowiących dalszy ciąg niniejszego. Praca ta w rozkładzie pierwiastkowym przypadająca w udziale prof. A. Pawińskiemu, po jego tyle przedwczesnej i nieodżałowanej śmierci, podjętą została przez nieustrzonego historyka Rusi, p. Al. Jabłonowskiego, który dział przez siebie objęty (ziem Ruskich Rzptej) ukończywszy, niniejszym tomem wkracza w zakres zamierzonych przez prof. Piekosińskiego prac. Życzyć należy, aby danem mu było równie szybko i owocnie ukończyć i tę część „Źródeł dziejowych.“

FR. PUŁASKI.

Kronika miesięczna.

Wyniki konferencji słowiańskiej w Pradze. — Nowy moment w stosunkach polsko-czeskich. — Muzeum w Rapperswylu. — Obszar gruntów w Królestwie Polskiem w r. 1906. — Okólnik p. kuratora warszawskiego Okręgu naukowego.

Konferencya w Pradze Czeskiej należy do przeszłości. Znamy już z dzienników jej przebieg, mamy w pamięci słowa, które tam padły przy kielichach z ust przedstawicieli wielkich i małych narodów słowiańskich, wiemy o kostymach sokolskich, w jakich występowali niektórzy reprezentanci neosławizmu z nad Newy, nie obce nam są także pewne zakulisowe momenty akcji, rozpoczęte przez d-ra Kramarza, czas więc rozejrzeć się w pozytywnych (o ile są takie) wynikach podróży naszych i innych delegatów nad Wełtawę i poszukać, czy na zielonej gałęzi miłości wszechsłowiańskiej nie ukazują się zawiązki przyszłych owoców.

Nie należeliśmy do tych, którzy mieli jakiegokolwiek dalej idące nadzieje i uważali konferencyę praską za ewenement polityczny głębszego i szerszego znaczenia. Przeciwnie — już przed dwoma miesiącami na odgłos pierwszej trąbki, sygnalizującej pochód neosławizmu, wypowiedzieliśmy się z rezerwą. To też — możemy to już stwierdzić — nie doznaliśmy zawodu. Nie rozbiły się żadne nasze marzenia, nie uległy porażce żadne nasze plany, nie zniweczyły się żadne nadzieje.

Bądź co bądź, konferencya praska przyniosła niezaprzeczony pożytek *moralny*, jeżeli tak powiedzieć można. Dała ona świadectwo dobrej woli ze strony tych, którzy wzięli w niej udział i starała się zaakcentować silnie i podkreślić niedwuznacznie, że ruch neosłowiański nie ma nic wspólnego z dawnym pansławizmem, będącym na usługach biurokracji rosyjskiej.

Starano się dać do zrozumienia, że koryto, które sobie żłobi nowy ruch, ma zupełnie samoistny kierunek i nie zmierza zupełnie ku owemu osławionemu „morzu rosyjskiemu,” do którego miały, zgodnie z marzeniem poetycznym Puszkina, spłynąć wszystkie strumienie słowiańskie, a o co obawialiśmy się najbardziej.

Na konferencji praskiej nie brzmiały już zupełnie nuty pokory i poddaństwa względem Rosyi. Trudno powiedzieć, co przyczyniło się do tego w większym stopniu, czy większa samodzielność narodów słowiańskich w myśleniu politycznym i większa wiara we własne siły kulturalne i w przyrodzone prawa swoje do bytu odrębnego, czy mniejsza potęga mocarstwowa Rosyi, zachwiana przez ostatnią wojnę na Dalekim Wschodzie i przez ciężki kryzys rewolucyjno-anarchistyczny. Tak, czy inaczej — ze wszystkich sprawozdań, jakie mieliśmy w rękach, można było wyczytać, że chcieli tam mówić tylko równi z równymi. To też w końcu delegacja rosyjska odczuła pewną nieufność, z jaką zwracano się do niej, starając się poznać istotne jej przekonania, i uznała za konieczne złożyć uroczystą deklarację, w której oświadczyła, że podziela zasady równouprawnienia i swobodnego rozwoju każdego z narodów słowiańskich.

Czy deklaracja ta była złożona z czystego serca i czy zawierała w sobie przekonania *wszystkich* — tego przesądzać nie wypada. Musimy jednak, stojąc na gruncie bezstronnej i przedmiotowej oceny faktów, wyrazić uznanie z tego powodu, że do deklaracji takiej doszło i że utrwalono ją czarno na białem ku światłu lat przyszłych.

Wobec tej deklaracji zasadniczej zmianie uleść powinien stosunek Rosyi do Polski.

Stosunek ten do niedawna nie był dobrze rozumiany nietylko przez pobratymcze nam narody słowiańskie, źle zazwyczaj poinformowane o istotnym stanie rzeczy i przyczynach słynnej, odwiecznej „niezgody polsko-rosyjskiej,” ale — nawet przez najlepsze warstwy społeczeństwa rosyjskiego, które kierowały się w polityce zasadami sprawiedliwości. Wyłom w poglądach tych warstw uczyniły dopiero lata przedrewolucyjne i rewolucyjne, a chociaż niewątpliwie daleko jeszcze do tego, aby sprawa polska w społeczeństwie rosyjskiem została zrozumiana i postawiona tak, jak tego nie już nasze życzenia, ale interes polityczny obu narodów w chwili nadmiernej i rosnącej z dnia na dzień ekspansyi niemieckiej wymaga, to jednak jest już inaczej, niż było.

Konferencya praska dała też dowód, iż i w pozostałej słowiańszczyźnie patrzają jaśniej na rolę Polski i na jej prawa do sa-

modzielnego rozwoju kulturalnego nietylko w zaborach pruskim i austriackim, ale i pod panowaniem rosyjskim, gdzie rozwój ten również był i jest tamowany.

Moment ten scharakteryzował najlepiej „Głos Warszawski“ w jednym z artykułów, poświęconych wynikom konferencji praskiej.

„Narody słowiańskie — czytamy tam między innymi — zrozumiały, że Polacy, jako przednia straż słowiańszczyzny w walce z zalewem niemieckim, bronią nietylko sprawy swojej, ale i sprawy całej słowiańszczyzny, że przeto niepodobna uważać za „słowiańską politykę takiej, która kępuje i osłabia żywioł polski.“

Wynikiem tego zrozumienia było nader lojalne zachowanie się wszystkich słowian wobec delegacji polskiej, która, złożona z przedstawicieli wszystkich trzech dzielnic, reprezentowała jeden niepodzielny naród.

Takie są „moralne“ zdobycze konferencji praskiej. Czy położą one raz na zawsze kres wszelkim nieporozumieniom i postawią kwestję polską wśród całej słowiańszczyzny, a co za tem idzie i w państwie rosyjskim, na jedynym, właściwym dla niej gruncie, o tem wyrokować byłoby przedwcześnie, jak przedwczesną rzeczą było opierać jakiekolwiek nadzieje na tak szybko za-improwowanej konferencji. Niezawodną jednak jest rzeczą, że ruch neosłowiański nie może obok tej kwestyi przejść w milczeniu. Przewodnicy jego muszą sobie dokładnie zdać z niej sprawę i wysunąć ją na czoło zagadnień świata słowiańskiego, gotującego się do wspólnej, może bezkrwawej, ale wielkiej i ostatecznej rozprawy z naporem fali germańskiej, grożącej już nietylko nam i Czechom, ale podmywającej zwolna przez wytrwałą długoletnią robotę zręby jedyne go dziś mocarstwa słowiańskiego — Rosyi.

*

*

*

Niedawna wycieczka przemysłowców i kupców polskich na wystawę do Pragi Czeskiej, przedsięwzięta samorzutnie i niezależnie od konferencji słowiańskiej, może się stać momentem zwrotnym w dziedzinie stosunków polsko-czeskich.

Stosunki te nigdy nie były złe, daleko im jednak było do szczerej i otwartej przyjaźni, mimo usiłowań kilku wybitnych je-

dnostek tak z jednej, jak i z drugiej strony. Na drodze do tej przyjaźni piętrzyły się bowiem rozmaite przeszkody.

Przedewszystkiem nie pozwoliły się obu narodom dobrze odczuwać, a poniekąd może i rozumieć pewne różnice kulturalne, wypływające z odmiennych warunków historycznych, a istniejące pomiędzy Polską, która miała i po dziś dzień ma jeszcze rodzimą kulturę szlachecką, a Czechami, gdzie szlachta uległa doszczętnej germanizacji, a lud po długich latach ucisku i niewoli niemieckiej dopiero stosunkowo niedawno zaczął się odradzać, wyrastając w twardych zapasach z niemczyzną na szorstkich pracowników dnia dzisiejszego, trzeźwo patrzących na życie i kierujących się w niem wyłącznie interesem własnym.

Następnie utrwaleniu się stosunków przyjaznych pomiędzy Polakami a Czechami przeszkadzały w znacznym stopniu rusofilskie uczucia Czechów, które od roku 1848 aż po dzień dzisiejszy sprawiają, że sprawa polska w Czechach nie przez wszystkich jest należycie rozumiana.

Wreszcie spory na Śląsku, w powiatach, wysuniętych ku granicy morawskiej, walka o Cieszyn i zbyt wyraźne ze strony Czechów intencje w kierunku czechizowania ludności polskiej, sprawiły, że w Polsce patrzano na Czechów z pewnego rodzaju nieufnością, mimo, że darzono ich zawsze sympatją.

Sympatya ta wyrastała jednak na gruncie najtrwalszym, bo na podłożu szacunku i uznania dla narodu, który, znajdując się w bardzo ciężkich warunkach, pracą, poświęceniem, wysiłkiem ramion i serc potrafił dokonać narodowego, kulturalnego i ekonomicznego odrodzenia swojej ojczyzny w ciągu krótkiego stosunkowo czasu. W Czechach niejednokrotnie widzieliśmy wzór, godny naśladowania. Od nich wzięła Galicya Sokołów, od nich także organizację oświatową — Macierz.

Było też zawsze dla nas pożądane, aby sąsiedzkie z Czechami stosunki przybrały formę ściślejszą. I oto w tej właśnie chwili zacieśniają się one siłą rzeczy. Przemysł i handel polski podał rękę przemysłowi i handlowi czeskiemu ku niewątpliwemu pożytkowi stron obu.

Czesi w stosunku tym mają interes podwójny — naprzód będą zarabiali duże pieniądze, importując wytwory swoje do nas, potem będą mieli zadowolenie z tego, że każda korona, którą Królestwo im zapłaci, będzie koroną, wydartą przemysłowi i handlowi niemieckiemu.

Podwójny interes mamy i my także — naprzód pokrewne zadowolenie moralne z tego, że pieniądze nasze nie idą do Niem-

ców, powtórę korzyść z obcowania bliższego z narodem, który nas przewyższa organizacją ekonomiczną swojego życia.

W tej dziedzinie od Czechów możemy się nauczyć najwięcej, nieskończenie więcej, niż z ich literatury i sztuki, które nie dorównały naszym. Czesi mają wybornie zorganizowane banki, kwitujące spółki pożyczkowo-oszczędnościowe, tani i dostępny dla wszystkich kredyt, mają nadto wyborne szkoły specjalne techniczne i handlowe, rolnicze i leśne.

Przy bliższych stosunkach, przy traktowanej szczerze przyjaźni, przy poznaniu pobratymczego języka, dzięki blizkiemu sąsiedztwu młodzież nasza powinna ze szkół czeskich korzystać chętniej, niż to czyniła dotychczas. Łatwiej bo przecież i milej będzie Polakowi spędzić czas studyów w Pradze, niż w Berlinie lub Lipsku. Posiadzie on tam nie tylko wiedzę potrzebną, ale nauczy się nadto patrzeć na życie, ujęte w karby rozumu i woli, nie poddające się tak łatwo tym lub innym wpływom, ale wrośnięte głęboko w ziemię ojczystą.

Dla nas, którzy hodujemy tak mało ludzi, posiadających silną wolę i charakter, przykład Czechów w niejednym kierunku będzie niewątpliwie pouczający.

Starajmyż się więc, aby moment obecnego zbliżenia nie przeminął bez korzyści dla nas na dziś i na jutro najbliższe.

*

*

*

Polakom, którzy zwiedzali Szwajcaryę, dobrze jest znany zamek w Rapperswyli i mieszczące się w nim Muzeum narodowe polskie, założone w r. 1869 z inicjatywy hr. Władysława Platera. Zbyt rzadko jednak i zbyt niewiele mogliśmy dotychczas o tem muzeum pisać, aby szerszy ogół polski zdawał sobie sprawę z rozwoju i wzrostu tej instytucji, powołanej do przechowania pamiątek polskich na obcej, ale wolnej ziemi szwajcarskiej.

Tem skwapliwiej korzystamy też obecnie z możliwości zaznajomienia naszych czytelników z ostatniem, świeżo wydanem sprawozdaniem z czynności Zarządu muzealnego.

Sprawozdanie to stwierdza, że instytucja, wprawdzie powoli i stopniowo, ale stale i nieustannie rozwija się, zdobywając coraz to nowe przedmioty do cennych swoich zbiorów.

Tak w roku ubiegłym do zbiorów muzealnych przybyło 1293 pozycji, obejmujących 6137 przedmiotów. Cyfry te nie dają należytego obrazu ofiarowanych Muzeum darów. Wykaz powyższy nie obejmuje np. zupełnie bibliotek Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) i Józefa Gałęzowskiego, jak również nie są w nim uwzględnione papiery po ś. p. Orzechowskim, Sewerynie Duchińskiej i Ludwiku Dygacie.

Z darów w dziale muzealnym wyróżniają się: zbroja tatarska, odnaleziona pod Beresteczkiem, ryngraf Kościuszkowski, oraz trenzla polska, sadzona srebrem i turkusami.

Nader cenne są dary w dziale bibliotecznym, w zbiorach rękopiśmiennych: ofiarowano tu w ciągu roku sprawozdawczego dokumenty, odnoszące się do czasów Stefana Batorego i Zygmunta III-go. P. Józef Kordzikowski darował 376 rękopisów, od XVI wieku począwszy, a dochodzących do r. 1863. Dar p. Franciszka Zwierkowskiego obejmuje 500 rękopisów, stanowiących pierwszorzędne źródło do dziejów emigracji polskiej na wschodzie w czasie wojny krymskiej, a rzucających sporo światła na osoby Michała Czaykowskiego, Adama Czartoryskiego, Władysława Zamoyskiego, Konstantego Gaszyńskiego, gen. Dembińskiego i in. Z dalszych darów wymienić należy manuskrypty Michała Wiszniewskiego: Historia Jezuitów, i Jędrzeja Moraczewskiego: Jezuici w Polsce. Nadto w zbiorach muzealnych znajdują się cenne akta, odnoszące się do życia gen. Sokolnickiego, Dąbrowskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki, oraz do dziejów ostatniego powstania (1863 r.).

Przybyło również sporo druków, odnoszących się do życia współczesnego politycznego, a dotyczących zwłaszcza kwestyi litewskiej, tak zaognionej w ostatnich czasach i dziejów partyj socjalistycznych w Polsce.

Wykaz imienny ofiarodawców obejmuje 147 nazwisk.

Czasopism przychodziło do Muzeum z Królestwa 40, z Galicyi 37, z Poznańskiego 8, ze Ślązka 11, z Ameryki 10, z Litwy 3, razem (łącznie z obcemi) 129.

Zwiedziło Muzeum osób ogółem 3736, w tem Amerykanów 19, Anglików 14, Czechów 54, Duńczyków 5, Finlandczyków 2, Francuzów 336, Hiszpan 1, Holendrów 2, Japończyków 3, Niemców 372, Polaków 938, Rosyan 54, Słowaków 5, Szwajcarów 1810, Szwedów 5, Węgrów 3, Włochów 53. Największą frekwencyę wykazały miesiące letnie, zwłaszcza wakacyjne.

Praca w Muzeum szła normalnie. Najżywotniejszą była w dziale rękopiśmiennym, w którym poza złożeniem i klasyfika-

cyą wpływów bieżących uporządkowano: Archiwum Towarzystwa demokratycznego, papiery po ks. Romanie Wilczyńskim, Józefie Aleksandrze Jabłońskim, Ildefonsie Kosiłowskim, emigrancie z roku 1846, dalej papiery po Sobańskich i Lesslach, tudzież pochodzące z ciekawego zbioru prof. Wacława Gąsztowta, wreszcie rozpoczęto segregować listy, rękopisy i dokumenty po Tadeuszu Orzechowskim i Ludwiku Dygacie.

Ze zbiorów muzealnych korzystało osób i instytucyj 301, na miejscu studyowało 38 osób, które oddawały się badaniom głównie w kierunkach historycznym i historyczno-literackim.

Opiekę nad zbiorami bibliotecznymi mają sobie powierzoną pp. Maryan Karczewski (Jasieńczyk) i Znaniecki.

Finanse Muzeum przedstawiają w kapitale żelaznym kwotę 33176 fr. 55 ct., w dochodach 19799 fr. 88 ct., w czem zapis ś. p. Józefa Zubrzyckiego z Nowego Sącza wynosi 13145 fr. 60 ct., składki zaś dają tylko skromną sumę 1496 fr. 15 ct.

W rozchodach widzimy sumę 20029 fr. 99 ct., na co złożyły się wydatki administracyjne 11547 fr. 80 ct., koszt utrzymania zamku 1052 fr. 40 ct., koszt utrzymania zbiorów muzealnych i biblioteki 3590 fr. 50 ct. i wydatki różne w kwocie 3837 fr. 20 ct.

Rada muzealna poza wszystkimi swoimi obowiązkami zarządza jeszcze, jak wiadomo, funduszem stypendyjnym Krystyna Ostrowskiego, z którego wypłaciła w roku ubiegłym 42 stypendystom, studyującym bądź w kraju, bądź zagranicą, kwotę ogólną w ilości 18216 fr.

Od lat trzech do zwykłych sprawozdań dorocznych Muzeum dołączany jest „Dodatek literacko-naukowy,” w którym publikuje się ważniejsze materiały, znajdujące się w archiwum muzealnym. W dwóch sprawozdaniach poprzednich zamieszczone zostały niektóre materiały do życia Słowackiego i Lelewela, w sprawozdaniu zaś tegorocznem znajdujemy ciekawą korespondencyę Alojzego Orchowskiego, osobistości mało znanej, a będącej świadkiem najtragiczniejszych chwil naszych dziejów, jak rozbiorów, powstania Kościuszki, legionów, wojen napoleońskich, istnienia i upadku Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, wreszcie powstania listopadowego.

W końcu dowiadujemy się, że na doroczny zjazd sierpniowy Rady muzealnej wpłynęło pismo od Rady miasta Lwowa, proponujące przeniesienie zbiorów do Lwowa. Rada jednak odmówiła temu, wychodząc z założenia, że „położenie dzisiejsze naszej ojczyzny nie pozwala zarówno na zniesienie posterunku, zajmowa-

nego przez Muzeum na obczyźnie, jak na umieszczenie zbiorów w kraju bez obawy o ich przyszłość.“

Te słowa charakteryzują może najlepiej cele, jakie zakresliła sobie instytucja, od lat z górą trzydziestu będąca ośrodkiem życia polskiego na emigracyi i strażnicą pamiątek narodowych, ocalonych cudem z pogromu.

*

*

*

Komitet statystyczny warszawski, dość zółwim krokiem posuwający się we wszelkich swoich pracach, dokonał świeżo podsumowania całego obszaru gruntów w Królestwie Polskiem za rok 1906.

Obszar ten wyraża się w cyfrze ogólnej 11,266,729 diesiatyn. W tem na rzecz posiadłości włościańskiej przypada 5,134,921 dies., czyli 45,58% całego obszaru gruntów kraju.

W pozycjach poszczególnych przedstawia się to, jak następuje:

Pod zagrodami, sadami i ogrodami znajduje się 238,638 dies.; gruntów ornych jest 3,492,668 dies.; łąk 522,368 dies.; pastwisk 436,092 dies.; lasów 221,778 dies.; nieużytków 233,377 dies.

Wielkość przeciętna gospodarstw włościańskich dochodzi do 6 dies. (około 12 mórg).

Gruntów folwarcznych jest 3,881,468 dies., czyli 34,45% całego obszaru gruntów w kraju, mianowicie pod folwarkami, sadami i ogrodami 107,578 dies., ziemi ornej 2,071,323 dies., łąk 291,036 dies., pastwisk 206,121 dies., lasów 1,033,978 dies., nieużytków 171,432 dies.

Obszar przeciętny majątków folwarcznych wynosi 440 dies., czyli 860 mórg.

Posiadłość drobnoszlachecka wyraża się w cyfrze 690,581 dies. czyli 6,13% całego obszaru gruntów w kraju, mianowicie pod zagrodami, sadami i ogrodami 34,086 dies., ziemi ornej 397,709 dies., łąk 49,901 dies., pastwisk 73,494 dies., lasów 88,462 dies., nieużytków 46,930 dies.

Wielkość przeciętna posiadłości drobnoszlacheckiej w kraju przewyższa nieco 12 dies. czyli 24 morgi.

Pod osadami jest 302,478 dies., czyli 2,68% całego obszaru, a mianowicie pod zabudowaniami podwórzowemi i ulicami 12,088 dies., pod sadami i ogrodami 12,019 dies., ziemi ornej 173,292 dies., łąk 24,619 dies., pastwisk 24,036 dies., lasów 36,291 dies., nieużytków 20,238 dies.

Obszar gruntów, zajętych przez miasta i do miast należących wynosi 150,948 dies., czyli 1,34% całego obszaru.

Gruntów skarbowych jest 658,074 dies., czyli 5,84% całego obszaru gruntów w kraju.

Gruntów donacyjnych oraz należących do urzędów gminnych, szkół, kościołów, instytucyj dobroczynnych, zakładów fabrycznych, kolei żelaznych i t. d. jest 448,158 dies., czyli 3,98% całego obszaru.

Co się tyczy większej własności prywatnej specyalnie, to w obrębie Królestwa było w r. 1906 ogółem 7,417 posiadłości. Z tej liczby stowarzyszonych w Tow. Kred. Ziemskiem 4,449. Przeciętny obszar posiadłości tej ostatniej kategorii wynosił w r. 1892-im 789 mórg, w roku zaś 1901 już tylko 682 morgi.

Wszystkie prywatne i donacyjne majątki łącznie w r. 1906 stanowiły 32% ogólnego obszaru własności rolnej w kraju (8,616,532 dies.), w r. zaś 1900 stanowiły 37,9% (4,279,677 dies.). Własność prywatna oddzielnie w r. 1906 stanowiła 28,9% (3,269,636 dies.), a w r. 1900 — 34,8% (3,932,781 dies.). W końcu majątki donacyjne oddzielnie stanowiły 3,1% (346,896 dies.).

Przeciętna cena szacunkowa jednej diesiatyny w kraju wynosiła w r. 1899—138 rb., w r. 1900—160 rb., w r. 1901—168 rb. w r. 1902—195 rb., w r. 1903—201 rb., w r. 1904—215 rb.

Co się tyczy służebności, to procent zagród, które dotąd zachowały prawa serwitutowe wynosił w r. 1908—37,5%. Procent zaś folwarków, w których służebności uregulowano od r. 1864 do r. 1903 wynosił 62,5%.

Prywatnych posiadłości, obciążonych serwitutami było w dieściu guberniach Królestwa w początkach r. 1907—1912, co stanowi przy ogólnej liczbie 7,417 posiadłości większych w kraju 15,9%.

Posiadłości prywatnych z szachownicami było w obrębie Królestwa pod koniec r. 1906-go 1180, czyli 15,9%, oddano w dzierżawę gruntów prywatnych 259,054 dies., a w tej liczbie włościanom 40,011 dies.

Rozglądając się w przytoczonych powyżej cyfrach, widzimy stały wzrost w kraju posiadłości włościańskiej z równoczesnem zmniejszaniem się obszaru przeciętnej posiadłości folwarcznej. Jest

to proces normalny, który rozpoczął się w Królestwie przed laty kilkunastu i stale postępuje naprzód, bez względu na to, że organizacja ekonomiczna kraju bynajmniej nie stoi jeszcze na tej wysokości, aby mu skutecznie dopomagać mogła, ani bowiem kooperatywa w dziedzinie parcelacji, ani długoterminowy, tani kredyt nie są u nas jeszcze w dostatecznej mierze na usługach włościan. Drobnny rolnik, współdziałający siłą rzeczy rozwiązaniu jednej z najpoważniejszych kwestyi—kwestyi agrarnej, pozostawiony jest jeszcze w większości wypadków samemu sobie, a stąd kraj nasz, mający wszelkie dane do tego, aby wytworzył silną i ekonomicznie zdrową warstwę drobnych rolników-obywateli, opóźnia się w swoim rozwoju, co jednocześnie daje pole do agitacji żywiołom socjalistycznym, wyznającym zasadę „im gorzej, tem lepiej.“

Jednym tedy z najpierwszych naszych obowiązków powinna być dbałość o to, aby, idąc za przykładem innych krajów, a nawet innych dzielnic polskich, stworzyć jaknajwięcej źródeł taniego kredytu dla włościan przez zakładanie kas pożyczkowo-oszczędnościowych na całym obszarze kraju.

Kasy takie ma Wielkie Księstwo Poznańskie. Ma je także i Galicya w ilości znacznej, aczkolwiek tam stanowią one niejednokrotnie teren dla operacyj finansowych, przedsięwziętych przez kapitalistów żydowskich i przez to nie zawsze rolę, do której zostały powołane, spełniają.

U nas ruch w tej dziedzinie jest jeszcze nowy, z tego jednak względu powinien jaknajszersze znaleźć poparcie ze strony wszystkich żywiołów obywatelskich, rozumiejących jego potrzebę i znaczenie.

*

*

*

Pół-urzędowy *Warszawskij Dniownik* przyniósł następującą wiadomość, dotyczącą prywatnych szkół polskich:

Wobec nieokreślonego ściśle brzmienia przepisów co do warunków, wymaganych dla nominacji na stanowiska nauczycieli w prywatnych zakładach naukowych w kraju Nadwiślańskim, kwestya ta wniesiona była pod rozpoznanie Rady ministrów. Rada doszła do wniosku następującego: „Co się tyczy nauki w zakładach naukowych średnich kraju Nadwiślańskiego, zarówno rzą-

dowych jak prywatnych, języków rosyjskiego i cerkiewno-słowiańskiego, historii i geografii, postanowić, ażeby wykład przedmiotów rzeczonych, których nauka w całkowitym zakresie (czyli nie tylko historii i geografii Rosyi, lecz także historii powszechnej i geografii innych krajów) odbywać się ma w języku rosyjskim—nie mógł być powierzany osobom pochodzenia polskiego.“

Na skutek powyższego, kurator Okręgu naukowego warszawskiego rozesłał do naczelników dyrekcji naukowych okólnik, w którym znajduje się polecenie przystąpienia do rewizji praw obecnego składu nauczycieli w zakładach naukowych średnich na wykładanie rzeczonych przedmiotów, a także rozkaz usunięcia od wykładów osób, które zostały dopuszczone do nauczania wbrew istniejącym przepisom lub które wykładają w języku nierosyjskim.

Okólnik ten krótko i węzłowato charakteryzuje położenie, w jakim znajdzie się prywatna szkoła polska w Królestwie z początkiem bieżącego roku szkolnego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Na jednym z ostatnich posiedzeń Komisji do badania historii sztuki w Polsce, odbytem pod przewodnictwem p. Leonarda Lepszego, Dr. Jan Ptaśnik referował o zebranych przez siebie materiałach do historii mieszczaństwa krakowskiego; przy sposobności pracy nad historią kultury średniowiecznego Krakowa zebrał on wszystkie ważniejsze inwentarze mieszczan krakowskich z XV w. z ksiąg sądów wójtowskich. Inwentarze te z tego względu zasługują na szczególniejszą uwagę, że są zarazem prawie najdawniejsze u nas i że stanowią prawdziwą kopalinię szczegółów do życia nie bogatych panów, ale przeciętnego mieszczanina krakowskiego, dostarczając wiadomości o jego strojach, książkach, obrazach i sprzętach, potrzebnych w życiu codziennym. Pisane są w języku łacińskim lub niemieckim, przy wielu jednak nazwach są objaśnienia polskie, to też inwentarze te przynoszą zarazem cenny materiał do historii naszego języka.

Następnie sekretarz Komisji przedłożył komunikat p. Gumowskiego o medalu Aleksandra Pesenti'ego dworzanina królowej Bony i znakomitego muzyka. Znany humanista XVI w. Piotr Aretino wspomina o tym medalu w swoich listach jako o pracy Jakóba Caraglia. Odlew tego medalu, będącego własnością muzeum berlińskiego, przedłożył już swego czasu p. Leonard Lepsy na jednym z posiedzeń Komisji.

Drugi komunikat p. Gumowskiego dotyczył medalu Dantyszka. Kłosek, który służył do wykonania formy tego medalu znajduje się w muzeum berlińskim.

W końcu sekretarz Komisji p. Julian Pagaczewski przedłożył komunikat X. A. Brykczyńskiego o ornatach gobelinowych katedry płockiej, wykonanych przez Glaize'a w Warszawie w latach 1743 i 1746, a ofiarowanych katedrze przez biskupa Andrzeja Załuskiego. Komunikat ten ilustrowany był dobrymi fotografiami.

— TOWARZYSTWO HERALDYCZNE WE LWOWIE. Jeszcze w 1903 r. za inicjatywą prof. Fr. Piekosińskiego i Ludwika Pierzchały miało powstać we Lwowie Towarzystwo Heraldyczne. Skutkiem śmierci prof. Piekosińskiego i rozlicznych innych przyczyn rzecz poszła w odwłokę i dopiero 23 marca r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie założycieli T-wa. Na posiedzeniu tem odbytem pod przewodnictwem p. Zygmunta Radziwińskiego, dokonano wyboru zarządu, powołując na prezesa Jerzego hr. Borkowskiego, na I wiceprezesa p. Zygmunta Radziwińskiego, na sekretarza p. Ludwika Pierzchałę, na skarbnika d-ra M. Wąsowicza, na redaktora d-ra Wł. Semkowicza. Postanowiono także rozpocząć wydawnictwo „Miesięcznika heraldycznego,” którego pierwszy zeszyt ukazał się pod datą 1 czerwca.

Na czele umieszczono następującą odezwę:

„Niema dziś w Europie cywilizowanego narodu, mogącego poszczycić się sławną przeszłością historyczną, któryby nie posiadał Towarzystwa heraldycznego. Nie miał go dotąd tylko nasz naród, jakkolwiek losy Polski tak ściśle związane były z losami szlachty przez cały ciąg istnienia państwa, a także i w dobie porozbiorowej, że badania naukowe nad przeszłością naszą nie mogą się obejść bez pomocy umiejętności, której celem jest poznanie genezy, rozwoju i organizacyi szlachty, niemniej też zewnętrznych jej znamion, t. j. herbów i zawołań rycerskich. Tą umiejętnością jest heraldyka wraz z pokrewnymi jej naukami, sfragistyką i genealogią. W ten sposób pojęta, jest heraldyka jedną z najważniejszych nauk pomocniczych historii i w tem polega wyznaczone jej dziś w szeregu nauk stanowisko.

„Dawniej w heraldyce naszej górował prawie wyłącznie interes prywatny; pobudką do zajmowania się nią był dla jednych kult przodków, dla innych chęć zaspokojenia ciekawości historycznej. Dziś coraz bardziej zaczyna przeważać interes czysto naukowy: heraldyka dzisiejsza—słusznie rzec można—zdemokratyzowała się, wciągając w obręb swych badań także mieszczaństwo, Żydów i inne nieszlacheckie warstwy, posiadające herby lub rodzaj herbów, t. zw. „gmerki.” Jest w tem niewątpliwie zasługa tych badaczy przeszłości naszej, którzy w heraldyce i jej pokrewnych naukach odkryli nieocenione źródła do wyjaśnienia wielu zagadnień historycznych, sięgających nieraz w ciemną głąb prawniku.

„Z dawniejszych uczonych Lelewel, z nowszych Piekosiński i Małecki pchnęli potężnie naprzód heraldykę, rozbudzając wśród młodszego pokolenia interes naukowy dla tej młodej, a tak powabnej gałęzi nauk historycznych. Lecz szereg zagadnień pierwszorzędnej wagi leży po dziś dzień odłogiem. Nietknięte prawie studia genealogiczne, rozpoczęte zaledwie badania nad rozsiadleniem rycerstwa, kwestya zaś genezy szlachty i herbów wymaga ponownej rewizyi i czeka ostatecznego wyjaśnienia. Dodajmy do tego, że cały zasób ważnych materyałów źródłowych do heraldyki, sfragistyki i genealogii spoczywa dotąd w pyłe archiwów prywatnych i publicznych i domaga się jaknajrychlejszego ogłoszenia, a pojmujemy, że praca na tem polu przenosi siły jednostki. Aby sprostać choć w części temu zadaniu, trzeba było posiadać tak niespożyty zapas sił intelektualnych i energii duchowej, jak Piekosiński, redaktor *Herolda polskiego*, który borykać się musiał z nieprzezwyciężonymi

przeszkodami, nie znajdując poparcia i zrozumienia u szerszego ogółu. Tu trzeba zespolenia sił pracujących, a zarazem wydatnego poparcia ze strony społeczeństwa, poparcia tak materialnego, jak i moralnego.

„Tą myślą powodowani, założyliśmy Towarzystwo heraldyczne. Apelujemy tedy do wszystkich, którym leżą na sercu cele naukowe polskie, komu droga przeszłość i pamięć przodków, by nam pospieszyli z pomocą. Zwracamy się jednak do całego społeczeństwa, którego obowiązkiem jest poprzeć wszelkie dążenia naukowe. Przez pogadanki z zakresu heraldyki i pokrewnych jej nauk będziemy się starali rozbudzić zamiłowanie do tej pięknej umiejętności, a wydawane przez nas czasopismo posłużyć ma właśnie do zespolenia usiłowań na tem polu i skupienia w jedno ognisko rozstrzelonych dotąd sił naukowych. Wydawnictwo to, które wychodzić ma kwartalnie, w objętości—na razie—2 do 3 arkuszy druku, zawierać będzie rozprawy naukowe z zakresu heraldyki, sfragistyki i genealogii, monografie wybitniejszych rodów i rodzin polskich, materiały heraldyczne, mapki, przedstawiające rozsiedlenie poszczególnych rodów w różnych okolicach i okresach dziejowych Polski, dział recenzyjny i bibliografię heraldyczną. Ponieważ jednak heraldyka nie straciła dziś znaczenia praktycznego, gdy wywody szlachectwa do pewnych celów (np. w sprawach spadkowych, wojskowych, stypendyjnych etc.) są konieczne potrzebne, pomieścimy także dział informacyjny, służący do wzajemnego porozumiewania się członków w kwestyach zarówno teoretycznej, jak i praktycznej heraldyki (Statut § 4 b). W miarę środków wydawać będziemy od czasu do czasu osobne publikacje, zawierające obszerniejsze prace syntetyczne lub materiały heraldyczne (Statut § 4 d). Wydział Towarzystwa czyni w tym celu starania o nabycie rękopisów, nieogłoszonych dotąd prac ś. p. Piekosińskiego.

„Zgłoszenia na członków i wkładki nadsyłać należy do Towarzystwa zaliczkowego nauczycielskiego (Lwów, ul. Frydrychów 5). Prace nadsyłać należy na ręce dr. Władysława Semkowicza (Lwów, Zamojskiego 14).

Jerzy hr. Dunin-Borkowski, przewodniczący, *prof. dr. Wilhelm Bruchnalski*, *prof. Julian Jaxa-Bykowski*, *dr. Jan hr. Drohojowski*, *Bronisław Gorczak*, *dr. Wojciech Kętrzyński*, *ks. Zygmunt Dunin-Koricki*, *Adam Krechowicki*, *dr. Piotr Kucharski*, *Ludwik Pierzchała*, *Zygmunt Luba-Radziwiński*, *dr. Władysław Semkowicz*, *dr. Józef Starzewski*, *dr. Mieczysław Dunin-Wąsowicz*.”

Po tej umieszczonej na czele odezwie, zeszyt zawiera: artykuł wstępny, podpisany przez Redakcję, omawiający cele i zadania Towarzystwa; następnie: *Władysława Semkowicza*: Długosz jako historyk, *Tęgoż*: Zawołania jako hasła bojowe, *Tęgoż*: Przyczynek do rodowodu Oświęcimów; *Dr. Mieczysława Dunin-Wąsowicza*: Metryki parafii Besko (w ziemi Sanockiej). W dziale sprawozdań: *Dr. Władysława Semkowicza* omówienie rocznika „Herold Polski.” W końcu dość obszerny dział zapytań i odpowiedzi w kwestyach heraldycznych oraz „Sprawy Towarzystwa heraldycznego.” Ten pierwszy zeszyt daje poznać, że wydawnictwo będzie utrzymane na właściwym poziomie naukowym i pod tym względem daleko odbiegnie od pisemek, ukazujących się od czasu do czasu w naszej literaturze, obliczonych na zysk pieniężny lub zaspokojenie drobnych ambicyjek osobistych. Najlepszą gwarancją co do tego stanowią nazwiska,

podpisane pod powyższą odezwą, oraz nazwisko redaktora, zaszczytnie już znanego z wielu prac heraldycznych, utrzymanych zawsze w najlepszym stylu naukowym. Za tę inicjatywę, za ten zdrowy kierunek, tak często niestety wykoszławiany w wydawnictwach pseudo-heraldycznych, za usiłowanie zgrupowania w Tow. Heraldycznym ludzi, mogących naukowo pracować na tem polu oraz mecenasów tej gałęzi wiedzy historycznej, za rozpoczęcie wreszcie tyle pożądanego wydawnictwa, należy się wielka dla inicjatorów wdzięczność, do której niech się dołączą nietylko jałowe życzenia powodzeń, ale także i silne poparcie w jaknajszerszych kołach społeczeństwa, bez czego trudnemi byłoby do urzeczywistnienia szerokie zamierzenia naukowe kilku ludzi poświęcenia i dobrej woli.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **ATENEUM POLSKIE.** Lwów, czerwiec. Jan Kasprówicz: Sonety z cyklu „Chwile”; — Józef Burka: Polityka antypolska Bismarka za czasów walki kulturalnej (1872—1883); — Fr. Rawita-Gawroński: Spóźniona miłość. Epizod z życia Mazepy; — Tadeusz Sinka: Walory humanistyczne; — Bron. Chlebowski: Życie duchowe w Warszawie, II; — Jan Tur: Zwroty mistyczne w biologii współczesnej; — Bartold Merwin: Chorzy poeci; — Adolf Chybiński: Renesans w muzyce; — E. B.: Polska literatura psychopatyczna; — Tad. Smoleński: Nowy dziejopis grecki; — L. H.: Polacy w Ameryce.

— **ATENEUM POLSKIE**, miesięcznik poświęcony sprawom kultury, pod redakcją Stanisława Zakrzewskiego. Adam Antoni Kryński: Języki słowiańskie, ich rozwój i stosunki wzajemne; — Juliusz German: Historia jednego fresku; — Jerzy Michalski: W sprawie podniesienia poziomu zawodowego wykształcenia urzędników administracyjnych; — Michał Pawlikowski: O zmaganiu się formy z treścią; — Edward Porębowicz: Nowe publikacje do historii romantyzmu francuskiego; — Edmund S. Naganowski: Z piśmiennictwa angielskiego; — Julian Zachariewicz: Homer, Chrystus, Shakespeare i historyczny sceptycyzm; — Adam Szelański: Postęp i upadek jako prawo cywilizacji; — S.: Słowiańska konferencja w Pradze; — Ludwik Koszarzycki: Prusy, Austria i Polska; — L. H.: Matice skolska; — Tadeusz Smoleński: Dr. Stefan Waszyński; — Przegląd prasy; — Zapiski Bibliograficzne.

— **HOMILETYKA.** Czerwiec, 1908. Rozprawy: W jaki sposób może i powinno współdziałać duchowieństwo na odnowienie społecznych warunków; — Kongres eucharystyczny w Londynie; — Krótkie przemówienia na niedziele; — Kazania na uroczystości; — Kazania o Kościele; — Przemówienia przygodne; — Wiadomości teologiczno-pastoralne.

— **KRYTYKA**, r. X, zesz. VI, czerwiec, 1908, str. 513—596. (f.): Przesilenie w idei polskiej; — M. Konopnicka: Żydóweczka; — K. Stefański: Trzy okresy w dziejach demokracji polskiej; — St. Wyspiański: O czci dla bohaterów; — Wład. Czapliński: Literatura na gruzach rewolucji; — S. Posner: Dzieje jednej trybuny; — L. Eminowicz: Na progu; — Dr. H. Biegeleisen: Aryanie polscy; — Zofia Ry-

gier-Nałkowska: Koteczka czyli białe tulipany (nowela);—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Geniusz a społeczeństwo;—Kultura duchowa Krakowa;—Młodzież polska za granicą;—Lux: Ruch wolnej myśli;—Skiba: Ruch kobiecy;—Prof. J. Magiera: Język wszystkich Słowian;—Junius: Z trzech zaborów;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— MIESIĘCZNIK PEDAGOGICZNY, r. XVII, № 4, kwiecień, 1908, str. 49—80. K. S.: W sprawie przygotowania uczniów do szkoły średniej;—Popiołek Franciszek: Powstanie ziemi (dok.);—a-b: Zatwierdzenie utrakwizacyi polskich szkół ludowych w Karwinie;—D. M. O.: Przed nominacją nowych inspektorów okręgowych w Cieszyńskim;—Antoni Potocki: O Komisji edukacyi narodowej;—Do nauczycielstwa polskiego na Śląsku;—Z pol. Towarzystwa pedagog.;—Kronika.

— NASZA PRZYSZŁOŚĆ. Kijów, czerwiec, 1908. Kazimierz Tokarzewicz, Inżynier: Nerozwinięte działy przemysłu w krajach litewsko-ruskich;—Józef Kaz. Ign. Rulikowski: Rokosz pułku czernihowskiego. Wyjątek ze wspomnień 1825;—Joanna Kalicka: Zarysy powieściowe;—Laudator: Literatura i krytyka

— PAMIĘTNIK Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, r. 1908, zesz. IV, ogół. zbioru t. 103. Warszawa, druk. K. Kowalewskiego, 1908, 8-o, str. 347—484 + XIII. Julian Rotstadt: Badania doświadczalne z dziedziny trofiki mięśni. Wpływ zmian cyrkulacyjnych i inercyjnych na mięśnie (z 3 tablicami), str. 347—412;—Fr. Gedroyć: Źródła biograficzno-bibliograficzne dla dziejów medycyny w dawnej Polsce, str. 413—428.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Tow. Miłośników w Warszawie. Tom VI, zeszyt 3. Maj i czerwiec, 1908. Brückner A.: Cyryl i Metody. Nowe źródła i opracowania;—Antoni Prohaska: Z dziejów samorządu ziemi Chełmskiej (dok.);—Ludwik Boratyński: Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów (dok.);—M. Sokolnicki: Józef i Tadeusz Mostowscy i działalność polityczna Polski w r. 1792—1797 (dok.);—Leopold Meyet: Kiedy się urodził Juliusz Słowacki. Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety;—M. Goyski: Przegląd literatury historycznej polskiej do dziejów XIV i XV w. z ostatnich lat siedmiu (1901—1907), (dok.);—Fr. Gedroyć: Wodociągi i kanalizacje miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce) (ciąg dalszy);—Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz Zamku warszawskiego, sporządzony w r. 1769 (c. d.).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok I, zeszyt 7. Lipiec, 1908. Zygmunt Balicki: Przeobrażenie metod walki;—Kazimierz Bartoszewicz: Przyczynki do kwestyi ruskiej;—Adam Szelański: Rasa i cywilizacja;—Henryk Radziszewski: Wydatki skarbu królewskiego w okresie międzypowstaniowym;—J. Długosz: Granice polityczne a linie etnograficzne na kresach zachodnich;—J. Oksza: Szlakiem absurdu;—Antoni Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—Bohdan Wasiatyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy: Spór o Bałtyk, Patriotyzm ekonomiczny;—Bibliografia;—Nekrologia. Redaktor Wacław Duni. Warszawa, Smolna 10.

— PRZEGŁĄD POLSKI. Tom 169, rok 43. Zeszyt I. Lipiec, 1908. Pismo naukowo-literackie, pod redakcją Prof. D-ra Jerzego hr. Mycielskiego. Dr. Maryan Zdziechowski: Cerkiew rosyjska w chwili obecnej; — Dr. Roman Dybowski: Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej z r. 1803 (dok.); — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (c. d.); Julian Klaczko: Listy włoskie, wydał Ferdynand Hoesick; — Julian Zachariewicz: Niemiecki związek Monistów i Ernest Haeckel; — Kronika literacka; — Z literatury powieściowej; — Balicki E. A.: Teatr krakowski; — Dr. Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Krakowie; — Przegląd polityczny przez NN.; — Dr. Paweł Popiel: Ludwik hr. Dębicki; — Wspomnienie pośmiertne.

— PRZEGŁĄD POWSZECHNY. Miesięcznik, pod red. Ks. Jana Pawelskiego. Rok 25, zeszyt 7. Lipiec, 1908. J. E. Wojciech hr. Dzieduszycki: List do redakcji „Przeglądu Powszechnego:“ Hasło neoslawizmu; — Ks. Wiktor Wiecki: Między Słowianami: w Celowcu i Ossyachu; — Eliza Orzeszkowa: Z myśli wieczornych. III. Jest on jeszcze bardzo oddalony... IV. Słyszysz to wieczór...; — Lucyan Rydel: Pogrzeby posągów. Szkic historyczno-obyczajowy; — Ks. Leonard Lipke: Prorocy i ideał Mesjański w Izraelu (c. d.); — Ks. Władysław Szczepański: Pierwsza skarga Joba. Uwagi i próbka przekładu; — Przegląd piśmiennictwa; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGŁĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY. Lipiec, 1908. Prof. Dr. Stanisław Skarżyński: Sejmowa reforma wyborcza w ostatnim sześcioleciu; — Dr. M. Allerhand: Podstęp w procesie (c. d.); — Dr. Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniewskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu (c. d.); — Jerzy Michalski: Rezerwy państwa w dziedzinie kopalnictwa węgla. Sierpień i wrzesień, 1908. Redaktor Prof. Dr. Ernest Till. Dr. L. Fischlowitz: Stanowisko kobiety i dziecka nieślubnego w projekcie noweli do powszechnej ustawy cywilnej; — Maryan Rosenberg: O reformie prawa naftowego; — Dr. Stanisław Starzyński: Sejmowa reforma wyborcza w ostatnim sześcioleciu (dok.); — Dr. Ryszard Leżański: O projekcie ustawy o wynagrodzeniu szkody z powodu bezzasadnego przytrzymania w areszcie śledczym (ciąg dalszy i dokończenie); — Prof. Dr. Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniewskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu (c. d.); — Dr. M. Allerhand: Postęp w procesie (c. d.).

— PRZEWODNIK NAUKOWO-LITERACKI: Rok 36, zeszyt 7. Lipiec, 1908. Pod redakcją Adama Krechowickiego, wychodzi jako dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Stanisław Starzyński: Reforma Izby Panów; — Michał Rolle: Żywot polityczny Michała Grabowskiego; — Antoni Karbowski: Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie; — Bronisław Czarnik: Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie w r. 1906 (notatki turysty); — Dr. Stanisław Kłobukowski: Wycieczka do Parany (stanu rzeczypospolitej Brazylii). Dziennik podróży; — Dr. Stanisław Kossowski: Z życia Kajetana Węgierskiego. Pamiętniki i listy; — K. z.: Przemysł górniczo-hutniczy w Galicji w r. 1906. Nafta i wosk ziemny.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Rocznik VIII, zeszyt VII. Lipiec, 1908. Wychodzi w objętości jednego arkusza na początku każdego miesiąca z wyjątkiem

sierpnia i września, pod redakcją Romana Zawilińskiego w Tarnowie w Galicyi. K. Nitsche: Z badań nad językiem polskim;—Zapytania i odpowiedzi;—Ks. Ignacy Charszewski: Pokłosie;—Ks. K.: Skarbonka;—Rozmaitości (Mowa polska na Litwie);—Korespondencya redakcyi.

— ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział filologiczny. Serya II. Tom XXIX. Ogólnego zbioru tom 44. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag., 1908, 8-o, format duży, str. 396. Ludwika Trzcńska: Szkolnictwo ludowe w Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815—1846);—Wilhelm Bruchnalski: Rozwój twórczości pisarskiej Mikołaja Reja;—Dr. Konstanty Wojciechowski: Pierwsze naśladownictwo „Nowej Heloizy” w romansie polskim (Ks. Krajewskiego „Pani Podczaszyna” 1786);—Dr. Zbigniew Kniaziolucki: Do genezy poematu Mikołaja Reja „Wizerunki żywota pocziwego człowieka;”—Ferdynand Hoesick: Ze studyów nad Kochanowskim.

— ROZPRAWY Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności. Ser. III, t. 8, dział B (ogólnego zbioru t. 48, dz. B). Nauki biologiczne. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag., 1908, 8-o, format duży, str. 256. K. Stołyhwo: Czaszka z Nowosiółki, jako dowód istnienia w okresie historycznym kształtów pokrewnych z *Homo primigenius* (z 5 ryc. w tekście);—J. Młodowska: Z histogenezy mięśni szkieletowych (2 tabl.);—H. Zapalowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XII;—K. Klecki i A. Wrzosek: O przechodzeniu do moczu mikrobow we krwi krążących;—J. Nowak: Badania w zakresie głowonogów z górnej kredy w Polsce. Cz. I (z 1 tabl. i 4 rys. w tekście);—J. Browiński i St. Dąbrowski: O metodzie ilościowego określania żółtego podstawowego barwika moczu (urochromu);—H. Wielowieyski: Dalsze badania nad histologią i historią rozwoju jajnika u owadów (z 3 tabl.);—H. Zapalowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XIII.

— SFINKS. Czasopismo literacko-naukowe, wychodzi w Warszawie w odstępach miesięcznych, pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Rok I, zeszyt VII. Lipiec, 1908. Str. 172. Norwid o Słowackim (odczyty wygłoszone przez Cypryana Norwida w Paryżu w r. 1860);—Józef Kwiatek: Kazimierz Krauz (Michał Luśnia), jako pisarz polityczny;—Władysław Bukowiński: Echa (poemat);—Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr (ciąg dalszy);—Jan Kleczyński: Rzeźba współczesna;—Władysław Jabłonowski: Edmund de Amicis (ur. 1846 r., um. 1908 r.);—Edmund de Amicis: Ostatni przyjaciel (przełożyła z włoskiego Z. Ankowska);—Henryk Heine: Pieśni współczesne (z nielōmaczonych poezyj przełożył z niemieckiego i zaopatrzył przedmową Władysław Nawrocki);—Stefan Popowski: Wystawy sezonu ubiegłego;—Zofia Rygier-Nałkowska: Równieśnice (ciąg dalszy, powieść);—Andrzej Baumfeld: O ideale Syna Bożego;—Oceny i sprawozdania. Literatura polska: J. Dąbrowski: Adam Moszczeński „Pamiętnik do historii polskiej,” Józef Wybicki „Pamiętnik;”—„Z dziejów Hajdamaczyzny” (2 tomy), opatrzone przedmową Henryka Mościckiego;—H. J. Rygier: H. Orsza „Z dziejów narodu;”—Literatura francuska: Marya Rakowska: Emile Zola „Correspondance” (Les lettres et les arts);—Wł. B.: Konrad Prószyński (K. Promyk);—Przegląd prasy: Czasopisma

polskie. Czasopisma francuskie; — Zadania konkursowe Tow. naukowego warszawskiego; — Ogłoszenia; — Dodatki artystyczne. Rysunki i winiety: J. Rembowski, St. J. Kozłowski, H. Minkiewicz, T. Jankowski, Z. Plewińskiej i St. Popowskiego. Okładka J. Rembowski.

— SŁOVANSKY PŘEHLÉD. Praga. Czerwiec. Sifi Rubin: Z nove poesie slovinske; — A. Askerc: Ze sbirky „Jadrunki biseri;“ — Adolf Cerny: Po slovanských dnech v Petrohradě a ve Varsave; — Z. B.: Bulharska literatura v roce 1907; — Dr. Branko Drechsler: Chorvatska literatura v roce 1907; — Adolf Cerny: Literatura luzicko-serbska v r. 1907; — Z knih a casopism: O styech starých Slovanu s Turkotatary a Germany; — Narodnosti statistika Bulharska a Cechoslovane; — Dopisy: Z Moskvy III; — Rozhledy a spravy: Slované severo-zapadni, Slované východni.

— STRAŻ POLSKA, redaktor i wydawca Kazimierz Bartoszewicz. R. I, № 2, 1908, str. 1—12. Deklaracya przez Maryę Konopnicką; — Tadeusz Grabowski: Zadania „Straży Polskiej;“ — Lucyan Rydel: Wielkopolanom; — Antoni Balicki: Ukochane Muzy nasze; — Kazimierz Lubecki: Z rozmyślań narodowych; — Kazimierz Bartoszewicz: Przyczynki do kwestyi ruskiej; — Leopold Caro: Wrażenia z Tryestu; — Michał Magiera: Nasze kresy zachodnie; — Do dyskusyi, przez Polaka z Galicyi wschodniej; — Lucyan Lem: W jedno ognisko; — Ze sekcji ekonomicznej, przez J. K. R.; — Sekcja organizacyjna; — Głosy członków „Straży Polskiej;“ — Rozmaitości; — Nowości literackie; — Kącik językowy; — List do kącika Stanisława Tarnowskiego; — Kronika „Straży Polskiej.“

— SZTUKA POLSKA. Malarstwo w reprodukcjach kolorowych. Zesz. IV. Wyd. drugie. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 1908. 4-o, str. 4 i obr. barw. 4. Jan Matejko: Święta Kinga; — Jacek Malczewski: Sztuka w zaścianku; — Stanisław Wyspiański: Święta Salomea; — Józef Mehoffer: Witraż fryburski.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, pod redakcją Feliksa Konecznego. Lipiec 1908. Feliks Koneczny: Przed konferencyą praską; — Dr. Zygmunt Stefański: Au delà de Mitrovica; — Dr. Antoni Karbowski: U źródeł odrodzenia narodowego na Śląsku górnym; — Przegląd prasy słowiańskiej: z prasy ruskiej, rosyjskiej, czeskiej, słowackiej, słowieńskiej, chorwackiej, serbskiej, Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry, bułgarskiej, z Macedonii i Starej Serbii: „Rusko-polijski spor i Srbi;“ — Kronika miesięczna.

— VOTUM SEPARATUM. Dwutygodnik, wychodzi w Petersburgu broszurami wielkiego formatu. Lipiec, 1908. T. Grużewski: Charakter trzeciej Dumi i rola polskiego przedstawicielstwa; — Wł. Studnicki: Konferencya w Pradze; — T. G.: Coś gorszego, niż ugoda; — Wł. St.: Secesya w obozie N. D.; — W-da Giz: Międzynarodowe znaczenie konstytucyi w Turcyi; — Konrad Prószyński; — Notatki: Stan wojenny w Królestwie; — Sprawa oławska.

— ZAPISKI LITERACKIE. Geller Dr. Leo und Dr. Josef Peter: Das österreichische Wucherstrafrecht, für das Studium und die Praxis, przez D-ra Alfreda Zgórskiego; — Rosenblatt Dr. Prof.: Fałszywe wyroki karne i ich przy-

czynny, przez D-ra Alfreda Zgórskiego;—Lutostański Karol: Zaręczyny w prawie małżeńskim z r. 1836, przez Wł. Abrahama;—Austriackie prawo spółek z ograniczoną poręką, napisał Dr. Aleksander Doliński, przez E. T.;—Eksports of Manufactures from the United States and their distribution by articles and countric 1800 to 1906, przez D-ra Zygmunta Gargasa;—A. Peretjatkowicz: Przegląd literatury polskiej z dziedziny filozofii prawa i gospodarstwa społecznego w latach ostatnich 1900—1907;—Kronika.

— ZAPISKI LITERACKIE. Dr. Maryan Rosenberg: Kodeks naftowy. Tom I, przez E. Tilla. Der Streit um das Mecrange zwischen Oesterreich und Ungarn, von Dr. Victor Korn (przez E. Tilla); — Michał Krawczyk i Zygmunt Karasiński: Nowe ustawy kongrualne;—Dr. Emanuel Dresdner: Die praeludierende Wirkung des Versteigerungsediktes.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

ASKENAZY SZYMON: Łukasiński. I. Warszawa, nakł. E. Wendego i Sp. Lwów, H. Altenberg, druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1908. 8-o, str. 416.

HOFFMANOWA Z TAŃSKICH KLEMENTYNA: Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach Augusta III pisany. Powieść. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 170.

— Listy Elżbiety Rzeczyckiej do przyjaciółki swojej Urszuli *^{*} za panowania Augusta III pisane. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 110.

TERESA JADWIGA: Pogrzeb ostatniego Jagiellona. Wolna elekcyja. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 19.

POWIEŚĆ.—POEZJA.—DRAMAT.

AMICIS ED.: Od Apeninów do Andów. Nowela. Przekład Maryi Kononickiej. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 49.

BRZEZIŃSKI JÓZEF DR. (z Zawiercia): Ochędóstwo jako główny warunek zdrowia. Warszawa, z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, druk. Wł. Łazarskiego, 1908. 8-o, str. 38.

DEJSKI M. A.: Miodowe miesiące. Komedia w dwóch aktach. Lwów, nakł. księg. H. Altenberga, druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1908. 8-o, str. 28.

FINKELSTEIN ZIĘBOWSKI MIECZYŚLAW: Hymn (poezye) z cyklu: Pieśni słoneczne. Warszawa-Kraków, 1908. 4-o, str. 16.

HOESICK FERDYNAND: Ze studyów nad Kochanowskim. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag. 1908. 8-o, str. 68.

JACHOWICZ STANISŁAW: Bajki, powiastki i pieśni. Zebrał, wstępem o życiu i pracach autora poprzedził dr. Fr. Majchrowicz. Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza i Schmidta, druk. Pillera, Neumanna i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. X+112.

KIPLING RUDYARD: Ankus królewski. Nowela. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 33.

— Toomai od słoni. Powiastka. Przekład J. Czekalskiego. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 31.

KISIELEWSKI JAN AUGUST: Panmusajon. Studya estetyczne. Lwów-Warszawa, 1906. 4-o, str. 208.

— Życie dramatu. Szkice literackie. Lwów-Warszawa, 1907 r. 8-o, str. 436.

MICKIEWICZ ADAM: Pisma poetyczne. Ballady i romanse. Grażyna. Konrad Wallenrod. Wiersze wybrane 1817 — 1832 r. Dwudziesty drugi tysiąc. Lwów, nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, str. VII+242.

NIEWIADOMSKA C.: Dotrzymuj słowa. Koledzy. Samolub. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 26.

— Noc sierpniowa. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, format mały, str. 18.

PELADAN JÓZEFIN: Ostatni wykład Leonarda da Vinci w jego Akademii medyolańskiej (1499). Z myśli i twierdzeń rozproszonych w jego rękopisach ułożył i związał... Przetłómaczył Miriam. Warszawa, nakł. redakcyi „Chimery,” druk. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, 1907. 8-o, str. 37.

PRZYBYLSKI ZYGMUNT: Debiutantka. Fraszka w jednym akcie. Wyd. drugie. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, str. 31.

ŚWIĘTOCHOWSKI ALEKSANDER: Pisma II. Obrazki powieściowe. Wyd. drugie. Warszawa, druk.?, 1908. 8-o, str. 172.

TRAWIŃSKI ALFRED: Juliusz Słowacki. O Balladynie i Lilli Wenedzie. Studium literackie. Tarnopol, nakł. księg. A. Bruggera. Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. Podolska w Tarnopolu, 1908. 8-o, form. mały, str. 24.

WITKIEWICZ STANISŁAW: Bagno. Lwów, 1903. 8-o, str. 80.

— Dziwny człowiek (Józef Siedlecki). Z portretem. Lwów, 1904. 8-o, str. 144.

— Juliusz Kossak, studyum. Lwów, 1906. 8-o, str. 288.

— Z Tatr. Lwów-Warszawa, 1907. 8-o, str. 258.



Z LUDĘM—DLA LUDU,

— A czy ty wiesz między odmienie

A wrogi,

Żeś tak ściężyno w tarnie porosła

I w głogi?...

A czy ty wiesz do cudzej, obcej

Gdzieś ziemi,

Żeś tak porosła cierniem i chwasty

Dzikimi?...

— Ani ja wiodę w obcą i cudzą

Krainę,

Ni między wrogi, za szumne morze,

Za sine;

Ani ja wiodę między odmienie

Do boru,

Jeno do onej zapadłej chaty —

Ze dworu!...

Lat blisko trzydzieści minęło od chwili, kiedy Marya Konopnicka, poetka, idąca w przedniej straży swego pokolenia, w ten gorzki i bolesny sposób odmalowała stosunek dworu wiejskiego do chaty.

Rzeczywistość nie była wówczas daleka od tych „cierni i głogów,” jakie rysowały się w jej młodej, gorącej wyobraźni.

Kraj po upadku powstania styczniowego przechodził ciężki kryzys. Z początku przygnębienie panowało we wszystkich dziedzinach myśli, a wszystkie niemal pola pracy leżały odłogiem. Naród likwidował swoje aspiracje przedpowstaniowe i z rozpaczą patrzył ku jutru, które było beznadziejnie chmurne. Najlepszemu w społeczeństwie ludziom opadały ręce. W klasach posiadających budził się egoizm i chęć ratowania resztek dobrobytu,

topniejącego szybko. Lud wiejski, który podczas powstania, z małymi wyjątkami, dał dowód zupełnej obojętności dla sprawy narodowej, stał na uboczu i, licząc swe dawne krzywdy pańszczyźniane, nieufnie spoglądał ku dworowi. Jednocześnie oficjalne czynniki pracowały gorliwie, aby nieufność tę pogłębić. Drzazga „serwitutów,” umiejętnie wbita pomiędzy szlachcica a chłopą, jątrzyła obie strony i nie pozwalała im na zgodne załatwienie odwiecznych rachunków.

Wszystko to razem—na tle wywołanego przez uwłaszczenie przewrotu ekonomicznego w kraju, licznych bankructw, przechożenia ziemi z rąk do rąk i konieczności oparcia gospodarstwa na kapitale nakładowym, którego wiele rodzin ziemiańskich nie posiadało wcale—stworzyło warunki, w których nie było miejsca na myśl o pracy z ludem i dla ludu.

Taki stan trwał przez lat kilkanaście. Przepaść pomiędzy dworem a chatą nie tylko nie zmniejszała się, ale rosła. Konopnicka widziała tę przepaść w swoich latach dziecięcych, odczuła ją w okresie młodości i całym sercem zaprotestowała przeciw temu rozdziałowi.

Równocześnie z nią protestowało jej pokolenie, podnoszące z rumowisk i gruzów sztandary, opuszczone przez ojców, którzy bądź polegli w ich obronie, bądź opuścili je pod przymusem, bądź wyrzekli się ich dobrowolnie w trwodze i niepokoju o przyszłość.

Polska idea demokratyczna, poczęta w jutrzennym blasku Sejmu czteroletniego i od tej pory idąca, jak słup Mojżesza, przed narodem, weszła w nową swoją fazę.

Nie przebrzmiały jeszcze hasła pracy organicznej, które były pierwszym objawem życia w okresie popowstaniowym i przyczyniły się w znacznym stopniu do wyrwania społeczeństwa z apatii i odrętwienia, gdy już odezwały się rogi sygnałowe, zwołujące naród do pracy czynnej nad uobywateleniem ludu.

Smutne rozpamiętywania nad przeszłością Polski, która purpurę dumy możnowładczej przypłacała utratą samodzielności politycznej; ciężkie doświadczenia ostatniego powstania; budząca się reakcja przeciw romantyzmowi; wreszcie rozumne i trzeźwe liczenie się z układem stosunków realnych w społeczeństwie, które rozpoczęło przekształcać się na modłę nowożytną pod wpływem nowych czynników, normujących życie gospodarcze kraju—zwróciły umysły ku zagadnieniom, związanym z rolą, jaką odgrywał w danej chwili, a jaką odegrać może w przyszłości lud wiejski.

Rozejrzano się dokoła i zobaczono olbrzymi ugor, leżący odłogiem: milionową masę włościactwa polskiego, pogrążonego

w ciemnocie i w nędzy, niezdolnego ani do postępu ekonomicznego, ani do obywatelskiego odczucia potrzeb kraju, wydane go na łup zniszczeniu, cofającego się w swoim rozwoju i spadającego w swej kulturze poniżej poziomu krajów cywilizowanych.

Ludziom, którzy mieli wrażliwe sumienie narodowe, a wzrok wybiegający po za granice szarego dnia ówczesnego, musiało to nasunąć poważne refleksje.

Jakoż pod wpływem tych refleksyj zaczął się budzić w Królestwie Polskiem ruch ludowy.

Płynąc początkowo nurtem podziemnym, niewidocznym dla oczu niewtajemniczonych, w przedostatnim dziesięcioleciu zeszłego wieku wydobył się on już na jaw i dał znać o sobie społeczeństwu, jako wyraźnie i jasno sformułowany kierunek odrodzonej myśli narodowej.

Po za ekspozyturą jawną, która za pomocą druku propagowała swoje idee i pracowała nad tem, aby przedostały się one do społeczeństwa i zjednały sobie liczniejszych wyznawców, oczywiście, prowadzona była robota, wynykająca się z pod kontroli władz, a zmierzająca najkrótszemi drogami do oświecenia i politycznego uświadomienia ludności wiejskiej.

Nie piszemy historii tego ruchu. Nie przytaczamy więc ani programów, ani też nie zamierzamy zatrzymywać się na poszczególnych jego etapach. W danej chwili obchodzą nas jedynie wyniki, do jakich doprowadziła trzydziestoletnia praca tych, co postawili sobie za cel budowanie przyszłości „przez lud i dla ludu.“

Niewątpliwą jest rzeczą, że przez te lat trzydzieści na wsi polskiej wiele zmieniło się na lepsze.

„Ciernie i głogi“ Konopnickiej, zarastające ścieżkę, prowadzącą z dworu do chaty, zostały znacznie przerzedzone. Wyrwały je dobre i ofiarne ręce, krwawiąc się niejednokrotnie same przy tej robocie. W wielu okolicach kraju stosunki między szlachtą a włościanstwem zmieniły się do tego stopnia, iż miejsce dawno już nieufności, a często nawet nienawiści, zastąpił stosunek sąsiedzki, możliwy o tyle, o ile poziom umysłowy i moralny włościanina podniósł się i pozwolił mu zrozumieć istotny stan rzeczy.

A podniósł się on w niejednej wsi.

Nieznane w innych państwach cywilizowanych stosunki, coraz jawniej prowadzona i w coraz jaskrawszych formach występująca na zewnątrz polityka rusyfikacyjna, dotkliwy brak szkół początkowych, zupełne wypaczenie samorządu gminnego, który przy ścisłem interpretowaniu ustawy gminnej mógł przyczynić się chociaż w pewnym stopniu do obudzenia wśród ludu dążeń oby-

watelskich, samowola administracyi, traktującej kraj, jako podbity i gospodarującej w niem szeroką ręką, nie liczącą się zupełnie z interesami ludności i krzywdzącą te interesy na każdym kroku—wszystko to otwierało powoli włościanom oczy i uczyło ich patrzeć krytycznie na wytwarzające się w kraju stosunki.

Naczelnik powiatu, naczelnik straży ziemskiej i komisarz włościański, czuwający nad tem, aby usposobienie chłopu dla dworu nie uległo żadnej zmianie, znajdowali coraz mniej posłuchu. Zdrowy rozum brał górę.

Jednocześnie krzewiona potajemnie oświata zaczynała przynosić owoce.

W licznych dworach wiejskich odbywało się tajne nauczanie dzieci. Uczono je czytać i pisać po polsku. Lud, który swoim prostym instynktem narodowym rozumiał, jaka mu się dzieje krzywda przez szkołę, gdzie uczono po rosyjsku, tym samym instynktem odczuł, że oświata, którą jego dzieciom dawał dwór wiejski, ma dla niego znaczenie realne, jest tem właśnie, czego mu potrzeba. Oceniając zaś bezpośrednią korzyść tej oświaty, nabierał ufności dla tych, którzy mu ją nieśli nietylko bezinteresownie, ale z narażeniem się na wielką, nawet odpowiedzialność.

W tej pracy cichej, w nieustannej obawie o bezpieczeństwo domu i osób uczących, ogromna rola przypadła w udziale kobiecie polskiej.

Bez zastrzeżeń powiedzieć można, że gdyby nie liczny zastęp kobiet ze sfer ziemiańskich, które wytrwale i z oddaniem się idei odrodzenia kraju przez oświatę, niosły światło pod strzechę chłopską, gdyby nie to poświęcenie, z jakim niejedna z nich oddawała wszystkie swoje wolne chwile, a czasem i wszystkie swoje siły ludowi—lud ten byłby do dziś dnia martwą bryłą, nie biorącą żadnego udziału w życiu narodowym.

Przeważnie z ust pierwszych swoich nauczycielek, z ust owych opatrznosciowych, przesentymentyzowanych w powieści, a w życiu realnem niepospolitą odgrywających rolę „panienek ze dworu”—dzieci i wyrostki wiejskie dowiadywały się poraz pierwszy o teraźniejszości i o przeszłości swojej ojczyzny.

Przez dwór wiejski szły na wieś pierwsze gazety ludowe ¹⁾ i pierwsze książki. Powstawała *literatura ludowa*, zjawiały się

¹⁾ W tym właśnie czasie rozpoczął wydawnictwo *Gazety Świątecznej* ś. p. Konrad Prószyński (Promyk), niezapomniany i niezastąpiony pracownik na niwie oświaty ludowej.

tanie, groszowe wydawnictwa, które początkowo wąskim strumieniem, potem coraz szerszym, zaczęły rozplýwać się z Warszawy po całym kraju. Do rąk ludu dostawały się też zwolna książki lepsze, książki poważniejsze, książki brane bezpośrednio z wielkiego, bogatego skarbcza literatury ojczystej.

Dotarł na wieś „Pan Tadeusz.“ Za nim poszły utwory Kraszewskiego i Orzeszkowej. Wreszcie szeroko otworzyły się chaty wiejskie przed Sienkiewiczem.

I stał się fakt znamieny. *Trylogia* uderzyła w serca i w dusze ludu polskiego z niespodziewaną mocą. Uczyniła ona więcej, niż zazwyczaj o tem sądzą. Pod jej wpływem tysiące chłopów polskich po raz pierwszy zdawało sobie sprawę z tego bliskiego, nierozzerwalnego związku, jaki ich łączył z ziemią ojczystą, z jej dolą i niedolą. Epopeja szlachecka działała na lud, jakby dla niego była pisana „ku pokrzepieniu“ i ku obudzeniu. Jakoż krzepiły się dusze i budziły serca ku nowym, nieznanym dotąd umiłowaniom.

Chwila, w której się to stało, w której powieści historyczne Sienkiewicza „Ogniem i mieczem,“ „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“ znalazły się w rękach chłopskich—była chwilą przełomową w naszym życiu popowstaniowem. Nad wsią polską zaczęło się rozżać niebo przebłyсками wschodzącej zorzy.

Lud, który zaczynał się już czuć ludem polskim, zapragnął *książek i pism polskich*, t. j. książek i pism takich, któreby mu o Polsce mówiły. Zażądał i wyciągnął po nie skwapliwie ręce. Coraz też częściej sami włościanie przewozili z za granicy ukradkiem wydawnictwa niecenzuralne.

Wówczas stosunki, panujące na wsi, zaczęły zmieniać się nadzwyczajnie szybko i ks. Imeretyński, pisząc w kilka lat potem swój słynny memoriał, nie mógł już podtrzymywać zdania swoich poprzedników i twierdzić, że lud wiejski jest warstwą, na której rząd może się w Polsce oprzeć bez zastrzeżeń. Przeciwnie, musiał poczynić zastrzeżenia i to bardzo poważne.

Zastrzeżenia te okazały się o tyle trafne, że wkrótce do szeregów t. zw. przestępców politycznych przybywać zaczęli włościanie. Procesy polityczne, w których do niedawna na liście oskarżonych znajdowali się niemal wyłącznie studenci uniwersytetu i robotnicy, rozpoczęto wytaczać także chłopom. Pociągano ich do odpowiedzialności administracyjnej, więziono i deportowano za działalność oświatową, za kolportowanie książek i pism nielegalnych, za sprowadzanie ich z Galicyi.

Fakty te podnosiły szybko uświadomienie polityczne ludu.

Oświata, wprowadzie jeszcze bardzo niedostateczna i będąca udziałem nie całych mas, ale jedynie wybitniejszych wśród włościaństwa jednostek, zrobiła swoje. Budziły się nowe dążenia, wstawały nowe siły, szukające dla siebie ujścia w coraz śmielszym proteście przeciw istnjącemu stanowi rzeczy.

Chłop był przez długie lata najlojalniejszym poddanym państwa. Płacił regularnie podatki, z punktualnością, nieznana w Rosyi, nie miał żadnych „zaległości“, służył w wojsku, idąc na tę służbę daleko, aż ku brzegom Oceanu Spokojnego, pełnił bez szemrania wszelkie powinności, ulegał we wszystkim naczelnikowi powiatu i strażnikowi ziemskiemu, znosząc pocichu upokorzenia i obelgi, jakie go spotykały nieraz ze strony przedstawicieli władz administracyjnych. Potrafił także opłacać się tym władzom, jeżeli zachodziła tego potrzeba.

Musiał jednak nadejść czas, kiedy ten bierny i posłuszny chłop spostrzegł, że pełni tylko *obowiązki*, nie otrzymuje natomiast wzamian żadnych *praw*. Nie jest gospodarzem w swojej gminie, bo jego uchwała może być w każdej chwili unieważniona, bo wybrany przez niego wójt może nie być zatwierdzonym, bo do szkoły gminnej nie może sprowadzić nauczyciela, któryby uczył jego dzieci po polsku. Nie może posługiwać się swoim językiem ani w urzędzie, ani w sądzie, bo go tam nie rozumieją lub rozumieć nie chcą. Dla stosunków z powiatem musi utrzymywać pisarza, który go nieraz rozmyślnie wprowadza w błąd i wyzyskuje, jak może, ściągając z niego dodatkowe pobory na swoją korzyść.

Rozważając te wszystkie, bezpośrednio go dotyczące sprawy i czując się upośledzonym w porównaniu z obywatelami innych krajów, o których przynosiły mu wieści pisma i książki „niecenzuralne,“¹⁾ chłop zaczął się oryentować w tem, że jednak urządzenie kraju nie odpowiada ani jego potrzebom, ani jego interesom. O tym nastroju umysłów wśród włościan powiedziały ogółowi polskiemu tu i owdzie wszczęte procesy „o opór władzy.“

Kto w tym okresie stykał się z ludem bezpośrednio, mógł stwierdzić, że **jednostki** oświecone, a co za tem idzie uświadomione narodowo i politycznie, zaczęły się szybko mnożyć we wsiach polskich. Dojrzewało i wchodziło w życie młode pokolenie, które nie pamiętało ani pańszczyzny, ani uwłaszczenia, miało nato-

¹⁾ W tym czasie kolportaż wydawanego w Krakowie miesięcznika ludowego p. t. *Polak* był tak rozpowszechniony, że pismo to można było spotkać w ręku każdego inteligentniejszego chłopca w Królestwie.

miast w duszach budzące się poczucie solidarności narodowej i niedość jeszcze skoordynowane, ale już istniejące aspiracje obywatelskie.

Taki stan umysłów zastał wśród ludu w Królestwie Polskiem ruch rewolucyjny 1905 i następnych lat, ruch, który po raz pierwszy zwrócił uwagę całego społeczeństwa polskiego na te głębokie przemiany, jakim uległa dusza chłopska w ciągu krótkiego stosunkowo czasu.

Dzięki tym przemianom wieś polska zajęła stanowisko odporne wobec agitacji demagogicznej i była jedynym czynnikiem ładu i porządku w dobie powszechnego rozstroju, rozprężenia i chorobliwego fermentowania umysłów.

Włościanin polski daleki był nietylko od wszelkich wybryków w rodzaju rosyjskich „zaburzeń agrarnych,” będących w istocie swojej bezmyślną orgią zniszczenia, zamieniającą gromady chłopstwa w bandy podpalaczy i opryszków, ale potrafił nadto utrzymać się w korbach nawet wobec pełnych pokus obietnic socjalistów. Nie uniknęła wprawdzie w tej dobie wieś polska strejków, ale strejki te nie przybrały form jaskrawszych i przeprowadzeniem swoim różniły się wielce od miejskich.

Nie idąc na lep hasel przewrotowych, wieś polska nie korzystała podczas rewolucyi ze sposobności załatwienia swoich rachunków ekonomicznych z dworem, nie myślała o wywłaszczeniu obszarników, nie śpiewała „Czerwonego sztandaru,” ale żądała przede wszystkim języka polskiego w gminach ¹⁾ i szkoły polskiej, następnie zaś poparła jednolicie program autonomiczny, jako hasło, pod którem przeprowadzone zostały wybory do Izby rosyjskiej pierwszego, drugiego i trzeciego powołania.

Podczas tych wyborów lud wiejski zachował się z powagą i nigdzie nie dał się unieść namiętnościom partyjnym, a reprezentacja, jaką dał krajowi ze swojej strony, aczkolwiek nieliczna, zwróciła na siebie uwagę wszystkich. Po raz to pierwszy wówczas wystąpili na szerszą arenę i stanęli przed własnem społeczeństwem chłopci-obywatele tej miary, co posłowie Manterys, Błyskosz, Ostrowski i Nakonieczny.

Wszystko to, razem wzięte, stanowi objawy niewątpliwie pocieszające, objawy, które świadczą o tem, że proces odrodzenia, jaki rozpoczął się w ostatnich latach we wszystkich dziedzinach życia polskiego, nie ominął także i wsi polskiej.

¹⁾ Za powzięte w tej mierze uchwały cały szereg gmin pociągnięty był później do odpowiedzialności, a kilkuset włościan odsiedziało karę więzienną.

Nie omina!—nie znaczy to jednak, że ją przeobraził i zmienił do gruntu. Podkreśliliśmy już poprzednio i podkreślamy z całym naciskiem jeszcze raz, że głębszym przemianom uległy tylko **jednostki** zdolniejsze i wybitniejsze. Poza temi jednostkami stoją atoli w zwartej masie miliony, które dotąd nie wszędzie jeszcze stanowią *nawet* materyał na obywateli i w warunkach istniejących nigdy na obywateli nie wyrosną, jeżeli warstwy oświecone nie podadzą im rychłej ręki i nie dopomogą do podniesienia się na wyższy stopień rozwoju umysłowego, moralnego i ekonomicznego.

Wiemy o tem dobrze i oddawna, że jesteśmy krajem, zepchniętym z drogi normalnego postępu. Wszystko u nas jest opóźnione, wszystko jest zatamowane i nietylko, chcąc dogonić innych, ale chcąc znaleźć się na tym punkcie, na jakim już bylibyśmy, gdyby dane nam było rozwijać się normalnie w ciągu wieku XIX-go, powinniśmy przywdziać siedmiomilowe buty. W każdej dziedzinie naszego życia są braki krzyczące. Wśród ludów europejskich jesteśmy niemal najubożsi i najbardziej zaniedbani we wszystkim. Jeżeli jednak z całą słusnością można to mówić o całokształcie naszych stosunków, to ze słusnością podwójną należy to powiedzieć o wsi polskiej i jej poziomie kulturalnym.

Jest ona uboga i zaniedbana we wszystkim. Dość porównać ją ze wsią niemiecką, aby dojść do przekonania, że trzeba wysiłku ogromnego i to we wszystkich kierunkach, aby drobnemu rolnikowi naszemu dać takie warunki istnienia, jakie posiada drobny rolnik niemiecki.

Nie mamy w ramach niniejszego artykułu miejsca na omówienie szczegółowe różnolitych potrzeb włościanina polskiego. Zaznamy więc tylko ogólnikowo, że brak mu dwóch rzeczy zasadniczych—*oświaty* i *dobrobytu*—do tego, aby mógł wejść na drogę normalnego postępu i rozpocząć inne, lepsze życie.

W tych dwóch rzeczach atoli mieści się wszystko inne, gdyż dopóki w kraju naszym będzie przypadała jedna szkoła ludowa na 2,573 mieszkańców i na 55 wiorst kwadratowych obszaru, dopóki jedna taka szkoła przeznaczona będzie dla 606 dzieci, z których znaczna część mieszka w odległości 2—7 mil od budynku szkolnego, dopóki do tej szkoły uczęszczać będzie zaledwie 11,5% dzieci w wieku szkolnym, pozostałe zaś 88,5% normalnie będą się obchodziły bez nauki, dopóki dalej ubóstwo, graniczące niejednokrotnie z nędzą, będą stałymi towarzyszami doli włościanina polskiego, dopóty postęp kulturalny wsi polskiej będzie zawsze otamowany i nie da wyników pomyślnych.

Po zamknięciu Macierzy Szkolnej, sprawa oświaty ludowej, wchodząca już na tory rozwoju prawidłowego, uległa zawieszeniu. W warunkach chwili obecnej społeczeństwo musi w tej mierze zachować się wyczekująco, gdyż przywrócenie kar za „nauczanie tajne“ (3,000 rb.) odbiera mu możliwość szerszej inicjatywy w tym kierunku i zmusza je do cierpliwego czekania na zmianę usposobienia i zapatrywań rządu.

Tem pilniejszą jednak uwagę w takiej chwili musimy zwrócić na działalność ekonomiczną wśród ludu, działalność, zmierzającą do materialnego podniesienia stanu włościańskiego.

Jeden z najlepszych u nas znawców kwestyi agrarnej, poseł Wład. Grabski, stwierdza bez zastrzeżeń ¹⁾, że w kraju naszym odbywa się obecnie groźny proces niwelowania ludności małorolnej do poziomu, przy którym musowa jest ciężła, nużąca walka z niedostatkiem.

Naturalny przyrost ludności wiejskiej zwiększa coraz bardziej liczbę proletaryatu. Plaga małorolności i bezrolności nie przestaje trapić ludności włościańskiej Królestwa, a przyszłość jest wprost zastraszająca. Powodem tego jest niezmiernie gęste zaludnienie Królestwa. Dość powiedzieć, że w Królestwie na jednostkę rolniczego zaludnienia przypadają zaledwie 2 morgi gruntu, podczas gdy we Francyi widzimy z górą 3 1/2, w Niemczech tyleż, a w Rosyi około 6 morgów.

Przeciętny obszar posiadłości włościańskiej nie może u nas wyżywić rodziny, złożonej z kilku osób. Tymczasem, jeżeli idzie o postęć, ziemia, będąca w posiadaniu drobnego rolnika, powinna dostarczyć mu środków ponad normę żywnościową. Jeżeli ich nie dostarcza, w takim razie należy dać włościaninowi taki fach w rękę, któryby poza rolnictwem mógł mu ten nadmiar środków wytworzyć. Wówczas dopiero wieś będzie mogła dorównać temu prądowi kulturalnemu, jaki się odbywa w miastach.

„Jeżeli—mówi poseł Grabski—nie dopomożemy naszym włościanom do stanięcia na tej stopie, to *naprawdę przyznawać im będziemy jakąkolwiek rolę w naszym organizmie narodowym.*“

Słowa te charakteryzują położenie rzeczy dokładnie i wskazują na całą doniosłość pracy ekonomicznej, jaka przy współudziale warstw oświeconych, zdolnych do działania *dla ludu i z ludem*, powinna być prowadzona na wsi z całym wysiłkiem i poświęceniem.

Jedną z najważniejszych gałęzi tej pracy jest zaś niewątpliwie:

¹⁾ Patrz: Władysław Grabski. „Materiały w sprawie włościańskiej.“ Cz. I.

I.

Przemysł ludowy.

Stan obecny przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem ni-
komu nie jest dokładnie znany. Nie mamy ścisłej statystyki, na
której możnaby się w tej mierze oprzeć bezwzględnie. Jedyną
próbą zgromadzenia bardziej wyczerpujących danych, dotyczących
tego przemysłu, była przeprowadzona znacznym nakładem przez
nieistniejącą już dziś Sekcję przemysłu ludowego przy Warszaw-
skim oddziale Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu—
ankieta, uwieńczona stosunkowo pomyślnym, jak na nasze stosun-
ki, rezultatem.

Wiadomo, że wszelkie kwestyonaryusze, rozsyłane u nas do
osób dobrej woli, tak z pośród inteligencji miejskiej, jak wiej-
skiej, pozostają zazwyczaj bez odpowiedzi, lub powracają w tak
małej liczbie, że dane, których dostarczają, nie mogą służyć do
żadnych wniosków.

Inaczej było z kwestyonaryuszami Sekcji. Powróciła ich
stosunkowo znaczna ilość i przyniosła z sobą materyał obfity.
I tak przez cały czas trwania ankiety napłynęło: kwestyonaryuszy
ogólnych 593, szczegółowych 727.

W rozkładzie na poszczególne gubernie wygląda to, jak na-
stępnie:

		<i>kwest. ogólnych</i>	<i>kwest. szczegółowych</i>
gub. radomska	dała	92	67
" kielecka	"	85	66
" lubelska	"	89	136
" siedlecka	"	44	58
" łomżyńska	"	26	138
" suwalska	"	30	56
" płocka	"	43	37
" warszawska	"	66	38
" kaliska	"	68	97
" piotrkowska	"	50	34

Materyał, zebrany przez ankietę, niestety, dotychczas nie zo-
stał ani odpowiednio opracowany, ani ogłoszony drukiem, mimo,
że stanowi on jedyne u nas źródło do jakiego takiego zaznajo-
mienia się z przemysłem ludowym. Są to przeważnie surowe da-

ty, wymagające bardzo umiejętnego i rozważnego zestawienia, aby mogły dać istotny obraz drobnego przemysłu wiejskiego.

Dzięki uprzejmości d-ra Karola Benni'ego, prezesa i troskliwego opiekuna założonego niedawno *Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem*,¹⁾ mieliśmy możliwość rozejrzenia się w zdobytych przez ankietę informacjach, które też rzuciły nam niemało światła na obchodzący nas przedmiot.

Wrażenie ogólne, jakie dają wyniki ankiety, nie jest dodatnie. Ze wszystkich niemal odpowiedzi, nadesłanych z rozmaitych stron kraju, w poważnej bądź co bądź ilości — bije skarga na niski stan przemysłu domowego, na jego upadek i zanik.

W wielu miejscowościach, do niedawna jeszcze ruchliwych pod względem przemysłowym, wyrabiających na własny użytek włóścian płótno, sukna, kozuchy, powrozy i t. d., w ostatnich latach kilkunastu rozpoczęło się powolne zamieranie inicjatywy przemysłowej. Pierwotność warsztatów, brak odpowiednich narzędzi i mała kultura pracy przemysłowej sprawiły, że wyroby fabryczne wypierają z łatwością wyroby przemysłu domowego i odbierają włóścianom ochotę do zastąpienia nimi taniej i łatwo dla każdego dostępciej tandety.

Z drugiej jednak strony, tam, gdzie dotarła kultura, gdzie z inicjatywy dworu lub z ramienia dawnej Sekcji przemysłu ludowego zatroszczono się o podniesienie poziomu wytwórczości ludowej, gdzie sprowadzono ulepszone warsztaty i postawiono przy nich instruktorów, ludność wiejska okazała zupełną ochotę do pracy i przemysł się ożywił.

Daje to poniekąd wystarczającą rękojmię na przyszłość i wskazuje, że przemysł ludowy może być podźwignięty z upadku i może rozwijać się pomyślniej, trzeba tylko zaopiekować się nim poważnie i troskliwie.

¹⁾ Gorączka emigracyjna do Brazylii w r. 1893 zwróciła w Warszawskim oddziale Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu uwagę na ubóstwo ludu i na potrzebę wyszukania środków w celu przysporzenia mu dochodów. Pod tym wpływem powstała przy oddziale „Delegacja przemysłu ludowego,” która trwała do r. 1898. W tym roku zawiązano oddzielną „Sekcję przemysłu ludowego,” która pracowała do końca 1907 r., z początku pod przewodnictwem ś. p. Józefa Jeziorańskiego, a od r. 1899—d-ra K. Benni'ego. Kiedy dn. 20 grudnia tego roku rozwiązała się, przelała cały swój majątek nieruchomy i ruchomy wraz z remanentem kasowym do zarejestrowanego na mocy postanowienia Komisji gubernialnej warszawskiej dla stowarzyszeń i związków z dn. 7 września 1907 r. „Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem.”

Opieki tej i troskliwości wymagają przedewszystkiem te działy, które potrafiły się dotychczas utrzymać, lub które z łatwością przyjmują się wśród ludu, mającego większą oświatę i samodzielniejsze dążenia ekonomiczne.

Do takich gałęzi przemysłu ludowego należą: *tkactwo lniane i wełniane, koszykarstwo, przemysł drzewny* ze specjalnym swoim odłamem, noszącym miano *zabawkarstwa i gurncarstwo*.

Te cztery działy domagają się przedewszystkiem opieki, gdyż one mogą stanowić najważniejszą dźwignię dobrobytu ludności wiejskiej. W innych działach praca wytwórcza naszego ludu jest tak nieznaczną, że narazie możemy je bez żadnej szkody dla całokształtu rzeczy zupełnie pominąć.

Zobaczmy teraz, jak o każdym z wymienionych działów informuje nas ankietą.

Tkactwo lniane istnieje niemal na całej przestrzeni kraju, jako najstarsza gałąź przemysłu domowego, pozostającego przeważnie w rękach kobiet.

Ludność włościańska zaspokaja tą drogą przedewszystkiem własne potrzeby. Mało gdzie wyrób płótna przekracza granicę tych potrzeb i stanowi źródło dochodu ubocznego dla gospodyni wiejskiej.

W gub. radomskiej tkają płótno:

w powiecie radomskim w gminach: Przytyk, Zakrzew, Wieniawa, Gembarzew, Wolanów, Potworów, Zalesice, Wierzbina, Rogów, Kozłów, Białobrzegi, Stomice i Rodzanów;

w powiecie opoczyńskim w gminach: Janków, Owczary, Radonia, Rdzuchów, Niemamirowice, Drzewica, Chrzczonów, Skrzynisko, Gielniów, Opoczno, Stuzno, Kuniczki, Wielka Wola i Topolica. Mieszkańcy gmin Rdzuchów i Niemamirowice przodują w wyrobie płótna i tkają je nietylko na własne potrzeby, ale także na zamówienie i sprzedaż; gminy te stanowią jedyny wyjątek w całej gubernii;

w powiecie iłżeckim w gminach: Lipsko, Solec, Chodcza, Dziurków, Krzyżanowice, Ciszycza, Pętkosice, Pawłowice, Hża, Miechów, Łaziska, Czepielów, Rzepin, Wierzbnik i Tarczek;

w pow. koneckim w gminach: Dobromierz (wieś Raczek), Stanowiska, Mrowina, Czeremno, Pijanów, Borkowice, Gowarczów, Góry Mokre i Przedbórz;

w pow. kozienickim w gminach: Policzna, Jedlnia, Tczów i Zwolen;

w pow. sandomierskim w gminach: Wilczyce, Lipnik, Łomów, Osiek i Połoniec;

w pow. opatowskim w gminach: Grzegorzowice, Sadowie, Opatów, Stara Słupia.

W gub. lubelskiej:

w pow. lubartowskim w gm.: Chudowola, Kamionka, Rudno, Samokłęski, Czemierniki, Dębica, Tarło, Łucka, Luszawa, Ludowin i Puchaczów;

w pow. janowskim w gm.: Zaklików, Kawenczyn, Urzędów, Potok, Trzydnik, Zakrzówek, Janów, Polichna, Dzierżkowice, Wilkołaz, Annopol, Modliborzyce, Brzozówka i Wierzchowiska;

w pow. puławskim w gm.: Szczekarków, Markuszew, Karczmiska, Celejów, Zemborzyce, Kurów (miasto i gmina), Drzewce, Wąwolnica, Rybitwy.

Ciekawy do zanotowania i pouczający fakt dotyczy tkactwa w Drzewcach.

Znajdowało się ono tam w zupełnym upadku, z którego podniosła je inicjatywa Spółki rolniczej włościańskiej „Zgoda.“ Spółka ta sprowadziła na własną rękę 8 ulepszonych warsztatów, z których 5 jest we wsi Obliźniaku, 1 w Końskowoli, 1 w Zawadach i 1 w Kowali. Wyników wybitniejszych dotychczas nie osiągnięto, jest jednak nadzieja, że usiłowania Spółki oraz pomoc niedawno powstałego w Nałęczowie sklepu w domu ludowym przyczynią się do utrwalenia tkactwa w tej gminie;

w pow. tomaszowskim w gm.: Krynice, Tomaszów, Jarczów, Kotlicza, Komarów, Rachonie i Tyszowce;

w pow. lubelskim w gm.: Jabłonna, Krzczonów, Chmiel, Biskupice i Bełżyce.

Ośrodkiem głównym tkactwa jest tu parafia Krzczonowska, którą zamieszkuje około 300 tkaczy. Do parafii należą wsi: Krzczonów, Łuków, Olszanka, Piotrków, Chmiel, kilka Majdanów, oraz Sobieska Wola z pow. Krasnostawskiego.

W powiecie zamoyskim jest do 200 tkaczy. Masę płótna zużytkowują tam włościanie na t. zw. *parcianki*, które uważają za ubiór świąteczny. Parciankę taką posiada każdy włościanin i naciaga ją na kozuch lub kapotę. W Krasnobrodzie i Frampolu Żydzi kupują motki przędzy w najgorszym gatunku, z których wyrabiają płótno t. zw. *wałowe* na wańtuchy, czyli płachty, używane do przenoszenia ściółki, kartofli, słomy i t. d. Handlarze skupują i wysyłają te wańtuchy do Zamościa, a nawet dalej. Prym w wytwórczości tego powiatu trzyma Frampol, gdzie jest do 280 warsztatów, w tej liczbie 30 w rękach żydowskich. Nadto pracują gminy: Zamość, Krasnobród, Wojsławice, Skierbieszów, Sokółka, Zwierzyniec i Szczecbrze.

W powiecie biłgorajskim znajduje się 930 warsztatów tkackich podług obliczeń urzędowych, jest ich jednak bezwarunkowo więcej i śmiało można przyjąć dla nich liczbę z górą 1000. Oprócz zaspokajania potrzeb miejscowych, pow. biłgorajski produkuje znaczną ilość płócien na eksport do gub. kieleckiej i radomskiej, gdzie tkactwo upada.

Każdy warsztat produkuje *na wywóz* płócien przeciętnie za 50 rb., co w ogólnej sumie daje 50,000 rb.

Na potrzeby miejscowe liczyć trzeba mniej więcej 20 łokci na głowę, co przy cenie najmniej 11 kop. za łokieć da 2 rb. 20 kop. na osobę, a w ogólnej sumie wyniesie 241,909 rb.

Razem więc z sumą poprzednią wartość wyrobionego w biłgorajskim płótna przedstawia się w kwocie 291,909 rb.

Świadczy to o dużym rozwoju tkactwa w pow. biłgorajskim. Wbrew temu, co dzieje się gdzieindziej, nie upada tu ono, ale, przeciwnie, co rok się podnosi.

W powiecie hrubieszowskim tkają wogóle niewiele. Jedy-nym, zasługującym na bliższą uwagę punktem jest tu wieś Dziekanów, gdzie, oprócz płótna, włóścianki wyrabiają obruski i ręczniki, t. j., wzorzyste lniane tkaniny, nie rozpowszechnione jednak szerzej.

Gubernia łomżyńska pod względem tkactwa lnianego nie przedstawia się zajmująco. Wyróżniają się jedynie dwa jej powiaty: ostrołęcki i ostrowski.

W powiecie ostrołęckim, stolica Kurpiów, Myszyniec, wyrabia sporo płótna, które ludność miejscowa sprzedaje na targach handlarzom, ci zaś rozwożą je po całym kraju, docierając do najodleglejszych jego kątów.

W pow. ostrowskim tkają gminy: Orłów (wieś Daniłów), Czyżewskie, Broniszczyk, Kulbosze-Koty, Zareby, Jasienica i Ostrowiec.

W *gub. kieleckiej* przemysł tkacki, na ogół biorąc, upada. Młoda generacya niema zaufania do pracy na warsztatach domowych i chętnie ucieka do fabryk w Zawierciu i Częstochowie.

Najpoważniejszą próbą podźwignięcia tam przemysłu tkackiego są usiłowania hr. Dąbskiego. Sprowadził on do Kaliny Wielkiej 12 warsztatów ulepszonych. Przy każdym z tych warsztatów pracuje 6 — 8 ludzi. Nadto, oprócz pracujących na warsztatach, są jeszcze w Kalinie dziewczęta, używane do szpulania przędzy na osnowy i małe cewki.

Drugim punktem, zasługującym na wymienienie, jest wieś Senisławice w gminie Opatowiec. Na początku 1903 r. dwaj parobcy z Senisławic ukończyli praktykę tkacką i osiedli we wsi

rodzinnej, pragnąc poświęcić się wyłącznie tkactwu. Obecnie mają dwa małe warsztaty, na których wyrabiają ręczniki, obrusy, ścierki i t. d. Przędzę sprowadzają od hr. Dąbskiego z Kaliny pod Miechowem. Przy ograniczonych jednak środkach i małym, jak dotychczas, poparciu — produkcyja ich wzrasta bardzo powoli.

W *gub. kaliskiej* centrem tkactwa jest Zduńska Wola. Tkactwem fabrycznem zajmuje się tam 2,470 osób. Tkactwo domowe dzieli się na dwa rodzaje: 1-o) *bawełniane*, które zatrudnia 450 warsztatów, z tego 50 chrześcijańskich, reszta żydowskich i 2-o) *reęczne wełniane*, zatrudniające 500 warsztatów, wyłącznie chrześcijańskich. Wśród pracujących $\frac{1}{4}$ część stanowią kobiety, ilość zaś dzieci zatrudnionych dochodzi do 5%.

Drugim w tej gubernii ośrodkiem tkactwa jest Władysławów. Warsztatów tkackich, wyrabiających towary bawełniane, jest około 200 w jednej tylko parafii Russocice. Tkacze otrzymują bawełnę od przedsiębiorców miejskich, przerabiają ją i towar gotowy odstawiają do Turka. Oprócz gospodyń wiejskich, wyrabiających płótna na użytek własny w sposób pierwotny, wszyscy posiadają już warsztaty ulepszone, z czółenkami, przerzucanemi mechanicznie, i mogą wyrabiać dziennie po 16 łokci bieżących.

W łęczyckiem — blizkie stosunki z miejscowościami fabrycznemi (Ozorków, Zgierz, Łódź) zasypują miasteczka resztkami płócien, bawełniaków i perkali. Taniość tych towarów, sprzedawanych za bezcen na jarmarkach, przyciąga lud wiejski, oduczając go jednocześnie od samodzielnej pracy wytwórczej.

Wyjątek stanowią Poddębice, gdzie tkacze, zajmujący się wyrobem płótna, robią też chodniki z odpadków krawieckich, które kupują od miejscowych krawców i szwaczek. Chodniki te, robione na postawie lnianym, znajdują chętnych nabywców po 10—15 kop. za łokieć.

Wogóle jednak w całym powiecie tkactwo upada z jednoczesnym zanikiem zamiłowania do dawnych, malowniczych strojów ludowych. Tandeta fabryczna idzie tu zwycięzko naprzód.

Jaskrawym przykładem upadku tkactwa w ziemi kaliskiej jest wieś Tłokinia w gminie Opatówek pow. kaliskiego. Do niedawna wyrabiano tam płótna przeciętnie za 50,000 rb. rocznie. Przemysł ten przynieśli z sobą Czesi i Niemcy austriacy, sprowadzeni w r. 1827. Początkowo przyjął się on i rozpowszechnił. Z biegiem czasu jednak, wobec powstających dookoła fabryk, tkactwo domowe zaczęło upadać. Potomkowie dawnych tkaczów wyprzedali swą ziemię miejscowym gospodarzom, a sami wynieśli

się do Pabianic i Zduńskiej Woli. Ci zaś nieliczni, którzy pozostali, narzekają na brak roboty.

Istnieje w kaliskiem jeszcze jedna forma przemysłu domowego, którą tu warto podkreślić. Oto tkacze w osadzie Brudzew, tudzież w Józefowie i w Dzierżgni wyrabiają tkaniny na warsztatach, stanowiących wraz z przędzą własność handlarzy miejskich. Jest to już na wskroś kapitalistyczna postać niewoli ekonomicznej.

Gubernia piotrkowska, jako najbardziej przemysłowa i posiadająca kilka wielkich centrów fabrycznych, z natury rzeczy nie może się poszczycić rozwiniętym przemysłem domowym.

Ślady tego przemysłu pozostały jeszcze w powiecie łaskim, aczkolwiek przybrały już formę swoistą. Przemysł tkacki, czyli, jak go tam nazywają, *weberski*, jest w powiecie rozwinięty, ale tkacze, którzy robią dla fabrykantów i pośredników, są bardzo przez nich wyzyskiwani i bieda wielka wśród nich panuje. W ostatnich latach wskutek kryzysu łódzkiego bieda ta jeszcze się zwiększyła i tkactwo domowe zaczęło upadać na dobre.

Podobnie dzieje się w pow. częstochowskim, w Grabówce, gdzie przemysł znajdował się wyłącznie w rękach kolonistów niemieckich. Obecnie przemysł ten upada.

W Hucie (gm. Wrzosowa) zaprowadzili tkactwo Niemcy. Od nich nauczyła się pracy ludność miejscowa i obecnie około 25% tkaczy stanowią Polacy.

Szczęśliwą próbę pchnięcia przemysłu domowego na szersze tory podjął w częstochowskiem p. Antoni Janowski z Brzezia, który zakupił kilka ulepszonych warsztatów i uczy na nich tkactwa włóścian, sprzedając ich wyroby przy pomocy sklepu rolniczego w Częstochowie.

W Kamienicy Polskiej, w tymże pow. częstochowskim, zaprowadzili tkactwo Czesi. Obecnie pracuje już drugie i trzecie ich pokolenie, zupełnie spolszczone. Rdzenni natomiast Polacy nie zajmują się tkactwem zupełnie.

Podobnie w Czarnym lesie, w gm. Kamyk, pracują, jako tkacze, wyłącznie spolszczeni Niemcy.

W *gub. siedleckiej* najkorzystniej dla tkactwa przedstawia się powiat bialski. Przodują w nim: gmina Kobylany Nadbużne, gdzie tkactwo rozpowszechnione jest ogólnie, oraz gm. Sitnik, dzięki temu, że w okolicy rozpowszechniony jest zwyczaj dawania służbie dworskiej po kilka prętów ziemi pod len, z którego wyrabiają następnie płótno.

W innych powiatach rozwój tkactwa lnianego jest o wiele słabszy, a w pow. sokołowskim upada ono zupełnie i żadnych niema widoków na przyszłość.

W *gub. płockiej* tkactwo jest bardzo zaniedbane. Typowy przykład tego zaniedbania daje powiat rypiński, gdzie wskutek bliskości granicy, ciągłych wędrówek małorolnych i bezrolnych do Prus i Ameryki, lud nie chce słuchać o zajęciu domowem i lekceważy sobie drobne, płynące stąd, zarobki.

Podobnie w pow. lipnowskim przemysł tkacki zaginął zupełnie.

Korzystniej nieco przedstawia się jedynie powiat płocki, a to dzięki inicjatywie i usiłowaniom p. Zdz. Jaroszewskiego z Brodów, który założył w Bodzanowie pracownię tkacką, gdzie przy 4 warsztatach obrót roczny wynosi około 2,000 rb.

W *gub. suwalskiej* tkactwo w jednych powiatach stoi bardzo dobrze, w innych upada.

Wyróżnia się gm. Kadaryszki, gdzie w każdej wiosce jest po kilka warsztatów, lepsze tkaczki są zawałone robotami na zamówienie i surowym materiałem. Warsztaty jednak są niedość udoskonalone i jedną z najpierwszych potrzeb tej gminy jest wprowadzenie lepszych warsztatów.

Również rozpowszechnione jest tkactwo w Zyplach, gdzie jednak ludność tka płótno na własne potrzeby.

W powiatach pogranicznych tkactwo upada, a w powiecie sejneńskim upadło już zupełnie.

W *gub. warszawskiej* upadek przemysłu tkackiego postępuje bardzo szybko i niema w niej ani jednego powiatu, któryby dawał jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość.

Taki jest w kraju naszym stan tkactwa lnianego. Zobaczmy teraz, jak się przedstawia tkactwo wełniane.

Ogólnie biorąc, jako przemysł domowy, znajduje się ono w upadku jeszcze większym, niż tkactwo lniane. Gdziekolwiek tylko istnieją ogniska tkackie, które mogą przy odpowiedniej pomocy społeczeństwa nie tylko przetrwać dłużej, ale wywierać zarazem wpływ korzystny na odrodzenie tej ważnej gałęzi przemysłu na całym obszarze kraju.

Spróbujmy tych ognisk poszukać.

Zestawiając materiał, zebrany w tym kierunku przez ankietę, widzimy, iż stan rzeczy bynajmniej nie przedstawia się jednolicie. W jednych guberniach jest tak, w innych nieco inaczej.

W *gub. radomskiej* np. tkactwo wybitnie upada. Włościanie tkają jeszcze wprawdzie na własną potrzebę, ale niewiele.

Przeważnie uciera się zwyczaj oddawania przedzy specjalistom za opłatą od łokcia, a to dlatego, iż fachowcy, tkając na lepszych warsztatach, wyrabiają tkaniny w deseń, bardziej przypadające do upodobań ludu.

Wyjątek w całej gubernii stanowią dwie gminy: Wierzbnik i Jedlnia. W Wierzbniku wyrabiają sukno na sukmany, zapaski, fartuchy i narzutki.

Ożywiony ruch tkacki w tej gminie tłumaczy się tem, że wsie, należące do gminy Wierzbnik, położone są między lasami rządowymi a lasami, należącymi do Towarzystwa fabryk Starchowickich. Wobec dogodnych warunków pastewnych włościanie tych okolic hodują dużo owiec i mają pod dostatkiem wełny.

Podobne warunki są w gminie Jedlnia. Pracuje tam 30 tkaczy, uważających tkactwo, jako swój główny zarobek.

Nadto zasługującym na uwagę ośrodkiem tkactwa w gub. radomskiej, jak zresztą świadczy sama nazwa, jest Tczów, gdzie ludność miejscowa wyrabia barwne kilimki i chodniki, znajdujące chętnych nabywców w dworach okolicznych i nawet w Radomiu.

Nie lepiej przedstawia się tkactwo wełniane w *gub. lubelskiej*.

W powiecie zamoyskim upada ono zupełnie wobec coraz większego rozpowszechnienia wyrobów fabrycznych.

W pow. tomaszowskim istnieje wprawdzie, ale rozwija się słabo. Możliwe jednak, że przez sprowadzenie warsztatów ulepszonych i dostarczenie włościanom odpowiednich wzorów udałoby się tam tkactwo podtrzymać.

Podobnie jest w innych powiatach, gdzie ludność tka mało i wyłącznie na własne potrzeby.

Najkorzystniej przedstawia się pow. lubartowski, a w nim wieś Dębica w gm. Czemierniki. Tkaniny własnej roboty cieszą się tam wielkiem zaufaniem i bardzo są przez włościan noszone. Wełniaki miejscowego wyrobu są jednak tylko w pasy, w pogoni zaś za urozmaicheniem deseniu i tu sprowadzają skądinąd wyroby barwniejsze.

Ruchliwą pod względem wyrobów tkackich jest także gmina Szczekarków pod Puławami. Wyroby półwełniane służą tam za zwierzchnią odzież dla kobiet. Wełna, używana do tych wyrobów, jest albo *czarna* (ciemno-brunatna) i tę używają w barwie naturalnej, albo *biała*, którą barwią na ciemno-niebieską (indigo). Rzadziej używają nici innych barw i to tylko na szlaki.

W ostatnich latach, staraniem p. Maryi Kleniewskiej z Kluczkowic, powstały w tej gminie, ulepszone na sposób szwedzki, warsztaty, na których wyrabiają wyroby ozdobniejsze. Młodsze poko-

lenie uczy się już tkąć na tych warsztatach i jest nadzieja, że w ten sposób tkactwo w tej gminie rozwinie się w przyszłości i stanie na poziomie znacznie wyższym, niż gdzieindziej.

Przędę do wyrobów na nowych warsztatach sprowadza się z fabryk.

W *gub. łomżyńskiej* ¹⁾ tkactwo przetrwało dotąd w Wiznie, gdzie jest 300 warsztatów starodawnych, produkujących jednak mało i bez powodzenia.

W Drozdowie u pp. Lutosławskich jest tkacz i warsztat mechaniczny, ludność miejscowa nie popiera jednak wyrobów drozdowskich.

Przyczyny tej obojętności szukać należy w tem, że fabryka ciechanowska wyrugowała wogóle tkactwo domowe z powiatów: łomżyńskiego, ostrowskiego i mazowieckiego. Fabryka ta otrzymuje od właścian tyle roboty „na zamówienie,” że trzeba nieraz czekać po trzy miesiące na wyrobienie przez nią obstalunku.

W Myszyńcu, w pow. ostrołęckim, pracuje 50—80 tkaczów, ale emigracya do Ameryki stopniowo zmniejsza ich liczbę i—można przypuszczać—że wkrótce ulegnie ona znacznej redukcji.

W *gub. kieleckiej* tkactwo wełniane upada, nie wyłączając nawet słynnych niegdyś z wyrobu sukna na sukmany Filipowie w pow. pińczowskim.

Punktem, w którym tkactwo mogłoby się rozwinąć, jest Kromków, gdzie pracuje dzisiaj 6-iu sukienników, wyrabiających sukno grube z wełny niepranej. Brak jednak instruktora nie pozwala tej produkcji podnieść się na poziom wyższy.

W *gub. piotrkowskiej* wyroby fabryczne wypierają zupełnie sukna i wełniaki wyrobu domowego. Wskutek coraz mniejszej ilości pastwisk, zmniejszyła się też tam w ostatnich czasach znacznie hodowla owiec, wobec czego właścianie mają coraz mniej wełny.

Ośrodkami tkactwa pół-fabrycznego są tu Bełchatów i Bujny.

W Bełchatowie mieszka 35 pośredników i 5 fabrykantów, którzy sprowadzają przędę bawełnianą i wełnianą z Łodzi i oddają tkaczom w Bełchatowie i wsiach okolicznych. Tym sposo-

¹⁾ Do szczęśliwych usiłowań, podjętych w tej gubernii w ostatnich czasach, należą warsztaty p. Apoznańskiej z Rusi, wyrabiające ozdobniejsze kilimki. W połączeniu z pracą p. Polnana w Lipnicy, p. Urbanowskiego z pod Warszawy, i pp. Plater z Borka, usiłowania te mogą pełnić kilimkarstwo na tory poważniejszego rozwoju.

hem zatrudniają do 3,000 warsztatów, na których pracuje 400 kobiet, reszta mężczyźni, w tem $\frac{2}{3}$ chrześcijan, $\frac{1}{3}$ żydów. Wyroby materyał (multany, cągry, flanele, szewioty, kamgarny i kordy) idzie następnie do Łodzi — do apretury, farbiarni i magli.

W Bujnach, w promieniu mili kwadratowej, jest do 2,000 tkaczów.

Po za tem na całym obszarze gub. piotrkowskiej tkactwo po wsiach upada zupełnie. Wyroby fabryczne docierają z łatwością do najmniejszych nawet wiosek, a blizki stosunek ludności z wielkimi centrami życia fabrycznego narzuca tej ludności coraz bardziej ubiór miejski.

Stosunki w *gub. kaliskiej* poznaliśmy już przy omawianiu tkactwa lnianego. Wyroby fabryczne są tam również górami.

W *gub. siedleckiej* słaba hodowla owiec przyczyniła się także do upadku tkactwa. Wprawdzie tu i owdzie włościanie tkają samodzielnie na użytek domowy, ale materyały fabryczne konkuruje z nimi zwycięsko i stopniowo wypierają je z użycia.

Wyróżniają się w pow. włodawskim wsie Horodyszczce i Dubica, gdzie włościanki miejscowe tkają barwne kilimki i spódnice na użytek własny.

W *gub. płockiej* stosunki układają się podobnie. Hodowla owiec upadła zupełnie, a ztąd i tkactwo znajduje się w stanie pożalowania godnym.

W miejscowościach takich, jak Łubki i Daniszew, gdzie do niedawna jeszcze ubierano się w wyroby własne, dziś kobiety tylko, i to starsze, noszą jeszcze wełniaki domowe, młodsze zaś już się tego stroju wstydzą i nie umieją nietylko tkać wełny, ale nawet robić płótna.

Charakterystyczne stosunki panują w powiecie mławskim. Blizkie sąsiedztwo granicy pruskiej zabiło tam zupełnie przemysł drobny, a tkactwo doprowadziło do zupełnego zaniku. Tandeta pruska jest niemal w powszechnem u ludu użyciu.

Zupełnie inaczej, pomimo podobnych warunków granicznych, stoi tkactwo w *gub. suwalskiej*. Ludność miejscowa produkuje stosunkowo dużo samodzielnie na użytek własny i chętnie się nim posługuje. Wyróżnia się pow. władysławowski, a w nim gmina Świątorzynie, gdzie przechował się, podtrzymujący obecnie tkactwo, dawny zwyczaj odkładania dla córek, poczynawszy od 15-go roku ich życia, od każdej sztuki wyrobionego materyału po jednej spódnicy do wyprawy.

W *gub. warszawskiej* tkactwo wełniane stoi bardzo nisko, a szybkie rozpowszechnianie się wyrobów fabrycznych grozi mu

rychłym i zupełnym zanikiem. Wyjątek stanowi jedynie ks. Łowickie, słynne ze swoich, produkowanych jednak w znacznej wielkości na sposób fabryczny, wełniaków w Łowiczu.

Oto mamy obraz możliwie dokładny dzisiejszego stanu przemysłu tkackiego w Królestwie Polskiem. Zapewne, brak tu wielu szczegółów, niezbędnych dla ekonomisty. Niepodobna np. obliczyć, jaka jest wartość produkowanych przez włościan płócien i tkanin, jaką rolę produkcja ta odgrywa w budżecie przeciętnej rodziny włościańskiej, w jakim stosunku przypada ona na głowę ludności i t. d. Z danych jednak, jakie zgromadziła ankieta, a jakie są jedynem, blizkiem prawdy źródłem do zaznajomienia się z przemysłem drobnym, nie można było nic więcej wydobyć.

Wstrzymując się z wyprowadzeniem wniosków i odkładając omówienie najpilniejszych potrzeb przemysłu tkackiego do innego rozdziału tej pracy, przechodzimy obecnie do drugiej, ważnej gałęzi przemysłu domowego, t. j. do *koszykarstwa*.

Znana nam już ankieta Sekcyi przemysłu ludowego stwierdziła istnienie przemysłu koszykarskiego we wszystkich guberniach Królestwa, aczkolwiek jest on bardzo rozmaicie uprawiany.

I tak, w *gub. radomskiej*, w pow. radomskim, odnaleziono w gm. Wolanów 9 koszykarzy, wyrabiających kosze do gospodarstwa, wasagi, kosze do kartofli i do chmielu. Zarobek ich dzienny nie przenosi 30—40 kop. W gminie rzeczniowskiej kilkudziesięciu koszykarzy wyrabia przedmioty z łyżka (korzenie sosnowe).

W pow. iłżeckim, w gm. Czysyca, Pętkosice, Pawłowice i Dziurków odnaleziono po kilkunastu koszykarzy, którzy zajmują się oplataniem wierzby ścian śpichrzy. Ci zarabiają przeciętnie po 1 rb. dziennie.

W gminach Lipsko, Solec i Chodcza pracuje do 150 koszykarzy. Tutaj też istnieją obszerne plantacje łożyny.

W pow. kozienickim, w gm. Stromce 5 koszykarzy przerabia około 500 centnarów wierzby rocznie. Wyroby swoje zbywają ogrodnikom warszawskim.

W pow. sandomierskim, w gminach Obrazowo i Samborzec pracuje kilka rodzin koszykarzy. Wierzby dzikiej na brzegach Wisły posiadają dużo, tak, że zbywają ją nawet za granicę za pośrednictwem Żydów. Wyrabiają przeważnie kosze gospodarskie.

W pow. koneckim w 3-ch gminach jest 32 koszykarzy, którzy wyrabiają wyłącznie kosze na potrzeby gospodarstw wiejskich.

W *gub. lubelskiej*, w pow. lubartowskim, koszykarstwem zajmuje się 350 ludzi, a mianowicie: w gm. Luszawa 300, w gm. Tarło 50, w gm. zaś Czemierniki literalnie każdy włościanin umie

pleść kosze. Przy wyrobie koszy z okorowanej wikliny zarabiają po 22 — 80 kop. dziennie; przyczyny tak małego zarobku należy szukać w pośrednictwie Żydów, którzy zarówno dostarczają materiału, jak i zajmują się sprzedażą wyrobów gotowych.

Pod Puławami, w gm. Szczekarków jest 100 — 130 koszykarzy. Mają oni obszerne plantacje dziko rosnących gatunków wierzby i wyrabiają kufry, walizy i kosze do gospodarstwa. Rocznie zarabiają 100 — 150 rb. na głowę.

Na Charzu, w Nałęczowie, istnieje warsztat wzorowy, założony przez Sekcję ludową i rozwijający się pomyślnie. Podobny warsztat założyli pp. Kleniewscy w Kluczkowicach.

W pow. janowskim 30 kobiet i dziewcząt wyrabia drobne przedmioty z łyeczka.

W pow. zamoyskim w każdej wsi jest koszykarz domorosły, zaspokajający potrzeby miejscowe.

W pow. tomaszowskim, w gm. Majdan górny, istnieje 15 koszykarzy, ale z braku przygotowania wyrabiają tylko kosze do gospodarstwa. Zarabiają lichy.

W *gub. kieleckiej*, w pow. miechowskim, w gm. Zagórze Wielkie, mieszka 13 koszykarzy. W gm. Miechów pracuje około 70 koszykarzy, którzy wysyłają swój towar do Łodzi, Częstochowy i Piotrkowa. Około 60 z nich wyrabia t. zw. półkoszki i wasagi. W gm. Wawrzeniec pod granicą galicyjską rozwinął się specjalny przemysł bielenia wierzby, przywożonej z Galicji i po wybieleniu napowrót tam odsyłanej. Zajmuje się tem zgórą 100 ludzi.

W pow. pińczowskim, w gm. opatowskiej, do 30 koszykarzy wyrabia rocznie towaru za 3,000 rb. Pośrednikami są tu Żydzi, którzy zbywają wyroby miejscowe do Radomia i Warszawy.

Dwie wsie, Przejałyków i Piotrowice, wyrabiają na obstatunek dla Żydów rocznie około 20,000 sztuk plecionek na butle do kwasów.

W innych gminach tego powiatu pracuje po 20 — 30 koszykarzy, zarabiających + 50 kop. dziennie. Wyroby ich idą na potrzeby miejscowe. Praca trwa około 3 miesięcy w roku.

W pow. olkuskim na ogół znajduje się 30 — 40 koszykarzy, którzy wyrabiają przeważnie na potrzeby gospodarskie.

W pow. stopnickim w 5-iu gminach znajduje się 104 koszykarzy. Są tu już *majstrowie* i *czeladź*. Wyrabiają kosze i walizy. Wyroby te stoją jeszcze na bardzo niskim poziomie technicznym.

W gminie pawłowskiej jest 60 koszykarzy. Majstrowie zarabiają po 60 kop., czeladnicy po 30 kop. dziennie. Towar sprzedają Żydom.

W pow. kieleckim trudni się koszykarstwem zaledwie 10—15 ludzi.

W *gub. płockiej* koszykarze wyrabiają tylko na sprzedaż. Koszykarstwo skupia się tam przeważnie w pow. lipnowskim.

W gminie Szpetal w chwili zbierania wiadomości przez Sekcyę było 7 majstrów i 14 czeladników. Wierzby jest obfitość nad Wisłą. Cena jej sprzedażna waha się w granicach 5 — 6 rb. za centnar. Organizacja pracy jest dobra. Majster zarabia 1 rb. dziennie, czeladnik 75 kop. Wyrabiają walizy, kufry, kosze do bielizny i t. d. Pośrednikami w sprzedaży towarów są Żydzi, którzy zbywają go następnie do Włocławka i Warszawy. Na pośrednictwie tem koszykarze tracą do 30% zarobków. Brak związku zawodowego, kasy zaliczkowej, ułatwiającej kredyt i wogóle organizacji przemysłowo-handlowej ogromnie dają się we znaki.

W gminie Chalin tegoż powiatu pracuje do 50 koszykarzy. Handel prowadzą z Żydami.

W gm. Brudzyn, w pobliżu Płocka, 20 rodzin zajętych jest koszykarstwem. Zarabiają do 150 rb. rocznie na głowę.

W powiecie przasnyskim, w gminach Zaręby, Jednorożec, Janów i Dzierżgowo wyrabiają wasagi, półkoszki i kosze na potrzeby gospodarstwa miejscowego.

W pow. rypińskim prawie niema koszykarstwa. Wyjątek stanowi gmina Monkolin.

W *gub. piotrkowskiej* ludność nie zajmuje się koszykarstwem z powodu obfitości fabryk, które odciągają włościan do miast. I tu jednak jest kilka wyjątków. I tak, w gm. Konopiska pod Częstochową jest 12 koszykarzy, a w gm. popowskiej 8. Wyrabiają oni kosze do handlu na użytek własny.

Dosadną ilustracją panujących w *gub. piotrkowskiej* stosunków jest gmina Złoty Potok. Zarząd tego majątku urządził plantacyę wierzby i sprowadził instruktora, chcąc zachęcić ludność do koszykarstwa. Usiłowania te jednak spełzły na niczem. Próba nie udała się, pomimo biedy, trapiącej ludność. Okazało się, że przekłada ona niepewne zarobki w fabrykach.

W pow. rawskim, *gub. piotrkowskiej*, w gm. Rzeczyca, znajduje się 10 koszykarzy, którzy pracują przez pół roku, wyrabiając towaru za 50 rb. na osobę.

W *gub. łomżyńskiej* koszykarstwo jest w stanie bardzo pierwotnym.

W pow. łomżyńskim znajduje się zaledwie kilku rzemieślników koszykarzy. Najczęściej zajmują się koszykarstwem pastuchowie, którzy, chodząc za bydłem, wyrabiają z wierzby i łyka

niezbyt udolne kosze gospodarskie. W gm. Szczepankowskiej jest zwyczaj, że w każdej chałupie pastuchowie wyrabiają kosze dla swoich gospodarzy.

W pow. Mazowieckim, gdzie są lasy, tam z łyżka wyrabiają kosze do kartofli, wasagi do wozów i płaskie kosze do karmienia bydła. Prawie każda chałupa ma takiego koszykarza. Ci zaś robią na zamówienie, zarabiając przeciętnie po 20 kopiejek dziennie.

W *gub. kaliskiej* koszykarstwo rozwinięte jest również słabo. Wyrabiają przeważnie kosze do gospodarstwa na potrzeby własne. Wyjątek stanowią pow. słupecki i kolneński. W pierwszym pracuje 4-ch koszykarzy. Zarabiają oni na czysto po 150—170 rb. rocznie. Wyrabiają półkoszki i wasagi do wozów. W pow. kolneńskim, w gm. Brudzewo, znaleziono 8-iu koszykarzy, którzy wyroby swoje sprzedają Żydom w m. Kole. W gm. Lubotyń są tylko koszykarze, wyrabiający na potrzeby miejscowe. W innych miejscowościach *gub. kaliskiej*, mimo że wybrzeża Proсны bardzo nadają się na plantacye wierzby, koszykarstwa o charakterze przemysłowym niema wcale.

Wiadomości o koszykarstwie w *gub. warszawskiej* i *suwalskiej* nie posiadamy.

Zobrazowany powyżej stan przemysłu koszykarskiego, w okresie, który nas dzieli od chwili przeprowadzenia ankiety, uległ niewątpliwie pewnym zmianom na lepsze. Stało się to za sprawą wzorowej Koszykarni w Serocku, która jednocześnie była szkołą, wychowującą instruktorów dla tej gałęzi przemysłu. Bliższe, a niezmiernie ciekawe szczegóły o tej szkole zawiera obszerna, przygotowana już do druku, broszura d-ra A. Kędzierskiego.

Broszura ta jest wyczerpującem sprawozdaniem z 7-ioletniej działalności szkoły, założonej w r. 1900, a spalonej w dn. 25 czerwca 1907 r.

Przechodząc z kolei do *przemysłu drzewnego*, musimy przede wszystkim dobrze uświadomić sobie szeroki zakres pracy, jaki przemysł ten obejmuje. Należą tu równie dobrze ciesielstwo i stolarstwo, jak kołodziejstwo i stelmachowstwo, bednarstwo i obręczarstwo, gonciarstwo, trepkarstwo i łyżkarstwo, wreszcie wyrób rozmaitych warsztatów i narzędzi, jak: grabie, widły, drzewca do kos, rękojeście do łopat i t. d., a w końcu rozwijające się u nas dopiero zabawkarstwo.

Zajmować się szczegółowo wszystkimi gałęziami tego przemysłu i rozpatrywać je kolejno—niepodobna, mimo, że ankiet Sekcyi zgromadziła w tej mierze nietyle bogaty, ile ciekawy materiał.

Rozglądając się w tym materyale, możemy jednak stwierdzić bez zastrzeżeń, że i tu ogólny stan rzeczy wiele pozostawia do życzenia. Produkcyja jest stosunkowo mała, zarobki bardzo niedostateczne, materyał drogi, pośrednictwo w zbywaniu wyrobów kosztowne, pochłaniające przeważną część zarobków.

Na poparcie tego pozwolimy sobie przytoczyć kilka bardziej charakterystycznych przykładów.

I tak, w *gub. radomskiej*, w pow. kozienickim, Jedlnia ma kilkunastu stelmachów, którzy fach ten traktują, jako dodatek do gospodarstwa. Zarabiają rocznie zaledwie po *kilkadzieści* rubli. Nie posiadając gruntu, nie mogliby się utrzymać z rzemiosła. Przeszkadzają im nadto kowale, którzy łączą swoją profesję ze stelmachowstwem. Przy tem każdy gospodarz mniej więcej zna się na tej robocie i zimową porą ją uprawia.

W pow. opoczyńskim Gielniów ma 16 stelmachów, których wyroby znane są w Łowiczu, Skaryszewie, Radomiu i Rawie. Przemysł eksploatują tu bogatsi spekulanci, którzy skupują te wyroby i wywożą je następnie na jarmarki, gdzie je sprzedają ze znacznym dla siebie zyskiem.

W pow. iłżeckim—Krzyżanowice, Iłża i Rzecznów mają kilkunastu stelmachów, wyrabiających koła, wozy, pługi, brony i zwykłe wasagi na sprzedaż jarmarczną. Wyroby swoje sprzedają chłopom, handlarzom i większym właścicielom ziemskim, choć dwory przeważnie mają stelmachów własnych. Drzewo, jak stwierdza ankieta, *głównie* kradną z lasów starachowickich, rzadziej kupują, a wobec trudności zdobycia materyału, w okolicy wogóle rozwój przemysłu stelmachowskiego słaby.

W *gub. łomżyńskiej* w Zambrowie pracuje 7 samodzielnych stelmachów i kołodziej. Pierwsi zarabiają 50 — 60 kop., drudzy zaledwie 30—40 kop. dziennie. Nie mają odpowiednich narzędzi i wogóle żadnej organizacyi przemysłowo-handlowej. Wyzyskiwani są przez Żydów pośredników, którzy za dzwono wyginane biorą 3 razy drożej, niż sami płacą kołodziejom. Podobny wyzysk panuje również i w zakresie dostarczania materyału surowego. Najpilniejszą potrzebą byłoby tu założenie składu spółkowego materyałów i wyrobów gotowych.

To samo *mutatis mutandis* dotyczy innych miejscowości.

Nieco lepiej jest w *gub. kaliskiej*, gdzie w pow. konińskim, we Władysławowie mieszka 10 samodzielnych stelmachów, zarabiających od 250—300 rb. na czysto. Są majstrowie, którzy utrzymują i czeladź. Czeladnik pobiera tygodniowo zapłatę od 2—3 rb. i stół.

Co do *ciesielstwa*, to w każdej niemal wsi jest jeden lub kilku włościan „zdolnych do siekiery.“ Po folwarkach t. zw. „porządkowi“ wykonywają roboty ciesielskie prostsze w budynkach i w domach włościańskich. Tego rodzaju cieśli w kraju jest sporo, materiały jednak, zdobyty w tym zakresie przez ankietę, przedstawia się tak ubogo, że niepodobna z niego żadnych wysnuwać wniosków.

Gonciarstwo wogóle rozwinięte jest słabo wobec powszechnego jeszcze niemal zwyczaju krycia dachów słomą.

Wyjątek stanowi wieś Łobzów pod Wolbromiem w pow. olkuskim gub. kieleckiej, gdzie około 40 gospodarzy rolnych trudni się wyrobem gontów z jodłowych i świerkowych desek, kupowanych w miejscowych lasach donacyjnych. Gonty te wyrabiają oni na własne ryzyko i sprzedają bądź na miejscu okolicznym mieszkańcom, bądź handlarzom-Żydom, którzy je wywożą dalej, docierając aż do Zawiercia i Zagłębia Dąbrowskiego, sprzedając po 75 kop. za kopę. Gonciarze pracują w wolnych chwilach od zajęć i zarabiają wszystkiego 40—50 rb. rocznie na jednostkę.

Podobne warunki są w Cisowie w pow. kieleckim, gdzie pracuje 60 gonciarzy, przeważnie bezrolnych.

W gub. lubelskiej w pow. biłgorajskim trudnią się wyrobem gontów we wsiach: Księżpolu—8 gospodarzy, Kocudze 8, Hucie Krzeszowskiej 10 i Majdanie Sopoćkim 25-iu. Produkcya ostatniej wsi zaspokaja potrzeby powiatów tomaszowskiego i hrubieszowskiego, nadto nadwyżkę wywozi do Galicyi przez komorę tomaszowską.

W gub. *piotrkowskiej* w pow. częstochowskim gonty wyrabiają we wsiach Miedźno (10) i Mykanów (15). Wyroby zbywają na jarmarkach.

W gub. *kaliskiej* produkcya gontów ześrodkowała się w pow. sieradzkim, gdzie w Złoczewie pracuje 65 gonciarzy; są to przeważnie gospodarze rolni, posiadający mało ziemi (3 morgi); są także i bezrolni i ci wyrabiają gonty z dostarczonego przez zamożniejszych majstrów drzewa, za opłatą 10 kop. od kopy. Wyrób z materiału własnego przynosi o 5—10 kop. na kopie więcej. Jeżeli drzewo łupie się dobrze, zręczny robotnik wyrabia 5—6 kóp dziennie.

Obręczarstwo, wedle danych, zdobytych przez ankietę, ma w kraju naszym tylko dwa punkty ważniejsze. Jednym z punktów jest powiat konstantynowski w gub. siedleckiej, drugim — osada Kazimierz w pow. puławskim gub. lubelskiej.

W pow. konstantynowskim w gminach Rokitno i Zakanale wyrób obręczy upada wobec braku leszczyny. Produkcya jednak

wynosi jeszcze kilkadziesiąt tysięcy obręczy rocznie. Zakupuje ją przedsiębiorca-katolik z Kazimierza po cenie 25 — 30 kop. za kopę i odstawia do Olkusza, Sosnowca etc. Zarobek roczny obręczarzy wynosi 100 — 120 rb. na głowę. Materiał surowy kupują za gotówkę, a o ile jej niema—pożyczają od sąsiadów na 8%.

W Kazimierzu w pow. puławskim, zajmuje się wyrobem obręczy około 50 osób. Oprócz tego około 200 osób rocznie wyjeżdża na t. zw. „fabrykę“ obręczy na Wołyn i Litwę, a spędziwszy tam 8—10 miesięcy, wraca na żniwa do domu.

Cały zapas wyrobionych w Kazimierzu obręczy rozchodzi się do fabryk krajowych cementu, najwięcej w okolice Częstochowy. Zarobki skromne. Za wyrobienie kopy otrzymuje się 4 kop., dziennie zaś można wyrobić 8—12 kóp.

Cały wyrób szedł dawniej Wisłą do Gdańska, obecnie, wskutek podniesienia cła z 5 pf. na 25 pf. od kopy, handel z Gdańskiem upadł, co też odbiło się i na produkcji. Jeszcze przed laty 20 wyrabiano w Kazimierzu około 100,000 kóp obręczy, obecnie wyrób ten spadł znacznie. Przyczynił się do tego i brak materiału, wskutek niszczenia lasów i zarośli w wąwozach miejscowych. Szkodę przemysłowi obręczarskiemu wyrządza także zbyt wysoka taryfa przewozowa (kl. IV).

Drobny przemysł drzewny, jak zaznaczyliśmy wyżej, jest ogromnie rozmaity. Uprawia go ludność włościańska na całym obszarze kraju, przeważnie jednak dla zaspokojenia potrzeb własnych i—jak to stwierdza ankieta—zbyt często używając do swych wyrobów materiału kradzionego.

Punktami, w których wyrób narzędzi gospodarskich ma charakter bardziej przemysłowy, są:

W gub. *radomskiej*, w pow. kozienickim: Tczew, Jedlnia i Zwolen. W Tczewie wyrabiają (zwykle komornicy bezrolni) z topolowego i olszowego drzewa, za które płacą po 6 rb. za odzimek do gałęzi — szufle, grabie, radła staroświeckie i brony plecione, które nawet w gospodarstwach kulturalnych mogą znaleźć zastosowanie w przykrywaniu drobnych nasion i niszczeniu chwastów w zasiewach jarych.

W Jedlni jest małorolny gospodarz, mieszkający wśród lasów, który wraz z synami wyrabia w znaczniejszej ilości łyżki i wszelkie naczynia z drzewa, sprzedając je następnie na jarmarkach w Głowaczewie, Kozienicach, Skaryszewie, Zwoleniu i Radomiu. Zarabia od 100—200 rb. rocznie. Naśladowców nie znalazł, gdyż ludność okoliczna twierdzi, że do takich wyrobów trzeba mieć nie tylko chęć wrodzoną, ale i „wymiar w oku.“

W Zwoleniu gospodarze rolni, bezrolni i Żydzi miejscowi trudnią się wyrobem posadzek dla Warszawy, Radomia i innych większych miast (na zamówienie). Wyrabiają posadzki dębowe (także z dębu czarnego), klonowe i jesionowe. Wyrób ma ustaloną dobrą markę. Zarobek wynosi średnio 15 kop. od kopy. Produkcya opłacałaby się przy większym kapitale nakładowym.

W gub. *kieleckiej* w pow. stopnickim, we wsi Korczyn trzech gospodarzy rolnych wyrabia z drzewa wierzbowego, które skupują w całej okolicy, drażone miary. Komplet takich miar składa się z 9 sztuk, od półkwatka do ćwierci. Wyroby te kupują w niewielkiej ilości okoliczni Żydzi. Zarobek wynosi dla wszystkich trzech około 200 rb. rocznie.

W pow. olkuskim w Zabagninie 15 drobnych gospodarzy i wyrobników trudni się wyrobem drabin, wideł i sąsieków. Wyroby te sprzedają na jarmarkach w Wolbromiu i Pilicy. Zarabiają od 40—80 rb. rocznie każdy.

W pow. kieleckim w Bodzentynie 12 ludzi wyrabia szufle, szpadle i chodaki. Jest to przedsiębiorstwo, utrzymywane przez jednego majstra, który płaci robotnikom po 50—60 kop. dziennie, sam zaś zarabia na tem do 800 rb. rocznie na czysto. Wyroby swe wysyła koleją do miast gubernialnych.

W pow. miechowskim, w Kozłowie, jeden człowiek trudni się wyrobem grzechotek dzieciennych.

W gub. *lubelskiej* w powiecie tomaszowskim wyrabiają łyżki z dębowego, gruszkowego, jodłowego i jaworowego drzewa. Wyroby te Żydzi rozwożą po jarmarkach.

W pow. janowskim w Brzozówce wyrabiają niecki i międlice, przeważnie na potrzeby miejscowe.

W pow. puławskim w Szczekarkowie 5-ciu ludzi trudni się wyrobem łodzi i kryp. W ciągu miesiąca wyrabiają 4—8 łodzi małych i jedną krypę. Za robotę małej łodzi otrzymują 3—4 rb., za robotę krypty w stosunku 2 rb. dziennie.

W gub. *kaliskiej* w pow. słupeckim, w Zagórowie, 8-iu ludzi trudni się wyrobem trep z olszowego i topolowego drzewa. Robią przeważnie na jarmarki. Zarobek wynosi 10—15 kop. na parze trepów. Wyrób roczny sięga 1500—2000 sztuk. Rzemieni dostarczają im Żydzi.

W Kleczewie jeden włościanin zaopatruje całą wieś w chodaki, z drzewa. Zarabia zimą 30—40 kop. dziennie.

W pow. wieluńskim, w Kieńczygłowie, 50 osób trudni się wyrobem łyżek, szufli, niecek i koryt. Roczny obrót każdej wynosi do 150 rb.

W pow. sieradzkim, w Unikowie, 2-ch Niemców-kolonistów wyrabia szpadliska i stołki dla szewców. Sprzedają po sąsiednich jarmarkach za 700 rb. rocznie.

W Złoczewie 4-ch małorolnych gospodarzy wyrabia z drzewa bukowego cierlice i łomki do obrabiania lnu. Zarabiają w ciągu roku po 80—100 rb. Nadto z wiórów mają opał.

W gub. *suwalskiej* w pow. maryampolskim, w gm. Michališki, kilku gospodarzy wyrabia zimą z lipy, olchy i osiny niecki, faski i wiadra.

W tymże powiecie w gm. Wejwery, we wsi Giwy, jest trzech specjalistów od wyrobu kołowrotek. Każdy wyrabia rocznie do 150 sztuk, które sprzedaje po 1 rb. 20 kop. za sztukę. Na czysto zarabiają po 100 rb.

W pow. kalwaryjskim, we wsi Podawnie, cała ludność trudni się wyrobem grabi, łyżek i chodaków. Sprzedają, gdzie się da. Zarobki minimalne.

W gub. *łomżyńskiej* w pow. ostrowskim, w Jasienicy, 8-iu gospodarzy małorolnych wyrabia krzesła kuchenne z leszczyny w ilości do 200 sztuk rocznie.

W Zasekach 4-ch wyrabia trepy i kołki do przedzenia.

W gm. Szulborze-Koty 28-iu gospodarzy robi brony drewniane, które sprzedają na jarmarkach w promieniu 5-io milowym.

W gub. *warszawskiej* w pow. kutnowskim, w gm. Sójki, jeden bezrolny zajmuje się wyrobem chodaków z drzewa. Robi dwie pary dziennie, sprzedając je po 30 — 40 kop. za parę. Pracuje przez cały rok, wyłącznie tej pracy się oddając.

W pow. radzyminskim, w Radzyminie, w zakładzie p. Kamińskiego 6-iu ludzi wyrabia laski, obsadki, noże do papierów, pudełka, cukiernice w stylu zakopiańskim. Należy to już właściwie do przemysłu galanteryjnego.

Oto wszystko, co można powiedzieć na podstawie ankiety o drobnym przemyśle drzewnym. Podźwignąć i rozwinąć mogłaby go jedynie specjalna szkoła przemysłu drzewnego, powołana do takiego działania, jak szkoła im. Jana Blocha w Nałęczowie, w zakresie zabawkarstwa.

Olbrzymie sumy, które Królestwo wydaje rocznie na zabawki z drzewa, sprowadzane bądź z zagranicy, bądź z odległych gubernij cesarstwa, mogłyby w znacznej swojej części pozostać w kraju i przyczynić się do podniesienia dobrobytu ludności włościańskiej, gdyby usiłowania, podjęte w kierunku przyswojenia tej gałęzi przemysłu naszemu ludowi, uwieńczył skutek pomyślny.

Pozostają nam do rozpatrzenia jeszcze dwie gałęzie przemysłu drzewnego: *bednarstwo* i *stolarstwo*.

Bednarstwo przechodzi obecnie okres ostrego przesilenia. Jest ono gałęzią przemysłu, który ześrodkowuje się coraz bardziej w miastach, w rękach fachowych rzemieślników. Stąd bednarz wiejski, mniej w zawodzie swoim wykształcony, nie może skutecznie współzawodniczyć z wyrobami miejskimi. Obok tego drożyzna materiału wywołuje coraz większy spadek zarobków, wobec czego uprawianie bednarstwa coraz mniej się opłaca. Nadto naczynia blaszane wchodzą w coraz szersze użycie (wiadra do wody, konewki i t. p.) i wypierają dawne wyroby bednarskie.

Naogół też bednarstwo upada. Z ważniejszych jego ośrodków należy wymienić:

W gub. *radomskiej*, w pow. radomskim, gminę Wolanów, gdzie pracuje 10 bednarzy, gospodarzy małorolnych, posiadających po 3 morgi gruntu. W gm. Kozłów tegoż powiatu pracuje ich do 30. Wyrabiają beczki i kubły, które sprzedają na jarmarkach w Radomiu, Przytyku i Skrzynnie. Zarobki ich spadły w ostatnich czasach znacznie wskutek podniesienia się cen drzewa.

W pow. koneckim, w gm. Borkowice mieszka 6 bednarzy, wyrabiających kadzie, kufy, cebry, konewki, skopki, szafliki, wanianki, faski do masła, stągwie, kubły i t. p. Wyroby te sprzedają na miejscu i na jarmarkach w promieniu $2\frac{1}{2}$ milowym. Zarabiają od 75 kop.—2 rb. dziennie. Poziom rzemiosła niewysoki i tylko jeden bednarz w całej gminie zna swój fach dokładnie.

Włościanie okoliczni uprawiają bednarstwo z wolnej ręki i sami potrzeby swoje w tym zakresie zaspokajają.

W pow. kozienickim w Jedlni jest 2 bednarzy, wyrabiających specjalnie balje, w Zwoleniu 4. Rozwój rzemiosła dość słaby.

W pow. iłżeckim pracuje 5 bednarzy na potrzeby najbliższej okolicy.

W gub. *lubelskiej* w Kurowie pow. puławskiego jest 20 bednarzy. Wyrabiają wszelkie naczynia w zakres rzemiosła wchodzące. Zarobki ich wynoszą po 180—200 rb. rocznie na głowę. Mają zamówienia od fabryk.

W tymże powiecie w gm. Drzewce, we wsi Wąwolnica mieszka 3 bednarzy. Przemysł powstał tu niedawno, dzięki lasom w okolicy i tańszemu, niż gdzieindziej, drzewu. Warunki te sprzyjają rozwojowi na przyszłość.

W pow. biłgorajskim bednarstwo rozpowszechnione jest dość szeroko, zaspokaja jednak tylko potrzeby miejscowe. Biłgoraj ma 2 bednarzy, Sól 6, Księżpol 3, Wola Różaniecka 2, Biszcz 3, Potok Górny 2, Huta Krzeszowska 8, Krzeszów 5, Majdan Sopocki 5, Babice 4, Łukowa 4, Aleksandrów 8, Puszcza Solska 2.

W pow. janowskim pracuje w Urzędowie 4, w Zaklikowie 7 bednarzy. Od lat kilku bednarze podnieśli tu bardzo ceny towaru, znacznie wyżej, niż to usprawiedliwiało podrożenie drzewa. Polując na grube zyski, stracili w ten sposób zbyt i dziś zarabiają zaledwie po 4—7 rb. tygodniowo.

Centrem przemysłu bednarskiego dla całej gubernii są Bełżyce w powiecie lubelskim. Mieszka tam 86 majstrów samodzielnych, nie licząc pomocników. Wyrabiają najwięcej beczek do kapusty, cebrów, konwi, balii i t. p. Przemysł jednak stopniowo upada. Ilość bednarzy zmniejsza się z roku na rok, a zarobek przeciętny nie przenosi 150 rb. rocznie na jednostkę. Drożyzna drzewa, bezradność ekonomiczna, brak oświaty i rujnujące pośrednictwo Żydów wpływają bardzo ujemnie na stan rzemiosła. Wartość produkcji rocznej sięga jednak poważnej kwoty kilkudziesięciu tysięcy rubli.

W pow. tomaszowskim w Majdanie jest kilkunastu bednarzy, w Krynicy 15, w Tyszowcach 5, w Komarowie 20. Wszędzie pracują przeważnie gospodarze małopolni, zadowolając się małym zarobkiem. Rozwój bednarstwa jest tu jednak słaby z powodu utrudnionego zbytu.

W pow. zamoyskim bednarze zaspokajają tylko potrzeby miejscowe.

W pow. hrubieszowskim, w gm. Magistrat jest 36 bednarzy, w tem 22 chrześcijan i 14 Żydów. Bednarstwo rozwija się tu pomyślnie. Zbyt stale wzrasta. Wyrabiają beczki do kapusty, balje, kubły etc. Zarobki sięgają do 400 rb. rocznie na warsztat.

W gub. *kieleckiej*, w pow. olkuskim pracują bednarze w Woli Kalinowskiej (18), w Wielmoży (10), w Sułoszowej (28). Zaspokajają tylko potrzeby miejscowe.

Punktem najruchliwszym dla całej gubernii są historyczne Szczekociny. Pracuje tam 50 bednarzy, którzy wyroby swoje sprzedają na jarmarkach w Wolbromiu, Żarnowcu, Pilicy, Wodzisławiu i Koniecpolu.

W pow. miechowskim bednarstwo ma swoje gniazdo główne w Proszowicach, skąd towar rozchodzi się szeroko. Na wsiach natomiast przemysł ten reprezentowany jest bardzo słabo.

W gub. *łomżyńskiej*, w pow. łomżyńskim, bednarstwo rozwijało się niegdyś pomyślnie w Zambrowie. Obecnie całą produkcję objęli tu Żydzi. Katolik jest tylko jeden i ten związa powoli warsztat, a zajmuje się głównie pobijaniem dachów, zarabiając w ten sposób od 1—3 rb. dziennie.

W pow. mazowieckim bednarstwo upada z powodu wysokich cen drzewa. Jednocześnie z podrożeniem materiału zmniejszyły się znacznie zarobki. Wynoszą one przeciętnie od 30 kop. do 1 rb. dziennie.

W pow. ostrowskim w Orłach jest 30 bednarzy, w Broku 3. Drzewo drożeje, wskutek czego zarobki coraz mniejsze. Rzemiosło upada.

W gub. *piotrkowskiej* bednarstwo rozwinięte jest słabo. W Mstowie, w pow. częstochowskim, pracuje 7 bednarzy. Zarabiają od 3—4 rb. tygodniowo. Gdzieindziej jest jeszcze gorzej.

W gub. *kaliskiej*, w pow. słupeckim, Zagórów ma 4 bednarzy, Kazimierz 12. Zarabiają mało. Przemysł zagrożony upadkiem.

W pow. konińskim we Władysławowie pracuje 17 bednarzy, w Tuliszkowie 14. Wyroby blaszane, sprowadzane z zagranicy, stanowią tu niebezpieczne dla bednarstwa współzawodnictwo. Produkcya się zmniejsza. Zarobki spadły znacznie.

Najruchliwszym punktem w gubernii jest gm. Kiełczygłów w pow. wieluńskim. Mieszka w jej obrębie 180 bednarzy, wyrabiających beczki, balje, wiadra i t. d. Wyroby te sprzedają na jarmarkach. Zarabiają od 100—150 rb. rocznie każdy. Produkcya jednak stopniowo się zmniejsza i niema widoków na polepszenie.

W gub. *płockiej* bednarstwo zanika.

W gub. *siedleckiej* — rozwinięte jest słabo.

Szczegółów, dotyczących gub. warszawskiej i suwalskiej ankieta nie zdobyła.

Co do *stolarstwa*, to trudno o niem mówić, mając na uwadze drobny przemysł ludowy.

Wobec wysokich wymagań tego rzemiosła, staje się ono coraz mniej dostępne dla ludu, gdyż wymaga zupełnie wykwalifikowanej pracy. Nie ma też stolarstwo widoków na rozwój po wsiach. Ześrodkowuje się ono coraz bardziej w miastach i to większych.

Tu i owdzie wyrabiają wprawdzie stolarze więcej drzwi, okna, szalowania i podłogi, ale nie zmienia to postaci rzeczy. W zakresie meblowym nie mogą oni współzawodniczyć nawet z partaczami małomiejskimi.

Uwalnia nas to od bliższego rozpatrywania plonu, jaki w tej mierze przyniosła ankieta.

Ostatnim działem przemysłu drobnego, o którym można mówić szerzej, jest *garncarstwo*. I ono znajduje się w stanie upadku. Podobnie, jak wyroby fabryczne wypierają powoli z użycia płótno domowe i samodziały, tak i dawne garnki gliniane nie mogą

się utrzymać wobec zwycięskiego pochodu saganów żelaznych i naczyń blaszanych, które dotarły już na wieś i skutecznie współzawodniczą ze staroświeckim światem skorup.

A jednak garncarstwo nie przestało być do dziś dnia przemysłem, któremu warto przyjrzeć się bliżej, choćby dla tego, że tkwi w niem pierwiastek artystyczny, że lud przy jego pomocy może wypowiadać swoje pojęcia o pięknie, zawartem w linii i w barwie.

Może też, nie bez pewnego zainteresowania przedmiotem, czytelnik zechce się dowiedzieć, gdzie i w jakim stanie zachowało się jeszcze dawne garncarstwo.

W gub. *radomskiej* ośrodkiem jego jest powiat iłżecki. Pracuje tam 28 garncarzy. Nie wszyscy posiadają piece do wypalania wyrobów. Ci, którzy ich nie mają, wynajmują je od innych za opłatą po 30 kop. dziennie. Wyroby swoje sami rozwożą po jarmarkach. Zarobek czysty sięga 33% wartości towaru. Wypalają średnio po 14 pieców rocznie.

W tejże gubernii w pow. koneckim w gminie Niekłan pracuje 9 rodzin garncarskich. Jedni sprzedają wyroby swe na miejscu Żydom przyjezdnym z Kielc, Końskich i Radoszyc; inni rozwożą swój towar do miasteczek pobliskich na jarmarki i odpusty. Wyroby mają opinię ustaloną, jako bardzo dobre, gdyż w rodzinach wspomnianych przemysł garncarski jest dziedzicznym i uprawia go już trzecie pokolenie. Słyną zwłaszcza garncarze z Rędocina (wieś pod Niekłaniem). Wyrabiają oni gustowne wazy, urny polewane, barany z wełną, niedźwiedzie na łapach, lichtarze i t. p. Jeden z nich robił nawet próby wypalania piszczałek do organów.

W gub. *kieleckiej* przemysł garncarski upada wskutek wyniszczenia lasów (drożyzna drzewa), trudności dogodnego kredytu i podrożenia gliny.

Punktem głównym są Szczekociny w pow. włoszczowskim, gdzie pracuje około 30 garncarzy. Towar ich zakupują Żydzi. Ekonomiczna od nich zależność jest przyczyną ubóstwa garncarzy.

W pow. stopnickim w Pierzchnicy jest również około 30 garncarzy. Garncarstwo sięga tam lat odległych. Kunszt ich przechodzi dziedzicznie z ojca na syna. Glinę mają dobrą, ale wyroby ich są prymitywne, a wskutek tego mają powodzenie małe.

Tak samo jest w Opatowcu, w pow. pinczowskim, gdzie pracuje 12 garncarzy, wyroby ich jednak nie mogą wytrzymać współzawodnictwa z naczyniami żelaznymi i blaszanymi.

W gub. *lubelskiej* w pow. tomaszowskim garncarstwo przedstawia się słabo. Garncarzy wyzyskują Żydzi, zakupując za bezcen cały ich wyrób, który sprzedają następnie na jarmarkach.

W pow. lubartowskim w Firleju jest 13 garncarzy, którzy traktują przemysł ten nie jako samodzielny środek do życia, ale jako pomoc przy małych gospodarstwach. W sprzedaży pośredniczą Żydzi.

W pow. janowskim w Urzędowie pracuje 41 garncarzy i 12 pomocników, którzy ekonomicznie zależą od Żydów i dla nich robią na zaliczki. Stąd zarobki małe i zniechęcenie do przemysłu. Wielu twierdzi, że praca na roli opłaca się lepiej.

Tak samo jest w pow. zamoyskim w Krasnobrodzie, Szczecbrzeszynie, Hutkowie, Frampolu i Terespolu, gdzie pracuje ogółem 34 garncarzy.

Nieco lepiej jest w pow. chełmskim w Pawłowie (42 majstrów garncarskich i z górą drugie tyle pomocników), ale i tam przemysł upada.

W gub. *łomżyńskiej* w Sokołach z każdym rokiem ilość garncarzy się zmniejsza, a poziom wyrobów obniża.

W Zambrowie jest jeden tylko garncarz, który wyrabia ozdobniejsze garnki i wazony i ten zarabia lepiej od innych.

W innych powiatach garncarstwo wybitnie upada.

W gub. *płockiej* dochodzi już do zaniku.

W gub. *piotrkowskiej* najwięcej garncarzy jest w pow. łaskim (gm. Dzbanki) i częstochowskim (gm. Kamyk, os. Kłobuck).

Współzawodnictwo wytwarzają tu wyroby ślaskie o wiele lepsze i — prawdopodobnie — fabryczne.

W gub. *siedleckiej* garncarstwo upada, nie wyłączając Białej, która niegdyś słynęła ze swoich wyrobów i ma po dziś dzień ulicę *Garncarską*.

W gub. *łomżyńskiej*, w pow. garwolińskim, w Łaskarzewie, pracuje 14 garncarzy, którzy przeważnie sami rozwijają swoje wyroby po okolicy, osiągając w ten sposób większe zyski, niż ze sprzedaży hurtowej.

W gub. *suwalskiej* garncarstwo upada. Pewnem ożywieniem produkcji odznaczają się jedynie Wigry w pow. suwalskim (8 garncarzy) i Sejny (4 garncarzy).

W gub. *kaliskiej*, w pow. sieradzkim, w osadzie Burzenin jest 22 garncarzy, pracujących na zaliczki u Żydów.

W pow. tureckim, w Uniejowie — 9.

W pow. kolskim w Sompolnie—19. Garncarstwo przechodzi tu stopniowo w kaflarstwo.

W gub. *warszawskiej* przemysł garncarski zanika. Trzyma się jeszcze w Łowiczu i w Bolimowie, ale szans rozwoju niema.

Nieco lepiej jest w Radzyminie, gdzie pracuje 10 rodzin, ale poziom wyrobów bardzo niski.

Ostateczną klęskę garncarstwu krajowemu zadają naczynia blaszane, wchodzące w powszechne użycie w gospodarstwie mlecznem i wypierające dawne dzbany, miski i gładyszeki.

Utrzymać i rozwinąć mogłoby się tylko garncarstwo ozdobniejsze, połączone z rozwojem sztuki ludowej.

*

*

*

Jeżelibyśmy usiłowali teraz na podstawie przytoczonych powyżej danych¹⁾ stworzyć sobie ogólny pogląd na stan przemysłu ludowego w kraju, to bez wielkiego trudu dojdziemy do wniosku, że ten stan jest mniej niż zadowalający. Nigdzie przemysł drobny nie stoi tak, aby miejscowa ludność włościańska mogła na nim budować swoją przyszłość ekonomiczną. Wszędzie, z małymi załedwie wyjątkami, jest powolny upadek, jeżeli nie zupełna ruina. Dawne ogniska tego przemysłu wygasają, nowych nie tworzy ani życie, ani inicjatywa ludu, ani inicjatywa warstw oświeconych w narodzie. Brak oświaty, a wskutek tego brak umiejętnej organizacyi przemysłowej, niezdolność do zrzeszania się, czy to w celu nabywania na dogodniejszych warunkach materiałów surowych, czy w celu zapewnienia zbytu wyrobom gotowym i znalezienia dla nich nowych dróg handlowych, brak taniego kredytu wytwórczego, kosztowne pośrednictwo Żydów, świadomie wyzyskujących pracę wiejskich i małomiejskich robotników, wreszcie współzawodnictwo wyrobów fabrycznych, które w miarę większego uprzemysłowienia kraju stale będzie wzrastało — oto najgłówniejsze przyczyny upadku przemysłu drobnego.

Upadek ten widzieliśmy w czterech najważniejszych jego działach. Nie lepiej jest i w tych, które pominęliśmy rozmyślnie

¹⁾ Dane te odnoszą się do okresu już minionego, mogą przeto wywołać szereg sprostowań i dopełnień, bardzo zresztą w tej sprawie pożądanych.

z uwagi na to, że w życiu wsi polskiej nie mogą one wybitniejszej roli odegrać. Należą tu: kapelusznictwo, słomkarstwo i słomiankarstwo, sitarstwo, kowalstwo, ślusarstwo, szewctwo, kamieniarstwo, mularstwo, krawiectwo i kuśnierstwo, powroźnictwo, wreszcie początkujące dopiero guzikarstwo. Ostatnie, szczepione wśród dzieci wiejskich za pomocą ochron, ma raczej charakter pedagogiczny, przyzwyczajając bowiem do pracy zawczasu, wyrabia zręczność, i daje niewielki, ale zachęcający zarobek. Kto wie zatem, czy przemysł ten nie przyjmie się wśród naszych dzieci wiejskich tak, jak przyjął się w Czechach. Do tego jednak, aby się to stało, potrzeba odpowiednich wysiłków ze strony społeczeństwa. Zobaczmyż teraz, kto, jak i gdzie wysiłki takie podejmuje. Przyjrzyjmy się, co dla przemysłu ludowego już u nas zrobiono i co należy zrobić w najbliższej przyszłości.

W krajach, które mają moc stanowienia o samych sobie i prawo urządzania życia swojego, zgodnie z wolą własną, sprawami przemysłu drobnego opiekują się organy samorządu. U nas organów takich niema. Z konieczności więc cała troska i cały ciężar obowiązków w tym kierunku spada na społeczeństwo, które własną inicjatywą musi ratować walący się dom i wspierać go na najbardziej zagrożonych węglach.

Jedynym, jak dotąd, wspornikiem przemysłu ludowego u nas, jest Towarzystwo popierania tego przemysłu. Prowadzi ono w dalszym ciągu działalność rozwiązanej w roku zeszłym Sekcji przemysłu ludowego, chcąc więc mówić o niem, musimy zaznaczyć się przedewszystkiem z działalnością Sekcji VIII. Przekazała ona Towarzystwu rzecz wielkiej wagi — materiał statystyczny, zdobyty przez znaną nam już dobrze ankietę. Poza tem praca jej, acz niewolna od błędów i niedopatrzeń, była także owocna i w innych kierunkach.

Teren tej pracy i jej rozmiary najlepiej określi nam przegląd instytucji, któremi Sekcja opiekowała się w ostatnim roku swego istnienia.

Widząc upadek tkactwa i oryentując się w przyczynach, które ten upadek wywołują, Sekcja zajęła się przedewszystkiem szkołą tkacką w Stanisławowie i postawiła ją na wysokości zadania. Ze szkoły tej wyszedł już poważny zastęp instruktorów, wykwalifikowanych gruntownie w swoim zawodzie.

Jednocześnie opiekowała się Sekcja drugą szkołą tkacką — we Frampolu. Głównem zadaniem tej szkoły było wprowadzenie między tkaczy miejscowych, od setek lat zajmujących się tam rzemiosłem, przyrządów nowych i ulepszonych, zamiast starych,

niedogodnych i nieodpowiednich warsztatów. Osiągnąwszy w znacznej mierze ten cel, szkoła została zwinięta, wynikiem zaś jej działalności było zawiązanie przez tkaczy miejscowych spółki wytwórczej, która, jak to stwierdzają najświeższe dane, rozwija się pomyślnie.

Wreszcie założyła Sekcja *warsztaty tkackie* w Liskowie, w gub. kaliskiej i *Szkołę tkactwa oraz gospodarstwa wiejskiego dla włościanek* w Kruszynku, przy ofiarnym współudziale pp. Haack z Dębic. Szkoła ta jest już w trzecim roku swego istnienia i liczy 53 uczniew we wzorowo prowadzonym internacie.

W dziale koszykarstwa wypada wymienić na pierwszym miejscu znaną nam już koszykarnię wzorową w Serocku, która, również wykształciła szereg instruktorów, podnosząc przez to znacznie poziom tego rzemiosła i wprowadzając je na tory szerszego rozwoju.

Pracę tę, po spaleniu szkoły Serockiej, prowadzi obecnie w dalszym ciągu, również przez Sekcyę założoną, szkoła koszykarska w Nałęczowie. Kierownikiem jej jest były wychowaniec Serocka. Szkoła ta odznacza się smakiem i starannem wykonaniem swoich wyrobów.

Również pod kierunkiem wychowawca Serocka pozostawała szkoła koszykarska w Biłgoraju, przeniesiona obecnie do Zwierzynca, jako wzorowe warsztaty.

Trzecim wreszcie posterunkiem, obsadzonym także przez wychowawca szkoły Serockiej, są warsztaty koszykarskie w Neplach nad Bugiem.

Dawnej Sekcyi przypada też w udziale zasługa założenia i zorganizowania pierwszej w kraju naszym *Szkoły zabawkarskiej* im. Jana Blocha w Nałęczowie. Część byłych uczniów tej szkoły już pracuje w warsztatach okolicznych producentów.

W dziale zbytu towarów przemysłu ludowego Sekcja zapisała się również dobrze, dając inicjatywę do założenia w Warszawie sklepu z wyrobami tego przemysłu. Sklep ten powstał przed trzema laty, naprzód przy ul. Mokotowskiej № 58, następnie przy ul. Brackiej № 18, Od czasu tej zmiany lokalu obrót handlowy podwoił się i w r. 1907 doszedł do 18,000 rb., dając jednocześnie pomyślne widoki na przyszłość.

Oto jednak cały spadek, jaki po Sekcyi VIII-ej otrzymało Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. Stanęło ono wobec zadań szerokich i wielkich i przedwczesną rzeczą byłoby dziś zastanawiać się nad tem, czy i w jakim zakresie zadania te zostaną spełnione. To pewna tylko, że

Towarzystwo zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co najpierwszy jego obowiązek stanowi i potrafiło jasno wytknąć sobie drogę działania.

O kierunku tej drogi dowiadujemy się dokładnie z przemówienia prezesa Towarzystwa i niezmordowanego sternika jego spraw, d-ra K. Benniego.

Dn. 18 stycznia r. b., otwierając pierwsze posiedzenie Towarzystwa, mówił d-r Benni, co następuje:

„Celem Towarzystwa nie jest bynajmniej bezpośrednio zakładanie i utrzymywanie warsztatów lub nawet szkół przemysłu ludowego w najodpowiedniejszych do tego punktach kraju. Powinno ono tylko do zakładania takiego zachęcać i odpowiednimi słuzić wskazówkami.

„Bezpośrednim zaś jego obowiązkiem jest przede wszystkim *przygotowanie i dostarczanie takim szkołom i warszatom odpowiednio wykształconych i wykwalifikowanych instruktorów, czy to dla warsztatów i szkół, czy też instruktorów wędrownych dla tych lub owych, coraz to innych okolic kraju.*

„Z tego więc powodu głównem zadaniem Towarzystwa musi być *zakładanie szkół dla instruktorów* przemysłu ludowego. Szkoły takie bez internatów istnieć nie mogą i nie powinny. Nie mogą, bo sprowadzając uczniów z rozmaitych stron kraju, muszą im zapewnić dach i pożywienie, muszą im dać obok tego opiekę i ułatwić nie tylko wykształcenie zawodowe, ale i wychowanie pedagogiczne. Nadto młodzież miejscowa nie dostarczy takim szkołom dostatecznego kontyngensu uczniów. Będąc odrywaną około 6-iu miesięcy w roku od szkoły dla zajęć na roli, całego czasu swego pracy zawodowej poświęcić nie może. Tylko internaty dla młodzieży przyjezdnej tę trudność usuwają.“

Drugiem—według słów d-ra Benniego—zadaniem Towarzystwa jest *organizowanie swojej działalności po gminach i okęgach całego kraju*, a zatem: wybór najodpowiedniejszych i najchętniejszych delegatów i delegatek, którzy pracować będą nad zakładaniem warsztatów i szkół rozmaitych gałęzi przemysłu ludowego w najodpowiedniejszych dla tego punktach; nad ożywieniem i wskrzeszeniem gałęzi usychających i zanikających; nad ułatwieniem technicznym, doskonaleniem i uszlachetnieniem przemysłów istniejących, a nawet, choć bardzo wyjątkowo, bo to zadanie nader trudne — nad wytworzeniem nowych działów przemysłu.

Na trzeciem miejscu stawia sobie Towarzystwo za cel utworzenie miejsc zbytu dla wyrobów przemysłu ludowego, nie dlatego wszakże, żeby koniecznie wszystko, co lud wyrabia, miało być

sprzedawane, wyroby ludowe powinny bowiem przede wszystkim zaspokajać domowe potrzeby ludu i dopiero to, co się nie zużyje w domu, może być sprzedawane na jarmarkach w sąsiednich miasteczkach, wreszcie w miastach gubernialnych, gdzie powinny powstać odpowiednie sklepy. Jeden zaś sklep centralny w Warszawie wystarczy zupełnie dla ześrodkowania towaru albo wybredniejszego, jak np. kilimy, hafty i t. p., albo dla zbytu, przewyższającego potrzeby miejscowości pomniejszych, ewentualnie nawet dla zorganizowania wywozu.

Czwarta strona działalności Towarzystwa—to wszechstronne wyzyskanie § 2-iego jego ustawy. Paragraf ten bowiem nietylko upoważnia Towarzystwo do zakładania szkół przemysłu ludowego, sal rysunkowych, zbiorów okazów, warsztatów zbiorowych, do przygotowywania wykwalifikowanych instruktorów w różnych gałęziach przemysłu, do otwierania sklepów dla zbytu wyrobów tego przemysłu, ale i do urządzania wystaw stałych, ruchomych i czasowych, do organizowania oddziałów Towarzystwa dla poszczególnych gałęzi przemysłu ludowego i dalej do organizowania i legalizowania spółek, mających na celu tworzenie wspólnych warsztatów ręcznych lub motorowych, wspólnej sprzedaży towarów gotowych lub nabywania materiałów nowych, wreszcie do ogłaszania konkursów, potrzebnych do osiągnięcia celów Towarzystwa.

Z takiego przedtawienia i postawienia rzeczy przez prezesa instytucji, mającej opiekować się przemysłem ludowym, widać, że przewidziane i właściwie ocenione zostało tu wszystko, co może się przyczynić do zachowania istniejących gałęzi przemysłu, podtrzymania ich i wskazania im nowych dróg rozwoju. Niepodobna różnorodnych potrzeb tego przemysłu treściwiej ująć i sformułować jaśniej. Możnaby do tego dodać jedynie kilka słów, wyjętych z mowy sejmowej niezapomnianego pracownika na polu ekonomicznego odrodzenia Galicyi i pierwszego zwiastuna renesansu polskiego, ś. p. Stanisława Szczepanowskiego.

Słowa te brzmią, jak następuje:

„Szukajmy dalszego rozwoju naszego przemysłu rękodzielniczego nie w nędzy materialnej, pracującej za bezcen, lub w małpiarstwie chińskiem wzorów zagranicznych, lecz w wykształceniu tych zarodków oryginalności i twórczości, któremi natura nasz lud hojnie uposażyła. Bądźmy przekonani, że każda robota tuzinkowa, hurtowa, z konieczności musi prędzej czy później zamienić się na maszynową i szablonową. Starajmy się więc conajprędzej przygotować trwały rozwój przemysłu rękodzielniczego przez jak najwyższy rozwój *indywidualności* i *oryginalności*.“

Łącząc to z programem działalności Towarzystwa, mamy przed sobą cały zakres pracy, jakiej dokonać należy dla podźwignięcia wsi polskiej z obecnego jej stanu ekonomicznego.

Praca to olbrzymia i rozłożona na całe lata. Nie dokona jej żadna, choćby najlepiej zorganizowana i najsprawniej działająca instytucja. Może ona tylko tą pracą sterować, może kreślić plan gmachu, pod którego budowę pojedyncze cegły znosić musi cały naród. Umiłowania wszystkich serc i wysiłku wszystkich ramion potrzeba do tego, aby cały ciężar obowiązków, związanych z tą pracą, unieść i podjąć mu.

Dwór wiejski i plebania, najbliższe ludu stojące, mają tu największe pole do działania i najlepszy moment do udowodnienia, że pojmując interes *narodu*, jako całości, chcą i potrafią *dla ludu z ludem* pracować.

Widzieliśmy z przytoczonych kilku przykładów, że inicjatywa prywatna, jednostkowa, rychło i pięknie przynosi owoce. Dodamy do tego jeszcze, że usiłowania obywatelskie pań: Apoznańskiej (kilimki w Rusi), Platerówien, Mohlówny, Minejkowej, Wodzickiej, Komarowej, Krasickiej, oraz państwa: Dąbskich, Kleniewskich, rodziny Blochów i Haack'ów mają już swoją własną kartę w dziejach przemysłu ludowego.

Przemysł ten potrzebuje jednak dla swego odrodzenia i utrwalenia nieskończenie większych i nieskończenie liczniejszych ofiar. Muszą mu pośpieszyć z pomocą literalnie wszyscy i to nie tylko w interesie ludu, ale w interesie, jak powiedzieliśmy wyżej — całego *narodu*.

Wiemy już, jak szybko wieś polska się proletaryzuje. Według obliczeń p. Grabskiego, ludność bezrolna w r. 1904 stanowiła w Królestwie około 592,378 rodzin. Liczba ta szybko wzrasta. Obok tego zaś, drogą dzielenia ojcowizny rośnie równie szybko ilość małorolnych, posiadających mniej ziemi, niż jej trzeba do ich wyżywienia. Prowadzi to kraj do nieuniknionej katastrofy, zwłaszcza, że w obecnym położeniu politycznym nie można mieć nadziei na rychłe i poważne reformy agrarne. Jeżeli przeto nie ocenimy sytuacji należycie i nie stworzymy dla ludu nowych źródeł zarobku—to ścieżka, prowadząca z dworu do chały, nowymi zarośnię głogami i cierniami, boleśniejszymi może od poprzednich, bo zatrutymi jadem nieznanego przedtem nienawiści klasowej.

Agitacja socjalistyczna znajdzie wówczas na wsi podatny dla siebie materyał i poprowadzić może, gdzie zechce, lud, pogrą-

żony w ciemnocie i nędzy, nie mający „nic do stracenia, prócz swoich kajdan,” jak mówi manifest komunistyczny...

Kto więc patrzy nietylko na dziś, ale i ku niedalekiemu jutru spogląda, a pojmuje demokrację, nie jako demagogię, ale jako pracę sumienną *dla ludu — z ludem*, ten — niezależnie od tego, czy jest mieszkańcem wsi, czy miasta — nie może uchylać się od pracy nad szczepieniem kultury przemysłowej wśród ludu. A pracy tej jest pod dostatkiem i dla ziemiaństwa, i dla duchowieństwa, i dla inteligencji miejskiej.

Dwór, plebania i miasto mogą tu sobie podać ręce i pójść *społem* ku jednemu celowi, którym jest odrodzenie kraju i narodu.

Z. DĘBICKI.

HANKA.

Szary łachman, z chmur utkany, zasunął niebiosą swoją opończę, zaczął się sypać śnieg, rozwiewać się, kłębić w powietrzu i słać się wolno na brudnych płytach kamiennych, jak kwiecie przekwitłej czereśni.

Coraz gęściej i gęściej, pada bezustanku, monotennie, niezmordowanie. Jeszcze chwila, a nogi przechodnia przestają odciskać ciemne, błotne ślady na trotuarach i cały Kreszczatik tonie już w tej sino-białej zadymce.

Ale ruch nie ginie, wysypują się roje malutkich saneczek, rysaki wichrem prują powietrze, brzęczą dzwonekami, prychają radośnie, a z nozdrzy ich śnieg pryska. Grube płaty lepkiego śniegu wyrrywają się z pod kopyt końskich, przebijają się przez oka siatek i uderzają o twarze jadących.

To przelatuje złota młodzież kijowska!...

Z sanek do sanek lecą ukłony, wrzawa, śmiech pusty... Co chwil kilka mignie powóz z poważnym jegomością w dochach i strojną żoną jego: siedzą rozparci oboje...

To kontraktowicze!...

A bokiem ulicy skromnie ciągnie się sznur dorożek, chude koniki z wysiłkiem postępują po nierównym bruku wśród rozwianego miejscami jeszcze śniegu.

To szary tłum!...

Na trotuarach pełno. W tę stronę, w przeciwną, biegną ludzie, potracają się, zatrzymują, biegną znowu na tym deptaku, trawieni gorączką, wracają uśmiechnięci, rozbawieni...

Bo to kontrakty!

Kijów wre życiem, Kijów się bawi.

A srebrne gwiazdki się sypią...

Zwartą gromadką idą trzy dziewczynki z Francuzką. Szykowne w swych krótkich, granatowych kostiumach, lustrowych czapeczkach, ze srebrzącymi się śniegiem włosami.

— Ot, i ślizgawka nasza przepadła! — wzdycha najstarsza złotowłosa o dużych, czarnych oczach, pełnych iskier złotych.

— Przepadła! — jak ciche echo powtarza smagła dziewczyna, a rysy jej, rysy delikatnej kamei, wioną głębokim smutkiem. Jest to jedna z tych twarzy, co nigdy się głośno nie śmieje, uśmiecha się tylko.

— Jaks ty, Hanko, tragicznie to powiedziała!

— Bo mi żal.

— *Voyous mes enfants*, wracajmy, czas już do domu.

— O, choć raz jeszcze! — panienkom nie chce się wracać, one tak lubią ruch, gwar ludzi.

— *Mademoiselle chérie*, Linka zapomniała jeszcze wstążki do włosów!

— Jutro może kupić.

— Na dziś koniecznie potrzebna, koniecznie, idziemy do teatru — woła błagalnie mała osóбка o kasztanowatych lokach i dziecinnie zakrzywionej buzi.

Mademoiselle rozumie doskonale, że ją oszukują haniebnie, lecz cóż robić *Ainsi va le monde*. Zgadza się, tylko zapowiada, iż to już po raz ostatni.

— Odtąd starajcie się odrazu pamiętać, czego wam potrzeba.

— Ależ, naturalnie!

— Więc chodźmy do Szulca.

— Och! tam takie brzydkie kolory! *Fi donc!* Jeden tylko jedyny Konoplin.

Umyślnie wskazują przeciwny koniec Kreszczatiku, byle spacer przedłużyć.

— *Eh bien allons!* — wzdycha zawojowana Francuzka.

— Czarniutki przejechał — zawiadamia cicho Linka towarzyszek.

— Gdzie? gdzie?

— Stanął przed Idzikowskim, nie gapcie się, bo *mademoiselle* zobaczy i — awantura.

— Nie! nie! ja tylko tak — niby w witrynę. Prawda! jest! Hanko, zobaczno, jaki on śliczny!

Ale Hanka wydyma pogardliwie swe wąziutkie usta.

— Za pewny siebie! chodźmy prędzej, co on o nas pomyśli? Wysuwa się naprzód.

— *Mes voyons donc mes petites, marchez comme il faut.*

Więc małe kobietki kroczą dalej poważnie niby, ale spojrzenia ich z przymrużonych od śniegu oczu lecą wprost w twarze przechodniom.

Młodzież staje zachwycona, ogląda się za niemi, one słyszą szmer podziwu i idą dalej zwinne, lekkie, małemi nóżkami w wązkich bucikach o wysokich obcasach ledwie dotykając ziemi. A srebrne gwiazdki z nieba się sypią, migoczą i ścielą im drogę...

*

*

*

— Zajdziemy do Georges'a na czekoladę—proponuje Paula, której perspektywa powrotu do domu, a zatem do książki, niebardzo się uśmiecha.

— Wyborny pomysł! do Georges'a, do Georges'a, tak nam się jeść chce!—popierają Lineczka i Hanka.

Mademoiselle dla zasady lekko oponuje, ale one wiedzą, że właściwie zawsze na swoim postawią i po chwili wchodzą do modnej cukierni.

Pokój, jak wązka szufladka, biała ze złotem, zastawiona białemi stolikami, pełen. Wszystkich oczy zwracają się na dziewczynki. Moc znajomych.

— Zanieckie, Zanieckie—rozlega się szept wokoło.

Podchodzi śliczna młoda kobieta, zgrabna i ogromnie szykowna. Ruchy ma trochę ostre, lecz zwinne, wiewiórcze.

— Dzień dobry, miłe moje — mówi niskim, trochę nosowym głosem.

— Rena!

Jest to żona ich kuzyna.

— Renuś, ty w Kijowie? Kiedyś przyjechała?

— Czemuś u nas jeszcze nie była?

— Właśnie od was wracam — zwraca się Rena do Hanki — lecz nikogo nie zastałam.

— Ach, mamusia z Oleńką z wizytami pojechały, miały o szóstej dopiero powrócić.

— Renuś, będziesz na *pique-nique*'u?

— A jakże! Przyjechałam specjalnie robić sobie toaletę. Chodźcie ze mną, pomożecie mi wybrać cośkolwiek, zasiedziałam się na wsi, już nie wiem nawet, co noszą.

Hanka wymawia się, ma lekcye.

— Ech! co tam—woła Paula—napiszę do panny Jadwigi, że mnie głowa boli, żeby jutro nie przychodziła i ty zrób tak samo.

— Nie mogę!

— Chodź, Hanko, nie bądź upartą.

— Nie, nie!

— Hm, szkoda! my obie z Linką pójdziemy, ale będziesz nas musiała wcześniej do domu odprowadzić, wybieramy się do teatru.

— Ach, coś dają?

— „Cyrulika sewilskiego!“ Gra Kameński, jesteśmy w nim zakochane wszystkie, szalenie!

— Ładny?

— Cudowny! zachwycający! a jaki głos!

— Jeśli tak, to może i ja pójdę. A wy, Hanko?

— Nie wiem, mamusia nic nie mówiła.

Hanka się spieszy, jednym łykiem kończy swą czekoladę, pragnie już wracać, odrobić jaknajprędzej zadane lekcye, być może, iż i jej matka z Oleńką się wybierają, może i ją weźmą, ona tak śpiew kocha! co to za radość dla niejby była! może, może...

Żegna się z Leną, kuzynkami, biegnie tak, że *mademoiselle* ledwie nadszyść może za nią.

Mademoiselle jest to osoba od spacerów, tak zwana przez panienki „tyczka chmielowa,“ albo częściej „żyrafa.“

— *Anne vous irez toute seule déjà, n'est ce pas?*—pyta „żyrafa“ na rogu ulicy.

— *Bien! bien!*

Bardzo często zdarza się, iż Hanka wraca spory kawał sama, choć matka tego nie lubi, ale nie śmie nic powiedzieć Francuzce.

W domu ciemno, pani Zanieckiej, ani Oleńki niema jeszcze. Hanka więc zapala lampę, siada przy biurku i gorliwie zaczyna się uczyć.

— ...Triasowy, 3 piętra, u dołu piaskowiec pstry... z odciśkami łap gadów chirotherium... ciekawam, czy pójdą, pewno tak, bo Oleńka kazała tę nową suknię sobie przygotować, naturalnie, że pójdą, Kameński śpiewa... ach, jak prześlicznie! Chciałabym i ja pójść... Mój Boże, jeszcze nic nie umiem!... Wyżej wapien muszlowy z lilij morskich, wreszcie kenper czyli piaskowiec... czyli piaskowiec... a może mnie nie wezmą? Piaskowiec i glina, i glina...—powtarza bezmyślnie.

Dzwonek

Hanka zrywa się, lecz wnet siada napowrót, zatyka uszy palcami i powtarza uważniej:

— Epoka mezozoiczna, drugorzędowa, należy trias, jura, kreda...

— Hanko moja złota, zakarbuj mi włosy!— woła Oleńka ze swego pokoju.

— Idę.

Oleńka w szlafroku już siedzi przed wielkiem lustrem, włosy jej jedwabiste płyną po ramionach aż do ziemi prawie. Wygląda, jak te postacie madonny ze złoczonego bizantyjskiego obrazu, ze swą delikatną cerą i siatką niebieskich żyłek na skroniach.

— Gdzie idziesz?—pyta Hanka.

— Na „Cyrulika,” mamusia zaprosić musiała Bolków... aj, parzy!

— Przepraszam!

— Nie wezmą mię — przelatuje przez myśl Hanki, ma oczy pełne łez, ale prędko przechyla w tył głowę, by wlać je napowrót pod powieki, pomaga siostrze ubrać się, zapina jej rękawiczki, nakłada futro.

— Musimy jeszcze po Bolków zajechać.

Wchodzi pani Zaniecka, niemłoda osoba ze śladami wielkiej piękności.

— Hanko, wrócimy z Bolkami na kolację, przygotuj porządnie wszystko. Każ Janowi włożyć czyste rękawiczki, taki brudas, że mi wstyd.

— Dobrze, mamusiu—szepce Hanka cichutko.

Odjeżdżają, a ona zasiada napowrót do książki.

— Epoka kenozoiczna...—naraż chowa twarz w dłonie, wybucha głośnem łkaniem.

— Głupstwo! mażę się, jak dzieciak—stara się uspokoić—naturalnie, mama ma rację, że mnie nie bierze, zawsze tak jest wszędzie w moim wieku, tylko o nauce trzeba jeszcze myśleć, naturalnie...

Wypija szklanek zimnej wody, przygotowuje wszystko do kolacyi, układa owoce i ciasta na kloszach i już zrezygnowana, powraca do pracy.

*

*

*

Przez salę kontraktową przelewa się fala.

Fala różnorodna, niesforna, hałaśliwa. Ludzie cisną się, rozpychają, torują sobie drogę łokciami i pięściami. Słychać łajania, sypią się niezupełnie estetyczne wyrażenia, bo też i publiczność niebardzo wyborowa, większość przyszła tu, jak na bezpłatne widowisko, tak tylko „na gapia” i ci właśnie najbutniej się rozbijają, wrzeszczą najgłośniej.

Już na schodach i w pierwszym przedsionku, gdzie Tatar mydełka sprzedaje, panuje tłok nieopisany, przez drzwi, do pierwszej sali wiodące, wjeżdża się najczęściej, jak serek wzięty w prasę a zawieszony w powietrzu, jednak w samej sali już odrobinę przestronniej, z trudem wprowadzie, lecz kto ma ostro-kanciaste łokcie, kursować może nawet we wszystkie strony. Panuje tu za to upał szalony i dziegiem pachną buty szanownych panów „gapiów,” a czasem w twarz otrzymać można całą garść łupin wilgotnych jeszcze ze słonecznika, które ten rodzaj publiki bez przestanku żuje. Z boków sali ciągną się „sklepy” poprzedzielane od siebie drewnianymi lub tekturowymi zaporami. Wszystkiego tam można dostać, od igieł i nici, szklanek, srebrnych i złotych wyrobów (zupełnie, jak w Luwrze paryskim), aż do dywanów smyrneńskich, lecz jest to *par excellence* królestwo jedwabi i kaukaskich materyałów. Przed magazynami tymi największy tłum nie tylko już widzów, ale i kupujących.

Trzy młodsze Zanieckie skorzystały z niedzieli, by przyjechać tu z Francuzką, niby sobie nabrać czegoś lekkiego na sukienki, a właściwie, aby zabawić się trochę.

Rozpromienione, uśmiecnięte spacerują po sali, co chwila gubią się, szukają, znajdują, rośmieszzone zapomniwały o celu wycieczki, nic nie pomaga głos *mademoiselle* i jej pełne zgrozy okrzyki: *Mais c'est affreux, marchez donc comme il faut! oh là là quelle foule!*

Czerkiesi krążą koło nich, na wyścigi zapraszają, ukazują swe najprzedniejsze towary, darzą komplementami.

One są zachwycone. Paula sypie złote skry swych złotych oczu, Linka ukazuje dwa prześliczne dołeczki na dziecinnej buzi, nawet Hanka, ta poważna zawsze Hanka, rumieni się lekko, podnosi frendzlę długich rzęs, ukazując nadmiernie rozszerzone źrenice. Nakoniec wpadły w wir wychodzących, wir ten zakręcił niemi i porwał przemocą do drugiej sali. Teraz dopiero zobaczyły, że Francuzka gdzieś znikła.

Są naprawdę przestraszone.

— Co to będzie!—biada Hanka.

— Ot, ślamazara z tej „żyrafy”—indyczy się Paula — głowę dają, że nas nie znajdzie!

— Zamiast ona nas, to my jej musimy pilnować.

— Wracajmy!—radzi Hanka.

— Ciekawam jak, chyba po głowach, bo nie myślę przeciskać się raz jeszcze przez ten tłok.

— Co tu zrobić?

— Dzień dobry paniom.

Przed niemi dwaj studenci, jeden bardzo wysoki i chudy, przezwany „Podbipiętą,” drugi maleńki, tłuściutki toczy się i dlatego nosi miano „beczki od śledzi.”

— A, panowie tu?—udaje beczelne zdziwienie Paula, bo już od samego Kreszczatiku widziała, że wloką się za niemi krok w krok.

— Pan taki duży, panie Marcinie—wdzięczy się Linka—pan naszej *mademoiselle* nam poszuka, panu ją łatwo przyjdzie odnaleźć.

— Z przyjemnością—odpowiada chłopak, choć właściwie owa przyjemność trochę problematyczna, lecz posłusznie idzie na poszukiwanie zguby.

Tymczasem Paula zawzięcie flirtuje z „baryłką.”

— Idziemy na *pique-nique* — oznajmia tryumfalnie, zupełnie tak, jakby mówiła: zdobywamy świat cały — wprowadzie tylko na galeryę, lecz będziemy tam tańczyć, urządzimy sobie drugi bal, ubawimy się idealnie—zapewnia.—Panowie przyjdą?

— Gdzie panie, tam i my!

— To dobrze! Proszę tylko dużo, dużo kolegów sprowadzić.

— Naprzykład?

— Czy ja wiem! choćby cały uniwersytet.

— Niema co, skromniutkie żądanie. Po co pani tyle tego tałałajstwa?

— Fi, panie, kto tak mówi! Niechno pan przyprowadzi najładniejszych, zobaczy pan, jak mu ślicznie podziękuję—śmieje się dalej dziewczyna.

Hanka jest niespokojna, *mademoiselle* gotowa, nie znalazłszy nas, wrócić do domu.

— Oto bura będzie od mamy—nachyla się do ucha Lince.

— Idzie, idzie „żyrafa!” tam z p. Marcinem.

Wszystkie trzy rzucają się ku niej, ale Francuzka jest zła.

— Wracajmy, dosyć mam już tych kontraktów—*on vous bouscule, on vous marche sur les pieds sans crier gare! Je n'en peux plus. Là c'est fini.*

— Musimy ugłaskać „żyrafę”—odzywa się cichutko Paula—bo gotowa zawziąć się i wrócić naprawdę. Wiecie co, kupmy jej ten pasek ze skówkami.

Ogólna zgoda.

No i ugłaskana „żyrafa” siada sobie w małej salce dywanów, dokąd wpuszczają tylko wyborową publiczność, a gdzie, jak wytłómaczyły panienki, będzie jej doskonale, zaś one same ze studentami dalej wszędzie się kręcą.

Na dole gra gramofon i pokazują ostatnich z rodu Azteków, naturalnie, muszą to obejrzeć. Właściwie, nic ciekawego, raz już nawet widziały w tym roku: ludzie z czaszki w tył cofniętej ogromnie podobni do małp, przytem mają po jednym tylko stawie u palców, gramofon zaś bardzo prymitywnej konstrukcyi, jęczy raczej, niż śpiewa, a już trele „Sołowieja” głos u Baronate są jakimś zgrzytem żelaza po szkłe; lecz cóż to szkodzi, właśnie zabawne, można się uśmieać.

A przytem flirt! jest przecie pan Marcin i Franciszek, grzech nie korzystać ze sposobności.

Lecz obu studentów Paula wyłącznie zagarnia.

— Co za bałamutka—gniewa się Linka.

— Może i ty będziesz taka sama.

— Ja nigdy, jeżeli mi się ktoś podoba, to co innego, ale do byle małpy zęby szczerzyć i oczy przewracać, fi!

Hanka też tego nie lubi, lecz jest względniejszą, ona stara się każdego usprawiedliwić, bo co to komu szkodzi, niech sobie Paula flirtuje, kiedy flirt ją bawi.

A Paula daje sobie wybornie radę z obu chłopakami, każe jednemu nosić swoją sakiewkę, drugiemu żakiet, bo jej za gorąco. Ząbki szczerzy w lewo, w prawo, przechyla w tył główkę, wybuchając wesołym śmiechem, a w antraktach przepala spojrzeniem uwijających się Czerkiesów.

— Może już dość?—pyta Hanka, której, jak widmo, jawi się niewykończone jeszcze wypracowanie.

— Tyś zawsze *gâte-fête*—oburza się Paula, ale Linka rozgniewana, iż ją za dziecko uważają i ignorują zupełnie, popiera Hanke.

— I my też musimy wracać, zapominasz, że od tygodnia codziennie dla rozmaitych powodów opuszczamy lekcye!

— Eh, co tam!

Jednak rada nierada musi uleść przemocy. Przed gmachem kontraktowym ciągną się długie drewniane budynki półotwarte, sprzedają tam pierniki, ciastka, hałwę, rahatłakum, pastylę i inne tureckie przysmaki. Kto z sali wychodzi nie przejdzie obojętnie

przez chodnik z zabłoconych desek ułożony na trzęsawisku błota, by sobie jakiegos specyału wschodniego nie zafundować.

Każda z Zanieckich dźwiga po ogromnej paczce z szarego papieru, zdążając do dorożek, zajądają w najlepsze, ale spóźniły się—ani jednej wolnej już niema, a noc zapada.

Stoją zafrasowane z przeciągniętymi minkami. Hanka niecierpliwi się.

— Mówiłam chodźmy, teraz co będzie? narazimy się tylko na gniew mamy.

— Niech panie wezmą naszego *lichacza*—proponują studenci.

— My *lichaczem*?

— Ech, wielkie co, jest już ciemno, nikt nie zobaczy, doprawdy, proszę się nie namyślać.

— Ależ nie zmieścimy się w cztery.

— I na to jest rada, my z *mademoiselle* zaczekamy na tramwaj.

— Doskonale, jedźmy więc.

— A mama?

— Ciocia nie potrzebuje wiedzieć—zawiadamia Paula—a przeleciemy się, jak wicher, za dziesięć minut będziemy już w domu.

Siadają w piramidkę tak uszczęśliwione, że Paula ze śmiechu gubi zarękawek, który leci w sam środek kałuży.

— Aj! aj!—woła.

Z błota laską swą Marcin wyciąga topielca tak fatalnie wyglądającego, że dziewczynkom aż łyzy ze śmiechu stają w oczach.

— Boże, mój Boże, przepadł mansonik, *horrendum* do czego podobny?—biada właścicielka.

— Panowie, licytacya — woła Marcin, podnosząc w górę i kręcąc nieszczęśliwą ofiarę wesołości.

— Dwa grosze i pół piernika, kto da więcej?

— No, no, proszę oddać, bo nie mamy czasu.

Studenci z poświęceniem wycierają zarękawek własnymi chustkami.

— Przejedźmy się choć raz przez Kreszczatik — proponuje zawsze pomysłowa Paula.

— Bóg wie co! żeby jeszcze kogo znajomego spotkać.

— Prawda, jaka szkoda! Głupi ten Kijów.

Mieszkają na Złotowrockiej.

— *Skoro, skoro!*—woła Linka dorożkarzowi.

Leca, co koń wyskoczy, wiatr trzepocze piórami u kapeluszy, a przed nimi uciekają pędem światła elektrycznych latarni, drzewa, kamienice i ziemia.

— Cudowna jazda!—zachwyca się Paula.

Hanka nic nie mówi, lecz myśli.

— Jechałabym tak bez końca...

— Wiecie co, nie podjeżdżajmy do domu, bo jeszcze ciocia zobaczy i gotowa awantura—radzi Linka.

Zatrzymują więc dorożkę na rogu i dalej pieszo przechodzą.

— Oho, mama jest, w gabinecie światło się pali.

— Hanka ma stracha—żartuje Paula, ale i ona miną nadrabia, bo ciotki się boi.

— Chodźmy lepiej przez kuchnię cichutko.

— Nie, to gorzej jeszcze, mama pomyśli, że się kryjemy, no, raz, dwa, trzy, odwagi. Dzwonię.

— Siedziałyście długo—mówi pani Zaniecka, nie odrywając się od pisania.

One cichutko, jak myszki, w obawie dalszej indagacyi, przesuwają się do Hanki pokoju.

— Pokażcie sprawunki—prosi Oleńka.

Zaczyna się oglądanie. Wzięły wszystkie trzy sarpinki białej w błyszczące blade-niebieskie pasy.

— Bardzo milutka — mnie Oleńka w rękę i układa w fałdy pod światło.—Hanko, daj swoją Oldze, niech ci uszyje.

— Olga nie skończyła jeszcze twojej halki.

— Cóż ona tak marudzi, niech zresztą rzuci, mnie tymczasem halka nie potrzebna, a ty musisz mieć sukienkę na *pique-nique*.

— Dziękuję ci.

Oleńka jest zadowolona, ma ona bardzo dobre serce i lubi zrobić komuś przyjemność. Ma też szczęście do ludzi, wszyscy przepadają za nią, pieszczą, dogadzają, psują. Matka ją ubóstwia; ona z wdziękiem rządzi całym domem, siostrę uważa za dziecko, nieraz prawi jej morały, gdera, ale nie umie długo się gniewać, to przeciwne jej dobrej, choć prędkiej naturze. Hanka jest bardziej skrytą, przywykła od małości być na uboczu, rzadko dzieli się swemi myślami, dzika trochę, czasem robi wrażenie upartej.

— Niczem nie można ugłaskać tej dziewczyny, drewno—skarży się pani Zaniecka, ale nie zna córki, ona właśnie czuje bardzo głęboko, tylko nie umie tego okazać, zresztą pieszczot nie znosi, nie przywykła do nich, wszelkie sceny czułości patryarchalnych nużą ją niewymownie.

Kuzynki swe bardzo kocha.

Paula, to pustak, lecz dobra dziewczyna; Linka? kto wie, co z niej jeszcze wyrośnie? niby marzy o pielęgnowaniu chorej ludz-

kości. „Siostrą miłosierdzia zostanę, zobaczycie”—powtarza, tymczasem cieszy się szczerze perspektywą bliższej zabawy.

*

*

*

— Jutro *pique-nique*—duma Hanka wsunięta w róg kanapki—jutro już!

Otwiera się przed nią świat nieznany jeszcze, zaczarowany sezam, dotąd zamknięty szczelnie, a zasłyszany jedynie z opowiadań Oleńki, opowiadań pełnych uniesień, zachwyty; i teraz zda się jej, że widzi go w blasku, gwarze, w dźwiękach orkiestry. Grupują się rozproszone obrazy, skrzydlate, tęczowe mary, snują się tony słodkiej melodyi.

Śni...

Młodości cudne sny!

O liliach białych,

Zorzach świetlanych,

Czarach kryształowych uczuć świętych.

Ofiarach całopalenia...

Oleńka siada do fortepianu, zaczyna jakąś kołysankę. Pod delikatnej ręki uderzeniem leci rzewność nieskończona, zawodzi, skarży się, płacze, pieśń nad pieśnią, cud-baśń i roztopia się w precudnem *pianissimo*.

Cisza.

Hanka, jak ze snu zbudzona, otwiera swe morskie oczy.

— Graj jeszcze—prosi.

Więc Oleńka gra huczną fantazję południową. Słysząc niby pędzące naoslep chmury, piorunami grzmiące, widać gnące się drzewa wśród burzy, łamanie gałęzi, stada lecących ptaków, a potem niby morze szalejące bezcelowo w swych brzegach i znów jakieś pole samotne, na którym jeno trawy szumią głucho i monotonnie.

Nagle dzwonek! jak uosobienie huraganu wpada Paula.

— Haneczko—woła już od progu, nie witając się z nikim—chodź, przynieśli mi białą sukienkę, mówię ci fiasko kompletne, spódnica fatalna, marszczy się cała, nic szyku, musisz zobaczyć, może coś poradzisz. O, mój Boże, cóż za nieszczęście — i Paula gotowa już płakać.

Hanka ubiera się co tchu i obie lecą do Pauli. Linka i Paula mieszkają niedaleko, na tej samej ulicy, na pierwszym piętrze zajmują wspaniały apartament. Matka ich niedawno po raz drugi wyszła za mąż za bardzo bogatego przemysłowca, na co cała rodzina niechętnie patrzyła.

Lecz stało się! Może i lepiej...

We drzwiach dziewczynki spotykają najstarszą z Zanieckich, Romę, rówieśnicę Oleńki. Ubrana w długą czarną spódnicę, lutrowe figarko i takiż o czarnych piórach kapelusz, wysoka z marmurowo rzeźbioną twarzą i głową wysoko podniesioną robi wrażenie żałobnego posagu o niezwykle subtelnych liniach.

— Jakaś ty piękna!—podziwia Hanka z zachwytem.

Na usta Romy wybiega uśmiech zadowolenia ledwo dostrzegalny i znowu lodowy spokój jej regularne rysy powleka.

— Cicha powierzchnia głębin—duma Hanka, gdy ona wolno schodzi po schodach i jeszcze ogląda się za nią, aż dopóki na skrócie nie niknie.

— Chodźże prędzej, szwaczka czeka—niecierpliwi się Paula—nigdyś Romy nie widział! Chodźże!

Zaczyna się mierzenie, dysertacja długa o strojach. Paula ogląda się w potrójnem lustrze od stóp do głów.

— Nie, ta suknia fatalna, nic już z niej nie będzie, wolę nie iść na *pique-nique*—mówi zniechęcona.

— Grymasisz, wcale tak źle nie jest—tłumaczy Linka.

— Nie pójdę, nie chcę wyglądać, jak czupiradło, idźcie same—ma łzy w głosie.

Hance robi się żal kuzynki, klęka obok szwaczki na ziemi, obciąga spódnicę, podpina, wstaje, odchodzi, przygląda się, nakoniec wygłasza stanowczo:

— Zobaczysz, że będzie bardzo dobrze.

— Powiedz prawdę.

— Ależ seryo, przy szyi jeszcze trochę goło, wiesz, poproszę Oleńki, by ci pożyczyła gipiurowy kołnierz, zaraz on całą suknię ubierze.

Paula dziękuje uśmiechnięta. Zatrzymują Hankę na cały wieczór, są, jak zwykle, same, rodzice wiecznie poza domem, ojcym w klubie, matka z Romą z wizytami jeżdżą, do teatru, na koncerta, one robią, co im się podoba. Teraz wszystkie trzy siedzą wciśnięte w głąb otomany i gwarzą wesoło o przyszłej zabawie.

— Pomyśl, już jutro!—cieszy się Paula.

— Która będzie królową?—usiłuje zgadnąć Lineczka.

- Pewno Roma!
- Oleńka w balowej sukni śliczna, Roma bez życia—mumia!
- A może Rena?
- Zobaczymy jutro—już jutro.

*

*

*

Sala gmachu kupieckiego oświecona *à giorno*, ubrana zielenią. Od góry galeryi wiszą wieńce, wśród kolumn przebiegają festony, posadzka się szkli, dwie orkiestry stroją swe instrumenta. Jeszcze pusto, kilka pań tylko, gospodyń, z bukietami zbiło się około drzwi gabinetu, jak cudne kwiaty na tle palm i fikusów. Galerya zato już zapelniona, kto nie tańczy, ten idzie choć spojrzeć na bal polski z góry. Zanieckie od kwadransa przybyły, zajęły najlepsze miejsca wprost głównych drzwi. One są zawsze uprzywilejowane, choć nie tańczą, dostały „na pamiątkę“ od studentów-gospodarzy najładniejsze karneciki ze złotymi żetonami, z wrytem na nich imieniem i datą *pique-nique*’u. Rój młodzieży je otacza. Paula ma minkę zasmuconą.

- Mama nam nie pozwoliła tańczyć—skarży się.
- Ależ to barbarzyństwo — oburza się studencik Zaremba cieniutkim kogucim głosem.
- Ach, naturalnie, okropność, właśnie taką miałyśmy ochotę.
- To być nie może, zbuntujemy panie, nie damy tyranizować—zapewnia Marcin „Podbipięta.“
- Kiedy podobno nie wypada na galeryi tańczyć?
- Głupstwo, kto teraz na takie drobnostki uważa!
- Ach! tak, tak!

Tymczasem do sali wchodzi pary; powiewne, blade sukienki panienek falują, marszczą się za każdym poruszeniem, jak wody powierzchnia, na głowach mężatek drżą rajskie piórka w gazowych *choux*, gospodarze z czerwonymi znaczkami co chwila przebiegają przez salę. Unosi się mocny zapach pudru i perfum. Muzyka zaczyna walc Louis XV.

Kilka par już wiruje. Prędzej, prędzej, łączą się tony światła, barwy, powiewy koronek, wachlarzy, krąży wokoło wszystko aż do zawrotu głowy, do zatracenia prawie świadomości. Osób ciągle przybywa.

Ani Oleńki, ani Romy jeszcze niema.

Około północy, przez głównego gospodarza prowadzona, wchodzi Rena. W czarnej aksamitnej sukni, pokryta kaskadą brylantów, łuską węża migoczą jej dżety. W sali szmer.

— Zaniecka, Zaniecka.

— Jaka ona piękna, ach, jaka piękna!

— Usmarowana — poddaje któraś z licznych pań, siedzących rzędem pod filarami.

Lecz panowie nie dbają o to, cisną się do Reny, żebząc o taniec, ona z czarownym uśmiechem podaje karnecik.

— I ja taką będę — myśli Paula.

Prawie jednocześnie przybywają Oleńka z matką i Roma z rodzicami. Rząd studentów czekał już na nie przy wejściu. Jak iskra elektryczna przebiegają wśród młodzieży słowa:

— Już są!

Mędzy szpalerem mundurów idą obie.

Roma kroczy dumnie, unosząc swą królewską głowę, najwyższa między wysokimi, w błyszczącej blado-zielonej sukni, srebrem oszytej, a greckie otwarte rękawy, równo ścięte u dołu, ziemi sięgają.

Oleńka cała biała, gaza i koronki, koronki i gaza, tylko włosy za delikatne prawie, za cienkie złocą się w świetle i oczy jej szare poza długimi rzęsami się żarzą. Piękność i wdzięk.

Muzyka gra *La Gitana*.

Do Oleńki podchodzi baron Artur Groger, student z czwartego kursu, „filozof“, niewielki, zręczny, a w jego cygańskich oczach, gdy na nią patrzy, kryje się bezbrzeżne uczucie, dławiąca siła niezwykła.

— Nie mogłem się pani doczekać — szepcze cichutko.

Oleńka z zajęciem coś poprawia przy wachlarzu i zda się, nie słyszy.

— O là là, jaki nieznośny! — gniewa się w duchu rozdrażniona — czego ten znów mię przesładuje.

Tańczą.

Oleńka z zajęciem rozgląda się po sali.

— Gdzie to pan Wacław?

— Wyjechał dziś rano.

— A! Dlaczego?

— Wezwano go telegraficznie.

— Mógł po balu jechać — myśli Oleńka. Wiadomość ta przykrość jej sprawia. Wacław jest to jej flirt najulubieńszy, sezonowy, nieodłączny cień, ładny chłopiec i ogromnie wesół. Włóczy

się za nią na wszystkie fixy, rauty, nawet wysłodzi zawsze jej obecność w teatrze i zjawia się ku utrapieniu Artura, zdecydowanego już konkurenta.

Niedalej, jak wczoraj, na klęczkach prawie prosił ją o kotyliona i ona byłaby się zgodziła, gdyby nie perswazyja matki, iż taniec ten Grogerowi już obiecała i musi słowa dotrzymać. Może obraził się na nią, zazdrosny o Artura? Pewno — i dlatego nie chciał być na *pique-nique'u*. Tak! tak! Tu Oleńce serce mocniej bije, nie kocha go, bo już zajęta młodym studentem Saszą, lecz miłość jej własna mile polecthana tem przypuszczeniem.

— Jeszcze jeden! — uśmiecha się i różowa łuna zadowolenia delikatnie barwi policzki.

Roma i w tańcu zachowuje olimpijską powagę. Z Bożej łaski królowa piękna.

Na ustach panów zamierają banalne komplementa. Ona wodzi oczyma po tłumie.

— Patrzcie i podziwiajcie — mówi każdym ruchem — bijcie mi pokłony, lecz tam, w dole, u stóp moich z pokorą, boście wszyscy słudzy moi i niewolnicy.

Hanka, jak zawsze, nią się zachwyca, Paula wydyma pogardliwie usta.

— Marmur! wolę Oleńkę.

Jest to głos ogółu.

Oleńka królową! Oleńka królową!

Czuja to wszyscy.

Matka Romy, pani Kuderyn, której Paula jest żywym portretem, siedzi na czerwonej aksamitnej kanapie i gryzie z bezsilnej złości róg koronkowej chusteczki. Wygląda bardzo młodo i jest stanowczo piękniejszą jeszcze od córek, twarz ma drobną, przepyszne oczy, włosy ciemne aż w granat wpadają, a na niskim gładkim czole, jak czarne skrzydła jaskółki, biegną cieniutkie sznurki brwi, usta drobne, dziecinne prawie, gdyby nie górna warga trochę wydatna, ciemnym puchem pokryta, co całej twarzy nadaje wyraz ostry trochę. Kuderynowa dużo widziała, dużo przeszła, lecz starała się zawsze z życia brać jedynie to, co jej przyjemność sprawiało. Bawiła się, śmiała, kochała...

Dzieci nudziły ją, trzymała je zdala od siebie i dopiero przed kilku laty, widząc piękność Romy, przez dumę zaczęła się nią zajmować. „Niedługo ja złożę berło, niech ona je podniesie“ — myślała, ale Roma za dumną była, zanadto ufna w swoją potęgę, nie chciała po nie się schylić, uważała, iż ono samo w jej ręce wejść powinno — i doczekała się, że tam, gdzie jest ona, Oleńkę

królową uznano. Kuderynowej wściekłość mowę tamuje. Przy niej kilku poważnych panów: komandor Kisielewski, szambelan Machnicki, hrabia Rerurk, śnietanka towarzystwa ukraińskiego, trochę z boku o filar oparty Groger ściga wzrokiem jasną postać Oleńki. Piękna pani zagryza usta.

— *Dites-donc monsieur*, do czego podobne, by sobie tak włosy ufarbować?

— Jakto?

— Czy pan nie widzi? dziś już zupełnie ruda, *vraiment*, nie jej się nawet dziwię, tylko matce!

— O ile mi się zdaje, panna Aleksandra zawsze złote miała?

— *Vous êtes trop bon cher baron*, te żółte kosmyki złotemi nazywać, wyborne! Przykro mi otwierać panu oczy, być zmuszoną o siostrzenicy tak mówić, lecz mi pana żal, wpadł pan w ręce kokietki bez serca, fałszywej, obłudnej, tam niema nic szczerego, kłamstwo na każdym kroku, zwodzi was ciągle, oszukuje, gdzie może, a wy hymny pochwalne na jej cześć śpiewacie. O, męska łatwowierności!

— *Laissez-maman* — chłodno przerywa Roma, i ona ma żal do kuzynki, iż wydarła berło jej przynależne, ale gardzi takimi środkami zemsty. Ona nieznałaby litości, zdruzgotałaby jednym zamachem wroga, na konającym postawiłaby bez wahania nogę, by go minąć, lecz brzydzi się takim drobnem pastwieniem się, jak klócie raz po razie maleńkimi szpileczkami złośliwości i to za plecami nieprzyjaciela.

Artur nie wierzy słowom Kuderynowej, lecz, jak zwykle bywa, oszczerstwo zostawia po sobie lekki pyłek zwątpienia.

— Kto wie, może ta jej pozorna szczerokość udana? — myśli smutnie. — Właściwie, czego ja chcę? — reflektuje się — przecie nie mam prawa nic od niej wymagać, zawsze okazywała mi li tylko przyjaźń, czy to jej wina, że ja więcej żądam? A może ona kocha już kogo? — krąży mu po głowie, gdy patrzy w jej rozmarzone i jakby zdala powracające oczy.

Smutek, jak cień, na duszę mu się kładzie, drażni go nieznośnie, przepaja go... skarży się... Artur wysuwa się z sali, niespokojnie błądzi po korytarzach i nakoniec dostaje się na galerię.

Paula tańczy walca z rąk do rąk przechodząc, zapomniawszy o zakazie matki, jedną tylko ma chęć obecnie — bawić się. Linka w rozpuszczonych kędziarach siedzi przechylona przez poręcz baryery, oczyma rozmawia z wysokim uczniem z przeciwka. On w dłoniach przepiękną żółtą różę trzyma.

Hanka słucha orkiestry, patrzy na pary tańczące, co pływają w świetle blasków, w dźwiękach i woni, na jasne sukienki panienek, siedzących pod ścianą, nie widzi Artura, który przed nią stanął.

— O czym czy o kim? panno Hanko.

Ona podnosi na niego błyszczące źrenice, lubi go, zna oddawna i spostrzega dziś głęboką brózdę smutku pomiędzy brwiami.

— Bawią się tam—pokazuje salę—jednak czasami mam wrażenie, iż tylko jedna połowa ich duszy, ta wierzchnia, się bawi, gdzieś czytałam, że poza nią każdy nosi w sobie jakąś mniej lub więcej głęboką bliznę po jakiejś mniej lub więcej interesującej w boju życia otrzymanej ranie, bliznę, o której się nie mówi i uśmiechem się pokrywa, lecz którą się pamięta...

Artur o filar oparty nie przerywa, a Hanka, jakby do siebie, dalej mówi:

— Staram się śledzić i duchowa fizyognomia człowieka wydaje mi się tak ruchliwą, jak odbicie naszej własnej postaci w wodzie, poruszanej przez wiatr, gdy słońce złotymi plamy przyświeca. I czuję, że widzimy tylko powierzchnię, i żal mi, że nie umiemy patrzeć, że nie danem jest nam wnikać w głąb każdej duszy ludzkiej, rozedrzyć się na milion atomów i każdym atomem wyczuwać najskrytsze jej tajniki?

— Dlaczego?

— Czy dojdziemy kiedy?—pyta z goryczą.

— Skąd pani to przyszło?

A Hanka żałuje już swej szczerości, cofa się, chciałaby sobie słowa swoje znowu w gardło wtłoczyć.

— Doskonały temat podczas balu—szydzi.

— Kobieca wrażliwość—mruczy Artur i patrzy z góry na tłum u nóg swoich.—Wszystko to manekiny, którym się ani śnią myśli pani, szkoda uczuć. Miernota, tylko miernota.

Przesuwa nerwowo ręką po czole i znowu zapada w smętną zadumę.

— Co panu?

On milczy, tylko podnosi głowę i czarne swe źrenice zatapia w morskich oczach dziewczyny.

— Panno Hanko, pani mi szczerze odpowie?

— Zobacze, to będzie zależało od pytania.

— Bawimy się frazeologią, a ja chciałbym wiedzieć... to jest pragnąłbym...—trudno mu wypowiedzieć widocznie—jak pani myśli, czy panna Oleńka kocha kogo? — kończy jednym tchem,

patrząc na piórko którejs z pań, jakby to tylko całą jego uwagę pochłaniało.

— Wątpię.

— Seryo?

— Najzupełniej.

— Niech pani spojrzy, jak zabawnie ta kitka drga. A Wacław Garbowicza?

— Ech, nie, to tylko taki maleńki flircik.

— Aha! flircik!

Uderza go raptem fala radości, przypływ niezrozumiałej chęci wypowiedzenia swych uczuć.

— Dziękuję pani, sam nie śmiałem o nic pytać; niech pani pomyśli, co by było ze mną, gdyby mi „tak“ odpowiedziano. Nie, nie, lepiej stokroć choć nadzieją się łudzić—głos mu drży.

— Biedny pan Artur.

Hanka delikatnie kładzie paluszki swe na rękę jego.

— Pani jest dobra, ogromnie dobra — mówi student, chyląc głowę i całując końce podługnych paznokietków.

Słowa te brzmią w jej uszach, jak muzyka czarowna, zadowolenie ogromne wypełnia jej serce.

— Dobra? nie wiem, lecz chciałabym nią być—szepcze.

Muzyka cichnie. Przez podwyższenie przedziera się uczeń z żółtą różą. Przechodzi kilka razy, jakby wahając się, obok Zanieckich. Linka odwróciła się teraz od balustrady, oparta o nią, śledzi każdy ruch chłopca. On, jak zahypnotyzowany siłą spojrzenia, podnosi kwiat do ust swych, a potem szybkim rzutem ciska go do nóg jej, zawraca i ginie za filarami.

Linka chwilę stoi bezradna, przed nią na brudnej podłodze galeryi leży róża wpół rozwinięta, mocny zapach herbaty bije w górę, Linka wstrząsa kędziorami, nachyla się i kwiat do sukni przypina. Siada napowrót. Uczeń już wrócił na miejsce swoje i płynie ku niej od niego dziękczynne wejrzenie, zachwytu pełne.

Paula się bawi. Z wdziękiem przechyla główkę, kokietując trzech odrazu adoratorów.

— Powiedzieć mi coś miłego — uderza lekko wachlarzem po rękawie Kazia Lisockiego, ślicznego chłopca, zapatrzonego w profil Hanki, co ją drażni nieznośnie.

— Mało pani słodkich słówek prawią kolega Zaremba, kolega Podbipięta *et compagne*?

— Zazdrosny jest — myśli dziewczyna i jak foksteryerka zaczyna się łaścić, wysuwając różowy buziak i sypiąc magnetyczne

skry złotawych swych oczu, aż oczarowany całkiem Kazik nachyla się trochę do ucha jej i przyciszonym głosem zapewnia:

— Pani jest sama miła, śliczna i taka kochana.

Ona nie odpowiada. Student bierze z rąk jej wachlarz, przytem nieznacznie ścisną jej paluszki.

— Cha! cha! cha! jaki pan zabawny!

Zmieszany Kazio cofa się i urazę swą topi w rozmowie z Hanką. A Hanka jest trochę rozczarowana. Bał piękny, nie można zaprzeczyć, ale ona w swych marzeniach inny świat jeszcze widziała. Czarowny świat z bajki, gdzie niema ani jednego półtonu fałszywego, ani jednego ruchu nieestetycznego, ani jednej twarzy nie przykuwającej swem pięknem spojrzenia, gdzie rząd kolumn marmurowych stoi cicho i poważnie, gdzie rysują się wszechpiękna posągi, a posadzkę kwieciami powódź zalewa, gdzie muzykę słyhać jeno z oddali, taką powiewną, taką rajska i cudną.

— Chciałabym tańczyć—wzdycha, bo czuje, iż taniec upoiłby ją i przenieść mógłby w tę dziwów krainę wyśnioną.

— Służę pani—skwapliwie podejmuje Kazio.

— Nie, nie wolno!

Studenci otaczają ją kołem, próbują namawiać, daremne jednak wszystkie ich wysiłki, Hanka matce obiecała, słowa nie zapomni.

— Ależ pani stanowcza!

— Złudzenie! żeby oni wiedzieli—myśli—jak wewnątrz chwiejną jestem, jak bardzo chwiejną.

Podczas kotyliona góra kwiatów wjeżdża na galeryę.

— Ozdoby ozdobom balu naszego—wołają studenci, rozdając najładniejsze bukiety Zanieckim.

Lwią część otrzymuje Paula, nie stara się nawet ukryć uczucia tryumfu, z pobłażliwą litością przygląda się wszystkim innym dziewczętom, które ledwo po kilka kwiatków w rękę trzymają. Hanka sama wybrała sobie pęk małych białych, pnących męrańskich różyczek.

— Ogromnie lubię ich zapach — tłumaczy Kaziowi, gdy ten ofiarowuje się wspanialszych jej dostarczyć.

Około ósmej gasną światła elektryczne, przez okna wdziera się błądy świt i sinym, zimnym blaskiem oświeca salę oraz zmęczone twarze nielicznego już grona tancerzy. Przy blasku dziennym występują smutno nieświeże, zmięte toalety pań, powiędłe kwiaty u gorsów, posadzka, usłana kawałkami brudnej gazy i koronki, stratanymi płatkami kwiatów... ogólne zniszczenie.

— Jedźmy już—nagli Hanka, którą razi ten obraz.

Prowadzone przez zastęp młodzieży, schodzą na dół, ubierają się z pośpiechem i w szary ranek po przez budzące się już ze snu miasto wracają do domu.

*

*

*

Dobrze już po południu budzi się Oleńka. Upojona świeżym tryumfem z zamkniętymi oczyma wywołuje wizję całej nocy ubiegłej, rój spojrzeń, uwielbienia, potok słów pięknych, a zawrotnych, głos jakiś miły, nie pomni już czyj, szepcze jej, jak w walcu owym: „Ty maju, ty raju, ty wiosno!“ Dziewczyna uśmiecha się, przeciąga leniwie i woła Hankę. Parzy ją chęć wylania swych wrażeń życzliwym uszom.

Hanka jawi się z potarganym jeszcze warkoczem, w czerwonym, niezapiętym nawet szlafroku, w rannych pantoflach na bosych stopach. Ziwa przeciągle i siada na brzegu łóżka Oleńki. Przez całą godzinę słucha opowiadań o Antkach, Franiach, Stasiach i nieprzebranej litanii innych jeszcze imion męskich. Nadchodzi pani Zaniecka również w stroju trochę, a nawet bardzo zaniedbanym, rozmowa zwraca się na ogólniejsze tory.

— Uważałyście, Stefania z Romą wyjechały zaraz po koty-lionie, były obie wściekłe.

— Śliczną suknię miała Roma—zachwyca się Hanka.

— Nie powiem, spódnica zaciśnięta, te rękawy niewiedzieć co, uczesana przytem fatalnie—krzywi się pani Zaniecka—a głowę zadziera, jakby nas, zwykłych śmiertelników, nie spostrzegała.

— To tylko pozory, mamusiu.

— Nie broń, Haneczko, mama ma słuszość, wczoraj nie raczyła wcale podejść do mnie. A ciocia Stefa i głową nie kiwnęła na przywitanie.

— Strasznie zazdrosne o ciebie, nie mogą darować, że masz więcej powodzenia—uśmiecha się matka.

— Jednak pamiętasz, Oleńko, dawniej zawsze Roma cię ubierała, czesała, gdyście razem szły na jaki wieczorek, a jak się starała, by ci było do twarzy—usiłuje przypomnieć Hanka.

— Zmieniła się od tego czasu mówi smutno Oleńka.

Hanka ma ochotę zaprotestować, lecz boi się wszczynać kłótni, ona tak nie lubi żadnych sporów, a pani Zaniecka dalej ciągnie:

— A jak one łapią Artura, aż wstręt mię bierze, tylko uważałam, iż on nie taki głupi, by się dał wziąć na plewy...

— Ech—rusza ramionami Oleńka—to mi obojętne.

— Moje dziecko, taki porządny człowiek, taki przywiązany do ciebie, grzech tak go traktować, jak ty czynisz.

— Ależ ja go nie kocham, nie chcę, dokuczyło mi słuchać o nim bez przestanku, niech go mama wybije sobie z głowy, bo za niego nie pójdę—rzuca się Oleńka.

— Dziecinko, zastanów się, na co ty czekasz? Czy nie widzisz, jakąbyś mi radość sprawiła, spełniłabyś jedyne moje marzenie!

— Tyle razy prosiłam nie męczyć mnie—jęczy Oleńka—po co mama przyszła psuć mi miłe wczorajsze wspomnienia, niech mama da mi święty pokój—naciąga kołdrę na głowę i zanosi się płaczem.

— Oleńko, *chérie*, uspokój się, przecież cię gwałtem nikt do ołtarza nie ciągnie, pomyśl jeszcze, nic nie nagli, rozważ, ale wierz mi, jam stara, doświadczona, przez życie przeszłam, nie jedno widziałam, śmiało rzec mogę wszystko głupstwo, dziecinko, jedno przywiązanie coś znaczy, ty masz łatwą naturę, przywiąziesz się prędko, a on zacny, pocziwy, serce matki to czuje...

— Niech mama idzie, niech mi mama nie dokucza—łka rozdrażniona dziewczyna.

Pani Zaniecka sama przeciera oczy i wychodzi posłusznie z pokoju, a Hanka stara się uspokoić siostrę. Gładzi jej włosy, mówi do niej, jak do małego rozkapryszonego dziecka, gdzie tylko widzi cierpienie, tam umie znaleźć łagodną pieszczotę i wkrótce Oleńka cichnie, chwilami tylko przebiega przez nią jeszcze dreszcz z krótkim nerwowym spazmem. Hanka przynosi jej szklankę zimnej wody, zmusza ją do wypicia.

— No, dobrze, już dobrze, wstawaj leniuszku.

Oleńka każe sobie podać lustro.

— *Mon Dieu*, jak ja wyglądam—rozpacza—oczy napuchnięte i czerwone, jak u królika, Rena o czwartej miała po mnie zajechać.

Znowu ma ochotę zapłakać, lecz Hanka czuwa, podaje waleryanę, jakieś krople do oczu jej wpuszcza, przemywa herbatą powieki i nakoniec Oleńka decyduje się ubierać.

*

*

*

Na ostatni tydzień kontraktów przyjeżdża brat Hanki i Oleńki, Witek. Opalony jak cygan, obrośnięty, nie ostrzyżony. Przywozi szczyry zapas wesołości, podmuch wichru ze stepów, no i pełną sakiewkę grosza z buraków wyciśniętego, a którego przeznaczeniem iść w ruch na rozmaite rzeczy kijowskiej atmosfery. Z jego przybyciem ożywia się jeszcze dom pani Zanieckiej, Paula i Linka wyprosiły się znowu od lekcji, od samego już rana przychodzą do ciotki, co chwila jawi się który z eks-kolegów Witka, urządzają się wspólne spacery tramwajem aż do Wrót Mikołaja, wspólne ślizgawki bez tej „nudnej żyrafy.“ Dziewczynki bardzo by chciały choć raz pojechać na *tire-aux-pigeons*, lecz pani Zaniecka ani słuchać o tem nie chce.

— Cóż to mama moją opiekę za nic uważa—oburza się Witek.

— Mój drogi, ty mnie będziesz uczył, co wypada! Nie pozwalam i nie nudźcie mnie więcej.

Idzie do swego pokoju. Panienki buntują się.

— Oleńce wszystko wolno! nam najmniejszej nie chcą zrobić przyjemności—narzeka Paula.

— Możemy tak urządzić, że mama nic wiedzieć nie będzie—proponuje Witek.

— No?

— Każemy powozom czekać na rogu z tajemniczo spuszczo-nemi budami, my już tam będziemy, a wy sobie spokojnie wyjdziecie, niby na spacer i dobra nasza!

— Brawo! Witek! — klaszcze w ręce Linka. — Więc marsz, chłopcy po konie!

Hanka ma pewne skrupuły.

— I, nie bądź głupia, co tu złego?—tłómaczy Paula.

— Jednakże jabym wolała raz jeszcze mamy poprosić.

— Niepozvoli i co?

— A jak się dowie?

— Już będzie po mszy i po kazaniu, głowy ci nie urwie.

— Tak, ale zawsze...

— Nie dziwacz się! Chodźmy!

Ubierają się gorączkowo.

— A proszę zachowywać się porządnie—upomina jeszcze pani Zaniecka, zajęta pisaniem przy biurku.

— Ależ naturalnie, ciociu!

Biegną na Włodzimierską. Chłopców ani śladu.

— Marudy—irytuje się Paula.—Może nie znajdą powozów—niepokoi się.

Nakoniec jadą.

— Hurra!—wydają stłumiony okrzyk. Towarzystwo się dzieli. Hanka i Paula nierozłączne siadają z Kaziem Lisockim, a Lince dostaje się Witek i Marcin.

Na zakręcie ulicy ukazuje się Kuderynowa z Romą. Paula już je zobaczyła.

— Zawracajmy, mama!

— Stój!—woła Hanka przerażona, obie wyskakują i spieszenie wpadają do bramy naprzeciw, zostawiając Kazia zdetonowanego niespodzianym wypadkiem.

— Jak myślisz, mama nas widziała?

— Skąd ja mogę wiedzieć, albo widziała, albo niewidziała.

— No, naturalnie! wiesz, mama to jeszcze nie, ale Roma!

— Bo czego jechałyśmy!

— Hanko, jakie my głupie—zastanawia się raptem Paula.

— Nie nowina—burczy Hanka w fatalnym humorze.

— Przecie, gdyby nam ciocia była pozwoliła?

— Cały sęk, że jest przeciwnie!

— Prawda, niema co, głupio się stało.

— Panienki, chodźcie—zjawia się Kazio z tajemniczą miną—niebezpieczeństwo minęło.

Otaczają go.

— No, co, jak?

— Panna Karolina przejechała tuż obok tych pań. Witek udawał, że coś w budzie poprawia i nic widać nie było, nawet nie spojrzali, teraz i na nas już czas.

— Wracajmy lepiej do domu—radzi Hanka.

— Dlaczego? już nas chyba nic więcej nie spotka? Spieszmy tylko, bo tamci czekać mają przy wejściu.

Paula się decyduje. Hanka głową trzęsie.

— Dosyć miałam strachu.

— Haneczko złociutka!

— Stanowczo nie.

— Chcesz mnie pozbawić takiej przyjemności—skarży się Paula żałośnie—przecie wiesz, że bez ciebie nie pojadę. Moja jedyna, zrób to dla mnie.

Hanka chciałaby kuzynce dogodzić, namyśla się, waha, na koniec ustępuje.

— Ot, jaka moja stanowczość, źle robię—zdaje sobie sprawę, wie doskonale, iż gdyby tylko o zabawę dla niej samej chodziło, wyrzekłaby się jej z pewnością, ale Paula...

A Paula tak się cieszy, tak śmieje się wesóło, że powoli i ona otrzasa swe rozdrażnienie.

— No, teraz daj Boże, by szczęśliwie ekskursya nasza zaginęła w ciemnościach niepamięci—mówi Kaziowi. Kiedy wracając przechodzą przez Kreszczatik, spotykają Renę.

— Dobra nasza, widzi pani, wszystko furda w porównaniu z wiecznością; dla publiczności byliśmy sobie na niewinnym spacerku od Ratusza do straganów Bessarabki i z powrotem, czego oczywistym świadkiem pani Irena Zaniecka. Niech się znajdzie człek dość kłamliwy, by mi zaprzeczył—śmieje się Kazio.

Młodzież odprowadza panienki do domu i uważa za stosowne się żegnać.

— Dajcie pokój, zostańcie, posłę po Franka, zagramy jaką partyjkę—prosi Witek.

Zielony stolik, a bardziej jeszcze perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie ładnych panien, zatrzymuje studentów. Naturalnie Paula i Linka również zostają, tymczasem nieznośny Witek zaciąga chłopców do swego pokoju, każe przynieść wina i drzwi zamyka.

Panienki sarkają niezadowolone.

— Egoista—oburza się Paula.

— Co zrobić, by ich stamtąd wydostać?

— Oni napewno woleliby nasze towarzystwo! Ach, ten Witek!

— Poczekajmy na Oleńkę—radzi Hanka—ona potrafi wziąć się do dzieła.

Lecz Oleńka wraca w złym humorze ze spaceru. Artur przyczepił się do nich i pani Zaniecka zaprosiła go na wieczór cały. *Quelle scie!*

— Chyba mama sama będzie go bawić—mruczy niechętnie dziewczyna—bom ja zmęczona i zaraz spać się kładę.

Jakoż zamierza wykonać pogrózkę, zaczyna się rozbierać.

— Oleńko *chérie de quoi cela à l'air*, wyjdźże proszę do salonu, co on sobie pomyśli?

— Niech myśli, co chce, obojętne mi—wzrusza Oleńka ramionami.

— Ciszej na miłość boską, tam wszystko słychać—reflektuje matka.—Haneczko, namów ją—prosi zrozpaczona uporem ukochanej córki.

Hanki perswazyje nic nie pomagają, dziewczyna zacięła się w swym oporze i położyła.

Pani Zaniecka usiłuje wytłómaczyć jej nieobecność Arturowi.

— Okropną ma migrenę, bardzo żałuje, przeprasza, takby rada...—jaka się.

Student spuszcza głowę.

— Co to jest? czy to prawda? Zapytam szczerze! Tak najlepiej!... Lecz co? jeśli... nie, lepiej się łudzić—i o nic nie pyta. Siedzi, jak na torturach, przez godzin kilka, myśląc w kółko o jednym, ale woli prawdy nie wiedzieć, jeśli ta prawda ma być nie taką, jak onby pragnął, odpycha od siebie wszelkie męczące przypuszczenia i śmieje się nerwowo, gdy raczej załkać miałby ochotę. Bawi matkę Oleńki, również nieswoją i zasmuconą. Chwilami w rozmowie przerwa i wtedy oboje gorączkowo szukają dalszego tematu, byle tylko nie pamiętać trapiących swych myśli.

Hanka nie odstępowała Oleńki. Ta jej się skarży.

— Mama gwałtem chce mnie za mąż wydać, używa do namowy wszystkich sposobów, dziś otrzymałam list od dziadków, bym nie odrzucała takiej partyi, lecz ja nie mogę... nie chcę... nigdy nie pójdę za niego...

— Dlaczego, Oleńko? on ciebie tak kocha, a to wielkie szczęście mieć takie serce wierne, oddane. Czy ci nie żal męczyć go tak bardzo! tyś przecie dobra... Zobaczysz, przywiążesz się do niego.

Jak papużka powtarza słowa matki, ale bez przekonania. Oleńka odczuwa to.

— Zostawcie mnie, chcę jeszcze użyć trochę swobody, dla czego pragniecie wszyscy wtłoczyć mię w ramy obowiązków, kłopotów i niewoli. Dajcie mi jeszcze choć lat kilka, chcę się wybawić, wyszumieć i potem już sama podniosę okowy, dobrowolnie je sobie nałożę. Lecz nie teraz...

Z salonu dochodzi łoskot odsuwanych krzeseł, widocznie Artur się żegna.

Oleńka się boi, wie, że matka za chwilę tu wejdzie, opowiadać jej będzie o Grogerze, a ona tak rozdrażniona, iż nie potrafi spokojnie wysłuchać.

— Haneczko, zamknij drzwi na klucz, powiedz, że śpię, nie chcę dziś widzieć nikogo, nikogo—szepcze z rozpaczliwym oporem.

Hanka posłusznie spełnia życzenie.

*

*

*

Marzec i kwiecień!—brzydko, dżdżysto. Kijów tonie w błocie, ruch się zmniejsza, kontraktowicze znikają uwożąc do domu w kieszeniach wypróżnione portanonetki, a w sercu wiązkę świe-

zych wrażeń, wiązkę wspomnień. Oleńka ma kilka prywatnych rautów, kilka koncertów, Hanka się uczy, Paula i Linka rozpoczęły lekcye, a w przerwach przyglądają się wałęsającym pod ich oknami studentom. Codziennie między trzecią a piątą, nieraz dłużej pomimo nawet niepogody, spotkać można wszystkie Zanieckie jak kuropatwy na partye rozbite. Za Oleńką dyskretnie zdala wlecze się Sasza Mazin, ku zgorszeniu jej matki, która go raz wylażała porządnie narzeczem przez siebie wymyślonem z mieszaniny słów polskich i rosyjskich, co, mówiąc nawiasem, niewiele skutku odniosło. Trudno rozpoznać za Kuderynową czy za Romą rozbija się własnym, eleganckim powozikiem sławny aktor, ulubieniec publiczności, zasyła je obie równą dozą bukietów i fotografij o szumnych nadpisach jak „Najpiękniejszej wśród pięknych,“ „Arcydziełu natury“ i tym podobnych, przyjmowanych „jedynie ze względu na sławę taką,“ tłumaczy Roma siostram. Młodsze dziewczynki też mają „swoją gwardyę.“ Kazik, Marcin, Czarniutki, kilku bezimiennych. Kreszczatik jest rodzajem sali, w której, chociaż bez poprzedniej umowy, lecz mimo to napewno, dają sobie wszyscy „randki.“

Linka przez kilka dni po balu daremnie szuka wśród tłumu owego wysokiego wielbiciela swego. Wypłynął z nicości, w nicś zapadł, nikt go nie zna, nikt jej objaśnić nie umie.

— Zapewne ktoś z przejezdnych — myśli zniechęcona.

Hance wpada w oko studencik z przeciwka. Pierwszy raz ktoś na nią głębsze czyni wrażenie, chłopak ma jakieś smutne oczy, co odzwierciadlają duszę niepospolitą, i one to właśnie ciągną Hankę. Student godzinami wysiaduje w oknie czekając, aż i ona również za szybą się ukaze. Hanka bierze książkę i niby czyta, ale gdy kartkę przewraca, szybko podnosi głowę i przez brudną, hałaśliwą ulicę spogląda na gmach gdzie czarnowłosy chłopak w nią wpatrzony, jak dziecko w świętych obrazki.

— Jakie dziwne źrenice. Co mu jest?—stara się przeniknąć. Gdy odchodzi od okna, źrenice te wyrażają smutek taki bezmierny, iż jej żal jakiś serce ścisza.

Tak trwa kilka tygodni, aż któregoś pięknego poranku p. Zaniecka odkryła ich. Hanka naturalnie otrzymała porządną burę, matka wytłumaczyła jej, iż sama też kiedyś młodą była, lecz nigdy pomysły podobne do głowy jej nie przyszły nawet, no — i u okien zawiesiła firaneczki ze srogim zakazem rozsuwania. Teraz Hanka spotyka go jedynie na spacerach i w kościele.

— Wiesz—zwierza się Pauli—jeżeli nie widzę go choć przez jeden dzień, tak mnie serce boli!

— Zakochałaś się — mówi Paula — ale to nic, to przejdzie, ja już tyłu kochałam i nic! Najlepsza rzecz to flirt!

— Niech żyje flirt! Paula jest ogromnie wesoła. Tańczy cake walk'a, matchicę, śpiewa z werwą wszystkie piosnki Olimpu, przytem przybiera ruchy wytrawnej aktorki. Witek zwykle obecny na tych amatorskich przedstawieniach, zachwyca się niemi.

— Idź na scenę — śmieje się — furorę zrobisz.

Paula rusza ramionami lekceważąco.

— Myślisz, że jabym nie poszła? ojej! tam przynajmniej się bawia, tam żyją, a my co? tego nie wolno, tamto niewypada. Eh wsio tryn trawa! — powtarza zasłyszane od studentów zdanie, które jej ogromnie do gustu przypada. Poczekajcie za parę lat przeczytacie jeszcze w gazetach: „*La bellissima e celebra Paulina* raczyła obecnością swoją zaszczyścić nasze miasto,“ tak! tak!

Rozbawiony Witek zanosi się śmiechem.

— Czemu nie? czekamy, obiecuję ci ofiarować najpiękniejszy bukiet na jaki mię stać będzie.

Ale Paula zupełnie seryo traktuje swój projekt.

— Niech mnie tylko puszcza — mówi.

I roją się jej jakieś upojenia, tryumfy, kinkiety sali, oklaski tysięcy, cały świat wrażeń... świat... Rozgorączkowana biega po pokoju, trawi ją nieprzewyciężona potrzeba ruchu.

— Oto życie! — woła z błyszczącymi oczyma, słuchając zakulisowych opowiadań Witka, — oto życie dopiero! Niech tylko mnie puszcza!

Hanka patrzy na nią i uśmiecha się pół-litośnie, pół-drwiąco. Słomiany ogień! Ona zna to, widziała Paulę zapalającą się już tyle razy do różnych nadzwyczajności, których koniec ginie zatopiony w najzwyczajniejszym flircie z pierwszą lepszą lalą o fryzowanym czubie i zadartych wąsikach. Hanka widzi to, jest ona widzem, który czeka, patrzy uważnie na życie, stara się je objąć i pojąć treść jego i czeka...

Czasem, czasem poczyną ją tłoczyć gnębiące uczucie niedostatku woli ludzkiej, niedostatku wzniosłych zamiarów, niedostatku sił do spełnienia ich, jeśli gdzie jak róże wśród pustyni zakwitną.

Paula, Linka, Roma, Oleńka, Witek, Kazio, Rena, stryjowie jej, Kuderyn, cały korowód innych jeszcze znanych jej osób, bawi się, uczy wystarczająco, by list umieć bez błędu napisać, zresztą nawet nieraz pracuje, ma dobra, rządców, przegląda książki rachunków, wydaje moc pieniędzy i już... Czy to wystarcza? czy społeczeństwo od nich kiedyś ostatecznie nie zażąda rachunku,

a jeśli zażąda, czy zadowolni się okruchami z pańskiego stołu, rzucanemi jak kość głodnemu psu by nie warczał za głośno?

A przecie „Umysł i serce ludzkie stać się winny jakby wielkiem ogniskiem, z którego na wsze strony iść mają ciepła i światła promienie!“ Hanka słyszała o kilku postaciach, co jej się wydały ogniem takim ożywione, zdanie ogółu: „Maniak, Utopista! Kandydat na niedoszęłego bohatera“ i uśmiech politowania. Możemy jeszcze nie dorośli? lub ona się myli?—pyta siebie. I chciałaby z kim pomówić, kogoś zapytać, kogoś co by rozświetlił mroki zakrytych przed nią tajników i widzi ze smutkiem, iż ona nie ma takiego kogoś.

Nie rozumieją jej wcale, ona odbiegła duchem od nich wszystkich, może to skutkiem samotnego dzieciństwa, spędzonego pomiędzy dwójgiem staruszków jedynie, może skutkiem późniejszego czytania i długich godzin rozmyślań, a może poprostu—„wżę taką urodylaś“ — jak mówi lud ukraiński. I dlatego zamyka się w sobie i sama stara się borykać ze sprzecznościami, które w umyśle powstają. Nic nie umiem, nic nie rozumiem—powtarza smutno, — chcąc trafić do wszechpoznania łapię wszystko po drodze, jak tonący, który się czepia lada zdziebła słomy, unoszonej wartkim potokiem.

Lecz wierzy w szlachetność natury ludzkiej, w majestat jej zdolności, w świętość umiłowań. I chciałaby mieć moce tytanów, chciałaby być czynem samym.

Kłębią się myśli jak zwój komarów w cichy wieczór letni ponad wodą, krążą oderwane, niezwiązane węzłem żadnym, często wrogie. Chwilami kilka naraz się rwie, męczy dwoistością duszę, aż wreszcie silniejsza tamte zwycięża, opanowuje i sama wkrótce ginie w otchłani nicości, by nowym siostrzycom miejsca ustąpić.

— O czym dumasz Haneczko? — bada Paula.

Ona stara się określić myśli swoje, lecz Paula już się odwraca, zapomniawszy pytania, przed lustrem mierzy ogromną kokardę i uśmiecha się rozkosznie do swego odbicia.

*

*

*

Wielkanoc przechodzi dość monotonnie. Roma z matką wyjechały do dziadków, młodsze dziewczynki mają zatem jeszcze większą swobodę, używają jej w całej pełni, spędzając po pół dnia na spacerach. Wieczór gromadzi najczęściej towarzystwo u p. Zanieckiej, tylko ponieważ Witek wyjechał na Wołyń do stryja, koledzy jego nie znajdują pretekstu, aby w jego nieobecności na Złotowrocką zaglądać, wzdychają zatem żałośnie i ślą strapione wejrzenia ku mieszkaniom swoich bohdanek. Artur zapraszany uprzejmie przez panią Zaniecką, bywa prawie codziennie, pomimo, iż Oleńkę coraz częściej silny ból głowy zatrzymuje w jej pokoju.

W wielki czwartek panienki kwestują po dwie w kościele, złoto się sypie obficie, złota młodzież wystąpiła nie tyle z wrodzonej ofiarności, ile dla przypodobania się pięknym pannom. Uszczęśliwione zanoszą tace pełniutkie proboszczowi.

— Otóż to, otóż to! moje aniołeczki przyczynicie się do szybszego wybudowania drugiego kościoła, otóż to! co niewiasty mogą, hm, hm mój panie, a mnie tu ledwie z żółwim pośpiechem kapią składki.

Staruszek częstuje dziewczynki ciasteczkami z kremem i maliniakiem własnego wyrobu.

I znowu dnie szare, jednostajne, Hanka wielbiciel na wieś widocznie wyjechał na święta, przez czas dłuższy go nie widuje, pierwsze dnie schodzą smutno, Hanka jest trochę nieswoja, miejsca sobie znaleźć nie może, korci ją chęć, by na chwilę chociaż podejść do okna, uchylić firankę, przekonać się, czy naprawdę miast uśmiechniętej twarzy i wielkich oczu studenta ujrzy czarną czeluść pustki, ale wkrótce opanowuje się, przytem nauczycielka przynosi „Wieczory Florenckie“ z nadpisem na pierwszej stronie: „Jako pamiątka kilkoletniej wspólnej pracy“ i Hanka zagłębia się cała w czytaniu, zapomina o czasie, przestrzeni, studencie, wszystkim co stoi poza książką, godzinami czyta... czyta...

ORY JELSKA.

IDEE REWOLUCYJNE

we współczesnej powieści rosyjskiej.

Gdzież nie szukano przyczyn „rewolucyi,” co wstrząsnęła państwem rosyjskiem niemniej silnie, od straszliwych klęsk, których doznano na dalekich polach mandżurskich?!... W jakie czasy nie poszło się, żeby odnaleźć jej początki, jakich ludzi nie wspominało się przytem?... Bielinskij, Czernyszewskij, Dobrołubow, Gogol, Dostojewskij, Czechow... Litania nazwisk, dzieł, czynów — bez końca, bez miary.

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci poszukiwacze mają — każdy z osobna — potrosze słuszności. Dzisiejsza bowiem rewolucya — to kulminacyjny punkt tego przewrotu umysłowego i społecznego, jaki zapoczątkowała nieliczna, lecz wielce utalentowana garstka pisarzy w połowie XIX wieku, kiedy to do Rosyi, odgrodzonej wybujałem „*narodniczestwem*,” jakby murem chińskim, od Europy, zaczęły przenikać hasła wolnościowe wraz z romantyzmem radykalistyczno-realistycznym francuskim — w czasach, w których „*Dorfgeschichten*“ Auerbacha rozgłośnem echem odbiły się w świecie umysłowym, a niemniej też silnie podziały na tęskniących za czemś upragnionem i z niecierpliwością z dnia na dzień oczekiwanem. Rosyę ogarnęła trawiąca gorączka... Czekano cudu opatrnościowego...

Na tronie zasiadał Mikołaj I, a pomiędzy polityką rządu i idealistycznymi dążnościami społeczeństwa zachodziły krańcowe różnice. Ultra-konserwatywna, patryarchalna niemal władza, nie-

dopuszczała chociażby promyka lepszej przyszłości. Starła się—co gorsza—przyćmić nawet teoretyczne marzenia myśli wolnościowej. Państwo było niejako symbolistycznym znakiem, jak smok apokaliptyczny.

I ten właśnie anormalny stosunek pomiędzy rządem a kulturalną warstwą ludności, nie pozostał bez znaczącego wpływu na kształtowanie się pojęć społecznych. Zaczęto uważać państwo za coś przeciwnego społeczeństwu. Antyteza państwa i społeczeństwa wywołała sceptyczno-anarchistyczny pogląd na ustrój państwowy, na formalną stronę państwowości. Taką postawiono zasadę...

A tymczasem żywiły anarchistycznie usposobione zdążyły wytworzyć idealizm wśród socjalistycznie usposobionej inteligencji. Celem socjalistów rosyjskich w piątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia było, ni mniej ni więcej, jak zniszczenie państwa. Nie myślano o możliwych do przeprowadzenia reformach, lecz o całkowitem „przekształceniu” życia w duchu wolności i prawdy takiej, któraby nie wchodziła w kompromisy z rzeczywistością. Szukano prawdy bezwzględnej. Krańcowe poglądy brały górę...

W kołach młodzieży, skupiającej się około Pietraszewskiego, chciano decydować o możliwych sposobach, któreby mogły doprowadzić do urzeczywistnienia ideałów „nowego życia.” Ale naogół nie można było dojść do zgody. Zdania były podzielone...

Tymczasem dekabryści i „Pietraszewcy” powrócili z wygnania do kraju. Słowianofile bratali się z „zapadnikami.” Wszystko, co było w Rosyi wybitniejszego, z Czernyszewskim, Aksakowym, Samarinem i Turgenjewem na czele, roiło świetne nadzieje, iż dojsie do porozumienia rządu z narodem jest bliskie.

Nadzieje te tęczowe prysnęły, jak bańka mydlana, rychlej, niżli się tego spodziewano.

W r. 1857 Dobrolubow wspomina z gorzką ironią, jak to dwa lata temu „wszystko ożywało, wszystko pragnęło iść na-przód.” A jednak w ciągu owych dwu lat „wiele nadziei okazało się pustą mrzonką, górny nastrój ducha zniknął, publiczność opuściła ręce i, bodaj, czy nie uważa swojej misyi za skończoną, od-dawszy się rozpróżniaczeniu i zabawom...”

Nie lepiej było z kierownikami opinii publicznej, o których powiada Dobrolubow, że „nie chcą wykroczyć poza teoretyczne pojęcie tego, co potrzeba...”

Z tego rozczarowania i utraty wszelkiej nadziei w reformy ustawodawcze, w pracę postępową władzy państwowej, zrodziła

się nieograniczona, choć nieuzasadniona zarazem wiara w „*narod*,“¹⁾ oraz w „młode pokolenie,“ w zbliżenie się, jeśli nie całkowite zlanie duchowe obydwu tych żywiołów, wreszcie w prawdziwość i możliwość wprowadzenia w czyn ideologii rewolucyjnej. Natomiast nie łudzono się co do nieposobności twórczej poszczególnych warstw społecznych ani przez chwilę małą.

Wiara w „*narod*,“ głoszona na każdej niemal stronicy „*Sowriemiennika*“ przez Dobrolubowa, znajdowała silne poparcie w teoriach ekonomicznych Czernyszewskiego. Poddawszy surowej krytyce ekonomiczną politykę burżuazji, przeciwstawiał jej Czernyszewskij teorię „pracujących“ warstw, domagającą się organizacji wytwórczości na zasadach wolności i samodzielności kooperacyj robotniczych. Plany jej zresztą widział Czernyszewskij za granicą. W polityce wogółności zakwitł kult Saint-Simona.

W literaturze przyszedł na pomoc Pisarew, człowiek o świetnym piórze, obdarzony śmiałą paradoksalnością myśli. On to zaczął głosić hasła indywidualizmu radykalnego, wysuwając na czoło swego programu ideały wolności osobistej. I od niego dowiedziało się w Rosyi, że cele literatury wogółności są zupełnie inne od tych, do jakich ona dotąd dążyła. Literatura zasadzała się — według Pisarewa — na usilnem dążeniu do uwolnienia każdego człowieka od tych kajdan, jakie nakładają ciężar gniotący na oryginalność myśli, od przesądów kastowych, autorytetu tradycji i t. d.

A jednak! — jaśniejsze, pogodniejsze jutro nie zdawało się nadchodzić...

Przyszło owo zapowiadane „nowe pokolenie,“ na którym tyle budowano. Ale i ono żyło pogrążone w apatii ogólnej, niezdolne do niczego pozytywnego. Pod ziemią jednakowoż wrzało...

Z tej właśnie krańcowej rozpacz, z tego gorączkowego oczekiwaniania chwili: — rychło-li świt się ukaże na firmamencie państwowym? — powstało pokolenie pisarzy, niepozabawionych w licznych wypadkach dużego talentu. Tylko, że talent ten zmarniał, bo z góry był na śmierć przeznaczony. Taki los zgotowały mu okoliczności, nastrój chwili, otoczenie i tradycja, odziedziczona po Pisarewie — a przede wszystkim owe fatalne warunki, w jakich przeznaczonem było — żyć, działać i tworzyć młodemu pokoleniu pisarzy rosyjskich. Że oddziaływały na taki stan rzeczy także właściwości plemienne umysłów — to nieulega najmniejszej wątpliwości.

¹⁾ Słowa tego niemożna mięszać z ideowem pojęciem odpowiedniego terminu polskiego.

Literatura rosyjska lat dwu ostatnich jest okazem psychopatologicznym, nadającym się raczej do badania lekarskiego, niżli literackiego. „Bohema”—to typ wcale nie nowy. Wytworzył się on w belletrystyce rosyjskiej na dobre jeszcze w siódmym dziesiątku lat z. w., że już przemilczę wcześniejsze objawy. I bodaj, czy nie najpierwszym i najwybitniejszym przedstawicielem cygany literackiej był Lewitow, który w niezapomnianych „*Stiepnich oczerkach*” i w „*Gorie sioł, dorog i garodow*” dał nietylko istną galerię proletaryuszów inteligentnych i pół-inteligentnych, ale bodaj czy nie przeczuł, w jakim kierunku typ ten będzie rozwijać się w przyszłości? A w ślad za Lewitowym, którego bez wahania można nazwać rosyjskim Dickensem, poszedł potężny talent Dostojewskiego, Leskow (choć tego zamroczyła tendencja) i inni.

Całą tę plejadę pisarzy, która dała wiele dzieł potężnych, godzi się uważać z punktu widzenia literackiego, psychologiczno-estetycznego i historycznego. Stawiali sobie trwałe pomniki sławy.

Z zupełnie innego stanowiska musimy patrzeć na ich spadkobierców ideowych. Bynajmniej nie z powodu, jakoby twórcy społecznej „bohemy” byli jednostkami zwyrodniałemi, nienormalnemi, lecz jedynie z powodu kierunku, jaki w tej najmłodszej literaturze objawiał się stale.

Gorkij, Andrejew, Mereżkowski i jak im tam na imię — to ludzie niewątpliwie niepośledniej miary, jako talenty pisarskie. Ale—jeśli im tak wysoką przyznajemy zaletę, godzi się wymagać, żeby odpowiedzieli zadaniu, jakiego zwykło się i musi nawet żądać od umysłów niecodziennych.

Czy warunkom tym odpowiedzieli? W całości, czy w części?

Na to pytanie można z góry odpowiedzieć bez wahania najmniejszego krótkim słowem: „Nie!”

A czyli nie zawinił rozpanoszeniu się kierunku, w jakim oni szli i tworzyli, autor „Anny Kareniny,” o tem możnaby bardzo wiele powiedzieć. Sądzę, że Tołstoj nie jest tu bez winy, choć nieświadomie popełnionej.

Umysł genialny, choć wypaczony mocno — nie należy zapominać—głosił w swoim czasie zasady, rzekomo na czystym Chryścjanizmie oparte, w rzeczy samej będące jego parafrazą.

Państwo społeczne jest złem, gdyż zasadza się na przemoc, narzucającej społeczeństwu wolę jednostki lub kilkudziesięciu wybrańców. Wszak on to pierwszy zachęcał do biernego oporu przeciw rozporządzeniom władzy. Broń rządu stępi się na koniec—głosił prorok z Jasnej Polany — a wówczas nieodzownie nastanie Królestwo Boże na ziemi...

Tylko nie takie Królestwo Boże, o jakim marzyli niegdyś: posepny autor „*Psalmów przyszłości*“ lub genialnym duchem wieszczym natchniony twórca strof płomiennych „*Króla-Ducha*“...

Tołstoj nie bujał w obłokach, nie zabawiał się szerzeniem niedoścignionych nigdy ideałów. Jak dla każdego „*narodnika*“, tak też i dla niego—chłop, jego dobrobyt materyalny, zrównanie się z nim w życiu codziennem i związanych z niem potrzebach, stanowiło *alfę* i *omegę* głoszonej Rosyi całej nowej ewangelii. Tylko, że ewangelia ta nie była niczem innem, jeno kodeksem pojęć, będących pospolicie w użyciu u ludów pierwotnych, obdarzonych nieokiełznaną, nieznającą granic naturą, oraz nieposiadających rzetelnej kultury.

Doktrynerstwo Tołstoja było zaraźliwe nietyle, żeby rozszerzało hasła, wysunięte na czoło ideowej strony utworów sędziwego pustelnika z Jasnej Polany, ile że napoiło sobą innych pisarzy, mniej utalentowanych i skonsolidowanych w sobie, w dodatku w chwili, w której krystalizacja pojęć i poglądów zaczynała się u nich dopiero. Stąd poszło—uznawanie ideałów w „*bosiactwie*“ przez Gorkiego, w szumowinach społeczeństwa i brudach rynsztokowych przez Andrejewa, stąd herezyja religijna Mereżkowskiego. Wszyscy oni uznali siebie za nieomylnych, za wyrocznie, od których sądu niemasz odwołania. Doktrynerstwo stało się grobem ich talentów. Poza nie wyjrzeć szerzej nie umieli, ani otrząsnąć się z niego bodaj na małą chwilkę.

To też, jeśli porównamy ostatnie utwory tej grupy pisarzy „*młodej Rosyi*“ z Tołstojowską „*Sonatą Kreuzera*“, powinowactwo ideowe okaże się niezaprzeczonem i bardzo bliskiem. Tołstoj, biorąc za punkt wyjścia w swoich rozumowaniach założenia etyczne, doszedł do ostatecznej negacyi bytu. Gorkij, Andrejew, Skitalec, Arcybaszew i inni z ich szkoły wyszli z założeń społecznych, które im duch czasu na myśl nasunął i doszli do tegoż samego wyniku końcowego, co ich mistrz.

Tylko, że podczas gdy Tołstoj głosił samobójstwo ludzkości dobrowolne i stadowe, uczniowie jego uznali społeczeństwo rosyjskie za żywioł, upoważniony do ferowania wyroków sprawiedliwości, do wykonywania morderstw masowych w imię ideałów anarchistycznych.

Ale mimo to—bohaterowie tak Tołstoja, jak młodego pokolenia pisarzy rosyjskich, mają jedną wspólną zasadę: powszechnego zniszczenia. Środki tylko, jakimi należałoby je wykonać, są różne.

I jakże to rozpaczliwie beznadziejne, jeśli za jedyny sposób uratowania społeczeństwa uznali — ogólne zniszczenie — stary Tołstoj narówni z „młodą Rosyą!“ Dwa światy różne, ale duch w nich jeden.

Doktrynerstwo, początkowo wyłącznie literackie, znalazło wnet podatny i urodzajny grunt w życiu politycznem narodu rosyjskiego, zwłaszcza lat ostatnich. Pędziły ku temu *fata*...

Naród, mający wrodzoną predylekcyę do wszelakiego doktrynerstwa, jak każdy naród pierwotny, do przyjmowania wszystkiego na wiarę, że jest tak, a nie może być bezwarunkowo inaczej, wydał cały szereg pisarzy jednego i tego samego kierunku, doktryna bowiem przyprawiła ich o ślepotę taką, że nie mogli wyjść poza ramy szablonu, w jaki popadli.

Szablon jest najwybitniejszą cechą spóczesnej literatury rosyjskiej rewolucyjnej z natury rzeczy. O tem nie trudno przekonać się. Wystarczy wziąć do rąk którykolwiek tom „*Sbornika Znanija*,“ „*Fakeł*“ lub „*Mir Bożij*“ i przeczytać choćby parę stron pierwszej lepszej nowelki czy dramatu, a wszędzie słowa nasze znajdą potwierdzenie. We wszystkich odnajdziemy wypadki niedawno przeżyte, choć wyniesione na piedestał bohaterstwa. Literatura ta, nastrojona na wspólny ton, głosi, iż zbawienie Rosyi leży w gwałtownem zburzeniu tego wszystkiego, co budowały wieki. Da się do niej zastosować łacińska maksyma: „*Quod ferum non sanat, ignis sanat!*“ lub jeszcze lepiej: „Ogniem i mieczem!“ Jeśli zniszczenie, to już takie, żeby nie pozostał kamień na kamieniu!...

*

*

*

Efemeryd, będących przytułkiem literatury „rewolucyjno-anarchistycznej,“ powstało mnóstwo całe.

Przerzucam zeszyty „*Borby*.“ Jakżeby obeszło się tutaj bez nazwiska Gorkiego?

Ot szkic p. t. „*O Sierom*,“ chociaż właściwszy, jak się przekonamy, byłby tytuł „O Czarnym, Czerwonym i Szarym,“ bo o tych trzech usymbolizowanych postaciach tutaj mowa.

„Na ziemi toczą ze sobą spór Czerwony i Czarny — zaczyna się opowiadanie. Żądza nieugaszona władzy nad ludźmi — to siła

Czarnego.“ Gwałtowny, zły, rozpostarł nad światem swoje ciężkie skrzydła i rzucił na ziemię lęk przed sobą. Chce, żeby wszyscy ludzie stali się jego sługami. Spokój utrzymuje żelazem, złotem i kłamstwem, a imieniem Boga posługuje się tylko dlatego, żeby od Niego uzyskać potwierdzenie swojej władzy nad ludźmi. I z zimną krwią powiada: „We mnie siła, to jest—jam dusza i rozum życia, jam władcą wszystkich ludzi.“ Kto przeciw niemu, ten przeciw życiu—to zbrodniarz! Na hak z nim!...

Jakże inny jest drugi bohater opowieści Gorkiego!

Siła „Czerwonego“ — to pragnienie zobaczyć życie wolnem. Ona to oświeca ponurość życia społecznego groźnym blaskiem prawdy, cichem (?) światłem miłości, głosi zrównanie wszystkich takie, „*żeby nikt nie był podwładnym*,“ gdyż „władza dla władzy jest—występna.“

Krótko i węzłowato. Wiekowa kwestya została rozwiązana przez Gorkiego na poczekaniu.

Albo inny obrazek p. t. „*Sobaka*,“ zajmujący dwie stroniczki druku. W ostatnich czasach zaczął Gorkij wyrażać się lakonicznie, pozwalając czytać dowoli między wierszami. Istotnie, krótkość jest wielką zaletą, tem większą dla wielomównego Maksyma.

Rzeczywiście „*Sobaka*“—pies to pospolity, ale autor włożył w niego potężny symbol w swoim rozumieniu.

Raz autor siedł polem. Był wieczór wonny, cichy, księżycowy, rozkoszny. I spotkał psa ze spuszczonym ogonem, najeżoną sierścią na grzbiecie. Pies był wynędzniały, głodny. Po kilku dniach ujrzał go znowu. Pies leżał martwy, a nad cielskiem jego unosił się rój czarnych much. Z wyciągniętą szyją i wyszczerzonymi żółtymi zębami, spoglądał pies martwym, suchem okiem w stronę miasta. Autor rzucił psu parę słów pochwały, że jak mędrzec postąpił, uznawszy, iż czas mu zdechnąć i że „odszedł precz od życia“ we właściwej porze. „Jakżebym chciał powiedzieć tę samą pochwałę — powiada na zakończenie obrazka — mnóstwu półumarłych ludzi, zatruwających nasze życie wonią swojej zgnilizny, jakżebym chciał, żeby wzięli z ciebie, psie, przykład?!“

I któż to ci, którym Gorkij radzi postąpić za przykładem owego psa? Nie trudno się domyśleć. To ci, którzy nie chcą pójść na lep bosiackiej propagandy anarchizmu, pomni ideałów przeszłości, i dlatego „zatruwają“ życie rozmaitym apostołom wolności, o jakiej nawet w wolnej, republikańskiej Ameryce słuchać nie chciano. Burżuazyjni Jankesi...

Nie znaleźli oni łaski w oczach pisarza, który chciałby chorobę społeczną Rosyi uleczyć morzem płomieni. Gorkiemu marzy się rozkoszna wizja w „*Królestwie nudów*.” Nie może znieść powagi i sztywności Amerykanów, ich zabaw wesołych, parków przestronnych, zalanych światłem elektrycznem. „Chciałoby się—powiada szczerze—podpalić tę całą wspaniałość... Co się tyczy wesołych a przyzwoitych zabaw ludowych, to i w tem Gorkij ma odmienne gusta. I jak przystało na „*ruskawo czelowieka*,” konkluduje:

„Chciałoby się zobaczyć człowieka pijanego, z wesołą twarzą, któryby szedł, potraçał przechodniów, śpiewał, wrzeszczał, szczęśliwy, że oto upił się i wszystkim dobrym ludziom szczerze tego życzy...”

Amerykanie budzą w nim wstręt nieopisany. Toż to pospolici zjadacze chleba.

„Chciałoby się, woła, *podpalić całą tę wspaniałość* i wściekle wesoło tańczyć, krzyczeć i śpiewać wśród bujnego igrzyska różnobarwnych języków żywych płomieni na upajającej słodko uczcie zniszczenia martwej wspaniałości ubóstwa duchowego...”

Najsilniej wyraziła się ta nienawiść do kultury światowej w „*Mieście Żółtego Dyabła*,” gdzie Gorkij propaguje wprost, bez najmniejszych ogródek, anarchizm. Najprzód oburza się w tym utworze na pomnik wolności, potem na samo miasto i jego mieszkańców, na „drapacze nieba,” na kolejkę powietrzną, na restauracye, słowem, na wszystko—nie wyłączając stójkowych, żujących tytoń. Czytając ten utwór, ma się wrażenie, jakoby mieszkańcy Nowego Jorku byli ludźmi bezdusznymi, jakoby w nich zamiast serca był kilogram złota... Miasto martwe... przekłete!... miasto złota!...

Znamienity podróżnik znalazł w niem jednego tylko „człowieka.” Cóż to był za człowiek?

„Pod latarnią stoi młodzieniec i co chwila potrząsa głową, zacisnąwszy silnie swoje mocne zęby. Zdaje mi się, że wiem, o czem myśli, czego pożąda. Pragnie mieć ręce olbrzyma o straszliwej sile i skrzydła u ramion. A to dlatego, żeby kiedyś wznieść się ponad miastem, zapuścić w nie ręce, jak dwie olbrzymie dźwignie stalowe, i zmięszać w niem wszystko w kupę śmieci i pyłu: cegły i perły, złoto i mięso niewolników, szkło i milionerów, błoto, idiotów, świątynie, zatrute błotem drzewa i te głupie, wielopiętrowe „drapacze nieba,” wszystko, całe miasto razem, w cieście z błota, z krwi ludzkiej—zamienić w ten pierwotny chaos, z którego powstało...”

I gniewa go jedno głównie. To złoto, złoto i jeszcze raz złoto, które przewala się tutaj bałwanami oceanowemi! Ono przyprawia go o nienawiść dziką do tych wszystkich, którzy cokolwiek posiadają. Przekłęci niech będą wszyscy oni co do jednego! Błogosławiony niechaj za to będzie ten, co nie zaznał dobrobytu, ten, co ciężko, w pocie czoła, pracuje na chleb powszedni. Jego bowiem jest, a przynajmniej będzie Królestwo... na ziemi. On pójdzie odważnie burzyć wszystko, niszczyć wszystko tak, jak to ongi czynił wódz Hunnów Atylla lub okrutni Rzymianie, co spełniając przepowiednie proroków, nie zostawili w nieszczęsnem Jeruzalem kamienia na kamieniu. Za takie Jeruzalem uważa dzisiejszą Rosyę.

Temu nędzarzowi przecież—powiada Gorkij—wrodzony jest popęd do niszczenia wszystkiego...

„Człowiekowi przysługuje prawo zemsty, prawo do tego dają mu ludzie...” „Gdzie—kończy z emfazą—mówi się tylko o pracy niewolników, tam niema miejsca na pracę twórczą. *Niszczyć, grabić, palić i mordować!*” Zemstą okrutną winni odplacić się ludzie-bydłęta.

Ciąg dalszy *Miasta Złotego Dyabła*—trzy opowieści...

O jednej z nich, o „Królestwie nudów“ (*Carstwo skuki*), mówiłem wprzód.

Mow — to mroczna fantazja, będąca wariantem wyrażonych już poprzednio myśli. Oto obrazek:

„Tłum rozwścieklonych wyrodków, uzbrojony w ogromne kleszcze, noże, piły i wszystko, co można sporządzić z żelaza, zbił się w kłęb chrząszczy, w mroczny wicher szaleństwa nad ciałem kobiety, którą schwycił pożądliwemi rękoma, powalił na ziemię, w brud, w kurz, i rwie jej piersi, kraje ciało, pije krew, gwałci, i ślepo, zgłodniałe, bez ustanku, znęca się nad nią...

„Co to za kobieta — nie dojrzeć: ona przywalona, pokryta ogromnym, brudno-żółtym tłumem ludzi, którzy wpili się w nią ze wszystkich stron ciałami, przyłgnęli wszędzie, gdzie tylko było miejsce dla żądnych gąb i ssą soki z każdej pory ciała. Zęby ich zgrzytają, dzwoni żelazo w ich rękach, jęki bólu, krzyki rozczarowania, rżenie głodnego gniewu — wszystko to zlewa się w hymn pogrzebowy nad trupem zabitej zdobyczy, rozszarpanej, zgwałconej tysiącami gwałtów, powalaniem całą różnobarwnością brudu ziemskiego...” i t. d.

Pomimo całej swojej grozy, utwór powyższy nie jest w stanie wywołać na czytelniku wrażenia.

Ostatni wreszcie utwór—*„Czarli Men”*—to historia myśliwca amerykańskiego. Wywołuje jedynie nudę i nic nadto. Gorkiemu w ogólności nie powiodło się uchwycenie typów amerykańskich tak, jak „bosiackich” rosyjskich, w których odtwarzaniu doszedł do precyzyjnej wprawy.

*

*

*

Ileż to razy zwykło się słyszeć zdania, że literatura t. zw. „ruchu wolnościowego” lat ostatnich jest pozbawiona wszelkiego artyzmu, co gorsza, że poszła na służbę pustych słów i frazesów?!

Powiadają wielu, że dyalektyka i retoryka nowego, dotąd jeszcze nienarodzonego ustroju państwowego, jest plagiatem zachodnio-europejskiej ewangelii proletaryackiej, której tezy postanowiono wiernie i ściśle zastosować w Rosyi, nie zważając na to, czy zastosowanie takie przyniesie pożytek czy szkodę.

Powiadają, na koniec, że rosyjskie pojęcie proletaryatu jest, jak nici „babiego lata,” lżejszem od puchu i różni się krańcowo od takichże pojęć zachodnio-europejskich, podług których rosyjski „bosiak” lub „brodiaga” bezdomny nie mógłby być zaliczony w szeregi paryasów społeczeństwa.

Czy jednak przez usta tych wszystkich sceptyków nie mówi uprzedzenie?

Czy w ten sposób nie zamykamy oczu przed skarbami nowej Golkondy, odkrytej w podziemnych kopalniach nowej prawdy, nowego rozsądku i rozumowania?

Bo przecież przywódcy owego „ruchu wolnościowego” utrzymują z całą stanowczością, że zarówno w ich działalności społecznej, jak i literackiej, jest nie tylko wiele oryginalnego — ale nawet — niema w niej nic starego. Wszystko tam nowe, gdyż i życie Rosyi zmieniło swoje dawne łożysko.

Niepodobna nie przyznać wielkiej oryginalności Gorkiemu zarówno wówczas, gdy będzie pisał apoteozę „bosiactwa” w nowelach lub dramatach, jak wtedy, gdy będzie tworzył filozofię „bosiacką,” kiedy napisze bądź artykuł o sędzi pokoju, czy też traktat, poruszający sprawę pokojowej polityki świata, czy jeśli wypowie mowę na mityngu... Zawsze pozostanie sobą, wiernym głoszonym przez siebie ideałom, doprowadzonym do absurdu.

Najlepiej wykaże się prawdziwość mojego twierdzenia na książce Gorkiego, która, jak sam powiada, ma być „wesolą i dla wszystkich przyjemną.“ Tytuł jej: „*Moje interview.*“

Zamiar—bardzo chwalebny!... Weselić serca w dzisiejszych wcale niewesołych czasach...

Czytajmy przedmowę do tego arcydzieła, drukowanego w „*Sbornikie Znanija*“ (tom XIII i nast.):

„Czuje — powiada Gorkij — że dotychczas niemało (!) przeskadzałem ludziom żyć spokojnie i szczęśliwie. Zwracając uwagę człowieka na ciemne strony życia, obrzuciłem czyste jego serce bryzgami błota życiowego, ale teraz uznaję swój błąd. I to przeświadczenie skłania mnie do podjęcia próby, czy jestem w stanie obmyć *zbrudzone serce czytelnika* w strudze nieszkodliwego śmiechu. Oto skromny cel mojej książki...“ kończy skromny autor.

A potem następują cztery wywiady (dwa nadto obiecał dać Gorkij później) zatytułowane: „Król, który wysoko dzierży swój sztandar,“ „Przepiękna Francya,“ „Car“ oraz „Jeden z królów republiki.“

Co to właściwie jest? jaki to rodzaj literatury pięknej?

To ani powieści, ani nowele, ani opowiadania, wogóle tego nie można podciągnąć pod żaden rodzaj belletrystyki. Tak samo nie można tych produktów zaliczyć do rzędu monografij, traktatów lub szkiców historycznych, ani do badań filozoficznych. To zupełnie nowy, dotąd niewidziany gatunek utworów literackich, dla którego nie umiem zdobyć się na odpowiednie a trafne określenie.

Ale najlepiej chyba postąpię, jeśli dam autorowi możność samookreślenia się:

— „Wielka Francyo, coś była wodzem cywilizacji świata, czyż pojmujesz hańbę swej działalności?“

— „Ukochana moja! Przyjmij też moje splunięcie krwią i żółcią w twoje oczy!“

Oto ideowa zawartość nowego utworu Gorkiego, na który tak niecierpliwie czekała Rosya cała.

„Splunięcie!“—jak to brzmi dumnie, hardo?!... „Splunięcie!“

I jakże musi być wielkim a sławnym ów hardy proletaryusz, który potrafi spluwać tak dzielnie!

Pierwsze „interview“ z „*Królem, co dzierży wysoko swój sztandar.*“

To cesarz Wilhelm II...

Po przybyciu do pałacu, przeprowadzono Gorkiego do gabinetu cesarskiego. Nieprzywykły bywać w tak wysokich apartamentach, wziął Gorkij mistrza ceremonii za lokaja. Ale sytuacja wnet wyjaśniła się, a mistrz ceremonii nie tylko nie obraził się, ale nadto pouczył znakomitego gościa o ceremoniale dworskim oraz o tem, jak ma się zachować w chwili przybycia cesarza.

„Jego Wysokość—opowiada Gorkij—weszła silnym krokiem istoty, upewnionej, że pałac zbudowany mocno... Oczy ani drgną, są takie, jakimi powinny być oczy istoty, przywykłej patrzeć w przyszłość.“

Autor zapewne ukłonił się monarsze, a Jego Cesarska Mość „miłościwie poruszył wąsami...“

Zaczęła się rozmowa:

— Czem mogę pana uszczęśliwić?

— Przyszedłem, żeby wypić parę kropel z oceanu Waszej mądrości!...

— Mam nadzieję, że nie ogłupieję potem...

— To niemożliwe dla Was, Wasza Cesarska Mość!...

I tak dalej ciągnie się dyalog „wesoly i przyjemny dla wszystkich,“—przez stron dziewięć:

— A co sądzi Wasza Cesarska Mość o sprawie pochodzenia boskiego władzy królewskiej?

— Wszystko, co można! Przedewszystkiem jest ona niewzruszona i tylko jedynie prawdziwa, gdyż jest cudowna! Następnie — miliony narodów uznawały przez lat tysiące nad sobą nieograniczoną władzę jednego człowieka—i tylko idyoci mogą ją odrzucać... Nie mogę wyobrazić sobie, żeby te wszystkie miliony składały się z idiotów. Byłbym złym władcą, gdybym tak mało cenił swoich poddanych. I jako że tylko Bóg może stwarzać cuda, jasnem staje się, że jest wybranecem Jego dla okazania Jego siły i swoich zalet...

Lecz za co to znęca się tak rosyjski „król myśli“ nad niemieckim cesarzem?

— Czerwony błysk socjalizmu przyprawia o strach wszystkich porządných mieszkańców ziemi. Socjalizm chce pożreć duszę społeczeństwa kulturalnego—jego własność.

Ale co właściwie Gorkiemu do socjalizmu? Co jemu do Hekuby, a Hekubie do niego? Przecież dla niego niema miejsca w panteonie Marksa i Engelsa, boć on stworzył własną bożnicę socjalistyczną.

— Na jednej stronie—sam przecież powiada—było napisane czarnymi literami: „Anarchia,” na drugiej „Ateizm,” na trzeciej „Zniszczenie własności osobistej,” a na czwartej—„Zwierzęcość...”

— Nieraz, po rozmowie z człowiekiem, tak gorąco pragnie się po przyjacielsku pogłaskać psa... z szacunkiem ukłonić się słoniowi...—kończy Gorkij swoją filozofię.

Myśl to bynajmniej nie nowa. Słyszyny ją tutaj nie poraz pierwszy. Powiedział ją nam jeszcze w parku New-Jorskim. Od bestyalizmu pospolitego, jaki tkwi w czołobitności przed zwierzętami, od własności prywatnej przechodzą zwyczajni socjaliści do anarchizmu. I doszedłszy do proletaryatu—zatrzymują się. Ależ oni—według Gorkiego—są naturami połowicznymi, zdolnymi do kompromisów. Inaczej robi Gorkij, bo idzie od własności prywatnej znacznie dalej, niżli tamci, dalej, niż wszelki socjalizm, chociaż z litości uważa socjalistów za ludzi „rozumnych.”

Drugie splunięcie przeznaczył Gorkij republikańskiej Francji, dla rozweselenia serc czytelników.

Chodził długo po ulicach, zanim ją znalazł, zanim dowiedział się o jej adresie i mieszkaniu.

„Przepiękna Francya” mieszkała w komisaryacie policyjnym, u którego drzwi stało dwu stójkowych „w spodniach, uszytych z czerwonego znaku wolności.”

— Czy pan mówi po francusku? — zapytała, obrzucając go „wzrokiem znawczyni mężczyzn” i odpowiadając dygiem wyuczonej artystki na ukłon Gorkiego.

— Nie, pani — odrzekł jej znakomity podróżnik—mówię tylko prawdę...

Wypowiedziawszy jeszcze parę frazesów, ofiara Gorkiego usiadła obok niego, spojrzała mu zalotnie w oczy i zaczęła „pięknie mówić o miłości, o poezji, o wolności, o Niemcach i o Rosyi.”

— Jam kobieta, potrzebuję męża! — odpowiedziała na zarzuty wielkiego Maksyma „co do dania pieniędzy Rosyi.” I jak żona biblijnego Putyfara starała się nakłonić go do popełnienia grzechu. Ale Gorkij okazał się „wyższym nad świat i namiętności”...

„I czyż to Francya? Ta bohaterka świata, której wizerunek rysował się w mojej wyobraźni spowitym w płonien (?) dzielnych myśli, wielkich słów — o równości, braterstwie i wolności?”

Koniec końców był taki, że Gorkij wstał, ukłonił się pięknie w milczeniu pani Francyi:

— Pan już odchodzi?—zapytała zdziwiona niepomiernie i jakby zasmucona:

— Dla mnie tu niema roboty! — odpalił Gorkij bez namysłu, grzecznie.

Lokaje nie wyprowadzili natychmiast gościa z buduaru rzeczywospolitej. Byli zbyt dobrze wychowani wobec przybysza ze Wschodu. Ale kiedy Gorkij wyszedł na ulicę, pomyślał sobie:

— Nie zobaczyłem tej, którą pragnąłem ujrzeć. Widziałem tylko cyniczną kokotkę, która za pieniądze oddaje się z zimną krwią złodziejom i katom...

Dalsze trzy stronicie — to trzy ogromne kubły nieczystości, jakie Gorkij wylewa na Francję za to, że poważyła się dać pożyczkę rządowi rosyjskiemu — bez zgody Dumy państwowej.

Z kolei trzeci wywiad p. t. „*Car*.“ Takich utworów można pisać codziennie tysiące. Bo pod tytułem nie widać niczego, oprócz trzech rzędów kropek. Lakonicznie i krótko...

Splunięcie ostatnie z rzędu w stronę demokracji amerykańskiej.

Gorkiego przyjął na posłuchaniu „*Jeden z królów rzeczywospolitej*.“

„Stalowi, naftowi i wszyscy inni królowie Stanów Zjednoczonych — powiada Gorkij — zawsze wprawiali w podziw moją wyobraźnię.“ Jak z dalszego ciągu okazuje się, Gorkij wyobrażał sobie tych, którzy „mają mnóstwo pieniędzy,“ jako właścicieli trzech żołądków i „mniej więcej stu pięćdziesięciu zębów.“ Zdało mu się, że miliarder nie robi nic innego od rana do nocy, tylko je gęsi, indyki, prosięta i wszystko, co tylko możliwe. A jeśli żuje tytoń — to naturalnie najlepszy i po dwa funty od razu. Jeśli zaś zażywa tabakę — to nie mniej niżli funt na jeden raz.

Jednakże — niestety — ani jedno z powyższych przypuszczeń Gorkiego nie sprawdziło się.

Bo oto okazało się, że amerykański miliarder je tylko dwa razy dziennie, i to wcale skromnie, jak każdy śmiertelnik przeciętny. Zadziwiające!...

Natomiast wyszło na jaw coś zupełnie innego. Wielbładowi amerykańskiemu trudno przeleźć przez uszko igły do Królestwa niebieskiego. Oto jak rozumuje u Gorkiego miliarder:

— Pomrzemy wszyscy — bogaci i ubodzy, bankierzy i zamiatacze ulic. W ogrodach rajskich być może robotnicy z kopalń węgla zostaną cesarzami, a cesarz będzie zamiatał miotłą ze ścieżek ogrodu liście opadłe i papierki z cukierków, którymi będziecie raczyć się codziennie...

W końcu przeszła rozmowa na socjalizm. I oto, co oświadcza bankier Gorkiego:

— W głowie socjalisty—ateizm, w jego brzuchu—anarchizm. Dusza jego okryta skrzydłami dyabelskimi szaleństwa i złości... Dla walki z socjalizmem koniecznością jest posiadać więcej religii i żołnierzy. Religii—przeciw ateizmowi, żołnierzy—przeciw anarchii...

— A jaki sens w tem, żeby być milionerem?—zapytuje pod koniec audyencji Gorkij.

Miliarder zaczął jąkać się i poruszać bezradnie nogami, zamiast odpowiedzi.

— To przyzwyczajenie—zawołał, oddychając silnie.

— Jakto, przyzwyczajenie?—zapytałem.

— Być milionerem... to przyzwyczajenie... Pomyślałem — opowiada Gorkij — i postawiłem mu ostatnie pytanie:

— Czy pan sądzi, że brodiagi, palacze opium i milionerzy—są jednakowem zjawiskiem?

Widocznie to obraziło go. Wytrzeszczył oczy, zabarwił je żółcią na zielono i odrzekł sucho:

— Sądzę, że pan jest źle wychowany...

— Do widzenia!—powiedziałem.

Ostatnie powiedzenie bankiera mówi samo przez się bardzo wiele.

Bankier demokratycznej Ameryki nie mógł ani rusz pojąć, że ma przed sobą znakomitego twórcę rosyjskiego i założyciela nowej gałęzi beletrystyki ideowej, inicjatora nowej szkoły literackiej, której zadaniem oplwanie wszystkiego.

Gorkij idzie „ciągle naprzód“ i „ciągle wyżej“ bardzo szybkim krokiem i plwa na wsze strony obficie. Niebawem, w najbliższej przyszłości nie zostanie dla nowego pokolenia pisarzy rosyjskich wolnego miejsca, w które możnaby splunąć. Wszystko będzie oplwane...

*

*

*

... Albo „sławny“ Leonid Andrejew ze swoimi utworami!...

W początkach jego działalność pisarskiej—zachwycam się nim i—niestety—pomyliłem się grubo w nadziejach. Niestety?—czy na szczęście?—to drugie pytanie.

Bo i on, idąc śladem Gorkiego, choć może z większym talentem, brnie w błocie grząskiem i obrzuca niem całą naukę Chrystusa, która dlań wydaje się—faryzeuszowską aż nadto.

Dla przykładu postaram się streścić jeden drobny obrazek:

Na posiedzeniu izby sądowej rozpatrują sprawę pewnego indywiduum, które sprzeniewierzyło powierzone sobie cudze pieniądze w jakimś podejrzanym przybytku.

Na świadków do rozprawy powołano prostytutki. Jedna z nich odmawia złożenia przysięgi, powiadając, iż z natury prowadzonego przez się interesu, nie może uważać się za chrześcijankę. Sędziowie, przewodniczący, obrońca, prokurator, tak samo kilku sędziów przysięgłych i na koniec duchowna osoba, wszyscy razem starają się upewnić prostytutkę, iż myli się w swoim mniemaniu. Ona jednak jest nieugięta i opowiadać zaczyna cały szereg faktów ze swego życia i swoich koleżanek zawodowych, mówi ze szczegółami, jak z nią obchodzili się „szanowni“ goście tych nieszanownych domów i t. p. Wszystko powiedziane jest poprostu, bez ogródek.

Inne dziewczęta nie odmawiają złożenia przysięgi i dodają tylko wiele drastycznych szczegółów do zeznań „nie-chrześcijanek“, tyczących się przeważnie „szanownych“ gości.

Personel sądowy znajduje się w siódmym niebie, smakując z lubością tak zdrowy pokarm duchowy, naturalnie—z chrześcijańskiego punktu widzenia. Uwag i dowcipów sypie się grad. A biedny w tem położeniu ojciec duchowny stara się z trudem upewnić „nie-chrześcijankę“, że „to wszystko“ najzupełniej jest dopuszczalne i nie sprzeciwia się chrześcijaństwu.

Na całej sali — powiada Andrejew—niema ani jednej duszy, współczującej ofierze człowieka zwyrodniałego, przyznającej się bez ogródek do grzechu, popełnianego codziennie. Oto są „chrześcijanie“—kończy Andrejew rozpaczliwie tragicznym gestem.

Ale to jeszcze nic—wobec rewolucyjno-astronomicznego dramatu p. t. „*K zwiędzam*“.

Dochodzi skądś wiadomość o pogromie żydowskim...

„Nie trzeba nauki! *Dałoj nauku! K czortu nauku!* Przekłete gwiazdy! Ja, maleńki Żyd, a słyszę, jak oni tam krzyczą... Kłóli, zabijali, rozrywali na kawałki... *Bili za to, że pośród nas*

urodził się Chrystus, że wśród nas byli prorocy i Marks... Przyzywam żydowskiego Boga: Boże zemsty, Panie Boże zemsty!... Sędzio ziemi... Zjaw się!...

— Zemsta opawcom! — grzmi chór rewolucjonistów, siedzących na wierchołku góry...

— Ja Żydek maleńki, który kochał naukę... Gwiazdy przeklęte!...

Zaśłona spada... Akt czwarty... Okazuje się, że syn profesora przez długie siedzenie w więzieniu stał się idyotą.

I ten profesor rzuca okrzyk w dal daleką, okrzyk napozór wielki, w rzeczywistości pusty:

— Witam ciebie, synu wieczności! Witam ciebie, mój nieznany, a daleki druhu!...

— Pójdę w życie! — powiada echowo żona profesora-rewolucjonisty.

— Idź, oddaj mu to, coś od niego wzięła! Zginiesz, lecz zgubą swoją osiągniesz nieśmiertelność. Ku gwiazdom! Witam ciebie, mój daleki, mój nieznany druhu!...

I w tejże chwili profesor wyciąga ręce ku gwiazdom...

Na tem kończy się dramat Andrejewa.

Mówiono o nim mnóstwo. Pewna część prasy rosyjskiej przez usta swoich krytyków twierdziła, że o tym utworze „będzie się mówić wiele i długo.“ Prasa, jak prasa — mogła tak utrzymywać. Ale mnie żal tego niewątpliwego talentu, którego ogarki już dogasają, chociaż niegdyś płonął iskrą Bożą natchnienia prawdziwego. A te ogarki szerzą wokół siebie tylko zapach cuchnący i kopeć brudny. Niegdyś u Andrejewa były widoczne przebłyśki oryginalnego talentu, tchnące promieniami młodej wiosny. Wówczas nie posiadałem się z zachwyty nad jego utworami, co przeświecały jako płomień jasny. Talent był wielki, chociaż chorobliwy.

Ale teraz chorobliwość przekroczyła możliwe granice. Andrejew przeszedł w stadyum, które medycyna zwykła nazywać *mania grandiosa*...

Nie koniec jednak na tem obłąkanem dążeniu ku gwiazdom niedosięgłym!...

„Tak było...“ — to jakby uwertura do „*Sawwy*“, a przynajmniej coś w tym rodzaju.

„Władzy niema, jest tylko niewolnictwo — powiada Andrejew. I ten tylko uzyska wolność, kto ją umiłował. Niewolników nie stwarzała przyroda.

Echa nieskończone, dalekie. Przeszłość i przyszłość. A gdzież teraźniejszość?!...

Chodzi strażnik ogromnego, starożytnego zegaru po ogromnej, czarnej baszcie, której potężne mury ongi wybudowali rozbójnicy, a obecnie baszta ta służy za więzienie dla ważnych zbrodniarzy.

„Tak było... tak będzie... tak było... — powtarza monotennie strażnik zegarowy.

Słowa powyższe—ideę całej opowieści Andrejewa, opowieści, powtarzającej tylko hasła Gorkiego, słowa, które pod pokrywką dekadentyzmu noszą wybitne piętna dążności rewolucyjnych...

I jak to było?... jak, może dopiero będzie?...

Ponad ogromnym krajem, w którym było wielkie miasto z potężną wieżą i ogromnym zegarem, unosił się człowiek, władca zagadkowy miasta owego i kraju. Nazywał się królem „Dwudziestym,“ gdyż wszyscy jego poprzednicy nosili toż samo imię... Pochodzenie jego ginęło w mrokach niepamięci.

„Król rodził się i umierał, jak wszyscy“ — powiada Gorkij. Ale gdy ludzie spostrzegli, jak wielka władza spoczywa w jego ręku, „zaczęli myśleć, że on jest Bogiem...“ Bóg dał swoje przykazania, król dawał także swoje—w postaci ustaw. Bóg przykazań swoich zmienić nie mógł, on mógł tyle razy, ile mu podobało się. I chociaż nie mógł darzyć życiem, jak Bóg darzy, dawał śmierć...

W państwie Dwudziestego wszczęła się rewolucja. „*Naród*“ nie chciał słuchać nikogo. Tuż, tuż, a Dwudziestego conajmniej przepędziliby za dziesiątą górę. „*Naród*“ zapragnął ujrzeć swego władcę i tłumnie podążył pod pałac. Władca ukazał się na balkonie, przemówił kilka słów, a z tłumy, który niedawno myślał, że król przygotowuje nań oprawców, padły słowa czci...

Wystarczyło jedno, jedyne słowo: „*Raby!*“ ażeby nastrój mas zmienił się.

„Nad miastem zawisły straszne sny...“

A potem zaczęła się rewolucja — można przypuszczać, że to rewolucja francuska 1789 roku.

Ale też—może być—że całkiem inna...

A dalej apoteoza anarchii, walka przeciw temu „mitycznemu smokowi,“ za którego Andrejew uważa każdego monarchę, chociażby jaknajbardziej ograniczonego w swoich prawach.

Wnet zamiast wyrazów czci—słysząc okrzyk: „Śmierć Dwudziestemu!...“

Na latarniach już wiszą zdrajcy „narodu.“ Kraj ogarnęło powstanie. Kraj domaga się sądu nad królem. Ma go osiągnąć zemsta „narodu“—straszliwa, powiada Andrejew.

— Niema króla, niema też Boga, tego króla i tyrana niebios!...

Ów tyran już powieszony—z sądu ludu swego. Dwudziesty nie istnieje.

A tłum ryczy: „Wolność, wolność!“ — dniem i nocą. Tak, wolność!...

Lecz z wysokiej baszty od strony ogromnego zegara słyszeć się daje monotonny głos strażnika:

— Tak było... tak będzie!... Tak było — tak będzie!...

Albo „Sawwa“, co tyle dotąd hałasu uczynił... Czyż chociaż o odrobinę jest inny od swoich poprzedników? Gdzież tam!...

Na pierwszy rzut oka może łącznie wydać się, jakoby różnił się niewiele od typów rewolucyjno-bosiackich Gorkiego.

— „Człowiekiem jam jest, który raz się rodził — mówi Sawwa. Widziałem kościoły i więzienia, uniwersytety i domy publiczne, fabryki i galerie obrazów, pałace i mieszkania robotnicze. Ale kiedy obliczyłem, ile więzień przypada na jedną galerię obrazów, przyszedłem do przekonania, że cały ustrój społeczny musi uleść przewrotowi...“

Napozór jest to zupełnie równoznaczne z tem, co zwykli głosić „bohaterowie“ Gorkiego.

W rzeczywistości zaś ma się rzecz odmiennie, całkiem inaczej.

„Sawwa“ Andrejewa bowiem nie staje do walki z urządzeniami państwowymi, lub pewną warstwą społeczną, lecz występuje przeciw niewolnictwu przeważnej części ludzkości.

Paradoksalny jest jednak, jak wielu, wielu, jemu podobnych w dobie obecnej.

— Niema nic strasniejszego — powiada z przekonaniem — jak narodziny człowieka...

Sawwa pragnie rozwiązać wielką zagadkę życia i bytu ludzkiego.

I podczas, gdy łamie sobie głowę nad tą kwestyą — widzi dokoła siebie mnóstwo ludzi, szczęśliwych, zadowolonych ze swego losu, odpowiadających sobie na postawione przez Sawwę pytanie w sposób najdogodniejszy dla nich. Odpowiedzi te uważa Sawwa za godne niewolników lub ich właścicieli. A przecież — sądzi — człowiek, wypowiadając się, powinien być całkiem szczerzy i otwarty, do głębi duszy — „nagi na nagiej ziemi, nagi, jak matka urodziła. Nie ma na sobie ani spodni, ani orderów, ani kieszeni — nic. Pomyśl: człowiek bez kieszeni — no! cóż to jest? Wobec tego, bracie, i ikona niczem... Dynamit silniejszy od ich Boga! A człowiek silniejszy — od dynamitu!...“

W tem uważa Sawwa swój ideał za wykończony.

Dlatego też należy wygubić wszystkich, całe pokolenie obecne, co przesiało do szpiku kości: fałszem, hipokryzyą i obłudą i tchórzostwem przed prawdą. Niewolnicy muszą ustąpić miejsca ludziom!

Sawwa wyznaje pozatem dosłownie, jak ewangelię, doktrynę o grzechu i niesprzeciwianiu się jemu — Tołstoja.

Cóż znaczy, iżby ludzie wyznawali jakąkolwiek wiarę?—dodaje po monologu o grzechu od siebie.

Ludziom, sercom ich i duszy trzeba najprzód odebrać ich Boga, tego Boga, co jest twórcą dusz niewolniczych i w którego istnienie mogą wierzyć tylko sami niewolnicy. Raz nakoniec trzeba bezwarunkowo rozwiązać odwieczną zagadkę bytu ludzkiego. Precz z wiarą! precz z tajemnicami!

Ażeby podkopać wiarę w Boga u prostego ludu, Sawwa, nie ustępujący bynajmniej w świętokradztwie sprawcy zrabowania obrazu cudownego Matki Boskiej Kazańskiej, który spalił po zdarciu z niego kosztowności, stawia w cerkwi pod obrazem, cudami słynącym, machinę piekielną. Ujrzą ludzie, jak ich Bóg, potrząskany w drzazgi, leci w powietrze i pozbędą się wiary ojców swoich w jednej chwili — na zawsze!

Zdrajca jednakowoż tego piekielnego pomysłu znalazł się w osobie przyjaciela Sawwy.

To też przełożony klasztoru, dowiedziawszy się o mającym nastąpić zamachu, każe obraz cudowny usunąć. Skoro zaś tylko machina piekielna wybuchła, obraz zjawia się nieuszkodzony na swoim dawnym miejscu. Zamiast upragnionego zachwiania wiary, Sawwa przyczynił się samochcąc do jej utwierdzenia. I kończy ów rewolucjonista, widząc swoje plany w niwecz obrócone, takim beznadziejnie rozpaczliwym: „*Mundus vult decipi—ergo...*“ Sawwa zapomniał policzyć się z najpotężniejszym swoim wrogiem — z rzeczywistością.

„Nagi, na nagiej ziemi, jak matka urodziła...“ Andrejew nie widzi lepszego i skuteczniejszego lekarstwa na chorobę społeczną Rosyi—od zniszczenia, od śmierci. Prawda!—wszak śmierć jest najlepszym i najniezawodniejszym środkiem przeciw chorobom wszelkiego rodzaju...

Nie wystarczy — wołać ciągle do znudzenia powtarzane hasło: „Śmierć burżujom!...“

Trzeba samemu nie należeć do ich liczby. A jednak—śmiem twierdzić—ta gwiazda literatury rewolucyjnej rosyjskiej, ten tak

uwielbiany Andrejew, sam pełen jest, że użyję określenia, używanego często przez pseudopostępców—uczuć i nastrojów burżuazyjnych. Mimo wszystko duch burżuja w nim żyje!...

Żeby zakończyć już z Andrejewym, weźmy pod uwagę dramat p. t. „*Życie Człowieka*.”

Czyliż to naprawdę dramat? — zapytam odrazu.

Nie — to nie dramat. Sam Andrejew sztuki swojej takiem mianem nie śmiał opatrzyć.

Zadaniem każdego dramatu jest odtworzenie życia takiem, jakim ono jest w rzeczywistości. Ale, żeby cel ten osiągnąć, trzeba oddalić się od życia i z wyżyn niebosięgłych na nie patrzeć, żeby dostrzedz w niem momenty istotnie dramatycznej natury. A Andrejew ani na krok od tego życia nie odszedł i dlatego mógł dać tylko pięć scen, nie z życia, lecz jakby z chorobliwego snu wyjętych... U niego nie ma życia rzeczywistego. Zastąpiła je fantazja iluzyonistyczna.

Najciekawszą jest w „*Życiu Człowieka*” postać jedna. To On, ktoś szaro ubrany, którego imię „On.” Zaczyna mi to szare ubranie przypominać coś z jednej opowieści Gorkiego. Ale o pokrewieństwo mniejsza!

I oto, co powiada widzom ów tajemniczy On w prologu:

— „Patrzcie i słuchajcie wy, coście przyszli tutaj dla zabawy i śmiechu! Oto — przejdzie przed wami życie Człowieka... Dalekiem echem przejdzie przed wami i jego ból i radość wartko płynącego życia...”

Tak! — To tylko echo dalekie życia, to fantasmagorya, której celem negacya bezwzględna!...

Tytuł aktu pierwszego, powiedzmy raczej obrazu: „*Przyjście na świat Człowieka i młeki matki*.”

Za sceną męczy się położnica. Tam rodzi się Człowiek. Na tle szarego, mrocznego światła, padającego przez okna, widzimy kilka starych kobiet. W chwili, kiedy z drugiego pokoju dochodzą jęki, płacz i szlochanie, te złowieszcze pary prowadzą taką rozmowę, że wstręt jej słuchać. Na licach ich od czasu do czasu pojawia się uśmiech. Czekają na wynik bolesnego procesu, a tymczasem rozmyślają, kto przyjdzie na świat: chłopiec, czy dziewczyna? czy noworodek ukaże się im żywym, czy przyjdzie martwy, czy przyjdzie po to, ażeby umrzeć? Rozmowę tę przerywa chwilami śmiech.

Na dworze zaczyna rozwidniać się, jakby na powitanie rodzącego się życia. Wchodzą ojciec z lekarzem i mówią o tem, o czem mówi się w takich wypadkach. Ojciec, zmęczony i drzą-

cy z bojaźni, przeklina chwilę narodzin dziecięcia, lecz w tejże chwili błogosławi ze łzami w oczach los za to, że syn ma oczy i nos jego. Przychodzą krewni z powinszowaniem i mówią z powagą, ile to w życiu zależy od tego, jakim imieniem zostanie nazwany nowonarodzony i że należy dziecko ochrzcić tem imieniem, jakie nosił który z przodków, gdyż to bardzo ważne, bardzo ważne...

A tuż nad nimi majaczy się niewidzialny On ze świecą w ręku. Trwoga czy nuda bije z jego lic...

Obraz drugi — „*Miłość i nędza*.” Człowiek wyrósł na młodzińca, utalentowanego artystę-architekta. Ale nikt nie zużytkowuje jego projektów. Obok — młoda żona, prześliczna, w różowym szlafrocuku, z obnażoną szyjką białą. Oboje biedacy. Jedzą tylko chleb czerstwy i popijają wodą czystą. Są głodni, bo dotąd nikt nie chce uznać talentu jego. A jednak!... nawet sam król Krezus nie był bogatszy od tych dwojga istot. Bo od nich bije: młodość, miłość, nadzieja, odwaga spojrzeć życiu w oczy, wiara w powodzenie. Wiosna życia... wiara w siebie... wiara w życie... I młodzieniec odważnie wyzywa na bój tego, który nazywa się — On... I chociażby życie chmurzyło się, jak ślepa sowa przy blasku słońca, młodość zmusi je do uśmiechu. A w kącie — On, szaro odziany, patrzy wzrokiem skamieniałym na szczęście dwojga ludzi i w rękę jego płonie jasnym płomieniem świeca.

Obraz trzeci: „*Bal u Człowieka*...”

Człowiek porósł w pierze. Ale mimo to wszystko u niego dziwne: i drzwi, i okna, i trzech muzykanci, podobni zupełnie do instrumentów, na jakich grają: do skrzypiec, kontrabasu i fletu, z których płyną przeraźliwe dźwięki. W salonie goście, ubrani w jeden z trzech kolorów: czarny, biały lub żółty.

Człowiek już podstarzał mocno. Siwiznę znać bardzo na jego kruczonych włosach. Postarzała się też i żona jego. Obok przyjaciela Człowieka, weseli, hardzi, rozjaśnione ich oblicza. A za nimi wrogowie Człowieka: twarze ich wąskie, u kłap surdutów mają żółte róże przypięte, kroki ich niepewne i bojaźliwe — a muzyka gra i gra... Salon opustoszał. Przez okna wgląda weń mrok jakiś dziwny...

Obraz czwarty: „*Nieszczęście Człowieka*...”

Bieda wróciła. Za ścianą umiera syn Człowieka. Przypadkowo rzucony kamień rozbił mu głowę. Służąca Człowieka siaduje u okna, przez które patrzy mrok do pokoju, i opowiada o swoim życiu, o tem, jak przyjęła tu służbę, jak odejdzie na inną i jak

jest obojętna na wszystko, co się dzieje dokoła niej. A od niej wkrag echowo, jakby obcy głos powtarza słowa:

— „Mnie wszystko jedno, mnie wszystko jedno!...“

Wchodzi Człowiek. Uspokojony przez lekarza, kładzie się i zasypia. Ale przebudzony płaczem żony, z jej łez dowiaduje się o całej prawdzie. Syn jego umarł. Znowu sypią się przekleństwa na życie, na chwilę urodzenia się swego, na dawne rozkosze i los sam...

A tuż obok stoi niewidzialny On i słucha w milczeniu. W ręku jego płonie dogorywająca świeca...

Obraz ostatni, piąty: „*Śmierć Człowieka*...“

Knajpa podziemna, z długim rzędem butelek, poustawianych na półkach. Przed półkami siedzi gospodarz knajpy, naprzód wysunięty śpi Człowiek z wyciągniętą na stole szyją.

Wkrag niego postacie pijaków pierwszorzędnych. Gwar, hałas nierozumnych rozmów, chwianie się na nogach i t. d. Ale cała rozmowa toczy się o Człowieku, że dla niego już wszystko stracone, że Człowiek postarzał się i nie jest więcej nikomu potrzebny. I te pijane indywidua zaczynają okrażać ciasno Człowieka i szeptać mu w ucho po cichu:

— „Pamiętasz? — Suknia różowa i goła szyja? Jak to było pyszne! Jak bogate! Co za cześć! Pamiętasz? Umrzesz prędko... Pamiętasz? Co za cześć! Jak pysznie! Jak strojno!...“

A po schodach idą powoli trzej muzykanci, podobni do swoich instrumentów: do skrzypiec, basu i fletu, poczem, zszedłszy, siadają i rozpoczynają, przyspieszając ciągle tempo, grać ten taniec, jaki grali na balu, a pijanice-staruszkowie coraz to większem kołem okrażają Człowieka, przyklaskując w takt, przyczem nieustannie szepcą mu coś do ucha.

W tej chwili Człowiek powstaje gwałtownym ruchem. W rozżarzonych jego żrenicach lśni ogień. Podnosi rękę i posyła ostatnie przekleństwo losowi, lecz w tej chwili głos mu się urywa i on pada na krzesło nieruchomy. Człowiek zmarł nagle.

A tuż obok w ręku tego, który nazywa się „On“ — płomień świecy rozblęsnął jaśniej, niżli zwyczajnie, i zagasł na zawsze w jednej sekundzie.

Ściemnia się szybko, jakby na zaklęcie czarodziejskie.

Coraz namiętniej, coraz gwałtowniej grają muzykanci, przyspieszając tempo co chwilę, a wokoło Człowieka z dzikiem klasaniem w ręce tańczą starcy-pijanice do upadłego...

Aż wszystko tonie w pełnym mroku, owionętym tajemnicą jakąś.

Dźwięki muzyki urywają się nagle, jakby struny instrumentów urwały się odrazu.

Cisza głęboka.

A wśród tej ciszy ogromnej i tego nieprzeniknionego mroku daje się słyszeć głos Jego:

— Cicho! Człowiek umarł...

Taka jest idea „*Życia Człowieka*,“ idea mroczna — bezwzględnej negacyi bytu ludzkiego.

Niestety! — nie wnosi ona niczego do charakterystyki Andrejewa. Bo wszystko tchnie tutaj owym pesymizmem beznadziejnym, jaki wionie ze wszystkich utworów tego pisarza od samych początków jego twórczości. Andrejew przyglądał się życiu z różnych stron, zaczynając od badań nad psychiką „bosiacką,“ kończąc ekstazą fanatyka rewolucyjnego lub przeciwnika idei religijnej. Ale u niego nie można dopatrzeć się niczego, oprócz beznadziejnych porywów, nadziei zawodnych, eksperymentów patologicznych, rozpacz przed czy wobec bezsilności i nicości człowieczej. Wszędzie u niego zapach trupi, wszędzie negacya czynu, negacya krańcowa życia!...

Oh! — jakże ciężkie musi być życie indywidualności, która nie może wznieść się na wyżyny społecznego indywidualizmu, które w swoim czasie bez trudu osiągnął Puszkina?!...

Poezya rozpacz, straszliwych mąk ducha, krańcowej beznadziejności...

*

*

*

W ślady Gorkiego i Andrejewa poszedł też Juskiewicz, pisarz dość znany ogółowi.

Utwór jego p. t. „*W mieście*“ nie może być zrozumiały bez uprzedniego zaznajomienia się z ideą dawniejszych utworów Juskiewicza. W nich starał się autor przedstawić miasto, jako siłę gniotącą, duszącą, przeobrażającą człowieka w nicość. Pod jej wpływem zamiera wszystko, co ludzkiego jest na świecie: pojęcie honoru, czci, wstydlivosti, miłości i t. d. Tysiące, tłumy ciągną do miasta, bo je przyciąga ku sobie zewnętrzny blask jego, oślepiająca powierzchowność. Głębi i niszczy ludzi brak w niem miłosierdzia, jego pragnienia nienasycone nigdy. Upadek kobiety,

to jeden z najczęstszych tematów, które Juszkiewicz wyzyskiwał do dna dla wykazania niszczącej siły miasta.

W utworze omawianym miasto jest — ale jest gdzieś daleko. Mówi się wprawdzie o niem, ale bardzo niewiele. Czytelnik musi pomagać sobie reminiscencyami tego, co autor dawniej napisał.

Kto zwichnął życie głównej bohaterki utworu — Diny, która handluje ciałem własnej córki i na jej sprzedanej miłości buduje szczęście i dobrobyt rodzinny? Temu winno miasto. Dina — to potwór, pozbawiony uczuć macierzyńskich nawet ludzkich.

I czyż temat ten, wywlekający same tylko żądze lubieżności ludzkiej, godzien uwagi? Bo kwestyę społeczną sam autor wyłączył od roztrząsania w założeniu swego utworu.

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść nieprzychylnie, gdyż pozostaje poza sferą oddziaływania miasta, głodu i rozpustnej atmosfery rozkoszy. Wobec tego — Dina nie ma sensu. Bo autor skupił całą uwagę czytelnika na psychologii indywidualnej, podczas gdy celem jego było wykazanie wpływu warunków bytu społecznego. Toż tu jasne przeciwieństwo w celach i środkach!

Sprzeczność jest aż nadto oczywista i widoczna dla każdego.

I jakie wobec tego zająć stanowisko — naturalnie co do Diny?

Czy traktować ją, jako pospolitą przestępczynię, czy jako istotę zwyrodniałą, której jednak przysługuje prawo, ażeby jej współczuć?... Tylko w tym brudzie rozpatrzyć się!... To trud!

Ale dopiero w „*Głodzie*“ okazał się Juszkiewicz sobą.

Oto on! — Głód, główny bohater dramatu:

— Buciki jego podkute. Cienki, jak kosa. Twarz ma zwierzęcą... Idzie i zębami wyrывa mięso z ludzi... Z krwią... Gęba jego zakrwawiona...

Przed nami proletaryat żydowski. Ale nie ten ciemny i uległy. Tu inny nastrój. To proletaryat rzekomo „uświadomiony.“ Pod wpływem wypadków lat ostatnich ta ciemna masa drgnęła, zakołysała się. Inne „ideały“ zaczynają świtać w jej głowach. Agitacja rewolucyjna dotarła i tutaj i jak u każdego narodu wschodniego, nie umiejącego patrzeć krytycznem okiem, lecz przyjmującego każdą teorię ślepo, na wiarę, sprawiła zamęt w mózgach. Ten wydziedziczony proletaryat dowiaduje się nagle, że na świecie powinna być równość bezwzględna, że każdy ma być dla drugiego bratem, że wolność ma być niczem nieograniczona...

Rozkołysała się ta masa, bo wydarto jej to, co „*Sawwa*“ Andrejewa uważał za główną przeszkodę do szerzenia agitacji rewolucyjnej. Tej masie wydarto Boga! Ów groźny Jehowa dla niej nie istnieje, stracił zupełnie wartość w jej oczach. Stare po-

kolenie trzyma się jeszcze przykazań Mojżeszowych. Ale młodzież odrzuciła na bok od siebie dotychczasowe podstawy życia, jako dla niej niewygodne. Za mało dawały.

Bo i czego to nie obiecali nowocześni prorocy?!...

Przyrzekli wolność, jakiej świat nigdy nie oglądał i oglądać nie może, bo jest ona niemożliwa do stworzenia.

— Proletaryusze wszystkich narodów łączcie się! — padło hasło. I zaczęto łączyć się, nie pytając „towarzysza,” kto jego ojcem, lub kto jego Bogiem.

— Dlatego, że wokół źle, powiedzcie sobie: Nocy wiekowej nadchodzi kres! Zapory ustępują. Drzwi żelazne trzeszczą. My je rozwalimy...

Tak głosi Gabaj—przedstawiciel nowych prądów w żydostwie.

Ale i jakież to Żyd?!.. To przedewszystkiem „człowiek,” bo człowiekiem staje się tylko ten, kto przysięgnie na przykazania rewolucyjne. Nie lubi mówić — jak wogóle u Żydów to w zwyczaju — o swoim pochodzeniu. Nie należy do żadnej narodowości, należy do całej ludzkości. Nie chce być posłusznym nauce przodków swoich, bo sam „wyda nowe przykazania, które będą wypełniali wszyscy.”

Nienawistna dlań pokora, w której widzi przyczynę zła, przyczynę gnębienia żydostwa:

— Ściany, przekłete, cierpliwe, przekłete, głuche ściany... Lękliwi, ślepi, ciemni płaczą, tylko my powstajemy, obaczcie — powstajemy! — prorokuje z emfazą Gabaj.

„My“ — to naród — „naród — pan,” który jest powołany do stworzenia nowego życia na gruzach dawnego grzesznego świata, który trzeba do cna zniszczyć, ba, fundamenty nawet jego rozburzyć bez litości:

— Litość do ciemężycieli — wykrzykuje — do serc granitowych? Sprzątnijcie ich — i to będzie waszem miłosierdziem, spalcie ich! — i to będzie waszem dobrem...

Skoro tak uczy Gabaj, nie dziw, że odrzucił naukę Mojżesza z dziesięciorgiem przykazań...

Gabaj nie cofnie się przed niczem. Jemu nie żal ani siebie, ani towarzyszy:

— I jeśli krew się ma polać, to cóż znaczy mały jej potok wobec jej mórz?... — rozumuje.

— Przekleństwo miłosierdziu, przekleństwo litości!.. Przyszła ludzkość zrozumie nas...

Jedyną żądzą, jaka tli w Gabaju, to zniszczenie powszechne, powszechny rozgrom: — „Żyję jednym, jednym dyszę: trzeba zbu-

rzyć wszystko!...“ — „Widzę prześliczny nowy dzień. I serce moje rozpiera dzika, a burzliwa radość...“ Lecz — dodaje — czas iść do boju, gdyż „dopóki wróg nie pobity, nie można o tem myśleć...“ Mało kto jednakowoż przysięgał na ewangelię rewolucyjną. Do nich więc Gabaj mówi z pogardą: — „Boicie się? Cóż wy za ludzie?... Wstańmy przeciw naszym ciemnościom! Rozgniewajmy się na nich, a uciekną od naszego gniewu, od naszej siły...“ „Wysypmy się na ulice, na place, stańmy pod ich oknami z groźbą. Pójdziemy tam i powiemy głośno, czego chcemy, a otrzymamy. Raz jeszcze — rozniewajmy się! Jeszcze raz! Powstańmy!...“ Hasła takich setki zawierały proklamacye rewolucyjne i hasła te okazały się zwodniczymi...

Przemowy Gabaja rozpalają młodociane serce Miry, która „w tej chwili dałaby się zamęczyć na śmierć, tylko, żeby nastał świt i sprawiedliwość, tylko, żeby te wszystkie domy zniknęły...“ I — właściwie to niedoświadczonemu wiekowi — „pragnie zdziałać coś niecodziennego, chce wszystkich oswobodzić ofiarą z siebie.“ — „Zgadza się, lecz w tej chwili! Tylko, żeby nie czekać, nie zwłóczyć. Prowadź mnie! pokaż mi!...“ Nie trzeba chyba wielkiej domyślności, żeby wyrozumieć, o co tu chodzi, o jakie poświęcenie. Mira porzuca nawet swojego narzeczonego, żeby mógł oddać się wyłącznie Gabajowi: — „O, ziemia zła. Stoję na niej i widzę ziemię prześliczną. Chcę do niej pójść. I jak do niej dostać się? Przez most, przez most...“ — powiada do swego byłego narzeczonego Symchy. Tym mostem jest w jej oczach Gabaj.

A siostra jej, Nachame, żona robotnika Miny, umie tylko przeklinać: — „Przeklinam ich! Wszystkich, siedzących w ciepłych i sytych, przeklinam! Przeklinam władzę! Przeklinam tych zimnych, zadowolonych, co siedzą na naszych plecach!... Oby jedzący zadławił się! Oby bogaty umarł na tem miejscu, na którym stoi, leży, lub po którym chodzi!...“ Straciła całkiem wiarę w Boga Mojżeszowego, to też mu bluźni: — „Jak możesz ty żądać sprawiedliwego życia, spokoju, błogosławieństwa swoich dzieł? Tyś oszust nieszczęsny. Sto razy wrzuć mnie w swoje piekło, a dusza moja nie podda się!...“

Takimi przedstawiają się ideowi bohaterowie dramatu Juszkiewicza. Ich hasłem — negacya życia...

Dla tem wydatniejszej charakterystyki poglądów pisarza nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednej z jego nowelek (rozpatrywanie wszystkich byłoby prózną stratą czasu i miejsca), p. t. „*Trzy cmentarze*,“ drukowanej w „*Żurnale dla wsi*ch.“ W noweli tej zostali przedstawieni bohaterowie społecznego Izraela, jako ofiary

niewinne Chrześcijan-Kannibalów, dla których sam widok piękności duszy żydowskiej staje się powodem masowych morderstw. Oto! gdzie powinien zły i zepsuty chrześcijański świat szukać zbawienia!...

*

*

*

Albo ów Skitałec ze swoimi „Ogarkami?!...” To nowa formacja „bosiactwa” literackiego. I — kto wie, czy, gdyby Skitałec nie był nabawił się od Gorkiego manii wielkości, Rosya nie byłaby z czasem miała w nim drugiego Lewitowa, drugiego rosyjskiego Dickensa?... Owa *mania grandiosa* przenika nie tylko samego autora. Przeszła ona i na jego bohaterów.

Akcya rozgrywa się nad Wołgą, w pamiętnym roku cholery. Powietrze wokół zarażone śmiercią. Miasto, w którym mieszkają i działają bohaterowie powieści, ma typowo-nadwożański wygląd. Wszyscy żyją z obawą w sercu przed grożącą śmiercią. Ulicznych krzyków i przekleństw nie słysząc. Miasto otrzeźwiało...

W tymże czasie żyli tam wesoło młodzieńcy, których ogół nazywał „ogarkami.” Zespolili się w „bractwo,” liczące około dziesięciu osób. Przewódca Ilja Tołstoj był „wypędzony ze wszystkich uniwersytetów rosyjskich;” najlepszy przyjaciel jego Saszka — z moskiewskiej piotrowskiej Akademii; trzeci, przezwany „Nowogrodcem,” był też wydany ze wszystkich uniwersytetów; czwarty, śpiewak chóru cerkiewnego, Siewierowostokow — z szóstej klasy seminarium; piąty, ślusarz Michelson — został wysłany z Petersburga za nieprawomyślność polityczną; szósty, Piskra, był dezterem austriackim... Mieszkała ta zacna kompania u li-tościwej baby Pawliczy i żyła szumnie, krzykliwie, wesoło, ale bezpiecznie. Wszyscy byli, jako ptacy niebiescy: pili homerycznie, ale też śmiać się potrafili homerycznie. I nie zwracali najmniejszej uwagi na grasującą tuż obok nich cholere, która zabierała setki ludzi.

— Ogarki wy nieszczęsne! — mawiała baba Pawlicha, kiwając smutnie głową — kiedyż przestaniecie chlać tę przekłątą wódkę?...

A im śmiech tylko był w głowie i troska, skąd wydobędzie pieniądze na drugą butelkę wódki. Takim życiem żyli dzień po dniu. Rozmaitości mieli mało. Chyba wówczas, gdy który z nich

wydostał pieniądze za przepisywanie, wyrabianie zadań gimnazjalistom lub rozwiązywanie zadań egzaminacyjnych, kompania zrywała ze zwyczajem i poszedłszy nad brzeg Wołgi, piła, śmiała się i śpiewała tak, że jej głosy można było słyszeć na drugim brzegu rzeki. Następnego dnia znowu szarżyzna życia...

Takie jest ogólne tło powieści. A teraz dajmy głos samym bohaterom:

„My ogarki, dzieci biedaków, dyakonów, majstrów, chłopów, kucharek, *czort woźni!* Cynizm zasad naszego istnienia bez spodni (*gołosztannawo*) ignoruje całkowicie wszystkie teorie abstrakcyjne, tak, jak teoria nas ignoruje! *Ale w żyłach naszych płynie krew narodu, zdrowa krew ludu robotniczego!* Życie wypędziło nas, lecz nie zginiemy! Czas wykaże wartość każdego z nas!... Z dołu wspinamy się na sam szczyt fali!... Znajdziemy pole dla siebie, *podniesiemy nasz sztandar i będziemy trzymali go odważnie!*...“
 „Z głębin życia narodowego—mówi w innem miejscu literat Niebezizwiestnyj—wstaje fala za falą, świeże, przebudzone siły i już niedaleki ten czas, kiedy te siły ożywią więdnące życie, staną się jego panami i hucznie rozbrzmi ich głos. Już idą... *Przyjdą ogarki i wypędzą trutni precz z życia!*...“

Tak przedstawia p. Skitalec „świeżą, zdrową krew narodu!...“ Krew ta ma ożywić życie społeczeństwa. Ożywienie to rozumie p. Skitalec na swój sposób:

„Po paru latach, gdy przyszła wielka rewolucya rosyjska, ogarki wypełnili swoje przyrzeczenie. Rozwinęli sztandar, trzymali go silnie i—znaleźli dla siebie pole...“

Skitalec idealizować umie tłumy nawet. Całą uwagę skupia na masach: „*Oktawa*“ jego—to chór; „*Tiurma*“—aresztanci; „*Połowy sąd*“—włościanie. Wszystko to dzikie, jakby szaleńcem pijanym ogarnięte. Nie śpiewak—tylko chór; nie więzień—tylko mnóstwo więźniów; nie chłop—ale gromada chłopów!... Skitalec rozumie tylko psychologię tłumów. Jednostka jest dla niego czemś zupełnie obcem. Ale tłum to szalejący, zdziczały, zrozpaczony, zdecydowany na wszystko, rozgorzały namiętnością zemsty i krwi, tłum, co zacisnąwszy pięście, wygraża zawzięcie, obcesowo, urojonej marze, która mu zagradza drogę rzekomą do szczęścia prawdziwego. I ma się czasami wrażenie, jakby przed tym tłumem stał niewidzialny Skitalec i wiódł go do mordów przy łunie krwawej pożarów. Krwi! krwi, i jeszcze raz krwi!...

I ten Skitalec, obdarzony niewątpliwym talentem pisarskim, posiadający wszystkie dane, żeby zostać twórcą niepośledniej miary, schodzi w literaturze do rzędu pospolitych chwalców ohydy,

polujących na tanie efekty. Czemż jednak głos jego niezdolny jest poruszyć mas szerokich, pobudzić ich do czynu, czemu hasła, głoszone przezeń, nie znajdują odzewu w tłumach?... Odpowiedź łatwa. Bo tłumom brak tych wszystkich cech, jakie mają bohaterowie Skitalca, bo nie ma w nich odwagi, ani przejęcia się ideą. Wszystkie te szumne hasła, jakie od czasu do czasu wywieszają na swoich sztandarach, to liczmany bezwartościowe, mające tylko pozory rzetelności.

*

*

*

Arcybaszewa znowu pozwoliłbym sobie nazwać burżuazyjnym piewcą rewolucyi. Duch przewrotu nie wypowiedział się jeszcze w całej pełni przez jego usta.

W bohaterze „*Krwawego sztandaru*“ wiele życia, wiele młodości. Kipi tem życiem i miejscowość, rewolucyjna nawskroś, w której odbywa się akcja. Tutaj każdy człowiek—to milczący do czasu rewolucjonista. Typowym przykładem bohater powieści Anisimow, którego psychologię rewolucyjną rozszerzył Arcybaszew najniefortunniej do rozmiarów życiorysu. Stara to maniera, przypominająca wielce „*dworjanskoje gnieздо*“ Turgenjewa.

Cała idea tego tłumy zrewoltowanego i stojącego na pierwszym planie Anisimowa — da się sprowadzić do tego elementarnego pojęcia, które nazywa anatomia — żołądkiem. — „Biednym przyszedł na świat — opowiada Arcybaszew — w strasznej nędzy przeżył swoje dzieciństwo... Był obszarpany, źle obuty, chorowity chłopczyk, typowy syn listonosza, na którym trudy, choroby i bieda rodziców wycisnęła na zawsze swoje piętno... Zawczasu przyszło mu troskać się o chleb...“

To jest, tłumacząc po prostu — cała historia daje się sprowadzić do tego wspólnego mianownika, iż ów rewolucyjny duch protestu, nienawiści i pragnący wolności nieograniczonej oraz walki bezwzględnej z obecnym ustrojem społeczno-państwowym, ma swoje siedlisko w żołądku!...

U Arcybaszewa buntuje się wszystko, na każdym kroku, w każdej chwili i sytuacji.

Buntuje się dusza w imię własnego szczęścia w noweli p. t. „*Bunt*“, protestuje pragnienie wolności i uciech przez usta „*Żony*“, duch tłumy buntuje się masowym rokoszem w noweli „*Użas*“,

w „Śmierci Landa“ toczy spór sam autor ze sobą, spór ogromny, bo wyrażający się w proteście myśli przeciw podaniu—to protest, że się tak wyrażę — duszy przeciw tradycji. To nie śmierć studenta Lande, lecz samegoż Arcybaszewa, który kiedyś widocznie zakochał się w teoriach moralistycznych Tołstoja. Protest tu na każdym kroku. U Arcybaszewa wszędzie można odczuć instynkty bojowe, hasła lat ostatnich.

Ale *bohatera* rewolucyjnego stworzyć mu nie udało się. W Anisimowie bowiem można widzieć co najwyżej wybitniejszą jednostkę pośród tłumu głodnych żołądków.

*

*

*

W literaturze rosyjskiej lat ostatnich daje się zauważyć znamieny zwrot. Ideały, głoszone przez Puszkina, doprowadzone do zenitu przez Dostojewskiego, wyrzucono na śmietnik. Dziś niczem słuzenie prawdzie, narodowi, artyzmowi prawdziwemu—to fraszki, to frazesy puste! Było coś, co przypomina chwilę obecną, w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia. Ale też wówczas działo się to z innych powodów, dla całkiem odmiennego celu. Wówczas—pod pozorem rozpraw krytycznych pisano artykuły publicystyczne, ażeby oszukać czujne oko cenzora i pomówić z czytelnikami na temat spraw bieżących. Drogę taką wskazał pierwszy Bielinskij, udoskonalili ją Pisarew i Zajcow.

Kiedy jednakowoż zniesiono cenzurę uprzednią dla całego szeregu wydawnictw, sposobu tego rodzaju pisania zaczęto pilnie wystrzegać się. I jedynie w wypadkach, w których chodziło o kwestye, zabronione całkowicie do omawiania, uciekano się do tak zw. „języka czopowskiego“, którym tak znakomicie władał Szczedrin-Sałykow.

W chwili w której cała Europa zachodnia zaczęła rozczytywać się w autorach rosyjskich, społeczeństwo rosyjskie w dzikim zaślepieniu deptało ideały starych mistrzów i wyciągało ręce ku nowym pisarzom, którzy ukazywali mu nowy, niewidzialny dotąd nigdzie i niemożliwy do stworzenia świat. Nie był to świat ponizonych, z którymi Rosya miała sposobność zaznajomić się bodaj z pism takich „narodników“, jak Rieszetnikow lub Głeb Uspieniskij. Nie był to świat zmęczonej i znudzonej inteligencji, którą malował w swoich powieściach Czechow z uśmiechem żalonym

lekarza na ustach. Ale, jeżeli pierwsi widzieli poniżonych i zgnębionych losem, to przecież ani razu nie rzekli, iż tym właśnie warstwowi należy się naczelne miejsce na świecie.

Czechow znowuż wiedział doskonale, że współczesna inteligencja rosyjska nie jest o tyle silna, iżby mogła stworzyć nowe życie. Czechow wmawiał w nią, że za paręset lat życie stanie się lepszym...

A teraz publiczność czytająca rzuciła się w objęcia „bosiactwa!...”

Jak zaznaczyłem na samym początku—ideał „bosiactwa” nie jest bynajmniej wynalazkiem rosyjskim i w ogólności nie może być uważany za ideał, jako że jest teorią bezwzględnej negacji bytu. Podług Gorkiego należy odrzucić wszelką kulturę oraz zasady, na jakich opiera się państwo i społeczeństwo. Celem zaś życia — dogodzenie bydlęcym instynktom i w tym kierunku nie powinien człowiek spotykać żadnych przeszkód. Tak głosił współczesny Zarathustra rosyjski...

Spółeczeństwo zaś, które od dawna zatraciło wiarę, rewolucjonizowane za pomocą książek i broszur agitacyjnych, zasmakować musiało z natury rzeczy samej w utworach Gorkiego, widząc w nich niejako realne urzeczywistnienie tego, o czym marzyło nie od dzisiaj.

Nie darmo Gorkij lubił się nazywać zwiastunem burzy, bo rzeczywiście wniósł rewolucję do literatury pięknej i sam zeszedł ze sceny w chwili, w której pożar rozgorzał. Z pomocą przyszedł mu Andrejew, kreślący typy współczesne, jako nerwowo chore i psychopatologicznie wykoszlawione. Odrzucił wszelkie podstawy religijne, widząc wokół tylko jedno oszustwo, życie zaś traktuje, jako puste i bezwartościowe. Po tych dwu heroldach nowego kierunku w literaturze i ich satelitach w osobach: Juszkiewicza, Skitalca, Arcybaszewa i tylu innych pomniejszych naśladowców, społeczeństwu nie pozostawało nic innego, jak uznać, że najwyższym ideałem człowieka jest zniszczenie i śmierć...

Przejęcie się bezgraniczne ideałami Sawwów wyprowadziło w latach 1905 — 1907 na widownię publiczną setki jednostek, podobnych jota w jotę do mrocznych indywiduów wyidealizowanych przez najniższą literaturę rosyjską. A jedynym wyznaniem ich była — zbrodnia pod jakąkolwiek postacią.

Lecz, że z tego naśladownictwa nic nie wykwitnie i nie da owocu — to niewątpliwe!

DR. STANISŁAW ZDZIARSKI

OBECNY STAN

literatury niemieckiej.

Goethe dał Niemcom pojęcie „literatury światowej,” romantycy rzecz samą. Dzięki istotnie podziwieniu godnej pracy na polu przekładów z języków obcych, mają oni w swoim własnym wszystkim, co w piśmiennictwie całego świata jest najwybitniejszem, od prastarych Ksiąg Vedy do „Popiołów” Żeromskiego, od wielkich greckich tragedij do ulicznych piosnek paryskich.

Nie mogło to pozostać bez wpływu na ich umysłowość i na jej odbicie w literaturze pięknej. Niemieccy nacyonaliści ubolewali już dawniej, a dzisiaj z większym jeszcze żalem, że coraz bardziej zatracą się rodzima indywidualność niemiecka, że Niemiec dzisiejszy, oczywiście o ile jest wykształconym, wchłania w siebie idee całego świata, Wschodu i Zachodu, zamierzchłej przeszłości, jak i najświeższej nowości, wszystkim otwiera gościnnie wrota swej duszy, zapełnia ją niemi tak, że dla niego samego, dla jego rodziny miejsca już nie starczy. Z niemieckiego punktu widzenia, skarga jest słuszną, bo tak jest rzeczywiście. Nam, Polakom, od tysiąca lat mającym przed oczyma niemiecką brutalność polityczną, trudno zrazu uwierzyć, by oni byli tak gościnnymi w zakresie literackim. A jednak u nich trzeba koniecznie te dwie dziedziny stanowczo od siebie oddzielić; owszem, chyba tylko prawem stanowczego kontrastu dadzą się one połączyć (np. w okresie największej nienawiści ku Francuzom—najsilniejszy wpływ paryskiej literatury; w dobie wściekłej polonofobii obecnej—niezwykle ożywiony ruch na polu przekładów z języka polskiego). Lecz jeśli skarga niemieckich patryotów jest uzasadniona, to dla innych narodowości wynika z drugiej strony z tego

stanu rzeczy korzyść. Oto skutek tego chętnego przyjmowania obcych idei, piśmiennictwo niemieckie kaźdoczesne jest pełnym, mozaikowym obrazem wszystkich myśli i uczuć, jakie w danej chwili po rozmaitych kątach całego świata czy to panują, czy choćby tylko nieliczną mają garstkę wyznawców. Ta cecha niemieckiej literatury ma, wiemy o tem dobrze, tylko względną wartość: kto zna języki wszystkich narodów, biorących udział w życiu literackim, ten oczywiście dokładniej pozna owe różnorodne prądy u ich źródeł, niż w niemieckim rezerwoarze, dokąd dochodzą długimi kanałami; kto ma możność i zdolność studyowania nietylko tego, co tam zagranicą w otwartych halach leży na widoku, lecz i tego, co kryje się w zaułkach i suterenach, ten nie będzie miał ochoty do oglądania plastyczniejszych, ale i grubszych niemieckich kopij; lecz iluż jest takich? Dla olbrzymiej większości mniej szczęśliwych literatura niemiecka jest względnie najlepszym środkiem poznania wszystkich idei, w świecie nurtujących.

Dotychczasowe wywody oświeciły jednak dopiero jedną stronę tamtejszego piśmiennictwa. Może nawet, rzucając na nią silne światło, dały obraz zbyt jaskrawy. Bo z nich wynikałoby, że literatura niemiecka jest wprawdzie bardzo cenną, jako odzwierciedlenie nie-niemieckiej unysłowości, ale jest bez wartości dla tego, kto w piśmiennictwie pewnego narodu szuka odbicia jego indywidualności; innemi słowy, że z powieści, zbioru poezyj, dramata w niemieckim języku można się dowiedzieć, jakie poglądy istnieją we Francyi i w Australii, lecz niepodobna mieć wyobrażenia nawet o tem, jaką jest właściwie dusza niemiecka. Takie zapatrywanie byłoby błędnem, mimo, że nie możemy go obalić jednym jedynem słowem: „tak nie jest,” tylko potrzebujemy obszerniejszego wyjaśnienia, jak rzeczywiście jest.

Bo co to jest dusza niemiecka? Śmiem twierdzić, że znam Niemców z długoletniego czytania ich drukowanego słowa, z licznych tam znajomości, z kilkakrotnych po Niemczech podróży (i ten artykuł piszę nad Renem) — a jednak nie wiem, jaką jest dusza niemiecka, wątpię nawet, czy ona istnieje wogóle. Rok 1870—71, dzięki awanturniczej żyłce Napoleona III i Eugenii; odnowił niemieckie cesarstwo i odtąd Niemcy mają jedność państwową i narodowo-polityczną; tę mają — mimo, że niektórym naszym domorośłym politykom zdaje się, że bawarczycy lada dzień zrzucą z siebie berlińskie jarzmo, a hanowerczycy po cichu ostrzą miecze ku rewindykacyi praw dynastyi Welfów. Nie, to złudzenie: bawarczykom wystarczają zupełnie odrębne marki pocztowe, a hanowerczycy do dziś dnia nie mogą wybaczyć królowi Jerze-

mu V, że w r. 1866 oświadczył się za Austryą. Jedność państwa jest więc, i jest nazawsze utrwaloną; równie silną jest jedność narodowo-polityczna: tego twierdzenia nie potrzeba chyba nawet udowadniać w chwili, gdy dla Zeppelina, zebrany ze składek z wszystkich stron państwa niemieckiego, od wszystkich warstw niemieckiego społeczeństwa dochodzi do olbrzymiej sumy milionów. Ale na tem kończy się też jedność niemiecka. Niema, ściśle mówiąc, jedności językowej, bo Niemiec z Alzacyi mówi zupełnie innem narzeczem niż meklemburczyk; a chcąc się porozumieć z sobą uciekają się do języka „niemieckiego,” którego ani jeden ani drugi w codziennem, rodzinnem życiu nie używa. Tem mniej niema jedności etnograficznej, niema jedności psychicznej. Więc kto w niemieckiej literaturze pięknej szuka obrazu „duszy niemieckiej,” nie znajdzie go (może łatwiej już w sztuce u Dürrera np. dopatrzyć się pewnej syntezy wspólnych pierwiastków rozmaitych dusz niemieckich).

Zamiast jednej, znajdzie dusz niemieckich wiele, całe mnóstwo. I tutaj znowu ta literatura ma wyjątkową cechę, odróżniającą ją od innych. Prawda: etnograficzne i psychiczne różnice widoczne są np. i we Francyi, gdzie bretończyk odmiennym jest od lotaryńczyka; lecz tam ogólne zcentralizowanie całej francuskiej cywilizacyi zaznaczyło się najwyraźniej w dziedzinie literatury nadobnej, która—z nielicznymi wyjątkami—jest specyficznie paryską. Wprost inaczej było i jest w Niemczech. Tam nie widzi się w literaturze centralistycznych dążeń w epoce politycznego rozbicia; tam niema ich także w teraźniejszym zjednoczeniu państwowem; tam w Berlinie jest tylko berlińska literatura, nie niemiecka kat'exochen, niemiecka tylko w tym stopniu, w jakim niemiecką jest literatura pisana np. w Monachium lub gdzieś na Pomorzu. A zważyć trzeba przytem, że te tak różnorodne obszary państwa niemieckiego wszystkie są kulturalne, że więc powieść nadreńska lub dramat nadbałtycki wcale nie są już *eo ipso* jakimś niższym produktem literackim, jak się rzecz ma czasem np. z hiszpańską literaturą prowincjonalną.

A tak, gdy dzisiaj, na życzenie Redakcyi, mam przedstawić obecny stan niemieckiej literatury pięknej, to jest moim zamiarem pokazać ją z dwóch stron: o ile jest odzwierciedleniem wszechświatowych prądów, oraz ile w niej jest odbicia różnych dusz niemieckich.

*

*

*

Do rozmaitych rozdziałów, rozbijających jednolitość niemiecką, doliczyć trzeba jeszcze jeden. Oto mniej więcej w czternastym stuleciu dokonał się tam na polu literatury rozdział pomiędzy piśmiennictwem ludowem a literaturą klas wykształconych: tanto było zawsze narodowem, ale pozbawionem wyższej wartości artystycznej, ta miała ją, ale bez rodzimej indywidualności. Trwało to kilka wieków, aż czasy Goethego i Schillera zdawały się być sojuszem obu przeciwieństw. A jednak ów rozdział okazał się silniejszym od najpotężniejszych geniuszów poezyi: wszak nawet wtedy, gdy Goethe pisał „Ifigenię“ a Schiller „Wallensteina“, nie oni, lecz tacy marni pisarze, jak Kotzebue i Iffland, byli ulubieńcami szerokich warstw publiczności, nie liryki Goethego, ale wiersze Gellerta były na ustach całej masy średniego stanu. I tak jest do dziś dnia. Zapewne podobne zjawisko da się spostrzedz i w innych krajach, ale w tym stopniu nigdzie indziej, w każdym razie nie w Polsce. Gdy u nas Mickiewicz, ten szczyt polskiej poezyi, od dziesiątek lat stał się rzeczywiście duchową własnością całego narodu, to w Niemczech ankieta, przeprowadzona przed kilkunastu laty, wydobyła na jaw fakt prawie nie do uwierzenia: oto całą rzeszę narodu niemieckiego na wsi nieznali nawet nazwiska Goethego, a zapytane, myślały, że tu chodzi o jaką miejscowość...

Rozpatrując więc dzisiejszy stan niemieckiego piśmiennictwa, trzeba i to uwzględnić. Jest tam cała literatura beletrystyczna ogromnie rozpowszechniona, a nieposiadająca niemal żadnej wartości literackiej. W dwóch kierunkach się ona rozwija: albo posługuje się taniemi a jaskrawemi efektami, opowiada o zbrodniach okropnych i niebiańskich cnotach, o kurkołomnej odwadze i szatańskiej złośliwości—albo patryarchalnym obyczajem wszędzie na świecie widzi tylko pocziwość, nad nią się roztkliwia, całe strumienie łez wylewa; innemi słowy: jest albo sensacyjną, albo sentymentalną. Autorów tu wymieniać nie potrzeba, bo jak w pieśni ludowej, nic oni nie znaczą. Ale oba te rodzaje taką się cieszą łaską czytającej publiczności, a zatem i wydawców, że nawet pisarze z pewnym talentem dla rozgłosu i pieniędzy oddają pióra na usługi tej literatury, łącząc dla większej pewności oba rodzaje. Typowym ich przedstawicielem w obecnej chwili jest Edward Stilgebauer. Przed kilku laty wydał czterotomowy romans „Götz Krafft“, osiągnąwszy powodzenie, zbliżone nieco do rozgłosu „Jörn Uhla“ Frenssena. Wtedy jeszcze nie wiedziało się stanowczo, kim jest ten nowy powieściopisarz, można go było jeszcze brać za jakąś wartość artystyczną. Dzisiaj już te złudzenia rozwiane:

Stilgebauera ostatnia książka „Król giełdy“ (Der Börsenkönig) napiętnowała go na zawsze jako fabrykanta „ludowych“ w złem znaczeniu powieści. Nie można mu nawet przyznać zasługi, jakoby swoją działalnością rzucał złote mosty ponad przepaścią, dzielącą ludowe masy od wykształconych kół. Przeciwnie: on podtrzymuje nieokrzesanie jednych, osłabia kulturalność drugich, bo tamtym brutalną treść podaje bądź co bądź w zręczniejszej formie i przez to ponętniejszą czyni, tym zaś odbiera swój własny talent i zachęcającym przykładem demoralizuje ich szeregi. Jego grube tomy mają chyba tylko to znaczenie, że są odbiciem dzisiejszego światopoglądu tych warstw, które w Niemczech, jak zresztą w każdym państwie powszechnego prawa głosowania, jeśli nie rządzą, to przynajmniej najgłośniej o sobie mówią w parlamencie i na zgromadzeniach—burżuazji: więc w teorii pokłon dla „piękna, dobra i prawdy,“ w praktyce banalność, egoizm i obłuda; moralność na ustach, rozwiązłość w życiu; powtarzanie starych, liberalnych haseł w parze z bezmyślną uległością dla junkierskiego rządu; Schiller i Herder w bibliotece, Treitschke i Hartmann w postępowaniu; w niedzielę kazanie w kościele, w tygodniu obojętność dla wszelkiej metafizyki—kto ten obraz oglądać pragnie, niechaj przerzuca karty Stilgebauera.

A jednak nie brak przecież w Niemczech uczciwych usiłowań pogodzenia popularności ze sztuką. Nie w zakresie liryki lub dramatu, które—jak to poniżej przedstawimy—odrębnymi chodzą drogami, ale znowu w dziedzinie romansu. Zaczęło się to przed kilkanaście laty, kiedy podniesiono hasło „sztuki rodzimej“ (Heimatkunst). Hasło zbankrutowało, rzecz sama się utrzymała. Wobec scharakteryzowanej już bowiem różnorodności etnograficznej i psychicznej narodu niemieckiego, niepodobna tam na razie myśleć o powieści, któraby mogła przypaść do smaku wszystkim tamtejszym czytelnikom, chyba że byłyby to podróże przez cały obszar państwa niemieckiego—od Czarnego Lasu do nizin dolnoniemieckich, od brzegów Renu do gór śląskich. Konieczność popycha więc autorów do zamykania się w granicach ściślejszej ojczyzny. Niechaj więc te stosunki z artystyczną ekspresją przedstawia, a zyskają poklask przynajmniej jednego, dużego odłamu rodaków, podniosą ich zarazem kulturalnie; że zaś ta kulturalność zawsze ma cechy ogólne, więc przygotowują powoli duchowe zjednoczenie czytelników. W ostatnich czasach usiłowań w tym kierunku nie brak: Klara Viebig (autorka znanego i u nas, bo i o nas mówiącego „Śpiącego wojska“), Karol Conte Scapinelli, Rudolf Greinz—oto może najwybitniejsze nazwiska tej grupy powieścio-

pisarzy. Postępują oni z widoczną, aż nazbyt widoczną, systematycznością. Najprzód starają się dobrać temat, związany ściśle z życiem pewnej części narodu niemieckiego, a jednak nie obojętny i dla całości. Więc pani Viebig dochowuje wierności polsko-niemieckiemu środowisku w Poznańskim i w powieści *Absolvo te* (z r. 1907) odtwarza tamtejsze stosunki, lecz i w szerszym zakresie niż w „Śpiącym wojsku“ i, niestety, bez dawniejszej, względnej przynajmniej, przedmiotowości. Bo tutaj już nie chodzi o walkę szczepową na polu ekonomicznym, wymagającą zatem nie roznamiętnienia, ale przeciwnie, trzeźwości; tu — jak często w rzeczywistości — polskość równoznaczną jest z katolicyzmem, niemieckość z protestantyzmem, katolicyzm zaś znowu pani Viebig — i nie ona jedna w Niemczech — identyfikuje z chorobliwym mistycyzmem, wstrętnym dla racjonalistycznego protestantyzmu. A tak romans ten ma dwa oblicza: jedno dla polskich czytelników bezwartościowe, bo będące nie reprodukcją, ale karykaturą polskich stosunków, cenne chyba tylko z tego względu, że dowodzi, jak fałszywie pojmują nas nasi niemieccy sąsiedzi, nawet uczciwi; drugie natomiast oblicze jest już ogromnie ciekawe. Oto *Absolvo te*, będąc w materalnej akcji prowincjonalną powieścią, w zasadniczej myśli jest ogólnie niemiecką. Tą ideą jest nawpół pogardliwe, nawpół nienawistne odparcie tego, co się, mniejsza o to słusznie czy fałszywie, nazywa mistycyzmem. I tu trzeba sięgnąć nieco dalej i głębiej, niżby wymagało zwykłe sprawozdanie z tuzinkowego ostatecznie romansu.

Od lat kilku w Niemczech objawia się zwrot ku mistycyzmowi. Nie stamtąd ta myśl pierwotnie wyszła. Kto chce być u kolebki neomistycyzmu, musi pójść bądź do Francji, bądź do Skandynawii; ale w Niemczech, jak nigdzie, ten ruch się wzmógł, trwa do dziś dnia, zdaje się być dopiero w środku swego rozwoju. Inne pióro zdawało na tem miejscu sprawę z nowych wydawnictw starych mistyków (zwłaszcza posiadającej na tem polu ogromną zasługę jenajskiej firmy Eugeniusza Diederichsa). O wpływie tego neomistycyzmu na literaturę nadobną będzie jeszcze mowa, gdy przyjdzie kolej na egotyczniejsze powieści, tutaj trzeba zaznaczyć, jak i na tem polu odbywa się scharakteryzowana już powyżej walka szczuplejszego grona wysoko wykształconych wybranych jednostek z masą mniej kulturalną, lecz bardziej narodową. Przeciw garstce neomistyków staje zwarta falanga trzeźwych: zwalczają ich z narodowego stanowiska, bo chociaż Mistrz Eckehart był Niemcem, chociaż mistycyzm przeważnie nie cieszył się poparciem Rzymu, to uchodzi on w popularnem mniemaniu

za „welsche Krankheit;“ zwalczają go z praktyczno-politycznego stanowiska, co już jest zrozumiałem, bo oczywiście neomistyk nigdy nie podda się materialistycznemu imperatywowi, rządzącemu dzisiaj w Niemczech, tak w domu, jak w państwie. Tę walkę po kobiecemu, więc może z mniejszą zręcznością, ale napewno z większą zapalczywością toczy i Klara Viebig w *Absolvo te* na gruncie poznańskim, ale przypadkowo tylko, bo jej terenem są teraz całe Niemcy: Werner van Oestéren niedawno w dwóch tomach *Christus nicht Jesus* zwrócił atak przeciw wszechpotężnemu zakonowi Jezuitów, Rudolf Greinz zaś w „Zapadłym kacie“ (Das stille Nest) nadaje problemowi zabarwienie tyrolskie, a Karol Conte Scapinelli w *Feakach* zarzuca Wiedeńczykom, że są dla tych spraw obojętni (choć wiedeński pisarz Maks Burckhard, eks-dyrektor cesarskiego teatru, kruszy kopię na „klerykalizmie,“ to w powieściach, to w dramatach, to wreszcie co niedziela w sążnistych artykułach *Neue Freie Presse*). Artystyczny wynik jest przeważnie błahy, z jednym wyjątkiem owej tyrolskiej powieści: ten piękny kraj przez obcych aż do ostatnich czasów mało zwiedzany, za naszych dni w turystyce zyskuje wzięcie, w literaturze pięknej zaś nie wydał wprawdzie dotąd talentu bodaj w przybliżeniu równego średniowiecznemu Walterowi z Vogelweide, gdzieś w okolicy Bozen, ale przynajmniej dostarcza wdzięcznych a niewyzyskanych jeszcze motywów i dzisiaj niewątpliwie kroczy na czele niemieckiej „sztuki rodzinnej,“ dopędzając bawarskie obrazy głośnego Ludwika Thomy, styryjskie jeszcze sławniejszego Piotra Roseggera.

Wykwintniejsze wymagania estetyczne na razie jednak tutaj jeszcze zaspokojenia nie znajdują. Idąc w naszym przeglądzie od nizin sensacyjno-sentymentalnych powieści w górę, ku prawdziwej sztuce, zatrzymujemy się teraz przy dalszym etapie. Jest on nawskroś niemieckim, dzisiaj przynajmniej, o ile chodzi o jego zasadniczy plan. Prawda, w ośmnastym stuleciu i przed nim nawet z Anglii i z Francji wychodziły pierwsze psychologiczno-pedagogiczne romanse, zajmujące się nie opowiadaniem jakiejś jednolitej, w sobie zamkniętej fabuły, lecz przedstawieniem duchowego rozwoju jednostki na danym tle, w pochodzie długich lat życia, czasem od wczesnej młodości aż do późnego wieku dojrzałego. Ale już wówczas Niemcy rękami Wielanda, a później Goethego, skwapliwie chwycili za ten rodzaj literacki, bo to przecież naród pedagogów, złych i dobrych, zawsze jednak z wewnętrznego popędu. Romantyzm miał się także chętnie tego pedagogicznego romansu, nie tyle z dydaktycznej strony, ile z zamiłowania do stawiania jednostki w ognisku wszystkich spraw tego świata;

realistyczna epoka zarzuciła go równie, jak i nowsza naturalistyczna, bo ona przeciwnie w lesie społecznym. poszczególnych drzew widzieć nie chciała. Teraz ów typowy „Bildungsroman“ odżywa, snując dalej nić romantycznej tradycji, posiłkując się także zdobyczami nowoczesnej psychologii. Pedagogiczna tendencja występuje wprawdzie także, ale w jaskrawo odmiennym sposobie. Wszystkie te powieści bowiem, ile ich jest—a jest ich bez liku—wypowiadają namiętną walkę, jeśli nie szkole i szkolnemu wychowaniu w ogólności, to przynajmniej dzisiejszej szkole. Jest cała obfita bardzo, a czasem także artystycznie cenna literatura, i dramatyczna i powieściowa, wołająca głośne *j'accuse* przeciw dzisiejszej niemieckiej szkole, potępiająca ją gwałtownymi oskarżeniami, wysmiewająca bezlitosnem szyderstwem—niestety negatywna tylko, bo mówiąca, że jest źle, ale nie, jak ma być, żeby było lepiej. Franka Wedekinda dramat „Obudzenie się wiosny“ (Frühlings Erwachen) to najkrzykliwszy, Hermana Hessego powieść „Unterm Rad“ (Pod kołem) to najbardziej wzruszający i najartyściczniejszy objaw tej beletrystycznej walki przeciw dzisiejszej szkole, a najnowszych reform na polu niemieckiego szkolnictwa (nawet w zatęchłej Austrii) nie można wprawdzie uważać za bezpośredni skutek owych powieści i dramatów, lecz z drugiej strony musi się w nich widzieć rezultat powszechnego niezadowolenia, którego zrazu obrazem tylko, a później także i podniętą była ta antiszkolna literatura nadobna.

Hessego utwór wyróżnia się głównie szczerem, a głębokim liryzmem, niewidocznym zresztą w innych powieściach tej kategorii. Daleko więcej mają go romanse psychologiczne, pozbawione bezpośredniej pedagogicznej tendencji. Owszem, ten liryzm jest znakomitą przeciwwagą i poważnej niewątpliwie, lecz bądź co bądź nieco suchej analizy psychologicznej, i również niezbyt ożywczego dydaktycznego utylitaryzmu. I tutaj właśnie, w powieściach, jak *Semper, młodziemiec* Ottona Ernsta, lub *Piotr Camenzind* wspomnianego już Hessego, widzimy po raz pierwszy dobroczynny wpływ odnowionych tradycji romantycznych. Doba dzisiejsza, dając władającym niemieckim językiem pierwsze wzorowe wydania Hölderlinów i Novalisów, odczuła ich rzewny i łagodny nastrój liryczny, tem bardziej, że skarłowaciałe nowoczesne pokolenie nie zdolne jest pojąć tych huraganów namiętności, jakie dla nas, patrzących na romantyzm przez pryzmat polskiej, albo francuskiej (V. Hugo), lub wreszcie angielskiej (Byron) poezyi, są typowym objawem owej epoki. Powieść neoromantyczna w dzisiejszej niemieckiej literaturze należy do najpiękniejszych i naj-

charakterystyczniejszych rzeczy. Zwraca uwagę już sama jej forma: bardzo swobodna, nie krępująca się bynajmniej jakimikolwiek architektonicznymi prawidłami — w tym wypadku zupełnie zresztą zgodnie z istotą tego rodzaju, bo wszak życie ludzkie nie idzie również po linii, z planem świadomie nakreślonej — opowieść epicka, przerywana umyślnie często to lirycznymi dygresjami, to nawet dramatycznymi epizodami; jest ona w doskonałym swym kształcie wcieleniem arcyzasady romantycznej sztuki: kunsztownego ładu z pozorami chaosu. Jej bohaterami są zawsze natury romantyczne, więc obce w wirze codziennej walki o byt, zdala także stojące od współczesnych zadań czy to społecznych, czy narodowych, pomnażające skarby własnej duszy, ale nie doprowadzające ich do wspólnego śpichlerza, zatem niemieckie chyba w znaczeniu minionem, a — nie niemieckie, jeśli nie antyniemieckie w dzisiejszym sensie. Oczywiście, w tych warunkach starcie się jednostki z ogółem dla niej zawsze jest katastrofą, bo niemieccy romantycy i neoromantycy nigdy nie mają owej gigantycznej chęci walki, jaka cechuje np. polskich. Stąd smutek tych utworów, artystycznie bezsprzecznie piękny, społecznie i narodowo bezpłodny, może nawet szkodliwy. Smutek szczery u artystów prawdziwych, poza smutku u marnych fuszerów i naśladowców. Wskutek tego często i w Niemczech i szczególnie u obcych, niejednokrotnie taka pogarda dla tych właśnie powieści: artystów jest zawsze mniej niż fuszerów, a fatalizm chce, że przeciętny czytelnik, idąc na lep reklamy, dostaje w rękę marne elukubracye i potem po nich sądzi i o rzetelnych dziełach sztuki.

Ale najwyższego napięcia artyzmu dzisiejszego niemieckiego powieściopisarstwa nie trzeba szukać jeszcze w tych romansach, aczkolwiek często bardzo znamienitych. Jest on w rodzaju innym, poza Niemcami prawie że nieznanym: w noweli. Jest to faktem dla nas osobiście i niezrozumiałym i przykrym, że polski wykształcony ógół z dzisiejszej literatury niemieckiej nie zna tego, co w niej właśnie jest najpiękniejszym, co w niej jest, powiedzmy otwarcie, jedynie pięknem. A przecież nowela niemiecka już dostatecznie długo istnieje, by miała prawo domagać się bodaj tego uznania, którem cieszy się stale wcale nie wybitny dramat. Zadziwię wielu moich, nawet bardzo w Goethem czytanych rodaków, gdy im powiem, że on w noweli jest takim samym arcymistrzem, jak w lirycie, a stanowczo większym, niż w dramacie. A potem przyszła romantyczna nowela z *Michałem Kohlhaasem* genialnego Henryka Kleista, jako najcelniejszą perłą,

z nowelami Tiecka, chyba nie gorszymi od Meriméeego. Jałowe lata epigonów klasycyzmu i realistów i jej na długo zamknęły usta, z wyjątkiem Storma na północy, Kellera i K. F. Meyera na południu, aż gdy nastał wiek dwudziesty i zakwitł na nowo, „niebieski kwiat“ rozwinęła się i dzisiejsza neoromantyczna nowela. Specyficznie niemieckiego żywiołu w niej co prawda niewiele, wpływ Maupassanta z jednej, Allana Poe'go z drugiej strony wielki, zbyt wielki, aczkolwiek przetrawiony po niemiecku: z uczuciowem pogłębieniem, z podkreśloną powagą sytuacji. Lokalne rozłożenie bardzo charakterystyczne: w Berlinie jej nie ma wcale, jak jej tam nigdy wogóle nie było; w północnych Niemczech, gdzie za czasów realizmu jedynie, dzięki Stormowi, istniała, obecnie, w epoce romantycznego rozmarzenia, także jej nie dojrzy; na południu, w Bawarii za to i w Austrii, ściele się jej kwiecista łąka. Ale odmiennie.

W Bawarii żyje dotychczas nestor niemieckiej nowelistyki, Paweł Heyse. Zapewne, bardzo szanowny pisarz, Alma Tadema nowelistyki, umiłowany dla swej barwności, południowego słońca, renesansowej bujności przez wczorajsze pokolenie, w oczach dzisiejszego, mimo świetnych fajerwerków namiętności, zimny. Więc nie o nim tu mowa, ale o dwóch innych kierunkach bawarskiej nowelistyki, wyszłych z łona dwóch monachijskich czasopism: *Simplicissimus* i *Jugend*. Jeden to na pozór tylko żartobliwy, satyryczny, nieraz zjadliwy. Z tego punktu widzenia my, Polacy, patrzymy i na sławny humorystyczno-artystyczny tygodnik i na jego najprzedniejszą ozdobę Ludwika Thomę (piszącego—o ile za obrazę majestatu nie siedzi w więzieniu—w *Simplicissimusie* pod pseudonimem „Peter Schlemihl“, przypominającym sławny fantastyczny utwór romantyka Wojciecha de Chamisso). Sąd jednostronny, więc fałszywy. Prawda i Thoma i jego organ drwią sobie nieraz niemiłosiernie, a jednak on „gryzie sercem“ i ten bezwzględny satyryk jest w gruncie rzeczy—co zresztą u humorystów nie jest bynajmniej rzadkiem zjawiskiem, że wspomnę tu choćby z najnowszych polskich autorów Lemańskiego—ten humorysta jest najczystszej wody romantykiem. Proszę wziąć do ręki ostatni jego tomik p. t. *Małomieszczkańskie opowiadania* (Kleinstadtgeschichten), jakież satyryczne ciągi dostaje każda z tych pociesznych figur, a jednak jak Thoma kocha tych ludzi, jak on (razem z romantykami, mającymi sławną „cześć dla małości“—Andacht für's Kleine) tkliwie odczuwa ich prymitywność, ich oddalenie od współczesnego świata, jak on znienawidziłby ich, gdyby się stali np. otrząskanymi ze wszystkim berlińcykami, a choćby nawet dziś

już wielkomięjskimi monachijczykami!) To jeden kierunek bawarskiej nowelistyki, bo drugim jest krańcowa fantastyczność, groteskowość, przypominająca tak ulubiony w Monachium teatr marynetek. Jak tam Thoma, tak tutaj Otto Gysae i Gustaw Meyrink prym dzierżą, tworząc dziwaczne opowiadania o wszelkich żywych istotach i martwych przedmiotach, tamtym sztywność mumij, tym ludzką żywość nadając, bujając po obłokach, w mgławicach wizyj i halucynacyj ukrywając skrupulatnie przebliski czy to bystrej obserwacji, czy niepożytego humoru.

Ponad wszystkiemi góruje jednak różnaitością tonów, kunsztem opowiadania wiedeńska nowelistyka. Chcąc sprowadzić jej wielorakie utwory do możliwie najskromniejszej liczby kategorii, musi się odróżnić dwie: historyczną i psychologiczną. Nowela historyczna wiedeńskich neoromantyków znakomicie wynagradza brak powieści historycznej w Niemczech, nie mającej dzisiaj żadnego przedstawiciela (bo garibaldowski cykl Rikardy Huch jeszcze, jako nieskończony, nie może być przedmiotem sądu). Już sam wybór tematów świadczy o samodzielności autorów. Zostawiają oni na uboczu wielkie postacie i wypadki dziejowe, po tysiąc razy w historycznym romansie przedstawiane. Gdzie się o nich mówi, to tylko dla spożytkowania ogólnego tła i wydobywania z niego na jaw albo wcale nieznanego, albo mało znanego szczegółów. A w ich doborze widać neoromantyczne upodobania: nigdy nie będą to szczegóły prostolinijne, jasne, przejrzyste, na jeden ton nastrojone, przeciwnie, błądzi się umyślnie w półmroku, dociera się do tajników, oświetlając je tylko o tyle, by czytelnik mógł się w nich rozpatrzeć, lecz nie przeniknąć je do głębi, bo wtedy straciłyby w jego oczach urok tajemniczości, w neoromantyzmie niemniej ulubiony, jak w romantyzmie.

Parę przykładów dla ilustracji. Więc np. Jakób Wassermann, który przed kilkoma laty ogłosił *Aleksandra w Babilonie*, śniała próbę zmodernizowania starego romansu historycznego, teraz daje trzy nowele pod ogólnym napisem *Siostry*. Po kolei wiek XVI i dwa następne, Hiszpania, Anglia i Francya, a na tem tle trzy kobiety anormalne, chorobliwe: Donna Joanna kastylijska,

¹⁾ Bodaj na tem miejscu ostrzegamy zbyt powierzchownych i w miłe rzeczy łatwo wierzących Polaków, by *Simplicissimusa* nie uważali za wroga dzisiejszych Niemiec: on drwi z nich, ale niejako w cztery oczy, ilekroć zaś kto szarpnie się na święty majestat niemieckości, *Simplicissimus* najgłośniejszy krzyczy: *guarda e passa*.

obląkana matka Karola V, za życia męża usuwająca się od niego, po jego śmierci z rozkładającym się trupem podróżująca; dwie inne, już nie historyczne osobistości, ale także na dziejowym gruncie postawione, także pełne grozy zagadkowej. Albo inny autor, jeden z najbardziej utalentowanych młodych wiedeńczyków, Feliks Salten: i tu czasy Karola V, z wydobyciem na wierzch tych demonicznych jego pierwiastków, które do dziś dnia tak głęboko odczuwa się na widok portretu monarchy pędzla Tycjana. W tych ramach małe arcydzieło: ponura opowieść, na której streszczenie warto kilka wierszy poświęcić. Młody szlachcic, Wacław von Rehberg, dążąc na dwór cesarski, by szukać karyery, widzi ciurę obozowego, Kaspra Dinckla, pieszczącego ulubionego konia. Podoba mu się to przywiązanie, i postanawia chłopaka przyjąć do służby. Ale wpadłszy w wir uciech, owych osławionych orgij Karola V, tu z niesłychaną plastyką w skrócie przedstawionych, zapomina o pacholku. I przypomina go sobie dopiero wtedy, gdy już jest zapóźno. Cesarz wyrusza bowiem na wyprawę wojenną; zdenerwowany monarcha popędza niecierpliwie wszystkich, a przechodząc koło wozu, wolno jadącego, konia z całą siłą bije. Kasper cesarza nie zna; jego okrucieństwo oburza go i za chwilę bicz spada na twarz Karola V... Rehberg przerażony czuje się pośrednio winnym: gdyby był o chłopcu pamiętał, wziął go do siebie, nieszczęście nie byłoby się stało. A teraz zuchwalca czeka śmierć. Rycerz błaga monarchę o życie dla niego. Prośba wysłuchana. Obaj, pan i sługa, radują się; wtem siepacze chcą parobka porwać: cesarz darował mu życie, tak—ale za znieważenie majestatu skazał go, już po odejściu rycerza, na ucięcie nosa i ręki... Tego ani chłopiec, ani pan nie zniosą; Wacław raczej na prośbę Kaspra zabija go z pistoletu, by nie dać go shańbić. A potem zgorzkniały opuszcza obóz, wyrzeka się służby cesarskiej i świetnej w niej przyszłości. Ile prawdziwego tragizmu zawiera to opowiadanie, widać już z samej osnowy; a Salten umie przytem bez nadmiaru słów wyrazić dobitnie ten tragizm, umie także bez martwego balastu zachować historyczny koloryt, a nowela jego (*Herr Wenzel auf Rehberg und sein Knecht Kasper Dinckel*) jest nie tylko drukowana z zachowaniem zewnętrznego wyglądu książek XVI w., ale, co ważniejsza, istotnie historyczną, pięknoscią artystyczną zaś dorównywa niemal nieśmiertelnemu *Michałowi Kohlhaasowi* Kleista.

Może więc nieodpowiednio nazwaliśmy tę grupę nowel historyczną, odróżniając ją od psychologicznej, bo przecież wartość ich właśnie na tem polega, że tak głęboko w duszę ludzką wnikają.

Ale uczyniliśmy to dla uwydatniania ich dziejowego materiału surowego, w drugiej grupie albo nie, albo nieznacznie podmalowanego. Gdy Hugo Salus np. marzy wśród starych cmentarzy i murów stuwieżowej złotej Pragi, to nie z nich on snuje wątek, jeno z własnej neoromantycznej duszy, a takimi zabytkami przeszłości, tylko jako stosowniejszymi od nowoczesnego miasta dekoracyami się otacza. Jego zbiór nowel „Niebieskie okno“ (*Das blaue Fenster*) ma jedno miłutkie opowiadanie, charakteryzujące nie samego jedynie autora. Przed wieloma, wieloma laty przybył do Pragi właściciel „budy“, w której popisywała się syrena, żywa kobieta o rybim ogonie, pływająca w sadzawce. Wśród widzów znajdował się i młody Karol Werkmeister, syn tamtejszego kupca, marzyciel, życie tylko z fantastycznej literatury znający. Widział Lalandę i pokochał ją pierwszą miłością czystego młodzieńca. I postanowił uwolnić ją z niewoli srogiego właściciela, zanieść do Wełtawy, wpuścić do rzeki, a samemu popłynąć w łódce i zamieszkać z ukochaną w jakimś morskim pałacu. Jakżeż przykrem było jego rozczarowanie, gdy „syrena“ okazała się ziemską kobietą i to jeszcze zepsutą! Ale widocznie po pewnym czasie przeboleł zawód, bo ożenił się później, jak donoszą zapiski miejskie, z mieszczką praską, miał z nią kilkoro dzieci, a tylko na pamiątkę dziwnej przygody na ścianie domu, przy ulicy św. Karola w Pradze, umieścił jako godło syrenę. W streszczeniu bajka może być śmieszną, u Salusa jest dziwnie urocza, a jej pogodne rozwiązanie ilustruje wybornie rezygnacyjne kompromisy dzisiejszych neoromantyków. Zostaje im na pociechę wspomnienie i o niem opowiadają, z lekką ironią o niem mówi Salus, o niem także i Artur Schnitzler. Ten głośny swego czasu autor *Miłostek* dzisiaj już na polu dramatycznem zdaje się wyczerpał się, tem wybitniejszymi są za to jego nowele. *Drzemiące dusze* nawet w najzwężlejszym przeglądzie dzisiejszej literatury niemieckiej muszą znaleźć miejsce, bo są pięknym dokumentem neoromantycznej nowelistyki, lubującej się w tematach stojących na pograniczu pomiędzy świadomością a czemś nieznanem i w zależności zapewne od Poego umieją ze świata metafizycznych zagadek wydobyć wiele niekłamaney dramatyczności.

Na tem, komu spieszno w dalszą drogę, można zakończyć oglądanie pierwszej sali w galerii obecnej niemieckiej beletrystyki. Prawda, wisi tam jeszcze płócienn bez liku, czasem nawet porządnie zamalowanych, lecz że one nie różnią się niczem od zwykłych, po całym świecie rozwieszonych obrazów, więc zręczny

turysta pomija je, by tem dokładniej zapamiętać tamte, tylko w tej galeryi się znajdujące.

*

*

*

W drugiej sali są dramaty. I tu ogromna, prawie nadmierna obfitość. To rzecz naturalna, bo scen w Niemczech jest dzisiaj tak wiele, a nawet prowincjonalne mają nieraz ambicję wystawiania t. zw. *Urpremieren*. Lecz co odrazu w oczy wpada i w kłopot wprawia, to brak oryentacyi w tej drugiej sali. W pierwszej ze względną łatwością można było naprzód oddzielić wybitne obrazy od pośrednich, a potem tamte wybrane ugrupować należyście wedle ich wspólnych wewnętrznych znamion. Tutaj taka praca, konieczna chyba jeszcze bardziej, jest daleko trudniejszą. Z jednej strony ileż dzieł w zasadzie dobrych, skażonych jednak grubemi wadami, ileż na odwrót powszednich z przeblyskami szczerogo talentu. A z drugiej strony tych znamienitszych dzieł prawie nic z sobą nie łączy; nie treść, nie styl jest tutaj czerwoną nicią, prowadzącą po nieprzejrzanych korytarzach labiryntu, lecz chyba nazwiska twórców, a ogólniejsze uwagi możliwemi będą dopiero po rozeznaniu się w szczegółach.

Starszą generację reprezentuje sam jeden Ernest Wildenbruch, u nas niedoceniony za czasów swojej świetności (na przeszkodzie stanęły prusko-patryotyczne tematy jego sztuk), sceniczny malarz *al fresco* o śmiałym rozmachu pióra. Jego najnowszy dramat *Córka pana na Rabensteinie* („Die Rabensteinerin“) mówi mniej o artyzmie, więcej o usposobieniu dzisiejszych Niemców; wszak jest tu apoteoza dwóch czynników: raubritterostwa średniowiecznego, wytłómaczonego jako ekonomiczna konieczność obrony rycerstwa przeciw magnatom z jednego, miastom z drugiego boku—i uwielbienie patrycyuszowskiej augsburskiej rodziny Welserów za to, że jeden z nich, wyprawivszy się z licznym pocztęm w XVI w. do Wenezueli dał w ten sposób początek niemieckiej kolonizacyi handlowej—oba momenty tak zgodne z obecnemi dążeniami i narodu, i rządu niemieckiego. Do starszych także, jeśli nie latami, to temperamentem zaliczyć trzeba Ludwika Fulde; ale ten, zawsze pożądaný w *teatrze*, *literaturze* daje co rok pod zmie-

nionym tytułem tę samą łagodną limonadę, w której coraz więcej jest cukru, coraz mniej kwasu.

Jakżeż zresztą winić go o brak ostrzejszego, wyrazistszego smaku, kiedy cała generacja sławnego niegdyś naturalizmu, owi „genialni“ ludzie z Wolnej sceny berlińskiej od lat już szeregu poszli na „burżuazyjny“ obrok. Że tak się stało, to znowu nie jest ich grzechem. Nad istotnym czy rzekomym upadkiem Gerharda Hauptmanna może załamywać ręce tylko doktrynerski estetyk; kto wzorem najznakomitszego dzisiaj historyka niemieckiego teatru, Maksa Martersteiga,¹⁾ na teatr, a więc i na literaturę dramatyczną, patrzy jako na jeden z socyologicznych objawów, ten rozgrzeszy z pewnością Hauptmanna *et consortes*. Żadna dziedzina literatury nie nadaje się tak jak teatr do chwilowych, przemijających rewolucyj, ale żadna też tak szybko nie odrząca rewolucjonistów w nicość, albo przemienia w spokojnych „burżujów.“ Stąd rewolucje w teatrze będą częste, ale zawsze je będą robili nowi ludzie; stąd także każda literatura ma tylu teatralnych eks-rewolucjonistów, którzy albo sfilistrzeli, albo zapadli się w piasku zapomnienia. Uwzględniwszy wyjątkowy geniusz, nie inną ewolucję przeszedł Schiller od *Zbójców* do *Wilhelma Tella*, a tembardziej Goethe od *Götza* do... *Naturalnej córki*.

Więc zmienił się, sfilistrzał i Hauptmann,—i to jest naszym zdaniem jedyna zmiana, która się w nim dokonała. Bo o innej, o upadku talentu, tylko z dużemi zastrzeżeniami inówić wolno, a w każdym razie pierwsza rozgłośna jego sztuka, „Przed wschodem słońca“, talentu miała ani o odrobinę więcej od wyszydzonych i sponiewieranych „Pani z Bischofsbergu“ z r. 1907. Fabuła zwietrzała, zapewne, lecz i tamta z przed ośmnastu laty nie była ostatecznie bardzo świeżą; zmieniły się tylko dekoracje; tam kwestye tak nowoczesne, jak niedola robotników fabrycznych i alkoholizm, tutaj takie zamierzchłe, jak gotycki tum w Naumburgu i stara, podaniami otoczona, cysterna; tam, za sceną, bolesny poród, tutaj na scenie romantyczny wieczór przy świetle lamponiów; tam był Ibsen i Schlaf, tutaj... Kotzebue i Musset, w obu razach dziwnie pomieszani. Że talent Hauptmanna nie upada, tylko zawsze jest dawnym eklektycyzmem, tego dowodzi ostatni jego

¹⁾ Książkę Maksa Martersteiga, „Das Deutsche Theater im neunzehnten Jahrhundert“ (Lipsk, 1904), uważać można snadnie za wzór, jak się takie dzieła pisać powinno.

(Przyp. aut.)

dramat „Zakładniczka cesarza Karola.“ Pokłony na wszystkie strony: i czołobitność dla historycyzmu przez wprowadzenie potężnej postaci Karola Wielkiego; i zaraz domieszka naturalizmu w zaakcentowaniu, jako płciowe popędy cesarza są podniecone wskutek używania kąpiei akwizgrańskich, i najnowsza moda à la Dehmel czy Wedekind: łączenie w jednej osobie przeczystej dziewicy i ulicznej ladacznicy, motyw, który zresztą w tym samym czasie młody utalentowany pisarz, Franciszek Dülberg, także na deski sceniczne wprowadził—w rezultacie powtórzenie historii naszego Kazimierza Wielkiego i Esteki lub hiszpańskiego Alfonsa i „Żydówki z Toledo“ (Grillparzer), ale naturalnie z całym nowoczesnym skomplikowanym aparatem patologicznym.

Inni z plejady naturalistów przedwczorajszej doby doznali podobnego, jak Hauptmann, losu. Maks Halbe np., któremu krytyka wybaczyć nie chce, że kiedyś zachwycała się jego *Młodością*, usiłuje ratować się od zapomnienia, grożąc pięścią i plując w stronę Polaków; ale ta metoda, niegdyś przy *Matce ziemi* tak szczęśliwa, zawiodła go zupełnie przy *Prawdziwym obliczu* i okrzyk: „hej-że na Polaków“ rozlega się obecnie po pustej sali teatralnej. Jeszcze bardziej nerwowo rzuca się Hermann Bahr, pisząc na rok kilka dużych i tuzin małych dramatów, wymyślając najnieprawdopodobniejsze sytuacje, wprowadzając do nich najegzotyczniejsze postacie: Japończyków i Kreolki, niemowy i waryatów, siłąc się na najparadoksalniejsze dowcipy—niestety, z wynikiem w stosunku do nakładu środków znikomo niepokąźnym. Że o „małym Hauptmannie,“ Jerzym Hirschfeldzie, świat zapomniał, mimo jego corocznych arcydzieł, to pokrótce również zanotować warto.

I doprawdy wzgardzony Herinann Sudermann odbija od tej szarzyzny wcale korzystnie. Współzawodnictwa z Hauptmannem zaprzestał, przynajmniej w danej chwili, a nie mogąc zdobyć się na rzecz bezwzględnie nową, wołał naśladować już samego siebie. Przypomniawszy sobie swój wielki sukces z r. 1896 i na wzór ówczesnego cyklu jednoaktówek *Morituri*, dał teraz *Różę*. Trochę dowolności w tem jest niewątpliwie, bo nie każdy z dramacików róż koniecznie do bytu potrzebuje: lecz pozatem są to drobiazgi bardzo sceniczne, a niezupełnie pozbawione poezyi, co prawda trochę dusznej i cieplarnianej. Zwłaszcza w pierwszych z brzegu „Smugach światła,“ ostatnim akcie małżeńskie tragedyi. W opuszczonym pałacyku, wśród parku, zepsuty i zniewieściały potomek starego rodu, Pierre, chowa swą kochankę, Julię, z obawy przed jej mężem, mężczyzną o żelaznych muskułach. Jeszcze się niby to kochają, ale już są trochę sobą znudzeni, on ma już dosyć wybu-

chów jej temperamentu, ona pragnie silniejszych uścisków. Tajemnica nie da się ustrzedz, mąż przybywa. Oni oboje zrazu drżą na całym ciele z trwogi, lecz gdy widzą, że olbrzym chce rzecz pokojowo załatwić, choćby kosztem własnego ustępstwa, kochankowie nabierają odwagi, śmiałości, nawet zuchwałości. To obudza w nim straszliwy gniew, tak szybko, że zanim oni w zmianie sytuacji się rozpoznali, dokonywa się katastrofa. Julia, uciekając przed mężem, pada martwa na zwiędłe kwiaty róż, Pierre ginie marnie pod ciosem siłacza. W teatrze wrażenie jest silne, w czytaniu znajdzie się chwila szczerej dramatyczności. A jeśli dwie dalsze jednoaktówki są od tej gorsze, to ostatnia znowu jest bardzo ładnym wznowieniem bajki o czułym młodzianie, który kochając tęsknie nieznaną sobie, „daleką księżniczkę,” jej właśnie się z tej miłości spowiada.

Bądź co bądź jednak, bardzo niepomysłnym byłby stan dzisiejszej literatury dramatycznej niemieckiej, gdyby zależał od tych starych i starszych autorów. Na szczęście, szczególnie w ostatnich kilku latach, wystąpiło na widownię kilku młodych ludzi, wnosząc i ożywienie, i, co ważniejsza, istotnie pozytywne wartości. I tutaj już można mówić o grupie, bo wszyscy oni, mimo samodzielnych indywidualności, mają pewne wspólne znamiona. I oni, jak młodszy noweliści, są neoromantykami, lecz ze znaczną odmianą. Na innym miejscu określiliśmy raz neoromantyzm, jako romantyzm *plus* dziedzictwo naturalizmu, to znaczy, że neoromantycy, często bezwiednie, mimo całej opozycji do naturalizmu, przesiąkli jednak pewnymi pojęciami naturalizmu, panoszącego się za ich wczesnej młodości, a i dzisiaj jeszcze nie zupełnie wypartego. Otóż neoromantycy powieściowi tej domieszki naturalizmu mają znacznie mniej, niż neoromantycy dramatyczni. Przyczyna łatwo jest zrozumiała. Najprzód bowiem romantyzm — *n.b.* niemiecki — silniej swego czasu zaznaczył się w noweli, niż w dramacie, więcej pozostawił wzorów nowelistycznych niż dramatycznych; na odwrót zaś naturalizm — znowu o niemieckim tylko oczywiście mówimy — przedewszystkiem opanował scenę; powtórę zaś zmysłowy charakter dramatu nie dopuszcza samych mgieł i nastrojów romantycznych, domaga się konkretniejszego, realnego żywiołu, a od realizmu do naturalizmu droga jest w teorii bardzo daleka, w praktyce bardzo bliska. Wobec tej proporcji romantycznych i naturalistycznych składników dramat neoromantyczny nie może być harmonijny, przeciwnie, jest tylko niewyklarowaną mieszaniną, psychologicznie dla tego niezmiernie pociągającą, artystycznie niejedolitą. Najlepszym zaś paradygmatem te-

go neoromantycznego dramatu jest opracowywanie problemów erotycznych, naturalnie zgodnie z zasadniczym charakterem romantyzmu, obserwowanie pod tym względem nie mężczyzny, lecz kobiety, szczególnie kobiety dopiero rozwijającej się, zatem dziewczęcia. Wszak jedyny wielki dramaturg niemieckiego romantyzmu z przed stu lat, Henryk Kleist, w *Kasi z Heilbronn*u także w tajniki tego zagadnienia się zapuścił – i zabłąkał.

Więc już była mowa i o rozpustnie-dziewiczej zakładnicze Karola Wielkiego, przez Hauptmanna wymyślonej, i o Dülberga *Naszyjniku koralowym* z podobną bohaterką, a dodać trzeba jeszcze dzieło Schaloma Ascha, Żyda, i po hebrajsku i po polsku piszącego, ale przedewszystkiem do niemieckiej literatury należącego. W jego *Bogu zemsty* mieszanina romantyzmu i naturalizmu jest tak jaskrawa, że aż niekiedy nieznośna. Bo akcja odbywa się w domu, którego parter oddany jest na targ sprzedajnej miłości, pierwsze piętro zaś poświęcone kultowi starozakonnej thory: ojciec na rozpucie zarabia, ale córka ma pozostać cnotliwą dziewicą. Że naturalnie nią nie zostaje, że pokusie ulega, to zapewne dość powszedni koniec konfliktu, ale jego przeprowadzenie już jest charakterystycznym dla reprezentowanego przez Ascha kierunku. Autor w rok potem na mniej drażliwym gruncie złożył nowy dowód niepospolitego talentu: historyczna tragedia o Sabbatai Zewi, zapomnianym dzisiaj, lecz w wieku XVII rozgłośnym żydowskim marzycielu ze Smyrny rodem, technicznie prawdziwie poetyckim zapałem, w wzorzystą szatę przyobleczonym.

Pomińmy Herberta Eulenberg, niewiadomo skąd od lat kilku przez „modernę“ uważanego za mesyasa poezji dramatycznej, mimo, że wszystkie jego dotychczasowe dzieła są tylko przeciętnej wartości. Raczej przedstawmy polskim czytelnikom nie illuzoryczną jakąś wielkość przyszłości, ale prawdziwy, stwierdzony już w teraźniejszości talent Juliusza Bab'a. Dał się najprzód poznać, jako śmiały estetyk i krytyk teatru, w oczach niektórych nawet bezczelny, bo wszak odważył się uderzyć na dramatyczność lirycznych dyalogów Wagnera. Dwoma własnymi dramatami dowiódł, że nie tylko w teorii szuka nowych dróg. Może pierwsza sztuka, *Ten drugi*, o tem tak jasno nie mówiła, bo motyw sobowtóra jest już zanadto oklepany, a przeniesienie go w czasy Odrodzenia, przez rozmaitych Schönthanów co najmniej na sto lat w niemieckim dramacie skompromitowanego, rzeczy oczywiście ponętniejszych pozorów nadać nie mogło. Ale już wówczas w zręcznym i poetycznym zarazem operowaniu kontrastem szalonej, pustej zabawy i krwawej tragedii, można się

było dopatrzeć iskry rzetelnego talentu. Następny dramat, *Krew*, (1908) już bez zastrzeżeń jest kapitalnem dziełem sztuki. Problem królewskości, rodowej i indywidualnej, nieraz już bywał przedmiotem dramatu, a Sofoklesa, Szekspira i Ibsena *vestigia terrent*, nie zachęcają. *Bab* jest oryginalnym zewnętrznie w tem, że przeniósł go na grunt kobiecy, wznawiając starą baśń ludową o królewnie i jej służebnej. Na średniowiecznem tle skandynawskiem, nadającem prawdopodobieństwo wielu bajecznym zdarzeniom, wypukła dwie naczelne postaci: królowej Inge, delikatnej latorośli starego rodu, świadomej swego majestatu, lecz niezdolnej stwierdzać go silnemi czynami — i jej służącej Ygrid, zdrowej, męskiej i energicznej, a bezwzględnej przedstawicielki rasy, dobijającej się dopiero społecznego stanowiska. Zmusiwszy swą panią, by przyjęła na siebie rolę sługi, Ygrid zaślubia króla Orta, rządzi śmiało i sprawiedliwie, a gdy lud, podburzony przez zauszników Ingi, głosi ją oszustką, wyzywa dumnie wyrok sądu. Zjeżdża stara królowa Garhoeren, matka Ingi, najprzepyszniejsza postać dramatu: twarda wyznawczyni królewskości, ale tylko z siłą i mocą związaną. I ona wydaje wyrok: Ygridę uznaje za królową, Inge, zabijającą się z rozpacz na te słowa, za swą córkę. Znakomita budowa dramatu, nieprzerwany rozwój akcji i wewnętrznej i zewnętrznej, ich równoległość, a raczej nierozdzielny związek przyczynowy, oto zalety utworu, szwankującego może w szczegółach, lecz w całości wybijającego się na czoło dzisiejszej niemieckiej literatury dramatycznej.

Zwłaszcza wobec chwilowego, miejmy nadzieję, milczenia Hugona Hofmannsthal, jako poety dramatycznego. Od czasów *Edypa i Sfinksa*, tego prześlicznego okazu neoklasycznego dramatu w duchu nowoczesnym, nie wystąpił on z żadnem nowem dziełem scenicznem. Nie przestał jednak pisać, owszem teraz właśnie wychodzą jego czterotomowe „Prozaiczne pisma,” w których obok przedruków są i nowe rzeczy. O nich tutaj mówimy, bo nie ma zresztą, w Niemczech przynajmniej, drugiego mistrza takiej kunsztownej krytyki artystycznej. Ma ona swój odrębny charakter: jest dziełem człowieka ogromnej kultury literackiej i estetycznej, już nią nawet przesyconego i znużonego; nigdy nie używa barw jaskrawych, wzoruje się raczej na wyblakłych gobelinach, ale rzeczy, o których z wdziękiem opowiada, otacza taką delikatną atmosferą, że jeśli ich zarysów w półmroku nieraz dokładnie nie rozpoznajemy, to treść ich tem głębiej w siebie wczuwamy.

Tu możnaby więc zakończyć przegląd obecnego stanu niemieckiej literatury dramatycznej, zostawiwszy na uboczu wiele

porządnych, lecz powszednich sztuk, gdyby nie było jeszcze *enfant terrible* tego piśmiennictwa, Franka Wedekinda. Czy jednak ten „zaszczytny“ przydomek i w R. P. 1908 mu się należy? Czy może przeciwnie autor *Ducha ziemi* nie poszedł też ową fatalną, powyżej opisaną drogą rewolucjonistów teatralnych, popadających później w filisterstwo? W pierwszej chwili brzmi to, jak paradoks. I rzeczywiście, czyja znajomość Wedekinda kończy się na przedostatnim jego utworze, na sławnym czy osławionym „Obudzeniu się wiosny“, ten samo nasze zapytanie uważać będzie *à priori* za niedopuszczalne. Bo tam przecież „zrewolucjonizowanie“ teatru doszło chyba do swego szczytu. Ale zrewolucjonizowanie *sui generis*. Zdarzyło nam się być w dwóch niemieckich miastach na przedstawieniu tej sztuki i to w obu razach w sąsiedztwie młodszej generacji obojga płci. Przedstawienie na scenie było ot takie tuzinkowe, za to publiczność, owa młodociana, trochę tylko starsza od osób dramatu, dawała przedstawienie niezwykle: rozpętanie najniższych ludzkich instynktów, ujawniające się co chwila wybuchami zwierzęcego — nie przesadzam — ryku, lub rozpustnego śmiechu, jaki słyszeć można tylko w „państwie dobrych obyczajów“, gdzie się konfiskuje kartki z Venus Botticello, a toleruje najwstrętniejsze nory rozpusty. I to właśnie zrobiło „Obudzenie się wiosny“ tak olbrzymio popularnem: że w teatrze, więc w miejscu przyzwoitem, można było bodaj w teorii delektować się tem, do czego w praktyce trzeba szukać podejrzanych, więc zawsze żenujących lokali. Czy Wedekind sam przejął się odrazą do tego widoku, czy uznał, że choćby chciał, „pikantniejszej“ strawy dostarczyć nie potrafi, czy wreszcie wołał niesłabnącemu powodzeniu tego dzieła nie robić konkurencji, dość, że w r. 1908 napisał *Muzykę* z filisterskim, aczkolwiek bez zaprzeczenia rozumnym morałem: by młodzi ludzie, a zwłaszcza panienki, bez istotnego talentu muzycznego, nie chodziły do prywatnych szkół muzyki, bo mogą łatwo z nich wyjść tak samo niemuzycznymi, lecz już nie panienkami. Ostrzeżenie bardzo trafne, tylko dramatyczna jego ilustracja okropnie nudna, a upstrzenie jej rozmaitemi kryminalistycznymi epizodami tym razem na nic się nie przydało. I, jak obecnie, Wedekind gotów... dla oryginalności złączyć obie drogi eks-rewolucjonistów teatralnych: i sfilistrzeć, i stracić publiczność.

Ratuje się jako aktor. To już oryginalnem bynajmniej nie jest. Tak postępuje cały dzisiejszy dramat niemiecki. Bo jeśli obraz obecnej literatury dramatycznej niemieckiej nie wykazał nadzwyczajnej świetności, to wkraczając na chwilę na pobliżkie

pole teatru, godzi się zaznaczyć, iż tutaj Niemcy, w zakresie literatury dramatycznej chwilowo jakby znużeni, odznaczają się niezwykle ruchem. Dramat niemiecki jest teraz nieco martwy, teatr niemiecki pełen życia. Próbuje się nowych pomysłów i w budowie gmachów i w inscenizacji, a tegoroczna wystawa monachijska i jej „Teatr artystyczny“ dowodzą, że usiłowania te już obecnie nie są tylko nerwowem szamotaniem się, ale poszczycić się mogą skromnemi, lecz poważnemi wynikami. Skoncentrowaniem sił w tym kierunku tłómaczy się też niewątpliwie mniej pokąźny rezultat autorskiej twórczości dramatycznej.

*

*

*

Gdy w końcu po powieści i dramacie przychodzi kolej na obecny stan niemieckiej poezji lirycznej, to przypomnieć trzeba z całym naciskiem poprzednie nasze uwagi o rozdziale pomiędzy wybranemi najkulturalniejszymi kołami, a mniej wykształconą masą niemieckiej czytającej publiczności. Ta druga część bowiem swojej liryki dzisiaj wcale niema, a o poezję tamtej znowu wcale nie dba. Jeżeli Niemcom można z polskiego stanowiska wielu rzeczy zazdrościć, to z pewnością nie tej. Stosunki na tem polu są wprost opłakane. Z jednej strony cały średni stan, i w materialnem, i w społecznem, i w kulturalnem znaczeniu, lirykę zupełnie ignoruje: jeśli np. popularne czasopisma w każdym numerze zamieszczają jakiś wierszyk, to czynią to tylko dlatego, że krótsze linie druku dają miejsce na rozmaite arabeski i ozdoby drukarskie, upiększające typograficzną stronę. Redakcyje wiedzą jednak doskonale, że tych wierszy nikt nie czyta, to też nie dbają wcale o to, jakie drukują, dobre czy złe, kierują się tylko w najuczciwszym wypadku osobistemi względami. Prawda, młodzi poeci ogłaszają tomiki, nawet tomy swoich wierszy, lecz najprzód za jaką cenę? dziesiątki firm nakładowych, zwłaszcza świeżo powstałych, żyje z tych młodych poetów, którzy drogo okupują zaszczyt ukazania się w książce, nie bacząc, że—nikt ich nie będzie czytał. A ze starymi poetami nie lepiej jest. Tak wybitny

liryk dawniejszej generacji, jak Gustaw Falke, umarłby z głodu, prawie dosłownie biorąc te straszne wyrazy, gdyby w końcu rodzinne miasto nie ulitowało się nad nim i nie obdarzyło go dożywotnim „honorowym żołdem.“ Ba, wszak taki Ryszard Dehmel, ten najwspanialszy vates niemieckiej poezji naszej doby, i on nieraz blizkim był najprzykrzejszego niedostatku. Czemu? Bo, z owej zbitej masy niemieckiego ogółu nikt jego książek nie kupuje; cały nakład bądź idzie pod postacią egzemplarzy recenzyjnych do niezliczonego mnóstwa redakcyj czasopism i dzienników, bądź zalega półki księgarskie, a tylko znikomo mała cząsteczka drogą kupna dostaje się do rąk owej kulturalnej „elity.“

A przecież ta poezja niemiecka mogłaby żądać i od swego i od obcego społeczeństwa, by ją poważano, by ją czytano.¹⁾ Geniuszów wielkich niema, ale czyż ma ich obecnie jakakolwiek liryka na świecie. W każdej jednak byłby pożądanym Dehmel, ponury panteista, z przysypanym popiołem, ale od czasu do czasu wybuchającym wulkanem żywiołowych namiętności, zaświatowy, a przytem—czasem sztucznie—posługujący się ultra-nowoczesnymi formami życiowemi, tak, jak niejednokrotnie elementarny swój liryzm wtłacza w obcą formę romańskiej tercyny, on, dusza odwieczna, z prawdziwie germańską pasją zagłębiania się w najzawilsze zagadki bytu i niebytu, z iście francuskim dekadencem przesycem cywilizacji, on, taki dumny duch, zniżający się nieraz do naiwności dziecinnych piosenek. Lub gdzie nie przyjętoby z otwartemi ramionami Detlewa Liliencrona, tę zamaszystą żołnierską naturę, w poezji także wygrywającą marsza, dziarskiego i smętnego zarazem, jego, równie rozkochanego w grozie wojennej, jak i w trudzie robotników fabrycznych, jego, odczuwającego dramaty ludzkich przecież także serc, bijących pod jaskrawą bluzką dziewczki ulicznej. Której liryki cieplarnianą zapewne, ale dziwnie pociągającą ozdobą nie byłby Stefan George, sobie samemu tylko śpiewający, ziemskim sprawom odbierający zmysłowy kształt, by je wzamian otoczyć łagodnym, mistycznym aromatem, ubarwić delikatnemi przyciemnionemi kolorami. A Mombert, gorejący pod skorupą lodu, a stary Spitteler, co dzisiaj dopiero wprawia w zdumienie niepojętą mieszaniną klasycznej mitologii i nowoczesnych

¹⁾ Dawszy przed kilkoma laty dokładniejszy przegląd liryki w seryi artykułów o „Zwrocie w modernizmie niemieckim,“ tutaj ograniczamy się do ogólnej charakterystyki, bo od owego czasu nie wiele się na tem polu zmieniło.

(Przyp. autora).

uczuć, a Scholz, Bierbaum i tylu tylu innych, oni z pewnością wszędzie indziej większą niż w ojczyźnie skupiliby obok siebie gromadę...

*

*

*

Mówimy tylko o literaturze pięknej, nie o naukowej, nawet i nie o tej, która stoi na pograniczu pomiędzy jedną i drugą, bo w naukowy sposób zajmuje się belletrystyką, o krytyce i estetyce literackiej. Jej należałoby kiedyś osobne poświęcić miejsce, bo przechodzi ona obecnie także czas przejściowy i rychło już może z chaosu wyłonić się nowa myśl. I wtedy dopiero niemiecka literatura piękna skoncentruje się, na miejsce różnorodnych, ale ostatecznie niezbyt silnych objawów, stanie się jednolitym, potężnym posagiem. W Polsce byłby Mickiewicz nawet bez Brodzińskiego, w Niemczech nie byłoby Goethego bez Lessinga. Póki tam nowy Lessing nie powstanie, póty niemiecka literatura piękna będzie zawsze tylko mikrokosmem idei całego świata bez wyraźnej osobistej indywidualności. Taką jest dzisiaj i w tem jej znaczenie dla obcych, w tem także jej słabość.

D-R JÓZEF FLACH.

Z dziejów agrarnych Polski.

VI.

Nic dziwnego, że uważając „robotę chłopków“ za największą „intratę“, wojewoda dużo zebrał w swych notatach wskazówek, mających nauczyć, w jaki sposób można najlepiej wyzyskać to źródło dochodu. „Nauka Urzędnikowi, jako się ma przeciw kmiotkom sprawować“, stanowiąca „list“ trzeci w naszych „Notatach“, była niewątpliwie autentyczną instrukcją, jaką wojewoda spisał dla któregoś ze swych urzędników. Oprócz tego wojewoda zebrał razem t. zw. „zapowiedzi“, t. j. jakby konstytucję, którą wieś otrzymywała od pana. Jeśli dodamy do tego drobne szczegóły, rozrzucone po całym dziełku, dotyczące się stosunku dworu do poddanych, to będziemy mogli otrzymać wcale dokładny obraz praw i obowiązków kmieci wojewody, obraz najzupełniej zgodny z temi archiwalnemi odkryciami, które uchylały nieco zasłonę, pokrywającą przeszłość polskiego włościaństwa.

Kmieć w dobrach wojewody jest dziedzicznym dzierżawcą swej roli, którą Gostomski nazywa dziedziną. Jednakże ostrożny gospodarz uważał za najkorzystniejsze dla siebie t. zw. „zakupieństwo“, t. j., taką umowę z chłopami, któraby dawała mu prawo rugować ich z zajmowanych siedzib. O ile możemy sądzić z Notat, wojewoda uważał za możliwe korzystać z prawa rugów tylko w tym wypadku, jeśli chłop nie spełnia swych zobowiązań, np. nie uprawia wydzielonej sobie roli.¹⁾ W użytkowaniu nada-

¹⁾ W podgórskiej Kasinie, której ustrój był pod wielu względami zupełnie zgodny z tym, który poznajemy z Notat Gostom., złe gospodarstwo sprowa-

nego sobie gruntu jest kmieć oczywiście silnie skrupowany: nie wolno mu więc dzielić go pomiędzy dziećmi, lecz ma go w całości przekazać jednemu tylko synowi. Jedynie tylko kmieciowi, posiadającemu całą włókę, pozwala Gostomski rozdzielić ją pomiędzy dwoje dzieci.¹⁾ Oczywiście, niema mowy, by kmieciom wolno było sprzedawać lub poddzierżawiać swe grunta bez pozwolenia dziedzica. Widocznie jednak zdarzało się, że zasiedziały chłopskie rody zaczęły patrzeć na grunta, jako na swą faktyczną własność i samowolnie je sprzedawały, albowiem wojewoda wspomina o karach, jakim podlegać mają zarówno niefortunni sprzedawcy, jak i nowonabywcy. Chłop, który grunt sprzedawał, powinien był zapłacić dworowi winę, a nadto oddać mu otrzymane za sprzedaż pieniądze. Winę musiał płacić i nabywca, któremu nadto konfiskowano zasiewy, a bynajmniej nie zwracano wyłożonych na kupno pieniędzy. Nawet donioślejszych zmian w swem gospodarstwie nie powinien był robić kmieć bez wiedzy władz dworskich, nie wolno mu więc samowolnie wznosić budynków na zajmowanym gruncie. Oczywiście, w tych wszystkich ograniczeniach, jakim podlegał kmieć wojewody w użytkowaniu ze swych gruntów, nie było nic oryginalnego. Podobnym ograniczeniom ulegali chłopci już wówczas w całej Polsce; podobne ograniczenia w średnich wiekach spotykamy nawet w Anglii,²⁾ a współcześnie ulegali im włościanie przybyłych do Rzeczypospolitej krajów Habsburgów i Hohenzollernów. Oczywiście, chłop Gostomskiego jest przywiązany do udzielonego mu gruntu; a kmiecia, który uciekł ze wsi, należy „brać na łańcuch,” nawet gdyby do wsi sam powrócił.

działo również wyrugowanie z roli. Ulanowski: „Wieś polska pod względem prawnym.“

¹⁾ Lubomirski utrzymywał, że przeprowadzenie zasady niepodzielności gruntów włościańskich, o jakim tu wspomina Gostomski, nie udawało się nigdzie w Polsce. W rzeczywistości jednak niepodzielność gruntów utrzymała się gdzieś do końca wieku ośmnastego; w ten sposób np. można sobie objaśnić wielką ilość półwłókowych gospodarstw w dobrach Puławskich; obacz moje: „Z dziejów rolnictwa w Polsce,” str. 237.

²⁾ W Anglii poddani siedzący na virgatach lub półvirgatach, odpowiadających mniej więcej naszym włókom i półwłóczkom, musieli je przekazywać w całości najstarszemu, lub najmłodszemu synowi: Seebohm: *The english village community*. Zobacz także: G. F. Knapp: *Die Bauern-Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussens*, str. 23, 24; *Handwörterbuch der Staatwissenschaften*. Tom II str. 344.

Nawet „rodziców,” t. j. tych poddanych, którzy zrzekli się gospodarstwa na rzecz dzieci, nie pozwala wojewoda wypuszczać bez specjalnego pozwolenia dworu. Na pierwszy rzut oka wydaje się dziwnem, dla czego wojewoda nie pozwalał opuszczać samowolnie wsi nawet rodzinie kmiecia; niewątpliwie jednak chodziło tu o zapewnienie z jednej strony możności rekrutowania w razie potrzeby czeladzi dla dworu, z drugiej strony poddani kmiecie nie mogliby wypełniać swych obowiązków pańszczyźnianych, gdyby nie trzymali czeladzi, którą znów można było zwerbować tylko z pośród braci i sióstr, względnie ciotek i stryjów ich samych. I pod tym względem chłop polscy nie byli w gorszym położeniu od swych braci z krajów sąsiednich.¹⁾ Na uwagę zasługuje, że wojewoda wspomina o możliwości, iż chłop opuści wieś za wiedzą i pozwoleniem dziedzica; w takim wypadku nakazuje przestrzegać, by pozostawił dawnemu budynki, zasiewy i inwentarz zarówno żywy jak martwy,²⁾ potrzebny do uprawy gruntu, który naówczas uważany był powszechnie za nieodłącznie należący do roli. W rozporządzaniu tym inwentarzem chłop jest tak samo skrupowany, jak we władaniu swą rolą. Wojewoda Anzelm nastaje więc, aby chłopom nie pozwalano sprzedawać samowolnie inwentarza i narzędzi rolniczych, nadto, aby przy podziale majątku kmiecego, synowi, obejmującemu gospodarstwo, dostał się obowiązkowo „sprzężaj dostateczny, tak koński, jak wołowy, krowy, świnie, ptactwo wszelakie, statki wszelakie rolne.”³⁾ Nie wynika

¹⁾ Knapp, str. 24: w roku 1562 w księstwie Opolsko-Raciborskiem postanowiono, iż córki i synowie gospodarzy, o ile niepotrzebni są w rodzicielskiem gospodarstwie, mają służyć dworowi. W roku 1623 postanowienie to rozciągnięto na cały Śląsk i, notabene, w formie, która dawała dziedzicom prawo do zmuszania w razie potrzeby dzieci swych poddanych, by służyły *kmieciom*, potrzebującym czeladzi; zobacz Dessman Günter: Geschichte der Schlesischen Agrarverfassungen. Strasburg 1905, str. 78, także Grossmann: Über die Gutsherrlich bauerlichen Rechtsverhältnisse in der Mark Brandenburg, str. 33, 36, 37.

²⁾ Not. Gos., str. 27.

³⁾ Not. Gos., str. 29. Na Śląsku postanowieniem Ferdynanda I uzyskał sankcję prawną zwyczaj nie pozwalający odłączać od roli chłopskiej inwentarza i narzędzi rolniczych. Dessman Günter, str. 59. W Brandenburgii ustawa z roku 1651 postanawia, że po śmierci chłopu bydło i ruchomy majątek zmarłego ma pozostać przy roli; Grossmann: str. 57. Na Rusi Ustawa włókowa (drukowana w „Pamiętniku Kijewskiej Archeograficznej Komisji”

bynajmniej z tego, aby wojewoda zaprzeczał chłopom prawa posiadania osobistego majątku, lub, jak się to, niestety, później zdarzało, uważał za godziwe zagarniać dobro kmiecia na swą korzyść; chłop może ruchomościami niekoniecznymi do prowadzenia gospodarstwa obdzielić wszystkie swe dzieci; dziedzic w razie śmierci poddanego rości sobie prawo tylko do t. zw. „dzielnego“, którego wysokości nie określa bliżej wojewoda w swych „Notatach.“¹⁾ Co się tyczy wielkości gospodarstwa, to Gostomski za normalne uważa pół do jednej włóki. Jako minimalną „dziedzinę“ uważa taką, którą uprawiając, chłop nie jest zmuszony dokupywać zboża.²⁾ Jako prawidłowy stosunek wielkości folwarku do ogółu gruntów włościańskich, wskazuje Gostomski taki, w którymby chłop zbierał ze swych pól, razem wziętych, więcej o dziesięcinę, niż pan z ról dworskich³⁾. Lasu własnego chłop Gostomskiego nie posiadają; jak wiemy już, wolno im było w pewne dni brać drzewo na opał, za drzewo budulcowe powinni byli płacić po groszu od wozu; tyleż musieli płacić za rokinę na płoty⁴⁾. Wojewoda nie broni, aby kto z kmieci zgromadził w swych rękach parę gospodarstw, byleby we wszystkich utrzymywał w porządku budynki⁵⁾. Kmieć u wojewody posiada dość duży majątek ruchomy, bądź to odziedziczony, bądź otrzymany przy pomocy pańskiej „załogi.“ Majątek ten składa się przedewszystkiem z narzędzi rolniczych i inwentarza, którym kmiecie obrabiają grunta swoje, swych ubogich współobywateli zagrodników i po-

tom II i w „Aktach Zapadnoj Rossii“ tom III) stwierdza również nierozzerwalność gospodarstwa z koniecznym do jego obrobienia inwentarzem. Charakterystyczny wyraz łączność roli z majątkiem ruchomym znalazła i w Rumunii w postaci prawa, zabraniającego dziedzicowi odbierać chłopu bydła i narzędzi rolniczych; Handwörterbuch der Staatswissenschaften, tom II, str. 399. W zbadanej przez prof. Ulanowskiego Kasinie, również bydło i narzędzia były nieodłączne od roli (prof. Ulanowski: „Wieś polska pod względem prawnym“).

1) Naśladowca Gostomskiego, Haur, oburzał się na branie przez panów „sukcesyi“ po zmarłych poddanych i proponował, by nawet majątek pozostały po bezdzietnych chłopach, przechodził nie na dziedzica, lecz na kościół, lub szpital: „Ziemiańska generalna Oekonomia,“ wydanie z roku 1679, karta 178.

a) Not. Gost.

a) Ibidem, str. 88.

a) Not. Gost., str. 24, 110.

a) Ibidem, str. 27.

la dworskie. Dwór nie posiadał ani za czasów Gostomskiego, ani nawet w końcu wieku XVIII własnych narzędzi rolniczych ¹⁾, to też nie dziwnego, iż wojewoda nakazuje mieć baczenie, by każdy kmieć posiadał „kobyłę i dwa woły, a ze statków wóz, szleje, chomąta, sanie pomosty, widły do gnoju, drabiny do żyta i do siana, do mierzwy, do potrzaśa, też nożyce do strzyżenia owiec; do roley pług, radło, jarzmo, brone; do żniwa sierpy, kosy, osły (osełki), klepasko dla kosy, dla młócenia cepy; grabie, wór, łopaty, stępe, przetak, siekierę, świder i inne statki potrzebne.“ ²⁾ Rzecz godna uwagi, że cytowany już przez nas tylekrotnie ślązak, ksiądz Grossern, wymienia mniej więcej te same narzędzia rolnicze, jako stanowiące przynależność każdego chłopskiego gospodarstwa z okolic Wrocławia. ³⁾ Pomimo, że wartość inwentarza chłopskiego, jak go nam przedstawia wojewoda, była dość znaczną, uważa on za możliwe, by nowoosiadły chłop w krótkim stosunkowo czasie spłacił dług zaciągnięty na jego nabycie. Píše mianowicie, że chłop w przeciągu 2 lat powinien spłacić otrzymany na załogę inwentarz pociagowy. Kmieci, którzyby się w ciągu 2 lat nie potrafili zagospodarować, uważa wojewoda za kompletnych niedołęgów, o których próżno radzić. W „Notatach“ Gostomskiego znajdziemy i ciekawe szczegóły, dotyczące się tego, w jaki sposób rządny dziedzic mógł chłopą wyprowadzić z długów, choćby wbrew jego woli i doprowadzić go do posiadania na własność żywego i martwego inwentarza. Chłopa mianowicie, który sam nie umie sobie poradzić, należy przypilnować, aby uprawił swe pole, oczywiście przy pomocy dworskiego sprzężaju, potem uwolnić go od pańszczyzny, by mógł zarobić na utrzymanie siebie i rodziny, zboże zaś, jakie urodzi się na jego polu,

¹⁾ Porównaj moje: „Z dziejów rolnictwa w Polsce.“ Pod tym względem nie lepiej się działo w Czechach. Medlinger, w „Wirtschaftsgeschichte der Domäne Lobositz,“ str. 77, podaje, że w dobrach tych do roku 1780 nie było prawie zupełnie dworskich narzędzi, nie było w budżecie prawie żadnej sumy na ich zakupywanie.

²⁾ Not. Gost., str. 27.

³⁾ Grossen w rozdziale zatytułowanym „Die Namen von der Pawon Werckzeug“ wylicza następujące narzędzia: pług, radło, brone, wozy, motykę, łopatę, grabie, widły do siana, widły do nawozu, widły do podściółki, wielkie widły do wynoszenia nawozu ze stajni, młot drewniany do wbijania klinów w drzewo, taczki, cepy, szufle, przetak, sito, klepadło z młotkiem do klepania kosy, sierp do trawy, sierp do oziminy, osełki, kosa do sieczkarni, sieczkarnia, „knebel“ i „reiber“.

ma urzędnik zebrać i sprzedać, kiedy drożej, za otrzymane za pieniądze kupić dla niego sprzężaj. Wszystkie długi, jakie kmiecie zaciągali we dworze na zagospodarowanie, mają spłacać zbożem, które wielce praktyczny wojewoda zaleca wybierać zaraz po żniwach. Jak wspominaliśmy, Gostomski uważał „robotę chłopków za dochód, abo intratę największe w Polsce“ i nie mało pozostawił szczegółów nauczających, jak najpraktyczniej jest eksploatować pańszczyźniane zobowiązania włościan. Jako człowiek jednak obdarzony zdrowym rozsądkiem, wojewoda rozumiał ¹⁾ doskonale, iż chłop, wyzyskiwany po nad wszelką miarę, nie może się utrzymać na tym stopniu zamożności, poniżej którego nie byłby w stanie spełniać zaciągniętych wobec dworu zobowiązań. „Roboty — pisał wojewoda — ma gospodarz tak szafować, co by kmiotków nie zubożył, a ku większemu pożytkowi w rok przyprowadził.“ Jednakże robocizny, jakie Gostomski uważał za normalne i nie rujnujące kmieci, były bardzo wysokie: wynosiły mianowicie, o ile wnosić można z notat, 208 dni sprzedajnych z gospodarstwa: mianowicie powinni kmiecie w tygodnie, w które przypadał św. Marcin, mający w „Notatach“ naszych wielkie znaczenie, jako ostateczne zamknięcie roku rolniczego, dalej Boże Narodzenie i Zapusty po 2 dni, w czasie żniw przez 2 tygodnie po 6 dni i przez 2 po 5 dni, przez resztę roku po 4 dni tygodniowo. Kmiecie, którzy sprzężaju nie posiadali, odrabiać mieli po 2 dni pieszy. Jakkolwiek pańszczyzna taka wydaje się nam wysoką, nie należy przypuszczać, by wojewoda był pod tym względem bardziej wymagającym od ogółu ówczesnej polskiej szlachty. Jak wiemy, pół do jednowlótkowe gospodarstwo uważał wojewoda za normalne, a właśnie w królewskich mazowieckich, a zatem w dobrach, w których chłopci znajdowali się w stosunkowo dobrem położeniu, pańszczyzna, wynosząca 104, a nawet 208 dni sprzężajnych z półwłóczka, nie należała bynajmniej do rzadkości ²⁾. Zresztą i po za granicami Rzeczypospolitej pańszczyzny doszły do niebywałej wysokości. W Brandeburgii junkrzy zdobyli sobie

¹⁾ O wysokości pańszczyzn u Gostomskiego poucza nas następująca rada: „Tegodnie, które w królewskich wsiach po dwu dniu robią ś. Marcina, Go dy Mięsopesty, rozchód zachować na żniwa cztery niedziele; a zachowawszy te cztery niedziele, to dwie niedziele może na każdy dzień robić we żniwa.“ Not. Gos., str. 96.

²⁾ Naprzykład w Zboniach, Kątach, Przytułach i t. d. odrabiają kmiecie po 104 dni z półwłóczka, w Mahorczech, Jazdowie, Janowie, Turku i t. d. po 208 dni. Rps. ks. ks. Czartoryskich 3067.

właśnie prawo do wymagania od chłopów pańszczyzny w tym rozmiarze, jaki uznają za stosowny, to też robocizny stają się „plagą egipską“ dla narodu ¹⁾; nawet w metropolii niemieckiej na południu i zachodzie doszły pańszczyzny na początku szesnastego stolecia do niemożliwej wysokości ²⁾. A posłuchajmy, co mówi bezstronny autor, wprawdzie już w siedemnastym piszący stuleciu, Johann Erazm Wegener, autor „Oeconomii Bohemo-Austriackiej“ o stosunkach panujących w Czechach, gdzie chłopci muszą „dzień po dniu chodzić na roboty, a w święta iść do dworu z czynszowemi pieniędzmi.“

Ale wróćmy do Gostomskiego; oczywiście, kmiecie nie mogliby podolać wymaganej przez niego pańszczyźnie, gdyby sami nie posiadali czeladzi, ale właśnie o czeladzi mówi wojewoda, jako o normalnem zjawisku, wymieniając jeden tylko wypadek, w którym gospodarz nie mógłby być zastąpionym przez czeladnika, a mianowicie, gdy chodziło o skazanych na gardło poddanych. Wymagając dużej ilości dni pańszczyźnianych od kmieci, Gostomski radził jednak, by każdy z dziedziców nakreślił sobie taki plan robót, któryby był najmniej uciążliwym dla kmieci. Nie należy więc zmuszać chłopów do robienia „sprzężam w złą pogodę,“ ani też wczesną wiosną, gdy konie po niedostatecznem, zimowem odkarmieniu są jeszcze chude, наконец wszystkie dodatkowe „okoliczne“ roboty mają chłopci odrabiać w jesieni, zimie i na wiosnę, „póki polna robota nie zajdzie, aby im pan nie był ciężki.“ Za jeden z najważniejszych sposobów do ulżenia ciężarowi robocizn, uważa wojewoda równomierne rozłożenie ich pomiędzy wszystkimi kmieciami. W tym celu wszystkie pola dworskie powinny być wymierzone, co ułatwi podczas robót polnych wyznaczanie wszystkim kmieciom równych kawałków dworskiego pola do obsiania czy obrobienia.³⁾ Przy robotach pieszych, na przykład przy rąbaniu drzew, lub młóceniu, najlepiej będzie, jeśli

¹⁾ Knapp: „Die Bauern Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussens,“ str. 41. Kiedy na początku wieku siedemnastego juryści brandeburscy orzekli, że zagrodnicy (Kossäten) tylko w nadzwyczajnych wypadkach mają odbywać pańszczyznę *w niedziele*, uważało się to już za ustępstwo dla chłopów. Grossmann: „Über die gutscherlich-bauerlichen Rechtsverhältnisse in der Mark Brandenburg,“ str. 43.

²⁾ Knapp, str. 43.

³⁾ Ile można zrobić w każdym folwarku w dzień jeden, zależy to według wojewody od miejscowych warunków, zgodnie z którymi powinni to obmyślić władarze. Str. 93.

każdy kmieć oddzielnie złoży to, co wyrobił, gdyż w ten sposób łatwiejsza będzie kontrola, łatwiejsze dozorowanie, by jedni z kmieci nie opuszczali się w pracy kosztem drugich. Do ułatwienia dozoru prowadzić miał także podział pracujących włościan na dziesiątki: każda dziesiątka powinna była jednocześnie śniadać i jednocześnie brać się do pracy, nawet gdy pięciu chłopów zajętych było przy jakiegokolwiek pracy, należało wyznaczyć z pomiędzy nich jednego starszego, któryby miał nadzór nad pozostałymi. Najsilniejszą kontrolę radził Gostomski roztoczyć również nad tem, aby bogaci kmiecie nie wchodzili w konszachty z oficyalistami dworskimi i przy pomocy przekupstwa nie wykręcali się od robocizn i przewodów, aby nie zrzucali ich na barki uboższych sąsiadów. Niewyczerpany jest prawdziwie Gostomski we wskazówkach, dotyczących się możliwie intensywnego wyzyskania tej równomiernie rozłożonej pańszczyzny. Chłop więc ma pracować dla pana z taką samą sumiennością, jak dla siebie. Nie wolno mu wychodzić na pańską rolę ze sprzężajem gorszym od tego, przy którego pomocy obrabia swoje własne pole. Jeśli każą kmieciowi wozić rzeczy pańskie, ma na wóz układać jak najwięcej: np. chrust ma wozić na drabiniastym wozie, jako pojemniejszym; nigdy nie ma jeździć z pustym wozem; jeśli np. powiezie na pole nawóz, ma z powrotem przywieźć furę kamieni. Do wszelkich robót mają się chłopci zjawiać o świcie; chłop, który przyjdzie, czy przyjedzie za późno do roboty, ma otrzymać chłostę i pół dnia dodatkowej pracy. Od wyznaczonej roboty nie wolno się chłopu wykręcać. Jeżeli chłop, pomimo wezwania, na robotę się nie zjawi, należy dom jego zamknąć, a za każdą razą, gdy z niego wyjdzie, ma otrzymać „cztery plagi na gołe ciało.“ W razie absolutnej niemożności zjawienia się do pracy, powinien chłop zawiadomić o tem dwór, przedstawivszy przyczyny, jakie zmuszają go do uchylenia się od swego obowiązku. Jeżeli jednakże pokaże się, że przyczyny, podane przez chłopą, były fałszywe, to należy go „puścić na praszczeta i kazać wszystkim chłopom po trzykroć zaciąć.“ Wzywianie całej gromady do ukarania kmiecia, uchylającego się od roboty, nie powinno nas dziwić: kmiecie sami byli stracni, gdy jeden z nich wykręcał się od pańszczyzny, albowiem w takim wypadku musieli odrabiać za niego, to też niewątpliwie nie było ich trudno nakłonić do ukarania leniwego sąsiada. Zaznaczaliśmy już, że za normalną pańszczyznę uważał Gostomski dzień ciągły, t. j. wożenie, oranie lub bronowanie, oprócz niej istnieje, jak wiemy, pańszczyzna piesza, do której obowiązani są zawsze kmiecie, nie mający sprzężaju, tudzież w razie potrzeby,

np. w złą pogodę, nawet i zamożni gospodarze. Roboty, do których Gostomski zalecał używać pieszej pańszczyzny, były bardzo różnorodne: oprócz robót polnych, rąbania drzew, młócenia, wymiatania ze stajni nawozu, wymienia wojewoda wiązanie gardliny, „lochowanie“ słupów, ciosanie dylów, budowanie „statków rzecznych“, nawet robienie gwoździ i gontów. W pieszych robotach polnych uczestniczyły i niższe kategorie wiejskiej ludności, nie posiadające roli, a więc rzemieślnicy, komornicy, chałupnicy, tudzież karczmarze, młynarze i ogrodnicy. Ile dni w roku każda z tych kategorii wiejskiej ludności miała pracować dla dworu, nie wspomina nigdzie wojewoda, mówi jedynie, że wszystkie powinny przez 10 dni żnać dla pana, a pleć mają „więcej niż oracze.“ Po za „dniami“, t. j. robotami, wykonywanymi w owe 4 dni na tydzień, chłopci u Gostomskiego zobowiązani są jeszcze do całego szeregu wszelkiego rodzaju świadczeń, a więc dają dworowi podwody, dostarczają mu kolejno stróży, na koniec przędą dla dworu; cały len, czytamy w naszym źródle, należy rozdzielić pomiędzy chłopów, by go uprzedły ich żony i córki; w każdym też domu kmiecym mają się znajdować narzędzia, potrzebne do przędzenia, a więc międlnica, szczotki, kądziel, przęślica, motowidła, zwijadła, kocioł, kijanka i t. d. Prząść pańskie powinny „kmiotówny“ w długie zimowe wieczory, zanim zabiorą się do swego własnego lnu. Jak uciążliwe dla kmieci musiały być te roboty, świadczy chociażby fakt, że, jak powiada sam wojewoda, przędzenie pańskiej przędzy powinno kmiotówkom zająć całe pół roku. Chociaż Gostomski główny nacisk kładzie na dostarczanie przez chłopów robocizn, nie zapomina naturalnie o czynszach i daninach, które przed rozwinięciem folwarcznej gospodarki stanowiły prawie jedyne obowiązki kmieci względem pana. Nie wspomina, jaki czynsz jest zdaniem jego najwłaściwszy, wzmiankuje tylko, że chłopci powinni zarówno czynsze pieniężne, jak i daniny w naturze: sery, drób, jaja, dalej spy zbożowe w owsie, w życie, pszenicy składać dworowi na Ś-ty Marcin. Chłopci, którzy się opóźnili z dostarczaniem czynszów i danin, powinni wnieść je w ilości podwójnej. Z wielką przebiegłością radzi wojewoda przy wybieraniu od chłopów wszelkiego rodzaju opłat, czy to w naturze, czy też w pieniądzu, zaczynać zawsze od najbiedniejszych kmieci w każdym siole; chłopci bowiem zamożniejsi, dłużej trzymają w domu zarówno, jak i zarobione pieniądze.

Wieś polska w wieku szesnastym była jak wiadomo już kompletnym państwem w państwie; w ten sposób przedstawia się nam ona i w notatach pozostałych po Gostomskich. Staraliśmy

się wykazać, że polityka gospodarcza tych państewek-wsi, przynajmniej, o ile one należały do wojewody, była czysto merkantylistyczna. Ale system merkantylistyczny, niedarmo noszący także imię systemu *policyjnego* nadzoru władzy monarszej nad dobrem obywateli („System der Landesfürstlichen Wohlstandpolizei“), nie mógł nigdy nie powstać bez decydującego wpływu na całe życie społeczne organizmu, nad którym zapanował. Merkantylizm szedł wszędzie w parze ze ścisłą reglamentacją całego życia obywateli, prowadził zawsze do wytworzenia tak zwanego „policyjnego państwa.“ Tak działo się i we wsi polskiej, tak ją poznajemy zarówno z naszego źródła, jak i z badań archiwalnych, tak działo się jednocześnie w Brandeburgii, na Śląsku, w Czechach, wszędzie gdzie wieś wyodrębniła się w oddzielną ekonomiczną i polityczną jednostkę. Pan polski, czeski, czy wschodniomiemiecki wieku szesnastego, czy siedemnastego miał głównie dwie pobudki, skłaniające go do ścisłej reglamentacji życia swych poddanych: 1) uzyskanie bezpośrednio dla siebie jaknajwiększych dochodów, 2) podniesienie zamożności ich samych, czego on sam nie potrafi, bo jest na to za mało rozwinięty.¹⁾ U Gostomskiego, który bynajmniej nie odmawia chłopom rozumu i sprytu, przeważała w jego zapędach reglamentacyjnych pierwsza pobudka. Musimy jeszcze zwrócić uwagę, że zdrowy rozsądek ustrzegł i pod tym względem naszego wojewodę od tych ostateczności w drobiazgowej reglamentacji życia poddanych, która doszła do zenitu, do karykaturalnych rozmiarów u niektórych naszych późniejszych pisarzy rolniczych, a przede wszystkim u księżnej Anny Jabłonowskiej w jej sławnej „Ustawie dla dóbr moich rządców.“ Na ogół ograniczenia, jakim reglamentacja Gostomskiego poddawała włościan, były prawie identyczne nie tylko z temi, jakie istniały na przeciwległych krańcach Polski, ale nawet w krajach sąsiednich, jeden je tylko wyróżnia szczegół. W szesnastym i siedemnastym stuleciu, w czasie wszechwładnego panowania zasady „cujus regio ejus religio“ dziedzic zarówno polski, jak czeski czy brandenburski troszczył się nie tylko o dobro doczesne swych poddanych, ale też i o ich zbawienie w życiu przyszłym, więc też ustawy dóbr przestrzegały, by chłopci chodzili do kościoła, a w kra-

¹⁾ Porównaj Grossman str. 46: „Der Gutsherr ist der Vormund seines Bauern. Denn der Bauer ist *dumm*. Daher muss die Herrschaft über ihm wachen, dass er nicht bei seinen Gelagen übernimmt, dass er sich nicht vom Wucherer umgarnen, dass er bei Erbteilungen sich nicht übervorteilen lässt.

jach katolickich nawet, by zachowywali się wiernie, chodzili do spowiedzi i t. d.¹⁾ Nic podobnego nie spostrzeżemy u wojewody Anzelma, co jest tem dziwniejsze, że wniósłszy „pierwszy w dom swój herezyę“, odznaczał się podobno religijną „zełozya“ i nietolerancyą wobec ludzi innego wyznania. Nie ustrzegł się za to Gostomski nawet mieszanja się w rodzinne i moralne życie poddanych. Więc nakazuje „by synowie byli posłuszni dobrym ojcom,“²⁾ „zabrania się im dalej grać w karty,“³⁾ nocować w miasteczkach,“ zaleca się wdrażać ich do pracowitości. Jeśli urzędnik zobaczy, że biedny chłop próżnuje, ma kazać mu robić do dworu „choćby odrobił, aby go tem wciągnął w robotę.“ Oczywiście nie brak i rozporządzeń, zmierzających do zrobienia chłopca oszczędnym: należy czuwać, by chłopci nie przepijali za dużo, by „syn po ojcu nie utracił zebrania starego.“ Wspominaliśmy już, że wojewoda uczył nawet, w jaki sposób należy niegospodarnych chłopów doprowadzać przemocą do pewnej zamożności, obejmując w czasowy zarząd ich gospodarstwa, wiemy już też, że chłopci są skrupowani, i ciągle nadzorowani w swej gospodarce. Nietylko więc urzędnik i włodarze mają dojrzeć, aby „kmiotkowie sprzężaju, stad, bydła gwałtem nie sprzedawali,“ ale nawet, by samowolnie nie „zaprzędawali z nowego zboża,“ by zorali swe pola we właściwym czasie, by je zasiałi; dopóki kmieć nie zasieje, nie należy go wpuszczać do karczmy. Oczywiście kmieć jest i skrupowany w kupowaniu produktów potrzebnych mu do egzystencyi, a więc przedewszystkiem trunków, soli, śledzi, żelaza, wszystko to ma nabywać we dworze. Chcąc śledzić każdy krok swych włościan, nie należało im pozwolić wydalać się ze wsi bez pozwolenia pana, względnie jego oficyalistów, przestrzega więc wojewoda, by chłopci nie wydalali się bez urlopu na „flis,“ czy na robotę do drugiego imienia. Jak widzimy, opieka dziedzica nad poddanymi doprowadza u Gostomskiego ich swobodę

¹⁾ W Kasinie na Podgórzu za niechodzenie do kościoła karano 12 plagami: Ulanowski, Wieś Polska. W Siemiatyczach i w Kocku jeszcze w końcu XVIII wieku każdy poddany ma odprawić co kwartał spowiedź i komunię, a na dowód wziąć kartkę od proboszcza. Ustawa powszechna dla dóbr moich rządców. Siemiatycze 1784. Zobacz także: Český Archiv, tom XIII: Rad poddansky Jaroslawa z Martinic.

²⁾ Not. Gos. str. 26.

³⁾ Podobnie Rad poddansky Jaroslawa z Martinic zabrania chłopom grać w karty i przebywać w miasteczku ponad 20 godzin. Český Archiv, tom XIII.

do minimum, rozumie jednak, że taki stosunek, który on niejednokrotnie porównuje do stosunku ojca do dzieci,¹⁾ nakłada na niego pewne obowiązki, mówi więc jako o rzeczy zwyczajnej, o udzielaniu pomocy chłopom w zły rok, ograniczając ją wprowadzie tylko do zakładki i do „borgowania.“

Wojewoda nie mógł oczywiście nie wspomnieć i o wykonywaniu władzy sędziowskiej nad poddanymi, jako ich dziedzic, jednak z luźnych uwag jego trudno przedstawić dokładny obraz sądów wiejskich, jakie się odbywały w jego majątkach. Znajdujemy więc tylko wzmiankę, iż corocznie na Ś-ty Marcin, to jest gdy wszystkie roboty w polu zostały ukończone, ma się odbywać „prawo,“ na którym mają być wysłuchane wszystkie „krzywdy.“ Na tem „prawie,“ które widocznie odpowiadały tak zwanym sądom „rugowym“ w innych częściach Polski, uczestniczyła cała gromada i urzędnicy. „Prawo“ ma jednak nietylko charakter wiecu sądowego, ale i głównego ogólnego zgromadzenia wszystkich kmieci, na którym ogłaszana bywa wola dziedzica w postaci tak zwanych „zapowiedzi.“ Tak na przykład przy prawie ma być zapowiedziane, „że żaden chłop pod 3 grzywnami nie śmie dnia, ani kolei przewodów przeprowować, ani wykupować włodarza, ani urzędnika.“ Przy odbywaniu „prawa“ zasiadać mieli „przysiężnicy,“ którzy jednocześnie mogli być dziesiętnikami. Wyznaczać ich miał pan z pomiędzy najzamożniejszych kmieci. Naturalnie „prawo,“ odbywające się raz do roku, nie mogło zadośćuczynić potrzebom poddanych, nic nie wspomina jednak wojewoda o jakichś mniejszych wiecach sądowych „podsędkach,“ któreby, jak w innych częściach polskich, zbierały się częściej, by zadośćuczynić bieżącej potrzebie, natomiast mówi Gostomski o doraźnem rozstrzyganiu spraw, przekładanych przez kmieci we dworze przez pana, względnie przez urzędnika, lub nawet włodarza. Poddany, któryby chciał przedłożyć swe zażalenia przed panem, miał prosić przez pośrednictwo włodarza o wyznaczenie mu stosownej godziny, tylko jeśli chciał zanieść skargę na dworskich oficyalistów, dozwolone mu było stawić się przed obliczem pańskim bez poprzedniego zameldowania się. Chociaż wojewoda wyraził się pięknie, że „pan ma karać poddanego jako syna, po-

¹⁾ Gostomski zresztą i w stosunku do własnych dzieci był rzeczywiście despotycznym; jeśli wierzyć Niesieckiemu, miał wojewoda Anzelm jednego z synów więzić przez 3 lata w Rawie, za to, że nie chciał porzucić katolicyzmu.

mnąc, że przed Bogiem kmiotek dobry, jako pan, jednakże kary, które zaleca stosować, są często nieproporcjonalne do rozmiaru przestępstwa, być może jednak, że Gostomski nie myślał na seryo o ich egzekwowaniu.¹⁾ Na śmierć naprzykład należy skazywać poddanego, chociażby nawet małoletniego, któryby w czasie posuchy rozpałił ogień w polu, śmiercią również miał odpokutowywać poddany za samowolne użycie rzeczy pańskiej większej wartości. Hojny jest wojewoda i w zastosowywaniu kary cielesnej, chłosty, plag, radzi więc uciekać się do niej i względem chłopów, spóźniających się na robotę i względem omieszkującym się z siewem, nieposłusznym wobec oficjalistów i t. d. „Na łańcuch“ miano brać chłopów, którzy samowolnie uciekli ze wsi, oszustów puszczać miano „na praszczeta.“ Nie zaniedbał też wojewoda wspomnieć w swych Notatach, iż w każdym dworze powinny być „instrumenta gotowe, w któreby naprędce więźnia abo winnego wsadzić można, to jest łańcuch, abo kabat, abo gąsiory kuna.“ Taki skrzętny gospodarz jak Gostomski nie mógł oczywiście wyrzec się i stosowania kar pieniężnych, które mogły stanowić poważne źródło dochodu dla dziedzica: na 3 grzywny zaleca wojewoda skazywać za przekupienie włodarza, lub urzędnika, do płacenia win należało pociągać również chłopów za samowolne sprzedanie gruntów. W wymyślaniu kar na poddanych odznaczał się wojewoda dużą pomysłowością: podczas gdy jego przypuszczalny mistrz Columella nawołuje, by nawet z niewolnikami postępowano w prawdzie „severiter“, ale nie „crudeliter“, Gostomski rozkazuje, by demolowano domy w największy mróz na Boże Narodzenie tym kmieciom, którzy na zimę nie przyprowadzą do porządku swych chałup.²⁾

Niewiele znajdziemy u Gostomskiego szczegółów, dotyczących się organizacyi ludności poddańczej w jego dobrach. Dowiadujemy się tylko, że każda wieś powinna być podzielona na dziesiątki, na czele każdej dziesiątki miał stać dziesiątnik, wyznaczany przez samego dziedzica z pomiędzy „zamożystych“ kmieci. Obowiązkiem ich jest przestrzeganie pana o wszelkich nadużyciach, zachodzących w ich dziesiątce, jako też pilnowanie, by ofi-

¹⁾ Podobnie w Kasinie wydawano surowe ogromnie kary, lecz rzadko spełniano je w całości, często natomiast darowywano. Wieś Polska.

²⁾ Kmieć, który się na zimę nie poprawi, o Bożem Narodzeniu w największy mróz uczynić mu dziurę taką, coby u sąsiada lata doczekał. Not. Gos. str. 24.

cyaliści sumiennie spełniali swe obowiązki, a przede wszystkim dobrze uprawiali pole pańskie. Jeżeliby się okazało, że role dziesiętników i oficjalistów lepiej są uprawione niż pola dworskie, to pan ma zebrać z ich pól, a im każe się kontentować zbiorem z pól uprawionych dla niego. Na dziesiętników uważał Gostomski za możliwe składać i obowiązki tak zwanych „przysiężników do prawa“, którzy oprócz swych funkcyj sędziowskich pełnili i pewne policyjne czynności, a mianowicie co „cztery niedziele“ obchodzili wszystkie kmiecie domy i sprawdzali, czy opatrzone są od ognia. Nigdzie nie wspomina Gostomski o żadnym kmiecym dygnitarzu, nawet zbieranie podatków, które w podgórskiej Kasinie, podzielonej na dziesiątki, jak wsie wojewody, należało do wójta, u niego spoczywa na barkach dwóch, specjalnie w tym celu wybranych, gospodarzy.

Wczytawszy się w Notaty Gostomskiego, nie możemy nie zauważyć przebijającej się w nich nieufności, jaka w jego do-
brach, a niewątpliwie i w majątkach wielu, wielu ziemian ówczesnych zatruwała stosunki pomiędzy dworem, a wsią, a nawet między dworem a oficjalistami. Pan ani na chwilę nie ma się spuszczać na chłopów, gdyż „nic tak nie leży w chłopskiej naturze, jak kradzenie“, ale niemniej obawiać się należy „urzędników“ i włodarzy, gotowych zawsze do wszelkich łotrstw, do wyzysku i oszukania swego chlebobawcy, ale z drugiej strony i sam dziedzic, to jest nasz wojewoda, chociaż dużo mówi o sprawiedliwości, z przyjemnością, o ile się da, wywiedzie w pole swych poddanych. To też wieś polska z końca szesnastego wieku, tak jak ją poznajemy z naszych „Notat“, jest terenem ciągłych intryg, niekrwawej wprawdzie, ale zato nieustannej, głuchej walki. W walce tej wszystkie trzy walczące strony szukają sobie wśród siebie sprzymierzeńców: dwór przy pomocy oficjalistów walczy ze wsią, wieś sprzymierza się tajemnie z oficjalistami przeciw dworowi, dwór w kmieciach szuka oparcia przeciw nadużyciom oficjalistów. Więc dziedzic, przy pomocy oficjalistów, ma zmuszać np. chłopów do udzielania mu jesienią przymusowych pożyczek w zbożu już omłóconem, które następnie wysyła się do Gdańska możliwie jak najwcześniej, gdy ceny są jeszcze wysokie. Dług ten wojewoda nakazuje zwracać chłopom po ukończeniu siewu, a więc kiedy ceny zboża są już niskie. Chłop, któryby dopominał się jeszcze przed siewem zwrotu swego zboża, zasługuje na pańską niełaskę. Oczywiście, nakazywanie oficjalistom zmuszania leniwych, a ubogich kmieci niby w celach przyuczenia ich do pracowitości, do robót dodatkowych na korzyść dworu, nie mogło być zaliczo-

ne do zbyt czystych kombinacyj. Łatwo się jednak domysleć, że i chłopom nie brakło ani chęci, ani pomysłowości do odpłacania dworowi pięknem za nadobne; dowiadujemy się więc i o wykręcaniu się od robocizn i przewodów przy pomocy przekupstwa urzędników i o umiejętnym ukrywaniu ilości zebranego zboża, mającym na celu danie mniejszej dziesięciny. Pomimo całego braku zaufania do chłopów, pomimo nie wysokiego mniemania o ich wartości moralnej, nie mógł im Gostomski odmówić paru przymiotów. Przedewszystkiem uznaje, że chłop może mieć potrzebną inteligencję do wyuczenia się rolnictwa, nie radzi nawet osadzać na roli kmieci, którzy „nie umieją rolnych robót,“ nie musieli więc tacy należeć do rzadkości; wiemy też już, że wojewoda zalecał urzędnikom, aby się uczyli uprawy roli od starych kmieci. Widzimy dalej, że wśród kmieci nie brakło ludzi pracowitych, oszczędnych i przedsiębiorczych: chłop umie szukać zarobku i po za granicami wsi rodzinnej, umie najmować się, czy to do robót polnych, czy jako flisak; gnębiony pańszczyzną i wszelkiego rodzaju świadczeniami, chłop jest w stanie zaoszczędzić tyle, by w ciągu lat 2 zdobyć się na własny sprzężaj. Zdarzają się wprowadzić chłopci leniwi, poniedziałkujący, pijący po karczmach bez miary, ale nie otrzymujemy z naszego źródła wrażenia, by takie osobniki były zjawiskiem zbyt częstym.

Zebraliśmy już, zdaje się, wszystkie dane, dotyczące się położenia włościan, które znajdują się w Notatach Gostomskiego. Widzieliśmy, że wojewoda nie był dla swych poddanych ani pobłażliwym, ani mało wymagającym panem: pańszczyzna, jaką uważał za normalną, nie była małą, postępowanie, jakiego radził się trzymać w stosunku do włościan, było bezwzględne i surowe, to też niewątpliwie ziemianie, którzy, wobec popularności jego książki, musieli często korzystać z zawartych w niej rad, nie znajdowali u niego zachęty do polepszenia doli swych kmieci, do układania dla nich ustaw łagodnych.

Następca i naśladowca Gostomskiego Hauer umiał się zdobyć na współczucie wobec poddańczej ludności, umiał radzić, by darować czasem kmieciowi „który dzień ustawny,“ by mu się „nie naprzykrzać robocizną nad potrzebę,“ nie wynajdywać nowych „intrat“ i podatków, umiał przekonywać, „że trzeba nie tylko pukiem y gromem, ale też pogodą y łaskawością zażyć człowieka.“ Na podobną radę nie stać było surowego wojewody.

Ale Gostomski, który bądź co bądź przypominał, że przed Bogiem „kmiotek tak dobry, jako pan“ nie był niewątpliwie ani surowszym, ani bardziej wymagającym wobec włościan od większo-

ści współczesnych ziemian. Wszak za jego czasów w całej środkowej Europie położenie włościan pogarszało się coraz bardziej. Wszak już w epoce naszego wojewody, ks. Śmiglecki miał powód do pisania, „że stosunku dziedziców do włościan nie można inaczej nazwać, ino okrucieństwem wielkiem nad poddanymi, od którego do strasznego sądu Bożego apelacya,” a w lat kilkanaście po śmierci Gostomskiego zabrzmiał potężny głos Skargi, który w szlachetnym zapale skarży się „iż nie masz państwa, w którymby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli pod absolutnem dominium,” nie wiedząc, czy też udając, że nie wie, jak się naówczas działo kmieciom w Czechach, na Śląsku, na Pomorzu, czy w Brandeburgii. I z lutni poety dobiedzie się rzewna skarga nad dolą „kmiotka nędznego,” który parę „szkap tylko ma zmorzonych, parę wołków założonych y to wyrobionych; owieczka nie zabeknie, krowiczka nie ryczy, gospodyni na wieczór widzę nic nie liczy,” a inny większy od autora tych słów twórca Krzysztof Opaliński rzuci narodowi straszną satyrę, wypomni mu, że „Bóg Polski za nic więcej nie każe, jak za poddanych opresę.”

Rady Gostomskiego, tyjące się włościan, jakkolwiek bezwzględne i surowe, w wieku XVII na tle epoki, którą znamy chociażby ze słów Zbylitowskich, Opalińskich, oddawały tę usługę, że wpajając w czytelników nie litość wprawdzie, nie łagodność i dobroć, ale zdrowy rozsądek, uczyły ich, że dobrobyt poddanych gwarantuje ich własną zamożność, że to tylko nowe źródło dochodu jest „pobożne i przystojne,” które jest „bez obciążenia poddanych.”

DR. IGN. T. BARANOWSKI.

Józef Conrad

(Konrad Korzeniowski).

Nie wiele z pomiędzy imion, które z tych czy innych powodów narzuciły się w ciągu ostatnich lat dwudziestu uwadze publiczności, poczytanej za kulturalną, wywołując nieraz wybuchy jej niepowściągliwych zachwyków, oprze się zwycięsko próbie czasu. Kolosalna nadprodukcya we wszystkich dziedzinach pióra, utrudniająca niewątpliwie w pierwszej chwili odnajdowanie dzieł rzetelnego talentu w powodzi utworów, zalewających rynek księgarski, pociąga jednak zarazem za sobą dość szybkie przesacowywanie wartości. Sławy, których powodzenie ugruntowane było na racyach zgoła nie literackich, uchodzą w niepamięć ze zdumiewającą iście szybkością. Bledną również, zbudowane na trwałszych już podstawach, reputacye autorów, obdarzonych nieraz wybitnymi zaletami pisarskimi, zapominających jednak, kwoli uzyskania rozgłosu, o jedynych istotnych zadaniach wszelkiej twórczości artystycznej, lub nieuświadamiających ich sobie dostatecznie.

Droga, prowadząca do rozgłosu, jednaką jest we wszystkich epokach. Toruje ją schlebianie instynktom sfer dominujących, przez umacnianie w hypnozie samouwielbienia i naginanie się do ich poziomu. Kipling stał się wybrańcem większości, schlebując jej popędom i hołdując jej ideałom, a więc ogłosiwszy kult drapieżnej pięści za najwłaściwszy program życiowy każdego prawego obywatela „największej“ Anglii i rozgrzeszając wszelką wulgarność w imię zamaskowujących ją, dość nieudolnie zresztą, hasła. Bernard Shaw zyskał uznanie tejże większości, podniósłszy ją w jej własnem przekonaniu. Nie szczędząc oklasków te-

mu pisarzowi, który ściga ją swem szyderstwem, publiczność angielska — nietylko ona zresztą—uwierzyła w wyższość swego ducha i niezależność swego sądu. Shaw nie może się bronić argumentem, iż nie przewidywał bynajmniej podobnych rezultatów. Indyferentne sypanie pocisków we wszystkich kierunkach, obalanie dziś własnych bogów dnia wczorajszego świadczy dość przekonująco, że główną pobudką autora od pierwszych już jego wystąpień było w przeważnej ilości wypadków dążenie do zwrócenia na siebie uwagi przez zajmowanie w każdej kwestyi odmiennego od innych stanowiska. Bernardowi Shaw brak bardzo często szczerości wobec samego siebie w szukaniu odpowiedzi na nasuwające mu się pytania. Publiczność wykazała istotnie pewną przenikliwość, przestawszy lękać się żądła tej satyry.

Twórczości, wychodzącej z podobnych założeń, brak pierwsiastków nieprzemijającej wartości. Nic dziwnego więc, że gwiazda obu pisarzy, którzy przez czas dość długi zajmowali sobą na obu półkulach krytykę nie mniej, niż publiczność, utraciła już bardzo wiele z swego blasku. Prawdziwy artysta krystalizuje w formy świat własnych wzruszeń i zagadnień, nie podporządkowując żadnym względom ubocznym swego procesu myślowego, ani też rezultatów tego przemyslenia. Lecz niewielu autorów umie oprzeć się ponęcie łatwych powodzeń. Dlatego też, wobec tak niewielu również, mimo obfitość talentów, werdykt potomności potwierdza opinię ich współczesnych. Z świetnych zastępów literackich ery Wiktorji, która wypełniła trzy ćwierci ubiegłego wieku, pozostało kilkanaście zaledwie imion po dokonaniu przez obecne już pokolenie pracy eliminacyjnej. Liczba ta zmniejszyć się jeszcze może za nowych lat pięćdziesiąt po przeprowadzeniu powtórnego, ściślejszego wyboru. Natomiast czas, który wykreśli jednych, sprowadzić może jednocześnie odkrycie innych, zapomnianych, lub zapoznanych z różnego rodzaju przyczyn w epoce, która ich wydała. Odkrycia takie zdarzają się nieustannie. Dzięki jednemu z najszcześniejszych, zapoznaliśmy się np. ostatnio w piśmiennictwie niemieckiem z dziełem Fr. Hebbła.

Józef Conrad nie należy we współczesnej literaturze angielskiej do rzędu zapoznanych, gdy chodzi o stanowisko, jakie zajęła wobec jego dzieła poważna krytyka zawodowa. Jest nim, gdy mierzyć będziemy, stopień zainteresowania się jego utworami, ich odbytem księgarskim. Najlepsze z nich doczekały się zaledwie kilku edycji; parę z nich tylko weszło do wydawnictw Tauchnitz'a, tego niezawodnego probierza popularności. Conrad nie uzyskuje prawdopodobnie nigdy i nie będzie ubiegał się o nią, bynaj-

mniej, nie okazując, jak dotąd, żadnej skłonności do czynienia n. rzecz czytającego ogółu jakichkolwiek ustępstw ze swej indywidualności pisarskiej, na którą składają się nadwyzczaj cenne gatunkowo i wysoce odrębne pierwiastki. Na tle produkcyi ostatnich lat kilkunastu twórczość jego zarysowuje się rzeczywiście całkowicie samoistnym konturem i wypełnia jego zarysy nowymi akcentami, nową skalą walorów. Od pierwszych już dzieł swych wolny jest od wszelkich reminiscencyj; nie wskazuje w nim śladów obcych wpływów literackich i artystycznych, ani też przejmowania się duchem cudzych przeżyć myślowych. Jego stosunek do zjawisk bytu jest nawskroś osobisty, jak osobistą będzie forma, w jakiej go przedstawi.

Stosunek ten urabiał się i dojrzewał po przez długie lata wędrówki wzdłuż niezmiernych szlaków oceanu. Jeśli w pewnych melancholijnych akcentach jego ironii i kapryśnym charakterze niektórych spostrzeżeń odzywają się atawizmy rodzinne, to w temperamencie odziedziczył chyba Conrad drogą niewytłómaczonych wcieleń duszę jakiegoś fenickiego żeglarsza, ciągnącą ku przestworzom wodnym, jak do przyrodzonego swego środowiska. Nie świadczy o tem jeszcze dwadzieścia niemal lat życia, spędzonych na pokładzie statków handlowych marynarki angielskiej. Pomiedzy tymi, których całe niemal istnienie upłynęło na okręcie, zdala od lądu, nie brak natur osiadłych, tęskniących za nim niezmiennie wśród pielgrzymek swego morskiego domostwa, snującego się niespokojnie po płaszczyznach morza, a tak zależnego od nieprzewidzianych wybuchów jego gniewu i spisków, jakie knuje z wiatrami. Sam Conrad odmalował typy takich niewolników oceanu, wyzwalających się z obcowania z nim, jak z kajdan galernika. Kapitan Hagberd w „To-Morrow“ przenikniony jest dla niego głęboką, nieprzewycięzoną niechęcią i drży, by syn jednak nie wybrał narzuconego ongi jemu samemu przez ojca zawodu. Nie dzieląc tych uczuć Hermann w „Falku“ marzy jednak, jak o najwyższym szczęściu, o chwili, gdy osiedli się, wraz z rodziną, koczującą z nim na razie na dalekich wodach, w zacisznem jakimś ustroniu niemieckiej ojczyzny.

Samego pisarza wszelako nie przykuł do pokładu, jak wielu innych, nieprzychylny dla nich zbieg okoliczności, ani nie zapędziła na niego wola wychowawców. Ojciec jego, który brał czynny udział w powstaniu r. 1863, odumarł go, gdy był dzieckiem jeszcze (urodził się w r. 1857). Opiekunowie nie wywierali, o ile się zdaje, żadnego nacisku na kierunek jego zajęć. Wstąpił do marynarki handlowej królowej Wiktorji po pobytku w szko-

łach w Krakowie i Francyi, mając lat siedemnaście i nie znając zupełnie języka, w którym zasłynął dziś, jako wielki mistrz pióra, z bogacający jego skarbnicę. Opuścił ją, gdy dobiegał już czterdziestki, uzyskawszy na długo już przedtem stopień kapitana. Całe jego dzieło powstało w owym dopiero okresie pełnej dojrzałości (pierwsza z powieści, „Allmayers Folly,“ datuje z r. 1895); ono też pokazało, jak głębokiem było zespolenie się pisarza z żywiołem, urobione z miłości dlań i nienawiści, z wielkiego podziwu i większej jeszcze nieufności wobec zdradzieckich jego zasadzek, z poczucia jego siły i naszej słabości, która jednak umie walczyć i zwyciężać, a zarazem wznosić się po nad powodzenia i klęski. I ta inicjacya właśnie w życie potęg natury, zdobyta przez lata twardego zmagania się i nie słabnącej nigdy baczności, nadała dziełu jego najwięcej wartościowe cechy, wyciskając swe piętno na całym jego światopoglądzie. Uchronią one niewątpliwie produkcję pisarza od spłynięcia z powierzchni piśmiennictwa z falą czasu i zmiennych upodobań.

Literatura morza, w której zajął Conrad tak specjalne stanowisko, nie zamykając zresztą, bynajmniej swych inwestygacyj twórczych wyłącznie w jego widnokregu, ale czyniąc całą naturę współaktorem życia — jest nawet w krainie wyspiarzy i marynarzów niedawnego względnie pochodzenia. Obojętność całego szeregu pisarzy wobec przyrody i jej zjawisk wzmacnia się jeszcze w stosunku do obszarów wodnych. Żaden prawie nie dostrzega ich majestatu i różnorodnego ich piękna, tem mniej jeszcze dają im one podnetę do jakichś głębszych rozważań. Wydana przed rokiem mniej więcej przez p. Johna Masefielda p. t. „A Sailor's Garland“ antologia poetów morza, obejmująca najwybitniejsze utwory, poświęcone mu od dni Chaucer'a aż po ostatnią dobę, uwydatnia jaskrawo zdumiewające ubóstwo liczebne produkcji w tym kierunku. Prozatorów znowuż zajmowały przede wszystkim bitwy morskie i przygody korsarskie. Anonimowi twórcy ludowej poezyi morza, t. zw. *chanties* i balad, przekazywanych drogą ustnej tradycyi, zwracali również nieskończenie mało uwagi na otaczający ich ze wszech stron żywioł w swych pieśniach, śpiewanych podczas pracy na pokładzie w epoce, gdy parowce nie wyrugowały jeszcze były statków żaglowych. Temat ich, to smutek rozstania z rodzinnym zakątkiem i tęsknota za nim, wspomnienia chwil szczęścia i pragnienie ich powrotu, to wreszcie wielkie tryumfy armii morskiej i zwycięskie czyny jej bohaterów.

Dopiero romantyzm przynosi w XIX wieku, wraz z ciekawszem wnikiem w przyrodę, zwrócenie się ku krajobrazom

oceanu i niezrównanej ich wymowie, wyrosłej z czaru i grozy. Arcydzielne stanze Shelley'a i utwory Keats'a, Coleridge'a i Byron'a otwierają cykl prawdziwych poematów morza, do którego każdy prawie z późniejszych poetów wplata nowe strofy. Najpotężniejsze z nich wyszły z pod pióra Walta Whitmana i Swinburne'a, który osiągnął niezrównane mistrzostwo w swych hymnach, przemawiających panteistyczną ekstazą. W prozie żaden z jego poprzedników, ani współczesnych, nie dorównał Conradowi. Wyrosły z obcej rasy, pisarz, stał się największym epikiem narodowego żywiołu Anglików. Rzucone przezeń na papier opisy wszystkich faz i wszystkich momentów tajemniczego życia morza, jego przelotnych uśmiechów i jego straszliwych paroksyzmów, jego wściekłych zapasów z wiatrami i jego nieprzeniknionych podstępów, rozbijających statki o wybrzeża i pędzących je na mielizny, zatapiających je w niezmaconą, żadnym powiewem ciszę, gdy tafla wodna iskrzy się z jednego końca horyzontu po drugi, jak przezczyste, gładkie zwierciadło — utrwalają się w pamięci z dręczącą wprost wyrazistością. Trudno wyobrazić sobie, by można było posunąć w tym kierunku potęgę sugestyi dalej, niż zrobił to Conrad w „The Nigger of the Narcissus,” w „Typhoon,” najznakomitszej chyba z opowieści morza — choć w samym dobytku pisarza wybór nie jest zgoła łatwym — a tak niesłychanie prostej, mimo nadzwyczajną swą dramatyczność, w niektórych też epizodach z „The Mirror of the Sea,” jak np. w „Initiation.”

Lecz piękno samych tych opisów, na które składa się sposób przedstawienia rzeczy i jej forma — przepych języka giętkiego, nerwowego i jędrnego, niezmiernie trudnego i niezmiernie plastycznego zarazem, przejmującego krytykę i zwolenników niepospolitego talentu Conrada stałem zdumieniem u tego pisarza, wychowanego na obcej mowie — piękno to jest tylko jedną z wielu zalet jego twórczości. Podziwiać w nim musimy niezaprzeczenie tę magię ekspresyi literackiej, interpretującej rzeczywiste fakty w sposób, czyniący z ich relacyi, przy drobiazgowej dokładności szczegółów, wspaniałe dzieło wyobraźni i natchnienia. Racja zasadniczej wartości jego sztuki leży jednak gdzieindziej. Nadaje tę wartość utworom Conrada głębia indywidualnej jego obserwacyi, opartej na liczeniu się ze wszystkimi siłami, których zespolona akcja wytwarza życie wszechświata. Ten zaś gatunek obserwacyi zrodził się niewątpliwie w znacznej mierze z długiego i ścisłego przestawiania z mocami natury, które zaostrzyło niezmiernie i wyczuliło jego wizyę, ucząc go zarazem wielkiego zrozumienia ogromu naszej nieświadomości, szczepiącego, bez względu na

całkowity brak złudzeń, dużo wyrozumienia. Czy to prowadzi nas na morze, czy w sfery podzwrotnikowej Afryki, lub na odległe wybrzeża malajskiego archipelagu, dokąd zapędza chętnie swych bohaterów (*Lord Jim*, *An Outcast of the Islands*, *Karain* i t. d.), czy przenosi w serce wielkomiejszczańskiego Londynu (*The Return*) lub w środowisko skarykaturowanego anarchizmu (*The secret agent*) — te dwa rysy występować będą w całej jego produkcji, podnosząc wysoko jej doniosłość.

Człowiek przedstawia mu się zawsze w związku z pulsowaniem wszechświata i odwrotnie znów natura występuje łącznie z żywotem ludzi, organicznie w niego wmieszana. Na morze spoglądać będzie z pokładu okrętu, by uczynić nas świadkami współbywania ludzi i żywiołów, które w gruncie rzeczy jest prawie zawsze zmaganiem się wzajemnem, przeradzającym się często w tragiczne zapasy. Niezwykła przenikliwość jego analizy psychologicznej w połączeniu z najrzadszym ze wszystkich darów — darem widzenia, uwydatnia się najbardziej może w obrazowaniu tych krytycznych momentów, gdy na szali waży się ostatecznie kwestya zwycięstwa lub porażki i gdy z głębokich swych skrytek wyłaniają się najistotniejsze cechy natury, która wyzbywa się w tych chwilach całkowitej acz nieświadomej może szczerości wszystkich nabytych przyzwyczajzeń i pozorów, komplikujących w zwykłym trybie rzeczy fizyonomię moralną ludzi o najprostszym nawet mechanizmie duchowym.

Patrzymy wraz z nim na spokojne lub zuchwałe bohaterstwa, wolne jednak w obydwóch wypadkach od wszelkiego konwencyonalizmu i wszelkiej patetyczności, bo objawiające się jako naturalne giesta pewnego rodzaju ludzi — ludzi czynu i prostego ducha najczęściej, nie znających wahań i nie domyślających się zgoła, że dokonywają czynów, chrzczonych „w stylu dziennikarskim” — jak mówi pogardliwie Conrad — mianem heroicznych. Patrzymy też na wybuch instynktów, rozpętanych w lęku o zachowanie tego, co na różnych szczeblach unysłowości, lub też pod różnemi szerokościami geograficznemi, stanowi skarb najdroższy. Dla nędznych *coolies* chińskich, którzy powracają do stron rodzinnych z garścią dolarów, przedstawiających owoc nieskończonych miesięcy ciężkiej pracy, jest nim ten pieniądz. I gdy w straszną noc, spowijającą horyzont w otchłanie ciemności, rozszalały huragan, miotający z dziką wściekłością transportującym ich żaglowcem, rozbija skrzynki, które zawierają ich skromny dobytek i rozmiecie na wsze strony to biedne bogactwo — gonić za nim będą z furją drapieżnych zwierząt, czołgając się jeden przez drugiego ku

srebrnym monetom, wirującym w fantastycznym pościgu i wydzierając je sobie wzajem w okropnem skłębieniu ciał na poły nagich (*Typhoon*). Na wyższym poziomie cywilizacyjnym największem dobrem jest życie. O nie właśnie toczy się walka z żywiołem i okolicznościami. Lecz w walce tej stają również ludzie wobec ludzi. Conrad pokazuje nam oficerów i maszynistów zagrożonego statku, decydujących się uciec z niego, zamiast zginąć wraz z pasażerami, których, jak wierzą niezłomnie, nie mogliby ocalić w żadnym razie, a którzy uspieni są głęboko w chwili, gdy niebezpieczeństwo wymaga natychmiastowej akcji (*Lord Jim*)¹⁾. Instynkt samozachowawczy łamie tu te zasadnicze kategorie moralne, których przekroczenie odbiera uratowanemu w taki sposób życiu wszelką wartość. Z właściwą sobie finezyą, nie kładącą nigdy nacisku, pisarz zakreśli linię demarkacyjną: z tej strony spełnienie obowiązku, które w pewnych okolicznościach wyrosnąć może do rozmiarów bohaterstwa, z tamtej utrata honoru, usuwająca człowieka za nawias społeczny.

Ratowanie życia przybiera inne jeszcze formy. Wyczerpana błakaniem się po morzu i nawpół oszalała z głodu załoga „Borgmestra Dahla,” zapędzona między lodowe góry stref bieguna południowego — rzuca się, jak na łup najcenniejszy, na ciało jednego z towarzyszków, rażonego kulą przez innego w obronie własnego życia (*Falk*). Siła talentu Conrada umiała tak naprężyć w nas wszystkie struny zrozumienia, że nie wzdrygamy się prawie nawet przed tem ludożerstwem, za którym pójdą inne. Co więcej, sam Falk, stający się po zgładzeniu kamrata tyranicznym, lecz sprawiedliwym dyktatorem tego Okrętu-Widma,—człowiek w którego uproszczonym szemacie moralnym brak miejsca na wiele elementów zgoła pojęć, przejmuje nas w następstwie wyraźną zupełnie sympatją w swej nieśmiałej i olbrzymiej miłości, której głód płonie na obliczu tego barbarzyńcy takim samym potężnym ogniem, jakim płonął ongi głód życia.

Zrozumienie usuwa potępienie. Nie wiem, czy Conrad doznaje często litości wobec postaci, w które tchnął życie, by uczynić je aktorami dramatu istnienia. Uczucia tego nie stara się zazwyczaj budzić również w czytelniku. Dalsi jeszcze jesteśmy od wszelkich sentymentalnych rozrzewnień; pisarz tej miary, a zwłaszcza tej formacyi duchowej, nie będzie szukał nigdy wywołujących je efektów. Natomiast odwróci się ostatecznie, nie

¹⁾ Statek zostaje jednak wyratowany.

znajdując na nie żadnego usprawiedliwienia od niewielu wykrzywień moralnych, choć nie ukrywa przed sobą ani przed nami żadnego z braków i przywar swych postaci, nic z ich małości i nic z ich ciasnoty. Wie jednak, jakim ciężarem zawisnąć może nad ludźmi otoczenie, wobec jakich alternatyw stawiają ich warunki życia. Wie, że cywilizacya i jej rzekome prawa i nakazy stają się w wielu okolicznościach czcym tylko dźwiękiem, formą bez treści. Wie wreszcie, jakie spustoszenia szerzyć może namiętność, władnąc zwłaszcza naturami naiwnymi i prostymi, nie umięciami ochronić się przed nią lub choćby tylko osłabić mocy działania jej czarów.

Wiedząc to wszystko, zbudował sobie filozofię, która uwzględnia i tłumaczy bardzo wiele. I dlatego kreśli z tak rzetelną miłością postać swego Karaina (*Tales of Unrest*: „Karain“), zdrajcy i przemiewiercy w obliczu ustalonych idei moralnych. Ten wyniosły wojownik malajski, syn władcy i sam na władcę stworzony, ściga wraz z swym przyjacielem, przysięgłszy dopomóc mu w zemście, siostrę jego, która uciekła z białym kolonistą ku zniesławieniu rodu. Prawy i szlachetny, nie zawiodł dotąd nigdy położonego w sobie zaufania. Ale parę lat uciążliwych poszukiwań za zbiegłą, podczas których towarzysz opowiada mu o niej wieczorem przy ognisku przez długie godziny, zapala w jego sercu wszechogarniającą miłość dla tej kobiety, którą widział zdaleka zaledwie parę razy w życiu, a która teraz kroczy przed nim niewidzialna we dnie i zasiada nocą u jego boku, spoglądając nań swemi słodkimi i wystraszonemi oczyma. — Nie umrzesz — szepcą do niej jego usta. Żyje poza rzeczywistością w hypnozie tego uwielbienia. I gdy w końcu, wraz z odnalezieniem kryjówki owych dwojga przychodzi straszliwa godzina próby — zabije tego, kto położył w nim całą ufność, byle uratować tylko promienną pocieszycielkę ciężkich dni i bezsennych nocy, która kocha innego.

Podobny dramat wywoła namiętność w *The Lagoon* (ostatnia nowela z tegoż tomu: *Tales of Unrest*). Brat poświęci tu brata, oddanego mu bez zastrzeżeń i dokonywającego w imię swego dlań przywiązania czynów szalonej odwagi — dla ocalenia ukochanej kobiety, a właściwie swej dla niej miłości. W *An Outcast of the Islands* obłąkana i ślepa miłość Willemsa dla arabki Aissy, niosąca już w swym żywiołowym charakterze zarodki śmierci i ruiny — pędzi go ostatecznie na rozdroża zdrady wobec swego dobroczyńcy i zbawcy, lecz jednocześnie nadaje temu płaskiemu skądinąd awanturnikowi cechy wysokiego tragizmu, przesłaniającego chwilami całkowicie małość tej duszy i poziomość jej ambi-

cyi i pożądań. W analizowaniu konfliktów uczuciowych i wszystkich załamania moralnych, występujących pod działaniem namiętności, wykazuje wogóle Conrad nieskończenie większą przenikliwość psychologiczną i czujność obserwacyi, niż wszelacy głośni w literaturze spowiednicy serc niewieścich, którzy z bezbrzeżną arogancją narzucają oniesmielonej publiczności rezultaty swych drobiazgowych badań barometru miłosnego, tak rozdrobnionych na nic nieznaczące szczegóły, że nie umiejących już ująć podstawowych linii i treści uczucia. Conrad wydobywa całą jego prawdę, jak wydobywa prawdę innych pobudek i czynników życia i niezmiennosc pewnych ich pierwiastków we wszystkich klimatach i na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Dzięki temu wnikięciu w jedność życia po przez jego różnorodność najwięcej egzotyczne nawet z powieści pisarza nabierają ogólnego znaczenia i nie nużą czytelnika mimo niezmierną nieraz obcość otoczenia i związane z niem, jak np. w *An Outcast of the Islands* epizody, które możnaby zredukować silnie z pożytkiem dla całości.

Pisarz, który umiał wejrzeć w najskrytsze tajniki uczucia, wie dobrze, ile nieporozumień leży na dnie wzajemnego stosunku mężczyzny i kobiety i jaki wykwita z nich posiew nieufności, podejrzeń i błysków nienawiści, widzi, w jakiej rozterce miota się umysł, gdy z jednej czy drugiej strony zniknął szal namiętności tam, gdzie poza nią nie istniało nic zupełnie. Ten głuchy antagonizm płci, powstały z odmiennej ich wrażliwości i tylu różnic, nagromadzonych przez wychowanie, obyczaje i przesady, które zdoła zgładzić jedynie bardzo wysoka kultura moralna, występuje z największą może wyrazistością w stosunku Aissy do Willemsa i Amy Foster (w noweli o takimże tytule) do Janka Górala, chłopca z tatrzańskiego Podgórze, którego wyrzuciło na angielskie wybrzeża rozbicie okrętu, wiozącego transport emigrantów do Ameryki. W jednym i drugim wypadku odrębność rasy potęguje nieporozumienie i podnieca czatujący zawsze w ukryciu instynkt samoobrony. Miłość zamilkła i oto zrywają się odrazu wszystkie węzły łączności, pogrążając w straszliwe osamotnienie dwoje ludzi, mówiących już od tej chwili tak niezrozumiałym dla siebie wzajem językiem, że duszę Willemsa trawi tylko jak jad śmiertelny, gorączka wyzwolenia się z tortury dalszego współżycia z Aissą, a Amy Foster ucieka w tępej przerażeniu od konającego Janka, tak odeń daleka, jak mieszkanka jakiejś innej planety.

Lecz jeśli w tym wiekowym zatargu mężczyzny i kobiety wspólność krwi i środowiska społecznego może łagodzić czasem ostrość ciosów, to bynajmniej nie usuwa zasadniczych racyj wal-

ki. W *The Return* burza wybucha w pełnej respectability rodzinie wielkomiejszczańskiej, której spokojnego i wygodnego wegetowania nie powinny były na pozór zmącić żadne nieprzewidziane wstrząśnienia. Alan Hervey przynajmniej nie przypuszczał nigdy ich możliwości. Przychodzą jednak, aby wykopać w jednej chwili między tym zadowolonym dotąd z siebie i losu człowiekiem i kobietą, z którą związał swe istnienie, przepaść nie mniej nieprzebytą, niż ta, jaką wykopała fatalność ich namiętności pomiędzy dwojgiem tragicznych kochanków z *An Outcast of the Islands*. Szkoda tylko, że, uniósłszy się tematem, pisarz usunął ze sceny swego naiwnie zarozumiałego i pospolitego bohatera, by wprowadzić na jego miejsce samego siebie ze swą skomplikowaną i subtelną psychologią, nie nadającą się bynajmniej do tej postaci i form jej myślenia.

Podobne zapomnienie jest jednak wogóle u Conrada faktem niezmiernie rzadkim. Jego postaci są zazwyczaj istotami z krwi i ciała, żyjącymi własnem życiem, pulsującymi krwią własną i oddychającymi potrzebną sobie atmosferą. Rzecz dziwna, wydawałoby się mogło nieraz, że autor naszkicował je w półcieniach i półtonach. Lecz zaledwie zbliżymy się do nich, widzimy zdumiewającą precyzję tej pozornej niedbałości. Drobnny szczegół, rzucony tu i owdzie, pogłębia linię konturu, uwydatnia sylwetkę, wydobywa ze spokojną ironią ukrytą szpetotę, obnaża tajnie pobudek i instynktów. Z ust pięknej siostrzenicy Hermana w *Falku*, budzącej w tym ekskludżercy żywiołowo potężne uczucie, nie wychodzi w ciągu całej dość długiej opowieści ani jedno słowo, któreby dostarczyć mogło przyczynku do jej charakterystyki. Patrzymy na nią, lecz nie słyszymy jej zgoła. Mimo to tryska pełnią życia: czujemy każde drgnienie jej serca, wciągniętego magnetycznie w orbitę wzywającej je miłości. Tępy, prosty i bohaterski kapitan Mac Whirr w *Typhoon* i jego pomocnik Mr. Jokes, kapitan Lingard w *An Outcast of the Islands* ze skarbami idealizmu w duszy, któremi „komplikuje“ własne i cudze losy w swem otoczeniu awanturniczem, obcem wszelkim idealizmom, Mr. Baker w *The Nigger of the Narcissus*, naiwny, patetyczny i bolesny Karain, dwaj „pionierzy“ cywilizacji w *An outpost of Progress*, tak całkowicie w swej nicości, pełni tak ogromnej prawdy w swej bezradności istot, zdolnych jedynie do bytowania stadowego, pod osłoną udogodniających je instytucyj społecznych, stary oficer marynarki francuskiej z *Lorda Jim'a*, większość typów w *The secret Agent*, a zwłaszcza sam ów tajny agent Verloc, słodki i bezpomocny Stevie, brat jego żony i ta żona ze swem bezgranicz-

nem oddaniem bezsilnem stworzeniu, wypielegnowanemu od dziecka, budzącem w niej w chwili przełomowej pierwotną dzikość istoty z okresu jaskiniowego, inspektor policyi Heat z tejże powieści i tyle innych jeszcze postaci porusza się przed nami, rozwija zasoby energii, cierpi, kocha, umiera, wypełniając dzieła pisarza intensywnem nad wyraz życiem. Wszędzie też, poza ludźmi, lecz w łączności z ich bytem, widzimy i czujemy nieustanne działanie niespokojnych sił wszechświata, okrążających ich ze wsząd i wywierających swą akcyę na całe ich istnienie i kształtowanie się procesów życiowych.

Nawskroś angielski przez kult Oceanu, wyśpiewanego w całym szeregu utworów od *The Nigger of the Narcissus* do czarodziejskiego *The Mirror of the Sea*, w którym skondensował wyniki myślowe swego długiego z nim obcowania, nawskroś ogólnoludzki przez doniosłość swej obserwacyi psychologicznej i swą filozofię zagadnień bytu, Józef Conrad zajmuje we współczesnem piśmiennictwie wszechświatowem wyodrębnione zupełnie stanowisko, występując jako jeden z najoryginalniejszych i najgłębszych pisarzy współczesnych. Dzieło swe zbudował z trwałego materiału, który oprze się destrukcyjnej pracy czasu. Można nie zgadzać się na niektóre jego założenia. Wielu z najszczerzych zwolenników tego znakomitego talentu żałować będzie z pewnością, że w środowisku, które pisarz odtwarza w *The secret Agent*, dojrzał on przedewszystkiem najbrzydsze jego deformacye, jeśli wyłączymy zapłnionego tłuszczem ewangelicznego Michaelisa, nie mającego w rzeczywistości nic wspólnego z tem środowiskiem i przedstawianym przez nie ruchem, oraz fanatycznego, a więc bądź co bądź przekonanego profesora. Można też niewątpliwie uczynić Conradowi różne zarzuty z punktu widzenia techniki powieściowej. Prowadzi nas nieraz do celu drogą bardzo długą, rozpraszając się na dodatkowe epizody. Lecz czytelnicy jego nie skarżą się w większości wypadków na tę rozwlekłość. Owe à parte, odrywające od przedmiotu, wprowadzają nas bliżej jeszcze w tak ciekawy świat idei pisarza, jego spostrzeżeń, konkluzyj i rozważań. Te lub owe utwory mogą grzeszyć w większej lub mniejszej mierze przeciw zasadom konstrukcyi powieściowej; wszystkie prawie mają wyższą ponadto wartość dzieł myśli i przeżycia.

MARYA RAKOWSKA.

Geneza i rozwój historyi sztuki.

Sztuka jest stara jak świat, ale jej dzieje są młodą jeszcze gałęzią wiedzy.

Losy historyi sztuki i historyi powszechnej zupełnie analogiczne. Obok kronik, *silva rerum*, annałów, pamiętników, będących kolebką dziejów powszechnych, zjawiają się współcześnie liczne biografie i dzieła techniczne przez artystów pisane, stanowiące materiał dla historyi sztuki. I treść ich, podobnie jak treść annałów i kronik, w znacznej części nie wytrzymuje naukowej krytyki; dlatego, aby mogły być użyte jako materiał do dziejów sztuki, należało je, podobnie jak i tamte, starannie przesiać przez gęste sito naukowej krytyki, czego dokonano w połowie zeszłego stulecia. Tu niepodobna o nich zamilczeć, gdy się ma mówić o genezie dziejów sztuki, one bowiem właściwą były ich kolebką.

Pierwszą pracą tego rodzaju, którą historycy sztuki mieniały być embrionem tak wspaniale rozkwitłej nowej gałęzi wiedzy, jest traktat przez florentczyka Cennino Cennini'ego w r. 1398 napisany p. t. „*Libro dell'arte*.” Zawiera on przepisy, dotyczące techniki modelowania, odlewu i t. d. Na szczególniejszą uwagę zasługuje rada, jaką daje Cellini, jako uczeń Giotta, artystom — studyowania natury, nazywając ją „najpewniejszym sterem i tryumfalnymi wrotami” dla rysownika, — naturalizm też stał się następnie charakterystyczną cechą szkoły florenckiej.

W rozwoju sztuki włoskiej Florencyja najważniejszą odegrała rolę. Czemu Ateny od czasów Fidyasza do Praksytelesa były dla Grecyi, tem Florencyja stała się dla Włoch od czasów Giotta do Michała Anioła. To miasto wiecznego kwiecia kultura włoska obrała sobie za swoje główne siedlisko. Tu język włoski przed wszystkimi innymi nowożytnymi literacko się ukształtował, tu też

zrodziła się i sztuka włoska. Giotto wnosi naturalizm do malarstwa, a Donatello do rzeźby. Tu rodzi się: „rinascimento.“ Brunelleschi daje mu ciało, a Alberti duszę. Sławne dzieło Alberti'ego „De reaedificatoria“ stanowczo w walce z gotykiem przechyla szalę zwycięstwa na stronę stylu odrodzenia.

Leone Battista Alberti (1404—1472) z pośród czterech pionierów florenckich architektury klasycznej wyróżniał się nie tylko arystokratycznym pochodzeniem z rodziny starych patrycyuszów miasta, ale przede wszystkim uniwersyteckim wykształceniem. Pan bogaty, zajmował się architekturą nie dla chleba, ale z amatorstwa, to też wykonywanie planów, które sam przygotowywał, innym powierzał. Pisał wiele i on to dopiero dał architekturze renesansowej podkład naukowy; stąd słusznie zwać się może ojcem stylu odrodzenia.

Ogólnie mówiąc, okres budzącego się we Włoszech renesansu wywołał wielki ruch na polu artystyczno-literackim. W krótkim zarysie rozwoju dziejów sztuki nie podobna nam wnikać w treść każdej, w szczególności literackiej, tego okresu pracy; zresztą, dotyczą one prawie wyłącznie techniki jednego z działów sztuk plastycznych, dlatego wystarczy, jak sądzimy, na tem miejscu wymienienie nazwisk autorów i materii, o której pisali. Lorenzo Ghiberti, twórca sławnych drzwi florenckiego baptisterium, które Michał Anioł nazwał „porta coeli“, pozostawił cenne rękopisy, dotyczące życia artystów sienneńskich i florenckich. Filarete pisał o architekturze, Pomponio Gavino o rzeźbie, Paolo Pina napisał „Dialoghi di pittura“, genialny Leonardo da Vinci również „Trattato della pittura.“ O malarstwie także pisali: Lodovico Dolce, Michelangiolo Biondo, Doni, Christoforo Sorta, Gianbattista Armenini, Bernardino Campi. Najznakomitsze wszakże prace w tym przedmiocie zostawili: florentczyk Raffaele Borghini, jakoteż medyolańczyk Giov. Paolo Lomazzo, p. t. „Trattato dell'arte della pittura (1589 r.).

Jak widzimy, wszystkie te prace artystów włoskich były to dzieła fachowe, traktujące o technice pewnej gałęzi sztuki. Dopiero pomiędzy 1550—1568 r. ukazuje się we Florencji znakomite dzieło w 9 tomach p. t. „Vite de' più eccellenti pittori, scultori ed architetti“, które już bezpośrednią ma łączność z dziejami sztuki. Autor jego, Giorgio Vasari z Arezzo (1512—1574), był nadwornym malarzem i architektem Medyceuszów i napisał je na wyraźny rozkaz księcia, wielkiego mecenasa sztuki. Miał on polecone opisać życie i działalność wszystkich artystów włoskich tak żyjących, jako i nieżyjących. Jakoż, o ile ówczesne środki dozwoliły, Va-

sari z polecenia jaknajsumienniejszą się wywiązał. Prawda, że skoro do dzieł Vasari'ego w połowie zeszłego wieku zastosowano metodę krytyczną, wykryto w nich liczne błędy, nieuzasadnione sądy, nawet omyłki chronologiczne, ale bądź co bądź, jeżeli to co pisze Vasari o przeszłości, należy przyjmować krytycznie, w podanych przez niego współczesnych mu faktach, po dziś dzień stanowi on największą powagę. Że zaś żyje w okresie złotym rozwoju sztuki włoskiej, więc praca jego jest dziełem, bez którego żadna większa biblioteka obejść się nie może. Ten wszakże poważny zarzut Vasari'emu uczynić należy, że w dziele swem nie docenia niezmierniej wagi epoki, którą przeżywa, dla rozwoju sztuki. Świeżo jeszcze odniesione zwycięstwo renesansu nad gotyką wymagało silnego uwydatnienia starcia się i walki obu kierunków, jakoteż tryumfu odrodzenia. O tym pojedynku dwóch kultur: chrześcijańskiej i pogańskiej, o tej tak doniosłej w następstwa epoce, które całe stulecia przetrwać musiały — Vasari milczy. Milczy, bo nie rozumie ważności chwili, którą przeżywa.

Wiek XVII we Włoszech nic nie dorzucił do skarbnicy badań nad dziejami sztuki. Ograniczono się w nim nowymi wydaniami dzieł w minionych stuleciach ogłoszonych. Dopiero pod koniec XVII w., bo w r. 1697, ukazała się: „*Storia universale provata con monumenti e figurata con simboli degli antichi*“ Francesco Bianchini'ego, dzieło nie małego znaczenia dla dziejów sztuki.

Od początku XVII w. największa działalność na polu historii poczyną się we Francji. Główna zasługa obudzenia zainteresowania się francuskiego społeczeństwa sztuką i jej dziejami należy się uczonemu Klaudyuszowi Favre Peiresc (1580—1637). Osobliwie podówczas uwydatnił się we Francji ruch w kierunku sztuki rodzimej. Na jego czele stanął wielki narodowy malarz Poussin (1594—1665) i uczony podróżnik Jacques Spon (1647—1685). Jak skuteczną była ich podniosła praca w kierunku obudzenia zamiłowania do sztuki, wystarczy nadmienić, że we Francji o wiele wcześniej, niżli u innych cywilizowanych narodów, bo już w r. 1665, powstaje L'Academie de Peinture et Sculpture, w r. zaś 1679 Colbert otwiera L'Academie des inscriptions et Belles-Lettres.

Pod wpływem Poussin'a i jego kierunkiem jeden z członków obojga Akademij — André Félibien (1619—1695) usiłuje stworzyć plan historii sztuki i jej całokształt rozklasyfikować w dziele p. t. „*Entretiens sur les vies et les ouvrages de plus excellents peintres anciens et modernes*“, wydanem w r. 1685. Dzieło to i dziś wartości swej nie utraciło.

Jeszcze większe dla dziejów sztuki we Francji położył zasługi hr. de Caylus (1692—1765), człowiek olbrzymiej nauki, w którym, rzec można, skupiła się cała ówczesna archeologiczna wiedza. W jego znakomitej pracy p. t. „Recueil d'antiquités égyptiennes, étrusques, grecques, romaines et gauloises,” w siedmiu tomach, w r. 1752 ogłoszonej, mamy już pierwszą próbę podziału dziejów sztuki na pojedyncze okresy, jakoteż pierwszą próbę krytycznego rozbioru i badania zabytków sztuki.

*

*

*

Niemcy, jeżeli pominiemy drobne prace, a raczej przyczynki do dziejów sztuki Skaligera, Jana Grutera z Heidelberga (1560—1612), jakoteż Ezechiela Spanheima (1629—1710) i Wawrzyńca Begera (1653—1705), ostatni wzięli się do pracy nad dziejami sztuki. Bezstronność jednakże przyznać nakazuje, że skoro pracę rozpoczęli, odrazu wprowadzili historię sztuki na drogę naukową; chociaż, skoro się weźmie pod uwagę ów znaczny postęp, jaki w ciągu XVII w. historia sztuki we Francji uczyniła, łatwo można było przewidzieć, że bliska jest chwila, w której nauka będzie musiała rozewrzeć wrota i wpuścić do swej świątyni nowo-kreowaną gałąź wiedzy. Olbrzymie zainteresowanie się całego myślącego świata w r. 1748 odkrytymi z pod kilkometrowej warstwy popiołu ruin Herculanium, Pompei i Stabii kazało oczekiwać znacznego postępu dziejów sztuki.

Jakoż istotnie, skoro ogół profanów nasycił głód ciekawości widokiem od osiemnastu wieków zamarłej kultury, przyszła kolej na poważną naukę, na rozwiązywanie licznych zagadnień, które uczonemu światu wyłoniły się z pod wezuwiuszowych popiołów.

Los chciał, że te wszystkie naukowe zagadki rozwiązał niemiecki uczony Jan Joachim Winckelmann. Metoda zaś naukowa, przez niego w tym celu użyta, wprowadziła historię sztuki na tory już czysto naukowe.

Dokonawszy gruntownych studyów nie tylko nad zabytkami Pompei, ale i nad wielu innymi tak we Włoszech, jakoteż w Grecji i Rzymie, jako rezultat studyów ogłosił Winckelmann w roku 1755 dzieło p. t. „Gedanken über die Nachahmung der griechischen Kunst in der Malerei und Bildhauerkunst.” Epokowym jest

wszakże dla rozwoju dziejów sztuki rok 1764, w którym Winckelmann wydał sławne swoje „Geschichte des Alterthums.“ W tem dziele dowodzi on wyższości sztuki greckiej ponad sztuki wszystkich innych ludów starożytności; w niej widzi wzór i kulminacyjny punkt artystycznej doskonałości, jako też miarę, według której inne dzieła sztuki winny być oceniane.

Dzieło to u ogółu inteligentnego wzbudziło wielkie zainteresowanie, a wśród uczonych obudziło zapal do studyów nad sztuką klasyczną. Najwybitniejsze umysły ówczesne: Goethe, Lessing i cała plejada wejmarskich uczonych hojną daninę ze swego talentu sztuce klasycznej złożyła. Dla twórczości Goethego dzieło Winckelmanna nowe horyzonty rozwarło. Lessing pisze sławne dzieło estetyczno-krytyczne o grupie Laokoona.

Ale i poza granicami Niemiec dzieło Winckelmanna wzniciło niebywały zapal do studyów nad sztuką klasyczną.

We Włoszech stają do pracy: Fea, Lanzi, Nibby, Guattani, Bottari, Visconti. W Rzymie, w końcu XVIII w., tworzy się całe grono różnonarodowe uczonych, złożone z artystów, mecenasów i lubowników klasycznej sztuki, które za cel sobie wytknęło—dalej pracować w duchu Winckelmanna. W tem gronie widzimy tak wybitne nazwiska, jak: Canova, Thorwaldsen, Zoëga, Carstens, Koch, Wagner.

Na Francję ten ruch oddziaływa przeważnie w kierunku teoretycznych studyów nad sztuką. W tym duchu piszą o sztuce: Batteaux, Diderot, Falconet, Henri de Watelet, Cochin, Barthélemy. W praktyce ten ruch powtórny ku studyom sztuki klasycznej objawia się w stylu dyrektoryatu i cesarstwa.

Wyprawa Napoleona do Egiptu daje początek nowej gałęzi archeologii—egyptologii, której wielu wybitnych uczonych swe zdolności poświęca. Prawie równocześnie rozpoczęto poszukiwania archeologiczne w Azji Mniejszej, które znów stworzyły asyryologię i asyryologów. Sale Luwru bardzo szybko zapełniają się zabytkami sztuki egipskiej, asyryjskiej i chaldejskiej, w ten sposób umożliwiając studia naukowe na miejscu, w stolicy. Słowem, materyał do dziejów sztuki codziennie rośnie i olbrzymieje, zapowiadając swoim rozrostem bliskość chwili, gdy wiedza dla historii sztuki w swoim przybytku będzie zmuszona obszerne i wspinały lokal wyznaczyć.

*

*

*

Pospolicie tak bywa, że to, co od nas odległe, co do osiągnięcia trudniejsze i mniej dostępne, więcej w nas budzi zainteresowania i ciekawości, aniżeli to, co nam bliskie, co nas otacza, z czem się ustawicznie spotykamy, choćby ów przedmiot był najmniej interesujący i ciekawy. Najlepszym tego dowodem stopniowy rozwój historii sztuki.

Pomimo, że w końcu XVIII i na początku XIX w. zapanał tak wielki ruch na polu archeologii i taki entuzjazm ogarnął wszystkich dla zabytków dawnych, przez długi czas na myśl nikomu nie przyszło zadać sobie pytanie, czy te zabytki przeszłości, które wśród nas się znajdują, któreśmy w sukcesji po przodkach odziedziczyli, a które tak są nam bliskie, nie mogłyby nas równie, a może i więcej jeszcze zainteresować, niżli egipskie, asyryjskie, chaldejskie. Musiały one czekać na swego Winckelmanna. Wydała go Francja w osobie znakomitego badacza Seroux d'Agincourt (1730—1814), ucznia wymienionego wyżej hr. de Caylus.

Winckelmann opracował dzieje sztuki aż do początków ery chrześcijańskiej, Seroux d'Agincourt postanowił je dalej prowadzić. Owocem długoletniej jego pracy było dzieło p. t. „*Histoire de l'art depuis la decadance jusqu'à son renouvellement*,” w 6-ciu tomach, w r. 1826 wydane.

Abyśmy należycie ocenić mogli, jak wielką rolę to dzieło odegrało nie tylko w rozwoju historii sztuki, ale i w całym ruchu umysłowym współczesnej Europy, należy uprzytomnić sobie olbrzymi przewrót duchowy, jaki na początku zeszłego wieku dokonywał się w łonie całego ówczesnego społeczeństwa, bądź to pod wpływem wojen napoleońskich w kierunku nacjonalistycznym, bądź też w poglądach filozoficznych, na które tak wielki podówczas wywierali wpływ idealści niemieccy, bądź nakoniec w kierunku literackim, gdzie wrzała zacięta walka między klasycyzmem i romantyzmem. Wobec tych duchowych przewrotów nastrój ogólny społeczeństwa był idealistyczny, marzycielski. Zdawało się, że na całą Europę wionął wiatr wiosenny, że narody jej odmłodziły, że świat rozpoczyna nową erę braterstwa i miłości. Schelling z katedry uniwersyteckiej głosił, że każda epoka i każdy naród ma wytknięty sobie przez Opatrzność cel w ogólnym biegu dziejów świata, że dzieje powszechne wszech ludów stanowią jedną wielką epopeję świata. Zgodnie z takim poglądem na dzieje, rozpoczęto wszędzie badania przeszłości własnego narodu, aby śledząc jego dziejowe drogi, przeniknąć cel, przez Opatrzność wytknięty mu w ogólnej epopei świata.

I nie tylko filozofowie, ale i romantycy do badania dziejów własnego narodu nawoływali, szukając w mytach, podaniach i baśniach dla siebie potrzebnego materiału. Rzucono się więc do archiwów i bibliotek publicznych i prywatnych, aby badać przeszłość własnego narodu. I w tych pyłach zapomnienia pokrytych dokumentach odkryto bogatą skarbnicę narodowych podań, rycerskie pieśni trubadurów i minesingerów i niewyczerpaną kopalnię baśni i płodów twórczej fantazji ludowej.

W chwili takiego ogólnego nastroju ducha i umysłów ukazanie się dzieła, które zawierało w sobie odzwierciedlenie w sztuce wszystkich płodów uczucia i wyobraźni całej narodowej przeszłości, rzecz jasna, musiało być z entuzjazmem przez ogół przyjęte. Przeglądający karty „Histoire de l'art d'Agincourt'a“ przy usposobieniu idealistyczno-nacjonalistycznym musiał w chwili zgłębiania jej treści doznawać silnych duchowych wzruszeń. Te wieki średnie, dotąd uważane za wieki największej ciemnoty i najwstrętniejszego fanatyzmu, teraz nieco inaczej się przedstawiły. Tak, dopiero teraz przy blasku pochodni szczytnego idealizmu, przy ciepłej miłości własnego narodu poznano, zrozumiano i odczuto średniowieczne zabytki sztuki. Teraz dopiero pojęto nadziemską atmosferę strzelających wysoko wieżyc i pinakli wyniosłych świątyń gotyckich i tych legionów świętych zewnątrz i wewnątrz kościołów w niszach stojących; teraz dopiero odczuto mistyczny nastrój płodów pędzla średniowiecznego w gotyckich tryptykach, polptykach i ankonach, słowem, teraz dopiero zrozumiano całą moc i gorącość wiary i całą potęgę uczucia rycerskiego ducha średniowiecza. Zrozumiano tedy zarazem, że go oplwano i spotwarzono, że mu się słusznie należy zadosyćuczynienie, dlatego teraz, nagradzając mu kilkowiekową krzywdę, z dumą, pełną uczucia godności własnej, uznano go za najszczytniejszy wiek, za wiek młodzieńczy, pełen poezji i rycerskiego ducha, za górny i chmurny wiek własnego narodu.

*

*

*

Na dalszy rozwój historii sztuki bezwątpienia znaczny wpływ wywarł postęp nauk filologicznych. Metoda historyczna, zastosowana przez Wolffa, Grimma, Humboldta do badań filologicznych, a potem przez Niebuhra i innych do historii powszechnej, nie mogła pozostać bez wpływu i na system badań dziejów sztuki. Wprowadzenie zaś do nich tej metody krytycznej znacznie uzupełniało braki dotychczasowego systemu badań Winckelmanna.

Ta metoda historyczna badania zabytków sztuki polega na badaniu dokumentów piśmiennych i źródeł historycznych, odnoszących się do pojedynczych zabytków sztuki, jakoteż na zwracaniu szczególniejszej uwagi wśród badania na odrębność ich cech charakterystycznych tak narodowych, jako też szczepowych.

Studia nad wyodrębnieniem charakterystycznych cech narodowych w zabytkach sztuki wielce ułatwiły podówczas tworzące się licznie zbiory prywatne, a osobliwie publiczne. Tu dopiero można było stwierdzić prawdziwość słów Ed. Gerharda: „*Monumentorum artis, quoniam vidit—nullum vidit, qui mille vidit—unum vidit*“ (kto jeden tylko oglądał zabytek sztuki, żadnego nie widział, kto zaś widział ich tysiąc, ten jeden widział).

Do dalszego rozwoju historii sztuki w Niemczech nie mało również przyczynił się Instytut Archeologiczny w tym czasie w Rzymie założony, który zgrupował około siebie niemieckich uczonych, we Włoszech nad dziejami sztuki pracujących. Liczył on w łonie swoim takich znakomitych uczonych, jak: Bunsen (1791—1860), Ed. Gerhard (1795—1867).

Wszakże to wszystko, co dotąd dla rozwoju dziejów sztuki zdziałano, było zaledwie przygotowaniem podłoża dla dziejów sztuki, jako poważnej nauki. Winckelmann i jego następcy historię sztuki doprowadzili tylko do progu świątyni wiedzy, ale do jej wnętrza nie zdołali jej wprowadzić. Metoda historyczna zapoczątkowała krytyczny system badania zabytków, ale historię sztuki była w stanie tylko na progu świątyni wiedzy postawić. Do jej wnętrza wprowadził dopiero historię sztuki uczony niemiecki badacz Karol Fryderyk v. Rumohr (1785—1843). Jego kapitalne dzieło „*Italienische Forschungen*,” pomiędzy 1827—1831 r. ogłoszone, stanowi nową epokę, w której już historia sztuki naukowe laury zdobywa. Rumohr w swej pracy nie ogranicza się, jak Winckelmann, li tylko do badania zabytków sztuki. Cały tom pierwszy poświęca on teorii i krytyce nowych kierunków w sztuce. Wiele miejsca przeznaczają na rozbiór podstawowych estetycznych pojęć: idei, ideału, typu i t. d. Winckelmanowi i Lessingowi zarzuca, że tak szeroko rozwodzą się nad wrażeniami, jakie

zabytki sztuki klasycznej na widzów wywierają, nie dawszy czytelnikom przedewszystkiem należytego pojęcia, czem jest sama sztuka. Aby zaś odpowiedzieć na to pytanie, Rumohr nie błąka się w labiryncie psychologii empirycznej, jak to czynili myśliciele angielscy, nie gubi się w metafizycznych dociekaniach na wzór swoich ziomków, od Baumgartena poczynając a na Heglu kończąc, nie poszukuje on nawet rozwiązania kwestyi na drodze badań doświadczalnych, jak czynili francuscy estetycy. Rumohr, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, czem jest sztuka, zstępuje w tym celu do źródła artystycznej twórczości, do duszy ludzkiej i tu na pytanie odnajduje odpowiedź.¹⁾ Uważa on sztukę za zewnętrzny objaw ducha artysty, jego żądz, jego pragnień, jego potrzeb, które tenże artysta w dziele wypowiada.

Rzecz jasna, że taki pogląd na sztukę, dający się zastosować zarówno do sztuki klasycznej, jak średniowiecznej i nowożytnej, konsekwentnie w następnych tomach przez Rumohra stosowany do zabytków sztuki, ustalał punkt widzenia, z którego historyk sztuki ma rozpatrywać zabytki przeszłości, a zarazem dawał możliwość łączenia, niby cementem krytycznym, wszystkich okresów dziejów sztuki w jeden doskonały całokształt. Jakoż w kilkanaście lat po ogłoszeniu „*Italienischen Forschungen*“ widzimy już próby wydawnictwa całkowitych dziejów sztuki.

Ta więc metoda Rumohra badania zabytków sztuki polega na stosowaniu do każdego zabytku badanego ogólnych pojęć filozoficzno-estetycznych i zgodnem z temi pojęciami zabytków klasyfikowaniu i grupowaniu.

Pierwszym, który według metody Rumohra odważył się opracować całokształt z historii sztuki, był Franciszek Kugler († 1858). Tytuł dzieła: „*Handbuch der Kunstgeschichte*“, 2 tomy, wydane w r. 1847. Był to krótki podręcznik, zawierający raczej tylko plan ogólny podziału szczegółowego całej historii sztuki. Nieomal współcześnie z Kuglerem Schnaasse (1798—1875) ogłosił ośmioto-

¹⁾ Posłuchajmy słów jego własnych: „*Die Kunst ist eine dem Begriff oder dem Denken in Begriffen entgegengesetzte, durch hin anschauliche sowol Auffassung als Darstellung von Dingen, welche entweder untergegebenen oder auch unter allen Umständen die menschliche Seele bewegen und bis zum Bedürfniss der Mittheilung erfüllen. Auch ohne alle Erfahrung über die Grösse ihrer Leistungen werden wir demnach schon aus ihrem Begriffeschliessen müssen dass erst die Kunst das geistige Leben und Wirken vollende; dass sie das Gebiet des Geistes erweitere und ausrunde; dass sie Wünsche und Bedürfnisse der Seele befriedige, welche der Begriff stets unerfüllt lässt.*“

mowe swoje dzieło p. t. „Geschichte der bildenden Künste,“ które obejmuje powszechne dzieje sztuki, ale tylko do Brunelschi'ego, t. j. do w. XV doprowadzone zostało. Za nimi drogą przez Rumohra wytkniętą idą: Passavant († 1861), Waagen (1794—1868), Kotho (1802—1873), Reumont (1808—1887). Osobliwszym darem umiejętnego grupowania dzieł sztuki i bystrym o nich sądem krytycznym wyróżnił się autor sławnego przewodnika dla podróżujących po Włoszech, p. t. „Cicerone,“ Jakób Burhardt z Bazylei. W popularyzowaniu znajomości dziejów sztuki w Niemczech nie mniejsze posiadał zasługi Antoni Springer (1825—1891). Jednym z najznakomitszych badaczy w tej dziedzinie, który przede wszystkim położył zasługi przez nawiązanie węzła pomiędzy historią sztuki i historią kultury, jako też rzucił wiele nowego światła na twórczość kilku najgenialniejszych artystów, jak: Michała Anioła, Rafaela i t. d., jest Hermann Grimm, ur. 1828. Do tej również grupy należą: Unger, Ernest Förster, Eitelberger (1817—1885), Herman Riegel (ur. 1834), Herman Hettner (1821—1882), Wilhelm Lübke (1826—1893); ten ostatni zasłynął również jako popularyzator dziejów sztuki.

Do młodszej generacji w Niemczech należą: Zahn, Thausing, W. Schmidt, Fran. Reber, Alfr. Woltman (1841—1880), Ed. Dobbert, C. v. Lützow, Bucher, Rud. Rahn, I. v. Falke, W. Bode, Robert Dohme (1845—1893), Lippmann, K. Justi, Hub. Janitschek (1847—1893), Lange, Henry, Thode, R. Vischer, Semper, Kraus, Dehio, Schmarsow, Lind, Wolf, Schnütgen, Spahn i inni.

Badaniu dziejów architektury w szczególności poświęcili się architekci: Karol Fryderyk Schinkels (1781—1841), architekturze greckiej Karol Bötticher a Godfryd Semper greckiej i rzymskiej, Durm pisał o stylach pod względem technicznym, Hübsch, Lotz, Hase, Essenwein i Adler o architekturze średniowiecznej.

Dziwna rzecz, że w tym olbrzymim, jak widzimy, ruchu w Niemczech, skierowanym ku badaniu zabytków przeszłości, dotąd zaniedbano dokonać tego, od czego właściwie pracę rozpocząć należało. Mamy tu na myśli inwentaryzację zabytków sztuki.

Wszelkie wyniki badań naukowych wtedy dopiero krzepną i z mglistej krainy hipotez w słoneczną, o twardym gruncie, krainę pewników naukowych przechodzą, skoro są w stanie nie jednym sporadycznym, ale wielu analogicznymi faktami uzasadnić swe prawo do pewności i nieomyłności. Takich dowodów historykowi sztuki w jego badaniach nad zabytkami sztuki dostarczyć może jedynie dokładna inwentaryzacja tychże zabytków. Niestety! o niej długo w Niemczech nie pomyślano.

Dopiero w ostatniej ćwierci zeszłego stulecia widzimy w całych Niemczech olbrzymi ruch skierowany w celu zapelnienia tej ważnej luki. Praca to była kolosalna i nader mozolna.

Zapoczątkował ją i dał jej plan ogólny ks. Franc. Kraus w dziele p. t. „Kunst und Alterthum in Elsass-Lothringen“ pomiedzy 1876—1892. Tenże łącznie z Durmem i Wagnerem w r. 1887 wydał spis inwentarza zabytków w. ks. Badeńskiego. Saksonię zinwentaryzował w r. 1879 Nordhoff, a w r. 1882 powtórnie Steche. Tenże w r. 1884 dokonał inwentaryzacji Prus Zachodnich, a w r. 1886 Szlezwig-Holsztynu. W tymże roku Lehfeldt ogłosił inwentarz prowincyj Nadreńskich, Kohte i Warschauer w r. 1896 W. Ks. Poznańskiego. Nadto zinwentaryzowano: w r. 1885 Brandenburgię, w r. 1890 Śląsk, w r. 1889 Wirtemberg, w r. 1892 Bawaryę, w r. 1887 w. ks. Hessen, w r. 1902 w. ks. Meklemburg-Schwerin.

Aby wytworzyć sobie dokładne pojęcie o olbrzymim rozwoju studyów nad dziejami sztuki w Niemczech należy również zwrócić uwagę na znaczną ilość wydawnictw peryodycznych, poświęconych wyłącznie temu przedmiotowi. I tak: już w r. 1820 w Sztutgarcie począł wychodzić „Kunstblatt,” wydawany do 1840 r. Wkrótce potem Lützow zaczął redagować „Zeitschrift für bildende Kunst“ i „Kunstchronik.“ W Lipsku 1866 r. ukazał się „Kunstgewerbeblatt.“ Zahn, poczynając od 1868—1873 r., wydawał: „Jahrbuch für Kunstwissenschaft,” jakoteż „Repertorium für Kunstwissenschaft.“ W Berlinie od r. 1880 wychodzi rocznik: „Jahrbuch der königl. preus. Kunstsammlung,” w Wiedniu również „Jahrbuch d. kunsthist. Sammlung d. allerhöchst. Kaiserhauses.“ W roku bieżącym w Lipsku „Monatshefte für Kunstwissenschaft.“ Wymieniliśmy te tylko wydawnictwa peryodyczne, które są przeznaczone i poświęcone całkowitej historii sztuki, niepodobna nam bowiem wyliczać wszystkich, które pewną tylko jej gałąź uwzględniają albo w ogólnym programie i historię sztuki obejmują.

*

*

Należy przyznać, że praca nad rozwojem historii sztuki w ciągu zeszłego wieku wśród innych narodów Europy daleko powolniejszym postępowała krokiem, aniżeli w Niemczech, stąd też bardzo mało przyczyniły się one do udoskonalenia i pogłębienia metody badania zabytków sztuki.

W pracy, mającej na celu wskazać genezę i to tylko, co do dalszego rozwoju historii sztuki przyczynić się mogło, niepodobna jest nużyć czytelnika opisem całkowitego rozwoju historii sztuki wśród każdego w szczególności narodu, tem więcej, że dla przedstawienia tego ruchu w Polsce, jako więcej nas interesującego, mamy zamiar uczynić jedyny wyjątek; dlatego o rozwoju historii sztuki wśród innych narodów Europy, dla wytworzenia sobie całkowitego poglądu, krótko tylko wspomnimy.

We Włoszech w końcu XVIII i na początku XIX w. ukazało się kilka prac drobnych, dotyczących pojedynczych zabytków sztuki. Najlepsze z nich: „Lettere Sanesi“ Giuliano della Valle i „Storia del duomo di Orvieto.“ Większą pracę w sześciu tomach ogłosił Lodovico Lanzi (1732—1810) p. t. „Histoire de la peinture en Italie depuis la renaissance des beaux-arts jusqu'à la fin du XVIII siècle,“ Giovanni Rossi (1776—1855) zaś w 4 tomach także „Storia della pittura italiana.“ Ale te prace, żadnej nie wyłączając, nieposiadają naukowej wartości. Nie rozpatrując zabytków w stosunku do powszechnych dziejów sztuki, ale zupełnie oderwanie, nie stosują wcale naukowej metody.

Dopiero Gaye (1804—1840), a potem Bonaini, Carlo, Gaetano, Milanese, Guasti zaczęli przy studyach uwzględniać metodę naukową i w tym celu czynili mozolne badania archiwalne. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje zbiorowa praca Anglika J. A. Crowe'go i Giov. Balt. Cavalcasalle p. t. „New History of Painting in Italy,“ wydana w 1864 r., która po dziś dzień i długo jeszcze zapewne będzie miała wielką powagę, mianowicie w kwestyach dotyczących malarstwa włoskiego okresu przedrafaelowskiego.

Do dalszego postępu historii sztuki i do udoskonalenia stosowanej dotąd metody naukowej badania zabytków sztuki wielce się przyczynił genialny krytyk artystyczny Giov. Morelli (1816—1891), piszący pod pseudonimem Lermolieff.

Z zawodu medyk, począł do badania zabytków malarstwa stosować metodę t. zw. doświadczalną. Morelli twierdził mianowicie, że każdy wybitniejszej indywidualności artysta, nie tylko wyróżnia się w ogólnej technice malarskiej odrębnymi, sobie właściwymi cechami, ale że i w szczegółach, w sposobie malowania

członków ciała np. oka, ucha etc. cechuje go odrębna technika. Morelli jest zatem ojcem t. zw. metody doświadczalnej, która polega na tem, że przy badaniu zabytku sztuki należy zwracać szczególniejszą uwagę na technikę artysty, a osobliwie na sposób wykonania drobnych szczegółów.

Gdy mowa o Włoszech, niepodobna też pominąć pisma peryodycznego bardzo dla rozwoju dziejów sztuki zasłużonego p. t. „Archivio storico dell'arte“ wraz z jego uczonymi redaktorami: Cattaneo, Baldoria, Venturim, Boito i Ridolfim.

We Francji pierwszy, według metody naukowej, rozpoczął studia nad zabytkami sztuki Rio. Następnie świetnie tę metodę rozwijali S-te Beuve, Taine i inni. Również wiele zasług dla dziejów sztuki położyli: Blanc, Eug. Müntz, de Lasteyrie, Courajod, Molinier, Gonse, bądź to w oddzielnych książkach publikując wyniki swoich studyów, bądź też w specjalnych pismach peryodycznych, jak: „Revue archéologique“, „Gazette des beaux-arts“ lub w „Journal de l'art.“

Anglicy, w celu szerzenia wśród ziomków zamiłowania do historii sztuki, już w XVIII w. zawiązali dwa stowarzyszenia: „Dyletantów“ od r. 1784 i „Antykwaryuszów“ od 1770 — 1876 r. W XIX w. zamiłowanie do zabytków sztuki wielce się wzmogło. Na czele tego prądu stali tak wybitni mężowie, jak: Crowe, Eastlake, Westwood, Ruskin.

Niderlandzcy historycy sztuki, jak: Vosmaer, van Someren, A. I. Wauters, de Vries, van der Kellen, zajmowali się prawie wyłącznie tylko zabytkami świetnej w dziejach sztuki przeszłości własnego narodu.

W Rosji na polu studyów nad historią sztuki odznaczyli się: Siergiej Uwarow (1786—1833), Köhler (1765—1838), Ludwik Stefani (1780 — 1851). Słynie, jako znawca sztuki bizantyńskiej, Kondakow.

*

*

*

U nas to pole naukowej pracy długo odłogiem leżało. Około połowy zeszłego wieku widzimy dość liczne grono uczonych polskich, poświęcających się badaniu zabytków przeszłości tak w Warszawie, jak i w Krakowie. W Warszawie świetnie rozpoczęła się praca i, na podstawie zaczątków, należało się spodziewać, że badacze zabytków przeszłości niezadługo wkroczą na ściśle naukowe tory. Wyborny skład uczonych warszawskiego grona kazał tego oczekiwać. Widzieliśmy w nim wprawdzie idealistę i na polu naukowej pracy, lubującego się w ryzykownej syntezie F. M. Sobieszczańskiego, ale obok niego znajdował się trzeźwy i krytyczny umysł Bolesława Podczaszyńskiego. I dalej, pełnemu ognia, zapału i żądzy czynu, ale dlatego w pracy rozrzuconemu, Edwardowi Rastawieckiemu można było przeciwstawić systematyczny i chłodny umysł Karola Bayera. Jakoż wspaniałe i źródłowe wydawnictwa, które w tym czasie w Warszawie ukazywać się zaczęły, jak: „Wzory sztuki średniowiecznej“ A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego od 1858—1862 (Warszawa—Paryż), „Słownik malarzów polskich“ od 1850—1857 E. Rastawieckiego, „Pamiętnik sztuk“ od 1850—1854, redagowany przez Podczaszyńskiego, „Monety Piastów“ K. Stronczyńskiego 1846, zdawały się zapowiadać, że praca nad historią sztuki w Polsce obierze sobie w Warszawie główne siedlisko. Niestety! nieszczęśliwe wypadki krajowe i wskutek tego niemożliwość skupienia sił naukowych około jednego środowiska, którym z natury rzeczy winien być uniwersytet, albo jakieś Towarzystwo naukowe, zniweczyła w zarodzie dobrze poczętą pracę w Warszawie i w Wilnie, gdzie E. Tyszkiewicz i A. H. Kirkor równie gorliwą na tem polu rozpoczęli działalność. Ze śmiercią tych uczonych wygasa też pod panowaniem rosyjskiem zamięłowanie do badania zabytków przeszłości. Z. Gloger i M. Bersohn to jakoby ostatni maruderzy świetnego grona archeologów warszawskich połowy zeszłego stulecia.

Pracę naukową, której warunki polityczne nie pozwoliły rozwinąć się w Królestwie, wzięła w swoje ręce Galicya. Warunki miejscowe sprzyjały zadaniu. Żadne inne miasto na ziemiach polskich nie nadawało się lepiej na siedlisko dziejów sztuki, jak Kraków. Z murami jego najpiękniejsze karty dziejów narodu były związane, on też największą ilość narodowych zabytków sztuki przechował, posiadał muzea, wspaniałe biblioteki, słowem wszystko, co uczonemu badaczowi ułatwia pracę. Świeżo ogłoszona autonomia, dwa uniwersytety polskie, możność organizacyi towarzystw naukowych pozwalały łączyć się w celu wymiany myśli

i systematycznej pracy. Jednego Krakowowi brakowało, brak było... ludzi odpowiednio przygotowanych.

Wprawdzie w tym czasie, gdy grono uczonych warszawskich z wyteżoną energią nad zabytkami przeszłości pracowało i na gruncie krakowskim widzimy kilku uczonych badaczy, jak: Ambroży Grabowski, Kremer, Józef Łepkowski, Żebrowski, a przede wszystkim Paweł Popiel, który, jak pisze jego biograf, „wniósł w atmosferę starego Krakowa wyższy nastrój, miłość i odczucie wartości polskich zabytków i pomników sztuki i stał się duchowym przewodnikiem grona znawców;“ ale wśród tych skądinąd czcigodnych badaczy i niestrudzonych pracowników brakowało takich umysłów i takich charakterów, jakie Warszawa miała w osobie Podczaszyńskiego i Bayera. Było tam wiele pracy, jeszcze więcej zapału, a najwięcej miłości, która niezawsze jest neutralną, w sądach bezstronną, w działaniu taktowną, a w pracy krytyczną.

Prawdziwie naukowa działalność badaczy krakowskich rozpoczyna się dopiero od chwili otwarcia Akademii Umiejętności w r. 1873, a ściślej mówiąc od utworzenia przy niej na wniosek Lucyana Siemieńskiego osobnej Komisji do badania historii sztuki.

Celem tej Komisji było zespolic działalność wszystkich polskich uczonych nad historią sztuki pracujących i podnieść tę gałąź wiedzy na wyżynę na jakiej stała ona na Zachodzie.

Jednym z najczynniejszych i najwięcej zasłużonych członków tej Komisji był Władysław Łuszczkiewicz (1828—1900). Działalność naukowa nieomal całego życia Łuszczkiewicza ma na celu prawie wyłącznie tylko studia nad architekturą romańską w Polsce. Tym studiom 44 lat życia swego poświęcił. Wskutek tego skoncentrowania się Łuszczkiewicz doszedł do bardzo poważnych rezultatów, zebrał plon obfity i w sprawach dotyczących romanizmu w Polsce stał się pod koniec życia najwyższą powagą. Wszakże w działalności na tem polu należy rozróżnić dwa okresy, których granicznym słupem była chwila przyjęcia go do liczby członków Komisji i do badania zabytków sztuki. Prace jego z pierwszego okresu nie wytrzymują jeszcze ścisłej naukowej krytyki. Łuszczkiewicz nie był z zawodu wykwalifikowanym historykiem sztuki. Po dwuletnich studiach w Uniwersytecie Jagiellońskim na wydziale filozoficznym przez rok jeden uczęszczał do paryskiej Akademii „des beaux arts,“ a po powrocie do kraju objął wykłady w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. W Krakowie wpływ Grabowskiego, Siemieńskiego, Kremera, Żegoty Pauli'ego, a osobliwie Pawła Popiela tak na niego oddziaływał silnie, że postanowił

poświęcić się badaniu ojczystych zabytków. Jak słabo był on przygotowany do tych studyów najlepiej świadczy o tem sam tytuł pierwszej jego pracy w r. 1856 w „Czasie“ ogłoszonej: „Wiadomość o zabytku architektury bizantyńskiej w klasztorze jędrzejowskim.“ O tym pierwszym okresie naukowej działalności Łuszczkiewicza p. Leonard Lepszy w nekrologu jego powiada: „Wykształcenie dalsze w tym i w innych kierunkach jego wielostronnej wiedzy przypisać należy własnej późniejszej pracy nad sobą.“¹⁾ To też istotnie skoro się porówna tę pierwszą pracę Łuszczkiewicza z historią sztuki z ostatnią jego pracą „Architektura romańska kościoła Ś-go Andrzeja w Krakowie“ cześć i uwielbienie dla jego osoby budzi ten nadludzki wysiłek woli i pracy. Jakże wielkie musiało być umiłowanie przedmiotu, któremu on swe życie poświęcił!

W drugim zaś okresie naukowej działalności stopniowo daje się spostrzegać w pracach Łuszczkiewicza coraz skrupulatniejsze rachowanie się z wymaganiami ścisłej metody krytycznej. Był to widoczny z jednej strony wpływ dyskusyj na posiedzeniach Komisji odbywanych, a z drugiej dowód mozolnej jego pracy nad sobą. Pracował bardzo. D-r Tomkowicz w nekrologu Łuszczkiewicza wylicza 161 artykułów i rozpraw i 34 recenzje z publikacyj artystycznych, któreby mogły zapełnić kilkanaście tomów.

Zaprawdę, było to opatrnościowem dla badań nad dziejami sztuki w Polsce, że w chwili otwarcia przy Akad. Umiejętności komisji do badania zabytków sztuki stanął do pracy młody uczo-ny historyk sztuki, świetnie w swym zawodzie wyspecjalizowany i pełen zapału dla prac projektowanych—prof. Maryan Sokołowski.

Dotychczasowe prace naukowe nad zabytkami sztuki krakowskich uczonych tę posiadały kapitalną wadę, że nie rachowały się z naukową metodą na Zachodzie, powszechnie już stosowaną, i dlatego nie posiadały naukowej wartości. Nietylko nie uwzględniano w badaniach ani metody estetycznej i filozoficznej Rumohra, ani doświadczalnej Morelli'ego, ale nawet stosując metodę historyczną Niebuhra do ojczystych zabytków sztuki, zgodnie z duchem ówczesnej, idealistycznej, historycznej szkoły lelewelskiej, stosowano ją stronnie, przy silnem zabarwieniu narowego szowinizmu. P. Leonard Lepszy we wspomnianym nekrologu Łuszczkiewicza o badaczach krakowskich tego czasu pisze: „Niezwyczajna miara szowinizmu, maskującego niewiarę, brak wszelkiej

¹⁾ Sprawozdanie Kom. do bad. hist. szt. T. VII, zes. I i II, str. III.

ufności w powodzenie poważnych badań, kazała rozgłaszać, że Stwosch i Kulmbach byli krakowianami; mnożyły się ich atrybucye do niebywalej liczby, a nikt nie miał odwagi potępić publicznie to naukowe kłusownictwo, nikt skarcić i wręcz oświadczyć, że z pergaminów spłowiałych wytarte niemieckie wyrazy, wydarte z kodeksów karty, na obrazach wywabione podpisy — to nieuczciwość; że to swawoli i nieuctwa dowody, które ani nam nie przynoszą chluby, ani zwiększą zastępu naszych artystów z przeszłości, ani też nie zmieniają żadnego faktu, a zaciemniają tylko i utrudniają badanie nad istotnem odbudowaniem historii naszej cywilizacyi i pomników naszej kultury. Atmosfera to była ciężka, fatalna, bo porywała za sobą i zdrowsze jednostki lub je do tego stopnia oniesmiała, iż nie miały odwagi męskiej, by walkę z nią rozpocząć i pokonać stanowczo tę z fałszywego pojęcia patryotyzmu zrodzoną metodę.¹⁾ Niewątpliwie, źródło tej błędnej metody było najczystsze — gorąca miłość ojczyzny i pragnienie zwiększenia jej blasku, ale dla tych szlachetnych pobudek stracono z okągodność nauki polskiej, która nie mogła sprzeniewierzyć się „prawdzie,” zapomniano o zasadzie „amicus mihi Plato, sed magis amica veritas.”

Tym, który do boju wystąpił z owym fałszywym prądem w łonie Komisji, był prof. Maryan Sokołowski. Zamiłowanie prawdy i świetna metoda naukowa, którą, po ukończeniu studiów na uniwersytetach: paryskim, hejdelberskim i wiedeńskim, do kraju przyniósł, były jego bronią pewną i niezawodną. Znakoμίta jego praca p. t. „Ruiny na ostrowie Lednicy“ i t. d., ogłoszona w Pam. wydz. filolog. i filozof. Akad. Umiejętn. III w roku 1876 nieco podobną odegrała rolę w dziedzinie badań nad zabytkami sztuki, jak sławne w swoim czasie „Dzieje Polski w zarysach“ Bobrzyńskiego wśród naszych historyków. Nie wywołała ona tej wrzawy i tej zaciętej dwóch kierunków polemiki, jaką „Dzieje“ wywołały, bo nie była pracą polemiczną, ale ściśle naukową, to też odniosła nad starym kierunkiem zwycięstwo ciche, ale stanowcze, nie treścią bojowniczą, ale wartością naukową. Stała się odtąd wzorem, jak nasze zabytki badać i opracowywać należy.

Ale i w zapale do pracy prof. Sokołowski nie ustępował takim gorącym badaczom, jak Łuszczkiewicz lub P. Popiel. Owszem, i tu górował nad nimi o tyle, że jako wyspecjalizowany historyk sztuki, wiedział co czynić należy, aby na tem polu naukowej pra-

¹⁾ Sprawozd. Kom. do bad. Historii sztuki. T. VII. Zesz. I i II, str. III.

cy stanąć na jednym poziomie z Zachodem. Na posiedzeniu Komisji z d. 3 lutego 1887 r. prof. Sokołowski złożył na ręce przewodniczącego projekt reform Komisji, zamknięty w 19 punktach, a żądający: zwiększenia tak liczby członków Komisji, jak i korespondentów, ogłaszania sprawozdań z posiedzeń tak w rocznikach Komisji, jak i w pismach peryodycznych, rozszerzenia całej działalności Komisji, ułożenia słownika wyrazów polskich, dotyczących sztuki, jakoteż bibliografii dzieł tejże treści i t. d. Projekty jego zostały na posiedzeniu Komisji jednogłośnie przyjęte.

Wpływ Sokołowskiego na członków Komisji był znaczny. Ciekawą jest rzeczą śledzić w sprawozdaniach z posiedzeń, jak dyskusye, prowadzone na sesjach, stopniowo pod tym wpływem coraz skrupulatniej liczyły się z wymaganiami metody naukowej. Dnia 11 lutego 1892 r. Sokołowski zostaje wybrany na prezesa Komisji. Od tej chwili Komisya ze zdwojoną gorliwością pracuje. Znamionną jest rzeczą, że zeszyty „Sprawozdań,” odtąd ogłaszane, dwu i trzykrotnie objętość swoją zwiększają. Już w marcu 1892 r. staraniem Komisji tworzy się nowe jej grono lwowskie, które dokoła siebie gromadzi takich uczonych jak: Władysław Łoziński, Wojciech hr. Dzieduszycki, Bołoz Antoniewicz, Finkel, Aleksander Czołowski i inni, a które nie mniej energicznie wzięło się do pracy.

Wkrótce też w Krakowie powstaje Tow. miłośników historii i zabytków miasta Krakowa, które od r. 1898 wydaje „Rocznik krakowski,” obejmujący prace nad zabytkami Krakowa najznakomitszych naszych badaczy.

Liczba uczonych, badaniu zabytków sztuki poświęconych w Galicyi, znakomicie wzrosła. Pocieszającym jest objawem dla stanu tej gałęzi wiedzy, że wśród uczonych krakowskich nastąpiła specjalizacya studyów. Architektura, rzeźba, malarstwo, złotnictwo, tkactwo, numizmatyka, słowem, nieomal każdy dział historii i sztuki posiada przynajmniej jednego znakomitego specjalistę. Wyróżniają się nazwiska takich badaczy, jak profesorowie: hr. Mycielski, Konst. Górski, Bieńkowski, Demetrykiewicz, dyrektor Muz. Nar. Kopera, Leon Lepszy, Tomkowicz, Muczkowski, Pagaczewski, Odrzywolski, Hendel, Bartynowski, Chmiel, Gumowski, Ciercha, nie licząc najmłodszej generacyi uczniów prof. Sokołowskiego, z których dali się już poznać: Nikodem Pajzderski, Fran. Klejn, Konstancya Stębowska.

Nakoniec inwentaryzacya zabytków sztuki w Galicyi ma się już ku końcowi. Tak koło c. k. konserwatorów starożytnych po-

mników Galicji Wschodniej, jak i grono konserwatorów Galicji Zachodniej ogłosiły już po dwa wielkie tomy „Teki konserwatorów.“ Wspaniałe te publikacje w niczem nie ustępują najokazalszym tego rodzaju wydawnictwom na Zachodzie.

Oby tylko zawiązane przed dwoma laty w Warszawie Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości zdołało i Królestwo z półwiekowego letargu kulturalnego w sprawie zabytków sztuki ocucić!

Ks. WŁADYSŁAW GÓRZYŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

NAUKA I SZTUKA, t. II. *Dante*, napisał Edward Porębowicz (z 73 ilustracjami, str. 170). Wydawnictwo Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Altenberg. Warszawa, Wende i Sp.

Z mroków sześciu stuleci wychyla się tajemnicza postać florenckiego wieszczu, niby dwulicowy posąg Janusa, jednym obliczem zwróconem ku przeszłości średniowiecznej, w której tkwi wszystkimi korzeniami, a drugim wpatrzonem niespokojnie, napół nieświadomie, ale z natężoną uwagą we wschodzącą zorzę nowego świata, zaledwie wyśnionego w nadludzkich wizjach. Młodość jego przypada na czas wrzenia i walki. Sam stoi na pograniczu dwu epok, które zasadniczo różnią się od siebie. Takie zaś czasy są zazwyczaj kolebką silnych indywidualności, kołyską geniuszów.

Niewielu poetom danem było tak jak Dantemu i wznieść się ponad poziom współczesnych, i wybitny wziąć udział w polityczno-społecznem życiu swojej ojczyzny, i donieść wywrzeć wpływ na potomność; jednym słowem połączyć w sobie szczytne miana: poety, obywatela, patrioty, wieszczu narodowego, niemal proroka. Wielbiony, choć zarazem srodze przez los dotknięty, wygnaniec florencki stał się, pół tysiąca lat później, dla odradzających się w XIX w. Włoch, prawie że bożyszczem. Jego dzieła w języku ludowym, dające podstawę literaturze narodowej, były niewidomym łącznikiem, który spajał przez pięć stuleci rozbite organizmy polityczne półwyspu apenińskiego, aż je złączył w jedną całość, uświadomioną pod względem kulturalnym i narodowym.

Dante jednak dzieła swe, choć działały na późniejsze pokolenia, pisał przede wszystkim dla współczesnych, a nie dla potomnych. A jednostka, choćby najgenialniejsza, jest dzieckiem swej

epoki. Ówczesne położenie Italii i stosunki polityczne warunkują jego stanowisko do otoczenia. Ówczesne wyobrażenia i poglądy objaśniają jego życie duchowe, jego wierzenia i sądy. Nieśmiertelne jego twory noszą znak czasu i tylko na tle epoki mogą być zrozumiane. To też najnowsza o Dantem monografia poprzedza rozbiór twórczości i życia poety florenckiego rzutem oka na ówczesny stan Italii, zaznaczając trafnie we wstępie, że „do zrozumienia Dantego potrzeba: zanim się wstąpi w progi stolicy wielkiego ducha, odbyć podróż po jego dziedzinie; uprzytomnić sobie rysy epoki, oswoić się z warunkami, w których geniusz wyrastał i działał.“

Po kolei przesuwają się przed naszymi oczyma tło dziejowe europejskie; tytaniczny bój cesarstwa i papieństwa, z którego jedno i drugie wyszło osłabione. Poeta, jako monarchista, z boleścią patrzy na upadek jednej i drugiej władzy i skarży się w „Czyśćcu“ na te stosunki (XVI. 106—115). Gorzej jednak działo się z ojczyzną Dantego, która była ową kością niezgody między walczącymi mocarstwami. Rozkawałkowana na drobne księstwka i rzeczypospolite, żrące się między sobą, odczuwała ona jarzmo coraz to innego najeźdźcy. Na południu panował Arragończyk w Sycylii, Francuz w Neapolu, na północy, w Lombardyi, hordy niemieckie pustoszyły ziemię. W miastach dochodzili do władzy ludzie, niegodni tego imienia, którzy walczyli zbrodniami, aby się utrzymać przy sterze rządów, prześladowając politycznych przeciwników z bezwzględną srogością. W Medyolanie rodzina della Torre, w Piacenzy Albert Scotto, w Ferrarze Azzo, a w Weronie Ezzelino, „wcielony dyabeł w ludzkiej postaci“, jak go nazywają jednogłośnie współcześni kronikarze. To też rozumiemy Dantego, gdy woła z głębi zbolełego serca:

Biedna Italia, bólu gościnnica,
Wśród wielkiej burzy bez sternika nawa;
O, już nie *pani* ludów—nierządnicą!

Ziemia Italii jest pełna tyranów.

(„Czyścić.“ VI. 76 i n.)

Nie lepiej się działo w miastach, które były rzeczypospolitami, jak np. w Wenecyi o ustroju ściśle oligarchicznym lub w rodzinnym mieście poety, Florencyi. I tam tworzyły się partye, które zwalczały się nawzajem z niesłychaną zaciekłością. Stronnictwa Guelfów i Ghibellinów, którym dawniej przypisywano jakieś ogólne zasady polityczne, w gruncie rzeczy powstawały na

na tle waśni rodzinnych, jak to miało miejsce we Florencyi i były jakby dwie choroby zaraźliwe, naprzemian grasujące. To jedno, to drugie stronnictwo dochodziło do władzy, a wówczas następował krwawy obrachunek z przeciwnikami.

Dante służył ojczystemu miastu zarówno orężem pod Campaldino przeciw Aretynom a następnie Ghibellinom z miasta Pizy, jak słowem i piórem. Zastugi jego wynagrodzono później wyborem do kolegium Priorów, najwyższego urzędu w mieście, złożonego z sześciu dostojników. Nie długo jednak poeta cieszył się pomyślnością rodzinnego miasta. Nastąpiły walki Białych i Czarnych. W czasie nieobecności Dantego, stronnictwo przeciwne zwyciężyło. Poetę oskarżono o różne nadużycia i ogłoszono go banitą. Ten sam los spotkał oczywiście całą jego partyę. Odtąd Dante błąka się przez lat dziewiętnaście, tęskniąc za ojczystem miastem, które wspomina nieraz w rzewnych słowach („Raj,” XV, 97, VI). Podczas tej tułaczki krystalizował się pomysł „Boskiej Komedyi,” której opracowanie przypada jednak dopiero na lata 1314—20, t. j. na ostatnie siedm lat życia poety. Umarł w Rawnie, w r. 1321, pełen gorzkości i oburzenia na nikczemność współziomków, nie doczekawszy się powrotu, o którym zawsze marzył.

Na tle tych wydarzeń i w związku z ówczesną literaturą prowansalską i włoską następuje rozbiór poszczególnych utworów. Liryka Dantego, zawarta w trzech zbiorach w „Nowem życiu” („Vita nuova”), „Biesiadzie” („Convivio,” względnie „Convito”) i „Piosenniku” („Canzoniere”), ustępy, odnoszące się do nowego, słodkiego stylu (il dolce stil nuovo), oraz dwa łacińskie dzieła: „O języku ludowym” („De vulgari eloquentia”) i „O monarchii” („De monarchia”), złożyły się na trzeci rozdział, zatytułowany „Dzieła mniejsze.” Część to może najciekawsza i najmniej znana laikom. „Nowe życie” jest spowiedzią poety ze swej młodzieńczej miłości, a zarazem reakcją do pewnego stopnia przeciw zbyt zmysłowemu kierunkowi liryki prowansalskiej w pojmowaniu i uwielbianiu kobiety. „Dama” przestaje być istotą ziemską i przeobraża się w symbol. Taką staje się „Donna pietosa” z „Nowego życia” w następnym utworze w „Biesiadzie.”

„Boskiej Komedyi” poświęcono osobny rozdział. Pomysł wędrówki zaświatowej miał za sobą już tradycję dwu tysięcy lat. Od Homera, Wergiliusza do „Legendy o św. Patrycyu” i Houdan’a („La Voy ou le Songe d’Enfer”), całe mnóstwo utworów przewija się w średniowiecznej literaturze. Dante doprowadził ten rodzaj do ostatniej doskonałości, nadawszy swym wizjom niesły-

chanie plastyczne kształty. Wykład idei i budowy artystycznej poematu, do którego powstania, jak poeta sam mówi, „ziemia i niebo rękę przykładają,” bardzo staranny, miejscami wprost świetny. Ostatnia część książki zajmuje się Dantem, jako artystą i indywidualnością i widzi w nim twórcę o żywiołowej mocy, „który w organizmie mózgu przyniósł na świat fatalny popęd i moc nadawania myślom kształtu, dźwięku i barwy“ (str. 155).

Powyższy zarys daje słabe wyobrażenie o bogactwie szczegółów, zawartych w dziele. Autor, jedyny u nas romanista, wybitny znawca quattrocenta, oddany kultowi florenckiego wieszczu od wielu lat, był jakby przeznaczony do napisania tej książki. Oczywiście nie mogło być mowy o tem, aby niniejsza monografia wzbogaciła nieprzebraną literaturę dantejską nowymi przyczynkami lub odkryciami archiwalnymi. Badania w tym kierunku są już od dawna niemal wyczerpane, a zgoda u nas niemożliwe. Przytem nie zgadzałoby się to z rozmiarami książki, mającej na dziesięciu arkuszach objąć życie i dzieła jednego z najpotężniejszych mocarzy słowa. Samo już opanowanie odnośnej literatury przedstawia niemałe trudności, a zachowanie miary w ocenie poszczególnych utworów, wykład ich idei i trafny wybór w powodzi hipotez, bardzo często ponętnych, ale nie ugruntowanych na realnych podstawach, nie należą również do łatwych. Prof. Porębowicz wybrnął szczęśliwie z tych trudności, nie obładował swego dzieła zbyt erudycją, ni balastem wątpliwych hipotez, choć w wielu miejscach nawet fachowy badacz znajdzie oryginalne poglądy na zapatrywania religijne, a zwłaszcza polityczne, Dantego i na jego stosunek do otoczenia. Dokładna zaś znajomość epoki i wyrobiony smak estetyczny pozwoliły autorowi wycisnąć na książce indywidualne piętno i stworzyć całość zajmującą, którą się czyta gładko i z wzrastającym zajęciem.

Pozostaje jeszcze słów kilka powiedzieć o zewnętrznej szacie książki, która zasługuje ze wszech miar na wyróżnienie. Drukowana, jak całe wydawnictwo „Nauki i Sztuki“ na wytwornym, pergaminowym papierze bezdrzewnym, ozdobiona licznymi rycinami, bardzo udatnemi, może śmiało rywalizować z zagranicznymi publikacjami tego rodzaju, a stanowczo przewyższa rozpowszechnione u nas „Künstler-Monographien“ Knackfussa lub „Weltgeschichte in Charakterbildern“ Kirchheima.

H. R.

ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI. *Dla ludzi*. Powieść (luźne kartki współczesnego rękopisu). Kraków, 1908. Spółka Wydawnicza Polska. Str. 261.

Powieść, przesiąknięta nawskroś liryzmem, a nie polująca na żadną sensację aktualną— to zjawisko w dzisiejszych czasach interesujące. Przywykliśmy tak do mocno realistycznych utworów Zoli i Maupassanta, do beznamietnych studyów Prévosta, do psychologicznych problemów sumienia Bourgeta, względnie do ich naśladowców, że z pewnem niedowierzaniem zabieramy się do powieści, przetkanej wierszami. To jakiś anachronizm w obecnej dobie, anachronizm może zresztą ciekawy. Na całość składa się, oprócz właściwej powieści, nowela, poemat, rozpamiętywania i kilka fragmentów wierszowych. Luźno wtrącone, związane ziąkcyą o tyle, że ilustrują w danej chwili rozpaczliwy stan duszy występujących osób, robią wrażenie *hors d'oeuvre'u*, które znalazło miejsce w książce, bo nie nadawało się osobno do druku.

Bohater, Juliusz Żniatyński, nieodrodny potomek znanych typów romantycznej literatury, wiecznie w rozterce ze sobą, a zwłaszcza ze światem, chory, zdenerwowany, bezsilny, dręczy siebie i innych. Jego stosunek do Janiny przypomina mimowoli stosunek Judyma do bohaterki „Ludzi bezdomnych.” Romantyczne akcesorya, któremi go autor otacza, wydają się mocno teatralne. Jak Wacław w „Maryi” lub hr. Henryk, tak i on błądzi podczas burzy, w ciemnej nocy, uganiając się z wichrem, dysputując z chmurami. Nie bez wyraźnej reminiscencji z „Nieboskiej” czytamy: „Pisz poemat, pisz dramat—natrzęsały się z niego wszystkie nerwy jego.—Będzie wielki, potężny! No, zacznij—posłyszał zjadliwy rozkaz, zmieszany z przeraźliwym świstem pędzącej za nim zbitej kolumny wichru!”

„Pozdrowione mi bądźcie burze i pioruny, gdyż w was tylko dla duszy mej krwawej (!) ukojenie anielskie znajduję! Pozdrowiony bądź wicherze przemożny, gdy chłodziś me czoło żarzące, gdy świstem swym długim, przeciągłym zagłuszasz we mnie myśli rozpaczne i nieutulone! Pozdrowiony mi bądź także i za to, że chmury ciemnością brzemienne nad ziemią rozściesz, by w mroku tym nie była widoczna nędza i walka życia człowieka. W mocy twej, łamiącej wszystko, co w drodze i pędzie oporem ci stanie, potęgę twą widzę i wielbię cię za nią, gdyż przed nią się wszelkie stworzenie uchylić i ukorzyć musi!” (str. 111).

(Przytoczyłem dłuższy wyjątek, aby dać przykład nastroju i stylu powyższej powieści.)

Bohater choruje tedy na manię wielkości, chciałby pracować dla ludzi, wstępuje nawet do kółka „Pomocy,” mającego nieść ludowi kaganiec oświaty. Wstąpił, choć bez przekonania, bo go tam zaciągnął kolega, przestał pracować (nie wiemy, czy naprawdę zaczął wogóle) i znenawidził przyjaciela, bo się kółko rozwiązało, nie widząc żadnych owoców swej pracy. Istne popychadełko. Juliusz jest jednak poetą. Píše tedy poemat p. t. „Noc,” który śladem Prometeusza, Goethego, Lucyfera i innych zbuntowanych przeciw Bogu duchów wyrzuca Stwórcy okrucieństwo i brak liłości w stosunku do ludzi. Jako patriota, miłujący swój kraj, nie może bez oburzenia czytać książek, źle mówiących o Polsce i oburzeniu swemu daje dosadny wyraz. „Wreszcie przyszedł jeden wieczór, w którym książki wszystkie, swoje i pożyczone, kazał wynieść lokajowi na podwórze, tam ułożył je w misterny stos, oblał naftą, podpalając wszystkie z wściekłością...” (str. 159).

Obok Żniatyńskiego występuje gromadka oryginałów, jak „Napoleonista” i hr. Zagórski, do których bohater czuje najwięcej sympatii. Innych nienawidzi lub nimi gardzi. Im akcja dalej się toczy, tem pesymizm jego staje się nieznosienszy, dochodzi do tego, że Juliusz przykładą już rewolwer do skroni, „wtęm we drzwi ktoś silnie zapukał.” To jego dawny przyjaciel, z którym już nie widział się od roku. Przynosi mu wezwanie od prof. Melsztyńskiego. Po rozmowie z nim, myśl o samobójstwie znika, Juliusz weźmie się raz jeszcze do pracy, z zarodkiem jednak zwątpień w sercu i kończy się powieść słowami: „zobaczmy, co dalszy ciąg życia przyniesie,” co wkłada na recenzenta obowiązek, aby powstrzymał się z ogólnym sądem, aż do pojawienia się drugiej części.

DR. H. REINHOLD.

Kronika miesięczna.

Dwudziestopięciolecie J. E. arcybiskupa warszawskiego, Chościak-Popieła. — Ton w polemikach dziennikarskich. — Z chwili obecnej. — Skarga na barbarzyństwo. — Historia i geografia w szkołach początkowych. — Kasy Raiffeisena w Galicyi.

Najwyższy dostojnik kościoła katolickiego w naszym kraju, J. E. ks. arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel, ukończył, jak wiadomo, w dn. 17 czerwca r. b. dwudziestopięciolecie rządów swoich archidyecezyą warszawską. Chwila ta jednak, ze względu na zły stan zdrowia sędziwego jubilata nie była należycie uczczona. Hołd winny społeczeństwo złożyło swemu arcypasterzowi dopiero w dn. 20 września r. b., biorąc w osobach wybitniejszych swoich przedstawicieli udział w skromnej nroczystości jubileuszowej, urządzonej przez zawiązany w tym celu komitet z Feliksem hr. Czackim na czele.

Nie opisujemy tu uroczystości jubileuszowych. Pragniemy tylko do słów, wypowiedzianych w adresach i przemówieniach, dodać kilka wyrazów własnych.

Chwila, w której dostojny jubilat obejmował rządy w archidyecezyi warszawskiej, należała niewątpliwie do bardzo ciężkich dla narodu. Znane są wszystkim rozpacz i przygnębienie, jakie panowały w kraju przez długi szereg lat po upadku ostatniego powstania. Znane są też metody, mające rzekomo doprowadzić do ściślejszego zespolenia kraju z państwem. W tej epoce sprawować rządy na stolicy arcybiskupiej było rzeczą niezmiernie trudną i odpowiedzialną potrójnie—wobec Boga, wobec narodu i wobec władzy świeckiej, której ingerencya do spraw wewnętrznych kościoła stawiała się coraz natarczywszą, coraz mniej ogłędną. To trudne zadanie spadło całkowicie na barki J. E. arcybiskupa

Popiela. Podołał On mu zupełnie. Oczywiście, nie bez ofiar, nie bez ciężkich walk, nie bez doświadczeń gorzkich, których Mu życie nie szczędziło. Pełen męskiego hartu, potrafił jednak trzymać silną ręką ster powierzonej sobie nawy i prowadził ją umiejętnie przez odmet, najeżony rafami.

Rzeczą przyszłego historyka tej doby będzie ścisła ocena większej lub mniejszej trafności w wyborze dróg i w postępowaniu arcypryncypa. My, współcześni, możemy tylko schylić czoło przed Jego głębokim doświadczeniem, ostrożnym rozumem i nieugiętym charakterem, który Mu pozwolił spełnić wszystkie obowiązki sumiennie. Za to należy Mu się hołd i uznanie współziomków i współobywateli, umiających czczyć prawość i zasługę.

*

*

*

Mniej więcej od dwóch miesięcy jesteśmy świadkami rozłamu, jaki dokonywa się w łonie jednego ze stronnictw, rozłamu zasadniczego. Nie będziemy jednak zastanawiali się nad tem, jakie przyczyny ten rozłam wywołały. Są one bądź znane powszechnie, bądź nie nadają się do omówienia w szczupłych ramach artykułu kronikarskiego. Wstrzymując się więc od wnikania w istotę rzeczy, chcemy jedynie wypowiedzieć słów kilka w kwestyi ubocznej, która niewątpliwie nastrocza się każdemu, kto śledzi uważnie bieg naszego życia politycznego w chwili obecnej.

Stało się tak, że sprawa wewnętrzna stronnictwa przestała być jego sprawą wewnętrzną. Walka, która początkowo była walką domową, z konieczności musiała przenieść się na łamy czasopism. Publicyści obydwóch obozów naostrzyli pióra i stanęli w szrankach, aby z istotą swojego sporu zaznajomić ogół społeczeństwa, inajmniej niezaprzeczone prawo do tego, aby dokładnie znać kierunek współzawodniczących z sobą prądów myśli politycznej.

Należało spodziewać się rzeczowej, spokojnej dyskusyi, bardzo pożądanej i bardzo pożytecznej, a tonem swoim odpowiadającej powadze chwili i doniosłości sprawy. Zamiast jednak tej dyskusyi wywiązała się polemika namiętna i ostra, prowadzona w sposób jaskrawy.

Okres rewolucyjny, który przyniósł nam z sobą tyle podniecenia, tyle chaosu i zamętu, kłótni i swarów, przemija. Wlecze

się atoli za nim cały tabor skutków, które wniosły do naszego życia zbiorowego nieład i na długo wytrąciły je z równowagi. Jednym z takich skutków jest niewątpliwie roznamietnienie partyjne, uniemożliwiające bardziej nerwowym jednostkom spokojne traktowanie spraw i zagadnień polityki bieżącej. Można by powiedzieć, że przestaliśmy niemal zupełnie rozważać i sądzić, myśleć i decydować po namyśle, potrafimy natomiast tylko kłócić się i iść za odruchami.

Dawniej, za czasów sejmików polskich, miewaliśmy temperamenty krewkie, miewaliśmy ludzi, którzy z łada jakiego powodu wyciągali serpentynę i znaczyli swego przeciwnika mniej lub więcej dotkliwą kreską. Dzisiaj mamy temperamenty histeryczne.

Tamto było złe, ale to pono jest jeszcze gorsze, łatwiej bowiem ułagodzić można krewkiego rębajłę, niż utrzymać na wodzy rozigraną histeryę. Tymczasem trzymać ją na wodzy trzeba, tam zwłaszcza, gdzie idzie o sprawy publiczne.

Prasa jest kierowniczką opinii zbiorowej. Pod jej wpływem opinia ta kształtuje się, urabia, nawet dojrzewa. Z tego względu prasa musi dbać o zachowanie pewnego poziomu we wszelkiej dyskusji. Niewolno jej bez szkody wyraźnej dla społeczeństwa poziomu tego obniżać, gdyż obowiązkiem jej jest wnosić raczej do życia zbiorowego ton wyższy. Niestety, w polemice, o której mówimy, brak właśnie było tonów wyższych. Toczyła się ona namiętnie i przybierała chwilami charakter *swaru*, charakter wprost niedopuszczalny tam, gdzie szło nie o załatwienie tych lub innych porachunków osobistych, ale o wszechstronne i poważne wyjaśnienie sprawy, mającej duże znaczenie dla społeczeństwa. Społeczeństwo to przeżywa chwilę ciężką, nie może jeszcze zebrać swoich rozbitych sił, nie może zająć się pracą twórczą, tak niezbędną dla odrodzenia narodu. Myśl zbiorowa, niewyrobiona jeszcze w zakresie samodzielnego wybierania sobie kierunków najwłaściwszych w polityce, szuka ich i potrzebuje oryentacyi. Nie da zaś jej i nie przyniesie z sobą ten, kto zamiast wyświeślać i uczyć, przekonywać i uzasadniać, budzi tylko namiętności i ich płomieniem chce rozświecić drogę, prowadzącą w przyszłość.

*

*

*

Całokształt naszego życia przedstawia się w chwili obecnej dość szaro i smętnie. Z jednej strony widzimy w społeczeństwie znaczny upadek energii i obniżenie wszystkich aspiracji, z drugiej—ciągle jeszcze mamy do czynienia z resztkami fermentu rewolucyjnego, a chociaż te resztki są już właściwie tylko grzmotami oddalającej się burzy, to jednak przeszkadzają one w znacznym stopniu do tego, aby można było mówić o powrocie do stosunków normalnych.

Przeciwnie, stosunki te są ciągle jeszcze anormalne, zwłaszcza w najbardziej zaognionej swojej dziedzinie, w zakresie spraw robotniczych. Mogłoby się zdawać, że obie strony, prowadzące walkę, powinnyby już dojść ostatecznie do porozumienia, że fabrykanci i robotnicy, widząc owoce swoich długich zatargów, wzajemnie powinni sobie poczynić ustępstwa i pójść ręką w rękę w kierunku dźwignia kraju z ruiny ekonomicznej.

Tymczasem dzieje się inaczej. Fabrykanci, którzy w najgroźniejszych momentach rewolucyi, pod wpływem teroru, okazywali skłonność do zbyt daleko idących ustępstw, obecnie, czując swoją przewagę, rozpoczęli cofać dawne przyrzeczenia i obietnice, zmniejszać zapłatę i żądać większej ilości godzin pracy. Świeże wypadki, jakie zaszły w fabryce „Labor“, świadczą bardzo wymownie o tem, że pomiędzy kapitałem a pracą zaostrza się znów antagonizm, który może doprowadzić albo do ponownych strajków, albo do ponownych lokautów. Zapobiedz temu—oto najpierwszy obowiązek obywatelski wszystkich, którzy mają możność oddziaływania na obie strony. Opinia publiczna dała już oddawna swoją sankcyę sądom rozjemczym i zgodnie uznała te sądy za jedyne instytucye, powołane do rozstrzygania sporów, powtarzających się na tle ekonomicznem pomiędzy pracodawcami a pracobiercami. Na sądy te patrzą jednak niechętnie fabrykanci i uchylają się od nich, dążąc do rozstrzygania sporów na własną rękę, nawet bez udziału związków zawodowych.

Przykład fabryki „Labor“ jest niewątpliwą przestrogą w tym kierunku i ujawnia niebezpieczeństwo, wobec którego kraj może stanąć ponownie, jeżeli zdrowa opinia społeczna nie odniesie zwycięstwa i nie zmusi właścicieli wielkich fabryk do liczenia się nie tylko z własnymi interesami, ale także z interesami ogółu. W interesach zaś ogółu leży, aby kraj mógł jak najprędzej podnieść swoją wytwórczość i wprowadzić ją na tory, umożliwiające współzawodnictwo z produkcją obcą, a zwłaszcza z produkcją niemiecką, której bojkot staje się hasłem coraz popularniejszym.

Nie jest wprawdzie dla nas nadzwyczajną pociechą ani po-
krzepieniem to, że kupcy i przemysłowcy polscy starają się obe-
cnie zawrzeć stosunki z Anglią, Francją i Austrią, bądź co bądź
jednak jest niewątpliwą z ich strony zasługą podjęcie inicjatywy
w kierunku zrealizowania teoretycznych przesłanek bojkotu, w gra-
nicach, możliwych do osiągnięcia w najbliższej przyszłości, t. j. do
czasu, dopóki bojkot nie będzie mógł oprzeć się na przemyśle kra-
jowym, jako jedynej, istotnej dźwigni dobrobytu i jedynym wła-
ściwym środkiem do wyzwolenia się z dotychczasowej niewoli eko-
nomicznej.

Wiele jednak wody upłynie, zanim to nastąpi—i dlatego na-
razie musimy uważać już za znaczny krok naprzód obecną ruchli-
wość naszego kupiectwa, zmierzającą do nawiązania nowych sto-
sunków handlowych, omijających kosztowne pośrednictwo nie-
mieckie.

Zresztą, podjęte niedawno wycieczki handlowo-turystyczne
do Pragi Czeskiej, do Londynu i do Wiednia mają dla naszego
kupiectwa jeszcze inne znaczenie doniosłe. Są one niewątpliwie
wycieczkami pedagogicznymi. W wielkich środowiskach handlu
światowego zobaczyć dopiero można, czym jest ten handel i jakie
daje wyniki. Tam widać najlepiej ścisły i nierozzerwalny związek,
jaki zachodzi pomiędzy bogactwem materialnym kraju, a jego
kulturą, która dla swojego wzrostu i rozwoju potrzebuje podłoża,
przygotowanego rękami robotników, przemysłowców i kupców.
Tam otwierają się szerzej oczy na świat i ogarniają horyzonty,
które nie każdy dostrzega, siedząc spokojnie w oczekiwaniu klie-
nta w swoim kantorze. Tam, wreszcie, przekonać się łatwo o tem,
co to jest dobra organizacja handlu i umiejętność pracy.

Wszystko to nie może pozostać bez wpływu na kupców pol-
skich, zbyt rzadko dotąd wyruszających w świat dla celów han-
dlowych.

Nietylko jednak kupcy powinni się kształcić i rozszerzać
swoje widnokręgi. Kształcenia tego w zakresie umiejętność oceny
i zrozumienia ekonomicznego stanu kraju potrzebują także
i szersze warstwy społeczeństwa i dlatego dobrze, że pomyślano
u nas zawczasu o stworzeniu popularnego ogniska takiej nauki.

Ogniskiem tem jest świeżo założone pismo p. t. *Patryotyzm
polski przemysłowy, handlowy i fabryczny*.

Pismo to zajmuje placówkę ważną i stawia sobie za zada-
nie cele następujące: obudzenie w społeczeństwie polskiem zwa-
rtej, świadomej celu i należytej zorganizowanej *odporności i czuj-
ności na polu przemysłu, handlu i rzemiosł*, dzięki czemu wzmoże

się dobrobyt we wszystkich warstwach narodu; zainteresowanie szerokich kół społeczeństwa polskiego zagadnieniami natury gospodarczej i zaszczepienie wskazań, że obowiązkiem narodowym Polaków jest nie tylko żyć myślą rodzimą i kierować się uczuciem narodowym, lecz że należy także spożywać i użytkować przede wszystkim owoce własnej ziemi i wytwory rąk polskich; popieranie przemysłu, handlu i rzemioł Królestwa Polskiego przez wskazywanie źródeł i środków, z których pomocą stopniowo lecz wytrwale zdążać możemy do zastąpienia u siebie w kraju towarów obcych wyrobami swojskimi, a także przez podawanie do wiadomości szerokiego ogółu szczegółowych danych o wszystkich firmach, fabrykach, handlach i warsztatach krajowych i dawanie ciągłych a dokładnych wiadomości, mających na celu wzajemną wymianę wyrobów Król. Polskiego z wyrobami wszystkich innych ziem polskich; informowanie o sposobach wzmożenia wywozu wytwórczości polskiej na rynki cudzoziemskie; wskazywanie źródeł cudzoziemskich, skąd, z pominięciem rynków niemieckich, niezbędne, a nie dające się zastąpić swojskimi, towary sprowadzać można, w szczególności zaś informowanie ciągłe i dokładne o przemyśle w krajach słowiańskich; podejmowanie inicjatywy i informowanie o potrzebie zakładania sklepów, fabryk, pracowni rzemieślniczych, stowarzyszeń kredytowych, spółek i t. d., a także wskazywanie niewyzyskanych dotąd należycie bogactw naturalnych w kraju; wreszcie zachęcanie do rozwijania polskiego przemysłu drobnego, ludowego i kobiecego, za pomocą szerzenia wiadomości o nim, a zarazem popieranie stowarzyszeń, które nad tym przemysłem mają opiekę najbliższą.

Tak wszechstronna działalność wymagać będzie od pisma wielkiej troskliwości i dbałości o zdobycie i dobór odpowiedniego materiału. Ufając jednak w siły redakcyi, wierzymy, że spełni ona swoje zadanie i przyczyni się do zaznajomienia szerokich kół społeczeństwa z tem, co kraj wytwarza i co mógłby wytwarzać, jaki jest jego majątek i jakie otwierają się przed nim drogi, któremi może kroczyć ku pełniejszemu i doskonałemu swemu rozwojowi.

*

*

*

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości nadesłało nam odezwę, która jest jedną więcej skargą z szeregu tych skarg, jakie brzmią w kraju naszym nieustannie, ale i zarazem bezskutecznie. Bolesną jest rzeczą uświadomić to sobie, a jednak niepodobna tać prawdy. Stajemy się społeczeństwem, nieczułem na zarzuty, na ciężkie nawet oskarżenia. Puszczamy wszystko mimo uszu i brniemy dalej po drodze, która prowadzi nas do coraz większego rozbratu z kulturą.

Posłuchajmy jednak, co mówi odezwa.

„Prosimy o użyczenie miejsca—czytamy na wstępie—*dla poruszenia sprawy, której pominięcie milczeniem byłoby karygodnym tolerowaniem barbarzyńskich czynów gwałtu*, dokonywanych świadomie na jednym z najdroższych nam, jako ludziom i obywatelom kraju, posiadzań, na kulturalnym dorobku narodowym.

Fakty, trudne wprost do uwierzenia, które poniżej przytaczamy, wskazują, że wszelkie zabiegi społeczeństwa, skierowane ku ochronie pamiątek, okazać się mogą bezowocnymi, jeżeli się będą działy czyny samowoli i uporu ze strony jednostek, zwłaszcza takich, które pierwsze właśnie powinnyby stanąć w obronie tych pamiątek.

Z powodu samowoli, o której mowa, świeżo a bezpowrotnie zginęły dwa cenne zabytki budownictwa naszego, murowanego i drewnianego — kościoły: w Brzeźnicy (w pow. noworadomskim) i w Białyninie (w pow. skierniewickim).

Pierwszy, prócz znaczenia architektonicznego, jakie posiadał, był wyjątkowo cenną pamiątką historyczną. W nim to bowiem ochrzczony był wielki nasz historyk, Długosz, którego ojciec, zasłużony pod Grunwaldem rycerz, był burgrabią nieistniejącego już zamku w Brzeźnicy i tam to w aktach metrycznych poraz pierwszy uwiecznione zostało imię, jedno z najgłośniejszych dzisiaj w historii.

W ciągu lat ostatnich, wobec zamierzonego powiększenia kościoła, które mogło być dokonane z zachowaniem murów dawnych, nie bacząc na jego doniosłe znaczenie historyczne, zburzono całkowicie typową jego nawę i temu samemu losowi postanowiono poddać pozostałe jeszcze i najciekawsze części budowli kościelnej—presbiterium i wieżę.

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, dowiedziawszy się o fakcie zniszczenia tej pamiątki i o zamiarach dalszych, niezwłocznie zawiadomiło o tem władze dyecezyjne we Włocławku i jednocześnie wysłało do Brzeźnicy komisję dla zbadania rzeczy na miejscu. Wbrew jednak kategorycznemu zakazowi ze strony

władz dyecezyalnych i wbrew orzeczeniu komisji Towarzystwa, która uznała presbiterium i wieżę za niezwykle piękny i cenny zabytek budownictwa z początków XV w., nad wyraz dobrze zachowany i nie wymagający żadnych poważniejszych robót przy restauracji, zarządzający parafią ks. Jankowski wraz z budowniczym, p. Gajewskim, postanowień swoich nie zaniechali i dzieło zniszczenia do końca doprowadzili.

Współcześnie z powyższem, również wbrew zaleceniu ze strony władzy duchownej w Warszawie, jako też wbrew orzeczeniu Towarzystwa i budowniczego, mającego prowadzić budowę kościoła nowego, dla *blahych i prywatnej natury względów*, miejscowy proboszcz pozwolił rozebrać stary, z początków w. XVI, kościół w Białyninie, charakterystyczny właściwemi mu kształtami i szczegółami zdobniczymi.

W szeregu lat minionych, jak ból chroniczny, wobec coraz powszechniejszej zagłady pamiątek, odzywały się głosy publiczne, nawołujące do ich ratowania. Myślano też o akcie społecznym, zbiorowym — o powołaniu do życia instytucji, któraby nietylko powstrzymała świętokradczą, rujnującą w niedocenieniu czynu swojego rękę prostaka, lecz zdolna była nadto przeciwdziałać niszczącej sile czasu i ocalić to, co jest owocem pracy wieków, najwymowniejszem świadectwem naszej roli w dziejach kultury, co było wykwitem żywotności narodowej, objawem szlachetnej ambicji i ofiarności przodków naszych, a co dzisiaj stało się pamiątką i cenną skarbnicą wiedzy historycznej.

Pragnienia ogółu inteligentnego urzeczywistniły się. Zbiorowemi siłami powstało Towarzystwo opieki nad zabytkami, które pod przewodnictwem swego prezesa, Adama hr. Krasieńskiego, gorliwie zabrało się do pracy i, jak może, z trudnych zadań swoich się wywiązuje. Spieszy ono chętnie z radą, wskazówkami i pomocą wszędzie, gdzie dostrzega możność działania. Przypuszczaiby więc należało, że objawy systematycznie dawniej dokonywanego wandalizmu powinnyby ustać.

Przytoczone jednak jaskrawe przykłady niczem nie usprawiedliwionego niszczycielstwa wskazują, że jest inaczej, że są jednostki, dla których wszystko, co kiedykolwiek w tej sprawie było mówione i uczynione, pozostało grochem, rzuconym o ścianę. Wbrew rozporządzeniu władz dyecezyalnych i wbrew orzeczeniom komisji Towarzystwa opieki postąpiono świeżo w dwóch wypadkach, zatracając dwa piękne pomniki starodawnej kultury polskiej, już nie przez rozbrajającą nieświadomość, ale przez lekkomyślność, godną napiętnowania.

Przeciw tej lekkomyślności, graniczącej niemal z wyraźną złą wolą, obrócić się musi opinia całego inteligentnego ogółu i nie dopuścić do powtórzenia się w przyszłości tego rodzaju zamachów na dobro, które jest własnością całego narodu i o którym nie może decydować ani przygodny proboszcz danej parafii, ani spekulant-budowniczy.

*

*

*

Inspekcja szkół m. Warszawy rozpoczęła swój „rok szkolny“ od wydania okólnika, rozesłanego utrzymującym w mieście prywatne *początkowe* szkoły polskie. Okólnik ten z uwagi, że jest charakterystycznym dokumentem chwili, powtarzamy poniżej. Brzmi on, jak następuje:

„Załączając przy niniejszem kopię rozporządzenia J. E. p. kuratora Okręgu z dn. 14 czerwca r. b. za № 13156, które to rozporządzenie należy wykonywać ściśle, proszę zastosować się do wskazówek następujących:

1) Lekcje we wszystkich prywatnych szkołach początkowych powinny się odbywać podług „Planu kształcenia,“ zatwierdzonego przez Ministerium oświaty dla rządowych szkół początkowych, z zachowaniem art. 3763.

2) Książki szkolne winny być wybierane z załączonego przy niniejszem wykazu podręczników, zaaprobowanych przez Komitet specjalny, z uwzględnieniem art. 3762, t. XI, cz. I Zb. pr.

3) Wyjątki w stosowaniu wskazówek, wyłuszczonych w p. 1 rozporządzenia niniejszego czynione być mogą jedynie przy uwzględnieniu wymagań, które stawia art. 3761, t. XI, cz. I Zb. pr.

4) Sporządzone według ustanowionego przez inspekcję wzoru wykazy osób, powołanych do udzielania lekcji, winny być przedstawione do zatwierdzenia, przytem termin przedstawienia wyznacza się na 1 września.

5) W szkołach dwuklasowych, w klasie drugiej, gdzie historia i geografia mają być wykładane, jako przedmioty samoistne, na lekcje tych przedmiotów winna być przeznaczona dostateczna liczba godzin wykładowych podług programów, objętych „Planem kształcenia.“ *Do wykładu tych przedmiotów* (historii i geografii) *powinny być powołane osoby pochodzenia rosyjskiego.*

6) Żądanie powyższe winno być wykonane również i w zakresie wykładów języka rosyjskiego — w szkołach, utrzymywanych przez stowarzyszenia, dalej w szkołach, w których utrzymujący te zakłady naukowe nie posiadają prawa udzielania lekcji i powołują w tym celu wynajętych nauczycieli, wreszcie w szkołach, w których utrzymujący powołują dla siebie do pomocy nauczycieli obcych i w których lekcye odbywają się nie podług podziału na klasy, lecz na przedmioty. Dodać należy, że wymienione w pomienionym punkcie pierwszym wskazówki dotyczą tak jednoklasowych, jak i dwuklasowych szkół początkowych.

Zalecając powyższe do wykonania, poczytuję za konieczne uprzedzić, że lekcye będą mogły się rozpocząć jedynie w razie ścisłego wykonania warunków pomienionych. W razie przeciwnym będą niezwłocznie poczynione kroki w celu zamknięcia szkoły.

Zamiast komentować niniejszy okólnik, pozwolimy sobie przypomnieć czytelnikom wydrukowane w zeszycie sierpniowym *Biblioteki* postanowienie Rady ministrów w sprawie wykładu w prywatnych szkołach polskich języka rosyjskiego oraz historii i geografii. W postanowieniu tem wyraźnie jest mowa o *szkołach średnich* i p. kurator okręgu naukowego, opierając się na tem postanowieniu, mógł być jedynie do *szkół średnich* okólnik w tej sprawie rozesłać.

W jaki sposób okólnik ten trafił do prywatnych szkół *początkowych*, które są szkołami niższymi, elementarnymi, tego przesądzać nie możemy. To pewna jednak, że ścisłe wykonanie jego zaleceń napotka w praktyce na przeszkody, być może, nieprzewidziane. Dość powiedzieć, że szkoły tego typu jedno i dwuklasowe, muszą się zazwyczaj zadowalać jednym lub conajwyżej dwoma nauczycielami. Gdyby więc rozporządzenie p. kuratora okręgu naukowego miało być wykonane, to wszystkich nauczycieli Polaków, jacy w tych szkołach wykładają, należałoby niezwłocznie zastąpić nauczycielami „pochodzenia rosyjskiego,” lub — na mocy rygoru, zawartego w końcowym ustępie okólnika — szkoły zamknąć z powodu braku nauczycieli.

*

Wśród instytucyj, najniezbędniejszych dla naszego włościanstwa, jedno z pierwszych miejsc zajmują niewątpliwie instytucje, ułatwiające drobnym rolnikom korzystanie z taniego i zdrowego kredytu. Instytucyj takich Królestwo Polskie posiada bardzo mało, znacznie mniej, niż sąsiednia, uboga i — w mniemaniu ogólnem — niedołączna na polu życia ekonomicznego — Galicya, nie mówiąc już o W. Ks. Poznańskim.

Stąd przykład Galicyi i Poznańskiego niejednokrotnie mógłby i powinien być dla nas zachęcającym i pouczającym.

Oto mamy właśnie przed sobą ostatnie sprawozdanie z działalności tamtejszych kas włościańskich systemu Raiffeisena, kas bardzo popularnych w Niemczech, a stamtąd przeszczepionych na grunt galicyjski zaledwie przed laty osiemnastu.

Pierwsza tego typu kasa powstała w r. 1890 w Czernichowie, z inicjatywy d-ra Stefczyka. Dzisiaj istnieje już w Galicyi 723 kas Raiffeisenowskich, nad którymi od r. 1899 rozpostarł swój patronat Wydział Krajowy.

Tak szybki wzrost ich liczby, oraz łatwość, z jaką ludność włościańska przyswoiła sobie ideę samopomocy ekonomicznej, przez te kasy propagowanej, same przez się budzą już ciekawość i nie pozwalają przejść obojętnie obok sprawozdania, zawierającego szereg danych, ilustrujących wielostronną i pożyteczną działalność instytucyj kredytowych włościańskich.

Przyjrzyjmy się tej działalności bliżej.

W roku sprawozdawczym (1907) nowych spółek systemu Raiffeisena powstało w Galicyi 117.

Spółki istniejące obejmowały 2,347 gmin, przeciętnie zatem jedna spółka przypada na 3—4 gmin.

Kierownikami spółek są przeważnie włościanie, którzy równie dobrze wywiązują się z obowiązków kasyerskich, jak z obowiązków przewodniczących w radach nadzorczych i przełożonych zarządu.

W 688 spółkach, które nadesłały patronatowi sprawozdanie za r. 1907, było ogółem 134,932 członków, co w zestawieniu z rokiem poprzednim wykazuje przyrost 28,940 członków.

Suma wpłaconych w r. 1907 udziałów wynosiła 1,131,275 kor., wzrastając w ciągu roku o 239,044 kor.

Stan wkładek podniósł się bardzo wybitnie, bo o kwotę 6,637,238 kor. i wynosił z końcem roku sprawozdawczego 25,542,378 k. Skutkiem tego wzrosła też znacznie przeciętna kwota wkładek oszczędności, zgromadzonych w jednej spółce z 33,880 kor. na 38,237 kor.

Faktem niewątpliwie bardzo znamienym jest, że między spółkami istnieją już zupełnie poważne instytucje finansowe, rozporządzające krociowym kapitałem wkładowym, jak np. Spółka w Radzie Narodowej (471,333 kor. wkładów), w Posadzie olchowskiej pod Sanokiem (205,340 kor.) i in. Równocześnie jednak należy zaznaczyć, że są spółki, które posiadają bardzo nieznaczne wkładki, lub nawet — w wyjątkowych wypadkach — nie posiadają ich wcale.

O ile do obrotu nie wystarczają własne fundusze i składki oszczędności, spółki pomagają sobie przez zaciąganie pożyczek na skrypty dłużne, płatne ratami. Suma takich pożyczek, zaciągniętych w r. 1907, wynosiła 1,181,700 kor., zaś stan dłużny spółek z końcem r. 1907 z tytułu pożyczek zaciągniętych doszedł do kwoty 8,087,410 kor. Ciekawą i charakterystyczną jest rzeczą, że największa ilość pożyczek przypada na kasy, znajdujące się w Galicyi wschodniej, mającej przewagę ludności ruskiej. Różnica pomiędzy Galicyą wschodnią, a zachodnią jest tu bardzo wybitna, podczas bowiem gdy kasy pierwszej zaciągnęły pożyczek na kwotę 1,342,515 kor., kasy zachodniej tylko na 641,095 kor. Reszta długów przypada na kasy Galicyi środkowej.

Suma ogólna zapasów kasowych spółek, umieszczonych w innych instytucjach finansowych, z Bankiem krajowym na czele, wynosiła 4,163,286 kor., z czego 98% należy do spółek Galicyi zachodniej.

Depozyty spółek środkowo i wschodnio galicyjskich zmniejszyły się znacznie od r. 1906, co przypisać należy klęsce nieurodzajów i konieczności wycofywania przez włościan wkładów na zakup zboża, paszy i t. d.

Pożyczki, udzielone członkom w r. 1907, stanowią kwotę 15,985,840 kor. Z pożyczek tych 38% przeznaczonych było na zakup gruntów, 13% na budynki, 25% na spłatę uciążliwych długów, 6% na spłatę rodziny, 8% na zakup inwentarza, a tylko 16% na inne cele.

Koszty administracyi wyniosły ogółem 198,629 kor., a chociaż w porównaniu z r. 1906 wzrosły o 37,265 kor., to jednak w porównaniu ze wzrostem kapitału obrotowego zmniejszyły się znacznie.

Co do zysków, to 647 spółek zamknęło rachunki czystym zyskiem w kwocie łącznej 240,380 kor., przeciętny zatem zysk jednej spółki wynosił 371 kor.

Drobne straty na kwotę ogólną 614 kor. wykazało tylko 21 spółek.

Bardzo ważna w tego rodzaju instytucjach pozycja funduszków rezerwowych wykazuje stałą tendencję do wzrostu. W roku sprawozdawczym fundusze te podniosły się z kwoty 673,625 kor. do 904,454 kor.

Obroty kasowe 668 spółek wynosiły razem 65,785,445 kor. Obrót roczny poszczególnych spółek jest rozmaity. Najpomysłniej przedstawia się on w Szczyrzycach, gdzie doszedł do kwoty 936,773 kor., najskromniej w Zawiszni, gdzie wynosił zaledwie 3,707 kor.

Oto są dane, na których podstawie można już wysnuwać pewne wnioski: Przedewszystkiem znaczne stosunkowo sumy, jakie widzieliśmy zgromadzone w kasach drogą wkładów, świadczą o tem, że ludność włościańska w Galicyi zaczyna rozumieć potrzebę oszczędności, oraz, co jeszcze ważniejsze, że może oszczędzać. Wprawdzie przeciętne wkłady są jeszcze bardzo niewielkie, bądź co bądź jednak wynoszą już w niektórych kasach po kilkaset koron na jednostkę, a nawet sięgają kilku tysięcy.

Jeżeli porównamy to z tem, co było w Galicyi do niedawna, a co bardzo częstem zjawiskiem jest jeszcze u nas, gdzie włościanin albo jest w takiej biedzie, że niema z czego oszczędzać, albo, jeżeli oszczędza, to przechowuje swoje oszczędności w historycznym „garnku z popiołem,” nie mając żadnego pożytku z gotówki, leżącej bez procentu i narażonej nadto na kradzież lub nieopatrzne zniszczenie—to musimy sobie powiedzieć, że kasy Raiffeisenowe, dając ludowi możność odpowiedniego lokowania oszczędności i ułatwiając mu tę czynność, zrobiły już bardzo wiele.

Idźmy jednak dalej. Z przytoczonych powyżej danych widzieliśmy, że włościanin pożyczka przedewszystkiem w dwóch celach: naprzód, ażeby kupić ziemię (38% pożyczek), potem, aby spłacić uciążliwe długi. Pożyczki pierwszej kategorii świadczą o tem, jak ogromnie potrzebny jest tani kredyt drobnym rolnikom i jak żywiołowa jest wśród ludu chęć zdobycia ziemi w ilości, odpowiadającej jego potrzebom. Pożyczki drugiej kategorii mówią nam natomiast o niezdrowych stosunkach kredytowych, panujących dotychczas, pojęcie bowiem „uciążliwych“ długów łączy się niewątpliwie z pojęciem długów wysoko oprocentowanych, a więc lichwiarskich. Wydobycie ludu z matni, w jaką wprowadzają go łatwo kapitaliści kapotowi z małych miasteczek, jest tedy jednym z najwdzięczniejszych zadań, jakie mają do spełnienia kasy Raiffeisenowskie.

Ale i na tem jeszcze nie koniec. Wciągając lud do samodzielnej pracy, ucząc go administrować rozważnie pieniędzmi, należą-

cemi do szerszego grona współczłonków, kasy Raiffeisena są zarazem doskonałą szkołą obywatelską. Jako ich uczestnik, włościanin zaczyna rozumieć doniosłość i pżytek zrzeszania się, zdaje sobie sprawę z tego, co to jest samopomoc i nabiera wiary w siły własne.

U nas, gdzie idea kooperacyi zaledwie że zaczyna się przyjmować, gdzie lud tak mało jeszcze posiada uzdolnień do pracy zbiorowej, do łączenia się w kółka i stowarzyszenia, gdzie tak trudno zorganizować jakąkolwiek spółkę, mającą na celu, czy to zakup narzędzi rolniczych i zboża do siewu, czy towarów do sklepu, prowadzonego wspólnemi siłami—ogromny jest brak tej właśnie szkoły przygotowawczej, jaką stanowią w Galicyi kasy Raiffeisena.

Przeszczepienie ich na grunt Królestwa Polskiego byłoby też niewątpliwie rzeczą bardzo dla naszego ludu pożądaną.

Oczywiście, nie idzie tu o niewolnicze trzymanie się wzorów niemieckich, a choćby nawet galicyjskich, ale o przejęcie się samą idea, która w zupełności zasługuje na to, aby znalazła wśród nas nie tylko swoich teoretycznych wyznawców, ale i wykonawców, umiejących sprowadzić ją na ziemię i praktycznie w życiu zastosować.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Ś. p. Jadwiga Łuszczewska

(DEOTYMA).

W 74 roku życia zmarła w Warszawie dn. 23 września r. b. ś. p. Jadwiga Łuszczewska, znakomita poetka, znana w całej Polsce pod pseudonimem Deotymy.

Urodzona 1 sierpnia 1834 r., Deotyma była córką Wacława i Magdaleny z Żółtowskich małż. Łuszczewskich, których dom stanowił w swoim czasie jedno z wybitniejszych ognisk życia umysłowego Warszawy. Dzięki starannemu wychowaniu i przebywaniu w środowisku artystyczno-literackiem, Deotyma, będąc jeszcze niemal dzieckiem, już zwracała na siebie uwagę niepospolitym rozwojem umysłu i wybitnym talentem poetyckim. Młodzieńcze jej improwizacye budziły podziw, mimo, że miały charakter więcej retoryczny i rzadko wkraczały w dziedzinę poezyi prawdziwej. Jednały też one młodej poetce rozgłos, ale nie były zrębem istotnej jej zasługi w dziedzinie twórczości polskiej.

Zasługa ta zaczyna się dopiero od podjęcia szerokich tematów narodowych w „Lechu,” „Wojnie olbrzymów,” „Wyszymirze,” „Dwunastu wojewodach” i „Gonitwach w dolinie Prądnika” (Krakus i Wanda), które razem odtworzyć miały „Polskę w pieśni.” I tu jeszcze wprawdzie retoryka górowała nad poezją, ale odzywały się jednocześnie tony głębsze i piękniejsze, bardziej natchnione, bo wysnute ze szczerzego odczucia doli i niedoli narodu. I nie dziw—pieśni te płynęły bowiem już nie ze strun lutni, którą bawiły się ręce „cudownej panienci” (*Wunderfräulein*, jak ją nazwano w Niemczech), ale z harfy, którą trzymała Polka, żyjąca w je-

dnym z najcięższych i najboleśniejszych okresów w dziejach narodu. Oczy jej widziały wiele, a serce jej odczuło i przecierpiało nie mniej, czy to wówczas, gdy towarzyszyła rodzicom na wygnaniu, czy też po powrocie do kraju...

Droga na wschód, którą przebyła wcześniej, pozostawić musiała w jej duszy i wyobraźni ślady niezatarte. Odezwały się one potem i niewątpliwą jest rzeczą, że przystępując do pisania wielkiej swojej powieści p. t. „Branki w jassyrze,” całą jej stronę opisową wzięła poetka z własnych wspomnień, bogatych w szczegóły, niedostępne dla fantazyi, nieopartej o podłoże rzeczywistości.

W powieści tej Deotyma dała dowód nie tylko talentu, ale i wprost niezwyklej sumienności autorskiej. Rozległe studia, jakie czyniła nad światem mongolskim, aby dać dokładny jego obraz, zaprowadziły ją może zbyt daleko i odbiły się niekorzystnie na całości dzieła, zwiększając znacznie jego rozmiary i przeładowując faktami, należącymi raczej do historii i etnografii, niż do sztuki. Nie mniej jednak „Branki w jassyrze” pozostaną w literaturze naszej na długo jedną z lepszych powieści historycznych, zachęcającą naród do poświęcenia i wytrwałości przez pokazanie mu pięknych i wzruszających przykładów z przeszłości.

Przeszłość tę miłowała Deotyma nad wszystko i w niej też w latach dojrzałej twórczości szukała przedewszystkiem natchnień dla swego talentu, pisząc naprzód wdzięczne opowiadania z dziejów Gdańska p. t. „Panienska z okienka,” potem — największy i najwspanialszy swój utwór, epos bohaterski — „Sobieskiego pod Wiedniem.”

Utwór ten wymaga szczegółowego rozbioru, niepodobna bowiem w kilku słowach ani wykazać jego wad, ani tembardziej uwypuklić wprost niepospolitej piękności niektórych jego ustępów. Wyborny język, kunsztowny wiersz, bogata obrazowość, zdumiewające odczucie ducha rycerskiego epoki, odczucie, które można mieć w sobie tylko razem z krwią żołnierską w żyłach, wreszcie erudycja, która pozwoliła autorce zgromadzić w poemacie cały nasz dorobek historyczny, dotyczący „potrzeby” wieśniackiej i stosunków Polski z półksiężycem — wszystko to, razem wzięte, w połączeniu z miłością ojczyzny, jaka bądź tętni w każdej strofie poematu, bądź idzie przez jego rapsody, jak poszum skrzydeł husarskich i furkot chorągiewek u kopij — czyni z „Sobieskiego” dzieło, poczęte w prawdziwym natchnieniu i świadczące o tem, że talent Deotymy rozwijał się nieustannie, krzepł i męźniał aż do ostatnich lat jej życia, kiedy niemoc, spowodowana ciężkiem cierpieniem, wytrąciła jej pióro z ręki.

Poetka nie skończyła swojego umiłowanego poematu. Po za-
wydanemi jego częściami, pozostawiła jednak niewątpliwie w rękopisach liczne fragmenty, które pozwolą zapewne krytyce ocenić
należycie całość i wyznaczyć jej miejsce należne w skarbcu poe-
zyi polskiej.

Wówczas dopiero ocenimy także stratę, jaką naród w tej
chwili ponosi przez śmierć ś. p. Jadwigi Łuszczewskiej.

Cześć Jej pamięci!

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— GRONO KONSERWATORÓW GALICJI WSCHODNIEJ, dzięki niestrudzonej energii kilku ze swoich członków, zakresła coraz to obszerniejszy krąg swojej działalności.

Na ostatniem posiedzeniu, odbytem 18 lipca b. r. konserwator d-r Hadaček złożył sprawozdanie z wycieczki archeologicznej do powiatów: horodeńskiego, buczackiego i tłumackiego. W Chocimierzu oglądał i odfotografował grób urnowy, znaleziony w kamieniołomie, przy gościńcu, wiodącym do Tłumacza. Wykopalisko składa się z urny z czarnej gliny o powierzchni lśniącej, zawierającej popioły zmarłego, a nadto dzidy, umbra od tarczy, ostróg i sprzążki w kształcie kółka; jest to zabytek germański, prawdopodobnie z I wieku po Chrystusie.

W Chocimierzu wymagają zbadania mogiły i osady neolityczne, których ślady widoczne są w dwóch miejscach. Przed dwoma laty znaleziono w tej miejscowości grób podpłytowy ze szkieletem. Nierozkopana dotąd mogiła znajduje się w sąsiednich Puźnikach.

W Koropcu zwraca na się uwagę wzgórze za kościołem, na którego stokach znajdują się fragmenty malowanych naczyń i kości przedpotopowych zwierząt, tudzież mogiła, zwana „hanową.” W jarze Koropca, w pewnej odległości od wsi, zachowały się cztery wały dawnego grodziska (wał główny w części z kamienia), bliżej wsi jest drugie grodzisko z dwoma wałami. Nadto odkrył p. konserwator ślady dwóch niezannotowanych dotąd w literaturze osad neolitycznych. Taką osadę posiada po drugiej stronie Dniestru wieś Delawa. Uwagi godne są jaskinie w skałach obok Delawy i w Ściance, mogiły w Koropcu przy drodze do Nowosiółki; w Horyhladach zaś resztki zameczyska i jaskinie naddniestrzańskie, z których jedna, najobszerniejsza, jest wykuta ręką ludzką. W Baryszu znajdują się mogiły samotne lub w grupach po kilka, a przy drodze ku Zalesiu zwraca uwagę kamień pochyły, z podstawą przysypaną ziemią, który lud nazywa „babą.”

W Niżniowie, przy drodze do Kutysk, znaleziono przed kilku laty grób podpłytowy ze szkieletem w pozycji siedzącej, z toporkiem i naczyniami, czerwono malowanymi. Obok jest drugi grób podpłytowy, którego dotąd nie tykano. W Przewłocę mają znajdować się jaskinie, w których znaleziono rogi jelenie.

Postanowiono zbadać komisyjnie kaplicę Boimów we Lwowie, gdzie prof. Kühn odnawia portrety, umieszczone na zewnętrznej ścianie od ulicy Halickiej, oraz plany restauracji kościoła Dominikanów. W skład komisji wchodzi, prócz przewodniczącego kons. d-ra Abrahama, kons. d-r Finkel i kons. Talowski.

Wydelegowano kons. d-ra Hadaczka do wzięcia udziału w komisji w Haliczu, mającej zająć się zbadaniem, czy cegielnia, założona obok zamku, zagraża całości tego zabytku. Również uproszono kons. d-ra Hadaczka do oceny wartości zabytkowej kamieni cmentarnych, rzekomo aryańskich, znajdujących się w Dublanach.

Grono konserwatorskie odmówiło swej aprobaty wykonanym przez p. Flecka planom nowej polichromii synagogi Złotej Róży we Lwowie i uznało je za zupełnie nieodpowiednie.

Kons. d-r Czołowski doniósł, że dwa sarkofagi marmurowe, przeznaczone na pomieszczenie prochów hetmana Żółkiewskiego i innych osób, w podziemiach fary żółkiewskiej pogrzebanych, już ukończone i będą w ciągu tygodnia odstawione do Żółkwi. Uroczystość z powodu uporządkowania grobów żółkiewskich odbędzie się we wrześniu.

Po wyczerpaniu porządku dziennego posiedzenia odbyło się walne zgromadzenie, na którym wybrano zarząd Grona na trzecielecie 1908 do 1910 roku w dotychczasowym składzie. Przewodniczącym Grona pozostał tedy nadal kons. prof. d-r Władysław Abraham, zastępcą przewodniczącego kons. d-r Wojciech Kętrzyński, sekretarzem kons. d-r Aleksander Czołowski.

NOWE KSIĄZKI.

— MONOGRAFIA KS. KS. SANGUSZKÓW, oraz innych potomków Lubarta-Fedora Olgerdowicza ks. Ratneńskiego. Tom I, opracował *Z. L. Radzyński*. Lwów, 1906. 4-o, str. XI + 535. T. III-ci, Gałęź Koszyrska, opracował *Bronisław Gorczak*, konserwator archiwum Sławuckiego. Lwów, 1906. 4-o, str. 327.

W rządzie najpoważniejszych naukowych heraldyczno-monograficznych studyów wybitne miejsce zajmie niniejsza publikacja, stanowiąca pierwszorzędną i niezbędną źródło dla badań nad historią potężnego niegdyś rodu Sanguszków, jakoteż dla studyów nad dziejami politycznymi i wewnętrznymi Wołynia, dzielnicy, w której przemożny i w przeszłości zbawienny wpływ wywierał książęcy ród Sanguszków. Dwa tomy, obecnie wydane—owoc żmudnej wieloletniej pracy p. Zygmunta Luby Radzyńskiego i p. Br. Gorczaka stanowi dopiero część wielkiego dzieła, obliczonego na pięć, jak dotąd, tomów. Tom pierwszy zawiera, oprócz przedmowy i słowa wstępnego, szkice monograficzne Lubarta-Fedora Olgerdowicza, księcia Ratneńskiego, protoplasty ro-

du Sanguszków i syna jego, ks. Fedoszka Włodzimierskiego, następnie monografie rodów książęcych, wywodzących się od Lubarta Olgerdowicza, mianowicie: kniaziów Kobryńskich, Krosniczyńskich, Sanguszków i Sanguszkowiczów Ratneńskich, oraz linii Koszyrsko-Niesuchojeńskiej Sanguszków, a tom III-ci monografię gałęzi Koszyrskiej Sanguszków. Tom drugi, który ma się wkrótce ukazać, obejmie dalszy ciąg dziejów gałęzi Niesuchojeńskiej od Fedora i małżonki jego Despotówny Hanny, aż do śmierci ks. Romana Fedora (1591) i jego córek. Tom czwarty poświęcony będzie dziejom linii Kowelskiej, piąty historii Ordynacji Ostrojskiej.

Pierwsze rozdziały tomu pierwszego poświęcone są wyjaśnieniu bardzo zawiłej kwestyi początku rodu Sanguszków. Pan Zygmunt Luba Radzymiński na podstawie bardzo długich i sumiennych studyów archiwalnych doszedł do przekonań różniących się nie mało od hipotez, postawionych swego czasu przez Kaz. Stadnickiego i Józefa Wolffa, a uświęconych powagą tych uczonych i za pewnik przyjętych. Prześledzenie dowodów, przytoczonych przez autora dla potwierdzenia jego tezy, wymagałoby obszernych studyów specjalnych i stanowiłoby ponętne pole dla badań krytycznych i porównawczych nad niezwykle ciekawą w historii Litwy i Wołynia epoką przełomu XIV na XV wiek. Nie wchodząc w sprawozdaniu niniejszem w ten misterny labirynt dociekań genealogicznych, jaki autor z prawdziwym wirtuozostwem roztaacza, obracając się w znakomicie przez siebie znanym świecie ówczesnym, nie możemy się powstrzymać, aby nie wskazać na wyniki jego badań, streszczone w dwóch niezwykle interesujących rozdziałach naczelných pierwszego tomu. Znajdujemy tu: 1). Rozgraniczenie działalności trzech współczesnych sobie i często na jednym prawie terenie się spotykających i nawet przez wielu za jednego branych Fedorów: a) Lubarta Fedka Feduszka Olgerdowicza na Ratnie i Żydaczowie; b) Feduszka Lubartowicza Gedyminowicza na Włodzimierz, Łucku, Siewierzu i c) Feduszka Fedkowicza Olgerdowicza na Włodzimierz. 2). Wykrycie dwóch nieznaných dotąd, jako takich, synów Fedora Lubartowicza Gedyminowicza. 3). Odtworzenie i należyte oświecenie na podstawie aktów potomstwa ks. Hurka Fedkowicza Olgerdowicza ks. ks. Krosniczyńskich. 4). Ostateczne skonstatowanie, że ojcem kniazia Sanguszka Fedkowicza jest nie inny Fedor, jak Olgerdowicz, ów wzmiankowany w nadaniu monasteru Uniowskiego 1443 r. „princeps dux Fethko, germanus“ Władysław Jagiełły, a przed chrztem noszący pogańskie imię Lubarta.

Na podstawie tych wywodów i obficie cytowanych wyjątków z aktów ów książę Lubart Fedor Olgerdowicz Ratneński, dotąd postać niemal mityczna, wylania się z mroków przeszłości w konturach wyraźnych i prawdziwych, tak samo nabiera charakterystyki i właściwe w genealogii Sanguszków zabiera miejsce syn poprzedniego, rodzony bratanek Jagiełły, Feduszko, bohater z pod Grunwaldu, w pracy niniejszej po raz pierwszy do rodu Olgerdowiczów zaliczony.

Po tych dwu naczelných rozdziałach, stanowiących jakoby koronę dzieła, następuje cały szereg treściwych, ścisłych, tylko na dokumentach opartych monografij. Odmalowują one nietylko życie pojedynczych osób z rodu książęcego, ale stanowią także bogatą wiązanke charakterystycznych dla epoki i ludzi ówczes-

snych epizodów życia wewnętrznego Wołynia i w łączności z pięciu dotychczas wydanymi tomami Archiwum ks. ks. Sanguszków stanowią niezwykle bogaty materiał dla historii obyczajowości i stosunków wewnętrznych. Zaslugę podjęcia tych dwu olbrzymich rozmiarów wydawnictw (Monografia Sanguszków i Archiwum ks. ks. Sanguszków) i tyle sumiennego wykonania tej benedyktyńskiej iscie pracy, dzielą między sobą p. Zygmunt Luba Radzyński i p. Bron. Gorczak, a praca ich, na tak szeroki zakres pomyślana, mogła być tylko wykonaną dzięki hojnemu bardzo poparciu ze strony ks. Romana Sanguszki, wydawcy tych cennych tomów.

Życzyć należy, aby zamierzone jeszcze tomy jaknajprędzej się ukazały i stanowiły wzór i zachętę dla innych w podobnej pracy i poświęceniu.

F.

— JULES HURET. EN ALLEMAGNE. DE HAMBOURG AUX MARCHES DE POLOGNE. Paris, 1908. 8-o, str. 497.

Niezwykle spostrzegawczy podróżnik i korespondent dziennika „Figaro” wydał w dwu tomach opis swojej podróży po Niemczech. Z ogromnem zajęciem czyta się stronicę tej książki, pełne trafnych spostrzeżeń, reasumujące wyniki ciągłej pracy organizacyjnej i rozrostu ekonomicznego państwa „bojaźni bożej,” a nie pozbawione ironicznego uśmiechu wytwornego Francuza wobec niejednego rysu parweniuszowskiego wzbogaconych bürgerów, który zawsze potrafi dojrzeć i wyśmiać. Autor stara się być bezstronnym, a nawet więcej, jest nieraz przychylnym dla Niemiec, a kraj swój ostro krytykuje i kulturę niemiecką stawia za przykład dla Francji. Gdy w końcowych rozdziałach przystępuje do wyjaśnienia sprawy polskiej i opisu Poznańskiego, staje już wyraźnie po stronie niemieckiej, bo tak mu rozmowa z dostojnikami Hakiaty i ks. Bülowem do smaku przypada. To nie przeszkadza jednak, że ostatnie szczególnie rozdziały dla czytelnika polskiego stanowią niezwykle ciekawą lekturę i mają nawet pewnego rodzaju wartość jako sąd obcego wędrowca, który na teren walk przybyły, i więcej dający ucha informatorom rządowym, nie w jednym miejscu uznaje siłę polskiego elementu, rozwój jego zaznacza, dziwi się mu, a co do rezultatów walki poważne wątpliwości wyraża. Charakterystyczne jednak—mniej republikanina francuskiego rażą wyjątkowe prawa w Poznańskiem, mniej go dziwi cały szereg zarządzeń, gwałcących równość obywatelską—aniżeli nie dość salonowe zachowywanie się bogatych mieszczan, osobliwie używających wykałaczek lub popełniających inne grzechy przeciw *savoir vivre*.

JULIUSZ PODERZANI WEBER. Das Blutgericht. Erzählung aus der Zeit der Polenherchaft in Preussen. Berlin, Herman I. Meidinger, 1908.

Z kuźnicy nowej szkoły historycznej niemieckiej, będącej na żołdzie polityki i interesów chwili, zaznaczyć należy powyższe wydawnictwo, jako jeden jeszcze polakożerczy produkt w obfitej już t. zw. „Polenliteratury.” Książka niniejsza, oparta na świadomych lub sugestyonowanych sobie fałszach

historycznych, któremi autor operuje, jest przez niego samego scharakteryzowaną dostatecznie w dwóch nagłówkach, które na pierwszych stronach umieścił. Brzmia one w oryginale: Ich bin ein Bettler geworden—die Polen raubten mir alles—to pod obrazkiem, a dalej z Szyllera: Den Mördern bringt die Untat nicht Gewinn! Wohl uns, das wir am Reiche treu gehalten. Jetzt ist zu hoffen auf Gerechtigkeit.“ Na tę nutę cała śpiewka.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **ATENEUM POLSKIE**, miesięcznik poświęcony sprawom kultury, pod redakcją Stanisława Zakrzewskiego. Lwów. Tom III, zeszyt sierpień i wrzesień 1908. Joachim Bartoszewicz: Co to jest naród; — Fragmenty Safony, w przekładzie Jana Pietrzyckiego; — Marcei Chlantacz: O potrzebie reformy studyów prawniczych; — Jadwiga Marcinowska: Sceny z 1-go aktu dramatu „Sejm Wielki;“ — D-r Zygmunt Gargas: Stosunek Polski z Ameryką; — Stanisław Grabowski: Studya polityczno-agrarne; — D-r Józef Siemiradzki: Zwierzęta przedpotopowe w Polsce; — Zygmunt Wasilewski: O człowieku centralnym i prometeizmie; — W. Jankowski: Zapomniany poeta; — Wł. Łusakowski: Rosyjski dramat realistyczny; — D-r W. Rabczyński: Nowe usiłowania oparcia wiary religijnej na uczuciu w połączeniu z pewnymi motywami umysłowymi; — A. Szelański: Początek narodu i cywilizacji hiszpańskiej; — F. W. Robertson Butler: O muzyce w Anglii; — L. German: Ubiegła sesja parlamentu; — A. S.: Międzynarodowy kongres historyków w Berlinie; — L. H.: Towarzystwo szkoły ludowej; — Maryan Olszewski: Książki nie ulegające krytyce; — M. Mieses: Geneza wyrazu: cham; — Fr. Krczek: Języki i społeczeństwo; — Przegląd prasy; — Zapiski bibliograficzne.

— **NASZA PRZYSZŁOŚĆ**. Kijów. Czasopismo naukowo-literackie, społeczne i polityczne. Redaktor i wydawca Otto Glinka. Lipiec, 1908. Zeszyt III. Józef Kaz. Ign. Rulikowski: Rokosz pułku Czernihowskiego. Wyjątek ze wspomnień 1825 r.; — J. Długosz: Neoslawizm; — Edward Ligocki: Literatura i krytyka; — Nowe książki: Kwiaty życia, Nowe prace krytyczne; — Poezye. H. K.: Dumka podolska; — Irena Piskorska: Wolna myśl—*.*; — Ksawery Glinka: Sonet; — Edward Ligocki: D-r V. Jagicz, sławista jubilat; — T.: W Złotej Pradze i u podnóża Góry Wawelskiej; — Lechita: Wycieczka gości polskich do Pragi czeskiej; — Odeszli w Bogu (nekrologi); — Trz.: Na dziś (spostrzeżenia, porachunki, uwagi nadesłane); — T.: Z widowni międzynarodowej; — Książki nadesłane; — Odpowiedzi od redakcyi; — Ogłoszenia.

— **NOWE TORY**, miesięcznik poświęcony sprawom oświaty i wychowania, wychodzi 10 razy na rok (oprócz 2 miesięcy wakacyjnych), pod kierunkiem literackim Anieli SzycoŃny. Rok III, zeszyt VI. Sierpień, 1908. Stefan Fr.: W czterdziestolecie galicyjskiej Rady szkolnej krajowej; — I. Moszczeńska: Aktualność w wychowaniu; — M. Biegańska: Kilka uwag o pokazach szkolnych; — Jadwiga Mayówna: Listy z Anglii i Petersfield; — Anna Nałkowska i Paweł Sosnowski: Kwestyonaryusz w sprawie nauczania geografii; — Sprawy szkolne; —

Z literatury;—Dzieła pedagogiczne w obcych językach;—Kronika;—Kronika zagranicza;—Sprawy związków i stowarzyszeń:

— **PAMIĘTNIK LITERACKI.** Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie Imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją Ludwika Bernackiego. Rocznik VII. Zeszyt I i II. Lwów. Stanisław Wyspiański: Święty Stanisław (wydał A. Chmiel);—Rozprawy. Dr. Ks. Jan Fijałek: Moderniści katolicycy kościoła lwowskiego w wieku XVI;—Jarecki Kazimierz: Pierwsze polskie tłumaczenie Anakreonta;—Kallenbach Józef: O nieznanym utworze młodzieńczych Adama Mickiewicza;—Pawlikowski Jan Gwalbert: Źródła i pokrewieństwa towanizmu i mistyki Słowackiego;—Lack Stanisław: Stanisław Wyspiański. Notatki;—Miaskowski Kazimierz Ks.: Z teki bibliograficznej, VII;—Kręć Franciszek, Dr.: Nieznana kolenda (okrucieństwa hymnologiczne, III);—Simonówna Alicja: Pieśń Kochanowskiego „Nadziei nie trzeba tracić” w tłumaczeniu niemieckim z XVII w.;—Pszon Stanisław: Reminiscencye w „Monachomachii” i „Wojnie chocimskiej” Krasickiego;—Wojciechowski Konstanty: Polak w Paryżu a Nowa Heloiza;—Wasylewski Stanisław: Klub piśmienniczy Tymona Zaborowskiego;—Materyały. Bernacki Ludwik: Dyalog na Wielki Piątek;—Mączewski Przemysław, D-r: Z pamiętnika Feliksa Niemojewskiego;—C. Norwid o genezie swej broszury p. t. „O sztuce;”—Pawlikowski Michał: Nieznany list Kornela Ujejskiego;—Recenzye i sprawozdania;—Bibliografia czasopism polskich.

— **PRZEGLĄD HISTORYCZNY.** Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie, pod redakcją I. K. Kochanowskiego. Tom VII, zeszyt I. Lipiec—Sierpień 1908. Treść: Ludwik Gumpłowicz: Cywilizacya;—Adam Szelągowski: Zlewisko Bałtyckie, a cywilizacya Śródziemnomorska;—I. Szczęśny Ptaszycki: Ze studyów nad memoriałem Ostroroga;—Ignacy Tadeusz Baranowski: Podlasie w przededniu Unii Lubelskiej (I. Szlachta);—Antoni Prohaska: Z życia biskupa przemyskiego (Aleksandra Trzebieńskiego). H. M.: Ostateczny koniec Aryan polskich;—Wł. M. Kozłowski: Zarys historii powstania Legii Narodowej;—Władysław Smoleński: Bracia Mostowscy;—Adam Kłodziński: Sprawozdanie z Literatury Historycznej Czeskiej (190—1907);—Fr. Giedroyć: Wodociągi i kanalizacye miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce), ciąg dalszy;—Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz Zamku Warszawskiego, sporządzony w r. 1769.

— **PRZEGLĄD NARODOWY.** Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok I. № 8. Sierpień, 1908. Redaktor i wydawca Wacław Dunin. Warszawa. Sk.: Przeobrażenie polityczne Wschodu;—Zygmunt Miłkowski: Ukrainizm galicyjski;—Adam Szelągowski: Rasa i cywilizacya;—Jan Purwin: Sprawa polska w Prusiech;—Jadwiga Marciniowska: Mieczysław Romanowski;—Z ruchu oświatowego w Japonii;—Antoni Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—Bohdan Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Walory humanistyczne;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA. Z piśmiennictwa Polskiego. C. Wagner. Dzieło uwienieczone przez Akademię francuską. Wydanie II. (D-r. Roman Jarmrógiewicz; — Henryk Flis. Powieść. Stanisław Antoni Mueller (W. Gostomski); — Przez Głębinę. Marya Konopnicka (Jan Waręż). (W. Gostomski); — Na Synaju. Ks. Władysław Szczepański. Na podstawie podróży z r. 1906. (Ks. D-r. Jan Korzonkiewicz); — Z piśmiennictw obcych; — Zapiski bibliograficzne; — Sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD POLSKI pismo naukowe i literackie, wychodzi rok czterdziesty trzeci w Krakowie, pod redakcją prof. D-r. Jerzego hr. Mycielskiego. Miesiąc sierpień, 1908. Treść: D-r. Bronisław Dembiński: Szujski i jego syn-teza dziejów; — Ottonówna: Podlasie „Hospody pomyśluj” — 1872—1905; — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (ciąg dalszy); — D-r. Roman Dybowski: Konstytucja angielska w fazie dzisiejszej; — Konrad Ostrowski: Listy z Francji. Kronika literacka; — T. Grabowski: Literatura aryańska w Polsce 1560—1660; — M. Szyjkowski: „Génie du Christianisme” a prądy umysłowe w Polsce poro-zbiorowej; — J. Flach: Byron. Życie i dzieła; — F. Brunetière: Honoré de Balzac; — E. Lepelletier: Paul Verlaine; — R. Bazin: Questions littéraires et sociales; — F. Paulsen: Moderne Erziehung und geschlechtliche Sittlichkeit; — E. Guglia: Wien. Z literatury powieściowej; — A. Schnitzler: Der Weg ins Freie; — E. Köh-ler: Ein Sieger; — C. Ceapinelli: „Otterbrän”; — Przegląd polityczny.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Kraków. Rok dwudziesty piąty. Zeszyt 8. Sierpień, 1908. Treść: Eliza Orzeszkowa: Spółczesna cywilizacja; — D-r. Leopold Caro: Nasi wychodźcy zamorscy; — Z papierów pośmiertnych ks. Maryana Mo-rawskiego T. I.: Ostatni dzień Flawiuszów; — Ks. D-r. Fr. Gabryel: Wieczność świata wobec nauki dzisiejszej; — Lucyan Rydel: Po zwycięskiej wojnie. Wiel-kie Dionyse; — Ks. Leonard Lipke T. I.: Prorocy i ideał Mestański w Izraelu (Dokończenie).

— SFINKS. Czasopismo literacko-artystyczne i naukowe, wychodzi w Warszawie w odstępach miesięcznych, pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Rok 1, zeszyt VIII i IX. Sierpień — Wrzesień, 1908. Treść: Wł. Bu-kowiński: Poeta melodyi i głębin (w jedenastą rocznicę zgonu Asnyka); — Adam Asnyk: Z utworów, nieobjętych wydaniem zbiorowem (Szkic do współczesne-go obrazu „Na polach Karłagi”); — Zofia Rygier-Nałkowska: Równieśnice (po-wieść, ciąg dalszy); — Cypryan Norwid: Odczyty o Juliuszu Słowackim (III i IV); — Stanisław Przybyszewski: Szlakiem Kaina; — Władysł. Bukowiński: Echa (poemat); — Jan Kleczyński: Rzeźba współczesna (ciąg dalszy); — Z przemówień Ada-ma Mickiewicza; — Hr. A. Gobineau: Z cyklu „Michał Anioł.” Tłómaczył Ignacy Grabowski; — Antoni Szech: Pamięci Jana Adamowicza; — Róża Hemplówna: Po przebudzeniu. Poezya. Wacław Wolski: Z cyklu „Mistica” („Samotność”); — Józef Ruffer: Z Ogrójca róż miłości („Taneczny kwiat,” „Junak”); — Savitri: O północnej godzinie; — Kazimierz Gronkiewicz: Muza; — Jadwiga Lipińska: Wśród zbóż kwitnących; — Stefan Popowski: Sonet; — Maryla Czerkawska: Klej-not; — Jan Iwański: Nad przepaścią; — A. Szczęsny: Najlepszy w żalu tren; — Walenty Zieliński: Pytasz; — Henryk Koral: W szumiącym lesie; — Stanisław I.

Kozłowski: Śmiej się pajacu! Owidiusz: Sztuka kochania (Ars amatoria) przełożył Józef Jankowski;—Edward Abramowski: Paradoksy pamięci wzruszeniewej;—Roman Kreczmar: Scena niesceniczna;—Marya Rakowska: Spadkobiercy romantyzmu;—Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej książki Tatr (ciąg dalszy);—Oceny i Sprawozdania;—Dodatki artystyczne;—Dodana osobno reprodukcya portretu Asnyka, według fotografii z obrazu Jacka Malczewskiego.

BIBLIOGRAFIA.

POWIEŚĆ. — POEZJA.

DOYLE CONAN: Z przygód Sherlocka Holmesa. Tłom. z angielskiego Bronisławy Neufeldówny. Warszawa, 1908. Bibliot. Dzieł Wybor. Str. 159.

GAN WITOLD: Szkice liryczne. Poezye. Petersburg, 1908. Drukarnia Warszawska, Grochowa 12. Str. 159.

JANISZEWSKI TOMASZ D-R.: Opieka nad chorobami gruźliczymi (Le dispensaire antituberculeux) i walka z gruźlicą w Galicji. Kraków, nakładem S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. Broszura str. 58.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Dwie Nowele. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Str. 133.

JEŻ TEOD. TOM.: Zarnica. Powieść bułgarska. Trzy tomy, po 136 str. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych.

KOMOROWSKI I. ST.: Bajka o szczęściu. W 2 żywych obrazkach. Warszawa, 1908. Str. 31.

MINKOWICZ WYSOCZAŃSKI BRONISŁAW: Dzikie gęsjor. Nowele. Lwów, 1908. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 160.

MOŚCICKI HENRYK: Sprawa włościańska na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Odbitka z Biblioteki Warszawskiej. Nakładem Gebethnera i Wolffa, tamże do nabycia. Warszawa, 1908. Str. 38.

NIEDŹWIECKI ZYGMUNT: Jego Królewska Mość Boa Dusiciel. Fraszki. Kraków. Nakładem Drukarni Związkowej A. Szyjewskiego. Str. 267.

NORWID CYPRIAN: Wybór Poezj. Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębowicz. Okładka według akwaforty Cypryana Norwida. Portret poety według akwafort. Fr. Siedleckiego. Lwów, 1908. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 143.

PRZERWA-TETMAJER K.: Z wielkiego domu. Z portretem autora. Wydawnictwo Nowości Literackich. Warszawa, 1908. Księgarnia St. Sadowskiego. Str. 101.

SOBESKI MICHAŁ: Żeromskiego „Dzieje Grzechu.“ Warszawa, 1908. Księgarnia E. Wende i S-ka. Str. 51.

STAFF LEOPOLD: Gałąź Kwitnąca. Poezya. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 144.

SUSZCZYŃSKA ALEKSANDRA: Inaczej. Nowele. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Str. 138.

WOLSKI WACŁAW: Ballady Tatrzańskie. Poezye. Serya trzecia. Kraków, 1908. Księgarnia G. Gebethnera i S-ki. Str. 44.

— Powieść Tajemna. Poezye. Serya druga. Kraków 1908. Księgarnia G. Gebethnera i S-ki. Str. 163.

WÓJCICKA-CHYLEWSKA ZOFIA: Listy do Pana Boga. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1908. Warszawa, E. Wende i S-ka. Stronic 176.

WZDULSKI KONSTANTY: Czem jest Bóg? Badania metafizyczne. Warszawa, 1908. Księgarnia Gebethnera i Wolffa. Str. 30.

HISTORIA. — FILOZOFIA. — SZTUKA I LITERATURA.

BELMONT LEO: Socjalizm i Sprawiedliwość. Studium etyko-ekonomiczne. Warszawa, 1908. Księgarnia Gebethnera i Wolffa. Str. 179.

BOGUSŁAWSKI EDWARD: Trzy recenzje prac Niederlego w przedmiocie Starożytności Słowiańskich. Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 31.

EBREM: Co się działo na świecie od najdawniejszych do teraźniejszych czasów. Dzieje Powszechne. Warszawa, 1908. Księgarnia M. Szczepkowskiego. Str. 271.

FELDMAN WILHELM: Współczesna Literatura Polska 1880 — 1904. Warszawa, 1908. Księgarnia E. Wende i S-ka.

GAJSLER JUSTYN FELIKS: Przeszłość Chorwatów. Część II-ga. Wydawnictwo Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 65.

GOŚCICKI JERZY: Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglii. Odbitka z „Ekonomisty.“ Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 86.

GRAETZ H., PROF. D-R: Historia Żydów (mniejsza). Z niemieckiego przełożył St. Szenhak. Tom drugi. Od powtórnego zburzenia Jerozolimy, do czasów przymusowego nawracania Żydów w Hiszpanii. Warszawa, 1908. Księgarnia G. Centnerszvera i Sp. Str. 296.

KIELLAND ALEKSANDER L.: Napoleon i jego ludzie. Przekład Maryi Kreczowskiej. Dwa tomy po 156 str. Warszawa, 1908. Biblioteka dzieł wyborowych.

KLINGER MAKŚ: Malarstwo i rysunek. Przełożył Ignacy Dreksler. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Nakład Tłómacza. Lwów, 1908. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka. Str. 38.

SPRAWOZDANIE z działalności „Ligi Pomocy Przemysłowej“ za czas od 15 września 1907, do 15 sierpnia 1908 r., t. j. za czwarty rok istnienia. Lwów, 1908. Nakładem Ligi Pomocy Przemysłowej. Str. 173.

SPRAWOZDANIE z Zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu za rok 1907. Paryż 1908. Str. 86.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1908.

ANTROPOLOGIA.

	Str.
EOLIFY,—przez <i>K. Stodhwa</i>	151

HISTORIA.

Z DZIEJÓW AGRARNYCH POLSKI,—przez <i>d-ra Ign. T. Baranowskiego</i>	238 i 542
WSPOMNIENIA UŁANA,—podał <i>Alexander Kraushar</i>	314

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

ZARYS POGLĄDÓW DEMOKRACJI CHRZEŚCJAŃSKIEJ WE FRAN- CYI,—przez <i>Ks. d-ra Antoniego Szymańskiego</i>	49
NIEMCY W KRÓLESTWIE POLSKIM,—przez <i>H. Wiercińskiego</i>	209
Z LUDEM—DLA LUDU,—przez <i>Z. Dębickiego</i>	417

LITERATURA.

ŁUNA (powieść), —przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1 i 273
PAN BALCER W BRAZYLII,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	223
HANKA (powieść),—przez <i>Ory Jeleńską</i>	458

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	<i>Str.</i>
MICKIEWICZ I DOMEJKO,—przez <i>prof. Józefa Tretiaka</i>	24
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	69
KONIEC „WIELKIEGO SEZONU”,—przez <i>W. Bogusławskiego</i>	110
„BARD POLSKI”,—przez <i>Karola Kwiecińskiego</i>	134
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	203
WYSTAWY SALONÓW PARYSKICH,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	354
✓ IDEE REWOLUCYJNE WE WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI ROSYJ- SKIEJ,—przez <i>d-ra Stanisława Zdziarskiego</i>	487
OBECNY STAN NIEMIECKIEJ LITERATURY,—przez <i>d-ra J. Flacha</i>	519
JÓZEF CONRAD,—przez <i>Maryę Rakowską</i>	558
GENEZA I ROZWÓJ HISTORII SZTUKI,—przez <i>ks. Wł. Górczyńskiego</i>	569

K R Y T Y K A.

STEFAN ŻEROMSKI: <i>Dzieje grzechu</i> ,—przez <i>Józefa Weyssenhoffa</i>	174
<i>Dzieje Akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej. Ze źródeł urzędowych i wspomnień jej wychowawców zebrane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego przy współudziale kolegów akademickich, mianowicie: ks. Teofila Matuszewskiego, ks. Antoniego Chmielowskiego,—przez Ludwika Janowskiego</i>	378
HENRYK MOŚCICKI: <i>Wilno i Warszawa, w „Dziadach” Mickiewicza; — SIEROSZEWSKI WACŁAW: Ol-Soni-Kisań. Powieść; — RACZYŃSKA MARYA: Tancerka z Xois</i> , —przez <i>Henryka Gallego</i>	381
TEODOR WIERZBOWSKI PROF.: <i>Vade mecum. Podręcznik do studyów archiwalnych dla historyków i prawników polskich; — WIKTOR WITTYG: Wypisy heraldyczne z ksiąg pobożnych województwa Podolskiego z lat 1563 — 1565; — GEORG CLEINOW: Die Zukunft Polens; — ROMAN DMOWSKI: Niemcy, Rosya i kwestya polska; — ALEKSANDER JABŁONOWSKI: Źródła dziejowe</i> ,—przez <i>Fr. Pułaskiego</i>	387
NAUKA I SZTUKA, t. II. Dante. Napisał Edward Porębowicz,—przez <i>H. R.</i>	588
ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI: <i>Dla ludzi. Powieść (luźne kartki współczesnego rękopisu)</i> ,—przez <i>d-ra H. Reinholda</i>	592

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

<i>Kwestya jubileuszu Słowackiego. — Organizacya opieki nad dziećmi opuszczonemi.—Drewnica i Karolin</i>	184
--	-----

SIERPIEŃ:

Str.

Wyniki konferencji słowiańskiej w Pradze. — Nowy moment w stosunkach polsko-czeskich. — Muzeum w Rapperswylu. — Obszar gruntów w Królestwie Polskiem w r. 1906. — Okólnik p. kuratora warszawskiego Okręgu naukowego. 393

WRZESIEŃ:

Dwudziestopięciolecie J. E. arcybiskupa warszawskiego, Chościak-Popiela. — Ton w polemikach dziennikarskich. — Z chwili obecnej. — Skarga na barbarzyństwo. — Historia i geografia w szkołach początkowych. — Kasy Raiffeisena w Galicyi 594

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), — przez *M. G.* 195
 Ś. p. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), — przez *Z. D.* 608

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC 199
SIERPIEŃ 404
WRZESIEŃ 611

DODATEK „PRACA.”

PRZY ZESZYTACH LIPCOWYM (№ 6) i SIERPNIOWYM (№ 7): „Z dni burzliwych w Warszawie” — przez *d-ra K. Niedzielskiego.*



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Z dni burzliwych w Warszawie (1904 — 1907), przez D-ra K. Niedzielskiego.

Z DNI BURZLIWYCH W WARSZAWIE.

(1904 — 1907).

Gdy trudno dziś jeszcze przewidywać, jaki wyrok wyda historia w przyszłości o wypadkach w kraju naszym w ostatnich kilku latach, to jednak uznać można za pewnik, że nie odmówi im zabarwienia całkiem swoistego i że wyodrębni rewolucję ostatnią z szeregu przewrotów politycznych. Obfitowała bowiem w szczegóły nieznane, lub mało praktykowane gdzieindziej. Gdy, wogóle, trudnem jest rozstrzygnięcie sporu, czy historia powtarza się, czy nie, to jednak w tym razie wypadałoby oświadczyć się stanowczo za poglądem przeczącym po uwzględnieniu tego, co się działo, i po ocenie następstw wypadków, jakie miały miejsce. Można uwielbiać lub krytykować wielką rewolucję francuską końca wieku XVIII-go i małą rewolucję roku 1848, można obradujących we Frankfurcie (w maju tegoż roku) mężów zaufania zwać ludźmi w rzeczach praktyki naiwnymi, lecz nawet najzawziętszy zasad oportunistycznych wyznawca przyzna chętnie, iż w tych wielkich dziejowych burzach, czuć było powiew orzeźwiający, a dla zgnośćionych stekiem niesprawiedliwości—zapowiedź jutra słonecznego. Tam, sądząc z dzisiejszego oddalenia, walczono o idee równości i braterstwa dla wszystkich i dążono do wy-

walczenia praw człowieka. Od wypadków r. 1904 i 1905 jesteśmy jeszcze zbyt blisko, żeby można już było ferować wyrok obiektywny a sprawiedliwy. W każdym razie zaznaczyć należy, że było dużo wzajemnego zchydzenia się i obrzucania błotem, dużo materializmu i że to niewątpliwą szkodę „ruchom wolnościowym“ przyniosło.

Niepodobna zaprzeczyć, że na przełomie dwóch stuleci, w przebiegu spraw politycznych nie zbrakło faktów, pouczających wymownie o wielkiej przewadze siły w rozstrzyganiu zawikłań i niezwalczonej cielca złotego potędze. Sromotna przegrana hiszpańskiego hidalgo w walce o Kubę z amerykańskim dorobkiewiczem, tryumf anglików nad bohatersko broniącym niepodległości swiej kraikiem burów, porażka bokserów w Chinach, przekonały świat cywilizowany o bankructwie doszczętnem zasad sprawiedliwości. Stwierdzono, nie wiadomo już który raz, że opierająca się na potędze materialnej kultura, łamie zapory wszelakie i rycerskość wszelaką; że w zapasach zwycięża przedewszystkiem bogatszy i silniejszy, chociażby dla dyamentów tylko zwalczał wolnych obywateli wolnego kraju. Więc „otrzeźwione“ bezgranicznie umysły w podstawie finansowej, w rublu, widzieć zaczęły wszystko, a jeśli nadmierny ów utylitaryzm pojęć mógł przyczynić się do rozbudzenia w kraju naszym życia przemysłowego w pewnym zakresie, to z drugiej strony w narodzie mało krytycznym, a wrażliwym, zaszczerpił żądzę szybkiego zbogacenia się i chęć używania życia bez miary. Podciętej u podstaw dawniejszej religijności narodu nie zdołano zastąpić oświatą, więc skala pojęć etycznych i moralnych musiała obniżyć się znacznie. Bojujący od lat siedemdziesiątych wieku zeszłego pozytywizm warszawski, usunął wprawdzie poezję z życia, wypłoszył z serc nadzieję, z umysłów—wierzenia błogie, lecz niszcząc i działając, wbrew nazwie swej, negacyjnie tylko, nie wypełnił luki, która powstała po zatraceniu ideałów; nie pokrył kraju siecią szkół i nie zaprowadził przymusowego do nich uczęszczania. Gdyby nawet chciał to przeprowadzić, to nie miał ku temu ani środków, ani swobody działania, a to za sprawą wyjątkowych warunków politycznych, w jakich znajdowało się społeczeństwo w ciągu ostatnich lat 40. Kierunek postępowo-materialistyczny burzył, co tylko mógł, tworząc wzamian niewiele. Jeśli pokorę zdeptał i wyszydził, to miłość własną i wysokie mniemanie o sobie wyniósł u przeciętnej jednostki do zenitu. Czas jakiś Warszawa upajała się wprost prze-flancowaną z Zachodu ideą „nadczołowieczeństwa“ i w przededniu epoki rewolucyjnej od „nadludzi“ aż trzęsło się u nas. Manja

wielkości, sosem próżniactwa podlewana obficie, obok doszczętnego zdezelowania nerwów na tle negacyi ducha i swoistej o byt walki, były chorobliwem podłożem, z którego osobniki różne i różne typy zwyrodniałe czerpały impuls do czynów w niedalakej przyszłości.

Więc przedewszystkiem ta cicha niegdyś i dobrotliwie uśmiechnięta Warszawa, zaczęła wyraźnie marszczyć swoje oblicze ku niemałemu tych, co ją znali przedtem, zdziwieniu. Na łamach organów prasy codziennej opisy zabójstw, bójek, awantur i kradzieży zaczęły figurować coraz częściej, urozmaicone i zabarwione w potworne, nieznane przedtem, szczegóły i epizody. Jakgdyby powiew deprawacyi ogólnej przeniósł się nad miastem i na niwie łagodnej natury polskiej posiał ziarna złego i dzikości. Wysilano się na wytłómaczenie przyczyn i wyszukanie źródeł tych zjawisk tyle ujemnych. Obwiniano Zachód o wpływ demoralizujący, oskarżano napływowy z Północy element żydowski, lub ciężką biurokracyi prawicę, przygniatającą kraj od tak dawna. Wszakże zauważyć należy, że na zepsutym Zachodzie Europy są kraje (Dania, Szwajcarya), gdzie gmachy więzienne od czasu do czasu nie funkcjonują wcale z powodu... braku klientów; że, wprawdzie, typ Żyda-asymilatora, co u siebie w pokoju zawieszał na ścianie portret Kościuszki, przeszedł do wspomnień, to jednak zapewne nie wszyscy przestępcy i nie większość ich nawet zaliczała się do wyznawców Mojżesza; że biurokracya-biurokracyą, a przyczyn złego zawsze lepiej jest szukać u siebie. Utrata wiary, nienabycie wiedzy, czyni zawsze z człowieka, wśród okoliczności sprzyjających, typ z czworonogiem dzikim idący o lepsze. W takiej też metamorfozie właśnie, godnej nowoczesnego Owidyusza lutni, szukać należy, jak sądzę, objawów zdziczenia, które w przeciągu lat ostatnich tak dosadnie zarysowało się na krwawym widnokręgu Warszawy.

Z mroku i plugastw ducha spłodzona plaga nożowictwa, była niejako przedsmakiem tego, co mieliśmy oglądać w późniejszych latach anarchii. Prowadząc wykazy statystyczne Stacyi Ratunkowej w Warszawie, biorąc w ciągu lat szeregu udział czynny w wyjazdach do wypadków, miałem nieraz sposobność stwierdzać fakt wymowny, jak z roku na rok cyfra „rozpraw nożowych“ w mieście naszym powiększała się bez przerwy, jak z 648 w r. 1903 wzrosła do 743 w roku następnym i do 900 w r. 1905. W tym ostatnim „rewolucya“ w Warszawie wrzała już na dobre, lecz miejsce noży zajęły browningi, przyczem energia bohaterów zająć w inną skierowała się stronę. Jakoż w r. 1906 stwierdzamy spadek na-

gły w ilości zająć, o których mowa, bo tylko 266 wypadków i 255 w roku zeszłym. Obecnie cyfry rosną znowu, jak to uwi-
docznia tablica następująca:

Ilość rozpraw nożowych:

Rok	1903	1904	1905	1906	1907
Styczeń.	45	48	54	25	18
Luty.	62	42	58	25	4
Marzec	65	37	82	25	15
Kwiecień	60	46	70	22	14
Maj	41	73	127	28	20
Czerwiec	44	63	83	19	32
Lipiec	48	72	117	34	30
Sierpień	49	59	80	17	27
Wrzesień	54	74	47	12	25
Październik	61	87	56	8	32
Listopad	69	61	64	19	19
Grudzień	45	81	62	22	19
Razem	643	743	900	256	255
na ogólną ilość wyp. w roku tym	8,424	8,546	8,199	6,594	6,848

Ponieważ wybryki nożowców stanowiły przez czas pewien temat bogaty do omówień w prasie i tworzyły poniekąd wstęp do późniejszego zamętu, wypadnie—dla całości obrazu—nad sprawą tą zatrzymać się nieco i podzielić się z czytelnikiem szeregiem osobistych spostrzeżeń i wrażeń.

A najprzód zauważyć należy, że sprawcy i uczestnicy bójek omawianych należeli i należą wyłącznie niemal do nieoświeconych lub mniej inteligentnych warstw miasta naszego. Rekrutują się z rzeszy wyrobników, robotników fabrycznych, biedniejszych rzemieślników i służby płci obojga, nie mówiąc już o mętach społecznych, reprezentowanych w statystyce nader obficie. W $\frac{3}{4}$ wypadków chodziło o ludzi młodych, poniżej lat 30 wieku. Plonu najobfitszego dostarczały zawsze niedziele i święta, dni przed i poświąteczne, soboty i poniedziałki. Przez lata całe w dniu owe dyżury lekarzy Pogotowia przebiegały prawie stereotypowo. Obfity po libacjach krwi przelew zaczynał się między godz. 5 a 6 po południu, a kończył o 12-ej lub później po północy. Przez cały ten okres telefon brzęczał, jak najęty, a praca dochodziła do maximum natężenia w ciągu trzech najgorętszych miesięcy: czerwca,

lipca i sierpnia. Były dnie, w których lekarzy dyżurnych Pogotowia zwracano w drodze powrotnej ku stacyi po trzy lub cztery razy z rzędu. Brać hulala zdrowo w niedziele i święta.

19 czerwca r. 1904 zapisano aż 30 wyjazdów do awantur pijackich wyłącznie, przyczem 12 osobników otrzymało rany od noża, a 18 — od narzędzi tępnych. W ciągu 5 godzin niespełna — od 7-ej wieczorem do 11 min. 30 w nocy — zanotowano 17 rozpraw krwawych, przyczem, jak zwykle, najczęściej w okolicach Woli.

Ale i inne części miasta, zwłaszcza obfitujące w fabryki i warsztaty, dawały znać o sobie dość często. Ulice: Żelazna, Wronia, Towarowa, Sienna, Okopowa, Powiśle, okolice Powązek (Stawki, Nizka, Parysowska, Dzika), Leszno i t. d. dostarczały materiału stale i w ciągu lat całych, nie licząc poranionych, których opatrywało się w cyrkule.

Czego się nie słyszy i jakich typów się nie widzi przy takiej pracy! Przybywającego z pomocą lekarza ludzie ci, podnieceni wódką, próbują nieraz witać jędrnemi słowy, snąć w duchu panujących dziś dokoła upodobań realistycznych. Opatrywałem w swoim czasie, w jednej z dzielnic dalszych, dwudziestokilkuletniego mężczyznę z potężną blizną na boku lewym, która pozostała po wygojonej świeżo ranie kłoto-ciętej. Człowiek ów, jak mówiono dokoła, miał już na swem sumieniu kilka rozlewów krwi. Wyliżawszy się z rany, przepędzał niedzielę w nazbyt wesołej kompanii, która pod koniec zabawy obdarzyła go trzema nowemi pchnięciami noża i skradła mu 17 rubli — zarobek tygodniowy. Przy broczącym obficie krwią synu, stał, z miną bezradną, ojciec stary, szlochala matka o twarzy wynędzniałej, kręciły się „panny“ jakieś, przyjaciółki rannego. Przekleństw, uwag cynicznych, dowcipów, malujących zezwierzeczenie zupełne — nie powtórzyć słowem drukowanem; niejeden, zresztą, przyjąłby je ze zgrozą i poczytał za wytwór fantazji.

A oto obrazek drugi.

Na podłodze izby cyrkulowej w malowniczej pozie spoczywa młodzieniec dwudziestoletni, robotnik. Oczy, twarz, włosy złane i zamazane krwią obficie; kołnierzyk, krawat i gors papierowy — purpurowe również. Z mocnych wyziewów wysoko genezę sprawy poznać odrazu. Z dźwigającymi go pacjent szamocze się żarcie, wymyśla, wykrzykuje rzeczy cudaczne, poczem zapada w stan rozrzewnienia, czkawkę pijacką i kłątwy przerywa płaczem. Nie chciał zapłacić za wypite trunki, poranili go więc i wyrzucili z bawaryi.

W „salonie“ felczerskim siedzi na krześle mularz o spojrzeniu srogim. Sześć czy siedm ran ciętych na piersi i plecach, nadto pokrajane palce; człowiek ów bronił się gołemi rękoma. W tej chwili właśnie wprowadzają do razury schwytanego złoczyńcę. Pacjent, nie zważając na krew, na ziejące rany, zrywa się do bicia. Z trudnością udaje się rozłączyć zapaśników. Stek obelg z jednej i z drugiej strony krzyżuje się bez przerwy.

Myliłby się ten, coby mniemał, że rany ludzi owych należą wogóle do urazów lekkich, że awantura kończy się na pewnym krwi upuście lub szramie od cięcia. Statystyka poucza, że przynajmniej w 85% wypadków chodzi o uszkodzenia poważne, grożące życiu. W r. 1907 ilość rozpraw nożowych była stosunkowo najmniej liczną, a jednak 4 ludzi padło trupem na miejscu od pchnięć w serce. Z innych — część zmarła po jakimś czasie w szpitalu, pewna odsetka, wreszcie, uległa na resztę życia kalectwu, zwiększając i tak cyfrę olbrzymią żebraków i niedołęgów. W r. 1903, a więc w przededniu „rewolucyi“, ran od noża w następstwie bójek i napaści było 648; ran zadanych narzędziem tępem 1,398, potłuczeń skutkiem pobicia 640. Ogółem 2,681. Starczyłoby na niezłą bitwę.

W tak obfitym, a marnym, krwi rozlewie czynniki niezdrowe wywierać muszą, oczywiście, wpływ dominujący. Do nich zaliczyć należy przede wszystkim swoisty sposób regulowania rachunków i wywierania zemsty za „krzywdy osobiste.“ Jeden z typowych przejawów takich, otwierający długą następnych litanie, miałem sposobność stwierdzić znacznie wcześniej, bo już w maju r. 1898. Jednemu z majstrów mularskich na Ochocie rozpiątano brzuch tak srodze, że jelita wypadły na ubranie. Był to akt samosądu za niedopłacenie 80 k. za robotę podczas sobotniej wypłaty. Drugi wypadek z kategorii tej dotyczył ubogiego szewca z ulicy Freta, człowieka budowy wątłej, wzrostu niskiego. Rzemieślnik ów wziął do pomocy czeladnika draba, z którym prędko poróżnił się. Przy obliczaniu się i kłótni o zapłatę doszło do bójki, podczas której czeladnik, korzystając ze swej olbrzymiej przewagi fizycznej, pokrajał — w dosłownem brzmieniu tego wyrazu — nieszczęśliwemu majstrowi twarz i szyję, wzdłuż, w poprzek i na ukos tak, jak dyktowały mu kaprys i fantazya.

Epizodów tego rodzaju możnaby przytoczyć bardzo wiele, a z nich łatwo przekonać się, jak dawno już i na jak długo przed okresem bomb i brauningów, starannie przygotowywano w Warszawie grunt do teroru ekonomicznego. Na tle alkoholizmu, analfabetyzmu i ateizmu, trzech „a“ kabalistycznych, pod tchnieniem

owej trójcy potężnej, człowiek przedzierzgał się w istotę spodłona, którą natura dzika pchać musi i pcha do zbrodni.

Olbrzymia większość ludzi tych, tak chciwych „pomsty” i żywiących mniemanie tak wysokie o zdraśniętym honorze, nie umie podpisać się nawet i trzech liter drukowanych razem nie sklei. Jeszcze przed laty kilku w licznych peregrynacjach swych po mieszkaniach nożowców, nie spotykałem książki lub gazety na stole, nie ujrzałem ani razu bodaj małej półeczki na książki na ścianie. Po zaspokojeniu najzwyczajniejszych potrzeb i popędów fizycznych, po za spędzaniem chwil wolnych w piwiarni, w otoczeniu dobranem, osobnik taki nie zna nic, nie pragnie nic więcej. W ostatnich czasach analfabetyzm zmniejszył się o procentowy ułamek jakiś i popęd do lektury wzrasta; dotąd, wszelako, ogranicza się wyłącznie niemal do zgłębiania przygód Sherlock-Holmes’a, broszur o zboczeniach płciowych, oraz do oglądania straszności w pisemkach-efemerydach brukowych. To wystarcza i zaspakaja obficie potrzeby duchowe tej sfery. O umysłowej rozkoszy, co płynie z ciekawej, a pożytecznej książki, ludzie, o których mowa, nie mają pojęcia. A nie są to bynajmniej nędzarze. Większość ma zarobki, do których nadaremnie wzdycha niejeden inteligent. Garbarz, ślusarz fabryczny, czeladnik stolarski i t. p. ma nieraz po 60 i więcej rubli miesięcznie, przyczem niejeden z nich jest kawalerem, a zresztą, obowiązków żadnych nie uznaje z zasady. Proszę spojrzeć tylko, jak mieszka proletaryusz taki. Odnajmuje kąt gdzieś w suterenie lub na strychu za 2 rb. miesięcznie. Reszta zarobku idzie na udawanie „burżuja” na ulicy, którego niby nienawidzi, ale którego stara się naśladować po swojemu wszędzie i we wszystkim. Rzecz prosta, najgłupsze marnowanie grosza odgrywa w owym naśladownictwie rolę pierwszorzędną, co nie przeszkadza wszakże, by z ludzi tego pokroju nie wychodzili niekiedy działacze społeczni, popychający ludzką ku reformom „zdrowo pojętym,” oraz wymierzający sprawiedliwość doraźną oponentom tych reform.

Zbytkom nożowców miasto czas jakiś przyglądało się w milczeniu, zaniepokojone i bezradne, jakgdyby zahypnotyzowane widokiem bezeceństw; gdy jednak coraz więcej krwi ludzkiej lało się tak głupio, a ilość walk na noże dochodziła do 60 i więcej na miesiąc, uderzono na alarm i przemówiła prasa. U schyłku roku 1903 i w r. 1904 awantury nożowców warszawskich były tematem częstym do skarg, nawoływań i uwag. W Kurjerach: „Warszawskim” i „Codziennym,” w „Głosie,” w „Słowie,” w „Dzienniku dla Wszystkich” i t. d. wydrukowano szereg artykułów, w których

publicyści zaznaczali mniej lub więcej wymownie zgubną klęskę nożownictwa doniosłość i groźne tegoż postępy, przyczem omawiano dużo projektów, zmierzających ku zaradzeniu złemu. Naogół przeważały zdania o konieczności użycia środków represyjnych, więc kar surowszych, pomnożenia posterunków policyjnych i t. p.

Nie ulega wątpliwości najmniejszej, że wszelakie administracyjne zabiegi karne przerażają bardzo—tych zwłaszcza, co, wogóle, kar się boją. Wypadki doby późniejszej pouczyły jednak, że twórcy projektów na krótką metę, w rachubach swoich mylili się wielce. Kary obostrzono, lecz bójkę na noże toczyły się w dalszym ciągu. Stopniowo, ze sfery waśni osobistych, bądź partyjnych, nóż wkroczył na szersze akcyi widnokręgi; zaczęto bowiem informować o napaściach z „majchrem“ w rękę, w celach rabunku, lub wiążących się z polityką. Pierwsze zainaugurował dokonany w Warszawie w dzień biały napad bandycki na sklep (Obózowa 3) i poranienie 18-letniej sklepowej w d. 17 lutego r. 1904; drugie — zamach na stójkowego na ulicy Wolskiej 47. Nożowcy warszawscy surowości prawa nie ułękli się. I nic dziwnego. Różgi z zakresu pedagogii usunięto przecie oddawna, a jeśli środek ten uznano za niedostateczny i bezcelowy w kierowaniu serc młodocianych i napędzeniu stracha delikatnej skórcie dziecięcej, to jakże tu trafić niemi do gruboskórnego, dwudziestokilkolletniego „sztrabancla?“ Zresztą, kto nie zawaha się dobyć noża wśród ożywionej tylko wymiany zdań, ten napewno i kryminału nie bardzo się zleknie. Toć nawet i kara śmierci nie powstrzymuje zbója od spełnienia zbrodni, lecz powstrzymałoby go może wpajanie od dzieciństwa poglądu, że zabijanie jest występkiem, niegodnym człowieka. Tylko w uszlachetnieniu duszy i umysłu leży zbawienie, a choć praca to zmuśna i długa i z pozoru niewdzięczna, pomyślny plon wydać musi w przyszłości.

Dopóki na ulicach i placach wałęsają się tysiące pozbawionych światła i zajęcia wyrostków, tysiące adeptów noża i pałki, dopóki indywidua te, chciwe bezpłatnych wrażeń, prześladują blądzącego samopas waryata, katuja zwierzęta, wyciem i kocią muzyką żegnają karetkę Pogotowia, a nikt nie pouczy zgrai tej o całym bezwstydzie tych wybuchów dzikich, lecz, przeciwnie, wielu uśmiecha się i cieszy, że młodzież nasza ma temperament jeszcze, dotąd noże, browningi i bomby zagrażać będą stale życiu kulturalnemu. Nie batem, lecz oświatą i umacnianiem zasad religijnych urabia się godność charakteru i ambicyę. Rozwiązania kwestyi nożowców i zbrodniarzy wogóle nie w więzieniu szukać wy-

padnie lub deportacyi, lecz w jaknajwiększej ilości bezpłatnych szkół i szkółek. W duchu tym wyrażałem się nieraz na łamach prasy przed „rewolucją” jeszcze, a więc przed wybuchem t. zw. „ruchu wolnościowego.”

Tymczasem zbliżały się wypadki wagi pierwszorzędnej z wojną japońską na czele, której początek obwieścił światu huk dział w zatoce Port-Artura w nocy z 6 na 7 lutego 1904 roku. Wraz z szeregiem klęsk oręża rosyjskiego wrzenie w Imperium rosło coraz potężniej. W ruchu ogólnym wzięło udział i Królestwo, uginające się pod brzemieniem ciągłych od lat 40 ustaw wyjątkowych. Rewolucya rozpoczęła się w postaci dziwacznej, jakiej świat pono nigdy nie oglądał przedtem—*révolution moderne* w całym słowa znaczeniu.

Nie mam zamiaru opisywać tu przebiegu dziejów krwawych od wiosny roku 1904, które, jak mniemam, jeszcze się dotąd nie skończyły. Wypadki, zresztą, każdy ma świeżo w pamięci, a na ich ocenę, z punktu widzenia historii, nie pora jeszcze. Notatki swe ograniczam wyłącznie do Warszawy, przyczem uważam za właściwe gdzieś wzmiankować obszerniej nieco o faktach, ściśle wiążących się z interwencją personelu tutejszej Stacji Ratunkowej, do którego należę. Materiał cyfrowy opieram na wykazach statystycznych Pogotowia, oraz na danych kroniki wypadków, którą z organów prasy codziennej notowałem zawsze z dnia na dzień. Tu wspomnę tylko, że rewolucya ostatnia czyniła na mnie stale wrażenie zacieklej walki wszystkich przeciw wszystkim, po za tem — osobiwszych w swoim rodzaju miotających, do jakich wielką okazuje skłonność przeczulony człowiek współczesny. Pierwiastek materialistyczny nad duchowym przeważał tu wybitnie; przed własnością prywatną rewolucya nie cofnęła się i na porządek dzienny wniosła ekspropriację. Stąd, wśród warunków sprzyjających, do bandytyzmu najpospolitszego w świecie — krok tylko jeden. Czy wywłaszczeń dokonywano w myśl haseł socjalistycznych, czy też pod wpływem innej jakiej aberracji mózgowej, nie chcę przesądzać; mniemam zresztą, że na wynik faktyczny pobudki zbrodni i napadów nie oddziaływały zbyt wiele. Nie wiem również, czy słusznie mawiano nieraz, że ruchem kierują socjaliści niemieccy, którzy wybrali sobie Rosję i Polskę za teren do akcji próbnej, by doświadczenie, na cudzej zdobyte skórze, snadniej stosować w przyszłości u siebie w Niemczech. Tak czy owak, to pewna, iż część osób, agituujących u nas zajadle, słabo władała językiem polskim i że krzewienie idei międzynarodówki oparto prawie wyłącznie na terrorze. Zapominano

jednak o tem najzupełniej, że jeżeli terror, stosowany dawniej przez tyranów, chybiał celu i, na ogół, nie podobał się, to nikła również posiada wartość terror, który niosą w darze bojownicy o wolność (!). Zapominano i o tem jeszcze, że ludzie nie są trzodą, dzisiejsi zwłaszcza, i że browningiem nawet do kupy zaganiać się nie dadzą, wreszcie, że co było możliwe kiedyś, to dzisiaj — w XX wieku ery chrześcijańskiej — wydaje się mniej właściwem.

*

*

*

W lutym r. 1904 zaszedł wypadek dość niezwykły, przedstawiający sprężystość organów bezpieczeństwa publicznego w świetle ujemnem. Indywiduum niespełna rozumu urządziło sobie z balkonu mieszkania (w stronach ulicy Marszałkowskiej) polowanie na... ludzi i w ciągu nocy całej stawiało opór skuteczny oblegającej go poważnej sile zbrojnej. Szaleniec postrzelił 24 osoby, w tem 4 na śmierć, ustawieni zaś w oknach posesyi vis-à-vis „najlepsi strzelcy“ nie mogli trafić do waryata. Obezwładnił go wreszcie celnym strzałem jeden z widzów tej niezwykłej przygody, człowiek prywatny, za co, rzekłszy nawiasem, liczni ciskali weń gromem potępienia.

Wypadek powyższy, prócz wzbudzenia sensacji powszechnej, nasuwał wnioski, które, jak mniemam, cisnęły się do głowy niejednemu. Przekonano się bowiem, że jeden strzelec dobry, zaopatrzony w amunicję, potrafi stawić czoło nawet wojsku i trzymać je w szachu przez godzin szereg. To też tego rodzaju walki jednego przeciw wielu powtarzały się później w okresie anarchii i słyszeliśmy o faktach, gdzie dla odniesienia nad złoczyńcą zwycięstwa sprowadzano — armaty.

Dalej stwierdzono, że żołnierz, na ogół, źle strzela, a organy policji, w razie niespodziewanego ze strony przeciwnika oporu, tracą głowę zbyt szybko. Refleksye te miały niewątpliwie wagę niejaką w przededniu wybuchu rewolucyi i dla tego epizodycznemu zajęciu temu uznałem za właściwe poświęcić tu słów kilka.

*

*

*

W d. 27 kwietnia 1904 r. po 4-ej po południu pojechałem karetą Pogotowia wraz z kolegą dr. Małkowskim na ulicę Dworską № 6, dokąd wzywano do ludzi, ciężko postrzelonych. W mieszkaniu szewca, w jednym z budynków podwórzowych rozległej posesyi drewnianej, policya dokonywała rewizyi, ktoś bowiem zadenuncyował, że w miejscu tem drukuje się odezwy na obchód 1-go maja. Zaskoczeni bronili się i powitali wkraczających funkcyjaryuszów policyi strzałami z rewolwerów, od których żandarm Wińczuk padł trupem na miejscu, a za nim zwałił się pomocnik komisarza. Wśród stosów zadrukowanej bibuły leżał trup jego z niedopalonym papierosem w zaciśniętej kurczowo dłoni. Nieboszczyk snąc z ewentualnością oporu nie liczył się i szedł na pewniaka. Postrzelony w czaszkę i własną podobno szablą w szyję ranny, 50-letni sztabs-kapitan Ordanowski zmarł niebawem w szpitalu św. Ducha, a również i odwieziony tam strażnik ziemski. Po za tem ulokowano w szpitalu 2-ch stójkowych, poranionych ciężko. Ogółem—ofiar 6 po stronie policyi wyłącznie. Głównego sprawcę strzałów schwytano; drugi, jak mówiono, uciekł przez okno.

Wstrząśnienie pośród przedstawicieli władz było tak wielkie, że jeden z oficerów żandarmeryi, na widok trupów i ran krwawiących obficie, dostał ataku nerwowego. Nieogłędność i łatwe tracię głowy manifestowały się wyraźnie. Nad incydentem powyższym zatrzymałem się nieco, gdyż był pierwszym z długiego szeregu późniejszych i faktycznie otwierał okres wrzenia.

Zapowiadana na 1-go maja manifestacya polityczna na skalę większą nie doszła do skutku, gdyż, krom wypadków pojedynczych, zajścia poważniejszego nie zanotowano nigdzie niemal. Około godz. 7 wieczorem w Alejach Ujazdowskich, gdzie kozacy rozpędzali publiczność, stoczono utarczkę niewielką. Wogóle w ciągu dnia całego, ofiar rozruchów opatrzone 13, w tem 2 stójkowych. Szwaniki nie należały do cięższych. Natomiast 3-ci maj przeszedł w ciszy, niezamąconej zupełnie i łatwo stąd można się było domyślać, że wcale nie o narodowe pamiątki chodzi tłumom manifestującym po ulicach.

Zajścia pomniejszych podaję w tablicy poniższej:

Wypadki zbiorowe w Warszawie:

1. d. 27/IV. Wykrycie drukarni tajnej i strzały do funkcyjaryuszów policyi przy ul. Dworskiej № 6. Ofiar 6, w tem zabitych 4.

2. d. 1/V. Manifestacye w Alejach Ujazdowskich. Ofiar 7.
3. „ 8/V. Bójka przy ul. Litewskiej z żołnierzami. Ofiar 7.
4. „ 13/VI. Starcie z wojskiem i salwy kozaków do tłumu podczas gaszenia pożaru przy ul. Grzybowskiej. Ofiar 18 (zabitych 1).
5. „ 23/VI. Bójka z policją podczas obchodu „wianków.“ Ofiar 4.
6. „ 20/X. Zbiegowisko przy ul. Karmelickiej i starcie z policją i kozakami. Ofiar 13.
7. „ 13/XI. Manifestacye przed kościołem Wszystkich Świętych i salwy piechoty. Ofiar 41 (zabitych 11).

Ogółem ofiar zająć masowych 96.

Ze strony osób cywilnych 67.

Ze strony władz polic.-wojsk. 29.

Zabitych na miejscu 16.

Nie analizując bliżej tych szczegółów, wspomnę jedynie o starciu w dniu 13 czerwca.

O 9-ej wieczorem wybuchł pożar przy ul. Grzybowskiej № 77 w składach Spiess'a, podobno z podpalenia. Z tej przyczyny na ulicach zebrały się tłumy, przeważnie z mętów społecznych złożone. „Publiczność“ obrzucała kamieniami gaszących ogień strażaków, biła stójkowych, tłukła latarnie uliczne, obrzucała wymysłami zajętych opatrywaniem rannych lekarzy, wybijała szyby w karetach Pogotowia i, wogóle, zachowywała się tak, jakgdyby nie życzyła sobie wcale opanowania ognia; w końcu, doczekała się salwy ze strony zawezwanych na pomoc kozaków, poczem gromady wyrostków uciekły z placu spiesźnie. Ofiarą starć padło tu osób 18, t. j. 10 cywilnych (1 zabity na miejscu) oraz 8 wojskowych, zranionych kamieniami przeważnie. Cyfry powyższe dotyczą tylko ludzi, opatrzonych przez Pogotowie, lecz zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że rannych było więcej. Pożar i akcyja ratunkowa skończyły się po północy.

A bandytyzm warszawski tymczasem dawał znać o sobie coraz wyraźniej; 15 czerwca, w biały dzień, o 2 po południu uległ napadowi przed drzwiami własnego mieszkania (przy ul. Kościelnej) inkasent, w skroń postrzelony. I coraz jaskrawiej zarysowywał się fakt, niepożądany wielce, że wraz z energicznymi ruchami wolnościowego objawami najbrudniejsza anarchia szerzy się i nawoływania rzeczników nowej ery zagłusza wrzaskiem i skowytami żądz rozhułakanych. Wśród żywiołów, więcej zrównoważonych, sądzono zrazu, że są to nieodłączne od każdej rewolucji wybryki czerni dzikiej, Lumpen-Proletaryatu i że zgnilizną tę zubożeni

niebawem ożywczy duch nowego, tym razem zdrowego już ustroju społeczno-politycznego. Wypadki przekonały wkrótce, że rozumowania takie nie odpowiadają rzeczywistości, że dzieje się coś, dla czego próżno byłoby szukać pierwowzorów w przeszłości, że „kurs nowy” z przeszłością zerwał na dobre, darzyć chce swoją całkiem kulturą i nie troszczy się, czy ona nadaje się do upodobania większości narodu.

Wypadki i zajścia mniej ważne zanotowałem w powyższej tablicy, zaś o wielkiej manifestacji, urządzonej 13-go listopada 1904 roku na Placu Grzybowskim, po nabożeństwie w kościele Wszystkich Świętych, wspomnieć należy bodaj pobieżnie. Manifestację tę urządzało jedno ze stronnictw skrajnych celem wyrażenia protestu wobec poboru zapasowych na wojnę z Japonią. O zamiarze urządzenia pochodu policja dowiedziała się jednak dość wcześnie i w znacznej liczbie stanęła na placu przed świątynią, rewidowała wychodzących z niej, bądź aresztowała niektórych. Gdy w tłumie publiczności wywieszono czerwony sztandar i z rewidowanych niektórzy stawili opór, powstała utarczka krótka, choć zażarta, w przebiegu której 3 funkcjonariuszów policji otrzymało rany postrzałowe z rewolwerów (jeden — śmiertelną), a z publiczności 4 osoby odniosło szwanki od kul i szabel. Na pomoc stójkowym i żandarmom przybyło wojsko i huzarzy. Zagrzmiwały salwy, pałasze zaczęły żniwo krwawe.

Była godzina 2 po południu. W pół godziny potem na miejscu katastrofy stanęły ambulanse Pogotowia; jak dziś, mam przed oczyma: gęste od ul. Granicznej patrole, zatrzymujące ruch pieszy i kołowy, zamknięte wszędzie sklepy, przed uchylonemi zlekka bramami domów — tłumy widzów z ludności izraelskiej przeważnie się składające, na opróżnionym z publiczności placu, bokiem do kościoła szwadron huzarów z obnażonemi szablami w szyku bojowym, twarzą do kościoła — piechota, w przerwach — stójkowi i żandarmi, na stopniach kościelnych i na placu przed kościołem — tłum osób prywatnych, którym odcięto drogę powrotną do miasta. Ofiary starcia opatrywano na ulicach: Królewskiej, Granicznej, Zielnej, Grzybowie, Wielkiej, Siennej, Maryańskiej, Pańskiej, Twardej i w kancelaryi cyrkułu VIII-go. W razurze (Wielka 47) ujrzałem, między innemi, obraz następujący: w pracowni i pokoju mieszkalnym zbiorowisko tłoczących się ludzi krzyczy i lamentuje w niebogłoso, na schodkach progu, pomiędzy ubikacją pierwszą a drugą leży trup wysokiego dwudziestokilkolletniego mężczyzny, z wyglądu robotnika, ubranego odświętnie (była to niedziela) z postrzałem w okolicy serca od kuli

karabinowej. W izbie drugiej leżał na podłodze i krzyczał z bólu 30-letni mężczyzna, postrzelony w udo i dłoń prawą, opodał 17-letni młodzieniec ze strzaskaną gołenią lewą. Ponieważ wojsko strzelało z blizka, rany miały wygląd potworny, jaki w kampaniach nowoczesnych nie często się widzi. Rany te zaliczyłyby wypadło raczej do miażdżono-szarpanych urazów. Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić, że rany owe zadano obuchem siekiery, ostrym młotem żelaznym, lub innem tego rodzaju narzędziem; że zaś broczyły obficie, tworząc kałuże krwi dokoła, zbyteczne dodawać.

Mozolna praca chirurgów trwała do godz. 5½ po południu, przyczem naliczono ofiar ogółem 41. Ze strony osób cywilnych 10 znalazło śmierć na miejscu, a 23 otrzymało rany; zaś po stronie policyi było 7-iu ranionych i jeden zabity. Wieczorem na obryzganych krwią ulicach zapanowała cisza. Ale natomiast zaczęła się orgia walk nożowych, która z małemi przerwami trwała do godz. 4-ej z rana.

Zajść poważniejszych do końca r. 1904 nie było.

W mniemaniu, że dla przyszłego pisarza dziejów rewolucyi ostatniej wszelkie dane statystyczne z okresu walk posiadać mogą wartość niejaka, cyfry odnośne zestawiam poniżej w miejscu właściwem; tu zaznaczę tylko, że w roku tym liczba ofiar wypadków o podłożu politycznem dosięgła 279, a napadów bandyckich naliczono 54. Z końcem r. 1904 zaczęły się też na dobre postrzały z nieznanym dotąd Warszawie rewolwerów systemu Browning'a, które potem tak doniosłą odegrały rolę w oryginalnem bardzo regulowaniu nieporozumień osobistych i zatargów treści społeczno-ekonomicznej. Odczuwano powszechnie, że burza się zbiera. Niepewny dotąd wynik zapasów, staczanych w Mandżuryi, trzymał jeszcze nawałnicę na uwięzi.

Tak minął zakończony ciszą względną rok wstępny okresu przełomowego.

Rok 1905.

Wnet po kapitulacyi Port-Artura i niepomysłnej dla Rosyan (gen. Griepenberg) bitwie pod Sandepu w styczniu r. 1905, wrzenie wewnątrz Imperyum wzmogło się znacznie. W stolicach i miastach większych na skutek strajków, mnożących się bez liku, tłumy ludności zostały bez zajęcia, a wielu ludzi bez chleba. Ci stanowili, oczywiście, grunt najpodatniejszy do sypanego dłońmi hoj-

na przez agitatorów zasiewu. Instynkty niskie znalazły ujście swe w krwawych bójkach i demonstracjach ulicznych, fale pijanego uluda, wolności entuzjazmu — w zamachach i rzucaniu bomb na przedstawicieli ustroju biurokratycznego, znienawidzonego powszechnie. W masowym ruchu Rosyi przyjęło udział skwapliwy i Królestwo z Warszawą na czele i, w pierwszych chwilach przynajmniej, szło ślepo za komendą z Moskwy, bądź z Petersburga; co gorsza, że w działaniach przyjęto taktykę, niczem się od rosyjskiej nie różniącą.

Nie mam zamiaru zastanawiać się nad psychologią, a raczej psychopatyą rewolucyi, będącej wyłącznie niemal następstwem przegranej z Japończykami wojny; zadanie takie przerasta zamiary, a głównie — wymiary zaofiarowanego mi w druku miejsca. Wspomnę tylko, że trudno nie zgodzić się, po tem, co widzieliśmy zwłaszcza, z poglądem wielu autorów, którzy pomawiają naród rosyjski o niekulturalność i zwyrodnienie. Skąd zestawienie takie możliwem stało się dla kraju, o którym mowa, orzec trudno. Historia uczy, że degeneracya nawiedza ludy przycwilizowane tylko. W warunkach owych o naprawie i uzdrowotnieniu ustroju społeczno-państwowego, zwłaszcza o naprawie szybkiej, prawić może, jak miemam, człowiek naiwny, zły lub nieszczerzy. Bo czyż podobna wytrząsnąć, jak z rękawa, mężów zaufania, zdolnych reformatorów, ludzi gotowych do prawdziwego, a rozumnego dla sprawy poświęcenia się? W szeregach rewolucyi nie widzieliśmy ludzi takich, a jeśli byli, to chyba w liczbie bardzo ograniczonej, gdyż inaczej ruch cały nie poniósłby klęski.

Ale i o żywiołach umiarkowanych i lojalnych nie wiele co więcej zanotować wypadnie, inaczej prasa rosyjska nie narzekałaby bez przerwy, że w Rosyi „ludzi brak,” ludzi, co zdrową krew i tchnienie ożywcze ciężko doświadczonemu krajowi przynieśli by w darze. Gdy ludzi tych nie można znaleźć w miastach, nie znajdzie się ich również i na wsi, bo chłopu ruskiego z francuskim lub niemieckim i z polskim nawet porównać niepodobna. Wskutek złej gospodarki i wynikających zeń lat głodowych, rosyjski lud wieśniaczy upada fizycznie i duchowo. Wiecznie z głodem borykający się, nietrzeźwy, bo w wódce szuka zapomnienia, chłop biedny i kulturalnie stojący bardzo nisko, nie ma tych celów, ni ideałów politycznych, które chcą wmówić w niego teoretycy, politykująca młodzież i obojętni na głos rzeczywistości mernerzy partyjni. Co mu po konstytucyi, co mu po parlamentach, co go obchodzi może walka idei monarchicznej z demagogią, gdy mu się przedewszystkiem jeść chce? Dążnością jego jedyną jest pozyska-

nie lepszych warunków materyalnych, te bowiem, w których żyje, nie chronią go od nędzy, po za tem machinacje polityczne, czy socyalistyczne, są dlań obce zupełnie. Że na podłożu takim poczęty ruch „wolnościowy“ nie mógł posiadać, wbrew przechwałkom strony interesowanej, wielkich szans powodzenia, rozumiały od początku umysły zrównoważone i podkreślały bezzasadność zupełną ścisłego kojarzenia się z ruchem tym szerszych warstw narodu polskiego.

Jak zwykle, a u nas zawsze prawie, głosy rozważgi ginęły w harmiderze i wrzasku roznamiętnionej większości, która myśl zsolidaryzowania się prądów rewolucyjnych w Królestwie i Cesarstwie uważała za kombinację arcytrafną i pomyślaną szczęśliwie. Strajki rosyjskie poparto strajkami polskimi, a te ostatnie w zajądłości swej i cyfrze względnej przewyższyły nawet źródło pierwotne, stanowią bowiem 25% ilości ogólnej wypadków bezrobocia w r. 1905 w całym państwie. Owa pochopność do naśladowania na ślepo stosowanych na północo-wschodzie środków i zabiegów, uwydatniła się najwięcej w okresie strajków politycznych, z których pierwszy oglądaliśmy w mieście naszym w ostatnich dniach stycznia roku, o którym mowa.

(D. n.).

DR. K. NIEDZIELSKI.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materjałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Z dni burzliwych w Warszawie (1904 — 1907), przez D-ra K. Niedzielskiego (dokończ.).

Z DNI BURZLIWYCH W WARSZAWIE.

(1904 — 1907).

(Dokończenie). ¹⁾

Ponury, wrogi nastrój stron obu, czyli mieszkańców miasta i przedstawicieli rządu, uwydatnił się w ciągu dni owych w szeregu walk ulicznych, które stoczono pomiędzy 27 a 30 stycznia. Strajk trwał wówczas w całej pełni. Odpoczywały fabryki, warsztaty, sklepy, masarnie i piekarnie, biciem i pogrózkami spędzano z ulic dorożkarzy, zatrzymywano i wyrzucano z szyn tramwaje, zawieszano zajęcia w telefonach, tłum wyległ na ulice, pochody z czerwonymi „sztandarami“ rozpoczęły się. O zwadę z policją i wojskiem nie było trudno. O 4 po południu 27 stycznia padł żandarm, raniony kamieniem w głowę na ul. Chłodnej. W odwecie żołnierze dali ognia, kładąc trupem 50-letniego przechodnia i raniąc w czoło kobietę, co na huk strażów z balkonu się wychyliła. Lżej rannych internowano w cyrkule VII. Ogółem porańcono dnia tego z publiczności osób 13 (w tem 3 zabitych), a policja miała poszwankowanych 5 osób, z tych—stójkowy jeden pokrajany niebezpiecznie nożami.

¹⁾ Patrz zeszyt № 6 „Pracy“ za lipiec.

Dnia następnego, 28 stycznia, rozruchy trwały w ciągu dalszym w tychże stronach, częściowo jednak przeniosły się na Leszno i Elektorálną oraz do dzielnicy żydowskiej (Karmelicka, Nowolipie i t. d.). I tu zaczęło się od zranienia sztyletem policyanta, poczem żołnierze dali salwę i zabili dwoje dziewcząt, później zaś zranili ciężko mężczyznę na Lesznie. O zmroku stoczono bójki w różnych miejscach, przyczem akcyę ratunkową utrudniały wielce panujące na ulicach ciemności, latarni bowiem natłuczono bez liku, a nadto, strajkowali robotnicy gazowni. Ludność straciła w dniu owym 37 osób (w tem 3 zabitych), organy rządowe — 2 osoby.

29 i 30 stycznia zajść krwawych było mniej nieco. Dokładne określenie liczby poszkodowanych nie było możliwem, gdyż telefony nie funkcjonowały zupełnie i do wypadków jeżdżono wyłącznie na skutek wezwań ustnych, bądź opatrywano zgłaszających się osobiście na Stacyę Ratunkową. Pomoc tę utrudniało również osobiwsze w stosunku do lekarzy zachowywanie się pospółstwa, które niechętnem na zabiegi sanitarne spoglądało okiem, gniewne, że Pogotowie nie strajkuje. Nieraz też zdarzało się, że gromady te, ukrywszy rannych, odsyłały lekarza z kwitkiem. Czy sam zraniony aprobował postępowanie takie, nie wiem dokładnie; to pewna, że tłum z siebie zadowolonym był bardzo, bo postawił na swoim.

Ten, co pragnąłby doszukać się systematyczności jakiejś, śladu czy cienia planu akcyi, traciłby, sędzę, czas drogi nadaremnie. Tu pobito się, tam uciekano przed salwą, owdzie zraniono dryndziarza, gdzieindziej—stójkowego, jeszcze gdzieindziej urządzono pochód na prędce lub gradem kamieni sypnięto w szyby sklepu „burżuja,” poczem uciszało się wszystko. Widziałeś, że ktoś komuś robi tu na złość i mocno przekomarza się. Tyle o politycznem zabarwieniu rozruchów. Lecz, ręka w rękę, występowały tu inne jeszcze przejawy, z polityką i z tchnieniem idei postępu niewiele mające wspólnego—rabunki sklepów prywatnych, które na ul. Marszałkowskiej np. przyjęły charakter groźny. Wypadki owe, rzekłszy nawiasem dość częste, odbierały rozruchom pozór nawet jakiegoś protestu politycznego i na całą sprawę, w oczach ludzi rozsądnych rzucały światło ujemne. Manifestacye, jak się zaczęły znienacka, tak też nagle w ostatnim dniu stycznia się skończyły, wzbogacając statystykę rewolucyi o 84 nowych ofiar, które stwierdzone zostały napewno.

Może wygłaszam pogląd błędny, może tłómaczę niewłaściwie nastrój ówczesny, do nieomylności sądu nie żywiłem nigdy pre-

tensyi najmniejszej, lecz miałem wrażenie, iż większość olbrzymia (o Warszawie mówię wyłącznie) nie zdawała sobie dokładnie sprawy z natury wypadków i celu ostatecznego, do którego parł ruch „wolnościowy.“ Jak sądzę, większość owa, nie wtajemniczona w arkana agitacyi, wierzyła ślepo, że rewolucyoniści chodzi przede wszystkim o cele patryotyczne, że wywalczenie konstytucyi czy autonomii dla Polski jest głównem zadaniem ruchu; stąd bardzo wielu wypadki r. 1905 utożsamiało z wypadkami lat 1830 i 1863, uważając je za ciąg dalszy niezałatwionych z rządem rosyjskim porachunków, a zastanawiającą niektórych metodę i tło odmienne tłumaczono sobie innym duchem czasu i warunkami, zgola innymi, niż dawniej. W mniemaniu takim utwierdzał społeczeństwo warszawskie rozwój i charakter zajęć, szybko po sobie następujących, zwłaszcza z początku; więc rzućenie bomby w patrol na ulicy Wolskiej, wybuch bomby w cyrku le na Pradze, zamach na ober-policmajstra Nolken'a, bezskuteczny na generał-gubernatora Maksimowicza i t. p., gdzie ofiarą zamachów padały figury rządowe, zaś swoich, na ogół, jeszcze się nie czepiano. Tą psychiką nastroju wyjaśnia się też zapewne fakt niezaprzeczony, że w ciągu pierwszych miesięcy koła inteligentne, postępowcy, ogół mieszkańców wreszcie, z objawami, o których mowa, sympatyzował szczerze i nie skąpił im materialnego i moralnego poparcia. Wypadki listopadowe, sposób przyjęcia konstytucyi, odsłonięcie przyłbicy przez partye skrajne w krótkotrwałym okresie bezwzględnej wolności słowa, zażarta walka socyalistów z narodowcami, otworzyły oczy wielu, a nieuniknionem uświadomienia takiego następstwem musiał być nagły spadek gorączki do rewolucyi—spadek krytyczny niemal, bo od okresu tego zwrot ku reakcyi zarysowuje się coraz wyraźniej.

I pochód w dniu 1 maja uważano na razie za manifestacyę patryotyczną i mniemam, że zdania takiego byli w $\frac{3}{4}$ i sami uczestnicy pochodu. Manifestacya, jak wiadomo, tragicznie się skończyła, bowiem na strzał, dany z tłumu(?), w Alejach Jerozolimskich piechota odpowiedziała salwą, a kawalerja—szarżą, kładąc trupem 31 uczestników pochodu, a raniąc ciężko 9 i lżej 7 osób. Wieczorem w odwecie rzucono bombę przed Dworcem Wiedeńskim w patrol kozacki.

Jakkolwiek dotychczasowy przebieg wypadków upoważniał, w stopniu niejakim, do wygłaszania poglądu, że rewolucya walczy z rządem wyłącznie, dane, przemawiające za istnieniem anarchii i początku wojny domowej, mnożyły się coraz więcej. Niezależnie od pojedynczych napadów na policyantów i konwojują-

cych ich żołnierzy, które od drugiej połowy lutego stały się już w Warszawie zjawiskiem zwykłym, w tymże mniej więcej czasie okresie zaczęły się wypadki samosądów z rewolwerem w rękę. Przygodni „sprawiedliwoci“ wykonawcy mordowali złodziei, ludzi bez określonego zajęcia, agentów policji śledczej, zwanych „szpiclami“, a poza tem i — robotników „narodowców“, podmajstrzych, bądź urzędników fabrycznych, stróżów, spełniających zbyt wiernie rozkazy policji, etc. Do samosądów zaliczyć wypadnie również nagankę na rzezimieszków, alfonsów i prostytutki, która, zorganizowana przez ludność wyłącznie niemal żydowską, trwała trzy dni, t. j. od 24 do 26 maja włącznie i miała być wyrazem zbiorowego tejże protestu przeciw istnieniu jednostek, stanowiących hańbę i plagę społeczną. Bito wówczas i krajano nożami mężczyzn i kobiety, wdzierano się do domów publicznych lub rozprawiano z nierządnicami, mieszkającymi prywatnie. Dokonawszy pogromu lupanarów w dzielnicy izraelskiej, zainprowizowana ekspedycja karna udała się do staromiejskiej dzielnicy (ul. Gołębia, Stare Miasto, Wązki Dunaj, Podwale), tu jednak alfonsi zdążyli utworzyć samoobronę i toporami przyjęli atakujących tak żwawo, że ostatni z placu boju cofnęli się pośpiesznie. Również nie powiodło się przeniesienie pogromów do nowej części miasta (ulica Marszałkowska), gdzie napastników spędzili kozacy. W ciągu trzydniowych, oryginalnych co do genezy swej, utarczek, naliczono ofiar 52, w tem 10 rannych ciężko.

Po katastrofie Cuszymskiej i zawarciu pokoju z Japonią wrzenie rewolucyjne wzmogło się potężniej jeszcze, a ruch ogarniać zdawał się państwo całe od zachodnich z Prusami i Austryą słupów granicznych do brzegów oceanu Wielkiego i redut Władystoku. Rząd czynił spieszenie ustępstwa za ustępstwami, zapowiadał w szeregach manifestów nieznane przedtem ulgi i akty tolerancyjne, wszakże uspokojenia umysłów nie było znać ani na jotę. Przeciwnie, na ustępstwa odpowiedziano w końcowych dniach października powszechnym strajkiem politycznym. Stały fabryki i warsztaty, stały drogi żelazne i telegrafy, pozamykano sklepy, a handel i przemysł zamarły chwilowo w całym państwie olbrzymiem. 31-go października nadeszły wieści o nadaniu państwu swobód konstytucyjnych. Jednak i wtedy uspokojenia jeszcze nie osiągnięto. Strajk generalny trwał dalej.

*

*

*

Chmurny, posępny ranek listopadowy, poprzedzający uroczystość umarłych—1 XI 1905—odbijał rażąco od tryumfального nastroju Warszawy, która w dniu owym umyśliła akt nadania konstytucyi uświetnić szeregiem pochodów i manifestacyj. Po śliskich chodnikach i ulicach snuły się upojone radością tłumy, kroczyły bezładnie, bez wytechnienia, a gęsto. Na ulicach i placach z trybun, zaimprowizowanych na prędce, mówcy przygodni i agitatorzy wygłaszali mowy. Tłumy rosły wciąż w liczbę, podniecenie umysłów dochodziło do szczytu. Gdziekolwiek z wojskiem i policją bratano się, ówdzie staczano z nimi walki krwawe. Nielogiczności piętrzyły się po stronach obu. Publiczność sprawiała się tak, jakgdyby konstytucya z 30 Października obdarowywała Królestwo niepodległością prawie. Ale władzom miejscowym pochody uliczne i mowy były solą w oku, lubo wolność zgromadzeń obwieszczono wyraźnie w manifestacie konstytucyjnym.

Na tle „nieporozumień“ obustronnych zaszły też wypadki takie, jak zastrzelenie dwóch dziewczyn na ul. Złotej, salwa do tłumu przed Bankiem, szarża kozaków na Placu Teatralnym, w chwili gdy zabierano się do uiluminowania okien, by uczcić godnie dzień tak doniosły. Parodyą krwawą, trupami, okrzykami rozpacz, stekiem złorzeczeń i przekleństw skończył się dzień, na który czekano lat tyle. Przyszedł, wreszcie, i jak się zdarza czasem, po skosztowaniu owocu upragnionego, rzucono nim o ziemię, mówiąc, że cierpki i twardy.

Jeżeli zachowaniu się tłumów na ulicy, manifestujących uczucia radosne po swojemu, niejedno zarzucićby można z punktu widzenia logiki, to również niewesołe obudzić mogło refleksye to, co się czytało na łamach niektórych pism warszawskich nazajutrz po zarzuceniu w kąć tak srogich do niedawna obostrzeń cenzury prewencyjnej. Walka z rządem, który, niewiadomo dla czego, uznano odrazu za *quantité négligeable*, zesłała na plan drugi; na pierwszy zaś wysunęły się walki partyjne. Każde ze stronnictw zażarcie i namiętnie o wpływ przemożny w kraju ubiegające się, błotem obelg i oszczerstw obrzucało pozostałe i poza „nieomylnym“ w postulatach programem własnym, poglądom obozów innych nie przyznawało słuszności bodaj w tysiącznej części. Jak dawniej szlachta polska hałasowała na sejmikach, o byle co szablami się rąbiąc, tak w roku pańskim 1905 na niezliczonych wiecach w Warszawie z pazurami i pianą na ustach przyskakiwano do siebie w ferworze polityczno-społecznych dyskusyj. I dziwił się niejedyn człek prosty, nie dający się „uświadomić“ w ciągu godziny, dziwił się, patrząc na Marat'ów warszawskich, że

tak oryginalnie korzystano z wolności i konstytucyi; a dalej—że nikt do zgody nie wzywa, choć całe życie przedtem pakowano mu w głowę, że niezgoda właśnie zgubiła Polskę. Dopiero, gdy znalazł w druku, że dawny orzeł polski to tylko „gęś głupia,” zwykły śmiertelnik przestał się dziwić i uznał, iż rzecz w porządku.

Jak nie ma życia bez walki, tak nie ma, oczywiście, i życia parlamentarnego bez ścierania się zdań i poglądów, bez walki stronnictw, bez ubiegania się o wpływy na sprawy państwa. „Jednomyślność poglądów jest rzeczą niemożliwą w państwie konstytucyjnem,” mawiali z namaszczeniem obrońcy anarchii wiecowej. I mieli słuszość pewną choćby dla tego, że coraz więcej przybywa dziś świata typów zwyrodniałych lub zdenerwowanych, co muszą się wykrzyczeć i bodaj czynami Herostrata zwrócić na siebie uwagę. Zapomniano tylko, że co innego—ścieranie się zdań i poglądów, a co innego teroryzowanie wyznawcy poglądów odmiennych brauningiem lub wyrzucaniem za drzwi z sali wiecowej. Społeczeństwo, rozumujące na zimno nad konstytucją, należą mu zdawna i przyjąwszy ją w milczeniu, w pracy nad umysłowym i materyalnym rozwojem własnym przygotowywałoby grunt ku zdobyczom dalszym i kroczyłoby naprzód konsekwentnie, bez uniesień i wybuchów historycznych i bez trzymania się hasła nierozumnego: nic — albo wszystko odrazu! Hasło to na jednej szali postawić można z dawnem: Polska nierządem stoi!, które jakby po latach wielu przyświecać nam znowu miało, niby wykwit mądrości politycznej. W tem też zapewne kryje się źródło popierania strajku politycznego w Warszawie podczas grudniowych w Moskwie walk na barykadach.

*

*

*

W ciągu roku 1905 naliczono w mieście naszym 24 katastrof masowych, które podaję w porządku kolejnym:

1 — 4) Manifestacye uliczne od dn. 27 do 30 stycznia włącznie.

Ofiar ogółem 84, w tem zabitych 6.

5) 11 lutego. Bijatyka z wojskiem na ul. Szerokiej. Ofiar 5.

6) 26 lutego. Napad na patrol na ul. Smoczej. Ofiar 5 (zab. 2).

7) 21 marca. Wybuch bomby, rzuconej w patrol wojskowy na ul. Wolskiej № 4. Ofiar 6.

- 8) 26 marca. Rzucenie bomby do poczekalni cyrkułu XII-go na Pradze i zamach na ober-policmajstra Nolken'a na Zjeździe. Ofiar 10 (zab. 2).
- 9) 2 kwietnia. Salwa wojsk do tłumu na ul. Gęsiej. Ofiar 13 (zab. 4).
- 10) 1 maja. Starcie z wojskiem podczas pochodu manifestacyjnego w Alejach Jerozolimskich. Ofiar 47 (zab. 31).
- 11) 1 maja. Strzały patrolu na ul. Ząbkowskiej № 33. Ofiar 4. (zabitych 3).
- 12) 1 maja. Rzucenie bomby w patrol kozacki przed Dworcem Dr. Żel. W. W. Ofiar 6.
- 13) 4 maja. Rozpędzanie zbiegowiska na ul. Grzybowskiej przez kozaków. Ofiar 8.
- 14) 19 maja. Zamach na gen.-gubern. Maksimowicza na ul. Miodowej. Ofiar 21 (zab. 3).
- 15) 24 i 25 maja. Pogrom alfonsov, złodziei i lupanarów. Ofiar 52.
- 16) 22 czerwca. Popłoch podczas uroczystości Boż. Ciała. Ofiar 21.
- 17) 24 czerwca. Wybuch bomby na ul. Grzybowskiej № 65. Ofiar 5.
- 18) 26 czerwca. Salwa patrolu do manifestujących na ul. Krochmalnej Żydów. Ofiar 6.
- 19) 28 sierpnia. Awantury na ulicach Dikiej i Gęsiej. Ofiar 6.
- 20) 1 listopada. Bójki z wojskiem w przebiegu uroczystości na cześć nadania konstytucyi. Ulice Marszałkowska i Żabia. Ofiar 6 (zab. 2).
- 21) 1 listopada. Szarża na tłumy na Placu Teatralnym. Ofiar 26 (zabitych 5).
- 22) 2 listopada. Salwa do tłumu, odbywającego pochód z czerwonym sztandarem. Ofiar 21 (zab. 4).
- 23) 12 listopada. Strzały wojska do tłumu na ul. Ostrowskiej. Ofiar 8 (zab. 1).
- 24) 16 listopada. Strzelanina na ul. Dzikiej. Ofiar 4.

Ogółem: ofiar zająć masowych 364.

W tem — po stronie publiczności 332,
po stronie organów polic.-wojskowych 32,
zabitych na miejscu 64.

Ponieważ ofiarą rewolucyi w roku tym padło w Warszawie ogółem ludzi 923, po potrąceniu więc wskazanych wyżej katastrof pozostaje 559. W liczbie ostatniej znajdują się osoby, poszkodowane różnymi czasy i wśród okoliczności różnych przez wojsko i policję oraz daleko liczniejsze ofiary walk partyjnych i nienawiści klasowej, którą walcząca na dwa fronty rewolucya nowo-

czesna potrafiła podniecać i utrzymywać w tem podnieceniu. Dalej, mieszczą się tu poszwankowani przez bandytów, ofiary zbyt częstych w dobie ówczesnej „pomyłek,” ofiary strajków krwawych i t. p. W liczbie tej mieści się zabitych 61, przyczem katolicy stanowią 67%. Zważywszy jednak, iż wielu umieszczano w szpitalach z urazami nader ciężkimi (rany postrzałowe trzewiów, pęknięcia czaszki i t. p.), liczbę śmierci podnieśćby należało, jak mi niemam, dość znacznie. Stosunek poszkodowanych osób wolnych profesyj do warstw robotniczych wypada niemal, jak 1 : 3. Większych napadów bandyckich w r. 1905 naliczono 93, przyczem od osób prywatnych, broniących się przed „ekspropriacją“(!) ucierpiało złodziei 7.

Materyał statystyczny z okresu, który uwzględniłem tu w krótkości, upoważnia do pewnych wniosków, mianowicie:

a) Liczba ofiar skutkiem zamachów i napaści członków partij skrajnych i t. zw. anarchistów na osoby prywatne, przewyższa cyfrę poszwankowanych na skutek działania wojska,

b) Nieznaczące straty w szeregach wojska dowodzą bezmyślności całej ruchawki,

c) Śmiesznie małe straty, jakie ponieśli zbóje i złodzieje warszawscy, z cudzoziemską bandytami zwani, dowodzą, że mieszkańcy grodu syreniego stracili wiele z dawnej swej wojowniczości.

*

*

*

Porażka walczących na barykadach zastępów rewolucyjnych w Moskwie, w grudniu r. 1905, była niewątpliwie punktem zwrotnym w przebiegu wypadków, wiążących się z t. zw. ruchem wolnościowym w państwie całym. Przekonano się, że armia w olbrzymiej większości do ruchu wciągnąć się nie da, że więc o zwycięstwie w boju wstępnym niema co myśleć. Bunt częściowe załóg w Kronsztadzie, Sweaborgu i Sewastopolu pozostały epizodami oderwanymi, a opanowane bez trudu, dalej się nie przeniosły ani rozwinęły.

Rachuby na powstanie ludu wiejskiego zawiodły. Na ogół chłop w Królestwie o socyalizmie słuchać nie chciał, chyba z małymi wyjątkami gdzie niegdzie; chłop ruski, bezgraniczną żywią-

cy miłość dla Monarchy, do wystąpienia zbrojnego nie dał się nakłonić. Zrewoltowany chwilowo, rzucał się, wprawdzie, czasami na dwory „pomieszczyków,” łupił, mordował i palił, z taką wszakże rosyjską *jacquerie* wojskowe oddziały lotne załatwiały się prędko; na szerszą skalę obmyślana akcja w kraju nadbałtyckim zawiodła zupełnie. Rewolucya, tracąc coraz wyraźniej grunt pod nogami, zrozumiała wreszcie, że o pociągnięciu mas szerszych myśleć niepodobna, rachować mogła więc na warstwy robotnicze tylko i po części na inteligencyę.

Niezadowolone z warunków bytu ekonomicznego i skłonne do modnego dziś socyalizmu warstwy robotnicze stanowią, wprawdzie, siłę pokazną, lecz sile ludu wiejskiego i burżuazji nie dorównają nigdy. Że, biorąc na ogół, niezbyt inteligentne warstwy te, obalamucone przez agitatorów i menerów, żywią mniemanie przesadne o sile swej i roli w społeczeństwie, wypadki pouczyły o tem wszystkich aż nazbyt wyraźnie. Od indywidualnego mniemania jednak o sobie do rzeczywistości — bardzo daleko jeszcze. Była chwila, gdy proletaryat robotniczy, sądząc się panem sytuacji, na resztę społeczeństwa spoglądał z nienawiścią i pogardą i chciał ją traktować, niczem trzodę. Ale jak wszędzie, pychę los karze, tak i w tym razie rzeczywistość zimna zniwelowała dość prędko skalę wygórowanych mniemań, ucząc, że równi z równymi mogą dziś istnieć tylko, a czasy przywilejów minęły bezpowrotnie, bez względu na to, czy uprzywilejowanym tym miał być, jak dawniej, jaśnie wielmożny szlachcic, czy też jaśnie wielmożny „robociarz“ z fabryki. Statystyka mówi np., że w r. 1906 było w Warszawie 764,647 mieszkańców, w tem robotników fabrycznych 35,270. Czy podobna przypuścić choć na chwilę, że garstka ta, argumentując pięścią tylko, zdoła narzucić swą wolę setkom tysięcy?

A z drugiej strony i warstwy inteligentne, popierające zrazu ochoczo „ruch wolnościowy,” zraziły się doń niebawem, przy czem większość usunęła się na bok i odmówiła poparcia. Stwierdzono, że ruch cały uwzględnia przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie, dobro jednej jedynej warstwy społecznej — dobro robotnika, o sfery inne zgoła nie turbując się, lub też przyjmując względem nich postawę wroga. Wzmagająca się wraz z rewolucją anarchia, wymuszanie składek przez opryszków, kłamliwie rewolucjonistami bądź socyalistami tytułujących się; gwałty, napady, rabunki i mordy, dokonywane przez te indywidua, zmroziły, ścięły lodem ognistą ku akcji przewrotowej falę uczuć. Wprawdzie, w czas jakiś partye skrajne, zmiarkowawszy rosnącą stąd wśród inteligentów niechęć, zabrały się do demaskowania łotrów, nie

rozwinęły jednak w kierunku tym energii odpowiednio skutecznej i nie odzyskały już poparcia ani zaufania dawnego. Zabójstwa, któremi steroryzować chciano przedstawicieli najoświecieńszych warstw narodu, dokonały reszty, do bankructwa prowadząc system, na kokietowaniu i schlebieniu ideom przewrotu oparty.

Rok 1906.

Wbrew zdaniu wielu, wobec pogrózkom, wygłaszanym dość często przez opozycjonistów w Dumie, wobec przechwałkom młodocianych entuzystów, podnieconych zamętem chwili, akcja rewolucyjna słabła stopniowo, lecz widocznie, a rozpaczliwe, sporadyczne przejawy jej świadczyły jeno, że okres wybuchów żywiołowych przeszedł do historii. Rachuby na poruszenie mas w następstwie rozwiązania pierwszej Dumy zawiodły najzupełniej, odezwa Wyborska chybiła celu, próba urządzenia po raz drugi strajku powszechnego skończyła się fiaskiem, zniechęcenie z apatyą kojarzące się stłumiło zapał, sparaliżowało energię. Stronnictwa, idące do niedawna ławą w walce o zdobywanie praw, zatrzymały się w pochodzie naprzód na całej linii, bo dysonanse w koncercie były zbyt wielkie, a zyski nie równoważyły strat, zależnych od uroszczeń bez miary i dążności do wywrócenia stosunków społecznych *quand même*. Niezręczność polityczna socjalistów była tu zbyt widoczną, a każda niezręczność taka była i będzie zawsze wodą na młyn reakcyi. Reszty dokonały rygory i represye stanu wojennego, sądy polowe, wyprawy karne, cały arsenał, wreszcie, środków walk, które rząd jął stosować po pierwszym odrętwienia okresie.

Że tło, na którym ugruntowano akcyę z zarozumiałą pewnością siebie, nie było dojrzałem politycznie ani społecznie, wyniki walki pouczyły niezbiecie; że i niezdrowem było — dowodzić niema potrzeby; że przy niskiej stosunkowo kulturze mas spłodziło bandytyzm, potępiany, zresztą, przez wszystkie, bez wyjątku, stronnictwa, nikt dziwić się nie powinien, z uwagi na powstawanie zastępów całych ludzi wykolejonych moralnie. Historia sprawy te osądzi kiedyś surowo.

Z wykazów odnośnych stwierdzamy fakt znamieny pijaństwa, stale wzmagającego się. Gdy w r. 1905 spożycie wódki rządowej zwiększyło się (w państwie całym) w porównaniu z rokiem 1904 o 4,730,000 wiader, to w r. 1906 przewyższyło cyfrę

tę o 10,400,000 wiader. W ogniskach anarchii największej w Odesie, Łodzi, Petersburgu zapotrzebowanie wódki wzrasta bez przerwy. I skąd pieniądze na to się biorą? Czy czasem nie tonie w wódce lwia część nadwyżki „lonu“ robotnika, wywalczonej tak krwawo? W tym wypadku rzecz cała nabrałaby oświecenia całkiem swoistego, a miraż jutrzeńki czasów lepszych na długo tylko mirażem musiałby pozostać.

A oto rachunek drugi — dla Warszawy.

Gdy w r. 1903 ilość samobójstw nie przekraczała 208, w roku 1904 podskoczyła do 259, w r. 1905 do 277, a w r. 1906 do 299. Cyfry suną crescendo. Fakt taki wiąże się ściśle z niepewnością stosunków, podnieceniem umysłów, anarchią ducha i nędzą, obok zmateryalizowania pojęć dzisiejszych. Gdy dawniej samobójstwa wśród kobiet zdarzały się najczęściej za sprawą zawodów w miłości, to dziś truje się lub w łeb strzela sobie rzemieślnik, fabrykant, kupiec lub wyrobnik. Pierwiastków romantyzmu czy erotyzmu w faktach takich szukałbyś daremnie, przyczyna tkwi w ponurem ukształtowaniu się sytuacji.

*

*

*

Charakter partyzancki rozpraw zbrojnych, jaki w kampanii każdej przebija zwykle po klęsce w polu otwartem, wycisnął piętno swe i na t. zw. masowych zajściach w mieście naszym w roku, o którym mowa. Do partyzantki takiej zaliczyć wypadnie rzucanie bomb w kolejowego inżyniera Proskurjakowa (4 maja) lub w pomocnika komisarza cyrkułowego Konstantinowa (14 maja), zbiorowe na „monopole“ napady (9 czerwca), które przekonać miały, kogo należy, o bezcelowości ustawiania w składach spirytusu posterunków wojskowych, wreszcie — obławę na policyantów w ciągu lipca. Ale i wszystkie te rozprawy krwawe miały się również z celem, o ile nie dyktowała ich w danym razie zemsta osobista. Po 9-ym czerwca żołnierzyki trzymały wartę w monopolach, jak dawniej, a i cyrkułom na pomocnikach komisarzy i stójkowych nie brakło bynajmniej. Rzeczą jest pewną, że za pieniądze rząd znajdzie legiony sług, a w ciężkich czasach dzisiejszych nawet za skromniejszą pensję ryzykant nadstawiać będzie karku. Więc i pomimo z górą pięcioletniego trwania zamie-

szek cyrkuły nie znikły z powierzchni miasta Warszawy, owszem, jest ich o trzy więcej, a i funkcjonariuszów policyjnych — też więcej.

Nadszedł dzień 15 sierpnia, a z nim najgorętszy z okresu anarchistycznego epizodu dla Warszawy. Tracące grunt pod nogami coraz widoczniej i bliżkie rozprężenia miejscowe organizacje rewolucyjne postanowiły końcowy okres walk uświetnić rzezią na skalę większą organów policyjnych w jednym dniu i o jednej niemal porze w Warszawie i innych miastach Królestwa (Łódź, Radom, Płock, Włocławek i t. d.). Dla wykonania zbiorowych morderstw tych wybrano dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, środę, przecudny, ciepły i pogodny poranek sierpniowy, a dzień niezmiernie uroczysty dla świata katolickiego. Gdy w Częstochowie z okazji poświęcenia wieży nowej nieprzeliczone tłumy ludu wznosiły modły korne do Matki Jasnogórskiej, patronki ziemi naszej, w stolicy Polski szlachtowno się od wczesnych godzin rannych do późnej nocy, krew płynęła obficie po bruku ulicznym, krew wielu niewinnych zupełnie.

Zaskoczone z nienacka posterunki policyjno-wojskowe straciły w Warszawie w dniu owym 20 ludzi, w tem zabitych 9 i 4 ciężko rannych. Pomiędzy godz. 12 a 12½ w południe ktoś, jak wykryto później pozostający bez zajęcia, podobno ex-kelner jakiś, rzucił przez okno do wnętrza cyrkułu VII-go bombę w chwili, gdy rzesze pobożnych opuszczaly kościół św. Karola Boromeusza po sumie. Cyrkułowi nie stało się, wprawdzie, nic wielkiego, bo, prócz uszkodzonych ścian, stołów i stołków, jeden szeregowiec tylko, mahometanin z wyznania, poważny śnać przeciwnik „ruchu wolnościowego“ w Warszawie, otrzymał poparzenie twarzy i kończyn górnych, lecz ucierpiało za to 21 osób z publiczności, poranionych przez wybuch, bądź pokaleczonych szkłem szyb, które ku wielkiej szklarzów ucieście i zadowoleniu, z okien posesyj posypały się gęsto. Przed godz. 1-ą po południu na ulicach miasta zagrzniały salwy wojsk. Rozpoczął się rewanz krwawy.

Trzynastu lekarzy dyżurnych Pogotowia z niżej podpisanym na czele rozwinęło na niesłychaną dotąd w instytucji tej skalę czynność ratunkową. Personel sanitarny wraz z nadzorcą i tabor cały działał w komplecie. O zakresie czynności tej można mieć pojęcie choćby z tego, że trwała od godz. 8-ej z rana do 11-ej w nocy bez chwili wytchnienia, a od 11-ej w nocy do 10-ej rano dnia następnego — z przerwami. Po załatwieniu jednego wypadku otaczający skierowywali karetę na ulicę obok, gdzie znajdowało się 2, 3 lub 4-ch postrzelonych również; stąd na ulicę przy-

ległą do rannych ciężko i przeniesionych już do mieszkania. Po załatwieniu się i z tymi słyszałeś nowe salwy; należało więc, gdy ustały, jechać w ich kierunku i opatrywać lub wieźć do szpitala świeże ofiary. Akcja przyjęła też odrazu charakter ambulatoryjny, jak na pobojuwisku, a gdy udało się na krótką chwilę powrócić na Stację, to po to chyba tylko, by dowiedzieć się, iż trzy, cztery wezwania czekają na lekarza z tych części miasta, z których się dopiero powróciło.

Nie wiem, czem kierowały się wojska w uśmierzającej miasto działalności i czy wogóle na punkcie tym panował kierunek jaki. Strzelano najgęściej w północno-zachodniej dzielnicy Warszawy, przyczem ofiarą kul karabinowych padali Żydzi przeważnie. Jeździłem, między innymi, do służki, Żydówki, którą, gapiącą się na ulicę z balkonu, celnym wystrzałem szeregowiec położył trupem. Na ulicy Pawiej znalazłem na trotuarze zwłoki 60-letniej Żydówki, z roztrzaskaną od kuli czaszką. Czy niewiasta ta brała udział czynny w zamieszkach polityczno-socjalnych, można by wątpić chyba, a jednak, nie były to bynajmniej w dniu owym zdarzenia wyjątkowe. Ale i rewolucja biernem od południa do nocy zachowaniem się złożyła dowód imponujący bezsilności doszczętnej i przekonała wówczas wszystkich, że po za strzelaniną z za płota nie potrafi zdobyć się na nic innego.

*

*

*

Piętnaście zająć masowych, które rok 1906 uwiecznił w krwawym przebiegu swym, przytaczam z kolei rzeczy w porządku następującym:

- 1) Dnia 22 stycznia. Wybuch petardy(?) w pałacu błękitnym. Poszkodowanych osób 6.
- 2) D. 10 lutego. Rzucenie bomby na patrol żandarmów na ulicy Zgoda. Poszk. 4.
- 3) D. 10 marca. Starcie patrolu z robotnikami fabryki „Labor.“ Poszk. 10. Zabitych 2 policyantów i 2 robotników.
- 4) D. 4 maja. Wybuch bomby na rogu ul. Bielańskiej i Długiej. Poszk. 12 (zab. 2).

- 5) D. 14 maja. Wybuch bomby na rogu ul. Marszałkowskiej i Ś-to Krzyżkiej oraz następcza salwa patrolu. Poszk. 18, t. j. od bomby 10 i przez żołnierzy 8. Zabitych 4, w tem 3 przez wojsko.
- 6) D. 25 maja. Napad na Kasę Przemysłowców Warsz. na ulicy Złotej. Poszk. 9 (zab. 2).
- 7) D. 9 czerwca. Napady na monopolowe handle wódek. Poszkodowanych 8, w tem zabitych 2, t. j. przechodzień i jeden z napastników.
- 8) D. 28 lipca. Strzały w Ogrodzie Saskim. Poszk. 6 (zab. 1).
- 9) D. 15 sierpnia („Krwawa środa“). Napady na policję, wybuch bomby przed kancelaryą cyrk. VII i strzały wojska. Poszkodowanych 125, w tem: zabitych 5 z policji i 4 żołnierzy, ciężko rannych 2 policyantów i 2 żołnierzy, lżej—5 policyantów i 2 żołn., ogółem 20. Skutkiem bomby ranny 1 żołnierz i 21 osób postronnych. Od salw karabinowych zabitych osób prywatnych 17, rannych ciężko 18, lżej — 83.
- 10) D. 16 sierpnia. Zamach na procesyę (rzucenie petardy przez wyrostka) i salwa wojska. Poszk. 15, w tem od wybuchu petardy 2, od kul karabinowych 13.
- 11) D. 10 września. Napad na restauracyę na rogu ulicy Elekto-ralnej i Solnej. Strzały wojska. Poszk. 18, w tem zabity 1, rannych ze strony policji 3, ze strony osób prywatnych 14.
- 12) D. 11 września. Strzały wojska na ulicach w obrębie cyrkułu III. Poszk. 18, zab. 3.
- 13) D. 15 września. Napad na agentów policyjnych na ulicy Okopowej. Poszwankowanych 7, t. j. 2 agentów i 5 osób postronnych.
- 14) D. 17 października. Napad na kasyera tramwajów na Nalewkach oraz interwencja patrolu. Poszwankowanych 13, w tem zabitych 4, t. j. 1 policyant i 3 złodziei.
- 15) D. 9 listopada. Obrabowanie pociągu pocztowego kolei wiedeńskiej. Poszwankowanych 12, w tem 2 urzędników ciężko, 10 żołnierzy lżej.

Ogółem ofiar zająć masowych 281,
w tem: osób cywilnych 229,
organów polic.-wojsk. 52,
zabitych na miejscu 49.

Jeżeli liczbę ofiar powyższych dołączymy do sumy ogólnej, obejmującej nader liczne w r. 1906 wypadki oderwane, t. j. pojedyncze, otrzymamy rachunek następujący według zajęć osób poszwankowanych z ludności miasta Warszawy:

- a) osób profesyi wolnej 169, w tem zabitych 23.
- b) rzemieślników i wyrobników 484, zab. 44.
- c) ludzi bez zajęcia 47, zab. 5.
- d) osób profesyi nieznanej 114, zab. 46.
- e) złodziei i bandytów 57, zab. 26.
- f) niższych organów policyi 98, zab. 33.
- g) wyższych stopni policyjnych 6, zab. 4.
- h) żołnierzy 63, zab. 7.
- i) oficerów 4, zab. 3.

Ogółem ofiar 1,042, w tem zabitych 181.
Zginęło lub odniosło rany od wojska 524.

Według wyznań: katolików 551 (zabitych 75), prawosławnych 146 (zabitych 36), protestantów 21 (zab. 2), izraelitów 273 (zab. 47), mahometanów 6 (zab. 1), osób wyznań niewiadomych 45 (zab. 20).

Do liczb tych dołączyć wypadnie rozwielnione na bruku warszawskim rozprawy brauningowe, ulubiony system załatwiania pretensyj osobistych. Ilość wypadków tych w roku sprawozdawczym doszła do 193, przyczem 45 napadniętych zginęło na miejscu; o liczbę tę zwiększyć też wypadnie rachunek; po uwzględnieniu nadto działalności sądów polowych, t. j. 47 wyroków śmierci, osiągamy liczbę ostateczną 1,282 ofiary, w tem zabitych 273.

W wykazie powyższym zamieściłem już i ofiary 152 napadów bandyckich, którym uległo:

28 właścicieli sklepów i zakładów (zabitych 7), 8 subjektów (zab. 1), 7 kasyerów i inkasentów (zab. 1), 11 właścicieli domów (zab. 3), 4 administratorów domów (zab. 1), 25 stróżów (zab. 2), 16 woźnych, konduktorów i dorożkarzy, 8 urzędników fabryk i instytucyj (zab. 4), 5 fabrykantów i przemysłowców (zab. 1), 1 redaktor (zabity), 1 adwokat (zabity), 5 nauczycieli szkół, 4 majstrów fabrycznych (zab. 3), 24 rzemieślników i robotników (zab. 2) i 5 osób o zajęciu nieznanem (zab. 2).

Bezczyny sport, co sławę „rabusia“ warszawskiego rozniósł daleko po świecie, uwydatnił też równocześnie bezmierną słabość ducha, brak charakterów i energii wśród t. zw. spokojnych mas ludności. Pod obuchem bandytyzmu i teroru uchylano karku trwo-

żliwie, a rzadko kto pomyślał o stawieniu oporu po mężku. W gazetach roilo się od faktów dziwacznych, które jaknajsmutniejsze wydawały świadectwo panującemu wśród ogółu, ogłędnie mówiąc, przeczeniu nerwów. Niech maiców rzesza podniesie z figlów gwałt na ulicy, niech idyota-wyrostek, wypędek ze szkół wystrzeli w Ogrodzie Saskim z pistoletu w powietrze, publiczność traci głowy, ucieka, przewraca się i tratuje wzajemnie. Dla miłego spokoju poświęcano bez namysłu przekonania swe, schlebiano poglądom mniejszości, ta bowiem imponować umiała akcją bezwzględna. Warszawiak przeciętny był wówczas, a jest i dziś po części czerwonym, gdy trzeba, pojutrze—białym, a żółtym za tydzień stosownie do tego, skąd wiatr zawieje, kto górą.

Mniemam, że miał pewną słuszność Wiliam Wells, gdy w jednej z fantastycznych powieści swych wyprorokował dla ludzkości dwie typu odmiany: jedną łagodną po anielsku, lecz bezsilną i bierną, w używaniu, zabawie i erotyzmie upatrującą cel życia; drugą — o potwornym wyglądzie zewnętrznym, unikającą światła dziennego, ponurą i dziką, która pracuje dla pierwszej i tuczy ją... na żer dla siebie. Czy proroctwu pisarza angielskiego zada kłam ewolucja społeczeństw w przyszłości, zobaczy, kto dożyje. To pewna, iż charakterów pośrednich, łączących uczciwość z odwagą i miękość kultury z energią bojownika, coraz mniej mamy na świecie. Wyhodowany na nowoczesnem podłożu rewolucyjnem bandytyzm i terror nie jest, zresztą, wyjątkowym tylko warszawskiego życia objawem. To samo działo się i jeszcze dzieje w Łodzi, po wsiach i miasteczkach prowincji naszej. W Rosyi bandytyzm święcił tryumfy również wielkie, a jak dokuczył, możemy nabrać pojęcia z następującego scharakteryzowania rewolucyi rosyjskiej, które z gazety „Gołos Moskwy“ przytaczam w tłumaczeniu dosłownem:

„Radykaliści nasi przez nieporozumienie tylko zaliczają rewolucyę do prądów „wolnościowych.“ Rewolucya rosyjska bynajmniej nie troszczy się o wprowadzenie swobód obywatelskich, lecz przeciwnie — o stłumienie wszystkich swobód, które nie zgadzają się z jej dogmatami, jakie uważa za aksyomat życiowy. Jeżeli sądzić o niej z deklamacyj i artykułów prasy skrajnej, jest to próba przewrotu socyalnego, reorganizacyi społeczeństwa na drodze gwałtu. Lecz dla olbrzymiej większości działaczy jej wszystkie przemądre nawoływania wodzów zrozumiały są tylko z jednej strony, jako nawoływanie do odebrania siłą mienia właścicielom jego, do wytepienia „burżujów“ nienawistnych i tych wszystkich, co bronią „kapitalizmu.“ A skoro tak, to rozumiemy wybornie

coraz częstsze „debiuty“ na polu tem: morderstwa i „ekspropriacye“ i t. d. Rewolucya wszystko to uznawała za właściwe i przyjęła w zasadzie.“

Rok 1907.

Łuna pożaru rewolucyjnego, co przyświecała światłem krwawem zapoczątkowaniom konstytucyjnej metody rządów w państwie rosyjskiem, po długotrwałym fajerwerków okresie bladła stopniowo i nikła zwolna, zlewając się z jednolitą na widnokręgu życia społecznego barwą szarawą. Barwa ta z nieznacznem gdzieś przetarciem firmamentu dominuje wszędzie i do błękitu daleko, lecz, bądź co bądź, tworzy doń stadyum wstępne i wstępem też do uspokojenia po czasach burz był rok 1907, ostatni z czterolecia, naszkicowanego w tem miejscu.

Liczba osób, poszkodowanych w roku tym dla sprawy „wolności“ nie przewyższyła w Warszawie 623, była zatem mniejsza, niż w roku poprzednim. Starć „rewolucyjnych“ w znaczeniu właściwem było niewiele, przeważały natomiast objawy bandytyzmu, teroru i anarchii. Z 623 osobników tych zginęło na miejscu 156. Z rąk wojska i policji padło 25, odniosło rany 121, przyczem byli to przeważnie złodzieje i zbóje, schwytani na uczynku. Reszta—497 padła ofiarą porachunków partyjnych lub prywatnych, bądź—napadów bandyckich.

Ośm wypadków zbiorowych przytaczam po kolei:

1. Dnia 22 lutego. Napad członków frakcyi rewolucyjnej P.P.S. na kantor filii pocztowej na ulicy Kruczej. Ofiar 10, z żołnierzy i funkcjonaryuszów poczty wyłącznie. Zabitych 3.
2. D. 26 marca. Napad bandytów na zarząd Gminy żydowskiej na ulicy Grzybowskiej № 26. Ofiar 10. Zab. 2.
3. D. 16 maja. Strzały do studentów Instytutu weterynaryjnego na stacyi „Most.“ Ofiar 7.
4. D. 17 maja. Napad członków frakcyi rewolucyjnej P.P.S. na biura D. Ż. Nadwiślańskiej na ul. Długiej № 30. Ofiar 9. Zab. 2.
5. D. 19 maja. Rozruchy w więzieniu na ul. Długiej № 52. Ofiar 7. Zab. 3.
6. D. 1 listopada. Salwy wojsk na ul. Towarowej i Krochmalnej. Ofiar 27. Zab. 2.

*

7. D. 20 listopada. Wybuch bomby na rogu ul. Ś-to-Krzyżkiej i Jasnej (teror krawiecki). Ofiar 4. Zab. 2.
8. D. 30 listopada. Pościg agentów policyi tajnej na ul. Karowej i Browarnej. Ofiar 5. Zab. 2.

Ogółem ofiar zająć masowych 79.

W tem: ze strony osób cywilnych 65.

" " " org. polic. wojsk. 14.

Zabitych na miejscu 16.

Po dodaniu liczb powyższych do cyfry zająć i wypadków poszczególnych z podłożem specyficznem wiążących się, otrzymamy wykaz następujący, ułożony według zajęć osób poszwankowanych i ich wyznania:

- a) osób profesyi wolnej 84, z tego zabitych 17.
- b) rzemieślników i wyrobników 275, zab. 49.
- c) organów policyi 59, zab. 25.
- d) żołnierzy 26, zab. 6.
- e) ludzi bez zajęcia 28, zab. 5.
- f) " profesyi nieznanej 81, zab. 29.
- g) zbójów i złodziei 70, zab. 25.

Rany i szwanki odniosło:

- a) katolików 349.
- b) prawosławnych 66.
- c) protestantów 12.
- d) wyznawców Mahometa 2.
- e) izraelitów 129.
- f) wyzn. niewiadomego 64.

W rachunku tym znajdują się i ofiary napadów bandyckich, bądź ludzie zamordowani przez zbirów opłaconych; pozatem—ofiary teroru, który prosperuje i dalej w mieście naszym na tle nieporozumień natury przemysłowej (walka z lokautem piekarzy, z chałupnictwem u krawców i t. d.), dając świadectwo oryginalne i wymowne kulturze i pojęciom realistycznych par excellence czasów dzisiejszych.

Zamachom tym uległo według profesyi: 2 obywatele ziemskich i miejskich (zabitych 2), 2 administratorów i 25 stróżów domu (zab. 2), 30 kupców i fabrykantów (zab. 8), 4 inżynierów fabrycznych i kolejowych (zab. 2), 15 dozorców robót i majstrów fabrycznych (zab. 2), 5 kasyerów lub inkasentów, 8 subjektów (zab. 3), 1 ksiądz, 2 urzędników, 1 lekarz (zabity), 2 nauczycieli i 2 literatów. Sami napadnięci w obronie własności swej i życia

położyli trupem 2 zbrodniarzy, zranili 7. Schwytano bandytów in flagranti 196.

Wypadków zranienia na skutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią było 21; z tych 2 skończyły się śmiercią.

Objawów teroru naliczono w roku ubiegłym 88, w tem 18 bomb „krawieckich“ i „szewckich;“ nadto 63 strajków znaczniejszych.

Z wyroków sądu wojenno-okręgowego stracono w Warszawie osób 127 (o ile z gazet mogłem się dowiedzieć); o liczbę tę należy zatem zwiększyć statystykę ofiar r. 1907. Ta ostatnia obejmuje więc ludzi 750, w tem 282 zmarłych niewątpliwie.

Ogół poszkodowanych wynosił zatem:

W r. 1904	osób	279.
„ 1905	„	923.
„ 1906	„	1282.
„ 1907	„	750.

Po dodaniu zabarwionych tłem politycznem niektórych rozpraw nożowych (860 w ciągu lat czterech) otrzymujemy ogółem 4,094 ofiar. Taką oto co najmniej liczbą zapłaciła Warszawa za „rewolucyę“ swoją od r. 1904 do r. 1907 włącznie.

*

*

*

Rewolucya tedy podobno skończyła się, ale podniecenie rewolucyjne trwa dalej i trwać będzie długo zapewne, o ile nie przejdzie w stan przewlekły. Wprawdzie, z obietnic szumnych, z zapowiedzi przyszłości promiennej, o której agitatorowie prawili i pisali tyle, nie ziściła się nawet część minimalna, wprawdzie wrzenie, trwające przez lat kilka i powódź strajków podcięły przemysł kraju i ogłodziły go, lecz z następstw takich zdaje sobie dotąd sprawę dokładną tylko mniejszość. Fakt ten stwierdzamy codziennie niemal w sferze stosunków fabrycznych, budowlanych, rzemieślniczych, w warsztatach i sklepach, w stosunku przewodniczących do „podwładnych,“ w stosunku czeladników do majstrów i t. p. Agitacya obalała masy i bez tego niedość oryentujące się, masy krótkowidzów życiowych, impulsem nie rozsądkiem rządzące się; agitacya stoczyła jadem nienawiści pogodę ognisk rodzinnych, przewróciła w głowie młodzieży, wyszkoliła zastępy złoczyńców małoletnich, wyplenila, plując znikczemniałego materya-

lizmu śliną, resztki jakich takich zasad religijno-moralnych. Bandytyzm i terror ekonomiczny dają znać o sobie bez przerwy. Setki wykolejonych i znieprawionych ludzi nie wie, co począć z sobą wśród ciszy względnej, jaka siłą okoliczności zapanowała w kraju.

Gdy horoskopy życia społecznego nie układają się dla nas zbyt wesoło, sytuacja polityczna wygląda gorzej jeszcze. Z darów nowego kursu otrzymaliśmy, jak dotąd, korzyść minimalną. Redukcję Koła Polskiego w Dumie doprowadzono do granic ostatecznych, a działalność Koła w sferze zysków realnych równa się zeru. Ile spodziewać się można od liberalnych warstw pobratymczego z Północy szczepu, wypadki pouczyły chyba wymownie. A tak wierni byliśmy warstwom tym, niczem Napoleonowi I! Pozatem, ruch cały ma tę jeszcze stronę ujemną, że zaostrzył czujność sąsiada z Zachodu. Na to, co dzieje się w Poznańskim i na Śląsku, nie można patrzeć, jak na chwilowy przejaw wzmożonej nienawiści plemiennej. Nie nawałnica gwałtowna a krótka wali ku nam od Niemców, lecz obliczony na zimno system blokady z eksterminacją, jako godłem i celem ostatecznym. W setkach tysięcy rozrzuconych po Niemczech książek i broszur, w niezliczonych odezwach i przemówieniach publicznych i prywatnych urabia się tam pogląd opaczny, że żywioł polski zajmie niebawem w Rosyi stanowisko wpływowe, że autonomia Królestwa — to kwestya niedalekiej już przyszłości, że wówczas polskie prowincye Prus siłą rzeczy grawitować doń będą, skąd dla cesarstwa Hohenzolernów periculum wielkie. Więc krzepi się do walki, ekonomicznej na razie, ród Teutonów, 60 milionów ludzi mocnych a karnych, pracowitych a rozumujących na chłodno, 60 milionów ludzi, wśród których analfabetów niema prawie; więc za wywłaszczeniem ludności polskiej z 70,000 hektarów ziemi pójdą zabiegi i sposoby inne, wiele bo wykombinować ten potrafi, kto głowę ma na karku i krzepę w garści. Czy falandze owej nerwowy a kłótniwy naród nasz oprzeć się zdoła i czy powtórzy się Grundwald drugi — przyszłość pokaże. To pewna, że zgromadzenie skutecznych środków obrony li tylko w pracy, oświacie, jedności i urabianiu charakterów spoczywa.

DR. K. NIEDZIELSKI.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Głusa.

